



SALMAN
RUSHDIE

DZIECI
PÓŁNOCY

NAJLEPSZA KSIĄŻKA
W CZTERDZIESTOLETNIJ
HISTORII NAGRODY BOOKERA

SALMAN
RUSHDIE

DZIECI
PÓŁNOCY

Przełożyła
Anna Kołyszko



DOM WYDAWNICZY REBIS

O książce

Dzieci północy to obszerna epicka opowieść o powojennej historii Indii. Jak zwykle u Rushdiego prawdziwej historycznej towarzyszy tu fikcja, a postacie autentyczne spotykają się z wytworami imaginacji pisarza. Jak zwykle też książka wywołała skandal oraz ostre protesty niepocholebnie sportretowanej w niej Indiry Gandhi. W ramach znanych z historii najnowszej wydarzeń Rushdie osadził opowiedzianą przez Salima Sinaiego sagę rodzinną o „dzieciach północy” urodzonych w chwili uzyskania niepodległości przez Indie.

Książka zdobyła wiele nagród: Booker Prize, James Tait Black Prize, English Speaking Union Literary Award, i natychmiast wyniosła autora na literacki Parnas. W 1993 roku uznano ją za najlepszą powieść wyróżnioną Booker Prize w mijającym ćwierćwieczu i przyznano tym samym **Booker of Bookers – Bookera Bookerów**.

O autorze

Salman Rushdie urodził się w 1947 roku w Indiach. Od czternastego roku życia mieszkał w Wielkiej Brytanii, potem także w Stanach Zjednoczonych. Jest absolwentem Cambridge.

Zadebiutował w 1974 roku powieścią *Grimus*. Międzynarodową sławę przyniosły mu dopiero opublikowane w 1981 roku *Dzieci północy*. W 1988 roku ukazały się *Szatańskie wersety* – jego najsłynniejsza powieść.

Rushdie jest laureatem wielu nagród literackich. W 2006 roku odwiedził Polskę. Królowa Elżbieta II nadała mu w 2007 roku szlachectwo.

Księga pierwsza

Dziura w prześcieradle

Urodziłem się w Bombaju... dawno, dawno temu. Nie, to nie wystarczy, przed tą datą nie ma ucieczki: urodziłem się 15 sierpnia 1947 roku w Klinice Położniczej doktora Narlikara. A pora? Pora też jest istotna. Zatem: w nocy. Nie, należy podać z większą... No więc, jeżeli chodzi o ścisłość, punkt o północy. Kiedy przyszedłem na świat, wskazówki zegara złożyły się niczym ręce w tradycyjnym geście powitania. Och, wyrzuć to, wyrzuć wreszcie z siebie: wyskoczyłem dokładnie w chwili uzyskania przez Indie niepodległości. Aż wszystkim dech zaparło. A za oknem tłumy i fajerwerki. Kilka sekund później mój ojciec złamał sobie duży palec u nogi, ale jego wypadek był zaledwie błahostką w porównaniu z tym, co mnie spotkało w owym spowitym mrokiem nocy momencie, gdyż za sprawą mistycznej tyranii witających mnie godnie zegarów historia w niezbadany sposób spętała mnie kajdanami, mój los został nierozzerwalnie przykuty do losu kraju. Przez kolejne trzydzieści lat nie było przed nim ucieczki. Moje przybycie zapowiedzieli wróżbici, uhonorowały je gazety, politycy zaś usankcjonowali moją autentyczność. Ja jeden nie miałem tu nic do gadania. Ja, Salim Sinai, zwany potem rozmaicie – Smarkiem, Plamolicym, Łysoniem, Kinolem, Buddą, a nawet Okruczem Księżyca – zostałem poważnie uwikłany w przeznaczenie, co w najlepszym razie wiązało się z pewnym niebezpieczeństwem. A przecież wówczas nie umiałem sobie jeszcze wytrzeć nosa.

Teraz jednak czas (któremu przestałem być potrzebny) ucieka. Wkrótce skończę trzydzieści jeden lat. Być może. Jeśli pozwoli mi na to moje rozpadające się, nadużywane ciało. Nie mam wszakże nadziei na ocalenie życia ani też nie liczę na dar w postaci tysiąca i jednej nocy. Muszę pracować szybko, szybciej niż Szeherazada, jeżeli mój żywot ma mieć sens, właśnie, sens. Przyznaję, iż nade wszystko lękam się bezsensu.

A przecież czeka tyle opowieści, aż za wiele, wprost roi się od splecionych ze sobą żywotów wydarzeń cudów miejsc plotek, co za obfity melanz spraw niewiarygodnych i przyziemnych! Jestem polykaczem żywotów ludzkich; toteż aby mnie poznać, mnie jednego, trzeba również połknąć te wszystkie żywoty. Wchłonięta ciżba tłoczy się we mnie i kłębi; wiedziony zatem wspomnieniem pewnego wielkiego białego prześcieradła z niezbyt równo wyciętą pośrodku okrągłą dziurą średnicy blisko dwudziestu centymetrów, uczepiony wizji tego przedziurawionego, uszkodzonego płótna, mojego talizmanu, mojego sezamie-otwórz się, muszę przystąpić do rekonstrukcji swojego życia od chwili, w której naprawdę się ono poczęło, około trzydzieści dwa lata przed nastąpieniem czegoś tak oczywistego, tak terazniejszego, jak moje ujarzmione zegarem, splamione zbrodnią narodziny.

(Nawiasem mówiąc, prześcieradło również jest splamione trzema kroplami starej, wypłowiałej czerwieni. Jak powiada Koran: Głoś! w imię twego Pana, który stworzył! Stworzył człowieka z grudki krwi zakrzepłej!)

Wczesną wiosną roku 1915, pewnego kaszmirskiego poranka, mój dziadek, Aadam Aziz, klękawszy do modlitwy, uderzył nosem w skutą mrozem grudę ziemi. Z lewej dziurki od nosa kapnęły mu trzy krople krwi, stwardniały natychmiast w rześkim powietrzu i spadły na dywanik modlitewny, przeistoczone na jego oczach w rubiny. Kiedy odchylił się i wyprostował, spostrzegł, że łzy, które napłynęły mu do oczu, również stężały; gdy więc strząsał pogardliwie diamenty z rzęs, poprzysiągł sobie, że już nigdy nie pocałuje ziemi ani

dla żadnego boga, ani dla człowieka. Postanowienie to jednak wydrążyło w nim dziurę, pozostawiło pustkę w życiodajnej komorze wnętrza, wydając go na pastwę kobiet i historii. Z początku tego nieświadom, mimo niedawno odebranego wykształcenia medycznego, wstał, zwinął dywanik na kształt grubego cygara i wsadziwszy go sobie pod prawą pachę, spojrzął na dolinę nie zmaconym diamentami wzrokiem.

Świat ożył na nowo. Po zimowym okresie wykluwania się pod skorupą lodu wilgotna i żółta dolina wychynęła na otwartą przestrzeń. Młoda trawa doczekała pod ziemią stosownej chwili; góry cofały się, chroniąc się na okres upałów w wysoko położonych miejscowościach letniskowych. (Zimą, gdy dolina kurczyła się pod lodową powłoką, góry zaciskały pierścien wokół miasta nad jeziorem, szczerząc złowieszczo kły.)

W owych czasach, zanim wzniesiono wieżę radiową, świątynia Śankaraćarji, niewielki czarny wyprysk na wzgórzu koloru khaki, górowała nad ulicami i nad jeziorem Śrinagaru. W owych czasach nad brzegiem jeziora nie było obozu wojskowego ani tasiemcowych węży zamaskowanych ciężarówek i łazików tarasujących wąskie drogi, ani żołnierzy ukrywających się za grzbietami górskimi opodal Baramulli i Gulmargu. W owych czasach nie rozstrzeliwano podróżnych pod zarzutem szpiegostwa, kiedy fotografowali mosty, toteż pominąwszy domy Anglików na jeziorze, dolina mimo swej nowej wiosennej szaty niewiele się zmieniła od epoki imperium Mogołów; ale oczy mojego dziadka – które miały, podobnie jak on sam, dwadzieścia pięć lat – ujrzały wszystko odmienione... i zaczął go śwędzić nos.

Wypada zdradzić sekret nowego spojrzenia dziadka: spędził on pięć lat, pięć wiosen, z dala od domu. (Owa gruda ziemi, która napatoczyła się pod fałdą dywanika modlitewnego, chociaż odegrała przełomową rolę, była w gruncie rzeczy zaledwie katalizatorem.) Teraz, po powrocie, dziadek patrzył oczyma podróżnika. Zamiast docenić piękno dolinki otoczonej masywnymi zębiskami, dojrzał jej małość, dostrzegł bliskość horyzontu i zasmucił się – w rodzinnych stronach poczuł się wprost osaczony. Doznał też niewysłowionego uczucia, jak gdyby stare kąty miały mu za złe, że wraca wykształcony, uzbrojony w stetoskop. Pod zimowym lodem wyczuwał chłód obojętności, ale teraz znikła wszelka wątpliwość: lata spędzone w Niemczech ściągnęły nań wrogość otoczenia. Po wielu latach, kiedy nienawiść wypełniła mu dziurę we wnętrzu i kiedy przybył, by złożyć się w ofierze bogu z czarnego kamienia w świątyni na wzgórzu, usiłował wrócić pamięcią do wiosen rajskiego dzieciństwa, przypomnieć sobie, jak to było, nim podróże, grudy ziemi i czołgi wywróciły wszystko na nice.

Owego ranka, kiedy dolina, okryta dywanikiem modlitewnym, dała mu prztyczka w nos, starał się, zresztą bezsensownie, udawać, że nic się nie zmieniło. Wstał kwadrans po czwartej na przenikliwy ziąb, obmył się w rytualny sposób, ubrał, włożył na głowę karakułową czapkę ojca; następnie wytaszczył zwinięte cygare dywanika modlitewnego do ogródka nad jeziorem przed ich starym, mrocznym domem i rozwinął na oczekującej już grudzie. Ziemia pod nogami wydała mu się zwodniczo miękka, toteż ogarnęły go naraz niepewność i błogi spokój. „W imię Boga Miłosiernego, Litościwego!... – słowa inwokacji, które wypowiedział z rękami złożonymi przed sobą niczym księga, przyniosły mu częściowo ulgę, ale w większej mierze niepokój – ... Chwała Bogu, Panu światów... – ale tu Heidelberg wkradł się w jego myśli; oto Ingrid, przelotnie jego Ingrid, wyśmiewa to klepanie wersetów w stronę Mekki; a oto ich przyjaciele, Oskar i Ilse Lubin, anarchiści, parodiują jego modlitwę swymi antyideologiami – ... Miłosiernemu, Litościwemu, Królowi Dnia Sądu... – Heidelberg, gdzie obok medycyny i polityki nauczył się, że Indie, niczym rad, zostały «odkryte» przez Europejczyków; nawet Oskar żywił podziw dla Vasco da Gamy, co właśnie w końcu kazało się Aadamowi Azizowi

odsunąć od przyjaciół, ta ich wiara, że on jest niejako wynalazkiem ich przodków – ... Oto Ciebie czcimy i Ciebie prosimy o pomoc... – a więc mimo ich obecności w swoich myślach usiłował dotrzeć ponownie do swej dawnej jaźni, która odrzucała ich wpływy, lecz pojęła wszystko, co miała pojąć, na przykład pokorę, rozumiała, co robi teraz, kiedy ręce wiedzione dawnym wspomnieniem poderwały się w górę, kciuki zatkały uszy, palce się rozcapierzyły, a on sam padł na kolana – ... Prowadź nas drogą prostą, drogą tych, których obdarzyłeś dobrodziejstwami... – Ale nic z tego, czuł się schwyty w pół drogi, w potrzasku między wiarą i niewiarą, a przecież to tylko szarada – ... nie zaś tych, na których jesteś zagniewany i nie tych, którzy błędzą.” Dziadek pochylił czoło ku ziemi. Zgiął się niżej, a ziemia, osłonięta dywanikiem, wyrzuciła się ku niemu. I wtedy nadeszła pora grudy. W chwili gdy reprimendy udzielali mu Ilse-Oskar-Ingrid-Heidelberg oraz dolina-i-Bóg, gruda ziemi rąbnęła go w sam czubek nosa. Spadły trzy krople. Rubiny i diamenty. Wtedy to dziadek, podnosząc się z kolan, powziął postanowienie. Wstał. Zwinął cygaro. Zapatrzył się w przeciwległy brzeg jeziora. I raz na zawsze utknął w pół drogi, niezdolny czcić Boga, którego istnienia nie potrafił bez reszty odrzucić. Na znak trwałej przemiany: owa dziura.

Młody, świeżo upieczony doktor Aadam Aziz stał przodem do wiosennego jeziora, wdychając woń zmian, plecami zaś (prostymi jak struna) był zwrócony do kolejnych przemian. Podczas jego pobytu za granicą ojciec dostał apopleksji, lecz matka trzymała to w tajemnicy. Słowa jego matki, wypowiedziane stoickim szeptem: „Synku, przecież twoje studia były tak ważne”. Ta sama matka, która spędziła całe życie przykuta do domu, z dala od mężczyzn, nagle znalazła w sobie tyle siły, żeby poprowadzić sklepik z kamieniami szlachetnymi (turkusy, rubiny, diamenty), co wraz z pomocą stypendium pozwoliło Aadamowi ukończyć wydział lekarski; toteż po powrocie zastał pozornie niewzruszony porządek rodzinny przewrócony do góry nogami, matka chodziła do pracy, tymczasem ojciec tkwił za zasłoną, którą apopleksja okryła mu umysł... siedział na drewnianym krześle w zaciemnionym pokoju i wydawał ptasie odgłosy. Odwiedzało go trzydzieści różnych gatunków ptaków, siadując na parapecie za zamkniętymi okiennicami, rozprawiając o tym i o owym. Więcej nie było mu potrzeba do szczęścia.

(...Już widzę, że zaczynają się powtórzenia; bo czyż moja babka również nie znalazła w sobie tyle... no i ta apopleksja nie była odosobniona... a Mosiężna Małpka też miała swoje ptaki... już znaleźliśmy się w kręgu klątwy, a przecież jeszcze nie doszliśmy do nosów!)

Lód na jeziorze ustąpił. Odwilż, jak zawsze, przyszła znienacka; zaskoczyła wiele mniejszych łodzi, tak zwanych śikar, pogrążonych we śnie, co również należało do normy. Podczas jednak gdy te wałkonie spały dalej na suchym lądzie, chrapiąc beztrąsko u boku swych właścicieli, najstarsza łódź zerwała się o świcie, jak to zwykle starcy, i jako pierwsza przepłynęła się przez odmarznięte jezioro. Śikara Taiego... ale to także należało do zwyczaju.

Proszę się przyjrzeć, jak Tai, stary przewoźnik, żwawo przepływa się przez zamgloną wodę, stojąc pochylony z tyłu łodzi! Jak jego wiosło, drewniane serce na żółtym kijku, śmiga przez wodorosty! W tych stronach uważają go za dziwaka, bo wiosłuje na stojąco... i z wielu jeszcze innych powodów. Tai, który macha gwałtownie na doktora Aziza, zaraz wprawi historię w ruch... z kolei Aadam, wpatrzony w wodę, przypomina sobie, czego Tai nauczył go przed wielu laty: – Lód zawsze czeka, Aadam baba, tuż pod naskórkiem wody. – Aadam ma oczy błękitne zdumiewającym błękitem górskiego nieba, które zwykło skapywać w źrenice mieszkańców Kaszmiru; nie odoczył się patrzeć. Widzi więc – o, tam! niczym zarys widma, tuż pod powierzchnią jeziora Dal! – delikatny azur, zgmatwaną sieć bezbarwnych linii, zimne, wyczekujące żyły przyszłości. Lata spędzone w Niemczech, które tak wiele

zmąciły, nie pozbawiły go daru patrzenia. Daru Taiego. Podnosi wzrok, widzi spiczasty dziób zbliżającej się łodzi, macha na powitanie. Tai wyciąga rękę, ale to już rozkaz: „Czekaj!” Mój dziadek czeka; skorzystam więc z tej luki w czasie, kiedy zaznaje ostatnich chwil spokoju w życiu, spokoju mętnego i złowieszczonego, i spróbuję go wreszcie opisać.

Nie dopuszczając do głosu naturalnej zawiści brzydkich mężczyzn wobec mężczyzn imponująco przystojnych, odnotowuję, że doktor Aziz był wysoki. Ustawiony przy ścianie domu rodzinnego mierzył dwadzieścia pięć cegieł (jedna cegła na każdy rok życia), czyli blisko metr dziewięćdziesiąt. Był też krzepki. Miał gęstą rudą brodę, co drażniło jego matkę, gdyż powiadała, że tylko hadziowie, którzy odbyli pielgrzymkę do Mekki, mają prawo nosić rude brody. Włosy na głowie miał jednak ciemniejsze. Oczy koloru nieba już znasz. Ingrid tak to podsumowała: – Ci, którzy dobierali kolory twojej twarzy, postradali chyba rozum. – Głównym jednak atrybutem dziadka nie był ani kolor, ani wzrost, ani też krzepkość ręki czy prosta sylwetka. Oto i on, odbity w wodzie, rozkołysany niczym oszalały banan na samym środku twarzy... Aadam Aziz, czekając na Taiego, obserwuje swój falujący nos. Z pewnością przykuwałby uwagę na mniej szokującej twarzy niż ta, ale nawet u niego najbardziej się rzucał w oczy i najdłużej pozostawał w pamięci. – Istny cyranos – orzekła Ilse Lubin, a Oskar dorzucił: – Trąbiszcze. – Ingrid oświadczyła: – Po takim nosie można by przejść przez rzekę. (Miał taki szeroki grzbiet.)

Nos mojego dziadka: bufiaste nozdrza, obfite niczym kształty tancerki. Między nimi wyrasta łuk tryumfalny, najpierw do góry i przed siebie, a dalej w dół i pod spód, sięgając niemal górnej wargi swym okazałym, zaczerwienionym akurat czubkiem. Takim nosem łatwo wyróżnić w grudę ziemi. Chciałbym w tym miejscu wyrazić wdzięczność owemu dorodnemu organowi – gdyby nie on, któż by mnie bowiem uznał za syna mojej matki, wnuka mojego dziadka? – temu gigantycznemu narządowi, który przypadł i mnie w udziale z tytułu urodzenia. Nos doktora Aziza – porównywalny jedynie z trąbą słoniogłowego boga Ganeśi – zapewnił mu bezsporne prawo do zostania patriarchą rodu. Właśnie Tai miał w tym swoją zasługę. Gdy młody Aadam ledwie osiągnął dojrzałość, zmurszały przewoźnik oznajmił: – Z takim nosem można zakładać nowy ród, moje ty książątko. Każdy pozna, czyj to miot. Niejeden cesarz z linii Mogołów oddałby prawą rękę za taki nos. Bo kryją się w nim dynastie – i tu Tai popadł w grubiaństwo – niczym smarki.

U Aadama Aziza nos przybrał patriarchalny wygląd. U mojej matki wyrażał szlachetność z domieszką świętej cierpliwości; u mojej ciotki Emeraldy snobizm; u ciotki Aliji intelekt; wujowi Hanifowi nadawał wygląd zapoznanego geniusza; wuj Mustafa uczynił zeń organ przewąchwiania; Mosiężną Małpkę w ogóle ominął; u mnie zaś – u mnie był jeszcze czym innym. Ale nie zdradzajmy wszystkich sekretów naraz.

(Tai jest już coraz bliżej. On, który odkrył potęgę tego nosa, a który teraz wiezie mojemu dziadkowi wiadomość, mającą wystrzelić go jak z katapulty w przyszłość, wiosłuje o poranku przez jezioro...)

Nikt nie pamiętał Taiego za młodu. Od najdawniejszych czasów machał wiosłem na tej samej łodzi, stał w tej samej zgarbionej pozycji, przeprowiał się przez jeziora Dal i Nagin. Odkąd ktokolwiek sięgał pamięcią. Mieszkał gdzieś w czeluściach niehigienicznej, starej dzielnicy drewnianych domostw, a jego żona hodowała korzenie lotosu i inne dziwne warzywa w jednym z wielu „pływających ogrodów” kołyszących się wiosną i latem na powierzchni wody. Tai sam beztrząsco przyznawał, że nie wie, ile może mieć lat. Podobnie jego żona – mawiała, że już w dniu ślubu był jak stara podeszwa. Jego twarz wyrzeźbił wiatr na jeziorze: sieć zmarszczek wygarbowanych na skórze. Miał dwa złote zęby i żadnych

innych. Miał też w mieście niewielu przyjaciół. Niewielu przewoźników bądź kupców zapraszało go na nargile, kiedy przepływał obok przystani śikar lub jednego z licznych nadbrzeżnych, obskurnych sklepików czy herbaciarni.

Powszechną opinię o Taim wyraził przed wielu laty ojciec Aadata Aziza, handlarz kamieni szlachetnych: – Umysł wypadł mu wraz z zębami. (Ale teraz stary sahib Aziz siedział zagubiony pośród świergotu ptaków, tymczasem Tai wciąż świetnie sobie radził.) Przewoźnik wywoływał takie wrażenie swoją gadką, fantastyczną i górnolotną, ciągnącą się bez końca, jakże często adresowaną do samego siebie. Głos niesie się po wodzie, toteż ludzie znad jeziora śmiali się w kułak z jego monologów, ale nie bez ukrytej bojaźni czy wręcz strachu. Bojaźni – gdyż stary pomyleniec znał te jeziora i wzgórza lepiej niż którykolwiek z prześmiewców; strachu – gdyż szczycił się tak zaawansowaną wiekowością, iż trudno by ją ogarnąć, którą przy tym nosił tak swobodnie na swej kurzej szyi, że nie przeszkodziła mu zdobyć wielce Ponętnej żony, a z nią spłodzić czterech synów... i jeszcze kilku, jak utrzymywano, z innymi nabrzeżnymi żonami. Młodziankowie z przystani śikar byli przekonani, że stary ma gdzieś schowany okazały niajątek – na przykład zbiór bezcennych złotych zębów, grzechoczących w worku niczym orzechy. Po wielu latach, kiedy Wuj Bufo, usiłując mi sprzedać córkę, zaproponował, że każe jej wyrwać wszystkie zęby i wstawić nowe ze złota, przypomniał mi się zapomniany skarb Taiego... a Aadam Aziz jako mały chłopiec wprost uwielbiał starego.

Tai utrzymywał się po prostu z łodzi, wbrew wszelkim pogłoskom o swoim rzekomym bogactwie, przewożąc za pieniądze przez jeziora siano, kozy, warzywa, drewno; ludzi zresztą też. Kiedy zamieniał łódź w taksówkę, stawiał pośrodku śikary wielobarwny namiot, z zasłonami we wzorzyste kwiaty i baldachimem oraz dobranymi kolorystycznie poduszkami; odświeżał ponadto zapach wonią kadzidła. Widok podpływającej śikary Taiego, z łopoczącymi zasłonami, nieomylnie zwiastował doktorowi Azizowi nadejście wiosny. Niebawem zjadą angielscy sahibowie, a Tai będzie ich przewoził do Ogrodów Śalimaru i do Królewskiego Źródła, jak zawsze rozgadany, przygarbiony, z dala widoczny. Był chodzącym zaprzeczeniem wiary Oskara-Ilse-Ingrid w nieuchronność zmian... ten osobliwy, niezniszczalny, swojski duch doliny. Wodny Kaliban z nadmiernym chyba pociąganiem do taniej kaszmirskiej brandy.

Wspomnienie błękitnej ściany mojej sypialni, gdzie tuż obok listu premiera przez wiele lat wisiał obrazek przedstawiający Raleigha za młodu, wpatzonego z zachwytem w starego rybaka przepasanego czymś, co przypominało czerwone dhoti, siedzącego na – no na czym? na balach wyrzuconych przez fale? – wskazującego na morze, kiedy tak snuł swoje rozwodnione gawędy... tymczasem Aadam za młodu, mój przyszły dziadek, pokochał przewoźnika Taiego właśnie za ten nie kończący się słowotok, z powodu którego inni brali go za wariata. Płynęła magiczna opowieść, słowa łąły się jak pieniądze głupca pomiędzy dwóch złotych zębów, zakrapiane czkawką i brandy, wzbijały się ku najodleglejszym Himalajom przeszłości, po czym dopadały celnie jakiegoś aktualnego szczegółu, na przykład nosa Aadata, by dokonać wiwisekcji jego znaczenia niczym myszy. Przez tę przyjaźń Aadam bywał dość regularnie kąpany w gorącej wodzie. (Dosłownie, i to we wrzątku. A matka przygadywała: – Musimy wybić robactwo tego przewoźnika, choćby cię to miało zabić.) Ale stary gaduła nadal mitrężył czas w łodzi przy nadbrzeżnych ogrodach, Aziz zaś siadywał u jego stóp, dopóki nie wezwano go do domu, żeby mu prawić morały na temat niechlujstwa Taiego i przestrzegać przed grasującymi armiami zarazków, które wedle matki skakały z owego gościnnego, wiekowego ciała wprost na wykrochmaloną, białą, luźną piżamę jej syna.

Jednakże Aadam zawsze wracał na brzeg, aby wypatrywać przez mgłę sylwetki obszarpanego, zgarbionego potępieńca sterującego magiczną łodzią po zaczarowanych wodach poranka.

– Taidzi, ile ty masz naprawdę lat? – (Doktor Aziz jako dorosły człowiek z rudą brodą, wychylony ku przyszłości, wspomina dzień, w którym zadał to niestosowne pytanie.) Na chwilę zaległa cisza, głośniejsza od wodogrzmotu. Przerwa w monologu. Plusk wiosła o wodę. Płynął śikarą z Taim, skulony wśród kóz, na wiązce słomy, w pełni świadom kija i balii czekających go po powrocie. Przybył tu dla opowieści... i jednym pytaniem zamknął usta bajarzowi.

– No, Taidzi, powiedz prawdę, ile? – I tu naraz zjawiła się brandy: butelka taniego trunku spod fałd obszernego, ciepłego kaftana ćugha. Dreszcz, beknięcie, wytrzeszcz oczu. Błysk złota. No i – wreszcie! – padły pierwsze słowa.

– Ile mam lat? Pytasz mnie wścibski szczawiku, ile mam lat... – Tai zapowiadając niejako gest rybaka z mojej ściany, wskazał na góry. – Tyle, nakku! – Aadam, nakku, wściubinos, spojrzal za wyciągniętym palcem. – Widziałem, jak powstawały te góry; widziałem, jak umierali cesarze. Posłuchaj. Posłuchaj, nakku... – i znów flaszka brandy, podchmielony głos, słowa upajające bardziej niż alkohol – ... widziałem Ise, tego Chrystusa, kiedy przybył do Kaszmiru. Uśmiechaj się, uśmiechaj, to twoją historię przechowuję w głowie. Dawniej była spisana w starych, zagubionych księgach. Dawniej wiedziałem, gdzie się znajduje grób z przeszytymi włócznią stopami wyrzeźbionymi na nagrobku, które krwawią raz do roku. Teraz nawet pamięć mnie opuszcza, ale wiem, chociaż nie umiem czytać. – Analfabetyzm, zbyty machnięciem ręki; cała literatura zmiażdżona tym jednym gniewnym gestem. I znów ręka wędruje do kieszeni kaftana po flaszkę brandy, do ust splekanych od zimna. Tai zawsze miał kobiece usta. – Słuchaj, nakku, słuchaj. Wiele widziałem. Jara, trzeba było widzieć tego Ise, kiedy tu przybył, broda aż do fiuta, a na głowie łysy jak jajo. Był stary i sterany życiem, ale jakie miał maniery! „Ja po tobie, Taidzi – powiadał – zechciej sobie spocząć”; zawsze odnosił się z szacunkiem, nigdy nie nazywał mnie pomyleńcem ani nie mówił do mnie per tu. Zawsze ap. Widzisz, jaki uprzejmy? A co za apetyt! Taki go trawił głód, że aż ze strachu chwytałem się za głowę. Czy to święty, czy diabeł, przysięgam, że zjadał całe koźle za jednym zasiadem. No i co z tego? Jedz, mówiłem mu, napełniaj tę dziurę w brzuchu, do Kaszmiru przyjeżdża się po to, żeby się nacieszyć życiem albo je zakończyć, albo i jedno, i drugie. Dokonał swojego dzieła. Przyjechał tu, żeby trochę pożyć. – Aziz, urzeczony tym zakrapianym brandy portretem łysiego, żarłocznego Chrystusa, zamieniał się w słuch, by potem powtarzać wszystko słowo w słowo ku konsternacji rodziców, którzy handlowali kamieniami szlachetnymi i nie mieli czasu na takie banialuki.

– Nie wierzysz? – oblizywał spierzchnięte wargi z uśmiechem, wiedząc, że jest wprost przeciwnie. – Błędzisz gdzieś myślami? – choć oczywiście wiedział, jak łączywie Aziz słucha jego słów. – Może cię słoma kłuje w tyłek, co? Tak mi przykro, babadzi, że nie podłożyłem ci jedwabnych poduszek wyszywanych złotym brokatem, na jakich siadywał cesarz Džehangir! Pewno uważasz cesarza Džehangira wyłącznie za ogrodnika – przygadywał Tai mojemu dziadkowi – bo założył Śalimar. Ty głupcze! Co ty sobie wyobrażasz? Jego imię znaczyło: Dzierżyciel Świata. Czy tak by nazwano ogrodnika? Bóg raczy wiedzieć, czego was tam dzisiaj uczą. Tymczasem ja... – aż się zasapał – ...ja znałem jego dokładną wagę co do toli! Spytaj mnie, ile manów, ile sirów! Kiedy był szczęśliwy, przybierał na wadze, a w Kaszmirze ważył najwięcej. Nosiłem go w lektyce... ale ty mi znów nie wierzysz, ten twój ogóras na twarzy kiwa się jak ten twój ogóreczek w spodniach! No to

przepytaj mnie, proszę bardzo! Zrób mi egzamin! Spytaj, ile razy trzeba było obwiązywać skórzanymi rzemieniami drążki lektyki – odpowiedź: trzydzieści jeden. Spytaj, jak brzmiało ostatnie słowo cesarza na łożu śmierci – odpowiem ci: „Kaszmir”. Miał przykry zapach z ust i gołębie serce. Za kogo ty mnie uważasz? Za byle ciemniaka, załganego bezpieczeństwa kundla? A teraz wyskakuj z łodzi, przy tym twoim nosie za ciężko mi wiosłować; zresztą twój ojciec już czeka, żeby wybić ci z głowy moje banialuki, a matka, żeby ci wyparzyć skórę.

W butelce brandy przewoźnika Taiego widzę zapowiedź opętania mojego ojca przez dżinny... trafi się też kolejny łysy przybysz... z kolei banialuki Taiego zwiastują inne, które osłodziły starość mojej babce i też ją wiele nauczyły... a bezpieczeństwa psy kręcą się opodal... Dość tego. Aż mnie obleciał strach.

Mimo tego wybijania i wyparzania Aadam Aziz wciąż pływał z Taim śikarą, pośród kóz siana kwiatów mebli korzeni lotosu, chociaż nigdy z angielskimi sahibami, i wciąż wysłuchiwał fantastycznych odpowiedzi na to jedno, napawające grozą pytanie: – Ale, Taidzi, powiedz, ile masz naprawdę lat? U Taiego Aadam poznał sekrety jeziora – gdzie można pływać, żeby nie wciągnęły człowieka wodorosty; jak wygląda jedenaście odmian węża wodnego; gdzie żaby składają skrzek; jak gotować korzenie lotosu i gdzie przed kilku laty utopiły się trzy Angielki.

– Jest takie plemię białych kobiet, które przyjeżdżają do tych wód, żeby się utopić – oświadczył Tai. – Czasem wiedzą z góry, a czasem nie, ale ja to z miejsca wyniucham. Kryją się pod wodą, Bóg wie przed czym albo przed kim, ale przede mną, mój mały, się nie ukryją!

Z piersi Taiego dobył się śmiech, którym miał się zarazić Aadam – donośny łoskot sprawiający makabryczne wrażenie, kiedy wstrząsał starym, przywiędłym ciałem, brzmiący jednak tak naturalnie u mojego rosnącego dziadka, iż nikt później nie poznał, że to nie jego przyrodzony śmiech (odziedziczył go wuj Hanif, toteż aż do jego śmierci częśćka Taiego żyła jeszcze w Bombaju). Również od Taiego dziadek usłyszał po raz pierwszy o nosach.

Tai poklepał się w lewą dziurkę od nosa. – Wiesz, co to jest, nakku? Tutaj świat zewnętrzny spotyka się ze światem twojego wnętrza. Jeżeli zapanuje między nimi niezgoda, odczujesz to tutaj. Wtedy zażenowany drapiesz się w nos, żeby swędzenie odeszło. Taki nos, mój matołku, to wielki dar. Powiadam ci: ufaj mu. Kiedy cię ostrzega, miej się na baczności, bo przepadniesz z kretesem. Słuchaj własnego nosa, a daleko zajdziesz. – Odchrząknął i wzniosł oczy ku górom przeszłości. Aziz wtulił się w słomę. – Znałem raz pewnego oficera z armii Iskandara Wielkiego. Mniejsza o nazwisko. Między oczami też mu dyndało takie warzywo jak tobie. Kiedy armia stanęła w pobliżu Gandhary, zakochał się w miejscowej lafiryndzie. Zaraz nos rozswędział się jak szalony. Biedak go drapał, lecz na próżno. Wdychał napar z kruszonych liści eukaliptusa. Nadal bez skutku, babadzi! Swędzenie doprowadzało go do szału, ale ten skończony dureń wpadł po uszy, kiedy więc armia wróciła do domu, został z tą małą jędzą. I jak na tym wyszedł? – jak idiota, ni to, ni sio, ot taki półkaleka z żoną zrzedą i z tym swędzeniem w nosie, a na ostatku dźgnął się mieczem w brzuch. No i co ty na to?

...Doktor Aziz, którego rubiny i diamenty przemieniły w takie ni to, ni sio, wspomina w roku 1915 tę opowieść, kiedy Tai podpływa na odległość głosu. Nadal swędzi go nos. Drapie się, otrząsa, szarpie głową; i wtedy dochodzi go wołanie Taiego. – Ohe! Doktorze sahibie! Ghani, córka właściciela ziemskiego, jest chora.

Wiadomość, przekazana zwięźle, wykrzyczana bezceremonialnie przez jezioro, mimo że przewoźnik i jego uczeń nie widzieli się pięć lat, wypowiedziana kobiecymi ustami, które nie składają się w uśmiechu powitania „dawnośmy się...”, wsadza czas na rozkręcającą się, przyspieszającą karuzelę niejasnego podniecenia...

... – Pomyśl tylko, synku – mówi matka Aadama, popijając świeżą limonadę, wyciągnięta na tachcie w pozie rezygnacji i wyczerpania – jak to się wszystko w życiu zmienia. Przez tyle lat nawet moje łydki otaczała tajemnica, a teraz muszę pozwalać, żeby gapili się na mnie obcy ludzie, i to w dodatku nie członkowie rodziny.

...Tymczasem Ghani, właściciel ziemski, stoi pod wielkim obrazem olejnym w bogatej złoconej ramie, wyobrażającym Dianę, boginię łowów. Ma na nosie grube, ciemne okulary, a na twarzy swój słynny jadowity uśmiezek, i rozprawia o sztuce.

– Kupiłem go, doktorze sahibie, od pewnego Anglika, któremu powinna się noga w interesach. Za jedyne pięćset rupii, nawet się nie targowałem. Cóż to jest pięćset rupii? Bo widzi pan, jestem miłośnikiem kultury.

... – Widzisz, synku – mówi matka, kiedy Aadam zaczyna ją badać – czego to matka nie zrobi dla dziecka. Patrz, jak ja cierpię. Jesteś lekarzem... obmacaj te plamy i zaczerwienienia, zrozum, że głowa boli mnie rano, w południe i wieczór. Dolej mi jeszcze, kochanie.

...Na wezwanie przewoźnika młodego doktora przeszywa najbardziej niehipokratesowy dreszcz podniecenia, woła więc: – Już biegnę! Tylko skoczę po rzeczy! – Dziób śikary dotyka już brzegu ogrodu. Aadam pędzi do domu, z dywanikiem modlitewnym pod pachą zwiniętym na kształt cygara, mruga błękitnymi oczyma w nagłym zetknięciu z ciemnością wnętrza; odkłada to swoje cygaro wysoko na półkę na wierzch upchniętych tam *Yorwarts, Co robić?* Lenina i innych broszur, zakurzonych reminiscencji jego na poły zblakłego pobytu w Niemczech; wyciąga spod łóżka kupioną okazjnie skórzaną torbę, którą matka nazywa jego „daktari-attache”, podrywa się z nią i wypada z pokoju, błyskając przez moment słowem HEIDELBERG wypalonym w skórze na spodzie nesaseru. Córka właściciela ziemskiego to doprawdy pomyślna nowina dla lekarza, który szykuje się do kariery, nawet jeżeli jest chora. Przeciwnie: dlatego, że jest chora...Tymczasem ja tkwię tutaj niczym pusty słoik po marynacie w rozlewisku światła lampy kreslarskiej, nawiedzony wizją mojego dziadka sprzed sześćdziesięciu trzech lat, wartą odnotowania, napełniająca mi nozdrza cierpkim odorem zażenowania jego matki, przez które nabawiła się czyraków; zapachem silnej jak ocet determinacji Aadama Aziza, żeby otworzyć tak dobrze prosperującą praktykę, by matka nigdy już nie musiała wracać do sklepiku z kamieniami szlachetnymi; ciężką stęchlizną wielkiego, mrocznego domu, gdzie młody doktor, całkiem nieswój, stoi przed płótnem wyobrażającym prostą dziewczynę z iskrą w oku, a za nią na widnokręgu znieruchomiałego jelenia przesytego strzałą z jej łuku. Większość wydarzeń istotnych dla naszego życia rozgrywa się na ogół pod naszą nieobecność; lecz mnie się jakoś udało opanować sztukę wypełniania luk we własnej wiedzy, toteż mam wszystko w głowie aż po najdrobniejszy szczegół, na przykład, jak mgła przecinała wtedy powietrze o świcie... wszystko, a nie tylko kilka śladów, na jakie się człowiek natyka, gdy, powiedzmy, otworzy stary blaszany kufer, który powinien stać zamknięty i osnuty pajęczyną.

...Aadam dolewa matce napoju i troskliwie kontynuuje badanie.

– Amma, smaruj te plamy i zaczerwienienia kremem. Na ból głowy daję ci tabletki. Czyraki trzeba przeciąć. Ale może, gdybyś nosiła parde, kiedy siedzisz w sklepie... żeby żadne niepowołane oczy nie... takie dolegliwości często się biorą z głowy...

...Plusk wiosła o wodę. Chlup śliny w jeziorze. Tai chrząka i mruży gniewnie pod nosem: – Ładna mi historia. Taki szczawik, nakku, wyjeżdża stąd jako żółtodziób i wraca jako wielki sahib doktor z wielką torbą pełną cudzoziemskiej maszynarii, a i tak jest durny jak sowa. Powiadam: to ci dopiero paskudna historia.

...Doktor Aziz przestępuje z nogi na nogę, onieśmielony uśmiechem właściciela

ziemskiego, w którego obecności nie sposób się odprężyć; oczekuje nerwowej reakcji na swoją osobliwą powierzchowność. Przywykł już do mimowolnych odruchów zaskoczenia na widok swojego wzrostu, wielobarwnej twarzy, nosa... lecz Ghani nic nie daje po sobie poznać, toteż młody doktor postanawia z kolei nie zdradzać własnego zakłopotania. Przestaje się kiwać na boki. Mierzą się wzrokiem, każdy z nich zataja (przynajmniej na pozór) wrażenie, jakie sprawił na nim drugi, ustala się podstawa ich przyszłej więzi. Teraz Ghani zmienia taktykę, przeistaczając się z miłośnika sztuki w twardego człowieka. – To dla pana wielka szansa, młody człowieku – odzywa się. Aziz ucieka wzrokiem w kierunku Diany. Rzucają mu się w oczy duże partie jej upstrzonego różowego ciała.

...Matka z jękiem potrząsa głową.

– Eh, ale cóż ty możesz wiedzieć, moje dziecko, jesteś teraz wielkim panem doktorem, tylko że handel kamieniami szlachetnymi to coś zupełnie innego. Kto kupi turkusa od kobiety ukrytej w czarnym zawoju? To kwestia zaufania. Muszą więc na mnie patrzeć, a ja muszę dostawać czyraków i bólów głowy. Idź już, idź, nie nabijaj sobie głowy biedną matką.

... – Wielkie panisko – Tai spluwa do jeziora – wielka torba, wielkie panisko. Furda tam! Jakby u nas nie było dość toreb, żebyście musieli przywozić takie cuda ze świńskiej skóry, aż człowiek staje się nieczysty od samego patrzenia. I Bóg wie, co tam w środku!

Doktor Aziz, usadowiwszy się pośród kwiecistych zasłon i woni kadzidła, odrywa się myślami od pacjentki czekającej po drugiej stronie jeziora. Cierpki monolog Taiego wdziera się w jego świadomość, wywołuje poczucie tępego wstrząsu, zapach niczym z oddziału urazowego wypiera woń kadzidła... starzec jest najwyraźniej oburzony, owładnięty niezrozumiałym gniewem, skierowanym na swojego dawnego akolitę lub ściślejsz, co dziwniejsze, na jego nesesor. Doktor Aziz usiłuje nawiązać rozmowę.

– Jak tam twoja żona? Ludzie wciąż gadają o twoim worku pełnym złotych zębów? – Próbuje odnowić starą przyjaźń; ale Tai już się rozkręcił i wyrzuca z siebie potok inwektyw. Nesesor z Heidelbergu aż drży pod strumieniem obelg.

– Przebrzydła torba ze świńskiej skóry z samej Zagranicy, pełna cudzoziemskich sztuczek. Torba wielkiego pana. Ale jeżeli ktoś złamie rękę, nastawiacz kości nie będzie mógł jej owinąć liśćmi przez tę torbę. Teraz człowiek musi spokojnie patrzeć, jak jego żona leży przy tej torbie i jak kraje się ją nożem. Ładna mi historia, nie wiadomo, co ci cudzoziemcy ładują naszym chłopcom do głów. Powiadam: to ci dopiero paskudna historia. Ta torba powinna się smażyć w piekle razem z jądrami bezbożników.

...Ghani, właściciel ziemski, strzela szelkami za pomocą kciuków.

– O, tak, to wielka szansa. Nasłuchałem się o panu w mieście dużo dobrego. Dobre wykształcenie medyczne. Z dobrej... wystarczająco dobrej... rodziny. A teraz, kiedy zachorowała nasza lekarka, trafia się panu gratka. Ta niewiasta ciągle ostatnio choruje, tak sobie myślę, że już jest za stara, nie nadaża za nowymi osiągnięciami, no i, zawsze to powtarzam: medyk powinien umieć sam się wykurować. Dodam jeszcze jedno: w interesach jestem nad wyraz bezstronny. Uczucia, miłość, rezerwuję dla rodziny. Jeżeli więc ktoś mi w pełni nie dogodzi, nie zagrzeje u mnie miejsca! Rozumie pan? Do rzeczy: moja córka, Nasim, zaniemogła. Proszę ją wyleczyć jak należy. I niech pan pamięta, że mam przyjaciół; a choroba nie wybiera, bije w bogatych i biednych na równi.

... – Taidzi, nadal marynujesz węże wodne w brandy, żeby zachować męskość? Nadal jadasz korzenie lotosu bez przypraw?

Lęklive pytania, zepchnięte na bok przez lawinę gniewu Taiego. Doktor Aziz stawia diagnozę. Dla przewoźnika torba oznacza Zagranicę; jest czymś obcym, niesie inwazję,

postęp. Owszem, zawładnęła umysłem młodego doktora; owszem, zawiera skalpele oraz leki na cholere, malarię i ospę; owszem, stoi między lekarzem a przewoźnikiem i czyni z nich przeciwników. Doktor Aziz zaczyna się bronić przed smutkiem i gniewem Taiego, który okazuje się zaraźliwy, przechodzi na niego, nadciąga wprawdzie rzadko, ale gdy już nadciągnie, wybucha bez zapowiedzi jak grzmot z najodleglejszych zakamarków ciała i pustoszy wszystko, co w zasięgu wzroku; po czym znika i pozostaje tylko zdziwienie, dlaczego wszyscy są tacy poruszeni... Zbliżają się do domu Ghaniego. Sługa czeka już na śikarę, stoi ze splecionymi rękami na małym drewnianym pomoście. Aziz skupia myśli na szykującej się pracy.

... – Ghani sahib, czy pański lekarz domowy zgodził się na moją wizytę? – I znów lękliwe pytanie zostaje delikatnie zepchnięte na bok. Właściciel ziemski odpowiada: – O, pani doktor na pewno się zgodzi. A teraz proszę za mną.

... Sługa czeka na pomoście. Przytrzymuje śikarę, z której wysiada Aadam Aziz dzierżąc neseser w ręce. I wtedy Tai zwraca się wreszcie wprost do mego dziadka. Z pogardą w głosie pyta:

– Powiedz mi, doktorze sahibie, czy masz w tej torbie ze zdechłych świń taki przyrząd, co to nim niuchają cudzoziemscy doktorzy?

Aadam potrząsa głową, nie rozumie. Głos Taiego wzbija się na wyżyny obrzydzenia.

– No wiesz, mój panie, taką niby słoniową trąbę.

Aziz pojmując, o co chodzi, odpowiada:

– Stetoskop? Oczywiście.

Tai odpycha śikarę od pomostu. Spluwa. Staje do wiosła. – Wiedziałem – przygaduje. – Będiesz teraz poległ na tym przyrządzie zamiast na swoim dużym nosie.

Dziadek nie zadaje sobie trudu, aby wyjaśnić, że stetoskop bardziej przypomina parę uszu niż nos. Tłumi własną irytację, urażony gniew odrzuconego dziecka; zresztą czeka już na niego pacjentka. Czas wraca na swoje miejsce i koncentruje się na tej doniosłej chwili.

Dom był zasobny, lecz kiepsko oświetlony. Służba najwidoczniej korzystała z tego, że Ghani jest wdowcem. Kąty zarosły pajęczynami, występy na ścianach pokryły się pokładami kurzu. Szli długim korytarzem; jedne drzwi były uchylone i Aziz zobaczył w pokoju straszliwy bałagan. Ten widok w połączeniu z refleksem światła w ciemnych okularach Ghaniego uprzytomniły naraz Azizowi, że właściciel ziemski jest ślepy. To odkrycie wzmoгло tylko jego skrępowanie: żeby niewidomy tak się zachwycał malarstwem europejskim? Jego podziw wzbudziło też to, że Ghani o nic się nie potknął... stanęli przed masywnymi tekowymi drzwiami. Ghani powiedział: – Proszę poczekać tu chwilę – i wszedł do pokoju.

Po wielu latach doktor Aadam Aziz zaklinał się, że przez te chwile samotności w ponurym, opajęczonym korytarzu rezydencji właściciela ziemskiego nasza go niepoohamowana prawie chęć, aby się odwrócić i wziąć nogi za pas. Zdetonowany enigmatycznością niewidomego miłośnika sztuki, czując w środku mrowie łaskoczących insektów za sprawą perfidnego jadu sączącego się z pomruków Taiego, a w nozdrzach swędzenie każące mu podejrzewać, że w zagadkowy sposób nabawił się choroby wenerycznej, poczuł, jak nogi powoli, niczym w butach z ołowiu, obracają się; poczuł, jak krew dudni mu w skroniach i jak obezwładnia go tak silne przeświadczenie o sytuacji bez odwrotu, że omal się nie zlał w niemieckie, wełniane spodnie. Zapłonił się bezwiednie rumieńcem i w tejże chwili ukazała mu się matka siedząca na podłodze przy niskim kantorku; gdy podnosiła do światła turkus, na jej twarzy wykwitła spora plama niby rumieniec. Twarz matki przybrała pogardliwą minę przewoźnika. „Idź już,

biegnij – odezwała się głosem Taiego – nie przejmuj się biedną matką.” Doktor Aziz zaczął się jękać: „Żadna ze mnie pociecha, Amma; nie widzisz, że mam w środku dziurę wielkości melona?” Matka uśmiechnęła się bolesciwie. „Zawsze byłeś bez serca” – westchnęła, zamieniła się w jaszczurkę na ścianie korytarza i wystawiła język. Oszołomienie ustąpiło, doktor Aziz stracił pewność, czy rzeczywiście mówił coś na głos, zadumał się, o co mu też chodziło z tą dziurą, zdał sobie sprawę, że nogi przestały się rwać do ucieczki i że ktoś go obserwuje. Patrzyła na niego kobieta z bicepsami zapaśnika i zapraszała gestem do pokoju. Po sari poznał, że to służąca; ale bynajmniej nie służalca.

– Jest pan zielony jak ryba – stwierdziła. – Eh, wy młodzi lekarze. Jak tylko wejdziecie do obcego domu, zaraz wam się wątroba zamienia w galaretę. Proszę, doktorze sahibie, czekają na pana.

Ściskając neseser odrobinę za mocno, wszedł za nią przez ciemne teko we drzwi.

... Do obszernej sypialni równie słabo oświetlonej jak reszta domu; chociaż tutaj zakurzone promienie słoneczne sączyły się przez świetlik wysoko pod sufitem. Ten zatęchły snop światła padał na najbardziej niezwykłą scenę, jaką doktor widział w życiu: ukazał mu się tak niebywale dziwny żywy obraz, że nogi znów jęły go świerzbić, by zawrócić do drzwi. Pośrodku stały sztywno dwie kobiety, również postury zawodowych zapaśniczek, a każda trzymała za róg olbrzymie białe prześcieradło rękoma uniesionymi wysoko nad głową, tak że płachta zwisała między nimi jak kurtyna. Z ciemności otaczających zalane słońcem prześcieradło wyłonił się pan Ghani i pozwolił skonfundowanemu Adamowi przez jakieś pół minuty gapić się idiotycznie w ten cudaczny żywy obraz, aż wreszcie, nim padło pierwsze słowo, doktor dokonał odkrycia.

W samym środku prześcieradła wycięto dziurę, niezgrabne koło średnicy dwudziestu centymetrów.

– Zamknij drzwi, aja – polecił Ghani pierwszej zapaśniczce, po czym zwracając się do Aziza wpadł w poufny ton. – Kręci się tu pełno nicponi, już się nawet usiłowali wspiąć do pokoju mojej córki. Musi więc mieć – tu wskazał na trzy muskularne kobiety – ochronę. – Aziz nadal wpatrywał się w przedziurawione prześcieradło. Ghani zachęcił go: – No to proszę się zabierać do badania Nasim. Pronto.

Dziadek rozejrzył się po pokoju.

– Ale gdzie ona jest, sahib Ghani? – wykrztusił w końcu. Zapaśniczki przybrały wyniosłe miny i zdawało się, że napięły mięśnie na wypadek, gdyby doktorowi strzelił do głowy jakiś ekstrawagancki pomysł.

– A, widzę pańskie pomieszanie – odparł Ghani pławiąc się w jadowitym uśmiechu. – Wy, młokosy, świeżo po powrocie z Europy, zapominacie o pewnych sprawach. Doktorze sahibie, moja córka jest porządną dziewczyną, nie ma co do tego dwóch zdań. Nie wystawi ciała na pokaz pod nosem obcego mężczyzny. Pod żadnym pozorem nie wolno jej panu oglądać; dlatego kazałem ją umieścić za tym prześcieradłem. Stoi tam, jak przystało przyzwoitej dziewczynie.

Do głosu doktora Aziza zakradła się pewna nerwowość.

– Ghani sahib, proszę mi powiedzieć, jak mam ją zbadać w ogóle jej nie widząc?

Ghani wciął się uśmiechał.

– Proszę wskazać, z łaski swojej, która część mojej córki wymaga oględzin. Wtedy wydam instrukcję, żeby umieściła żądany fragment za tą dziurą, którą pan tu oto widzi. Takim sposobem cel zostanie osiągnięty.

– Na co więc młoda dama się uskarża? – mój dziadek, doprowadzony do rozpacz.

Tu pan Ghani wzniosł oczy do nieba, zamienił uśmiech w grymas ubolewania i odrzekł: –
Moje biedne dziecko! Cierpi na potworny, straszliwy ból brzucha.

– W takim razie – skonstatował doktor Aziz powściągliwie – proszę, żeby mi pokazała
brzuch.

Merкуроchrom

Padma – nasza pulchna Padma – ślicznie się dąsa. (Nie potrafi czytać i jak wszystkie osoby gustujące w rybach nie znosi, gdy ktoś umie więcej od niej. Padma: silna, wesoła, pociecha moich ostatnich dni. A przy tym niewątpliwie suka ogrodnika.) Usiłuje przymilnie oderwać mnie od biurka:

– No jedźże, kolacja stygnie. – Niewzruszony pochylam się nad papierem. – Co to za ceremonia – dopytuje się Padma, tnąc w rozdrażnieniu prawą ręką powietrze góradółgóra – że aż tyle trzeba tego pisarstwa-gówniarstwa?

Tłumacząc jej: teraz, kiedy wyjawilem szczegóły moich narodzin, kiedy przedziurawione prześcieradło zawisło między doktorem a pacjentką, nie ma już odwrotu. Padma prychnęła. Wali się ręką w czoło. – Co mi tam, głódź się głódź, nie będę wtrącać swoich trzech pajsów. – I znów prychnęła, tym razem głośniej, definitywnie... ale dla niej też nie uczynię wyjątku. Zarabia na życie mieszając kipiący wrzątek w kadzi; dziś wieczór ogarnęły ją jakieś gorące, kwaśne wapory. Gruba w talii, z owłosionymi nieco rękami, ciska się, gestykułuje, wychodzi. Biedna Padma. Zawsze coś jej zajdzie za skórę. Złości ją chyba nawet własne imię: zresztą nic dziwnego, skoro dowiedziała się bardzo wcześnie od matki, że nadano jej imię na cześć bogini lotosu zwanej najczęściej przez miejscowych chłopów „Panią Łajna”.

W pozyskanej na nowo ciszy wracam do arkuszy papieru zalatujących kurkumą, chętny i gotów uwolnić nieszczęsną opowieść, której kazałem wczoraj zawisnąć w powietrzu – na wzór Szeherazady, która czyniła tak noc w noc, ratując własne życie dzięki ciekawości zżerającej księcia Szachrijara. Zacznę bez ogródek: otóż przeczucia mojego dziadka w korytarzu nie były bezpodstawne. Przez kolejne miesiące i lata znalazł się pod działaniem iście czarnoksięskiego uroku tamtego olbrzymiego – jeszcze nie splamionego – przedziurawionego płótna.

– Znowu? – dziwi się matka Aadama, przewracając oczami. – Wierz mi, moje dziecko, ta dziewczyna jest taka chorowita, bo ma za wygodne życie. Za dużo słodyczy i pieśzcot, a zabrakło twardej ręki matki. Ale idź, zajmij się swoją niewidzialną pacjentką, matka jakoś przeżyje z tym swoim mało ważnym bólem głowy.

Trzeba ci wiedzieć, że w owych latach córkę właściciela ziemskiego, Nasim Ghani, nawiedziła zdumiewająca wprost liczba pomniejszych dolegliwości, no i za każdym razem wysyłano śikarą posługacza, aby wezwał młodego, postawnego sahiba doktora z dużym nosem, który przysporzył mu tyle sławy w całej dolinie. Wizyty Aadama Aziza w sypialni oświetlonej jedynie promykiem słońca, strzeżonej przez trzy zapaśniczki, stały się niemal cotygodniowym rytuałem; przy każdej takiej okazji zezwalano mu obejrzeć przez uszkodzone prześcieradło coraz to inny dwudziestocentymetrowy krążek ciała młodej damy. W ślad za początkowym bólem brzucha nastąpiło nieznaczne skręcenie prawej kostki, wrośnięcie paznokcia w duży palec lewej nogi, drobne zadrapanie na lewej łydce. (– Tężec to pewna śmierć, sahib doktorze – oznajmił właściciel ziemski. – Moja Nasim nie może umrzeć od byle draśnięcia.) Wynikła sprawa zeszywnienia prawego kolana, które lekarz musiał rozruszać przez dziurę w prześcieradle... a z czasem choroby przeniosły się wyżej, omijając pewne pokrywane milczeniem strefy, i zaczęły się szerzyć od pasa w górę. Dokuczały jej kolejno: tajemnicza przypadłość nazwana przez Ghaniego „zgnilizną palcy”, od której łuszczyła się

skóra rąk; osłabienie kości przegubu, na co Aadam przepisał wapno w tabletkach; oraz ataki zatwardzenia, na co zaaplikował terapię kaolinową, nie było bowiem mowy, żeby mógł użyć lewatywy. Miewała wysokie gorączki, a także nienaturalnie niskie temperatury. W takich przypadkach wkładał jej termometr pod pachę, mrużąc i burcząc na niewystarczalność tej metody. Pod drugą pachą wywiązała się raz lekka grzybica, zastosował wtedy żółty puder; po tej kuracji – kiedy to musiał łagodnie, acz stanowczo wetrzeć proszek, mimo że aksamitne, niedostępne ciało poczęło drzeć i dygotać, a zza prześcieradła dobiegł go nieposkromiony śmiech, bo Nasim Ghani miała potworne łaskotki – swędzenie ustąpiło, lecz wkrótce Nasim znów znalazła nowy zestaw niedomagań. W lecie nękała ją anemia, w zimie bronchit. (– Ma nader delikatne płuca – wyjaśnił Ghani – jak piszczalki.) W oddali wielka wojna przechodziła kolejne kryzysy, tymczasem doktor Aziz również prowadził w opajęczonym domu wojnę totalną na wyznaczonych odcinkach frontu niewyczerpalnych dolegliwości pacjentki. Trzeba przyznać, że przez te wszystkie lata wojny żadna choroba Nasim nigdy się nie powtórzyła.

– Wynika stąd – pochwalił go Ghani – że jest pan dobrym doktorem. Jak już pan coś wyleczy, to na dobre. Ale, niestety – tu uderzył się w czoło – moje biedne maleństwo usycha z tęsknoty za nieboszczką matką i dlatego wciąż cierpi na ciele. Co za kochane dziecko!

I tak w głowie doktora Aziza powstawał z wolna obraz Nasim, nie najlepiej dopasowany kolaż przebadanych osobno części ciała. Zaczęło go nawiedzać, i to nie tylko w snach, widmo podzielonej na części kobiety. Sklejona w całość siłą wyobraźni towarzyszyła mu w obchodach, przeniosła się do salonu jego głowy, toteż we śnie i na jawie czuł pod palcami aksamit podatnej na łaskotki skóry albo idealnie szczupłe przeguby, albo piękny kształt łydek; czuł zapach lawendy i ćambeli; słyszał jej głos i ten jej nieposkromiony śmiech małej dziewczynki; ale nadal pozostawała bez głowy, bo ani razu nie widział jej twarzy.

Matka leżała w łóżku wyciągnięta na brzuchu.

– Chodź, mój synu doktorze, wymasuj mnie – poprosiła – bo twoje palce przynoszą ulgę mięśniom starej matki. Ciśnij, ciśnij, i nie patrz tak na mnie jak gęś cierpiąca na zatwardzenie. – Ugniatał jej ramiona. Matka mrużała, podrygiwała, odprężała się, – Teraz niżej – dyrygowała – a teraz wyżej. Trochę w prawo. O, tak. Mój inteligentny syn, ślepy na knowania właściciela ziemskiego, Ghaniego. Takie mądre dziecko, a nie domyśla się, dlaczego ta dziewczyna wciąż się uskarża na jakieś bzdurne dolegliwości. Posłuchaj mnie, synu: choć raz dojrzyj nos na swojej twarzy: ten Ghani uważa, że jesteś dla niej dobrą partią. Szkolony za granicą i w ogóle. Po to pracowałam w sklepie rozbierana spojrzeciami obcych mężczyzn, żebyś ty się teraz ożenił z Nasim! Już ja wiem swoje; bo w przeciwnym razie po co by się oglądał na naszą rodzinę. – Aziz nadal masował. – O, Boże, przestań, nie musisz mnie od razu mordować tylko dlatego, że mówię ci prawdę w oczy!

Zanim nastał rok 1918, regularne przeprawy na drugą stronę jeziora wypełniły Aadamowi Azizowi sens życia. Podejmował je teraz tym chętniej, że po trzech latach właściciel ziemski i jego córka byli najwyraźniej skłonni obniżyć poprzeczkę. Ghani po raz pierwszy wystąpił z taką prośbą:

– Zgrubienie w prawej piersi. Czy to groźne, panie doktorze? Proszę się przyjrzeć, proszę się dobrze przyjrzeć.

I w obramowaniu sławetnej dziury ukazała się pięknie zbudowana, poetycko urzekająca...

– Muszę dotknąć – stwierdził Aziz, zmagając się z własnym głosem.

Ghani klepnął go po plecach.

– Proszę bardzo, proszę! – zawołał. – Ręce uzdrowiciela! Zbawienne dotknięcie, co, panie doktorze?

Aziz wyciągnął rękę i...

– Proszę wybaczyć, że pytam. Czy to jest panienki pora miesiąca?

Nieznaczące, tajemnicze uśmiešky wykwitają na twarzach zapaśniczek. Ghani potakuje uprzejmie:

– Tak. Nie ma co się tak peszyć, chłopie. Doktor to jak rodzina.

Na to Aziz:

– W takim razie nie ma powodu do obaw. Zgrubienia znikną, kiedy skończy się jej pora.

A następnym razem:

– Doktorze sahibie, naciągnęła sobie mięsień z tyłu uda. Co za okropny ból!

I oto Azizowi rzędzie wzrok, gdy w prześcieradle zjawia się ślicznie zaokrąglony, niewiarygodny pośladek... Aziz pyta:

– Czy wolno by mi było...

Jedno słowo Ghaniego; posłuszna odpowiedź zza zasłony; pociągnięcie tasiemki; i z boskiego wzgórką opada piżama odsłaniając w dziurze cudowną krągłość. Aadam Aziz wysiłkiem woli ogranicza się do obserwacji ściśle medycznych... sięga... dotyka. I zdumiony klnie się w duchu, że na jego oczach siedzenie płoni się wstydlwym, acz uległym rumieńcem.

Wieczorem Aadam zadumał się nad tym rumieńcem. Czyżby magia prześcieradła działała po obu stronach dziury? W podnieceniu wyobrażał sobie, jak bezgłową Nasim przechodzi mrowie pod jego badawczym spojrzeniem, przy dotyku jego termometru, stetoskopu, palców i jak dziewczyna stara się odtworzyć w głowie jego obraz. Była, rzecz jasna, w gorszej sytuacji, gdyż widywała tylko jego ręce... Aadam w niedozwolonej rozpacz snuje nadzieje, że Nasim Ghani dostanie migreny albo skaleczy się w nie widziany dotąd podbródek, aby mogli sobie spojrzeć w oczy. Był świadom nieprofesjonalności tych uczuć; ale nie próbował ich tłumić. Niewiele by zresztą wskórał, gdyż zaczęły one żyć własnym życiem. Krótko mówiąc: mój dziadek się zakochał i począł uważać ową dziurę w prześcieradle za coś świętego i magicznego, bo przez nią widywał cuda, które wypełniły mu dziurę we wnętrzu powstałą, kiedy gruda ziemi rąbnęła go w nos i kiedy obraził go przewoźnik Tai.

W dniu zakończenia wojny światowej Nasim dostała upragnionego bólu głowy. Takie koincydencje historyczne zaśmiewały, a może wręcz kalają istnienie mojej rodziny w świecie.

Ledwo śmiał spojrzeć w to, co obramowywała dziura w prześcieradle. Może dziewczyna jest szpetna; co by tłumaczyło całe to przedstawienie... spojrzał. I zobaczył delikatną, bynajmniej nie brzydką twarz, wyściełaną oprawę skrzących się jak klejnoty oczu, piwnych z przebłyskami złota: oczu tygrysy. Doktor Aziz wpadł ze szczętem. A Nasim wybuchła:

– Panie doktorze, na miły Bóg, co za nos!

Ghani sapnęła gniewnie:

– Córko, licz się ze...

Ale pacjentka i lekarz już się zaśmiewali razem, Aziz zaś mówił:

– Tak, tak, to wyjątkowy okaz. Podobno kryją się w nim dynastie... – i ugryzł się w język, bo już miał dodać – niczym smarki.

A Ghani, który przez te trzy długie lata stał ślepo przy zasłonie i uśmiechał się uśmiechał się uśmiechał, znów przybrał ten swój tajemniczy uśmiech, odzwierciedlony na ustach zapaśniczek.

Tymczasem przewoźnik Tai podjął niewyjaśnioną decyzję, żeby się przestać myć. W dolinie nawadnianej świeżymi wodami jezior, gdzie nawet biedota mogła się szczyścić (i zaiste szczyściła się) czystością, Tai uznał za stosowne cuchnąć. Już od trzech lat ani się nie kąpał, ani nie mył po załatwieniu potrzeb naturalnych. Rok w rok chodził wciąż w tych samych nie

pranych ubraniach; czynił jedynie odstępstwa w zimie wkładając na zgniłą piżamę kaftan ćugha. Koszyk gorących węgli, który nosił na kaszmirską modłę pod kaftanem, żeby się ogrzać na dotkliwym zimnie, potęgował tylko i podkreślał jego diabli odór. Nabrał zwyczaju przepływania wolno obok domostwa Azizów, rozsiewając po ich małym ogrodzie i domu odrażające zapachy ciała, aż zwiędły kwiaty, a z parapetu starego ojca Aziza odfrunęły ptaki. Tai stracił oczywiście pracę; zwłaszcza Anglicy nie życzyli sobie, aby ich przewoziła taka ludzka kloaka. Wokół jeziora rozeszła się pogłoska, że żona Taiego, doprowadzona do obłędu niespodziewanym niechlujstwem starego, zapytała go o powód. I otrzymała odpowiedź:

– Spytaj tego doktora z zagranicy, spytaj tego nakku, tego Niemczura Aziza.

Czy miał to być atak wymierzony w nadwrażliwe nozdrza doktora (w których swędzenie zwiastujące niebezpieczeństwo jak gdyby zanikło wskutek znieczulającego działania miłości)? Czy może manifestacja niezmienności na znak buntu wobec inwazji daktari-attache z Heidelbergu? Pewnego razu Aziz zapytał starca wprost, o co w tym wszystkim chodzi, ale Tai tylko na niego chuchnął i odpłynął. Chuch omal nie powalił Aziza; raził jak siekiera.

W roku 1918 ojciec doktora Aziza, pozbawiony ptaków, umarł we śnie; wkrótce zaś matka – sprzedawszy dzięki prosperującej praktyce Aziza sklepik z kamieniami szlachetnymi – przyjęła śmierć męża jako zbawienną ulgę w życiu przepełnionym obowiązkami, po czym sama zległa na łożu śmierci i podążyła w ślad za mężem jeszcze przed upływem czterdziestodniowego okresu żałoby. Zanim więc oddziały indyjskie wróciły do domu po zakończeniu wojny, doktor Aziz był już sierotą i wolnym człowiekiem – tyle że serce mu uwięzło w dwudziestocentymetrowej dziurze.

Postępowanie Taiego osiągnęło druzgoczący skutek: zniszczyło dobrosąsiedzkie stosunki doktora Aziza z mieszkańcami jeziora. Tak jak w dzieciństwie gawędził do woli z żonami rybaków i kwaciarkami, tak teraz patrzono na niego spode łba. „Spytaj tego nakku, tego Niemczura Aziza.” Tai naznaczył go piętnem człowieka obcego, czyli nie w pełni godnego zaufania. Nie lubiano przewoźnika, ale bodaj jeszcze bardziej niepokojono się jego przemianą, wywołaną z całą pewnością przez doktora. Aziz zrozumiał, że otacza go podejrzliwość, a nawet ostracyzm biedoty; bardzo go to zabolalo. Pojął wreszcie cel Taiego: tamten usiłował go wypędzić z doliny.

Wyszła również na jaw historia z dziurą w prześcieradle. Trzy zapaśniczki były widocznie mniej dyskretne, niżby się zdawało. Aziz zauważył, że ludzie wytykają go palcami. Kobiety śmiały się w kułak...

– Postanowiłem przyznać Taiemu zwycięstwo – oznajmił. Zapaśniczki, z których dwie trzymały prześcieradło, a trzecia warowała przy drzwiach, wysilały się, żeby dosłyszeć coś przez tampony waty w uszach. (– Poprosiłam o to ojca – wytłumaczyła mu Nasim. – Te plotkary przestaną sobie wreszcie strzepić języki.) Oczy Nasim, obramowane prześcieradłem, rozszerzyły się bardziej niż kiedykolwiek.

... Podobnie jak jego oczy, kiedy przed kilku dniami, gdy chodził po mieście, zobaczył, jak nadjeżdża ostatni zimowy autobus, pokryty kolorowymi napisami – z przodu WOLA BOSKA na zielono z czerwoną obwódką; z tyłu na żółto z niebieską obwódką CHWAŁA BOGU! oraz wyzywającym rudym PRZYKRO – PA – PA! – i rozpoznał wysiadającą Ilse Lubin spoza sieci nowych krążków i zmarszczek na jej twarzy...

Teraz już właściciel ziemski Ghani zostawiał go samego ze strażniczkami o zatkanym wata uszach.

– Żeby mógł pan sobie porozmawiać. Związek doktora z pacjentem może się pogłębić tylko przy całkowitej dyskrecji. Dopiero to zrozumiałem, sahib Aziz... proszę mi wybaczyć

dotychczasową nachalność.

Teraz już Nasim coraz bardziej rozwiązywał się język.

– Co też ty wygadujesz? Kim jesteś: mężczyzną czy myszką? Żeby uciekać z domu przez jakiegoś śmierzdźla przewoźnika!...

– Oskar nie żyje – oświadczyła Ilse, popijając świeżą limonadę na tachcie jego matki. – Zginął jak błazen. Poszedł porozmawiać z żołnierzami, pouczyć ich, żeby przestali być pionkami w tej grze. Ten dureń naprawdę sądził, że wojsko rzuci broń i się rozejdzie. Przyglądaliśmy się z okna, a ja zanosila modły, żeby go tylko nie stratowali na śmierć. Pułk nauczył się już maszerować równym krokiem, wcale byś ich nie poznał. Kiedy Oskar doszedł do rogu ulicy na wprost placu defilad, potknął się o własne sznurowadło i przewrócił na jezdnię. Potrącił go samochód sztabowy i biedak umarł. Ten ciamajda nigdy nie potrafił zawiązać porządnie sznurowadeł... – i tu diamenty stężyły jej na rzęsach. – Tacy jak on okrywają anarchistów złą sławą.

– No dobrze – przyznała Nasim – czyli masz sporą szansę objęcia niezłej posady. Uniwersytet w Agrze to słynna uczelnia, nie myśl sobie, że nie słyszałam. Doktor uniwersytecki!... Nieźle brzmi. Skoro ci tak zależy, wszystko się przedstawia zupełnie inaczej. – W dziurze opadły rzęsy. – Ale będę za tobą tęskniła...

– Zakochałem się – Aadam Aziz powiedział Ilse Lubin. A później dodał: – Widziałem ją wprawdzie tylko przez dziurę w prześcieradle i to na raty; ale przysięgam, że jej pupa rumieni się ze wstydu.

– Muszą tu chyba coś rozpylać w powietrzu – stwierdziła Ilse.

– Nasim, dostałem tę pracę – oznajmił rozradowany Aadam.

– Dziś przyszedł list. Mogę zaczynać od kwietnia tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku. Twój ojciec twierdzi, że znajdzie nabywcę na mój dom i na sklep z kamieniami szlachetnymi.

– To świetnie! – nadeła się Nasim. – Czyli muszę sobie znaleźć nowego doktora. Albo ściągnę tu znów tę starą wiedźmę, która nie ma o niczym zielonego pojęcia.

– Ponieważ jestem sierotą – zagał doktor Aziz – muszę wystąpić sam zamiast członków rodziny. Po raz pierwszy przychodzę, Ghani sahib, bez wezwania. Nie będzie to jednak wizyta lekarska.

– Drogi chłopcze! – Ghani poklepał Aadama po plecach. – Oczywiście, żeń się z nią. Dam ci wiano prima sort, że palce lizać! Nie będę szczędził wydatków! A niech to, urządzą weselisko, co się zowie!

– Nie mógłbym cię tak zostawić i wyjechać – Aziz oświadczył Nasim.

A Ghani zarządził:

– Dość tych korowodów! Nie ma co przeciągać tej błazenady z prześcieradłem! Opuśćcie je, kobiety, toż to przecież para zakochanych!

– Nareszcie – powiedział Aadam Aziz – widzę cię całą. Ale muszę już iść. Czeka mnie obchód... a jest też u mnie dawna znajoma, muszę jej oznajmić nowinę, na pewno się ucieszy. To moja dobra znajoma z Niemiec.

– Nie, Aadam baba – powiedział jego sługa – nie widziałem Ilse begam od rana. Wynajęła starego Taiego, żeby się przejechać śikarą.

– Co tu gadać, mój panie? – wymamrotał pokornie Tai. – Czuję się zaszczycony, że mnie wezwano do domu tak wielkiej osobistości. Panie, ta dama wynajęła mnie na przejażdżkę do ogrodów mogolskich, zanim jezioro zamarznie. Milcząca pani, doktorze sahibie, przez całą drogę ani jednego słowa. No to się zadumałem nad swoimi nieważnymi sprawami, jak to starzy głupcy, aż tu patrzę, a jej nie ma na siedzeniu. Sahibie, przysięgam na głowę swojej

ślubnej, zza oparcia nic nie widać, skąd niby miałem wiedzieć? Proszę uwierzyć biednemu staremu przewoźnikowi, który był waszym przyjacielem, kiedy byliście młodzi...

– Aadam, baba – wtrącił stary sługa – przepraszam, bo właśnie znalazłem ten papier na jej stole.

– Wiem, gdzie ona jest – doktor Aziz wpatrywał się w Taiego. – Nie mam pojęcia, jak to się dzieje, że wciąż się mieszasz w moje życie, ale kiedyś mi pokazałeś to miejsce. Powiedziałeś: niektóre cudzoziemki przyjeżdżają się tu utopić.

– Ja, sahibie? – Tai wstrząśnięty, cuchnący, niewinny. – To tylko żałość płata waszej głowie figle! Skąd ja bym miał wiedzieć takie rzeczy?

A kiedy grupa przewoźników, o bladych twarzach bez wyrazu, wyłowiła nabrzmiałe, owinięte wodorostami ciało, Tai wybrał się na przystań śikar i powiedział zebrany tam mężczyznom, którzy odsuwali się ze wstrętem od jego zapachu, zapachu wołu dotkniętego dyzenterią:

– Wyobraźcie sobie, że on wini mnie! Sprowadza tu jakieś rozwiązłe Europejki i potem mi wmawia, że to moja wina, jak skaczą do jeziora!... No to ja się pytam, skąd on wiedział, gdzie szukać? Jego zapytajcie, zapytajcie tego nakku Aziza!

Zostawiła list z jednym zdaniem: „Nie chciałam”.

Nie komentuję; niech inni osądzą te zdarzenia, które wyskoczyły mi z ust byle jak, zniekształcone pośpiechem i afektem. Ograniczę się więc do faktów i powiem, że podczas długiej, srogiej zimy na przełomie lat 1918/19 Tai zachorował, złapawszy groźną odmianę choroby skórnej, pokrewną europejskim skrofułom zwanym „królewską żołą”; ale nie chciał się udać do doktora Aziza i leczył się u miejscowego homeopaty. W marcu zaś, kiedy jezioro odtajało, pod wielkim namiotem na podwórku domu właściciela ziemskiego, Ghaniego, odbyło się wesele. Kontrakt ślubny zapewniał Aadamowi Azizowi godziwą sumę pieniędzy, przeznaczoną na zakup domu w Agrze, nadto Aadam dostał w posagu na własne specjalne życzenie pewne uszkodzone prześcieradło. Państwo młodzi siedzieli na podium, spowici girlandami i zziębnięci, a przed nimi przeciągał sznur gości sypiąc im rupie na podołki. Wieczorem mój dziadek podścielił owo przedziurawione prześcieradło sobie i swojej oblubienicy, a rano ozdobiły je trzy krople krwi, tworząc niewielki trójkąt. Z rana wystawiono prześcieradło na widok publiczny; po ceremonii konsumacji zajechała limuzyna wynajęta przez właściciela ziemskiego, ażeby zawieźć moich dziadków do Amritsaru, gdzie mieli wsiąść do pociągu Frontier Mail. Góry tłoczyły się ciasno i gapiły na ostatni wyjazd mojego dziadka z domu. (Miał jeszcze raz wrócić, ale już nigdy nie miał wyjeżdżać.) Azizowi zdawało się, że widzi wiekowego przewoźnika, jak obserwuje z brzegu ich odjazd – ale pewno się mylił, gdyż Tai był chory. Świątynia, wyprysk na szczycie Śankaraćarji, którą muzułmanie nazywali Tacht-i-Sulejman, czyli Tronem Salomona, nie zwracała na nich uwagi. Wokół falowały ogołoczone zimą topole i ośnieżone pola szafranu, samochód jechał na południe, wiózł w bagażniku stary skórzany neseser, zawierający między innymi stetoskop i prześcieradło. Doktor Aziz czuł w dołku coś w rodzaju nieważkości.

Albo spadania.

(... A teraz obsadzono mnie w roli ducha. Mam dziewięć lat. Cała rodzina – ojciec, matka, Mosiężna Małpka i ja – bawimy z wizytą u dziadków w Agrze, gdzie wnuki – w tym i ja – wystawiają tradycyjną szopkę noworoczną; mnie obsadzono w roli ducha. Nic więc dziwnego, że – cichaczem, aby nie zdradzać tajemnic planowanego widowiska – przetrząsam dom w poszukiwaniu widmowego przebrania. Dziadek jest na obchodzie. Myszkuje po jego pokoju. I oto znajduję na szafie stary kufer, pokryty kurzem i pająkami, ale nie zamknięty. A

w nim odpowiedź na moje modły. Nie tylko prześcieradło, ale w dodatku z wyciętą już dziurą! Leży sobie niby nic w skórzanym neseserze na dnie kufra, tuż pod starym stetoskopem i tubką zapleśniałego inhalatora firmy Vick... zjawienie się tegoż prześcieradła w naszym spektaklu wywołało nie lada sensację. Dziadek ledwo spojrział, zerwał się z krzykiem na równe nogi. Wpadł na scenę i przy wszystkich odarł mnie z mojej widmowości. Babka tak zacięła usta, że prawie znikły. We dwoje – jedno grząc na mnie głosem zapomnianego przewoźnika, drugie wyrażając swą furię zanikiem warg – zdołali przemienić groźnego ducha w rozslochany wrak. Skoczyłem, wziąłem nogi za pas i uciekłem na poletko kukurydzy, nie wiedząc, co się stało. Siedziałem tam – może w tym samym miejscu, w którym siedział dawniej Nadir Chan! – dobrych kilka godzin, przysięgając sobie po wielokroć, że już nigdy nie tknę zakazanego kufra, rozżalony poniekąd, że od początku nie był zamknięty. Ale z ich oburzenia domyśliłem się, że to prześcieradło było naprawdę bardzo ważne.)

Przerwała mi Padma, która przyniosła kolację, ale jej nie podała, szantażując mnie:

– Skoro masz sobie tyle czasu psuć oczy nad tymi gryzmołami, musisz mi to przynajmniej przeczytać. – Wprawdzie kiszki mi marsza grają, ale może Padma się przyda, bo trudno ją powstrzymać od krytykowania. Szczególnie złości ją moje uwagi na temat jej imienia. – Co ty możesz wiedzieć, mieszcuchu? – wykrzykuje, siekąc ręką powietrze. – W mojej wiosce imię na cześć bogini Łajna nijak nie hańbi. Napisz mi tu zaraz, że się z gruntu omyliłeś. – Zgodnie więc z życzeniem mojego lotosu załączam niniejszym krótki pean na cześć Łajna.

Łajno, które użyźnia glebę i wspomaga plon! Łajno, z którego ugniata się cienkie placki podobne do ćapati, kiedy jest jeszcze świeże i wilgotne, po czym sprzedaje się wiejskim budowniczym, a ci obkładają nimi i wzmacniają ściany domów kaćca wznoszonych z gliny! Łajno, którego pochodzenie z zadniej strony bydła tak dalece tłumaczy jego boski i święty status! Och, jakże się myliłem; przyznaję się do własnego uprzedzenia spowodowanego najpewniej tym nieszczęsnym smrodem, który podrażnił mój wrażliwy nos – jak cudownie, doprawdy jak wspaniale musi się czuć osoba nazwana imieniem Szafarki Łajna!

...6 kwietnia 1919 roku w świętym mieście Amritsar unosił się zapach (prześliczny, Padmo, niebiański!) ekskrementów. Może zresztą ten (zachwycający!) fetor nie drażnił Nosa na twarzy mego dziadka; w końcu chłopci kaszmirscy używali ich, jak już wspominałem, zamiast tynku. Nawet w Śrinagarze przekupnie z wózkami straganiarskimi pełnymi okrągłych placków z łajna stanowili częsty widok. Tyle że wówczas było już podsuszone, wydalone, przydatne. Łajno zaś w Amritsarze było świeże i (co gorsza) zbędne. Nie pochodziło też wyłącznie od wołów. Było produktem zadów końskich spomiędzy dyszli licznych miejskich tong, ikk i gari; obok muły, ludzie i psy załatwiali potrzeby naturalne, łącząc się w braterstwie gówna. Trzeba przyznać, że krowy też tam były: święta trzódka wędrowała zakurczonymi ulicami, a każda sztuka obchodziła własny rewir, wyznaczając fekaliami granice swojego terytorium. No i te muchy! Wróg Publiczny Numer Jeden, pobzykiwały radośnie między jedną parującą kupą a drugą, celebując i krzyżowo zapyłając różne gatunki tych darmowych darów. Miasto także się roiło, odzwierciedlając ruch owych insektów. Doktor Aziz wyjrzał właśnie przez okno hotelowe i zobaczył przechodzącego dżinistę w muślinowej masce na twarzy, który miotełką z gałązki zamiatął przed sobą chodnik, żeby przypadkiem nie nadepnąć mrówki ani muchy. Z ulicznego wózka pełnego przysmaków unosiła się słodkawa korzenna woń. „Gorące pakory, pakory gorące!” W sklepiku po przeciwnej stronie ulicy biała kobieta kupowała jedwabie, gapiła się na nią grupa mężczyzn w turbanach. Nasim – teraz już Nasim Aziz – cierpiała na silny ból głowy; po raz pierwszy powtórzyła się u niej jakaś

przypadłość, gdyż wyjazd ze spokojnej rodzinnej doliny przeżyła właściwie jako wstrząs. Dżban świeżej limonady przy jej łóżku szybko się opróżnił. Aziz stał przy oknie i wdychał zapachy miasta. Iglica Złotej Świątyni lśniła w słońcu. Ale swędziało go nos: widocznie coś tu było nie w porządku.

Zbliżenie prawej dłoni mojego dziadka: paznokcie kłykcie palce jak gdyby większe, niżby się można spodziewać. Na wierzchu, po bokach kępki rudych włosów. Kciuk i palec wskazujący zetknięte razem, przedzielone tylko grubością papieru. Jednym słowem: dziadek trzymał odezwę. Wetknięto mu ją w rękę (przechodzimy na długie ujęcie – każdy człowiek rodem z Bombaju musi znać bodaj podstawowy żargon filmowy), kiedy wchodził do hotelowego foyer. Ulicznik pryska obrotowymi drzwiami, w ślad za nim rozsypują się ulotki – to ćaprasie rzuca się w pogoń. Szalone ewolucje w drzwiach, które krząkrząkrząkrzą; teraz z kolei ręka ćaprasiego wymaga zbliżenia, bo przyciska kciuk do palca wskazującego, oddzielone jedynie grubością ucha ulicznika. Wyplewienie młodocianego siewcy rynsztokowej propagandy, ale mój dziadek zdołał zachować kartkę z hasłem. Teraz, wyglądając przez okno, widzi je powielone na ścianie z przeciwka, a i tam, na minarecie meczetu, i jeszcze wielkimi czarnymi gazetowymi literami pod pachą straganiarza. Ulotka gazeta meczet i ściana wołają jedno: Hartal! Czyli dosłownie: dzień żałoby, bezruchu, milczenia. Ale przecież to Indie z czasów świetności Mahatmy, gdzie nawet język stosuje się do zaleceń Gandhiego, zatem i to słowo nabiera pod jego wpływem nowego wydźwięku. Hartal – 7 kwietnia, krzyczą zgodnie meczet gazeta ściana i odezwa, bo Gandhidźi zarządził, że tego dnia całe Indie mają stanąć. Aby pokojowo obchodzić żałobę w związku z przedłużającą się obecnością Anglików. – Nie rozumiem tego całego hartalu, skoro nikt nie umarł – popłakuje cicho Nasim. – Dlaczego pociągi nie jeżdżą? Jak długo będziemy tu sterczeć?

Doktor Aziz dostrzega na ulicy młodego żołnierza i rozmyśla: Hindusi walczyli na rzecz Anglików, tyłu ich zakosztowało świata i przesiąknęło Zagranicą. Nie wrócą tak łatwo do starego świata. Mylą się Anglicy, usiłując odwrócić bieg wskazówek zegara.

– Wydanie ustawy Rowlatta było błędem – mruczy pod nosem.

– Jakiego znowu rowlatta? – szlocha Nasim. – Na mój rozum to jedna wielka bzdura.

– Wzbraniającej ruchów politycznych – tłumaczy Aziz i wraca do swoich myśli. Tai kiedyś mu powiedział: „Kaszmirczycy są inni. Na przykład są tchórzami. Daj takiemu broń do ręki, a w życiu nie strzeli, chyba że karabin wypali sam, bo Kaszmirczyk nie odważy się pociągnąć za spust. Nie jesteśmy tacy jak Hindusi, co to wiecznie wojują.” Aziz, nabiwszy sobie głowę Taim, nie czuje się Hindusem. Ścisłe rzecz biorąc, Kaszmir nie należy przecież do Imperium, stanowi niezależne księstwo. Doktor nie ma pewności, czy hartal z odezwy meczetu ściany gazety to jego walka, chociaż sam znajduje się akurat na okupowanym terenie. Odwraca się od okna...

...I widzi Nasim chlipiącą w poduszkę. Płacze tak bez przerwy, odkąd drugiej nocy po ślubie poprosił, żeby się trochę ruszała.

– Gdzie mam się ruszać? – spytała. – Jak mam się ruszać?

Zbiło go to z tropu.

– No, ruszaj się trochę, wiesz, jak kobieta...

Aż wrzasnęła z przerażenia:

– Boże mój, kogo ja sobie wzięłam za męża? Już ja was znam, tych świeżo z Europy. Poznacie tam nieobyczajne kobiety, a potem chcecie nas przerobić na ich modłę! Wiedz jedno, doktorze sahibie, mąż nie mąż, nie jestem żadną taką... byle jaką kobietą.

Dziadek nigdy nie wygrał tej batalii, która nadała ton ich małżeństwu. Przemieniło się ono szybko w arenę częstych, wyniszczających działań wojennych, wskutek których młoda dziewczyna z za prześcieradła i nietaktowny młody doktor przedzierzgnęli się raptownie w dwoje obcych ludzi...

– I co teraz, żono? – pyta Aziz. Nasim wtula twarz w poduszkę.

– Czego jeszcze chcesz? – pyta stłumionym głosem. – Co jeszcze wymyślisz? I tak już żądasz, żebym chodziła nago przed obcymi mężczyznami.

(Kazał jej zrzucić parde.)

– Koszula zasłania cię od szyi aż po przeguby rąk i kolana. Pantalony sięgają ci do kostek. Zostają tylko stopy i twarz. Żono, czy twoja twarz i stopy są nieskromne?

Ale Nasim zanoszą się szlochom:

– Zobaczą dużo więcej! Zobaczą moją głęboką, najgłębszą hańbę! A teraz zdarzenie, które przenosi nas w świat merkurochromu...

Aziz czując, jak puszczają mu nerwy, wywleka z walizki żony wszystkie jej pardy, ciska je do blaszanego pojemnika na śmieci z wymalowaną na boku podobizną guru Nanaka i podpala. Ku jego zaskoczeniu buchają płomienie, zasłony zajmują się ogniem. Aadam rzuca się do drzwi, wzywa pomocy, tandetne zasłony stają w ogniu... do pokoju wpadają posługacze gości hotelowi praczki i biją gorejącą tkaninę ścierkami do kurzu ręcznikami brudną bielizną innych ludzi. Przynoszą wiadra; pożar zostaje ugaszony; Nasim kuli się na łóżku, a obok ze trzydziestu pięciu sikhów, hindusów i niedotykalnych tłoczy się w zadymionym pokoju. W końcu wszyscy wychodzą, a Nasim zdobywa się na dwa zdania, nim zaciśnie usta w uporczywym milczeniu.

– Jesteś szalony. Dolej mi jeszcze limonady.

Dziadek otwiera okna, zwraca się do młodej małżonki:

– Dym nie od razu wyleci. Idę na spacer, przejdiesz się ze mną?

Wargi zaciśnięte; oczy zamknięte; głowa jednym gwałtownym ruchem wyraża „nie”; dziadek sam wychodzi na ulicę. Na odchodnym rzuca przymówkę:

– Raz na zawsze przestań być porządną kaszmirską dziewczyną. Zastanów się, jak zostać współczesną hinduską kobietą.

... Tymczasem na terenie dzielnicy garnizonowej w głównej kwaterze wojsk brytyjskich niejaki generał R.E.Dyer pomaduje sobie wąsy.

Jest 7 kwietnia 1919 roku, w Amritsarze wielki plan Mahatmy ulega zakłóceniu. Sklepy nieczynne; dworzec kolejowy zamknięty; ale wdzierają się do nich wzburzone tłumy. Doktor Aziz z skórzanym neseserem w ręku kręci się po ulicach, niosąc pomoc gdzie się tylko da. Stratowane ciała leżą porzucone tam, gdzie upadły. Bandażuje rany, polewając je obficie merkurochromem, po którym wyglądają jeszcze bardziej krwawo, ale przynajmniej są zdezynfekowane. Wreszcie wraca do pokoju hotelowego, w ubraniu umazanym na czerwono, i Nasim wpada w panikę:

– Czekaj no, zaraz ci pomogę, pomogę ci. O, Allah, że też mi się trafił mąż, co to łązi po rynsztokach i bije się z gundami. – Przypada do niego z tamponami waty zwilżonymi wodą. – Nie rozumiem, czemu nie możesz być szanującym się jak inni ludzie doktorem i leczyć tylko ważne choroby? O mój Boże, cały jesteś we krwi! Siedź, siedź spokojnie, muszę ci choćby przemyć rany!

– To nie krew, żono.

– Myślisz, że jestem ślepa na oczy? Dlaczego zaraz robisz ze mnie idiotkę, nawet kiedy jesteś ranny? To już żona nie może cię nawet opatrzyć?

– Nasim, to merkurochrom. Czerwone lekarstwo.

Nasim – która rzuciła się w wir działalności, schwyciła ubranie, odkręciła krany – zamiera.

– Umyślnie to robisz – odparowuje – żebym wyszła na idiotkę. Ale nie jestem głupia.

Przeczytałam w życiu kilka książek.

Jest 13 kwietnia, a oni nadal tkwią w Amritsarze.

– To jeszcze nie koniec – Aadam Aziz oświadczył Nasim. – Zrozum, nie możemy teraz wyjechać, mogą znów potrzebować lekarzy.

– Czyli mamy tu sterczeć i czekać do końca świata?

Poskrobał się w nos.

– Niestety, chyba krócej.

Tego dnia ulice wypełniły się ludźmi, wszyscy zmierzają w jednym kierunku, protestując przeciwko nowemu regulaminowi stanu wojennego narzuconemu przez Dyera.

Aadam poucza Nasim:

– Pewno szykują wiec. Wojsko nie puści tego płazem. Zabroniono urządzać wieców.

– Po co ty się tam pchasz? Czemu nie zaczekasz, aż cię wezwą?...

Dziedzińcem zgromadzeń może być wszystko, od pustego pola aż po park. Największy dziedziniec w Amritsarze nazywa się Dżalijanwala Bagh. Nie rośnie na nim trawa. Wszędzie poniewierają się kamienie puszki szkło rozmaite śmiecie. Aby się tam dostać, trzeba przejść wąziutkim zaułkiem między dwoma budynkami. 13 kwietnia wiele tysięcy Hindusów przepycha się przez ten zaułek.

– To pokojowa demonstracja – ktoś objaśnia doktora Aziza.

Zagarnięty przez tłum, dochodzi do samego zaułka. W prawej ręce trzyma neseser z Heidelbergu. (Zbliżenie jest tu zbędne.) Wiem, że ma stracha, bo nos go swędzi bardziej niż kiedykolwiek; ale jest wykształconym lekarzem, odsuwa złe przeczucia, wchodzi na dziedziniec. Ktoś wygłasza żarliwą mowę. Straganiarze przeciskają się przez tłum, sprzedają ćanę i rozmaite słodkości. W powietrzu kłęby kurzu. Dziadek rozgląda się – nigdzie nie widać chuliganów ani wichrzycieli. Grupa sikhów rozłożyła na ziemi matę i rozsiadła się przy jedzeniu. W powietrzu nadal czuć zapach nawozu. Aziz dociera w samo serce tłumy, kiedy u wylotu zaułka zjawia się generał R.E. Dyer, a za nim pięćdziesięciu doborowych żołnierzy. Jest komisarzem wojskowym na miasto Amritsar – bądź co bądź ważna figura; wypomadowane końce wąsów sterczą w całej powadze. Pięćdziesięciu jeden wojskowych wkracza na dziedziniec i zajmuje pozycje, dwudziestu pięciu po prawicy Dyera, dwudziestu pięciu po jego lewej. Aadam Aziz odrywa uwagę od wypadków rozgrywających się wokół, gdyż łaskotanie staje się wprost nie do zniesienia. W chwili gdy generał Dyer wydaje rozkaz, kichnięcie wali dziadka prosto w twarz. „Aaaaa-psik!” kicha, traci równowagę i pada jak długi w ślad za swoim nosem, ratując w ten sposób życie. Wraz z nim leci jego daktari-attache, rozsypują się flakoniki, mazidla, strzykawki. Gmera rozpaczliwie pod nogami ludzi, usiłując ocalić sprzęt, zanim go zdepczą. Rozlega się szczęk przypominający dzwonienie zębów na zimnie i ktoś na niego pada. Czerwona ciecz plami mu koszulę. Rozlegają się krzyki i jęki, a dziwny szczęk nie milknie. Coraz więcej ludzi potyka się o dziadka i na niego pada. Zaczyna się bać o własne plecy. Zamek neseseru wżyna mu się w piersi, zostawiając dotkliwy, tajemniczy siniec, który nie zniknie aż do jego śmierci wiele lat później na wzgórzu Sankaraćarji, czyli Tacht-i-Sulejman. Nos ma wciśnięty w fiolkę czerwonych pigułek. Szczęk ustaje, słychać tylko głosy ludzi i ptaków. Nie dochodzi żaden odgłos ruchu ulicznego. Pięćdziesięciu podkomendnych generała Dyera opuszcza karabiny i odchodzi. Wystrzelili w sumie tysiąc sześćset pięćdziesiąt naboju do nie uzbrojonego tłumy. Z czego tysiąc pięćset

szesnaście trafiło do celu, zabijając bądź raniąc.

– Dobra robota, chłopcy – chwali Dyer swoich ludzi. – Świetnie się spisaliśmy.

* * *

Kiedy wieczorem dziadek wrócił do domu, moja babka starała się ze wszelkich miar zachować jak współczesna kobieta, żeby mu wreszcie dogodzić; toteż nawet nie drgnęła na jego widok.

– Widzę, że znów się oblałeś merkurochromem, ty niezdaro – przywitała go polubownie.

– To krew – odparł dziadek, a babka zemdlała. Kiedy ją docucił solą trzeźwiącą, spytała:

– Jesteś ranny?

– Nie.

– Skąd ty, na miłość boską, wracasz?

– Znikąd – odparł i zaczął dygotać w jej ramionach.

Przyznam, że i mnie zaczęła drżeć ręka; nie tyle ze względu na temat, ile dlatego, że na przegubie pod naskórkiem zauważyłem drobne pęknięcie grubości włosa... Mniejsza o to. Wszyscy winniśmy śmierci życia. Zakończę więc nie potwierdzoną pogłoską, że przewoźnik Tai, który niedługo po wyjeździe dziadka z Kaszmiru wyszedł ze skrofulozy, dożył aż roku 1947, kiedy to (jak głosi wieść) rozsierzdził się na walkę między Indiami a Pakistanem o jego dolinę i udał się pieszo do Chambu z wyraźnym zamiarem stanięcia między siłami przeciwników i powiedzenia im, co o nich myśli. Kaszmir dla Kaszmirczyków: tak brzmiała jego dewiza. Padł, rzecz jasna, od kuli. Zapewne Oskar Lubin przyjąłby z uznaniem ten jego próżny gest; R.E. Dyer mógłby pochwalić umiejętności strzeleckie morderców.

Muszę iść do łóżka. Padma już czeka; a mnie się przyda trochę ciepła.

Plucie-do-celu

Proszę mi wierzyć, rozpadam się.

Wcale nie mówię tego w przenośni ani nie jest to gambit otwierający melodramatyczne, okrężne, pożałowania godne błaganie o litość. Po prostu stwierdzam, że zaczynam pękać jak stary dzban – moje biedne ciało, jedyne w swoim rodzaju, nieurodziwe, sponiewierane przez natłok historii, poddane drenażowi z góry i z dołu, okaleczone drzwiami, spluwaczkami w-ciemie-bite jęło rozłazić się w szwach. Krótko mówiąc, dosłownie się rozpadam, na razie powoli, chociaż widać już oznaki przyspieszania tego procesu. Proszę tylko o jedno: musisz się pogodzić (tak jak ja się godzę) z faktem, iż w końcu się rozprysnę na (około) sześćset trzydzieści milionów drobin anonimowego, skazanego na niepamięć prochu. Nim więc zapomnę, postanowiłem przelać wszystko na papier. (Stanowimy naród, który łatwo zapomina.)

Zdarzają się chwile strachu, lecz szybko mijają. Lęk niczym puszczający bańki zwierz morski wychyla łeb, żeby zaczerpnąć tchu, kłębi się na powierzchni, w końcu jednak daje znów nura w odmęty. Przede wszystkim muszę zachować zimną krew. Żuję betel i odpływam do tandetnej mosiężnej miski, oddając się prastarej grze w plucie-do-celu – jest to zabawa Nadira Chana, który nauczył się jej od starców z Agry... dzisiaj można kupić nawet taką pan-rakietę, która poza czerwieniącym dziąsła mięszem orzechów betelowych zawiera spowitą w liść ulgę w postaci kokainy. Ale to już byłoby oszustwo.

... Te oto arkusze papieru zalatują łatwo rozpoznawalnym zapachem ćatni. Nie będę zatem dłużej taił: ja, Salim Sinai, posiadacz najwrażliwszego organu węchowego w dziejach ludzkości, oddaję się w swoich ostatnich dniach przyrządzaniu kondymentów na wielką skalę. „Co? – może się ktoś zachnąć z trwogą. – Kucharz? Zwykły chansama? Jakże to?” Przyznaję, że takie połączenie zdolności kulinarnych i językowych trafia się nader rzadko, ale mnie się trafiło. Wprawia cię to w zdumienie; proszę jednak zrozumieć, że nie jestem byle kucharzyną, co to zarabia dwieście rupii miesięcznie, tylko szefem własnej kuchni; pitraszę pod migoczącym szafranowozielonym okiem mojej prywatnej neonowej bogini. Moje ćatni i kasaundi licują, a jakże, z moimi nocnymi gryzmołami – we dnie przy kotłach marynaty, w nocy zaś nad tymi kartami poświęcam się bez przerwy wielkiej sztuce konserwacji przetworów. Chronię pamięć, tak jak i owoce, przed dewastacyjną siłą zegarów.

Tu jednak nieodstępna Padma zagania mnie z powrotem do świata narracji linearnej, do wszechświata „i-co-dalej”.

– W takim tempie – utyskuje – stuknie ci dwieście lat, zanim w ogóle dojdiesz do własnych narodzin.

Sili się na obojętność, rzucając od niechcienia docinek pod moim adresem, ale mnie nie oszuka. Już widzę, mimo jej wszelkich protestów, że połknęła haczyk. Nie ma co: moja opowieść chwyciła ją za gardło, toteż Padma przestała naraz gderać, żebym wracał do domu, częściej się kąpał, zmieniał powalane octem ubranie, bodaj na chwilę opuścił tę mroczną fabrykę marynat, gdzie woń korzeni wiecznie kipi w powietrzu... teraz moja bogini łąjna zwyczajnie ściele mi wyrko w kącie tego kantoru i szykuje jedzenie na dwóch osmalonych płytach gazowych, przerywając moją oświetloną lampą kreślarską pisaninę tylko wtedy, gdy chce mi zrobić wymówkę:

– Przyspiesz no trochę, bo inaczej umrzesz, zanim się urodzisz.

Zwalczając w sobie dumę właściwą bajarzom z prawdziwego zdarzenia, usiłuję ją oświecić.

– Rzeczy, a nawet ludzie, mają tendencję do przenikania się nawzajem – wyjaśniam – podobnie jak różne smaki przy gotowaniu. Na przykład stary Aadam przesiąknął samobójstwem Ilse Lubin, które rozlało się w nim kałużą, dopóki nie zobaczył Boga. Tak samo we mnie wsączyla się przeszłość – peroruję z przejęciem – ... nie można jej więc lekceważyć...

Padma zbija mnie z tropu wzruszeniem ramion, od którego nader przyjemnie faluje jej biust. – Trzeba mieć źle w głowie, żeby tak opowiadać własne życie – woła. – Nie możesz nawet dojść do tego, jak twój ojciec poznał twoją matkę.

... No i oczywiście przesiąkam cały Padmą. Kiedy historia wylewa się z mojego splekanego ciała, wsączca się w nie mój lotos, ze swą przyziemnością, zaskakującymi przesądami, paradoksalnym umiłowaniem fantazji – dobrze się więc składa, że mam w zanadrzu opowieść o śmierci Mijana Abdullaha, skazanego na zagładę Kolibra: legendy naszych czasów.

... No i Padma jest kobietą wielkoduszną, bo czuwa przy mnie w tych moich ostatnich dniach, chociaż nie bardzo mam jej czym odpłacić. Właśnie – i znów wypada o tym wspomnieć, zanim podejmę opowieść o Nadirze Chanie – jestem pozbawiony męskości. Mimo licznych, najróżniejszych wysiłków i zabiegów Padmy, nie potrafię się w nią przelać, nawet gdy kładzie lewą stopę na mojej prawej stopie, oplata mnie prawą nogą w pasie, przytula głowę do mojej i czule grucha; nawet wtedy, gdy szepcze mi do ucha: – Skoro skończyłeś na dziś z pisarstwem, zobaczymy, jak się sprawuje ten twój drugi ołówek! – mimo wszelkich starań Padmy nie mogę trafić do jej celu.

Dość tych wynurzeń. Robiąc ukłon w stronę nieustępliwych nacisków Padmy z serii „i-co-dalej”, a także pomny na skończoną ilość czasu, jaki mam do dyspozycji, przeskakuję od merkurochromu i ląduję w roku 1942. (Zresztą też już chciałbym połączyć swoich rodziców.)

U schyłku lata owego roku mój dziadek, doktor Aadam Aziz, nabawił się wielce groźnej odmiany optymizmu. Jeżdżąc po Agrze rowerem, gwizdał przenikliwie, fałszywie, ale raźnie. Nie był w tym odosobniony, bo mimo natężonych wysiłków władz, nie udało się stłumić epidemii, która ogarniała wówczas całe Indie. Dopiero seria drastycznych kroków zdołała ją opanować. Starcy spod kramiku z pan-rakietami u wylotu Cornwallis Road żuli betel i węszyli w tym jakąś sztuczkę.

– Żyję dwa razy dłużej niż powinienem – rzekł najstarszy, a głos mu skrzeczał jak stare radio, bo w jego strunach głosowych ocierało się o siebie wiele dziesiątków lat – i nigdy nie widziałem tylu rozradowanych ludzi naraz w taki zły czas. To sprawka szatana.

Był to zaiste bardzo żywotny bakcyl – już sama pogoda powinna była zapobiec rozmnażaniu się tych bakterii, gdyż najwyraźniej deszcze zawiodły. Ziemia pękała. Kurz zżerał pobocza dróg, a w niektóre dni pośrodku tłuczniowych skrzyżowań ziały wielkie szczeliny. Przeżuwacze betelu spod kramiku z pan-rakietami wszczęli rozmowy o omenach; uspokajali się zabawą w plucie do spluwaczki i spekulowali na temat niezliczonych Bógwiejakich znaków, które zaczną się teraz dobywać ze szpar w ziemi. Ponoć w popołudniowym skwarze jakimś sikhowi z warsztatu naprawy rowerów aż zleciał turban, kiedy mu raptem włosy bez powodu stanęły na głowie. A mówiąc bardziej prozaicznie, niedostatek wody osiągnął takie rozmiary, że nawet mleczarze nie mogli zdobyć czystej wody do podrabiania mleka... W oddali znów się toczyła wojna światowa. Zważywszy

okoliczności, starcy spod kramiku z betelem uznali pogwizdywanie doktora Aziza za nietakt z jego strony.

(A ja, za ich przykładem, spluwam i wznoszę się ponad pęknięcia.)

Dziadek zaś siedział na rowerze, skórzany neseser miał przytroczony do bagażnika, i gwizdał. Mimo łaskotania w nosie wydymał wargi. Mimo sińca na piersi, który nie chciał ustąpić przez dwadzieścia trzy lata, nie opuszczał go dobry humor. Z ust dobywało się powietrze przekształcane w dźwięk. Gwizdał starą niemiecką melodię: *Tannenbaum*.

Epidemię optymizmu wywołał jeden jedyny człowiek, którego tylko w gazetach określano pełnym imieniem i nazwiskiem, Mijan Abdullah; wszyscy inni nazywali go Kolibrem, mianem stworzenia, w które niepodobna uwierzyć, gdyby nie istniało naprawdę. „Kuglarz przedzierzgnięty w sztukmistrza – napisał o nim dziennikarz – Mijan Abdullah, wywodzący się ze słynnego getta kuglarzy w Delhi, rozbudził nadzieje stu milionów indyjskich muzułmanów.” Koliber był twórcą, przewodniczącym, zjednoczycielem i spiritus moves Zgromadzenia Wolnego Islamu; w roku 1942 na majdanie w Agrze wzniesiono namioty i trybuny, bo miało się tam odbyć drugie doroczne walne zebranie Zgromadzenia. Mój dziadek, wówczas pięćdziesięciodwuletni, posiwiwały od upływu czasu i innych strapień, przejeżdżając obok placu zaczął gwizdać. Pochylał się nad kierownicą na zakrętach, dziarsko je pokonywał, lawirował wśród krowich placków i dzieci... a gdzie indziej i kiedy indziej oświadczył swojej znajomej, rani Kuch Nahin:

– Zaczynałem jako Kaszmirczyk i to nawet nie muzułmanin. Potem ten siniec na piersi zrobił ze mnie Hindusa. Nadal nie czuję się właściwie mahometaninem, ale z całego serca popieram Abdullaha. Jego walka jest moją walką.

W jego oczach nadal się czaił błękit kaszmirskiego nieba... dziadek wrócił do domu, ale chociaż oczy zachowały błysk radości, gwizd ustał, bo na podwórku pełnym złowrogich gęsi czekały już karcące rysy mojej babki, Nasim Aziz, które niegdyś przez omyłkę pokochał na raty, a które zespoliły się i przeistoczyły w groźną postać, jaką na zawsze pozostała, zyskując sobie dziwaczne miano Czcigodnej Matki.

Przedwcześnie się zestarzała, roztyła, na jej twarzy wykwitły dwie wielkie brodawki niczym sutki czarownicy; mieszkała w niewidzialnej twierdzy własnej konstrukcji, opancerzonej cytadeli tradycji i niewzruszonych przekonań. Jakiś czas przedtem Aadam Aziz zamówił naturalnej wielkości fotogramy całej rodziny, które chciał powiesić w salonie; trzy dziewczynki i dwóch chłopców grzecznie pozowało do zdjęcia, lecz kiedy przyszła kolej Czcigodnej Matki, ta podniosła sprzeciw. Wreszcie fotografowi udało się ją cyknąć bez jej wiedzy, tyle że babka złapała aparat i rozwaliła mu go na głowie. Artysta na szczęście wyżył, ale na całej kuli ziemskiej nie uświadczysz ani jednego zdjęcia mojej babki. Nie dała się uwieźć w czyjejs czarnej skrzynce, co to, to nie. Dość jej było życia bezwstydnicy z odsłoniętą, obnażoną twarzą, żeby się miała zgodzić na uwiecznienie tego faktu.

Właśnie ta przymusowa golizna oblicza w połączeniu z ustawicznymi prośbami Aziza, żeby babka się pod nim ruszała, przywiodła ją zapewne na barykady; ustanowiony zaś przez nią domowy regulamin stanowił tak hermetyczny system obronny, iż Aziz po wielu bezowocnych próbach zaniechał na dobrą sprawę szturmowania jej licznych rawelinów i bastionów, pozwalając jej, niczym wielkiemu kontentemu pająkowi, rządzić na wytyczonym przez siebie terenie. (Może to zresztą nie był system samoobrony, lecz mechanizm obrony przed samą sobą.)

Pośród wielu innych rzeczy nie dopuszczała do siebie żadnych kwestii politycznych. Kiedy doktor Aziz miał ochotę porozmawiać na takie tematy, odwiedzał znajomą rani, a Czcigodna

Matka dąsała się, chociaż nie zanadto, bo wiedziała, że te wizyty świadczą o jej zwycięstwie.

Kuchnia i spiżarnia stanowiły bliźniacze serca jej królestwa. Ani razu nie przestąpiłem progu kuchni, ale pamiętam, jak podglądałem przez zaryglowane, okratowane drzwi spiżarni jej tajemniczy świat, świat wiszących plecionych koszy zakrytych przed muchami lnianym płótnem, puszek pełnych guru i innych słodkości, zamkniętych szafek opatrzonych równiutkimi, kwadratowymi nalepkami, zawierających orzechy, rzepę, worki ziarna, gęsie jaja i drewniane miotły. Spiżarnia i kuchnia składały się na jej niepodzielne terytorium, broniła go więc zażarcie. Kiedy nosiła w łonie ostatnie dziecko, moją ciotkę Emeraldę, mąż zaproponował, że ulży jej w obowiązkach, przejmując nadzór nad kucharką. Nic nie odpowiedziała, ale nazajutrz, kiedy Aziz zbliżył się do kuchni, wyszła stamtąd z żelaznym saganem w rękach i zastąpiła drogę. Była gruba, ponadto ciężarna, toteż w drzwiach nie zostało już wiele miejsca. Aadam Aziz zmarszczył brwi.

– Co to, moja żono?

– Ten, jakmutam, sagan jest bardzo ciężki, a jeśli cię choć raz tu złapię, jakmutam, wpakuję do niego twoją głowę, dodam trochę dahi i przyrządzę, jakmutam, kormę.

Nie mam pojęcia, skąd babka zaczerpnęła powiedzonko „jakmutam” jako swój lejtmotyw, wiem tylko, że z upływem lat zaczął coraz częściej szpikować jej zdania. Dopatruję się w nim nieświadomego wołania o pomoc... pytania zadawanego jak najbardziej serio. Czcigodna Matka sygnalizowała, że mimo swej tuszy i postury dryfuje we wszechświecie. Po prostu nie wiedziała, jak się to coś nazywa.

... Sprawowała absolutne rządy przy stole. Bez jej zgody nie wolno było podać jedzenia ani rozstawić talerzy. Potrawy curry i naczynia stawiano na niskim bocznym stoliku po jej prawej, Aziz zaś i dzieci jedli to, co im nałożyła. Zwyczaj ten był tak silny, że nawet kiedy mąż cierpiał na zatwardzenie, ani razu nie pozwoliła mu nabrać samemu jedzenia, głucha na wszelkie prośby i porady. Twierdza pozostaje niewzruszona. Nawet jeżeli stolce poddanych wykazywały odstępstwa od normy.

Podczas długiego okresu ukrywania się Nadira Chana, podczas wizyt na Cornwallis Road młodego Zulfikara zakochanego w Emeraldzie oraz zamożnego kupca skaju i imitacji skóry, Ahmeda Sinai, który zranił moją ciotkę Aliję tak dotkliwie, że przez dwadzieścia pięć lat żywiła w sercu urazę, aż wyładowała ją okrutnie na mojej matce, żelazna władza Czcigodnej Matki nad domem nigdy nie zelżała; jeszcze zanim przybycie Nadira spowodowało wielkie milczenie, Aadam Aziz usiłował skruszyć tę władzę, ale rozpętał tylko wojnę z własną żoną. (Co świadczy o tym, jak dalece zaraził się optymizmem.)

...W roku 1932, dziesięć lat wcześniej, objął pieczę nad wykształceniem dzieci. Czcigodna Matka była zdruzgotana; nie mogła się jednak sprzeciwić, gdyż zgodnie z tradycją należało to do obowiązków ojca. Alija miała jedenaście lat; druga córka, Mumtaz, miała prawie dziewięć. Dwaj chłopcy, Hanif i Mustafa, mieli osiem i sześć lat, a malutka Emeraldka nie skończyła jeszcze pięciu. Czcigodna Matka jęła się zwierzać ze swoich obaw kucharzowi domowemu, Daudowi.

– Durzy im w głowach nie wiadomo jakimi obcymi językami, jakmutam, a pewno też i innymi bredniami. – Daud mieszał w garnkach, a Czcigodna Matka perorowała dalej: – Wystaw sobie, jakmutam, że mała każe na siebie mówić Emeraldka! Po angielsku, jakmutam! Ten człowiek zmarnuje mi dzieci. Nie syp tyle kminku do tego, jakmutam, zagląдай więcej w garnki, a mniej w cudze sprawy.

Postawiła tylko jeden wymóg co do ich wykształcenia: naukę religii. Azizem wciąż targaly wątpliwości, ona wszak pozostała wierząca.

– Ty masz swojego Kolibra – oświadczyła mu – a ja mam, jakmutam, głos Boga. Nie równa się z nim, jakmutam, buczenie jakiegoś człowieka.

Był to jeden z jej nader rzadkich komentarzy politycznych... nastał wszakże dzień, w którym Aziz wyrzucił nauczyciela religii. Kciuk i palec wskazujący zwały się na uchu maulawiego. Nasim Aziz ujrzała, że jej mąż prowadzi owego nieszczęśnika z rozwichrzoną brodą do furki w murze okalającym ogród; kiedy noga jej małżonka zetknęła się z cielesnością świątobliwej osoby, babka aż sapnęła i uderzyła w krzyk. Miotając gromami, Czcigodna Matka rozpętała bitwę.

– Człowiek bez godności! – złorzeczyła mężowi. – Człowiek bez, jakmutam, wstydu!

Dzieci obserwowały całą scenę z bezpiecznego oddalenia werandy na tyłach domu.

– A wiesz ty, czego on uczył nasze dzieci? – oburzył się Aziz. Na co Czcigodna Matka ciskała jedno pytanie za drugim:

– Czego ty byś nie zrobił, żeby, jakmutam, ściągnąć nieszczęście na nasze głowy?

Aziz odparował:

– Myślisz, że pokazywał im kaligrafię nastalik, co?

Babka już się rozsierdziła na dobre:

– Ty to byś pewno chciał jeść wieprzowinę, co? Jakmutam? Pluć na Koran?

Doktor ripostował podniesionym głosem:

– A może podsuwał im wersety z sury „Krowa”? Jak sądzisz?

Nie zwracając na niego uwagi, Czcigodna Matka dochodzi do punktu kulminacyjnego: – Wydałbyś swoje córki za Niemców?!

I przerywa, łapiąc z trudem oddech, pozwalając dziadkowi wyłuszczyć swoje racje:

– Uczył je nienawiści, żono. Kazał im nienawidzić hinduistów, buddystów, dżinistów, sikhów i kto wie jakich jeszcze wegetarianów. Kobieto, chcesz rodzone dzieci wychować w nienawiści?

– A ty chcesz je wychować w bezbożnictwie? – Czcigodna Matka już widzi w wyobraźni zastępy archanioła Gabriela, jak zstępują pod osłoną nocy, żeby porwać jej pogańską dziatwę do piekieł. W oczach stają jej żywe obrazy piekła. Panuje tam skwar jak w Radżputanie w czerwcu, a wszyscy muszą się obowiązkowo uczyć siedmiu obcych języków... – Przysięgam, jakmutam – oświadcza babka – zaklinam się, że ani krztyna jedzenia z mojej kuchni nie trafi do twoich ust! Ani jeden ćapati, dopóki nie przyprowadzisz maulawiego sahiba z powrotem i nie ucałujesz jego, jakmutam, stóp!

Rozpoczęta owego dnia wojna głodowaomal się nie przerodziła w śmiertelny pojedynek. Dotrzymując słowa Czcigodna Matka nie stawiała małżonkowi w trakcie posiłków bodaj pustego talerza. Doktor Aziz w odwecie przestał jadać poza domem. Dzień po dniu piątka dzieci patrzyła, jak ojciec niknie w oczach, tymczasem matka srogo strzegła potraw.

– I potrafisz tak całkiem zniknąć? – spytała zaciekawiona Emerald, po czym dodała na pociechę: – Ale nie znikaj do końca, chyba że umiesz później wrócić.

Na twarzy Aziza pokazały się leje, nawet nos jakby mu schudł. Ciało przeistoczyło się w pole bitwy, co dzień ubywało kawałek. Powiedział Aliji, najstarszej, najmądrzejszej z rodzeństwa:

– W każdej wojnie pole bitwy zawsze ucierpi więcej niż którakolwiek ze stron. Tak to już jest.

Na obchody musiał teraz już brać rykszę. Rykszarz Hamdard zaczął się poważnie o niego martwić.

Rani Kuch Nahin wysłała emisariuszy, ażeby przebłagali Czcigodną Matkę.

– Czy nie dość ludzi głoduje w Indiach? – emisariusze spyтали Nasim, a ta obrzuciła ich bazylijszkowym spojrzeniem, które z wolna obrastało legendą. Ręce spłotła na podołku, głowę miała ciasno obwiązaną muślinową dupatą, spojrzała badawczo na przybyszy i przygwoździła ich wzrokiem. Głosy im skamieniały; serca skuły się lodem; babka zaś siedziała tryumfalnie sam na sam z obcymi mężczyznami, otoczona wbitymi w ziemię oczyma.

– Nie dość, jakmutam? – zapała. – Może tak, a może i nie.

Prawdę powiedziawszy, Nasim Aziz sama bardzo się niepokoiła; wprawdzie śmierć głodowa Aziza stanowiłaby jawny dowód wyższości jej światopoglądu nad jego poglądami, ale babka nie chciała bynajmniej owdowieć wyłącznie przez zasady; tyle że nie widziała wyjścia z sytuacji, które nie zmuszałoby jej do ustępstwa i utraty twarzy, bo skoro raz nauczyła się ją odsłaniać, nade wszystko nie zamierzała jej tracić.

– Najlepiej się rozchoruj. – Alija, mądre dziecko, znalazła rozwiązanie. Czcigodna Matka uciekła się do taktycznego odwrotu, obwieściła ból, szalony jakmutam ból, i położyła się do łóżka. Pod jej nieobecność Alija wręczyła ojcu gałązkę oliwną w postaci miski rosołu z kury. Po dwóch dniach Czcigodna Matka wstała (nie zgodziwszy się po raz pierwszy w życiu, aby mąż ją zbadał), przejęła na nowo władzę, wzruszeniem ramion przyjęła decyzję córki i jak gdyby nigdy nic podsunęła Azizowi jedzenie.

Miało to miejsce dziesięć lat wcześniej; ale jeszcze w roku 1942 starcy spod kramiku z betelem żywo reagowali na widok gwizdzącego doktora i podśmiewali się wspominając czasy, kiedy żona omal nie doprowadziła do jego zniknięcia, chociaż nie potrafił z niego wrócić. Wieczorami jeden drugiego trąca łokciem i powiada: – Pamiętasz, jak to... – albo – Wysechł jak widmo na sznurze od bielizny! Nie mógł już nawet jeździć na tym swoim... – albo – Mówię ci, baba, ta kobieta była zdolna do najgorszych rzeczy. Podobno umiała nawet przyśnić sny własnych córek, żeby poznać ich zamiary! – Ale u schyłku wieczoru trącanie się łokciami zamiera, bo nadchodzi pora zawodów. W milczeniu, rytmicznie szczęki idą w ruch; naraz usta się wydymają, lecz nie dobywa się z nich żaden dźwięk. To nie gwizd, tylko długi czerwony strumień soku betelowego wylatuje ze zgrzybiałych ust i trafia z niezawodną precyzją do starej mosiężnej spluwaczki. Słysząc klepanie się po udach i okrzyk zachwytu nad sobą: – He, he, dobrodzieju! – i – Bezbłędny strzał! – ...Wokół starzyków całe miasto pogrąża się w najrozmaitszych wieczornych rozrywkach. Dzieci bawią się kołem, grają w kabaddi, dorysowują na afiszach brody podobiznom Mijana Abdullaha. Siedzący w kucki starcy ustawiają spluwaczkę na jezdni, odsuwają ją coraz bardziej od siebie, celują coraz dalej. I nadal płyn trafia do celu. – O, nielicho, jara! – Ulicznicy przeskakują między czerwonymi strzyknięciami, wpasowując swoją szczeniacką zabawę w tę wielką sztukę plucia do spluwaczki... Ale oto nadjeżdża samochód sztabowy, rozprasza urwisów... sam generał Dodson, komendant miasta, aż się dusi w tym upale... obok jego adiutant, major Zulfikar, podaje mu ręcznik. Dodson ociera twarz; urwisy uskakują w bok; samochód potęca spluwaczkę. Ciemnoczerwona ciecz z grudkami podobnymi do zakrzepłej krwi ścina się w ulicznym pyłe niczym czerwona ręka wymierzona oskarżycielsko w ustępującą siłę Radżu.

Wspomnienie zbutwiałej fotografii (być może dzieła tego samego biednego obitego artysty, co omal nie przypłacił życiem fotogramów naturalnej wielkości): Aadam Aziz, rozpalony gorączką optymizmu, podaje rękę mężczyźnie pod sześćdziesiątkę, impulsywnemu, żwawemu jegomościowi, któremu kosmyk siwych włosów spada na czoło niczym niegroźna blizna. To Mijan Abdullah, Koliber. (– Widzi pan, doktorze sahibie, trzymam kondycję. Chciałby mnie pan walnąć w brzuch? Proszę bardzo. Jestem w idealnej formie. – ... Na

zdjęciu fałdy luźnej białej koszuli zasłaniają brzuch, a dłoń dziadka nie jest bynajmniej zaciśnięta, tylko ginie w ręce byłego kuglarza.) Tuż za nimi, wpatrzona dobrodusznie przed siebie, stoi rani Kuch Nahin, z białymi plamami na twarzy, dotknięta chorobą, która przelała się w historię i wybuchła na ogromną skalę tuż po uzyskaniu niepodległości...

– Jestem ofiarą – szepcze rani fotografowanymi, nieruchomymi ustami – nieszczęsną ofiarą międzykulturowych trosk. Moja skóra uzewnętrznia internacjonalizm mego ducha.

Tak, na zdjęciu toczy się rozmowa, jak gdyby mistrzowie brzuchomówstwa, optymiści, spotkali się ze swym przywódcą. Za rani – proszę teraz słuchać uważnie; zaraz nastąpi spotkanie historii z genealogią rodu! – stoi dziwny gość, pulchny i brzuchaty, oczy ma jak dwa stojące jeziora, a włosy długie jak to poeta. Nadir Chan, osobisty sekretarz Kolibra. Gdyby nie wstrzymała go ta migawka, przestępowałby w zakłopotaniu z nogi na nogę. Wargi złożone w głupawym, powściągliwym uśmiechu potwierdzają: – Owszem, pisuję wiersze... – Tu wtrąca się Mijan Abdullah, grząc otwartymi ustami, w których błyskają spiczaste zęby:

– Ale co to za wiersze? Tyle stron i ani jednego rymu!

Na co rani pojednawczo:

– Może jest taki nowoczesny?

Nadir z całą skromnością:

– Owszem.

Cóż za napięcia przepełniają tę nieruchomą, zatrzymaną scenę! Cóż za cięta kpina przebija ze słów Kolibra:

– A dajże z tym sobie spokój, sztuka powinna nas dźwigać, przywoływać chwałę całej naszej puścizny literackiej!

Czyżby to cień, czy raczej chmura na czole sekretarza?... Głos Nadira dochodzi zcichawolna ze spłowiełej fotografii:

– Nie wierzę we wzniosłą sztukę, Mijanie sahibie. Dzisiejsza sztuka musi wykraczać poza przedziały; moja poezja i... powiedzmy... gra w plucie-do-celu stoją na równi...

Teraz więc rani, zacnego usposobienia, żartuje:

– W takim razie naszykuję pokój do zucia pan-rakiet i plucia-do-celu. Mam wspaniałą srebrną spluwaczkę, inkrustowaną lazurytem, koniecznie musicie spróbować. Choćbyśmy mieli spryskać ściany niecelnym plwaniem! Przynajmniej będą to szlachetne plamy.

Teraz zaś fotografii zbrakło słów; dopiero teraz widzę oczyma duszy, że przez cały ten czas Koliber wpatrywał się w drzwi ponad ramieniem dziadka w samym rogu zdjęcia. Zza tych drzwi dobiega zew historii. Kolibrowi spieszno stąd wyjść... ale spędził z nami chwilę czasu, a jego obecność przyniosła dwie nici, które będą mnie ścigać przez całe życie: nić prowadzącą do getta kuglarzy i nić przędącą opowieść o Nadirze, poecie wyzbytym rymów i czasowników, oraz o bezcennej srebrnej spluwaczce.

– Co za wierutna bzdura – komentuje nasza Padma. – Jak zdjęcie może gadać? Przerwij już, przestałeś ze zmęczenia myśleć. – Dopiero kiedy jej mówię, że Mijan Abdullah miał dziwny nawyk bezustannego buczenia, buczenia dziwnego, ni to melodyjnego, ni to niemelodyjnego, coś jakby motor, buczenia na wzór silnika albo dynama, Padma przełyka to gładko i wyrokuje: – Wcale mnie to nie dziwi, skoro był takim energicznym mężczyzną.

Ponownie zamienia się w słuch; wracam zatem do przerwanej wątku i relacjonuję, że buczenie Mijana Abdullaha nasilało się i opadało w zależności od tempa jego pracy. Mogło opaść tak nisko, że przyprawiało człowieka o ból głowy, a kiedy wzbiło się na najwyższe, najbardziej spazmatyczne rejestry, mogło u wszystkich w jego zasięgu wywołać erekcję. (– Are bap – śmieje się Padma – nic dziwnego, że cieszył się taką popularnością wśród

mężczyzn!) Nadir Chan jako sekretarz ustawicznie podlegał wibracjom sprowadzanym przez swojego pana, toteż jego uszy szczęka penis zawsze tańczyły tak, jak im Koliber zagrał. Czemu więc Nadir nie odchodził mimo erekcji żenujących w towarzystwie obcych ludzi, mimo bólu zębów i dyscypliny, która często wymagała dwudziestu dwóch godzin pracy na dobę? Chyba nie dlatego, że obecność w centrum wydarzeń i przekuwanie ich w literaturę uważał za swą poetycką powinność. Ani też z żądzy sławy. Bynajmniej: Nadir miał jedną wspólną cechę z moim dziadkiem, która przesądziła o wszystkim. On też zapadł na chorobę optymizmu.

Podobnie jak Aadam Aziz, jak rani Kuch Nahin, tak i Nadir Chan nienawidził Ligi Muzułmańskiej (– Banda pieczeniarzy! – wykrzykiwała rani srebrzystym głosem, pokonując slalomem oktawy niczym narciarz. – Właściciele ziemscy, którzy pilnują własnych procentów składanych! Też mi mahometanie! Łaszą się jak łasice do tych Anglików i tworzą dla nich rządy, kiedy wycofał się z tego Kongres! – Był to rok rezolucji „Opuśćcie Indie!” – Mało tego – podsumowała rani – są w dodatku szaleni. Bo niby czemu miałyby im zależeć na podziale Indii?)

Mijan Abdullah, Koliber, stworzył niemal w pojedynkę Zgromadzenie Wolnego Islamu. Zaproponował przywódcom dziesiątków rozdrobnionych grup mahometan, żeby założyli swobodnie stowarzyszoną grupę alternatywną wobec dogmatyzmu i procentów składanych Ligowców. Musiała kryć się za tym wielka kuglarska sztuczka, bo przybyli wszyscy. Pierwsze zgromadzenie odbyło się w Lahaurze, drugie miało się odbyć w Agrze. Namioty wypełniły się członkami ruchów agrarnych, syndykatów służb miejskich, ugrupowań regionalnych i osobami duchownymi. Potwierdzono podejrzenia wysunięte na pierwszym zebraniu: że Liga ze swym dążeniem do podziału Indii wypowiadała się tylko i wyłącznie we własnym imieniu.

– Odwrócili się do nas plecami – głosiły afisze Zgromadzenia – a teraz twierdzą, że mają nas za sobą!

Mijan Abdullah sprzeciwił się podziałowi.

W porywach epidemii optymizmu patronka Kolibra, rani Kuch Nahin, słowem nie wspominała o chmurach zbierających się na widnokręgu. Ani razu nie wytknęła, że Agra jest bastionem Ligi Muzułmańskiej, powiadała tylko:

– Aadamie, mój chłopcze, skoro Koliber chce tu zwołać Zgromadzenie, nie mam zamiaru mu proponować, żeby je przeniósł do Allahabadu.

Bez najmniejszej skargi, bez cienia ingerencji brała na siebie wszelkie koszty całej imprezy; ale też, trzeba przyznać, nie obeszło się bez wrogów w mieście. Rani żyła inaczej niż wszyscy hinduscy książęta. Zamiast urządzać łowy na ptaki titar, fundowała stypendia. Zamiast się wdawać w hotelowe skandale, zajmowała się polityką. I tak powstała plotka.

– Człowieku, wszyscy wiedzą, że ci jej szkolarze mają nadobowiązkowe powinności. Chodzą po ciemku do jej sypialni, a ona nie pokazuje im swojej szkaradnej twarzy, tylko zaciąga ich czarami do łóżka tym swoim głosem śpiewającej wiedźmy!

Aadam Aziz nie wierzył w czarownice. Odpowiadało mu towarzystwo jej inteligentnych znajomych, którzy równie swobodnie rozmawiali po niemiecku, jak i po persku. Jednakże Nasim Aziz, która wierzyła połowicznie w pogłoski o rani, nigdy się nie wybrała z nim do domu księżniczki.

– Skoro Bóg chciał, żeby ludzie mówili tyloma językami – prawiała – to dlaczego włożył nam w głowy tylko po jednym?

Nikt zatem spośród optymistów Kolibra nie był przygotowany na to, co się stało. Grali w

plucie-do-celu i lekceważyli pęknięcia ziemi.

Czasem legenda staje się rzeczywistością i okazuje się bardziej przydatna od faktów. Zgodnie więc z legendą – zgodnie z wypolerowaną gadką starców spod kramiku z betelem – upadek Mijana Abdullaha przypisywano jego decyzji, żeby kupić na dworcu kolejowym w Agrze wachlarz z pawich piór, mimo przestróg Nadira Chana, że ściągnie na siebie nieszczęście. Ponadto owej nocy sierpów księżycy Abdullah pracował z Nadirem, toteż kiedy na niebie ukazał się miesiąc w nowiu, obaj ujrzeni go przez lunetę.

– To są ważne rzeczy – orzekli płwacze betelem. – Za długo już żyjemy na tym świecie, żebyśmy mieli nie wiedzieć.

(Padma kiwa głową na znak zgody.) Biura Zgromadzenia mieściły się na parterze budynku Wydziału Historii na terenie uniwersytetu. Abdullah i Nadir kończyli właśnie całonocną pracę; Koliber buczał bardzo nisko, Nadira aż rozboleły zęby. Na ścianie gabinetu wisiał plakat z cytatem z poety Ikbala wyrażającym ulubione hasło Abdullaha przeciwko podziałowi Indii: „Gdzie znajdziemy kraj obcy Bogu?” I wtedy na teren uniwersytetu wdarli się zamachowcy.

Fakty: Abdullah miał wielu wrogów. Stosunek Anglików do niego był zawsze niejasny. Generał Dodson nie życzył sobie widzieć go w mieście. Rozległo się pukanie do drzwi, Nadir otworzył. Do pokoju wkroczyło sześć księżyców w nowiu, sześć sierpów noży w rękach mężczyzn ubranych na czarno, z zasłoniętymi twarzami. Dwaj przytrzymali Nadira, pozostali rzucili się na Kolibra.

– W tym momencie – powiadają starcy żujący betel – buczenie Kolibra się nasiliło. Buczał coraz to wyżej, jara, i wnet oczy zamachowców rozszerzyły się, bo członki wystrzeliły im pod szatami niczym namioty. Wtedy – o, Allah! – rozdzwoniły się noże, Abdullah zaś dzwonił jeszcze głośniejsze, bucząc wysoko-wysoko, jak nigdy dotąd. Ciało miał twarde, zrazu więc długie zakrzywione klingi nie były go w stanie śmiertelnie ugodzić; jedna złamała mu się na zębrze, inne wszak prędko pokryły się krwią. Ale oto – słuchajcie! – buczenie Abdullaha nasiliło się tak bardzo, że stało się niedosiężne dla ludzkich uszu, posłyszały je za to wszystkie psy w mieście. Po Agrze wałęsa się pewno jakieś osiem tysięcy czterysta dwadzieścia bezpańskich psów. Owej nocy jedne niechybnie jadły, inne zdychały; niektóre się parzyły, jeszcze inne nie dosłyszały wezwania. W sumie, powiedzmy, że dwa tysiące; ale i tak zostaje sześć tysięcy czterysta dwadzieścia kundli, które puściły się w stronę uniwersytetu, wiele z nich przez tory kolejowe z drugiego krańca miasta. Powszechnie znana to prawda. Widzieli to wszyscy ludzie w mieście, wyjąwszy tych, którzy spali. Psy rwały przed siebie z jazgotem niczym armia, potem zaś cała trasa była usłana kośćmi, odchodami, kłakami sierści... Abdullahdźi wciąż buczał i buczał i buczał, a noże wciąż dzwoniły. I wiedzcie jeszcze jedno: raptem oko kogoś z morderców pękło i wypadło z oczodołu. Później znaleziono w dywanie odłamki szkła!

Powiadają: – Kiedy psy dotarły na miejsce, Abdullah był bliski śmierci, a noże się stępiły... kundle wpadły jak dzikie bestie, wskoczyły przez okno, gdyż od buczenia Abdullaha potrzaskały szyby... natarły na drzwi, aż ustąpiło drewno... i naraz, baba, wszędzie ich było pełno... jedne bez nóg, inne bez sierści, ale większość miała przynajmniej po kilka zębów, przy czym niektóre bardzo ostre... Zważ teraz: zamachowcy widocznie nie bali się przeszkód, bo nie wystawili nawet czujek; toteż psy kompletnie ich zaskoczyły... dwaj mężczyźni trzymający Nadira Chana, tego bez kręgosłupa, upadli pod naporem zwierząt, kiedy jakieś sześćdziesiąt osiem psów skoczyło im do gardeł... już po wszystkim zabójcy byli tak zmasakrowani, że nie udało się ich zidentyfikować.

– W pewnej chwili – powiadają – Nadir dał nura przez okno i zbiegł. Psy i zamachowcy byli zbyt zajęci, żeby go gonić.

Psy? Zamachowcy?... Jeżeli mi nie wierzysz, możesz to sprawdzić. Dowiesz się o Mijanie Abdullahu i jego Zgromadzeniach. Przekonasz się, że wmieliśmy jego historię pod kobierzec... a teraz pozwól, że opowiem, jak Nadir Chan, jego ordynans, spędził trzy lata pod dywanami mojej rodziny.

Za młodu wynajmował pokój z malarzem, którego obrazy powiększały się coraz bardziej, w miarę jak usiłował przelać całe życie w sztukę.

– Patrz tylko – powiedział, zanim odebrał sobie życie – pragnąłem być miniaturystą, a nabawiłem się słoniowaczyną!

Nabrzmiące wypadki owej nocy sierpów noży przypomniały Nadirowi Chanowi jego współlokatora, bo kolejny raz natura z właściwą sobie przewrotnością nie chciała przybrać naturalnej wielkości. Życie obróciło się w melodramat, co wytrąciło go z równowagi.

Jak Nadirowi Chanowi udało się przebiec nie zauważonym całe nocne miasto? Składam to na karb jego bycia kiepskim poetą, a zatem człowiekiem stworzonym do ocalenia. Kiedy tak biegł, czuł się skrępowany, jak gdyby całe ciało przepraszało, że zachowuje się niby w szmirowatym kryminale, takim co to handlarze sprzedają na stacjach kolejowych albo dodają za darmo do flakoników zielonego lekarstwa na przeziębienie, tyfus, impotencję, nostalgię i ubóstwo... Na Cornwallis Road panowała gorąca noc. Opodał wyludnionego postoju ryksz stał piecyk na węgiel. Kramik z pan-rakietami był zamknięty, starcy spali na dachach, śniąc o jutrzejszej grze. Cierpiąca na bezsenność krowa, żując beznamiętnie paczkę po papierosach Red and White, minęła zakutanego człowieka śpiącego na ulicy, co oznaczało, że obudzi się on dopiero rano, bo krowa nie tknie śpiącego, o ile nie jest bliski śmierci. Wtedy przemysłnie wsadza w niego pysk. Święte krowy żrą byle co.

Stary duży murowany dom dziadka, kupiony za pieniądze ze sprzedaży sklepu kamieni szlachetnych i z posagu przekazanego przez niewidomego sahiba Ghaniego, stał spowity mrokiem w szacownej odległości od ulicy. Na tyłach mieścił się otoczony murem ogród, a obok furtki niski budynek gospodarczy odnajmowany za bezcen rodzinie starego Hamdarda i jego syna, Raszida, również rykszarza. Przed tym budynkiem znajdowała się studnia z kołem obracającym przez krowy, skąd rowy irygacyjne odprowadzały wodę na małe poletko kukurydzy opasujące dom aż do bramy w okalającym go murze przy Cornwallis Road. Między domem a polem biegł wąski przesmyk dla przechodniów i ryksz. Od niedawna ryksze rowerowe wyparły w Agrze tradycyjne powozy ciągnięte przez ludzi wprężonych między drewniane dyszle. Nadal utrzymywało się zapotrzebowanie na konne tongi, ale i ono malało... Nadir Chan wśliznął się przez furtkę, przykucnął na chwilę, oparty plecami o mur ogrodzenia, zarumienił się, kiedy oddawał mocz. Po czym, jak gdyby speszony wulgarnością własnej decyzji, czmychnął na pole i tam się zaszył. Częściowo osłonięty spalonymi od słońca badyłami ułożył się w pozycji płodowej.

Raszid, mały rykszarz, miał siedemnaście lat; wracał właśnie z kina. Tego ranka widział, jak dwaj mężczyźni pchali wózek, na którym wznosiły się tyłem do siebie dwa olbrzymie, ręcznie malowane afisze reklamujące nowy film *Gaiwala* z ulubionym aktorem Raszida, Dewem, w roli głównej. PROSTO PO PIĘĆDZIESIĘCIU TYGODNIACH GROZY W DELHI! ŚWIEŻO PO SZEŚĆDZIESIĘCIU TRZECH TYGODNIACH STRZELANINY W BOMBAJU! – wołały plakaty. Drugi burzliwy rok! Film był wschodnim westernem. Bohater, Dew, żaden tam chudzina, przemierzał samotnie szlak. Teren przypomina wypisz, wymaluj równinę Indusu i Gangesu. Gaiwala to tyle co pastuch krów; Dew grał jednoosobową straż dla

ochrony bydła. W POJEDYNKĘ! i DWURURKĄ! Podszedł wiele stad krów, przeganianych tamtędy do rzeźni, zwyciężył poganiaczy i oswobodził świętą trzodę. (Film nakręcono dla publiczności hinduskiej; w Delhi wywołał zamieszki. Członkowie Ligi Muzułmańskiej prowadzali przed kinami krowy na rzeź i bywali napadani przez tłum.) Piosenki i tańce były naprawdę udane; grała w nim piękna bajadera, która wyglądałaby bardziej zwiewnie, gdyby nie kazano jej tańczyć w wielgachnym kowbojskim kapeluszu. Raszid usiadł na ławce w pierwszych rzędach, po czym przyłączył się do gwizdów i wrzasków. Zjadł dwie samosy, trochę za dużo wydał, matka będzie się gniewać, ale za to pysznie się zabawił. Kiedy pedałowal rykszą do domu, poćwiczył trochę brawurową jazdę, którą widział na filmie, zwisając nisko z jednej strony, zjeżdżając na wolnym biegu z łagodnego zbocza, balansując na swym pojeździe tak jak Gaiwala na koniu, żeby ukryć się przed wrogami. W końcu podniósł się, skręcił kierownicę i ku jego radości ryksza przejechała gładko przez furtkę i przesmyk tuż obok łąnu kukurydzy. Gaiwala korzystał z tej sztuczki, żeby okraść bandę poganiaczy, którzy rozsiedli się w krzakach przy flaszcze i hazardzie. Raszid nacisnął hamulce, rzucił się w kukurydzę i wpadł – CAŁYM PĘDEM! – na nie podejrzewających niczego poganiaczy, trzymając dubeltówkę w pogotowiu. Kiedy się zbliżył do obozowiska, wydał z siebie „okrzyk nienawiści”, żeby ich przestraszyć. AAAAAAAAAA! Nie wydzierał się, rzecz jasna, głośno pod domem doktora sahiba, tylko rozdziawił w biegu usta z bezgłośnym krzykiem. BACH! BA-BACH! Nadir Chan nijak nie mógł zasnąć, otworzył więc oczy. I raptem zobaczył – IIIJAAAA! – rozwichrzonego chudeusza pędzącego nań niczym pociąg pospieszny, ryczącego wniebogłosy – tylko może sam już ogłuchł, bo nie dobiegł go żaden dźwięk! – zerwał się zatem na równe nogi i już krzyk wydarł się z jego tłuściutkich ust, kiedy Raszid go dojrzał i też odnalazł swój głos. Wyjąc unisono ze strachu, obaj zrobili w tył zwrot i wzięli nogi za pas. Po chwili przystanęli, bo jeden zauważył ucieczkę drugiego i gapili się tak na siebie przez zeschnięte łany. Raszid rozpoznał Nadira Chana, oszacował wzrokiem jego podarte ubranie i bardzo się zafrasował.

– Jestem przyjacielem – zagał idiotycznie Nadir. – Muszę się widzieć z doktorem Azizem.

– Ale doktor śpi, zresztą nie ma go tu na polu. – Weź się w garść, powiedział sobie Raszid w duchu, przestań pleść bzdury! To przyjaciel Mijana Abdullaha!... Nadir jednak nic nie zauważył; natężał rozpaczliwie twarz, usiłując wykrztusić słowa, które uwięzły mu między zębami niczym włókna kurczaka.

– Moje życie – wycedził nareszcie – jest w niebezpieczeństwie.

Dopiero teraz Raszid, nadal przepojony duchem Gaiwali, pospieszył z pomocą. Zaprowadził Nadira do drzwi z boku domu. Były zamknięte i zaryglowane, ale Raszid naparł i zamek został mu w ręku.

– Indyjska robota – szepnął, jak gdyby to już tłumaczyło wszystko. A kiedy Nadir wszedł do środka, Raszid syknął: – Sahibie, proszę na mnie polegać. Ani mru mru! Przysięgam na siwe włosy matki.

Zamontował z powrotem kłódkę na zewnątrz. Że też trafiła mu się taka gratka! Ocalił prawą rękę Kolibra!... Ale przed czym? Przed kim?... Niekiedy życie bywa pikantniejsze od filmów.

– To on? – pyta zdezorientowana Padma. – Ten pulchny tchórzliwy grubas ma zostać twoim ojcem?

Pod dywanem

I tak epidemia optymizmu dobiegła końca. Rano do biur Zgromadzenia Wolnego Islamu weszła sprzątaczką i znalazła na podłodze uciszonego raz na zawsze Kolibra, a wokół ślady łap i strzępy ubrań morderców. Uderzyła w krzyk; później zaś, kiedy władze przyszły i poszły, kazano jej sprzątnąć pokój. Usunąwszy całe stosy psiej sierści, wybiwszy tabuny pcheł i wyłuskawszy z dywanu szczątki rozbitego szklanego oka, postawiła się przed uczelnianym intendentem, że jeśli tak ma dalej być, należy jej się niewielka podwyżka. Była przypuszczalnie ostatnią ofiarą bakcyli optymizmu, chociaż w jej przypadku choroba nie potrwała długo, bo intendent, człowiek twardy, wyrzucił ją z pracy.

Nigdy nie doszło do identyfikacji zamachowców ani też do ustalenia ich mocodawców. Major Zulfikar, adiutant generała Dodsona, wezwał dziadka na teren uniwersytetu celem wystawienia świadectwa zgonu przyjaciela. Zapowiedział, że zgłosi się do doktora Aziza, by ustalić pewne niejasne szczegóły; dziadek wydmuchał nos i wyszedł. Na majdanie zwijano namioty niczym przekłute balony nadziei; Zgromadzenie już nigdy się nie odbędzie. Rani Kuch Nahin położyła się do łóżka. Po całonocnym lekceważeniu własnych chorób, pozwoliła im teraz nad sobą zapanować; leżała tak nieruchomo przez lata i obserwowała, jak z wolna przybiera kolor pościeli. Tymczasem w starym domu przy Cornwallis Road dni były wypełnione potencjalnymi matkami i ewentualnymi ojcami. Widzisz, Padmo: zaraz się dowiesz.

Posługując się nosem (bo choć stracił moc, która jeszcze nie tak dawno umożliwiała mu tworzenie historii, nabył nowych kompensacyjnych zdolności), kierując go do wewnątrz, wdycham atmosferę domu dziadka po śmierci buczącej nadziei Indii; dzisiaj, po latach, wraca do mnie tchnienie przedziwnego melanzu zapachów przepełnionych niepewnością, tchnienie rzeczy ukrytych miesza się z zapachami pączkującego romansu, a także z mocnym odorem ciekawości i siły babki... tymczasem Liga Muzułmańska cieszyła się, oczywiście w skrytości, upadkiem swego przeciwnika, a mojego dziadka można było znaleźć (odnalazł go mój nos) wysiadującego codziennie rano ze łzami w oczach na swojej – jak ją nazywał – „grzmielnicy”. Nie są to jednak łzy żalu; Aadam Aziz płacił po prostu haracz za nowo przybraną indyjskość i cierpiał na potworne zatwardzenia. Żalonym wzrokiem spoziera na lewatywę wiszącą w ubikacji.

Dlaczego zakłócam intymność dziadka? Dlaczego – skoro mógłbym opisywać, jak Aadam po śmierci Mijana Abdullaha zakopał się w pracy, roztoczył opiekę nad chorymi w rudrach nędzarzy przy torach kolejowych (wybawiając ich od znachorów, którzy aplikowali im zastrzyki z wody pieprzowej i uważali, że smażone pająki leczą ślepotę), a przy tym nadal sumiennie wypełniał obowiązki lekarza uniwersyteckiego; skoro mógłbym się rozwodzić na temat wielkiej miłości kiełkującej między dziadkiem a jego drugą córką, Mumtaz, której śniada cera odgradzała ją od uczuć matki, lecz której łagodność, troska i delikatność zaskarbiły jej serce ojca z jego wewnętrznymi rozdarzającymi jej bezgranicznej czułości; dlaczego – skoro mógłbym raczej zgłębiać jego ciągle-już-teraz swędzenie w nosie – wolę nurzać się w ekskrementach? Dlatego że tam właśnie przebywał Aadam Aziz owego popołudnia, wkrótce po podpisaniu świadectwa zgonu, kiedy naraz przemówił do niego głos – cichy, tchórzliwy, stropiony, głos poety bez rymów – z głębi wielkiej starej skrzyni na brudną

bieliznę w kącie, przyprawiając go o wstrząs, który okazał się tak skutecznym środkiem przeczyszczającym, że nie trzeba było zdejmować lewatywy z haczyka. Mały rykszarz Raszid wprowadził Nadira Chana przez wejście dla służby do przybytku grzmielnicy, gdzie ten schronił się w skrzyni z brudami. Kiedy rozkurczył się zwieracz zdumionego dziadka, uszy dosłyszały prośbę o udzielenie schronienia, prośbę stłumioną przez pościel, nieświeżą bieliznę osobistą, stare koszule i zakłopotanie właściciela głosu. Wtedy to Aadam Aziz postanowił ukryć Nadira Chana.

Teraz unosi się woń sprzeczeki, bo Czcigodna Matka Nasim myśli o swoich córkach, dwudziestojednoletniej Aliji, czarnej Mumtaz, która ma lat dziewiętnaście, i pięknej, kapryśnej Emeraldzie, która nie skończyła jeszcze piętnastu, ale w oczach już widać pewną dorosłość, o jakiej nie marzy się nawet siostrom. W mieście, czy to mistrzowie plucia-docelu, czy rykszarze, chłopcy pchający wózki z reklamami filmów, czy studenci, wszyscy określają trzy siostry mianem „Tin Batti”, trzy promyczki... jakże więc Czcigodna Matka może pozwolić obcemu mężczyźnie zamieszkać pod jednym dachem z powagą Aliji, czarną lśniącą skórą Mumtaz i oczami Emeraldy?

- Chyba postradałeś rozum, mój mężu, ta śmierć padła ci na mózg.
- On tu zostanie – powiada Aziz z całą stanowczością.

W piwnicy... albowiem schowki zawsze stanowiły w Indiach naczelną wymóg architektoniczny, toteż i dom Aziza posiada rozległe pomieszczenia pod ziemią, do których wejście prowadzi jedynie przez klapy w podłodze zasłonięte dywanami i chodnikami... Nadir Chan słyszy przygłuszony łoskot kłótni i lęka się o swój los. Na miły Bóg (czuję nosem myśli poety o lepkich rękach), świat chyba oszalał... czy moi rodacy są ludźmi? Czy może zwierzętami? A jeśli każą mi odejść, to kiedy dosięgną mnie noże?... I przez głowę przelatują mu obrazy wachlarzy z pawich piór i księżyc w nowiu oglądany przez szybę, przeistoczony w dzgające, zbrukane krwią ostrze... Na górze Czcigodna Matka peroruje:

– Dom jest pełen młodych, niezamężnych dziewcząt, jakmutam. Tak okazujesz szacunek rodzonym córkom?

I tu roztacza się aromat kresu wytrzymałości, rozpętuje się potężny, niszczycielski gniew Aadama Aziza; zamiast więc przypomnieć, że Nadir Chan będzie mieszkał pod ziemią, schowany pod dywanem, skąd trudno byłoby mu bezcześcić córki; zamiast oddać hołd należny tak wielkiej obyczajowości barda bez czasowników, że nie śniłyby mu się nawet niestosowne zaloty, chyba by się aż zarumienił przez sen ze wstydu; zamiast wkroczyć na ścieżki rozsądku, dziadek jak nie ryknie:

- Zamilcz, kobieto! Ten człowiek potrzebuje naszego schronienia. Zostaje i już!
- Na co woń nieprzejednania, ciężka chmura determinacji zasnuwa babkę, która replikuje:
- Proszę bardzo. Każesz mi, jakmutam, zamilknąć. Od tej chwili nie usłyszysz ode mnie, jakmutam, ani jednego słowa.
- Wciórności, kobieto, oszczędź nam tych swoich obłądnych przysięg! – mruczy Aziz.

Ale usta Czcigodnej Matki są ściśnięte, zalega cisza. Odór milczenia na podobieństwo smrodu zgniłego gęsiego jaja napęlnia mi nozdrza; przewyższając wszystko inne ogarnia ziemię... Tymczasem Nadir Chan siedzi ukryty w na pół mrocznym podziemiu, a jego gospodyni też się chowa za ogłuszającym murem bezgłośności. Z początku dziadek próbował się przebić przez ten mur, szukając szczeliny; nie znalazł ani jednej. W końcu poddał się i czekał, aż jej własne zdania odsłonią przebłyski jej duszy, tak jak niegdyś pożądał skrawków jej ciała, widzianych przez dziurę w prześcieradle; cisza wypełniła cały dom, od ściany do ściany, od parteru aż po dach, nawet muchy przestały jakby brzęczeć, a moskity wstrzymały

się od buczenia przed kąsaniem; cisza, która wytłumiła też syk gęsi na podwórku. Dzieci najpierw porozumiewały się szeptem, po czym też zamilkły; a na poletku kukurydzy mały rykszarz Raszid wydawał bezgłośnie swój „okrzyk nienawiści” i dochowywał ślubów milczenia złożonych na siwiznę matki.

W to bagno milczenia wstąpił pewnego wieczoru niski mężczyzna z głową płaską jak nakrywająca ją czapka; nogi miał zgięte w kabłąk niczym trzcina na wietrze; nosem dotykał niemal zadartego podbródka, stąd też głos miał piskliwy i ostry – musiał być taki, żeby przedostać się przez wąską szparę między organem oddychania a szczęką... mężczyzna, którego krótki wzrok kazał mu iść przez życie krok za krokiem, zyskując mu reputację pedanta i nudziarza, czym zjednywał sobie zwierzchników, którzy w jego obecności czuli się dobrze obsłużeni, a zarazem nie zagrożeni; mężczyzna, którego wykrochmalony, odprasowany mundur zalatywał bielidłem Blanco i rzetelnością, a który mimo swej powierzchowności marionetki z teatrzyku kukielkowego roztaczał w krąg niezaprzeczalny aromat powodzenia: major Zulfikar, człowiek z przyszłością, stawiał się zgodnie z zapowiedzią, aby wyjaśnić pewne niejasne szczegóły. Bardzo go frasowało zabójstwo Abdullaha i podejrzane zniknięcie Nadira Chana, a ponieważ wiedział o zaraźliwym bakcyli optymizmu Aadama Aziza, wziął mylnie ciszę panującą w domu za żałobne milczenie, toteż nie zabawił długo. (W piwnicy Nadir skulił się z karaluchami.) Siedząc milcząco w salonie wśród pięciorga dzieci – kapelusz i laska spoczywały obok na radioli Telefunkena, ze ścian patrzyły na niego naturalnej wielkości podobizny młodych Azizów – major Zulfikar się zakochał. Miał wprowadzić krótki wzrok, ale nie był ślepy i w niebywale dorosłym spojrzeniu młodej Emeraldy, najbardziej promiennej z „trzech promyczków”, wyczytał, że odgadła jego przyszłość i dlatego wybaczyła mu powierzchowność; toteż przed wyjściem powziął decyzję, że po odczekaniu stosownego czasu weźmie z nią ślub. (– Z nią? – dopytuje Padma. – Czyżby ta rezolutna dziewczoja była twoją matką? – Ale też inne przyszłe matki i inni późniejsi ojcowie przesycają tę ciszę.)

W owym grząskim okresie bez słów rozwijało się również życie emocjonalne najstarszej, statecznej Aliji; natomiast Czcigodna Matka, zabarykadowana w spiżarni i kuchni, zamurowana za ściśniętymi ustami, nie miała jak – przez wzgląd na złożoną przysięgę – wyrazić wotum nieufności wobec młodego kupca skaju i imitacji skóry, co zaczął odwiedzać jej córkę. (Adam Aziz zawsze nalegał, żeby jego córki mogły mieć kolegów.) Ahmed Sinai – „Ahaa!” woła Padma tryumfalnie – poznał Aliję na uniwersytecie i wydał się dostatecznie inteligentny obłożonej książkami, łebskiej dziewczynie, na której twarzy nos mojego dziadka przybrał wygląd przerośniętej mądrości; lecz Nasim Aziz żywiła co do niego podejrzania, bo rozwiódł się już w wieku dwudziestu lat. (– Każdy się może omylić – powiedział jej Aadam, co omal nie doprowadziło do bójki, gdyż babka uznała przez chwilę, że w jego głosie zabrzmiała wyraźnie osobista nuta. Lecz Aadam szybko dodał: – Niech ten jego rozwód zblaknie przez rok czy dwa, a potem urządzimy pierwsze wesele w tym domu, z wielkim namiotem w ogrodzie, ze śpiewakami, słodkościami i czym tam jeszcze. – Co, pominąwszy wszystko inne, bardzo przypadło Nasim do gustu.) Teraz zaś, spacerując po otoczonych murem ogrodach milczenia, Ahmed Sinai i Alija porozumiewali się bez słów; choć jednak wszyscy czekali na oświadczenia, Ahmed jakby zaraził się tą ciszą i nie występował z żadną propozycją. Twarz Aliji przybrała wówczas pewną surowość, na policzki wypełził pesymizm, który już jej do końca nie opuścił. (– Miej więcej szacunku – napomina mnie Padma – tak się nie opisuje własnej matki.)

I jeszcze jedno: Alija odziedziczyła po matce skłonność do tycia. Wraz z upływem lat

rozrosła się jak balon.

A Mumtaz, która wyszła z łona matki czarna jak środek nocy? Mumtaz nigdy nie grzeszyła bystrością ani urodą tak jak Emeraldy; była jednak dobra, obowiązkowa, no i samotna. Spędzała więcej czasu z ojcem niż którakolwiek z siostr, będąc mu podporą w chwilach złych nastrojów, które się teraz wzmogły z powodu ustawicznego swędzenia w nosie; wzięła też na siebie obowiązek doglądania Nadira Chana, codziennie więc schodziła do jego podziemia, z tacami jedzenia i miotłami, opróżniała nadto jego osobistą grzmielnicę, żeby nawet czyściciele latryny nie domyślili się jego obecności. Kiedy schodziła, opuszczała wzrok; tych dwoje nie wymieniało w owym niemym domu żadnych słów.

Co mówili płwacze do celu na temat Nasim Aziz?

– Podśluchiwała sny własnych córek, żeby poznać ich zamiary.

Nie ma bowiem innego wyjaśnienia, większe dziwy zdarzały się w naszym kraju, wystarczy wziąć do ręki pierwszą lepszą gazetę, żeby napotkać codzienne rodzinne, opisy cudów w tej czy innej wiosce – Czcigodna Matka zaczęła śnić sny swoich córek. (Padma przyjmuje to bez zmrużenia powiek; potrafi natomiast odrzucić bez trudu coś, co inni bez większego zachodu przełkną jak laddu. Każda publiczność miewa własne granice wiary.) A zatem nocami, zmorzona snem w swoim łóżku, Czcigodna Matka nawiedzała marzenia sienne Emeraldy i odkryła w nich inne marzenie – prywatną fantazję majora Zulfikara, aby mieć wielki nowoczesny dom z wanną tuż przy łóżku. To był zenit ambicji majora; stąd też Czcigodna Matka dowiedziała się nie tylko tego, że jej córka spotyka się potajemnie z Zulfym w miejscach, gdzie rozmowa jest dozwolona, lecz również tego, że ambicje Emeraldy przewyższają ambicje jej wybrańca. Z kolei w snach Aadam Aziza zobaczyła (a jakże!), iż jej małżonek wspina się żalobnym krokiem na górę w Kaszmirze, z dziurą w brzuchu wielkości pięści, i domyśliła się, że się odkochuje, a także ujrzała jego śmierć; toteż po wielu latach wiadomość o niej skomentowała krótko: – Wiedziałam, że tak się skończy.

...Chyba już niedługo, uznała Czcigodna Matka, Emeraldy powie majorowi o naszym piwnicznym gościu, a wtedy znów będę mogła przemówić. Ale pewnej nocy wtargnęła w sny swojej córki Mumtaz, czarnuszki, której nie umiała pokochać ze względu na kolor jej skóry, skóry praczki z południowych Indii, i zrozumiała, że to nie koniec kłopotów, bo Mumtaz Aziz – podobnie jak jej wielbiciel spod kobierca – również się zakochała.

Brak było dowodów. Podglądanie snów – bądź serce matki, bądź kobieca intuicja, nazwij to wedle uznania – nie stanowi dostatecznego dowodu w sądzie, a Czcigodna Matka wiedziała, że oskarżenie córki o szachrajstwo pod dachem ojca to sprawa nader poważna. Na domiar wszystkiego Czcigodna Matka wyrobiła sobie jakąś żelazną siłę; postanowiła więc nic nie robić, nie przerywać milczenia i pozwolić, żeby Aadam Aziz sam się dowiedział, jaki zgubny wpływ mają jego nowoczesne pomysły na ich dzieci – niech się sam przekona, skoro przez całe życie nie dopuszczał do głosu jej staroświeckiego poczucia przyzwoitości.

– Rozgoryczona kobieta – stwierdza Padma, a ja przyznaję jej rację. – No i co? – dopytuje Padma. – Tak się stało?

Owszem, poniekąd tak się stało.

– Doszło do jakiegoś szacher-macher? W piwnicy? Bez przyzwoitki?

Proszę zważyć okoliczności – łagodzące jak rzadko. Podziemie zezwala na rzeczy, które w świetle dziennym wydawałyby się niedorzeczne albo zgoła niewłaściwe.

– Czy tłusty poeta dobrał się do tej nieszczęsnej czarnuszki? Tak czy nie?

Siedział tam bardzo długo – wystarczająco długo, żeby zacząć rozmawiać z fruującymi karaluchami, bać się, że pewnego dnia ktoś mu każe stamtąd wyjść, żeby śnić o sierpach

noży, ujadających psach i pragnąc z całego serca, aby Koliber żył i powiedział mu, co robić, oraz żeby odkryć, iż w podziemiu nie sposób pisać wierszy; a wtedy nadchodziła dziewczyna z jedzeniem, nie brzydziła się nawet opróżnić po nim nocników, on też opuszczał wzrok, ale i tak widział łydkę, która jak gdyby połyskiwała wdziękiem, czarną łydkę pobłyskującą czernią podziemnych nocy...

– Nigdy bym go o coś takiego nie podejrzewała – mówi Padma z przejęciem. – Stary, tłusty nicpoń.

Na ostatku w tym domu, gdzie wszyscy, nie wyłączając zbiega ukrywającego się w piwnicy przed wrogami bez twarzy, mają języki przyrośnięte do podniebienia, gdzie nawet synowie tego domu muszą wychodzić na poletko z małym rykszarzem, żeby pożartować sobie na temat prostytutek, porównać długość własnych członków i gorączkowo snuć szeptem marzenia o karierze reżysera filmowego (marzenie Hanifa, napawające przerażeniem nachodzącą jego sny matkę, która uważa kino za ciąg dalszy burdelu), gdzie życie przemieniło się w groteskę, skoro wdarła się w nie historia, na ostatku zbieg nie wytrzymał dłużej w mrokach podziemia, oczy same się podniosły, powędrowały w górę delikatnych sandałów, obszernych pantalonów, minęły luźny kaftan i dupatę, odzienie skromności, aż spotkały drugą parę oczu i wtedy...

– Co wtedy? Mów, baba, co wtedy?...dziewczyna uśmiechnęła się do niego z zażenowaniem.

– Co?

A potem uśmiechy rozjaśniły podziemie i coś się zaczęło.

– No i co z tego? Chcesz powiedzieć, że to już wszystko?

To wszystko: przynajmniej do dnia, w którym Nadir Chan poprosił o widzenie z moim dziadkiem – wypowiedział kilka zdań, ledwo słyszalnych w tej mgłę milczenia – i poprosił o rękę córki.

– Biedna dziewczyna – rekapitułuje Padma. – Dziewczęta kaszmirskie są zwykle jasne jak górski śnieg, a ta urodziła się czarna. Kolor skóry uniemożliwiłby jej pewno dobrą partię, ale ten Nadir nie jest taki głupi. Teraz muszą mu pozwolić zostać, karmić go i zapewniać dach nad głową, a on tylko ma się chować pod ziemią jak tłusty robal. Tak, tak, może on wcale nie jest taki głupi.

Dziadek ją przekonywać usilnie Nadira Chana, że nic mu już nie grozi; zamachowcy nie żyją, a ich celem był jedynie Mijan Abdullah; lecz Nadir Chan wciąż miał w głowie dzwoniące noże, toteż błagał: – Jeszcze nie, doktorze sahibie, może kiedy indziej. – Pewnego wieczoru u schyłku lata roku 1943 – kiedy deszcze znów spadły – głosem brzmiącym odlegle i tajemniczo w tym domu, w którym padało tak niewiele słów, dziadek zwołał dzieci do salonu, gdzie wisiały ich portrety. Zaraz po wejściu dzieci się zorientowały, że nie ma ich matki, gdyż wolała pozostać obwarowana w swoim pokoju, spowita pajęczyną milczenia; za to obecny był prawnik oraz mułła (Aziz wzdragał się z początku, lecz uległ woli Mumtaz), obaj poleceni przez schorowaną rani Kuch Nahin, obaj „bezwzględnie dyskretni”. Siedziała tam ich siostra Mumtaz w stroju panny młodej, a obok niej na fotelu przed radiolą zasiadła otyła, zażenowana postać Nadira Chana z włosami w strąkach. Zatem pierwsze wesele w domu odbyło się bez namiotów, śpiewaków, słodyczy, z udziałem minimalnej liczby gości, kiedy zaś dopełniono obrzędu i Nadir Chan uniósł welon panny młodej – Aziz przeżył raptowny szok, poczuł się bowiem przez chwilę młody, znów był w Kaszmirze, siedział na podwyższeniu, a zebrani składali mu na podołek rupie – dziadek kazał im wszystkim złożyć przysięgę, że nie zdradzą obecności nowego szwagra w piwnicy. Emeraldą, ociągając się,

złożyła ślubowanie jako ostatnia.

Następnie Aadam Aziz poprosił synów, aby pomogli mu przenieść wszelakie wyposażenie na dół przez kłapę w salonie: draperie, poduszki, lampy i wielkie, wygodne łóżce. Na koniec Nadir i Mumtaz zeszli do swoich komnat; kłapę zamknięto, dywan rozłożono na swoim miejscu, i Nadir Chan, kochający żonę tak subtelnie jak tylko mężczyzna potrafi, zabrał ją do swojego podziemia.

Mumtaz Aziz zaczęła prowadzić podwójne życie. Za dnia była panną, mieszkała niewinnie z rodzicami, studiowała byle jak na uniwersytecie, hołubiąc w sobie cnoty sumienności, szlachetności i cierpliwości, jakimi miała się odznaczać przez całe życie, aż do ostatniej chwili, gdy opadły ją gadające skrzynie bieliźniane przeszłości i sprasowały na placek ryżowy; nocą zaś schodziła przez kłapę i wstępowała w oświetloną sztucznym światłem, odosobnioną komnatę małżeńską, określaną przez jej potajemnego męża jako Tadż Mahal, na cześć dawniejszej Mumtaz nazywanej Tadż Bibi – Mumtaz Mahal, żony cesarza Szahdżahana, którego imię znaczyło „Król Świata”. Kiedy pomała, władca zbudował dla niej to mauzoleum, uwieczniane na widokówkach i bombonierach, którego krużganki cuchną uryną, ściany pokryte są graffiti, a przewodnicy sprawdzają na prośbę turystów działanie echa mimo napisów w trzech językach z prośbą o ciszę. Podobnie jak Szahdżahan i jego Mumtaz, tak Nadir i jego czarna dama polegiwali obok siebie z lazurytowym naczyniem za towarzysza, bo przykuta do łóżka, umierająca rani Kuch Nahin przysłała im w prezencie ślubnym misternie rzeźbioną, inkrustowaną lapis lazuli, wykładaną klejnotami srebrną spluwaczkę. W luksusowym odosobnieniu pod światłem lampy małżonkowie zabawiali się w grę starców.

Mumtaz przygotowywała pan-rakiety dla Nadira, ale sama nie lubiła ich smaku. Pluła więc nimbu pani. Jego strugi były czerwone, jej zaś limonowe. Był to najszczęśliwszy okres ich życia. W późniejszych latach zwykła mawiać po dłuższym milczeniu:

– Mogliśmy wtedy mieć dzieci, tyle że wówczas nie było po temu odpowiednich warunków.

Mumtaz Aziz całe życie kochała dzieci.

Tymczasem Czcigodna Matka brnęła ospale przez kolejne miesiące w kleszczach milczenia; doszło do tego, że nawet służba odbierała polecenia w języku głuchoniemych, a kiedy pewnego razu kucharz Daud zapatrzył się na nią, usiłując zrozumieć jej senno-gorączkowe znaki, nie zauważył, jak garnek wrzącego sosu spadł mu na nogę i tak ją poparzył, że zamieniła się w pięciopalczaste jajo; otworzył usta, żeby krzyknąć, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk, wtedy zrozumiał, że stara wiedźma ma czarodziejską moc i zląkł się nawet odejść ze służby. Pozostał aż do śmierci, kuśtykając po podwórku, stając się obiektem napaści gęsi.

Nie były to łatwe lata. Susza doprowadziła do racjonowania wody, a przy nawale beźmięśnych i bezryżowych dni z trudem przychodziło im wykarmienie dodatkowej ukrytej gęby. Czcigodna Matka musiała sięgnąć głębiej do spiżarni, co rozdmuchało jej gniew niczym ogień pod sosem. Z brodawek na twarzy puściły jej się włosy. Zaniepokojona Mumtaz zauważyła, że matka z miesiąca na miesiąc coraz bardziej pęcznieje. Rozdymały ją od środka nie wypowiedane słowa... Mumtaz odniosła wrażenie, że skóra matki niebezpiecznie się rozciąga.

Doktor Aziz spędzał większość dni poza domem, z dala od śmiertelnej ciszy, toteż Mumtaz, która spędzała noce pod ziemią, rzadko widywała ukochanego ojca; Emeraldą dotrzymała przyrzeczenia, nie zdradziła majorowi rodzinnego sekretu, ale też nie informowała rodziny o swoim związku, upatrując w tym sprawiedliwości; na poletku

kukurydzy Mustafa, Hanif i mały rykszarz Raszid zarazili się zobojętnieniem owych czasów; i tak dom przy Cornwallis Road doznał do dnia 9 sierpnia, kiedy to nastąpiły zmiany.

Dzieje rodziny miewają, rzecz jasna, swoje wymogi dietetyczne. Można przełykać i trawić tylko ich dozwolone kęsy, halalowe porcje przeszłości wysączone z czerwieni, z krwi. Niestety pozbawia to historie pewnej soczystości; tak więc przyjdzie mi zostać pierwszym i jedynym członkiem swojej rodziny, który ośmieli się pogwałcić reguły halal. Nie upuszczając ni kropli krwi z ciała tej opowieści, dochodzę do partii okrytej milczeniem i nieustraszenie sunę dalej.

Co zaszło w sierpniu 1945? Rani Kuch Nahin umarła, ale nie to miałem na myśli, chociaż w chwili śmierci okryła ją taka prześcieradłowa bladość, że trudno ją było odróżnić od pościeli; odegrawszy swoją rolę przez zapisanie mojej opowieści srebrnej spluwaczki, usunęła się szybko i taktownie... również w roku 1945 monsuny nie zawiodły. Powracające deszcze zlały w birmańskiej dżungli Orde Wingate'a i jego Czinditów, a także wojska Subhasa Čandry Bose'a, walczące po stronie japońskiej. Demonstranci satjagrahy w Dzalandarze, którzy leżeli na torach kolejowych w imię niezadawania gwałtu, przemokli do suchej nitki. Z wolna zamykały się szczeliny spękanej od dawna ziemi; pod oknami i drzwiami domu na Cornwallis Road kładziono ręczniki, które wciąż trzeba było wyżymać i zmieniać. Kałuże wody stojące na poboczach dróg zaroily się od moskitów. A piwnica – Tadż Mahal naszej Mumtaz – przesiąkła wilgocią, aż dziewczyna się rozchorowała. Przez kilka dni nic nikomu nie mówiła, ale kiedy wokół oczu pojawiły się czerwone obwódki i zaczęły się dreszcze, Nadir z obawy o zapalenie płuc ubłagał ją, żeby zgłosiła się do ojca na leczenie. Wiele kolejnych tygodni spędziła z powrotem w swoim panińskim łóżku, a obok siedział Adam Aziz, okładając jej czoło chłodzącymi kompresami, gdy trzęsa się jak w febrze. Szóstego sierpnia nastąpiło przesilenie. Dziewiątego rano Mumtaz czuła się już na tyle dobrze, że mogła się nieco posilić.

Dziadek wyciągnął więc stary skórzany neseser z wypalonym na dnie napisem HEIDELBERG, bo uznał, że po takim wycieńczeniu należy ją gruntownie przebadac. Kiedy trzasnął zamek, dziewczyna wybuchnęła płaczem.

(No i doczekałaś się, Padmo: posłuchaj.)

Dziesięć minut później zakończył się długi okres milczenia, kiedy dziadek wypadł z krzykiem z pokoju chorej. Wezwał gromko żonę, córki i synów. Płuca miał silne, toteż jego tubalny głos dotarł aż do Nadira Chana w piwnicy. Nietrudno mu było odgadnac, o co ta cała wrzawa.

Rodzina zebrała się w salonie wokół radioli pod nie starzejącymi się fotografiami. Aziz wtaszczył Mumtaz do pokoju i posadził ją na kanapie. Miał straszliwą minę. Możesz sobie wyobrazić, co się działo w jego nosie. Bo musiał obwieścić rodzinie tę bombę: że po dwóch latach małżeństwa jego córka jest nadal dziewicą.

Po raz pierwszy od trzech lat przemówiła Czcigodna Matka.

– Córko, czyżby to była prawda?

Wreszcie rozwiało się milczenie, które wisiało po kątach niczym podarta pajęczyzna. Mumtaz tylko skinęła głową: tak. Prawda.

Po czym odezwała się. Powiedziała, że kocha męża, a tamto przyjdzie w swoim czasie. Nadir jest dobrym człowiekiem, kiedy więc będą mogli mieć dzieci, na pewno znajdzie ku temu sposobność. Dodała wreszcie, że jej zdaniem małżeństwo nie na tym powinno polegać, dlatego o niczym nie wspominała, i że ojciec nie powinien był oznajmiać tego wszystkim na głos. Powiedziałyby jeszcze więcej, lecz tu wybuchła Czcigodna Matka.

Wylały się z niej trzy lata słów (choć jej ciało, rozciągnięte koniecznością ich gromadzenia, bynajmniej się nie skurczyło). Dziadek stał spokojnie obok Telefunkena, a wokół szalała burza. Czyj to był pomysł? Czyj szalony wariacki jakmutam plan, żeby wpuścić do domu tego tchórza, który nie jest nawet mężczyzną? Żeby go tu trzymać, jakmutam, wolnego jak ptak, żywić i chronić przez trzy lata pomimo bezmięsnych dni, jakmutam, nie mówiąc już o cenie ryżu? Kto był jakmutam słabeuszem, tak, siwym słabeuszem i przystał na to niegodziwe małżeństwo? Kto wepchnął do łóżka temu, jakmutam, łajdakowi swoją córkę? Kto miał głowę nabitą durnymi wariackimi dziwactwami, jakmutam, czyj mózg był tak rozmiękczony cudzoziemskimi fiumami, że pozwolił mu posłać dziecko w takie anormalne małżeństwo? Kto przez całe życie obrażał Boga, jakmutam, i na czyją głowę spadł ten dopust? Kto ściągnął nieszczęście na cały dom... bitą godzinę i dziewiętnaście minut pomstowała tak dziadkowi, kiedyś zaś skończyła, z chmur wyciekła już wszystka woda i cały dom stał w kałużach. Zanim jednak zamilkła, najmłodsza córka Emeraldy zrobiła coś bardzo dziwnego.

Ręce Emeraldy powędrowały w górę, do twarzy, ścisnęły się w pięści, że tylko sterczały z nich palce wskazujące. Palce znikły w uszach i jak gdyby podniosły Emeraldę z krzesła, aż zerwała się z zatkanymi uszami i wybiegła – CAŁYM PEDEM! – bez dupatty na ulicę, przez kałuże wody, mijając postój ryksz, kramik z pan-rakietami, gdzie starcy wychodzili ostrożnie na czyste, świeże powietrze po deszczu, a jej pęd zdumiał uliczników stojących już na posterunku w oczekiwaniu na rozpoczęcie zabawy w przeskakiwanie między strugami betelu, bo nikt nie widział, żeby młoda dama, a co dopiero jedna z Tin Batti, biegła samotnie, tak roztrzęsiona, omytymi deszczem ulicami, zatykając palcami uszy, i to bez dupatty na ramionach. Dzisiaj w miastach pełno jest nowoczesnych, modnych panien bez dupatty, ale wówczas starcy aż cmokali z ubolewaniem, bo kobieta bez dupatty to kobieta bez honoru, czemuż więc Emeraldy Bibi zostawiła swój honor w domu? Starcy nie posiadali się ze zdziwienia, lecz Emeraldy wiedziała swoje. Zobaczyła jasno, świeżo w podeszczowym powietrzu, że źródłem wszelkich kłopotów rodzinnych jest ten tchórzliwy tłuszcioch (tak, Padmo), który mieszka pod ziemią. Jeżeli zdoła się go pozbyć, w domu znów zapanuje szczęście... Emeraldy biegła co tchu do dzielnicy garnizonowej. Do Cantt, kwatery wojskowej, gdzie zastanie majora Zulfikara! Łamiąc przysięgę, moja ciotka wpadła do jego biura.

Zulfikar to imię osławione wśród muzułmanów. Tak się nazywał rozwidlony miecz noszony przez Alega, kuzyna proroka Mahometa. Była to broń, jakiej świat nie widział.

Aha, i jeszcze coś się tego dnia wydarzyło na świecie. W Japonii na żółtych ludzi również zrzucano broń, jakiej świat nie widział. W Agrze natomiast Emeraldy sięgnęła po własną tajną broń. Jej broń miała pałakowate nogi, płaską głowę, niewielki wzrost, nosem niemal dotykała brody i marzył jej się nowoczesny dom z wanną wmurowaną tuż obok łóżka.

Major Zulfikar nie zyskał dotąd absolutnej pewności co do tego, czy Nadir Chan stał za morderstwem Kolibra, ale korciło go, żeby się dowiedzieć. Kiedy Emeraldy opowiedziała mu o podziemnym Tadżu w Agrze, tak się podniecił, że zapomniał unieść się gniewem, tylko pognął na Cornwallis Road wraz z oddziałem piętnastu chłopów. Przybyli do salonu z Emeraldą na czele. Moja ciotka: zdrada o pięknej twarzy, bez dupatty, w różowych pantalonach. Aziz patrzył tępo, jak żołnierze odwijają dywan w salonie i otwierają wielką klapę, a moja babka starała się pocieszyć Mumtaz.

– Kobiety powinny wychodzić za mąż za mężczyzn – mówiła. – A nie za myszy, jakmutam! Żaden wstydy, że porzucasz tego, jakmutam, robaka.

Córka jednak nie przestawała płakać.

Nadira nie ma w podziemiu! Znikł, ostrzeżony pierwszym wybuchem Aziza, uniesiony zakłopotaniem, które zalało go szybciej niż monsunowy deszcz. Otwarta kłapa w jednej z ubikacji – tak, ta sama, a jakże, przez którą przemówił do doktora Aziza z sanktuarium skrzyni na bieliznę. Drewniana grzmielnica – „tron” – leżała na boku, pusty emaliowany nocnik toczył się po kokosowej macie. Jedne drzwi toalety wychodziły na przesmyk w poletku; drzwi stały otworem. Na ogół były zamknięte z zewnątrz, ale lichy zamek indyjskiej roboty łatwo dał się sforsować... a w skąpo oświetlonym odosobnieniu Tadż Mahal lśniąca spluwaczka i list adresowany do Mumtaz, podpisany przez jej męża – zawierający trzy słowa, sześć sylab, trzy wykrzykniki:

Talaak! Talaak! Talaak!

W tym języku brakuje rażących jak grom dźwięków urdu, ale i tak wiesz, co to znaczy. Rozwodzę się z tobą. Rozwodzę się z tobą. Rozwodzę się z tobą.

Nadir Chan postąpił przyzwoicie.

O, jaki straszliwy gniew ogarnął majora Zulfy’ego, kiedy zrozumiał, że ptaszek mu umknął! Zobaczył jeden kolor: czerwień. O, co za wściekłość, porównywalna jedynie z furią mojego dziadka, chociaż wyrażona zaledwie drobnymi gestami! Major Zulfy podskakiwał zrazu w nieopanowanym przystępie złości: wreszcie wziął się w garść i wypadł przez łazienkę, obok tronu, wzdłuż poletka, przez bramę. Ani śladu biegnącego pulchnego, długowłosego poety bez rymów. Patrzy w lewo: nic. Patrzy w prawo: zero. Wzburzony Zulfy dokonał wyboru, puścił się pędem mimo postojów ryksów rowerowych. Starcy grali w plucie-do-celu, spluwaczka stała na jezdni. Ulicznicy przeskakiwali między strumieniami soku betelowego. Major Zulfy gnał przed siebie przed siebie, między starcami a ich celem, ale zabrakło mu wprawy urwisów. Co za niefortunny moment: niski silny strumień czerwonej cieczy pisał mu prosto w pachwinę. Plama niczym dłoń przywarła do krocza munduru polowego; ścisnęła; wstrzymała bieg. Major Zulfy przystanął w straszliwym gniewie. Co gorsza, drugi gracz zakładając, że szalony żołnierz pobiegnie dalej, wypuścił drugi strumień. Druga czerwona ręka złączyła się z pierwszą i to dopełniło dnia majora Zulfy’ego... powoli, z rozmysłem podszedł do spluwaczki i przewrócił ją kopniakiem na ziemię. Skoczył – raz! drugi! trzeci! – splaszczyl ją, ale nie dał po sobie poznać, że nadwerężył przy tym nogę. Wtedy z niejaką godnością pokuśtykał naprzód, z powrotem do samochodu zaparkowanego przed domem dziadka. Starcy odzyskali sponiewierane naczynie i zaczęli je wyginać, aby nadać mu pierwotny kształt.

– Teraz, skoro wychodzę za męża – Emeraldą oświadczyła Mumtaz – byłoby bardzo brzydko z twojej strony, gdybyś nie cieszyła się razem ze mną. Powinnaś udzielać mi porad i w ogóle. – Chociaż Mumtaz uśmiechała się do młodszej siostry, poczytała słowa Emeraldy za jawną zuchwałość; i być może nieumyślnie przycisnęła ołówek, którym malowała henną ozdoby na podeszwach stóp siostry. – Hej! – pisnęła Emeraldą. – Nie masz się o co wściekać! Sądziłam, że mogłybyśmy spróbować żyć w przyjaźni.

Stosunki między siostrami napięły się poniekąd od czasu zniknięcia Nadira Chana; toteż Mumtaz wcale się nie spodobało, kiedy major Zulfikar (który postanowił nie obciążać mojego dziadka zarzutem ukrywania poszukiwanego człowieka i załatwił to z generałem Dodsonem) poprosił o zgodę na ślub z Emeraldą i ją uzyskał.

– To zakrawa na szantaż – uznała. – No i jest przecież Alija. Najstarsza nie powinna wychodzić za męża na końcu, w dodatku wykazuje tyle cierpliwości z tym swoim kupcem.

Nic jednak nie powiedziała, uśmiechała się tylko nieodmiennie wyrozumiałym uśmiechem

i skierowała swą cnotę sumiennosci na przygotowania weselne, usiłowała się nawet cieszyć; tymczasem Alija nadal czekała na Ahmeda Sinai. (– Będzie tak czekać w nieskończoność – zgaduje Padma: i słusznie.)

Styczeń 1946. Namioty, słodycze, goście, pieśni, mdlejąca panna młoda, stojący sztywno na baczność pan młody: piękne wesele... na którym kupiec imitacji skóry, Ahmed Sinai, wdał się w rozmowę z niedawno rozwiedzioną Mumtaz.

- Kochasz dzieci? Co za zbieg okoliczności, ja też...
- I nie miałaś dzieci, biedna dziewczyno? Prawdę powiedziawszy, moja żona nie mogła...
- Och, jakie to przykre. Pewno też była z niej niezła złośnica!
- Jak cholera... przepraszam. Poniosły mnie nerwy.
- Nie szkodzi, nieważne. I rzucała talerzami?
- Czy rzucała? Po miesiącu musieliśmy jeść na gazetach!
- Niemożliwe, ale ty blagujesz!
- Nic z tego nie będzie, jesteś dla mnie za bystra. Ale naprawdę rzucała talerzami.
- Jakiś ty biedny.
- Co tam, ty dopiero jesteś biedna.

A oboje myślą w duchu. Ona: „Taki uroczy chłopak, a przy Aliji zawsze miał taką znudzoną minę...” On zaś: „Nie zwracałem przedtem uwagi na tę dziewczynę, ale mój ty świecie...” Ona: „Od razu widać że kocha dzieci, więc choćby dlatego...” On: „Mniejsza o kolor skóry...” Dało się zauważyć, że kiedy nadeszła pora pieśni, Mumtaz wpadła w taki nastrój, że śpiewała wszystkie po kolei; Alija natomiast milczała. Czuła się zraniona bardziej niż jej ojciec na Dzalijanwala Bagh, chociaż na zewnątrz nie było śladu.

- Widzę, smętna siostrzyczko, że się wreszcie rozruszałaś.

W czerwcu tego samego roku Mumtaz wyszła powtórnie za mąż. Siostra – idąc w ślady matki – nie odezwała się do niej słowem aż do chwili, tuż przed śmiercią ich obu, kiedy to nadarzyła się okazja do zemsty. Aadam Aziz i Czcigodna Matka na próżno przekonywali Aliję, że takie rzeczy się zdarzają, lepiej dowiedzieć się zawczasu niż później, że Mumtaz została zraniona do żywego i trzeba było mężczyzny, który pomógłby jej się z tego otrząsnąć... zresztą Alija ma głowę na karku, nic jej nie będzie.

- Ale, ale – dogadywała Alija – nikt się jeszcze nie ożenił z książką.

– Zmień imię – doradził Ahmed Sinai. – Czas zacząć wszystko od nowa. Wyrzuć Mumtaz z jej Nadirem Chanem przez okno, wybiorę ci nowe imię. Amina. Amina Sinai. Jak ci się podoba?

- Jak każesz, mężu – odparła moja matka.

„Zresztą – napisała Alija, roztropne dziecko, w pamiętniku – kto by się pchał do małżeństwa? To nie w moim stylu; o nie, co to, to nie.”

Mijan Abdullah oznaczał falstart dla wielu optymistów; jego asystent (którego imienia nie wolno było wymawiać w domu mego ojca) okazał się fałszywym zakrętem mojej matki. Ale były to lata suszy; wiele zasianych wówczas plonów nie wzeszło.

– A co się stało z tym tłuścioszkiem? – pyta gniewnie Padma. – Nie powiesz chyba, że chcesz przemilczeć jego dalsze losy?

Oświadczenie publiczne

Nastąpił pełen iluzji styczeń, z pozoru tak spokojny, jak gdyby rok 1947 w ogóle się nie zaczął. (Tymczasem oczywiście, w istocie rzeczy...) Miesiąc, w którym, na oczach Misji Rządowej – stary Pethick-Lawrence, rozumny Cripps, waleczny A.V.Alexander – runął ich plan przekazania władzy. (Ale oczywiście, w istocie rzeczy nie minęło pół roku...) W którym wicekról Wavell pojął, że jest skończony, załatwiony albo, jak to się u nas obrazowo mówi, fantuś. (Co oczywiście, w istocie rzeczy przyspieszyło tylko rozwój wypadków, bo wprowadziło ostatniego wicekróla, no i...) W którym pan Attlee był na pozór wielce zajęty porozumiewaniem się z panem Aung Sanem co do przyszłości Birmy. (Tymczasem oczywiście, w istocie rzeczy instruował ostatniego wicekróla przed ogłoszeniem jego nominacji; ostatni wtedy-jeszcze-przyszły wicekról składał wizytę królowi Anglii i przyjmował z jego rąk pełnomocnictwa; toteż już wkrótce, już niedługo...) W którym Zgromadzenie Konstytucyjne odroczyło obrady, nie powoławszy do życia konstytucji. (Lecz oczywiście, w istocie rzeczy Earl Mountbatten, ostatni wicekról, miał zjechać do nas lada dzień ze swym nieubłaganym cykadełkiem, żołnierskim nożem zdolnym pociąć subkontynent na troje, oraz z żoną, która ukradkiem, za zamkniętymi drzwiami toalety, zajadała kurze piersi.) Pośród tej zwierciedlanej martwoty, przez którą nie sposób było dojrzeć mielenia wielkich maszynierii, moja matka, nowiutka jak-spod-igły Amina Sinai, również spokojna i niezmienna z wyglądu, mimo wielkich przemian zachodzących pod jej skórą, wstała pewnego ranka z brzęczącą od bezsenności głową, z językiem obłożonym nie dospanym snem i złapała się na tym, że bezwiednie mówi do siebie: – O, Allah, co tu robi słońce? Wzeszło z niewłaściwej strony... Muszę na chwilę przerwać. Miałem dziś nie przerywać, bo Padma zaczyna się denerwować, kiedy moja opowieść przybiera narcystyczny ton, kiedy niczym niewprawy marionetkarz odsłaniam ręce pociągające za sznurki; muszę jednak wnieść protest. A zatem przerywając rozdział, który szczęśliwym trafem nazwałem „Oświadczenie publiczne”, ogłaszam (stanowczo i dobitnie) następujący alert medyczny: „Niejaki doktor N.K.Baligga – obwieszczam z dachów domów, z głośników minaretów! – to szarlatan. Należy go zamknąć, unieszkodliwić, wyrzucić przez okno. Albo jeszcze lepiej: poddać własnej szarlatanerii, skazać na wrzody trądowe wywołane błędnie przepisаныmi pigułkami. Ten ciężki idiota – stwierdzam z całym naciskiem – nie widzi, co ma pod nosem!”

Upuściwszy nieco pary, muszę jeszcze przez chwilę pozostawić matkę sam na sam ze zmartwieniem nad dziwnym wybrykiem słońca, aby wyjaśnić, że Padma, zaniepokojona wzmiankami o moim rozpadzie, zwierzyła się potajemnie temu Baligdze – temu bałwanowierycy! temu łapserdakowi od leczenia zielskiem! – wskutek czego ów znachor, którego nie zaszczycę nawet opisem, zjawił się u mnie z wizytą. A ja w całej swojej naiwności, jak również przez wzgląd na Padmę, dałem mu się zbadać. Powinienem był się spodziewać najgorszego, bo i najgorsze mnie spotkało. Proszę sobie tylko wyobrazić: ten oszust uznał, że jestem cały i zdrow! – Nie widzę żadnych pęknięć – oznajmił grobowym głosem, różniąc się od Nelsona pod Kopenhagą tylko tym, że szwankowało mu nie jedno, a oba oczy, przy czym jego ślepotą nie wynikała z uporu geniusza, lecz z bezsprzecznego przekleństwa własnej głupoty! W całej swej ślepotie zakwestionował stan moich zmysłów, rzucił cień na moją wiarygodność jako świadka i Bógwiecojeszcze: – Nie widzę żadnych

pęknięć.

Wreszcie Padma sama wskazała mu drzwi.

– Nic nie szkodzi, doktorze sahibie, już my się nim zajmiemy.

Dostrzegłem na jej twarzy ślad poczucia winy... Baligga wychodzi, aby już więcej nie powrócić na te karty. Ale, na miłość boską, czyżby profesja medyczna – powołanie Aadata Aziza – tak nisko upadła? Aż do kloaki takich Baliggów? Jak tak dalej pójdzie, wszyscy będą się musieli obchodzić bez lekarzy... co mi przypomina o tym, dlaczego Amina Sinai obudziła się pewnego ranka ze słońcem na ustach.

– Weszło z niewłaściwej strony! – wyrwało jej się mimo woli i dopiero wtedy, przez gasnące brzęczenie niedospanej nocy dotarło do niej, że w tym miesiącu pełnym iluzji padła ofiarą przywidzenia, gdyż obudziła się po prostu w Delhi, w domu swojego nowego męża, który to dom był zwrócony na wschód, frontem do słońca; innymi słowy, słońce weszło prawidłowo, zmieniło się natomiast jej usytuowanie... ale nawet kiedy pojęła tę zasadniczą prawdę i odłożyła ją do wielu podobnych błędów popełnionych już po przyjeździe tutaj (ta pomyłka ze słońcem zdarzała jej się dość regularnie, jak gdyby Aminą podświadomie nie chciała się pogodzić ze zmianą warunków, z nowym, naziemnym ustawieniem łóżka), pozostałości tego całego galimatiasu zaprzętały jej myśli i trudno jej było w pełni dojść do siebie.

– W końcu każdy się może obyć bez ojca – doktor Aziz powiedział córce na pożegnanie. A Czcigodna Matka dodała: – Kolejny sierota, jakmutam, w rodzinie, ale co tam, Mahomet też był sierotą; to samo można powiedzieć o twoim Ahmedzie Sinai, jakmutam, przynajmniej jest półkrwi Kaszmirczykiem.

Następnie doktor Aziz własnymi rękami wstawił zielony blaszany kufer do przedziału kolejowego, w którym Ahmed Sinai czekał na pannę młodą.

– Cokolwiek mówić, posag nie jest ani za mały, ani za duży – powiedział dziadek. – Sam rozumiesz, nie jesteśmy krorpati. Ale daliśmy ci dosyć. Amina zaś da ci jeszcze więcej.

Zawartość zielonego blaszanego kufra: srebrne samowary, brokatowe sari, złote monety ofiarowane doktorowi Azizowi przez wdzięcznych pacjentów, muzeum pełne eksponatów w dowód wyleczonych chorób i uratowanych żywotów ludzkich. Po czym Aadam Aziz podniósł (własnymi rękami) córkę i przekazał ją w ślad za posagiem pod opiekę mężczyzny, który nadał jej nowe imię, a zatem nowe życie, przez co stał się nie tylko jej świeżo upieczonym małżonkiem, ale też poniekąd ojcem... i teraz szedł (na własnych nogach) peronem, kiedy pociąg ruszał. Wreszcie stanął niby biegacz sztafetowy pod koniec swojego odcinka pośród dymu, sprzedawców komiksów, mętluku wachlarzy z pawich piór, gorących przekąsek oraz całego tego rozgardiaszu siedzących w kucki tragarzy i gipsowych zwierzątek na wózkach, pociąg zaś nabierał prędkości, zmierzając ku stolicy, przyspieszając na kolejnym odcinku sztafety. Odrodzona Amina Sinai (w idealnym stanie, jak przy pierwszym narodzeniu) siedziała, w przedziale, trzymając nogi na zielonym blaszanym kufrze, za wysokim o kilka centymetrów, żeby się zmieścić pod ławką. Z sandałami opartymi na zamkniętym muzeum dokonań ojca pędziła w nowe życie, zostawiając Aadata Aziza oddanego próbie połączenia osiągnięć medycyny hakimi i zachodniej, które to próby po pewnym czasie znużyły go i przekonały, że w Indiach nigdy się nie da pokonać hegemonii przesądów, fetyszy i wszelkiej magii, bo hakimowie odmawiają współpracy; w miarę starzenia się, gdy świat stracił na realności, Aziz sam zaczął podważać własne przekonania, kiedy więc ujrzał wreszcie Boga, którego przedtem nie potrafił obdarzyć wiarą ani niewiarą, wcale go to chyba nie zaskoczyło.

Skoro tylko pociąg ruszył ze stacji, Ahmed Sinai, ku najwyższemu zdumieniu Aminy,

podskoczył, zaryglował drzwi przedziału i zaciągnął żaluzje; naraz rozległy się odgłosy walenia, szarpania klamką drzwi i głosy: – Maharadzo, niech pan nas wpuści! Maharani, proszę poprosić męża, żeby otworzył. – Bo we wszystkich pociągach w tej opowieści zawsze rozlegały się takie głosy, dudnienie pięści i błagania; tak we Frontier Mail do Bombaju, jak we wszystkich ówczesnych ekspresach; i zawsze budziły mój lęk, dopóki sam nie znalazłem się na zewnątrz, czepiając się drzwi jak zbawienia i żebrząc: – Halo, maharadzo! Proszę mnie wpuścić, łaskawco.

– Pasażerowie na gapę – orzekł Ahmed Sinai, ale na tym się nie skończyło. Stanowili swoistą przepowiednię, bo po nich mieli przyjść następni.

... A słońce stało z niewłaściwej strony. Moja matka leżała w łóżku, nie mogąc dojść do siebie, podniecona zarazem tym, co w niej zaszło i co na razie trzymała w tajemnicy. Przy jej boku chrapał donośnie Ahmed Sinai. Ten nie cierpiał na bezsenność, ani tyci, mimo kłopotów, które kazały mu przynieść szary worek napchany pieniędzmi i schować pod łóżkiem, kiedy wedle jego mniemania Amina nie patrzyła. Mój ojciec spał głęboko, otulony kojącą poszwą największego daru mojej matki, który okazał się znacznie wartościowszy od całej zawartości zielonego blaszanego kufra: Amina Sinai ofiarowała Ahmedowi w darze swą niezmożoną sumienność.

Nikt nie szczędził tyłu wysiłków co Amina. Śniadoskóra, promiennooka, moja matka była z usposobienia najbardziej skrupulatną osobą na kuli ziemskiej. Pieczołowicie układała kwiaty w korytarzach i w pokojach domu w Starym Delhi, z niestrudzoną skrupulatnością dobierała dywany. Mogła dwadzieścia pięć minut zastanawiać się nad ustawieniem krzesła. Kiedy uporała się z urządzeniem domu, muskając tu, wprowadzając drobne zmiany tam, Ahmed Sinai zastał swoje sieroce północy domostwo przemienione w miłe i przytulne gniazdko. Amina wstawiała przed nim, z właściwą sobie sumiennością odkurzała wszystko, nawet bambusowe żaluzje (zanim przystał na to, żeby zatrudnić w tym celu hamalę); wszelako Ahmed nigdy się nie dowiedział, że jego żona kierowała swój talent z największym poświęceniem i stanowczością nie tyle na warunki ich wspólnego życia, ile na osobę samego Ahmeda.

Dlaczego za niego wyszła? Żeby znaleźć pociechę, żeby mieć dzieci. Z początku wszakże bezsenność spowijająca jej głowę przeszkadzała w zaspokojeniu pierwszej potrzeby; dzieci zaś nie zawsze przychodzą na zawołanie. Toteż Amina śniła o zabronionej twarzy poety i budziła się z jego niewysłowionym imieniem na ustach. Zapytasz: jak się z tym uporała? Odpowiadam: zacięła zęby i uznała, że musi dojść ze sobą do ładu. Tak sobie powiedziała: „Eh, ty niewdzięczna idiotko, nie widzisz, kto jest teraz twoim mężem? Nie wiesz, coś winna mężowi?” Aby uniknąć bezowocnych sporów co do właściwych odpowiedzi na te pytania, spieszę donieść, że zdaniem mojej matki żona winna mężowi bezwzględną wierność i bezgraniczną miłość. I tu wynikła trudność: Amina, z głową nabitą Nadirem Chanem i bezsennością, stwierdziła, że nie potrafi się na to zdobyć wobec Ahmeda Sinai. Wspomagana zatem własną sumiennością, zaczęła uczyć się go kochać. W tym celu rozłożyła go w myślach na części pierwsze, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym, szufladkując oddzielnie usta, wtręty słowne, przesady i tak dalej... jednym słowem, zadziałał czar przedziurawionego prześcieradła jej rodziców, bo postanowiła zakochać się we własnym mężu kawałek po kawałku.

Codziennie wybierała jeden fragment Ahmeda Sinai i skupiała się na nim całym swoim jestestwem, dopóki się z nim całkiem nie oswoiła; potem czuła wzbierającą tkliwość, która przeradzała się w uczucie, a na ostatku w miłość. Tym sposobem pokochała jego nazbyt

tubalny głos, dudniący w bębenkach usznych, od którego aż dostawała drgawek; także i tę osobliwość, że co dzień rano, zanim się ogolił, był w dobrym nastroju, po czym nieodmiennie stawał się srogi, nadęty, oficjalny i obcy; jego sępie oczy ukrywające jej zdaniem wewnętrzną dobroć za ponurym, mglistym spojrzeniem; dolną wargę sterczącą dalej niż górna; niski wzrost, przez co zabronił jej chodzić na wysokich obcasach... „Mój ty Boże – mówiła sobie w myślach – w każdym mężczyźnie znalazłoby się milion różnych rzeczy do kochania!” Ale się nie zrażała. „Któż zresztą zdoła – dumiała w skrytości ducha – poznać bez reszty drugiego człowieka?”, dalej więc uczyła się kochać i podziwiać jego upodobanie do smażeniny, talent do cytowania poezji perskiej, brudę gniewu między brwiami... „W takim tempie – rozumowała – zawsze u niego znajdę coś nowego do kochania; czyli nasze małżeństwo nigdy nie zwietrzeje.” Tak oto moja matka z całą sumiennością rozpoczęła nowe życie w starym mieście. Blaszący kufer stał nie tknięty w starej almarii.

Ahmed zaś niczego nieświadom, wolny od podejrzeń, stawał się wraz z całym swoim życiem obiektem zabiegów żony, tak że pomału zaczął przypominać człowieka, którego nie poznał, i mieszkać w domu przypominającym podziemną komnatę, której nigdy nie widział. Pod wpływem mozolnej magii, tak tajemnej, że nawet Amina nie zdawała z niej sobie chyba sprawy, Ahmed Sinai zauważył, iż włosy mu rzedną, a pozostałe opadają tłustymi strąkami; co więcej, nie przeszkadzało mu to, że kręcą się za uszami. Rozrósł mu się brzuch, aż przybrał rozmiary pulchnego, dyniowatego kałduna, do którego tyle razy się przytulałem, choć żaden z nas, przynajmniej świadomie, nie porównywał go z opasłością Nadira Chana. Jego daleka krewna, Zohra, przygadała mu raz żartobliwie: – Musisz się odchudzać, kuzyniedzi, bo nie zdołamy sięgnąć, żeby cię pocałować! – Ale i to nie pomogło... Amina z wolna odtwarzała w Starym Delhi świat miękkich poduszek i draperii nad oknami, wpuszczającymi jak najmniej światła... powlekła żaluzje czarną tkaniną; wszystkie te drobiazgowo przeobrażenia pomagały jej w iście herkulesowym zadaniu, zadaniu pogodzenia się stopniowo z myślą, że musi pokochać kogo innego. (Nie otrząsnęła się jednak z niedozwolonych marzeń o... i zawsze pociągali ją mężczyźni o tłustych brzuchach i przydługich strąkach włosów.)

Trudno było dojrzeć nowe miasto od strony starego. W nowym grupa różowoskórych najeźdźców pobudowała pałace z różowego kamienia, lecz domy starego miasta wychylały się, przepychały, wierciły w wąskich uliczkach, zasłaniając sobie nawzajem widok na różowe gmachy władzy. Chociaż i tak nikt w tamtą stronę nie patrzył. W mużułmańskich mohallach, w dzielnicach skupionych wokół Ćandni Cauku ludzie zadowalali się spoglądaniem w głąb odgrodzonych murem podwórek własnych żywotów; spuszczaali żaluzje w oknach i na werandach. W ciasnych zaułkach próżnowali młodzi ludzie, trzymali się za ręce, splatali dłonie, całowali się, ale zawsze w kółku, biodro przy biodrze, wpatrzeni do środka. Nie było tam zieleni, toteż i krowy trzymały się z daleka, czując, że nie są tam święte. Bez przerwy dźwięczały dzwonki rowerowe. A nad tą kakofonią unosiły się nawoływania wędrownych owocarzy: „Tutaj, tutaj, przemili, zakosztujcie daktyli!”

Do całej tej wrzawy dołączył się – owego styczniowego ranka, kiedy matka i ojciec ukrywali coś oboje przed sobą – nerwowy tupot nóg pana Mustafy Kemala i pana S.P. Butta, a także uporczywy łoskot bębna dugdugi Lifafy Dasa.

Kiedy tupot nóg dotarł do rynsztoków mohalli, Lifafa Das ze swoim bębniem i fotoplastikonem byli jeszcze daleko. Tupoczące nogi wysiadły z taksówki i puściły się wąskimi uliczkami; tymczasem matka w narożnym domu stała przy kuchni i mieszała khićri na śniadanie, podsłuchując mimo woli, jak ojciec rozmawia z daleką krewną Zohrą. Stukot

minął handlarzy owoców i próżniaków trzymających się za ręce; matka dosłyszała: – Słowo daję, tak milusio tu przychodzić, czeka człodziutka z was młoda para! – Kroki zbliżały się, a mój ojciec dosłownie stanął w pąsach. Wówczas jego uroda przeżywała akurat rozkwit; dolna warga jeszcze zanadto mu nie sterczała, zmarszczka między brwiami ledwo zdążyła się zarysować... i Amina, mieszając khićri, usłyszała pisk Zohry: – Aleś się zaróżowił! A taką masz jasną cerę, kuzyniedzi! – Pozwolił jej nawet słuchać przy stole Rozgłośni Wszechindyjskiej, czego na ogół Aminie zabraniał; Lata Mangeśkar śpiewała właśnie jękliwą piosenkę o miłości, a Zohra ciągnęła dalej: – Zupełnie jak ja, nie uważasz. Będziemy mieli śliczne różowe dzieciaczki, będą pasowały do siebie jak ulał, co, kuzynie, cudne białe parki. – Tupot nóg, mieszanie w garnku... – Jak to przykro mieć czarną skórę, kuzyniedzi, budzić się rano i czuć na sobie jej odbicie w lustrze, widomy dowód własnej niższości! Każdy to przyzna, nawet czarni wolą biały kolor, nie uważasz? – Nogi są tuż tuż, Amina wkracza do jadalni z garnkiem w ręku, ze wszystkich sił próbuje się powstrzymać, a przy tym rozmyśla: że też musiała przyjść dzisiaj, kiedy mam w zanadru taką nowinę, w dodatku będę zmuszona przy niej prosić o pieniądze. Ahmed Sinai lubił, żeby go ładnie prosić o pieniądze, żeby je od niego wyłudzać pieszczotami i pochlebstwami, aż unosiła się serwetka na kolanach, bo coś mu drgało w pizamie; nie miała nic przeciwko temu, wrodzona sumienność kazała jej i to pokochać, gdy więc potrzebowała pieniędzy, następowało głaskanie i „Dżanam, życie moje, tak cię proszę...”, „Tylko trochę, na pyszne jedzenie i na domowe wydatki...”, „Taki jesteś hojny, daj, ile uważasz, na pewno wystarczy...” metodą ulicznych żebraków... i będzie musiała tak się milić przy tym dziewczuszyku z oczami jak spodki, rozchichotanym, trajkoczącym o czarnuchach. Kroki są już prawie u drzwi, Amina w jadalni trzyma w pogotowiu gorące khićri, niemal nad głupią łepetyną Zohry, na co Zohra wykrzykuje: – Och, pominąwszy naturalnie tu obecnych! – tak na wszelki wypadek, gdyby dosłyszano jej słowa, a potem: – Och, Ahmedzie, kuzyniedzi, doprawdy potwór z ciebie, przecież nasza urocza Amina nie jest taka znów czarna, to raczej biała dama stojąca w cieniu! – Natomiast Amina z garnkiem w ręku patrzy na tę śliczną główkę i myśli: tak czy nie? Zdobędę się czy nie? I studzi swoje wzburzenie: „To przecież dla mnie taki ważny dzień; przynajmniej poruszyła temat dzieci; teraz będzie mi łatwiej...” Ale już za późno, wycie Laty w radiu pochłonęło dźwięk dzwonka, nikt więc nie usłyszał jak stary sługa, Musa, poszedł otworzyć drzwi; Lata zagłuszyła też odgłos gorączkowych kroków tupiących po schodach; i raptem nogi znalazły się w pokoju – nogi pana Mustafy Kemala i pana S.P. Butta zatrzymały się z szurgotem.

– Ci szubrawcy dopuścili się niktzemności!

Pan Kemal, najchudszy ze znanych Aminie Sinai mężczyzn, wywołał tą dziwacznie archaizowaną frazeologią (wywodzącą się z zamiłowania do jurysdykcji, wskutek czego zaraził się słownictwem sądowym), jak gdyby reakcją łańcuchową groteskowej paniki, na co piskliwy S.P. Butt bez kręgosłupa, któremu jakiś dziki błysk niczym tańcząca małpka igra w oczach, dorzuca trzy wiele mówiące słowa: – Właśnie, ci podpalacze!

Z kolei Zohra w niezrozumiałym odruchu łapie radio, przytula do piersi, wyciszając głos Laty własnym biustem, i krzyczy:

– O Boże, mój Boże, co za podpalacze, gdzie? W tym domu? Boże mój, już czuję swąd!

Amina stoi jak wryta z khićri w ręku, patrzy na dwóch mężczyzn w urzędowych garniturach, a jej mężowi wywietrzały już z głowy wszelkie tajemnice, zrywa się na równe nogi, ogolony, choć jeszcze nie ubrany i pyta: – W magazynie?

Magazyn, gładam, skład, czy jak kto woli; gdy tylko przebrzmiało pytanie Ahmeda Sinai, w pokoju zaległa cisza, wyjąwszy, rzecz jasna, głos Laty Mangeśkar, dobywający się nadal ze

szczeliny w biuście Zohry; bo ci trzej panowie byli współwłaścicielami takiego ogromnego budynku mieszczącego się w dzielnicy przemysłowej na przedmieściach. „Tylko nie w magazynie, Boże uchronaj”, modliła się w duchu Amina, bo handel skajem i imitacją skóry akurat prosperował – dzięki majorowi Zulfikarowi, który jako adiutant w Wojskowej Kwaterze Głównej w Delhi zlecił Ahmedowi Sinai zaopatrzenie wojska w skóropodobne kurtki i nieprzemakalne obrusy – a właśnie w magazynie składowano większość materiałów, od których zależało ich życie.

– Kto by się na coś takiego odważył? – jęknęła Zohra na tę samą nutę, co jej rozspiewany biust. – Co za wariaci chodzą dziś luzem po świecie?

I wtedy Amina po raz pierwszy usłyszała nazwę, którą mąż tak skrętnie przed nią ukrywał, a która budziła wówczas grozę w wielu sercach.

– Rawana – odparł S.P. Butt.

Przecież Rawana to imię wielogłowego demona. To już demony panoszą się w tym kraju?

– Co to za brednie? – Amina z właściwą jej ojcu pogardą do przesądów domaga się odpowiedzi. Udziela jej pan Kemal.

– To nazwa bandy łotrów, szanowna pani, gangu podżegaczy i bandytów. Niespokojne przyszły czasy, oj, niespokojne.

W magazynie piętrzą się bele skaju, a obok asortyment pana Kemala – ryż herbata soczewica – rozparcelował je w dużych ilościach po całym kraju, żeby je uchronić przed innym wielogłowym zachłannym potworem, czyli narodem, który zważywszy liczbę głów wymusiłby tak drastyczną obniżkę cen w okresie dobrych zbiorów, że bogobojni przedsiębiorcy przymarliby głodem, a potwór obrósłby tłuszczem... „Gospodarka to niedostatek – powiada pan Kemal – dlatego moje zapasy nie tylko utrzymują ceny na przyzwoitym poziomie, lecz również podtrzymują cały system gospodarczy.” W magazynie znajduje się ponadto towar pana Butta, w kartonach z napisem FIRMA AG. Nie muszę chyba wyjaśniać, że „ag” znaczy ogień. S.P. Butt był wytwórcą zapalek.

– Nasze dane – mówi pan Kemal – ujawniają wyłącznie fakt zaistnienia pożaru w tej dzielnicy. Nie wyszczególniono, w którym magazynie miało to miejsce.

– Niby dlaczego w naszym? – pyta Ahmed Sinai. – Skoro zdążylibyśmy jeszcze zapłacić?

– Zapłacić? – wtrąca się Amina. – Komu zapłacić? Za co zapłacić? Mężu, dżanam, życie moje, co tu się dzieje?

Ale S.P. Butt przerywa: – Musimy już iść – i Ahmed Sinai wychodzi tak jak stoi, w wymiętej nocnej piżamie, szybki tupot nóg, razem z chudzielcem i tym drugim bez kręgosłupa, zostawiając nie tknięte khićri, dwie kobiety z szeroko rozwartymi oczyma, przytłumioną Latę i wiszące w powietrzu imię Rawana... – to banda nicponi, szanowna pani; łotrów i zbójów bez skrupułów!

I jeszcze ostatnie, roztrzęsione słowa S.P. Butta:

– Przekłęci hinduscy podpalacze, begam sahiba. Ale cóż my, muzułmanie, możemy począć?

Co wiadomo na temat bandy Rawana? Że podszywała się pod organizację fanatyków antymuzułmańskich, która w owym czasie, tuż przed zamieszkami wywołanymi podziałem kraju, kiedy to na dziedzińcach meczetów piątkowych podrzucano bezkarnie świńskie ryje, nie należała do rzadkości. Że głuchą nocą wysyłała ludzi, aby malowali na murach starych i nowych miast hasła: **PODZIAŁU PRÓBY DOPROWADZĄ DO ZGUBY! MUZUŁMANIE TO ŻYDZI AZJI!** i tym podobne. Że paliła muzułmańskie fabryki, sklepy, magazyny. I jeszcze coś, czego już tak powszechnie nie wiedziano: że za fasadą nienawiści rasowej kryło

się pod postacią bandy Rawana sprytnie pomyślane komercyjne przedsięwzięcie. Anonimowe telefony, listy z literami wyciętymi z gazet wysyłane do muzułmańskich biznesmenów, którym dawano do wyboru: albo zapłacą jednorazowo pewną sumę w gotówce, albo cały ich świat pójdzie z dymem. Co ciekawe, banda miała swoją etykę. Nigdy nie wysuwała żądań po raz wtóry. Ale i pilnowała własnych interesów: kiedy nie dostarczono szarych worków wypełnionych okupowymi pieniędzmi, pożar trawił sklepy fabryki składy. Na ogół płacono, przedkładając ten haracz nad ryzykowną alternatywę zawierzenia policji. Albowiem muzułmanie w roku 1947 nie mieli do policji zaufania. Podobno też (choć tego już nie jestem pewien) nadchodzące listy szantażystów zawierały wykazy „usatysfakcjonowanych klientów”, którzy zapłacili i nie wypadli z biznesu. Banda Rawana – jak wszyscy profesjonaliści – przedstawiała swoje referencje.

Dwaj mężczyźni w garniturach i jeden w piżamie biegli wąskimi zaułkami muzułmańskiej mohalli do taksówki czekającej na Ćandni Cauk. Przyciągali zdumione spojrzenia: nie tylko z powodu tak różnych strojów, ale też dlatego, że starali się nie biec.

– Nie okazujmy paniki – radził pan Kemal. – Zachowajmy pozorny spokój.

Ale nogi wymykały im się spod kontroli i rwały naprzód. Zrywami, susami sadzonymi na przemian z niezdyscyplinowanym chodem i krokiem spacerowym wydostali się z mohalli; minęli po drodze młodzieńca z czarną metalową skrzynką fotoplastikonu na kółkach, z bębenkiem dugdugi w rękach: Lifafa Das podązał ku widowni pewnego ważnego oświadczenia, które nadało tytuł niniejszemu epizodowi. Lifafa Das walił w bęben i nawoływał:

– Do mnie! Do mnie! Tu się zobaczy wszystko! Tu się zobaczy Delhi, tu się zobaczy Indie! Do mnie, do mnie!

Lecz Ahmed Sinai miał co innego w głowie.

Dzieci z mohalli nazywały po swojemu większość okolicznych mieszkańców. Pewną trójkę sąsiadów określały mianem „czupurnych kogutów”, bo znajdowali się wśród nich dwaj właściciele domów, Sindhyczyk i Bengalczyk, których domy przedzielała jedna z nielicznych hinduskich rezydencji mohalli. Sindhyczyka i Bengalczyka niewiele zaiste łączyło – mówili różnymi językami i przyrządzali odmienne potrawy, ale obaj byli muzułmanami i obaj nienawidzili wetkniętego w środek hindusa. Sypali z dachów śmiecie na jego dom. Obrzucali go z okien różnojęzycznymi przekleństwami. Ciskali mu pod próg ochłapy mięsa... on zaś, w odwecie, opłacał uliczników, żeby walili im kamieniami w okna, przy czym kamienie były owinięte listami tej treści: – Czekaj no, przyjdzie i na ciebie kolej – ... dzieci z mohalli nie nazywały też mojego ojca prawowitym imieniem. Mówiły na niego: „ten, co nie potrafi iść za własnym nosem”.

Ahmed Sinai miał tak kiepski zmysł orientacji, że zdany wyłącznie na siebie zabłądziłby chyba w krętych zaułkach własnej dzielnicy. Ile to razy podchodzili do niego spacerujący beczynnie zamiatacze ulic i dostawali monetę ćawanni równowartości czterech ann za odprowadzenie go do domu. Wspominam o tym, bo jestem przekonany, że skłonność mojego ojca do fałszywych zakrętów nie tylko była jego całozyciowym utrapieniem; stanowiła także powód miłości Aminy Sinai (która na przykładzie Nadira Chana również dowiodła, że potrafi obierać fałszywe zakręty); poza tym jego nieumiejętność kierowania się własnym nosem spłynęła na mnie, przesłaniając do pewnego stopnia walory nosowe odziedziczone skądinąd, toteż mijały lata, a ja nie umiałem wyniuchać swojej właściwej drogi... Starczy już, dałem trzem biznesmenom aż nadto czasu, żeby dotarli do dzielnicy przemysłowej. Dodam jeszcze tylko (coś, co moim zdaniem wynikało bezpośrednio z owego braku zmysłu orientacji), że

mój ojciec był człowiekiem, nad którym nawet w chwilach tryumfu unosił się odór przyszłej porażki, smród fałszywego zakrętu czyhającego tuż za rogiem, zapaszek nie do zmycia podczas jego jakże częstych kąpiei. Pan Kemal, który go wyczuł, powiedział na osobności S.P. Buttowi:

– Wiesz co, stary? Rzecz to ogólnie znana, że ci Kaszmirczycy nigdy się nie myją.

Ta kalumnia zbliża mojego ojca do przewoźnika Taiego... do Taiego w przystępie zgubnego oburzenia, które kazało mu przestać dbać o czystość.

Nocni stróże w dzielnicy przemysłowej spali w najlepsze przy dźwięku strażackich syren. Dlaczego? Jak to? Bo zawarli porozumienie z szajką Rawana, toteż kiedy dostali cynk o rychłym nadejściu bandy, wychylili napój nasenny i wystawili swoje łóżka ćarpai poza zabudowania. W ten sposób banda uniknęła przemocy, a nocni stróże podreperowali swoje liche zarobki. Było to dżentelmeńskie i niegłupie posunięcie.

Pan Kemal, mój ojciec i S.P. Butt między śpiącymi dozorcami patrzyli, jak w kłębach czarnego dymu idą do nieba prochy rowerów. Butt ojciec Kemal stali przy wozach strażackich i odczuwali wielką ulgę, bo palił się skład Indrowerów Ardżuna – nazwa firmy, Ardżuna, pochodząca od jednego z bohaterów mitologii hinduskiej, nie przesłoniła faktu, że kompania była własnością muzułmanów. Pokrzepieni ulgą, ojciec Kemal Butt wchłaniali swąd obróconych w perzynę rowerów, krztusząc się i prychając wdychali w płuca dymy spopielałych kół, waporyzowane duchy łańcuchów dzwonek siodłek kierownic, przeistoczone kadłuby Indrowerów Ardżuna. Do słupa telegraficznego przed gorejącym magazynem przybito gwoździem prymitywną tekturową maskę – maskę o wielu obliczach – szatańską maskę z wyszczerzonymi w grymasie twarzami o szerokich, wykrzywionych ustach i jaskrawoczerwonych nozdrzach. Oblicza wielogłowego potwora, Rawany, króla demonów, spoglądały gniewnie na ciała stróżów nocnych śpiących tak smacznie, że ani strażacy, ani Kemal, ani Butt, ani mój ojciec nie mieli serca ich budzić; tymczasem z nieba spadały na nich popioły pedałów i dętek.

– Koszmarna historia – skomentował pan, Kemal. Nie współczuł właścicielom firmy Indrowerów Ardżuna, a wręcz ich krytykował.

Patrz: oto wzbija się chmura nieszczęścia (a zarazem ulgi) i toczy się niczym piłka po bezbarwnym porannym niebie. Spójrz, jak mknie na zachód, ku sercu starego miasta, jak wskazuje, Boże ty mój, niczym palec wskazuje na muzułmańską mohallę w pobliżu Ćandni Ćauku!... Gdzie Lifafa Das reklamuje akurat swój towar w zaułku państwa Sinai.

– Do mnie, zobaczyć wszystko, do mnie, zobaczyć cały świat!

Zbliża się pora oświadczenia publicznego. Nie ukrywam, że jestem podekscytowany: zbyt długo już zbijam bąki na zapleczu własnej opowieści i chociaż dopiero za chwilę będę mógł do niej wkroczyć, miło jest zajrzeć do środka. Zatem z niejakim poczuciem wielkich nadziei podążam za palcem wskazującym z nieba i spoglądam w dół na dzielnicę moich rodziców, na rowery, na przekupniów wpychających przechodniom pieczony groch w papierowych rożkach, na ocierających się biodrami, trzymających się za ręce ulicznych próżniaków, na fruujące strzępy papieru i tabuny much kłębiące się wokół straganów ze słodkościami... a wszystko to w skróconej perspektywie z mojego podniebnego punktu widzenia. Roi się tam też od dzieci zwabionych magicznym dudnieniem bębenka dugdugi Lifafy Dąsa i jego głosem: „Dunija dekho”, zobaczcie cały świat! Chłopaczki bez szortów, dziewczynki bez koszulek i bardziej zadbana dzieciarnia w szkolnych białych strojach, w szortach przytrzymywanych elastycznymi paskami z esowatymi kłamrami w kształcie węży, małe tłuścioszki o pulchnych palcach; wszyscy gromadzą się wokół czarnej skrzynki na kółkach, a

wśród nich i ta mała dziewczynka, ośmiolatka z jedną ciąglą gęstą brwią ocieniającą oboje oczu, córka wspomnianego już nieuprzejmego Sindhyjczyka, który oto wywiesza na dachu flagę wciąż jeszcze fikcyjnego Pakistanu, który oto miota przekleństwa pod adresem sąsiada, kiedy jego córka wybiega na ulicę z ćawanni w rękę, z miną królowej karłów, z morderczym zamiarem czającym się na ustach. Jak się nazywa? Nie wiem, ale znam te brwi.

Lifafa Das: który niefortunnym zbiegiem okoliczności ustawił swój czarny fotoplastikon przy ścianie, gdzie ktoś nabazgrał swastykę (w owym czasie widywało się je wszędzie; ekstremistyczna partia RSSS malowała je na wszystkich murach; nie tę hitlerowską swastykę z ramionami w odwrotną stronę, tylko starożytny hinduski symbol potęgi. Swasti znaczy w sanskrycie „dobry”)... Lifafa Das, którego przybycie obwieściłem tak donośnie, był młodzieńcem zda się niewidzialnym, dopóki się nie uśmiechnął, co czyniło go pięknym, albo dopóki nie zaczął bić w bęben, kiedy to stawał się nieodpartą atrakcją dla dzieci. Bębniarze dugdugi jak Indie długie i szerokie nawołują: „Dilli dekho, zobaczcie Delhi!” Ale przecież Lifafa Das był właśnie w Delhi, toteż stosownie zmienił swój okrzyk. „Do mnie, zobaczyć cały świat, do mnie, zobaczyć wszystko!” Ta hiperboliczna formuła jęła z czasem drążyć jego myśli; wkładał do fotoplastikonu coraz więcej widokówek w rozpaczliwej próbie dotrzymania obietnicy, zamknięcia dosłownie wszystkiego w małej skrzynce. (Naraz przypomina mi się malarz, przyjaciel Nadira Chana: czyżby to była indyjska choroba, to dążenie do ogarnięcia całej rzeczywistości? I, co gorsza, czyżbym i ja się nią zaraził?)

Fotoplastikon Lifafy Dąsa zawierał pocztówki Tadź Mahalu, Świątyni Minakszi i świętej rzeki Ganges; ale obok słynnych widoków właściciel fotoplastikonu pragnął też włączyć bardziej współczesne obrazki – Stafford Cripps opuszcza rezydencję Nehru; dotykanie niedotykalnych; rzesze wykształconych obywateli śpią na torach kolejowych; reklamówka europejskiej aktorki z górą owoców na głowie – Lifafa zwał ją Carmen Werandą; a nawet zdjęcie z gazety naklejone na tekturkę, przedstawiające pożar w dzielnicy przemysłowej. Lifafa Das nie uważał, że należy chronić publiczność przed nie-zawsze-przyjemnymi symptomami tego stulecia... toteż kiedy odwiedzał te uliczki, nie tylko dzieci, ale i dorośli wychodzili popatrzeć, co ma nowego w skrzynce na kółkach, a do grona jego najczęstszych klientów należała begam Amina Sinai.

Dzisiaj jednak w powietrzu czuć histerię; nad mohallę nadciągnęło coś złowieszczonego i groźnego, kiedy nad głową zawisła chmura puszczonej z dymem Indrowerów... i wymyka się teraz z uwięzi, kiedy mała dziewczynka, ta z jedną ciąglą brwią, piszczy sepleniąc z niewinnością, której w gruncie rzeczy nie posiada: – Ja pierfsa! Puście mie... muse zobaczyć! Nit nie widzę! – Bo już otwory skrzynki oblepione są oczyma, już czeredka dzieci pochłonięta jest coraz to nowymi widokówkami, Lifafa Das powiada więc (nie przerywając pracy – kręci bez przerwy gałką, która przesuwą odkrytki w skrzynce): – Chwileczkę, bibi; wszyscy po kolei, zaczekaj. – Na co jednobrewa królowa karłów wybucha: – Nie! Nie! Ja chce być pierfsa! – Lifafa przestaje się uśmiechać – staje się niewidzialny – wzrusza ramionami. Na twarz królowej karłów wstępuje nieokiełznany gniew. I pada zniewaga; morderczy grymas drga jej na ustach.

– Ale ty mas celność, zeby psychodzić do nasej mohalli! Jus ja cie znam, mój tata tes, wsycy wiedzą, ze jesteś hindus!

Lifafa Das stoi bez słowa, manipuluje pokrętłami skrzynki; ale już ta jednobrewa walkiria z kucykiem na głowie wyśpiewuje, wytykając go pulchnymi palcami, a wtórują jej chłopcy w białych szkolnych strojach z klamrami w kształcie węży: – Hindus! Hindus! Hindus! – Podnoszą się żaluzje; ojciec dziewczynki wychyla się z okna i włącza do chóru, ciskając

obelgi pod nowym adresem, zaraz dołącza się Bengalczyk po bengalsku... – Matkojebca! Bezczęściel naszych córek!... – pamiętasz, że gazety rozpisywały się o napaściach na muzułmańskie dzieci, toteż raptem rozlega się wrzask, głos kobiety, może nawet głupiej Zohry: – Gwałciiciel! Are, Boże mój, zdybali tego badmaśa! Mają go! – Wnet całą mohallę ogarnia szaleństwo chmury w kształcie palca wskazującego i cała bezładna nierealność czasów, z wszystkich okien dochodzą odbijane echem okrzyki, uczniaki zaczynają skandować: – Gwał-ci-ciel! Gwał-ci-ciel! Gwał-gwał-ci-ciel! – nie rozumiejąc właściwie tego słowa; dzieci odsuwają się od Lifafy Dąsa, który sam odchodzi, wlokąc skrzynkę na kółkach, próbuje się stamtąd wydostać, ale już go osaczają krwiożercze głosy, obępują uliczni próżniacy, mężczyźni zsiadają z rowerów, z góry spada nocnik i roztrzaskuje się na murze tuż za nim; Lifafa Das opiera się plecami o jakieś drzwi, kiedy przystępuje do niego typ z kosmykiem tłustych włosów, obleśnym uśmiechem i mówi:

– A, mister, więc to pan? Mister hindus, który bezczęści nasze córki? Mister bałwochwalca, który sypia z rodzoną siostrą?

– Wcale nie, na miłość... – uśmiecha się głupkowato właściciel fotoplastikonu... a wtedy tuż za nim otwierają się drzwi, Lifafa Das wpada do środka i ląduje w mrocznym, chłodnym korytarzu przed moją matką, Aminą Sinai.

Spędziła cały ranek sam na sam z rozchichotaną Zohrą i z dźwięczącym jej echem w uszach imieniem Rawana, nie wiedząc, co się dzieje w dzielnicy przemysłowej, rozmyślając nad tym, że cały świat popada w obłęd; kiedy więc zaczęły się krzyki, do których włączyła się Zohra – zanim dało się ją uciszyć, coś w Aminie stwardniało, chyba świadomość bycia córką swego ojca, jakieś widmowe wspomnienie Nadira Chana ukrywającego się na poletku kukurydzy przed sierpami noży, jakieś podrażnienie przewodów nosowych, toteż zeszła na pomoc, ignorując skrzek Zohry:

– Co ty robisz, siostrodzi, na Boga, nie wpuszczaj go tu, toż to wściekła bestia, rozum ci odjęło?

Matka otworzyła drzwi i Lifafa Das wpadł do środka.

Proszę ją sobie wyobrazić owego ranka, czarny cień między tłumem a ofiarą. W łonie kołatał jej się niewidoczny, niewypowiedziany sekret, a ona wychwalała motłoch:

– Co za bohaterowie! Przysięgam, istni bohaterowie! Tylko was pięćdziesięciu przeciwko temu straszliwemu potworowi w ludzkiej skórze! O, Allah, aż mi oczy rozbłysły dumą.

... Z tyłu dogaduje Zohra:

– Wracaj, siostrodzi!

I tłusty kosmyk:

– Begam sahiba, po co brać tego gundę w obronę? Tak się nie godzi.

Amina odpowiada:

– Znam tego pana. To porządny człowiek. Wynocha stąd, nie macie nic innego do roboty? W muzułmańskiej mohalli gotowicie rozerwać człowieka na strzępy? Usuńcie się stąd.

Zaskoczenie minęło, tłum znów przystępuje bliżej... i teraz. Teraz nadchodzi oświadczenie.

– Słuchajcie – krzyczy matka – a słuchajcie uważnie. Jestem w ciąży. Jestem matką, spodziewam się dziecka i udzielam schronienia temu oto człowiekowi. A teraz proszę, jeśli chcecie go zabić, zabijcie i matkę, pokażcie całemu światu, jacy to z was mężczyźni!

W ten właśnie sposób moje narodziny – przyjście Salima Sinai – zostały obwieszczone zgromadzonej ciżbie, zanim dowiedział się mój ojciec. Już więc od chwili poczęcia byłem niejako własnością publiczną.

Chociaż matka powiedziała w tym publicznym oświadczeniu prawdę, zarazem się jednak myliła. Albowiem dziecko, które nosiła pod sercem, okazało się nie być jej synem.

Matka przyjechała do Delhi; sumiennie rozbudzała w sobie miłość do męża; Zohra, khićri i tupot nóg nie pozwoliły jej wyjawić mężowi nowiny; usłyszała krzyki; wygłosiła oświadczenie publiczne. No i udało się. Obwieszczenie mojego nadejścia ocaliło ludzkie życie.

Kiedy tłum się rozproszył, stary sługa, Musa, wyszedł na ulicę i uratował fotoplastikon Lifafy Dasa, tymczasem Amina poła młodzieńca o pięknym uśmiechu świeżą limonadą. Najwidoczniej cały ten incydent pozbawił go nie tylko płynu, ale i cukru, bo Lifafa Das dolewał do każdej szklanki po cztery łyżki melasy. Obok na kanapie przycupnęła Zohra w nie lada przestrachu. Wreszcie Lifafa Das (dowodniony limonadą, dosłodzony melasą) odezwał się:

– Begam sahiba, wielka z pani dama. Jeśli pani pozwoli, pobłogosławię ten dom i to nie narodzone dziecko. Ale też proszę pozwolić mi zrobić dla pani coś jeszcze.

– Dziękuję – odrzekła matka – ale nic pan nie musi robić.

On jednak nalegał (a słodycz melasy oblepiała mu język).

– Mój kuzyn, Śri Ramram Seth, jest wielkim jasnowidzem, begam sahiba. Wróży z ręki, z gwiazd, przepowiada przyszłość. Proszę się do niego udać, a wyjawi pani przyszłość syna.

Zapowiedzieli mnie wróżbici... w styczniu 1947 mojej matce Aminie Sinai zaoferowano dar przepowiedni w zamian za jej dar ocalenia życia. Mimo więc nalegań Zohry: – Amino, siostró, to czyste szaleństwo, ani przez chwilę o tym nie myśl, w takich czasach trzeba się mieć na baczności – mimo wspomnień sceptycyzmu ojca i jego zaciśnięcia kciuka-oraz-palca na uchu maulawiego, propozycja dotarła do takiego zakamarka w duszy matki, który odpowiedział: „Tak”. Zaskoczona przy irracjonalnych rozważaniach swojego świeżego macierzyństwa, o którym dopiero co się dowiedziała, odparła:

– Dobrze, Lifafa Dasie, spotkamy się za kilka dni przy bramie do Czerwonego Fortu. Wtedy zaprowadzisz mnie do swojego kuzyna.

– Będę tam czekał codziennie – złożył ręce w geście uszanowania i wyszedł.

Zohra była tak zdumiona, że kiedy Ahmed Sinai wrócił do domu, pokiwała tylko głową i rzekła:

– Oj, wy młodożeńcy; pomyleni jak sowy; muszę zostawić was sobie samym!

Stary sługa Musa też nie puścił pary z ust. Zawsze się trzymał na zapleczu naszych spraw, zawsze, wyjąwszy dwa przypadki... raz, kiedy od nas odszedł, i drugi raz, kiedy wrócił, żeby niechcący zniszczyć świat.

Wielogłowe potwory

Jeżeli przypadek nie istnieje; a w takim razie Musa – mimo swego podeszłego wieku i służebności – był zaledwie bombą zegarową tykającą cicho w oczekiwaniu wyznaczonej pory; a w takim razie powinniśmy albo – zdjęci optymizmem – wiwatować na stojąco, bo skoro wszystko jest zaplanowane z góry, życie nas wszystkich bez wyjątku ma pewien sens i oszczędza się nam lęku przed świadomością własnej daremności, braku przyczyny, albo możemy – owładnięci pesymizmem – poddać się tu i teraz, pojmując bezcelowość myśli decyzji czynu, gdyż wszelka nasza myśl nic i tak nie zmieni; wszystko potoczy się tak, jak nam jest sądzone. Gdzież tedy miejsce na optymizm? W przeznaczeniu czy w chaosie? Czy mój ojciec był więc opty– czy pesymistą, kiedy matka oznajmiła mu nowinę (którą poznała już cała okolica), a on odpowiedział: – Przecież mówiłem ci, że to tylko kwestia czasu. – Jak widać ciąża matki była przeznaczeniem; jednakże moje narodziny wiele zawdzięczały przypadkowi.

– To tylko kwestia czasu – powiedział ojciec, najwyraźniej zadowolony; ale wedle moich doświadczeń czas jest chwiejnym przedsięwzięciem, nie ma co na nim polegać. Można na nim nawet dokonać podziału: zegary w Pakistanie wyprzedzą o pół godziny swoich indyjskich pobratymców... Pan Kemal, który nie chciał mieć nic wspólnego z podziałem kraju, lubił mawiać:

– Najlepszy dowód szaleństwa tego planu! Ci Ligowcy sądzą, że całe trzydzieści minut ujdzie im na sucho! Czas bez podziału – wykrzykiwał – to rozumiem!

A S.P.Butt dodawał: – Skoro tak sobie zmieniają czas, czego mamy się trzymać? Gdzie tu rzeczywistość, pytam się, gdzie prawda?

Zatem dzień wielkich pytań. Odpowiadam na wskroś tych wszystkich niespolegliwych lat S.P.Buttowi, któremu podczas zamieszek w trakcie podziału poderżnięto gardło, toteż stracił wszelkie zainteresowanie czasem:

– Rzeczywistość i prawda nie muszą się pokrywać.

Prawda od najmłodszych lat kryła się dla mnie w opowieściach Marii Pereiry: Marii, mojej aji, która była mi kimś więcej i kimś mniej niż matką; Marii, która wiedziała wszystko o nas wszystkich. Prawda kryła się tuż za horyzontem, na który wskazywał palcem rybak z obrazka na ścianie, gdy młody Raleigh słuchał jego gawęd. Pisząc te słowa w kreślarskim rozlewisku światła, odmierzam prawdę wedle tych wczesnych wyobrażeń. Czy tak by to ujęła Maria? – pytam. Czy zgodziłby się z tym rybak?... Wedle tych kryteriów niepodważalną prawdą jest, że pewnego styczniowego dnia roku 1947 matka dowiedziała się o mnie wszystkiego na sześć miesięcy przed moim nadejściem, podczas gdy ojciec zmagał się z królem demonów.

Amina Sinai czekała stosownej chwili, żeby skorzystać z oferty Lifafy Dasa; tyle że przez dwa dni po pożarze fabryki Indrowerów Ahmed Sinai nie ruszał się z domu, nie chodził do biura na Connaught Place, jak gdyby zbierał siły przed jakimś niemiłym spotkaniem. Przez dwa dni szary worek z pieniędzmi leżał, schowany rzekomo w tajemnicy, na swoim miejscu pod łóżkiem od strony Ahmeda. Ojciec nie kwapił się wyłuszczać powodów obecności szarego worka, toteż Amina powiedziała sobie: – A niech mu będzie, co za różnica – bo sama też taiła własny sekret, czekający na nią cierpliwie u bram Czerwonego Fortu przy wylocie Ćandni Ćauku. Nadęta w skrywanym rozdrażnieniu matka zachowała epizod z Lifafą Dasem

dla siebie. Tak sobie wykoncypował: – jeżeli i dopóki nie zdradzi mi swoich zamiarów, czemu miałabym mu powierzać swoje?

Nadszedł wreszcie chłodny styczniowy wieczór, kiedy Ahmed Sinai oznajmił: – Muszę dziś wyjść. – Mimo jej próśb: – Przecież jest zimno, przeziębisz się... – włożył garnitur i płaszcz, pod którym tajemniczy szary worek wybrzuszał się groteskowo wyraźnie; doradziła więc jeszcze: – Otul się ciepło – i wyprawiła go w nieznanym kierunku, pytając tylko: – Późno wrócisz? – Na co usłyszała w odpowiedzi: – O tak, późno. – Pięć minut po jego wyjściu Amina Sinai wybrała się pod Czerwony Fort na spotkanie własnej przygody.

Jedna wyprawa zaczęła się w forcie, druga powinna się była w forcie zakończyć, ale stało się inaczej. Jedna przepowiedziała przyszłość, druga ustaliła jej położenie geograficzne. Podczas jednej wyprawy małpki tańczyły gwoli rozrywki; w drugim zaś miejscu małpy wprawdzie też odstawiły taniec, lecz z jakim straszliwym skutkiem. W obu przygodach niejaką rolę odegrały sępy. A przy końcu obu tych dróg czaiły się wielogłowe potwory.

Ale po kolei, najpierw jedna... I oto Amina Sinai stoi pod wysokimi murami Czerwonego Fortu, gdzie rządili Mogołowie, z którego wyżyn padnie proklamacja nowego państwa... choć nie władczyni ani zwiastunka, moja matka spotkała się (mimo pogody) z gorącym przyjęciem. Lifafa Das woła w gasnącym świetle dnia:

– Begam sahiba! O, to wspaniale, że pani przyszła!

Śniadoskóra, w białym sari, macha na niego, żeby wsiadł do taksówki; Lifafa Das sięga do tylnych drzwi, ale kierowca go strofuje:

– Gdzie to? Za kogo ty się masz? Siadaj z przodu, cwaniaczku, a dama będzie siedziała z tyłu!

Amina dzieli tylne siedzenie z czarnym fotoplastikonem na kółkach, Lifafa Das się tłumaczy:

– Przepraszam, begam sahiba. Dobre zamiary nie przynoszą ujmy.

Ale oto, nie czekając na swoją kolej, nadjeżdża kolejna taksówka, zatrzymuje się przed innym fortem, wyładowuje swój towar w postaci trzech panów w garniturach, a każdy z wypchanym szarym workiem pod płaszczem... jeden długi jak życie i wąły jak kłamstwo, drugi jakby bez kręgosłupa i trzeci z wystającą dolną wargą, z pulchnym brzuszkiem, rzednącymi, tłustymi włosami zakręconymi za uszami, z wymowną bruzdą między brwiami, która z wiekiem pogłębi się w bliznę zgorzkniałego, gniewnego człowieka. Taksówkarz mimo chłodu na dworze kipi życiem.

– Purana Kila – woła. – Proszę wysiadać! Stary Fort, jesteśmy na miejscu!

Było już bardzo wiele miast Delhi, lecz Stary Fort, ta szerniała ruina, to tak starożytne Delhi, że przy nim nasze Stare Miasto wydaje się niemowlęciem na rękę. Do tej właśnie ruiny w niewiarygodnie podeszłym wieku przywiódł Kemala, Butta i Ahmeda Sinai anonimowy telefon, przez który padł rozkaz:

– Dziś wieczór. W Starym Fortcie. Tuż po zachodzie słońca. Tylko bez policji... bo inaczej, magazyn fantuś!

Ściskając szare worki wkraczają w pradawny, sypiący się świat.

...Ściskając torebkę matka siedzi obok fotoplastikonu, natomiast Lifafa Das zajmuje miejsce z przodu przy zaskoczonym, porywczym kierowcy i każe jechać po niewłaściwej stronie Głównego Urzędu Poczтового; kiedy matka wjeżdża w te zaułki, gdzie nędza niczym susza zżera smołowaną nawierzchnię, gdzie ludzie prowadzą swe niewidzialne żywoty (bo podobnie jak Lifafę Dasa dosięga ich klątwa niewidzialności, chociaż nie wszyscy mają tak piękne uśmiechy), opada ją coś nowego. Pod naporem tych ulic, które zwężają się z minuty

na minutę, cal po calu stają się coraz bardziej zatłoczone, matka traci swoje „miejskie oczy”. Człowiek o miejskich oczach nie dojrzy niewidzialnych ludzi, nie zderzy się z mężczyznami ze słoniowaczną jader ani z żebrakami na wózkach, a w betonowych segmentach przyszłych drenów nie dostrzeże miejsc noclegowych. Miejskie oczy matki gdzie się zapodziały, a nowość tego, co widziała dookoła, przyprawiła ją o rumieniec, nowość niczym burza gradowa siekła jej policzki. Mój Boże, te śliczne dzieci mają czarne zęby! Niepodobna... małe dziewczynki odsłaniają sutki! Doprawdy, co za potworność! I, Allah-toba, Boże uchwaj, zamiataczki – nie! To jakiś koszmar! – są zgięte we dwoje, mają wiechcie gałązek i żadnych oznak kastowych; o najdroższy Allahu, niedotykalni!... a wszędzie kaleki pokancerowane przez kochających rodziców, żeby zapewnić im całozyciowy dochód z żebractwa... tak, żebracy na wózkach, dorosli z nogami jak niemowlęta w skrzynkach na kółkach sporządzonych z porzuconych wrotek i starych pudeł po owocach mango; matka woła: – Lifaf Dasie, wracajmy!... – ale on tylko się uśmiecha tym swoim pięknym uśmiechem i powiada: – Stąd musimy dojść piechotą. – Widząc, że nie ma odwrotu, matka każe taksówkarzowi zaczekać, na co nerwowo kierowca mówi:

– Ależ naturalnie, przecież na taką wielką damę wypada zaczekać, a jak pani wróci, będę musiał wycofać samochód aż do głównej ulicy, bo tu nie ma gdzie zawrócić!

Dzieci czepiają się palli jej sari, zewsząd głowy wytrzeszczają oczy na matkę, która rozważa w duchu: „Zupełnie jakby mnie otaczał straszliwy potwór, nieboskie stworzenie, co ma głów bez liku”; ale zaraz się poprawia, skąd, przecież to nie żaden potwór, tylko okropnie biedni ludzie... i co dalej? Jakaś moc, jakaś siła nieświadoma własnych możliwości, która zmarniała aż do niemocy wskutek nieużywania... Nie, to nie są, mimo wszystko, zmarniali ludzie. „Boję się” – myśli matka, a tu jakaś ręka dotyka jej ramienia. Odwraca się i patrzy w twarz – nie do wiary! – białemu człowiekowi, który wyciąga obdartą rękę i odzywa się jakby wysokim tonem zagranicznej piosenki: – Dajcie coś, begam sahiba... – i powtarza to w kółko jak zepsuta płyta, kiedy matka patrzy z zakłopotaniem w tę białą twarz o długich rzęsach i zakrzywionym patrycjuszowskim nosie – z zażenowaniem, bo ten człowiek jest biały, a żebranie nie przystoi białym ludziom.

– Idę aż z Kalkuty, piechotą – mówi – widzi pani, begam sahiba, że całe ciało mam obsypane prochem. To ze wstydu za swoją obecność przy tej słynnej rzezi, pamięta pani, begam sahiba, w sierpniu zeszłego roku przez cztery dni pośród wrzasków zasztyletowano tysiące ludzi... – Lifafa Das stoi bezradnie obok, nie wiedząc, jak się zachować wobec białego człowieka, chociażby żebraka, a tamten ciągnie... – Słyszała pani o Europejczyku?... Tak, między zabójcami, begam sahiba, szedł nocą przez miasto biały mężczyzna w zakrwawionej koszuli, co dostał pomieszania od nadciągającej bezradności jemu podobnych; słyszała pani może? – ... Chwila przerwy w tej żenującej pieśni i zaraz: – To był mój mąż. – Dopiero teraz matka dostrzega pod łachmanami przyduszone piersi... – Proszę coś dać na moją hańbę. – Szarpie ją za rękę. Lifafa Das szarpie za drugą, szepcze: uciekajmy, to transwestyta, chodźmy, begam sahiba; Amina stoi jak wryta, a gdy tak szarpia ją w przeciwne strony, chce powiedzieć: „Zaczekaj, biała kobieto, jak tylko załatwię swoją sprawę, zabiorę cię do domu, nakarmię, ubiorę, odeślę do twojego świata”; ale kobieta wzrusza ramionami i odchodzi z pustymi rękoma zwiężającą się uliczką, kurczy się w dali i znika – o, właśnie! – w odległym ubóstwie zaułka. Wtedy odzywa się Lifafa Das z dziwnym wyrazem twarzy:

– Ci ludzie są fantuś! Skończeni! Niedługo wszyscy zginą, a wtedy będziemy mogli swobodnie wymordować się nawzajem.

Dotykając brzucha uwolnioną od tamtej ręką, matka wchodzi za nim w mroczne drzwi, a

twarz jej staje w płomieniach.

...Tymczasem Ahmed Sinai czeka w Starym Fortu na Rawanę. Mój ojciec o zachodzie słońca: stoi w mrocznych drzwiach niegdysiejszej komnaty pośród ruin fortu, dolna warga sterczy mu mięsiste, ręce splótł na plecach, głowę ma pełną zmartwień o pieniądze. Nigdy nie zaznał szczęścia. Czuł nosem przyszlą porażkę; źle traktował służących; może marzyło mu się, aby zamiast przejmować po nieboszczyku ojcu firmę imitacji skóry, znaleźć dość siły, żeby pójść za własną początkową ambicją i przeredagować Koran według ściśle chronologicznego porządku. (Pewnego razu powiedział mi: – Kiedy Mahomet wygłaszał prorocтва, ludzie spisywali jego słowa na palmowych liściach, układanych potem byle jak w pudełku. Po jego śmierci Abu Bakr i inni usiłowali przypomnieć sobie właściwą kolejność, ale nie grzeszyli pamięcią. – Kolejny fałszywy zakręt: zamiast przepisywać świętą księgę, ojciec czał się w ruinach, czekając na demony. Nie dziwota, że nie zaznał szczęścia; ze mnie zresztą też nie miał pociechy. Kiedy się urodziłem, od razu złamałem mu duży palec u nogi.)...Mój nieszczęśliwy ojciec, powtarzam, myśli nerwowo o gotówce. O żonie, która wyłudza od niego rupie i nocą przetrząsa mu kieszenie. O byłej żonie (co koniec końców zginęła w wypadku, kiedy sprzeczała się z woźnicą powozu ciągniętego przez wielbłąda i ten ugryzł ją w szyję), która wypisuje do niego długie listy z prośbami mimo rozwodowej umowy majątkowej. O dalekiej krewnej Zohrze, czekającej, aż on ją wywianuje, żeby mogła wychować dzieci, które pozeńiłyby się z jego dziećmi, aby w ten sposób zagarnąć od niego dalszą część majątku. No i o pieniężnych obietnicach majora Zulfikara (na tym etapie major Zulfy i mój ojciec dobrze ze sobą żyli). Major pisał w listach: „Musisz się zdecydować na Pakistan, kiedy już powstanie, co do czego nie ma wątpliwości. Będzie z całą pewnością kopalnią złota dla takich ludzi jak my. Pozwól, że cię przedstawię samemu M.A.D...”, lecz Ahmed Sinai nie ufał Muhammadowi Alemu Dżinnahowi i nigdy nie przystał na ofertę Zulfy’ego; toteż kiedy Dżinnah został przywódcą Pakistanu, wypadło przemyśleć kolejny fałszywy zakręt. No i, wreszcie, nadchodziły listy z Bombaju od starego przyjaciela ojca, ginekologa, doktora Narlikara. „Anglicy czmychają całymi stadami, bhai Sinai. Nieruchomości idą za bezcen! Wyprzedaj się, przyjeżdżaj tu i kup coś, a do końca życia będziesz żył w dostatku!” W tej głowie tak przepełnionej pieniędzmi nie znalazło się już miejsce na wersety Koranu... tymczasem stoi razem z S.P. Buttem, który zginie w pociągu do Pakistanu, i Mustafą Kemalem, który zostanie zamordowany przez gundów w swoim eleganckim domu przy Flagstaff Road, a na piersiach będzie miał wypisane własną krwią „matkojebca spekulant”...razem z dwoma skazanymi na śmierć mężczyznami, i czeka w skrytości cienia ruin, aby wytropić szantażystę przybywającego po jego pieniądze.

– Południowo-zachodni narożnik – oznajmiono przez telefon. – Jest tam wieżyczka. W środku są kamienne schody. Wejdiesz na górę. Na najwyższy podest. Zostaw tam pieniądze. I odejdz. Zrozumiano?

Wbrew zaleceniom trzech panowie chowają się w zrujnowanej komnacie; gdzieś nad ich głowami, na najwyższym podeście wieży w gęstniejącym mroku, czekają trzy szare worki.

...W gęstniejącym mroku dusznej klatki schodowej Amina Sinai wchodzi na górę ku przepowiedni. Pocieszają Lifa Das, kiedy bowiem wjechała taksówką w to wąskie gardło, gdzie jest zdana na jego łaskę, dostrzegł w niej zmianę, żal z podjętej decyzji, i teraz dodaje jej otuchy w drodze po schodach. Mroczna klatka schodowa pełna jest oczu, oczu świecących przez żaluzje w drzwiach na widowisko w postaci wspinającej się śniadoskórej damy, oczu liżących ją niczym jaskrawe, szorstkie kociejęzyki; kiedy więc Lifa przemawia do niej kojąco, matka czuje, jak odpływa z niej wola: „Co ma być, to będzie”, wewnętrzna siła i

panowanie nad światem wyciekają w gąbkę mrocznej aury klatki schodowej. Nogi ledwo się wloką za jego nogami na coraz to wyższe piętra wielkiego ponurego calu, podupadłej kamienicy, w której Lifafa Das i jego kuzyni zajmują niewielki kąt na samej górze... naraz, już blisko szczytu, moja matka widzi przyćmione światło sączące się na głowy ustawionych w kolejce kalek.

– Mój drugi kuzyn – oznajmia Lifafa Das – jest nastawiaczem kości.

Matka mija mężczyzn ze złamanymi rękami, kobiety z niewiarygodnie wykoślawionymi do tyłu stopami, przechodzi obok poturbowanych czyścicieli okien i pokiereszowanych murarzy, córka lekarza wstępuje w świat starszy niż strzykawki i szpitale; wreszcie Lifafa Das mówi: – Jesteśmy na miejscu, begam – i prowadzi ją przez pokój, w którym nastawiacz kości mocuje gałązki i liście do strzaskanych kończyn, obwiązuje palmowymi liśćmi rozłupane głowy, aż jego pacjenci przypominają sztuczne drzewa, puszczające pędy ze zranionych miejsc... i dalej na płaski, rozległy, betonowy dach. Amina, mrugając w ciemnościach naprzeciw oślepiających lampionów, powoli rozróżnia błędne kształty na dachu: tańczące małpussy, skaczące mangusty, węże wijące się w koszach, a na parapecie sylwetki wielkich ptaków o tułowiach równie zakrzywionych i okrutnych jak dzioby: to sępy.

– Are bap – wykrzykuje – dokąd ty mnie prowadzisz?

– Proszę się nie przejmować, begam – uspokajają Lifafa Das. – To wszystko moi kuzyni. Numer trzy i cztery. Ten jest treserem małp...

– Tylko ćwiczę, begam – odzywa się głos. – Proszę spojrzeć: małpa idzie na wojnę i ginie za ojczyznę!

– ...tamten jest treserem węży i mangust.

– Sahiba, proszę zobaczyć, jak skacze mangusta! A tak tańczy kobra!

– ...A te ptaki?...

– To nic takiego, łaskawa pani. Zaraz obok znajduje się wieża milczenia parsów. Kiedy nie ma akurat nieboszczyków, zlatują się tutaj sępy. Teraz śpią, a za dnia lubią chyba obserwować, jak moi kuzyni ćwiczą.

Mały pokój w najdalszym zakątku dachu. Wraz z wejściem Aminy światło wlewa się przez drzwi... w środku mężczyzna, rówieśnik jej męża, zażywny mężczyzna z kilkoma podbródkami, ma na sobie białe zaplamione spodnie, koszulę w czerwonej kratę, jest boso, żuje nasiona anyżu, popija Vimto z butelki, siedzi na podłodze w pozycji lotosu, a ściany wokół obwieszane są podobiznami Wisznu we wszystkich jego awatach i napisami: NAUKA PISANIA oraz PLUCIE PODCZAS WIZYTY ŚWIADCZY O ZŁYCH MANIERACH. Nie ma tu mebli... Śri Ramram Seth siedzi w pozycji lotosu piętnaście centymetrów nad ziemią.

Muszę przyznać, że matka, ku swej hańbie, aż wrzasnęła...

...Tymczasem w Starym Forcie na szanćcach wrzeszczą małpy. Miasto w gruzach, opuszczone przez ludzi, stało się teraz siedzibą hulmanów o długich ogonach i czarnych mordkach. Małpy zachowują się jak nawiedzone poczuciem własnej misji. Wdrapują się hychychyc, skaczą na szczyty ruin, wyznaczają swoje terytoria, po czym zabierają się do burzenia, kamień po kamieniu, całej fortecy. To prawda, Padmo; nigdy tam nie byłaś, nie stałaś o zmierzchu i nie widziałaś, jak niezmordowane, zacięte, kosmate stworzenia dobierają się do tych kamieni, ciągną i bujają, bujają i ciągną, obluźwiają po jednym kamieniu naraz... dzień w dzień małpy spuszczały z tych murów kamienie, które odbijają się o węgły i wychodnie, by roztrzaskać się w rowach poniżej. Pewnego dnia nie stanie już Starego Fortu; na ostatku będzie tylko kupa gruzu, a na niej tryumfalnie wrzeszczące małpy... o, właśnie

jedna śmiga wśród szańców – nazwę ją Hanumant, imieniem boskiej małpy, która pomogła księciu Ramie pokonać prawdziwego Rawanę, Hanumanta latających rydwanów... Patrz tylko, jak wpada na tę wieżę – swoje terytorium; jak podskakuje trajkocze biega z kąta w kąt własnego królestwa, ocierając się tyłkiem o kamienie; następnie przystaje, wywachuje coś, czego tu nie powinno być... po czym pędzi do wykuszu na najwyższym podeście, w którym trzech mężczyzn zostawiło trzy miękkie szare obce przedmioty. I podczas gdy małpy tańczą na dachu za budynkiem poczty, małpa Hanumant tańczy z oburzenia. Rzuca się na szare przedmioty. Tak, są dość luźno osadzone, nie trzeba ich wiele bujać i ciągnąć, ciągnąć i bujać... proszę zobaczyć, jak Hanumant wlecze teraz miękkie szare kamienie na skraj wysokiej ściany Fortu. Jak ona je drze: rach! ciach! mach!... Jak zwinnie wygarnia papiery ze środka szarych przedmiotów i spuszcza na dół niczym ulewny deszcz, żeby skąpały zrzucone do rowu kamienie!... Papier opada z leniwym, opornym wdziękiem, tonie jak piękne wspomnienie w otchłani ciemności; a teraz buch! bęc! i znów buch! trzy miękkie szare kamienie lecą przez krawędź, łubudum w mrok, aż wreszcie rozlega się cichy, niepocieszony plask. Hanumant dokonawszy dzieła traci natychmiast zainteresowanie, gna do odległej wieżyczki swojego królestwa, zaczyna się bujać na kamieniu.

... Tymczasem hen w dole mój ojciec dojrzał, jak z pomroków wyłania się niesamowita postać. Nieświadom tragedii, która rozegrała się nad jego głową, obserwuje potwora ukryty w cieniu zrujnowanego pokoju: nadchodzi stwór w obdarłej pizamie, z głową demona, szatańską maską z papier-mache, o wyszczerzonych w uśmiechu twarzach ze wszystkich stron... wyznaczony przedstawiciel bandy Rawana. Poborca. Z walącymi sercami trzech biznesmeni patrzą, jak ta zjawia wprost z sennej mary wieśniaka ginie w klatce schodowej prowadzącej na podest, a po chwili w ciszy pustki nocnej słyszą z ust diabła najzupełniej ludzkie przeklecia: – Matkojebcy! Eunuchy jakoweś!... – Nic nie pojmują, tylko widzą, że ich dziwaczny prześladowca znów się wyłania, oddala prędko w ciemnościach, znika. Jego wyzwiska: – Osłojebcy! Świńskie syny! Gównojady! – unoszą się na wietrze. Biegną więc na górę, ze zdumienia mąci im się w głowach; Butt znajduje oddarty strzęp szarego płótna; Mustafa Kemal następuje na zgnieciony banknot rupii; może też, właśnie, a jakże, mój ojciec dostrzega kątem oka mroczne podrygi małpy... i domyślają się wszystkiego.

Podnosi się lament, przenikliwie obelgi pana Butta, będące echem przekleństw diabła; w ich głowach szaleje walka bez słów: pieniądze czy magazyn czy magazyn czy pieniądze? Biznesmeni rozważają w niemej trwodze tę fundamentalną zagadkę – bo przecież nawet jeżeli zostawią pieniądze na łup czyszczących teren psów i ludzi, jak zdołają powstrzymać podpalaczy? – chociaż nie pada ani jedno słowo, zwycięża niepodważalna zasada gotówki-w-garści; zbiegają po kamiennych schodach, przez zarośnięte trawniki, między zburzonymi wrotami, doskakują – NA ŁEB, NA SZYJĘ! – do rowu i poczynają zagarniać rupie do kieszeni, grzebać macać upychać, nie zważając na kałuże uryny i zgniłych owoców, ufając wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, że tej nocy – ot tak po prostu – akurat tej nocy gang odstąpi od zapowiedzianej zemsty. Ale, rzecz jasna...

... Ale, rzecz jasna, jasnowidz Ramram nie wisiał naprawdę w powietrzu, piętnaście centymetrów nad ziemią. Krzyk mojej matki przebrzmiał; skupiła wzrok; zauważyła małą półkę wystającą ze ściany. „Tani chwyt – pomyślała sobie. – Co ja tu robię w tej zapadłej norze śpiących sępów i treserów, czekających na Bóg wie jakie głupstwa z ust guru, który lewituje siedząc na półce?”

Amina Sinai nie wiedziała jednak, że po raz drugi w dziejach miałem dać znać o swojej obecności. (Nie: nie ta oszukańcza kijanka w jej łonie: tylko ja w swej historycznej roli, o

której premierzy pisali, że stanie się „w pewnym sensie zwierciadłem całego narodu”. Owej nocy ozwały się wielkie moce, a wszyscy obecni mieli odczuć ich siłę i przeżyć strach.)

Kuzyni – od pierwszego do czwartego – zebrani w drzwiach, przez które przeszła śniadostkóra dama, zwabieni niczym ćmy do świecy jej wrzasku... przyglądający się w milczeniu, jak szła, prowadzona przez Lifafę Dąsa, ku nieprawdopodobnemu wróżowi, to nastawiacz kości zaklinacz węży i treser małp. Rozległy się szepty zachęty (czyżby też i chichoty tłumione szorstkimi rękami?):

– Sahiba, on pani przepowie przyszłość aż za dobrą! Chodź, kuzyniedzi, dama czeka!

Kim zatem był ten Ramram? Wydrwigroszem, tanim chiromantą, oszustem za dwa pajsy, co to głupim kobietom daje zgrabne wróżby, czy wieszczem co się zowie, który trzyma w ręku klucz? A ten Lifafa Das: czy widział w mojej matce kobietę, którą łatwo zadowolić byle szalbierstwem za dwie rupie, czy wnikał głębiej, w podziemne sedno jej słabości? – A kiedy padła przepowiednia, czy kuzyni też się zdumieili? – A ta piana na ustach? Niby skąd? I czy to prawda, że matka wytracona owego historycznego wieczoru z równowagi straciła nad sobą panowanie – czuła, jak jej się wymyka i zapada w chłonną gąbkę cienistej aury klatki schodowej – i osiągnęła stan świadomości, w którym wszystko się może zdarzyć i da się temu wiarę? Jest też inna, mniej drastyczna możliwość; ale nim zgłoszę własne podejrzenie, muszę opisać jak najwierniej, mimo tej zwiewnej zasłony niejasności, co się faktycznie stało: muszę opisać matkę, jak wyciąga dłoń ku zbliżającemu się chiromancie, oczy ma rozszerzone, bez jednego mrugnięcia, jak u ryby zwanej jaskółką morską – kuzyni zaś dogadują (z chichotem?): – Sahiba, ile on pani wyczyta z ręki! – i – No mów, kuzyniedzi, mów! – lecz zasłona znów opada, nie mam więc pewności – czy rozpoczął jak tani przepowiadacz z namiotu cyrkowego i przeleciał banalne warianty linia życia linia serca, a dzieci będą multimilionerami, podczas gdy kuzyni zachwycali się – O la la! – i – Czytasz z ręki jak nie lada mistrz, jara! – i czy wtedy się zmienił? – czy Ramram zeszywniał – przewrócił oczami, aż ukazały się całe białka niby jajka – czy głosem dziwnym jak lustro zapytał: – Pani pozwoli, że dotknę tego miejsca? – kuzyni zaś ucichli jak śpiące sępy – i czy moja matka, nie mniej dziwnie, odparła: – Tak, pozwalam – toteż jasnowiedz był trzecim mężczyzną, który jej w życiu dotknął, nie licząc członków rodziny? – i czy to właśnie wtedy, w tamtej chwili, krótki nagły wstrząs elektryczny przebiegł między jego pulchnymi palcami a skórą jej macierzyństwa? I twarz mojej matki z zajęczym wytrzeszczem zdumienia patrzy, jak prorok w kraciastej koszuli zaczyna krążyć, a oczy ma wciąż niczym jajka zatopione w twarzy; i wtem przebiega go dreszcz i znów ten dziwnie wysoki ton, kiedy padają słowa z jego ust (muszę również opisać te usta, ale później, bo teraz...): – Syn.

Milczący kuzyni – małpy na smyczach, co przestały trąkotać – kobry zwinięte w koszykach – i krążący wróż słyszą, jak historia przemawia przez jego usta. (Czy tak się to odbyło?) Początek: – Syn... i to jaki syn! – A dalej: – Syn, sahiba, który nie będzie starszy od macierzystego kraju, ani starszy, ani młodszy. – A teraz prawdziwy strach pada na zaklinacza węży, tresera mangust, nastawiacza kości i właściciela fotoplastikonu, bo żaden nie słyszał, żeby Ramram przemawiał takim śpiewnym, wysokim tonem: – Będą dwie głowy, ale pani zobaczy tylko jedną, będą kolana i nos, nos i kolana. – Nos i kolana i kolana i nos... słuchaj uważnie, Padmo; ten człowiek nic a nic się nie omylił! – Najpierw osławią go gazety, matkować będą mu dwie kobiety! Rowerzyści go ukochają, za to tłumy go wygnają! Siostry będą płakać, kobra będzie pęłzać... – Ramram krąży coraz szybciej szybciej, a czterej kuzyni pomrukują: – Co to takiego, baba? – i – Deo, Siwa, miej nas w opiece! – Tymczasem Ramram: – Pranie da mu schronienie, głosy wyprowadzenie! Przyjaciele zechcą go zdybać,

krwem zaś go wyda! – Amina Sinai wtrąca: – Co to znaczy? Nie rozumiem, Lifafa Dasie, co w niego wstąpiło! – Lecz Ramram Seth z jajowatymi oczyma wiruje wokół jej posągowo martwej osoby i ciągnie nieubłaganie dalej: – Spluwaczki go obijają, wydrenują go medycy, dżungle go spowijają, odbijają czarownicy! Żołnierze go skażą, tyrani usmażą... – Tymczasem Amina błaga o wyjaśnienia, a kuzyni poczynają klaskać w szale bezradnego popłochu, bo coś tu przejęło władzę i nikt nie śmie dotknąć Ramrama Seta, kiedy ten kołuje do punktu kulminacyjnego: – Będzie miał synów, nie mając synów! Zestarzeje się, nim się zestarzeje! I umrze... jeszcze przed śmiercią!

Czy tak się to odbyło? Czy wtedy Ramram Seth, zdruzgotany przepływem siły potężniejszej niż jego własna, padł jak rażony na podłogę, a z ust poszła mu piana? Czy między szczękające zęby wsadzono mu kij tresera mangusta? Czy Lifafa Das prosił: – Begam sahiba, musi pani wyjść, nasz kuzyni zaniemógł?

A na ostatku zaklinacz kobr – albo treser mały, albo nastawiacz kości, albo wręcz Lifafa Das od fotoplastikonu na kółkach – odezwał się: – Do licha, zbyt duża to przepowiednia. Nasz Ramram za dużo dziś wyprorokował.

Po wielu latach, w okresie przedwczesnego zdziecinnienia matki, gdy najrozmaitsze duchy jej przeszłości roztańczyły mi się przed oczyma, Amina znów ujrzała właściciela fotoplastikonu, któremu uratowała życie, obwieszczając moje nadejście, za co z wdzięczności zaprowadził ją na zbyt dużą przepowiednię, i rzekła do niego pojednawczo, bez żalu: – A więc wróciłeś. Powiem ci tylko jedno: szkoda, że nie zrozumiałam, co twój kuzyni miał na myśli, kiedy mówił o tej krwi, o kolanach i o nosie. Bo kto wie? Może miałabym innego syna.

Tak jak z początku mój dziadek w opajęczonym korytarzu domu ślepcy, a później pod sam koniec; tak jak Maria Pereira po stracie swojego Józefa, tak wreszcie jak ja, tak i moja matka miała dar widzenia duchów.

...Teraz jednak, w obliczu dalszych pytań i niejasności, muszę zgłosić pewne podejrzenia. Podejrzenie to również potwór o zbyt wielu głowach; czemu więc nie mogę się powstrzymać od wypuszczania go na własną matkę?... Jak, pytam się, brzmiałby wierny opis brzucha owego jasnowidza? A pamięć – moja nowa, wszechwiedząca pamięć obejmująca większość żywota matki ojca dziadka babki i wszystkich innych – odpowiada: pulchny, miękki jak budyń kukurydziany. I znów wbrew sobie pytam: a jak wyglądały jego usta? I pada nieuchronna odpowiedź: pełne; mięsiste; poetyckie. Po raz trzeci zapytuję swą pamięć: no a jakie miał włosy? Odpowiedź: rzędzące; ciemne; tłuste; zakręcone za uszami. I teraz moje irracjonalne podejrzenia zadają ostatnie pytanie... czy Amina, czysta jak sama czystość, istotnie... z powodu słabości do mężczyzn przypominających Nadira Chana mogła mieć... w tym dziwnym stanie umysłu, poruszona chorobą wróża, czyż nie mogła...

– Nie! – woła oburzona Padma. – Jak śmiesz coś takiego sugerować? O takiej zacnej kobiecie, o własnej matce? Że mogłaby? Nic nie wiesz, a mimo to mówisz?

Ma, oczywiście, rację, jak zawsze. Gdyby wiedziała, orzekłaby, że mszczę się tylko za to, przy czym widziałem Aminę wiele lat później przez mętne szyby kawiarni Pionier; może właśnie wtedy zrodziła się ta moja irracjonalna myśl, rosnąc cofnęła się wbrew logice w czasie i całkiem już dojrzała objęła tę wcześniejszą – niemal na pewno niewinną – przysgodę. Tak, chyba tak się to odbyło. Potwór jednak nie zamierza spocząć... – No, dobrze – powiada – a ten jej napad wściekłości, kiedy Ahmed oznajmił, że przenoszą się do Bombaju? – I zaczyna ją przedrzeźniać: – Zawsze ty, ty jeden decydujesz. A ja? Przypuśćmy, że nie chcę... ledwo doprowadziłam do ładunku ten dom...! – No i co, Padmo? Czy to gorliwość pani domu, czy jedynie maskarada?

Właśnie – czają się wątpliwości. Potwór pyta:

– Czemu, tak czy siak, nie powiedziałaś mężowi o tej wizycie? Odpowiedź oskarżonej (wypowiedziana pod nieobecność matki ustami Padmy):

– Na miłość boską, pomyśl, jak on by się rozgniewał! Nawet gdyby nie miał głowy nabitej całym tym podpalaniem! Do obcych mężczyzn; sama kobieta; chyba by wpadł w furję! Wpadłby w furję ani chybi!

Niegodne podejrzenia... muszę ich zaniechać; muszę zachować surową krytykę na później, kiedy już wobec braku niejasności, bez tej tumaniącej zasłony, dała mi prawdziwe, jasne, niezbite dowody.

* * *

...Ale, rzecz jasna, kiedy ojciec późną nocą wrócił do domu, zalatując rowem, którego odór przysłonił zwykły zapach przyszej porażki, oczy i policzki miał zalane łzami z popiołem; w nozdrzach siarkę, a na głowie szary pył spalonej imitacji skóry... bo oczywiście spalono jego magazyn.

– A stróże nocni? – Spali, Padmo, spali. Powiadomieni zawczasu, żeby na wszelki wypadek łyknęli sobie napoju nasennego... Ci odważni lalowie, waleczni Patanowie, urodzeni w mieście, którzy nie widzieli na oczy przełęcz Chajber, rozpakowali papierowe paczuszki i wsypali rdzawy proszek do bulgoczącego kotła herbaty. Wystawili swoje łóżka ćarpai z dala od magazynu ojca, żeby uniknąć spadających belek i sypiących się iskier; po czym leżąc na sznurowych wyrkach popijali herbatę i popadali w gorzko-słodkie odurzenie narkotykiem. Najpierw aż ochrypli wykrzykując w języku pusztu pochwały pod adresem ulubionych prostytutek, potem zanosili się dzikim śmiechem, kiedy pulchne, wibrujące palce narkotyku łaskotały ich w zębra... wreszcie śmiech ustąpił miejsca marzeniom sennym, toteż błąkali się po przejściach granicznych narkotyku, dosiadając rumaków otumanienia, a na ostatku ogarnęła ich niepamięć bez snów, z której nic na świecie nie zdołałoby ich obudzić, dopóki narkotyk nie przestanie działać.

Ahmed, Butt i Kemal zajechali taksówką – taksówkarz wylękniony trójką mężczyzn, którzy ściskali pliki wymiętych banknotów nieziemsko cuchnących niemiłymi substancjami, z jakimi zetknęły się w rowie, nie zamierzał czekać, ale odmówili mu zapłaty.

– Puście mnie, wielcy panowie – błagał. – Jestem tylko małym człowiekiem, nie trzymajcie mnie tu... – lecz oni już odwrócili się do niego plecami, spiesząc ku pożarowi. Patrzył za nimi, jak biegną, ściskając rupie zawałane pomidorami i psim gównem; gapił się z rozdziawioną gębą na płonący magazyn, na chmury w nocnym niebie, i jak wszyscy świadkowie tej sceny musiał wdychać powietrze wypełnione imitacją skóry, zapalkami i płonącym ryżem. Zastaniając rękami oczy, zerkając przez palce, mały taksówkarz z lichym wąsem dojrzał, że pan Kemal, chudy jak niedorozwinięty ołówek, bije i kopie ciała śpiących stróży nocnych; już miał zrezygnować z zapłaty za kurs i odjechać w popłochu, kiedy mój ojciec zawołał: – Uwaga! – ...I zostawszy tam mimo wszystko, zobaczył, jak magazyn wali się pod naporem liżących czerwonych jęzorów, jak z magazynu wylewa się nieprawdopodobna lawa stopionego ryżu soczewicy grochu nieprzemakalnych kurtek pudełek z zapalkami i marynat, jak gorące czerwone kwiaty ognia buchają do nieba, kiedy zawartość magazynu rozlewa się na twardą żółtą ziemię niczym czarna zwęglona ręka rozpaczy. Tak, magazyn oczywiście spłonął, runął im z nieba na głowy popiołem, sypnął w otwarte usta poturbowanych, a mimo to wciąż chrapiących stróży...

– Niech Bóg ma nas w opiece – stwierdził pan Butt, naco Mustafa Kemal dodał nieco bardziej pragmatycznie:

– Chwała Bogu, że jesteśmy wysoko ubezpieczeni.

– Dokładnie wtedy – Ahmed Sinai powiedział później żonie – w tym właśnie momencie postanowiłem wycofać się z branży. Sprzedać kantor, cały interes i zapomnieć raz na zawsze o handlu skajem. Dokładnie wtedy, nie wcześniej i nie później, powziąłem też decyzję, żeby dać sobie spokój z tymi wszystkimi mirażami na temat Pakistanu, roztaczanymi przez Zulfy’ego twojej Emeraldy. W ogniu pożogi – wyznał ojciec, rozpętując tym samym atak szaleństwa małżonki – postanowiłem wyjechać do Bombaju i wziąć się za handel nieruchomościami. Nieruchomości idą teraz za bezcen – oznajmił, nim zdążyła podnieść sprzeciw – wie o tym Narlikar.

(Ale w swoim czasie nazwie Narlikara zdrajcą.)

Nasza rodzina rusza się dopiero wtedy, gdy się ją popchnie – zamrożenie w roku 1948 to jedyny wyjątek potwierdzający regułę. Przewoźnik Tai wywiódł mojego dziadka z Kaszmiru; merkurochrom wygonił go z Amritsaru; zawalenie się życia pod dywanem doprowadziło bezpośrednio do wyjazdu mojej matki z Agry; a wielogłowe potwory wypędziły ojca do Bombaju, żebym mógł się tam urodzić. Pod koniec owego stycznia historia, rozdawszy tych kilka kuksańców, dotarła wreszcie do punktu, w którym mogła mi niebawem zgotować godne przyjęcie. Pozostały tajemnice nie dające się wyjaśnić aż do chwili mojego wkroczenia na scenę... na przykład tajemnica najbardziej enigmatycznej wyroczni Śri Ramrama: – Będzie nos i kolana, kolana i nos.

Nadeszła wypłata odszkodowania; styczeń dobiegł końca; w czasie, który upłynął od zamknięcia interesu w Delhi i przeprowadzki do miasta, gdzie – wedle ginekologa, doktora Narlikara – nieruchomości szły chwilowo za bezcen, matka skoncentrowała się na swoim etapowym planie nauczania się miłości do męża. Rozbudziła w sobie żywe uczucie do znaków zapytania jego uszu; do niewiarygodnej głębi jego pępka, w którym mogła zanurzyć palec aż do pierwszego kłykcia, nawet bez specjalnego wpychania; pokochała jego węzłaste kolana; ale mimo najszczerzych chęci (a ponieważ raczę ją swoimi wątpliwościami, nie podsunę tu żadnych ewentualnych powodów), jednego organu nie zdołała nijak pokochać, chociaż był to jedyny jego sprawnie funkcjonujący członek, czego z pewnością nie można powiedzieć o Nadirze Chanie; w te noce, kiedy wspinał się na nią – a dziecko w jej łonie było nie większe od żaby – po prostu im nie szło.

... – Nie, nie tak prędko, dżanam, życie moje, proszę cię, jeszcze trochę – mówi, więc Ahmed, żeby to odwlec, stara się myśleć o pożarze, aż do ostatniej sceny, jaka się rozegrała tej płomiennej nocy, gdy zbierając się już do odejścia usłyszał ohydny skrzek na niebie, spojrzął w górę i zauważył tylko, że nad głową przelatuje sęp – w nocy! – sęp z wież milczenia i że upuścił nadgryzioną rękę parsa, prawą rękę, która to ręką spadając – och! – rąbnęła go z całej siły w twarz; tymczasem Amina, przygnieciona ciężarem męża, beszta się w duchu: „Że też nie sprawia ci to przyjemności, ty durna kobieto, od dzisiaj musisz się naprawdę przyłożyć.”

4 czerwca moi niedobrani rodzice udali się pociągiem Frontier Mail do Bombaju. (Walenie do drzwi, głosy dobijające się jak im życie drogie, rozwrzeszczane pięści: – Maharadzo, otwórz, tylko na sekundeczkę! Ohe, na mleko twojej łaskawości, bądź tak dobry, wielki panie! – Jechała też z nimi – ukryta pod posagiem w zielonym blaszanym kufrze – zakazana, inkrustowana lazurytem, kunsztownie rzeźbiona srebrna spluwaczka.) Tego samego dnia Earl Birmy Mountbatten urządził konferencję prasową, na której ogłosił podział Indii i zawiesił u

siebie na ścianie kalendarz odliczający wstecz: siedemdziesiąt dni do przekazania władzy...
sześćdziesiąt dziewięć... sześćdziesiąt osiem... tik-tak.

Methwold

Pierwsi byli tu rybacy. Przed cykadełkiem Mountbattena, przed potworami i oświadczeniami publicznymi; kiedy podziemne małżeństwa były zgoła niewyobrażalne, a spluwaczek po prostu nie znano; wcześniej niż wynaleziono merkurochrom; na długo przed zapaśniczkami trzymającymi przedziurawione prześcieradła; dużo, dużo dawniej, zanim nastali Dalhousie i Elphinstone, nim Kompania Wschodnioindyjska zbudowała swój Fort, jeszcze przed pierwszym Williamem Methwoldem; w zaraniu dziejów, kiedy Bombaj był wyspą w kształcie hantli, zwężającą się pośrodku w wąskie błyszczące pasmo plaży, za którym rozciągał się widok najznakomitszego i największego portu naturalnego Azji, kiedy Mazagaon i Worli, Matunga i Mahim, Salsette i Kolaba też były wyspami – jednym słowem, zanim melioracja gruntów, czwórnoży i wbite pale przekształciły Siedem Wysp w długi półwysep na podobieństwo wyciągniętej, rozcapierzonej ręki sięgającej na zachód ku Morzu Arabskiemu; w tym pradawnym świecie sprzed czasów wież zegarowych rybacy – z plemienia Koli – żeglowali w arabskich łodziach dhow, rozwijając czerwone żagle pod zachodzącym słońcem. Łowili jaskółki morskie i kraby, co uczyniło z nas wszystkich miłośników ryb. (Albo prawie ze wszystkich. Padma uległa tej rybiej magii; ale nasza rodzina była skażona obcością krwi kaszmirskiej, lodowatym dystansem kaszmirskiego nieba i pozostała mięsożerna.)

Były też orzechy kokosowe i ryż. A nad tym wszystkim panowała dobrotliwie bogini Mumbadewi, której imię – Mumbadewi, Mumbabai, Mumbai – może też przeszło na miasto. Z kolei jednak Portugalczycy nazwali tę miejscowość Bom Bahia od portu, a nie od bogini ludu jaskółek morskich... Portugalczycy byli pierwszymi najeźdźcami, wykorzystywali port do cumowania statków handlowych i okrętów wojennych; lecz któregoś dnia w roku 1633 pewien oficer Kompanii Wschodnioindyjskiej nazwiskiem Methwold doznał objawienia. Objawienie to – wizja brytyjskiego Bombaju, sfortyfikowanego, broniącego Indii od zachodu przed wszystkimi przybyszami – miało w sobie tyle siły, że wprawiło czas w ruch. Historia zakipiała; Methwold umarł; a w roku 1660 odbyły się zrzękowiny Karola II, króla Anglii, z Katarzyną z portugalskiej dynastii Braganzów – z tą samą Katarzyną, która przez całe życie grała drugie skrzypce przy sprzedającej pomarańcze Nell. Jedno przynajmniej miała na pociechę, że to właśnie z jej wianem Bombaj przeszedł w ręce Anglików, może w zielonym kufrze, co przybliżyło wizję Methwolda o krok do urzeczywistnienia. Później już niedługo, bo 21 września 1668 roku Kompania ostatecznie wzięła wyspę w swoje ręce... zabrano się do dzieła, ruszył Fort, zmeliorowano grunty i nim się kto obejrzał, powstało tu miasto Bombaj wysławiane przez starą pieśń:

Prima in Indis,

Wrota do Indyj,

Gwiazda to Wschodu

Z licem zwróconym na Zachód.

Nasz Bombaj, Padmo! Wszystko podówczas wyglądało zupełnie inaczej, nie było klubów nocnych ani fabryk marynat, ani hoteli Ober-oi-Sheraton, ani wytwórni filmowych; miasto jednak rosło w zawrotnym tempie, doczekało się katedry i pomnika wojowniczego króla Marathów, Śiwadźiego na koniu, który (jak wówczas sądziliśmy) ożywał nocą i galopował

groźnie ulicami miasta – po promenadzie Marine Drive! Po piaskach plaży Caupatti! Mijał gmaszyska na Wzgórzu Malabarskim, skręcał w Kemp's Corner, pędził wzdłuż morza aż do Scandal Point! I dalej, a jakże, rwał naprzód moją Warden Road, mimo wydzielonych basenów pływackich przy Breach Candy, ku olbrzymiej Świątyni Mahalakszmi i staremu Klubowi Willingdona... Przez całe moje dzieciństwo, gdy tylko w Bombaju działo się coś złego, zawsze jakiś bezsenny przechodzień nocny zaklinał się, że widział pomnik w ruchu; nieszczęścia w mieście mojej młodości tańczyły w rytm czarodziejskiej muzyki szarych, kamiennych końskich kopyt.

I gdzie ci pierwsi mieszkańcy są dzisiaj? Najlepiej przetrwały orzechy kokosowe. Nadal codziennie ścina się im głowy na plaży Caupatti: a na plaży Džuha pod rozmarzonymi spojrzzeniami gwiazd filmowych w hotelu Sun'n'Sand wyrostki po dziś dzień wdrapują się na palmy i znoszą brodate owoce. Kokosy doczekały się nawet własnego festiwalu, Święta Kokosu, obchodzonego na kilka dni przed moimi synchronicznymi urodzinami. O kokosy nie ma obawy. Bo ryż, na przykład, nie miał tyle szczęścia; poletka ryżowe znikły dzisiaj pod betonem; tam, gdzie niegdyś jak okiem sięgnąć aż do morza płał się ryż, teraz wznoszą się dzielnice mieszkalne. Ale i tak w mieście jada się sporo ryżu. Ryż z Patny, ryż z Basmati, ryż z Kaszmiru co dzień jedzie do wielkich miast, toteż oryginalny protoryż odcisnął na nas wszystkich piętno, nie można więc powiedzieć, że zginął bez echa. Co się zaś tyczy Mumbadewi, straciła dziś na popularności, wyparł ją z ludzkich serc słońcogłowy Ganeśa. Jej upadku dowodzi chociażby kalendarz świąt: Ganeśa – „Ganpati Baba” – ma swój dzień, Ganeśa Ćaturthi, kiedy zbierają się wielkie procesje i maszerują na plażę Caupatti, niosąc gipsowe podobizny boga, które następnie topią w morzu. Święto Ganeśi to ceremonia sprowadzania deszczu, przybliżająca nadejście monsunu, obchodzona równie uroczyście przed moim przyjściem na świat, gdy dobiegło końca odliczanie wstecz – ale gdzie jest święto Mumbadewi? Nie ma go w kalendarzu. Gdzie modły ludu jaskółek morskich, kult poławiaczy krabów?... Ze wszystkich pierwszych mieszkańców najgorszy los spotkał rybaków z plemienia Koli. Stłoczeni obecnie w malutkiej wiosce na kciuku dłoniopodobnego półwyspu nadali ponoć imię całemu okręgowi – Kolabie. Ale wystarczy dojechać szosą kolabską do samego koniuszka – mijając sklepiki z tanią odzieżą, irańskie restauracje, skromne mieszkania nauczycieli, dziennikarzy i urzędników – a można ich tam znaleźć schwytych w pułapkę między bazą marynarki wojennej a morzem. Niekiedy kobiety z plemienia Koli, z rękoma cuchnącymi od wnętrzości jaskółek morskich i mięsa krabów, przepychają się bezczelnie na przód kolejki do autobusu w Kolabie, odziane w szkarłatne (względnie fioletowe) sari, związane bezwstydnie wysoko między nogami, z żywym błyskiem dawnych porażek i wydziedziczeń w wyłupiastych, rybich poniekąd oczach. Najpierw fort, a potem całe miasto ograbiły ich z ziemi; kafary ukradły im (a czwornogi jeszcze ukradną) całe połacie morza. Nadal jednak co wieczór o zachodzie słońca arabskie dhow rozwijają żagle... w sierpniu 1947 roku Anglicy zakończywszy panowanie nad sieciami rybackimi, kokosami, ryżem i Mumbadewi, sami mieli się stamtąd wynieść; żadne panowanie nie trwa wiecznie.

19 czerwca, dwa tygodnie po przyjeździe do Bombaju pociągiem Frontier Mail, rodzice otrzymali dziwną, acz korzystną ofertę od takiego wynoszącego się Anglika. Nazywał się William Methwold.

Droga do Posiadłości Methwolda (wkraczamy teraz w moje królestwo, w samo serce mojego dzieciństwa; aż mnie coś chwyta za gardło) odchodzi od Warden Road między przystankiem autobusowym a rzędem sklepów. Sklep z zabawkami Ćimalkera; „Raj dla czytelników”; zakład jubilerski Ćimanbhoj Fatbhoj, no i, najważniejsze, cukiernia Bombelli z

tortem Markiz i Całym Jardem Czekoladek! Nazwy o magicznym uroku, ale nie czas się teraz nad nimi rozwodzić. Obok salutującego tekturowego posługacza przed pralnią Band Box droga prowadzi do naszego domu. W owych czasach nikomu się nie śnił różowy drapacz chmur kobiet Narlikara (szkaradna kopia wieży radiowej w Śrinagarze!); droga wznosiła się na nieduży pagór, mniej więcej wysokości piętrowego budynku; zakręcała ku morzu, spozierając z góry na Klub Pływacki Breach Candy, gdzie różowi ludzie mogli pływać w basenie o kształcie Indii brytyjskich bez obawy o to, że otrą się o czarną skórę; tam właśnie wokół małego, okrągłego placyku stały dumnie pałace Williama Methwolda, a na nich wisiały tabliczki, które – dzięki mnie – pojawiły się tam znów po wielu latach; tabliczki z dwoma tylko słowami; tylko dwa słowa, a zdołały wciągnąć moich nieświadomych niczego rodziców w dziwaczną grę Methwolda: NA SPRZEDAŻ.

Posiadłość Methwolda: cztery identyczne dworki wzniesione w stylu godnym ich oryginalnych mieszkańców (domy zdobywców! rezydencje rzymskie; dwupiętrowe siedziby bogów stojące na tym piętrowym Olimpie, na tej skarłajej górze Kajlasa!) – wielkie, solidne rezydencje z czerwonymi szczytowanymi dachami i wieżyczkami we wszystkich rogach, narożnymi wieżami koloru kości słoniowej w spiczastych czapkach z czerwonej dachówki (w takich wieżach można by wzięć księżniczki!) – domy z werandami, z kwaterami dla służby, do których wiodły ukryte na tyłach spiralne żelazne schody – domy nazwane majestatycznie przez właściciela, Williama Methwolda, imionami pałaców w Europie: Willa Wersal, Willa Buckingham, Willa Escorial i Sans Souci. Spowijała je bugenwilla; w bładoniebieskich stawach pływały złote rybki; w ogródkach skalnych rosły kaktusy; drobne niecierpki kulily się pod drzewami tamaryndy; a na trawnikach motyle, róże i trzciniowe fotele. Owego właśnie czerwcowego dnia pan Methwold sprzedał te puste pałace za śmiesznie niską cenę – ale postawił pewne warunki. Teraz już więc bez zwłoki przedstawię go od stóp do głów, łącznie z przedziałkiem na głowie... sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, tytan o różanej twarzy tryskającej wieczną młodością. Miał na głowie gruby, czarny turban brylantynowanych włosów przedzielonych pośrodku. Jeszcze wrócimy do tego przedziałka, prostego jak wycior, którego nienaganność przesądzała o wzięciu Methwolda u kobiet, bo żadna nie mogła się oprzeć pokusie, żeby go nie zwichrzyć... włosy Methwolda przedzielone pośrodku zaważyły istotnie na moich początkach. Była to bowiem jedna z tych ścieżynek grubości włosa, którymi chadzają historia i erotyka. Niczym linoskoczkowie. (Ale mimo wszystko nawet ja, który go nigdy nie widziałem, nie znałem jego lśniących jak marzenie zębów ani zabójczej fryzury, nie żywię do niego urazy.)

A nos? Jaki miał nos? Wystający? O, z całą pewnością, otrzymany w spadku po patrycjuszowskiej babce Francuzce – z Bergerach – której krew płynęła błękitem w jego żyłach i zaciągała jego arystokratyczny wdzięk domieszką okrucieństwa, słodkim, morderczym odcieniem piołunu.

Posiadłość Methwolda sprzedano pod dwoma warunkami: że domy zostaną nabyte wraz z wszystkimi ruchomościami, a nowi właściciele zatrzymają bezwzględnie całe mienie oraz że przekazanie praw nie nastąpi aż do północy 15 sierpnia.

– Ze wszystkim? – spytała Amina Sinai. – Nie mogę wyrzucić ani jednej łyżeczki? O, Allah, co za abażur... Nie mogę się pozbyć nawet grzebienia?

– Z całym dobrodziejstwem inwentarza – potwierdził Methwold. – Tak wyglądają moje warunki. Kaprys, panie Sinai... pozwoli pan wyjeżdżającemu koloniście na taką małą zabawę? Niewiele nam, Brytyjczykom, pozostało, możemy się więc na koniec pobawić w nasze gry.

– Zrozumże, Amino, zrozum – tłumaczy jej później Ahmed. – Chcesz całe życie spędzić w tym hotelowym pokoju? Toż to niebywała cena, powiadam ci, niebywała. A co on nam zrobi, kiedy już spiszemy akt notarialny? Wtedy będziesz sobie mogła wyrzucić każdy abażur, który ci się nie spodoba. Niecałe dwa miesiące...

– Będzie pan pijał koktajl w ogrodzie? – pyta Methwold. – Codziennie o szóstej wieczór. Pora koktajlu. Nie zmieniła się od dwudziestu lat.

– Boże ty mój, ta farba... i te szafy pełne starych ciuchów, dżanam... będziemy mieszkali na walizkach, nie ma gdzie wetknąć choćby jednego ubrania!

– Kiepska sprawa, panie Sinai. – Methwold popija whisky wśród kaktusów i róż. – Jeszcze czegoś podobnego nie widziałem. Setki lat przyzwoitych rządów, aż tu nagle, pach i wynocha. Przyzna pan, że nie byliśmy aż tacy źli: pobudowaliśmy wam drogi. Szkoły, koleje, system parlamentarny, też nie do pogardzenia.. Tadz Mahal już się prawie rozpadał, aż musieli się nim zająć Anglicy. A teraz, raptem niepodległość. Siedemdziesiąt dni na wyprowadzkę. Krzywo ja na to wszystko patrzę, ale co mogę poradzić?

– ...Spójrz tylko, dżanam, na te plamy na dywanach: bite dwa miesiące będziemy musieli mieszkać jak ci Brytyjczycy? A zaglądałeś do łazienek? Nie ma nawet kranów przy klozetach. Nie chciało mi się wierzyć, ale to prawda, mój ty Boże, podcierają sobie tyłki samym tylko papierem!...

– Niech mi pan powie, panie Methwold – akcent Ahmeda Sinai zmienił się, w obecności Anglika zatrącał obmierzłą imitacją oksfordzkiego zaciągania – czemu nalega pan na zwłokę? Przecież sprzedaż od ręki to najlepsza transakcja. Sfinalizujmy ją wreszcie.

– ...No i wszędzie na ścianach te zdjęcia starych Angielek! Baba, nie mam gdzie zawiesić fotografii ojca!...

– Wie pan co, panie Sinai – Methwold napełnia ponownie szklanki w blasku słońca chylącego się ku Morzu Arabskiemu za basenem Breach Candy – że pod tą sztywną angielską powłoką kryje się psychika o nader indyjskim zacięciu do alegorii.

– A tyle pić, dżanam... to niezdrowo.

– Nie jestem pewien, panie Methwold, czy dobrze rozumiem pańskie...

– ...No, wie pan, w pewnym sensie ja też przekazuję władzę. Ubzdurało mi się, żeby uczynić to dokładnie w tej samej chwili co Radź. Jak już mówiłem: ot, taka zabawa. Liczę na pańską pobłażliwość, panie Sinai. W końcu cena, sam pan przyznaje, nie jest wygórowana.

– Dżanam, rozum mu odjęło czy co? Jak myślisz: można to się wdawać w taki handel, jeśli on jest pomyłony?

– Słuchaj, żono – mówi Ahmed Sinai – tego już za wiele. Pan Methwold jest zycznym człowiekiem, dobrze urodzonym, honorowym, i nie pozwolę, żebyś szargała... Zresztą, pozostali nabywcy z pewnością tak nie wydziwiają... Poza tym dałem już słowo, więc koniec dyskusji.

– Może krakersa – częstuje pan Methwold podsuwając talerz. – Bardzo proszę, panie S. Tak, to dziwna sprawa. Jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Moi dawni dzierżawcy – stare indyjskie wygi, jeden w drugiego – naraz pach i wynocha. Ponura historia. Odechciało im się tych całych Indii. Przez jedną noc. To zaskoczenie dla takiego prostego człowieka jak ja. Zupełnie jakby umyli ręce, nie chcieli stąd nic a nic zabrać. „Diabła tam”, powiadali. We własnym domu zaczniemy od zera. Wprawdzie żaden, widzi pan, nie świecił pustą kiesą, ale zawsze. Przedziwne. Zostawili mnie tak na łasce losu. Wtedy przyszedł mi do głowy ten pomysł.

– ...Właśnie, decyduj sam, decyduj – dogaduje Amina z przejściem. – Siedzę tu jak ten

tobołek z dzieckiem, ale czy ja się liczę? Mam mieszkać w domu obcego człowieka z niemowlęciem w łonie, to i co takiego?... Och, do czego ty mnie zmuszasz...

– Nie płacz – prosi Ahmed miotając się po pokoju hotelowym. – To przyzwoity dom. Przyznaj, że ci się podoba. A za dwa miesiące... niecałe dwa... co, kopie? Daj, niech i ja poczuję... Gdzie? Tu?

– Tam – mówi Amina wycierając nos. – Kopie mocno, jak należy.

– Mój pomysł – wyjaśnia pan Methwold wpatrzony w zachód słońca – polega na zainscenizowaniu własnego przekazania dóbr. Chcę zostawić po sobie wszystko, rozumie pan? Wybrać odpowiednie osoby – takie jak pan, panie Sinai! – i przekazać im wszystko nietknięte, w idealnym stanie. Proszę się rozejrzeć: sam pan przyzna, że wszystko jest w należytych porządku. Jak to się mówi, tip-top. Albo jak wy to mówicie w hindustani: Sab kuch tik-tak hai. W najlepszym porządku.

– Sympatyczni ludzie kupują te domy – Ahmed podaje Aminie swoją chustkę – sympatyczni nowi sąsiedzi... chociażby taki pan Homi Catrack, co obejmuje Willę Wersal, wprawdzie pars, ale za to właściciel konia wyścigowego. Produkuje filmy i w ogóle. Czy ci Ibrahimowie z Sans Souci. Nussie Ibrahim też się spodziewa dziecka, możecie się zaprzyjaźnić... a stary Ibrahim ma wielkie farmy sizalu w Afryce. Dobra rodzina.

– ... I potem będę mogła urządzić dom, jak zechcę...?

– A jakże, przecież jego już tu nie będzie...

– Wszystko poszło jak z płatka – oświadcza William Methwold. – Wie pan, że to mój przodek wystąpił z pomysłem zbudowania tego miasta? Taki, nie przymierzając, Raffles z Bombaju. Jako jego potomek czuję, że w tej przełomowej chwili muszę, bo ja wiem, muszę odegrać swoją rolę. Tak, świetnie... kiedy się państwo wprowadzają? Jedno pańskie słowo, a zaraz przenoszę się do hotelu Tadż. Jutro? Świetnie. Sab kuch tik-tak hai.

Wśród tych oto osób upłynęło mi dzieciństwo: pan Homi Catrack, potentat filmowy, właściciel konia wyścigowego, i jego córka debilka imieniem Toxy, którą trzeba było zamykać z piastunką, Bi-Appą, najgroźniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem; dalej Ibrahimowie z Sans Souci, stary Ibrahim Ibrahim ze swą kozia bródką i sizalem, jego synowie, Ismail i Ischak, a także drobna, wiecznie poirytowana nieszczęsna żona Ismaila, Nussie, którą przeżywalismy Nussie-kaczka ze względu na jej kaczy chód, w której łonie rósł mój kolega, Sonny, wychodząc, nawet w tej chwili, na spotkanie swojej pechowej przygody z parą ginekologicznych kleszczy... Willa Escorial była podzielona na odrębne mieszkania. Na parterze mieszkali Dubaszowie, on – fizyk, z czasem miał się stać gwiazdą przewodnią próbnej bazy nuklearnej w Trombaju, ona – kompletne zero, za którego pustką krył się prawdziwy fanatyzm religijny – ale niech się tam nadal kryje, wspomnę tylko, że byli to rodzice Cyrusa (choć ten zostanie poczęty dopiero za kilka miesięcy), mojego pierwszego mentora, który grywał w przedstawieniach szkolnych role dziewcząt, a nazywano go Cyrusem Wielkim. Nad nimi mieszkał przyjaciel mojego ojca, doktor Narlikar, który też tam kupił mieszkanie... miał równie czarną skórę jak moja matka; kiedy jednak był czymś podniecony lub wzburzony, dosłownie się cały rozjaśniał; nie cierpiał dzieci, ale pomógł nam przyjść na świat; a po śmierci przysporzył miastu całej zgrai kobiet, zdolnych do wszystkiego, niepomnych na żadne przeszkody. Wreszcie ostatnie piętro zajmowali komandor Sabarmati i Lila – Sabarmati, jeden z najbardziej górnołotnych oficerów marynarki wojennej, i jego żona o zbytkownych gustach; nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu, że takim tanim kosztem zapewnił jej dom. Mieli dwóch synów, w wieku osiemnastu i czterech miesięcy, którzy wyrosli na niesfornych leniuchów, nazywano ich Okruchoka i Pomada; no i nie wiedzieli (bo

niby skąd?), że zniszczę im życie... Ci ludzie, dobrani przez Williama Methwolda, tworzący centrum mojego świata, wprowadzili się do posiadłości, i znosili dziwaczne kaprysy Anglika – bo w końcu cena była przystępna.

...Zostało jeszcze trzydzieści dni do przekazania władzy, a Lila Sabarmati szczebiocze przez telefon:

– Jak ty to wytrzymujesz, Nussie? W każdym pokoju gadające papużki, a w almariach trafiłam już na suknie zżarte przez mole i na używane biustonosze!...

Nussie zaś wyrzeka przed Aminą:

– Te złote rybki, o Allah, nie mogę patrzeć na te stworzenia, ale sahib Methwold przychodzi je osobiście karmić... no i te napoczęte paczki bulionu w kostkach, których nie pozwala mi wyrzucić... Amino, siostrze, toż to szaleństwo, na co nam przyszło?...

Stary Ibrahim nie chce pod żadnym pozorem włączyć wentylatora na suficie w sypialni i tylko pomrukuje:

– Którejś nocy cała ta maszyna spadnie i ciachnie mi głowę. Jak długo taki ciężar utrzyma się na suficie?...

Homi Catrack natomiast, który ma w sobie coś z ascetyka, a musi spać na wielkim, miękkim materacu, cierpi na bóle w krzyżu i na bezsenność, wrodzone ciemne krążki pod oczyma zamieniają mu się w worki z niewyspania, jego służący zaś komentuje:

– Nie dziwota, że ci cudzoziemscy sahibowie wszyscy się stąd wynieśli, sahibie, pewno marzą o tym, żeby się porządnie wyspać.

Wszyscy jednak jakoś to znoszą; bo oprócz kłopotów są też i korzyści. Proszę posłuchać Lili Sabarmati (– To ta za piękna, żeby się ostać w cnocie – jak mawiała moja matka):

– Pianola, Amino, siostrze! I to na chodzie! Siedzę przy niej cały Boży dzień i gram, co mi się nawinie! „Prócz Śalimaru pokochałem te blade ręce”... co za frajda, aż głowa boli, wystarczy tylko naciskać pedały!...

Z kolei w Willi Buckingham (przed nami zajmował ją Methwold) Ahmed Sinai znajduje barek z alkoholami; odkrywa uroki dobrej szkockiej whisky i woła: – No i co z tego? Nawet jeśli ten Methwold jest nieco ekscentryczny, nie stać nas na odrobinę wyrozumiałości? Skoro mamy taką starą kulturę, nie sprostamy jego kulturze? – i jednym haustem wychyla całą szklanekę.

Zyski i straty:

– Nussie, siostrze, tyle tych psów i trzeba ich doglądać – utyskuje Lila Sabarmati. – Nienawidzę psów z całego serca. A moja kotka, cudeńko, mówię ci, czeka człodziutka, po prostu umiera ze strachu!

Natomiast doktor Narlikar aż jaśniej z oburzenia:

– Nad moim łóżkiem! Zdjęcia dzieci, bracie Sinai! Powiadam ci: jakie tłuste! Różowiutkie! Aż troje! Czy tak się godzi?...

Zostało już tylko dwadzieścia dni, wszystko się normuje, zacierają się ostre kanty, toteż nowi lokatorzy nie dostrzegają, co się naprawdę dzieje: posiadłość, Posiadłość Methwolda, powoli ich zmienia. Co wieczór o szóstej siadują w ogrodach, celebrując porę koktajlu, a kiedy przychodzi z wizytą William Methwold, bez trudu wpadają w imitację akcentu oksfordzkiego; no i poznają wentylatory sufitowe, gazowe kuchenki, uczą się karmić papużki faliste, a Methwold, czuwając nad przeobrażeniem nowych lokatorów, mruczy coś pod nosem. Przysłuchaj się: co on takiego mówi? Otóż to: – Sab kuch tik-tak hai – mruczy William Methwold. Wszystko w porządku.

* * *

Kiedy bombajskie wydanie dziennika „Times of India” w poszukiwaniu chwytliwych ciekawostek z okazji zbliżających się obchodów uzyskania niepodległości wyznaczyło nagrodę dla matki z Bombaju, która zdoła urodzić dziecko dokładnie w chwili narodzin nowego państwa, Amina Sinai, przebudzona właśnie z zagadkowego snu o lepie na muchy, wlepiała wzrok w gazetę. Podsunęła ją Ahmedowi pod nos, a palcem dźgała tryumfalnie ogłoszenie, co podkreślało tylko absolutną pewność w jej głosie.

– Widzisz, dżanam? – oznajmiła. – To będę ja.

Przed ich oczyma roztoczyła się wizja nagłówków wybitych tłustą czcionką: „Dzieciątko Sinai w uroczej pozie – urodzone w godzinie chwały!” – wizja non plus ultra, super-hiper czółówkowych wielkich zdjęć niemowlaka; kiedy więc Ahmed zaczął powątpiewać: – Ale begam, zastanów się, jakie masz nikłe szanse – wydeła zawzięcie wargi i odparowała: – Żadnych ale, to będę ja i już. Wiem to z całą pewnością, tylko nie pytaj skąd.

I chociaż Ahmed powtórzył przepowiednię żony Williamowi Methwoldowi jako żart w porze koktajlu, Amina pozostała niewzruszona, nawet kiedy Methwold się roześmiał:

– Kobieca intuicja, coś wspianiałego, pani S.! Ale doprawdy, chyba nas pani nie podejrzewa o to, że tak od razu...

Nawet pod naporem rozdrażnionego spojrzenia sąsiadki, Nussie-kaczki, która też była w ciąży i też przeczytała „Times of India”, obstawała przy swoim, bo prorocstwo Ramrama zapadło jej głęboko w serce.

Prawdę powiedziawszy, w miarę rozwoju ciąży słowa jasnovidza coraz bardziej ciążyły Aminie na barkach, na głowie, na pęczniejącym balonie, toteż uwięzła w pajęczynie zmartwień, żeby przypadkiem nie urodzić dziecka o dwóch głowach, i całkiem ją ominęła subtelna magia Posiadłości Methwolda, nie dosięgły jej wpływy pory koktajlowej, papuzek falistych, pianoli i angielskich akcentów... Z początku nurtowała ją ta pewność, że zdobędzie nagrodę „Timesa”, bo wmówiła sobie, że skoro sprawdzi się ta część prognoz wróżbity, prawdziwa okaże się cała reszta, jakkolwiek zawiera sens. Toteż daleka bynajmniej od tonu niezmaczonej dumy i oczekiwania matka odparła:

– Mniejsza o intuicję, panie Methwold. To gwarantowany fakt.

A sobie powiedziała w duchu: „I jeszcze jedno: to będzie syn. Tyle że będzie wymagał szczególnej opieki, bo w przeciwnym razie...”

Coś mi się zdaje, że głęboko w żyłach matki, może jeszcze głębiej niż świadomość, płynęły nadprzyrodzone wyobrażenia Nasim Aziz i poczęły oddziaływać na jej myśli i czyny – wyobrażenia, które przekonały Czcigodną Matkę, że aeroplany są wymysłem szatana, że aparat fotograficzny może wykraść człowiekowi duszę, że widma stanowią niezaprzeczalnie część rzeczywistości tak samo jak raj oraz że najzwyczajniej grzechem jest ujmować pewną parę świątobliwych uszu między kciukiem a palcem wskazującym, a które szeptały teraz do ciemnowłosej głowy jej córki. „Mimo że tkwimy w samym środku tego angielskiego śmietnika – dumiała matka – przecież to i tak Indie, a ludzie pokroju Ramrama Setha wiedzą swoje.” Tym sposobem sceptycyzm jej ukochanego ojca ustąpił miejsca łatwowierności mojej babki; a zarazem żyłka przygody odziedziczona przez Aminę po doktorze Azizie została przytłoczona przez inne, nie mniejszej wagi, brzemie.

Kiedy w końcu czerwca nadciągnęły deszcze, płód w jej łonie był już w pełni uformowany. Były już kolana i nos, a także tyle głów, ile miało wyrosnąć, też już było na miejscu. To, co (z początku) nie przewyższało rozmiarami kropki, rozrosło się w przecinek,

słowo, zdanie, akapit, rozdział; teraz zaś rozwijało się w jeszcze bardziej złożoną całość, stając się, rzecz by można, książką – może encyklopedią – a nawet całym językiem... innymi słowy, ten węzełek w brzuchu mojej matki tak urósł, stał się tak ciężki, że kiedy brudna żółta woda deszczowa zalała Warden Road u stóp naszego piętrowego pagóra i osiadłe na mieliźnie autobusy zaczęły rdzewieć, dzieci pływały po rozmytej drodze, a gazety tonęły gąbczasto pod powierzchnią, w okrągłym pokoju wieży na pierwszym piętrze Amina spostrzegła, że ledwo się rusza pod ciężarem ołowianego balonu.

Deszcz nie ustaje. Woda przesącza się pod oknami, gdzie w ołowianych ramach tańczą witrażowe tulipany. Ręczniki poupychane wokół framug okiennych wchłaniają wodę, aż nabrzmiewają, przesiakają, stają się bezużyteczne. Morze: szare, nieruchawe, ciągnie się hen ku deszczowym chmurom na zwężonym widnokregu. Deszcz bębni matce w uszach, dokłada się do enigmatycznych słów wróżbity, macierzyńskiej łatwowierności, denerwującej obecności mienia obcego człowieka, każe Aminie wyobrażać sobie najróżniejsze dziwadła. Uwięziona pod swym rosnącym dzieckiem Amina roіła sobie, że jest morderczynią skazaną w czasach Mogółów, kiedy to kara śmierci przez zmiążdżenie głazem była na porządku dziennym... a w późniejszych latach, gdy oglądała się na ten czas, na końcówkę czasu, nim została matką, czas, w którym tykanie odliczających wstecz kalendarzy zbliżało wszystkich do dnia 15 sierpnia, matka mawiała:

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Dla mnie czas jakby stanął. Dziecko w moim brzuchu wstrzymało zegary. Jestem tego pewna. Nie śmiej się: pamiętasz tę wieżę zegarową u szczytu wzgórza? Powiadam ci, po tamtym monsunie zegar już nigdy nie ruszył.

... A Musa, stary sługa ojca, który przeniósł się z moimi rodzicami do Bombaju, wyszedł obwieścić innym służącym w kuchniach pałaców z czerwoną dachówką, w kwaterach służby na tyłach Wersalu, Escorialu i Sans Souci: – To będzie szkrab jak marzenie, wart dziesiątka, a jakże! Kolos nie dzieciak, taka rybeńka za całe dziesięć rupii, sami się przekonacie!

Służący reagowali życzliwie, bo narodziny to coś pięknego, a najlepsze jest duże, zdrowe dziecko...

...Natomiast Amina, której brzuch wstrzymał zegary, siedziała bez ruchu w pokoju wieży i mówiła mężowi:

– Przyłóż tu rękę, to go poczujesz... o, czujesz?... Wielki, silny chłopak; nasz okruszek księżyca.

Dopiero kiedy deszcze ustały, Amina zaś stała się tak ciężka, że musiało ją podnosić dwóch służących na stołeczku splecionym z rąk, wrócił Wee Willie Winkie, żeby śpiewać na placyku między czterema domami; i dopiero wtedy Amina zdała sobie sprawę, że ma nie jedną, lecz dwie poważne (to znaczy dwie znane sobie) konkurentki do nagrody „Times of India”, toteż przepowiednia przepowiednią, a zanosí się na ostrą rywalizację przy mecie.

– Zwą mnie Wee Willie Winkie i proszę mi wierzyć, że śpiewam, by zarobić na swojej wieczerze!

Byli sztukmistrze, właściciele fotoplastykonów, śpiewacy... jeszcze przed moim narodzeniem ustalił się ten rytuał. Artyści magicy mieli mi akompaniować przez całe życie.

– Mam nadzieję, że rozsiedli się państwo wygodnie!... A może rozjedli się państwo wygodnie? Eh, żarty żarty, dobrodzieje i dobrodziejki, niech no zobaczą, jak się śmiejecie!

Wysokociemnyprzystojny kłown z akordeonem stał na placyku. W ogrodach Willi Buckingham wielki palec u nogi mojego ojca (wraz ze swoimi dziewięcioma towarzyszami) przechadzał się obok, choć znacznie poniżej przedziałka Williama Methwolda... obuty w sandały, bulwiasty, nieświadom czyhającej nań zagłady. A Wee Willie Winkie (którego

prawdziwego nazwiska nie poznaliśmy) sypał dowcipami i śpiewał. Amina patrzyła i słuchała z werandy na piętrze; czuła na sobie świdrujący, zazdrosny wzrok rywalki, Nussie-kaczki, z sąsiedniej werandy.

... Tymczasem ja, tu przy biurku, czuję przeszywającą niecierpliwość Padmy. (Życzyłbym sobie nieraz bardziej wnikliwej publiczności, kogoś, kto by zrozumiał potrzebę rytmu, tempa, subtelnego wprowadzenia pomniejszych akordów, które później wzrosną, napęcznieją, ogarną całą melodię; kto by wiedział na przykład, że chociaż ciężar dziecka i monsuny wyciszyły zegar na wieży posiadłości, to nadal tyka tam miarowo cykadełko Mountbattena, cicho, lecz nieubłaganie, i że to tylko kwestia czasu, bo już niedługo wypełni nam uszy metronomiczna, bębniąca muzyka.) Padma powiada:

– Ani myślę słuchać teraz o tym całym Winkiem; czekam już tyle dni i nocy, a ty furt nie zamierzasz się urodzić!

Zalecam wszak cierpliwość; wszystko na swoim miejscu, napominam swój kwiat łajnalotosu, bo Winkie też ma swoje racje i swoje miejsce, właśnie się zwraca do brzemiennych niewiast na werandach, przerywając śpiew, żeby się podroczyć:

– Słyszałyście o nagrodzie, moje panie? Ja też. Moja Wanita tuż-tuż czeka rozwiązania; może to ona, a nie wy, trafi ze zdjęciem do gazety!

Amina marszczy gniewnie czoło, Methwold uśmiecha się (czyżby to wymuszony uśmiech? Niby dlaczego?) pod przedziałkiem, warga ojca wysuwa się przemyślnie, wielki paluch kroczy, a sam ojciec powiada:

– Co za zuchwalec, za daleko się posuwa.

Teraz z kolei Methwold z miną najwyraźniej zakłopotaną – może wręcz z poczuciem winy na twarzy? – strofuje Ahmeda Sinai:

– Co też pan mówi, drogi przyjacielu. Rozumie pan, tradycja błazna. Ma patent na prowokację i złośliwości. To bardzo ważny społeczny wentyl bezpieczeństwa.

Ojciec wzrusza tylko ramionami: – Hm.

Ale ten Winkie to cwany chłopak, bo studzi zaraz to, co sam rozpałił:

– Narodziny to pyszna sprawa; dwoje narodzin to przepyszna sprawa! Prze pyszna sprawa, moje panie, ot taki żart, rozumiecie?

I zmiana nastroju, bo uderza teraz w ton dramatyczny, wprowadza przytłaczającą, przełomową myśl:

– Panie i panowie, jak wy się możecie dobrze czuć tutaj, w samym środku długiej przeszłości sahiba Methwolda? Klnę się, że musi wam być nieswojo, nierealnie; ale to teraz nowa siedziba, dobrodzieje i dobrodziejki, a żadna siedziba nie nabierze realności, póki nie doczeka się narodzin. Od chwili pierwszych narodzin poczujecie się jak u siebie w domu.

Po czym następuje piosenka: „Stokrotko, stokrotko...” Pan Methwold też się włącza, ale ciemna plama zasnuwa mu czoło...

... I tu pointa: tak, to poczucie winy, bo nasz Winkie może jest i cwany, i zabawny, ale nie dość cwany; pora zatem wyjawić pierwszy sekret przedziałka Williama Methwolda, który aż spłynął w dół i splamił mu twarz: pewnego razu, długo przed cykadełkiem i wyprzedzą z dobrodziejstwem inwentarza, pan Methwold zaprosił Winkiego i Wanitę, żeby pośpiewali mu na osobności w pokoju, który stanowi dzisiaj salon moich rodziców; a po chwili powiedział:

– Wiesz co, Wee Willie, wyświadcz mi przysługę. Muszę zrealizować receptę, miewam potworne bóle głowy, skocz na Kemp's Corner i przynieś mi od aptekarza te tabletki, cała służba zległa mi na przeziębienie.

Winkie, jak to biedacy, powiedział: tak, sahibie, już się robi, sahibie, i wyszedł; Wanita

została więc sam na sam z przedziałkiem, czując, że przyciągającej palce i trudno mu się oprzeć, a Methwold siedział bez ruchu w trzcinowym fotelu, miał na sobie tropikalny kremowy garnitur z różą w klapie, naraz podeszła do niego z wyciągniętymi palcami, poczuła pod nimi jego włosy; trafiła na przedziałek; i zaczęła je mierzwić.

Toteż teraz, po dziewięciu miesiącach, kiedy Wee Willie Winkie stroił sobie żarty na temat spodziewanego lada moment dziecka swojej żony, plama wypełzła na czoło Anglika.

– No i co z tego? – rzuca Padma. – Co mnie obchodzi jakiś Winkie i jego żona, o których nawet mi nie wspominałeś?

Niektórym ludziom trudno dogodzić; ale Padmie uda mi się dogodzić i to niebawem.

Zaraz chyba jeszcze bardziej się zirytuje, bo odrywając się po długiej, wznoszącej się spirali od wydarzeń w Posiadłości Methwolda – od złotych rybek, psów, konkursów na dzieci, przedziałków, od wielkich palców u nóg i czerwonych dachówek – płynę nad miastem, świeżym i czystym po niedawnych deszczach; zostawiam Ahmeda i Aminę przy piosenkach Wee Willie Winkiego i szybuję ku dzielnicy Starego Fortu, mijam Fontannę Flory i docieram do wielkiego gmachu wypełnionego przyciemnionym, pretensjonalnym światłem oraz wonią rozkołysanych kadzielnic... gdyż tutaj, w Katedrze Św. Tomasza, panna Maria Pereira dowiadyuje się, jakiego koloru jest Bóg.

* * *

– Niebieskiego – twierdzi żarliwie młody ksiądz. – Wszelkie dostępne dowody, moja córko, wskazują na to, że nasz Pan Jezus Chrystus miał najcudowniejszy, krystaliczny odcień błękitu nieba.

Drobna kobietka zamilkła na chwilę za drewnianą kratą konfesjonału. Napięta, pełna zadumy cisza. Po czym:

– Jak to, ojcze? Przecież ludzie nie są niebiescy. Na całym Bożym świecie nie znajdzie się niebieskich ludzi!

Zdumieniu małej kobietki towarzyszy zaskoczenie księdza... bo nie powinna tak reagować. Przecież sam biskup powiedział:

– Z nowymi konwertytami bywają problemy... kiedy pytają o kolor, prawie zawsze... należy budować mosty, mój synu. Zapamiętaj sobie – tako rzekł biskup – Bóg jest miłością; a hinduski bóg miłości, Kryszna, zawsze ma na wizerunkach niebieską skórę. Mów im, że Bóg jest niebieski; stworzy to pewien pomost między dwiema religiami; pojmujesz, ostrożność nie zawadzi; ponadto niebieski to kolor neutralny, unika się w ten sposób spornych kwestii koloru, pomija się czerń-biel: tak, wierz mi, że ten właśnie kolor należy wybrać.

Nawet biskupi niekiedy bywają omylni, myśli młody duchowny, ale tymczasem znajduje się w nie lada kłopotcie, bo ta mała kobietka wyraźnie unosi się gniewem i przez drewnianą kratownicę rozpoczyna srogą reprimendę:

– A co to za odpowiedź, ojcze, niebieski? Jakże w to wierzyć? Niech ksiądz lepiej napisze do Ojca Świętego w Rzymie, już on księdza wyprowadzi na równe wody; chociaż nie trzeba być papieżem, żeby wiedzieć, że człek nijak nie może być niebieski!

Młody duchowny przymyka oczy; ciężko oddycha; odpiera atak.

– Skórę malowano na niebiesko – mamrocze. – Piktowie; niebiescy nomadowie arabscy; jak skorzystasz z dobrodziejstwa wykształcenia, sama się przekonasz, moja córko...

Lecz gwałtowne prychnięcie aż dzwoni echem w konfesjonale.

– Cóż to, ojcze? Porównujesz Naszego Pana do dzikusów z dżungli? O, Boże, muszę

zasłonić uszy ze wstydu!

I tak dalej, i dalej, bez końca, aż młody ksiądz, którego rozbolał z tego wszystkiego brzuch, doznaje naraz olśnienia, że za tą kwestią niebieskości kryje się coś znacznie ważniejszego, i pyta o to słuchaczkę; momentalnie jej tyradę przerywają łzy, więc młody ksiądz dopytuje się nerwowo:

– No, jak to, chyba Boska Promienistość Naszego Pana nie jest wyłącznie kwestią pigmentu?

Zza strug słonej wody dobywa się głos:

– Właśnie, ojciec, wcale ojciec nie jest taki zły; to samo mu powiedziałam, to samiuteńko, a on obrzucił mnie tylko brzydkimi wyrazami i nie chciał słuchać...

Czyli jakiś on wkracza do tej opowieści i zaraz wszystko wychodzi na jaw. Panna Maria Pereira, drobna dziewczyna wzburzona, odbywa spowiedź, która podsuwa nam główną wskazówkę co do jej pobudek, kiedy w noc moich narodzin wniosła ostatni i najważniejszy wkład w całą historię dwudziestowiecznych Indii od czasu kolizji dziadka z grudą ziemi aż do czasu mojej dojrzałości.

Spowiedź Marii Pereiry: jak każda Maria, tak i ona miała swojego Józefa. Józef D’Costa, sanitariusz w klinice na Pedder Road, zwanej Kliniką Położniczą doktora Narlikara (– Oho! – Padma dostrzega wreszcie związek), gdzie Maria pracowała jako położna. Z początku wszystko szło dobrze; zabierał ją na herbatę, lassi, faludę i prawil miłe słówka. Miał oczy jak wiertarki uliczne, twarde i pełne ratatat, ale mówił czule i przyjemnie. Maria, drobna, pulchna, dziewczyna, delektowała się jego względami; tyle że teraz wszystko uległo zmianie.

– Ni stąd, ni zowąd ciągle by tylko wachał powietrze. Tak jakoś dziwnie zadziera nos do góry. No to go pytam: „Masz katar, Józku, czy jak?” A on mówi, że nie; mówi, że czuje wiatr z północy. No to mu tłumaczę, Józku, w Bombaju wiatr wieje od morza, z zachodu, Józiu...

I Maria Pereira łamiącym się głosem opowiada o wzmagającym się gniewie Józefa D’Costy, który jej oświadczył:

– Co ty tam wiesz, Maryśka, teraz nadciąga wiatr od północy i przywiewa śmierć. Ta niepodległość jest tylko dla bogatych; a biedni wytluką się jak muchy. W Pendźabie, w Bengalu. Zamieszki, zamieszki, biedni przeciwko biednym. Czuć to w tym wietrze.

– Mówisz jak wariat, Józku, czego się zamartwiasz takimi okropnościami? Możemy chyba żyć spokojnie?

– A idźże, co ty tam wiesz.

– Józefie, nawet jeśli z tym zabijaniem to prawda, dotyczy to tylko hindusów i muzułmanów; po co dobrzy chrześcijanie mieliby się mieszać do walki? Bo tamci już nie wiadomo odkąd się mordują.

– Ech, ty i ten twój Chrystus. Nie możesz sobie wbić do głowy, że to religia białych ludzi? Zostaw białych bogów białym ludziom. Pod boki giną nasi. Musimy się bronić, pokazać ludziom, z kim mają walczyć, zamiast walczyć ze sobą, rozumiesz?

I Maria ciągnie:

– Dlatego zapytałam o kolor, ojciec... a mówiłam Józefowi, mówiłam i mówiłam bez końca, że walka jest niedobra, żeby dał spokój tym szalonym myślom; ale wtedy przestał ze mną gadać, zadawał się z jakimiś groźnymi typami, nawet zaczęły o nim krążyć słuchy, ojciec, że rzuca cegłami w duże samochody, podobno i płonącymi butelkami, ojciec, on zwariował, powiadają, że pomaga podpalać autobusy, wysadzać tramwaje i sama już nie wiem co. Cóż było robić, ojciec, zwierzyłam się siostrze. Mam siostrę, Alicję, dobra z niej dziewczyna. Powiedziałam jej: „Józek mieszka koło rzeźni, może to ten zapach wszedł mu do nosa i go

otumanił”. No to Alicja poszła go odszukać. „Wstawię się za tobą” obiecała; ale, Boże mój, co to się wyrabia na świecie... niech mi ojciec wierzy... o, baba...

I już słowa toną w strumieniach, tajemnice wyciekają jej z oczu słonymi strugami, bo Alicja wróciła z wiadomością, że to wszystko wina Marii, bo prawila Józefowi morały, aż mu się odechciało słuchać, zamiast go wesprzeć w jego patriotycznej misji uświadczenia ludzi. Alicja była młodsza i ładniejsza od Marii; i tak powstały kolejne plotki, Alicja i Józef dostali się na języki, a Maria zaczęła odchodzić od zmysłów.

– Albo ona – znów odezwała się Maria – co dla niej znaczy ta cała polityka-polityka? Żeby tylko złapać mojego Józefa w szpony, powtarza za nim te wszystkie bzdury jak jakiś ptak głuptak. Przysięgam, ojciec...

– Uważaj, córko. Jesteś bliska bluźnierstwa...

– Nie, ojciec, przysięgam na Boga, sama nie wiem, co bym zrobiła, żeby odzyskać tego mężczyznę. Tak, mimo jego wszystkich... nieważne, co on... oj-u-oj-uuu!

Słona woda omywa podłogę konfesjonau... czy więc teraz młody ksiądz staje przed nowym dylematem? Czy mimo piekielnego bólu rozstrojonego żołądka kładzie na niewidocznej szali świętość konfesjonau, a na drugiej szali zagrożenie dla cywilizowanego społeczeństwa ze strony takiego człowieka jak Józef D’Costa? Czy w rezultacie spyta Marię o adres jej Józefa, po czym wyjawi... Krótko mówiąc, czy ten podszyty biskupem młody ksiądz z kipiącym brzuchem postąpi jak Montgomery Clift w *Spowiadam się*, czy też nie? (Oglądając ten film przed kilku laty w kinie „New Empire”, nie potrafiłem zawyrokować.) Ale nie; po raz wtóry muszę ukrócić bezpodstawne podejrzenia. To, co spotkało Józefa, pewno i tak by go spotkało. I wedle wszelkiego prawdopodobieństwa młody ksiądz odegrał w mojej opowieści tylko taką rolę, że był pierwszą osobą postronną, która dowiedziała się o jadowitej nienawiści Józefa D’Costy do bogaczy i o wielkiej rozpacz Marii Pereiry.

Jutro wykąpię się i ogolę; włożę nowiutką kurtekę, lśniącą i wykrochmaloną, a do tego odpowiednie spodnie piżamowe. Wzuję pantofle z lusterkami podwinięte na czubkach, włosy gładko przyczeszę (tyle że bez przedziałka), zęby porządnie wypucuję... jak to się mówi, wystrychnę się należycie. (– Bogu niech będą dzięki – rzuca nadąsana Padma.)

Jutro nastąpi ostatecznie koniec opowieści, które (nie będąc obecny przy ich narodzinach) musiałem wyławiać z buzujących odmętów pamięci; bo nie sposób dłużej ignorować metronomicznej muzyki odliczającego wstecz kalendarza Mountbattena. W Posiadłości Methwolda stary Musa nadal tyka jak bomba zegarowa; ale go nie słyszeć, bo zagłusza inny nabrzmiewający, natarczywy dźwięk; odgłos mijających sekund, zbliżającej się nieuchronnie północy.

Tik-tak

Niech i Padma słucha: nie ma to jak odliczanie wstecz dla budowania napięcia. Obserwowałem dziś swój kwiat łajna przy pracy, mieszała w kadziach niczym trąba powietrzna, jak gdyby chciała przyspieszyć upływ czasu. (Może jej się zresztą udało; czas bowiem, wedle moich doświadczeń, jest tak zmienny i niestały jak stopień zasilania w Bombaju. Jeżeli mi ktoś nie wierzy, proszę zadzwonić choćby do zegarynki, działającej na elektryczność, zwykle się myli o kilka godzin. Chyba że to my się mylimy... żaden bowiem naród, który ma to samo słowo na określenie „wczoraj” i „jutro” nie panuje chyba w pełni nad czasem.)

Ale dzisiaj Padma dosłyszała cykadełko Mountbattena – wyrób angielski – które cyka z nieubłaganą dokładnością. Teraz fabryka świeci pustkami; unoszą się jeszcze opary, ale kadzie już milczą; dotrzymałem słowa. Wystrychnięty jak ta lala witam Padmę, która podbiega do mojego biurka, kuca przy mnie z impetem na podłodze i rozkazuje: – Zaczynaj. – Uśmiecham się błogo; czuję, jak dzieci północy tłoczą się i cisną w kolejce u mnie w głowie niczym żony rybaków z plemienia Koli; każę im czekać, teraz to już naprawdę niedługo; odchrząkuję, strząsam pióro; i rozpoczynam.

Trzydzieści dwa lata przed przekazaniem władzy mój dziadek uderzył nosem w kaszmirską ziemię. Sypnęły się rubiny i diamenty. Łód przyszłości czekał już pod naskórkiem wody. Nastąpiła przysięga: nie chylić czoła ni przed bogiem, ni przed człowiekiem. Przysięga spowodowała dziurę, którą na pewien czas wypełniła kobieta z za przedziurawionego prześcieradła. Ten sam przewoźnik, który niegdyś przepowiedział dynastie kryjące się w nosie dziadka, przewiózł go z oburzeniem przez jezioro. Byli też niewidomi właściciele ziemscy i zapaśniczki. I było prześcieradło w mrocznym pokoju. Owego dnia zaczęło nabierać kształtów moje dziedzictwo – błękitne kaszmirskie niebo, które skapnęło w oczy mojego dziadka; wytrwałość mojej prababki, która przerodziła się w cierpliwość mojej matki i w późniejszy żelazny upór Nasim Aziz; dar mojego pradziadka do rozmowy z ptakami, który spłynął meandrami krwi w żyły mojej siostry, Mosiężnej Małpki; konflikt między dziadkowym sceptycyzmem a babciną łatwowiernością; a nade wszystko widmowa istota tamtego przedziurawionego prześcieradła, która kazała matce zakochiwać się partiami w mężczyźnie, mnie natomiast zmusiła, żebym ujrzał własne życie – jego sens, jego struktury – również we fragmentach; toteż zanim je w pełni zrozumiałem, było już dużo za późno.

Całe lata odchodzą z tykaniem w przeszłość – rośnie też moje dziedzictwo, bo mam już legendarne złote zęby przewoźnika Taiego i jego flaszkę brandy, która stanowiła zapowiedź alkoholicznych dzinnów ojca; mam samobójczynię Ilse Lubin i marynowane węże na potencję; mam Taiego-za-niezmiennością kontra Aadamowi-za-postępem; mam także zapaszki niemytego przewoźnika, które wywiodły moich dziadków na południe i uprzystępniły rodzinie Bombaj.

...A teraz, poganiany przez Padmę i cykadełko, ruszam naprzód, konsumując Mahatmę Gandhiego wraz z jego hartalem, wchłaniając kciuk-i-palec wskazujący, łykając chwile wahania Aadama Aziza, czy jest Kaszmirczykiem, czy Hindusem; spijam merkurochrom i kałuże w kształcie ręki z rozlanego soku betelowego, chłonę też Dyera z wąsami i całą resztą; dziadka ratuje jego własny nos, a na piersi zjawia się siniec, który już nigdy nie zniknie,

zatem i dziadek, i ja będziemy odnajdywać w jego nieustannym pulsowaniu odpowiedź na pytanie: Hinduś czy Kaszmirczyk? Pokalani sińcem od zamka neseseru z Heidelbergu dzielimy losy Indii; lecz nadal pozostaje obcość błękitnych oczu. Tai ginie, ale jego magia wciąż nad nami wisi i czyni z nas odrębnych ludzi.

...Rwąc do przodu, przystaję, aby pochwycić zabawę w plucie-do-celu. Jeszcze pięć lat do narodzin państwa, a moje dziedzictwo wciąż rośnie, zagarnia wirusa optymizmu, który znów będzie grasował w mojej epoce, i szczeliny w ziemi, które się odrodzą-odrodziły na mojej skórze, byłego sztukmistrza Kolibra, który zapoczątkował długi korowód magików ulicznych, biegnący równolegle do mojego życia, brodawki mojej babki niczym sutki czarownicy i jej nienawiść do fotografii, i jakmutam, i wojny głodu i milczenia, i mądrość ciotki Aliji, która przemieniła się w staropanieństwo i gorycz, aż wreszcie wybuchła śmiertelną zemstą, i miłość Emeraldy i Zulfikara, która pozwoli mi wszcząć rewolucję, sierpy noży, zgubne księżyce pobrzmiwające w matczynym pieszczotliwym określeniu, w jej niewinnym ćand-ka-tukra, w jej zdrobniałym okruszku – ...rosnę teraz, pławię się w wodach płodowych przeszłości, żywię się buczeniem, co wznosiło się wyżej-wyżej, aż przybyły na ratunek psy, ucieczką na poletko kukurydzy i pomocą rykszarza Raszida małpującego Gaiwałę, który biegł – CAŁYM PĘDEM! – krzycząc bezgłośnie, który odsłonił sekret zamków indyjskiego wyrobu i wprowadził Nadira Chana do ubikacji, gdzie stała skrzynia z bielizną; tak, puchnę z sekundy na sekundę, tuczę się bieliźnianymi skrzyniami oraz poddywanową miłością Mumtaz i jej bezrymowego barda, tyję połykając marzenie Zulfikara o wannie przy łóżku, podziemny Tadż Mahal i srebrną spluwaczkę inkrustowaną lazurytem; małżeństwo się rozpada, a ja od razu nabieram krzepy; ciotka biegnie bez honoru ze zdradzieckim zamiarem ulicami Agry i od tego też nabieram krzepy; ale na tym koniec fałszywych początków, Amina przestała być Mumtaz, Ahmed Sinai został natomiast zarówno jej mężem, jak i poniekąd ojcem... moje dziedzictwo zawiera w sobie również ten dar, dar wymyślania sobie w razie potrzeby nowych rodziców. Moc rodzenia matek i ojców, o której marzył Ahmed i której nigdy nie posiadał.

Przez pępowinę wsysam pasażerów na gapę i ryzyko kupna wachlarzy z pawich piór; sycę się sumiennością Aminy i bardziej złowieszczymi rzeczami – tupotem nóg, prośbami matki o pieniądze, aż unosiła się serwetka na kolanach ojca i stawała niczym mały namiot – puszczone dymem popiołami Indrowerów Ardżuna i fotoplastikonem, w który Lifafa Das starał się włożyć cały świat, szubrawcami, co dopuścili się nikczemności; rozpierają mnie wielogłowe potwory, zamaskowani Rawanowie, ośmioletnie jednobrewne, sepleniące dziewczynki, tłumy wołające „gwałciciel”. Mój pokarm stanowią oświadczenia publiczne, w miarę jak dorastam do swego czasu, a zostało już tylko siedem miesięcy.

Ile to rzeczy ludzi pojęć przynosimy z sobą na ten świat, ile możliwości, a zarazem ograniczeń tychże możliwości! – One to bowiem były rodzicami dziecka urodzonego z wybiciem owej północy, przy czym każde dziecko północy miało ich co najmniej po tyle samo. Pośród rodziców owej północy: klęska planu Misji Rządowej; determinacja umierającego M.A.Dżinnaha, który pragnął dożyć ustanowienia Pakistanu; był więc gotów na wszystko, byle tego dokonać – tego samego Dżinnaha, z którym mój ojciec, jak zwykle przegapiając właściwy zakręt, nie chciał się spotkać; Mountbatten ze swym niezwykłym pośpiechem i z żoną, amatorką kurzych piersi; i wielu wielu innych – Czerwony Fort i Stary Fort, małpy i sępy upuszczające ludzkie ręce, biali transwestyci, nastawiacze kości, treserzy mangust i Śri Ramram Seth, który wygłosił zbyt dużą przepowiednię. No i marzenie ojca, żeby przeredagować Koran, też miało swoje miejsce; podobnie jak pożar magazynu przedzierzgnął go z handlarza imitacją skóry we właściciela nieruchomości; a także ten

fragment Ahmeda, którego Amina nie umiała pokochać. Żeby zrozumieć jedno jedyne życie, trzeba połączyć cały świat. Od razu ci to mówiłem.

I rybacy, i Katarzyna Braganza, i Mumbadewi orzechy kokosowe ryż; pomnik Śiwadźiego i Posiadłość Methwolda; basen pływacki w kształcie Indii brytyjskich i piętrowy pagór; przedziałek i nos rodem z Bergerac; nieczynny zegar na wieży i mały placik między domami; zacięcie Anglika do indyjskiej alegorii i uwiedzenie żony akordeonisty. Papużki faliste, sufitowe wentylatory, „Times of India” – to wszystko część bagażu, który przyniosłem na ten świat... nie dziwisz się więc chyba, że byłem tak okazałym dzieckiem? Włał się we mnie niebieski Pan Jezus; a rozpacz Marii, rewolucyjny szal Józefa i zalotność Alicji Pereiry... też mnie ukształtowały.

Jeżeli zatem dostrzegasz moje dziwactwa, nie zapominaj o tej nieprzebranej ilości składników mojego dziedzictwa... możliwe, że skoro ktoś pragnie zachować własną indywidualność w tak wielkiej rojącej się ciżbie, musi się zdobyć na groteskowość.

– Wreszcie – powiada Padma nie bez satysfakcji – nauczyłeś się opowiadać naprawdę szybko.

* * *

13 sierpnia 1947: niesnaski w niebie. Jowisz, Saturn i Wenus są w swarliwym nastroju; co więcej, trzy skłócone gwiazdy zdążają ku najbardziej przekłętemu domowi. Astrologowie benaryjscy wymawiają trwożliwie jego nazwę: – Karamsthan! Wkraczają w Karamsthan!

Astrologowie przedstawiają w popłochu swe wywody przywódcom Partii Kongresowej, tymczasem moja matka pogrąża się w popołudniowej drzemce. Earl Mountbatten wyrzuca sobie brak szkolonych okultystów w swoim sztabie, wolno obracające się cienie wentylatora sufitowego kołyszają Aminę do snu. Tymczasem M.A.Dżinnah uspokojony myślą, że już za jedenaście godzin narodzi się jego Pakistan, wyprzedzając o cały dzień niepodległe Indie, które czeka jeszcze trzydzieści pięć godzin, drwi sobie ze sprzeciwów handlarzy horoskopami, kiwając głową w rozbawieniu, a głowa Aminy też się kiwa na boki.

Amina jednak śpi. A w owym okresie ciąży wielkiej jak głaz nękał ją enigmatyczny sen o lepie na muchy... tak jak przedtem, tak i teraz błąka się po kryształowej kuli wypełnionej zwisającymi lepкими brązowymi paskami, które czepiają się jej ubrania i rwą je na strzępy, kiedy Amina przedziera się przez tę niedostępną gęstwinę papieru; teraz znów szamocze się, szarpie papier, lecz ten się do niej klei, aż rozbiera ją do naga, dziecko kopie ją w brzuch, długie wici lepu oplatają jej falujący brzuch, papier przywiera do włosów nosa zębów piersi ud, gdy zaś Amina otwiera usta, żeby krzyknąć, brązowy kleisty knebel zalepia jej rozchylone wargi...

– Begam Amina! – woła Musa. – Proszę się obudzić! Begam sahiba, to zły sen!

Wydarzenia tych ostatnich kilku godzin – ostatnich kropli mojego dziedzictwa: kiedy do końca zostało trzydzieści pięć godzin, matce się przyśniło, że lepi się jak mucha do brązowego papieru. A w porze koktajlu (do końca trzydzieści godzin) William Methwold odwiedził mojego ojca w ogrodzie Willi Buckingham. Przedziałek spaceruje obok, choć znacznie powyżej wielkiego palca u nogi ojca, pan Methwold snuje wspomnienia. Opowieści o pierwszym Methwoldzie, który wymarzył sobie aż do skutku to miasto, wypełniły wieczorną aurę przedostatniego zachodu słońca. Ojciec zaś – imitując oksfordzki akcent, pragnąc zaimponować odjeżdżającemu Anglikowi – rewanżuje się własną opowieścią:

– Trzeba panu wiedzieć, przyjacielu, że też pochodzimy z nie byle jakiego rodu.

Methwold słucha: przekrzywił głowę, w kremowej pole marynarki tkwi czerwona róża, przedziałek schowany pod kapeluszem z szerokim rondem, zawołowany błysk rozbawienia w oczach... Ahmed Sinai, zaproszony whisky, inspirowany poczuciem własnej pychy, zapala się do tego wątku. – Jeżeli chodzi o ścisłość, płynie w nas mogolska krew.

– Doprawdy? – zaciekawia się Methwold. – Chyba pan żartuje.

Na co Ahmed, nie mając odwrotu, musi brnąć dalej.

– Wprawdzie z nieprawego łoża, ale zawsze mogolska.

W taki to sposób trzydzieści godzin przed moimi narodzinami ojciec dowiódł, że i jemu tęskno do fikcyjnych przodków... tak oto wymyślił na poczekaniu naszą genealogię, która w późniejszych latach, kiedy whisky rozmyła mu kontury pamięci, a butelki pełne dzinnów zamąciły do reszty w głowie, zmiotła wszelkie ślady rzeczywistości... tak też, żeby dowieść swych racji, wprowadził w nasze życie pojęcie klątwy rodzinnej.

– O, tak – potwierdził ojciec, kiedy Methwold przekrzywił ponuro, bez uśmiechu głowę – wiele starych rodów miało takie klątwy. W naszej linii przechodzi ona z najstarszego na najstarszego syna: ale tylko na piśmie, bo, wie pan, samo jej wypowiedzenie wyzwala ukrytą w niej moc.

– Niebawem! – woła Methwold. – I zna pan słowa?

Ojciec kiwa głową, warga mu sterczy, paluch u nogi zamiera, ojciec stuka się w czoło dla podkreślenia prawdziwości swoich słów.

– Wszystko jest tutaj, zapamiętane. Nie używano jej od czasu, kiedy pewien nasz przodek pokłócił się z cesarzem Babarem i rzucił klątwę na jego syna Humajuna... mówię panu, przeraźliwa historia, zna ją każdy uczeń.

Nadeszła też taka chwila, kiedy mój ojciec w przystępie całkowitego oderwania od rzeczywistości zamknął się w błękitnym pokoju zadumy i usiłował sobie przypomnieć klątwę wymyśloną przez siebie pewnego popołudnia w ogrodach własnego domu, gdy stał obok potomka Williama Methwolda, pukając się w skroń.

Obładowany lepkiemi snami i fikcyjnymi przodkami muszę przeszło dobę czekać na swoje narodziny... a nieubłagane cykadełko potwierdza ochoczo: jeszcze dwadzieścia dziewięć godzin, dwadzieścia osiem, dwadzieścia siedem...

Jakie jeszcze marzenia przewinęły się owej ostatniej nocy? Czy właśnie wtedy – bo niby czemu nie? – doktor Narlikar, nieświadom dramatu, który miał się właśnie rozegrać w jego Klinice Położniczej, po raz pierwszy zamarzył o czwórnoścach? Czy tej właśnie ostatniej nocy – kiedy na północ i na zachód od Bombaju rodził się Pakistan – mój wuj Hanif, który przyjechał (tak jak i jego siostra) do Bombaju i zakochał się w boskiej aktorce imieniem Pia („Jej twarz to majątek!” – napisano w „Dodatku ilustrowanym”), po raz pierwszy wpadł na pomysł do wykorzystania w kinematografii, który niebawem przysporzył mu pierwszego z trzech przebojów filmowych?... Niewykluczone; mity, koszmary senne, fantazje wisiały w powietrzu. Jedno jest jednak pewne: owej ostatniej nocy mój dziadek, Aadam Aziz, osamotniony w olbrzymim starym domu na Cornwallis Road – nie licząc żony, której siła woli rosła w miarę, jak Aziza przygniatał wiek, oraz ich córki Aliji, której zgorzkniałe dziewictwo miało trwać aż do czasu, gdy po osiemnastu z górą lat bombą rozszczepiła ją na dwoje – raptem znalazł się w niewoli wielkich żelaznych obręczy nostalgii, które wrzynały mu się w pierś, gdy tak leżał nie mogąc zasnąć; wreszcie 14 sierpnia o piątej z rana – zostało jeszcze dziewiętnaście godzin – niewidzialna siła wypchnęła go z łóżka i pociągnęła do starego blaszanego kufra. Otworzył go i znalazł: stare egzemplarze niemieckich czasopism; *Co robić?* Lenina; zwinięty dywanik modlitewny; a na ostatku to, co tak nieodparcie pragnął

raz jeszcze ujrzeć – białe, złożone, błyszczące lekko o brzasku – dziadek wyciągnął z blaszanego kufra swojej przeszłości splamione, przedziurawione prześcieradło i odkrył, że dziura się powiększyła; a tkanina wokół była usiana innymi mniejszymi dziurkami; i w porywie szalonego, nostalgicznego gniewu zaczął szarpać i budzić żonę, zdumioną jego krzykiem, i wymachiwać jej historią przed nosem:

– Żżarte przez mole! Patrz, begam: żżarte przez mole! Zapomniałaś przełożyć kulkami naftaliny!

Ale teraz trudno już bagatelizować odliczanie wstecz... osiemnaście godzin; siedemnaście; szesnaście... a w Klinice Położniczej doktora Narlikara słycać jęki natężających się kobiet. Jest tam Wee Willie Winkie i jego żona Wanita; bite osiem godzin ciągną się bezskuteczne wysiłki. Pierwsze skurcze dopadły ją równo o północy, akurat kiedy o setki mil stamtąd M.A.Dżinnah ogłosił narodziny państwa muzułmańskiego... lecz Wanita nadal wije się na łóżku w „oddziale charytatywnym” Kliniki Narlikara (przeznaczonym dla dzieci biedoty)... oczy dosłownie wyłażą jej z orbit; całe ciało perli się potem, dziecko jednak ani myśli wyjść, nie ma też przy nim ojca; jest ósma rano, istnieje wszakże możliwość, zważywszy okoliczności, że niemowlę czeka na wybicie północy.

Plotki w mieście: – Dziś w nocy galopował pomnik!... Gwiazdy są niepomyślne!... – Mimo jednak tych złych omenów całe miasto ogarnął nowy mit lśniący w kącikach wszystkich oczu. Sierpień w Bombaju: miesiąc festiwalu, miesiąc urodzin Krysny i Święta Kokosu; a tego roku – jeszcze czternaście godzin, trzynaście, dwanaście – widniał w kalendarzu dodatkowy festiwal, nowy mit do celebrowania, bo nie istniejące dotąd państwo miało właśnie uzyskać niepodległość, wystrzelując nas niby z katapulty na świat, który – mimo pięciu tysięcy lat dziejów za sobą, mimo że wymyślił grę w szachy i prowadził już handel ze Średnim Państwem Egiptu – pozostawał w gruncie rzeczy krainą wyobraźni; na mityczną ziemię, kraj, który nie powstałby bez udziału fenomenalnej zbiorowej woli – chyba że we śnie, jaki wszyscy zapragnęliśmy wyśnić; stanowił kolektywną fantazję, wspólną, choć w różnym stopniu, Bengalczykom, Pendżabczykom, Tamilom i Dżatom, i miał co pewien czas wymagać oczyszczenia i odnowy, dostępnych jedynie przez rytuał krwi. Indie, nowy mit – zbiorowa fikcja, w której wszystko było możliwe, bajka, z którą rywalizować mogły wyłącznie dwie inne potężne fantasmagorie: pieniądź i Bóg.

Byłem w swoim czasie żywym dowodem bajecznego charakteru tego zbiorowego marzenia; ale porzucę na chwilę uogólniające, makrokosmiczne rozważania, by się skoncentrować na bardziej osobistym rytuale; nie będę opisywał masowego upustu krwi na granicy przepołowionego Pendżabu (gdzie podzielone nacje kąpią się nawzajem we krwi, a niejaki major Zulfikar o nalanej twarzy odkupuje nieruchomości uchodźców po śmiesznie niskich cenach, kładąc podwaliny majątku, który przewyższy majątek Nizamów z Hajdarabadu); odwrócę też wzrok od rozruchów w Bengalu i od długiego marszu pokojowego Mahatmy Gandiego. Egoizm? Ciasnota umysłowa? Może i tak, ale moim zdaniem uzasadnione. W końcu człowiek nie co dzień się rodzi.

Jeszcze dwanaście godzin. Amina Sinai, obudziwszy się z lepkiego koszmaru nocnego, nie zaśnie już, aż po wszystkim... Wciąż jej chodzi po głowie Ramram Seth, a ona sama dryfuje po wzburzonym morzu, gdzie fale podniecenia mijają się z głębokimi, odurzającymi, mrocznymi odmętami strachu. Ale działa coś jeszcze. Proszę tylko spojrzeć na jej ręce – bez żadnych świadomych poleceń cisną mocno brzuch; proszę spojrzeć na jej wargi, jak bezwiednie mruczą:

– No, rusz się, guzdrało, nie możesz się przecież spóźnić do gazet!

Jeszcze osiem godzin... o czwartej po południu William Methwold wjeżdża czarnym samochodem marki Rover 1946 na piętrowe wzgórze. Parkuje na placyku między czterema dumnymi willami; dziś jednak nie odwiedza ani stawu ze złotymi rybkami, ani ogrodu kaktusów; nie wita się z Lilą Sabarmati swoim zwyczajowym: – Jak tam pianola? Wszystko idzie tip-top? – ani też nie kłania się staremu Ibrahimowi, który siedzi na parterze w cieniu werandy, buja się w fotelu na biegunach i rozmyśla o sizalu; nie patrzy wcale na Catracka ani na Sinaiego, tylko staje na samym środku placyku. Z różą w klapie, w kremowym kapeluszu trzymanym sztywno przy piersi, z przedziałkiem lśniącym w popołudniowym świetle William Methwold patrzy prosto przed siebie, za wieżę zegarową i Warden Road, za basen Breach Candy w kształcie mapy, za złociste fale czwartej po południu i saltuje; a tam, nad widnokregiem, słońce rozpoczyna swój długi lot nurkowy ku morzu.

Jeszcze sześć godzin. Pora koktajlu. Następcy Williama Methwolda bawią w swoich ogrodach – poza Aminą, bo ta siedzi w pokoju wieży, unikając z lekka rywalizacyjnych spojrzeń rzucanych w jej kierunku przez Nussie-po-sąsiedzku, która też chyba pogania swojego Sonny’ego w dół i spomiędzy nóg; z niejakim zaciekawieniem przyglądają się, jak Anglik stoi nieruchomo niczym wycior, do którego przyrównywaliśmy już przedtem jego przedziałek; aż uwagę ich rozprasza nowy przybysz. Tyczkowaty, żyłasty mężczyzna z trzema rzędami koralu na szyi, z pasem kurzych kości w talii; ciemna skóra pomazana popiołem, długie, rozpuszczone włosy – całkiem nagi, nie licząc koralu i popiołu, sadhu wkracza między domy kryte czerwoną dachówką. Musa, stary sługa, wychodzi, żeby go przepędzić; wstrzymuje się jednak, bo jak tu wydać polecenie świątobliwemu mężowi. Przecinając zasłony niezdecydowania Musy, sadhu wchodzi do ogrodu Willi Buckingham; mija mojego zaskoczonego ojca; siada w pozycji lotosu pod kapiącą ogrodową pompą.

– Czego sobie życzycie, sadhudźi? – pyta Musa nie bez należytego szacunku. A na to sadhu, spokojny jak woda w jeziorze:

– Przychodzę tu czekać, aż nadejdzie Jedyny. Mubarak – Błogosławiony. To nastąpi już wkrótce.

Możesz wierzyć albo nie: zapowiedziano mnie dwukrotnie! Zatem tego dnia, w którym wszystko szło jak w zegarku, wycucie czasu nie zawiodło i mojej matki; gdy tylko ostatnie słowo spłynęło z ust sadhu, z pokoju wieży, gdzie w oknach płąsały szklane tulipany, dobiegł przenikliwy krzyk, koktajl zawierający w równych proporcjach strach, podniecenie i tryumf: – Are, Ahmed! – wołała Amina Sinai. – Dżanam, dziecko! Już idzie: w samą porę!

Elektryzuje to całą Posiadłość Methwolda... żwawym truchtem nadbiega wymizerowany Homi Catrack z zapadniętymi oczyma: – Sinai sahib, mój Studebaker jest do pańskiej dyspozycji; proszę go brać i jechać, ale to zaraz! – ...i kiedy do końca zostało pięć godzin i trzydzieści minut, małżonkowie Sinai zjeżdżają pożyczonym samochodem z piętrowego pagóra; wielki paluch ojca przyciska pedał gazu; ręce matki przyciskają księżycowy, krągły brzuch; już znikli z pola widzenia, są za zakretem, minęli pralnię Band Box i „Raj dla czytelników”, zostawili w tyle jubilera Fatbhoja i zabawki Ćimalkara, a także Cały Jard Czekoladek i wejście na Breach Candy, jadą prosto do Kliniki Położniczej doktora Narlikara, gdzie w oddziale charytatywnym Wanita Wee Williego wciąż ciśnie i prze, aż jej się wygina kręgosłup i oczy wychodzą z orbit, a przy niej położna, Maria Pereira, też czeka na jej czas... toteż ani Ahmed z wystającą wargą, pulchnym brzuchem i fikcyjnymi przodkami, ani śniadoskóra, wiedziona przepowiednią Amina nie byli obecni, kiedy słońce wreszcie zaszło nad Posiadłością Methwolda i kiedy dokładnie w momencie jego zniknięcia – zostało jeszcze pięć godzin i dwie minuty – William Methwold uniósł długą białą rękę. Biała ręka zawisła

nad wybrylantowanymi czarnymi włosami; długie, spiczaste palce sięgnęły do przedziałka, a wtedy odsłonił się drugi i ostatni jego sekret, gdyż palce się zacisnęły i chwyciły za włosy; po czym oderwały się od głowy, ale nie wypuściły już zdobycznego łupu; toteż w chwilę po zniknięciu słońca pan Methwold stał w pobliżu swojej posiadłości z peruką w ręce.

– Łysoń! – wykrzykuje Padma. – Te jego przylizane włosy... wiedziałam; za dobre, żeby były prawdziwe!

Łysy, łysy; lśniaca pała! Wyszło na jaw: oszustwo, które zwiodło żonę akordeonisty. Siła Williama Methwolda na wzór Samsona tkwiła w jego włosach; a teraz z błyszczącą o zmroku łysiną wyrzuca swoją czuprynę przez okno samochodu; rozdziela z pewną nonszalancją podpisane akty własności na swoje pałace i odjeżdża. Żaden z mieszkańców Posiadłości Methwolda więcej go nie widział; ale mnie, który nie widziałem go ani razu, trudno o nim zapomnieć. Naraz wszystko przybiera kolor szafranowy i zielony. Amina Sinai w pokoju z szafranowymi ścianami i zieloną stolarką. W sąsiedniej sali Wanita Wee Willie Winkiego zielona na twarzy, tylko błyskają jej szafranem białka oczu, dziecko zaczyna się wreszcie przeciskać przez wewnętrzne przejścia, które też są zapewne podobnych barw. Szafranowe minuty i zielone sekundy odmierzane przez zegary tykające na ścianach. Fajerwerki i tłumy za oknami Kliniki Położniczej doktora Narlikara również mienią się kolorami tej nocy – szafranowe race, zielony deszcz iskier; mężczyźni w koszulach o odcieniu zafaran, kobiety w sari koloru limony. Na szafranowo-zielonym dywanie doktor Narlikar rozmawia z Ahmedem Sinai.

– Sam się osobiście zajmę twoją begam – powiada w subtelnej tonacji barw tego wieczoru. – Nie ma powodu do obaw. Poczekaj tutaj; masz aż nadto miejsca, żeby sobie pochodzić. – Doktor Narlikar, który nie lubi niemowląt, jest mimo to znakomitym ginekologiem. W wolnych chwilach głosi pisze propaguje strofuje naród w kwestii antykoncepcji. – Kontrola urodzin – oznajmia – to problem społeczny numer jeden. Przyjdzie jeszcze taki dzień, kiedy wbiję to ludziom do tych ich tępych głów, a wtedy zostaną bez pracy.

Ahmed Sinai krzywi nerwowo twarz w uśmiechu.

– Chociaż na tę jedną noc porzuć morały i przyjmij moje dziecko.

Jeszcze dwadzieścia dziewięć minut do północy. W Klinice Położniczej doktora Narlikara pracuje mocno uszczuplony zespół; wiele absencji, wielu członków personelu woli dziś świętować zbliżające się tuż tuż narodziny państwa i nie asystuje przy narodzinach dzieci. W szafranowych koszulach, w zielonych kieckach, tłoczą się na iluminowanych ulicach pod ciągnącymi się bez końca balkonami miasta, gdzie ustawiono gliniane lampki dija wypełnione tajemniczymi olejkami; w tych kagankach zdobiących wszystkie balkony i dachy pływają knoty, które też pasują do naszego dwukolorowego planu: połowa lampek pali się na szafranowo, a reszta płonie na zielono.

Przez wielogłowego potwora tłumu przedziera się wóz policyjny, żółto-niebieskie mundury pasażerów odbijają się w nieziemskim blasku lamp na szafranowo i zielono. (Przenosimy się chwilowo na szosę do Kolaby, aby wyjawić, że dwadzieścia siedem minut przed północą policja ściga groźnego przestępcę. Któż to taki? Józef D’Costa. Albowiem sanitariusz znikł, od kilku dni nie pokazał się ani w pracy w Klinice Położniczej, ani w pokoju opodal rzeźni, ani w życiu zrozpaczonej, dziewiczej Marii.)

Mija dwadzieścia minut, a z każdą wzmagają się i przyspieszają ochy Aminy Sinai i słabe, znużone ochy Wanity w sąsiedniej sali. Potwór na ulicach już zaczął świętować, w jego żyłach płynie nowy mit, zmieniając krew w cząsteczki szafranu i zieleni. A w Delhi w Sali Zgromadzeń zasiada sprężysty, poważny mężczyzna i szykuje się do wygłoszenia mowy. W

Posiadłości Methwolda złote rybki zamarły jakby w stawach, mieszkańcy zaś obchodzą domy z pistacjowymi słodkościami, całują się i ściskają – częstują się zielonymi orzeszkami i szafranowymi kulkami laddu. Dwoje dzieci przeciska się tajemnymi przejściami, w Agrze zaś podstarzały lekarz siedzi z żoną, która ma na twarzy dwie brodawki niczym sutki czarownicy. Oboje milczą pośród śpiących gęsi i zzartych przez mole wspomnień, bo nie mają sobie nic do powiedzenia. We wszystkich miastach miasteczkach wioskach na parapetach gankach werandach płoną lampki dija, w Pendźabie natomiast płoną pociągi, buchają zielone jezory luszczącej się farby, buzuje szafranem podpalone paliwo niczym w największych lampach dija na świecie.

Miasto Lahaur również płonie.

Sprężysty, poważny mężczyzna wstaje. Namaszczony świętą wodą z rzeki Tandzur, podnosi się; czoło ma pomazane święconym popiołem, odchrząkuje. Nie trzyma w ręku kartki, nie nauczył się na pamięć słów przemówienia. Dżawaharlal Nehru rozpoczyna:

– ... Przed wielu laty wyznaczyliśmy spotkanie z przeznaczeniem; teraz zaś nadszedł czas spełnienia naszych ślubów – może nie w pełni, może nie bez reszty, ale w znacznej mierze...

Za dwie dwunasta. W Klinice Położniczej doktora Narlikara śniadoskóry, jaśniejący lekarz w asyście położnej imieniem Flora, szczupłej, zacnej niewiasty bez większego znaczenia, zachęca Aminę Sinai: – Przyj! Mocniej!... Już widać głowę!... – w sąsiedniej zaś sali niejaki doktor Bose – z panną Marią Pereirą przy boku – czuwa nad ostatnią fazą całodobowych wysiłków Wanity: – Tak, teraz, jeszcze tylko ten jeden raz, no, proszę; jeszcze raz i będzie po wszystkim!... – Kobiety jęczą i krzyczą, mężczyźni w pokoju obok milczą. Wee Willie Winkie – nieskory wcale do śpiewu – przykucnął w kącie i kiwa się w przód i w tył, w przód i w tył... Ahmed Sinai rozgląda się za krzesłem. Ale w tym pokoju nie ma krzesła; to pokój przeznaczony do chodzenia; toteż Ahmed Sinai otwiera drzwi, znajduje krzesło przy opuszczonym biurku recepcjonistki, podnosi, zabiera ze sobą do pokoju do chodzenia, gdzie Wee Willie Winkie kiwa się i kiwa, a oczy ma puste jak oczy ślepcy... wyżyje? czy nie wyżyje?... i wreszcie wybija północ.

Potwór na ulicach podnosi ryk, w Delhi zaś sprężysty mężczyzna ciągnie:

– ...Wraz z wybiciem północy, kiedy cały świat śpi, Indie budzą się do życia i do wolności... – A pośród ryku potwora wznoszą się jeszcze dwa krzyki, wrzaski, wycia dzieci przychodzących na świat, ich daremny protest miesza się z wrzawą niepodległości powiewającej szafranem i zielenią na nocnym niebie. – Nadchodzi chwila, która rzadko się zdarza w historii, gdy porzucamy stare dla nowego; gdy kończy się jedna epoka i gdy odzywa się z dawna tłumiony duch narodu... – w pokoju z szafranowo-zielonym dywanem Ahmed Sinai nadal ściska krzesło, kiedy wchodzi doktor Narlikar, żeby mu oznajmić:

– Z wybiciem północy, bracie Sinai, twoja begam sahiba urodziła duże, zdrowe dziecko: masz syna!

Wtedy ojciec zaczął myśleć o mnie (nieświadom...); wyobrażenia mojej twarzy zaprzątnęły mu umysł i całkiem zapomniał o krześle; owładnięty miłością do mnie (mimo że...), przepełniony nią od czubka głowy aż po koniuszki palców, upuścił krzesło.

Tak, to była (mimo wszystko) moja wina... siła mojej twarzy, mojej i niczyjej innej, która kazała rękóm Ahmeda Sinai puścić krzesło; która kazała krzesłu upaść, przyspieszając w tempie trzydziestu dwu stóp na sekundę, kiedy więc Dżawaharlal Nehru oznajmił w Sali Zgromadzeń: – Kończymy dziś okres niepowodzeń – kiedy konchy obwieściły gromko nowinę o wolności, ojciec też zakrzyknął, i to z mojego powodu, bo spadające krzesło zmiażdżyło mu duży paluch.

Zbliżamy się do sedna sprawy: na ten krzyk zbiegli się wszyscy; poszkodowany ojciec przez ułamek chwili dojrzał limonowy blask dwóch obolałych matek, dwóch synchronicznych urodzin o północy – bo Wanita w końcu urodziła dziecko wielkich rozmiarów.

– Aż trudno uwierzyć – skomentował doktor Bose. – Jak on długo wychodził, pchał się po kawałku naprzód, szkrab jak marzenie, wart dziesiątaka!

A Narlikar już przy myciu:

– Mój też.

Ale to było nieco później – teraz Narlikar i Bose opatrywali Ahmedowi Sinai paluch; położnym zaś polecili umyć i owinąć nowo narodzoną parę; i wtedy to panna Maria Pereira wniosła swój wkład.

– Idź, idź – przykazała nieszczęsnej Florze – może się tam przydasz. Ja tu sobie poradzę.

Kiedy została sama – z dwoma noworodkami w rękach – z dwoma żywotami w swojej mocy – zrobiła to dla Józefa, zdobyła się na własny rewolucyjny wyczyn, myśląc „On by mnie za to na pewno pokochał”, kiedy zamieniała przywieszki z imionami na dwóch pokaźnych niemowlakach, obdarzając biedne dziecko uprzywilejowanym życiem, dziecko zaś możliwych skazując na akordeony i ubóstwo... – Kochaj mnie, Józefie! – przeleciało Marii Pereirze przez głowę, i już było po wszystkim. Na przegubie szkraba za dziesięć rupii z oczyma błękitnymi jak kaszmirskie niebo – a zarazem błękitnymi jak oczy Methwolda – i o nosie wybujającym jak nos pewnego dziadka z Kaszmiru – a zarazem nos pewnej babki Francuzki – umieściła to właśnie nazwisko: Sinai.

Owinęto mnie szafranem, kiedy dzięki przestępstwu Marii Pereiry stałem się wybranym dzieckiem północy, którego rodzice nie byli jego rodzicami i którego syn nie będzie jego własnym synem... Maria wzięła dziecko z łona mojej matki, które miało nie być jej własnym synem, drugą rybeńkę za dziesięć rupii, chociaż już mu brązowiały oczy, a kolana przypominały węzłaste kolana Ahmeda Sinai, owinęła je na zielono i przyniosła Wee Willie Winkiemu – lecz ten patrzył na nią niewidzącym wzrokiem, ledwo dojrzał własnego syna, nie miał też pojęcia o przedziałkach... Wee Willie Winkie właśnie się dowiedział, że Wanita nie przeżyła porodu. Trzy minuty po północy, kiedy lekarze krzatali się przy złamanym palcu, Wanita dostała krwotoku i umarła.

Tak więc przyniesiono mnie matce; ona wszak ani przez chwilę nie zwątpiła w moją autentyczność. Ahmed Sinai z paluchem w łubkach przysiadł na jej łóżku i usłyszał:

– Przyjrzyj się, dżanam, ten nieborak ma wypisz, wymaluj nos dziadka. – Patrzył w zdumieniu, jak matka sprawdza, czy toto ma aby jedną tylko głowę; po czym zupełnie się odprężyła, przekonana, że nawet zdolności jasnowidzów są ograniczone. – Dżanam – ożywiła się raptem – dzwoń do gazet. Dzwoń do „Times od India”. A nie mówiłam? Wygrałam.

– ...Nie czas teraz na małosłowną czy szkodliwą krytykę – mówił Dżawaharlal Nehru Zgromadzeniu. – Ani też pora na urazy. Musimy wznieść godny dom wolnych Indii, w którym znajdzie się miejsce dla wszystkich dzieci tego kraju.

Furkocze flaga: szafranowo-biało-zielona.

– Jesteś mieszzańcem? – woła przerażona Padma. – Chcesz powiedzieć, że jesteś półkrwi Anglikiem, pół Hindusem? I nosisz cudze imię?

– Jestem Salim Sinai – powiadam. – Smark, Plamolicy, Kinol, Łysoń, Okruch Księżycy. Co znaczy „cudze”?

– Od początku – rzuca się wściekłe Padma – mnie oszukiwałeś. Matka, mówiłeś, ojciec, dziadek, ciotki. Co z ciebie za syn, skoro nie stać cię nawet na powiedzenie prawdy, kim byli twoi rodzice? Nie obchodzi cię to, że twoja matka umarła, dając ci życie? Że twój ojciec

może nadal żyje bez grosza w nędzy? Jesteś potworem, czy co?

Nie, nie jestem potworem. Nie można mi też zarzucić oszustwa. Podsuwałem wskazówki... ale jest coś o wiele ważniejszego. Mianowicie: kiedy w końcu odkryliśmy przestępstwo Marii Pereiry, wszyscy uznaliśmy, że to niczego nie zmienia! Nadal byłem ich synem, a oni moimi rodzicami. Ponosząc coś w rodzaju zbiorowej klęski wyobraźni, zrozumieliśmy, że najzwyczajniej ani myślimy wypłatywać się z własnej przeszłości... gdybyś zapytała mojego ojca (nawet jego, mimo wszystkich tych wypadków!), kto jest jego synem, za nic w świecie nie pokazałby na nie domytego chłopaka z iksowatymi nogami, syna akordeonisty. Chociaż ten Siwa miał z czasem wyrosnąć na bohatera.

A zatem: były kolana i nos, nos i kolana. W istocie, jak nowe Indie długie i szerokie, wszyscy braliśmy udział w jednym śnie: rodziły się dzieci, które tylko po części były potomstwem swoich rodziców – dzieci północy były zarazem dziećmi czasu: płodzonymi, ma się rozumieć, przez historię. Takie rzeczy się zdarzają. Zwłaszcza w kraju, który sam jest poniekąd snem.

– Dość tego – dąsa się Padma. – Nie chcę więcej słuchać.

Nastawiona na określony rodzaj dwugłowego dziecka irytuje się na inny jego wariant. Nie zważając jednak, czy Padma słucha, czy też nie, muszę pewne rzeczy odnotować.

Trzy dni po moim urodzeniu Marię Pereirę zaczęły trawić wyrzuty sumienia. Józef D’Costa, który zbiegł przed pościgiem wozów policyjnych, najwyraźniej porzucił zarówno siostrę Alicję, jak i Marię; dopiero wtedy ta pulchna kobietka – nie umiając ze strachu przyznać się do popełnionej zbrodni – pojęła własną głupotę. – Jak jakowaś oślica! – przeklinała się w duchu; ale tajemnicę zachowała dla siebie. Postanowiła wszakże w jakiś sposób temu zadośćuczynić. Rzuciła pracę w Klinice Położniczej i zwróciła się do Aminy Sinai:

– Proszę pani, ledwo zobaczyłam pani dziecko, z miejsca się zakochałam. Nie przyda się pani aja?

Na co Amina z oczyma błyszczącymi macierzyństwem odparła:

– I owszem.

Maria Pereira (– Równie dobrze ją mógłbyś nazywać swoją matką – wtrąca Padma, czyli nadal ją to interesuje. – Przecież jesteś jej tworem) począwszy od tamtej chwili poświęciła się mojemu wychowaniu, a zatem skazała się do końca życia na pamięć o swojej zbrodni.

20 sierpnia Nussie Ibrahim poszła w ślad za moją matką do kliniki na Pedder Road i w ślad za mną przyszedł na świat mały Sonny – ale długo wzbraniał się przed wyjściem; trzeba było użyć kleszczy, żeby go wyciągnąć; doktor Bose w krytycznej chwili ścisnął odrobinę za mocno i Sonny ukazał się z małymi wklęśnięciami na obu skroniach, płytkimi wgłębieniami od kleszczy, które przydały mu nieodpartego uroku, takiego jak peruka Williama Methwolda przydawała jej właścicielowi. Dziewczeta (Evie, Mosiężna Małpka i inne) wyciągały ręce, żeby pogłaskać te jego kotlinki... co bywało między nami źródłem niezgody.

Najciekawszy jednak kąsek zachowałem na koniec. Zdradzę więc teraz, że nazajutrz po moim urodzeniu matkę i mnie odwiedzili w szafranowo-zielonej sali dwaj panowie z redakcji „Times of India” (wydanie bombajskie). Leżałem sobie w zielonej kołysce owinięty szafranem i spozierałem na nich. Przyszedł reporter, który przeprowadził wywiad z moją matką, i postawny, przypominający orła fotograf, który zajął się wyłącznie mną. Następnego dnia i słowa, i zdjęcia ukazały się w gazecie...

Nie tak dawno temu odwiedziłem ogród kaktusów, gdzie niegdyś, przed wielu laty, zakopałem swoją zabawkę, blaszany globus, brzydtko wgnieciony, sklefony przylepcem; i

wyciągnąłem ze środka to, co schowałem tam przed iluś laty. Pisząc te słowa, trzymam swoje skarby w lewej ręce i nadal widzę – mimo pożółkłości i zbutwienia – że jeden to list, prywatny list adresowany do mnie, podpisany przez premiera Indii, a drugi to wycinek z gazety.

U góry nagłówek: DZIECKO PÓLNOCY.

Poniżej tekst: „Dzieciątko Salim Sinai w uroczej pozie urodzone zeszłej nocy dokładnie w chwili narodzin niepodległości naszego państwa – szczęśliwe dziecko godziny chwały!”

Pod spodem duża fotografia: non plus ultra, super-hiper czołówkowe wielkie zdjęcie niemowlaka, w którym po dziś dzień można rozpoznać noworodka ze znamionami przyrodzonymi na policzkach i z zasmarkanym, lśniącem nosem. (Obok podpis: Fot. Kalidas Gupta.)

Mimo nagłówka, tekstu i fotografii muszę zarzucić naszym gościom zbrodnię bagatelizacji; ot, zwykli dziennikarze, nie umieli wyjrzeć poza jutrzejszą gazetę, nie zdawali sobie sprawy z rangi wydarzenia, które tak właśnie skwitowali. Dla nich była to tylko chwytliwa ciekawostka.

Skąd wiem? Bo pod koniec wizyty fotograf wręczył matce czek na sto rupii.

Sto rupii! Czy podobna wyobrazić sobie bardziej trywialną, uwłaczającą sumę? Za taką sumę, gdyby ktoś chciał, mógłby się obrazić. Ja jednak podziękuję im tylko za uczczenie mojego przyjścia i wybaczę ten brak należytego wyczucia historii.

– Nie bądź taki zarozumiały – gdera znów Padma. – Sto rupii to nie tak mało; zresztą każdy się kiedyś rodzi, nie ma w tym nic, ale to nic nadzwyczajnego.

Księga druga

Wskazujący palec rybaka

Czy podobna być zazdrosnym o słowo pisane? Pałać nienawiścią do nocnych zapisków, jak gdyby były rywalem seksualnym z krwi i kości? Nie potrafię dopatrzeć się innego wytłumaczenia na osobliwe zachowanie Padmy; bo takie właśnie wyjaśnienie można przynajmniej uznać za równie dziwaczne jak złość, która ją ogarnęła, kiedy dziś wieczór popełniłem błąd napisania (i odczytania na głos) słowa, które nie powinno było paść z moich ust... już od wizyty tamtego lekarza szarlatana zwietrzyłem dziwne niezadowolenie Padmy, wyczuwalne w sekretnych wydzielinach jej gruczołów ekrynowych (bądź apokrynowych). Zniechęcona najpewniej daremnością wszelkich podejmowanych o północy wysiłków, aby wskrzesić mój „drugi ołówek”, ów bezużyteczny ogórek ukryty w moich spodniach, popadła w ustawiczne zrzędzenie. (A przecież już wczoraj oburzała się, kiedy wyjawilem tajemnicę swoich narodzin, i irytowała, że wyrażam się lekceważąco o sumie stu rupii.) Sam za to ponoszę winę: zanurzony w swym autobiograficznym przedsięwzięciu, przeoczyłem jej uczucia i uderzyłem dziś od początku w najbardziej niefortunną z fałszywych strun.

„Skazany przez przedziurawione prześcieradło na życie we fragmentach – napisałem i odczytałem na głos – i tak więcej wskórałem niż mój dziadek; gdyż Aadam Aziz został ofiarą owego prześcieradła, ja zaś jego panem; a teraz Padma uległa jego magii. Siedząc w tych czarownych cieniach, dzień w dzień uchylam łaskawie rąbka swoich tajemnic – podczas gdy ona, moja publiczność, siedzi w kucki zniewolona, bezradna niczym mangusta sparaliżowana wahadłowym spojrzeniem zakapturzonego węża, co ani mrugnie, zahipnotyzowana – a tak! miłością.”

Wszystkiemu winno to właśnie słowo: miłość. Napisane-i-wypowiedziane kazało jej podnieść głos do niebywałego pisku; wyzwoliło w jej ustach zapalczywość, która niechybnie dotknęłaby mnie do żywego, gdyby słowa mogły mnie jeszcze ranić.

– Miłość do ciebie? – zapiszczała nasza Padma pogardliwie. – Boże ty mój, a niby za co? Co z ciebie za pożytek, moje ty książątko – i tu padł jej zamierzony coup de grace – w łóżku?

Wyciągnęła rękę, aż wszystkie włoski załśniły w blasku lampy, palcem wskazującym dźgnęła wzgardliwie powietrze, mierząc w moje zaiste nieprzydatne łądzwie; długi, gruby paluch zeszytywniały z zazdrości niestety przypomniał mi jedynie o innym, dawno utraconym palcu... toteż Padma widząc, że strzała chybiła celu, wrzasnęła: – Jakowys wariat! Doktor miał rację! – i wypadła jak szalona z pokoju. Usłyszałem dudnienie nóg po żelaznych schodach wiodących w dół na halę produkcyjną; gwałtowny tupot między spowitymi ciemnością kadziami marynat; i łoskot najpierw odryglowywanych, a potem trzaskających za nią drzwi.

Porzucony, nie mając innego wyjścia, powróciłem więc do pracy.

Wskazujący palec rybaka: niezapomniany główny punkt obrazka wiszącego na rozlewającej się błękitem nieba ścianie Willi Buckingham, tuż nad niebiesciuchną kołyską, w której jako dzieciątko Salim, dziecko północy, spędziłem najwcześniejsze dni. Młody Raleigh – i kto jeszcze? – siedział, oprawny w drewno tekowe, u stóp starego, sękatego, latającego sieć wilka morskiego – miałże on sumiaste wąsy? – którego prawa ręka wyciągnięta przed siebie sięgała ku wodnistemu horyzontowi, a jego płynące opowieści marszczyły się na powierzchni zasłuchanych uszu Raleigha – i któż jeszcze? Bo na obrazku z całą pewnością

był jeszcze drugi chłopiec, siedział w pozycji lotosu w zapinanej od góry do dołu tunice z żabotem... i tu nachodzi mnie wspomnienie: pewnych urodzin, na które dumna matka oraz nie mniej dumna aja wystroiły dziecko z gargantuicznym nosem w taki właśnie żabot, w taką właśnie tunikę. W błękitnym pokoju pod wskazującym palcem siedział krawiec i kopiował strój angielskich milordów...

– Jejku, jaki człodziutki! – zawołała Lila Sabarmati ku mojemu wiekuistemu ponizeniu. – Zupełnie jakby zszedł z tego obrazka!

Na obrazku wiszącym na ścianie mojego pokoju siedziałem więc obok Waltera Raleigha i patrzyłem w ślad za wskazującym palcem rybaka; wyteżądałem wzrok ku horyzontowi, za którym kryło się – co? – pewno moja przyszłość; mój szczególny los, którego byłem od początku świadom, w postaci migotliwej szarej obecności w tym błękitnym pokoju, zrazu niewyraźniej, aczkolwiek nie do pominięcia... gdyż ów palec wskazywał nawet poza ten migotliwy horyzont, poza tekową ramkę, prowadził wzrok po niewielkiej płaszczyźnie błękitu ściany i przykuwał go do innej ramki, w której wisiało uwiecznione pod szkłem moje nieubłagane przeznaczenie: mianowicie powiększona fotografia niemowlęcia opatrzona proroczymi podpisami, a obok list na eleganckim papierze welinowym, ostemplowany pieczęcią państwową – lwy z Sarnath prężyły się nad dharmacakra, jak przystało na pismo od premiera, które nadeszło przez posłańca Wiśwanatha w tydzień po ukazaniu się mojego zdjęcia na pierwszej stronie „Times of India”.

Uhonorowały mnie gazety; politycy usankcjonowali mój status. Dżawaharlal Nehru napisał: „Drogi Salimie! Przyjmij moje spóźnione gratulacje z powodu tak szczęśliwej chwili narodzin! Jako najmłodszy przywdziałeś właśnie starożytne oblicze Indii, które jest zarazem wiecznie młode. Z wyteżoną uwagą będziemy śledzić twoje życie; stanie się ono w pewnym sensie zwierciadłem całego narodu.”

Na co Maria Pereira, zdjęta strachem:

– Rząd, proszę pani? Będzie miał baczenie na naszego chłopca? Niby dlaczego, proszę pani? Co on im winien?

Na co Amina, nie pochwycawszy nuty przerażenia w głosie niani:

– Tak się tylko mówi, Mario; nie trzeba brać tego dosłownie.

Ale Maria wcale nie znalazła ukojenia; toteż zawsze, kiedy wchodzi do pokoju niemowlęcia, raz po raz zerka na oprawny w ramki list; rozgląda się trwożliwie, czy ten rząd naprawdę mnie śledzi; oczy pałają ciekawością; co też oni wiedzą? Czyżby ktoś podejrzwał?... Ja również, gdy podrosłem, nie przyjąłem wyjaśnienia matki za dobrą monetę; ale do czasu dawało mi ono złudne poczucie bezpieczeństwa; chociaż więc przelała się we mnie cząstka podejrzliwości Marii, wielce byłem zaskoczony, kiedy...

Może zresztą palec rybaka nie wskazywał na oprawny w ramki list; bo gdy się za nim spojrzę, kierował on wzrok za okno, w dół piętrowego pagóra, przez Warden Road, poza baseny Breach Candy, aż ku drugiemu morzu, nie temu z obrazka; ku morzu, na którym w blasku zachodzącego słońca lśniły szkarłatem żagle dhow Kolich... a zatem oskarżycielski palec kazał nam patrzeć na wydziedziczonych mieszkańców Bombaju. A może – chociaż na samą taką myśl aż dygoce na ciele mimo panującej tu duchoty – był to palec przestrogi i jego celem było zwrócić uwagę na siebie; właśnie, mógł stanowić, a jakże, zapowiedź innego palca, nie tak znów od siebie różnego, którego wkroczenie do mojej opowieści wyzwoli straszliwą logikę Alfya i Omegi... Boże! Co za przypuszczenie! Jaka część mojej przyszłości wisiała nad kołyską, czekając tylko, bym ją zrozumiał? Ile ostrzeżeń dostałem – a ile zlekceważyłem?... Lecz nie. Nie będę „jakowymś wariatem”, żeby się posłużyć finezyjnym

określeniem Padmy. Nie ulegnę splekanym dygresjom; przynajmniej dopóki starczy mi sił, żeby się oprzeć owym pęknięciom.

Kiedy Amina Sinai i dzieciątko Salim mieli jechać do domu pożyczonym Studebakerem, Ahmed Sinai zabrał ze sobą szarą kopertę. A w niej: słoik po limonowych kasaundi, umyty, wyparzony, oczyszczony – i teraz ponownie napełniony. Szczelnie zamknięty metalową pokrywką obciążoną gumowym krążkiem, przytrzymanym przez skręconą gumkę. Co tak szczelnie wekowano pod gumką, przechowywano w szkle schowanym w kopercie? A to: wraz z ojcem matką i dzieckiem jechała do domu miarka słonej wody, w której unosiła się swobodnie pępowina. (Tylko czy moja, czy tego drugiego? Tego nie potrafię stwierdzić.) Kiedy więc świeżo najęta aja, Maria Pereira, zmierzała autobusem do Posiadłości Methwolda, pępowina jechała z wielką paradą w skrytce samochodu pewnego potentata filmowego. Kiedy dzieciątko Salim wyrastało na mężczyznę, pępowina tkwiła nieodmiennie w zapieczętowanej słonej wodzie, w głębi tekowej almarii. Kiedy zaś wiele lat później nasza rodzina udała się na wygnanie do Kraju Czystych, gdy sam dążyłem usilnie do czystości, pępowiny doczekały się, wprawdzie krótkiego, okresu świetności.

Niczego nie wyrzucono; zachowano tak dziecko, jak i popiół; oba zawitały w Posiadłości Methwolda; oba czekały, aż nadejdzie ich czas.

Wcale nie byłem ładnym dzieckiem. Zdjęcia z okresu niemowlęctwa ujawniają, że moja duża okrągła-jak-księżyc twarz była zdecydowanie za duża; i za bardzo okrągła. Czegoś jakby brakowało w okolicy podbródka. Z moich rysów przebijała jasna cera – ale skalały ją znamiona przyrodzone; na moim zachodnim przedziałku wykwitły ciemne plamy, wschodnie ucho zabarwiła ciemna łata. A skronie: zbyt wydatne, dwie bulwy kopuł bizantyjskich. (Sonny Ibrahim i ja urodziliśmy się na przyjaciół – kiedy zderzaliśmy się czołami, wklęśnięcia pokleszczowe Sonny'ego pasowały jak ulał do moich bulwiastych skroni tak idealnie jak złącza ciesielskie.) Amina Sinai poczuwszy niewymowną ulgę na widok mojej pojedynczej głowy, wpatrywała się w nią ze zdwojoną macierzyńską czułością, widziała ją przez upiększającą mgiełkę, nie dostrzegała lodowatej ekscentryczności moich błękitnych-jak-niebo oczu, skroni wystających jak karłowate rogi ani nawet wybujałego jak ogórek nosa.

Nos dzieciątka Salim: gigantyczny; a przy tym zasmarkany.

Intrygujące cechy mojego wczesnego dzieciństwa: byłem pokaźny i nieurodzivy, a ponadto najwyraźniej niezadowolony z siebie. Już od pierwszych dni wprowadziłem w życie heroiczny plan hipertrofii. (Jak gdybym wiedział, że aby unieść brzemień przyszłego żywota, muszę być naprawdę duży.) Do połowy września zdołałem wyssać całe mleko z niemałych bądź co bądź piersi matki. Wynajęto mamkę, ale prędko uciekła, bo w ciągu zaledwie dwóch tygodni wyschła jak pustynia, a w dodatku urągała, że dzieciątko Salim usiłuje odgryźć jej sutki swoimi bezzębnymi dziąsłami. Przeszedłem więc na butelkę i jałem pochłaniać ogromne ilości pokarmu: sutki butelki też przy tym ucierpiały, co potwierdziło słuszność oskarżeń mamki. Prowadzono drobiazgowo zapiski w księdze rozwoju dziecka; świadczą one, że rosłem niemal w oczach, powiększałem się z dnia na dzień; niestety, nikt nie robił pomiarów nosa, trudno mi zatem ustalić, czy mój narząd oddychania rósł proporcjonalnie, czy też szybciej od całej reszty. Muszę przyznać, że miałem zdrową przemianę materii. Wydaliny usuwały się obficie z odpowiednich otworów; z nosa spływały całe kaskady lśniących smarków. Niezliczone armie chustek do nosa, regimenty pieluszek trafiały do wielkiej skrzyni na brudną bieliznę w łazience matki... wypróżniając się z różnych szczelin, nic jednak nie roniłem z oczu.

– Ale to dobry dzieciak, proszę pani – mawiała Maria Pereira. – Nie uroni ani jednej łzy.

Dobry dzieciak Salim był cichym niemowlakiem; często się śmiałem, ale bezgłośnie. (Tak jak mój syn najpierw badałem teren, słuchałem, a dopiero potem decydowałem się na śmiech czy później na mowę.) Przez pewien czas Amina i Maria żyły w strachu, że dziecko jest niemową; lecz kiedy już miały powiadomić o tym ojca (przed którym dotąd zatajały swoje obawy – żaden ojciec nie chce mieć ułomnego dziecka), mały gromko dał głos, zatem okazał się przynajmniej w tym względzie całkiem normalny.

– Zupełnie jakby chciał – Amina szepnęła Marii – wreszcie nas uspokoić.

Był też jeszcze jeden poważny kłopot. Amina i Maria zauważyły go dopiero po kilku dniach. Zajęte wymagającym, złożonym procesem przeistaczania się w dwugłową matkę, mając spojrzenie zmaczone mgławicą śmierdzącej bielizny, przeoczyły nieruchomość moich powiek. Amina pamiętała, jak to podczas jej ciąży brzemię nie narodzonego dziecka wstrzymało czas, który znieruchomiał niczym zamarty zielony staw, zaczęła się więc teraz zastanawiać, czy aby nie zachodzi proces odwrotny – czy przypadkiem dziecko nie posiada jakiejś tajemnej władzy nad wszelkim czasem w swoim najbliższym otoczeniu i nie przyspiesza go tak, że matka-i-aja nigdy nie mają dość czasu na wszystko, co trzeba zrobić, aby dziecko mogło rosnąć w tym zgoła niewiarygodnym tempie; pogrążona w swoich chronologicznych snach na jawie, nie zauważyła mojego problemu. Dopiero kiedy odtrąciła te myśli i powiedziała sobie, że jestem po prostu grzecznym małym dryblasem, co ma wilczy apetyt i ponad wiek się rozwija, zasłony miłości macierzyńskiej rozstały się przed nią i przed Marią dostatecznie szeroko, żeby obie zakrzyknęły jak na komendę:

– Patrzajcie, bap-re-bap! Pani patrzy! Widzisz, Mario! Ten malec nawet nie mrugnie!

Oczy były zbyt błękitne: błękitem Kaszmiru, błękitem podmieńca, błękitem brzemia nie wylanych łez, zbyt błękitne, żeby mrugać. Kiedy mnie karmiono, oko mi ani drgnęło; kiedy dziewczyna Maria sadzała mnie sobie na barana i wołała: – Uf, Jezuniu, jaki on ciężki! – bekałem bez jednego mrugnięcia. Kiedy Ahmed Sinai kuśtykał z rozwalonym paluchem do mojej kołyski, Ignąłem do jego sterczących warg z życzliwym wejrzeniem i bez zmrużenia powiek...

– Może to jakiś błąd, proszę pani – podsunęła Maria. – Może mały sahib naśladuje nas i mruga tylko wtedy, kiedy my mrugamy.

Na co Amina:

– Będziemy mrugać na zmianę i obserwować.

Otwierały-i-zamykały powieki na przemian i wpatrywały się w mój lodowaty błękit; ani drgnienia; wtedy Amina wzięła sprawę w swoje ręce, sięgnęła do kołyski i pogłaskała mnie po powiekach. Zamknęły się: oddech natychmiast przeszedł w kojące rytmy snu. Po tym incydencie przez wiele miesięcy matka i aja na zmianę otwierały mi i zamykały powieki.

– Naucz się, proszę pani – Maria pocieszała Aminę. – To dobry, posłuszny dzieciak, na pewno sam się połapie, na czym to polega.

No i nauczyłem się: pierwsza nauczka w moim życiu: nie da się stawić czoła światu z otwartymi bez przerwy oczami.

Kiedy patrzę teraz wstecz oczyma niemowlęctwa, widzę wszystko nader wyraźnie – aż dziw bierze, ile to można sobie przypomnieć, kiedy człowiek dołoży starań. A co widzę: nasze miasto, wylegające się niczym krwiożercza jaszczurka w letnim skwarze. Nasz Bombaj: wygląda jak ręka, ale w istocie podobny jest gębie, zawsze otwartej, zawsze głodnej, pochłaniającej żywność i talenty całych Indii. Okazała pijawka, która nic nie produkuje, wyjąwszy filmy koszule tropikalne ryby... widzę, jak po podziale Indii Wiśwanath, mały posłaniec, pedałuje na rowerze w kierunku naszego piętrowego pagóra, z welinową kopertą w

torbie przytroczonej do siodełka, jak omija na swoim leciwym Indrowerze Ardżuna zgrzybiały autobus – porzucony, choć to jeszcze nie monsunowa pora, bo kierowca nagle postanowił wybyć do Pakistanu, zgasił motor i oddalił się, pozostawiając autobus pełen bezradnych pasażerów, którzy zwisali z okien, czepiali się dachu, pchali do drzwi... słyszę ich wyzwiska, świński ryj, chamiszczce; ale przez bite dwie godziny będą się trzymać swoich z trudem zdobytych miejsc, zanim porzucą autobus na pastwę losu. No i, no i: oto pierwszy śmiałek z Indii, który przepłynął kanał La Manche, pan Puszpa Roj, przy wejściu na basen Breach Candy. Na głowie szafranowy czepek, zielone slipy zawinięte w ręcznik o barwach flagi narodowej, otóż ten Puszpa wypowiedział wojnę zasadzie „tylko-dla-białych” obowiązującej na tej pływalni. W ręku trzyma mydło sandałowate Mysore; zbiera się w sobie; mija furtkę... wówczas chwytają go wynajęci Patanowie, jak zwykle Hindusi chronią Europejczyków przed buntem Hindusów; chociaż rebeliant dzielnie się opiera, zostaje wyniesiony za ręce i nogi twarzą do ziemi i na nią rzucony. Zdobywca kanału ląduje na jezdni, ledwo unikając wielbłądów taksówek rowerów (Wiśwanath gwałtownie skręca, żeby ominąć mydło)... ale buta go nie opuszcza; podnosi się; otrzępuje; i obiecuje sobie wrócić tam nazajutrz. Przez całe dzieciństwo dzień w dzień widywałem pływaka Puszpę w szafranowym czepek, z ręcznikiem o barwach flagi narodowej, jak wbrew swojej woli daje nura na Warden Road. Ta jego niezłomna kampania zakończyła się ostatecznie zwycięstwem, bo dzisiaj zezwala się niektórym – „co lepszym” – Hindusom zanurzyć w wodach o kształcie mapy. Puszpa jednak nie należy do tych lepszych; stary już teraz i zapomniany, obserwuje z daleka baseny... napływa mi teraz do głowy ciżba takich postaci – jak Bano Dewi, słynna zapaśniczka tamtych lat, która walczyła jedynie z mężczyznami, a odgrażała się, że poślubi każdego, kto z nią wygra, no i wskutek tego przyrzeczenia nie przegrała ani jednego pojedynku; następnie (już bliżej domu) sadhu pod naszą ogrodową pompą, który nazywał się Puruszottam, a którego nasza banda (Sonny, Okruchoka, Pomada, Cyrus i ja) przeżywalismy zawsze Puru-garu – ponieważ miał mnie za Mubaraka, Błogosławionego, poświęcił całe życie, żeby mieć na mnie baczenie; całymi dniami uczył mojego ojca wróżenia z ręki i usiłował za pomocą magii usunąć nagniotki mojej matce; a także rywalizacja starego sługi, Musy, i nowej niani, Marii, która się będzie nasilać, aż w końcu wybuchnie; jednym słowem, pod koniec roku 1947 życie w Bombaju było tak samo rojne, wielorakie, na wzór ciżby bezkształtne jak zawsze... wyjąwszy fakt moich narodzin; już bowiem wówczas zaczęłam ustalać swoją pozycję w centrum świata; a kiedy skończyłem, nadałem wszystkiemu sens. Nie wierzysz mi? To posłuchaj, Maria Pereira przy mojej kołysce nuci taką piosnkę:

Kim tylko zechcesz być, to będziesz:

Będziesz tym, kim sobie sam zamarysz.

Kiedy nadszedł czas mojego obrzezania przez golibrodę z tak zwaną wilczą paszczą, mistrza Królewskiej Razury przy Gowalia Tank Road (miałem wtedy niewiele ponad dwa miesiące), w Posiadłości Methwolda byłem już dosłownie rozrywany. (Nawiasem mówiąc, w kwestii obrzezania: po dziś dzień przysięgam, że pamiętam uśmiech golibrody, który trzymał mnie za napletek, kiedy mój członek wił się opętańczo niczym ślizgający się wąż; i opadającą brzytwę, i ból; ale ponoć w danej chwili ani nie mrugnąłem.)

Tak, byłem bardzo popularnym malcem: obie moje matki, Amina i Maria, nie mogły się mną wprost nacieszyć. We wszystkich sprawach praktycznych jednoczyły się w najbardziej zażyłym przymierzu. Po obrzezaniu wykapały mnie razem; i zaśmiewały się razem, kiedy

mój okaleczony narząd kiwał się złowrogo w kąpielu.

– Trzeba na niego uważać, proszę pani – powiedziała Maria figlarnie. – Ten jego maluch żyje własnym życiem!

A na to Amina:

– Cii, cii, Mario, coś podobnego, jesteś okropna...

Mimo to Maria w paroksyzmach niepoahamowanego śmiechu:

– No to niech pani spojrzysz na tego niebożuchnego siusiaka!

Bo ten znów się wił i miotał niczym kurczak z poderżniętym gardłem... Razem pięknie się mną zajmowały; ale w sferze emocjonalnej były sobie śmiertelnymi wrogami. Pewnego razu, kiedy zabrały mnie na spacer wózkami po Wiszących Ogrodach na Wzgórzu Malabarskim, Amina podsłuchiwała, jak Maria chwali się innym niankom: – Patrzcie, jaki to duży ten mój syn – i poczuła się dziwnie zagrożona. Od tamtej pory dzieciątko Salim stało się polem walki ich miłości; obie prześcigały się nawzajem w okazywaniu uczuć; tymczasem malec już teraz mrugał i gulgotał w głos, a także żywił się ich afektami i sycił, żeby przyspieszyć swój wzrost, zatem wchłaniał nieprzebrane pieszczoty pocałunki łaskotki-pod-brodą, dążąc do momentu, w którym doczeka się podstawowej cechy rodzaju ludzkiego: dzień w dzień, ale tylko w tych rzadkich chwilach, kiedy zostawiano mnie sam na sam ze wskazującym palcem rybaka, próbowałem stanąć prosto w swoim łóżeczku.

(A kiedy ja podejmowałem daremne wysiłki, żeby stanąć na własnych nogach, Amina również borykała się z bezowocnymi staraniami – usiłowała wyrzucić z głowy sen o swym zniesławionym mężu, gdyż wyparł on sen o lepie na muchy przyśniony w noc po moich narodzinach; sen o tak dojmującej wyrazistości, że nie opuszczał jej i na jawie. Nadir Chan nawiedzał ją w łóżku i zapładniał; a odznaczał się ten sen tak złośliwą perwersyjnością, iż Amina zupełnie się pogubiła, jeśli chodzi o ojcostwo jej dziecka, toteż przysporzyła mnie, dziecku północy, czwartego z kolei ojca po Winkiem, Methwoldzie i Ahmedzie. Wytrącona z równowagi, acz bezradna w szponach owego snu, moja matka, Amina, zaczęła wówczas snuć mgłę poczucia winy, która w późniejszych latach miała spowić jej głowę niczym ciemny, czarny wieniec.) Nigdy nie słyszałem Wee Willie Winkiego u szczytu formy. Po swojej oślepiającej stracie odzyskał powoli wzrok; ale też jakaś gorycz i cierpkość zakradły się do jego głosu. Twierdził, że to astma, i nadal zjawiał się co tydzień w Posiadłości Methwolda, aby śpiewać piosenki, które tak jak on sam były relikdami epoki Methwolda. Śpiewał „Dobranoc, moje panie”, a żeby bardziej uwspółcześnić repertuar, włączył do niego „Niebawem chmury przejdą” i nieco później „Po czemu ten piesek z wystawy?” Układał przed sobą na płacyku na niewielkiej macie pokaznego niemowlaka kopiącego złowróźnie nożętami i wyśpiewywał pieśni przepełnione nostalgią, nikt zaś nie miał serca go odprawić. Winkie i palec rybaka to dwie z nielicznych pozostałości po czasach Williama Methwolda, albowiem po zniknięciu Anglika jego sukcesorzy opróżnili pałace z zostawionych tam dóbr. Wprawdzie Lila Sabarmati zatrzymała pianole; Ahmed Sinai zachował barek z whisky; stary Ibrahim pogodził się z wentylatorami sufitowymi; lecz złote rybki pozdychały, jedne z głodu, inne natomiast z tak ogromnego przejedzenia, że pękły, puszczając obłoczki łusek i nie strawionego pokarmu; psy zdziczały, chociaż z czasem przestały się włóczyć po posiadłości; a płowiejące ubrania w starych almariach rozdano żonom czyścicieli ustępów i reszcie służby domowej, toteż jeszcze przez wiele lat spadkobiercom Williama Methwolda usługiwali mężczyźni i kobiety przyodziani w coraz bardziej wystrzępione koszule i bawełniane wzorzyste suknie niegdysiejszych panów. Jednakże Winkie i obrazek na ścianie przetrwały; śpiewak i rybak stali się instytucjami naszego życia, podobnie jak pora koktajlowa, która

przyjęła się jako silny, niemożliwy do wykorzenia zwyczaj. „Kaźda twa łezka, kaźdy smutek – śpiewał Winkie – zbliżają cię do mnie...” A głos mu się stopniowo pogarszał, aż nabrał brzmienia sitaru, którego pudło rezonansowe wykonane z polakierowanej tykwy zostało nadgryzione przez myszy. – To astma – powtarzał z uporem. Przed śmiercią zupełnie stracił głos; lekarze podważyli jego diagnozę, twierdząc, że to rak gardła; i oni się jednak mylili, gdyż Winkie nie umarł na żadną chorobę, tylko ze zgryzoty po stracie żony, której nie podejrzewał wcale o niewierność. Jego syn obdarzony imieniem Siwa na cześć boga płodności i zniszczenia siadywał w tych wczesnych latach u stóp ojca, znosząc w milczeniu brzemię bycia przyczyną (tak przynajmniej sądził) powolnego upadku ojca; stopniowo, z biegiem czasu, widzieliśmy, jak oczy mu przepełnia niewyraźny gniew; patrzyliśmy, jak pięści mu się zaciskają na kamykach, które następnie ciska, z początku nieporadnie, w miarę zaś dorastania coraz groźniej, w otaczającą go pustkę. Kiedy starszy syn Lili Sabarmati miał osiem lat, powążył się rozdrażnić małego Śiwę, wytykając mu zgryźliwość, nie wykrochmalone szorty, węzłaste kolana; na co chłopiec, skazany wskutek przestępstwa Marii na ubóstwo i akordeony, cisnął ostrym, płaskim kamieniem, który ciął jak brzytwa, i oślepił prawe oko prześladowcy. Po wypadku Okruchoka Wee Willie Winkie przychodził do Posiadłości Methwolda sam, zostawiając syna na pastwę mrocznych labiryntów, z których dopiero wojna zdołała go wyzwolić.

Dlaczego Posiadłość Methwolda nadal tolerowała Wee Willie Winkiego pomimo jego zaniku głosu i porywczosci syna: bo kiedyś poddał im nader istotną wskazówkę na temat ich żywotów. – Od chwili pierwszych narodzin – oznajmił – nabierzecie realności.

W wyniku tejże wskazówki Winkiego od najwcześniejszego dzieciństwa byłem tak bardzo rozrywany. Nie tylko Amina i Maria ubiegały się na wyprzedki o moje względy; chcieli mnie również poznać mieszkańcy wszystkich domów posiadłości; toteż w końcu Amina, przedłożywszy dumę z mojej popularności nad lęk o tracenie mnie z oczu, zgodziła się mnie wypożyczać kolejno poszczególnym rodzinom na wzgórzu. I tak, popychany przez Marię Pereirę w błękitnym-jak-niebo wózku, rozpocząłem tryumfalną rundę po pałacach zwieńczonych czerwoną dachówką, zaszczyciałem kaźdy z nich swoją obecnością, a zarazem urealniałem je w oczach ich właścicieli. Kiedy więc patrzę teraz wstecz oczyma dzieciątka Salim, mogę zdradzić większość tajemnic swojego sąsiedztwa, bo dorośli wiedli swój żywot w mojej obecności bez obawy o to, że kaźs ktoś ich podgląda, nieświadomi, iż po wielu latach ten kaźs ktoś spojrzy na powrót niemowlęcymi oczyma i uzna za stosowne wypuścić wszystkie koty z worków.

Zatem stary Ibrahim umiera wprost z przejęcia, bo tam w Afryce rządy wprowadzają nacjonalizację jego plantacji sizalu; jego starszy syn, Ischak, zamartwia się o swoje hotele, które obrastają długami, toteż musi pożyczać pieniądze od miejscowych gangsterów; a oto Ischak patrzy pożądlwym wzrokiem na swoją bratową, chociaż na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą, jak Nussie-kaczka mogła w kimkolwiek budzić namiętność erotyczną; a tu mąż Nussie, Ismail, prawnik, kaźs który z kleszczowego porodu syna wyniósł nie lada naukę: – Nic samo w życiu nie wychodzi – powtarza swojej kaczkowej żonie – wszystko trzeba wyciągać siłą. – Stosując tę filozofię do swojej kariery prawniczej, zaczyna przekupywać sędziów i przekabacać ławę przysięgłych; wszystkie dzieci mają przemożny wpływ na rodziców, tak więc Sonny przemienił swojego ojca w nader przedsiębiorczego oszusta. A oto do Willi Wersal naprzeciwno wprowadza się pani Dubasz z kapliczką boga Ganeśi, wciśniętą w kąt mieszkania, gdzie panował kaźs zawsze taki nieboski bałagan, że w naszym domu słowo „dubasz” było równoznaczne ze słowem „nieład”...

– Och, Salimie, co z ciebie za czarne nasienie, aleś znów narobił dubaszu u siebie w pokoju! – wołała Maria.

A sprawca owego nieporządku pochyła się nad budką mojego wózka, żeby połaskotać mnie pod brodą; Adi Dubasz, fizyk, geniusz atomów i śmieci. Jego żona, która już nosi w łonie Cyrusa Wielkiego, traktuje mnie z rezerwą, skupiona na własnym dziecku, tylko jakiś fanatyczny błysk czai się w kącikach jej oczu, czeka stosownej pory; i nie ujawni się, póki Dubasz, który spędzał całe dni nad najbardziej niebezpiecznymi substancjami świata, nie umrze dławiąc się pomarańczą, bo żona zapomniała usunąć z niej pestek. Nigdy natomiast nie dostałem zaproszenia do mieszkania doktora Narlikara, ginekologa nienawidzącego dzieci; z kolei w domach Lili Sabarmati i Homo Catracka stałem się voyeurom, maleńkim kibicem tysiąca i jednej niewierności Lili, a z czasem świadkiem nawiązania romansu między żoną oficera marynarki wojennej a potentatem-filmowym-i-właścicielem-konia-wyścigowego; co naturalnie w odpowiednim czasie bardzo mi się przydało, kiedy obmyślałem pewien akt zemsty.

Nawet niemowlę ma kłopoty z samookreśleniem; muszę przyznać, że moja wczesna popularność też zawierała problematyczne aspekty, gdyż bombardowała mnie wprost otumaniająca mnogość poglądów na ten temat: dla guru spod pompy byłem Błogosławionym, dla Lili Sabarmati – voyeurom; w oczach Nussie-kaczki byłem rywalem, i to zwycięskim, jej rodzonoego Sonny’ego (choć gwoili sprawiedliwości przyznaję, że nigdy nie okazywała swojej niechęci, lecz na równi z innymi prosiła o wypożyczenie mnie); dla mojej dwugłowej matki byłem wszystkim, czym tylko dzidzius być może: nazywały mnie maliczkiem-księżczykiem, puti-puti i okruszkiem-księżycą.

Co jednak taki malec może począć innego, jak tylko wszystko przełknąć z nadzieją, że pojmie to później? Cierpliwie więc, z suchymi oczami wchłonałem list Nehru i prorocstwo Winkiego; największe jednak wrażenie odniosłem w dniu, w którym córka debilka Homi Catracka przesłała swoje myśli przez placyk między domami wprost do mojej niemowlęcej głowy.

Toxy Catrack z przerośniętą głową, wiecznie zaśliniona; Toxy, która wystawała nagusienka w zakratowanym oknie na najwyższym piętrze i masturbowała się z wyrazem niewymownego obrzydzenia; która pluła mocno i często z za krat, a niekiedy trafiała kogoś z nas w głowę... miała dwadzieścia jeden lat, była bełkoczącym półgłówkiem, produktem wielu lat chowu wsobnego; ale mnie się jawiła piękna, bo nie straciła tych darów, z którymi rodzi się każde dziecko, a dopiero życie czyni wśród nich spustoszenie. Nie pamiętam już, co Toxy powiedziała, kiedy przesłała mi szeptem swoje myśli; pewno nic oprócz gulgotu i splunięć; ale uchyliła nieco drzwi w mojej głowie, kiedy więc zdarzył się incydent ze skrzynią na bieliznę, najpewniej umożliwiła go właśnie Toxy.

Starczy tego na razie w kwestii pierwszych dni dzieciątka Salim – już i tak sama moja obecność wywiera wpływ na historię; już dzieciątko Salim wprowadza zmiany w życie otaczających go osób; jeżeli zaś chodzi o ojca, jestem przekonany, że to właśnie ja popchnąłem go ku ekscesom, które doprowadziły, być może nieuchronnie, do strasznego okresu zamrożenia.

Ahmed Sinai nigdy nie wybaczył synowi, że ten złamał mu duży palec u nogi. Nawet kiedy usunięto łubki, wciąż nieznacznie utykał. Ojciec pochyłał się nad moją kołyską i powiadał:

– Wiedz jedno, mój synu; jaki początek, taka i dalsza droga. Już na samym wstępie dałeś łupnia swojemu biednemu staremu ojcu.

Moim zdaniem był to tylko połowiczny żart. Bo wraz z moim przyjściem na świat wszystko się dla Ahmeda Sinai odmieniło. Moje nadejście podważyło jego status w domu. Naraz sumienność Aminy przybrała inne cele; skończyło się przymilne dopraszanie o pieniądze, a serwetka na podółku przy śniadaniu rozrzewniała się z tęsknoty za dawnymi czasami. Teraz słyszał tylko: – Twój syn musi mieć to-a-to – albo – Dżanam, musisz dać pieniądze na-to-a-tamto. – Kiepska sprawa, myślał w duchu Ahmed Sinai. Mój ojciec był honorowym mężczyzną.

Toteż z mojego powodu Ahmeda Sinai naszyły tuż po moim urodzeniu dwie fantazje, które miały go w końcu dobić, a mianowicie wiara w nierealny świat džinnów i w ziemię pod morzem. Wspominam mojego ojca w pewien wieczór chłodną porą, jak siedzi na moim łóżku (miałem wtedy siedem lat) i opowiada mi zachrypłym głosem historię o rybaku, który znalazł džinna w butelce wyrzuconej na brzeg...

– Nigdy nie wierz obietnicom džinnów, mój synu! Wypuścisz takiego z butelki, a zaraz zje cię żywcem!

Na co ja, nieśmiało – bo wyczuwałem groźbę w oddechu ojca:

– Ale powiedz, Abba, czy džinny naprawdę mieszkają w butelkach?

Wtedy ojciec w raptownej niczym rtęć zmianie nastroju zanosił się śmiechem, wychodził z pokoju i wracał z ciemnozieloną butelką opatrzoną białą nalepką.

– Spójrz! – powiedział chrapliwie. – Chcesz tu zobaczyć džinna?

– Nie! – piszczalem zdjęty przerażeniem; za to: – Tak! – krzyczała moja siostra, Mosiężna Małpka, z sąsiedniego łóżka... i oboje kuląc się z podniecenia i strachu patrzyliśmy, jak odkręca nakrętkę i dramatycznym gestem zakrywa szyjkę butelki dłonią; zaraz w drugiej ręce zjawiała się zapalniczka.

– Niech przepadną wszystkie złe džinny! – wołał ojciec i odsuwając dłoń przytykał płomień do wylotu szyjki. Wylęknieni, Małpka i ja przyglądaliśmy się, jak tajemniczy płomień, niebiesko-zielono-żółty, kołuje z wolna w dół po wewnętrznych ściankach butelki; aż sięgnąwszy dna rozbłyskuje na moment i gaśnie. Nazajutrz wywoływałem salwy śmiechu Sonny'ego, Okruczoka i Pomady, kiedy im opowiadałem: – Mój ojciec zwalcza džinny; pokonuje je; naprawdę!... – Bo i była to prawda. Ahmed Sinai, pozbawiony pochlebstw i uwagi, zaczął tuż po moich narodzinach całozyciową walkę z flaszkami pełnymi džinnów. Myliłem się tylko w jednej kwestii: nie wygrywał. Berek koktajlowy rozbudził w nim pragnienie; ale dopiero moje przybycie go do niego przyciągnęło... W owych czasach w Bombaju ogłoszono prohibicję. Żeby sobie gołnąć, trzeba było uzyskać zaświadczenie o alkoholizmie; toteż wyłoniła się nowa specjalizacja medyczna, lekarzy džinnów, i jednego takiego, doktora Sarabiego, przedstawił ojcu nasz sąsiad, Homi Catrack. Od tamtej pory pierwszego dnia każdego miesiąca ojciec, pan Catrack i wielu szacownych obywateli miasta ustawiało się w kolejce pod marmurkowymi drzwiami gabinetu doktora Sarabiego, wchodziło i wychodziło z różowymi świstkami alkoholików. Tyle że dozwolona racja była za mała jak na potrzeby ojca; toteż ją wysyłać tam również całą służbę, ogrodników, pokojowych, szoferów (mieliśmy teraz własny samochód, Rover 1946 ze stopniami do wsiadania, taki sam, jaki miał William Methwold), nawet starego Musę i Marię Pereirę, ci zaś wracali z dalszymi plikami różowych świstków, ojciec brał je do sklepu Widżaj naprzeciwko razury rzeźnika przy Gowalia Tank Road i wymieniał na szare torby alkoholizmu, w których pobrzękiwały zielone butelki pełne džinnów. No i whisky: Ahmed Sinai zamraczał się wychylając zawartość zielonych butelek i czerwonych kartek służby. Biedacy nie mając zaiste czego spieniężyć, sprzedawali się na różowych karteluskach; a ojciec upłynniał je i wypijał do dna.

Co wieczór o szóstej Ahmed Sinai wkraczał w świat dżinnów; a co rano z zaczerwienionymi oczyma, z głową pękającą ze zmęczenia po całonocnych bataliach, schodził nie ogolony na śniadanie; z biegiem lat jego dobry nastrój przed ogoleniem ustąpił miejsca rozdrażnionemu wyczerpaniu wojną ze spirytualnymi duchami.

Po śniadaniu schodził na dół. Wydzielił dwa pokoje parterowe na swoje biuro, ponieważ jak zwykle szwankowało mu poczucie orientacji, nie uśmiechało mu się więc błądzić po Bombaju w drodze do pracy; bo nawet on potrafił znaleźć drogę na dół po schodach. Zamroczony ojciec przeprowadzał transakcje nieruchomościami; a jego narastająca złość na całkowite skupienie się matki na dziecku znalazła teraz ujście za drzwiami jego biura – Ahmed Sinai zaczął flirtować z sekretarkami. Następowaly noce, kiedy jego swary z butelkami kończyły się szorstkim wykrzykiwaniem: – Ale mi się trafiła żona! Trzeba mi było kupić sobie syna i nająć do niego niańkę, co za różnica? – Następowaly strugi łez i wymówki Aminy: – Och, dżanam, przestań mnie zadrećcać! – co z kolei prowokowało jego wybuch: – Też mi udręka! Uważasz, że to udręka, kiedy mąż ubiega się o względy żony? Boże, ustrzeż mnie przed głupimi kobietami! – i ojciec kuśtykał na dół, żeby przewracać oczami do kolabskich dziewcząt. A po pewnym czasie Amina spostrzegła, że żadna sekretarka nie zagrzewa długo miejsca, że wszystkie ni stąd, ni zowąd czmychają, wybiegając bez wypowiedzenia naszym podjazdem; musisz zatem wedle własnego rozumu rozstrzygnąć, czy wolą pozostać ślepa, czy też uznała to za formę kary, dość że nie poczyniła żadnych kroków, tylko nadal poświęcała mi cały swój czas; jedynym jej aktem odnotowania ich obecności było nadanie tym dziewczętom wspólnego imienia.

– Te Anglo-Hinduski – wyraziła się raz do Marii, zdradzając cień snobizmu – wszystkie noszą takie dziwaczne imiona: Fernanda, Alonso i takie tam, a te ich nazwiska, Boże ty mój! Sulaka, Kolako i sama już nie wiem jak. Cóż one mnie obchodzą? Tandetne dziewczuszyska. Dla mnie to wszystko jego coca-cole, wszystkie na jedno kopyto.

Kiedy więc Ahmed podszczypywał tyłeczki, Amina reagowała z pobłażliwością; chociaż może by wolał, żeby ją to więcej obchodziło.

Maria Pereira zaoponowała:

– Żadne tam dziwaczne imiona; to, za przeproszeniem łaskawej pani, porządne chrześcijańskie nazwania.

Wtedy Amina przypomniała sobie, jak kuzynka Ahmeda, Zohra, szydziła z ciemnej skóry i spiesząc z przeprosinami, palnęła gafę Zohry:

– Ależ nie chodzi o ciebie, moja Mario, jak możesz sądzić, że się z ciebie wyśmiewam?

Ze skrońmi-jak-rogi, z nosem-jak-ogóras leżałem w kołysce i słuchałem; a wszystko, co się zdarzyło, zdarzyło się za moją sprawą... Pewnego dnia w styczniu 1948 o piątej po południu odwiedził ojca doktor Narlikar. Jak zwykle nastąpiły uściski i poklepywanie po plecach.

– Partyjkę szachów? – zagadnął ojciec zwyczajowo, bo te wizyty stały się już rytuałem. Grywali w szachy, w szatrandż, na pradawną indyjską modłę, po czym Ahmed uwolniony przez prostotę szachownicy od codziennych zgryzot, marzył przez jakąś godzinę o przeredagowaniu Koranu; potem nadchodziła godzina szósta, pora koktajlu, czas na dżinny... ale tym razem Narlikar powiedział: – Nie.

Na co Ahmed:

– Nie? Jak to „nie”? Chodź, siadaj, pogramy, pogawędzimy...

Ale Narlikar przerywa:

– Dzisiaj, bracie Sinai, muszę ci coś pokazać.

Już są przy Roverze 1946, Narlikar kręci korbą, wskakuje; jadą na północ Warden Road, mijają po lewej Świątynie Mahalakszmi i Klub Willingdona z polem golfowym po prawej, zostawiają w tyle tor wyścigowy, mkną po Hornby Vellard wzdłuż wału nadmorskiego; widać Stadion Wallabhbai Patela z gigantycznymi tekturowymi sylwetkami zapaśników, Bano Dewi, Niepokonanej Niewiasty, i Dary Singha, najmocniejszego z ludzi... po promenadzie snują się sprzedawcy ćany i służący wyprowadzający psy.

– Stajemy – zarządza Narlikar, obaj wysiadają. Stoją zwrócenii twarzami do morza; nadmorska bryza chłodzi im twarze; a tam, u końca wąskiej betonowej ścieżki pośród fal znajduje się wyspa, na której stoi grobowiec mistyka Hadzi Alego. Pielgrzymi przemierzają trasę między Vellard a grobowcem.

– Tam – wskazuje Narlikar. – Co widzisz?

Ahmed strapiiony:

– Nic. Grobowiec. Ludzi. O co ci chodzi, stary druhu?

Na co Narlikar:

– O nic z tych rzeczy. Patrz tam!

I teraz Ahmed widzi, że wskazujący palec Narlikara mierzy w betonową ścieżkę...

– Grobla? – pyta. – A cóż to takiego? Za kilka minut nadciągnie fala i ją zaleje; każdy to wie...

Narlikar ze skórą jaśniejącą niczym latarnia morska przybiera filozoficzny ton:

– Otóż to, bracie Ahmedzie, otóż to. Ziemia i morze; morze i ziemia; w odwiecznej walce, co?

Ahmed zaskoczony milczy.

– Niegdyś było tu siedem wysp – przypomina mu Narlikar. – Worli, Mahim, Salsette, Matunga, Kolaba, Mazagaon, Bombaj. Brytyjczycy je połączyli. Morze, bracie Ahmedzie, stało się ziemią. Ziemia się podniosła i nie dała się zatopić falom!

Ahmed już tęskni za swoją whisky; aż mu się wysuwają wargi, kiedy pielgrzymi spieszenie pierzchają ze zwężającej się ścieżki.

– Ale w czym rzecz? – dopomina się. Na co Narlikar, rozbłyskując promiennie:

– Rzecz w tym, bhai Ahmedzie, w tym!

Z tymi słowy dobywa z kieszeni mały gipsowy pięciocentymetrowy model: czwórnóg! Na jego dłoni stają trzy nogi niczym trójramienny znak firmowy Mercedes-Benz, a czwarta sterczy jak linga. Ojciec nie posiada się ze zdziwienia.

– Co to takiego? – pyta. Narlikar tłumaczy:

– Ta zabawka przyniesie nam większą fortunę niż władcom Hajdarabadu, bhai! Zrobi z ciebie, z ciebie i ze mnie, panów tego wszystkiego! – Wskazuje przed siebie, tam gdzie morze zalewa opustoszałą betonową ścieżkę... – Ziemia pod morzem, przyjacielu! Musimy wyprodukować tysiące, dziesiątki tysięcy takich przyrządów! Musimy wystąpić o kontrakty na wydarcie jej morzu. Majątek czeka, nie przegap go, bracie, bo to twoja życiowa szansa!

Dlaczego ojciec podchwycił to przedsiębiorcze marzenie ginekologa? Dlaczego, krok po kroku, ta wizja pełnowymiarowych czwórnogów z betonu, maszerujących po wałach nadmorskich, czworonożnych zdobywców tryumfujących nad morzem, opętała go dokładnie tak samo, jak opętała promieniejącego lekarza? Dlaczego w następnych latach Ahmed oddał się fantazji znanej każdemu mieszkańcowi wyspy – mitowi pokonania fal? Może dlatego, że bał się przegapić kolejny zakręt; może przez wzgląd na przyjacielskie gry w szatrandż; a może zadziałała tu argumentacja Narlikara:

– Twój kapitał i moje kontakty, bhai Ahmedzie, czegoż nam więcej trzeba? Nie znajdzie

się w Bombaju syn wpływowego człowieka, którego bym nie przyjął na świat; nie zamkną się przede mną żadne drzwi. Ty tylko produkuj, ja zdobędę kontrakt! I podział pół na pół, wedle sprawiedliwości!

W moim jednak mniemaniu istnieje też prostsze wyjaśnienie. Ojciec pozbawiony żoninej troski, wyparty przez syna, wskutek czego zamoczyły go whisky i džinn, usiłował odzyskać swój status w świecie; a marzenie o czwórnożach dawało mu tę szansę. Z całym więc sercem rzucił się w tę wielką mrzonkę; napisano listy, zapukano do drzwi, czarnorynkowe pieniądze przeszły z rąk do rąk; a przez to wszystko nazwisko Ahmeda Sinai odbiło się głośnym echem w korytarzach Saćiwajaju – w urzędzie Sekretarza Stanu zwąchano muzułmanina, którego rupie płyną jak woda. Sam zaś Ahmed Sinai zapijając się na umór, nieświadom był niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł.

W tym okresie ton naszemu życiu nadawała korespondencja. Kiedy miałem zaledwie siedem dni, napisał do mnie premier – nim jeszcze nauczyłem się sam wycierać nos, już dostawałem listy od wielbicieli spośród czytelników „Times of India”; a pewnego styczniowego ranka Ahmed Sinai również otrzymał list, którego miał nigdy nie zapomnieć.

Po zaczerwienionych oczach przy śniadaniu nastąpił ogolony podbródek dnia pracy; kroki na schodach; nerwowy chichot głupiutkiej coca-coli. Skrzyp fotela przyciąganego do biurka, pokrytego zielonym skajem. Metaliczny odgłos podnoszonego metalowego noża do papieru, który zderzył się na moment z telefonem. Raptowny chrzęst metalu rozcinającego kopertę; po chwili Ahmed już pędził z powrotem po schodach, wołał matkę i wykrzykiwał: – Amina! Chodź no tu, żono! Te łajdaki wepchnęły mi jaja do kubelka z lodem!

W dniach, które nastąpiły po tym, jak Ahmed otrzymał oficjalny list z powiadomieniem o zamrożeniu wszystkich jego aktywów, cały świat naraz się rozgadał...

– Na miłość boską, dżanam, licz się ze słowami! – łaja go Amina, i – czyżby to tylko moja wyobraźnia, czy rzeczywiście niemowlę rumieni się w błękitnej kołysce?

Przybywa spieniony od potu Narlikar.

– Wszystko to moja wina, za bardzo się z tym obnosiliśmy publicznie. Żyjemy w paskudnych czasach, Sinai bhai: dość muzułmaninowi zamrozić aktywa, powiadają, a będzie musiał się ratować ucieczką do Pakistanu, i zostawi cały majątek. Złap tylko jaszczurkę za ogon, a ta go sobie odgryzie! To tak zwane świeckie państwo miewa diabło chytne pomysły.

– Wszystko – powiada Ahmed Sinai – konto bankowe, obligacje, wpływy dzierżawne z posiadłości w Karli, wszyściutko zablokowane, zamrożone. Na mocy prawa, głosi list. Na mocy prawa nie dadzą mi nawet czterech ann, moja żono, nawet jednego ćawanni na pokaz w fotoplastikonie!

– To przez te zdjęcia w gazetach – orzekła Amina. – Bo skąd by te rozpanoszone, cwane psubraty wiedziały, do kogo się dobrać? Boże mój, dżanam, to moja wina...

– Ani dziesięciu pajsów na rożek ćany – dodaje Ahmed Sinai – ani jednej anny na migdały dla żebraka. Zamrożone, jak w lodówce!

– To moja wina – kaja się Ismail Ibrahim – powinienem był cię przestrzec, Sinai bhai. Słyszałem o tych zamrożeniach, a wybierają, rzecz jasna, tylko zamożnych muzułmanów. Musisz walczyć...

– ...I to zażarcie! – dorzuca Homi Catrack. – Jak lew! Jak Aurangzeb, bo to bodajże twój przodek! Jak rani Dżhansi! A wtedy zobaczymy, co ten kraj jest w końcu wart!

– Są przecież sądy – mówi Ismail Ibrahim; Nussie-kaczka uśmiecha się wołowym uśmiechem, karmi przy tym piersią Sonny'ego; palcami bezwiednie głaszczce jego wklęśnięcia, w górę i w koło, w dół i w koło, w miarowym, niezmiennym rytmie... – Musisz

przyjąć moje usługi prawne – ciągnie Ismail. – Całkiem za darmo, przyjacielu. Nie, nie chcę o tym słyszeć. Jakże to? Przecież jesteśmy sąsiadami.

– Ruina – powtarza Ahmed. – Zamrozili jak wodę.

– A daj już temu pokój – wpada mu w słowo Amina; jej poświęcenie wzbija się teraz na nowe wyżyny; prowadzi go do sypialni... – dżanam, musisz trochę poleżeć.

Na co Ahmed:

– Jak to, żono? W taki czas, kiedy jestem splukany, skończony, skruszony jak lód, a tobie w głowie...

Ale ona już zamknęła drzwi; strąciła z nóg pantofelki; wyciąga ku niemu ręce; po chwili te same ręce sięgają w dół w dół w dół; i wtem:

– Na miły Bóg, dżanam, myślałam, że ty się tylko tak wyrażasz, ale to prawda! Takie zimne, o Allah, takie ziiiiimne, jak kostki lodu!

Takie rzeczy zdarzają się w życiu; kiedy rząd zamroził aktywa mojego ojca, matka stwierdziła, że coraz bardziej się oziębiają. Pierwszego dnia została poczęta Mosiężna Małpka – w samą zresztą porę, bo chociaż potem Amina noc w noc kładła się u boku męża, żeby go rozgrzać, chociaż wtulała się mocno, kiedy czuła jego drżenie, w miarę jak lodowate palce oburzenia i bezsilności rozcapierały mu się z lędźwi, za nic nie mogła wyciągnąć ręki i dotknąć, bo jego kostki lodu były zbyt oziębłe, aby dały się utrzymać w ręku.

Oni – a właściwie my – powinniśmy się byli domyślić, że nastąpi coś strasznego. Owego stycznia plaże Caupatti, Dżuhu i Trombaj były usłane złowieszczymi ciałami śniętych jaskółek morskich, które wypływały bez nijakiego powodu brzuchami do góry niczym łuskowate palce na brzeg.

Węże i drabiny

I inne złe znaki: widziano, jak nad Back Bay wybuchały komety; doniesiono, że ponoć kwiaty spłynęły prawdziwą krwią; a w lutym z Instytutu Schaapstekera zbiegły węże. Rozeszła się pogłoska, że pewien obłąkany bengalski zaklinacz węży, niejaki tumbriwala, wędrował po kraju i wywabiał czarami gady z niewoli, wyprowadzał je z ośrodków hodowli węży (takich jak Instytut Schaapstekera, w którym badano przydatność leczniczą jadu i sporządzano surowice przeciwjadowe), a wszystko za pomocą magii swego fletu, niczym Zaczarowany Flecista, żeby wziąć odwet za udział jego ukochanego Złotego Bengalca. Po pewnym czasie pogłoski dodawały, że ów tumbriwala ma przeszło dwa metry wzrostu i jasnoniebieską skórę. Był Kryszną, który przybył, aby ukarać swój lud; był zabarwionym-błękitem-nieba Jezusem misjonarzy.

Zupełnie jakby w wyniku mojej podmiany przy narodzinach, podczas gdy rosłem jak na drożdżach, wszystko, co tylko mogło na złe się obrócić, to się obracało. Owej węzowej zimy na początku roku 1948, a także w następujących po niej porach gorącej i deszczowej, zdarzenia piętrzyły się jedne po drugich, toteż kiedy we wrześniu urodziła się Mosiężna Małpka, wszyscy byliśmy wyczerpani do cna i wyglądaliśmy kilku lat spokoju.

Zbiegłe kobry znikły w rynsztokach miejskich; pręgowane niemrawce widywano w autobusach. Przywódcy religijni upatrywali w ucieczce węży przestrożę – wyzwolono boga Nagę, głosili, za karę, że naród wyrzekł się oficjalnie swoich bóstw. („Jesteśmy państwem świeckim” – obwieścił Nehru, a Morardzi, Patel i Menon zawtórowali; mimo to Ahmed Sinai dygotał wskutek zamrożenia.) Pewnego dnia, kiedy Maria jęła się dopytywać: – Niech no mi pani powie, jak my będziemy teraz żyć? – Homi Catrack przedstawił nas samemu doktorowi Schaapstekerowi. Liczył on sobie osiemdziesiąt jeden lat; język latał mu bez przerwy między pergaminowymi wargami; no i był gotów płacić gotówką za wynajęcie mieszkania na górnym piętrze z widokiem na Morze Arabskie. Już w owym czasie Ahmed Sinai zległ w łóżku; lodowate zimno zamrożenia przenikło jego pościel; dla celów leczniczych wlewał w siebie olbrzymie ilości whisky, lecz ta bynajmniej go nie rozgrzewała... toteż Amina musiała wyrazić zgodę na wynajęcie szczytowego piętra Willi Buckingham staremu doktorowi-od-węży. Pod koniec lutego trucizna węzowa wsączyła się w nasze życie.

Doktor Schaapsteker był człowiekiem, który inspirował niesamowite opowieści. Co bardziej przesądni sanitariusze z jego instytutu zaklinali się, że co noc śnią mu się ukąszenia węży i dlatego pozostaje odporny na ich truciznę. Inni znów szeptali, że sam jest pół-wężem, dzieckiem nienaturalnego związku między kobietą i kobrą. Jego obsesja na punkcie jadu niemrawca pospolitego – *bungarus fasciatus* – obrosła legendą. Nie ma dotąd żadnej antytoksyny przeciw ukąszeniu niemrawca; Schaapsteker jednak strawił całe życie, żeby takową wynaleźć. Odkupywał okaleczone konie ze stajni (między innymi) Catracka i wstrzykiwał im niewielkie dawki jadu; ale konie, zgoła nieużyte, wcale nie wytwarzały antyciał, tylko toczyły pianę z pysków i z miejsca padały, trzeba je więc było przerabiać na klej. Powiadano też, że doktor Schaapsteker – „sahib Szałpstryker” – zabija teraz konie od ręki, wystarczyło, żeby podszedł do nich ze strzykawką... lecz Amina nie zwracała uwagi na te wyssane z palca opowieści.

– To dżentelmen starej daty – oświadczyła Marii Pereirze. – Co nas obchodzi ludzie,

którzy chcą go oczernić? Płaci czynsz i pozwala nam się utrzymać przy życiu.

Amina żywiła wdzięczność dla europejskiego doktora-od-węży, zwłaszcza w owych dniach zamrożenia, kiedy to Ahmed wyraźnie nie mógł się zdobyć na walkę.

„Kochany ojciec i matko – napisała Amina. – Klnę się na swoje oczy i na całą głowę, że nie wiem, dlaczego takie rzeczy na nas spadają... Ahmed jest dobrym człowiekiem, ale cała ta sprawa bardzo go przybiła. Jeżeli potraficie udzielić córce rady, bardzo by mi się przydała.” Trzy dni po otrzymaniu tego listu Aadam Aziz i Czcigodna Matka przyjechali pociągiem Frontier Mail na Dworzec Centralny w Bombaju; wtedy to Amina, wioząc ich do domu naszym Roverem 1946, wyjrzała przez boczne okno, ujrzała Tor Wyścigowy Mahalakszmi i po raz pierwszy zaświtał jej w głowie szalony pomysł. – To nowoczesne umeblowanie jest dobre, jakmutam, dla was młodych – oznajmiła Czcigodna Matka. – Ale daj no mi do siedzenia staroświecki tacht. Te fotele są, jakmutam, za miękkie, czuję się, jakbym miała za chwilę spaść.

– Czy on jest chory? – spytał Aadam Aziz. – Mam go zbadać i przepisać lekarstwa?

– Nie pora się teraz chować do łóżka – zawyrokowała Czcigodna Matka. – Teraz musi się okazać, jakmutam, mężczyzną i zrobić to, co do mężczyzny należy.

– Świetnie wyglądacie, moi kochani – zawołała Amina myśląc w duchu, że ojciec bardzo się postarzał i jakby zmaliał z biegiem lat; tymczasem Czcigodna Matka tak się roztyła, że fotele, aczkolwiek miękkie, aż jęczały pod jej ciężarem... a raz na jakiś czas, za sprawą odbłasku światła, Aminie się zdawało, że widzi pośrodku tułowia ojca ciemny cień niczym dziura.

– Co tu w tych Indiach zostało? – rzuciła zaczepnie Czcigodna Matka, tnąc ręką powietrze. – Zostawcie je i jedźcie do Pakistanu. Patrzcie, jak ten Zulfikar dobrze sobie radzi, pomoże wam na początek. Bądź mężczyzną, mój synu. Rusz się i zacznij od nowa!

– On się teraz nie kwapi do rozmowy – tłumaczyła męża Amina – musi odpocząć.

– Odpocząć? – zagrzemiał Aadam Aziz. – Toż to nie chłop, tylko meduza!

– Nawet Alija jakmutam – przygadywała Czcigodna Matka – sama jedna wyjechała do Pakistanu. I nawet jej się jakoś powodzi, uczy w dobrej szkole. Podobno niedługo zostanie dyrektorką.

– Ciii, mamó, on chce spać... przejdźmy obok...

– Kiedyś trzeba spać, jakmutam, a kiedyś trzeba się obudzić! Posłuchaj: Mustafa zarabia, jakmutam, setki rupii miesięcznie na posadzie w Służbie Cywilnej. A kim jest twój mąż? Praca go hańbi?

– Mamó, on jest wytrącony z równowagi. Ma taką niską temperaturę...

– A co ty mu dajesz do jedzenia? Od dzisiaj, jakmutam, ja przejmuję kuchnię. Eh, ci młodzi ludzie dzisiaj, jakmutam, istne dzieciuchy!

– Jak sobie życzysz, mamó

– Powiem ci jedno, jakmutam, wszystko przez te zdjęcia w gazecie. Pisałam ci, no sama powiedz, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Zdjęcia okradają tylko człowieka. Boże ty mój, kiedy zobaczyłam twoje zdjęcie, jakmutam, byłaś tak przezroczysta, że widziałam, jak to pisanie z drugiej strony wypęzło ci na twarz!

– Przecież to tylko...

– A, dość mam tych twoich bajek, jakmutam! Dziękuję Bogu, że wyszłaś cała z tego fotografowania!

Od tego dnia Amina została zwolniona z obowiązków prowadzenia domu. U szczytu stołu zasiadła Czcigodna Matka i ona nakładała jedzenie (Amina zanosila talerze Ahmedowi, który

nie wstawał z łóżka, a tylko czasem pojękiwał: – Zdruzgotali mnie, żono! Złamali jak sople!); w pomieszczeniach kuchennych zaś Maria Pereira przyrządzała na cześć gości najsmakowitsze, najdelikatniejsze marynaty z owoców mango, sosy ćatni z limony i ogórkowe kasaundi. Tak więc, odzyskawszy teraz we własnym domu status córki, Amina zaczęła odczuwać, jak wsącza się w nią jadło innych ludzi – albowiem Czcigodna Matka serwowała curry i pulpety mięsne nieprzejednania, potrawy przesyczone osobowością ich twórczyni; Amina zjadała salany rybne uporu i birjani stanowczości. A chociaż pikle Marii miały częściowo przeciwne działanie – gdyż aja doprawiła je głębokim poczuciem winy i lękiem przed wykryciem, toteż mimo swojego wybornego smaku przydawały one tym, co je zjedli, niewysłowionych wahań i snów o oskarżycielskich palcach – dieta Czcigodnej Matki wznieciła w Aminie swoisty gniew, nawet wywołała nieznaczne oznaki poprawy u jej przegranego męża. Nadszedł wreszcie dzień, kiedy Amina przyglądając mi się w wannie, jak bawię się niezdarnie konikami z drewna sandałowego, jak wdycham słodką woń sandałowca podsycaną przez wodę w kąpieli, naraz odkryła znów w sobie ducha przygody odziedziczonego po swoim niknącym ojcu, ducha, który sprowadził Aadama Aziza z górskiej doliny na nizinę; i zwróciła się do Marii Pereiry tymi słowami:

– Mam już tego potąd. Jeżeli nikt w tym domu nie umie niczego wziąć w garść, to ja się tym zajmę!

Koniki przegalopowały Aminie przed oczyma, zostawiła mnie Marii do wytarcia i wkroczyła do sypialni. Zapamiętany widok Toru Wyścigowego Mahalakszmi puścił jej się cwałem w głowie, odgarnęła na bok wszystkie sari i halki. Gorączka szalonego planu oblała jej policzki, Amina podniosła wieko starego blaszanego kufra... napełniwszy sakiewkę monetami i banknotami rupiowymi od wdzięcznych pacjentów i od gości weselnych, matka wybrała się na wyścigi.

Z Mosiężną Małpką dojrzewającą w łonie matka wparowała na padok toru wyścigowego, nazwanego imieniem bogini dostatku; zwalczywszy w sobie poranne mdłości i dokuczające żylaki, stanęła w kolejce do okienka totalizatora, postawiła na tryplety i na fuksy. Ponieważ nie miała zielonego pojęcia o koniach, obstawiała klacze znane z braku formy przy długich gonitwach; wykładała pieniądze na dżokejów, bo jej się podobały ich uśmiechy. Ściskając w dłoni sakiewkę z posagiem, który spoczywał nie tknięty w kufrze od czasu, kiedy go tam spakowała jej rodzona matka, ryzykowała w ślepo wysokie stawki na ogiery, które z wyglądu nadawałyby się w sam raz do Instytutu Schaapstekera... i wygrywała, wygrywała, wygrywała.

– Są pomyślne wieści – powiada Ismail Ibrahim. – Zawsze twierdziłem, że powinniście się postawić tym łajdakom. Zaraz wdrożę postępowanie... tylko na to, Amino, potrzeba gotówki. Masz gotówkę?

– Pieniądze się znajdują.

– Nie dla mnie – sumituje się Ismail. – Tak jak obiecałem, będę was bronił za darmo, absolutnie gratis. Ale, za przeproszeniem, sama wiesz, jak to jest, trzeba dawać prezenciki różnym osobom, żeby sobie przetrzeć drogę...

– Masz. – Amina podaje mu kopertę. – Starczy na razie?

– O, Boże! – Ismail Ibrahim aż upuszcza ze zdumienia pakiet i banknoty rupiowe wysokich nominałów rozsypują się po całej podłodze salonu. – Skąd ty wzięłaś tyle...

Na co Amina:

– Lepiej nie pytaj, a ja nie będę pytała, jak ty je wydajesz.

Pieniądze od Schaapstekera szły na życie; a konie finansowały naszą batalię. Dobra passa

mojej matki na wyścigach trwała tak długo, koło fortuny było tak wielkie, że trudno by w nie uwierzyć, gdyby nie przytrafiły się naprawdę... miesiąc w miesiąc Amina stawiała pieniądze na staranną fryzurę dżokeja albo na urodziwą maść srokatego konia; i nigdy nie wychodziła z wyścigów bez opasłej koperty wypchanej banknotami.

– Wszystko idzie jak po maśle – informował ją Ismail Ibrahim. – Tylko, Amino, siostrze, Bóg raczy wiedzieć, co ty tam knujesz. Czy to aby stosowne? Czy legalne?

Na co Amina:

– Nie twoja w tym głowa. Na co nie ma już ratunku, trzeba znieść to bez frasunku. Robię to, co należy.

Przez cały ten czas matka ani razu nie zasmakowała w tych oszałamiających sukcesach; przygnieciona nie tylko ciężarem niemowlęcia – ponieważ spożywała curry Czcigodnej Matki pełne starodawnych przesądów, nabrała przekonania, że hazard to drugie po alkoholu największe zło świata; chociaż więc nie popełniła przestępstwa, zżerała ją grzech.

Nagniotki obsypały jej stopy, mimo że Puruszottam, sadhu, który wciąż przesiadywał pod naszą ogrodową pompą, aż ciurkająca woda wypłukała mu na czubku głowy łysinę okoloną bujnie skołtunionymi włosami, wyczyniał cuda, żeby je odgonić; przez całą jednak wężową zimę i gorącą porę matka wyręczała męża w jego batalii.

Spytasz: jak to możliwe? Jak żona, choćby najbardziej sumienna i stanowcza, mogła dzień w dzień, miesiąc w miesiąc wygrywać majątek na koniach? Pewno myślisz sobie: aha, przecież ten Homi Catrack jest właścicielem konia; a wiadomo, że większość gonitw bywa z góry przesądzona; Amina prosiła więc pewno sąsiada o cynk! Niegłupie przypuszczenie; tyle że pan Catrack sam równie często przegrywał, jak wygrywał; gdy zaś spotkał matkę na wyścigach, zdumiał się jej powodzeniem. (– Bardzo pana proszę – błagała Amina – Catrack sahib, niech to zostanie między nami. Hazard to coś strasznego; umarłabym ze wstydu, gdyby dowiedziała się o tym moja matka. – A Catrack, kiwając w osłupieniu głową: – Jak pani sobie życzy.) Czyli nie krył się za tym ów pars – może w zamian podsunę inne wyjaśnienie. Oto i ono, w błękitnej kołyszce w błękitnym pokoju ze wskazującym palcem rybaka na ścianie: za każdym razem, kiedy matka wychodzi z sakiewką pełną tajemnic w rękę, dzieciątko Salim przybiera na twarz wyraz najwyższego skupienia, oczy zawładnięte jednym celem natężają się z tak niebywałą siłą, że aż ciemnieją na granatowo, nos swędzi osobliwie, a on sam przygląda się jakiemuś odległemu wydarzeniu i kieruje nim z daleka, tak jak księżyc steruje falami morza.

– Niedługo sprawa trafi do sądu – oznajmił Ismail Ibrahim. – Możesz być całkiem spokojna... ale, Boże drogi, Amino, czyś ty znalazła skarby króla Salomona?

Kiedy dorosłem na tyle, żeby grać w gry planszowe, zakochałem się dosłownie w „Wężach i drabinach”. Ta idealna równowaga nagród i kar! Te pozornie przypadkowe ruchy wyznaczone rzutem kostki! Piąłem się w górę po drabinach, obsuwałem w dół po wężach i tak spędziłem jedno z najpiękniejszych dni życia. Kiedy w czasie mojej niedoli ojciec wyzwał mnie na partię szatrandż, doprowadziłem go do furii, bo zaproponowałem, żeby spróbował w zamian szczęścia pośród drabin i kęsających wężów.

Każda gra kryje w sobie morał; a gra w węże i drabiny jak żadne inne zajęcie wyraża odwieczną prawdę, że na każdą drabinę, po której trzeba się wspiąć, przypada jeden wąż czyhający tuż za rogiem; każdego zaś węża wynagrodzi nam jakaś drabina. Nie jest to wszak zwykła sztuczka z marchewką-na-kiju; bo gra zakłada niezmienną dwoistość rzeczy, bliźniacze istnienie wzlotów i upadków, dobra i zła; litą racjonalność drabin uzupełnia magiczna pokrętność węży; przeciwwaga szczebli i kobr stanowi metaforę wszelkich

przeciwieństw: Alfy i Omegi, ojca i matki; w niej zawiera się wojna Marii i Musy oraz biegunowość kolan i nosa... dość jednak wcześnie w życiu odkryłem, że grze brakuje jednego istotnego wymiaru, mianowicie dwuznaczności – jak bowiem wypadki zaraz wykażą, z drabiny można też się obsunąć w dół, a wspiać się ku zwycięstwu dzięki jadowi węża... Aby jednak na razie nie komplikować spraw, odnotowuję, że gdy tylko matka znalazła drabinę ku zwycięstwu w postaci szczęścia na wyścigach, życie nie omieszkło jej przypomnieć, iż w rynsztokach tego kraju nadal się roi od węży.

Brat Aminy, Hanif, nie wyjechał do Pakistanu. W ślad za marzeniem z dzieciństwa, które wyznał szeptem rykszarzowi Raszidowi na poletku kukurydzy w Agrze, udał się do Bombaju, aby tam szukać pracy w wielkich wytwórniach filmowych. Zadufany w sobie od najwcześniejszych lat, nie tylko potrafił zostać najmłodszym mężczyzną w dziejach Indii, jakiemu powierzono reżyserię filmu; lecz również wystarał się o rękę jednej z najjaśniejszych gwiazd celuloidowego nieba, boskiej Piji, której twarz była jej majątkiem, a sari miała utkane z takich tkanin, jak gdyby projektanci umyślili sobie dowieść, że w jednym deseniu można użyć wszystkich znanych człowiekowi kolorów. Czcigodna Matka nie akceptowała boskiej Piji, wszakże Hanif był jedynym członkiem całej mojej rodziny, który wymknął się spod zniewalających wpływów babki; ten jowialny, krzepki mężczyzna o tubalnym śmiechu przewoźnika Taiego i porywczym, acz niewinnym gniewie swojego ojca, Aadama Aziza, zaoferował jej życie w skromnym, zgoła niefilmowym mieszkanku przy Marine Drive, powiadając: – Jeszcze będziemy mieli dość czasu, żeby zamieszkać jak cesarze, kiedy już zdobędę sławę. – Pija się na to zgodziła; grała główną rolę w jego pierwszym filmie fabularnym, częściowo finansowanym przez Homi Catracka, a częściowo przez studio D.W.Ramy Ltd – film nosił tytuł *Kochankowie z Kaszmiru*; pewnego wieczoru w okresie swojego hazardu Amina Sinai wybrała się na premierę. Jej rodzice nie przyszli, gdyż Czcigodna Matka nienawidziła kina, z czym Aadam Aziz nie miał już siły walczyć – podobnie jak on, przeciwnik Mijana Abdullaha w kwestii powstania Pakistanu, przestał się z nią spierać, kiedy wychwalała tamten kraj, zachowując jedynie w sobie tyle siły, żeby się zaprzec i nie zgodzić na emigrację; natomiast Ahmed Sinai, postawiony na nogi za sprawą kuchni teściowej, wycieńczony zarazem jej ustawiczną obecnością, poderwał się z łóżka i towarzyszył żonie. Zajęli miejsca obok Hanifa, Piji i głównego gwiazdora filmu, jednego z najznakomitszych indyjskich kochanków ekranu, I.S.Najjara. I chociaż nic nie wiedzieli, za kulisami już czyhał wąż... tymczasem jednak pozwólmy Hanifowi Azizowi na jego moment chwały; gdyż w *Kochankach z Kaszmiru* krył się pomysł, który miał przynieść wujowi spektakularną, acz przelotną chwilę tryumfu. W owym czasie nie pozwalano, żeby amanci i ich damy dotykali się na ekranie, z obawy, że ich cmoknięcia zepsują młodzież... ale trzydzieści trzy minuty po rozpoczęciu *Kochanków* premierowa widownia jęła wydawać ciche pomruki osłupienia, albowiem Pija i Najjar zaczęli obsypywać pocałunkami – tyle że nie siebie – a przedmioty.

Pija pocałowała jabłko, zmysłowo, całą pełnią swych uszminkowanych ust; po czym podała je Najjarowi; który przycisnął z drugiej strony swe męskie, namiętne usta. Były to narodziny pocałunku nazwanego później pośrednim – o ileż bardziej wyrafinowanego niż wszystko, co dawało nam wówczas kino; jakże brzemiennego tęsknotą i erotyką! Publiczność (która by dzisiaj aż ochrypła ze śmiechu na widok młodej pary uciekającej się do takich sztuczek, która by się w takiej chwili natrzęsała idiotycznie – tak nisko upadliśmy w naszej zdolności sugestii) patrzyła wzrokiem przykutym do ekranu, jak miłość Piji i Najjara na tle jeziora Dal i lodowatego błękitu kaszmirskiego nieba wyraża się w pocałunkach składanych

na filiżankach różowej kaszmirskiej herbaty; przy źródłach Śalimaru przyciskali usta do szpady... ale oto u szczytu chwały Hanifa Aziza wąż nie zamierza dłużej czekać; pod jego wpływem zapaliło się światło na sali. Na tle powiększonych sylwetek Pija i Najjara całujących owoce mango i ruszających ustami do muzyki z playbacku ukazała się sylwetka bojaźliwego mężczyzny z lichą brodą, który z mikrofonem w ręku maszerował za ekranem na scenę. Wąż może przybierać najbardziej zaskakujące kształty; teraz, pod postacią tego nieporadnego kierownika kina, rozpuścił swój jad. Pija i Najjar zasnuli się mgłą i znikli; a wzmocniony głos brodacza obwieścił:

– Szanowni państwo, proszę o uwagę. Mam, niestety, straszliwą wiadomość. – Tu głos mu się załamał – szloch węża, żeby zwiększyć siłę zębów! – ale ciągnął dalej: – Dziś po południu w domu Birlów w Delhi zabito naszego umiłowanego Mahatmę. Jakiś pomyleniec strzelił mu w brzuch, proszę państwa, nie ma już naszego Bapu!

Jeszcze nie skończył, a już na widowni rozległy się krzyki; trucizna jego słów dostała się widzom do żył – dorośli mężczyźni zataczali się w przejściach, nie tyle ze śmiechu, ile z płaczu: – He Ram! He Ram! – kobiety zaś dały sobie włosy z głów: najwspanialsze koafiury miasta zwichrzyły się za uszami zatrutych dam – gwiazdy filmowe wrzeszczały jak żony rybaków i jakiś potworny smród unosił się w powietrzu – a Hanif rzucił szeptem:

– Chodźmy stąd, moja siostró, jeżeli to sprawka muzułmanina, zemsta będzie krwawa.

Na każdą drabinę przypada jeden wąż... toteż przez czterdzieści osiem godzin po fiasku *Kochanków z Kaszmiru* nasza rodzina nie ruszała się za próg Willi Buckingham (– Zastaw drzwi meblami, jakmutam! – zarządziła Czcigodna Matka. – Jeżeli są tu służący hindusi, odeślij ich do domów!); Amina natomiast nie śmiała się pokazać na wyścigach.

Ale też na każdego węża przypada jedna drabina: wreszcie radio podało nazwisko. Nathuram Godse.

– Chwała Bogu – wybuchła Amina – że to nie muzułmańskie nazwisko!

Na co Adam, który na wieść o śmierci Gandhiego przygarbił się jeszcze bardziej pod brzemieniem wieku:

– Nie ma co żywić wdzięczności do tego całego Godse!

Amina jednak odczuła niewysłowioną ulgę, wbiegła jak oszalała na wysoką drabinę ulgi...

– A niby czemu nie? Przez to, że nazywa się Godse, ocalił nam życie!

* * *

Ahmed Sinai, podniósłszy się ze swego rzekomego łoża bóleści, nadal zachowywał się jak inwalida. Oznajmił Aminie głosem jak przymglone szkło:

– Zatem wysłałeś Ismaila do sądu; w porządku, świetnie; tyle że przegramy. W tych sądach trzeba przekupywać sędziów...

Wtedy Amina pobiegła do Ismaila.

– Nigdy, przenigdy, pod żadnym pozorem nie mów Ahmedowi o tych pieniądzech. Mężczyzna musi zachować godność.

A później:

– Nie, dżanam, nigdzie się nie wybieram; skąd, dziecko mnie wcale nie męczy; ty sobie odpocznij, a ja wyskoczę do sklepu, może też zajrzę do Hanifa; wiesz, my, kobiety, musimy czymś sobie zapełnić dni!

I wracała do domu z kopertami napęczniałymi od banknotów...

– Weź, Ismailu; teraz, kiedy on już jest na nogach, musimy działać szybko i ostrożnie! – A

siedząc wieczorami przy matce, jak przystało córce: – Ależ oczywiście masz rację, lecz Ahmed niedługo będzie bogaty, sama zobaczysz!

No i te wieczne opóźnienia w sądzie; i opróżniające się koperty; i rosnące dziecko – zbliżała się chwila, w której Amina nie zdoła się wcisnąć za kierownicę Rovera 1946; no i czy szczęście jej nie opuści?; i Musa, i Maria, skłóceni jak dwa stare tygrysy.

Co jest powodem swarów?

Jakież pozostałości winy strachu wstydu, zamarynowane wraz z upływem czasu w trzewiach Marii, kazały jej świadomie? nieświadomie? prowokować starego sługę na tuzin rozmaitych sposobów – że zadzierała nosa, dowodząc swojej wyższości; agresywnie przesuwała palcami po paciorkach różańca pod nosem zagorzałego muzułmanina; przyjęła tytuł mausi, drugiej mateczki, nadany jej przez innych służących posiadłości, w czym Musa dopatrywał się podważenia własnej pozycji; spoufalala się nadmiernie z begam sahiba – szepciki i chichoty po kątach, dość jednak głośne, by oficjalny, sztywny, poprawny Musa je dosłyszał i poczuł się poniekąd oszukany?

Jakież to ziarenko piasku w morzu podeszłego wieku, omywającego teraz starego sługę, utkwilo mu w ustach i rozděło się do rozmiarów ciemnej perły nienawiści – w jakąż nieznaną sobie ospałość popadł Musa, że ręce i nogi miał jak z ołowiu, że tłukł wazony, wysypywał zawartość popielniczek, to też zawoalowane oznaki rychłego wypowiedzenia służby – ze świadomych czy też nieświadomych ust Marii? – urosły w obsesyjny lęk, co odbijał się rykoszetem i wracał do osoby, od której wyszedł?

No i jaki był okrutny skutek statusu sługi (żeby nie pomijać czynników społecznych), jego służbówki za kuchnią z osmalonym piecem, gdzie Musa musiał sypiać z ogrodnikiem, posługaczem od wszystkiego i hamalem – gdy tymczasem Maria spała sobie elegancko na plecionej macie tuż obok nowo narodzonego dziecka?

No i czy Maria była bez winy, czy też nie? Czy jej niemożność pójścia do kościoła – bo w kościele znajdują się konfesjonały, a w konfesjonale nie sposób utrzymać tajemnicy – zaowocowały wewnętrzną cierpkością, przez co niania stała się ostra i karcąca?

Czy też musimy wykroczyć poza psychologię – i szukać odpowiedzi w twierdzeniach, że na Marię zaczął się wąż, Musa zaś był skazany na nauczkę o dwuznaczności drabin? Bądź jeszcze dalej, wykraczając poza teorię węzów-i-drabin, czy nie powinniśmy dostrzec w tej kłótni ręki opatrności – i powiedzieć, że po to, by Musa mógł powrócić wybuchowym duchem, po to, by się objawił jako Bomba-w-Bombaju, trzeba było zmontować jego wyjazd... bądź przechodząc od wniosłości do śmieszności, czy to możliwe, że Ahmed Sinai – sprowokowany przez whisky, doprowadzony przez dzinny do nadmiernego grubiaństwa – tak rozdrażnił podstarzałego sługę, iż jego zbrodnia, w której zrównał się z postępkami Marii, wzięła się ze zranionej dumy znieważonego starego sługi – i nie miała nic wspólnego z Marią?

Koniec pytań, ograniczam się do faktów: Musa i Maria wciąż prowadzili walkę na noże. I owszem: Ahmed obraził służącego, a pojednawcze kroki Aminy mogły się okazać daremne; i owszem: otumaniające cienie starości przekonały go, że lada chwila zostanie zwolniony i to bez wypowiedzenia; toteż pewnego sierpniowego ranka Amina spostrzegła, że dom został okradziony.

Przyjechała policja. Amina zgłosiła, czego brakuje: srebrnej spluwaczki inkrustowanej lazurytem; złotych monet; wykładanych klejnotami samowarów i srebrnych serwisów do herbaty; zawartości zielonego blaszanego kufra. Inspektor Johnny Wakil ustawił służących w hallu i jął wszystkich straszyć.

– No dalej, przyznajcie się – uderza się przy tym pałką po nodze – bo popamiętacie. Chcecie całą dobę stać na jednej nodze? Mamy was polewać wodą, ukropem i lodowato zimną na przemian? Policja zna wiele metod...

I zaraz kakofonia głosów służby. To nie ja, inspektorze sahibie, ja jestem uczciwy; na miłość boską, proszę przeszukać moje rzeczy, sahibie!

Na co Amina:

– Tego za wiele, łaskawco, za daleko się pan posuwa. Tak czy owak, wiem, że moja Maria jest niewinna. Nie pozwolę jej przesłuchiwać.

Tłumiona irytacja funkcjonariusza policji. Prawo nakazuje dokonać przeszukania.

– Choćby na wszelki wypadek, szanowna pani. Ci ludzie mają ograniczoną inteligencję, a może pani odkryła kradzież zbyt szybko, żeby przestępca zdążył zbiec z łupem!

Następuje rewizja. W zrolowanej macie starego sługi, Musy: srebrna soplucza. Zawinięte w jego mizerny tobołek ubrań: złote monety, samowar ze srebra. Ukryty pod łóżkiem ćarpai: brakujący serwis do herbaty. I wtedy Musa przypada do stóp Ahmeda Sinai; Musa błaga: – Przebacz, sahibie! Byłem szalony. Myślałem, że wyrzucisz mnie na ulicę! – lecz Ahmed Sinai nie chce słuchać; nadal tkwi w szponach zamrożenia; – Tak mi słabo – powiada i wychodzi z pokoju; Amina zaś osłupiała pyta: – Ależ, Muso, czemu złożyłeś tę straszliwą przysięgę?

...Bo po ustawieniu służby na korytarzu w szereg, a przed znaleziskami w kwaterach służby Musa oświadczył swojemu panu:

– To nie ja, sahibie. Jeżeli cię obrabowałem, niech mnie pokryje trąd! Niech wrzody obsypią moją starą skórę!

Amina z przerażeniem w oczach czeka na odpowiedź Musy. Stara twarz sługi obleka się maską gniewu; padają wyplute słowa.

– Begam sahiba, zabrałem wam tylko drogocenne przedmioty, za to pani, mały sahib i jego ojciec zabraliście mi całe życie; i na starość upokorzyliście mnie ajami chrześcijankami.

W Willi Buckingham zapada milczenie – Amina wycofuje skargę, ale Musa i tak odchodzi. Z matą do spania zrolowaną na plecach schodzi po spiralnych żelaznych schodach, przekonując się, że drabiny prowadzą zarówno w górę, jak i w dół; znika z pagóra, zostawiając na domu klątwę.

A Maria Pereira (czyżby za sprawą klątwy?) niebawem się przekona, że nawet jeżeli wygrywa się walkę; nawet jeżeli schody działają na czyjąś korzyść, nie sposób uniknąć węża.

Amina powiada:

– Ismailu, nie dam ci już więcej pieniędzy, starczy ci?

Na co Ismail:

– Miejmy nadzieję, ale też nigdy nie wiadomo, czy można by ewentualnie liczyć na...?

Wtedy Amina:

– Widzisz, tak się rozrosłam, że nie mogę już wsiąść do samochodu. Musi ci starczyć.

...Dla Aminy czas po raz drugi zwalnia tempo; po raz wtóry oczy wyglądają przez nasyczone ołowiem szyby, gdzie czerwone tulipany na zielonych łądogach tańczą pospół; gdyż jej wzrok ponownie zatrzymuje się na wieży zegarowej, która nie ruszyła od pory deszczowej w roku 1947; i znów pada deszcz. Sezon wyścigów dobiegł końca.

Jasnoniebieska wieża zegarowa: przysadzista, obłążąca, zepsuta. Wznosiła się na smołowanym betonie u wylotu placyku między domami – na płaskim dachu szczytowego piętra budynków przy Warden Road, które graniczyły z naszym piętrowym pagórem, toteż kiedy się przelazło przez mur wokół Willi Buckingham, miało się pod nogami płaską czarną

smołowaną powierzchnię. A niżej przedszkole Breach Candy, z którego codziennie po południu przez cały rok szkolny dobiegały skoczne dźwięki pianina, na którym panna Harrison grywała odwieczne melodie dzieciństwa; a jeszcze niżej sklepy: „Raj dla czytelników”, zakład jubilerski Fatbhoj, Zabawki Ćimalkara i Bombelli z Całymi Jardami Czekoladek na wystawie. Wrota do wieży zegarowej były niby to zamknięte, ale chronił je tandetny zamek, na którym zaraz by się poznał Nadir Chan: indyjska robota. W trzy kolejne wieczory tuż przed moimi pierwszymi urodzinami Maria Pereira, stojąc przy moim oknie po zmroku, widywała cieniastą postać sunącą po dachu, z rękoma pełnymi bezkształtnych przedmiotów, cień, który przepełnił ją niejasnym lękiem. A na czwarty dzień powiedziała to mojej matce; wezwano policję; inspektor Wakil wrócił do Posiadłości Methwolda w asyście oddziału specjalnego funkcjonariuszy pierwszej klasy – wszystko to wyborowi strzelcy, begam sahiba; proszę to nam zostawić! – którzy w przebraniu zamiataaczy, z rewolwerami ukrytymi w łachmanach, sprawowali pieczę nad wieżą zegarową, zamiatając placyk między domami.

Zapadła noc. Zza zasłon i bambusowych żaluzji mieszkańcy Posiadłości Methwolda zerkali trwożliwie w kierunku wieży zegarowej. Zamiatacze, bez nijakiego pomysłu, nadal sprząkali po ciemku. Johnny Wakil zajął stanowisko na naszej werandzie, karabin schował w zasięgu ręki... punkt o północy cień przełaził przez ogrodzenie przedszkola Breach Candy i z workiem przewieszonym przez ramię skierował się ku wieży...

– Musi tam wejść – Wakil wyjaśnił Aminie. – Musimy mieć pewność, że zdybaliśmy właściwego franta.

Frant, przemknąwszy po płaskim smołowanym dachu, dotarł do wieży; wszedł.

– Inspektorze sahobie, na co pan czeka?

– Ciii, begam, to już sprawa policji. Proszę wejść do środka. Złapiemy go, jak będzie wychodził, wspomni pani moje słowa. Schwytny go – oświadczył Wakil z satysfakcją – jak szczura w potrzasku.

– Ale kto to taki?

– Czy to wiadomo? – Wakil wzruszył ramionami. – Na pewno jakiś badmaś. Wszędzie dzisiaj pełno złego nasienia.

... I wtedy cisza nocna psuje się jak mleko, przedziurawiona jednym krzykiem; ktoś przyskakuje do drzwi wieży; drzwi zostają wyważone; i coś wypada na czarną papę. Inspektor Wakil skacze do czynu, wymachuje karabinem, strzela z biodra niczym John Wayne; zamiatacze dobywają broni snajperów ze swoich mioteł i dają ognia... piski podnieconych kobiet, wrzaski służby... cisza.

Co to za brązowo-czarny, pręgowany węzowaty kształt leży na czarnej papie? Co, spływając czarną krwią, każe doktorowi Schaapstekerowi zakląć z dogodnego punktu obserwacyjnego na najwyższym piętrze: – Wy idioci! Bracia karaluchów! Synowie transwestytów!... – Co z rozlatanym językiem umiera, gdy Wakil pędzi na smołowany dach?

A za drzwiami wieży zegarowej? Co za ciężar spadając spowodował tak nieboski trzask? Czyja ręka wyważyła drzwi; w czyich piętach widać dwie czerwone dziurki spływające jadem, na który nie ma antytoksyny, jadem, co zwałił z nóg całe stajnie zdrożonych koni? Czyje ciało wynosi teraz z wieży w marszu żałobnym bez trumny dwóch tajniaków, podczas gdy przebrani zamiatacze udają grabarzy? Dlaczego, kiedy poświata księżycy pada na martwą twarz, Maria Pereira pada jak worek karofli na podłogę, a oczy przewracają jej się w słupek, gdy tak nagle i dramatycznie omdlewa?

I co to za dziwne mechanizmy przymocowane do tandetnych zegarków piętrzą się pod

ścianami wieży zegarowej – dlaczego tyle tam butelek o szyjkach zapchanych szmatami?

– Co za cholerne szczęście, że wezwała pani moich chłopców, begam sahiba – powiada inspektor Wakil. – To był Józef D’Costa, figurował na naszych listach gończych. Szukaliśmy go od jakiegoś roku. Czarny charakter jak mało kto. Trzeba było widzieć tę ścianę w wieży zegarowej! Półki od góry do dołu zapelnione bombami domowej roboty. Taki ładunek wybuchowy mógłby wysadzić cały ten pagór w powietrze i cisnąć do morza!

* * *

Melodramat za melodramatem; życie nabiera kolorów bombajskiego filmu dźwiękowego; po drabinach następują węże, po węzach drabiny; pośród tego natłoku wydarzeń dzieciątko Salim zachorowało. Jak gdyby nie potrafiło się przystosować do takiej ciżby wypadków, przymknęło oczy, oblało się czerwienią i wypiekami. Kiedy Amina czekała na wynik sprawy wytoczonej przez Ismaila władzom; kiedy Mosiężna Małpka rosła w łonie matki; kiedy Maria doznała szoku, z którego miała się w pełni otrząsnąć dopiero, gdy duch Józefa wrócił, by ją nawiedzać; kiedy pępowina unosiła się w słoiku po marynacie, a ćatni Marii przepełniły wskazującymi palcami nasze sny; kiedy Czcigodna Matka sprawowała rządy w kuchni, dziadek mnie zbadał i oświadczył:

– Niestety, nie ulega wątpliwości, że nieborak ma tyfus.

– O mój Boże miłosierny – zawołała Czcigodna Matka. – A cóż to za ciemny szatan, jakmutam, zagościł w naszym domu?

Oto jak zrelacjonowano mi historię mojej choroby, która omal mnie nie powaliła, nim jeszcze ruszyłem do dzieła: pod koniec sierpnia 1948 matka i dziadek doglądali mnie dzień i noc; Maria wydzwignęła się ze swojego poczucia winy i przykładła mi do czoła zimne kompresy z flaneli; Czcigodna Matka śpiewała mi kołysanki i karmiła łyżką; nawet ojciec, zapominając chwilowo o własnej niedyspozycji, stał w progu i miotał się bezradnie. Ale nadeszła taka noc, kiedy doktor Aziz, skapcianiły niczym stary koń, oznajmił:

– Nic więcej nie mogę zrobić. Umrze przed nastaniem rana.

I wtedy pośród szlochów kobiet i pierwszych skurczów matki wywołanych własnym żalem i rwaniem włosów z głowy przez Marię Pereirę, rozległo się pukanie; służący zaanonsował doktora Schaapstekera; który wręczył dziadkowi mały flakonik i powiedział:

– Mówię bez ogródek: albo go to zabije, albo uzdrowi. Podać dokładnie dwie krople; a potem tylko czekać i patrzeć.

Dziadek, trzymając się za głowę na gruzach swojej wiedzy medycznej zapytał: – Co to takiego? – Na co doktor Schaapsteker, blisko osiemdziesięciodwuletni, z językiem rozlatanym w kącikach ust, odparł: – Rozcieńczony jad kobry królewskiej. Ponoć pomaga.

Węże mogą prowadzić do tryumfu, tak jak drabiny mogą prowadzić w dół: mój dziadek wiedząc, że i tak umrę, zaaplikował truciznę kobry. Cała rodzina stała i patrzyła, jak trucizna rozlewa się po ciele dziecka... a w ciągu sześciu godzin temperatura wróciła do normy. Po tym incydencie mój wzrost stracił swe niezwykle tempo; ale w zamian coś zyskałem: życie oraz wczesną świadomość dwuznaczności węży.

Kiedy gorączka ustępowała, w Klinice Położniczej doktora Narlikara rodziła się moja siostra. Był 1 września; same narodziny przeszły tak gładko, tak bez wysiłku, że nie zostały na dobrą sprawę zauważone w Posiadłości Methwolda; albowiem tego samego dnia Ismail Ibrahim odwiedził w klinice moich rodziców i oznajmił im, że wygrali sprawę... Kiedy Ismail świętował, ja chwytałem kraty swojego łóżeczka; kiedy wykrzykiwał: – Koniec z

wszelkim zamrożeniem! Odzyskałeś swoje aktywa! I to wyrokiem sądu! – ja przewalczałem z czerwoną od wysiłku twarzą siłę grawitacji; kiedy zaś Ismail oświadczył z miną niewiniątka: – Sinai, bhai, prawo raz jeszcze odniosło swe sławetne zwycięstwo – a unikał przy tym rozradowanego, tryumfującego wzroku mojej matki, ja, dzieciątko Salim, licząc sobie dokładnie rok, dwa tygodnie i jeden dzień, podciągnąłem się w łóżeczku do pozycji stojącej.

Skutki wydarzeń owego dnia były dwojakie: wyrosłem z nogami nieodwracalnie zakrzywionymi w kabłąk, bo za wcześnie stanąłem o własnych siłach; natomiast Mosiężna Małpka (przezwana tak z powodu gęstej strzechy rudozłotych włosów, które nie miały ściemnieć aż do ukończenia przez nią dziewięciu lat) pojęła, że aby zaskarbić sobie czyjąkolwiek uwagę, musi narobić wiele hałasu.

Incydent w skrzyni na bieliznę

Minęły już dwie doby, odkąd Padma wypadła burzliwie z mojego życia. Od dwóch dni jej miejsce przy kadzi kasaundi z owoców mango zajmuje inna niewiasta – również przy tuszy, o podobnie owłosionych rękach; w moich jednak oczach żadne to zastępstwo! – tymczasem mój lotos-łajna znikł nie wiadomo gdzie. Nastąpiło zachwianie równowagi; czuję, że pęknięcia rozszerzają mi się po całym ciele; bo naraz znalazłem się sam, bez niezbędnego ucha, a to mi nie wystarcza. Ogarnia mnie nagły przypływ wzburzenia: czemu moja jedyna uczennica potraktowała mnie tak bezceremonialnie? Przede mną wielu mężczyzn recytowało swoje opowieści; a przecież nikt ich tak raptownie nie porzucał. Kiedy Walmiki, autor *Ramajany*, dyktował swoje dzieło słoniogłowemu Ganeśi, czyż bóg opuścił go w pół drogi? Bynajmniej. (Proszę zważyć, że mimo muzulmańskiego pochodzenia jestem, jak przystało na mieszkańca Bombaju, niezłe obeznany z hinduskimi opowieściami, i przyznam, że bardzo jest mi bliski obraz kłapouchego Ganeśi ze słoniową trąbą, jak spisuje wszystko skrupulatnie pod dyktando!)

Jak tu się obyć bez Padmy? Jak się obejść bez jej ignorancji i przesądów stanowiących nieodzowną przeciwwagę dla mojej podszytej cudami wszechwiedzy? Jak sobie poradzić bez jej paradoksalnej przyziemności ducha, która nie daje – nie dawała? – mi się oderwać od ziemi? Stałem się jakby wierzchołkiem trójkąta równoramiennego podtrzymywanym jednakowo przez bliźniacze bóstwa, szalonego boga pamięci i lotosową boginię terażniejszości... czy więc teraz muszę się pogodzić z wąską jednowymiarowością linii prostej?

Niewykluczone, że chowam się za tymi wszystkimi pytaniami. Może i tak. Powinienem mówić wprost, bez tego płaszczyka znaków zapytania: nasza Padma odeszła, a mnie jej brak. I tyle.

Praca jednak czeka: na przykład:

Latem roku 1956, kiedy większość spraw na świecie nadal mnie przerastała, moja siostra, Mosiężna Małpka, popadła w dziwny nawyk podpalania butów. Kiedy Naser topił statki w Kanale Sueskim, spowalniając tym samym postęp całego świata, gdyż zmuszał wszystkich do opływania Przylądka Dobrej Nadziei, moja siostra usiłowała podobnie wstrzymać nasze ruchy. Skazana na walkę o uwagę bliźnich, owładnięta potrzebą uplasowania się w centrum wydarzeń, chociażby niemiłych (była bądź co bądź moją siostrą; ale żaden premier nie wystosował do niej listu, żaden sadhu nie obserwował jej ze swego posterunku pod ogrodową pompą; nie wyprorokowana, nie obfotografowana, od samego początku jej życie było ustawiczną walką), przeniosła swą wojnę na świat obuwia, być może w nadziei, że skoro spali nam buty, zmusi nas do bezruchu tak długo, aż zauważymy jej obecność... i wcale nie próbowała ukryć swoich przestępstw. Kiedy ojciec wszedł do pokoju i zobaczył parę swoich czarnych półbutów w ogniu, Mosiężna Małpka stała nad nimi z zapałką w ręku. Uderzył go w nos niebotyczny swąd palonej skóry, zmieszany z pastą do butów Kwiat Wiśni i szuwaksem Trzy Życzenia...

– Patrz, Abba – zawołała z wdziękiem Małpka. – Patrz, jakie to ładne. Zupełnie jak kolor moich włosów!

Mimo wszelkich środków ostrożności wesołe czerwone kwiaty obsesji mojej siostry rozkwitały tego lata nad całą posiadłością, puszczały się w sandałach Nussie-kaczki i w

obuwii potentata filmowego, Homi Catracka; płomienie barwy włosów lizały zdarte pantofle zamszowe pana Dubasza i szpilki Lili Sabarmati. Mimo chowania zapalek i czujności służby Mosiężna Małpka znajdowała sposoby, nie stropiona ni karą, ni groźbą. Przez cały rok Posiadłość Methwolda raz po raz zasnuwały dymy obracanych w perzynę butów; zanim włosy mojej siostry pociemniały na nijaki brąz, a ona sama straciła jakby wszelkie zainteresowanie zapalnikami.

Amina Sinai, nie mogąc ścierpieć myśli o biciu własnych dzieci, nienawykła też z usposobienia do podnoszenia głosu, odchodziła wprost od zmysłów; toteż Małpka dzień w dzień była skazywana na milczenie. Była to metoda dyscyplinarna matki: skoro nie umiała podnieść na nas ręki, kazała nam sznurować usta. Odbijało się w tym zapewne echem wielkie milczenie, którym jej rodzona matka zadrezczała Aadama Aziza – albowiem milczenie również rezonuje echem, bardziej głuchym i dłużej trwającym niż odbicia jakiegokolwiek dźwięku – toteż z emfatycznym „Cup!” przykładała palec do ust i związywała nam tym języki. Owa kara ani razu nie omieszkała zastraszyć mnie aż do uległości; Mosiężna Małpka wszelako była ulepiona z twardszej gliny. Bezgłośnie, z ustami ściśniętymi jak niegdyś jej babka, obmyślała podpałkę skóry – tak jak ongiś, przed wielu laty, inna małpka w innym mieście dokonała aktu, który spowodował nieuchronny pożar magazynu imitacji skóry...

Była tak piękna (choć może nieco za chuda), jak ja byłem brzydki; ale od zarania była złośliwa jak trąba powietrzna i hałaśliwa jak tłum. Dość policzyć okna i wazoni rozbite przypadkiem-umyślnie; wystarczy porachować, jeśli łaska, posiłki, które w zagadkowy sposób spadły z jej podstępnych talerzy, brudząc drogocenne dywany perskie! Milczenie to zaiste najgorsza kara, jaką można jej było wymierzyć; chociaż zносиła ją wesoło, stojąc niewinnie pośród ruin połamanych krzeseł i rozbitych bibelotów.

Maria Pereira przygadywała:

– Co za nieboskie stworzenie z tej Małpki! Powinna się była urodzić z czterema nogami!

Na co Amina, która nie mogła sobie wybić z głowy cudownego uniknięcia wydania na świat dwugłowego syna, uciwała:

– Mario! Co też ty wygadujesz? Nawet się nie waż tak myśleć!...

Mimo protestów matki Mosiężna Małpka była po prawdzie tyleż zwierzęciem, co człowiekiem; nadto, o czym wiedziała cała służba i wszystkie dzieci w Posiadłości Methwolda, miała dar rozmawiania z ptakami i z kotami. A także z psami: ale kiedy miała sześć lat, pogryzł ją wściekły, jak przypuszczano, kundel przybłąda, musiano ją więc zanieść kopiącą i rozwrzeszczaną do szpitala Breach Candy, a potem przez trzy tygodnie co dzień dostawała zastrzyki w brzuch, wskutek czego albo zapomniała języka zwierząt, albo nie chciała mieć z nimi więcej do czynienia. Od ptaków nauczyła się śpiewać; od kotów zaś nauczyła się groźnej odmiany niezależności. Mosiężna Małpka nigdy nie popadała w taką złość jak wtedy, gdy ktoś przemawiał do niej czule; szukając rozpaczliwie miłości, choć pozostawała w tym względzie na zawsze w moim przemożnym cieniu, wyrobiła sobie skłonność do ciskania się na każdego, kto obdarzył ją tym, na co tak czekała, jak gdyby broniła się przed ewentualnością oszukaństwa.

...Na przykład, kiedy Sonny Ibrahim zebrał się na odwagę, żeby jej wyznać:

– Wiesz co, siostró Salima, twarda z ciebie sztuka. Bo wiesz, tego, cholernie mi się podobasz...

Zaraz pomaszzerowała do ogrodów Sans Souci, gdzie jej rodzice popijali lassi, i oświadczyła:

– Cioteczko Nussie, nie wiem, co ten twój Sonny knuje. Właśnie go widziałam z Cyrusem

za krzakiem, jak tak jakos dziwnie pocierali sobie siusiaki!...

Mosiężna Małpka miała złe maniery przy stole; deptała klomby; zyskała sobie miano trudnego dziecka; ale ona i ja byliśmy tak-sobie-bliscy-jak-tylko-można, mimo oprawnych w ramki listów z Delhi i sadhu-pod-pompą. Od początku postanowiłem traktować ją jak sprzymierzeńca, a nie rywala; dlatego nigdy nie winiła mnie za mój prymat w domu i tylko powtarzała:

– Czyja to wina? Czy to twoja wina, że mają cię za takie Bóg wie co?

(Ale kiedy po latach powtórzyłem błąd Sonny’ego, potraktowała mnie tak samo.)

I to właśnie Małpka, odbierając pewien omyłkowy telefon, zainicjowała ciąg wypadków, które doprowadziły do mojego incydentu w białej skrzyni bieliźnianej z deszczulek.

Już w wieku bliskodziewięciu lat wiedziałem jedno: wszyscy na mnie czekają. Północ, niemowlęce zdjęcia, prorocy i premierzy wytworzyli wokół mnie błyszczącą, nieuchronną mgiełkę wyczekiwania... A ojciec przyciągał mnie do swojego pulchnego brzucha w chłodzie pory koktajlowej i powiadał:

– Wielka przyszłość! Synku, cóż to ci się nie kroi? Wielkie czyny, wielkie życie!

Tymczasem ja, wierząc się między sterczącą wargą a dużym paluchem u nogi, mocząc mu koszulę wiecznie zasmarkanym nosem, rumieniłem się i piszczałem:

– Puść mnie, Abba! Wszyscy zobaczą!

Na co on, pesząc mnie niepomiernie, basował: – A niech patrz! Niech cały świat widzi, jak kocham własnego syna! – ... Babka natomiast podczas odwiedzin pewnej zimy udzieliła mi takiej rady:

– Podciągnij no skarpetki, jakmutam, a będziesz lepszy niż cały Boży świat!...

Dryfując w tych oparach wyczekiwania, czułem już w sobie pierwsze ruchy owego bezkształtnego zwierzęcia, które po dziś dzień w te bezpadmowe noce chrupie i drapie mi w brzuchu: obłożony klątwą ciżby nadziei i przezwisk (już zostałem Kinolem i Smarkiem), zacząłem się lękać, że wszystko idzie na opak – że mój nazbyt otrąbiony żywot może się przerodzić w zgoła bezużyteczną, pustą egzystencję bez krztyny celowości. Żeby więc uciec przed tą bestią, już od wczesnego dzieciństwa jałem się chować w matczynej wielkiej białej skrzyni na brudną bieliznę; bo chociaż to stworzenie mnie nie odstępowało, kojąca obecność zbrukanej bielizny jakby tuliła je do snu.

Poza bieliźniarką, otoczony ludźmi, którzy rzekomo posiadali miazdząco wyraźne poczucie celowości, zakopywałem się w bajkach. Hatim Tai i Człowiek-Nietoperz, Superman i Sindbad pomogli mi przebrnąć przez wiek bliskodziewięciu lat. Kiedy chodziłem po sprawunki z Marią Pereirą – zatrwożony jej umiejętnością określenia wieku kurczaka jednym rzutem oka na jego szyję, samą determinacją, z jaką wpatrywała się w oczy jaskółek morskich – przeistaczałem się w Aladyna podróżującego po baśniowej pieczarze; kiedy obserwowałem służących, gdy odkurzali wazony z namaszczeniem tyleż majestatycznym, co niezrozumiałym, wyobrażałem sobie, że czterdziestu rozbójników Ali Baby kryje się w tych pokrytych kurzem amforach; kiedy gapilem się, jak sadhu Puruszottama zżera w ogrodzie woda, zamieniałem się w ducha lampy, z reguły unikając tym samym straszliwego poczucia, że ja, jako jedyny człowiek na tym świecie, nie mam pojęcia, kim powinienem być ani jak powinienem postępować. Cel nachodził mnie, kiedy wystawałem przy oknie zapatrzony na Europejki pluskające się w nadmorskim basenie o kształcie mapy.

– Skąd się to bierze? – wołałem na głos; a Mosiężna Małpka, która dzieliła ze mną błękitny pokój, wyskakiwała niemal ze skóry. Miałem bliskoosiem lat; ona zaś prawiesiedem. Bardzo to wcześnie jak na rozważania sensu.

Służba wszak nie ma wstępu do skrzyń na bieliznę; autobusy szkolne też tam nie trafiają. W bliskodziewiątym roku życia zacząłem uczęszczać do Katedralnej Szkoły Męskiej im. Johna Connona przy Outram Road w dzielnicy Starego Fortu; wymyty i wypucowany codziennie rano wystawiałem u podnóża naszego piętrowego pagóra, w białych szortach, przytrzymywanych elastycznym paskiem w niebieskie prążki z klamrą w kształcie węża, z tornistrem na plecach, z zasmarkanym jak zwykle nosem-ogórasem; a ze mną Okruchoka i Pomada, Sonny Ibrahim i rozwinięty nad wiek Cyrus Wielki. A w autobusie: pośród grzechoczących siedzeń i nostalgicznego brzęku szyb, co za pewniki! Co za bliskodziewięcioletnia pewność na temat przyszłości! Sonny przechwala się: – Zostanę torreadorem; Hiszpania! Chiquitas! Hej, toro, toro! – Trzymając tornister przed sobą niczym mulecę Manolete’a, odgrywał swoją przeszłość, kiedy autobus przetaczał się z gruchotem po Kemp’s Corner, mijał Thomasa Kempa i S-kę (Skład apteczny), przejeżdżał pod afiszem radży reklamującego Air India (– Szczęść Boże, aligatorze! Lecę do Londynu samolotem Air India!) i pod drugą tablicą, na której przez całe moje dzieciństwo Skrzat Kolynos, chochlik o lśniących zębach, w zielonej elfowej chlorofilowej czapeczce, wysławiał zalety pasty do zębów Kolynos: „Miej zęby czyste, miej zęby białe! Miej jak Kolynos zęby doskonałe!” Skrzat na tablicy, dzieci w autobusie: jednowymiarowe, przyplaszczone własną pewnością, wszystkie wiedziały, po co żyją. Oto Nalany Keith Colaco, tarczycowy balon nie dziecko, któremu owłosienie sypało się już kępkami pod nosem:

– Będę prowadził kina mojego ojca. Jak się wam zachce, łapserdaki, oglądać filmy, będziecie musieli błagać mnie o bilety!

...A Gruby Perce Fishwala, którego otyłość wynika tylko i wyłącznie z przejedzenia i który, obok Nalanego Keitha, zajmuje uprzywilejowaną pozycję klasowego tyra:

– Phi! Też coś! Ja będę miał diamenty, szmaragdy i kamienie księżycowe! Perły jak własne jaja!

Ojciec Grubego Perce’a prowadzi drugi zakład jubilerski w mieście; jego wielkim wrogiem jest syn pana Fatbhoja, który jako chudzina i intelektualista zawsze przegrywa w tej wojnie synów dziedziczących klejnoty rodzinne... Okruchoka zapowiada, że w przyszłości zostanie wytrawnym graczem w krykieta, nie zważając nonszalancko na swój pusty oczodół; Pomada zaś, tak ulizany i schludny, jak jego brat jest rozczochny i nieporządny, odgraża się:

– Ale z was samoluby! Ja pójdę w ślad za ojcem do marynarki wojennej i będę bronił kraju!

Za co spada na niego grad linijek, cyrkli, atramentowych piguł... w autobusie szkolnym, który przejeżdżał z turkotem obok plaży Ćaupatti, skręcał w lewo w Marine Drive, mijał dom mojego ulubionego wuja Hanifa i zmierzał obok Pętli Victoria ku Fontannie Flory, obok Dworca Churchgate i Crawford Market, ja jeden siedziałem cicho; byłem zrównoważonym Clarkiem Kentem trzymającym w sekrecie swoją tajną misję; tylko co nią, u licha, było?

– Hej, Smarku! – wydzierał się Nalany Keith. – Hej, jak myślicie, kim zostanie nasz Kinol, gdy dorośnie?

I w odpowiedzi ryk Grubego Perce’a Fishwali:

– Pinokiem!

I zaraz włączają się pozostali, wyjąc ochryplym chórem: „Nie będę skakał na sznurku!”... Tylko Cyrus Wielki siedzi cicho jak geniusz, zamyślony nad przyszłością najlepszego instytutu badań nuklearnych w kraju.

A w domu była Mosiężna Małpka ze swym paleniem butów; i ojciec, który wychynął z

odmętów swojego załamania, by raz jeszcze pograć się w mrzonce o czwórnogach...

– Gdzie tego szukać? – dopytywałem się przy oknie; a palec rybaka wskazywał zwdniczo na morze.

Zakazane w skrzyniach na bieliznę: okrzyki: – Pinokio! Nos-ogóras! Zasmarkaniec! – Schowany w swojej kryjówce unikałem obrazu panny Kapadiji, wychowawczynie z przedszkola Breach Candy, która pierwszego dnia odwróciła się od tablicy, żeby mnie przywitać, spojrzała na mój nos, upuściła z wrażenia ściereczkę i skaleczyła sobie paznokieć dużego palca u nogi, w czym piskliwym, nieporównanie mniejszym echem odbił się słynny wypadek mojego ojca; zakopany pośród brudnych chustek do nosa i wygniecionych piżam, mogłem na pewien czas zapomnieć o własnej brzydocie.

Zaatakował mnie tyfus; uzdrowił węzowy jad; a moje wczesne rozgorączkowane tempo wzrostu wyraźnie się ostudziło. Kiedy miałem bliskodziewięć lat, Sonny Ibrahim był ode mnie o cztery centymetry wyższy. Ale jeden organ dzieciątka Salim był najwyraźniej odporny na choroby i wyciągi-z-węży. Pęczniał w przód i w dół między oczami, jakby wszystkie moje siły rozrostu wyciągnięte z reszty ciała zmówiły się skupić na tym jednym niebywałym parciu... między oczami, tuż nad górną wargą, niczym okazały kabaczek wykwitał mój nos. (Uniknąłem wszakże zębów mądrości; trzeba doceniać dobrodziejstwa losu.) Co mieści się w nosie? Zwykle odpowiedź brzmi: – Nic prostszego. Układ oddechowy; narząd węchu; włoski. – Ale w moim wypadku odpowiedź była jeszcze prostsza, chociaż, sam przyznaję, nieco odstręczająca: w moim nosie kryły się smarki. Apelując o wyrozumiałość, muszę niestety wdać się w szczegóły: niezbyt nosa zmuszał mnie do oddychania ustami, przez co wyglądałem jak dychawiczna złota rybka; nieustanne zatory skazały mnie na dzieciństwo bez zapachów, na lata pozbawione woni piżma, ćambeli, kasaundi z owoców mango i lodów domowej roboty: no i oczywiście brudnego prania. Ułomność w świecie poza skrzynią na bieliznę może mieć swoje dobre strony, kiedy się jest w środku. Ale tylko na okres tego ukrycia.

Owładnięty obsesją celu zamartwiałem się własnym nosem. Ubrany w cierpkie stroje, dostarczane regularnie przez moją panią kierowniczkę, ciotkę Aliję, chodziłem do przedszkola, grałem w krykieta francuskiego, biłem się, wkraczałem w świat bajek... i się zamartwiałem. (W owym czasie ciotka Alija zaczęła nas zalewać nie kończącym się potokiem dziecięcych ubranek, w których ściegi powszywała swą staropanieńską żółć; Mosiężna Małpka i ja chodziliśmy odziani w jej dary, nosiliśmy z początku niemowlęce śpioszki nasycone cierpkością, a następnie pajacyki pełne nienawiści; dorastałem więc w białych szortach wykrochmalonych krochmalem zawiści, Małpkę natomiast strojono w piękne kwieciste sukienki wciąż żywej zazdrości Aliji... nieświadomi, że garderoba oplata nas siecią ciotczynej zemsty, wiedliśmy nasze wystrychnięte żywoty.) Mój nos: słoniowy jak trąba Ganeśi, powinien, zdawałoby się, być organem nadzwyczajnego węchu; powinien, jak to się mówi, mieć nie lada niucha; tymczasem był wiecznie zatkany, równie bezużyteczny jak drewniany sikh-kabab.

Dość tego. Przesiadywałem w skrzyni na bieliznę i zapomniałem o nosie; zapomniałem o wspinaczce w roku 1953 na Mount Everest – kiedy to niechluj Okruchoka wyśmiewał mnie: – Hej, chłopaki! Myślicie, że Tenzing dałby się radę wspiąć po twarzy Kinola? – i o kłótniach rodziców na temat mojego nosa, za który Ahmed Sinai nigdy nie przestał winić ojca Aminy:

– Jeszcze w mojej rodzinie nie było takiego nosa! My mamy świetne nosy, moja żono, dumne, królewskie!

Ahmed Sinai już wtedy zaczął wierzyć w fikcyjnych przodków, których wymyślił na użytek Williama Methwolda; przepojony dzinnami widział krew mogolską płynącą w swoich

żyłach... W zapomnienie też szła owa pamiętna noc, kiedy miałem osiem i pół roku, a ojciec zalatując dzinnami wszedł do mojego pokoju, zdarł ze mnie pościel i jak nie ryknął:

– Co ty tu knujesz? Świntuch! Świntuch jakowyś! – Miałem zaspany, niewinny, zaskoczony wygląd. A on ryczał dalej: – Chi, chi! Co za wstręciuch! Pan Bóg karze chłopców za takie rzeczy! Już ci przyprawił nos jak topola. Nie da ci urosnąć; siusiak ci się skurczy!

Na co matka, która zjawiła się na progu sypialni zdumienia w samej koszuli nocnej:

– Dżanam, na miłość boską, przecież dzieciak zwyczajnie spał.

Tu dzinn wrzasnął ustami mojego ojca, zawładnąwszy nim bez reszty:

– Spójrz tylko na jego twarz! Kto od samego spania ma taki nos?

W skrzyni na bieliznę nie uświadczą się luster; nie mają tam również wstępu grubiańskie żarty ani wskazujące palce. Ojcowski gniew zostaje stłumiony używaną pościelą i znoszonymi biustonoszami. Bieliźniana skrzynia to dziura w świecie, teren wydzielony, poza nawiasem cywilizacji; dlatego stanowi najwspanialszą kryjówkę. W skrzyni na bieliznę byłem, podobnie jak Nadir Chan w swoim podziemiu, bezpieczny od wszelkich nacisków, schowany przed wymogami rodziców i historii...

...Mój ojciec, przyciągając mnie do pulchnego brzucha, mówił głosem zdławionym nagłym przypływem uczucia:

– No dobrze, już dobrze, cicho, cicho, jesteś grzecznym chłopcem. Będziesz tym, kim zechcesz być, musisz tylko naprawdę chcieć! A teraz śpij!...

I Maria Pereira wtórowała mu echem swojej śpiewki: „Kim tylko zechcesz być, to będziesz; Będziesz tym, kim sobie sam zamarysz!” Już do mnie dotarło, że nasza rodzina bezwzględnie wyznaje dobre kupieckie zasady; oczekuje godziwej zapłaty w zamian za poczynione we mnie inwestycje. Dzieci dostają jedzenie dach-nad-głową kieszonkowe długie-wakacje i miłość, a wszystko niby to darmo gratis, stąd większość tych małych głuptasów uważa, że to taka rekompensata za fakt przyjścia na świat. „Nie będę skakał na sznurku!” śpiewają; ale ja, Pinokio, dostrzegałem te sznurki. Rodzice kierują się ni mniej, ni więcej tylko chęcią zysku. Za swoją troskę oczekiwali ode mnie ogromnej dywidendy w postaci mojej wielkości. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Wcale mi to nie przeszkadzało. Byłem w owym czasie posłusznym dzieckiem. Chciałem im dać to, czego chcieli, co wróżbici i oprawne w ramki listy im obiecały; tyle że po prostu nie umiałem. Skąd bierze się wielkość? Jak jej się nabiera? Kiedy?... Kiedy miałem siedem lat, Aadam Aziz i Czcigodna Matka przyjechali do nas w gości. W moje siódme urodziny dałem się posłusznie ubrać jak ci chłopcy na obrazku z rybakim; zgrzany i skrępowany w tym cudacznym kostiumie, uśmiechałem się i uśmiechałem bez końca.

– Patrzenie, mój okruszek księżyca! – wołała Amina krojąc tort przyozdobiony lukrowanymi zwierzątkami gospodarskimi. – Taki człodziutki! Nigdy nie uroni ani jednej łyzy!

Tamując powódź łez czających się w moich oczach, łez z gorąca niewygody i braku Całego Jardu Czekoladek w stosie prezentów, zaniósłem porcję tortu Czcigodnej Matce, która leżała chora w łóżku. Dostałem lekarski stetoskop; zawiesiłem go sobie na szyi. Babka, z brodawkami jak czarownica, pozwoliła mi się przebadać; zaleciłem więcej ruchu.

– Musisz raz dziennie chodzić po pokoju, do almarii i z powrotem. Możesz się na mnie wesprzeć, jestem lekarzem.

Angielski milord uzbrojony w stetoskop oprowadził babkę po pokoju; kulą, skrzypiała, ale usłuchała. Po trzech miesiącach tej kuracji wróciła do zdrowia. Zeszli się sąsiedzi, żeby to uczcić, naznosili rasgulli, gulab-dżamanów i innych słodkości. Czcigodna Matka, usadowiona po królewsku na tachcie w salonie, obwieściła:

– Widzicie mojego wnuka? Wyleczył mnie, jakmutam. Geniusz! Geniusz, jakmutam: dar od samego Pana Boga.

Czyżbym już dopiął celu? Miałbym się przestać zamartwiać? Czy geniusz nie wymaga uprzednich pragnień, nauki, wiedzy i zdolności? Czyżby w oznaczonej godzinie miał mi spłynąć na ramiona niczym nieskazitelny, misternie utkany szal paśmina? Wielkość, co spada jak mantyla: której nie trzeba oddawać do dholego. Bo geniuszu nie tłucze się na kamieniu... Ta jedna wskazówka, okazjonalne zdanie babki było mi jedyną nadzieją; i, jak się okazało, babka się tak bardzo nie myliła. (Incydent już jest tuż tuż; a dzieci północy czekają.)

Po wielu latach w Pakistanie, tej nocy, której dach miał się Aminie Sinai zwalić na głowę i sprasować ją na płask bardziej niż placek ryżowy, miała ona widzenie starej bielizniarki. Kiedy skrzynia wyskoczyła jej pod powiekami, matka powitała ją jak niezbyt-chętnie-widzianą kuzynkę.

– A, to znowu ty – powiedziała. – No tak, a jakże! Ostatnio różne rzeczy do mnie wracają. Że też człowiek niczego nie może porzucić.

Przedwcześnie się postarzała, tak jak wszystkie kobiety w naszej rodzinie; skrzynia przypomniała jej lata, kiedy to po raz pierwszy zaczęła ją nachodzić starość. Wielkie upały roku 1956 – które wedle słów Marii Pereiry były spowodowane małymi świecącymi niewidzialnymi robaczkami – znów jej zabzyczały w uszach.

– Zaczęły mnie wtedy dręczyć odciski – powiedziała na głos, a funkcjonariusz Obrony Cywilnej, który do niej zaszedł, żeby dopilnować zaciemnienia okien, uśmiechnął się melancholijnie do siebie i pomyślał w duchu: podczas wojny starzy ludzie spowijają się we własną przeszłość; i dlatego w każdej chwili są gotowi na śmierć. Wycofał się przez góry wybrakowanych ręczników frotte, które zawały niemal cały dom, i zostawił Aminę, żeby w samotności omawiała własne brudy... Nussie Ibrahim – Nussie-kaczka – wychwalała dawniej Aminę:

– Jaką ty masz figurę, moja droga! Jaki głos! Nie mogę się nadziwić: dosłownie śmigasz, jakbyś jechała na niewidzialnym wózku!

Ale owego lata robaczków skwaru moja wytworna matka przegrała w końcu bitwę z nagniotkami, bo sadhu Puruszottam stracił nagle swą magiczną siłę. Woda wypłukała mu łysinę na głowie; stałe kapanie przez tyle lat wycieńczyło go do cna. Czyżby rozczarowało go błogosławione dziecko, jego Mubarak? Czy to moja wina, że jego mantry straciły moc? Z nutą głębokiego zatroskania przyrzekł mojej matce:

– Nie przejmuj się, miej cierpliwość, na pewno ulecze ci nogi.

Wszakże odciski dokuczały coraz bardziej; Amina chodziła po lekarzach, którzy mrozili je dwutlenkiem węgla w temperaturze absolutnego zera; ale one wracały ze zdwojoną energią, toteż matka zaczęła kuleć, minęły dni jej śmigania; i rozpoznała bezbłędnie pierwszy ukłon starości. (Z głową nabitą fantazjami przekształciłem ją w nimfę: – Amma, może ty tak naprawdę jesteś syreną, tylko z miłości do człowieka przybrałaś ludzką formę, więc każdy krok sprawia ci ból, jakbyś chodziła po żyletkach! – Matka uśmiechnęła się, ale się nie roześmiała.)

1956. Ahmed Sinai i doktor Narlikar grali w szachy i sprzeczali się – ojciec był zajadłym przeciwnikiem Nasera, podczas gdy Narlikar otwarcie go chwalał.

– Ten człowiek nie ma głowy do interesów – twierdził Ahmed.

– Za to ma klasę – odpowiadał Narlikar, promieniejąc namiętne – Nikt go nie będzie wodził za nos.

W tym samym czasie Dżawaharlal Nehru radził się astrologów w sprawie planu

pięcioletniego, żeby uniknąć kolejnego Karamsthanu; a kiedy cały świat łączył w sobie agresję z magią, ja leżałem schowany w skrzyni na bieliznę, która stawała się już dla mnie za ciasna; Aminę Sinai zaś przepełniało poczucie winy.

Usiłowała wymazać z pamięci swoją przygodę na wyścigach; ale poczucie grzechu, połknięte wraz z jedzeniem jej matki, nie chciało jej opuścić; toteż łącno dopatrzyła się w nagniotkach kary... nie tylko za wyprawy sprzed-lat do Mahalakszmi, ale też za to, że nie uchroniła męża przed różowymi świstkami alkoholizmu; za nieposkromione, niekobiece manieri Mosiężnej Małpki; no i za rozmiary nosa jej jedynaka. Kiedy patrzę na nią z perspektywy, wydaje mi się, że już wtedy mgła poczucia winy formowała jej się wokół głowy – czarna skóra wydzielala czarną chmurę, która wisiała jej przed oczyma. (Padma by w to uwierzyła; Padma wiedziałaby, co mam na myśli!) Wraz z narastaniem poczucia winy mgła się zagęszczała – o, tak! a jakże! – zdarzały się dni, kiedy trudno było dojrzeć jej głowę na szyi!... Amina dołączyła do grona tych nielicznych, którzy przyjmują brzemię świata na swoje barki; zaczęła wydzielać magnetyzm osób chętnie biorących na siebie winę; toteż od tamtej pory wszyscy, którzy się z nią zetknęli, odczuwali przemożną chęć, aby wyznać swoje przewinienia. Kiedy ulegali mocy mojej matki, uśmiechała się tylko do nich wdzięcznym, smutnym, mglistym uśmiechem, a wtedy odchodzili, z lekkością, złożywшы własne ciężary na jej barkach; mgła poczucia winy gęstniała. Amina słuchała o przypadkach bicia służby i o łapówkarstwie wśród urzędników państwowych; kiedy wuj Hanif i jego żona, boska Pija, przychodzili do niej w odwiedziny, relacjonowali jej w najdrobniejszych szczegółach swoje kłótnie; Lila Sabarmati zawierzała swoje niewierności uroczym, nadstawionym, cierpliwym uszom mojej matki; a Maria Pereira musiała nieustannie zwalczać nieodpartą prawie pokusę, żeby się przyznać do swojej zbrodni.

W obliczu przewin tego świata matka uśmiechała się mgliście i przymykała oczy; a kiedy dach się na nią zwałił, wzrok już miała słaby; ale i tak widziała skrzynię na bieliznę.

Skąd się właściwie wzięło u matki poczucie winy? Ale tak naprawdę, pominąwszy nagniotki, dzinny i wyznania? Nawiedziła ją niewysłowiona dolegliwość, przypadłość, której niepodobna nazwać, a która przestała się ograniczać do snów o pewnym podziemnym małżonku... matka uległa (jak i ojciec niebawem miał ulec) magii telefonu.

Owego lata codziennie po południu, a popołudnia były parne i wilgotne jak ręczniki, dzwonił telefon. Kiedy Ahmed Sinai spał w swoim pokoju, trzymając klucze pod poduszką, a pępowiny w almarii, przenikliwy dźwięk telefonu przeszywał bzyczenie robaczek skwaru; wtedy to matka, kulejąc-od-nagniotków, biegła do hallu, żeby odebrać. Ale co to za mina oblewa jej twarz barwą krzepnącej krwi?... Nie wie, że jest obserwowana, ale czemu tak rusza ustami jak ryba, czemu z trudem łapie powietrze?... I dlaczego słuchając przez bite pięć minut matka odpowiada tonem tłuczonego szkła: – Przykro mi, ale to pomyłka? – Dlaczego diamenty lśnią jej na powiekach?... Mosiężna Małpka szepnęła mi do ucha:

– Jak zadzwoni następnym razem, spróbujemy się dowiedzieć.

Mija pięć dni. Też jest popołudnie; lecz dzisiaj Aminy nie ma w domu, wybrała się do Nussie-kaczki, a telefon znów domaga się uwagi.

– Prędko! Prędko, bo go obudzi!

Zwinna Małpka – nie na darmo ma takie miano – podnosi słuchawkę, zanim Ahmed Sinai zdąży zmienić nutę chrapania...

– Halo? Słucham? Tak, siedemdziesiąt pięćset sześćdziesiąt jeden; halo?

Słuchamy z najwyższym napięciem; ale przez chwilę panuje cisza. A kiedy mamy już zrezygnować, odzywa się głos:

– ...Och... tak... halo...

Na co Małpka, uderzając niemal w krzyk:

– Halo? Kto mówi?

Znów cisza; głos, który nie potrafi zamilczeć, waży odpowiedź; i wreszcie:

– ...Halo... Czy to firma wynajmu ciężarówek Śanti Prasada?...

Na co Małpka, bystra jak potok: – Tak. Czego pan sobie życzy?

Kolejna pauza; głos najwyraźniej zakłopotany, niemal przepaszając wyrzuca z siebie:

– Chciałbym wynająć ciężarówkę.

O, mizerny pretekście głosu telefonicznego! O, przejrzysta bajduro duchów! Głos w telefonie nie należał do kogoś, kto chce wynająć ciężarówkę; brzmiał miękko, nieco pulchnie, był głosem poety... mimo to telefon nadal dzwonił regularnie; czasem odbierała matka, słuchała w milczeniu, ruszając jak ryba ustami, aż wreszcie, dużo za późno, mówiła: – Przykro mi, ale to pomyłka. – Kiedy indziej Małpka i ja cisnęliśmy się, przykładając dwoje uszu do słuchawki, a Małpka przyjmowała zamówienia na ciężarówkę.

Zachodziłem w głowę:

– Hej, Małpko, co o tym sądzisz? Czy ten ktoś nigdy się nie dziwi, dlaczego ciężarówki nie przyjeżdżają?

Na co ona, z szeroko rozwartymi oczami, drżącym głosem odpowiadała:

– Człowieku, coś ty... a może przyjeżdżają!

Nie rozumiałem – niby jak? Wtedy wyrosło we mnie ziarenko podejrzania, przebłysk domysłu, że może nasza matka ma jakąś tajemnicę – nasza Amma! Która zawsze powtarzała: – Jak będziesz chował coś w tajemnicy, to się w tobie zepsuje; od ukrywania prawdy rozboli cię brzuch! – drobna iskierka, którą moja przygoda w skrzyni na bieliznę rozdmuchała w istną pożogę. (Bo, proszę zważyć, tym razem matka dała mi dowód.)

A teraz wreszcie nadszedł czas na brudy do prania. Maria Pereira często gęsto powtarzała:

– Jak chcesz wyrosnąć na dużego mężczyznę, baba, musisz się trzymać czysto. Przebieraj się – doradzała – bierz kąpiel. No idź, baba, bo wyślę cię do praczki, a już ona wybije cię na kamieniu. – Straszyla mnie robactwem: – Co mi tam, chodź sobie brudny, ale tylko muchy będą cię kochały. Obsiądą cię podczas snu, złożą ci jajeczka pod skórą!

Mój wybór kryjówki wynikał po części z buntu. Na przekór dhoim i muchom chronilem się w nieczystym miejscu; czerpałem siłę i otuchę z bielizny i ręczników; wciąż ciekło mi z nosa w skazaną-na-wybicie-na-kamieniu pościel; a zawsze, kiedy wychodziłem na świat ze swojego drewnianego wieloryba, towarzyszyła mi smętna dojrzała mądrość brudnego prania, przekazując swoją filozofię chłodu, godności-ponad-wszystko oraz straszliwej nieuchronności mydła.

Pewnego czerwcowego popołudnia zakradłem się na paluszkach przez korytarze pogrążone we śnie domu do swojej wybranej kryjówki; prześliznąłem się obok śpiącej matki do wybielonej ciszy jej łazienki; podniosłem wieko swojego miejsca przeznaczenia; i dałem nura w miękkie przestwór (przeważnie białych) szmat, które pamiętały jedynie moje wcześniejsze wizyty. Z cichym westchnieniem opuściłem za sobą wieko, aby majtki i podkoszulki rozmasowały ból, jaki sprawiały mi samo życie, bezcelowość i moje niecałe dziewięć lat.

Elektryczność w powietrzu. Duchota byczy niczym pszczoły. Mantyła, zawieszona gdzieś w niebie, czeka, by spłynąć mi łagodnie na ramiona... gdzieś w oddali palec sięga do tarczy; tarcza kręci się i kręci, impulsy elektryczne mkną po drucie, siedem, zero, pięć, sześć, jeden. Dzwoni telefon. Słumiony dźwięk dociera do skrzyni na bieliznę, w której leży niewygodnie

bliskodziewięcioletni chłopiec... ja, Salim, zeszywniałem cały ze strachu przed wykryciem, bo teraz dalsze odgłosy wypełniły bieliźniarkę: skrzyp sprężyn łóżka; cichy stukot pantofelków po korytarzu; telefon uciszony w pół dzwonka; i – a może to moja wyobraźnia? Może mówiła za cicho, żebym zdołał usłyszeć? – słowa jak zwykle wypowiedziane za późno: – Przykro mi, ale to pomyłka.

A teraz kulejące kroki wracają do sypialni; i spełniają się najgorsze obawy schowanego chłopca. Klamki u drzwi – przekręcają się, udzielają mu gromko przestróg; kroki ostre jak brzytwa ranią go głęboko, stąpając po chłodnych białych kafelkach. Chłopiec zmrożony jak lód, sztywny jak kij; tylko bezgłośnie kapie mu z nosa w brudne łachy. Trok-od-pizamy – węzopodobny zwiastun przeznaczenia! – dostaje mu się do lewej dziurki od nosa. Pociągnięcie nosem to niechybna śmierć: woli o tym nie myśleć.

... Ściśnięty w kleszczach przerażenia łapie się na tym, że oko mu wędruje przez szparę w brudnym praniu... i widzi kobietę płaczącą w łazience. Z gęstej czarnej chmury ciurka deszcz. I zaraz dalsze dźwięki, dalsze gesty: matka wymawia w kółko dwie sylaby; i zaczynają jej się ruszać ręce. Uszy zatkaane bielizną osobistą natężają się, żeby pochwycić dźwięki – jeden: dir? Bir? Dil? – i drugi: Ha? Ra? Nie: – Na. Ha i Ra odtrącone; Dir i Bir znikają na zawsze; i chłopiec słyszy na własne uszy imię nie wypowiedane, odkąd Mumtaz Aziz została Aminą Sinai: Nadir. Nadir. Na. Dir. Na. A ręce nie ustają w ruchu. Zanurzone we wspomnieniu tamtych dni, wydarzeń w następstwie gry w plucie-do-celu pod podłogą w Agrze, trzepoczą z rozkoszą przy jej policzkach; ściskają biust mocniej niż jakikolwiek biustonosz; a teraz głaszczą nagi brzuch, zapuszczają się pod pokład... tak, tak to robiliśmy, kochany, i wystarczyło, starczyło mi, chociaż ojciec kazał nam, wtedy uciekłeś, a teraz ten telefon. Nadirnadirnadirnadirnadir... ręce, które przed chwilą ścisnęły słuchawkę, teraz ściskają ciało, tymczasem tam, daleko, co ta druga ręka wyczynia? Do czego się zabiera tamta druga ręka po odłożeniu słuchawki?... Mniejsza o to; bo tutaj, zdybana na osobności, Amina Sinai powtarza w kółko starożytne imię, aż wreszcie wybucha:

– Are, Nadir Chanie, skąd tyś się teraz wziął?

Tajemnice. Imię mężczyzny. Nigdy-dotąd-nie-widziane ruchy rąk. Głowę chłopca przepełniają bezkształtne myśli, nekają domysły, które się nie chcą układać w słowa; a w lewej dziurce od nosa trok-od-pizamy wślizguje się niby wąż w górę w górę w górę i nie daje o sobie zapomnieć...

A teraz – Ta bezwstydną matką! Obnażycielką dwulicowości, uczuć niegodnych w życiu rodzinnym; co więcej: Ta zuchwała odsłonicielka Czarnego Mango! – Amina Sinai osusza łzy, bo wzywa ją znacznie błahsza potrzeba; i kiedy syn prawym okiem zerka przez deszczułki skrzyni na bieliznę, matka podwija sari! W bieliźniarce dudni niemy okrzyk: – Tylko nie to, tylko nie to, nie! – ... ale nie potrafię zamknąć oczu. Żrenica bez jednego mrugnięcia rejestruje do-góry-nogami obraz sari spadającego na podłogę, obraz, który umysł jak zwykle odwraca; lodowato błękitnymi oczyma widzę, jak w ślad za sari osuwa się halka; i wtedy – O, zgrozo! – matka oprawna w bieliźnianą-deszczułkową ramę schyla się, żeby zebrać ubranie! I oto przypieka mi siatkówkę widok pupy matki, czarnej jak noc, krągłej i wypukłej, przypominającej chyba najbardziej ogromniasty czarny owoc Alfonso mango! Wstrząśnięty tym widokiem zmagam się ze sobą w skrzyni... samokontrola staje się nakazem chwili, a zarazem niemożnością... pod grzmącym wpływem Czarnego Mango puszczają mi nerwy; trok-od-pizamy bierze nade mną górę; kiedy więc Amina Sinai sadowi się na tronie, ja... no co? Nie kicham; to nie było nawet kichnięcie. Ale też coś więcej niż wiercenie w nosie. Czas powiedzieć wprost: zszokowany dwusylabowym głosem i trzepoczącymi rękami,

zdruzgotany Czarnym Mango nos Salima Sinai w odpowiedzi na świadectwo matczynej dwulicowości, roztrzęsiony obecnością matczynej pupy, uległ trokowi-od-pizamy i został pokonany przez katastrofalne – zmieniające-cały-świat – pociągnięcie. Trok-od-pizamy podchodzi boleśnie o centymetr w górę dziurki od nosa. Ale podchodzą też w górę inne rzeczy: pod wpływem tej gorączkowej inhalacji płyny nosowe zostają nieubłaganie wessane w górę w górę w górę, smarki podpływają do góry, wbrew prawu grawitacji, wbrew naturze. Nieznośny ucisk zatok... aż w bliskodziewięcioletniej głowie coś pęka. Gile szturmują przez zerwaną tamę nowe mroczne kanały. Śluz podchodzi wyżej niżby powinien. Wyciek sięga chyba aż obrzeży mózgu... następuje szok. Elektryczność w zetknięciu z wilgocią.

Ból.

A zaraz potem hałas, ogłuszający wielojęzyczny przerażający, ze środka głowy!... Ze środka białej drewnianej skrzyni na bieliznę, w zaciemnionym audytorium czaszki mój nos zaczął śpiewać.

Ale nie pora go teraz słuchać; bo zbliża się inny głos. Amina Sinai otwarła dolne drzwiczki skrzyni; kulę się niżej niżej w bieliznie, owijam nią sobie głowę jak niemowlę urodzone w czepku. Z nosa wypada mi trok-od-pizamy; lecz już błyskawica rozjaśnia ciemne chmury wokół matki – i mój azyl przepadł raz na zawsze.

– Nie patrzyłem! – zapisałem zza skarpetek i prześcieradeł. – Przysięgam, Ammi, nic nie widziałem!

Po wielu zaś latach, w trzcinowym fotelu pośród ręczników z odrzutu i głosu z radia obwieszczającego rozdmuchane sukcesy wojenne, Amina przypomniała sobie, jak to jej kciuk i palec wskazujący zaciśnięte na uchu kłamiącego syna doprowadziły go do Marii Pereiry, która jak zwykle spała na trzcinowej macie w błękitnym pokoju; jak powiedziała:

– To oślisko, ten nicpoń ma milczeć przez cały dzień...

Natomiast tuż przedtem, nim zawalił się na nią dach, wyrzekła na głos: – Moja wina. Kiepsko go wychowałam. – Kiedy wybuch bomby rozdarł powietrze, dodała jeszcze cicho, lecz stanowczo, kierując swoje ostatnie słowa na ziemi do widma ze skrzyni na bieliznę:

– A teraz odejdz. Mam cię dosyć.

Na górze Synaj prorok Musa czy też Mojżesz usłyszał bezcielesne przykazania; na górze Hira prorok Muhammad (znany też jako Mohammed, Mahomet, Przedostatni i Mahound) przemówił do archanioła. (Imieniem Gabriel albo też Dżibril jak kto woli.) A na scenie Katedralnej Szkoły Męskiej im. Johna Connona „pod auspicjami” Anglo-Szkockiego Towarzystwa Edukacji mój kolega, Cyrus Wielki, grając jak zwykle rolę kobiecą, usłyszał głosy świętej Joanny wypowiadającej zdania Bernarda Shawa. Ale Cyrus się nie liczy: w odróżnieniu od Joanny, którą głosy nawiedziły w polu, na podobieństwo natomiast Musy, czyli Mojżesza, a także Muhammada Przedostatniego, ja dosłyszałem głosy na wzgórzu.

Muhammad (niechaj jego imię ostanie się w spokoju; nikogo tu nie chcę bynajmniej obrazić) usłyszał głos, który powiedział: – Głoś! – i uznał, że popada w obłąd; ja zaś z początku miałem głowę pełną trajkoczących języków jak nie nastrojone radio; lecz z ustami zasznurowanymi na rozkaz matki nie mogłem prosić o pomoc. Czterdziestoletni Muhammad zwrócił się do żony i do przyjaciół i znalazł u nich otuchę: – Zaprawdę – powiedzieli mu – jesteś wysłańcem bożym – ja zaś, odbywając surową karę w wieku bliskodziewięciu lat, nie mogłem ani szukać porady u Małpki, ani ubiegać się o ciepłe, kojące słowa Marii Pereiry. Zmuszony do milczenia przez cały wieczór, noc i ranek, walczyłem samotnie, aby pojąć, co też mnie spotkało; w końcu ujrzałem, jak szal geniuszu spływa z trzepotem niczym wyszywany motyl, jak mantyla wielkości opada mi na ramiona.

W duchocie owej milczącej nocy (bo milczałem; na zewnątrz morze szeleściło niczym odległy arkusz papieru; wrony krakały dręczone pierzastymi koszmarami; z Warden Road dolatywały ostatnie odgłosy zapóźnionych taksówek; Mosiężna Małpka, tuż przed zaśnięciem, z twarzą zastygłą w maskę ciekawości, dopytywała się: – Oj, Salim, przecież nikt nie słyszy. Coś ty zrobił? Powiedz powiedz powiedz! – ...tymczasem w środku głosy odbijały się od ścian mojej czaszki) pochwyciły mnie gorące palce podniecenia – ożywione robaczki podniecenia roztańczyły mi się w brzuchu – bo wreszcie, chociaż nie rozumiałem tego w pełni, drzwi, które niegdyś Toxy Catrack uchyliła mi w głowie, otwały się na oścież; i przez nie dojrzałem – wprawdzie cienisty, niewyraźny, enigmatyczny – cel swoich narodzin.

Gabriel czy też Dżibril rozkazał Muhammadowi: – Recytuj! – I tak się zaczęła Recytacja zwana po arabsku Al-Kuran: – Głoś w imię twego Pana, który stworzył! Stworzył człowieka z grudki krwi zakrzepłej!... – Zdarzyło się to na górze Hira, opodal Mekki Szarif; na piętrowym zaś pagórze naprzeciwko basenów Breach Candy mnie również głosy kazały recytować: – Jutro! – pomyślałem w podnieceniu. – Jutro!

Przed zachodem słońca odkryłem, że potrafię nad tymi głosami panować – byłem odbiornikiem radiowym i mogłem dowolnie regulować głos; mogłem wybierać poszczególne głosy; mogłem nawet pewnym wysiłkiem woli wyłączyć swoje nowo odkryte wewnętrzne ucho. Aż dziw pomyśleć, jak prędko opuścił mnie strach; przed nastaniem poranka myślałem już tylko: – O, raju, to lepsze niż Rozgłośnia Wszechindyjska; raju, lepsze nawet niż radio Cejlon!

Na dowód lojalności sióstr: dokładnie po upływie dwudziestu czterech godzin, jak w zegarku, Mosiężna Małpka pobiegła do sypialni matki. (O ile pamiętam, była niedziela: dzień bez szkoły. A może i nie – było to lato marszów językowych, toteż szkoły często zamykano z powodu możliwości zamieszek na trasie autobusów.)

– Czas minął! – zawołała szarpiąc śpiącą matkę. – Amma, obudź się: już czas: może się teraz odezwać?

– No dobrze – powiedziała matka wchodząc do błękitnego jak niebo pokoju, żeby mnie przytulić – wybaczam ci. Ale nigdy się tam więcej nie chowaj...

– Amma – poprosiłem skwapliwie – Ammi, proszę cię, posłuchaj. Muszę ci coś powiedzieć. Coś ważnego. Tylko błagam cię, błagam, obudź najpierw Abbę.

A po licznych: „Co?”, „Dlaczego?” i „Co to, to nie” matka dostrzegła, że coś niezwykłego czai mi się w oczach, poszła więc zaniepokojona obudzić Ahmeda Sinai z tymi słowy:

– Chodź no tu, dżanam. Nie wiem, co wstąpiło w naszego Salima.

W salonie zebrała się cała rodzina wraz z ają. Stojąc pośród kryształowych wazonów i pękatek poduszek na dywanie perskim pod wirującymi cieniami wentylatorów sufitowych uśmiechałem się na widok jej zaniepokojonych oczu i szykowałem swoje objawienie. Nareszcie; początek spłaty ich inwestycji; moja pierwsza dywidenda – pierwsza, rzecz jasna, z wielu... moja czarna matka, ojciec ze sterczącą wargą, istna Małpka nie siostra i skrywająca zbrodnię aja czekali w gorącym pomieszaniu.

Wyrzuc to wreszcie. Wprost, bez obsłonek.

– Wy powinniście dowiedzieć się pierwsi – rzekłem usiłując nadać swojemu przemówieniu intonację dorosłych. I powiedziałem wszystko. – Wczoraj usłyszałem głosy. Głosy przemawiają do mnie ze środka głowy. Uważam, Ammi, Abbu, naprawdę tak uważam, że odezwali się do mnie archaniołowie.

Brawo! – pomyślałem. Brawo! Powiedziałem! Teraz zaczną się poklepywania po plecach, słodkości, oświadczenia publiczne, może dalsze zdjęcia; teraz duma rozsądzi im piersi. O,

ślepa niewinności dzieciństwa! Za moją szczerość – za moją rozpaczliwą chęć sprawienia przyjemności – atak ze wszystkich stron. Nawet Małpka:

– O, Boże, Salim, całe to tamaśa, całe to przedstawienie, tylko dlatego, że znów pękłeś, że znów ci odbiło?

Gorsza od Małpki była Maria Pereira:

– Jezu Chryste! Zmiłuj się, Panie! Ojciec Święty w Rzymie, co za bluźnierstwo dziś usłyszałam!

Jeszcze gorsza od Marii Pereiry okazała się moja matka, Amina Sinai: Czarne Mango było teraz ukryte, niewymowne imiona jeszcze ciepłe na jej ustach, a ona sama zawołała:

– Wielkie nieba! Ten dzieciak ściągnie nam dach na głowę! – (Czy więc i za to ponoszę winę?) Amina zaś ciągnęła dalej: – Ty czarne nasienie! Ty gundo! Salimie, rozum ci odjęło? Co to się stało z moim kochanym synkiem; rośniesz na wariata; na dręczyciela!?

Znacznie gorsze od krzyku Aminy było milczenie ojca; gorszy od jej strachu był szalony gniew malujący mu się na czole; a już najgorsza ojcowska ręka, która raptem porwała się z grubymi palcami, twardymi kłykciami, siłą wołu, żeby wymierzyć mi potężny cios w głowę, toteż od tamtej chwili nigdy już dobrze nie słyszałem na lewe ucho; toteż runąłem jak długi, przecinając tchnącą skandalem aurę osłupiałego pokoju, i strzaskalem zielony blat stolika z przydymionego szkła; toteż zyskawszy po raz pierwszy w życiu pewność siebie, pograżyłem się w zielonym przydymionym-jak-szkło świecie pełnym ostrych kantów, w świecie, w którym nie mogłem się podzielić z najbliższymi tym, co mam w głowie; zielone odłamki poraniły mi ręce, kiedy wkraczałem w ten wirujący kosmos, który skazał mnie na ustawiczne wątpliwości, w jakim celu żyję... aż było już grubo za późno.

W wykładanej białymi kafelkami łazience obok skrzyni na bieliznę matka skropiła mnie merkurochromem; gaza zasnęła mi rany, a zza drzwi dobiegł władczy głos ojca: – Żono, niech mu nikt dzisiaj nie daje jedzenia. Słyszysz? Niech się bawi swoim żartem na pusty żołądek!

Owej nocy Aminie Sinai przyśnił się Ramram Seth; unosił się piętnaście centymetrów nad ziemią, gałki oczne miał zasnuwane białkami i zawodził: – Pranie da mu schronienie... głosy wyprowadzenie... – przez kilka następnych dni, gdziekolwiek się ruszyła, ten sen ciążył jej na barkach, zebrała się więc na odwagę, żeby dopytać swojego odsądzonego od czci i wiary syna o tę jego wyzywającą przechwałkę, ale usłyszała odpowiedź głosem tak wstrzemięźliwym jak nie przepłakane łzy jego dzieciństwa:

– To tylko wygłupy, Amma. Jak sama powiedziałaś, dumny żart.

Umarła dziewięć lat później nie poznawszy prawdy.

Rozgłośnia Wszechindyjska

Rzeczywistość zależy od punktu widzenia; im bardziej się człowiek oddala od przeszłości, tym bardziej wydaje mu się ona konkretna i wiarygodna – kiedy się jednak dochodzi do teraźniejszości, nieuchronnie wydaje się ona coraz bardziej nieprawdopodobna. Proszę sobie wyobrazić siebie w dużej sali kinowej, z początku siedzisz z tyłu, ale stopniowo, rząd po rzędzie, przesiadasz się do przodu, aż nosem prawie dotykasz ekranu. Stopniowo twarze gwiazd rozmywają się w tańczącą kaszę; drobne szczegóły nabierają groteskowych rozmiarów; złudzenie pryska – lub raczej widać wyraźnie, że samo złudzenie jest rzeczywistością... przeszliśmy od 1915 do roku 1956, a więc znajdujemy się dużo bliżej ekranu... porzuciwszy tę metaforę, twierdzą nadal uparcie, i to bez najmniejszej żenady: po owym niezwykłym incydencie w skrzyni na bieliznę stałem się czymś w rodzaju radia.

...Tyle że dzisiaj mam zamęt w głowie. Padma nie wróciła – czy powinienem zawiadomić policję? Czy należy ją uznać za zaginioną? – a pod jej nieobecność rozpadają się moje pewniki. Nawet nos płata mi figle – we dnie, kiedy spacerowałem między kadziami marynat, dogładanymi przez armię silnych, zatrwającą sprawnych kobiet o owłosionych rękach, stwierdziłem, że przestaję rozróżniać zapachy cytryny i limony. Cały personel śmieje się w kułak: nasz biedny sahib doznał zawodu – ale w czym? – bo chyba nie w miłości?... Padma i te rozłazące mi się po całym ciele pęknięcia, rozchodzące się promieniście z pępka niczym pajęczyna; no i ta duchota... w takich okolicznościach można chyba zrozumieć pewien zamęt w głowie. Przy ponownej lekturze tej oto pisaniny odkryłem pewien błąd w chronologii. Zabójstwo Mahatmy Gandhiego występuje na tych stronicach pod niewłaściwą datą. Ale trudno mi teraz stwierdzić, jak naprawdę wyglądało następstwo wypadków; w moich Indiach Gandhi zawsze będzie umierał w niewłaściwym czasie.

Czy jeden błąd dyskwalifikuje całą tkaninę? Czyżbym w swym rozpaczliwym poszukiwaniu sensu posunął się tak daleko, że jestem gotów wszystko zniekształcić – napisać od nowa całą historię swoich czasów, byle tylko uplasować się w centrum wydarzeń? Dzisiaj, przy całym tym zamęcie, nie potrafię osądzić. Zostawię to więc innym. Albowiem nie ma dla mnie odwrotu; skoro raz się podjąłem, muszę dokończyć dzieło, nawet jeżeli, nieuchronnie, na końcu się okaże, iż zaczynałem coś zupełnie innego...

Je akaśwani hai. Tu Rozgłośnia Wszechindyjska.

Wyszedłem na kipiącą ulicę, żeby przekąsić coś naprędce w pobliskim barku irańskim, a po powrocie znów zasiadłem w swym nocnym rozlewisku światła lampy kreślarskiej jedynie z lichym tranzystorem za towarzysza. Upalna noc; we wrzącym powietrzu unoszą się odory zamilkłych kadzi marynat; głosy w ciemnościach. Opary marynat, niebywale dokuczliwe w tej duchocie, podrażniają soki pamięci, uwypuklają podobieństwa i różnice między „wtedy” a „teraz”... wtedy było gorąco; i teraz jest (zwłaszcza jak na tę porę roku) gorąco. Tak wtedy, jak i teraz, ktoś nie spał w ciemnościach i słyszał bezcielesne języki. Tak wtedy jak i teraz jedno ogłuchłe ucho. I strach kwitnący na tym upale... chociaż bynajmniej nie owe głosy (czy to wtedy, czy teraz) budziły strach. On, młody-podówczas-Salim, bał się ednej myśli, a mianowicie, że rodzice w swym gniewie przestaną go kochać; że nawet jeśli mu uwierzą, potraktują ten dar jako jego wstydliwą ułomność... natomiast teraz, pozbawiony Padmy, ślę te oto słowa w mrok i boję się, że nikt mi nie uwierzy. On i ja, ja i on... straciłem jego dar; on

zaś nigdy nie posiadał mojego. Chwilami uważam go niemal za kogoś obcego... nie miał na przykład pęknięć. Żadne pajęczyny nie oblażyły go na tym upale.

Padma by mi uwierzyła; tyle że Padmy nie ma. Tak wtedy jak i teraz – głód. Wprawdzie całkiem innego rodzaju: teraz nie doskwiera mi tamten głód z powodu zakazu zjedzenia kolacji, tylko głód z powodu utraty kucharki.

I jeszcze jedna, bardziej wyraźna różnica: wtedy głosy nie dochodziły z drgających lamp tranzystora (który nigdy w naszej części świata nie przestanie się kojarzyć z impotencją – od czasów haniebnego przekupstwa w postaci darmowego radia tranzystorowego jako nagroda za sterylizację ten skrzeczący aparat przypomina, czego to mogli dokonywać mężczyźni, zanim ciachnięto nożycami i zawiązano supły)... wtedy bliskodziewięciolatek w łóżku o północy nie musiał się uciekać do urządzeń.

Tak różni, a jednak podobni łączymy się w tej duchocie. Migocząca tak wtedy, jak i teraz mgiełka gorąca zlewa jego wtedy z moim teraz... mój zamęt płynąc po falach upału staje się i jego udziałem.

Co najlepiej rośnie na upale: trzcina cukrowa; palmy kokosowe; pewne odmiany prosa i jęczmienia takie jak badźra, ragi i dżowar; siemię lniane, a także (pod warunkiem nawodnienia) herbata i ryż. Nasz gorący kraj jest również drugim co do wielkości producentem bawełny na świecie – a przynajmniej nim był, kiedy uczyłem się geografii pod szalonym okiem pana Emila Zagailo i pod jeszcze surowszym wzrokiem oprawnego w ramkę konkwistadora. Ale tropikalne lato wypuszcza jeszcze dziwniejsze płody: kwitną egzotyczne kwiaty wyobraźni, przepełniają zroszone potem noce ciężką wonią piżma, które wywołuje mroczne, niespokojne sny... tak wtedy, jak i teraz, niepokój wisiał w powietrzu. Uczestnicy marszów językowych domagali się podziału stanu Bombaj wedle granic lingwistycznych – jednym demonstracjom przyświecało marzenie o Maharasztrze, inne zaś pociągał miraż Gudżaratu. Upał, scalający rozdwojenie jaźni na fantazję i rzeczywistość, dawał wszystkiemu równe szanse; na pół letargiczny chaos popołudniowej sjesty mącił ludziom w głowach, a w powietrzu było aż parno od lepkich pragnień.

Co najlepiej rośnie na upale: fantazja; absurd; namiętność.

Zatem w roku 1956 języki za dnia maszerowały bojowo ulicami; nocą zaś napastowały moją głowę. Z wytężoną uwagą będziemy śledzić twoje życie; stanie się ono w pewnym sensie zwierciadłem życia całego narodu.

Czas już powiedzieć coś o tych głosach.

Gdyby tak jeszcze była tu ze mną Padma...

Myliłem się, oczywista, w kwestii archaniołów. Ojcowska ręka – która palnęła mnie w ucho (umyślnie? bezwiednie?) idąc w ślady tamtej, bezosobowej ręki, co niegdyś uderzyła go prosto w twarz – odniosła przynajmniej jeden zbawienny skutek: kazała mi zrewidować, a na ostatku porzucić moją pierwotną, małpującą Proroka uzurpację. Jeszcze owej nocy mojej sromoty zamknąłem się głęboko w sobie mimo nalegań Mosiężnej Małpki wypełniających nasz błękitny pokój: – Ale po coś to zrobił, Salim? Skoro zawsze jesteś aż za grzeczny i w ogóle? – ...lecz wreszcie zapadła w nieukontentowany sen i tylko ruszała bezgłośnie wargami, a ja zostałem sam z echem ojcowskiego wzburzenia, które byczyło mi w lewym uchu, przygadując szeptem: – Ani Michał, ani Anael; i nie Gabriel; wcale też nie Kasjel, Sachjel ni Samael! Archaniołowie nie przemawiają już dziś do zwykłych śmiertelników; Recytacja dokonała się w Arabii przed wiekami; ostatni prorok zjawi się tylko po to, żeby obwieścić Koniec. – Owej nocy pojąłem, iż głosy w mojej głowie dalece przewyższają liczbą zastępy aniołów, toteż uznałem nie bez ulgi, że nie zostałem bynajmniej wybrany na

orędownika końca świata. Moje głosy nie były żadną miarą święte, wręcz okazały się tak powszednią ciźbą jak ziemski proch.

Zatem telepatia, o której czytuje się na co dzień w żadnych sensacji czasopismach. Proszę jednak o cierpliwość – czekajcie. A doczekacie się. Owszem, była to telepatia, ale nie wyłącznie. Nie spisujcie mnie tak łatwo na straty.

Zatem telepatia: monologi wewnętrzne wszystkich, jak wtedy mówiono, rojących się milionów, zarówno mas, jak i klas, dobijały się o miejsce w mojej głowie. Z początku, kiedy zadawałam się rolą słuchacza – zanim sam przejąłem inicjatywę – zaistniał problem językowy. Głosy bełkotały w najróżniejszych dialektach, od malajalam po naga, od najczystsze urdu z Lakhnau po południowy szwargot tamilskiego. Rozumiałem zaledwie ułamek tego, co się mówiło w ścianach mojej czaszki. Dopiero później, kiedy zacząłem się zagłębiać, odkryłem, że pod powierzchnią owych transmisji – pod zewnętrzną warstwą, jaką pierwotnie łapałem – język się rozpląta, a zastępują go powszechnie zrozumiałe formy myślowe, wykraczające dalece poza słowa... ale pojąłem to dużo później, kiedy już wyłowilem z poliglotycznego mętliku w głowie te inne bezcenne sygnały, zgoła różne od czegokolwiek, przeważnie słabe i dalekie jak odległe bębny, których natarczywe tętno przebijało się w końcu przez bazarową kakofonię moich głosów... te tajemne nocne wezwania niczym zew pobratymców... nieświadome światła przewodnie dzieci północy sygnalizujące tylko i wyłącznie własne istnienie, nadające po prostu: „ja”. Z dalekiej północy „ja”. Z południa wschodu zachodu: „ja”. „Ja”. „I ja”.

Nie powinienem jednak wybiegać naprzód. Z początku, zanim przebiłem się do czegoś więcej-niż-telepatia, wystarczyło mi słuchanie; lecz już wkrótce umiałem „nastroić” swoje wewnętrzne ucho na te głosy, które potrafiłem zrozumieć; niebawem też nauczyłem się wyławiać z tego harmidru głosy mojej rodziny; i Marii Pereiry; i przyjaciół, kolegów z klasy, nauczycieli. Na ulicy nauczyłem się wychwytywać strumień myśli poszczególnych przechodniów – zjawisko Dopplera występowało i w tych nadnaturalnych sferach, toteż głosy nasilały się i słabły, w miarę jak przechodnie mnie mijali.

Wszystko to zatrzymywałem dla siebie. Pomny bez przerwy (dzięki bzyczeniu w lewym, zaiste „lewym” uchu) na gniew ojca, skory zachować prawe ucho w dobrej formie, zasnurowałem usta. Dla dziewięciolatka trud zatajania prawdy jest prawie nie do przezwyciężenia; ale na szczęście moi najbliżsi pragnęli równie skwapliwie zapomnieć mój wyskok, jak ja pragnąłem zataić prawdę.

– Oj, ty Salimie! Co też ty wczoraj wygadywałeś! Wstydź się, chłopcze: lepiej wyszoruj sobie buzię mydłem! – ...Nazajutrz rano po mojej sromocie Maria Pereira trzęsąc się z oburzenia jak galareta jej wyrobu podsunęła mi idealną metodę rehabilitacji. Zwiesiłem więc pokornie głowę, poszedłem bez słowa do łazienki, by tam, pod zaskoczonym wzrokiem niani i Małpki, wyszorować sobie zęby język podniebienie dziąsła szczoteczką pokrytą cierpką obrzydliwą pianą mydła dziegiowego. Wieść o moim spektakularnym okazaniu skruchy, rozgłoszona przez Marię i Małpkę, rozeszła się błyskawicznie po domu; matka zaraz mnie wyściskała: – Kochany mój synek, nigdy już do tego nie wrócimy. – Ahmed Sinai zaś skinął gburowato głową przy śniadaniu.

– Przynajmniej chłopak ma na tyle przyzwoitości, żeby przyznać, że za daleko się posunął.

Kiedy bliźny po szkłe mi się wygoiły, moje oświadczenie też jakby uległo zatarciu; a już w dniu moich dziewiątych urodzin nikt poza mną nie pamiętał tamtej chwili, kiedy to wezwałem imię archaniołów nadaremno. Przez wiele tygodni smak detergentu nie schodził mi z języka, przypominając o konieczności dochowania tajemnicy.

Moje publiczne okazanie skruchy zadowoliło nawet Mosiężną Małpkę – według niej wróciłem do siebie i znów byłem grzeczniutką-parą-kaloszy w rodzinie. Chcąc wykazać gotowość do przywrócenia starego ładu, podłożyła ogień pod ulubione ranne pantofle matki i jak dawniej zjechała w oczach całej rodziny na psy. Przed obcymi zaś – przejawiając w dodatku konserwatyzm, o który nikt by nie posądził takiego urwisa – zwarła szeregi z moimi rodzicami i utrzymywała ten mój jedyny wyskok w sekrecie przed swoimi, a także moimi przyjaciółmi.

W kraju, w którym wszelka fizyczna czy też umysłowa odmienność dziecka stanowi źródło głębokiej rodzinnej hańby, rodzice, przywykli już do moich znamion przyrodzonych na twarzy, nosa-jak-ogórek i kabłąkowatych nóg, po prostu nie chcieli we mnie widzieć żadnych dalszych kłopotliwych cech; ja zaś ani razu nie wspomniałem już o bzyczeniu w uchu, o dudniących co pewien czas dzwonach głuchoty, o sporadycznym bólu. Nauczyłem się, że sekrety to nie taka znów zła rzecz.

Proszę sobie jednak wyobrazić ten mój zamęt w głowie! Gdzie za szkaradną twarzą, nad językiem o smaku mydła, w głębi pod przedziurawionym bębenkiem usznym krył się niezbyt uporządkowany umysł pełen najróżniejszych śmieci, tak jak kieszenie dziewięciolatka... proszę wejść jakoś w moją skórę, spojrzeć moimi oczyma, usłyszeć ten gwar, te głosy, no i ten przymus dochowywania tajemnicy, najtrudniej było udawać zaskoczenie na przykład kiedy matka mówiła Hej, Salim, wiesz co, wybieramy się na piknik do Farmy Mlecznej Areja, na co musiałem wołać O, raju, genialnie!, chociaż od dawna wiedziałem, bo przechwyciłem jej wewnętrzny głos A we własne urodziny widziałem wszystkie prezenty w głowach ofiarodawców, zanim je rozpakowałem A poszukiwanie skarbu też miałem zepsute, bo w głowie ojca kryło się miejsce każdej wskazówki każdej premii A zdarzały się jeszcze trudniejsze chwile, kiedy powiedzmy szedłem się zobaczyć z ojcem w jego gabinecie na parterze, wchodzę, aż tu głowę mi napełniają bógwiejakie świństwa, bo on bez przerwy myśli o swojej sekretarce, Alicji czy też Fernandzie, swojej najnowszej coca-coli, rozbierają z wolna w swojej, zatem i w mojej głowie, gdzie ta siedzi golusierika na trzcinowym fotelu, a teraz wstaje i całą pupę ma poszatowaną deseniem w krzyżyki, o tym właśnie myśli mój ojciec, MOJ OJCIEC, teraz patrzy na mnie tak jakoś dziwnie Co ci jest, synu, źle się czujesz Skąd, Abba, świetnie, tylko muszę już iść MUSZĘ STĄD WYJŚĆ muszę odrobić lekcje, Abba, i wybiegam, zanim dostrzeże wskazówkę na mojej twarzy (ojciec zawsze twierdził, że kiedy kłamie, błyska mi na czole czerwone światełko)... Sami widzicie, jakie to trudne, przychodzi wuj Hanif, żeby mnie zabrać na turniej zapasów, ale jeszcze nim dojeżdżamy do Stadionu Wallabhbhai Patela czy Hornby Vellard, ogarnia mnie smutek Idziemy w tłumie, mijamy olbrzymie tekturowe sylwetki Dary Singh, Tagra Baby i całej reszty, a jego smutek, smutek mojego ulubionego wuja wlewa się we mnie, czai się niby jaszczurka tuż za płótem jego wesołości, skrywany tubalnym śmiechem, który był niegdyś śmiechem przewoźnika Taiego, mamy dobre miejsca, feeria roztańczonych świateł na plecach zwartych zapaśników, a ja wpadam w nierozzerwalne szpony rozżalenia wuja, rozżalenia z powodu jego podupadłej kariery filmowej, porażki za porażką, pewno nigdy więcej nie dostanie filmu Ale nie mogę dopuścić, żeby smutek wyciekł mi ciurkiem z oczu Wuj włamuje się w moje myśli, no pehelwan, co ci jest mały zapaśniku, dlaczego tak ci zrzęda mina, wydłużyła ci się jak kiepskie filmidło, kupić ci ćany? pakory? to co? A ja potrząsam głową, Nie, nic, mamu Hanifie, wtedy wuj się odpręża, odwraca wzrok, zaczyna wykrzykiwać Ohe, ruszaj się, Dara, to mi dopiero, daj mu popalić, Dara jara! A potem w domu matka siedzi w kucki na korytarzu z maszynką do lodów i pyta swoim prawdziwym, zewnętrznym głosem, Pomożesz mi

ukręcić, synku, to twoje ulubione, pistacjowe, obracam więc korbką, ale wewnętrzny głos matki odbija mi się w głowie, widzę, jak matka usiłuje zapęłnić każdy zakątek, każdy zakamarek myśli codziennymi sprawami, ceną jaskółek morskich, rozkładem zajęć domowych, trzeba wezwać elektryka, żeby naprawił wentylator sufitowy w salonie, widzę, jak rozpaczliwie skupia się na poszczególnych częściach męża, próbując je pokochać, wciąż się wszakże przedziera jedno niewymowne słowo, owe dwie sylaby, które wylały się z niej wtedy w łazience, Na Dir Na Dir Na, coraz jej trudniej odkładać słuchawkę przy pomyłkach telefonicznych MOJA MATKA powiadam wam, kiedy mały chłopiec wkracza w myśli dorosłych, mogą mu do reszty pomieszać w głowie A nawet w nocy, ani chwili wytchnienia, budzę się wraz z wybicciem północy i mam sny Marii Pereiry w głowie Noc w noc Zawsze w swojej prywatnej godzinie duchów, która ma i dla niej pewne znaczenie Jej sny nawiedza obraz człowieka nieżyjącego już od lat, Józefa D'Costy, sen zdradza mi jego imię, pokryte niezrozumiałym dla mnie poczuciem winy, tej samej winy, która wsącza się w nas za każdym razem, kiedy pałaszujemy jej sosy ćatni, kryje się tu tajemnica, schowana jednak pod powierzchnią myśli, nie mogę jej więc poznać, tymczasem co noc zjawia się tam Józef, niekiedy, choć nie zawsze, w ludzkiej postaci, niekiedy jako wilk, ślimak, a raz nawet jako kij do miotły, ale i tak oboje wiemy (ona-przez-sen, ja-podglądając), że to on, złowieszczy nieprzejednany oskarżycielski, przeklinają w języku własnych inkarnacji, wyje na nią jako Józef-wilk, pokrywa śluzem jako Józef-ślimak, okłada swoim przedsiębiorczym końcem jako wcielony kij do miotły... a rano, kiedy Maria każe mi się wykąpać ogarnąć przygotować do szkoły, muszę tłamsić w sobie pytania, mam dziewięć lat i błędzę w zamęcie żywotów innych ludzi, które zlewają się ze sobą na tym upale.

Aby dopełnić tej relacji z wczesnego okresu mojego przeobrażenia, muszę dorzucić jeszcze jedno bolesne wyznanie: przyszło mi na myśl, że mógłbym poprawić własną opinię w oczach rodziców, wykorzystując swój nowy zmysł do pomocy w lekcjach – jednym słowem, zacząłem oszukiwać w szkole. Ściśle rzecz biorąc, nastroiłem się na głosy wewnętrzne nauczycieli, a także co zdolniejszych kolegów i wylapywałem informacje z ich głów. Odkryłem, iż rzadko się zdarza, żeby nauczyciel układając klasówkę nie przygotował prawidłowych odpowiedzi w głowie – wiedziałem ponadto, że w tych nader rzadkich sytuacjach, kiedy nauczyciel jest zajęty innymi sprawami, własnym życiem miłosnym bądź kłopotami finansowymi, rozwiązania zawsze można znaleźć w przedwcześnie rozwiniętym, bezbrzeżnym umyśle naszego klasowego geniusza, Cyrusa Wielkiego. Ogromnie mi się poprawiły stopnie – ale nie przesadnie, bo się pilnowałem, żeby moje wersje różniły się od podkradzionych pierwowzorów; nawet kiedy drogą telepatii ściągałem od Cyrusa całe wypracowanie z angielskiego, dodałem od siebie szereg miernych akcentów. Przyświecała mi chęć uniknięcia podejrzeń; co się zresztą nie udało, ale też nie zostałem wykryty. Pod rozjuszonym, pytającym wzrokiem Emila Zagaili zachowałem seraficzną niewinność; na oczach zdumionego, kręcącego w osłupieniu głową pana Tandona, nauczyciela języka angielskiego, dokonywałem swego aktu zdrady w milczeniu – wiedząc, że nikt nie dałby wiary prawdzie, nawet gdybym przypadkiem bądź z głupoty się wysypał.

Reasumując: w przełomowym momencie historii naszego dziecka-kraju, kiedy sporządzano plany pięcioletnie, kiedy zbliżały się wybory, a uczestnicy marszów językowych walczyli o Bombaj, dziewięćolatek nazwiskiem Salim Sinai posiadał czarodziejski dar. Mimo wielu ważkich celów, w jakich można by spożytkować te umiejętności na rzecz zabiedzonego, nierozwiniętego kraju, chłopiec postanowił zataić swój talent, marnotrawił go więc na błahy voyeueryzm i drobne oszustwa. Wybór ten – sam przyznaje, niegodny bohatera

– wynikał bezpośrednio z zamętu w jego głowie, który, jak każdy zamęt, bełtał moralność – chęć właściwego postępowania – z popularnością – bardziej chyba wątpliwą chęcią postępowania zgodnie z oczekiwaniami. W obawie przed ostracyzmem rodzicielskim Salim przemilczał wiadomość o swoim przeobrażeniu; w nadziei na aplauz rodziców marnował swój nowy dar w szkole. Ten uszczerbek charakteru można po części, ale tylko po części, usprawiedliwić młodocianym wiekiem. Zamęt myślowy miał popsuć mu diablo szyki.

Kiedy uznaję za stosowne, stać mnie na surową samokrytykę.

Co wznosiło się na płaskim dachu przedszkola Breach Candy – na dachu, jak zapewne pamiętacie, na który łatwo się było dostać z ogrodu Willi Buckingham, wystarczyło tylko przejść przez ogrodzenie? Co, nie będąc już w stanie pełnić funkcji, do której zostało zaprojektowane, obserwowano nas tamtego roku, kiedy nawet zima zapomniała ochłodzić – co spozierało na Sonny Ibrahima, Okruchoka, Pomadę i mnie, kiedy graliśmy w kabaddi, w krykieta francuskiego, w siedem kostek, przy sporadycznym udziale Cyrusa Wielkiego i występach gościnnych innych kolegów: Grubego Perce’a Fishwali i Nalanego Keitha Colaco? Co było świadkiem owych częstych sytuacji, kiedy Bi-Appa, piastunka Toxy Catrack, wykrzykiwała z najwyższego piętra domu Homiego: – Szczeniaki! Banda nicponi! Spokój tam! – ...aż się wszyscy rozbiegaliśmy, żeby powrócić (gdy tylko znikła nam z pola widzenia) i bezszmerowo stroić miny do okna, w którym się przed chwilą ukazała? Jednym słowem, co to za dziwoląg, wysoki, niebieski, obłąający, górował nad naszymi żywotami, który w tym okresie odmierzał niejako czas, czekając nie tylko na bliski już moment, kiedy włożymy długie spodnie, ale też może na przybycie Evie Burns? Może przydadzą się wam wskazówki: co niegdyś kryło w sobie bomby? W czym zginął od ukąszenia węża Józef D’Costa?... Kiedy po kilku miesiącach katuszy zacząłem wreszcie szukać schronienia przed głosami dorosłych, znalazłem je w starej wieży zegarowej, której nikt nie pokwapił się zamknąć; i tu, w samotności rdzewiejącego czasu, paradoksalnie stawiałem pierwsze chwiejne kroki ku własnemu zaangażowaniu w doniosłe wydarzenia i w życie publiczne, od których nigdy już się nie miałem uwolnić... nigdy, aż do nastania Wdowy...

Wygнany ze skrzyń na bieliznę, gdy tylko mogłem, zakradałem się niepostrzeżenie do wieży kalekich godzin. Kiedy placyk między domami pustoszał z powodu gorąca, przypadku bądź ciekawskich oczu; kiedy Ahmed i Amina wychodzili do Klubu Willingdona na wieczory przy kanaście; kiedy Mosiężna Małpka bawiła poza domem w gronie niedawno poznanych koleżanek, bohaterek z drużyny pływackiej i nurkowej Żeńskiej Szkoły im. Walsinghama... a zatem w sprzyjających okolicznościach udawałem się do swojej tajemnej kryjówki, wyciągałem się na słomianej macie ukradzonej z kwater służby, przymykałem oczy i pozwalałem swemu niedawno rozbudzonemu wewnętrznemu uchu (połączonemu, jak wszystkie uszy, z nosem) bujać swobodnie po mieście – i dalej, na północ i południe, wschód i zachód – by wysłuchiwać, czego się tylko dało. Ażeby uniknąć niedopuszczalnej pokusy podsłuchiwania znanych mi osób, wypróbowywałem swoją sztukę na nieznanym. Tak więc moje wkroczenie w sprawy publiczne Indii wynikało z niskich zgoła pobudek – zaniepokojony nadmiarem intymności posłużyłem się światem spoza naszego pagóra dla zyskania łatwej ulgi.

Świat dojrzany z zepsutej wieży zegarowej: na początku byłem zaledwie turystą, dzieckiem zerkającym przez czarodziejskie okulary mojego prywatnego „Dilli-dekho”. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Tadź Mahal oczyma zażywej Angielki cierpiącej na zatwardzenie, w lewym (uszkodzonym) uchu aż mi zaczęły walić bębenki dugdugi; następnie dla zrównoważenia północy z południem skoczyłem do świątyni Minakszi w Maduraju i

zagnieździłem się w zagmatwanych, mistycznych rozmyślaniach zawodzącego kapłana. Zwiedziłem Connaught Place w New Delhi pod postacią kierowcy rykszy motorowej, który użalał się moim pasażerom na rosnące ceny benzyny; w Kalkucie spędziłem ciężką noc w segmencie rury ściekowej. Połknąwszy już na dobre bakcyła podróży, wypuściłem się aż na Przylądek Komoryn i stałem się żoną rybaka, która miała sari tak ciasne, jak morale rozwiązałe... stojąc na czerwonych piaskach omywanych trzema morzami, flirtowałem z myszkującymi po plaży drawidyjskimi nędzarkami w niezrozumiałym dla siebie języku; a stamtąd prosto w Himalaje do neandertalskiej omszałej chaty członka plemienia Gudżarów, pod aureolą całkiem kolistej tęczy i nadciągającą moreną lodowca Kolahoi. W złotej fortecy Dżajsalmeru zakosztowałem wewnętrznego życia kobiety szyjącej suknie zdobione lusterkami, a w Kadżuraho byłem wiejskim podrostkiem, wielce speszonym erotycznymi tantryjskimi rzeźbami stojących w polu świątyń Ćandelów, chociaż nie mogłem oderwać od nich oczu... w egzotycznej prostocie podróży odnalazłem krztynę spokoju. Ale w końcu turystyka przestała mnie bawić; zaczęła doskwierać ciekawość: „Muszę się dowiedzieć – powiedziałem sobie – co tu się naprawdę dzieje”.

Spięty ostrogą eklektycznego ducha moich dziewięciu lat, wskoczyłem do głów gwiazd filmu i krykieta – poznałem prawdę kryjącą się za plotkami z czasopisma „Filmoteka” o tancerce Widżajantimali i zająłem pozycję Polly Umrigara na stadionie Brabourne; byłem Latą Mangeśkar, piosenkarką z playbacku i kłownem Bubu z cyrku w dzielnicy urzędników Służby Cywilnej... no i w trakcie przypadkowych przeskoków myślowych odkryłem nieuchronnie politykę.

Raz byłem obszarnikiem w Uttar Pradeśu, brzuch mi się przelewał nad trokiem-od-pizamy, kiedy rozkazywałem poddanym, żeby spalili moją nadwyżkę ziarna... raz znów umierałem z głodu w Orysie, gdzie jak zwykle panował niedostatek żywności: byłem wtedy dwumiesięcznym niemowlęciem, a matce wyschło mleko w piersi. Zagościłem przelotnie w głowie działacza Partii Kongresowej, który przekupywał wiejskiego nauczyciela, żeby ten w nadchodzącej kampanii wyborczej poparł swoim autorytetem partię Gandhiego i Nehru; a także w myślach chłopca z Kerali, który postanowił głosować na komunistów. Moja zuchwałość rosła: pewnego dnia rozmyślnie wtargnąłem do głowy naszego głównego ministra i tym sposobem dowiedziałem się na dwadzieścia lat przed ukuciem z tego faktu obiegowego żartu, że Morardzi Desai codziennie „pija własną wodę”... byłem w środku niego i czułem ciepło na języku, kiedy wychylał duszkiem szklanke pianistego moczu. Na ostatku sięgnąłem najwyżej: stałem się Dżawaharlalem Nehru, premierem i autorem oprawnych w ramki listów: zasiadłem z tym wielkim człowiekiem w gronie szczerbatych astrologów z rozwichrzonymi brodami i korygowałem plan pięcioletni, tak aby harmonizował z muzyką sfer niebieskich... światowe życie uderza do głowy. „Patrzcie no! – wołałem bezgłośnie. – Mogę się dostać, dokąd tylko zechcę!” W owej wieży, wypełnionej niegdyś po brzegi ładunkami wybuchowymi nienawiści Józefa D’Costy, wpadło mi do głowy (przy akompaniamencie odpowiednich efektów dźwiękowych cykadełka) takie oto gotowe powiedzonko: – Jakem bomba w Bombaju... tylko patrzeć, a wybuchnę!

Ponieważ owładnęło mną poczucie, że stwarzam jak gdyby świat; że myśli, po których skaczą, są moje, że nawiedzane przeze mnie ciała działają pod moje dyktando; że skoro wlały się we mnie wydarzenia bieżące, sztuka, sport, cała bogata gama pierwszorzędnej rozgłośni, to jestem jak gdyby ich siłą sprawczą... innymi słowy, dosięgła mnie iluzja artysty, zacząłem więc postrzegać ciżbę rzeczywistości tej ziemi jako surowe, nie ukształtowane tworzywo mojego daru. – Wszystko stoi przede mną otworem! – tryumfowałem. – Nie ma rzeczy, której

nie mógłbym poznać!

Dzisiaj, gdy patrzę wstecz na stracone, minione lata, widzę, że mania wielkości, która mnie wówczas ogarnęła, wywodziła się z instynktu samozachowawczego. Gdybym wtedy nie uwierzył, że panuję nad zalewającą mnie ciżbą, te zmasowane tożsamości zdewastowałyby mnie ani chybi... wszakże tam, w wieży zegarowej, gdzie królowała moja radość przepojona zuchwalstwem, stałem się Sinem, starożytnym bóstwem księżyca (nie, nie hinduskim: zapożyczyłem go od pradawnego ludu Hadramautu), z umiejętnością zdalnego sterowania oraz regulowania przypływów i odpływów tego świata.

Wszelako kiedy śmierć nawiedziła Posiadłość Methwolda, zdołała mnie zaskoczyć.

Mimo że zamrożenie aktywów dokonało się przed laty, strefa poniżej pasa Ahmeda Sinai pozostała lodowato zimna. Od chwili, w której zawołał: – Te łajdaki wpychają mi jaja do kubelka z lodem! – Amina zaś ujęła je w dłonie, żeby je ogrzać, aż jej się z zimna przylepiły palce, jego seks pozostał uśpiony niczym kosmaty słoń w górze lodowej, jak ten znaleziony w Rosji w pięćdziesiątym szóstym. Moja matka, Amina, która wyszła za męża, żeby mieć dzieci, czuła, jak niespłodzone żywoty gniją w jej łonie i winiła siebie za to, że go już nie pociąga, przez te nagniotki i w ogóle. Zwierzyła się ze swojego nieszczęścia Marii Pereirze, lecz aja powiedziała tylko, że nie ma co się spodziewać szczęścia od „menschczyzn”; gwarzyły tak przy sporządzaniu marynat, zatem Amina dosypywała swoje rozczarowania do pikantnego ćatni limonowego, od którego nieodmiennie stawały jej łzy w oczach.

Chociaż godziny urzędowania Ahmeda Sinai były wypełnione fantazjowaniem na temat sekretarek odbierających nago dyktanda, wizjami jego Fernandy czy też Poppy spacerujących po pokoju jak je Pan Bóg stworzył z krzyżkowanymi śladami na pupach, jego narząd nie reagował; pewnego dnia, kiedy prawdziwa Fernanda czy też Poppy poszła do domu, a on grał w szachy z doktorem Narlikarem, język (podobnie jak i gra) rozwiązał mu się pod wpływem dżinnów i padło niezręczne wyznanie:

– Wiesz, Narlikar, straciłem chyba zainteresowanie no-wiesz-czym.

Błysk zadowolenia oświecił promieniejącego ginekologa; owładnięty obsesją regulacji narodzin, jaśniejący w ciemnościach lekarz wyskoczył dosłownie ze skóry i wygłosił następującą mowę:

– Brawo! – zawołał doktor Narlikar. – Bracie Sinai, to ci dopiero historia! Ty, a przyznam, że i ja, tak, ty i ja, Sinai bhai, należymy do osób o nader rzadkich walorach duchowych! Nie dla nas upokarzająca zadyszka cielesna, bo czyż nie lepiej, pytam się, machnąć ręką na płodzenie potomstwa, nie dodawać kolejnej nieszczęsnej istoty ludzkiej do tej wielkiej ciżby, która dziś żebrze w naszym kraju? Skierujmy raczej energię na to, żeby zapewnić im większą połąć ziemi pod nogami. Powiadam ci, przyjacielu: ty, ja i nasze czwórnoży: wydrzemy grunt samym oceanom!

Aby uczcić tę orację Ahmed Sinai nalał do kieliszków; mój ojciec i doktor Narlikar wzniesli toast za swój czwórnożny betonowy sen.

– Ziemia, tak! Miłość, nie! – oświadczył doktor Narlikar trochę niepewnie; ojciec sobie dolał.

Pod koniec roku 1956 marzenie o melioracji gruntów spod morza za pomocą tysięcy wielkich betonowych czwórnożów – ta sama mrzonka, która wcześniej spowodowała zamrożenie, a która teraz stała się dla ojca niejako substytutem aktywności seksualnej, gdyż wskutek zamrożenia był jej pozbawiony – wydawała się bliska spełnienia. Tym razem jednak Ahmed Sinai ostrożnie dysponował pieniędzmi; tym razem stał ukryty w cieniu, a jego nazwisko nie figurowało w żadnych dokumentach; tym razem odebrał naukę z

zamrożenia, postanowił w miarę możliwości nie zwracać niczyjej uwagi; toteż kiedy doktor Narlikar zdradził go, bo umarł i nie zostawił żadnych dowodów zaangażowania ojca w to czworonożne przedsięwzięcie, Ahmed Sinai (który, jak widzieliśmy, marnie sobie radził w obliczu katastrofy) wpadł w paszczkę długiego, węzowatego upadku, a nie miał się z niego otrząsnąć aż do czasu, kiedy u schyłku swoich dni zakochał się wreszcie we własnej żonie.

* * *

Oto jaka wersja wydarzeń dotarła do Posiadłości Methwolda: doktor Narlikar bawił u przyjaciół nie opodal Marine Drive; po wizycie postanowił przejść się plażą Čaupatti, kupić sobie bhel-puri i mleko kokosowe. Kiedy podążał żwawo deptakiem nad morzem, trafił na końcówkę marszu językowego, który wolno kroczył, skandując w spokoju hasła. Doktor Narlikar zbliżył się do miejsca, gdzie za zgodą władz miejskich, a na jego polecenie, ustawiono na wałach jeden symboliczny czwórnóg w charakterze ikony wskazującej drogę przyszłości; i tam zobaczył coś, od czego dostał szału. Wokół czwórnogu zebrała się grupa żebraczek i odprawiała ceremonię pudża. U podnóża obiektu kobiety zapaliły lampki oliwne; jedna wymalowała na samym czubku symbol OM; wznosiły śpiewnie modły, myjąc przy tym dokładnie czwórnóg w nabożnym obrządku ablucji. Cud techniki przekształcono w linę Siwy; doktor Narlikar, przeciwnik płodności, rozsierdził się na dobre, bo uznał, że wszystkie odwieczne, mroczne, priapiczne moce starożytnych płodnych Indii rozpełtały się nad pięknym dwudziestowiecznym sterylnym betonem... puściwszy się pędem, jął wykrzykiwać obelgi pod adresem rozmodlonych niewiast, a jaśniał przy tym zawzięcie z oburzenia; kiedy do nich dobiegł, kopniakami sponiewierał ich lampki dija; podobno usiłował nawet odepchnąć kobiety. I wtedy zobaczyli go uczestnicy marszu językowego.

Uszy uczestników marszu pochwyliły grubiańskość jego języka; nogi maszerujących stanęły, głosy uniosły się w reprimendzie. Wymachiwano pięściami; rzucono wyzwiska. Na co poczciwy lekarz, którego gniew pozbawił roztropności, rzucił się na tłum ludzi i sponstponował ich racje, ich potomstwo, ich siostry. Zapadło milczenie, ozwała się jego potęga. Milczenie przywiodło nogi maszerujących do jaśniejącego ginekologa, który stał teraz między czwórnogiem a zawodzącymi niewiastami. W milczeniu ręce maszerujących wyciągnęły się po Narlikara, w głębokiej ciszy lekarz przyległ do czwórnóżnego betonu, kiedy tamci usiłowali go stamtąd ściągnąć. W absolutnej bezgłośności strach przydał doktorowi Narlikarowi siły czaszołki, rękami przywarł do czwórnogu, tak że trudno go było oderwać. Maszerujący sami przypadli do czwórnogu... w cichości zaczęli go huścić; bezszmerowa potęga ich liczebności przeważyla jego ciężar. Pośród wieczoru opętanego demoniczną ciszą czwórnóg drgnął, aby jako pierwszy taki obiekt zanurzyć się w wodzie i dać początek wielkiemu dziełu melioracji gruntów. Doktor Sureś Narlikar z ustami rozdziawionymi w niemym A, przyssał się doń niczym fosforyzujący mięczak... człowiek i czworonożny beton zwalili się bezdźwięcznie. Plusk wody rozproszył czar.

Powiadano, że kiedy doktor Narlikar wpadł do morza i został zmiażdżony na śmierć pod ciężarem swojej umiłowanej obsesji, bez trudu odnaleziono ciało, albowiem z głębi wody biła od niego promienista łuna.

* * *

– Wiesz, co się stało? – Hej, człowieku, co jest? – Dzieci, a ja wśród nich, zebrały się

wokół żywopłotu Willi Escorial, w której mieściła się kawalerka doktora Narlikara; hamal Lili Sabarmati poinformował nas z grobową miną:

– Przyniesiono do domu jego śmierć spowitą w jedwab.

Nie pozwolono mi obejrzeć śmierci doktora Narlikara, kiedy leżała na jego twardym, pojedynczym łóżu zwieńczona kwiatami szafranu; ale i tak się wszystkiego o niej dowiedziałem, gdyż nowiny wyszły daleko poza cztery ściany jego pokoju. Najwięcej o niej usłyszałem od służących z posiadłości, którzy nie widzieli nic zdrożnego w mówieniu o śmierci, rzadko natomiast wypowiadali się o życiu, bo w życiu wszystko było jasne. Od posługacza doktora Narlikara dowiedziałem się, że jego śmierć, wchłonąwszy wielkie ilości morza, sama nabrała cech wody: stała się mianowicie płynna i przedstawiała radosny, smutny bądź obojętny widok zależnie od kąta padania światła. Ogrodnik Homi Catracka poczynił taką uwagę:

– Nie wolno za długo patrzeć na śmierć, bo jej kawałek zostaje w człowieku i potem są skutki.

Dopytywaliśmy się więc: skutki? jakie skutki? co za skutki? jak to? A sadhu Puruszottam, który po raz pierwszy od lat opuścił swój posterunek pod pompą ogrodową Willi Buckingham, oznajmił:

– Na widok śmierci żywi widzą siebie dużo wyraźniej, wyolbrzymia ich samo z nią zetknięcie.

Późniejsze wydarzenia potwierdziły to niesamowite stwierdzenie, gdyż piastunka Toxy Catrack, Bi-Appa, która pomagała myć ciało, stała się ostrzejsza, dosadniejsza, groźniejsza niż przedtem; wydawało się, że wszyscy, którzy widzieli śmierć doktora Narlikara wystawioną na widok publiczny, zostali nią dotknięci: Nussie Ibrahim stała się jeszcze głupsza i jeszcze bardziej kaczkowata, a Lila Sabarmati, co mieszkała piętro nad tą śmiercią i pomagała urządzić jej pokój, tuż potem oddała się promiskuityzmowi od zawsze w niej drzemiacemu, obrała zatem drogę, u której kresu czekały kule, jej mąż zaś, komandor Sabarmati, miał dyrygować ruchem ulicznym w Kolabie niecodzienną zgola pałeczką...

Wszelako nasza rodzina trzymała się z dala od śmierci. Mój ojciec nie poszedł oddać doktorowi ostatniej posługi, a później już nie mówił o zmarłym przyjacielu po imieniu, tylko nazywał go zdracją.

Po dwóch dniach, kiedy wiadomość trafiła do gazet, doktor Narlikar raptem dorobił się przeogromnej rodziny krewniaczek. Chociaż całe życie wytrwał jako kawaler i mizogin, po śmierci wchłonęło go morze wielkich, hałaśliwych, supersprawnych kobiet, które wyległy z najdziwniejszych zakątków miasta, ze stanowisk dójek w Mleczarniach Amula, z kinowych kas, z saturatorów ulicznych i z nieszczęśliwych małżeństw; w roku demonstracji kobiety Narlikara uformowały własną procesję, olbrzymi strumień przerośniętej kobiecości, napływający na nasz piętrowy pagór, aż wypełniły mieszkanie doktora Narlikara tak szczelnie, że z ulicy poniżej widziało się ich łokcie wystające z okien i siedzenia wylewające się na werandę. Przez tydzień nikt nie zmrużył oka, bo zawrodożenie kobiet Narlikara przepełniało aurę; mimo jednak wycia owe kobiety okazały się tak sprawne, na jakie wyglądały. Przejęły Klinikę Położniczą; skontrolowały wszystkie interesy Narlikara; i wysłizgały jak złoto mojego ojca z przedsięwzięcia czwórników. Po tylu latach została mu tylko dziura w kieszeni, tymczasem kobiety zaniósły ciało Narlikara do Benaresu, by tam je spalić, a służący z posiadłości szeptali mi na ucho, że ponoć prochy doktora rozsypano o zmierzchu po wodach Świętej Gangi przy Manikarnika-ghat, lecz nie zatoneły, tylko unosiły się na powierzchni wody niczym migotliwe robaczki świętojańskie i tak spłynęły do morza,

gdzie ich dziwaczna świetlistość napędziła zapewne strachu niejednemu kapitanowi statku.

Natomiast Ahmed Sinai: przysięgam, że po śmierci Narlikara i przybyciu kobiet zaczął dosłownie gasnąć... skóra mu z wolna przybladła, włosy straciły kolor, toteż w ciągu kilku miesięcy stał się całkiem biały wyjąwszy ciemność czającą się w oczach. (Maria Pereira powiedziała Aminie: – Ten człowiek ma zimną krew; dlatego teraz skóra pokryła mu się lodem, białym lodem jak w zamrażarce.) Gwoli uczciwości powinienem dodać, że chociaż na pozór przejmował się przeobrażeniem w białego człowieka, chodził do lekarzy i tak dalej, w skrytości ducha tylko się cieszył, że nikt nie zdołał wyjaśnić przyczyny ani przepisać kuracji, bo od dawna zazdrościł Europejczykom pigmentu. Pewnego dnia, gdy znów można było sypać żartami (upłynął stosowny czas od śmierci doktora Narlikara), ojciec powiedział Lili Sabarmati w porze koktajlu:

– Wszyscy najlepsi ludzie są biali pod skórą; po prostu przestałem udawać.

Sąsiedzi, wszyscy przecież od niego ciemniejsi, roześmiali się uprzejmie i poczuli dziwnie zawstyżeni.

Pewne poszlaki wskazują na to, że właśnie wstrząs spowodowany śmiercią Narlikara sprawił, iż u boku mojej hebanowej matki zasiadł śnieżnobiały ojciec, spróbuję jednak (choć trudno mi ocenić, ile jesteście w stanie przełknąć) przedstawić wyjaśnienie alternatywne, teorię rozwiniętą w abstrakcyjnym odosobnieniu mojej wieży zegarowej... bo podczas częstych wojaży psychologicznych trafiłem na coś osobliwego: przez pierwsze dziewięć lat po uzyskaniu niepodległości podobny bezład pigmentacyjny (którego pierwszą ofiarą padła najpewniej rani Kuch Nahin) dosięgnął licznej rzeszy krajowych przedsiębiorców. Jak Indie długie i szerokie wciąż się natykałem na dobrych indyjskich przedsiębiorców w rozkwicie fortuny dzięki pierwszemu planowi pięcioletniemu, którzy skupili się na rozwoju handlu... a okrywali się bądź już się okryli upiorną doprawdy bladością! Zupełnie jak gdyby gargantuiczne (czy wręcz heroiczne) wysiłki związane z przejęciem dóbr od Brytyjczyków i zostaniem panami własnego losu wywabiły im krew z policzków... w takim razie być może mój ojciec padł po prostu nieco później ofiarą tego powszechnie nie dostrzeganego, acz szeroko rozpowszechnionego zjawiska. Przedsiębiorcy Indii robili się biali.

Aż nadto jest co rozgryzać jak na jeden dzień. Tyle że zbliża się Evelyn Lilith Burns; czuć już niebezpieczną bliskość kawiarni Pionier; poza tym – jeszcze energiczniej – napierają inne dzieci północy, łącznie z moim alter ego, Siwą, tym o morderczych kolanach. Wkrótce pęknięcia tak się rozszerzą, że dadzą im wszystkim upust...

A tak nawiasem mówiąc: gdzieś pod koniec roku 1956 wedle wszelkiego prawdopodobieństwa śpiewak i rogacz Wee Willie Winkie również znalazł śmierć.

Miłość w Bombaju

Podczas ramadanu, miesiąca postu, chodziliśmy do kina tak często, jak tylko się dało. Wyrwani ze snu o piątej z rana przez sumienną rękę matki; przełknawszy jeszcze przed brzaskiem na śniadanie melona i szklankę słodzonej limonady, zwłaszcza w niedzielę Mosiężna Małpka i ja przypominaliśmy na wypródkę (a czasem zgodnym chórem) Aminie: – Poranek o pół do jedenastej! Amma, zgódź się, dziś dzień Kina Dla Pędraków „Metro”! – Po czym jazda naszym Roverem do kina, gdzie nie dla nas była coca-cola ani prażynki ziemniaczane, ani lody Kwalicy, ani placki samosa w zatłuszczonym papierze; ale mieliśmy za to klimatyzację, odznaki Kina Dla Pędraków przypięte do ubrań, konkursy, życzenia urodzinowe składane przez konferansjera z lichymi wąsami; no i wreszcie sam film, po zwiastunach opatrzonych napisami „Kolejny przebój” i „Wkrótce na ekranach” oraz po dodatku rysunkowym („Za chwilę Wielkie Widowisko Filmowe, a na razie...!”): *Quentin Durward* czy też *Scaramouche*. „Fanfaronada!” – orzekaliśmy potem, zabawiając się w krytyków filmowych; albo: „Wrzaskliwe, sprośne swawole!” – chociaż nie mieliśmy pojęcia ani o fanfaronadzie, ani o sprośności. Nasza rodzina nie odznaczała się zbytnią nabożnością (z wyjątkiem święta Id al-Fitr, kiedy to ojciec zabierał mnie do meczetu piątkowego, żebym celebrował ten dzień, toteż wiązał mi chustkę do nosa na głowie i przyciskał mi czoło do ziemi)...ale zawsze byliśmy skorzy do poszczenia, bo tak lubiliśmy kino.

Evie Burns i ja zgodziliśmy się co do jednego: największym gwiazdorem filmowym świata jest Robert Taylor. Podobał mi się też Jay Silverheels w roli Tonta; ale jego kemosabaj, Clayton Moore, był jak na mój gust za gruby, żeby grać Samotnego Jeźdźca. Evelyn Lilith Burns zjawiała się w dniu Nowego Roku 1957 i wraz ze swoim owdowiałym ojcem zajęła mieszkanie w jednym z dwóch przysadzistych, ohydnych betonowych bloków, które wyrosły prawie niepostrzeżenie u podnóża naszego pagóra, a w których obowiązywała dziwna segregacja: Amerykanie i inni cudzoziemcy mieszkali (tak jak Evie) w Willi Nur; marzenia-o-karierze przyjezdnych Hindusów znajdowały swój kres w Willach Lakszmi. Patrzyliśmy na nich wszystkich z góry, z wyżyn Posiadłości Methwolda, na białych i śniadych bez różnicy; nikt jednak nie patrzył z góry na Evie Burns – pominawszy jeden jedyny raz. Tylko raz ktoś ją potraktował z góry.

W Evie zakochałem się, jeszcze zanim wdziałem pierwsze długie spodnie; ale owego roku miłość wybuchła przedziwną reakcją łańcuchową. Dla zaoszczędzenia czasu umieszczę nas wszystkich w jednym rzędzie kina „Metro”; kiedy tak siedzimy w migotliwym transie, Robert Taylor znajduje zwierciadlane odbicie w naszych oczach, a zarazem w naszej symbolicznej kolejności: Salim Sinai siedzi-obok-i-zakochany-w Evie Burns, która siedzi-obok-i-zakochana-w Sonny Ibrahimie, który siedzi-obok-i-zakochany-w Mosiężnej Małpce, która siedzi przy przejściu i czuje przemożny głód... Kochałem się w Evie pewno jakieś pół roku; dwa lata później mieszkała już z powrotem w Ameryce, gdzie zadźgała nożem pewną staruszkę i trafiła za to do poprawczaka.

W tym miejscu wypada mi pokrótce wyrazić jej wdzięczność: gdyby Evie nie zamieszkała pośród nas, moja historia mogłaby nigdy nie wykroczyć poza wojaże-w-wieży-zegarowej i drobne oszustwa w szkole... czyli nie doszłoby do punktu kulminacyjnego w schronisku wdów ani do niezbitego dowodu mojego sensu, ani do epilogu w spowitej wyziewami

fabryce, nad którą dominuje mrugająca, szafranowo-zielona, tańcząca sylwetka neonowej bogini, Mumbadewi. Wszakże Evie Burns (wąż czy drabina? Odpowiedź jest prosta: i jedno, i drugie) zjawiała się na swym srebrnym rowerze, co pozwoliło mi nie tylko odkryć dzieci północy, lecz również przyczynić się do podziału stanu Bombaj.

Zacznę jednak od początku: miała na głowie strzechę niczym strach na wróble, skórę obsypaną piegami, a zęby uwięzione w drucianej klatce. Te zęby stanowiły bodaj jedyną rzecz pod słońcem, nad którą nie miała nijakiej władzy – rosły jak chciały, zachodząc złośliwie na siebie niczym dzieło szalonego brukarza, i piekielnie ją bolały, kiedy jadła lody. (Pozwolę sobie na jedno uogólnienie: Amerykanie opanowali cały świat, ale nie mają żadnej kontroli nad własnym uzębieniem; tymczasem Indie cechuje niemoc, za to ich dzieci miewają na ogół wysmienite zęby.) Nękana bólami zębów moja Evie wzbijała się imponująco ponad to cierpienie. Nie miała zamiaru żyć w niewoli kości i dziąseł, toteż pałaszowała ciastka i popijała coca-colą, gdy tylko nadarzyła się okazja; i to bez słowa skargi. Zuch dziewczyna z tej Evie Burns: tryumf nad bólem utwierdził jej panowanie nad całą naszą gromadą. Wiadomo, że Amerykanie muszą mieć przed sobą granicę: ból stanowił jej granicę, którą w całej swej stanowczości umiała przesuwac.

Pewnego razu wielce zmieszany wręczyłem jej naszyjnik z kwiatów (królowych nocy dla mej białej lilii), kupiony z własnego kieszonkowego od straganiarki na Scandal Point. – Nie noszę kwiatów – oznajmiła Evelyn Lilith i rzuciła niechciany wieniec wysoko w górę, dziurawiąc go przed spadnięciem na ziemię nabojem ze swojego niezawodnego pistoletu pneumatycznego marki Stokrotka. Niszcząc kwiaty Stokrotką, przestrzegala nas tym samym, że nie wolno jej pętać, chociażby kwieciami: była naszą kapryśną, wirującą Lilijką-Nie-Pod-Linijkę. No i Ewą. Jabłkiem Adama w mojej głowie.

Oto jak do nas zawitała: Sonny Ibrahim, Okruchoka i Pomada Sabarmati, Cyrus Dubasz, Małpka i ja graliśmy w krykieta francuskiego na placyku między czterema pałacami Methwolda. Noworoczna zabawa: Toxy klaskała w ręce za swoim zakratowanym oknem; nawet Bi-Appa miała dobry humor i wyjątkowo nam nie złorzeczyła. Krykiet – nawet krykiet francuski i to nawet w wydaniu dziecięcym – jest cichą grą: spokój namaszczonej olejem z siemienia lnianego. Cmoknięcia piłki i rakiety; szmer aplauzu; raz na czas wrywa się okrzyk: – Strzał! Strzał, łaskawco! – Ijjak?? – ale Evie na swoim rowerze była ponad to.

– Ej, wy! No, wy! Co jest? Ogłuchliście czy jak?

Właśnie składałem się do strzału (elegancko jak Randzi, mocno jak Winu Mankad), kiedy Evie wjechała na pagór swoim dwukołowcem, z rozwianą strzechą czupryny, rozognionymi piegami, ustami pełnymi metalu, wysyłającymi semaforowe znaki w blasku słońca niczym strach na wróble, co dosiadł srebrnej kuli...

– Ej, ty tam, z zasmarkanym nosem! Przestań się gapić na tę kretyńską piłkę, ty gruzelku! Pokażę ci coś, na co naprawdę warto popatrzeć!

Trudno sobie wyobrazić Evie Burns, żeby natychmiast nie stanął w oczach jej rower; i to nie byle jaki dwukołowiec, ale jeden z ostatnich wykwinnych pojazdów starej daty, nowiuteńki Indrower Ardżuna, który miał zagięte do dołu rączki owinięte taśmą, przerzutkę aż na pięć biegów i siodło ze skaju imitującego skórę geparda. Do tego srebrna rama (w kolorze, nie muszę wam przypominać, rumaka Samotnego Jeźdźca)... niechlujny Okruchoka i porządniczy Pomada, geniusz Cyrus, Małpka, Sonny Ibrahim i ja – dobrani przyjaciele, prawdziwi synowie posiadłości, jej spadkobiercy z tytułu urodzenia – Sonny ze swą ślamazarną naiwnością, nabytą w chwili, gdy kleszcze porodowe uszkodziły mu mózg, i ja ze swą groźną, tajemną wiedzą – słowem, wszyscy, przyszli poskramiacze byków, dowódcy

marynarki wojennej i kto tam jeszcze, staliśmy jak jeden mąż osłupiali, z rozdziawionymi gębami, kiedy Evie Burns rozpoczęła swoją rundę na rowerze, szybciej, szybciej, w koło i w koło po obrzeżu naszego placyku.

– Patrzcie na mnie: zobaczcie, jak jeżdżę, ciamajdy!

To na gepardowym siodełku, to znów poza nim, Evie dawała popis. Z jedną nogą na siedzeniu, z drugą wyciągniętą za siebie wirowała tak wokół nas; nabrała prędkości i stanęła na siodełku na głowie! Potrafiła dosięść przedniego koła, twarzą do tylnego, i kręcić pedałami w odwrotną stronę... siła ciężkości była jej niewolnicą, prędkość jej żywiołem, a myśmy pojęli, że zakradła się do naszego grona siła, czarownica na kółkach, toteż kwiaty z żywopłotów sypnęły płatkami, kurz na placyku wzbił się chmurą owacji, bo placyk też znalazł sobie panią: pod smagnięciami jej wirujących kół przerodził się w arenę cyrkową.

Dopiero teraz zauważyliśmy, że nasza bohaterka ma przytroczony do prawego boku pistolet pneumatyczny Stokrotka... – To nie wszystko, niedorajdy! – zawołała i wyciągnęła broń. W zetknięciu z jej kulami kamienie poczęły fruwać; podrzucaliśmy w górę monety jednoannowe, a ona zestrzeliwała je na ziemię martwe jak kamień. – Jeszcze! Jeszcze coś mi rzućcie! – toteż Okruczoka bez mrugnięcia poświęcił ukochaną talię kart do remika, żeby mogła odstrzelić głowy królom. Istna Annie Oakley w aparacie ortodontycznym – nikt nie śmiał kwestionować jej snajperskich wyczynów, pominąwszy ten jeden jedyny raz, ale to już pod koniec jej rządów, podczas wielkiej kociej inwazji; a i to zaistniały okoliczności łagodzące.

Zarumieniona, spocona Evie Burns zsiadła ze swojego wierzchowca i obwieściła: – Od dzisiaj macie nowego wielkiego wodza. Zgoda, Indianie? Są jakieś sprzeciwy?

Sprzeciwów nie było; a ja w lot pojąłem, że się zakochałem.

Na plaży Dżuhu z Evie: wygrywała wyścigi na wielbłądach, potrafiła wypić więcej mleka kokosowego na raz niż którekolwiek z nas, umiała otworzyć oczy pod piekącą, słońną wodą Morza Arabskiego.

Czy sześć miesięcy to taka znów wielka różnica? (Evie była ode mnie starsza o pół roku.) Czy upoważnia do rozmów z dorosłymi jak równy z równym? Widziano Evie, jak plotkowała sobie ze starym Ibrahimem Ibrahimem; twierdziła, że Lila Sabarmati uczy ją nakładać makijaż; wstępowała do Homi Catracka, żeby pogawędzić na temat strzelania. (Tragiczna ironia losu Homi Catracka polegała na tym, że on, który pewnego dnia miał się sam znaleźć na muszce, był prawdziwym aficionado broni palnej... a w Evie znalazł pokrewną duszę, osierocone przez matkę dziecko, które w przeciwieństwie do jego Toxy było ostre jak brzytwa i bystre jak nabój. Nawiasem mówiąc, Evie Burns nie skalała się współczuciem dla nieszczęsnej Toxy Catrack. – Chora na umyśle – zawyrokowała beztrzesko wobec naszej gromadki. – Trzeba by się z nią rozprawić jak ze szczurami. – Ależ Evie: szczury wcale nie są słabe! W twojej twarzy kryło się coś bardziej gryzoniowatego niż w całym ciele tak przez ciebie znienawidzonej Toxy.)

Taka była Evelyn Lilith; już w ciągu pierwszych kilku tygodni od jej przybycia wprowadziłem w ruch reakcję łańcuchową, od której skutków nigdy nie miałem się w pełni otrząsnąć.

Zaczął się od Sonny Ibrahima, Sonny-po-sąsiedzku, Sonny z wklęśnięciami-od-kleszczy, który przez cały ten czas siedział cierpliwie za kulisami mojej opowieści w oczekiwaniu na swoją kwestię. W owym czasie Sonny był wyjątkowo poszkodowany: bo ugodziły go nie tylko kleszcze porodowe. Gdyż kochać Mosiężną Małpkę (nawet w dziewięcioletnim rozumieniu tego słowa) wcale nie było łatwo.

Jak już wspominałem, moja siostra, urodzona jako drugie dziecko i przez nikogo nie

zwiastowana, nauczyła się reagować gwałtownie na wszelkie deklaracje uczuć. Chociaż mówiła ponoć językami ptaków i kotów, czułe słowa miłości budziły w niej zwierzęcy niemal gniew; ale Sonny był nazbyt prostolinijny, żeby się zrażać. Od miesięcy nękał ją odzywkami w stylu: – Siostró Salima, twarda z ciebie sztuka! – albo – Chcesz być moją dziewczyną? Moglibyśmy na przykład pójść do kina z twoją ają... – I od tyłuż miesiący Mosiężna Małpka kazała mu znosić katusze za tę jego miłość – wygadywała na niego przed jego matką; popychała go przypadkiem-umyślnie do kałuży; raz nawet dosłownie go poturbowała, zostawiając mu na twarzy długie rozorane ślady pazurów i minę smętnego psiaka w oczach; on jednak trwał wciąż przy swoim. Toteż w końcu uknuła najstraszliwszą zemstę.

Małpka chodziła do Żeńskiej Szkoły im. Walsinghama przy Nepean Sea Road; w tej szkole pełno było wysokich, niezwykle muskularnych Europejek, które pływały jak ryby w wodzie i nurkowały jak łodzie podwodne. Widać je było z okna naszej sypialni, jak w wolnych chwilach kąpią się w basenie o kształcie mapy, w klubie Breach Candy, do którego myśmy, rzecz jasna, nie mieli wstępu... a kiedy wykryłem, że Małpka zbratała się poniekąd z tymi odsegregowanymi pływaczkami jako ich maskotka, chyba po raz pierwszy w życiu szczerze się na nią rozżościłem... ale nie było z nią dyskusji; chadzała własnymi drogami. Krzepkie białe piętnastolatki pozwalały jej siadywać obok siebie w autobusie szkolnym Walsinghama. Trzy takie dziewczuchy stały z nią codziennie rano w tym samym miejscu, w którym Sonny, Okruczoka, Pomada, Cyrus Wielki i ja czekaliśmy na autobus Szkoły Katedralnej.

Pewnego ranka, z powodu, którego już dziś nie pomnę, Sonny i ja byliśmy jedynymi chłopcami na przystanku. Może panowała epidemia albo coś w tym rodzaju. Małpka odczekała, aż Maria Pereira zostawi nas samych pod opieką krzepkich pływaczek; i naraz kiedy, bez specjalnego powodu, zajrzałem do jej myśli, rozbłysł mi w głowie plan jej spisku; – Hola! – zawołałem, ale za późno. Małpka rzuciła: – Ty się w to nie mieszaj! – i razem z trzema krzepkimi pływaczkami skoczyła na Sonny Ibrahima; nędzarze śpiący na ulicach, żebracy i urzędnicy pedałujący do pracy przyglądali się z jawnym rozbawieniem, bo dziewczyny zdierały zeń strzęp po strzępie całe ubranie... – Do licha, człowieku, zamierzasz tak stać i patrzeć? – Sonny dał się o pomoc, a ja stałem bez ruchu, bo nie umiałem wybrać między siostrą a najlepszym przyjacielem, który się odgrażał: – Poskarżę na ciebie tacie! – już ze łzami w oczach, tymczasem Małpka przygadywała: – To cię oduczy pleść bzdury, i to też! – poleciały buty; już po koszuli; podkoszulek zdarty przez mistrzynię skoków z trampoliny: – A to cię oduczy pisać mazgajowate listy miłosne – już po skarpetkach, za to wokoło mnóstwo łez; – A masz! – wrzasnęła Małpka; nadjechał autobus Walsinghama, napastniczki wraz z moją siostrą wskoczyły do środka i się oddaliły: – Tere-fere-kuku, zakochany chłoptasiu! – wykrzykiwały jedna przez drugą, Sonny zaś został na ulicy, na chodniku tuż przed Zabawkami Cimalkera i „Rajem dla czytelników”, nagi jak go Pan Bóg stworzył; wkleśnięcia-po-kleszczach błyszczały mu jak kałuże wody, bo ściekała do nich wazelina z włosów; oczy też miał całe wilgotne, kiedy powtarzał: – Człowieku, dlaczego ona mnie tak urządziła? No dlaczego? Przecież jej tylko powiedziałem, że mi się podoba...

– Bo ja wiem – odparłem nie wiedząc, gdzie podziać oczy. – Ona miewa swoje wybryki.

Nie wiedząc też, że nadejdzie czas, kiedy Małpka potraktuje mnie jeszcze gorzej.

Ale to się zdarzyło dopiero po dziewięciu latach... tymczasem na początku roku 1957 rozpoczęły się kampanie przedwyborcze: Dżan Sangh domagało się przytułków dla leciwych świętych krów; w Kerali E.M.S. Nambudiripad obiecywał, że komunizm zapewni wszystkim żywność i pracę; w Madrasie partia Anna-DMK pod przywództwem C.N.Annaduraiego

rozniecała płomienie regionalizmu; Kongres zmagał się z takimi reformami jak Indyjski Akt Sukcesji, który dawał hinduskom równe prawa do dziedziczenia... słowem, wszyscy byli zajęci wysuwaniem własnych żądań; mnie zaś odejmowało mowę w obecności Evie Burns, toteż zwróciłem się do Sonny Ibrahima z prośbą, żeby się do niej za mną wstawił.

My, mieszkańcy Indii, zawsze odczuwaliśmy wyższość Europejczyków... Evie była z nami zaledwie od kilku tygodni, a już się wciągnąłem w groteskowe naśladownictwo literatury europejskiej. (W szkole przerabialiśmy *Cyrano de Bergeraca* w uproszczonej wersji; czytałem też *Klasyków ilustrowanych* w formie komiksu.) Może wypada stwierdzić, że Europa powtarza się w Indiach jako farsa... Evie była Amerykanką. Na jedno wychodzi.

– Coś ty, człowieku, to nie fair. Sam z nią pogadaj.

– Posłuchaj, Sonny – błagałem – jesteś przyjacielem czy nie?

– Niby tak, ale tyś mi nawet nie pomógł...

– Przecież to moja siostra, Sonny, sam rozumiesz.

– Rozumiem. Sam sobie odwalaj własną brudną...

– Sonny, człowieku, pomyśl. Pomyśl tylko. Z tymi dziewczynami trzeba ostrożnie. Widzisz, jak Małpka wymyka się z rąk! Masz już doświadczenie, jar, bo sam to przeszedłeś. Tym razem będziesz umiał delikatnie podejść do sprawy. Człowieku, czy ja tu coś wiem? A może ona mnie nawet nie lubi. Chcesz, żeby ze mnie też zdarto ubranie? Lepiej byś się wtedy poczuł?

Na co naiwny, dobroduszny Sonny: – ...No, nie...

– A widzisz. To idź. Powychwalaj mnie trochę. Powiedz jej, że nos to nie wszystko. Liczy się charakter. Dasz sobie radę?

– ...Wieeesz... ja... no dobra, ale ty też pogadaj ze swoją siostrą, zgoda?

– Pogadam, Sonny. Tylko co ja mogę obiecywać? Sam wiesz jaka ona jest. Ale jak bonie dydy z nią pogadam.

Choćby człowiek nie wiem jak starannie obmyślił własną strategię, kobiety i tak zniweczą ją jednym pociągnięciem. Na każdą zwycięską kampanię wyborczą przypada co najmniej dwa razy tyle porażek... z werandy Willi Buckingham przez deszczułki bambusowych żaluzji śledziłem Sonny Ibrahima, kiedy werbował mój upatrzony okręg wyborczy... i usłyszałem, jak elektorat podnosi swój nosowy głos, jak pogarda Evie Burns przeszywa powietrze:

– Kto? O n? Ten kinol? A każ mu sobie wytrzeć nos! Przecież on nawet nie umie jeździć na rowerze!

Co było prawdą.

Gorsze miało dopiero nastąpić; bo oto czy dobrze widziałem (choćby bambusowa żaluzja dzieliła całą scenę na wąskie pasemka), że wyraz twarzy Evie jakby zmiękł i się zmienił? – czy to nie ręka Evie (poprzecinana wszcz bambusem) wyciąga się ku mojemu agentowi wyborczemu? – czy to nie palce Evie (paznokcie obgryzione do mięsa) dotykają pokleszczowych wklęsłości Sonny'ego, a opuszki pokrywają się roztopioną wazeliną? – i czy to nie Evie mówi: – Bo weźmy na przykład ciebie: ty to jesteś fajny? Muszę przyznać z żalem: cztery razy tak.

Salim Sinai kocha się w Evie Burns; Evie kocha się w Sonny Ibrahimie; Sonny ma fijoła na punkcie Mosiężnej Małpki; a co na to Małpka?

– O, Allah, nie przyprawiaj mnie o mdłości – ucięła moja siostra, kiedy usiłowałem (nader wielkodusznie, zważywszy, jak on mnie zawiódł) przedstawić jej racje Sonny'ego. I tak przepadliśmy obaj w głosowaniu.

Nie zamierzałem jednak tak łatwo rezygnować. Syrenie śpiewy Evie Burns – która, muszę

niestety przyznać, nigdy nie darzyła mnie sympatią – doprowadziły nieodwracalnie do mojego upadku. (Ale nie mam jej tego za złe; gdyż upadek doprowadził z kolei do wzlotu.) W odosobnieniu wieży zegarowej przerywałem raz na czas transsubkontynentalne włączki, by przemyśliwać zabiegi o względy mojej piegowatej Ewy. „Koniec z pośrednikami – obiecywałem sobie – musisz się sam do tego zabrać.” Wreszcie ułożyłem plan: muszę dzielić z nią zainteresowania, rozmiłować się w jej pasjach... broń palna nigdy mnie nie pociągała. Postanowiłem nauczyć się jeździć na rowerze.

W owym czasie Evie na liczne prośby dzieci ze szczytu pagóra nauczyła je swoich sztuk rowerowych; wystarczyło więc po prostu stanąć w kolejce do tych lekcji. Zebraliśmy się na placu; Evie, wielka mistrzyni areny, stała pośrodku, a dokoła krążyła chybotliwie piątka diabelnie skupionych cyklistów... stanąłem więc za nią bez roweru. Aż do przybycia Evie nie okazywałem zainteresowania kółkami, toteż nigdy nie dostałem własnego... z całą pokorą zniosłem smagnięcie języka Evie.

– Na jakim ty świecie żyjesz, nochalu? Pewno chcesz pożyczyć mój?

– Nie – skłamałem ze skrucą, co zmiękczyło jej serce.

– No dobra, już dobra – Evie wzruszyła ramionami. – Wskakuj na siodełko. Zobaczymy, ile jesteś wart.

Od razu muszę wyznać, że kiedy dosiadłem srebrnego Indroweru Ardżuna, przepełniło mnie najczystsze uniesienie; że kiedy Evie krążyła wkołowoko trzymając rower za kierownicę i pokrzykując: – Złapałeś już równowagę? Nie? Jezuniu, nie będę tu sterczała cały rok! – kiedy Evie i ja robiliśmy razem rundę, czułem się... jak to się mówi?... szczęśliwy.

Wkołowoko... W końcu, żeby jej się przypodobać, bąknąłem: – Dobra... chyba już... daj mi – i wtem znalazłem się sam ze swoją przygodą, Evie popchnęła mnie tylko na odjezdne, srebrny stwór frunął błyszczący i nie kontrolowany przez placyk... dosłyszałem jej krzyk: – Hamulec! Masz, do diabła, hamulec, ty ciamajdo! – ale ręce odmówiły mi posłuszeństwa, zeszywniałem cały jak deska, i oto UWAŻAJ pędzi na mnie błękitny dwukołowiec Sonny Ibrahima, kolizja gotowa, Z DROGI IDIOTO, Sonny na siodełku usiłuje zrobić zwrot, żeby jej uniknąć, lecz błękit nadal mknie ku srebru, Sonny szarpnął w prawo, ja niestety też JEJU MÓJ ROWER i srebrne koło zwarło się z błękitnym, rama pocałowała ramę, a mnie wyrzuciło w górę, nad kierownicą, ku Sonny'emu, który leciał identyczną parabolą ku mnie BĘC rowery spadły na ziemię pierwsze, splecione w intymnym uścisku BĘC jeszcze w powietrzu nastąpiło spotkanie, głowa Sonny'ego przywitała moją... Przed ponad dziewięciu laty urodziłem się z bulwiastymi skrońmi, a Sonny dostał wkłęśnięć od kleszczy; najwyraźniej wszystko ma swój powód, bo teraz moje bulwiaste skronie wpasowały się we wkłęśnięcia Sonny'ego. Jak ulał. Z tak przypasowanymi głowami rozpoczęliśmy zejście na ziemię, jeszcze dobrze, że obok rowerów, BA-BACH i na chwilę rozstąpił się cały świat. Evie z rozognionymi piegami:

– Eh, ty niedorajdo, ty zasmarkańcu, zniszczyłeś mi...

Ale ja nie słuchałem, bo wypadek na placu dopełnił tego, co rozpoczęła moja sromota w skrzyni na bieliznę, i oto w głowie, na powierzchni, huczały wszystkie, już nie stłumione w tle dźwięki, na które przedtem nie zwracałem uwagi, wysyłając swoje sygnały tu-jestem, z północy południa wschodu i zachodu... pozostałe dzieci zrodzone wraz z wybiciem tamtej północy wołały: „ja”, „ja”, „ja” i „ja”.

– Hej! Hej, zasmarkańcu! Nic ci się nie stało?... Gdzie jest jego matka?

* * *

Przerywniki, wciąż te przerywniki! Różne fragmenty mojego skomplikowanego bądź co bądź żywota nie chcą w zgoła bezsensownym uporze trzymać się składnie osobnych przegródek. Głosy z wieży zegarowej wylewają się na placyk, który jest przecież domeną Evie... a teraz, kiedy akurat powinienem opisywać bajeczne dzieci cykadełka, unosi mnie pociąg Frontier Mail – duch mój ulatuje ku murszającemu światu moich dziadków, czyli Aadam Aziz staje na drodze naturalnego toku mojej opowieści. A, co tam. Na co nie ma już ratunku, trzeba znieść to bez frasunku.

Owego stycznia podczas mojej rekonwalescencji po poważnym wstrząśnieniu mózgu wskutek wypadku rowerowego rodzice zabrali nas do Agry na zjazd rodzinny, który okazał się gorszy od niechlubnej (i rzekomo fikcyjnej) Czarnej Dziury w Kalkucie. Przez bite dwa tygodnie musieliśmy wysłuchiwać, jak Emerald i Zulfikar (który był teraz generałem majorem i kazał się tytułować generałem) rzucają nazwiskami, a także aluzjami do swojego fantastycznego wprost majątku, który urósł już do rozmiarów siódmej co do wielkości prywatnej fortuny w Pakistanie; ich syn, Zafar, usiłował (ale tylko raz!) pociągnąć Małpkę za płowiejące rude kucyki. Musieliśmy się też przypatrywać w niemym przerażeniu, jak wuj Mustafa, wyższy urzędnik Służby Cywilnej, i jego żona Sonia, półkrwi Iranca, okładają i biją swój miot bezimiennej, bezpłciowej dzieciarni na miązgę anonimowości; ponadto cierpki odór staropanieństwa Aliji wypełniał atmosferę i zasmradzał nam jedzenie; na dobitkę mój ojciec usunął się przedwcześnie w stan spoczynku, żeby rozpocząć swoją potajemną, conocną walkę z dzinnami; i jeszcze gorsze i gorsze i gorsze rzeczy.

Pewnej nocy obudziłem się punkt dwunasta i znalazłem w swojej głowie sen dziadka, toteż nie mogłem widzieć go inaczej, niż jego własnymi oczyma – jak zgrzybiałego starca – a pośrodku jego ciała przy odpowiednim świetle dawało się dostrzec olbrzymi cień. W miarę jak gasły w nim przekonania, które dodawały mu siły za młodu, pod zmasowanym wpływem starości, Czcigodnej Matki i braku przyjaciół o podobnych poglądach, w jego ciele wykwitowała niegdysiejsza dziura, zmieniając go w kolejnego pokurczonego, pustego w środku starca, nad którym Bóg (i inne zabobony), zwalczany przez niego od tak dawna, z wolna przejmował władzę... tymczasem Czcigodna Matka spędziła całe dwa tygodnie na wynajdywaniu rozmaitych uszczypliwości, aby obrazić znienawidzoną przez siebie żonę wuja Hanifa, aktorkę filmową. Również wtedy obsadzono mnie w roli ducha w dzieciennym przedstawieniu i w starym skórzanym neseserze na almarii dziadka znalazłem prześcieradło nadgryzione przez mole, chociaż największa dziura została wycięta przez człowieka: to odkrycie przypląciłem (jak pamiętacie) wybuchem gniewu dziadków.

Wyniosłem stamtąd wszakże jedną korzyść. Zaprzyjaźniłem się z rykszarzem Raszidem (tym samym, co to w młodości wrzeszczał bezgłośnie na poletku kukurydzy i pomógł Nadirowi Chanowi ukryć się w toalecie Aadama Aziza): on też wziął mnie pod swoje skrzydła – zresztą bez wiedzy rodziców, bo by mi na pewno zabronili, mając w pamięci mój tak niedawny wypadek – i nauczył mnie jeździć na rowerze. Przed wyjazdem chowałem skrętnie tę tajemnicę wraz z innymi: tyle że tej jednej tajemnicy nie miałem zamiaru ukrywać zbyt długo.

...A w pociągu do domu naszego przedziału znów czepiały się głosy: – Ohe, maharadzo! Otwórz, łaskawco! – głosy gapowiczów zmagające się z tymi, których chciałem słuchać, z nowymi głosami w mojej głowie – i powrót na Dworzec Centralny w Bombaju, jazda do domu obok toru wyścigowego i świątyni, ale już Evelyn Lilith Burns domaga się, żebym dokończył najpierw jej sekwencję, zanim przejdę do spraw wyższych.

– I znów u siebie! – woła Małpka. – Hurra... Dom-w-Bom!

(Małpka jest w niełasce. W Agrze podpaliła buty generała.)

Dokumenty świadczą, że Komisja Do Spraw Reorganizacji Stanów przedstawiła swój raport panu Nehru jeszcze w październiku 1955 r.; rok później uchwała weszła w życie. Indie podzielono od nowa na czternaście stanów i sześć „terytoriów” zarządzanych centralnie. Jednakże granic stanów nie wyznaczały rzeki ani góry, ani żadne inne cechy ukształtowania terenu; wyznaczały je natomiast mury słów. Podzieliły nas języki: Kerała była dla ludzi mówiących malajalam, jedynym językiem świata o palindromicznej nazwie; w Karnatace trzeba było mówić po kanaryjsku; amputowany zaś stan Madras – znany dzisiaj jako Tamil Nadu – skupił aficionados języka tamilskiego. Przez przeoczenie wszak nie podjęto żadnych kroków w sprawie stanu Bombaj; toteż w mieście Mumbadewi marsze językowe stały się dłuższe i hałaśliwsze, aż wreszcie przekształciły się w partie polityczne, Samjukta Maharashtra Samiti (Zjednoczoną Partię Maharasztry), która opowiedziała się za językiem marackim i żądała stworzenia z półwyspu Dekan stanu Maharasztra, oraz Maha Gudżarat Pariszad (Wielką Partię Gudżaratu), która maszerowała pod sztandarem języka gudżarati i wymarzyła sobie stan na północ od miasta Bombaj po półwysep Kathijawar i Ran Kaćh... Aż mnie rozgrzewa ta zimna historia dawno przebrzmiałych walk między surową kanciastością Marathów, zrodzoną w palącym skwarze Dekanu, a błotnistą, kathijawarską rozlazłością Gudżaratczyków, żeby wyjaśnić, dlaczego pewnego lutowego dnia w roku 1957, tuż po naszym powrocie z Agry, Posiadłość Methwolda została odcięta od miasta potokiem skandującej ludności, który zalał Warden Road, nawet bardziej niż monsunowe deszcze, procesją tak długą, że przechodziła tamtędy dwa dni, a potem powiadano, iż pomnik Śiwadźiego ożył i ruszył z kamienną twarzą na jej czele. Demonstranci nieśli czarne flagi; wielu z nich to sklepikarze, którzy zamknęli swe sklepy na czas hartalu; wielu to strajkujący włókniarze z Mazagaon i Matungi; ale my, na naszym pagórze, nie mieliśmy pojęcia o ich protestach; nas, dzieci, ten tasiemcowy pochód mrówek, defilujący Warden Road, przyciągał równie magnetycznie, jak żarówka przyciąga ćmę. Była to manifestacja tak potężna, tak przejmująca w swojej żarliwości, że wszystkie poprzednie marsze uleciały nam z głów, jak gdyby nigdy się nie zdarzyły – no i wszyscy dostaliśmy absolutny zakaz schodzenia z pagóra, żeby bodaj rzucić okiem. Kto więc okazał się najodważniejszy? Kto nas namówił, żeby się zakraść przynajmniej w pół drogi do miejsca, w którym ze stromego zakola drogi na pagórze widać było agrafkowy zakręt Warden Road? Kto powiedział: – Czego tu się bać? Przecież zejdziemy tylko w pół drogi, żeby zerknąć? – ... Nieposłuszni Indianie z rozwartymi szeroko oczyma podążyli w ślad za swoim piegowatym amerykańskim wodzem. (– Tacy manifestanci zabili doktora Narlikara – przestrzegł nas drżącym głosem Pomada. Evie splunęła mi na buty.)

Ale ja, Salim Sinai, chciałem przy tej okazji upiec inną pieczeń.

– Evie – spytałem niby to mimochodem – chcesz zobaczyć, jak jeżdżę na rowerze?

Brak odpowiedzi. Evie była pochłonięta widowiskiem... i czy to jej odcisk palca widniał w lewym wklęśnięciu pokleszczowym Sonny Ibrahima, dostrzegalny w wazelinie przez cały świat? Ponowiłem prośbę nieco dobitniej.

– Już umiem, Evie. Pokażę ci na rowerze Małpki. Chcesz popatrzeć?

Na co Evie z całym okrucieństwem:

– Przecież patrzę na co innego. Kapitalne widowisko. Po co bym miała patrzeć na ciebie?

Wtedy ja, już nieco płaczliwie:

– Bo się nauczyłem jeździć. Musisz zobaczyć, Evie...

Moje słowa toną w jazgocie dobiegającym z Warden Road. Evie stoi odwrócona do mnie

plecami; podobnie jak Sonny, Okruchoka i Pomada; Cyrus Wielki też mi pokazuje intelektualne tyły... moja siostra, która tak samo dostrzegła odcisk palca i ma kwaśną minę, podbechtuje mnie: – No, dalej. Dalej, pokaż jej. Za kogo ona się uważa?– Więc już z jej roweru... – Evie, patrz, jadę! – Zataczam kręgi wokół gromadki dzieci: – Widzisz? No, widzisz? – Chwila tryumfu; i wtedy Evie, prychając tonem zniecierpliwionego lekceważenia: – A zejdź ty mi, do jasnej Anielki, z drogi! Chcę patrzeć na tamto! – Palec, obgryziony paznokciec i reszta, dźga w kierunku marszu językowego; dostaję kosza na rzecz pochodu Samjukta Maharasztra Samiti! I to mimo Małpki, która lojalnie woła: – To nie fair! On sobie nieźle radzi! – pomimo uniesienia radością-samą-w-sobie coś we mnie wstępuje; jeżdżę wokół Evie, szybciej szybciej szybciej, płacząc smarkając bez umiaru: – Więc jak to z tobą w końcu jest? Co muszę zrobić, żeby... – I wtedy coś bierze nade mną górę, bo uświadamiam sobie, że nie muszę jej pytać, dość mi po prostu wskoczyć do tej piegowatej pełnej-metalu-w-buzi głowy, żeby się dowiedzieć, wreszcie naprawdę mogę się dowiedzieć, o co tu chodzi... toteż wskakuję, nie przestając jeździć na rowerze, ale na powierzchni myśli kłębią się tylko demonstranci opowiadający się za językiem Marathi, w kącikach głowy kołaczą się amerykańskie piosenki pop, nic tu po mnie; i teraz, dopiero teraz, po raz pierwszy, wiedziony łzami nie odwzajemnionej miłości, zaczynam drążyć... nacieram, nurkuję, napieram na jej linie obrony... do tajemnego zakątka, gdzie kryje się obraz jej matki w różowym szlafroku, jak trzyma za ogon małą rybkę, a ja myszkuję głębiej głębiej głębiej, no gdzie to jest, dlaczego aż drgnęła, jakby przeszły ją ciarki, odwraca się z impetem i gapi się na mnie, kiedy tak pedałuję wkołowkołowkołowko...

– Wynocha – krzyczy Evie Burns. Łapie się za głowę. Ja zaś na rowerze, z wilgotnymi oczyma szperam dalej dalej dalej: gdzie Evie stoi na progu wykładanej boazerią sypialni i trzyma... trzyma ostry, lśniący przedmiot, ścieka z niego czerwień, w progu... o, Boże, a na łóżku kobieta, która... w różowym... o, Boże, a Evie trzyma... i czerwień plami róż, wchodzi mężczyzna... o, Boże, i wtedy... nie nie nie nie nie... – WYNOCHA WYNOCHA WYNOCHA!

Zdumione dzieci patrzą, jak Evie krzyczy, zapominają całkiem o marszu językowym, ale wnet znów sobie przypomną, bo Evie łapie rower Małpki EVIE CO ROBISZ popycha A MASZ WYNOŚ SIĘ ŁOBUZIE WYNOŚ SIĘ DO DIABŁA! – Popchnęła mnie co siłą, a ja straciwszy nad nim panowanie staczam się po zboczu, przecinam agrafkowy zakręt wdółwdół, O BOŻE TEN MARSZ obok pralni Band Box, obok Willi Nur i Willi Lakszmi, A AA AA prosto w paszczę pochodu, głowy nogi ciała, fale maszerujących rozstępują się na mój widok i wpadam drąc się jak opętany w sam środek historii na rozpedzonej damce.

Ręce chwytają za kierownicę, kiedy wytracam pęd w rozognionym tłumie. Otaczają mnie uśmiechy pełne zdrowych zębów. Ale nie są to bynajmniej uśmiechy przyjazne. – Patrzcie, patrzcie, mały lord-sahib zjechał tu ze swojej wielkiej bogatej góry, żeby się do nas przyłączyć!

I to po maracku, ledwo więc rozumiem, bo ten język idzie mi najgorzej ze wszystkich przedmiotów w szkole, a uśmiechy pytają:

– Chcesz wstąpić do SMS, książątko?

Na co ja, chociaż słabo chwytam, o czym mowa, na tyle jednak oszołomiony, żeby mówić prawdę, potrząsam przecząco głową. Następują uśmiechy:

– Oho! Młody nabab nie lubi naszego języka! A jaki lubi?

I kolejny uśmiech:

– Może gudżarati! Znasz gudżarati, lordzie?

Tyle że mój gudżarati był równie kiepski jak maracki; znałem tylko jedno powiedzonko w bagiennym języku Kathijawaru; ale uśmiechy nagabują, palce szturchają.

– No, mów, paniczu! Powiedz coś w gudżarati!

No to im powiedziałem, co wiedziałem, dwuwiersz, którego się nauczyłem od Nalanego Keitha Colaco w szkole, bo go zawsze powtarzał, kiedy chciał dokuczyć gudżarackim chłopcom, dwuwiersz wymyślony dla ośmieszenia rytmiczności tego języka:

Su će? Saru će! Danda leke maru će!

Jak się masz? – Mam się świetnie! – To wezmę kija i wygrzmocę cię setnie! Ot, taka bzdurka; takie nic; dziewięć pustych słów... ale kiedy je wyrecytowałem, uśmiechy gruchnęły śmiechem; po czym głosy koło mnie, a potem coraz dalej i dalej podchwyciły moją rymowankę JAK SIĘ MASZ? MAM SIĘ ŚWIETNIE! i przestały się mną interesować: – Zabieraj się z tym rowerem, paniczudzi – szydzono ze mnie – BO WEZMĘ KIJA I WYGRZMOCE CIĘ SETNIE, uciekłem więc w te pędy na nasz pagór, a moja rymowanka niosła się w obie strony, na sam przód i na sam tył dwudniowej procesji, stając się pieśnią wojenną.

Tego popołudnia czoło pochodu Samjukta Maharasztra Samiti zderzyło się przy Kemp's Corner z czołem demonstracji Maha Gudżarat Pariszad; głosy SMS skandowały „Su će? Saru će!”, na co gardła MGP rozdarła wściekłość; pod afiszami radży reklamującego Air India i Skrzata Kolynosa obie grupy rzuciły się zażarcie na siebie, a zatem do wtóru mojej rymowanki rozpętała się pierwsza uliczna batalia językowa, piętnastu zabitych, ponad trzystu rannych.

Tak oto stałem się bezpośrednim sprawcą zamieszek, które zakończyły się podziałem stanu Bombaj, wskutek czego miasto zostało stolicą Maharasztry – czyli przynajmniej moja strona odniosła zwycięstwo.

Co się kryło w głowie Evie? Zbrodnia czy sen? Nigdy tego nie zdołałem dociec; nauczyłem się za to czegoś innego: jeżeli zajrzeć komuś głęboko do głowy, ten ktoś może odczuć obecność intruza.

Od tamtej pory Evelyn Lilith Burns nie chciała się ze mną zadawać; ale, o dziwo!, mnie to też uleczyło. (Właśnie kobiety wносиły zawsze zmiany w moje życie: Maria Pereira, Evie Burns, Dżamila Śpiewaczka, Parwati-czarodziejka ponoszą odpowiedzialność za to, kim jestem; no i Wdowa, którą trzymam na sam koniec; już zaś po końcu – Padma, moja bogini łajna. Kobiety ustawiły mnie, a jakże, lecz może nigdy nie odgrywały centralnej roli – może miejsce, które powinny były zapełnić, dziurę w samym środku ciała, spadek po dziadku, Aadamie Azizie, zbyt długo zajmowały moje głosy. A może – bo wypada rozważyć wszystkie ewentualności – zawsze się ich trochę bałem.)

Moje dziesiąte urodziny

– Eh, panie, co tu gadać? Wszystko to moja nieszczęsna wina! Padma wróciła. A teraz, gdy się ocknałem z działania trucizny i znów zasiadłem do biurka, Padma jest zanadto podminowana, żeby siedzieć cicho. Mój powrócony lotos ciska się bez ustanku, bije w swe wybujale piersi, wykrzykuje co tchu w płucach. (W tym moim kruchym stanie dosyć mi to doskwiera; ale nie żywię do niej pretensji.)

– Uwierz tylko, panie, jak bardzo mi twoje dobro leży na sercu! Że też my, kobiety, ani przez chwilę nie zaznamy wytchnienia, kiedy naszych mężczyzn powali jakoweś paskudne choróbsko... nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jesteś zdrow!

Opowieść Padmy (jej własne słowa, odczytane jej na głos dla potwierdzenia, nie bez przewracania oczami, wykrzykiwania, grzmocenia się w biust): – Zaś tylko głupia duma i próżność, Salim baba, kazały mi od ciebie uciec, chociaż praca tu pierwszorzędna, a tobie tak bardzo trzeba opieki! Ale zarusieńko aż mi się cknęło do powrotu.

No, ale sobie pomyślałam, jak tu wracać do człowieka, który mnie nie pokocha, a furt będzie ślęczał nad tą głupią pisaniną? (Wybacz, Salim baba, ale muszę opowiedzieć po prawdzie, jak było. A kochanie dla nas, kobiet, to najważniejsza sprawa.)

No to się wybrałam do świątobliwego męża, który mnie pouczył, co robić. No więc za te kilka pajsów, co to je miałam przy duszy, pojechałam autobusem za miasto rozpatrzyć się za ziołami, żeby nimi obudzić z uspienia twoją męskość... zmiarkuj sobie, mój panie, wypowiedziałam czarodziejskie zaklęcie: „O, ziele, byki cię stąd wyrwały z korzeniami!” Potem zmełłam te zioła w wodzie z mlekiem i rzekłam: „O, władne i namiętne ziele! Roślino, którą Waruna wykopał dla niego rękoma Gandharwy! Przelej swą moc w mojego pana Salima. Rozpal go ogniem Indry. Niczym samiec antylopy masz ty, o ziele, wszelaką siłę, jaka tylko jest, masz moce Indry i namiętność dzikiego zwierza”.

Po tych przygotowaniach wróciłam i zastałam cię jak zwykle w samotności i jak zwykle z nosem w papierzykach. Ale przysięgam, że zazdrość już mi przeszła; bo ta przylepia się tylko człowiekowi do twarzy i ją postarza. O, przebacz mi, dobry Boże, ukradkiem jęłam ci dosypywać tego przyrządzenia dojadła!... I wtedy, hai-hai, niech mi niebiosy wybaczą, toż ze mnie tylko ciemna kobieta, skoro mi tak powiada świątobliwy mąż, jakże mi biednej mu się przeciwstawić?... Ale teraz przynajmniej wracają ci siły, dzięki Ci, Boże Miłosierny, i może się na mnie nie pogniewasz.

Pod wpływem mikstury Padmy zamroczyło mnie na cały tydzień. Mój lotos-łajna zaklina się (zgrzytając przy tym zębami), że leżałem sztywny jak deska, tylko bańki szły mi z ust. Miałem też gorączkę. W zamroczeniu bredziłem o węzach; ale wiem przecież, że Padma nie jest wężem i że nie miała mnie zamiaru skrzywdzić.

– To kochanie – wykrzykuje Padma – może kobietę doprowadzić do szaleństwa.

Powtarzam: nie mam do Padmy pretensji. U podnóża Ghatów Zachodnich szukała ziela na potencję: *mucuna pruritus* i korzenia *feronia elephantum*; kto wie, co znalazła? Kto wie, co takiego, rozpuszczonego w mleku i zmieszanego z moim jadem, wprawiło mi trzewia w stan kipieli, z której, jak wiadomo wszystkim znawcom hinduskiej kosmologii, Indra stworzył materię, beltając pierwotną zupę w kipieli Wielkiej Maselnicy? Mniejsza o to. Miała szlachetny zamiar; tyle że mnie nic już nie uratuje – Wdowa załatwiła mnie na cacy. Nawet

prawdziwa *mucuna* nie położy kresu mojej niemożności; nawet *feronia* nie wykrzesze ze mnie „namiętności dzikiego zwierza”.

Tak czy owak, znów siedzę za stołem; a Padma znów siedzi u mych stóp i nie przestaje mnie naglić. Znowu odzyskałem równowagę – podstawa mojego trójkąta równoramiennego jest niezachwiana. Krążę u wierzchołka nad terażniejszością i przeszłością, czuję, jak wartkość wraca mi do pióra.

Zadziałała więc czarnoksięska magia; a wyprawa Padmy po napój miłosny przybliżyła mi przelotnie świat starożytnych mądrości i domenę czarnoksiężników, dziś tak przez większość z nas pogardzanych; jednakże (mimo bólów brzucha, gorączki i piany na ustach) cieszę się z tej ingerencji w moje ostatnie dni, gdyż kontemplacja tych światów pozwala mi odzyskać, bodaj w małym stopniu, utracone poczucie miary.

Proszę tylko pomyśleć: historia w mojej wersji wkroczyła w nową fazę 15 sierpnia 1947 roku – w innej jednak wersji ta nieodwołalna data oznacza jedynie przelotne mgnienie Wieku Ciemności, kali-juga, w którym krowa prawa moralnego musi stać chwiejnie na jednej nodze! Kali-juga – przegrany rzut w naszej narodowej grze w kości; najgorsze, co się może zdarzyć; wiek, w którym majątek daje ludziom pozycję, w którym stan mienia równa się cnotcie, w którym jedyna więź mężczyzny z kobietą opiera się na namiętności, w którym fałsz niesie sukces (cóż więc dziwnego, że w taki czas mnie samemu dobro pomieszało się ze złem?)... zaczął się w piątek, 18 lutego 3102 p.n.e.; i będzie trwał, drobnostka, 432 000 lat! Już jakby skarłały na samą myśl o tym, muszę wszakże dodać, że Wiek Ciemności to zaledwie czwarta faza obecnego cyklu mahajuga, który w sumie trwa dziesięciokrotnie dłużej; a zważywszy, że dopiero tysiąc cykli mahajuga składa się na jeden jedyny „dzień Brahmy”, zrozumiesz od razu, co mam na myśli mówiąc o mierze.

Nie zawadzi tu, jak sądzę, odrobina pokory (kiedy tak cały drzę tuż przed wprowadzeniem Dzieci).

Padma zażenowana zmienia pozycję.

– Co ty wygadujesz? – pyta rumieniąc się z lekka. – Tak mówią bramini; co to ma wspólnego ze mną?

... Urodzony i wychowany w tradycji muzułmańskiej, czuję się naraz owładnięty jeszcze starszymi mądrościami; tymczasem przy moim boku siedzi Padma, której powrotu tak gorliwie wypatrywałem... moja Padma! Bogini lotosu; Szafarka Łajna; Miodopodobna, Całaze-szczerego-złota; której synowie to Wilgoć i Błoto...

– Ani chybi masz jeszcze gorączkę – przygaduje mi z chichotem. – Jak to ze złota, mój panie? No i wiesz przecież, że nie mam dzie...

...Padma, którą obok jakszów uosabiających święte skarby ziemi, obok świętych rzek, Gangi Jamuny Saraswati, a także obok bogiń drzew, trzeba zaliczyć w poczet Strażników Życia, co to mamia i pocieszają zwykłych śmiertelników, kiedy ci przechodzą przez złudną zasłonę mai... Padma, kielich Lotosu, który wyrósł z pępka Wisznu i z którego zrodził się sam Brahma; Padma źródło, matka Czasu!... – Ejże – woła zafrasowana – daj no, pomacam ci czoło!

...I gdzie w tym układzie jestem ja sam? Czy jestem (omamiony i pocieszony jej powrotem) zwykłym śmiertelnikiem – czy też kimś więcej? Na przykład – no właśnie, a jakże – z tą moją mamucią trąbą, nosem Ganeśi – może samym Słoniem. Który niczym księżyc Sin sprawuje władzę nad wodami, przynosząc w darze deszcz... którego matką była królowa Ira, małżonka Kaśjapy, Pradawnego Człowieka-Żółwia, pana i antenata wszelkiego stworzenia na ziemi... Słoniem, który jest zarazem tęczą i błyskawicą, a którego wartość symboliczna,

należy dodać, jest wysoce problematyczna i niejasna.

No cóż: ulotny jak tęcza, niezbadany jak błyskawica, gadatliwy jak Ganeśa, najwyraźniej mam przecież swoje miejsce w starożytnej mądrości.

– Boże ty mój – Padma pędzi zwilżyć ręcznik w zimnej wodzie – ale masz rozpalone czoło! Kładź mi się zaraz; za wcześnie jeszcze na to twoje pisarstwo! To choroba przez ciebie przemawia, a nie ty sam.

Przecież straciłem już cały tydzień; a więc gorączka, nie gorączka trzeba mi brnąć naprzód; bo wyczerpawszy (na razie) zasoby starodawnego bajkoplecenia dochodzę do niewiarygodnego sedna mojej opowieści, muszę więc napisać wprost i bez obłonek o dzieciach północy.

Pojmij, co powiadam: w pierwszej godzinie 15 sierpnia 1947 roku – między północą a pierwszą nad ranem – ni mniej, ni więcej tylko tysiąc jeden dzieci urodziło się w granicach niemowłeczego, niepodległego kraju Indie. W samym tym fakcie nie ma nic nadzwyczajnego (pominąwszy dziwnie znajomy wydźwięk tej liczby) – podówczas narodziny w naszej części świata przewyższały liczbę zgonów o jakieś sześćset osiemdziesiąt siedem na godzinę. Godna jednak odnotowania (godna odnotowania! To dopiero beznamiętne wyrażenie!) była natura owych dzieci, gdyż każde wskutek wynaturzenia biologicznego, a może wskutek nadnaturalnej mocy chwili, a może przez czysty przypadek (choć synchroniczność na taką skalę zdumiałaby samego CG.Junga) zostało obdarzone cechami, zdolnościami bądź umiejętnościami, które da się jedynie określić mianem nadprzyrodzonych. Zupełnie jak gdyby – jeżeli zezwolisz mi na chwilę fantazji w tej skądinąd, przyrzekam, najbardziej obiektywnej relacji, na jaką mnie stać – jak gdyby historia w momencie najwyższej wagi i obietnicy zapragnęła w tej właśnie chwili zasiać ziarno przyszłości, które by się zasadniczo różniło od wszystkiego, co świat do tamtej pory widział.

Nawet jeżeli podobny cud zdarzył się za granicą, w świeżo wydzielonym Pakistanie, to nic mi o tym nie wiadomo; moje wizje z tamtego okresu nie wykraczały poza Morze Arabskie, Zatokę Bengalską, Himalaje, a także sztuczne granice rozdzierające Pendżab i Bengal.

Jak to w życiu bywa, pewna liczba tych dzieci nie przetrwała. Niedożywienie, choroby i nieszczęścia dnia codziennego zabrały aż czterysta dwadzieścioro, zanim dowiedziałem się o ich istnieniu; chociaż można domniemywać, że ich śmierć też była celowa, gdyż od niepamiętnych czasów liczba 420 kojarzy się z szalbierstwem, oszustwem i fortelami. Czy więc możliwe, że stracone bezpowrotnie dzieci wyeliminowano z gry, bo nie pasowały do reszty, a zatem nie były prawdziwymi dziećmi północnej godziny? Po pierwsze, to już kolejna wycieczka w sferę fantazji; po drugie, zależy od poglądu na życie, który jest zarazem nadmiernie teologiczny i barbarzyńsko okrutny. A ponadto, jest to pytanie bez odpowiedzi; zatem wszelkie dalsze rozważania na nic się nie zdadzą.

W roku 1957 pozostałe przy życiu pięćset osiemdziesiąt jeden dzieci zbliżało się do swych dziesiątych urodzin, przeważnie nic zgoła nie wiedząc o istnieniu reszty – chociaż zdarzyły się, rzecz jasna, wyjątki. W mieście Baud nad rzeką Mahanadi w stanie Orissa mieszkała para bliźniaczek, które już okryły się legendą w całej okolicy, bo mimo swojej niepomiernej brzydoty obie posiadały tę zdolność, że na ich widok każdy mężczyzna od razu się beznadziejnie zakochawał, do samobójstwa włącznie, toteż stropionych rodziców ustawicznie nękał strumień kawalerów starających się o rękę jednej lub nawet obu zdumiewających latorośli; ciągnęli starcy, którzy poniechali mądrości własnych bród, i młodzieńcy, którzy powinni tracić głowy dla aktorek z teatryku wędrownego, co zjawiał się w Baud raz na miesiąc; ciągnęła też do nich inna, znacznie kłopotliwsza procesja skrzywdzonych rodzin,

które przeklinały owe bliźniaczki za to, iż tak zauroczyły ich synów, że ci targnęli się na siebie, posuwając się do samookaleczenia, samobiczowania, a nawet (w jednym wypadku) do złożenia własnego życia w ofierze. Wyjąwszy jednak te nader rzadkie przypadki, dzieci północy rosły nieświadome swojego prawdziwego rodzeństwa, swoich współwybrańców żyjących jak długi i szeroki, nieociosany i źle wyważony romb Indii.

I raptem za sprawą wstrząsu doznanego w wypadku rowerowym ja, Salim Sinai, zdałem sobie sprawę z ich istnienia.

Tym wszystkim, którym sztywny światopogląd nie zezwala się pogodzić z tymi faktami, chciałbym powiedzieć jedno: tak było, a od prawdy nie ma odwołania. Najwyżej będę musiał znieść brzemię niewiary wątpiących. Ale żadnemu umięjącemu czytać mieszkańcowi naszych Indii nie może być obcy ten typ sensacji, który zacząłem właśnie przed wami roztaczać – ani jeden czytelnik prasy krajowej nie mógł przeoczyć – fakt, że mniej fantastycznych – czarodziejskich dzieci i doborowych cudaków. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu znalazł się pewien chłopiec z Bengalu, który ogłosił się wcieleniem Rabindranatha Tagore i zaczął recytować z głowy przepiękne wiersze ku zaskoczeniu swoich rodziców; a ja sam przypominam sobie dzieci o dwu głowach (czasem jednej ludzkiej, a drugiej zwierzęcej) i z innymi dziwacznymi cechami, takimi jak wole rogi.

Przyznaję od razu, że nie wszystkie zdolności owych dzieci były pożądane, chociażby przez nie same; w niektórych wypadkach dzieci pozostały przy życiu, pozbawione wszakże zyskanych owej północy darów. Na przykład (w charakterze opowieści do pary z historią bliźniaczek z Baud) chciałbym przypomnieć małą żebraczkę z Delhi zwaną Sundari, która rodziła się na ulicy, tuż za budynkiem Głównego Urzędu Pocztowego, opodal owego dachu, gdzie Amina Sinai wysłuchiwała Ramrama Setha, a której piękność była tak wielka, że w chwilę po urodzeniu oślepiła jej matkę i sąsiadki asystujące przy położeniu; jej ojciec wpadł do pokoju na krzyk kobiet, ale zdążyły go w porę ostrzec; wszelako jedno przelotne spojrzenie na córkę tak poważnie osłabiło mu wzrok, że przestał odróżniać Hindusów od turystów zagranicznych, co wielce uszczupliło jego żebrackie źródło dochodów. Przez jakiś czas Sundari musiała zasłaniać twarz strzępem tkaniny; aż dopiero jej stara i bezwzględna cioteczna babka wzięła ją w swe kościste ręce i ciachnęła dziewięć razy nożem kuchennym po twarzy. Kiedy zdałem sobie sprawę z istnienia Sundari, zarabiała ona wcale nieźle na życie, bo każdy, kto na nią spojrzał, musiał się ulitować nad dziewczyną, która niegdyś była zbyt piękna, żeby na nią patrzeć, a teraz została tak okrutnie zeszpecona; dostawała zatem większe datki niż ktokolwiek z jej rodziny.

Ponieważ żadne z dzieci nie podejrzewało, że pora narodzin ma jakiś związek z ich tożsamością, to odkrycie zabrało mi sporo czasu. Z początku, po wypadku rowerowym (zwłaszcza, odkąd marsze językowe oczyściły mnie z Evie Burns) napawałem się odkrywaniem kolejno tajemnic owych magicznych istot, które zjawyły się naraz w polu widzenia mojego umysłu, kolekcjonowałem je namiętnie, tak jak czasem chłopcy kolekcjonują owady, a inni wypatrują przejeżdżających pociągów; straciwszy wszelkie zainteresowanie sztambuchami i innymi przejawami instynktu zbieractwa, kiedy tylko mogłem, dawałem nura w znacznie ciekawszą rzeczywistość pięciuset osiemdziesięciu jeden istot. (Dwustu sześćdziesięciu sześciu z nas to byli chłopcy; przerastała nas liczebnie płeć przeciwna – trzysta piętnaście dziewczyn, a wśród nich Parwati. Parwati-czarodziejka.)

Dzieci północy!... W Kerali mieszkał chłopiec, który posiadał dar wchodzenia w lustra i wyłaniania się w każdej odbijającej światło powierzchni na ziemi – przez jeziora i (z nieco większym wysiłkiem) przez wypolerowane metalowe karoserie samochodów... dziewczyna z

Goa potrafiła rozmnażać ryby... no i dzieci o zdolnościach przeobrażeniowych: wilkołak z gór Nilgiri, a z wielkiego zlewiska gór Windhaja chłopiec, który rósł bądź też malał wedle woli, czym zdołał już (psotliwie) spowodować niemały strach i pogłoski o powrocie wielkoludów... w Kaszmirze żyło błękitnookie dziecko, którego płci nigdy nie byłem pewien, bo przez zanurzenie w wodzie on (lub też ona) potrafił ją zmienić wedle własnego (jej lub też jego) życzenia. Jedni z nas nazywali to dziecko Naradą, inni Markandeją, zależnie od tego, którą starą baśń o metamorfozie płci każde z nas zasłyszało... opodal Dżalny w samym sercu spieczonego płaskowyżu Dekanu odnalazłem wyczarowującego wodę młodziana, a w Badź-Badź pod Kalkutą dziewczynę z niewyparzoną gębą, której słowa już miały moc zadawania ran fizycznych, toteż gdy kilkoro dorosłych krwawiło obficie wskutek pewnych barbarzyńskich odzywek, jakie padły mimochodem z jej ust, postanowiono zamknąć ją w bambusowej klatce i puścić z nurtem Gangesu do dżungli Sundarbanów (prawowitej siedziby potworów i widm!); nikt jednak nie ośmielił się do niej zbliżyć, toteż dziewczyna włóczyła się po mieście otoczona próżnią strachu; nikt nie śmiał odmówić jej jedzenia. Był też chłopak, który jadł żelazo, i dziewczyna o tak zielonych palcach, że mogłaby hodować konkursowe bakłazany na pustyni Thar; i wielu, wielu innych... odurzony ich liczbą i egzotyczną wielorakością darów, w tym wczesnym okresie nie zwracałem zbyt uwagi na ich zwykłe cechy charakteru; lecz kiedy zaczęły się wyłaniać problemy, okazało się, że są to codzienne, ludzkie problemy, wynikłe z konfliktu osobowości i otoczenia: kiedy się kłóciliśmy, byliśmy najzwyczajniej w świecie bandą dzieciaków.

Jeden fakt zasługuje na uwagę: im bliżej północy nastąpiły czyjeś urodziny, tym większymi ten ktoś był obdarzony talentami. Dzieci powite w ostatnich sekundach owej godziny wyrosły (prawdę powiedziawszy) za ledwie na cyrkowe cudaki: dziewczęta z brodami, chłopiec o wydolnych w pełni skrzelach słodkowodnej ryby mahasir, bliźniaki syjamskie o dwóch tułowiach uczeplonych jednej szyi i głowy – głowa mówiła dwoma głosami, męskim i żeńskim, i to wszystkimi językami oraz dialektami spotykanymi na subkontynencie; ale przy całej swej wyjątkowości byli to nieszczęśnicy, żywe ofiary owej magicznej godziny. Pół godziny po północy trafiały się ciekawsze i bardziej przydatne zdolności – w puszczy Gir mieszkała mała czarownica, uzdrawiająca samym dotykiem, a w Szilongu mieszkał syn zamożnego plantatora herbaty, którego spotkało takie dobrodziejstwo (lub raczej dopust), że nie potrafił zapomnieć niczego, co zobaczył bądź usłyszał. Natomiast dla dzieci urodzonych w pierwszej minucie – o, dla tych dzieci owa godzina zarezerwowała najwyższe talenty, o jakich śniło się człowiekowi. Gdybyś więc, Padmo, posiadała rejestr narodzin z odnotowanym co do sekundy czasem przyjścia na świat, też byś wiedziała, który potomek wielkiego rodu z Lakhnau (urodzony dwadzieścia jeden sekund po północy) już w wieku dziesięciu lat w pełni opanował zapomnianą sztukę alchemii, dzięki czemu przywrócił swojej rodzinie pradawny, aczkolwiek roztrwoniony majątek; córka którego dhobi z Madrasu (siedemnaście sekund po) gdy tylko zamknęła oczy, wzbijała się wyżej niż jakikolwiek ptak; i który to syn złotnika z Benaresu (dwanaście sekund po) otrzymał dar podróżowania w czasie, umiał zatem przepowiadać przyszłość, a także objaśniać przeszłość... chociaż byliśmy tylko dziećmi, wierzyliśmy mu święcie, kiedy mówił o sprawach minionych i przebrzmiałych, ale wyśmiewaliśmy, kiedy nas przestrzegał przed naszym własnym końcem... na szczęście, taki wykaz nie istnieje; ja zaś zataję albo na pozór ujawniając zafałszuję ich imiona czy nawet miejsca zamieszkania; wprawdzie takie dane niezaprzeczalnie dowiodłyby mojej prawdomówności, lecz teraz, po tym wszystkim, wypada dzieci północy zostawić w spokoju; może nawet zapomnieć; choć ja żyję (a może tylko łudzę się) nadzieją, że będę pamiętał...

Parwati-czarodziejka urodziła się w Starym Delhi w dzielnicy ruder, które przycupnęły wokół stopni wiodących do meczetu piątkowego. Nie była to zwykła dzielnica nędzarzy, chociaż budy sklecone ze starych skrzynek, kawałków blachy falistej i strzępów worków jutowych, gnieźdzące się bezładnie w cieniu meczetu, nie różniły się z wyglądu od innych baraków biedoty... było to bowiem getto kuglarzy, tak, ta sama dzielnica, która niegdyś wydała na świat Kolibra, co to go zadzgały noże, a bezpańskie psy nie zdołały ocalić... budy sztukmistrzów, dokąd bez przerwy napływali najwięksi fakirowie, prestidigitatorzy i iluzjoniści z całego kraju, aby szukać szczęścia w stolicy. Znajdowali natomiast blaszane rudery, naloty policji i szczury... ojciec Parwati był ongiś największym sztukmistrzem w Awadhu; wyrosła zatem pośród brzuchomówców, którzy sprawiali, że kamienie opowiadały dowcipy, akrobatów jak z gumy, którzy chwyтали ustami własne nogi, połykaczy ognia, którzy puszczali płomień zadkiem, i tragicznych kłownów, którzy wyciskali sobie szklane łyż z kącików oczu; stała obojętnie wśród tłumów obserwujących z zapartym tchem, jak ojciec przeszywa jej sztyletami na wylot szyję; a przez cały ten czas strzegła własnej tajemnicy, przewyższającej wszelkie figle-migle otaczających ją iluzjonistów; albowiem Parwati-czarodziejka, urodzona 15 sierpnia zaledwie siedem sekund po północy, otrzymała moc prawdziwej adeptki, iluminację, autentyczny dar czarnoksięstwa i magii, sztukę nie wymagającą żadnych sztuczek.

Zatem dzieci północy dysponowały zdolnościami przeobrażeń, fruwania, wróżenia i czarów... ale tylko dwóch z nas urodziło się punkt o północy. Salim i Siwa, Siwa i Salim, nos i kolana i kolana i nos... Siwę godzina ta wyposażyła w cechy wojownika (w przymioty Ramy, który napiął nienapinalny łuk; w waleczność Ardżuny i Bhimy; w męstwo prastarych Kaurawów i Pandawów połączone nieprzejednanie w jego osobie!)... a mnie w największy dar ze wszystkich – wgląd w serca i umysły ludzkie.

Mamy jednak wiek kali-juga; dzieci owej godziny ciemności poczęły się niestety w erze ciemności; chociaż więc bez trudu przychodziła nam błyskotliwość, zawsze mieliśmy kłopoty z rozpoznawaniem dobra.

No i proszę; wreszcie powiedziałem. Oto kim byłem – kim byliśmy wszyscy.

Padma ma minę, jakby jej umarła matka – usta chwytają powietrze, składają się w pyszczek wyrzuconej na brzeg jaskółki morskiej. – O, baba – odzywa się w końcu. – O, baba! Jesteś chory, coś ty powiedział?

Nie, to by było za proste. Ani myślę ukrywać się pod płaszczkiem choroby. Nie da się tak łatwo złożyć tego, co tu właśnie wyjawilem, na karb majaków; ani też uznać za obłąkańczo rozbuchane wymysły samotnego, brzydkiego dziecka. Nadmienilem już wcześniej, że nie mówię bynajmniej metaforycznie; to, co przed chwilą napisałem (i odczytałem na głos oszołomionej Padmie) to ni mniej, ni więcej tylko szczerą, klnę-się-na-głowę-matki, prawdą.

Rzeczywistość miewa metaforyczne treści; przez co wcale nie traci na realności. Urodziło się tysiąc jeden dzieci; zaistniało tysiąc jeden możliwości, które nigdy przedtem nie otworzyły się w jednym miejscu, o jednej porze; a zarazem tysiąc jeden ślepych zaułków. Zależnie od punktu widzenia dzieci północy mogą uosabiać różne rzeczy: można w nich widzieć ostatni przejaw staroświeckości i zacofania naszego podszytego mitami społeczeństwa, którego porażka była nader pożądana w kontekście modernizującej się dwudziestowiecznej gospodarki; lub też prawdziwą nadzieję na wolność, która została raz na zawsze zniweczona; tylko pod żadnym pozorem nie wolno ich uważać za dziwaczny wykwit błędzącej, chorobliwej wyobraźni. Nie: ni jedno, ni drugie, nie jest chorobą.

– No dobrze, już dobrze, baba – próbuje mnie udobruchać Padma. – Czego się tak od razu

złościć? Odpocznij, mówię, odpocznij ździebko, o nic więcej nie proszę.

Okres poprzedzający moje dziesiąte urodziny z pewnością niósł w sobie halucynacje; ale te halucynacje nie były moim wytworem. Mój ojciec, Ahmed Sinai, pod wpływem zdradzieckiej śmierci doktora Narlikara i rosnącej siły dzinnów-z-tonikami, uciekł w zatrwajająco nierzeczywisty świat marzeń; lecz największa pułapka jego powolnego zapadania się tkwiła w tym, że przez długi czas ludzie interpretowali to zgoła przeciwnie... Oto matka Sonny'ego, Nussie-kaczka, powiada pewnego wieczoru Aminie w naszym ogrodzie:

– Ale dla was nastały dobre dni, Amino siostró, teraz skoro twój Ahmed tak kwitnie! Co za wspaniały z niego mężczyzna, a jak zabiega o dobro rodziny!

Mówi głośno, żeby i ojciec usłyszał; a chociaż on niby to doradza ogrodnikowi, co ma zrobić z chorującą bugenwillą, chociaż przybiera wyraz twarzy zażenowanej skromnisi, nikogo nie oszuka, bo opasłe ciało zaczyna mu się samorzutnie nadymać i prężyć. Nawet Puruszottam, osowiały sadhu pod ogrodową pompą, ma zakłopotaną minę.

Mój niknący ojciec... przez blisko dziesięć lat zawsze przy śniadaniu, zanim się ogolił, miał dobry humor; ale kiedy zarost mu posiwił wraz z niknącym kolorem skóry, ta stała chwila radości przestała być pewnikiem; lecz nadszedł taki dzień, kiedy ojciec po raz pierwszy wybuchł przy śniadaniu. Zdarzyło się to w dniu, w którym podniesiono podatki, a jednocześnie obniżono pułap nieopodatkowania; ojciec cisnął gwałtownie „Times of India” i powiódł dokoła zaczerwienionymi oczyma, które widywałem u niego tylko w chwilach gniewu.

– To jeden wielki wychodek! – zagrmiał dość tajemniczo; jajko grzanka herbata aż zadygotały od tego porywu wzburzenia. – Człowiek podnosi koszulę i opuszcza spodnie! Żono, ten rząd po prostu ma nas w wychodku!

Na co matka płonąć rumieńcem przebijającym przez czerń skóry: – Dżanam, zmiłuj się, dzieci – ale on już wygarnął swoje, i tylko wyrobił we mnie silne przeświadczenie, co ludzie mają na myśli, kiedy mówią, że kraj się z nami załatwił.

Przez najbliższe tygodnie poranny podbródek ojca z wolna płowiał, a wraz z nim przepadło coś więcej niż tylko spokój przy śniadaniu: ojciec zapominał, jakim to był człowiekiem dawniej, przed zdradą Narlikara. Nastąpił zanik domowych rytuałów. Ojciec nie zasiadał już z nami do śniadania, toteż Amina nie mogła wyłudzać od niego pieniędzy; ale też przestał tak skrupulatnie dbać o gotówkę, w jego porzuconych ubraniach zalegiwały banknoty i monety rupiowe, przetrząsając mu więc kieszenie matka wiązała jakoś koniec z końcem. Jeszcze bardziej przygnębiającą oznaką jego wycofania się z życia rodzinnego był fakt, że ojciec niezmiernie rzadko opowiadał nam teraz bajki na dobranoc, a nawet jeżeli opowiadał, bynajmniej nas nie bawiły, bo stały się produktem chorego, mało wiarygodnego umysłu. Treść wprawdzie pozostała ta sama, książęta chochliki latające rumaki i przygody w baśniowych krainach, lecz w jego mechanicznym głosie słyszało się pojękiwanie i skrzypienie zardzewiałej, zdegenerowanej wyobraźni.

Ojciec uległ abstrakcji. Najwidoczniej śmierć Narlikara i kres marzeń o czwórnogach uzmysłowiły Ahmedowi Sinai niestałość więzi ludzkich; postanowił więc zerwać wszystkie tego typu więzy. Zaczął wstawiać o świcie i zamykać się z zatrudnioną akurat Fernanda czy Florą w gabinecie na dole, przed którego oknami dwa wiecznie zielone drzewa, posadzone przezeń dla uczczenia narodzin moich i Małpki, wybujały tak wysoko, że nie dopuszczały prawie dziennego światła. Ponieważ zwykle nikt z nas nie śmiał mu przeszkadzać, ojciec zaszył się w dogłębnej samotności, tak niezwyklej w tym przeludnionym kraju, że aż graniczącej z nienormalnością; stopniowo rezygnował z naszej kuchni, żywił się więc byle

świętstwami, które jego dziewczyna przynosiła mu codziennie w menażkach, jadał letnie parathy, wodniste samosa warzywne i popijał napojami musującymi. Spod drzwi jego gabinetu dolatywał dziwny zapaszek; Amina twierdziła, że to odór stęchłego powietrza i podrzędnego jadła; moim jednak zdaniem powrócił dawny zapach, tyle że w silniejszej formie, dawny smród porażki, który towarzyszył mu od samego początku.

Wyprzedał co do jednej wszystkie kamienice i cale, które nabył za bezcen po przyjeździe do Bombaju, a które stanowiły podstawę majątku naszej rodziny. Chcąc się oswobodzić od wszelkich interesów z ludźmi – nawet z anonimowymi podnajemcami w Karli i Worli, w Matundze, Mazagaonie i Mahimie – upłynnił swoje aktywa i wkroczył w rozrzedzoną, abstrakcyjną sferę spekulacji finansowych. Zamknięty na cztery spusty w gabinecie, jedyny kontakt, jaki podówcześnie utrzymywał ze światem (pominawszy jego niefortunne Fernandy), odbywał się przez telefon. Całe dni trawił na konferencjach z tym aparatem, pozwalał mu łądować pieniądze w takietoatakie akcje i w takieanieinne lokaty, inwestować w obligacje rządowe lub papiery bezprocentowe zniżkującej giełdy, sprzedawać drogo bądź tanio wedle jego rozkazu... i nieodmiennie uzyskiwał najlepszy kurs dnia. W przyływie wielkiego szczęścia, porównywalnego jedynie z dobrą passą mojej matki przed laty na wyścigach, ojciec i jego telefon wzięli szturmem giełdę, co graniczyło niemal z cudem, zważywszy postępujący alkoholizm Ahmeda Sinai. Przepojony dzinnami potrafił wszelako zapanować nad abstrakcyjnymi wahaniami rynku pieniężnego, bo reagował na jego emocjonalne, nieprzewidziane skoki i zmiany, tak jak kochanek reaguje na najłżejsze kaprysy oblubienicy... wyczuwał, kiedy akcje się podniosą, kiedy nastąpi hoss; i zawsze psim swędem wywinął się od upadku. Tak oto zapadnięcie się w abstrakcyjną samotność telefonicznych dni przechodziło niezauważone, sukcesy finansowe przesłaniały stopniowy rozbrat z rzeczywistością; ale pod płaszczykiem rosnącego bogactwa jego stan z wolna się pogarszał.

Wreszcie opuściła go ostatnia sekretarka w perkalowej spódniczce, bo żadna nie mogła znieść życia w atmosferze tak rzadkiej i tak abstrakcyjnej, że trudno wprost było oddychać; ojciec posłał więc po Marię Pereirę i przypochlebił jej się słowami: – Przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda, Mario? – na co ta nieszczęsna kobieta odparła: – Tak, sahibie, wiem; zatroszczy się pan o mnie na starość – i obiecała kogoś mu przysłać. Nazajutrz przyprowadziła swoją siostrę, Alicję Pereirę, która pracowała już u różnych chlebodawców i odznaczała się niemal bezgraniczną tolerancją wobec mężczyzn. Alicja i Maria dawno już przebolewały spór o Józka D’Costę; młodsza często nad wieczorem przesiadywała z nami na górze, wnosząc wigor i pikanterię do ponurej skądinąd atmosfery domu. Bardzo ją polubiłem i właśnie od niej dowiedziałem się o największych wybrykach ojca, którego ofiarami padły papuzka falista oraz kundel.

W lipcu Ahmed Sinai wkroczył już w fazę permanentnego odurzenia; pewnego dnia, wedle słów Alicji, wybrał się raptem na przejażdżkę, i kiedy ona umierała ze strachu o jego życie, ni stąd, ni zowąd wrócił z osłoniętą klatką na ptaki, a w niej, jak oznajmił, był jego nowy nabytek, bulbul, czyli hinduski słowik.

– Bóg wie od jak dawna – wyjawiała nam Alicja – gada w kółko o słowikach; takie tam bajki o ich śpiewie i w ogóle; jak to słowiczy trel zauroczył jednego kalifa, jak słowiczy śpiew przedłuża piękno nocy; Bóg raczy wiedzieć, co też ten nieszczęśnik plół, cytował coś po persku i po arabsku, nijak się w tym nie mogłam rozeznać. Wtedy zdjął zasłonę, a tu w klatce siedzi zwyczajna gadająca papuzka, pewno jakiś oszust ze złodziejskiego bazaru pomalował jej piórka! No ale jak miałam to powiedzieć temu nieszczęśnikowi, kiedy tak się

entuzjasmował tym ptakiem i w ogóle, co chwila wykrzykiwał: „Śpiewaj, mój słowiczku! Śpiewaj!”... co dziwniejsze, tuż zanim zdechł od tej całej farby, powtórzył to słowo w słowo, ot tak po prostu – nie skrzekliwie, no wiecie, jak ptak, tylko głosem waszego ojca: Śpiewaj! Mój słowiczku, śpiewaj!

Jednakże gorsze miało dopiero nastąpić. Kilka dni później siedziałem z Alicją na żelaznych spiralnych schodach dla służby, kiedy tak mi powiedziała: – Baba, nie wiem, co teraz wstąpiło w twojego papę. Przez cały Boży dzień tylko siedzi i wyklina psa!

Na początku tego roku przywlokła się na nasz piętrowy pagór skundlona suka, którą nazwaliśmy Sherri, i dosłownie przygarnęła nas do siebie, nie zdając sobie sprawy, że żywot zwierząt w Posiadłości Methwolda stoi pod znakiem zapytania; Ahmed Sinai w pijanym widzie zrobił z niej świnkę doświadczalną dla swych eksperymentów z kłątwą rodzinną.

Była to ta sama wyimaginowana kłątwa, którą niegdyś wymyślił, żeby zaimponować Williamowi Methwoldowi, lecz teraz dżinny w jego topniejącym rozumie przekonały go, że to żaden wymysł, że ojciec zapomniał tylko słów; toteż mitrężył całe godziny w obłędnej samotności gabinetu, pragnąc na drodze eksperymentu odtworzyć tamtą formułę...

– A jakie kłątwy rzuca na to biedne stworzenie! – oświadczyła Alicja. – Aż dziw, że zwierzak nie padnie z miejsca trupem!

Sherri wszak siedziała tylko w kącie, gapiła się na niego z głupim uśmiechem i bynajmniej nie pąsowała ani nie dostawała czyraków, aż pewnego wieczoru wypadł z gabinetu i rozkazał Aminie, żeby nas zawiozła na Hornby Vellard. Sherri też z nami pojechała. Spacerowaliśmy z zaskoczonymi minami po Vellard, wtem ojciec zarządził: – Pakujcie się wszyscy do samochodu. – Tylko Sherri nie wpuścił do środka... sam usiadł za kierownicą. Kiedy Rover nabierał prędkości, suka rzuciła się za nami w pogoń, Małpka się rozwrzeszczała Tatusiutatusiu, Amina błagała Dżanam-zmiłuj-się, ja zaś siedziałem w niemym przerażeniu; jechaliśmy tak wiele mil, prawie do samego lotniska Santa Cruz, nim wziął odwet na tej kundlicy za to, że nie chciała ulec jego magii... w tym pościgu suce pękła arteria, zdechła więc chlustając krwią z pyska i z zadka, pod okiem wygłodniałej krowy.

Mosiężna Małpka (choć właściwie nie lubiła psów) przepłakała cały tydzień; matka złękła się, że nastąpi odwodnienie, i wmuszała w nią litry wody, lała i lała w nią tę wodę, jakby to był trawnik, a nie żywy człowiek, skomentowała Maria; ja zaś polubiłem nową malutką suczkę, którą ojciec kupił mi na dziesiąte urodziny, być może w jakimś przebłyску winy: wabiła się Baronowa Simki von der Heiden, miała rodowód pełen championów owczarków alzackich, chociaż niebawem matka wykryła, że jest równie fałszywy jak tamten farbowany słowik, równie wyimaginowany jak zapomniana przez ojca kłątwa rodzinna i krew mogolska w naszym rodzie; a po pół roku zdechła na chorobę weneryczną. Potem już nie trzymaliśmy zwierząt w domu.

Nie tylko jednak ojciec wkroczył w moje dziesiąte urodziny, bujając w obłokach prywatnych marzeń; bo weźmy Marię Pereirę, oddającą się z lubością przyrządzaniu sosów ćatni, kasaundi i marynat wszelkiego autoramentu; pomimo rozweselającej obecności swojej siostry, Alicji Pereiry, upiorny cień zasnuwa jej twarz.

– Cześć, Maryś! – Padma, która nabrała chyba słabości do mojej zbrodniczej niani, wita jej powrót na środek sceny. – A co tę znów gryzie?

Ot co, Padmo: napastowana w koszmarach sennych przez Józefa D’Costę, Maria miała coraz większe kłopoty z zasypianiem. Wiedząc, co sen jej przyniesie, siłą zmuszała się, żeby nie zasnąć; pod oczyma pokazały jej się ciemne worki, a wzrok stał się szklisty; spojrzenie jej zmętniało i stopniowo zacierała się różnica między jawą a snem... wielce to niebezpieczny

stan, moja Padmo. Nie tylko cierpi na tym praca, ale też różne rzeczy ulatują człowiekowi ze snów... Józef D'Costa natomiast zdołał przekroczyć tę zatartą granicę i ukazywał się teraz w Willi Buckingham już nie jako nocne widziadło, lecz jako pełnoprawny duch. Widzialny (przynajmniej wtedy) jedynie dla Marii Pereiry, jął nawiedzać ją we wszystkich pokojach naszego domu, który ku jej przerażeniu i hańbie traktował bezceremonialnie jak własny. Zastawała go w salonie pośród kryształów, figurek drezdeńskich i wirujących cieni wentylatorów sufitowych, jak rozwalony w miękkich fotelach przewieszał długie, kościste nogi przez poręczę; oczy miał zamglone białkami, a w stopach dziury po ukąszeniu węża. Pewnego razu Maria zobaczyła go po południu w łóżku begam Aminy, jak leżał sobie beztrosko tuż przy boku mojej śpiącej matki, nie wytrzymała więc i huknęła: – Ejże! Wynocha stąd! Co ty się masz za jakiegoś lorda czy co? – lecz obudziła tylko moją zaskoczoną matkę. Widmo Józefa dręczyło Marię bez słów; co gorsza, zdążyła już do niego przywyknąć, aż jej się ozwały w środku zapomniane porywy miłosne, chociaż więc powtarzała sobie, że to czyste wariactwo, zaczęła ją przepełniać nostalgiczna miłość do ducha zmarłego posługacza szpitalnego.

Miłość jednak pozostawała nie odwzajemniona; białkowane oczy Józefa nie zmieniły wyrazu; usta nadal układały się w oszczerczy, sardoniczny uśmiezek; w końcu Maria zdała sobie sprawę, że ta nowa zjawia niczym się nie różni od jej dawnego Józefa ze snów (choć nigdy jej nie napastuje), jeżeli więc zechce się uwolnić od niego na dobre, będzie się musiała zdobyć na rzecz nie do pomyślenia, mianowicie wyznać swoją zbrodnię przed światem. Lecz nie zdobyła się, a to zapewne przeze mnie – bo Maria kochała mnie jak rodzonego, aczkolwiek nie poczętego i nie pojętego syna, takim wyznaniem zaś wyrządziłaby mi niepomiarłą krzywdę, toteż dla mojego dobra znosiła w cierpieniu ten upiór własnego sumienia, dlatego stała jak nawiedzona w kuchni (pewnego przepojonego dzinnami wieczoru ojciec zwolnił kucharkę), gotowała nam kolację i ucieleśniała, dziwnym trafem, pierwszą linijkę mojego podręcznika do łaciny, *Ora Maritima*: „Nad morzem aja gotowała wieczerę”. Ora maritima, ancilla cenam parat. Zajrzyj w oczy gotującej aji, a zobaczysz więcej, niż ci powie jakikolwiek podręcznik.

* * *

W moje dziesiąte urodziny wiele przekleństw spadło nam na głowę jak bumerang.

W moje dziesiąte urodziny stało się jasne, że szaleństwa pogody – burze, powódzie, grad z bezchmurnego nieba – które nadciągnęły tuż po nieznośnym skwarze roku 1956, zniweczyły drugi z kolei plan pięcioletni. Rząd musiał – chociaż wybory były za pasem – obwieścić światu, że nie może przyjmować dalszych pożyczek na rozwój kraju, chyba że wierzyciele zechcą czekać w nieskończoność na spłatę. (Nie chciałbym jednak przeholować: chociaż produkcja wyrobów stalowych wynosiła zaledwie 2,4 miliona ton pod koniec planu w roku 1961, i chociaż przez te pięć lat zwiększyła się liczba pozbawionych ziemi, bezrobotnych mas, czyli przerosła ich liczbę za panowania brytyjskiego Radżu, osiągnięto też wymierne korzyści. Produkcja rudy żelaza wzrosła blisko dwukrotnie; energia też prawie dwukrotnie się zwiększyła; wydobywanie węgla skoczyło z trzydziestu ośmiu na pięćdziesiąt cztery miliony ton. Wypuszczano z fabryk pięć miliardów jardów tkanin bawełnianych rocznie. Ponadto całe mnóstwo rowerów, obrabiarek, silników dieslowskich, pomp elektrycznych i wentylatorów sufitowych. Nie mogę się jednak powstrzymać, żeby nie zakończyć akcentem pesymistycznym: analfabetyzm ostał się bez zmian; liczba ludności rosła jak na drożdżach.)

W moje dziesiąte urodziny odwiedził nas wuj Hanif, który okrył się wyjątkową niesławą w Posiadłości Methwolda, bo zagrział radośnie: – Wybory tuż, tuż! Czekajcie tylko komunistów!

W moje dziesiąte urodziny, kiedy wuj Hanif popełnił swoją gafę, matka (która zaczęła znikać na tajemnicze „wypadki po sprawunki”) raptownie nie wiedząc czemu oblała się rumieńcem.

W moje dziesiąte urodziny dostałem szczeniaka, suczkę owczarka alzackiego z podrabianym rodowodem, która niebawem miała zdechnąć na syfilis.

W moje dziesiąte urodziny wszyscy mieszkańcy Posiadłości Methwolda silili się na wesołość, ale pod tą cienką powłóczką dręczyła wszystkich jedna myśl: – Mój Boże, dziesięć lat! Gdzie one się podziały? Czego dokonaliśmy?

W moje dziesiąte urodziny stary Ibrahim ogłosił swoje poparcie dla Maha Gudżarat Parizady; jeżeli chodzi o zawładnięcie miastem Bombaj, postawił wszystko na szalę przegranych.

W moje dziesiąte urodziny wskutek podejrzeń wywołanych matczynym rumieńcem zapuściłem się w myśli matki; a to, co tam zobaczyłem, kazało mi ją śledzić, zabawić się w detektywa nie ustępującego pod względem śmiałości legendarnemu Dom Minto z Bombaju, co doprowadziło do nader istotnych odkryć wokół i w samej kawiarni Pionier.

W moje dziesiąte urodziny urządzono mi przyjęcie, na które zeszła się cała rodzina, chociaż od dawna zabawy nie były jej w głowie, a także koledzy ze Szkoły Katedralnej wysłani przez swoich rodziców oraz garstka umiarkowanie znudzonych pływaków z basenów Breach Candy, które pozwoliły Mosiężnej Małpce dokazywać ze sobą i szczypać się w prężne muskuły; z dorosłych zjawili się: Maria i Alicja Pereira, Ibrahimowie, Homi Catrack, wuj Hanif, cioteczka Pija oraz Lila Sabarmati, ku której zwróciły się oczy wszystkich moich szkolnych koleżków (a także Homi Catracka) wywołując niewymowne rozdrażnienie Piji. Jedynym wszakże członkiem bandy z pagóra był wierny Sonny Ibrahim, który uchylił się spod embargo nałożonego na tę uroczystość przez rozgoryczoną Evie Burns. Przekazał mi od niej wiadomość: – Evie kazała ci powiedzieć, że nie należysz już do bandy. W moje dziesiąte urodziny Evie, Okruchoka, Pomada, a nawet Cyrus Wielki napadli moją prywatną kryjówkę; zawładnęli wieżą zegarową i pozbawili mnie jej schronienia.

W moje dziesiąte urodziny Sonny miał rzadką minę, a Mosiężna Małpka odsunęła się od swoich pływaków i dosłownie się wściekła na Evie Burns.

– Już ja jej dam nauczkę – przyrzekła mi. – Nie martw się, starszy braciszku; już ja jej pokażę, zobaczysz.

W moje dziesiąte urodziny porzucony przez jedną grupę dzieci, dowiedziałem się, że pięćset osiemdziesiąt jeden innych podobnie jak ja obchodzi urodziny; tak właśnie pojmowałem sekret mojej godziny narodzin; toteż wydalony z jednej bandy, postanowiłem założyć drugą, swoją własną, bandę jak Indie długie i szerokie, której główna siedziba mieściła się za moimi brwiami.

Ponadto w moje dziesiąte urodziny podkradłem inicjały Kina Dla Pędraków „Metro” – a zarazem inicjały występującej gościnnie angielskiej drużyny krykieta – i nadałem je nowej Konferencji Dzieci Północy, mojej własnej K.D.P.

Tak to było, kiedy miałem dziesięć lat: poza moją głową same kłopoty, a w głowie same cuda.

W kawiarni Pionier

Nic tylko zieleń i czerń ściany są zielone niebo jest czarne (nie ma dachu) gwiazdy są zielone Wdowa jest zielona ale włosy ma czarne jak sama czerń. Wdowa siedzi na wysokim wysokim fotelu fotel jest zielony siedzenie jest czarne Wdowa ma pośrodku głowy przedziałek włosy zielone z lewej a czarne z prawej. Wysoki pod niebo fotel jest zielony siedzenie jest czarne ramię Wdowy długie jak sama śmierć a skóra zielona paznokcie długie ostre i czarne. Między ścianami zielone dzieci ściany są zielone ręka Wdowy ześlizguje się węzowatym ruchem wąż jest zielony dzieci piszczą jak szalone paznokcie są czarne drapią ręka Wdowy poluje patrzcie no jak dzieci biegną i piszczą ręka Wdowy zaciska się na nich zielono i czarno. Teraz dzieci jedno po drugim mmff piski stłumione ręka Wdowy podnosi jedno po drugim dzieci zielone ich krew jest czarna upuszczona cięciem paznokci bryzga czernią po ścianach (zielonych) kiedy tak zaciskająca się ręka podnosi dzieci jedno po drugim wysoko pod niebo niebo jest czarne nie ma gwiazd Wdowa się śmieje język ma zielony ale patrzcie no zęby ma czarne. A dzieci rozdarte na dwoje w rękach Wdowy które toczą toczą połówki dzieci toczą z nich kuleczki kuleczki są zielone noc jest czarna. I kuleczki ulatują w noc między ścianami dzieci krzyczą kiedy tak jedno po drugim ręka Wdowy. A w kącie Małpka i ja (ściany są zielone cienie czarne) przykucamy pełzamy szeroko wysoko ściany zielone przechodzą w czerń nie ma dachu a ręka Wdowy nadciąga jednopodrugim dzieci piszczą mmff kuleczki ręka krzyk mmff bryzgają plamy czerni. Teraz tylko ona i ja już po krzyku ręka Wdowy nadciąga poluje poluje skóra jest zielona paznokcie są czarne coraz bliżej kąta poluje poluje więc kulimy się coraz bardziej w kącie nasza skóra jest zielona strach czarny a teraz Ręka sięga sięga moja siostra wypycha mnie z kąta sama zaś przykucnięta wpatrzona ręka paznokcie ciskają krzyk mmff bryzg czerni wysoko aż pod niebo a roześmiana Wdowa rozdiera toczę się w małe kuleczki kuleczki są zielone i tak prosto w noc w tę czarną noc... Dziś ustąpiła gorączka. (Podobno) przez dwie doby Padma siedziała przy mnie przez całą noc, przykładła mi do czoła zimne, mokre kompresy z flaneli, trzymała, kiedy wstrząsały mną dreszcze i sny o rękach Wdowy; przez dwa dni wyrzucała sobie, że uraczyła mnie miksturą z nieznaných ziół.

– Zrozum – pocieszam ją – tym razem nie miało to nic do rzeczy. Poznają już tę gorączkę; nadeszła ze środka i znikąd indziej; wylała się z moich pęknięć niczym niemila woń. W dziesiąte urodziny dostałem takiej samej gorączki i dwa dni spędziłem w łóżku; teraz, kiedy zaczynają sączyć się ze mnie wspomnienia, powróciła też dawna gorączka.

– Nie przejmuj się – zapewniam ją. – Już przed dwudziestu jeden laty złapałem tego wirusa.

Nie jesteśmy sami. Ranek w fabryce marynat; przyniesiono mi mojego syna. Jakaś osoba (nieważne kto) stoi obok Padmy przy moim łóżku, trzyma go na ręku.

– Baba, chwala Bogu, że ci się polepszyło, nie masz pojęcia, coś ty wygadywał w chorobie.

Osoba przemawia zatroskana, usiłuje wcisnąć się do mojej opowieści przed czasem; ale nic z tego... osoba, która założyła tę fabryczkę marynat i przyległe zakłady wekowania, która sprawuje pieczę nad moim nieprzeniknionym dzieckiem, tak jak niegdyś... chwileczkę! Omal nie dopięła swego, ale na szczęście, gorączka, nie gorączka, zachowałem jeszcze zdrowe

zmysły! Osoba musi się wycofać i pozostać spowita anonimowością, dopóki nie nadejdzie jej kolej; czyli aż do samego końca. Odwracam od niej wzrok i spoglądam na Padmę.

– Nie myśl sobie – napominam ją – mimo tej gorączki, że choć przez chwilę minąłem się z prawdą. Wszystko co do joty tak wyglądało.

– O mój Boże, ty i te twoje opowieści – wybucha – dzień i noc bez wytchnienia, toż od nich się rozchorowałeś! Zrób kiedy przerwę, co by ci to szkodziło? – Zaciskam uporczywie wargi; wtedy ona, w całkiem już innym nastroju: – Powiedz no, mój panie: masz na coś ochotę?

– Na zielone ćatni – odpowiadam. – Zieloniutkie jak pasikonik.

Wówczas osoba, której imienia nie mogę wymienić, przypomina coś sobie i podpowiada Padmie (ściszonym głosem, jakim mówi się tylko przy łóżku chorego oraz na pogrzebach): – Wiem, o co mu chodzi.

...Po co w tej przełomowej chwili, kiedy najróżniejsze sprawy nie mogły się doczekać opisu – kiedy kawiarnia Pionier była tuż za rogiem, podobnie jak współzawodnictwo kolan i nosa – wprowadziłem do rozmowy najzwyczajszą przyprawę? (Czemu tak mitrzęzę czas na opowieść o banalnych przetworach, skoro mógłbym opisywać wybory z roku 1957 – skoro całe Indie sprzed dwudziestu jeden lat nie mogą się doczekać głosowania?) Bo wyniuchałem coś w powietrzu; wyczułem za zasępionymi minami swoich gości ostry zapaszek niebezpieczeństwa. Zamierzałem się bronić; tyle że w asyście sosu ćatni...

Jeszcze wam nie zdążyłem pokazać fabryki za dnia. A zatem to, co umknęło dotąd opisowi: przez zielonkawe okna mojego pokoju widać żelazne schodki, a w dole halę przetwórstwa, gdzie wrą i bulgoczą miedziane kadzie, gdzie na drewnianych stopniach stoją muskularne kobiety, mieszając długimi chochlami w ostrych-jak-nóż oparach marynat; z kolei (jeśli spojrzeć w drugą stronę przez zielonkawe okno na świat) w porannym słońcu lśnią matowym blaskiem tory kolejowe, poprzecinane w regularnych odstępach zawieszonymi wysoko, zapuszczonymi bramkami systemu elektryfikacji. Za dnia nasza szafranowo-zielona bogini nie tańczy nad wejściem do fabryczki; wyłączamy ją, żeby oszczędzać prąd. Ale zużywają go pociągi elektryczne: wagony kolejki podmiejskiej w kolorze żółto-brązowym telepią się z Dadar i Boriwli, z Karli i Bassein Road na południe do stacji Churchgate. Oblepiają je okazałe grona ludzkich much w grubych białych spodniach; nie przeczę, że i w samej fabryce trafiają się muchy. Co zresztą rekompensują jaszczurki zwisające nieruchomo do góry nogami z sufitu, a ich łby przypominają kształtem półwysep Kathijawar... odgłosy też warto usłyszeć: bulgotanie kadzi, głośne śpiewy, siarczyste przekleństwa, sprośne żarciki kobiet z owłosionymi rękami; połajanki brygadzystek o wydłużonych nosach i ściągniętych ustach; przenikliwy brzęk słoików marynat w przyległej hali wekowania; łoskot pociągów, bzyczenie (rzadkie, acz nieuchronne) much... tymczasem zielone zielenią pasikoników ćatni wyjmuje się z kadzi i wyklada na wytarty do czysta talerz z szafranowo-zielonymi prążkami na brzegu, obok zaś stoi drugi talerz ze stosem przekąsek z pobliskiego barku irańskiego; kiedy więc to-co-właśnie-opisano toczy się jak zwykle, to-co-można-teraz-dosłyszeć wypełnia powietrze (nie mówiąc już o tym, co da się wyczuć nosem), a ja leżę na łóżku w swoim kantorku, uprzytamniam sobie z niejakim przestraszaniem, że ktoś tu robi na mnie zakusy.

... – Kiedy nabierzesz sił – powiada osoba, której imienia nie wymienię – może by tak na wycieczkę do Elefanty, miła przejażdżka motorówką, no i te słynne groty z przepięknymi rzeźbami: albo na plażę Dźuhu, bo tam i kąpiel w morzu, i mleko kokosowe, i wyścigi wielbłądów; czy choćby na Farmę Mleczną Areja!...

A Padma:

– O tak, świeże powietrze, a mały zechce spędzić dzień z ojcem.

I znów tamta osoba, gładząc mojego syna po główce:

– Pewno, wybierzemy się wszyscy razem. Miły piknik, miły dzień na powietrzu. Dobrze ci to zrobi, baba...

Kiedy zjawia się ćatni, wniesione do mojego pokoju przez posługacza, ucinam gwałtownie te wszystkie propozycje.

– Nie – protestuję. – Mam pracę.

I widzę, jak Padma z osobą wymieniają spojrzenia; i widzę, że nie myliłem się w swoich podejrzeniach. Bo już raz zwiedziono mnie perspektywą pikniku! Już raz obłudne uśmiechy i pokusa Farmy Mlecznej Areja zwały mnie za próg i do samochodu; i zanim się obejrzałem, schwyły mnie ręce, a potem już tylko korytarze szpitalne, doktorzy, przytrzymujące mnie pielęgniarki, maska rozlała mi narkozę po całym ciele, głos zaś przykazał: „Liczyć teraz, liczyć do dziesięciu”... Już ja wiem, co one knują.

– Słuchajcie – mówię. – Obejdę się bez lekarzy.

Na co Padma:

– Bez lekarzy? A kto tu mówi o...

Ale nikogo nie oszuka; uśmiechając się więc leciutko powiadam: – Proszę, częstujcie się ćatni. Mam wam coś ważnego do zakomunikowania.

Kiedy więc ćatni – to samo pyszne ćatni, które dawno temu, w roku 1957, przyrządzała mi aja, Maria Pereira; ćatni zielone jak pasikonik kojarzący mi się zawsze z tamtym okresem – przeniosło je w świat mojej przeszłości, kiedy ćatni je rozkrochmaliło i wyostrzyło im uwagę, przemówiłem do nich łagodnie, acz stanowczo, toteż dzięki mieszaninie sosu i retoryki uszedłem zgubnych rąk medyków od zielonego leku.

– Mój syn to zrozumie – oznajmiłem. – Snuję tę opowieść dla wszystkich, których nosi ziemia, ale i dla niego, żeby później, kiedy już przegram batalię z pęknięciami, dowiedział się, jak było. Moralność, osąd, charakter... wszystko ma swój początek w pamięci... a ja przechowuję kopie.

Zielone ćatni na pakorach z chili znika w przetyku osoby; pasikonikowa zieleń na letnich ćapati ginie w ustach Padmy. Widzę, że obie miękną, toteż ciągnę swoje.

– Powiedziałem wam prawdę – powtarzam. – Prawdę pamięci, bo pamięć ma swoją specyficzną prawdę. Wybiera, eliminuje, zniekształca, przesadza, umniejsza, gloryfikuje, ale i oczernia; w ostatecznym rozrachunku tworzy własną rzeczywistość, niejednorodną, choć zwykle spójną wersję wydarzeń; i żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie zawierzy cudzej wersji bardziej niż swojej.

Owszem: powiedziałem „przy zdrowych zmysłach”. Wiem, co im chodziło po głowach: „Dzieci często wymyślają sobie wyimaginowanych przyjaciół; ale żeby od razu tysiąc i jednego! Istne szaleństwo!” Dzieci północy naruszyły nawet wiarę Padmy w moją opowieść; lecz przywołałem swój lotos-łajno do porządku i teraz już nikt nie wspomina o wycieczkach.

Czym je przekonałem: powołałem się na syna, który musi poznać mój życiorys; unaoczniałem im mechanizm pamięci; a także uciekłem się do wielu innych zabiegów, przy czym jedne były naiwnie uczciwe, inne zaś chytre jak lis.

– Nawet Mahomet – przypomniałem – z początku uważał się za szaleńca: sądzicie, że nigdy nie rozważałem i takiej myśli? Ale Prorok miał swoją Chadidżę, swojego Abu Bakra, który upewnił go co do autentyczności jego Powołania; nikt go podstępem nie oddał w ręce lekarzy-od-pomyślników. – Teraz już zielone ćatni przepełniało je myślami sprzed lat;

ujrzałem, jak na ich twarze wypełza poczucie winy i wstydu. – Bo co to jest prawda? – rzuciłem retoryczne pytanie. – Co to są zdrowe zmysły? Czy Jezus wstał z grobu? Czyż hindusi nie przyznają, Padmo, że cały świat jest niejako snem; że Brahma wyśnił, a właściwie nadal śni, wszechświat; że widzimy tylko mgliście przez tę zasłonę snu, czyli mają. Maja – tu uderzyłem w wyniosły, mentorski ton – to wszelka iluzja; zwodniczość, pozór i ułuda. Zwidy, fanasmagorie, miraże, hokus-pokus, rzekoma postać, bytów: wszystko to składniki mai. Skoro twierdę, że pewne wypadki miały miejsce, w co wam, pogrążonym we śnie Brahmy, trudno uwierzyć, to kto z nas ma rację? Dołóżcie sobie ćatni – dodałem uprzejmie i sam nabrałem pokąźną repetę. – Pyszne.

Padma się rozpląkała.

– Wcale nie mówiłam, że nie wierzę – szlochała. – Pewno każdy opowiada własne dzieje, jak mu się tam po prawdzie widzi; tylko że...

– Tylko że – wtrąciłem stanowczo – sama chcesz poznać dalsze szczegóły, co? Chcesz usłyszeć o rękach, co tańczyły bez dotykania, i o kolanach, czy nie? A później o dziwacznej pałeczce komandora Sabarmati, no i o Wdowie? A o Dzieciach... jaki je spotkał los?

Na co Padma skinęła głową. Koniec zatem z lekarzami i domami wariatów; pozwolono mi spokojnie pisać. (W samotności, nie licząc Padmy u moich stóp.) Ćatni i retoryka, teologia i ciekawość: oto, co mnie wybawiło. I jeszcze coś – wykształcenie bądź też dobre pochodzenie, jak kto woli; Maria Pereira powiedziałaaby „wychówek”. Swoim popisem erudycji i nieskazitelnym akcentem tak je zapędziłem w kozi róg, że poczuły się niegodne, by mnie osądzać; może to nie najszlachetniejszy uczynek, ale wszystkie chwytaki są dozwolone, kiedy karetka czeka tuż za rogiem. (Bo i czekała: wyczułem ją na odległość.) Jednakowoż – dostałem cenną nauczkę. Człowiek podejmuje wielkie ryzyko, kiedy próbuje narzucić innym swój punkt widzenia.

Padmo: jeżeli nawet powątpiewasz w moją wiarygodność, no cóż, odrobina wątpliwości nigdy nie zawadzi. Zadufani w sobie mężczyźni dopuszczają się strasznych czynów. Kobiety zresztą też.

Tymczasem mam dziesięć lat i zachodzę w głowę, jak by się tu schować w bagażniku samochodu matki.

Był to miesiąc, w którym sadhu Puruszottam (a nie zwierzyłem mu się ze swoich głosów) doprowadzony ostatecznie do rozpaczki osiadłym trybem życia nabawił się samobójczej czkawki i ta dręczyła go przez okrągły rok, bo często podrywała mu całe ciało kilkanaście centymetrów nad ziemię, tak że wyłysiał od wody głową walił niepokojąco w ogrodową pompę, co go na ostatku zabiło, toteż pewnego popołudnia w porze koktajlu zwałił się na bok z nogami wciąż założonymi w pozycji lotosu, tym samym więc nagniotki mamy straciły wszelką szansę na ratunek; w którym nieraz wystawałem wieczorami w ogrodzie Willi Buckingham, przypatrując się, jak sputniki śmigają po niebie, a czułem przy tym takie uniesienie i odosobnienie zarazem jak mała Łajka, pierwszy i jak dotąd jedyny pies wystrzelony w kosmos (Baronowa Simki von der Heiden, która miała niebawem złapać syfilis, siedziała przy moim boku, wodząc swoimi alzackimi oczyma za jasną szpileczką Sputnika II – były to czasy wielkiego psiego zainteresowania podbojem kosmosu); w którym Evie Burns i jej banda panoszyli się w mojej wieży zegarowej, ponadto wyrosłem, a przy tym zostałem wygnany ze skrzyń na bieliznę, aby więc zachować skrytość i zdrowe zmysły, musiałem ograniczyć wizyty u dzieci północy do swojej prywatnej, cichej godziny – kontaktowałem się z nimi codziennie o północy, i tylko o północy, w godzinie zarezerwowanej dla cudów, niejako poza wszelkim czasem; i w którym – wracając do tematu

– postanowiłem się przekonać na własne oczy, dowieść potworności, jaka mi mignęła, gdy bawiłem w myślach matki. Odkąd schowany w skrzyni na bieliznę usłyszałem dwie skandaliczne sylaby, podejrzewałem matkę o sekrety; inwazje w tok jej myśli potwierdziły moje podejrzenia; toteż z błyskiem w oku i żelazną determinacją zaszedłem pewnego dnia po szkole do Sonny Ibrahima, aby zwerbować go do pomocy.

Zastałem Sonny'ego w jego pokoju, oblepionym afiszami hiszpańskich walk byków, jak markotnie grał sam ze sobą w domowego krykieta. Na mój widok zawołał nieszczęśliwie:

– Tak mi cholernie przykro z powodu tej Evie, człowieku, ona nikogo nie słucha, zresztą co ty byś z nią, do diabła, robił?...

Ja jednak podniosłem z godnością rękę nakazując milczenie. Usłuchał.

– Człowieku – powiedziałem – nie czas teraz na takie głupstwa. Muszę się nauczyć otwierać zamki bez klucza.

Niezaprzeczalny fakt na temat Sonny Ibrahima: pominawszy wszystkie ciągoty do walki byków, jego talent tkwił w zdolnościach do majsterkowania. Już od jakiegoś czasu zajmował się naprawą wszystkich rowerów w Posiadłości Methwolda w zamian za książki z komiksami i darmowe napoje musujące. Nawet Evelyn Lilith Burns powierzyła mu swój ukochany Indrower. Ulegały mu najwyraźniej wszystkie pojazdy, bo z tak niewinną lubością pieścił ich ruchome części; żaden mechanizm nie oparł się jego zabiegom. Innymi słowy: Sonny Ibrahim (powodowany czystą ciekawością) stał się ekspertem od wyważania zamków.

Skoro więc teraz dałem mu szansę, żeby okazał swoją lojalność wobec mnie, aż mu się zaświeciły oczy.

– Człowieku, pokaż no mi ten zamek! Niech się tylko dorwę!

Kiedy się upewniliśmy, że nikt nie patrzy, zakradliśmy się podjazdem między Willą Buckingham a Sans Souci Sonny'ego; stanęliśmy za starym Roverem mojej rodziny; wskazałem mu bagażnik. – To ten – oświadczyłem. – Muszę go umieć otwierać z zewnątrz i od środka.

Sonny'emu rozszerzyły się oczy.

– Co ty kombinujesz, człowieku? Uciekasz potajemnie z domu, te rzeczy?

Z palcem na ustach przybrałem tajemniczą minę.

– Nie mogę ci wyjaśnić, Sonny – powiedziałem uroczyście. – Ścisłe tajne.

– Jak rany, człowieku – odparł Sonny i w trzydzieści sekund pokazał mi, jak otworzyć bagażnik cienkim różowym plastikowym paskiem. – Weź go, stary – powiedział Sonny Ibrahim. – Bardziej ci się przyda niż mnie.

Pewnego razu była sobie matka, która po to, żeby zostać matką, zgodziła się zmienić imię; która narzuciła sobie obowiązek zakochania się po kawałku we własnym mężu, ale nijak nie zdołała pokochać jednego organu, chociaż właśnie on, jak na ironię, umożliwiał jej macierzyństwo; której nagniotki obsypały stopy, a ramiona przygarbiły się pod brzemieniem skomasowanych przewin świata; która zrozumiała, że niekochany organ jej męża nie otrząsnął się z zamrożenia; i która podobnie jak jej małżonek poddała się wreszcie magii telefonów, spędzała więc długie minuty na wysłuchiwanie pomyłkowych rozmówców... niedługo po moich dziesiątych urodzinach (kiedy ustąpiła gorączka, która ostatnio powróciła, by nękać mnie po blisko dwudziestojednoletniej przerwie) Amina Sinai znów jęła wybiegać raptownie z domu, i to zawsze tuż po takiej pomyłce, po nagłce sprawunki. Ale tym razem, ukryty w bagażniku Rovera, jechał z nią pasażer na gapę, schowany i obłożony kradzionymi poduszkami, ściskając w ręku różowy plastikowy pasek.

Cóż za cierpienia trzeba znosić w imię cnoty! Te siniaki i guzy! Ten zapach gумы w

bagażnika wdychany przez zaciśnięte zęby! I ten ustawiczny strach przed wykryciem... „A jeżeli ona naprawdę jeździ po zakupy? Czy bagażnik nagle się otworzy? Czy wpadną doń żywe kurczęta ze związanymi nogami, spiętymi skrzydłami, czy trzepoczące, dziobiące ptaki wtargną do mojej kryjówki? Jak matka mnie, uchowaj Boże, nakryje, przez tydzień będę musiał milczeć!” Z kolanami podciągniętymi pod brodę – chronioną przed ciosami kolan starą, wypłowiałą poduszką – jechałem tak w nieznane wehikułem matczynej perfidii. Matka była ostrożnym kierowcą; jechała wolno, spokojnie brała zakręty; ale i tak potem miałem wszędzie siniaki, a Maria Pereira zbesztła mnie ostro za wdawanie się w bójki:

– Are, na miły Bóg, jak to wygląda, aż dziw, że nie stłukli cię w drobny mak, Boże ty mój, co to z ciebie wyrośnie, ty niesforne czarne nasienie, haddi-pehelwan, sama skóra-i-kości, a idzie w zapasy!

Żeby zapomnieć o wyboistych ciemnościach, zakradłem się nader ostrożnie do tej części głowy matki, która skupiała się na prowadzeniu, mogłem więc śledzić trasę. (A przy okazji wykryć w uporządkowanej na ogół głowie matki niepokojący bałagan. Już wtedy zaczynałem klasyfikować ludzi pod względem ładu w głowie i stwierdziłem, że wolę typy bałaganiarskie, których myśli przelewają się wiecznie jedne w drugie, tak że tęskne myśli o jedzeniu nakładają się na poważną zadumę nad zarabianiem na życie, a fantazje erotyczne ingerują w rozważania polityczne, albowiem łączy je bliskie pokrewieństwo z moim własnym chaosem w głowie, gdzie wszystko zderza się ze wszystkim, a biała plamka świadomości przeskakuje niczym oszalała pchła z jednej sprawy na drugą... Amina Sinai, którą sumienny instynkt porządku wyposażył w umysł o nienaturalnym niemal ładzie, w przedziwny sposób zasilila szeregi pogmatwańców.)

Jechaliśmy na północ, obok szpitala Breach Candy, świątyni Mahalakszmi, obok Hornby Vellard, Stadionu Wallabhbai Patela i grobowca Hadzi Alego na wyspie, na północ od tego, co dawniej (nim urzeczywistniło się marzenie pierwszego Williama Methwolda) stanowiło wyspę Bombaj. Jechaliśmy ku bezimiennej masie zabudowań, wiosek rybackich, zakładów włókienniczych, wytwórni filmowych, które wypełniły miasto w północnych jego częściach (niedaleko stąd! Nie tak daleko od miejsca, gdzie siedzę teraz obserwując podmiejskie pociągi!)... dzielnicy wcale mi wówczas nie znanej; rychło straciłem orientację i musiałem przyznać w duchu, że się zgubiłem. W końcu stanęliśmy w odrażającej bocznej uliczce pełnej śpiących w rynsztokach bezdomnych, warsztatów naprawy rowerów, obdartych mężczyzn i chłopców. Gdy tylko matka wysiadła z samochodu, obstały ją tabuny dzieci; i ta, która nigdy nie odpędziła bodaj muchy, rozdawała monety, zwiększając tym samym pokaźnie tłum. W końcu wyrwała się i ruszyła ulicą; jakiś chłopak zaczął się napraszać: – Begam, chce pani mycie auta? Super hiper, pierwsza klasa! Begam, dopilnować auto do pani powrotu? A pilnowacz ze mnie, że mucha nie siada, proszę się rozpytać! – ... Trwożliwie czekałem w środku na jej odpowiedź. Jak miałbym się wydostać z bagażnika pod okiem tego ulicznego stróża? Po pierwsze, wstyd; a ponadto moje ukazanie się wzbudziłoby na ulicy nie lada sensację... ale matka podziękowała: – Nie. – Znikała w głębi ulicy; niedoszły amator mycia i pilnowania wozu dał wreszcie za wygraną; w pewnej chwili wszystkie oczy zwróciły się na drugi przejeżdżający właśnie samochód, na wypadek gdyby i z niego miała wysiąść dama, która by sypnęła drobnymi jak orzechami; w tym ułamku sekundy (a wniknąłem w kilka par oczu, żeby wybrać stosowny moment) wykonałem swoją sztuczkę różowym kawałkiem plastiku i trzask prask znalazłem się na ulicy obok zamkniętego bagażnika. Zaciąłem usta, po czym ignorując wyciągnięte dłonie udałem się za matką niczym miniaturowy pies policyjny z nosem ogara, a tam, gdzie powinno znajdować się serce, walił mi głośno bęben... i po kilku

minutach stanąłem pod kawiarnią Pionier.

W oknie brudne szkło; na stolikach brudne szklanki – kawiarnia Pionier nie umywała się do lokali Gaylord i Kwalitey z bardziej reprezentacyjnych dzielnic miasta; dosłownie ohydna speluna, oblepiona tabliczkami PYSZNE LASSI, FSPANIAŁA FALUDA i BHEL-PURI PO BOMBAJSKU, z lichego odbiornika radiowego za kasą ryczały melodie srebrnego ekranu, długa, wąska jak kiszka, zielonkawa sala oświetlona migającym neonem, zakazany świat, w którym szczerbaci mężczyźni z wyświechtanymi kartami i pokerowymi twarzami przesiadywali nad stołami pokrytymi skajem. Mimo jednak opłakanego stanu kawiarnia Pionier była rezerwuarem wielu marzeń. Codziennie o świcie schodzili się tu odstawieni należycie popaprańcy Bombaju, przeróżni nicponie, taksówkarze, szmuglerzy i geszefciarze z wyścigów, którzy niegdyś, dawno temu, przybyli tu marząc o gwiazdorstwie w kinie, o groteskowo wulgarnych domach i o zarobkach w czarnorynkowej walucie; gdyż codziennie o szóstej rano największe wytwórnie filmowe wysyłały do kawiarni Pionier pomniejszych urzędników, aby kaptowali statystów na dany dzień. Każdego ranka przez pół godziny, kiedy Studio D.W.Ramy, Dźwiękówki Filmistanu oraz Filmy R.K. dokonywały wyboru, kawiarnia stanowiła centrum wszelkich ambicji i nadziei tego miasta; następnie werbownicy z wytwórni filmowych oddalali się w towarzystwie szczęściarzy na-dany-dzień, knajpa zaś pustoszała i popadała w swój notoryczny, oświetlony neonem stupor. Po południu do kawiarni wkraczał zupełnie inny zestaw marzeń, żeby przesiedzieć kilka godzin przy kartach, Pyszny Lassi i cuchnących biri – już inni mężczyźni o innych nadziejach: wtedy jeszcze nie wiedziałem, że popołudniami Pionier jest stałym miejscem spotkań członków Partii Komunistycznej.

Było właśnie popołudnie; zobaczyłem, jak matka wchodzi do kawiarni Pionier; nie śmiałem za nią wejść, zostałem więc na ulicy, przyklejając nos do opajęczonego rogu brudnej szyby; nie zważałem na rzucane mi dziwaczne spojrzenia – białe spodnie, chociaż powalane od bagażnika, miałem sztywno wykrochmalone; włosy, chociaż zmierzwiłone od bagażnika, miałem wypomadowane; buty, chociaż w istocie zdarte, były wszelako trampkami chłopca z dobrego domu – wiodłem za nią wzrokiem, kiedy szła niepewnie, utykając od nagniotków, między rozklekotanymi stolikami i surowymi spojrzeniami mężczyzn; widziałem, jak matka siada przy ocienionym stoliku w samym końcu wąskiej jaskini; i wtedy dojrzałem mężczyznę, który wstał, żeby się z nią przywitać.

Skóra na twarzy zwisała mu fałdami, które zdradzały, że dawniej musiał być zażywny; zęby poplamione betelem. Miał na sobie czystą białą kurtę z haftem Lakhnau przy dziurkach od guzików. Miał też długie, poetycko długie włosy opadające mu strąkami na uszy; czubek głowy zaś lśniący i łysy. Zakazane sylaby zadźwięczały mi echem w uszach: Na. Dir. Nadir. I naraz w duszy rozpaczliwa myśl: po co się tak uparłem, żeby tu przyjść?!

Pewnego razu był sobie podziemny małżonek, który zbiegł, zostawiając czułą zgodę na rozwód; poeta, którego wersy nigdy się nawet nie rymowały, któremu życie ocaliły bezpieczeństwa psy. Minęło dziesięć lat i zjawił się Bóg-wie-skąd, a skóra na ciele zwisała mu luźno na wspomnienie niegdysiejszej tuszy; podobnie też jak jego-pewnego-razu-małżonka przybrał nowe imię... Nadir Chan był teraz Kasimem Chanem, oficjalnym kandydatem oficjalnej Komunistycznej Partii Indii. Lal Kasim. Czerwony Kasim. Wszystko musi mieć swój sens: rumieńce nie bez powodu są czerwone. Wuj Hanif powiedział: – Czekajcie tylko komunistów! – a matka spłoszyła; polityka i uczucie złały jej się na policzkach... przez brudny, kwadratowy, szklany ekran kinowy okna kawiarni Pionier obserwowałem, jak Amina Sinai i dziś-już-nie-Nadir odgrywają scenę miłosną; grali ją z nieudolnością prawdziwych amatorów.

Na powleczonym skajem stole paczka papierosów: State Express 555. Liczby też mają swój sens: 420, liczba nadana oszustom; 1001, liczba nocy, magii, alternatywnych rzeczywistości – liczba umiłowana przez poetów, znieawidzona przez polityków, gdyż alternatywne wersje świata stanowią dla nich zagrożenie; i 555, którą przez całe lata uważałem za najbardziej złowrogą z liczb, szyfr samego Diabła, Wielkiej Bestii, samego Szejtana! (Powiedział mi to Cyrus Wielki, a ja nie dopuszczałem nawet myśli, że mógłby się mylić. Mylił się jednak: naprawdę demoniczną liczbą nie jest 555, tylko 666; wszelako w mojej głowie po dziś dzień ciemna aura spowija trzy piątki.)...Ale daję się ponieść dygresjom. Dość powiedzieć, że ulubiony gatunek Nadira-Kasima to właśnie wyżej wymienione papierosy State Express; że cyfra pięć powtarzała się trzy razy na paczce; i że pochodziły z zakładów W.D. & H.O. Willsów. Lękając się spojrzeć na twarz matki, skupiłem wzrok na paczce papierosów, przechodząc z podwójnego ujęcia kochanków na wyjątkowe zbliżenie nikotyny.

Ale oto w kadr wchodzi ręce – najpierw ręce Nadira-Kasima, chociaż ich poetycka miękkość jakby teraz stwardniała; ręce drżą niczym płomień świecy, pełgają przez skaj, po czym cofają się nagle; następnie ręce kobiece, czarne jak dżety, suną do przodu niby eleganckie pająki; ręce podnoszą się znad skajowego blatu, krążą nad trzema piątkami, rozpoczynają przedziwny taniec, wznoszą się, opadają, kołują nad sobą, przeplatają się w powietrzu, ręce spragnione dotyku, ręce wyciągnięte zastygłe rozedrgane dopominające się – lecz zawsze w końcu umykają, opuszki palców unikają opuszków palców, bo tu na tym swoim brudnym szklanym ekranie kinowym oglądam przecież indyjski film, obwarowany zakazem kontaktu fizycznego, aby nie deprawować kwiatu młodzieży hinduskiej; no i nogi pod stołem, a twarze nad nim, nogi suną ku nogom, twarze garną się powolutku do twarzy, lecz wtem pierzchają w drastycznym cięciu cenzury... dwoje nieznanym, a każde z ekranowym imieniem, różnym od imienia nadanego przy urodzeniu, odgrywa swoje na poły niechciane role. Wyszedłem z kina przed zakończeniem, żeby się wśliznąć z powrotem do bagażnika nie umytego, nie pilnowanego Roveru i chociaż wyrzucałem sobie, że się wybrałem na ten film, nie mogłem opanować chętki, żeby obejrzeć go jeszcze raz. Co zobaczyłem na samym końcu: ręce matki podniosły opróżnioną do połowy szklankę Pysznego Lassi; usta matki przywarły delikatnie, nostalgicznie do zmatowiałego szkła; ręce matki wręczyły szklankę Nadirowi-Kasimowi; który również przyłożył, z drugiej strony szklanki, swoje poetyckie usta. W ten sposób życie naśladowało kiepską sztukę, a siostra wuja Hanifa wniosła erotykę pośredniego pocałunku w zieloną neonową obskurność kawiarni Pionier.

Reasumując: w pełni lata 1957, u szczytu kampanii wyborczej, Amina Sinai rumieniła się z niewyjaśnionych powodów na każdą rzuconą mimochodem wzmiankę o Komunistycznej Partii Indii. Jej syn – w którego burzliwym umyśle znalazło się jeszcze miejsce na kolejną obsesję, bo dziesięcioletnia głowa pomieści liczbę fiksacji – pojechał z nią na północ miasta i wyszpiegował każdą bolesną scenę bezowocnej miłości. (Teraz, skoro Ahmed Sinai uległ zamrożeniu, Nadir-Kasim nie ustępował mu już nawet pod względem seksu; rozdarta między mężem, który zamykał się w gabinecie i wyklinał kundle, a byłym mężem, który niegdyś grał z nią czule w plucie-do-celu, Amina Sinai musiała porzestać na całowaniu szklanki i tańcu rąk.)

Pytanie: czy po tamtym incydencie posłużyłem się jeszcze kiedykolwiek różowym plastikiem? Czy wróciłem do kawiarni statystów i marksistów? Czy uzmysłowiłem matce haniebność jej czynu – czy to się bowiem godzi, żeby matka – mniejsza o pewnego-razu – na oczach swojego jedynaka, jak mogła jak mogła jak mogła? Odpowiedzi: nie, nie i jeszcze raz

nie.

Co zrobiłem: kiedy wybierała się „po sprawunki”, zasadzałem się w jej myślach. Minęła mi już chęć przekonania się na własne oczy, jeździłem więc na północ miasta w matczynej głowie; pod osłoną tego nieprawdopodobnego incognito siadywałem w kawiarni Pionier i wysłuchiwałem rozmów na temat szans wyborczych Czerwonego Kasima; bezcielesny, lecz w pełni obecny, podążałem w ślad za matką, kiedy towarzyszyła Kasimowi w jego obchodach po kamienicach tej dzielnicy (czyżby to były te same cale, które ojciec nie tak dawno sprzedał, zostawiając podnajemców na pastwę losu?), kiedy pomagała mu reperować krany i nagabywać gospodarzy, żeby dokonywali remontów i dezynfekcji. Amina Sinai występowała wobec nędzarzy w barwach Partii Komunistycznej – co nigdy zresztą nie przestało jej dziwić. Może zdecydowała się na to ze względu na rosnące ubóstwo własnego życia; ale w wieku dziesięciu lat nieskoro mi było do współczucia; toteż na swój własny sposób zacząłem marzyć o zemście.

Ponoć legendarny kalif Harun al-Raszid lubił występować incognito wśród mieszkańców Bagdadu; ja, Salim Sinai, również potajemnie wędrowałem po zaułkach mojego miasta, ale nie mogę powiedzieć, żebym wiele przy tym użył.

Beznamiętne opisy dziwów i osobliwości, a także ich przeciwieństwo, mianowicie napuszone, stylizowane wersje spraw powszednich – te metody, równoznaczne ze światopoglądem, podwędziłem – czy może przejąłem – od najgroźniejszego ze wszystkich dzieci północy, swojego rywala, współpodmieńca, rzekomego syna Wee Willie Winkiego: Śiwy-od-kolan. Metody te stosowane w jego wypadku bez jakiegokolwiek świadomej myśli, miały tworzyć obraz świata o zdumiewającej jednorodności, gdzie można wspomnieć mimochodem, jakby przelotnie, straszliwe morderstwa prostytutek, które w owym czasie zaczęły wypełniać rynsztokową prasę (ich ciała zaś wypełniały rynsztoki), śledząc z pasją skomplikowane warianty danego rozdania kart. Śmierć i przegrana w remika to dla Siwy jedno i to samo; stąd jego przerażająca w swej nonszalancji przemoc, która na ostatku... ale zacznijmy od początku:

Chociaż upatruję w tym własną winę, twierdzę, że jeżeli widzisz we mnie tylko i wyłącznie aparat radiowy, to chwytasz ledwie połowę prawdy. Myśl bywa równie często obrazowa lub czysto symboliczna, jak i werbalna; tak czy owak, ażeby porozumiewać się i rozumieć ze swoimi kolegami z Konferencji Dzieci Północy, musiałem szybko wyjść poza sferę werbalną. Wkraczając w ich nieskończone zróżnicowane umysły byłem zmuszony wdziierać się pod fornirowaną powierzchnię ich myśli wyrażanych w niezrozumiałych językach, co dawało oczywisty (a uprzednio zademonstrowany) skutek, że uświadamiali sobie moją obecność. Mając w pamięci dramatyczne wrażenie, jakie taka świadomość wywarła na Evie Burns, zadawałem sobie trud łagodzenia wstrząsu powodowanego swoim wejściem. Za każdym razem podczas pierwszej transmisji przekazywałem obraz swojej twarzy, uśmiechniętej, jak mniemałem, kojącym, serdecznym, ufnym, przywódczym uśmiechem, oraz przyjaźnie wyciągniętej ręki. Zaczęły się jednak wyrzynać kłopoty. Po pewnym czasie zdałem sobie sprawę, że ten obraz jest wydatnie zniekształcony moim zażenowaniem z powodu własnego wyglądu; toteż portret, wysyłany przeze mnie na falach myśli narodu, z wyszczerzonymi zębami kota z Cheshire, był tak szkaradny, jak tylko portret być może, ukazywał zatem niesamowicie wyolbrzymiony nos, absolutny brak podbródka i wielgachne plamy na skroniach. Nic dziwnego, że często witano mnie okrzykami psychicznego przerażenia. Mnie też często napędzwały strachu wizerunki własne moich dziesięcioletnich pobratymców. Kiedy odkryliśmy, co się dzieje, nakłoniłem wszystkich uczestników

Konferencji z osobna, aby przejrzeni się w lustrze albo w tafli wody; dopiero wtedy każdy z nas się przekonał, jak naprawdę wygląda. Jedyny szkopał w tym, że nasz uczestnik z Kerali (który, jak pamiętasz, przenikał lustra na wylot) niechcący wylądował po drugiej stronie restauracyjnego lustra w elegantszej dzielnicy New Delhi i musiał się salwować ucieczką; natomiast błękitnooki uczestnik z Kaszmiru runął do jeziora i niechcący zmienił płeć, wpadł bowiem jako dziewczyna, a wyłonił się jako piękny chłopiec.

Kiedy się przedstawiłem Siwie, ujrzałem w jego głowie straszliwy obraz małego pokraki ze szczurzą twarzą, zepsutymi zębami i parą największych kolan, jakie świat widział.

Na widok obrazu o tak groteskowych proporcjach zamarł mi z lekką uśmiech na moim rozpromienionym obliczu; wyciągnięta ręka zadrżała mi i jęła się zaciskać. A Siwa czując moją obecność, z początku zareagował niewysłowioną wściekłością; potężne, wrzące fale oburzenia zakłapały mi w głowie; po chwili jednak:

– Ejże, przecież ja cię znam! To ty jesteś ten zamożniaczek z Posiadłości Methwolda, prawda?

Na co ja, nie mniej zdumiony:

– Syn Winkiego, ten który oślepił Okruchoka!

Jego własny wizerunek nadął się pychą.

– A jakże, we własnej osobie. Człowieku, ze mną nie ma żartów!

Nieoczekiwane spotkanie zmusiło mnie do banałów:

– No, a jak tam twój ojciec? Przestał jakoś przychodzić...

Wtedy on jakby z ulgą:

– Ojciec? Nie żyje.

Moment przerwy; po czym zaskoczenie – już bez złości – i znów Siwa: – Czekaj no, jar, piekielnie to fajne... jak ty to robisz? – Oddałem się swoim typowym wyjaśnieniom, ale po chwili mi przerwał: – Aha! Wiesz co, ojciec mi mówił, że też się urodziłem punkt o północy, czyli że obaj jesteśmy tak samo przywódcami tej twojej bandy! Północ jest najlepsza, zgoda? Czyli że te inne dzieciaki muszą się nas słuchać!

Przed oczyma stanął mi obraz drugiej, tyle że jeszcze silniejszej Evelyn Lilith Burns... odrzuciwszy to niesprawiedliwe porównanie wytłumaczyłem:

– Niezupełnie tak sobie wyobrażałem Konferencję; chodziło mi raczej o coś, no wiesz, coś w rodzaju nieformalnego stowarzyszenia osób sobie równych, przy czym każdy mógłby swobodnie przedstawić swój punkt widzenia...

Coś jakby gwałtowne prychnięcie zadudniło echem po ścianach mojej głowy.

– Jedna wielka bzdura, człowieku. Co byśmy zdziałali z taką bandą? Banda musi mieć wodza. Weźmy choćby mnie – (znów nadął się pychą) – już od dwóch lat prowadzę tu w Matandze jedną taką bandę. Odkąd skończyłem osiem lat. Starsze dzieciaki i w ogóle. I co ty na to?

Wtedy ja, niechętnie:

– I co ta twoja banda robi, ma jakieś zasady i w ogóle?

Śmiech Siwy w moich uszach...

– Taa, zamożniaczku: jedną. Wszyscy robią, co im każę, bo inaczej tymi kolanami ściskam gówniarzy na miazgę!

Nadal podejmowałem rozpaczliwe wysiłki, żeby przekonać Śiwę do swojego punktu widzenia:

– Zrozum, musimy tu być w pewnym celu, nie uważasz? Zgodzisz się chyba, że wszystko musi mieć jakąś przyczynę? Pomyślałem więc, że powinniśmy spróbować wykryć, na czym

on polega, a potem, kapujesz, tak jakby mu się poświęcić...

– Zamoźniaczku – rozdarł się Siwa – co ty, do cholery, wiesz! Człowieku, jaki znowu cel? Co na tym zakichanym świecie ma jakakolwiek przyczynę? Jara, z jakiej niby przyczyny ty jesteś bogaty, a ja biedny? Człowieku, co ma na celu głód? Bóg jeden wie, ile milionów durniów mieszka w tym kraju, a ty, człowieku, chcesz się w tym doszukać celu? Posłuchaj mnie, człowieku, trzeba łapać, co się tylko da i korzystać, jak się tylko da, bo potem się umiera. Ot, i cała przyczyna, zamoźniaczku. A wszystko inne to tylko zafajdana blaga!

Na te słowa aż zadygotałem cały w swoim łóżku północnej godziny... – Przecież historia – powiadam – no i sam premier napisał do mnie list... a ty nie wierzysz nawet w... czy to wiadomo, do czego jesteśmy...

Ale moje alter ego, Siwa, ostro przerwał:

– Słuchaj no, mały, pełno masz idiotyzmów w głowie. Widzę, że będę musiał przejąć wszystko w swoje ręce. Powiedz to tym innym cudakom!

Nos i kolana i kolana i nos... rywalizacja powstała owej nocy mogła się nigdy nie skończyć, ale ostatecznie ciachnęły dwa noże, rachciachciach... nie potrafię stwierdzić: może wstąpił we mnie duch Mijana Abdullaha, którego przed laty zadźgały noże, zaszczepiając mi ideę nie skrepowanego federalizmu i skazując mnie na pastwę noży; w tym jednak momencie zdobyłem się na odwagę i oznajmiłem Siwie:

– Nie możesz przewodniczyć Konferencji; beze mnie twoje słowa nawet do nich nie dotrą!

Na co on podtrzymał swoje wypowiedzenie wojny:

– Sami zechcą mnie poznać, zamoźniaczku; tylko mnie spróbuj powstrzymać!

– Żebyś wiedział – odparowałem – że spróbuję.

Siwa, bóg zniszczenia, a zarazem najpotężniejsze z bóstw; Siwa, najwspanialszy tancerz; który dosiada byka; któremu nie oprze się żadna siła... chłopiec Siwa, jak nam oznajmił, musiał od najwcześniejszych dni walczyć o przetrwanie. A kiedy jego ojciec mniej więcej rok wcześniej stracił kompletnie głos, Siwa musiał się na dobitkę bronić przed rodzicielską gorliwością Wee Willie Winkiego.

– Człowieku, chciał, żebym nic nie widział! Przewiązał mi oczy szmatą i zaprowadził na dach naszego calu! A wiesz, co miał w ręku? Skurkowany młotek, człowieku! Młotek! Człowieku, ten łajdak chciał mi połamać nogi, bo to się zdarza, wiesz, zamoźniaczku, ludzie okaleczają rodzone dzieci, żeby zarabiała żebranią, a zawsze więcej ci wpadnie, jak jesteś połamancem! No więc popycha mnie, człowieku, aż padam na dach; i wtedy... – I wtedy młotek zamachnął się na kolana, większe i bardziej węzłaste niż u policjanta, łatwy cel, ale oto kolana wkroczyły do akcji, rozstały się szybciej niż błyskawica – wyczuły powiew spadającego młotka i rozwarły się jak najszerzej; i wtedy młotek walnął między kolana, nadal trzymany ojcowską ręką; i wtedy kolana zacisnęły się jak pięści. Młotek, już nieszkodliwy, zadzwonił o beton. Przegub Wee Willie Winkiego uwiązał między kolanami jego nic nie widzącego syna. Zduszony charkot z ust ojca w męczarniach. Lecz kolana prą coraz to bardziej bardziej bardziej, jeszcze i jeszcze mocniej, aż wreszcie trzask. – Człowieku, złamałem mu ten jego przekłety przegub! Nieźle mu dałem popalić, co? Niech mnie diabli!

Siwa i ja urodziliśmy się pod znakiem Koziorożca; ta konstelacja mnie dała spokój, lecz Siwie przekazała swój dar. Koziorożec, co zaświadczy każdy astrolog, to gwiazdozbiór sprawujący władzę nad kolanami.

* * *

W dniu wyborów w roku 1957 Kongres Wszechindyjski przeżył niemiły wstrząs. Mimo że wygrał wybory, dwanaście milionów głosów dowiodło, iż komuniści stanowią największą, jakże liczną, partię opozycyjną; w Bombaju zaś pomimo wysiłków bossa Patila ogromna liczba wyborców nie postawiła krzyżyków przy symbolu Kongresu w postaci świętej-krowy-i-ssącego-cielaka, przedkładając mniej rozczulające piktogramy Samjukta Maharasztra Samiti i Maha Gudżarat Pariszad. Kiedy na naszym pagórze rozprawiano o groźbie ze strony komunistów, moja matka wciąż się rumieniła; a myśmy przyjęli z rezygnacją podział stanu Bombaj.

Jeden uczestnik Konferencji Dzieci Północy miał swój drobny udział w tych wyborach. Rzekomy syn Winkiego, Siwa, został zwerbowany przez... – a, zresztą lepiej nie wymieniać nazwy partii; chociaż tylko jedna partia dysponowała naprawdę okazałymi sumami – toteż w dniu głosowania on i jego banda, występująca pod nazwą Kowbojów, trzymała straż przed lokalem wyborczym na północy miasta, przy czym jedni trzymali długie, mocne kije, inni żonglowali kamieniami, jeszcze inni dłubali sobie nożami w zębach, wszyscy natomiast zachęcali wyborców, aby każdy oddał swój głos rozumnie i rozważnie... czy po zamknięciu lokali złamano pieczęcie na urnach? Czy sfałszowano wybory? Tak czy owak, kiedy podliczono kartki, odkryto, że Czerwony Kasim minimalną liczbą głosów przegrał mandat; chlebobdawcy mojego rywala byli wielce zadowoleni... A teraz Padma pyta spokojnie:

– Którego to było dnia?

Odpowiadam bez namysłu:

– Gdzieś na wiosnę.

I zaraz uświadamiam sobie, że znów się omyliłem – wybory roku 1957 odbyły się przed moimi dziesiątymi urodzinami, a nie po nich; lecz chociaż na wszystkie strony łamię sobie głowę, moja pamięć, jak na złość, nijak nie chce odwrócić następstwa zdarzeń. Dostyc mnie to martwi. Nie mam pojęcia, co tu szwankuje.

Padma na próżno usiłuje mnie pocieszyć:

– Po kiego ci tak zrzędła mina? Wszyscy na okrągło zapominamy o różnych błahostkach!

Jeżeli jednak pominiemy błahe rzeczy, czy znajdują się na podorędziu rzeczy istotne?

Alfa i Omega

Jeszcze kilka miesięcy po wyborach w Bombaju wrzało; jeszcze dzisiaj wrze mi w głowie na wspomnienie tamtych dni. Bardzo zbiła mnie z tropu moja omyłka; żeby więc odzyskać równowagę psychiczną, stanę teraz pewnie na znajomym gruncie Posiadłości Methwolda; zostawię na boku dzieje Konferencji Dzieci Północy, na drugim zaś boku cierpienia wywołane przez kawiarnię Pionier i opowiem ci o upadku Evie Burns.

Nieco dziwacznie zatytułowałem niniejszy epizod. „Alfa i Omega” gapi się na mnie z tej strony, domagając się wyjaśnienia – osobliwy to nagłówek jak na półmetek mojej opowieści, bo zalatuje początkami i końcami, a przecież można by mi wytknąć, że powinien raczej traktować o środkach; w całej swej zatwardziałości ani myślę go zmieniać, chociaż nasuwa się wiele alternatywnych tytułów, na przykład: „Od Małpki do Rezusa”, czy „Palec Redux”, czy też – bardziej aluzyjnie – „Gąsior”, z oczywistym odniesieniem do mitycznego ptaka, hansa bądź paramahansa, symbolizującego zdolność życia w dwóch światach, materialnym i duchowym naraz, w świecie ziemi-i-wody oraz w świecie powietrza, fruwania. Jest wszakże „Alfa i Omega”; zatem „Alfą” i „Omegą” pozostanie. Zawiera on bowiem początki, a także najrozmaitsze końce; wkrótce się dowiesz, co mam na myśli.

Padma aż cmoka z niecierpliwości.

– Znów tak jakoś dziwnie gadasz – strofuje mnie. – Opowiesz wreszcie o tej Evie czy nie?

...Po wyborach powszechnych rząd Centralny wciąż deliberował nad przyszłością Bombaju. Najpierw chciano stan podzielić; po czym cofnięto decyzję; następnie podział znów wychylił łeb. Co zaś do samego miasta – miało zostać stolicą Maharasztry; albo też Maharasztry i Gudżaratu; albo niezależnym stanem... kiedy więc rząd się głowił, co by tu u licha przedsięwziąć, mieszkańcy postanowili wymóc na nim szybką decyzję. Rozpętały się zamieszki (nadal się niosła dawna pieśń bojowa Maratów: – Jak się masz? Mam się świetnie! To wezmę kija i wygrzmocę cię setnie! – wzbijało się ponad wir walki); co gorsza do całej tej bijatyki włączyła się jeszcze pogoda. Panowała dotkliwa susza; drogi pękały; chłopcy po wsiach musieli zabijać własne krowy; a w dzień Bożego Narodzenia (którego doniosłość nie mogła umknąć żadnemu chłopcu uczęszczającemu do szkoły misyjnej i pozostającemu pod opieką niani katolickiej) w zbiorniku Walkeśwar nastąpiła seria donośnych wybuchów i główne rury dostarczające świeżej wody miastu, jego linie życia, jęły sikać w powietrze fontannami niczym olbrzymie stalowe wieloryby. Gazety rozpisywały się o sabotażystach; domysły na temat tożsamości przestępców i ich afiliacji politycznych konkurowały o miejsce z reportażami na temat nie ustającej fali zabójstw ladacznic. (Ze szczególnym zainteresowaniem przyjąłem fakt, że morderca zostawia swój dziwaczny „podpis”. Zwłoki panienek uduszonych na śmierć miały siniaki na szyjach, zbyt duże, by pochodziły od kciuków, odpowiadające raczej śladom, jakie mogłaby zostawić para ogromnych, nadprzyrodzenie potężnych kolan.)

Bawię się jednak w dygresje. Bo niby co, sroży się mars na czole Padmy, to wszystko ma wspólnego z Evelyn Lilith Burns? Już staję, że się tak wyrażę, na baczność i spieszę z odpowiedzią: zaraz po przerwaniu dostaw świeżej wody dla miasta dzikie koty bombajskie zaczęły ściągać do tych jego części, gdzie wody było jeszcze względnie pod dostatkiem; innymi słowy do zamożniejszych dzielnic, w których każdy dom miał na strychu bądź w

piwnicy własny zbiornik wodny. I tak, na piętrowy pagór Posiadłości Methwolda wtargnęła armia spragnionych kocurów; koty kłębiły się na placyku między domami, wspinały po kratkach bugenwilli i wskakiwały do salonów, przewracały doniczki z kwiatami, żeby chleptać zatechłą wodę od roślin, biwakowały w łazienkach, pijąc z klozetów, pienią się w kuchniach pałaców Williama Methwolda. Miejscowa służba usiłowała wprzód odeprzeć wielką kocią inwazję, ale bez skutku; panie z posiadłości wydawały już tylko bezradne okrzyki zgrozy. Na każdym kroku poniewierały się twarde, zeschłe robaki z kocich ekskrementów; sama liczba kocich szeregów spustoszyła wszystkie ogrody; a w nocy nie było mowy o spaniu, bo cała ta armia dobywała głosu i wyła z pragnienia do księżycy. (Baronowa Simki von der Heiden odmówiła walki z kotami; już wykazywała objawy choroby, która niebawem miała ją doprowadzić do smutnego końca.) Nussie Ibrahim zadzwoniła do mojej matki i oświadczyła:

– Sostro Amino, koniec świata.

Myliła się jednak; gdyż trzeciego dnia tej wielkiej kociej inwazji Evelyn Lilith Burns odwiedziła kolejno wszystkie domostwa posiadłości ze swoim pistoletem Stokrotka trzymany niedbale w ręku i zaoferowała, że za pewnym wynagrodzeniem położy w mgnieniu oka kres tej pladze kiciusiów.

Przez cały dzień Posiadłość Methwolda rozbrzmiewała odgłosami pistoletu Evie i miaukami kotów w agonii, a Evie podchodziła kolejno jednego zwierzaka po drugim, nieźle się przy tym bogacąc. Ale (jak często dowodzi historia) moment największej chwały człowieka zawiera jednocześnie zalążek jego ostatecznego upadku; tak się też stało, bo tymi kocimi szykanami Evie przynajmniej w oczach Mosiężnej Małpki absolutnie przebrała miarę.

– Bracie – oświadczyła ponuro Małpka – obiecałam ci, że dobiore się do tej dziewczuchy; i teraz, właśnie teraz, nadszedł czas.

Pytania bez odpowiedzi: czy to prawda, że moja siostra opanowała język kotów podobnie jak ptaków? Czyżby umiłowanie kociego życia doprowadziło ją do ostateczności?... nim rozpętała się wielka kocia inwazja, włosy Małpki spłówiały na brąz; moja siostra skończyła z paleniem butów; ale nadal z niewiadomego powodu tkwiła w niej jakaś zawziętość, nie znana nikomu z nas; toteż Małpka wybiegła na placyk i wrzasnęła na całe gardło:

– Evie! Evie Burns! Gdziekolwiek jesteś, wyłaż, i to zaraz!

W otoczeniu pierzchających kotów Małpka czekała na Evelyn Burns. Wyszedłem na werandę na parterze, żeby popatrzeć; Sonny, Okruczoka, Pomada i Cyrus też patrzyli ze swoich werand. Zobaczyliśmy, jak Evie Burns wyłania się od strony kuchni Willi Wersal; zdmuchiwała dymek z lufy pistoletu.

– Wy, Hindusi, dziękujcie swoim gwiazdom, że mnie tu przywiodły – oznajmiła Evie – bo te koty zjadłyby was żywcem!

Ale oto Evie zamilkła na widok napięcia czającego się w oczach Małpki; i wtedy Małpka jak cień runęła na Evie; rozpoczęła się bitwa, która, zda się, trwała kilka godzin (a w rzeczywistości mogła trwać najwyżej parę minut). Przesłonięte kurzem placyku dziewczyny tarzały się kopały drapały gryzły, z tumanu pyłu wzbijały się kłaki włosów, raz po raz migwały tylko w tym obłoku łokcie stopy w przybrudzonych białych skarpetkach, kolana i strzępy sukienek; nadbiegli dorośli, służący nie dali rady rozdzielić walczących, toteż ogrodnik Homi Catracka musiał skierować na nie gumowego węża, żeby je wreszcie rozłączyć... Mosiężna Małpka podniosła się nieco chwiejnie i strzepnęła zamoczony rąbek sukienki, nie zważając na gromkie zapowiedzi kary z ust Aminy Sinai i Marii Pereiry; gdyż obok, na zwilżonej szlauchem ziemi leżała Evie Burns ze złamanym aparatem ortodontycznym, włosy miała

skołtunione od błota i śliny, a ducha i władzę nad nami złamane raz na zawsze.

Kilka tygodni później ojciec wysłał ją na dobre do domu.

– Żeby otrzymała staranne wychowanie z dala od tych dzikusów – miał rzekomo powiedzieć; odezwała się do mnie tylko raz, po pół roku, kiedy ni stąd, ni zowąd przyszedł od niej list z informacją, że zadźgała nożem pewną staruszkę, która zaprotestowała przeciwko jej maltretowaniu kota. „Dostała za swoje – napisała Evie. – Powiedz swojej siostrze, że jej się wtedy udało.” Oddaję cześć tej nieznannej starszej pani: spłaciła bowiem rachunek Małpki.

Znacznie ciekawsza niż ostatnia wiadomość od Evie jest myśl, która nasuwa mi się teraz, kiedy spoglądam wstecz w głąb tunelu czasu. Mając przed oczyma obraz Małpki i Evie tarzających się po ziemi domyślam się chyba, co je popchnęło do tego pojedynku na śmierć i życie, a co dalece wykraczało poza spór o dręczenie kotów: walczyły mianowicie o mnie. Evie i moja siostra (pod wieloma względami do siebie podobne) kopały i drapały pozornie tylko przejęte losem kilku spragnionych wody kocich przybłądów; bo może kopniaki Evie były wymierzone we mnie, może dawały upust złości za moją inwazję w jej myśli; z kolei może siła Małpki płynęła z lojalności siostrzanej, a jej akt wojenny stanowił w gruncie rzeczy akt miłości.

Zatem na placyku połała się krew. Kolejny poniechany tytuł tego ustępu brzmiał – do twojej wiadomości – „Krew nie woda”. W owym okresie niedoboru wody krew a nie woda pociekła Evie Burns po twarzy; więzy krwi poduszczyły Mosiężną Małpkę; a na ulicach Bombaju uczestnicy rozruchów też przelewali krew. Wokół krwawe morderstwa, ponadto na zakończenie tego ociekającego krwią wykazu może nie od rzeczy będzie jeszcze raz wspomnieć fale krwi napływające mojej matce na policzki. Owego roku oddano dwanaście milionów głosów na czerwonych, a czerwień to kolor krwi. Niebawem pójdzie dalsza krew; warto mieć na uwadze grupy krwi A i 0, Alfa i Omega – i jeszcze jedną, trzecią możliwość. A także inne elementy: powstawanie zygoty i przeciwciała Kella oraz najbardziej tajemniczy atrybut krwi, czynnik znany jako Rhesus, pod którą to łacińską nazwą kryje się zarazem małpka rezus.

Wszystko ma swój kształt, wystarczy się dobrze rozejrzeć. Od formy nie ma ucieczki.

Zanim jednak krew zaświeci tryumf, zerwę się do lotu (niczym gąsior paramahansa, który przefruwa z jednego żywiołu do drugiego) i wrócę na chwilę do spraw mojego wewnętrznego świata; bo chociaż upadek Evie Burns położył kres mojemu ostracyzmowi ze strony pagórowych dzieci, trudno mi im było tak od razu przebaczyć; jeszcze czas jakiś trzymałem się na uboczu i pogrążałem w wypadkach rozgrywających się w mojej głowie, zatopiony w początkowej fazie konsolidacji dzieci północy.

Postawmy sprawę jasno: nie lubiłem Siwy. Nie znosiłem jego niewyparzonego języka, prostackich poglądów; zaczynałem go nadto podejrzewać o szereg potwornych zbrodni – chociaż nie potrafiłem znaleźć na nie dowodów w jego myślach, bo on jako jedyny z grona dzieci północy umiał zamknąć przede mną dowolną część myśli, które wolał zatrzymać dla siebie – już sam ten fakt wzmacniał moją rosnącą niechęć i podejrzliwość wobec tego typka o szczerzej twarzy. Za wszelką cenę starałem się jednak postępować fair; a nie byłoby fair trzymać go z dala od pozostałych uczestników Konferencji.

Powiniennem wyjaśnić, że w miarę rozwoju moich zdolności umysłowych odkryłem, iż nie tylko potrafię odbierać transmisje owych dzieci; nie tylko umiem nadawać własne komunikaty; lecz również (skoro już uwiązałem w tej metaforze radiowej) mogę poniekąd służyć za ogólnokrajową rozgłośnię, udostępniając zatem swój przekształcony umysł dzieciom, przeistaczałem go w swoiste forum, na którym za moim pośrednictwem mogły ze

sobą rozmawiać. Toteż na początku roku 1958 codziennie między północą a pierwszą w nocy pięćset osiemdziesięcioro jeden dzieci zbierało się na godzinę w lok sabha, czyli w parlamencie mojego mózgu.

Tworzyliśmy tak hałaśliwą, niesforną zbieraninę jak każda gromada pięciuset osiemdziesięciu jeden dziesięciolatków; pominąwszy typową dla naszego wieku żywotność, dochodziło jeszcze podniecenie z odkrycia siebie nawzajem. Po godzinie takich wrzasków na cały regulator, paplaniny, kłótni, chichotów, umęczony zapadałem w tak głęboki sen, że nie miały się go koszmary, a mimo to budziłem się z bólem głowy; kto by się tym jednak przejmował. Na jawie musiałem stawiać czoło różnorodnym ciosom matczynej perfidii i ojcowskiego zapadania się, niestałości przyjaźni i wielowymiarowej tyranii szkoły; we śnie zaś byłem ośrodkiem najbardziej ekscytującego świata odkrytego kiedykolwiek przez dziecko. Pomimo obecności Siwy wołałem spać.

Przekonanie Siwy, że on (czy też on-i-ja) urodził się na przywódcę naszej grupy ze względu na jego (i moje) przyjście na świat punkt o północy wspierał, muszę przyznać, jeden mocny argument. Wydawało mi się wtedy – tak zresztą jak i teraz – że cud o północy miał wybitnie hierarchiczny charakter, że zdolności dzieci drastycznie malały proporcjonalnie do upływu czasu od wybicia północy do chwili ich narodzin; ale nawet ten punkt widzenia podlegał zażartym sporom... – Coś ty jak mozesz tak mówić – wołali chórem: chłopak z puszczy Gir o pustej twarzy, zupełnie bez wyrazu (wyjawszy oczy dziurki-w-nosie jamę-ustną), który przybierał dowolne rysy twarzy, Harilal, co biegał z prędkością wiatru i Bóg wie ilu jeszcze innych... – Kto powiedział, że lepiej jest umieć to niż tamto? – I: – A potrafisz fruwać? Bo ja potrafię! – I: – Czy choćby ja... przemieniłbyś tak jedną rybę w pięćdziesiąt? – I: – Dzisiaj odwiedziłem jutro. Dałbyś i ty radę? No więc co... – w obliczu takiej burzy protestów nawet Siwa zmienił swoją śpiewkę; miał jednak znaleźć sobie nową, i to jeszcze groźniejszą – groźniejszą dla Dzieci, a także dla mnie.

Albowiem uzmysłowiłem sobie, że nie jestem wolny od pokus przywództwa. Kto w końcu odkrył Dzieci? Kto zwołał Konferencję? Kto im zapewnił miejsce spotkań? Czyż jako współnajstarszemu nie należały mi się szacunek i powolność z racji starszeństwa? Bo czyż nie ten prowadzi klub, kto ustanawia jego siedzibę?... Na co Siwa:

– A dajże spokój, człowieku. Te kluby szmuby są tylko dla takich zamożniaczków jak ty! – Jednakże na pewien czas został przegłosowany. Parwati-czarodziejka, córka sztukmistrza z Delhi, wzięła moją stronę (podobnie jak wiele lat później ocaliła mi życie) i oświadczyła:

– Słuchajcie no wszyscy: bez Salima daleko nie zajdziemy, nie dogadamy się i w ogóle, on ma rację. Niech zostanie wodzem!

Na co ja:

– Po co od razu wodzem, traktujcie mnie jak, powiedzmy... wielkiego brata. Właśnie; tworzymy tak jakby rodzinę. A ja tu jestem najstarszy.

Zamknęło to Siwie usta, odparł więc tylko drwiąco:

– No dobra, wielki bracie: powiedz nam w takim razie, co mamy robić?

Wówczas zapoznałem Konferencję z myślami, które od dawna nie dawały mi spokoju: z pojęciami celu i sensu.

– Musimy wymyślić – oznajmiłem – po co tu jesteście.

Odnotowuję wiernie przekrój poglądów typowych dla uczestników Konferencji (wyjawszy cyrkowych cudaków oraz tych, którzy – tak jak mała żebraczka Sundari z bliźniami od noża – utracili swoje moce i podczas naszych obrad nabrali wody w usta niczym ubodzy krewni na biesiadach): wśród proponowanych ideologii i zamierzeń znalazły się: kolektywizm –

„Powinniśmy się zebrać i zamieszkać razem, no nie? Po co nam inni?” – indywidualizm – „Powiadasz «my»; ale we własnej grupie nic nie znaczymy; co w tym takiego, że każde z nas posiada dar, który miałyby wykorzystywać jedynie dla swojego dobra” – obowiązki wobec rodziców – „Jeżeli tylko umiemy pomóc ojcu-matce, koniecznie trzeba im ulżyć” – rewolucja dziecięca – „Musimy wreszcie pokazać innym dzieciom, że można się obyć bez rodziców!” – kapitalizm – „Pomyślcie, co za interesy moglibyśmy robić! O, Allah, jacy moglibyśmy być bogaci!” – altruizm – „Nasz kraj potrzebuje utalentowanych ludzi; trzeba by spytać rząd, jak chciałby spożytkować nasze umiejętności” – nauka – „Należałoby nas poddać badaniom” – religia – „Poświęćmy się światu na chwałę Bożą” – męstwo – „Powinniśmy zaatakować Pakistan!” – i tchórzostwo – „Wielkie nieba, musimy trzymać się w ukryciu, wyobraźcie sobie, co oni z nami poczną, ukamienują nas jak jakieś czarownice czy coś w tym rodzaju!”; trafiały się deklaracje praw kobiet i głosy za poprawą losu niedotykalnych; dzieci pozbawione ziemi marzyły o ziemi, członkowie górskich plemion o łąkach terenowych; zdarzały się też mrzonki o władzy. „Człowieku, nikt nas nie powstrzyma! Umiemy zaklinać, latać, czytać w myślach, zamieniać ich w żaby, wyczarowywać złoto i ryby, pozyskiwać ich miłość, znikać w lustrach i zmieniać własną płć... jak by nas mieli pokonać?”

Nie ukrywam, że przeżyłem zawód. Chociaż nie powinienem był; niczym się te dzieci nie różniły od innych z wyjątkiem darów; w głowach miały to samo, co wszystkie dzieci: ojca matkę pieniądze jedzenie ziemię własność sławę władzę Boga. Nigdzie w myślach Konferencji nie umiałem się dopatrzeć niczego tak nowego jak my sami... ale ja też zбочyłem na niewłaściwy tor; wcale nie widziałem klarowniej niż inni; toteż nawet gdy Sumitra, podróżnik-w-czasie, ostrzegał: „Mówię wam – to wszystko nie ma sensu – wykończą nas, zanim się za cokolwiek weźmiemy!”, po prostu zlekceważyliśmy jego głos; z iście młodocianym optymizmem – złośliwą odmianą wirusa, którym się niegdyś zaraził mój dziadek, Aadam Aziz – odsuwaliśmy od siebie mroczne myśli, zatem żadne z nas nie podsunęło, że cel Dzieci Północy może tkwić w ich zagładzie; że dopiero zniszczenie nada nam sens.

Dyskrecja nie pozwala mi wyszczególnić wszystkich głosów z osobna; zresztą też i inne względy. Po pierwsze, moja opowieść nie pomieściłaby pięciuset osiemdziesięciu jeden w pełni wykształconych osobowości; po drugie, dzieci, mimo swych zadziwiająco odrębnych, zróżnicowanych darów, pozostały dla mnie swoistym wielogłowym potworem przemawiającym miriadami języków wieży Babel; stanowiły kwintesencję różnorodności, nie widzę zatem powodu, żeby je teraz rozdzielać. (Zdarzały się jednak wyjątki. Przede wszystkim Siwa; no i Parwati-czarodziejka.)

...Przeznaczenie, rola historyczna, numen: oto kęsy zbyt wielkie do przełknięcia dla dziesięciolatek. Może zresztą i dla mnie; pomimo stale obecnych napomnień wskazującego palca rybaka i listu premiera, od wywołanych-kichnięciem-cudów odrywały mnie raz po raz codzienne błahostki, uczucie głodu bądź senności, małpie igraszki z Małpką czy też wyprawy do kina na *Kobietę kobrę* albo *Vera Cruz*, długotrwała tęsknota za długimi spodniami oraz niewytłumaczalna fala gorąca poniżej-pasa, spowodowana nadchodzącą zabawą szkolną, kiedy to my, chłopcy z Katedralnej Szkoły Męskiej im. Johna Connona będziemy mogli tańczyć box-stepsa i sombrero z dziewczętami z siostrzanej placówki – takimi jak Masha Miovic, mistrzyni w stylu klasycznym (– Hi, hi – skomentował Nalany Keith Colaco), Elizabeth Purkiss i Janey Jackson – czyli z Europejkami, które jak Boga kocham nosiły kloszowe spódnice, a jak się całowały! – jednym słowem, moją uwagę wciąż przykuwały dotkliwe, absorbujące udręki dorastania.

Nawet symboliczny gąsior musi w końcu wylądować na ziemi; dość mam na teraz (tak jak miałem wtedy) wyłącznie magicznych aspektów życia; muszę powrócić (tak jak powracałem wówczas) do przyziemności; albowiem musi się połączyć krew.

Pierwsze okaleczenie Salima Sinai, po którym rychło nastąpiło drugie, miało miejsce w środę na początku roku 1958 – w środę tej jakże wyczekiwanej zabawy – pod auspicjami Anglo-Szkockiego Towarzystwa Edukacji. Czyli dokonano się w szkole.

Napastnik Salima: przystojny furia z krzaczastymi wąsiskami barbarzyńcy: przedstawiam ci podrygującego, rwącego włosy z głowy pana Emila Zagailo, który uczył nas geografii i gimnastyki, a który owego ranka niechcący zapoczątkował kryzys mojego życia. Zagailo podawał się za Peruwianczyka i z lubością nazywał nas Indusami-z-dżungli łasymi-napaciorki; nad tablicą zawiesił reprodukcję przedstawiającą srogiego, spoconego żołnierza w spiczastym metalowym hełmie i stalowych pantalonach, a w chwilach rozdrażnienia dźgał go palcem i pohukiwał: – Widzicie go, dzikusy! Ten człowiek to cywilizacja! Okażcie mu szacunek: bo ma miecz! – I siekł swoją trzcinką zamknięte w czterech ścianach powietrze. Przeżywaliliśmy go Pagal-Zagal, wariat Zagailo, bo mimo wszystkich tych jego gadek o lamach, konkwistadorach i Pacyfiku wiedzieliśmy, z absolutną pewnością plotki, że urodził się w dzielnicy Mazagaon, a jego matkę Goankę porzucił zbiegły ze statku agent handlowy; był więc nie tylko mieszańcem, lecz zapewne też i bękartem. Ta świadomość pozwalała nam zrozumieć, dlaczego Zagailo tak hołubi swój łański akcent, a także dlaczego wiecznie się złości i wali pięściami w kamienne ściany naszej klasy; ta świadomość wszakże nie zmniejszała naszego strachu. Owej środy rano czuliśmy, co się święci, bo odwołano nadobowiązkową „katedrę”.

W środy rano mieliśmy w planie dwie pod rząd lekcje geografii z panem Zagailo; ale chodzili na nie tylko idioci i chłopcy z rodzin fanatyków, bo w tym samym czasie można było maszerować do Katedry Świętego Tomasza w krokodylowym szyku, długim rzędzie chłopców wszelkich możliwych wyznań, którzy urywali się ze szkoły na łono miłosierne nadobowiązkowego Boga chrześcijan. Zagailo dostawał wprost białej gorączki, ale nic na to nie mógł poradzić; – dziś jednak oko rozblęsnęło mu złowrogim ognikiem, bo Skrzek (czyli nasz dyrektor, pan Crusoe) zapowiedział na apelu porannym, że „katedra” jest odwołana. Oschłym, chrapliwym głosem dobywającym się z tego żabiego łąba pod narkozą skazał nas na dwie geografie i na Pagala-Zagala, co było dla nas nie lada zaskoczeniem, bo nie podejrzewaliśmy, że Bóg też może sobie wybierać obowiązki. Markotnie wkroczyliśmy do jaskini Zagaila; jeden z tych nieszczęsnych idiotów, którym rodzice nie pozwalali chodzić do Katedry, szepnął mi jadowniczo w ucho:

– Zobaczysz: dziś wam się dobierze do skóry.

I wiesz co, Padmo? Tak się stało.

W klasie posępnie siedzą: Nalany Keith Colaco, Gruby Perce Fishwala, Jimmy Kapadija, uczeń z zapomogą, który miał ojca taksówkarza, Pomada Sabarmati, Sonny Ibrahim, Cyrus Wielki i ja. Inni zresztą też, ale nie ma teraz czasu, bo wariat Zagailo, z oczyma zwięzającymi się z rozkoszy w szparki, przywołuje nas do porządku.

– Geografia człowieka – rzuca Zagailo. – Co to takiego? Kapadija?

– Nie wiem, panie psorze.

Do góry wyrwywają się ręce – pięć należy do idiotów, którym zakazano kościoła, szósta zaś, rzecz jasna, do Cyrusa Wielkiego. Ale Zagailo jest dziś żądny krwi: świątobliwi muszą wycierpieć swoje.

– Ty chamie z dżungli – szturcha Jimmy’ego Kapadiję, po czym zaczyna niedbałym

ruchem wykręcać mu ucho. – Może byś tak czasem przyszedł na lekcję, to byś się dowiedział!

– Au au au tak, panie psorze, przepraszam, panie psorze...

W powietrzu wymachuje sześć rąk, a Jimmy'emu zaraz chyba odpadnie ucho. Bohaterstwo bierze we mnie górę...

– Panie profesorze, niech pan przestanie, on jest chory na serce!

To prawda; ale też prawda niebezpieczna, bo teraz Zagailo rzuca się na mnie:

– A, mały awanturnik, co?

Prowadzi mnie za włosy na środek klasy. Odprowadzany pełnymi ulgi spojrzeniami kolegów – chwala Bogu, że to on, a nie my – wiję się z bólu pod uwieczoną czupryną.

– No to odpowiadaj. Wiesz, co to jest geografia człowieka?

Ból zalewa mi głowę, usuwając wszelkie myśli o telepatycznym oszustwie.

– Oj, panie psorze, nie, panie psorze, auć!

...I teraz widać, jak Zagaili nasuwa się żart, jak rozpromienia mu twarz atrapą uśmiechu; widać, jak ręka śmiga naprzód, kciuk-i-palec wskazujący wyciągnięte; widać, jak kciuk-i-palec wskazujący zwierają się na czubku nosa i ciągną w dół... głowa musi iść w ślad za nosem, toteż po chwili nos mi zwisa na dół, oczy muszą patrzeć łzawo na nogi Zagaili z brudnymi paznokciami, obute w sandały, tymczasem Zagailo ostrzy sobie dowcip.

– Widzicie, chłopcy, widzicie, co my tu mamy? Przyjrzyjcie się z łaski swojej, odrażającej gębie tego prymitywnego stworzenia. Co wam przypomina?

Gorliwe odpowiedzi:

– Diabła, panie psorze.

– Panie profesorze, takiego jednego kuzyna!

– Skąd, panie psorze, warzywo, tylko sam nie wiem jakie.

Wtedy Zagailo przekrzykując wrzawę:

– Milczeć, pawiany wcielone! Ten tu przedmiot – pociągnięcie za mój nos – to geografia człowieka!

– Jak to, panie psorze, gdzie, panie psorze, co, panie psorze?

Zagailo parska śmiechem.

– Nie widzicie? – prycha. – Nie widzicie na gębie tej szkaradnej małpy całej mapy Indii?

– Tak, panie psorze, nie, panie psorze, proszę nam pokazać!

– Widzicie... o, tu, zwisa półwysep Dekan!

To znów o mój nos.

– Panie psorze, panie psorze, skoro to jest mapa Indii, co znaczą te plamy?

To Nalany Keith Colaco tak się rozzuchwalił. Śmichy-chichy moich kolegów. A Zagailo odpowiada bez namysłu:

– Te plamy – woła – to Pakistan! Znamię na prawym uchu to Skrzydło Wschodnie; a ta ohydna plama na lewym policzku to Zachodnie! Pamiętajcie, tumany: Pakistan jest skazą na obliczu Indii!

– Ho, ho – ryczy ze śmiechu klasa. – Ekstra dowcip, panie profesorze!

Ale mój nos dość się nacierpiał; szykuje więc spontaniczny bunt przeciwko zaciskowi kciuka-i-palca wskazującego, ostrzy własną broń... z lewej dziurki od nosa wyłania się lśniący gil i spada z płaskiem na rękę pana Zagailo. Gruby Perce Fishwala woła:

– Panie psorze! Kapnęło mu z nosa! Czy to ma być Cejlon?

Z ręką wymazaną smarkami Zagailo szybko traci rozbawiony nastrój.

– Zwierzę – wyklina mnie. – Widzisz, co zrobiłeś? – Ręka Zagaila puszcza mój nos; przenosi się znów na włosy. Śluz z nosa zostaje wytarty o moje równiutko przedzielone

kędziory. I teraz, po raz wtóry, ręka chwyta za włosy; po raz wtóry ciągnie... lecz tym razem w górę, szarpnięcie do góry, nogi aż się unoszą na palcach, a Zagailo ciągnie: – No to czym jesteś? Mów, czym jesteś!

– Zwierzęciem, panie profesorze!

Ręka ciągnie mocniej wyżej.

– Jeszcze raz.

Stojąc już dosłownie na czubkach palców jęczę:

– Aj, panie psorze, zwierzęciem, zwierzęciem, błagam, panie psorze, aj!

Coraz mocniej, coraz wyżej...

– I jeszcze raz!

Naraz wszystko się kończy; znów stoję równo na podłodze; a klasa dosłownie zamarła.

– Panie profesorze – odzywa się Sonny Ibrahim – wyrwał mu pan włosy.

I teraz cała kakofonia:

– Proszę pana, krew.

– Leci mu krew, panie psorze.

– Panie profesorze, zaprowadzić go do higienistki?

Pan Zagailo stał jak posąg z kłakiem moich włosów w garści. Natomiast ja – zbyt wstrząśnięty, żeby czuć ból – czułem tylko łatę na głowie tam, gdzie pan Zagailo stworzył mnisia tonsurę, krążek, gdzie nigdy już nie wyrosną włosy, i zdałem sobie sprawę, że klątwa moich narodzin, która związała mnie z ojczyzną, znalazła jeszcze jeden nieoczekiwany wyraz.

Nie minęły dwa dni, a Skrzek Crusoe ogłosił, że niestety pan Emil Zagailo opuszcza szkołę z przyczyn osobistych; ale ja dobrze wiedziałem, co to za przyczyny. Moje wyrwane z korzonkami włosy przylgnęły mu do rąk niczym plamy krwi, których nie sposób zmyć, a przecież nikt nie chce nauczyciela z włosami na dłoniach.

– To pierwsza oznaka szaleństwa – powtarzał z lubością Nalany Keith – a druga, to jak ktoś ich tam szuka.

Spadek po Zagailu: mnisia tonsura; a co gorsza, cały zestaw nowych przytyków, jakich nie szcędzili mi koledzy, kiedy czekaliśmy na szkolne autobusy, które miały nas rozwieźć do domów, żebyśmy się przebrali na zabawę: – Smark łysa-pała! – i – Kinol ma twarz-jak-mapa! – Kiedy Cyrus zjawił się w kolejce do autobusu, usiłowałem podjudzić tłum przeciwko niemu, intonując rymowaną: – Cyrus nasz Wielki, Wyrósł bez bumelki, Los go czeka tłusty, Bo urodził się w czterdziestym ósmym – ale nikt jej nie podchwycił.

Zbliżamy się do wypadków na zabawie w Szkole Katedralnej. Na której klasowi tyrani stali się narzędziami losu, palce przemieniły się w fontanny, a Masha Miovic, legendarna mistrzyni stylu klasycznego, upadła zemdlona... Przyszedłem na zabawę z głową obwiązaną bandażem higienistki. Spóźniłem się, bo wcale nie było łatwo uprosić matkę o zgodę na wyjście; toteż kiedy zjawiłem się w Sali Zgromadzeń, pełnej serpentyn, balonów i profesjonalnie nieufnych spojrzeń kościstych przyzwoitek, wszystkie najfajniejsze dziewczyny dawno już box-stepowały i sombreroowały z bezsensownie pewnymi swego partnerami. Monitorowie mieli, oczywiście, pierwszeństwo w wyborze pań; obserwowałem z dziką zawiścią, jak sobie poczynają starsi: Guzder, Dżośi, Stevenson, Rushdie, Talijarchan, Tayobali, Dżassawala, Wagle i King; usiłowałem wkręcać się między nich pośród rozlicznych „przepraszam bardzo”, ale na widok mojego bandaża, nosa ogórasa i plam na twarzy wybuchali tylko śmiechem i odwracali się plecami... z pączkującą nienawiścią w brzuchu wcinałem tylko prażynki ziemniaczane, popijałem napojami Bubble-Up bądź Vimto i

mówiłem sobie w duchu: „Co za pętaki; żeby tak wiedzieli, kim jestem, zaraz by mi, do diabła, zeszli z drogi!” Nadal jednak lęk przed ujawnieniem mojej prawdziwej natury brał górę nad niejasnym skądinąd pociągami do wirujących europejskich dziewcząt.

– Cześć, Salim, nie mylę się chyba? Człowieku, co ci się stało? – Zostałem wyrwany ze swojej rozgoryczonej, samotniczej zadumy (nawet Sonny miał z kim tańczyć; ale on wyróżniał się tymi swoimi wklęsnięciami-po-kleszczach, no i nie nosił slipów – jego atrakcyjność była więc uzasadniona) przez głos zza mojego lewego ramienia, niski, gardłowy, pełen obietnic – lecz przy tym złowieszczy. Głos dziewczyny. Odwróciłem się jednym susem i ujrzałem przed sobą zjawisko ze złocistymi włosami oraz wydatnym, jakże klasycznym biustem... jak Boga kocham, miała czternaście lat, czemu chciała ze mną rozmawiać?... – Nazywam się Masha Miovic – powiedziało zjawisko. – Poznałam twoją siostrę.

No jasne! Bohaterki Małpki, pływaczki ze Szkoły Walsingham, z pewnością musiały znać mistrzynię stylu klasycznego!

– Wiem... – wymamrotałem. – Słyszałem o tobie.

– A ja o tobie. – Poprawiła mi krawat. – Czyli jesteśmy kwita.

Przez jej ramię spostrzegłem, że Nalany Keith i Gruby Perce śledzą nas wzrokiem, oblizując się zżerani zawiścią. Wyprostowałem się i naprężyłem ramiona. Masha Miovic ponownie spytała o mój bandaż.

– E, to nic takiego – powiedziałem siląc się na głęboki tembr głosu. – Kontuzja sportowa. – Po czym dokładając nerwowo starań, żeby utrzymać ten ton, spytałem: – Zatańczysz?

– Dobra – zgodziła się Masha Miovic. – Tylko nie próbuj się podwalać.

Salim wkracza na parkiet z Mashą Miovic, przyrzeka, że nie będzie się podwalał. Salim i Masha w sombrero; Masha i Salim box-stepują z samą śmietanką! Pozwalam sobie na minę wyższości; patrzcie, wcale nie trzeba być monitorem, żeby zdobyć dziewczynę!... Taniec się skończył; a ja na fali tego uniesienia zaproponowałem: – Miałabyś ochotę się przejść, no wiesz, po dziedzińcu?

Masha Miovic uśmiecha się skrycie.

– Może bym miała, ale tylko tak na chwilę; no i ręce przy sobie, jasne?

Ręce przy sobie, przyrzeka Salim. Salim i Masha idą zaczerpnąć świeżego powietrza... człowieku, to dopiero frajda. To dopiero życie. Żegnaj, Evie, witaj stylu klasyczny... Z cienia na dziedzińcu wychodzą Nalany Keith Colaco i Gruby Perce Fishwala. Podśmiewają się: – He, he. – Masha Miovic robi zdziwioną minę, kiedy zastępują nam drogę.

– Ho, ho – dogaduje Gruby Perce – ho, ho, Masha. Aleś sobie wybrała kawalera.

Na co ja: – Zamknij się.

Tu włącza się Nalany Keith:

– Chcesz wiedzieć, Mashy, jak on się dorobił swoich wojennych obrażeń?

I Gruby Perce:

– Hłe, hłe.

Masha odpiera atak:

– Nie bądźcie tacy, odniósł kontuzję w sporcie!

Gruby Perce i Nalany Keith pokładają się niemal z uciechy; i wtedy Fishwala rąbie całą prawdę.

– Zagailo wyrwał mu włosy na lekcji! Hłe, hłe.

A Keith mu wtóruje:

– Smark łysa-pała!

I obaj razem:

– Kinol ma twarz-jak-mapal

Zaskoczenie na twarzy Mashy Miovic. Ale też coś więcej, jakieś ziarenko erotycznej intrygi...

– Salim, ale oni ci dokuczają!

– Niech im będzie – powiadam – nie zwracaj na nich uwagi.

Usiłuję ją odciągnąć na bok. Lecz Masha prowokuje dalej:

– Nie puścisz im chyba tego płazem?

Paciorki podniecenia występują jej na górnej wardze; widać język w kąciku ust; oczy Mashy Miovic zdają się mówić: „Kim ty jesteś? Mężczyzną czy myszką?”...pod urokiem mistrzyni stylu klasycznego coś innego staje mi w oczach: obraz dwóch nieodparty kolan; skaczą na Colacę i Fishwałę; gdy więc oni zanoszą się beztrosko śmiechem, moje kolano łąduje w pachwinie Keitha; nie zdążył upaść, a już podobny cios rzuca Grubego Perce’a na klęczki. Odwracam się do swojej damy; i spotykam się z jej czułym aplauzem.

– No, no, nieźle.

Jednakże mój moment chwały minął; Gruby Perce już się zbiera, a i Nalany Keith rusza w moją stronę... porzucam wszelkie pozory męskości, obracam się na pięcie i w nogi. Dwóch tyranów za mną, a tuż za nimi biegnie Masha Miovic i woła: – Dokąd tak pędzisz, mały bohaterze? – Ale teraz nie czas na nią, jeszcze by tego brakowało, żeby mnie dogonili, wpadam do najbliższej klasy, usiłuję zamknąć drzwi, lecz Gruby Perce wkłada nogę i już obaj są ze mną w środku, skaczą więc do drzwi, łapię je prawą ręką, szarpnię, żeby otworzyć, zwiewaj stąd jak ci Bóg miły, tamci pchnięciem zatrząskują, a ja napieram, strach dodaje mi krzepy, uchyliłem o kilka centymetrów, zaciskam na nich rękę, tyle że teraz Gruby Perce pada na nie całym ciałem, zatrząskują się za szybko, żebym zdążył wyrwać rękę... zamknięte. Pach. A na zewnątrz dobiega Masha Miovic, zerka na podłogę; i widzi trzecią część mojego środkowego palca, która leży tam niczym kulka dobrze przeżutej gumy balonówki. Wtedy właśnie zemdlą.

Ani cienia bólu. Wszystko bardzo odległe. Gruby Perce i Nalany Keith czmychają, albo sprowadzić pomoc, albo się schować. Oglądam sobie rękę z czystej ciekawości. Palec zamienił mi się w fontannę: czerwona ciecz tryska w rytmie tętna. Nie sądziłem, że palec ma tyle krwi. Nieźle. Jest już higienistka, nie ma się czym przejmować, proszę pani. To tylko draśnięcie. Już się wzywa telefonicznie twoich rodziców; pan Crusoe pobiegł po kluczyki do samochodu. Higienistka przykłada do kikuta wielki kłęb waty. Nasiąka od razu niczym czerwona wata cukrowa. A teraz Crusoe. Wsiadaj, Salim, do wozu, twoja matka jedzie prosto do szpitala. Dobrze, proszę pana. A ten kawałek, czy ktoś ma ten kawałek? Tak, panie dyrektorze, proszę bardzo. Dziękuję pani, siostrze. Pewno na nic się nie zda, ale nigdy nic nie wiadomo. Salim, potrzyj, bo ja prowadzę... dzierżąc w nie okaleczonym lewym ręku odcięty koniuszek swojego palca, jadę przez dudniące echem ulice nocy do szpitala Breach Candy.

W szpitalu: białe ściany nosze wszyscy mówią naraz. Słowa leją się wokół mnie jak z fontanny.

– O Boże, zlituj się nad nami, mój okruszek księżycy, co oni ci zrobili?

Na to stary Crusoe:

– He, he, pani Sinai. Wypadki chodzą po ludziach. A chłopcy jak to chłopcy.

Ale matka oburzona:

– Co to za szkoła? Panie Caruso? Palec mojego syna w kawałkach, a pan mi tu takie rzeczy. To nie jest żadne wytłumaczenie. Co to, to nie.

Kiedy Crusoe bąka: – Jeżeli chodzi o ścisłość, nazywam się tak jak tamten Robinson, no wie pani... he, he – nadchodzi lekarz i zadaje pytanie, na które odpowiedź zmieni cały świat.

– Pani Sinai, jaką ma pani grupę krwi? Chłopiec stracił dużo krwi. Może zająć konieczność transfuzji.

Wtedy Amina:

– Ja mam A; mąż ma 0.

I już płacze, załamuje się, lekarz jednak ciągnie:

– No dobrze, a czy pani zna grupę syna... – Wszakże ona, córka lekarza, musi przyznać, iż nie potrafi odpowiedzieć na pytanie: Alfa czy Omega? – W takim razie zaraz się sprawdzi; a jaki czynnik Rh?

Matka przez łzy:

– Oboje, mąż i ja, mamy Rh plus.

– Świetnie – powiada lekarz – przynajmniej to jedno.

Leżę na stole operacyjnym: – Siedź tak, synku, dam ci miejscowe znieczulenie, nie, proszę pani, jest w szoku, pełna narkoza nie wchodzi w rachubę, dobrze, synku, tylko spokojnie trzymaj palec do góry, proszę mu pomóc, siostró, zanim się obejrzysz, już będzie po wszystkim – chirurg zszywa kikut i dokonuje cudu przeszczepiając nasadę paznokcia, aż tu nagle zamieszanie w oddali, milion mil stamtąd, i: – Pani Sinai, może pani na chwilę pozwoli – nie słyszę dokładnie... słowa płyną gdzieś hen daleko... pani Sinai, nie myli się pani? 0 i A? A i 0? I Rh plus, oboje? Heterozygota czy homozygota? Niemożliwe, musi tu być jakiś błąd, chłopiec nie mógłby przecież... przykro mi, ale to fakt... minus... i ani A, ani... pani wybaczy, ale czy to na pewno państwa... nie adoptowany ani... Pielęgniarka wkracza między mnie a tę rozmowę zza wielu mil, ale nic to nie daje, bo teraz matka krzyczy:

– Panie doktorze, musi mi pan uwierzyć; Boże miłosierny, to z całą pewnością nasz syn!

Ani A, ani 0. I czynnik Rh: niewiarygodny minus. Powstanie zygoty nie podsuwa żadnych wskazówek. Ponadto we krwi rzadkie przeciwciała Kella. Na co moja matka płacze, płacze-płacze, płacze...

– Nie rozumiem. Sama jestem córką lekarza, a nie rozumiem.

Czy zdemaskowały mnie Alfa i Omega? Czy rhesus wskazuje swoim nieodgadnionym palcem? I czy Maria Pereira będzie teraz musiała... Budzę się w chłodnym białym pokoju osłoniętym żaluzjami, z Rozgłosnią Wszechindyjską za towarzysza. Śpiewa Tony Brent: „Czerwone żagle o zachodzie słońca”.

Ahmed Sinai z twarzą ściągniętą whisky, a teraz czymś jeszcze gorszym, stoi przy żaluzji. Amina mówi szeptem. Znow strzępy zdań zza miliona mil. Dżanamproszęcię. Zmiłuj się. Skąd, co też ty mówisz. Oczywiście, że tak. Oczywiście, że ty. Jak możesz mnie podejrzewać. A niby kto? O Boże, przestań tak stać i się gapić. Klnę się klęsięna głowemamki. A teraz ciii, bo on...

Nowa piosenka w wykonaniu Tony’ego Brenta, którego repertuar przypomina dzisiaj, niesamowitym zbiegiem okoliczności, repertuar Wee Willie Winkiego: „Po czemu ten piesek z wystawy?” wisi w powietrzu, płynie po radiowych falach. Ojciec podchodzi do łóżka, góruje nade mną jak wieża, nigdy go jeszcze takim nie widziałem.

– Abba...

– Że też się od razu nie domyśliłem – powiada. – Bo niby gdzie tu moje rysy na tej twarzy? Ten nos, od razu trzeba mi było...

Obraca się na pięcie i wychodzi z sali; matka za nim, zbyt podminowana, żeby zniżyć głos do szeptu: – Nie, dżanam, nie pozwolę, żebyś tak o mnie myślał! Zabiję się! Sama już... – i

zatrząskują się za nimi drzwi. Z zewnątrz dochodzi odgłos: coś jakby klasnęło. Albo klapnęło. Większość wydarzeń istotnych dla naszego życia rozgrywa się na ogół pod naszą nieobecność.

Tony Brent intonuje zawodzącym głosem swój najnowszy przebój: w zdrowym uchu brzmi mi melodyjne zapewnienie, że: „Niebawem chmury przejdą”.

...A teraz ja, Salim Sinai, zamierzam wyposażyć na moment ówczesnego siebie w dar przewidywania poniewczasie; wbrew jednościom i konwencjom pięknej sztuki pisania, obdarzam tamtego siebie świadomością tego, co miało nastąpić, tylko po to, żeby mógł sobie pomyśleć: „O, wieczyste przeciwieństwo tego, co w środku i tego, co na zewnątrz! Albowiem człowiek w środku nie jest wcale jednolity, nie jest bynajmniej homogeniczny; kłębią się w nim różne różności, toteż raz jest tym, a za chwilę kim innym. Z drugiej strony, ciało jest homogeniczne jak mało co. Niepodzielne niczym jednoczęściowy garnitur, święty przybytek, czy jak tam kto woli. Ze wszech miar należy zachować tę całość. Ale utrata palca (zapewne przepowiedziana przez wskazujący palec rybaka Raleigha), nie mówiąc już o ubytku włosów na głowie, zachwiała równowagę. Wkraczamy zatem w taki stan rzeczy, któremu niewiele brakuje do rewolucji; a jego wpływ na historię musi wywołać nie lada wstrząs. Jak się raz odkorkuje ciało, Bóg jeden wie, co z niego wyskoczy. Naraz człowiek staje się inny niż dotychczas; świat zmienia się tak, że rodzice mogą przestać być rodzicami, a miłość przerodzić się może w nienawiść. I, zważ proszę, że to tylko wpływ na życie osobiste. Konsekwencje zaś dla sfery życia publicznego, jak się wkrótce okaże, są – były – będą nie mnie głębie.

Nareszcie wycofuję swój dar wybiegania myślą w przyszłość i zostawiam cię z obrazem dziesięcioletniego chłopca z zabandażowanym palcem, który siedzi na szpitalnym łóżku, snuje rozważania na temat krwi, odgłosów-przypominających-klapnięcie oraz wyrazu twarzy ojca; przechodząc powoli na długie ujęcie pozwalam, żeby muzyka ze ścieżki dźwiękowej zagłuszyła moje słowa, bo oto Tony Brent kończy swoją mieszankę firmową, a na finał śpiewa to samo co Winkie: „Dobranoc, moje panie”, bo tak się nazywa ta piosenka. Która wesoło sobie płynie, i płynie, i płynie...

(Wyciemnienie.)

Skrzat Kolynos

Począwszy od niani, a skończywszy na Wdowie, zawsze podlegałem czynnikom z zewnątrz; wszakże Salim Sinai, wieczna ofiara, uważa się stanowczo za bohatera. Pomimo zbrodni Marii; puszczając w niepamięć tyfus i jad węża; machając ręką na dwa wypadki, jeden w skrzyni bieliźnianej, drugi zaś na placyku (kiedy to Sonny Ibrahim, mistrz-włamywacz, dopuścił, by moje zawiązki rogów na skroniach starły się z jego wklęśnięciami-po-kleszczach, co z kolei wyważyło drzwi do dzieci północy); ignorując skutki popchnięcia przez Evie i niewierności mojej matki; pomijając utratę włosów wskutek aktu przemocy zawziętego Emila Zagailo oraz palca wskutek poduszczeń oblizującej wargi Mashy Miovic; stawiając czoło wszelkim przeciwnościom wyłożę teraz z powagą godną uczonego swoje racje przemawiające za moim miejscem w centrum wydarzeń.

„...Twoje życie, które stanie się w pewnym sensie zwierciadłem całego narodu” – napisał premier, co mnie zobligowało do rozpatrzenia na płaszczyźnie naukowej pytania: W jakim sensie? Jak, w jaki sposób żywot jednostki może zaważyć na losach kraju? Muszę odpowiedzieć przysłówkami i łącznikami: byłem zespolony z historią zarówno dosłownie, jak i metaforycznie, zarówno czynnie, jak i biernie, czyli jak by nasi (zadziwiająco nowocześni) uczeni powiedzieli „w trybie powiązań” występujących w „dualistycznie złożonych konfiguracjach” dwóch par wymienionych tu antonimicznych przysłówków. Dlatego też niezbędne mi są łączniki: czynno-dosłownie, bierno-metaforycznie, czynno-metaforycznie i bierno-dosłownie zostałem nierozzerwalnie związany ze swoim światem.

Wyczuwając nienaukowe zgoła osłupienie Padmy wracam do nieprecyzyjności języka potocznego: przez złożenie określeń „czynnie” i „dosłownie” rozumiem tu, rzecz jasna, wszystkie swoje postęпки, które bezpośrednio – co-do-słowa – odniosły wpływ na historię bądź zmieniły bieg wydarzeń dziejowych w ich załączku, jak chociażby fakt podsunęcia uczestnikom marszów językowych hasła do boju. Zbitka „biernie” i „metaforycznie” obejmuje wszystkie zjawiska i tendencje społeczno-polityczne, które przez samo swoje zaistnienie wywarły na mnie metaforyczny wpływ – na przykład, kiedy się czyta między wierszami epizod zatytułowany „Wskazujący palec rybaka”, widać nieuchronny związek między dążeniem naszego państwa w powijakach do pełnowymiarowej dorosłości a moimi wczesnymi, gwałtownymi próbami rośnięcia... Następnie, „biernie” i „dosłownie”, połączone dywizem, odnoszą się do wszystkich chwil, kiedy to wydarzenia w kraju odcisnęły bezpośrednio piętno na życiu moim i mojej rodziny – pod tym nagłówkiem trzeba by uwzględnić zamrożenie aktywów ojca, a także wybuch w zbiorniku wodnym Walkeśwar, który rozpętał wielką kocią inwazję. No i wreszcie „tryb czynno-metaforyczny”, który zawiera w sobie wszystkie takie sytuacje, kiedy moje czyny lub czynniki oddziałujące na mnie z zewnątrz znajdowały odzwierciedlenie w makrokosmosie spraw publicznych, przez co moja prywatna egzystencja współgrała symbolicznie z historią. Takim właśnie kazusem było okaleczenie środkowego palca, bo kiedy straciłem jego koniuszek, a krew (ni Alfa, ni Omega) trysnęła fontanną, coś podobnego przytrafiło się historii, toteż jęły nas zalewać różne różności; ponieważ jednak historia funkcjonuje na dużo większą skalę niż człowiek, upłynęło znacznie więcej wody, zanim pozszywano historię do kupy i uprzątnięto bałagan.

„Bierno-metaforyczny, „bierno-dosłowny”, „czynno-metaforyczny”: Konferencja Dzieci

Północy działała w tych trzech trybach; wszelako nigdy – choć nade wszystko bym sobie tego życzył – nie wdrożyliśmy pierwszego, najistotniejszego „trybu powiązań”. „Czynno-dosłowny” po prostu nas ominął.

Przekształceniom nie ma końca: dziewięciopalcego Salima doprowadziła do drzwi szpitala Breach Candy przysadzista pielęgniarka, blondynka o twarzy zastygłej w przerażająco nieszczerym uśmiechu. Chłopak mruga teraz w upalnym blasku światła zewnętrznego, usiłuje skupić wzrok na dwóch cienistych sylwetkach, które wyłaniają się ze słońca; – Widzisz? – szczebiocze pielęgniarka. – Widzisz, kto po ciebie przyszedł? – I Salim uświadamia sobie, że cały świat stanął na głowie, bo matka i ojciec, którzy powinni tu po niego przyjść, najwyraźniej przekształcili się po drodze w jego aję, Marię Pereirę, oraz w wuja Hanifa.

Hanif Aziz ryczał jak syreny okrętowe w porcie i cuchnął jak stara fabryka tytoniu. Bardzo go kochałem, za jego śmiech, za nieogoloną brodę, za to, że był jakby nie do końca poskładany, a przez ten brak koordynacji każdy jego ruch wiązał się z pewnym ryzykiem. (Kiedy składał wizyty w Willi Buckingham, matka chowała przed nim kryształ.) Dorośli zawsze uważali, że brak mu ogłady (– Czekajcie tylko komunistów! – grzmiał, a oni pąsowieli), co wszak zjednywało mu wszystkie dzieci – to znaczy cudze dzieci, bo on i Pija byli bezdzietni. Wuj Hanif, który pewnego dnia miał bez uprzedzenia zafundować sobie spacer z dachu własnego domu.

...Wali mnie po plecach tak mocno, że padam wprost w ramiona Marii.

– Zuch z ciebie, mały zapaśniku! Świetnie wyglądasz!

Na co Maria spieszy dodać:

– Jezuniu, tylko jaki chudy! Żle cię tu karmili, czy co? Masz ochotę na budyń z kukurydzy? Albo na banana utartego z mlekiem? Dawali ci prażynki?... – tymczasem Salim rozgląda się po tym nowym świecie, w którym wszystko jakby za szybko się toczy; jego własny głos, kiedy dobywa mu się z gardła, brzmi piskliwie, jak gdyby ktoś go nakręcił: – Amma-Abba? – pyta. – Małpka? – Wtedy Hanif ryczy: – A jakże, ma się rozumieć! Chłopak na schwał, to mi dopiero! Chodź no, pehelwanie: przejedziemy się moim Packardem, zgoda? – Jednocześnie Maria Pereira sypie obietnicami: – Tort czekoladowy – wylicza – laddu, pistaki-lauz, samosa mięsne, kulfi. Tak nam zmizerniałeś, baba, że wiatr gotów cię zdmuchnąć. – Packard rusza; lecz wcale nie skręca w Warden Road na piętrowy pagór; zatem Salim: – Mamu Hanif, dokąd my... – Nie sposób jednak dokończyć, bo już Hanif grzmi: – Ciotka Pija czeka! Jak Boga kocham, sam zobaczysz, wybawimy się za wszystkie czasy! – Tu zniża konspiracyjnie głos: – Będzie zabawa na sto dwa – dodaje tajemniczo. A Maria: – Are baba, o tak! Befszytyk jak marzenie! I do tego zielone ćatni!...

– Tylko nie ciemnozielone – ożywiam się w końcu osaczony; ulga maluje się na policzkach moich osaczników. – A broń Boże – grucha Maria – jasnozielone, baba. Takie, jak lubisz. – Hanif zaś dudni: – Ma się rozumieć, zielone jak pasikonik!

O wiele za szybko... jesteśmy teraz przy Kemp's Corner, samochody śmigają jak kule... jedno wszakże się nie zmieniło. Z tablicy reklamowej uśmiecha się Skrzat Kolynos, swoim odwiecznym chochlikowatym uśmieszkiem szkraba w zielonej chlorofilowej czapeczce, głupkowatym uśmiechem ponadczasowego chłoptysia, który bez końca wyciska niewyczerpalną tubkę pasty do zębów na jaskrawozieloną szczoteczkę: „Miej zęby czyste, miej zęby białe, miej jak Kolynos zęby doskonałe!”... mnie również możesz uważać za takiego Skrzata Kolynosa mimo woli, który z tuby bez dna wyciska kryzysy i przekształcenia, wytłacza czas na swoją metaforyczną szczoteczkę do zębów; czysty biały czas z prążkami zielonego chlorofilu.

Tak oto rozpoczęło się moje pierwsze wygnanie. (Bo będzie jeszcze drugie i trzecie.) Zniosłem je bez słowa skargi. Domyśliłem się, naturalnie, że jednego jedynego pytania nie wolno mi zadać; że zostałem wypożyczony niczym komiks z Biblioteki Książek Używanych w Scandal Point na pewien nieokreślony czas; i że kiedy rodzice zechcą mnie z powrotem, to po mnie przyślą. „Kiedy” albo wręcz „o ile” mnie zechcą: bo i siebie nie mało obwiniałem za tę banicję. Czyż nie ściągnąłem na siebie kolejnej deformacji, na domiar kabłąkowatych-nóg nosa-jak-ogóras rogów-na-skroniach plam-na-policzkach? Czy aby mój okaleczony palec nie przepełnił (tak jak moje oświadczenie o głosach omal nie przepełniło) pucharu goryczy moich jakże cierpliwych dotąd rodziców? Wskutek czego przestałem stanowić dla nich rentowny interes, przestałem być wart inwestowania miłości i opieki?... Chcąc wynagrodzić wujostwu okazaną dobroć, wdzięczny im za przygarnięcie takiej szkarady jak ja, postanowiłem odgrywać idealnego bratanka i czekać na rozwój wypadków. Czasem aż mi się cknęło za wizytą czy choćby telefonem od Małpki; ale przeciąganie takich myśli przekłuwało tylko balon mojej równowagi duchowej, toteż starałem się za wszelką cenę nie dopuszczać ich do głowy. Ponadto spełniła się co do joty obietnica wuja: mieszkanie z Hanifem i Piją Azizami okazało się zabawą na sto dwa.

Wychodzili dosłownie ze skóry, jak tego zwykle oczekują dzieci, a i przyjmują z wdzięcznością od bezdzietnych dorosłych. Ich mieszkanie z widokiem na Marine Drive było wprawdzie skromne, za to miało balkon, z którego mogłem ciskać łupiny po fistaszkach na głowy przechodniów; nie było tam wprawdzie pokoju gościnnego, za to dano mi do spania cudownie miękką białą sofę w zielone prążki (wczesny dowód mojego przekształcenia w Skrzata Kolynosa); aja, Maria, która najwyraźniej postanowiła mi towarzyszyć na wygnaniu, spała tuż przy mnie na podłodze. Dzień w dzień tuczyła mnie obiecwanymi ciastkami i słodkościami (kupowanymi, jak dziś przypuszczam, za pieniądze mojej matki); powinienem był więc straszliwie utycć, tyle że znów zacząłem się rozrastać w różnych kierunkach, zatem pod koniec tego roku przyspieszonego biegu historii (w wieku zaledwie jedenastu i pół lat) osiągnąłem swój dorosły wzrost, zupełnie jakby ktoś złapał moje szczenięce tłuszczuki i ścisnął je mocniej niż jakąkolwiek tubkę pasty, że aż wystrzeliłem kilkanaście centymetrów w górę. Ocalony przed tuszą prawem Kolynosa upajałem się radością wujostwa z posiadania dziecka w domu. Kiedy rozlałem 7-Up na dywan albo skichałem się do talerza, wuj co najwyżej komentował: – Bożeż ty mój! Co za czarne nasienie! – swoim tubalnym głosem parostatku, przekreślając cały efekt tego przytyku szerokim uśmiechem. Natomiast ciocia Pija zasiliła długi szereg kobiet, które mnie zauroczyły, by na ostatku rozprawić się ze mną raz a dobrze.

(Powinienem wspomnieć, że podczas pobytu w mieszkaniu przy Marine Drive moje jądra, rezygnując z ochrony kości miednicy, uznały za stosowne przedwcześnie i bez uprzedzenia zstąpić do swoich woreczków. To zdarzenie odegrało również pewną rolę w nadchodzących wypadkach.)

Mumani – moja ciocia – boska Pija Aziz: przebywanie z nią pod jednym dachem równało się życiu w samym gorącym, lepkiem sercu bombajskich dźwięków. W owych czasach kariera kinematograficzna wuja przygasła z zawrotną prędkością, a wraz z nią – bo tak kręci się ten świat – przygasła gwiazda Piji. Tyle że w jej obecności nie sposób było myśleć o porażce. Pozbawiona ekranowych ról Pija obróciła całe swoje życie w jeden wielki film fabularny, a mnie obsadzała w coraz to nowych epizodycznych rólkach. Byłem zatem Wiernym Pokojowym: Pija w halkach, krągłe biodra pchają mi się pod oczy, odwracam rozpaczliwie wzrok, a ta się śmieje i tylko oczy, roziskrzzone antymonem, rzucają władcze

błyski: – Daj spokój, chłopcze, czego ty się wstydzisz, przytrzymaj mi fałdy sari, kiedy będę składać. – Byłem również jej Zaufanym Powiernikiem. Gdy wuj przesiadywał na prążkowanej chlorofilem sofie tłukąc scenariusze bez szans na realizację, ja wysłuchiwałem tęsknych monologów ciotki, usiłując odrywać wzrok od dwóch niemożliwych kul, okrągłych jak melony, złocistych jak owoce mango: wspomina tu, jak się zapewne domyślasz, cudowne piersi mumani Piji. Ciotka siedząc na łóżku przyciskała rękę do czoła i uderzała w ton recytacji:

– Sam wiesz, chłopcze, że jestem wielką aktorką; grałam sporo pierwszoplanowych ról! I spójrz, co znaczy los! Dawniej, mój chłopcze, Bóg wie kto by się dopraszał, żeby wejść do tego domu; dawniej reporterzy z „Filmoteki” i „Bogini ekranu” płaciliby czarnorynkową walutą, byle się tu dostać! Tak, a przecież jeszcze taniec, miałam swoją renomę w restauracji Wenecja – wszyscy ci wielcy jazzmani siadywali u mych stóp, o tak, nawet sam Brąz. Chłopcze, po *Kochankach z Kaszmiru* któraż gwiazda mogła mi dorównać? Ani Poppy, ani Widzajantimala; słowem nikt! – Ja zaś kiwałem skwapliwie głową, ależ-skąd-nikt, tymczasem jej olśniewające spowite skórą melony kołysały się i... Z dramatycznym patosem ciągnęła dalej: – Lecz nawet wtedy, w czasach naszej światowej sławy, kiedy co film to złoty jubileusz, ten twój cały wujaszek wolał mieszkać w dwóch pokojach jak byle urzędas! Wcale się nie uskarżałam; czy to ja jestem jedną z tych tandetnych aktorek; żyję skromnie i nie domagam się Cadillaców ani klimatyzacji, ani łóżek Dunlopillo z Anglii; na co mi basen w kształcie bikini jak tej Roxy Wiśwanatham! Zostałam w tych warunkach jak kobieta z plebsu; i teraz tutaj gniję! Gniję jak nic! Ale wiem jedno: moja twarz to majątek; jakaż mi jeszcze potrzebna fortuna?

Gorliwie więc przytakuję:

– Żadna, mumani; absolutnie żadna.

Ciotka krzyknęła tak przeraźliwie, że dźwięk aż przeszył moje ogłuchłe-od-uderzenia ucho.

– No tak, ty byś też chciał, żebym żyła w nędzy! Cały świat chciałby widzieć Piję w łańchmanach! Nawet twój wujaszek, co wypisuje te swoje nudziarskie scenariusze! O, Boże, ciągle mu powtarzam, wsadź tam jakieś tańce albo egzotyczną scenerię! Niech czarne charaktery będą naprawdę czarne, a bohaterzy niech będą mężczyznami co się zowie! A ten nie i nie, dopiero teraz widzi, że wszystko to brednie; chociaż dawniej mu nie przeszkadzało! Teraz musi pisać o szarych ludziach i o problemach społecznych! No więc mu mówię, dobrze, Hanif, proszę bardzo, wszystko pięknie; tylko dorzuć coś z komedii, jakiś taniec dla swojej Piji, szczyptę tragedii i dramatu; tego właśnie oczekuje publiczność! – Oczy miała pełne łez. – I wiesz, o czym teraz pisze? O... – przybrała minę, jakby serce jej miało zaraz pęknąć – ... o Szarym Życiu Fabryki Marynat!

– Cii, mumani, cii – błagam. – Mamu Hanif usłysz!

– A niech sobie słyszy! – wybuchła płacząc już teraz otwarcie. – Niech usłysz też jego matka w Agrze; umrę przez nich ze wstydu!

Czczigodna Matka nigdy nie darzyła sympatią synowej aktorki. Podsłuchałem raz, jak mówiła mojej matce:

– Żeby się ożenić z aktorką, jakmutam, mój syn zamienił łóżko w rynsztok, tylko patrzeć, jakmutam, a każe mu pić alkohol i jeść świninę.

W końcu pogodziła się niechętnie z nieodwołalnością tej partii; tyle że zaczęła wypisywać nawracające epistoły do Piji. „Posłuchaj mnie, córko – pisała – nie ciągnij tego aktorszczenia. Na co komu taka bezwstydnosc? Pracuj, no dobrze, wy, dziewczęta, macie teraz takie

nowoczesne pomysły, ale żeby od razu tańczyć nago na ekranie! Skoro za niewielką sumę mogłabyś kupić sobie koncesję na przyzwoitą stację benzynową. Od ręki wyłożyłabym ci taką sumę z własnej kieszeni. Siedziałabyś w kantorze i zatrudniała pomocników; to godziwa praca.” Nie mieliśmy pojęcia, skąd akurat stacja benzynowa strzeliła Czcigodnej Matce do głowy; to marzenie przerodziło się u niej na starość w obsesję; ale przedtem bombardowała nim Piję aż do obrzydzenia.

– Dlaczego ta kobieta mnie nie namawia, żebym została stenotypistką? – wyzaliła się raz Pija do Hanifa, Marii i do mnie przy śniadaniu. – Dlaczego nie taksówkarką albo tkaczką? Powiadam wam, szauł już dostaję od tej jej stacji-szmacji.

Wuj (po raz pierwszy w życiu) aż zakipiał z oburzenia.

– Dziecko siedzi przy stole – upomniał ją – a to i twoja matka; należy jej się szacunek.

– Szacunek i owszem – odparowała Pija wybiegając z pokoju – tylko że jej chodzi o paliwo.

...Najbardziej ulubioną rolę odgrywałem wtedy, gdy podczas regularnych wieczorów karcianych Piji i Hanifa z przyjaciółmi awansowałem na syna, którego nigdy nie miała. (Jako dziecko z nieznanego związku miałem więcej matek niż większość matek miewa dzieci; płodzenie rodziców weszło w zakres moich co osobliwszych talentów – stanowiło jakby odwrotność procesu rozmnażania, poza kontrolą antykoncepcji, nawet samej Wdowy.) W towarzystwie gości Pija wykrzykiwała:

– Patrzcie, kochani, to mój koronowany książę! Klejnot mojego pierścienia! Perła naszyjnika!

Po czym przyciągała mnie do siebie, tuląc moją głowę tak, że nos mi się wbijał w jej biust i zapadał cudownie między dwie miękkie poduszki jej nieopisanych... stropiony tym nadmiarem rozkoszy aż odsuwałem głowę. Ale i tak byłem niewolnikiem ciotki; dzisiaj zresztą wiem, dlaczego tak się ze mną spoufalala. Wtedy jednak mimo przedwczesnego ujądrzenia i gwałtownego rośnięcia nosiłem (oszukańczo) piętno niewinności erotycznej: Salim Sinai podczas pobytu w domu wuja wciąż chodził w krótkich spodenkach. Gołe kolana stanowiły dla Piji świadectwo mojej dziecinności; zwiedziona podkolanówkami przyciskała sobie moją twarz do biustu, a jej doskonały doskonałością sitaru głos szeptał mi do zdrowego ucha:

– Dzieciaku, dzieciaku, nic się nie bój; niebawem twoje chmury przejdą.

Wobec wuja, jak i wobec mojej teatralnej ciotki odgrywałem (z coraz większym polorem) rolę zastępczego syna. Całymi dniami Hanif Aziz przesiadywał na prążkowanej sofie, z zeszytem i ołówkiem w ręku, pisząc swoją marynatową epopeję. Miał na sobie ulubione lungi związane luźno w pasie i spięte wielgachną agrafką; spod fałd wystawały owłosione nogi. Paznokcie u rąk jak zawsze w plamach od wielu lat papierosów Gold Flakes; paznokcie u nóg też jakby podobnie przyżółkłe. Wyobrażałem sobie, że pali papierosy palcami nóg. Wielce przejęty tą wizją spytałem go, czy istotnie potrafi czegoś takiego dokonać; na co on bez słowa włożył sobie Gold Flake’a między wielki paluch a sąsiada, po czym zaczął się skręcać w dziwacznych wygibasach. Klaskałem jak opętany, ale przez resztę dnia wuja nękały chyba jakieś bóle.

Krzątałem się wokół niego jak wzorowy syn, opróżniałem popielniczki, temperowałem ołówki, przynosiłem wodę do picia; tymczasem on, który po swych bajkowych początkach przypominał sobie, że jest synem swego ojca i poświęcił się walce przeciw wszystkiemu, co trąciło nierealnością, gryzmolił nieszczęsny scenariusz.

– Synuś – oznajmił mi – ten przeklęty kraj od pięciu tysięcy lat był pogrążony we śnie.

Najwyższy czas, żeby się przebudził.

Hanif pomstował z upodobaniem na książąt i demony, na bogów i bohaterów, w gruncie rzeczy na całą ikonografię bombajskiego kina; w tej świątyni iluzji stał się najwyższym kapłanem rzeczywistości; wówczas ja, świadom własnej cudownej natury, która wciągała mnie niepomernie w (znienawidzone-przez-Hanifa) mityczne życie Indii, zagryzałem wargi i nie wiedziałem, gdzie podziąć oczy.

Hanif Aziz, jedyny realistyczny pisarz zatrudniony w przemyśle filmowym Bombaju, pisał opowieść o fabryce marynat stworzonej, kierowanej i obsadzonej wyłącznie przez kobiety. Były tam długie sceny z powstawania związku zawodowego; drobiazgowo opisy procesu marynowania. Podpytywał Marię Pereirę o przepisy; godzinami omawiali idealne proporcje cytryny, limony i garam masali. Jak na ironię, ten superadept naturalizmu okazał się tak udatnym (choć nieświadomym) prorokiem losów własnej rodziny; w pośrednich pocałunkach *Kochanków z Kaszmiru* wywróżył randki mojej matki i Nadira-Kasima w kawiarni Pionier; a w nie-zrealizowanym-nigdy scenariuszu pod znakiem ćatni również kryła się nieubłagane trafna przepowiednia.

Zasypywał Homi Catracka scenariuszami. Catrack żadnego nie realizował; poniewierają się po mieszkaniu przy Marine Drive pokrywając wszelką przestrzeń życiową, trzeba je więc było zbierać z deski sedesowej, żeby ją podnieść; ale Catrack (powodowany miłosierdziem? Czy też z innego powodu, który niebawem-miał-wyjść-na-jaw?) płacił wujowi pensję. Tym sposobem Hanif i Pija wiązali koniec z końcem, dzięki szczodropliwości człowieka, który z czasem miał się okazać drugą z kolei ofiarą morderstwa rosnącego jak na drożdżach Salima.

Homi Catrack upraszał go:

– Może tak choć jedna scena miłosna?

A Pija sarkała:

– Co ty myślisz, że wieśniacy będą wyrzucali rupie, żeby oglądać kobiety marynujące owoce Alfonso?

Na co Hanif z uporem:

– To film o pracy, a nie o całusach. Poza tym z odmiany Alfonso nie robi się marynat. Nadają się tylko mango z większymi pestkami.

O ile mi wiadomo, duch Józka D'Costy nie towarzyszył Marii Pereirze na wygnaniu; ale jego nieobecność zwiększyła tylko jej niepokój. Zaczęła się więc, mieszkając przy Marine Drive, lękać, że widmo zechce się ukazywać innym i że pod jej nieobecność wyjawia straszliwą tajemnicę: co się zdarzyło w Klinice Położniczej doktora Narlikara owej nocy niepodległości. Toteż codziennie rano wychodziła z domu roztrzęsiona jak galareta, przychodziła do Willi Buckingham bliska omdlenia; spokój wracał jej dopiero wtedy, kiedy zyskała pewność, że Józek ani się nie ujawnił, ani nie puścił pary z ust. Jednakże kiedy wracała na Marine Drive, objuczona plackami samosa, ciastkami i sosami ćatni, jej niepokój znów rósł... ponieważ wszak postanowiłem (mając aż za dużo własnych kłopotów) nie zaglądać do innych głów z wyjątkiem Dzieci, trudno mi było pojąć dlaczego.

Strach wyzwala strach; podczas tych przejazdów, kiedy siedziała w niemożliwie zatłoczonych autobusach (tramwaje właśnie wycofano z obiegu), Maria nasłuchiwała się rozmaitych plotek i gadułek, które przekazywała mi potem jako niepodważalne fakty. Zdaniem Marii cały kraj tkwił w szponach jakiejś nadprzyrodzonej inwazji.

– Tak, baba, powiadają w Kurukszetrze, że pewna stara sikhijka obudziła się we własnej chacie i zobaczyła tuż za progiem prastarą wojnę Kaurawów z Pandawami! Wszystko było w gazetach i w ogóle, pokazała miejsce, gdzie widziała rydwany Ardżuny i Karny, a w błocie to

się odznaczyły prawdziwe koleiny! Bap-re-bap, takie to okropieństwa: w Gwalijarze widziano ducha rani Džhansi; widziano też, jak rakszasy, wielogłowe niczym Rawana, dobierały się do kobiet i jednym palcem zwały drzewa. Baba, jestem dobrą chrześcijanką; ale strach mnie oblatuje, kiedy ludzie mówią, że w Kaszmirze odnaleziono grób Pana Jezusa. Na nagrobku wyryte dwie stopy przekłute drzewcem, a miejscowe żony rybaków zaklinają się, że na ich oczach leciała z nich krew – prawdziwa krew, Boże, zmiłuj się nad nami! – w Wielki Piątek... co to się wyrabia, baba, czemu takie stare dzieje nie mogą spoczywać w spokoju i nie dręczyć uczciwych ludzi?

Ja zaś słuchałem z rozwartymi oczyma; i chociaż wuj Hanif zanosił się śmiechem, po dziś dzień na poły wierzę, że w owych czasach przyspieszonych wypadków i skażonych godzin przeszłość Indii powstała, aby zmącić teraźniejszość; nowo narodzony świecki kraj patrzył z trwogą na przypomnienie swej fantastycznej starożytności, w której nie liczyły się ani demokracja, ani prawa wyborcze dla kobiet... toteż ludzie owładnięci atawistycznymi tęsknotami zapominali o nowym micie wolności i wracali do dawnych zwyczajów, do starych regionalnych lojalności i przesądów, natomiast ciało polityki jęło pękać. Jak już powiedziałem: wystarczy obciąć koniuszek palca, a nigdy nie wiadomo, jakie fontanny zamętu się rozpęta.

– A krowy, baba, to rozpływają się w powietrzu; puf! i już chłopcy po wsiach muszą głodować.

W tym samym czasie we mnie też wstąpił jakiś dziwny demon; żeby jednak zostać właściwie zrozumianym, muszę zacząć relację od opisu pewnego niewinnego wieczoru, kiedy Hanif i Pija Aziz zaprosili grono przyjaciół na karty.

Ciotka zawsze miała skłonność do przesady; bo chociaż nie było nikogo z „Filmoteki” ani z „Bogini ekranu”, dom wuja i tak się cieszył popularnością. W karciane wieczory pękał dosłownie w szwach; jazzmani plotkowali o polemikach i recenzjach w czasopiśmie amerykańskich, przewijały się piosenkarki, które nosiły w torebkach aerozole do gardła, oraz gwiazdy baletu Udaja Śankara, który usiłował stworzyć nowy styl tańca, łączący balet zachodni z bharatanatjam; kręcili się muzycy zaproszeni do udziału w festiwalu muzycznym Rozgłośni Wszechindyjskiej, Sangit Sammelan; zbierali się malarze prowadzący ze sobą zażarte spory. Powietrze aż gęstniało od dyskusji politycznych i wszelkich innych.

– Tak się składa, że jestem jedynym artystą w Indiach, który maluje ze szczerym poczuciem zaangażowania ideologicznego.

– Ale mi żal tego Ferdy, po czymś takim nigdy już nie dostanie żadnej orkiestry.

– Menon? Tylko mi nie mów o Krysznie. Znałem go, kiedy jeszcze kierował zasadami. Ja sam nigdy nie porzuciłem...

– ...Ohe, Hanif, jar, czemu to ostatnio Lal Kasim się nie pokazuje?

A wuj patrzył na mnie z niepokojem.

– Cii... jaki Kasim? Nie znam nikogo o takim imieniu.

...Z gwarem w mieszkaniu zlewały się barwy wieczoru i odgłosy Marine Drive: spacerowicze z psami kupujący ćambeli i ćanę od straganiarzy; wołania żebraków i sprzedawców bhel-puri; no i łuna świateł niczym wielki lśniący naszyjnik bijąca aż po Wzgórze Malabarskie... Stałem na balkonie obok Marii Pereiry, nadstawiałem chorego ucha na jej przekazywane szeptem pogłoski, za plecami miałem miasto, a przed oczyma tłum rozgadanych hazardzistów. Pewnego dnia rozpoznałem wśród karciarzy ascetyczną sylwetkę Homi Catracka z podkrążonymi oczyma. Powitał mnie z zakłopotaną wylewnością: – Jak się masz, młody przyjacielu! Co słyhać? O, na pewno wszystko w porządku!

Wuj Hanif był zapalonym graczem w remika; tkwił jednak w szponach dziwacznej obsesji – mianowicie, nigdy, przenigdy nie wykladał kart, dopóki nie skompletował sekwencji trzynastu kierów. I to zawsze musiały być serca; serca i tylko serca. W ustawicznej pogoni za niedosiężną perfekcją wuj odrzucał bardzo dobre trójki, całe sekwencje kar trefli pików, ku ochryplej radości przyjaciół. Słyszałem, jak słynny wirtuoz śehnai, Ustad Czangez Chan (który farbował sobie włosy, toteż w upalne wieczory koniuszki uszu plamił mu czarny płyn) doradza wujowi:

– Niech pan sobie da spokój z tymi sercami i gra jak ludzie.

Wuj zważył w myślach pokusę; po czym zagrzemiał przekrzykując wrzawę:

– A idź pan, do cholery, i daj mi pan grać!

Grał w karty jak ostatni dureń; ale ja, który nigdy nie widziałem takiego uporu w dążeniu do celu, miałem mu ochotę przyklasnąć.

Jednym ze stałych bywalców legendarnych wieczorów karcianych u Hanifa Aziza był fotograf z „Times of India”, który zawsze miał w zanadrzu mnóstwo pikantnych anegdot i sprośnych historyjek. Wuj tak mi go przedstawił: – To ten, który umieścił cię na pierwszej stronie, Salimie. Kalidas Gupta. Okropny fotograf; badmaś nie z tej ziemi. Nie rozmawiaj z nim zbyt długo; bo ci się zakręci w głowie od skandalów! – Kalidas miał szopę srebrnych włosów i orli nos. Byłem nim zachwycony. – Naprawdę zna pan jakieś skandale? – spytałem; a on tylko odparł: – Synku, gdybym ci opowiedział, uszy by ci spłonęły. – Nigdy wszak nie odkrył, że prawdziwym geniuszem zła, szarą eminencją największego skandalu w tym mieście był nie kto inny, tylko Salim Smark... nie powinienem jednak wybiegać naprzód. Sprawa dziwacznej pałeczki komandora Sabarmati musi poczekać na swoją kolej. Skutki nie powinny (mimo pokrętej natury czasu w roku 1958) wyprzedzać przyczyn.

Stałem sam jeden na balkonie. Maria Pereira pomagała Piji w kuchni przygotowywać kanapki i twarogowe pakory; Hanif Aziz był pochłonięty swoją pogonią za trzynastoma sercami; naraz stanął przy mnie pan Homi Catrack.

– Łyk świeżego powietrza, co? – zagadnął.

– Tak, proszę pana – odparłem.

– No tak – odetchnął głęboko. – Tak, tak. Dobrze cię życie traktuje? Kapitalny z ciebie chłopak. Niech no uścisnę ci rękę.

Dziesięcioletnia ręka ginie w pięści potentata filmowego (a ściśle lewa ręka; bo okaleczona prawa zwisa niewinnie u boku)... i tu wstrząs. Lewa dłoń czuje, że zwinna pięść wciska mu kartkę papieru – złowrogiemu papieru! Uścisk Catracka tężeje; głos się zniża, a zarazem przechodzi w syk jak u kobry; niesłyszalne w pokoju z prążkowaną na zielono sofą słowa przenikają moje zdrowe ucho: – Daj to swojej ciotce. Tylko dyskretnie, dyskretnie. Zrobi się? I trzymaj język za zębami; bo naśle policję, żeby ci odcięła język. – A po chwili głośno i wesoło: – To świetnie! Cieszę się, że humor ci dopisuje!

Homi Catrack głaszcze mnie po głowie; i wraca do swojej gry.

Nastraszony policją milczałem przez dwadzieścia lat; ale już dosyć. Teraz wszystko musi wyjść na jaw.

Towarzystwo karciane wcześniej się rozeszło: – Chłopiec musi się kłaść spać – oznajmiła szeptem Pija. – Jutro znów idzie do szkoły. – Nie miałem okazji znaleźć się sam na sam z ciotką; zapchano mnie na sofę; w lewej dłoni nadal ścisnąłem karteczkę. Maria spała na podłodze... postanowiłem udać, że trapi mnie nocny koszmar. (Szalbierstwo nie przychodziło mi zbyt trudno.) Niestety, byłem tak zmęczony, że od razu zasnąłem; i w rezultacie nie musiałem się uciekać do oszustwa; bo przyśniło mi się morderstwo mojego kolegi z klasy,

Jimmy'ego Kapadii.

...Gramy w piłkę na głównej klatce schodowej szkoły, na czerwonej terakocie, ścigamy się ślizgamy. Czarny krzyż wpasowany w krwistoczerwone kafelki. Pan Crusoe u szczytu schodów: – Nie zjeżdżajcie z poręczy, chłopcy, ten krzyż znaczy miejsce, w którym upadł jeden chłopiec. – Jimmy gra w piłkę na krzyżu. – Ten krzyż to błaga – twierdzi Jimmy. – Błagują tylko po to, żeby człowiekowi popsuć zabawę. – Jego matka przestrzega przez telefon. – Nie graj, Jimmy, przecież masz chore serce. – Dzwonek. Słuchawka już odłożona, a teraz dzwonek... Atramentowe piguły śmigają po klasie. Gruby Perce i Nalany Keith mają radochę. Jimmy domaga się ołówka, dźga mnie w żebra. – Te, człowieku, masz ołówek, to dawaj. Ale już. – Daję. Wchodzi Zagailo. Zagailo podnosi rękę na znak ciszy: patrzcie no, na dłoni rosną mu moje włosy! Zagailo w spiczastym hełmie ołowianego żołnierzyka... Muszę odzyskać ołówek. Wyciągam palec i szturcham Jimmy'ego. – Panie psorze, Jimmy upadł!

– Panie psorze, widziałem, jak Smark go szturchnął!

– Smark zastrzelił Kapadiję, panie profesorze!

– Nie graj, Jimmy, przecież masz chore serce!

– Cisza – woła Zagailo. – Zamknijcie się, chamy z dżungli. Jimmy leży jak tobołek na podłodze.

– Panie psorze, panie psorze, a postawią mu krzyż?

Pożyczył ołówek, szturchnąłem go, upadł. Jego ojciec jest taksówkarzem. I oto taksówka wjeżdża do klasy; układają tobołek dholego na tylnym siedzeniu, Jimmy odjeżdża. Drrr, dzwonek. Ojciec Jimmy'ego opuszcza chorągiewkę taksówki i spogląda na mnie:

– Smarku, zapłacisz za ten kurs.

– Proszę pana, ale ja nie mam pieniędzy.

Na to Zagailo: – Dopiszemy ci do rachunku. – Proszę spojrzeć na moje włosy na dłoni Zagaili. Z oczu Zagaili tryskają płomienie. – Pięćset milionów, a cóż to jedna śmierć?

Jimmy nie żyje; pięćset milionów żyje nadal. Zaczynam liczyć: jeden dwa trzy. Liczby maszerują nad grobem Jimmy'ego. Milion dwa miliony trzy miliony cztery. Kogo to obchodzi, jeżeli ktoś, ktokolwiek umiera. Sto milionów i jeden dwa trzy. Liczby maszerują teraz przez klasę. Ciśnie się wali dwieście milionów trzysta czterysta pięćset. Pięćset milionów żyje nadal. A ja tylko jeden...

...Obudziłem się w ciemnościach nocy ze snu o śmierci Jimmy'ego Kapadii, który przerodził się w sen o zagładzie-wielkich-liczb, z krzykiem wrzaskiem jękiem, ale nadal z karteczką w dłoni; raptem otwarły się drzwi, a w nich wuj Hanif i ciotka Pija, Maria Pereira usiłowała mnie ukoić, ale boska Pija, burza halek i dupatty, postawiła na swoim i sama ukołysała mnie w ramionach.

– Już po wszystkim, mój brylanciku! Już po wszystkim!

A wuj Hanif sennie:

– Zuch, pehelwan! Już dobrze; no co ty, chodź do nas; Pija, dawaj go tutaj!

W ramionach Pij i wraca mi spokój.

– No to dziś, wyjątkowo, będziesz spał z nami, moja ty perelko! – i oto wciśnięty między ciotkę a wuja tulę się do wyperfumowanych krągłości mumani.

Wyobraź sobie, proszę, moją niespodzianą radość; wyobraź sobie, jak prędko wywietrzał mi z głowy koszmarny sen, kiedy tuliłem się do niesłychanych halek ciotki! Kiedy wierciła się, żeby znaleźć wygodną pozycję, a jeden złocisty melon musnął mnie po policzku! Kiedy ręka Piji wymacała moją, chwyciła ją stanowczo... wtedy spełniłem swój obowiązek. Kiedy dłoń ciotki zacisnęła się na mojej, karteczka przeszła z ręki do ręki. Poczułem, jak ciotka

sztynnie cała bez słów; i chociaż tuliłem się do niej mocniej mocniej mocniej, była już dla mnie stracona; czytała w ciemnościach i sztywniała coraz bardziej; naraz dotarło do mnie, że zostałem niecnie oszukany, a Catrack jest moim wrogiem; i tylko groźba policji powstrzymała mnie od wygadania się przed wujem.

(Nazajutrz w szkole dowiedziałem się o tragicznej śmierci Jimmy'ego Kapadiji, umarł nagle w domu na atak serca. Czy można zabić człowieka śniąc jego śmierć? Matka zawsze twierdziła, że można; jeśli tak, to Jimmy Kapadija padł jako pierwszy ofiarą mojego zabójstwa. Homi Catrack miał być następnym w kolejności.)

Pierwszego dnia szkoły po chorobie upajałem się niezwykłą wprost potulnością Grubego Perce'a i Nalanego Keitha (– Słuchaj no, jar, skąd mieliśmy wiedzieć, że twój palec jest w... wiesz, człowieku, mamy darmowe bilety na jutrzejszy film, pójdiesz?) i swoją równie nieoczekiwaną popularnością (– Precz z Zagailo! Sztama, człowieku! Wiesz, że straciłeś włosy dla dobra sprawy!), a po powrocie nie zastałem cioci Piji w domu. Siedziałem milcząco z wujem Hanifem, Maria Pereira gotowała w kuchni kolację. Ot, taka spokojna scenka rodzinna; tyle że spokój został gwałtownie zakłócony hukiem trzaskających drzwi. Kiedy Pija trzasnąwszy drzwiami wejściowymi otworzyła z nie mniejszym łoskotem drzwi do salonu, Hanif upuścił ołówek. Po chwili zagrzmiał wesoło:

– Co tam, żono: cóż to za dramat?...

Ale Piji nie dało się tak łatwo rozbroić.

– Gryzmol sobie – odparła tnąc ręką powietrze. – Nie przerywaj, broń Boże, dla mnie! Taki geniusz, że nawet jak człowiek chce się załatwić w tym domu, musi wdepnąć na ten twój talent. Dobrze ci z tym, mój mężu? Dorabiamy się? Allah ci sprzyja?

Mimo to Hanif nie tracił rezonu.

– Chodź, Pijo, nasz mały gość czeka. Siadaj, napij się herbaty...

Aktorka Pija aż zamarła z niedowierzania.

– O, Boże! Ale mi się trafiła rodzina! Całe życie w gruzach, a ty mi proponujesz herbatę; twoja matka proponuje benzynę! Jeden wielki obłąd...

Wuj Hanif już się chmurzy.

– Pijo, chłopiec...

A ona jak nie wrzaśnie:

– Ahaaa! Chłopiec, tylko ten chłopiec wycierpiał swoje; i nadal cierpi; wie, co to znaczy coś stracić, czuć się porzuconym! Mnie też odepchnięto: jestem wielką aktorką, a muszę tu sterczeć wśród historyjek o listonoszach-na-rowerach i woźnicach-oślich-wózków! Co ty możesz wiedzieć o smutku kobiety? Siedź tak, siedź, niech jakiś tłusty, bogaty pars, producent filmowy, utrzymuje cię z łaski, mniejsza, że żona nosi lichą biżuterię i że od dwóch lat nie widziała nowego sari; kobiety mają świętą cierpliwość, ale, ukochany mężu, przemieniłeś mi młodość w pustynię! Idź, nie przejmuj się, zostaw mnie tylko w spokoju, żebym mogła skoczyć przez okno! Pójdę teraz do sypialni – zakończyła – a jeśli nie usłyszysz mnie więcej, to wiedz, że pękło mi serce i że leżę martwa.

Znów łoskot drzwi: to było wspaniałe zejście ze sceny. Wuj Hanif złamał bezwiednie ołówek na dwie połówki. Potrzęsnał z zadumą głową:

– Co w nią wstąpiło?

Ja jednak wiedziałem. Ja, przekaźnik tajemnic, zastraszonej policją, wiedziałem, tylko trzymałem język za zębami. Albowiem znalazłszy się w potrzasku kryzysu małżeńskiego wujostwa złamałem podjęte niedawno postanowienie i wkroczyłem do głowy Piji; ujrzałem jej wizytę u Homi Catracka i dowiedziałem się, że od lat była jego faworytą; usłyszałem jego

słowa, że znudził się jej wdziękami i że znalazł sobie kogoś innego; wtedy ja, który i tak szczerze bym go znienawidził za uwiedzenie ukochanej ciotki, znienawidziłem go w dwójnasób za to, że znieważył ją przez porzucenie.

– Idź do niej – poprosił wuj. – Może uda ci się ją pocieszyć.

Chłopiec Salim wchodzi przez trzaskające raz-po-raz drzwi do sanktuarium tragicznej ciotki; wkracza i widzi najpowabniejsze ciało wyciągnięte w rozkosznym porzuceniu w poprzek małżeńskiego łóża – gdzie nie dalej jak zeszłej nocy ciała tuliły się do ciała – gdzie karteczka przeszła z ręki do ręki... ręka trzepocze jej teraz przy sercu; biust faluje; a chłopiec Salim mamrocze: – Ciociu, och, ciociu, tak mi przykro. Upiorny skowyt z łóżka. Rozwierają się ku mnie ramiona tragiczki. – Hai! Hai, hai! Ai-hai-hai! – Nie czekając na dalsze zaproszenie, rzucam się w te ramiona; wpadam między nie i już leżę na bolejącej ciotce. Ręce obejmują mnie, ciaśniejciaśniej, paznokcie wbijają mi się w szkolnobiałą koszulę, ale co tam! – Bo coś właśnie drgnęło poniżej pasa z klamrą w kształcie S. Ciocia Pia miota się pode mną w rozpaczy, a ja się miotam wraz z nią, pomny, żeby nie dopuszczać prawej ręki do akcji. Trzymam ją sztywno ponad tą kołowaniną. Jedną ręką zaczynam pieścić ciotkę, nie wiedząc, co czynię, mam zaledwie dziesięć lat i wciąż noszę krótkie spodnie, ale płaczę, bo ona płacze, cały pokój rozbrzmiewa szlochem – a na łóżku dwa miotające się ciała wpadają w pewien rytm, niewysłowiony niewyobrażalny, biodra unoszą się ku mnie, ciotka jęczy: – O! O, Boże, O, Boże, O! – Może ja też zresztą jęczę, trudno mi powiedzieć, coś tu bierze górę nad smutkiem, kiedy wuj łamie ołówki na prążkowanej sofie, to coś się nasila, kiedy ciotka wije się i wierci pode mną, aż wreszcie, w przystępie siły przerastającej moją własną, opuszczam prawą rękę, zapomniawszy na śmierć o palcu, gdy więc ten dotyka jej piersi, rana napiera na skórę...

– Auuuuu! – Wyję z bólu; a ciotka wyrwana z makabrycznego czaru owych kilku chwil odpycha mnie i wali na odlew. Szczęściem w lewy policzek; moje jedyne zdrowe ucho wychodzi bez szwanku.

– Badmaś! – krzyczy ciotka. – Ród zбочeńców i maniaków! Biada mi! Jakaż kobieta musiała tyle wycierpieć?

Pokasływanie w drzwiach. Wstaję dygocząc z bólu. Pija też stoi, włosy spływają jej z głowy niczym łzy. W progu Maria Pereira, pokasłuje, całe ciało spąsowiałe z zażenowania, trzyma przed sobą pakunek w szarym papierze.

– Patrz, baba, że też zapomniałam – odzywa się wreszcie. – Jesteś teraz mężczyzną; zobacz, mama przysłała ci dwie pary galantych białych długich spodni.

Ponieważ mnie tak nieopatrnie poniosło, gdy usiłowałem pocieszyć ciotkę, trudno już było przeciągać mój pobyt w mieszkaniu przy Marine Drive. Przez następne kilka dni systematycznie odbywano długie napięte rozmowy telefoniczne; Hanif kogoś przekonywał, Pija zaś gestykulowała, że może teraz, po pięciu tygodniach... wreszcie pewnego wieczoru, kiedy wróciłem ze szkoły, przyjechała po mnie matka naszym starym Roverem i tak moje pierwsze wygnanie dobiegło końca. Ani podczas jazdy do domu, ani kiedy indziej nie wyjaśniono mi przyczyny tego wygnania. Uznałem zatem, że wstrzymam się od pytań. Nosilem teraz długie spodnie; byłem więc mężczyzną, toteż musiałem po męsku borykać się z własnymi zmartwieniami. Oświadczyłem matce:

– Palec już w porządku. Mamu Hanif nauczył mnie inaczej trzymać pióro, mogę więc swobodnie pisać. – Matka najwyraźniej koncentrowała się usilnie na drodze. – Miałem kapitalne wakacje – dodałem uprzejmie. – Dziękuję, że mnie tam wysłałaś.

– Och, dziecko – wybuchła – z tą twarzą jak wschodzące słońce, co by ci tu powiedzieć?

Bądź grzeczny dla ojca; ostatnio nie jest najszcześliwszy. – Obiecałem, że postaram się być grzeczny; matka straciła jakby na moment panowanie nad kierownicą i przejechaliśmy niebezpiecznie blisko autobusu. – Co za świat – odezwała się po chwili. – Takie straszne rzeczy się dzieją, a człowiek nie wie dlaczego.

– Wiem – przytaknąłem. – Aja mi opowiadała.

Matka spojrzała na mnie zatrwożona, po czym wbiła wzrok w Marię na tylnym siedzeniu.

– Ty czarne nasienie – krzyknęła – coś ty mu nagadała?

Przytoczyłem więc opowieści Marii o cudach i dziwach, ale te wstrząsające pogłoski jakby mamę uspokoiły.

– Co ty tam wiesz – westchnęła. – Jesteś jeszcze dzieckiem.

Co ja wiem, Amma? Wiem o kawiarni Pionier! Naraz w drodze do domu znów przepełniła mnie niedawna żądza zemsty na mojej perfidnej matce, żądza, która przygasła w olśniewającym blasku mojego wygnania, teraz wszak powróciła i złączyła się z moją dopiero-co-poczętą wrogością do Homi Catracka. Ta dwugłowa żądza to demon, który mnie opętał i przywiódł do najgorszego...

– Wszystko będzie dobrze – zapewniała matka. – Sam zobaczysz.

Tak, mamó.

Stwierdzam, że w całym tym epizodzie nie wspomniałem ani razu o Konferencji Dzieci Północy; bo, prawdę powiedziawszy, w owym okresie dzieci wcale mnie tak bardzo nie absorbowwały. Miałem ważniejsze sprawy na głowie.

Pałeczka komandora Sabarmati

Kilka miesięcy później, kiedy Maria Pereira przyznała się wreszcie do zbrodni i wyjawiała tajemnicę swego jedenastoletniego nękania przez ducha Józefa D'Costy, dowiedzieliśmy się, że po powrocie z wygnania doznała wstrząsu na widok opłakanego stanu, w jaki duch zapadł pod jej nieobecność. Zaczął się mianowicie rozkładać, toteż stracił już niektóre części ciała: ucho, po kilka palców u obu nóg, większość zębów; w brzuchu zaś miał dziurę większą od jaja. Przybita tym rozsypującym się widmem spytała go (upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu): – Boże mój, Józiu, coś ty z siebie zrobił? – W odpowiedzi usłyszała, że do czasu przyznania się Marii do winy odpowiedzialność za jej zbrodniczy postępek zrzucano na jego barki i że właśnie owo brzemie czyni takie piekielne spustoszenie w jego organizmie. Od tamtej chwili nie ulegało wątpliwości, że Maria się przyzna; chociaż każde spojrzenie na mnie sznurowało jej usta. Była to wszakże tylko kwestia czasu.

Tymczasem, zgoła nieświadom, że tak niedługo zostanę ujawniony jako podrzutek, usiłowałem pojednać się z Posiadłością Methwolda, w której również zaszło sporo przeobrażeń. Po pierwsze, ojciec wyraźnie nie chciał mieć ze mną więcej do czynienia, co mnie, przyznając, ubodło, ale też (zważywszy moje okaleczone ciało) wydało mi się w pełni zrozumiałe. Po drugie, nastąpiła ewidentna zmiana losu Mosiężnej Małpki. „Moja pozycja w tym domu – musiałem powiedzieć sobie szczerze – była jedną wielką uzurpacją.” Gdyż teraz Małpka zyskała wstęp do abstrakcyjnego sanktuarium gabinetu ojca, Małpka bywała przytulana do jego pulchnego brzucha i musiała znosić ciężar jego marzeń o przyszłości. Podśluchałem raz nawet, jak Maria Pereira śpiewa Małpce piosnkę, która była mi motywem przewodnim całego dzieciństwa: „Kim tylko zechcesz być – śpiewała Maria – to będziesz; Będiesz tym, kim sobie sama zamarysz!” Nawet moja matka poddała się jakby temu nastrojowi; teraz więc moja siostra dostawała największą dokładkę prażynek przy obiedzie, dodatkowe nargisi kofty i najlepsze pasandy. Natomiast ja – gdy ktokolwiek z domowników raczył na mnie spojrzeć – widziałem, jak pogłębiają im się bruzdy między brwiami, i czułem aurę zakłopotania oraz nieufności. Ale czyż mogłem się skarżyć? Małpka latami znosiła moją uprzywilejowaną pozycję. Wyjąwszy co najwyżej epizod, kiedy spadłem z drzewa w naszym ogrodzie zepchnięty właśnie przez nią (nie wykluczam, zresztą, że niechcący), godziła się na mój prymat z niesłychanym wdziękiem, a wręcz z lojalnością. Teraz nadeszła moja kolej; wdziawszy długie spodnie musiałem jak dorosły znosić swoją degradację. „To dorastanie – powiedziałem sobie w duchu – jest trudniejsze niż sądziłem.”

Trzeba przyznać, że Małpka była nie mniej ode mnie zaskoczona awansowaniem do roli pupilki rodziny. Dokładała starań, żeby wypaść z łask, ale widocznie nic jej nie mogło zaszkodzić. Był to okres jej flirtu z chrześcijaństwem, częściowo pod wpływem szkolnych koleżanek Europejek, a częściowo wynikły z obecności przesuwałającej-w-palcach-ziarnka-różańca Marii Pereiry (która, nie mogąc chodzić do kościoła ze strachu przed konfesjonałem, zalewała nas opowieściami biblijnymi); najbardziej jednak, moim zdaniem, była to próba Małpki, aby odzyskać dawną, dogodną pozycję wyrodka rodzinnego skazanego na pieskie życie (skoro już mowa o psach, pod moją nieobecność uspioło Baronową Simki, gdyż zabiła ją jej własna lubieżność).

Moja siostra wypowiadała się z zachwytem o miłosiernym Panu Jezusie, dobrotliwym i

dobrodusznym; matka uśmiechała się niepewnie i głaskała ją po głowie. Chodziła po całym domu podśpiewując pod nosem hymny; matka podchwytywała melodię i nuciła z nią razem. Zażądała stroju zakonnicy zamiast swojego ulubionego uniformu pielęgniarki; i dostała. Nawlekła groszki na sznurek i używała ich jako różańca mrując Zdrowaś-Mario-łaskiś-pełna, a rodzice wychwalali jej zdolności manualne. Udęczona brakiem kary wzbijała się na szczyty zapamiętania religijnego, odmawiała „Ojcze nasz” rano i wieczorem, pościła w Wielki Post zamiast w ramadan, przejawiała niespodziewany fanatyzm, który w późniejszym okresie miał zdominować jej osobowość; a mimo to spotykała się z tolerancją. Wreszcie zwróciła się z tym do mnie. – Wiesz, braciszku – powiedziała – wygląda na to, że teraz ja muszę odstawić grzeczne dziecko, a tobie przypadnie cała frajda.

Miała pewno rację; widomy brak zainteresowania mną ze strony rodziców powinien był dać mi większą wolność; tyle że byłem zahipnotyzowany przeobrażeniami, które następowały we wszystkich sferach mojego życia, a w takich okolicznościach trudno jakby o frajdę. Zmieniałem się pod względem fizycznym; przedwcześnie na brodzie puszczał mi się miękki meszek, głos mi się wymykał spod kontroli, to wzbijał się, to znów zjeżdżał w dół wokalnego rejestru. Miałem silne poczucie bezsensu: wydłużające się kończyny przyprawiły mnie o niezdarność, przypominałem zapewne cyrkowego kłowna, bo wyrósłszy z koszul i spodni, wystawałem niezgrabnie na wszystkie strony z dotychczasowych ubrań. Czułem się ofiarą spisku odzieży, która fajtała mi się komicznie wokół kostek nóg i przegubów; kiedy zaś zwróciłem się do środka, do moich tajemniczych Dzieci, nawet tam odkryłem zmiany, co też mi wcale nie przypadło do gustu.

Stopniowa dezintegracja Konferencji Dzieci Północy – która rozpadła się ostatecznie w dniu wkroczenia wojsk chińskich przez Himalaje, ażeby upokorzyć indyjski faudż – była już bardzo zaawansowana. Kiedy mija wstępna atrakcyjność, nieuchronnie wdziera się nuda, a tuż potem niezgoda. Albo (ujmując to inaczej) kiedy się skaleczyć w palec i trysną fontanny krwi, wszelaka niegodziwość może znaleźć ujście... czy pęknięcia na ciele Konferencji były (czynno-metaforycznym) skutkiem mojej utraty palca, czy też nie, z pewnością się powiększały. Na północy w Kaszmirze Narada-Markandeya zapadał w solipsystyczne sny prawdziwego narcyza wypełnione jedynie erotycznymi przyjemnościami nieustannych przemian płciowych; natomiast Sumitra, podróżnik-w-czasie, zraniony do żywego naszą odmową wysłuchania jego wizji przyszłości, w której (jak powiadał) krajem miał rządzić pijący siuski ramol, co nijak nie chciał umrzeć, a ludzie mieli zapomnieć wszystko, czego się nauczyli, Pakistan miał się przepołowić niczym ameba, premierzy obu połówek mieli zginąć zamordowani przez swoich następców, noszących – jak się zaklinał, choć nie dawaliśmy mu wiary – to samo nazwisko... zraniony Sumitra notorycznie nie stawiał się na nasze conocne spotkania, znikając na długie okresy w pajęczastych labiryntach Czasu. Siostry z Baud zadawały się swoją umiejętnością zauroczania młodych i starych głupców. – Co nam ta Konferencja pomoże? – dopytywały. – Już i tak mamy za dużo kochanków. – A nasz alchemik tkwił wiecznie zajęty w laboratorium zbudowanym dlań przez jego ojca (któremu wyjawiał swój sekret); zaprzątnięty kamieniem filozoficznym, niewiele miał czasu dla naszego grona, porzucił nas na rzecz powabu złota.

Zadziały też inne czynniki. Dzieci, jakkolwiek by były magiczne, nie są odporne na wpływ rodziców; w miarę więc jak przesady i światopogląd dorosłych jęły przenikać im do głów, spostrzegłem, że dzieci z Maharasztry nienawidzą Gudzaratczyków, a jasnoskórzy mieszkańcy północy odnoszą się z wrogością do drawidyjskich „czarnuchów”; wynikły spory religijne; no i do naszych obrad zakradła się klasowość. Dzieci bogaczy zadzierały nosa w

towarzystwie nędzarzy; bramini wzdrali się na samą myśl o tym, że mogliby ocierać się o myśli niedotykalnych; z kolei niżej urodzeni wyraźnie ulegali presji ubóstwa i komunizmu... na dobitkę wystąpiły konflikty osobowościowe i dosłownie setka burzliwych kłótni, nieuniknionych w parlamencie złożonym wyłącznie z podrostków.

Tak więc Konferencja Dzieci Północy wypełniła przepowiednię premiera i stała się w istocie zwierciadłem całego narodu; zadziałał tryb bierno-dosłowny, chociaż złorzeczyłem mu z coraz większą rozpaczą, a na ostatku z nasilającą się rezygnacją... – Bracia i siostry! – nadaję głosem umysłu równie niekontrolowanym, jak jego fizyczny odpowiednik. – Nie możemy do tego dopuścić! Nie możemy zezwolić, żeby rozdarł nas odwieczny podział na masy-i-klasy, kapitał-i-pracę, ich-i-nas! Musimy – nawoływałem gorąco – stać się trzecim żywiołem, musimy stworzyć siłę, która schwyty ten dylemat za rogi; bo tylko przez własną odmienność, odnowę, zdołamy spełnić obietnicę naszych narodzin! – Miałem zwolenników, i owszem, a pośród nich niezrównaną Parwati-czarodziejkę; czułem jednak, że mi się wymykają zaabsorbowani własnym życiem... tak jak i ja, prawdę mówiąc, byłem zaabsorbowany własnym. Zupełnie jakby nasz wspólny kongres spadł do roli kolejnej zabawki z dzieciństwa, jakby długie spodnie niweczyły to, co stworzyła północ... – Musimy uchwalić program działania – wzywałem – nasz własny plan pięcioletni, a jakże! – Ale w tle tego żarliwego apelu dudnił rozbawiony śmiech mojego największego rywala; i zaraz Siwa we wszystkich naszych głowach przygadywał szydyczko:

– O nie, zamożniaczku; żaden trzeci żywioł nie istnieje; są tylko pieniądze-i-nędza, majątność-i-niedostatek, prawo-i-lewo; tylko i wyłącznie ja-przeciwko-światu! Świat to nie idee, zamożniaczku; świat to nie miejsce dla marzycieli ani dla ich marzeń; świat, mały Smarku, to rzeczy. Rzeczy i ich wytwórcy trzęsą światem; spójrz na Birłę, Tatę i na wszystkich możliwych: wytwarzają rzeczy. Bo kraj kręci się wokół rzeczy, nie wokół ludzi. Dla rzeczy Ameryka i Rosja wysyłają pomoc; tymczasem pięćset milionów głoduje nadal. Kiedy się ma rzeczy, dopiero można marzyć; kiedy się ich nie ma, człowiek staje do walki.

Dzieci zafascynowane słuchały naszego sporu... a może zresztą nie, może nawet nasza dyskusja przestała je interesować.

Na co ja:

– Przecież ludzie to nie rzeczy; jeżeli zbierzemy się do kupy, jeżeli będziemy się nawzajem kochać, jeżeli pokażemy, że to, właśnie to, ta wspólnota, ta Konferencja, ta wspólnota-dzieci-na-dobre-i-na-złe może stworzyć trzeci wymiar...

Ale Siwa drwiąco:

– Ech, zamożniaczku, to wszystko jedna wielka bujda. Całe to znaczenie jednostki. Perspektywy ludzkości. Dzisiaj ludzie są tylko i wyłącznie odmianą rzeczy.

Wtedy ja, Salim, podłamany:

– Przecież... wolna wola... nadzieja... wielki duch, zwany inaczej mahatmą ludzkości... a poezja, sztuka i...

Na co Siwa zwycięsko:

– Aha, widzisz? Byłem pewien, że na to ci przyjdzie. Jesteś miękki jak przegotowany ryż. Roztkliwiasz się jak babcia. A idź ty, kto by chciał wysłuchiwać tych twoich bredni? Trzeba jakoś żyć. Wciórności, nosie-ogórasie, potąd mam tej twojej Konferencji. Psu na budę ona zdatna.

Powiesz: to mają być dziesięciolatki? Odpowiadam: tak, ale. Spytasz: czyżby dziesięciolatki, a choćby prawie jedenastolatki, omawiały rolę jednostki w społeczeństwie? Oraz rywalizację kapitału i pracy? Czyżby ujawniono swoiste problemy obszarów rolniczych

i przemysłowych? A także konflikty w obrębie puścizny społeczno-kulturalnej? Czyżby dzieci w wieku niecałych czterech tysięcy dni istotnie dyskutowały na temat cech i wewnętrznych sprzeczności kapitalizmu? Mając za sobą niespełna sto tysięcy godzin życia zestawiały Gandhiego z Marksem i Leninem, siłę z niemocą? Czyżby kolektyw przeciwstawiono jednostce? Czy to dzieci zabiły Boga? Dopuściwszy nawet istnienie tych rzekomych cudów, czy podobna dać wiarę, że małe urwisy przemawiały jak brodaci starcy? Odpowiadam: może nie tymi słowami; może w ogóle bez słów, tylko czystszy językiem myśli; ale, owszem, tak, te właśnie tematy w gruncie rzeczy poruszano; albowiem dzieci to naczynia, w które dorosli wlewają truciznę, i doprawdy owa trucizna dorosłych nas załatwiła. Trucizna, a później, po wielu latach, Wdowa ze swym nożem.

Krótko mówiąc: po moim powrocie do Willi Buckingham nawet sól dzieci północy straciła swój smak; przychodziły takie noce, kiedy nie chciało mi się bodaj włączyć swojej ogólnokrajowej rozgłośni; drzemiały zaś we mnie demon (a miał dwie głowy) mógł swobodnie rozwijać swoją szatańskość. (Nigdy nie zdołałem stwierdzić winy bądź niewinności Siwy względem zabójstw prostytutek; jednakże w wyniku oddziaływania kaliumu na ja, grzeczny chłopiec i ofiara losu, miałem z pewnością na sumieniu dwie śmierci. Po pierwsze Jimmy'ego Kapadii; po drugie, Homi Catracka.)

Jeżeli istnieje trzeci żywioł, to imię jego – dzieciństwo. Ale i on umiera; czy raczej zostaje zamordowany.

W owych czasach wszyscy mieliśmy własne kłopoty. Homi Catrack miał swoją debilną Toxy; Ibrahimowie mieli inne zmartwienia: ojciec Sonny'ego, Ismail, po latach przekupywania sędziów i przysięgłych, stanął przed groźbą dochodzenia ze strony Rady Adwokackiej; a wuj Sonny'ego, Ischak, który prowadził podrzędny hotel Ambasada opodal Fontanny Flory, zadłużył się ponoć po uszy u miejscowych gangsterów, wiecznie się więc martwił, że go „zakatrupią” (w owych czasach zabójstwa były tak jak i upał na porządku dziennym)... toteż pewno nikogo nie zdziwi, że wszyscy zapomnieliśmy na śmierć o istnieniu profesora Schaapstekera. (Hindusi z wiekiem rosną w ciało i w siłę; ale Schaapstekera był Europejczykiem, a jego rasa niknie, niestety, wraz z upływem lat, i często doszczętnie znika.)

Jednakże teraz, wiedziony zapewne przez swojego demona, wspinałem się na najwyższe piętro Willi Buckingham i zastałem tam pomyłonego staruszka, niebywale drobnego i pokurzonego, któremu bez przerwy lała w buzi wąski język – mlaskał i lizał: był to niegdysiejszy tropiciel antytoksyn, zabójca koni, sahib Szalpstryker, obecnie dziewięćdziesięciodwuletni, eponim instytutu, już z nim nie związany, bo zaszył się na emeryturze w ciemnej mansardzie pełnej roślin tropikalnych i węży zakonserwowanych-w-soli. Wiek nie pozbawił go wprawdzie zębów ani worków jadowych, obrócił za to we wcielenie wężowatości; tak jak i innym zbyt tu zasiedziałym Europejczykom prastare szaleństwa Indii zakonserwowały mu mózg, toteż uwierzył w przesady posługaczy z instytutu, wedle których profesor miał zamykać dynastię rozpoczętą z chwilą, gdy kobra królewska zapłodniła kobietę, a ta poczęła ludzkie (ale i węzowe) dziecko... zda się, że przez całe życie dość mi było skrócić za róg, żeby trafić na kolejny nowy, fantastycznie przeistoczony świat. Wystarczy wdrapać się po drabinie (czy nawet po schodach), żeby od razu napotkać zaczajonego węża.

Zasłony były stale zaciągnięte; w pokojach Schaapstekera ani nie wschodziło, ani nie zachodziło słońce, nie tykały też zegary. Czy to ów demon, czy też nasze wspólne poczucie odosobnienia zbliżyło nas do siebie?... Bo w owych czasach awansu Małpki i upadku Konferencji przy byle sposobności wspinałem się po schodach i wysłuchiwałem majaczenia

syczącego, obłąkanego starca.

Kiedy wdarłem się po raz pierwszy do jego nie zamkniętej na klucz jaskini, powitał mnie tymi słowami: – A więc, moje dziecko, przeszedł ci ten tyfus. – Przez to zdanie czas zakotłował się jak ospały tuman kurzu i przywołał na powrót moją jednoroczną jaźń; przypomniałem sobie opowieść o tym, jak to Schaapsteker ocalił był mi węzowym jadem życie. Potem przez wiele tygodni siadywałem u jego stóp, a on odsłaniał mi sekret istnienia zwiniętej wewnątrz mnie kobry.

Kto mnie zapoznał z magicznymi mocami węży? (Ich cienie zabijają krowy; jeżeli się komuś przyśnią jego żona pocznie dziecko; jeżeli się je zabije, rodzina mordercy przez dwadzieścia pokoleń nie dostanie męskiego potomka.) I kto mi przedstawił – z pomocą książek i wypchanych eksponatów – odwiecznych wrogów kobry? – Poznaj swoich wrogów, dziecko – syczał – bo uśmiercą cię jak nic. – ...U stóp Schaapstekera poznawałem mangustę i dziką świnię, szablodziobego bociana argala i jelenia barasinha, który miażdży głowy węzów kopytami; egipskiego ichneumona oraz ibisa; nieustraszonego sekretarza, wysokości stu dwudziestu pięciu centymetrów, o zagiętym dziobie, przy czym wygląd i nazwa tego ptaka nasunęły mi pewne podejrzenia na temat Alicji Pereiry mojego ojca; a także afrykańskiego jastrzębia myszołowa, śmierdziela, miodożera ratela górskiego; ptaka szybkobiegacza kalifornijskiego, świnię pekari i groźnego ptaka kangamba. Schaapsteker z odmętów swojej zgrzybiałości udzielał mi życiowych rad. – Bądź sprytny, moje dziecko. Naśladuj węża w akcji. Działaj skrycie; atakuj zza osłony krzaków.

Pewnego razu powiedział: – Traktuj mnie jak własnego ojca. Czyż nie dałem ci życia, kiedyś je tracił? – Tym stwierdzeniem dowiódł, że jest tyleż samo pod moim urokiem, co ja pod jego; uznał, że i on się znalazł w nieskończenie długim szeregu rodziców, których ja jeden byłem władny rodzić. I chociaż po pewnym czasie, jako że odór jego apartamentów zaczął mi nazbyt doskwierać, zostawiłem ponownie staruszkę na pastwę samotności, której nikt już nigdy nie miał mu zakłócić, przedtem wszakże pouczył mnie, jak mam postępować. Owładnięty dwugłowym demonem zemsty wykorzystałem swoje telepatyczne moce (zresztą po raz pierwszy) w charakterze broni; tak poznałem szczegóły związku łączącego Homi Catracka i Lilę Sabarmati. Lila i Pija zawsze rywalizowały ze sobą pod względem urody; i właśnie żona prawowitego pretendenta do tytułu admirała floty została nową faworytą potentata filmowego. Kiedy komandor Sabarmati bawił na manewrach morskich, Lila i Homi urządzali sobie własne manewry; kiedy lew morski czekał końca ówczesnego admirała, Homi i Lila również mieli umówione spotkanie z nieubłaganym Żniwiarzem. (Przyłożyłem do tego palec.)

– Działaj skrycie – powiedział Szalpstryker sahib; skrycie więc śledziłem swojego wroga, Homiego, oraz lubieżną matkę Okruchoka i Pomady (którzy wielce się ostatnio pysznili, odkąd gazety obwieściły, że promocja komandora Sabarmatego to już czcza formalność. Jedynie kwestia czasu...).

– Rozwiąż kobieto – szeptał bezgłośnie mój demon. – Zdolna do najgorszych matczyńskich perfidii! Obrócimy cię w straszliwy przykład; na tobie zademonstrujemy, jaki to los czeka takie rozpustnice. O, niepomna na nic cudzołożnico! Nie widziałaś, co spotkało puszczającą się na prawo i lewo słynną Baronową Simki von der Heiden? Która była, mówiąc bez ogródek, suką tak jak i ty.

Moja surowa ocena Lili Sabarmati zelżała z wiekiem; w końcu ona i ja mieliśmy jedną wspólną cechę – jej nos, podobnie jak mój, posiadał olbrzymią moc. Tyle że jej był obdarzony zaledwie doczesną magią; zmarszczki na nosie zdołały oczarować najbardziej

niezlomnego z admirałów; najdrobniejsze wydęcie nozdrzy rozpałało przedziwny ogień w sercach potentatów filmowych. Trochę mi żal, że zdradziłem ten nos; to trochę tak, jakbym wbił nóż w plecy własnemu kuzynowi. Czego się dowiedziałem: co niedziela o dziesiątej z rana Lila Sabarmati odwoziła Okruchoka i Pomadę do kina „Metro” na cotygodniowe spotkania Kina Dla Pędraków. (Podjęła się także brać nas wszystkich; Sonny i Cyrus, Małpka i ja pakowaliśmy się do jej indyjskiego samochodu marki Hindustan.) Kiedy zaś jechaliśmy na spotkanie z Laną Turner, Robertem Taylorem czy Sandrą Dee, pan Homi Catrack również szykował się na cotygodniowe rendez-vous. Kiedy Hindustan Lili włókł się wzdłuż torów kolejowych Homi wiązał sobie kremowy jedwabny fontaż na szyi; kiedy ona stawała na czerwonych światłach, on wkładał kurtę tropikalną w technikolorze; kiedy ona popychała nas w ciemności widowni, on wkładał okulary przeciwsłoneczne w złotych oprawkach; a kiedy ona zostawiała nas, żebyśmy obejrzel film, on też porzucał swoje dziecko. Toxy Catrack nie omieszkała za każdym razem odnotować jego wyjścia skowytaniem kopaniem tupaniem; wiedziała, czym to pachnie, i nawet Bi-Appa nie potrafiła jej powstrzymać.

Pewnego razu żyli sobie Radha i Krysna, Rama i Sita, Lajla i Madźnun; a także (ponieważ nie brak u nas wpływów Zachodu) Romeo i Julia, Spencer Tracy i Katherine Hepburn. Świat jest pełen opowieści miłosnych, a wszyscy zakochani są poniekąd awatarami swoich poprzedników. Kiedy Lila podjeżdżała Hindustanem pod pewien adres tuż przy szosie kolabskiej, stawała się Julią wychodzącą na swój balkon; kiedy przysłonięty-złotem, spowity-kremowym-fontaziem Homi pędził na jej spotkanie (tym samym Studebakerem, którym powiózł niegdyś moją matkę do Kliniki Położniczej doktora Narlikara), był Leandrem przepływającym Hellespont ku płonącej świecy Hero. Co zaś do mojego udziału w całej tej sprawie – nie nadam mu imienia.

Spowiadam się: nie dokonałem wcale bohaterkiego wyczynu. Nie starłem się z Homim na koniu, z rozognionymi oczyma i płonącym mieczem; lecz naśladowując węża w akcji zabrałem się do cięcia gazet. Z nagłówka KOMITET WYZWOLENIA GOA WSZCZYNA KAMPANIĘ SATJAGRAHY wystrygłem litery „KO”; PRZEWODNICZĄCY ZGROMADZENIA WSCH. PAK. UZNANY ZA MANIAKA dały mi drugą sylabę „MAN”. Znalazłem „DOR” ukryte w NEHRU ROZWAŻA DORZECZNOŚĆ WŁASNEJ REZYGNACJI ZE ZGROMADZENIA KONGRESU; do drugiego słowa wyciąłem „SAB” z tytułu ZAMIESZKI, MASOWE ARESZTOWANIA W KERALI POD RZĄDAMI CZERWONYCH: SABOTAŻYŚCI SZALEJĄ: GHOSH OSKARŻA GUNDÓW KONGRESU, a następnie „ARM” ze zdania AKCJE PRZYGRANICZNE ARMII CHIŃSKIEJ POGWAŁCIŁY ZASADY BANDUNGU. Końcówkę nazwiska „ATI” wykroilem z oświadczenia POLITYCE ZAGRANICZNEJ DULLESA BRAK KONSEKWENCJI, BŁĘDY GRATIS – TWIERDZI PREMIER. Przystrzygając historię tak, by pasowała do moich niegodziwych celów, pochwyliłem DLACZEGO INDIRA GANDHI JEST TERAZ PRZEWODNICZĄCĄ KONGRESU i zatrzymałem „DLACZEGO”; nie zamierzając jednak poprzestawać na polityce, sięgnąłem do reklam po „PAŃSKA” w ogłoszeniu PAŃSKA GUMA DO ŻUCIA TRACI SMAK? TAK? BO P.K. ZACHOWUJE GO WSZAK! Ciekawostki ze sportu MŁODZIUTKA ŻONA ŚRODKOWEGO NAPASTNIKA MOHANA BAGANA podsunęły mi kolejne słowo „ŻONA”, „ZJAWIA SIĘ NA” natomiast zaczerpnąłem z tragicznego reportażu TŁUM ZJAWIA SIĘ NA POGRZEBIE KALAMA AZADA. Teraz znów musiałem wyszukiwać słowa w małych notatkach: KOLEJNY WYPADEK NA PRZEŁĘCZY POŁUDNIOWEJ: ŚMIERĆ SZERPY dało mi upragnione „KOL”, lecz trudno było dobrać „ABSKIEJ”, aż trafiła się na dwie raty w

reklamie filmu: ALI-BABA; SUPERGIGANT BOSKIEJ ZABAWY – SIEDEMNASTY TYDZIEŃ NA EKRANACH!... Były to czasy, kiedy szejek Abdullah, Lew Kaszmiru, nawoływał do przeprowadzenia w swoim stanie plebiscytu, który zadecydowałby o jego przyszłości; odwaga szejka dała mi sylabę „SZO”, bo doprowadziła do tego nagłówka: „SZOPKA” PODŻEGACZA ABDULLAHA PRZYCZYNA JEGO PONOWNEGO ARESZTOWANIA – RZECZNIK RZĄDU. Wówczas też Aćarja Winoba Bhawe, który od dziesięciu lat prowadził kampanię bhudan przekonując właścicieli ziemskich, aby oddawali parcele gruntu biednym, ogłosił, że owe darowizny przekroczyły sumę miliona akrów, i wszczął dwie nowe kampanie, prosząc o donacje całych wiosek („gramdan”) oraz indywidualnych osób („dziwandan”). Kiedy Dż.P. Narajan zgłosił gotowość poświęcenia życia na rzecz akcji Bhawego, nagłówek NARAJAN WIDZI SIEBIE W ROLI BHAWEGO dał mi poszukiwaną sylabę „SIE”. Zbliżałem się do końca; wyjąłem „CO” z PAKISTAN ZMIERZA DO CHAOSU POLITYCZNEGO: KONFLIKTY FRAKCJI CORAZ TO POGARSZAJĄ SYTUACJĘ, następnie „NIEDZIELA” z winiety „Niedziela z dreszczykiem”, brakowało mi zatem już tylko jednego słowa. Wypadki w Pakistanie Wschodnim podsunęły mi upragniony finał. ZASTĘPCA KOMISARZA WSCH. PAK. OBRZUCONY MEBLAMI GINIE OD RAN: OGŁOSZONO STAN ŻAŁOBY dało mi „RANO”, z którego prędko i z premedytacją usunąłem dwukropek. Potrzebny mi był do kompletu znak zapytania i znalazłem go w zwieńczeniu ustawicznych dociekań owych dziwnych dni: KTO PO NEHRU?

W odosobnieniu łazienki nakleiłem ukończony list – a była to moja pierwsza próba ingerencji w historię – na arkusz papieru; tak jak węża wpuściłem ten dokument do kieszeni niby jad do worka. Chytrze zaaranżowałem wspólny wieczór z Okruchokiem i Pomadą. Bawiliśmy się w „Morderstwo w ciemnościach”...Podczas zabawy w morderstwo wśliznąłem się do almarii komandora Sabarmati i wsunąłem swoje zabójcze przesłanie do wewnętrznej kieszeni jego zapasowego munduru. W owej chwili (nie ma co ukrywać) odczuwałem rozkosz węża, który dopada celu i czuje, jak kły zatapiają mu się w pięcie ofiary...

KOMANDOR SABARMATI (widniało w nagłówku listu)

DLACZEGO PAŃSKA ŻONA ZJAWIA SIĘ NA KOLABSKIEJ SZOSIE CO NIEDZIELA RANO?

Nie, wcale się dziś już nie szczycę swoim postępkiem; ale proszę pamiętać, że mój demon zemsty miał dwie głowy. Poprzez zdemaskowanie perfidii Lili Sabarmati miałem nadzieję wywołać zbawienny wstrząs u swojej matki. Dwie pieczenie na jednym rożnie; kara była wymierzona w dwie kobiety, a każda miała się nadziać na jeden z dwóch kłów mojego rozwidlonego węzowego języka. Nie minę się chyba z prawdą, jeżeli powiem, że skandal znany później pod nazwą sprawy Sabarmatego wywodził zaiste swe początki z mrocznej kawiarni na północy miasta, gdzie pewien pasażer na gapę przyglądał się baletowi krążących rąk.

Działałem skrycie; atakowałem z za osłony krzaków. Co mnie do tego skłoniło? Ręce w kawiarni Pionier; pomyłki telefoniczne; liściki wciskane mi na balkonach i przekazywane pod osłoną prześcieradek; hipokryzja mojej matki i nieukojonny żal Piji: – Hai! Ai-hai! Ai-hai-hai! – ...Moja trucizna działała powoli; lecz po trzech tygodniach odniosła skutek. Okazało się już później, że otrzymawszy mój anonim komandor Sabarmati skorzystał z usług słynnego Dom Minty, najbardziej znanego prywatnego detektywa w Bombaju. (Minto, stary już i prawie kulawy, obniżył swoje stawki.) Komandor poczekał na raport Minty. I wtedy:

Owej niedzieli rano sześcioro dzieci siedziało rzędem w Kinie Dla Pędraków „Metro” i

oglądało *Franciszka, gadającego muła i dom, w którym straszy*. Widzisz, miałem alibi; nie znajdowałem się chociażby w pobliżu miejsca zbrodni. Niczym Sin, sierpowaty księżyc, oddziaływałem z daleka na fale świata... kiedy więc muł przemawiał do nas z ekranu, komandor Sabarmati zaszedł do magazynu broni marynarki wojennej. Pobrał za pokwitowaniem solidny rewolwer z długą lufą; a także amunicję. W lewym ręku dzierżył karteczkę z adresem wypisanym schludnym pismem detektywa; w prawej zaś ścisnął nagą broń. Taksówką zajechał na szosę kolabską. Zapłacił, odprawił taksówkarza, zapuścił się z bronią-w-ręku w wąski zaułek, mijając stragany pełne koszul i sklepiki z zabawkami, po czym ruszył w górę po schodach bloku mieszkalnego oddzielonego od zaułka betonowym podwórkiem. Nacisnął dzwonek do mieszkania 18 C; usłyszał go pod 18 Banglo-hinduski nauczyciel udzielający prywatnych lekcji łaciny. Kiedy żona komandora Sabarmati, Lila, otworzyła drzwi, strzelił jej z bliska dwa razy w brzuch. Lila upadła na plecy; przestąpił ją i zastał pana Homi Catracka, jak ten wstawał z sedesu, z nie podtartym tyłkiem, wciągając w popłochu spodnie. Komandor Winu Sabarmati strzelił mu raz w genitalia, raz w serce i raz w prawe oko. Rewolwer nie miał tłumika; ale kiedy już przestał gadać, w mieszkaniu zapanowała niesamowita cisza. Gdy zamilkły strzały, pan Catrack opadł z powrotem na sedes i jakby się uśmiechał.

Komandor Sabarmati opuścił budynek z dymiącym rewolwerem w ręku (dojrzał go przez szczelinę w drzwiach przerażony korepetytor łaciny); ruszył szosą kolabską, aż zobaczył na małej wysepce policjanta dyrygującego ruchem. Komandor Sabarmati oznajmił policjantowi: – Przed chwilą tą oto bronią zabiłem żonę i jej kochankę; oddaję się w pańskie ręce... – Wymachiwał przy tym policjantowi rewolwerem przed nosem; funkcjonariusz tak się przeraził, że upuścił pałeczkę i zbiegł. Komandor Sabarmati, pozostawiony sam jeden na wysepce policjanta wśród sparaliżowanego raptem ruchu ulicznego, jął kierować samochodami, używając dymiącego rewolweru jako pałeczki. Tak go właśnie znalazł oddział pościgowy dwunastu policjantów, co przybyli po dziesięciu minutach na miejsce, rzucili się na niego chwacko, obezwładnili, po czym odebrali mu tę niezwykłą pałeczkę, którą przez dziesięć minut wprawnie dyrygował ruchem.

Pewna gazeta tak skomentowała sprawę Sabarmatiego: „Oto teatr, w którym Indie pojmą, kim były, czym są i czym mogą się stać”...Ale komandor Sabarmati był jedynie marionetką; ja zaś byłem marionetkarzem, a cały naród zaangażował się w moje przedstawienie – tyle że nie o to mi chodziło! Nie przypuszczałem, iż on... chciałem tylko... skandal, owszem, przestroga, nauczka dla wszystkich niewiernych żon i matek, ale nigdy, przenigdy coś takiego.

Przerażony wprost skutkiem własnego postępu, zanurzyłem się w niespokojne fale myślowe miasta... w Szpitalu Ogólnym dla Parsów lekarz orzekł: – Begam Sabarmati wyżyje; tylko będzie musiała przestrzegać diety. – ... Ale Homi Catrack już nie żył... I kogo wzięto na adwokata? Kto powiedział: – Będę go bronił za darmo, absolutnie gratis? – Kto taki, niegdysiejszy zwycięzca w Sprawie Zamrożenia, był teraz orędownikiem komandora? Sonny Ibrahim oświadczył: – Jeżeli ktokolwiek potrafi go z tego wyciągnąć, to tylko mój ojciec.

Komandor Sabarmati okazał się najpopularniejszym mordercą w dziejach jurysdykcji indyjskiej. Mężowie przyklasnęli karze wymierzonej żonie, która zbłądziła; wierne kobiety czuły, że zadośćuczyniono ich lojalności. W głowach rodzonych synów Lili trafiłem na takie oto myśli: – Wiedzieliśmy, jak sobie poczyniała. Wiedzieliśmy, że oficer marynarki wojennej tego nie zdzierży. – Felietonista „Tygodnika Ilustrowanego Indii” kreśląc sylwetkę

towarzyszącą wielobarwną karykaturę komandora w rubryce „Osobistość tygodnia” stwierdził: „W sprawie Sabarmatego szlachetne pobudki Ramajany łączą się z tandetnym melodramatem bombajskiego filmu dźwiękowego; jeśli zaś chodzi o głównego bohatera, wszyscy są zgodni co do jego szczerych zamiarów; ponadto jest on niewątpliwie atrakcyjnym mężczyzną”.

Moja zemsta na matce i na Homi Catracku zapoczątkowała ogólnokrajowy kryzys... albowiem przepisy marynarki wojennej głosiły, że oficer, który odbywał wyrok w więzieniu cywilnym, nie może aspirować do rangi admirała floty. Toteż admirałowie, lokalni politycy, no i, rzecz jasna, Ismail Ibrahim domagali się: – Komandor Sabarmati musi pozostać w więzieniu marynarki wojennej. Jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy. O ile to możliwe, nie wolno mu niszczyć kariery. – A władze: – Zgoda. – I komandor Sabarmati, bezpieczny pod kluczem marynarki wojennej, zaznał kary sławy – zasypany lawiną telegramów wyrażających poparcie czekał na proces; kwiaty wypełniały mu celę, a chociaż poprosił o ascetyczną dietę złożoną z ryżu i wody, życzliwi ludzie znosili mu menażki pełne birjani, pista-ki-lauz i innych smakołyków. Przeskakując kolejkę w Sądzie do spraw Kryminalnych, proces rozpoczął się raz-dwa... Prokurator oświadczył:

– Zabójstwo pierwszego stopnia.

Z zaciśniętą szczęką i twardym wejrzeniem komandor Sabarmati odparł:

– Jestem niewinny.

Moja matka skomentowała:

– O, mój Boże, co za nieszczęśnik, jakie to smutne, prawda?

Na co ja powiedziałem:

– Ale niewierna żona to coś strasznego, Amma... – wtedy matka odwróciła głowę.

Prokurator stwierdził:

– Sprawa jest z góry przesądzona. Mamy tu motyw, okoliczności, przyznanie się do winy, ciało denata i premedytację: pobrano za pokwitowaniem broń, dzieci wysłano do kina, przedstawiono raport detektywa. Nic dodać, nic ująć. Strona oskarżenia zamyka dochodzenie.

A opinia publiczna:

– O, Allah, taki porządny człowiek!

Ismail Ibrahim stwierdził:

– Mamy tu do czynienia z usiłowaniem targnięcia się na własne życie.

Na co opinia publiczna:

-????????

Ismail Ibrahim wyjaśnił:

– Kiedy komandor otrzymał raport Dom Minty, chciał się sam przekonać, czy to prawda; a jeśli tak, odebrać sobie życie. Pobrał broń; ale dla siebie. Udał się pod kolabski adres wiedziony jedynie rozpaczą; niejako zabójca, lecz jako żywy trup! Ale tam – na widok własnej żony, ławo przysięgłych! rozneglizowanej obok bezwstydnego kochanka! – tego porządnego człowieka, ławo przysięgłych, tego wielkiego człowieka zalała krew. Dosłownie krew go zalała i w tym właśnie stanie dopuścił się takich, a nie innych, czynów. Nie mamy zatem do czynienia z premedytacją, czyli nie jest to zabójstwo pierwszego stopnia. Morderstwo, owszem, ale nie z zimną krwią. Ławo przysięgłych, wnoszę o uchylenie oskarżenia.

W mieście aż wrzało:

– Nie, to już przesada... tym razem Ismail Ibrahim za daleko się posunął... ale, ale... akurat ława przysięgłych składa się w większości z kobiet... i to niezbyt zamożnych... zatem

w dwójnasób podatnych na wdzięk komandora i na portfel adwokata... czy to wiadomo? Czy coś się da przewidzieć?

Ława przysięgłych zawyrokowała:

– Niewinny.

Moja matka zawołała:

– Och, cudownie!... Ale, ale: czy to aby sprawiedliwość?

Na co sędzia w odpowiedzi na jej pytanie:

– Korzystając z nadanych mi praw, oddalam ten niedorzeczny werdykt. Winien oskarżenia.

Zapanował wtedy szalony rwetes. Dygnitarze marynarki wojennej, biskupi i inni politycy żądali:

– Sabarmati musi pozostać w więzieniu marynarki wojennej, aż Sąd Okręgowy rozpatrzy jego odwołanie. Zawziętość jednego sędziego nie może zniszczyć tak wielkiego człowieka!

A policja kapitulując:

– No dobrze.

Sprawa Sabarmatego pnie się w górę, dociera do Sądu Okręgowego w bezprecedensowym tempie... komandor powiada swojemu adwokatowi:

– Czuję, że los wymknął mi się spod kontroli; jak gdyby coś przejęło nad nim władzę... powiedzmy, że to przeznaczenie.

Ja zaś twierdzę:

– Powiedzmy, że to Salim czyli Smark, Kinol albo Plamolicy; powiedzmy, że to okruszek-księżycyca.

Wyrok Sądu Okręgowego:

– Winien oskarżenia.

Nagłówki w gazetach: CZY SABARMATI TRAFI WRESZCIE DO WIĘZIENIA CYWILNEGO? Ismail Ibrahim ogłasza:

– Pójdziemy na całość! Udamy się do Sądu Najwyższego!

I teraz bomba! Oświadczenie samego Przewodniczącego Rady Ministrów:

– Niełatwo jest robić wyjątki w kodeksie prawnym; jednakże w uznaniu zasług położonych dla kraju zezwalam komandorowi Sabarmati na pozostanie w areszcie marynarki wojennej do czasu wydania orzeczenia przez Sąd Najwyższy.

Kolejne nagłówki w prasie żądające jak moskity: RZĄD UCHYBIA PRAWU! SKANDAL SABARMATIEGO HAŃBĄ PUBLICZNĄ!... Kiedy pojąłem, że prasa obróciła się przeciw komandorowi, wiedziałem, że już po nim.

Wyrok Sądu Najwyższego:

– Winien.

Ismail Ibrahim oświadczył:

– Prawo łaski! Zwracamy się o ułaskawienie do prezydenta Indii!

Teraz więc doniosłe sprawy mają się ważyć w Rasztrapati Bhawan – za bramą Domu Prezydenta jeden człowiek musi zdecydować, czy wolno wynieść drugiego człowieka ponad prawo; czy można komuś darować zabójstwo kochanka żony dla dobra kariery w marynarce wojennej; i jeszcze ważniejsze – czy Indie zaaprobuja własne prawo, czy też starożytną zasadę nadrzędnego prymatu bohaterów? Czy gdyby sam Rama żył w obecnej dobie, posłałibyśmy go do więzienia za zabicie porywacza Sity? Ważkie sprawy; moja mściwa ingerencja w historię tego stulecia nie należała z pewnością do błahostek. Prezydent Indii postanowił:

– Nie ułaskawię tego człowieka.

Nussie Ibrahim (której mąż przegrał swoją największą sprawę) zanosła się płaczem: – Hai! Ai-hai! – I powtórzyła wcześniejszą uwagę: – Amino, siostrze, żeby taki porządny człowiek szedł do więzienia. Powiadam ci, koniec świata!

Wyznanie ciśnie mi się wprost na usta: – Amma, to wszystko przeze mnie; chciałem ci dać nauczkę. Amma, nie widuj się z tamtym panem, co ma hafty z Lakhnau na koszuli; starczy już, mamie, tego obcałowywania szklanek! Noszę teraz długie spodnie, mogę więc z tobą rozmawiać jak mężczyzna. – Ale nie przeszło mi to przez gardło; nie było zresztą potrzeby, bo podsłuchałem, jak matka odebrała kolejny omyłkowy telefon – i dziwnym, stłumionym głosem powiedziała do słuchawki: – Nie, nie ma tu nikogo o tym imieniu. Proszę mi wierzyć i proszę do mnie więcej nie dzwonić.

Tak, dałem matce nauczkę; a po sprawie Sabarmatego już nigdy nie spotkała swojego Nadira-Kasima, ani razu, do końca życia; pozbawiona go wszakże, podzieliła los wszystkich kobiet w naszej rodzinie, mianowicie padła ofiarą przekleństwa przedwczesnego starzenia się; zaczęła się kurczyć, coraz bardziej kuśtykać, a oczy przepełniła jej pustka podeszłego wieku.

Moja zemsta przyniosła też sporo niespodziewanych zmian; może najbardziej drastyczną było pojawienie się w willach Posiadłości Methwolda dziwacznych kwiatów z drewna i blachy, opatrzonych malowanymi ręcznie jaskrawoczerwonymi literami... owe niefortunne tabliczki, wykwitłe we wszystkich ogrodach poza naszym, świadczyły o tym, że dane mi siły przerosły nawet moje pojęcie oraz że sam, zaznawszy niegdyś wygnania ze swojego piętrowego pagóra, zdołałem teraz wypędzić stąd wszystkich innych.

Tabliczki w ogrodach Willi Wersal, Willi Escorial i Sans Souci; tabliczki kłaniające się sobie nawzajem w morskiej bryzie pory koktajlu. Na każdej widniało tych samych dziesięć jaskrawoczerwonych trzydziestocentymetrowych liter: NA SPRZEDAŻ. Tak brzmiało przesłanie tabliczek.

NA SPRZEDAŻ – Willa Wersal, gdyż jej właściciel zginął na sedesie; sprzedażą zajmowała się sroga piastunka Bi-Appa w imieniu niešťczęsnej debilki Toxy; kiedy sfinalizowano transakcję, piastunka i piastowana znikły na zawsze, a Bi-Appa ścisłała na podołku pękata walizkę wypchaną banknotami... Nie wiem, co się stało z Toxy, ale zważywszy skąpstwo jej piastunki, śmiem twierdzić, że nic dobrego... NA SPRZEDAŻ mieszkanie Sabarmatich w Willi Escorial; Lili Sabarmati odebrano prawa rodzicielskie, toteż ulotniła się z naszego życia, Okruchoka zaś i Pomada spakowali manatki i oddali się pod opiekę Indyjskiej Marynarki Wojennej, która zajęła się nimi in loco parentis, do czasu, aż ojciec odsiedzi swoje trzydzieści lat w więzieniu... NA SPRZEDAŻ również Sans Souci Ibrahimow, albowiem hotel Ischaka Ibrahima Ambasada spłonął podpalony przez gangsterów w dniu ostatecznej klęski komandora Sabarmatego, jak gdyby środowisko kryminalne miasta postanowiło ukarać rodzinę adwokata za jego porażkę; ponadto Ismail Ibrahim został zawieszony w czynnościach wobec pewnych dowodów jego uchybień profesjonalnych (żeby zacytować raport bombajskiej Rady Adwokackiej); finansowo „spostponowani” Ibrahimowie również się wynieśli z naszego życia; i wreszcie NA SPRZEDAŻ mieszkanie Cyrusa Dubasza i jego matki, bo podczas wielkiego larum w sprawie Sabarmatego nastąpiła prawie nie zauważona śmierć fizyka jądrowego, gdy ten się udławił pestką-od-pomarańczy, co rozpętało nad głową Cyrusa fanatyzm religijny jego matki i wprawiło w ruch koła okresu objawień, który to okres będzie tematem następnego epizodu.

Tabliczki kiwały się w ogrodach, które wypierały już wspomnienia złotych rybek, pory koktajlu i kociej inwazji; a kto je przejął? Jakież to osoby wcieliły się w rolę spadkobierców spadkobierców Williama Methwolda?... Wyroili się z byłej rezydencji doktora Narlikara:

tluste i nieprzyzwoicie sprawne niewiasty, które nabrały jeszcze większej tuszy i sprawności dzięki majątkowi zbitemu-na-czwórnogach (albowiem były to lata wielkiej melioracji gruntów). Kobiety Narlikara – odkupiły od marynarki wojennej mieszkanie komandora Sabarmatego, od wynoszącej się pani Dubasz dom jej Cyrusa; spłaciły Bi-Appę używanymi banknotami, a wierzycielom Ibrahimów zadośćuczyniły gotówką po Narlikarze.

Mój ojciec jako jedyny z rezydentów odmówił sprzedaży; oferowały mu bająnskie sumy, a on nic tylko kręcił głową. Wyjaśniły, na czym polega ich marzenie – marzyły, aby zrównać te wille z ziemią i w ich miejsce wznieść na piętrowym pagórze gmach strzelający trzydziestoma kondygnacjami pod niebo, tryumfalny różowy obelisk, drogowskaz ich przyszłości; Ahmed Sinai, zagubiony w abstrakcjach, nie chciał o tym słyszeć. Przekonywały go: – Kiedy się pan znajdzie w otoczeniu gruzów, będzie pan musiał sprzedać za bezcen – on zaś (mając w pamięci ich czwórnóżną perfidie) pozostał niewzruszony.

Nussie-kaczka przy wyjeździe powtórzyła: – Mówiłam ci, Amino, siostrze. To koniec! Koniec świata! – Tym razem i miała rację, i jej nie miała; po sierpniu roku 1958 świat kręcił się dalej; tyle że skończył się bezpowrotnie świat mojego dzieciństwa.

Padmo – czy kiedy byłaś mała, też miałaś własny świat? Blaszący globus, na którym zaznaczono kontynenty, oceany i lody polarne? Nie, jasne, że nie miałaś; a ja miałem. Był to świat pełen nazw: Ocean Atlantycki, Amazonka, Zwrotnik Koziorożca. A na Biegunie Północnym widniała legenda: MADE AS ENGLAND. W sierpniu kiwających się tabliczek i zachłanności kobiet Narlikara ten blaszany świat stracił swą podstawę; znalazłem taśmę samoprzylepną i sklepiłem ziemię na równiku, potem jednak moje ciągoty do zabawy wzięły górę nad poszanowaniem i zacząłem nim grać w piłkę nożną. W następstwie sprawy Sabarmatego, kiedy powietrze aż zgęstniało od skruchy mojej matki i osobistych tragedii spadkobierców Methwolda, kopałem swój blaszany glob po całej posiadłości, żywiąc błogie przeświadczenie, że świat jest nadal w jednym kawałku (sklejony wprawdzie przylepcem), no i że mam go u stóp... aż w dniu ostatniego już lamentu eschatologicznego Nussie-kaczki – w dniu, w którym Sonny Ibrahim przestał być Sonnym-po-sąsiedzku – moja siostra, Mosiężna Małpka, rzuciła się na mnie z niewytłumaczalną złością wrzeszcząc: – O, Boże, przestań tak kopać, bracie. Nie czujesz się dzisiaj choć trochę parszywie? – Podskoczyła wysoko, spadła obiema nogami na Biegun Północny i rozwścieczonymi piętami wdeptała mój świat w ziemię naszego podjazdu.

Chyba to wyjazd Sonny Ibrahima, jej zelżonego adoratora, którego obdarła na środku jezdni do naga, mimo wszystko dotknął Mosiężną Małpkę, chociaż przez całe życie tak się broniła przed miłością.

Objawienia

Om Hare Chusro Hare Chusrowand Om

Wiedźcie, O niewierni, że w pomrokach godzin Północy SFER NIEBIESKICH w czasach przed zaraniem Czasu mieściła się domena Błogosławionego CHUSROWANDA!!! Nawet WSPÓŁCZEŚNI UCZENI przyznają teraz, że od *pokoleń* KŁAMALI, iżby ukryć przed Ludem, który *ma prawo znać* Niezaprzeczalną PRAWDE o istnieniu tego ŚWIĘTEGO DOMU PRAWDY!!! Wybitni Intelktualiści jak Świat Szeroki, także i w Ameryce, głoszą ANTYRELIGIJNY SPISEK czerwonych, ŻYDÓW itp., iżby ukryć tę WAŻNĄ NOWINĘ! Ale oto unosi się Zasłona. Błogosławiony PAN CHUSRO nadchodzi z Niepodważalnymi Dowodami. Czytajcie i wiercie!

Wiedźcie, że w ZAPRAWDE ISTNIEJĄCYM Chusrowandzie mieszkali Święci, o tak Wielkiej Czystości Duchowej, że poprzez MEDYTACJĘ & tak dalej osiągnęli moce DLA DOBRA WSZYSTKICH, moce Przekraczające Ludzką Wyobraźnię! PATRZYLI NA WSKROŚ żelaza i ZĘBAMI WYGINALI KRATY!!!

* * * TERAZ! * * *

Po raz 1-szy te moce mogą posłużyć i Tobie!

PAN CHUSRO jest

* * * TUTAJ! * * *

Usłyszcie o Upadku Chusrowandu: o tym jak to CZERWONY DIABEŁ *Bhimuta* (niechby się zwał CZARNY) rozpętał przerażający Grad Meteorów (odnotowany należycie przez ŚWIATOWE OBSERWATORIA, lecz nigdy nie Wyjaśniony)... tak straszliwy DESZCZ KAMIENI, że Dobry Chusrowand legł w RUINIE, a jego Święci zostali obruceni WNIWECZ.

Jednakowoż szlachetny *Dżurael* i urodziwa *Chalila* byli roztropni. POŚWIĘCIWSZY ŻYCIE w ekstazie sztuki Kundalini, ocalili DUSZĘ swojego nie narodzonego syna PANA CHUSRO. Dostępując Prawdziwej Jedności w Najwyższym Transie Jogi (której moce UZNAJE teraz CAŁY ŚWIAT!) przeistoczyli swoje Szlachetne Duchy w Błyszczący *Promień SIŁY WITALNEJ ENERGII ŚWIETLNEJ KUNDALINI*, której to powszednią imitacją & Kopią jest dziś znany wszem i wobec LASER. Po tym PROMIENIU pomknęła Dusza nie narodzonego Chusro, pokonując BEZDENNE GŁĘBINY Wieczności Sfer Niebieskich, aż NA CAŁE SZCZĘŚCIE! przybyła na nasz własny Dunija (Świat) & spoczęła w Łonie pokornej parsyjki z Dobrej Rodziny.

Takoż narodziło się Dziecko, a było prawdziwej Dobroci & Niezrównanego ROZUMU (zadając KŁAM owemu KŁAMSTWU, że wszyscy Rodzimy się Równi! Czyliż Dureń jest równy Świątemu? NO PRZECIEŻ ŻE NIE!!). Ale przez jakiś Czas jego prawdziwa natura pozostawała w Ukryciu, aż raz odstawiając Ziemskiego Świątego w sztuce TEATRALNEJ (o której WYBITNI KRYTYCY orzekli, że Czystość Jego Gry Przekraczała Pojęcie), onże się PRZEBUDZIŁ & już wiedział KIM JEST. Przybrał więc swoje Prawdziwe Imię:

PAN CHUSRO CHUSROWANI

+ BHAGWAN +

& Ruszył pokornie z Popiołem na swym Czołe Ascety, iżby leczyć Choroby i Zapobiegać Suszom & ZWALCZAĆ Zastępy *Bhimuty*, gdziekolwiek Nadejdą. A LĘKAJCIE SIĘ!

DESZCZ KAMIENI *Bhimuty* przyjdzie i do nas TEŻ! Nie popierajcie KŁAMSTW polityków poetów Czerwonych & tem podobnych. POKŁADAJCIE WIARĘ w Jedynym Prawdziwym Panu CHUSRO CHUSRO CHUSRO CHUSRO CHUSRO CHUSRO i wysyłajcie Ofiary na adres Skr.Poczt. 555, Poczta Główna, Bombaj-1. BŁOGOSŁAWIENSTWA! PIĘKNO!! PRAWDA!!!

Om Hare Chusro Hare Chusrowand Om

Cyrus Wielki miał ojca fizyka jądrowego, a matkę dewotkę, której wiara zgorzkniała wskutek tylu lat tłamszenia przez przytłaczającą racjonalność jej Dubasza; toteż kiedy ojciec Cyrusa udławił się pomarańczą, bo jego matka zapomniała oczyścić ją z pestek, pani Dubasz jęła gorliwie wymazywać swego nieboszczyka męża z osobowości syna – przerabiać Cyrusa na własny dziwaczny obraz i podobieństwo. Cyrus nasz Wielki, Wyrósł bez bumelki, Los go czeka tłusty, Bo urodził się w czterdziestym ósmym – Cyrus, cudowne dziecko szkoły – Cyrus jako święta Joanna w sztuce Shawa – wszyscy ci Cyrusi, do których przywykliśmy, z którymi wyrosliśmy, przestali teraz istnieć; ich miejsce zajęła tłusta ponad miarę, bezwolna niemal bezwolnością wołu postać Pana Chusro Chusrowanda. W wieku dziesięciu lat Cyrus znikł ze Szkoły Katedralnej i zaczął się meteoryczny wzlot najbogatszego guru Indii. (Tyle jest wersji Indii, ilu Hindusów; a w zestawieniu z Indiami Cyrusa jakże przyziemnie wypada moja wersja.)

Czemu do tego dopuścił? Czemu ten mały geniusz nie pisał bodaj słówkiem, kiedy po całym mieście rozlepiono afisze, a w gazetach zaroiło się od jego reklam?... Bo Cyrus (choć udzielał nam, nie bez figlarności, wykładów na temat Części Ciała Kobiety) był zwyczajnie nader uległym chłopcem i za nic w świecie nie sprzeciwiłby się matce. To dla matki wkładał brokatową niby spódniczkę i turban; przez wzgląd na synowską powinność zezwalał milionom wyznawców całować się w mały palec. W imię macierzyńskiej miłości naprawdę stał się Panem Chusro, najślawniejszym świętym dzieckiem w dziejach; niebawem otoczył go tłum czcicieli w liczbie pół miliona, wierzone w jego cuda; amerykańscy gitarzyści siadywali u jego stóp, a wszyscy przynosili ze sobą książeczki czekowe. Pan Chusrowandu dorobił się sztabu księgowych, bezpiecznych lokat kapitału, nabył też luksusowy statek transoceaniczny zwany Statkiem Gwiezdnym Chusrowand, a także samolot – Astralny Samolot Pana Chusro. Ale gdzieś w głębi tego uśmiechającego się słabo, udzielającego błogosławieństw chłopca... w zakamarkach przesłoniętych na zawsze przez zatrwająco przedsiębiorczy cień matki (mieszkała bądź co bądź w tym samym domu, co kobiety Narlikara; czy miała je okazję dobrze poznać? Jaka część ich przerażającej sprawności się w nią przelała?) czaił się duch chłopca, który był niegdyś moim kolegą.

– Ten Pan Chusro? – pyta zdumiona Padma. – Chcesz powiedzieć, że to ten sam mahaguru, który się zeszłego roku utopił w morzu?

Tak, Padmo; nie umiał chodzić po wodzie; a niewielu ludziom, którzy się ze mną zetknęli, pisana była naturalna śmierć... tu muszę wyznać, że czułem się oburzony tą gloryfikacją Cyrusa. „Dlaczego nie ja? – myślałem sobie nawet. – To ja jestem magicznym dzieckiem; skradziono mi nie tylko prymat w domu, ale i moją prawdziwą, najgłębszą naturę.”

Padmo: nigdy nie zostałem „mahaguru”; ani też miliony nie siadywały u moich stóp; a była to moja wina, bo pewnego dnia przed wielu laty wybrałem się na wykład Cyrusa o Częściach Ciała Kobiety.

– Co? – Padma z niedowierzaniem kiwa głową. – Cóż to znowu takiego?

Fizyk jądrowy Dubasz miał piękną marmurową statuetkę – akt kobiecy – i z pomocą tejże figurki jego syn dawał uczone wykłady na temat anatomii kobiecej przed audytorium

złożonym z chichoczących chłopców. Nic za darmo; Cyrus Wielki pobierał opłatę. W zamian za anatomię żądał komiksów – a ja, w całej swej naiwności, podarowałem mu egzemplarz swojego najulubieńszego komiksu Superman, zawierającego opowieść ramową o wybuchu planety Krypton i o rakiecie kosmicznej, w której Dzor-El, jego ojciec, wysłał go w kosmos, aby wylądował na ziemi i został adoptowany przez dobrych, łagodnych Kentów... czy nikt więcej tego nie widział? Czy przez tyle lat nikt nie pojął, że pani Dubasz przerobiła i wykreowała na nowo najsilniejszy ze wszystkich współczesnych mitów – legendę o nadejściu supermana? Widziałem ogłoszenia trąbiące o przyjsciu Pana Chusro Chusrowanda Bhagwana; i po raz któryś poczułem się zobligowany do przyjęcia odpowiedzialności za wydarzenie mojego burzliwego, fantastycznego świata.

Jakżeż ja podziwiam mięśnie nóg mojej troskliwej Padmy! Siedzi w kucki tuż przy moim stole, sari ma podwiązane tak jak żony rybaków. Mięśnie łydek nie przejawiają ani krztyny wysiłku; mięśnie ud, falujące pod fałdami sari, prezentują godną pozazdroszczenia sprężystość. Dosyć wytrzymała, żeby tak siedzieć w kucki nie wiadomo dokąd, nie zmożona przez prawo grawitacji ani skurcze, moja Padma słucha cierpliwie tej rozwlekłej opowieści; co za siłaczka od marynat! Co za kojąca solidność, krzepiąca aura stabilności w tych mięśniach dwugłowych i trójgłowych... albowiem mój podziw obejmuje również jej ręce, które powaliłyby mnie niechybnie w mgnieniu oka, a od których, kiedy oplatają mnie co noc w daremnych uściskach, nie ma ucieczki. Teraz, skoro kryzys mamy już za sobą, koegzystujemy w idealnej zgodzie: ja snuję opowieść, ona daje się opowieścią osnuwać; ona się mną opiekuje, ja zaś wspaniałomyślnie przyjmuję jej opiekę. W pełni mnie, trzeba przyznać, satysfakcjonuje nie utyskująca tężyzna Padmy Mangroli, którą, o dziwo, bardziej interesuje moja osoba niż moje opowieści. Czemu się tak rozwodzę nad muskulaturą Padmy: bo ostatnio snuję swoją opowieść tyleż dla tych mięśni, co dla czego lub kogo innego (choćby dla mojego syna, który nie nauczył się jeszcze czytać). Bo gnam na złamanie karku; mogą się więc zdarzyć omyłki, przesady i rażące zmiany tonu; ścigam się z pęknięciami, aczkolwiek świadom popełnionych dotychczas błędów oraz tego, że razem ze wzrostem tempa mojego rozkładu (trudno za nim nadążyć z pisaniem) wzmagą się ryzyko nieścisłości... w tym stanie rzeczy ucę się korzystać ze wskazówek mięśni Padmy. Kiedy jest znudzona, dostrzegam w jej ścięgnach fałdki braku zainteresowania; kiedy jest nieufna, na jej policzku występuje tik. Taniec jej mięśni utrzymuje mnie w karbach; gdyż w autobiografii, podobnie jak w całej literaturze, mniej się właściwie liczą wydarzenia zaistniałe naprawdę, a bardziej te, w które uwierzy przekonana przez autora publiczność... Padma, przełknąwszy opowieść o Cyrusie Wielkim, dodaje mi śmiałości, toteż pędzę dalej, ku najgorszym chwilom mojego jedenastoletniego życia (bo jeszcze gorsze dopiero ma, miało, nastąpić) – ku sierpniowi-i-wrześniowi, kiedy to objawienia spływały szybciej niż krew.

Ledwo zdjęto kiwające się tabliczki, a już nadciągnęły ekipy burzące kobiety Narlikara; Willę Buckingham spowiły tumany kurzu ginących pałaców Williama Methwolda. Odseparowani chmurą pyłu od biegnącej w dole Warden Road, byliśmy wszakże narażeni na telefony; i to właśnie telefon poinformował nas drżącym głosem ciotki Piji o samobójstwie mojego ukochanego wuja Hanifa. Pozbawiony dochodów od Homi Catracka, wuj przeniósł dudniący głos oraz obsesję na punkcie serc i rzeczywistości aż na dach swojego domu przy Marine Drive; zstąpił zeń w wieczorną morską bryzę, napędzając (swoim upadkiem) takiego strachu żebrakom, iż przestali udawać niewidomych i rozbiegli się z krzykiem na wszystkie strony... tak w śmierci, jak i w życiu, Hanif Aziz hołdował prawdzie i rozpędzał pozory na cztery wiatry. Miał niecałe trzydzieści cztery lata. Morderstwo rodzi śmierć; zabiwszy Homi

Catracka, zabiłem również swojego wuja. To moja wina; a przecież nie koniec jeszcze tego umierania.

W Willi Buckingham zebrała się cała rodzina: z Agry przybyli Aadam Aziz i Czcigodna Matka; z Delhi wuj Mustafa w Służbie Cywilnej, który wyczelował sztukę potakiwania zwierzchnikom do tego stopnia, że ci przestali go słyszeć, dlatego też nigdy nie awansował; oraz jego żona Sonia, półkrwi Iranka, i ich dzieci, tak zbite na miazgę, że nawet nie pomnę, ile ich tam było; z Pakistanu zgorzkniała Alija, a także sam generał Zulfikar i ciotka Emerald, którzy zjechali z dwudziestoma siedmioma sztukami bagażu i parą służących, bez przerwy patrzyli na zegarki i dopytywali się o datę. Ich syn, Zafar, również przyjechał. Żebyśmy się znaleźli w komplecie, matka ściągnęła do nas Piję „przynajmniej na okres czterdziestu dni żałoby, moja siostró”.

Przez czterdzieści dni oblegał nas kurz; kurz wdzierał się pod mokre ręczniki, którymi uszczelniliśmy okna, kurz chytrze wpadał za każdym wchodzącym żałobnikiem, kurz przenikał wręcz ściany i zawisał niczym bezkształtne widmo w powietrzu, kurz zagłuszał dźwięki rytualnych zawodzeń, a także zabójcze docinki lamentujących krewniaków; resztki Posiadłości Methwolda osiadły na mojej babce i wprawiły ją w niesłychaną furję; podrażniły ściągnięte nozdrza generała Zulfikara o facjacie Pulcineili i kazały mu się skichać na podbródek. Czasem nam się zdawało, że w tej upiornej mgiele kurzu widać kształty przeszłości, miraż startej na proch pianoli Lili Sabarmati albo więzienne kraty w oknie celi Toxy Catrack; po pokojach tańcowała w kurzu naga statuetka Dubasza, a także zakłute w obłokach pyłu nawiedziły nas afisze walki byków Sonny Ibrahima. Kiedy buldożery dokonywały swojego dzieła, kobiety Narlikara przezornie się stamtąd wyniosły; tkwiliśmy więc sami pośród tej piaskowej burzy, która nadała nam wygląd porzuconych mebli, jak gdybyśmy byli krzesłami i stołami pozostawionymi przez dziesiątki lat bez pokrowców; przypominaliśmy własne duchy. Stanowiliśmy dynastię zrodzoną z nosa, orlego monstrum na twarzy Aadama Aziza, toteż kurz, wdzierając się nam w nozdrza podczas żałoby, zniszczył naszą powściągliwość, skruszył bariery, jakie pomagają rodzinom przetrwać; w burzy piaskowej ginących pałaców wypowiedziano, ujrzano i zrobiono takie rzeczy, z których nikt z nas się już nigdy nie otrząsnął.

Początek dała Czcigodna Matka, może dlatego, że te wszystkie lata przepełniły ją tak, iż upodobniła się do góry Sankaraćarji w swoim rodzimym Śrinagarze, kurz więc mógł przypuścić atak na największej powierzchni. Z jej górzystego ciała stoczył się huk niczym lawina, która obrócona w słowa przybrała postać straszliwej napaści na ciotkę Piję, nieutuloną w żalu wdowę. Wszyscy zauważyliśmy, że moja mumani dziwnie się zachowuje. Panowało nie wyrażane głośno przekonanie, iż aktorka jej pokroju winna zmierzyć się z wdowieństwem w wielkim stylu; podświadomie wyglądaliśmy jej boleści, czekaliśmy na widowisko znakomitej tragiczki, która pełnią akordów odegra własne nieszczęście, spodziewaliśmy się czterdziestodniowej ragi, gdzie brawura i subtelność, rozdzierający szloch i cicha żalność zleją się w odpowiednich proporcjach w sztukę; tymczasem Pija zachowała milczenie, suche oczy i nie-dramatyczne zgoła opanowanie. Amina Sinai i Emerald Zulfikar płakały i darły włosy z głowy, usiłując wykrzesać z Piji jej talent; lecz na ostatku, kiedy zdawało się, że nic już nie wzruszy Piji, Czcigodna Matka straciła cierpliwość. Kurz przeniknął jej wściekłość z doznanego zawodu i spotęgował rozgoryczenie.

– Co za kobieta, jakmutam – zagrzmiała Czcigodna Matka – a nie mówiłam? Mój syn, o Allah, mógł zostać nie wiadomo kim, jakmutam, ale nie, przez nią rujnuje sobie tylko życie; musi skakać, jakmutam, z dachu, żeby się od niej uwolnić.

Padły słowa; nie mogły pozostać w ukryciu. Pija siedziała jak kamień; cały się trząsnęłam w środku jak kukurydziany budyń. Czcigodna Matka ciągnęła posępnie dalej; zakłęła się na włosy z głowy nieboszczyka syna.

– Dopóki ta kobieta nie uszanuje, jakmutam, pamięci mojego syna, dopóki nie uroni szczyrych łez żony, dopóty ani jeden kęs jedzenia nie przejdzie mi przez usta. Toż to hańba i skandal, jakmutam, że ona tu siedzi z antymonem, zamiast ze łzami w oczach!

W całym domu rozniosło się echo jej dawnych wojen z Aadamem Azizem. I aż do dwudziestego z czterdziestu dni wszyscy się lękaliśmy, że babka zagłodzi się na śmierć, a wtedy okres czterdziestu dni zacznie się od nowa. Leżała spowita kurzem w łóżku; czekaliśmy zatrwożeni.

To ja przełamane impas między babką a ciotką; mogę więc przynajmniej rościć sobie uzasadnione prawo do ocalenia jednego życia. Dwudziestego dnia odszukałem Piję Aziz, która siedziała w swoim pokoju na parterze jak niewidoma; w charakterze pretekstu tych odwiedzin przeprosiłem niezdarnie za swoją nieoględność w mieszkaniu przy Marine Drive. Milcząco oddalenie, wreszcie Pija się odezwała: – Nic tylko melodramat – powiedziała głucho. – U członków jego rodziny, w jego pracy. Oddał życie przez nienawiść do melodramatu; dlatego nie chcę płakać. – Wówczas nie rozumiałem; dzisiaj zaś twierdzą, że Pija Aziz miała absolutnie rację. Pozbawiony środków do życia przez wzgardzenie sensacyjnym, kiczowatym stylem bombajskiego kina, wuj zstąpił ze skraju dachu; zainspirowana (a może skażona) melodramatem jego ostatnia próba zejścia na ziemię. Właśnie powstrzymywaniem się od płaczu Pija chciała uczcić jego pamięć... ale wysiłek związany z wyznaniem prawdy zrobił wyłom w murze jej samokontroli. Kurz spowodował kichnięcie; kichnięcie wycisnęło jej z oczu łzy; i teraz nie dało się ich zatamować, toteż wszyscy zostaliśmy w końcu świadkami z dawna oczekiwanego spektaklu, bo jak już raz trysnęły, tryskały niczym z Fontanny Flory, a Pija nie mogła się oprzeć pokusie roztoczenia swych talentów; wylała powodzią na miarę swego mistrzostwa, wprowadziła główne wątki i uboczne motywy, biła się w swe niebywałe piersi, aż się doprawdy krajało serce, to je ścisnęła, to znów w nie waliła... rwała na sobie szaty i włosy. Ta łzawa egzaltacja nakłoniła Czcigodną Matkę do jedzenia. Kiedy z ciotki leciała ciurkiem słona woda, w babkę wlewano dal i orzeszki pistacjowe. Teraz Nasim Aziz zesłała do Piji, objęła ją, zamieniła jej solo w duet, łącząc muzykę pojednania z piękną nad wyraz melodią smutku. Aż nas swędziały ręce, żeby wznieść niewysłowny aplauz. Ale najlepsze miało dopiero nastąpić, gdyż Pija, artystka, doprowadziła swoje patetyczne wysiłki do wielkiego finału. Złożywszy głowę na podółku teściowej, oznajmiła głosem pełnym ukorzenia i pustki:

– Mamo, niechże twoja niegodziwa córka wreszcie cię usłucha; powiedz tylko, co mam zrobić, a to zrobię.

Na co Czcigodna Matka ze łzami w oczach:

– Córko, twój ojciec Aziz i ja wybieramy się niebawem do Rawalpindi; na stare lata zamieszkamy przy naszej najmłodszej córce, Emeraldzie. Pojedziesz z nami i tam dokonamy zakupu stacji benzynowej.

Tak oto ziściło się marzenie Czcigodnej Matki, albowiem Pija Aziz zgodziła się porzucić świat filmu dla świata paliwa. Wuj Hanif, pomyślałem sobie, zapewne by to pochwalił.

Przez całe czterdzieści dni kurz wywierał wpływ na nas wszystkich; Ahmed Sinai stał się grubiański i gburowaty, toteż odmówił siedzenia w towarzystwie krewnych żony i kazał Alicji Pereirze przekazywać wiadomości żałobnikom, wiadomości, które też sam wykrzykiwał ze swojego gabinetu: – Ciszej tam! Usiłuję pracować, a tu taki harmider! –

Przez ten kurz generał Zulfikar i Emeralda bez przerwy zerkali na kalendarze i na rozkłady lotów, podczas gdy ich syn, Zafar, zaczął się przechwalać Mosiężnej Małpcie, że namawia ojca, by ten zaaranżował między nimi małżeństwo. – Wiedz, że masz szczęście – oznajmił ten zarozumialec mojej siostrze. – Mój ojciec jest ważną figurą w Pakistanie.

Mimo że Zafar odziedziczył urodę po ojcu, kurz zablokował temperament Małpki, toteż nie miała ochoty się z nim spierać. Tymczasem ciotka Alija rozpostarła w powietrzu swój zadawniony, zakurzony zawód, a większość moich bezsensownych krewnych, rodzina wuja Mustafy, siedziała markotnie po kątach i jak zwykle nikt o nich nie pamiętał; wąsy Mustafy Aziza, dumnie wypomadowane i podkreślone na końcach przy jego przyjeździe, dawno już obwisły pod przygnębiającym wpływem kurzu.

I wtedy, dwudziestego drugiego dnia żałoby mój dziadek, Aadam Aziz, ujrzał Boga.

Skończył owego roku sześćdziesiąt osiem lat – czyli liczył sobie dziesięć lat więcej niż to stulecie. Jednakże szesnaście lat bez optymizmu zgarnęło obfity plon; oczy miał nadal błękitne, lecz plecy zgarbione. Dreptał po Willi Buckingham w wyszywanej mycce i długim kaftanie ćugha – również pokrytym cieniutką warstwą kurzu – żuł bezcelowo surową marchew, a cienkie strużki śliny spływały mu po posiwiałych konturach podbródka. W miarę jak on się chylił ku upadkowi, Czcigodna Matka rosła w tuszę i w siłę; ta, która niegdyś szlochała żałośnie na widok merkurochromu, teraz jakby się napawała słabością męża, jak gdyby ich stadło należało do tych mitycznych związków, w których wiemy zdają się mężczyznom niewinnymi pannami, a zwabiwszy ich do łoża małżeńskiego przybierają na powrót swoją prawdziwą, straszliwą postać i zaczynają pożerać dusze małżonków... w owym czasie mojej babce wyrosły wąsy, prawie tak wybujałe jak obwisły-pod-kurzem zarost na górnej wardze jedyne go pozostałego przy życiu syna. Przesiadwała w pozycji lotosu na łóżku, smarowała sobie wargę tajemniczym mazidłem, które twardniało wokół włosów, a następnie zdzierała je prężną, surową ręką; tyle że ten środek pogarszał tylko jej przypadłość.

– Po prostu zdzieciniał, jakmutam – obwieściła Czcigodna Matka dzieciom mojego dziadka – a Hanif wykończył go do reszty. – Uprzedziła nas, że Aadam Aziz zaczął miewać majaki. – Gada do ludzi, których tu wcale nie ma – mówiła głośnym szeptem, podczas gdy on chodził po pokoju cmokając własne zęby. – A jak on wykrzykuje, jakmutam! W środku nocy! – I naśladowała go: – Ho, Tai? To ty? – Opowiedziała nam, dzieciom, o przewoźniku, o Kolibrze i o rani Kuch Nahin. – Nieborak za długo już żyje, jakmutam; żaden ojciec nie powinien dożyć śmierci własnego syna... – Amina zasłuchana kiwała ze współczuciem głową, nie wiedząc, że Aadam Aziz przekaże jej to w spadku – że i ją u schyłku życia będą nawiedzać sprawy, które wcale nie powinny wracać.

Przez ten kurz nie mogliśmy włączać wentylatorów sufitowych; pot ściekał po twarzy nawiedzonego dziadka i zostawiał mu strużki błota na policzkach. Czasem dziadek łapał tego, kto mu się akurat nawinał, i perorował nader klarownie:

– Ci Nehru nie spoczną, póki się nie obwołają dynastią królewską! – Albo opryskując śliną twarz skrecającego się generała Zulfikara: – Ach, jakież ten Pakistan jest nieszczęśliwy! Jak źle mu służą ci jego władcy! – Kiedy indziej wyobrażał sobie, że jest w sklepiku z kamieniami szlachetnymi i mruczał: – ...Tak, były szmaragdy i rubiny... – A Małpka pytała mnie szeptem: – Czy dziadziś umrze?

Co się przelało we mnie z Aadama Aziza: pewna słabość do kobiet, lecz również jej przyczyna, dziura w środku spowodowana jego (a i moją) niezdolnością przyjęcia bądź odrzucenia wiary w Boga. I coś jeszcze – coś, co mimo zaledwie jedenastu lat dostrzegłem, nim zauważył to ktokolwiek inny. Mój dziadek zaczął pękać.

– Masz na myśli głowę? – dopytuje Padma. – Że zbrakło mu piątej klepki?

Przewoźnik Tai powiedział: – Lód zawsze czeka, Aadamie baba, tuż pod naskórką wody. – Dostrzegłem pęknięcia w jego oczach – delikatną siatkę bezbarwnych żyłek na tle błękitu; dostrzegłem sieć szczelin rozprzestrzeniających się pod jego stwardniałą skórą; i odpowiedziałem na pytanie Małpki: – Podejrzewam, że tak. – Przed końcem czterdziestodniowego okresu żałoby skóra dziadka zaczęła pękać, łuszczyć się i obłazić; ledwie otwierał usta przy jedzeniu z powodu rys w kącikach warg; a zęby posypały mu się jak muchy potraktowane Muchozolem. Ale śmierć z popękania bywa powolna; toteż sporo czasu upłynęło, zanim się dowiedzieliśmy o innych pęknięciach, o chorobie, która nadgryzała mu kości, tak że na ostatku szkielet, powleczony sfatygowanym workiem skóry, zamienił się w proch. Naraz trwoga maluje się na twarzy Padmy.

– Co ty wygadujesz? Chcesz powiedzieć, mój panie, że ty też... co to za niemożliwa przypadłość może zeżreć człowiekowi kości? Czy to...

Nie czas teraz przerywać; nie pora na litość ani trwogę; i tak zapędziłem się dalej, niżbym powinien. Cofając się nieco w czasie, muszę wspomnieć, że coś się również przelało w Aadama Aziza ze mnie; bo dwudziestego trzeciego dnia żałoby kazał się całej rodzinie zebrać w tym samym pokoju z kryształami (nie trzeba ich już było chować przed wujem), z poduszkami i unieruchomionymi wentylatorami, w tym samym pokoju, w którym obwieściłem własną wizję... a przecież Czciogodna Matka orzekła: – Po prostu zdziecinniał. – I jak dziecko oznajmił, że trzy tygodnie po dotarciu do niego wiadomości o śmierci syna, który w jego przekonaniu był cały i zdrowy, ujrzał na własne oczy Boga, chociaż przez całe życie miał go za martwego. I jak dziecku nikt mu nie uwierzył. Wyjąwszy jedną osobę...

– Tak, słuchaj – powiedział dziadek głosem mizernie imitującym jego dawne dudnienie. – Tak, rani? Jesteś tu? I ty, Abdullahu? Siadaj, Nadir, mam wam coś do zakomunikowania, a gdzie Ahmed? Alija chciałaby, żeby tu był... Bóg, dzieci moje; Bóg, którego przez całe życie zwalczałem. Oskar? Ilse? Prawda, wiem przecież, że nie żyją. Uważacie, że jestem stary, pewno też i głupi; ale widziałem Boga.

Mimo przeskoków i wtrętów z wolna wynurza się cała opowieść: dziadek obudził się o północy w swoim zaciemnionym pokoju. Ktoś tam jest – ale to nie żona. Czciogodna Matka chrapie w łóżku. Tylko ktoś. Ktoś oblany świecącym pyłem w poświęcie zachodzącego księżycy. Wtedy Adam Aziz: – Ho, Tai? To ty? – Na co Czciogodna Matka mruczy przez sen: – Śpij, mężu, dajże spokój... – Ale ten ktoś, to coś, woła donośnym, zdumiewającym (i zdumionym?) głosem: – Jezu Chryste Wszechmogący! (Pośród kryształów dziadek śmieje się przepraszająco, he-he, za to wspomnienie niewiernego imienia.) – Jezu Chryste Wszechmogący! – dziadek rozgląda się i widzi, tak, dziury na dłoniach, przedziurawione stopy, takie jak niegdyś miał... Ale przeciera oczy, potrząsa głową, pyta: – Kto taki? Jak mu na imię? Coś powiedział? – Na co zjawa, zdumiewająca-zdumiona: – Miły Bóg! – A po chwili: – Nie sądziłem, że mnie widzisz.

– Przecież, że Go widziałem – powiada dziadek pod wstrzymanymi wentylatorami. – Tak, nie mam co się wypierać, widziałem go niezawodnie. – ...Wtedy zjawa: – Tyś jest ten, którego syn zginął – na co dziadek z bólem w piersi: – Dlaczego? Dlaczego tak się stało? – Wówczas zjawisko, widzialne jedynie za sprawą pyłu: – Bóg ma swoje powody, starcze, takie jest życie, nieprawdaż?

Czciogodna Matka odprawiła nas wszystkich.

– Stary nie wie, co mówi, jakmutam. Coś podobnego, żeby siwizna szła w parze z bluźnierstwem!

Jedna Maria Pereira wyszła z twarzą bladą jak prześcieradło; Maria wiedziała, kogo zobaczył Aadam Aziz – kto, wyniszczony odpowiedzialnością za jej zbrodnię, miał dziury na dłoniach i na stopach; czyje pięty nosiły ślady ukąszenia węża; kto umarł w pobliskiej wieży zegarowej i został przez omyłkę wzięty za Boga.

Właściwie powinienem tu i teraz dokończyć historię dziadka; zabrnąłem już dość daleko, a taka okazja może się więcej nie powtórzyć... gdzieś w głębi sklerozy dziadka, która jako żywo przypominała mi obłęd profesora Schaapstekera z góry, załęgła się zgorzkniała myśl, że Bóg przez swój lekceważący stosunek do samobójstwa Hanifa dowiódł własnej winy w tej materii; Aadam złapał generała Zulfikara za jego wojskowe poły i wyszeptał: – Za to, że nie wierzyłem, ukradł mi syna! – Na co Zulfikar: – Nie, nie, doktorze sahibie, nie wolno się tak zadrećcać... – Lecz Aadam Aziz nigdy nie zapomniał swojej wizji; chociaż szczegóły tego konkretnego, ujrzanego na własne oczy bóstwa zamazały mu się w głowie, pozostawiając jedynie przemożną, obślinioną chęć zemsty (która to żądza jest nam również wspólna)... pod koniec czterdziestodniowego okresu żałoby odmówił wyjazdu do Pakistanu (zgodnie z planami Czcigodnej Matki), gdyż był to kraj stworzony specjalnie dla Boga; i w ostatnich latach życia niejednokrotnie okrywał się hańbą, bo zachodził do meczetów i świątyń ze swym starczym kosturem, by tam obrzucać wyzwiskami i okładać wszystkich wiernych i świątobliwych mężów jak popadło. W Agrze tolerowano go przez wzgląd na jego dawne zasługi; starcy spod sklepika z betelem przy Cornwallis Road zabawiali się w plucie-do-celu i wspominali ze współczuciem przeszłość doktora sahibia. Czcigodna Matka musiała mu chociażby z tego powodu ulec – ikonoklazm wynikły z jego zdziecinnienia wywołałby skandal w kraju, w którym dziadka nie znano.

Za jego fiksacją i napadami szału rozprzestrzeniały się dalej pęknięcia; choroba trawiła systematycznie kości, a nienawiść zżerała całą resztę. Nie umarł jednak aż do roku 1964. A odbyło się to następująco: w środę, 25 grudnia 1963 – w Boże Narodzenie! – Czcigodna Matka obudziwszy się zobaczyła, że męża nie ma. Wyszła na podwórko między syczące gęsi i blade cienie brzasku, wzwała służącego; i dowiedziała się, że doktor sahib udał się rykszą na stację kolejową. Kiedy tam sama dotarła, pociąg już odjechał; tak to dziadek wiedziony nieznanym impulsem rozpoczął ostatnią podróż, aby zakończyć swoją historię tam, gdzie się ona (tak jak i moja historia) zaczęła, w mieście otoczonym górami, położonym nad jeziorem.

Dolina leżała ukryta pod skorupą lodu; góry zacisnęły pierścień wokół miasta nad jeziorem, szczerząc złowieszczo kły... zima w Śrinagarze; zima w Kaszmirze. W piątek, 27 grudnia, widziano, jak mężczyzna odpowiadający rysopisem dziadkowi w kaftanie ćugha, zaśliniony, kręci się w pobliżu meczetu Hazratbal. O czwartej czterdzieści pięć w sobotę rano Hadzi Muhammad Chalil Ghanai zauważył kradzież z sanktuarium meczetu najcenniejszej relikwii doliny: świętego włosa Proroka Muhammada.

Czy to on? Czy nie on? Jeżeli on, dlaczego nie wszedł do meczetu, żeby wymłócić laską wyznawców, jak to miał w zwyczaju? A jeżeli nie on, to dlaczego? Rozeszła się pogłoska o spisku władz centralnych, aby „osłabić morale kaszmirskich muzułmanów” poprzez kradzież ich świętego włosa; i sprzeczne pogłoski o prowokatorach pakistańskich, którzy rzekomo skradli relikwię, aby zasiać niepokój... czy to więc oni? Czy nie? Czy ten zagadkowy incydent miał istotnie charakter polityczny, czy też była to przedostatnia próba zemsty na Bogu ze strony ojca, który stracił syna? Przez dziesięć dni w muzułmańskich domach nie gotowano jedzenia; rozgorzały zamieszki, palono samochody; ale polityka nie dotyczyła już mojego dziadka, toteż nic nie wiadomo, jakoby przyłączył się do którejkolwiek demonstracji. Przyświecała mu jedna jedyna myśl; wiadomo tylko tyle, że 1 stycznia 1964 (w środę, równo

tydzień po wyjeździe z Agry) obrócił twarz ku wzgórzom, które muzułmanie niesłusznie nazywali Tacht-i-Sulajman, czyli tronem Salomona, na którym wznosiła się wieża radiowa, ale też czarny wyprysk świątyni Śankaraćarji. Nie zważając na rozpacz całego miasta, dziadek piął się w górę; a choroba pęknięć w środku nadżerała mu cierpliwie kości. Nikt go nie rozpoznał.

Doktor Aadam Aziz (powrócony-z-Heidelbergu) umarł pięć dni przed oświadczeniem rządowym, że prowadzone na szeroką skalę poszukiwania włosów z głowy Proroka zakończyły się sukcesem. Kiedy zebrali się najdosłowniej święci państwo, aby potwierdzić autentyczność włosów, mój dziadek już im nie mógł wyznać prawdy. (Chyba że się mylili... ale nie potrafię odpowiedzieć na zadane przez siebie pytania.) Za popełnienie przestępstwa aresztowano – a później wypuszczono ze względu na zły stan zdrowia – niejakiego Abdula Rahima Bandego; może jednak dziadek, gdyby żył, rzuciłby inne, dziwniejsze światło na tę sprawę... 1 stycznia w samo południe Aadam Aziz przybył pod świątynię Śankaraćarji. Widziano go, jak wznosił laskę; kobiety, odprawiające w świątyni rytuał pudży przy Śiwalingam, aż się skuliły w sobie – podobnie jak niegdyś inne kobiety skuliły się z oburzenia na innego, opętanego czwórnożami, doktora; i wtedy pęknięcia zebrały swoje żniwo, nogi się pod nim ugięły, kości się rozpadły, a w wyniku upadku szkielet rozsypał się do reszty, tak że nie było co zbierać. Zidentyfikowano go za pomocą dokumentów w kieszeni kaftana ćugha: fotografii jego syna oraz nie dokończonych (na szczęście właściwie zaadresowanego) listu do żony. Ciało zbyt kruche, by się nadawało do transportu, pogrzebano w jego rodzimej dolinie.

Patrzę na Padmę; mięśnie jej drżą jak opętane.

– Zważ, proszę – powiadam – czy to takie dziwne, co się stało z moim dziadkiem? Porównaj to chociażby z bogobojnym rwetesem wokół kradzieży włosów; bo wszystko to święta prawda, a przez porównanie śmierć tego starca jest z pewnością najzupełniej normalna.

Padma się odpręża; jej mięśnie popychają mnie naprzód. Albowiem zbyt dużo czasu zmitrężyłem na Aadamie Aziza; może lękam się tego, co należy teraz opowiedzieć; ale objawienia nie sposób się wyprzeć.

Jeszcze tylko ostatni fakt: po śmierci mojego dziadka premier Dżawaharlal Nehru rozchorował się i już nigdy nie wyzdrowiał. Śmiertelna przypadłość odebrała mu w końcu życie 27 maja 1964 roku.

Gdybym nie pragnął zostać bohaterem, pan Zagailo nigdy by mi nie wyrwał włosów z głowy. Gdyby moje włosy pozostały na swoim miejscu, Nalany Keith i Gruby Perce nie naśmiewaliby się ze mnie; Masha Miovic nie sprowokowałyby mnie do utraty palca. Z palca zaś trysnęła krew, która nie była ni-Alfą-ni-Omegą, co skazało mnie na wygnanie; z kolei na wygnaniu przepelniony żądzą zemsty przyczyniłem się do zabójstwa Homi Catracka; gdyby natomiast Homi nie zginął, może i wuj nie zstąpiłby z dachu w morską bryzę; a wówczas dziadek nie udałby się do Kaszmiru i nie złamałby go trud wspinaczki na wzgórze Śankaraćarji. Dziadek był protoplastą mojej rodziny, mój los był związany narodzinami z losem całego kraju, a ojcem tego kraju był Nehru. Śmierć Nehru: czy wolno mi się uchylić od wniosku, że i za tę śmierć ja jeden ponoszę winę?

Teraz jednak wracamy do roku 1958; ponieważ trzydziestego siódmego dnia żałoby prawda, co ponad jedenaście lat trapiła Marię Pereirę – a zatem i mnie – wyszła wreszcie na jaw; prawda, wcielona w stareńkiego człowieka, którego piekielny odór dotarł nawet do moich zapchanych dziurek od nosa, a którego ciało pozbawione palców u rąk i nóg było usiane wrzodami i dziurami, wspięła się na nasz piętrowy pagór i ukazała się w obłoku kurzu, gdzie ujrzała ją Maria Pereira zajęta przecieraniem bambusowych żaluzji na werandzie.

Tak więc ziścił się koszmar Marii; widoczny w całunie kurzu zjawił się oto duch Józka D'Costy i maszerował prosto do gabinetu Ahmeda Sinai na parterze! Jakby mu nie było dość, że objawił się Aadamowi Azizowi...

– Are, Józefie – wrzasnęła Maria upuszczając ściereczkę – wynoś mi się stąd! Nie waż się tu teraz przychodzić! Nie durz sahibom w głowach swoimi sprawami! O Boże, Józefie, idź już, idź, a nuże, bo mnie zaraz wpędzisz do grobu!

Mimo to duch szedł dalej podjazdem.

Maria Pereira porzuciwszy bambusowe żaluzje, pozostawiwszy je krzywo zawieszono, pędzi do środka domu, żeby przypaść do nóg mojej matce – składając pulchne rączki w suplikacji.

– Begam sahiba! Begam sahiba, błagam o przebaczenie!

A matka osłupiała:

– Co to ma znaczyć, Mario? Co w ciebie wstąpiło?

Ale Maria nieskora do rozmowy płacze tylko spazmatycznie i szlocha:

– O, Boże, nadeszła moja godzina, pani kochana. Niech no mi pani tylko da spokojnie odejść, niech mnie nie wtrąca do mamra! Jedenaście lat, moja pani, toż ja was wszystkich kochałam, o, pani, i tego chłopca z twarzą jak księżyc; a teraz przepadło, bezecna ze mnie kobieta, będę się smażyć w piekle! Fantuś! – zawodziła Maria i wciąż od nowa: – Wszystko skończone; fantuś!

Nadal jednak nie wiedziałem, co się święci; nawet wówczas, gdy Maria rzuciła się na mnie (byłem teraz od niej wyższy; a jej łzy zrosiły mi szyję):

– O, baba, baba; dzisiaj się dowiesz, dowiesz się, co ja narobiłam; chodź no tu... – i ta drobna kobietka wyprostowała się z niezwykłą godnością – ...powiem ci wszystko, zanim ci powie Józef. Begam, dzieci i wszystkich innych wielmożnych państwa proszę teraz do gabinetu sahiba, to opowiem.

Oświadczenia publiczne szpikowały moje życie; Amina w zaułku Delhi i Maria w cieniście gabinetu... cała rodzina kroczyła w zdumieniu za nami, a na przedzie ja z Marią Pereirą, która nie puszczała mojej ręki. I tak zesłaliśmy na dół.

Co oprócz Ahmeda Sinai zastaliśmy w jego pokoju? Co przypawiło ojca o wyraz twarzy, z której czmychnęły dżinny i pieniądze, ustępując miejsca całkowitemu opuszczeniu? Co siedziało skulone w kącie pokoju, napełniając powietrze odorem siarki? Co, przypominające kształtem mężczyznę, nie miało palców u rąk i nóg; czyja twarz bulgotała niczym gorące źródła w Nowej Zelandii (które widziałem w *Cudownej Księdze Cudów*)!... Nie pora teraz wyjaśniać, bo Maria Pereira już się rozgadała, odsłaniając tajemnicę spoczywającą w ukryciu przeszło jedenaście lat, czym wyrwała nas wszystkich ze świata snu, który sama stworzyła, kiedy zamieniła przywieszki z imionami, a zatem skazała nas na horror prawdy. I przez cały czas nie wypuszczała mnie z objęć; niczym matka chroniąca dziecko osłaniała mnie przed członkami rodziny. (Którzy dowiadywali się... podobnie jak i ja... że nie są...)

...Minęła właśnie północ, na ulicach fajerwerki i tłumy, ryczał wielogłowy potwór, zrobiłam to dla swojego Józefa, sahibie, ale proszę mnie nie wtrącać do więzienia, wystarczy spojrzeć, jaki z niego dobry chłopak, sahibie, a ja jestem tylko biedną kobietą, sahibie, jeden błąd, jedna minuta na tyle lat, byle nie więzienie, sahibie, pójdę sobie, poświęciłam jedenaście lat, ale teraz sobie pójdę, sahibie, tyle że to dobry chłopak, sahibie, niech go pan nie odprawia, sahibie, po jedenastu latach toż to pański syn... A ty, chłopcze z twarzą jak wschodzące słońce, ty, Salimie, mój ty okruszku księżycu, wiedz, że twoim ojcem był Winkie, a matka też już nie żyje...

Maria Pereira wybiegła z pokoju.

Ahmed Sinai powiedział głosem odległym jak ptak:

– Tam w kącie siedzi mój stary sługa, Musa, który chciał mnie niegdyś obrabować. (Czy jakakolwiek opowieść pomieści tak wiele w tak krótkim czasie? Zerkam w stronę Padmy; jest wprost ogłuszona, zupełnie jak ryba.)

Pewnego razu był sobie sługa, który obrabował mojego ojca; który przysięgał, że jest niewinny; który obłożył się klątwą trądu, gdyby miał kłamać; i któremu dowiedziono kłamstwo. Odszedł w niesławie; ale już wtedy uprzedzałem, że jest bombą zegarową, toteż do nas powrócił, żeby wybuchnąć. Musa zaiste nabawił się trądu; i wrócił po latach milczenia błagać mojego ojca o przebaczenie, aby się uwolnić od ściągniętej na siebie samego klątwy.

...Kogoś, kto nie był Bogiem, nazwano Bogiem; kogoś innego wzięto za ducha, a nim wcale nie był; trzecia zaś osoba odkryła, że chociaż nazywa się Salim Sinai, nie jest synem swoich rodziców...

– Przebaczam ci – rzekł Ahmed Sinai trędowatemu.

Po tym dniu wyleczył się przynajmniej z jednej obsesji; nigdy więcej nie próbował zgłębić swojej (wyssanej całkowicie z palca) klątwy rodzinnej.

– Nie mogłem tego opowiedzieć w żaden inny sposób – tłumaczę Padmie. – Zbyt to bolesne; musiałem wyrzucić to z siebie tak po wariacku.

– O, panie – beczy Padma żałośnie. – O, panie, mój panie!

– Daj spokój – pocieszam ją. – To dawne dzieje.

Ale jej łzy nie są przeznaczone dla mnie; na chwilę zapomniała o tym co-trawi-kości-pod-skorą; płacze nad Marią Pereira, którą, jak już wspominałem, bardzo sobie upodobała.

– Co się z nią stało? – pyta z zaczerwienionymi oczyma. – Z tą Marią?

Wzbiera we mnie irracjonalna złość.

– Sama ją spytaj! – wołam.

Spytaj ją o to, jak udała się do domu w mieście Pańdzim w Goa, jak opowiedziała swojej leciwej matce historię własnej hańby! Spytaj, jak to jej matka oszalała na wieść o skandalu (nic zresztą dziwnego; był to bowiem czas, kiedy starzy ludzie odchodzili od zmysłów)! Spytaj: czy córka i stara matka nie wyszły na ulicę, żeby tam szukać przebaczenia? Czy nie zbiegło się to z obrządkiem sprawowanym raz na dziesięć lat, kiedy zmumifikowane zwłoki świętego Franciszka Xawiera (równie bezcenną relikwię jak włos Proroka) wyjmowano z krypty w Katedrze Bom Jezusa i obnoszono po mieście? Czy Maria i stara, zboliała pani Pereira, nie zaczęły wraz napierać na katafalk; czy starsza pani nie fiksowała z rozpaczony nad zbrodnią córki? Czy starsza pani Pereira z zawodem: – Hai! Ai-hai! Ai-hai-hai! – nie wspięła się na mury, żeby ucałować stopę Świętego? I czy wśród nieprzebranych tłumów pani Pereira nie dostała świętego obłędu? Spytaj! Czy w przystępie szału nie wczepiła się ustami w wielki paluch u lewej nogi świętego Franciszka? Spytaj sama: czy matka Marii nie odgryzła tego palucha ze szczętem?

– Ale jak? – szlocha Padma, stropiona moim wybuchem gniewu. – Jak mam spytać?

...I czy to też prawda: czy może gazety puściły kaczkę, gdy napisały, że starszą panią dosięgła cudowna kara; kiedy powoływały się na źródła kościelne i naocznych świadków, którzy relacjonowali, że staruszka obróciła się z miejsca w kamień? Nie? Spytaj ją, czy to prawda, że Kościół obwoził kamienny posąg zaklętej weń starej kobiety po miastach i wioskach Goa, aby pokazać, co może spotkać tych, którzy źle traktują świętych? Spytaj: czy nie widziano tego posągu w kilku wioskach naraz – i czy dowodzi to szalbierstwa, czy też dalszego cudu?

– Wiesz, że nie mogę nikogo spytać – lka Padma... ale ja, czując, jak opada ze mnie złość, kończę na dziś z objawieniami.

Zatem bez obsłonek: Maria Pereira odeszła od nas i pojechała do matki w Goa. Alicja Pereira natomiast została; Alicja została w gabinecie Ahmeda Sinai, pisała na maszynie, przynosiła mu przekąski i napoje musujące.

Jeżeli zaś chodzi o mnie – pod koniec żałoby po wuju Hanifie znalazłem się po raz drugi na wygnaniu.

Ruchy pieprzniczek

Musiałem w końcu dojść do wniosku, że Siwa, mój rywal, mój brat-podmieniec powinien dostać zakaz wstępu na forum mojego umysłu; z powodów, sam przyznaję, nikczemnych. Lękałem się, że odkryje to, czego z pewnością nie umiałbym przed nim zataić – tajemnicę naszych wspólnych narodzin. Siwa, dla którego świat składał się wyłącznie z rzeczy, dla którego historia znajdowała jedyne wyjaśnienie w ustawicznej walce jednostki-z-tłumem, dochodziłby niewątpliwie swoich praw z tytułu urodzenia; zdjęty strachem na samą myśl o tym, że mój antagonistą z iksowatymi nogami zajmie moje miejsce w błękitnym pokoju mego dzieciństwa, a ja będę zmuszony opuścić jak niepyszny piętrowy pagór i zamieszkać w ruderach na północy miasta; odrzuciwszy myśl, iż prorocstwo Ramrama Setha było przeznaczone dla syna Winkiego, że to do Siwy pisał premier i że Siwie rybak wskazywał morze... przykładając, słowem, znacznie większą wagę do mojego jedenastoletniego synostwa niż do więzów krwi, postanowiłem, że moje niszczycielskie, porywcze alter ego nigdy więcej nie weźmie udziału w coraz bardziej kłótliwych obradach Konferencji Dzieci Północy; że będę strzegł swojej tajemnicy – do niedawna tajemnicy Marii – całym swoim jestestwem.

W owym czasie zdarzały się takie noce, kiedy w ogóle unikałem zwoływania Konferencji – nie tyle ze względu na jej niezadowolający obrót, ile ze względu na przekonanie, że trzeba sporo czasu i zimnej krwi, aby wznieść mur wokół mojej nowej wiedzy, który odgrodzi ją od Dzieci; miałem ufność, że w końcu mi się to uda... ale bałem się Siwy. Jako najokrutniejszy i najsilniejszy z Dzieci dotarłby tam, gdzie inni nie zdołaliby dotrzeć... Tak czy owak, unikałem swoich pobratymców; i naraz już było za późno, bo skazawszy na wygnanie Siwę, sam raptem zaznałem wygnania, z którego nie mogłem się kontaktować z przeszło pięćsetką swoich kolegów: znalazłem się za stworzoną-przez-podział granicą w Pakistanie.

W końcu września roku 1958 żałoba po wuju Hanifie Azizie dobiegła końca; jednocześnie cudowny, zbawienny deszcz rozprawił się z obłokiem kurzu, który nas dotąd spowijał. Kiedy wukapa;iliśmy się, włożyliśmy świeżo uprane ubrania i włączyliśmy wentylatory sufitowe, wyszliśmy z łazienek pełni, wprawdzie na krótko, zwodniczego optymizmu czystości wprost-spod-mydła; żeby się natknąć na zakurzonego, niedomytego Ahmeda Sinai z flaszką whisky w ręku, o przekrwionych oczach, jak prosto z gabinetu drapał się chwiejnie na górę w szponach maniakalnych dzinnów. W swoim prywatnym świecie abstrakcji zmagał się z niebywałą rzeczywistością rozpętaną przez objawienie Marii; za nieczystą zaś sprawą alkoholu zapalał nieopisanym gniewem, skierowanym nie na Marię po jej powrocie ani nie na podmieńca tuż pod bokiem, lecz na moją matkę – należałoby raczej powiedzieć, na Aminę Sinai. Może czuł, że powinien błagać ją o przebaczenie, a nie miał zamiaru, w każdym razie Ahmed przez całe godziny obrzucał ją wyzwiskami na uszach wstrząśniętej rodziny; nie powtórzył obelg, jakie na nią spadły, ani niechlubnych rad co do kroków, jakie zalecał jej przedsięwziąć w życiu. Wreszcie zainterweniowała Czcigodna Matka.

– Już raz, moja córko – powiedziała ignorując nie milknące przekleństwa Ahmeda – twój ojciec i ja, jakmutam, mówiliśmy ci, że porzucenie nieudanego męża nie hańbi. I teraz powtórzę: trafił ci się, jakmutam, mężczyzna niebywale podły. Odejdź od niego; odejdź i to dziś, zabierz dzieci, jakmutam, z dala od tych obelg, którymi pluje jak jakiś zwierz,

jakmutam, z rysztoła. Zabieraj dzieci, powiadam, jakmutam, oboje – zakończyła, przyciskając mnie do łona. Skoro Czcigodna Matka uznała mnie za swojego, nikt jej się nie śmiał sprzeciwić; dzisiaj, po latach, podejrzewam, że nawet mojego sypiącego wyzwickami ojca wzruszyło jej poparcie dla jedenastoletniego zasmarkańca.

Czcigodna Matka załatwiła wszystko; moja matka była miękka jak plastelina – jak glina garncarska! – w jej wszechwładnych rękach. Podówczas moja babka (nie przestanę jej tak nazywać) nadal wierzyła, że ona i Aadam Aziz wyemigrują niebawem do Pakistanu; toteż nakazała ciotce Emeraldzie, żeby zabrała nas wszystkich ze sobą – Aminę, Małpkę, mnie, a nawet ciotkę Piję – i tam czekała na jej przyjazd.

– W ciężkich chwilach, jakmutam – orzekła Czcigodna Matka – siostry muszą się opiekować siostrami.

Ciotka Emeraldy miała wielce kwaśną minę; ale zarówno ona, jak i generał Zulfikar wyrazili zgodę. Ponieważ zaś ojciec szalał w przystępie furii, co budziło w nas strach o własną skórę, a Zulfikarowie zarezerwowali już sobie kajutę na statku odpływającym wieczorem, jeszcze tego samego dnia opuściłem dom, zostawiając Ahmeda Sinai samotnie z Alicją Pereirą; bo kiedy matka odeszła od swojego drugiego męża, cała służba też się stamtąd wyniosła.

W Pakistanie zakończył się mój drugi okres wzmożonego rośnięcia. W Pakistanie też odkryłem, że obecność granicy „zakłóca” moje transmisje myślowe dla przeszło-pięćsetki-dzieci; pozbawiony znów domu rodzinnego, zostałem również pozbawiony daru przydanego mi z racji urodzenia: daru dzieci północy.

Pewnego ociekającego duchotą popołudnia staliśmy zakotwiczeni opodal Ran Kaćch. Duchota bzycała mi w lewym, chorym uchu; wolałem jednak zostać na pokładzie i obserwować małe, jakby złowieszcze łodzie wiosłowe i rybackie dhow kursujące między naszym statkiem a Ran, które woziły przedmioty osłonięte brezentem tam i z powrotem, tam i z powrotem. Pod pokładem dorośli grali w loteryjkę; Małpka też mi się gdzieś zapodziała. Po raz pierwszy znajdowałem się na prawdziwym statku (sporadyczne wizyty na amerykańskich okrętach w porcie bombajskim się nie liczyły, bo to tylko turystyka; ponadto żenowało mnie towarzystwo dziesiątków pań w zaawansowanej ciąży, biorących zawsze w takich wycieczkach udział z nadzieją, że dostaną skurczów i urodzą dzieci, które z racji narodzin na morzu nabędą prawa do obywatelstwa amerykańskiego). Gapiłem się przez mgiełkę upału na Ran. Ran Kaćch... zawsze uważałem, że to magiczna nazwa, na poły się bałem, na poły wyglądałem wizyty w tej części kraju, na tym kameleonowym obszarze, który przez pół roku zajmował ląd, a przez drugie pół – morze, i na którym ponoć ustępujące fale oceanu porzucały różne cuda, takie jak skrzynie pełne skarbów, białe upiorne meduzy, a nawet, z rzadką, łapiącego oddech, legendarnego cudaka, trytona. Wpatrując się po raz pierwszy w ten amfibiiczny teren, w te koszarne bagniska, powinienem był czuć dreszcz emocji; wszakże upał i niedawne wypadki zbyt mi przysnęły; górną wargę miałem jak mały dzieciak umazaną gilami, doskwierało mi przy tym poczucie nagłego przeskoku z przydługiego, zasmarkanego dzieciństwa prosto w przedwczesną (aczkolwiek podobnie rozmazaną) starość. Głos mi zmęźniał; kazano mi się zacząć golić, toteż twarz miałem upstrzoną kropkami krwi, tam gdzie brzytwa przejechała po przyszczach... Minął mnie intendent okrętowy i doradził: – Zejdź lepiej na dół, synku. Teraz najgorętsza pora. – Spytałem go o kursujące łodzie. – To tylko dostawa towarów – odparł i odszedł, a ja zostałem, żeby kontemplować przyszłość, po której niewiele można było oczekiwać poza wątpliwą gościnnością generała Zulfikara, przechwałkami zadowolonej z siebie ciotki Emeraldy, która zapewne z rozkoszą będzie się

pysznić swoją światowością i pozycją przed nieszczęśliwą siostrą i owdowiałą bratową, oraz idiotyczną bufonadą ich syna Zafara... – Pakistan – powiedziałem na głos. – Co za beznadziejna dziura! – A przecież nie dojechaliśmy jeszcze na miejsce... Obserwowałem łodzie; zupełnie jakby płynęły przez otumaniającą mgłę. Pokład też jakby gwałtownie się kołysał, chociaż prawie nie było wiatru; i chociaż usiłowałem się złapać poręczy, deski okazały się szybsze: podskoczyły i rąbnęły mnie w nos.

Tak przybyłem do Pakistanu: z lekkim udarem słonecznym, nie mówiąc już o pustych rękach i świadomości swojego urodzenia; a jak się nazywał nasz statek? Jakie dwa bliźniacze statki wciąż jeszcze kursowały między Bombajem a Karaczi, zanim polityka położyła kres tym rejsom? Nasz statek nazywał się S/S „Sabarmati”; a jego bliźniak, który nas minął tuż przed przybiciem do portu w Karaczi – „Saraswati”. Wparowaliśmy na wygnanie na pokładzie statku noszącego imię komandora; kolejny dowód, że nie ma ucieczki przed nawrotami.

Rozgrzanym, zakurzonym pociągami dotarliśmy do Rawalpindi. (Generał i Emeraldą jechali klimatyzowanym wagonem; nam kupili zwykłe bilety pierwszej klasy.) Kiedy jednak przybyliśmy do Pindi, owionął mnie chłód; po raz pierwszy znalazłem się w mieście na północy... Pamiętam je jako niskie, bezosobowe miasto; koszary wojskowe, sklepiki z owocami, przemysł artykułów sportowych; na ulicach postawni wojskowi; łaziki; snycerze rzeźbiący meble; polo. Miasto, w którym można było naprawdę porządnie zmarznąć. A w nowej, luksusowej dzielnicy obszerny dom, otoczony wysokim murem, zwieńczonym drutem kolczastym, patrolowany przez strażników: dom generała Zulfikara. Tuż przy podwójnym łóżu, w którym spał Zulfikar, mieściła się wanna; stałe domowe powiedzonko brzmiało: – No to do dzieła!; służba chodziła w zielonych wojskowych swetrach i w beretach; wieczorami z ich kwater dolatywały zapachy bhangu i ćarasu. Umeblowanie było kosztowne i zaskakująco piękne; trudno pomówić Emeraldę o brak gustu. Dom był bez życia, wiało w nim nudą, mimo jego wojskowego charakteru; nawet złote rybki w akwarium wpuszczonym w ścianę salonu bulgotały jakby apatycznie; najciekawszym bodaj domownikiem nie był zresztą człowiek. Pozwól, że przerwę na chwilę, aby opisać psa generała wabiącego się Bonzo. Przepraszam: starą sukę rasy beagle.

Przez całe życie to obdarzone wolem stworzenie o pergaminowej wiekowości było nadzwyczaj leniwe i bezużyteczne; kiedy jednak dochodziłem do zdrowia po udarze słonecznym, ta suka po raz pierwszy od naszego przyjazdu zrobiła furorę – dała nam jakby przedsmak „rewolucji pieprzniczek”. Pewnego dnia generał Zulfikar zabrał ją na poligon, gdzie miał dokonać inspekcji oddziału saperów przy pracy na specjalnie przyszykowanym polu minowym. (Generał miał ochotę zaminować całą granicę Indo-Pak. – Do dzieła! – nawoływał. – Popędźmy kota tym Hindusom! Rozerwijmy najeźdźców na strzępy, żeby się za cholere nie nadawali do reinkarnacji. – Najwyraźniej jednak nie troszczył się o granice Pakistanu Wschodniego, wychodząc z założenia, że „te przekłete czarnuchy dadzą sobie radę”.)...I oto Bonzo zerwała się ze smyczy, zdołała umknąć spod wyciągających się gorączkowo rąk młodych dżawanów i wtoczyła się na pole minowe.

Blady strach. Saperzy torują sobie nerwowo, acz powoli drogę przez wybuchowy teren. Generał Zulfikar i inni wyżsi oficerowie dają nura za trybunę w oczekiwaniu eksplozji... Ale ta nie nastąpiła; kiedy zaś kwiat armii pakistańskiej wyjrzał zza kublów na śmieci bądź ławek, stwierdził, że Bonzo całkiem beztrąsko, z nosem przy ziemi, toruje sobie zręcznie drogę przez pole zasiane śmiercionośnym ziarnem. Generał Zulfikar podrzucił czapkę w powietrze.

– Niech ją kule! – zawołał cienkim głosem ściśniętym między nosem a podbródkiem. – Ta

starszka wywachuje miny!

Wciągnięto zatem Bonzo do szeregów sił zbrojnych jako czworonożnego sapera w randze honorowej starszego sierżanta. Wspominam ten wyczyn Bonzo, bo dał on generałowi kij na nas. My, rodzina Sinai – oraz Pija Aziz – byliśmy bezwartościowymi, nieproduktywnymi członkami domostwa Zulfikarów, i generał ani myślał nam sfolgować: – Wciórności, nawet ta cholerna stuletnia suka potrafi zarobić na życie – burczał pod nosem – a w moim domu roi się od ludzi, którzy za cholerę nie chcą się wziąć do dzieła. – Pod koniec jednak października generał docenił moją (przynajmniej moją) obecność... przeobrażenie Małpki też zresztą miało nastąpić niebawem.

Chodziliśmy do szkoły z kuzynem Zafarem, który mniej się już rwał do ożenku z moją siostrą; gdyż byliśmy teraz dziećmi z rozbitego domu; ale z najgorszej strony pokazał się dopiero pewnego weekendu, kiedy zabrano nas do górskiej willi generała w Nathija Gali opodal Mari. Wielce mnie to ekscytowało (właśnie uznano, że moja choroba ustąpiła): góry! Może i pantery! Zimne, szczypiące powietrze! – toteż nic mnie nie tknęło, kiedy generał zapytał, czy mógłbym spać z Zafarem, ani niczego się nie domyśliłem, gdy na materacu rozłożono ceratę... Obudziłem się nad ranem w obfitej kałuży cuchnącej letniej cieczy i rozdarłem się, jakby mnie zarzynano. Generał przybiegł do naszego łóżka i zaczął łoić syna, ile wlażło.

– Toż z ciebie duży chłop! Niech to diabli! Ciągłe ci się to zdarza! Weź ty się do dzieła! Co za nicpoń! Kto tak, do cholery, postępuje? Tylko tchórz! Niech mnie cholera, jeżeli chcę mieć tchórze za syna...

Wszakże moczenie nocne kuzyna Zafara nadal przynosiło wstyd całej rodzinie; mimo batów płyn ściekał mu po nodze; a raz zdarzyło się to nawet za dnia. Nastąpiło to jednak po pewnych ruchach pieprzniczek, do których przyłożyłem palec, w wyniku czego przekonałem się, że chociaż fale radiowe telepatii ulegają w tym kraju zagłuszeniu, tryby powiązań obowiązują nadal; w sposób czynno-dosłowny, a także metaforyczny przyczyniłem się do zmiany losu Kraju Czystych.

W owym czasie Mosiężna Małpka i ja przyglądaliśmy się bezradnie przygasaniu matki. Amina, która zawsze była tak sumienna na upale, w północnym zimnie zaczęła więdnąć. Pozbawiona dwóch mężów została również pozbawiona (we własnych oczach) sensu; należało ponadto odbudować więź między matką a synem. Pewnego wieczoru przytuliła mnie mocno i powiedziała:

– Miłość, moje dziecko, to coś, czego się każda matka uczy; wcale się nie rodzi wraz z niemowlęciem, tylko powoli się tworzy; przez te jedenaście lat nauczyłam się kochać w tobie własnego syna.

Lecz za tą serdecznością krył się pewien dystans, jak gdyby sama usiłowała się przekonać... taki sam dystans jak w szeptach Małpki o północy: – Ej, bracie, może byśmy tak oblali Zafara wodą? Pomyślą sobie, że znów się zsikał w łóżko – a podchwytyjąc tę rezerwę czułem, że chociaż zwracają się do mnie „synu” i „bracie”, obie natężają wyobraźnię, żeby przyswoić sobie wyznanie Marii; nie wiedząc wówczas, iż nie uda im się zmienić we własnych odczuciach wizerunku „brata” i „syna”, wciąż drżałem ze strachu przed Siwą; toteż jeszcze bardziej zapadałem się w iluzoryczne najgorętsze pragnienie, by okazać się wart tego pokrewieństwa. Mimo akceptacji Czciogodnej Matki nigdy się nie pozbyłem uczucia niepewności aż do dnia, w którym na oddalonej-o-przeszło-trzy-lata werandzie ojciec powiedział: – Chodź, synu; chodź no tu, niech cię ukocham. – Może dlatego wieczorem 7 października 1958 roku postąpiłem tak, jak postąpiłem.

...Jedenastolatek, Padmo, niezbyt się rozumiał na zawiłych sprawach Pakistanu; ale owego październikowego dnia widział, że szykuje się niecodzienna proszona kolacja. Salim w wieku jedenastu lat nie miał pojęcia o konstytucji z roku 1956 i o jej powolnej dewaluacji; ale miał na tyle bystry wzrok, że wypatrzył funkcjonariuszy wojskowej służby wewnętrznej, owych policjantów sił zbrojnych, którzy przybyli tego popołudnia i przyczaili się za wszystkimi krzakami w ogrodzie. Walki różnych frakcji i jaskrawa nieudolność pana Ghulama Mohammeda były dlań tajemnicą; nie ulegało jednak wątpliwości, że ciotka Emeraldy wkłada najlepszą biżuterię. Nie naśmiewał się wprawdzie z farsy czterech-premierów-w-ciągudwóch-lat, ale zwąchał w iście dramatycznej atmosferze wiszącej nad domem generała, że niebawem spadnie coś jakby kurtyna kończąca sztukę. Nieświadom wyłonienia się Partii Republikańskiej ciekaw był wszakże listy gości na przyjęcie u Zulfikara; chociaż mieszkał teraz w kraju, w którym nazwiska nic nie znaczyły – kim był Ćaudhuri Muhammad Ali? Albo Suhrawardi? Albo Ćandrigar, albo Nun, czyli dosłownie Południe? – anonimowość gości pilnie strzeżona przez wujostwo wielce go frapowała. Mimo że niegdyś wycinał z gazet pakistańskie nagłówki – ZASTĘPCA KOMISARZA WSCH.PAK. OBRZUCONY MEBLAMI GINIE OD RAN – nie miał pojęcia, dlaczego o szóstej wieczór długi rząd czarnych limuzyn zajechał do obwarowanej murami i strażnikami posiadłości Zulfikara; dlaczego na maskach powiewały flagi; dlaczego pasażerowie wcale się nie uśmiechali; ani dlaczego Emeraldy, Pija i moja matka stały za generałem Zulfikarem z takimi minami, jakie bardziej by pasowały na pogrzebie niż na spotkaniu towarzyskim. Kto albo co umiera? Kto i dlaczego przyjechał limuzynami? – Nie miałem pojęcia; ale stałem na palcach za matką wpatrzony w przydymione okna tajemniczych samochodów.

Otworzyły się drzwi; z pojazdów wypadli koniuszy, adiutanci, otwierali tylne drzwiczki, wyprężeni salutowali; na policzku ciotki Emeraldy drgał mały mięsień. I wtedy, któż to wysiadł z turkoczających flagami maszyn? Czyje nazwiska przypasować do tej wspaniałej feerii wąsów, laseczek, świdrujących oczu, medali i epoletów, jakie się ukazały? Salim nie znał ani nazwisk, ani numerów identyfikacyjnych; na stopniach się jednak wyznawał. Gwiazdki i orderzy dumnie obnoszone na piersiach i ramionach obwieszczały przybycie najwyższych dygnitarzy wojskowych. A z ostatniego samochodu wysiadł postawny mężczyzna ze zdumiewająco okrągłą głową, okrągłą niczym blaszany globus, tyle że bez zaznaczonych długości i szerokości geograficznych; mimo planetarnej głowy nie miał etykiety jak tamta kula, zmiażdżona niegdyś przez Małpkę; nie będąc MADE AS ENGLAND (choć z pewnością wyszkolony w akademii wojskowej pod Sandhurst) sunął przez szpaler salutujących gwiazdek-i-orderów; aż podszedł do ciotki Emeraldy; i tak jak inni zasalutował.

– Panie naczelny dowódco – odezwała się ciotka – witamy w naszym domu.

– Emeraldy, Emeraldy – przemówiły usta osadzone w głowie na-kształt-kuli-ziemskiej, usta położone tuż pod schludnymi wąsami. – Dlaczego tak oficjalnie, po co ten cały takalluf?

Na co ona uścisnęła go ze słowami:

– No dobrze, Ajubie, świetnie wyglądasz.

Czyli był to generał, chociaż już niedługo czekała go marszałkowska buława... weszliśmy za nim do domu; patrzyliśmy, jak pije (wodę) i śmieje się (tubalnie); przy kolacji znów patrzyliśmy, jak je niczym wieśniak, aż mu się wąsy zatłuściły sosem...

– Słuchaj no, Em – powiedział. – Zawsze tyle tych przygotowań na moje przyjście! Wszak jestem tylko prostym żołnierzem; ucztą byłby dla mnie dal i ryż z twojej kuchni.

– Żołnierzem, owszem – odparła ciotka – ale nie prostym. Skądże znowu!

Długie spodnie dały mi prawo zasiąść do stołu, obok kuzyna Zafara, w otoczeniu gwiazdek-i-orderów; szczeniące lata nałożyły jednak na nas obu nakaz milczenia. (Generał Zulfikar przestrzegł mnie wojskowym sykiem: – Jeżeli piśniesz choćby słówko, wylądujesz w areszcie. Jak chcesz tu siedzieć, to siedź cicho. Zrozumiano? – Siedząc cicho, Zafar i ja mogliśmy do woli patrzeć i słuchać. Ale Zafar, w odróżnieniu ode mnie, nie starał się okazać godny swojego imienia...)

Co jedenastoletni chłopcy usłyszeli przy kolacji? Co zrozumieli z krotochwilnych uwag wojskowych pod adresem „tego Suhawardiego, co to się zawsze sprzeciwiał idei Pakistanu” – albo Południa, „raczej powinien się nazywać Zachód Słońca, może nie?” A podczas dyskusji o fałszowaniu wyborów i nielegalnych dochodach jaki przenikał ich podskórny dreszcz grozy, że aż meszek na rękach stawał im dęba? A kiedy komandor zacytował Koran, ile z tego rozumiały jedenastoletnie uszy?

– Napisano – powiedział mężczyzna z kulistą głową, a gwiazdki-i-ordery zamilkły – „I podobnie [zniszczyliśmy] ludy Ad i Samud. Szatan upiększył im ich działania i sprowadził ich z drogi, chociaż widzieli jasno”.

Zupełnie jakby padła komenda; ciotka jednym ruchem ręki odprawiła służących. Sama też wstała; moja matka i Pija wyszły razem z nią. Zafar i ja także podnieśliśmy się z miejsc; wtedy on sam we własnej osobie zawołał z drugiego końca wystawnego stołu: – Mali mężczyźni niech zostaną. To przecież ich przyszłość. – Mali mężczyźni, przerażeni, a zarazem dumni, zostali i siedzieli cicho, wedle rozkazu.

Czyli sami mężczyźni. Zmiana na twarzy kulogłowego; zasnuł ją jakiś mrok, jakiś cień, jakaś rozpacz...

– Dwanaście miesięcy temu – zagał – przemawiałem do was wszystkich. Czyż nie powiedziałem wtedy: dajmy politykom rok czasu? – Kiwanie głowami; pomruki przytakiwania. – Panowie, daliśmy im rok; sytuacja staje się nie do zniesienia, toteż nie mam jej zamiaru dłużej znosić! – Gwiazdki-i-ordery przybierają surowe miny godne mężów stanu. Szczęki zacisnięte, oczy wpatrzone usilnie w przyszłość. – Zatem z dniem dzisiejszym – tak! Ja tam byłem! O kilka kroków od niego! Generał Ajub i ja, ja i stary Ajub Chan! – przejmuję władzę nad państwem.

Jak jedenastolatki reagują na ogłoszenie przewrotu? Czy wobec słów – ...finanse państwowe w strasliwym nieładzie... wszędzie korupcja i nieczystość... – też sztywnieją im szczęki? Czy ich oczy skupiają się na lepszym jutrze? Jedenastolatki słuchają, a generał woła: – Niniejszym obalam konstytucję! Odwołuję legislatury centralną i prowincjonalne! Rozwiązuję partie polityczne! – i jak się, twoim zdaniem, czują?

Kiedy generał Ajub Chan rzekł: – Ogłaszam stan wojenny – zarówno kuzyn Zafar, jak i ja pojęliśmy, że jego głos – ten głos pełen siły, stanowczości i wysmakowania rodem z najlepszych przepisów kulinarnych mojej ciotki – wypowiada coś, na co znaleźliśmy tylko jedno słowo: zdrada. Z dumą przyznaję, że nie straciłem głowy; Zafar natomiast stracił panowanie nad bardziej żenującym organem. Wilgoć wypełzła na przód jego spodni; żółta ciecz strachu spłynęła mu po nodze i zaplamiła perskie dywany; gwiazdki-i-ordery coś poczuły, bo zwróciły się ku niemu z minami najwyższego niesmaku; i wtedy (o zgrozo) gruchnęła śmiech.

Generał Zulfikar zaczął właśnie mówić: – Za pozwoleniem, rozplanuję teraz działania na dziś wieczór – kiedy jego rodzony syn złał się w portki. Owładnięty zimną furią wuj wyrzucił syna z pokoju: – Rajfur! Baba! – ścigał wychodzącego z jadalni Zafara cienki, ostry ojcowski głos; – Tchórz! Pedał! Hindus! – padały epitety z twarzy Pulcinelli i goniły syna po schodach... Oczy Zulfikara spoczęły na mnie. Wyzierało z nich błaganie. Ocal honor rodziny.

Zrekompensuj mi słabość mojego syna.

– No, chłopcze! – zagadnął mnie wuj. – Pomożesz mi tu?

Ależ tak, przytaknąłem. Dowodząc swojej męskości, swojej przydatności na syna, asystowałem wujowi przy tworzeniu rewolucji. A zaskarbiwszy sobie jego wdzięczność, bo ustały drwiny gwiazdek-i-orderów, dorobiłem się nowego ojca; generał Zulfikar stanął na końcu długiego szeregu mężczyzn, którzy zwracali się do mnie „synku”, „synuś” czy po prostu „mój synu”.

Jak tworzyliśmy rewolucję: generał Zulfikar określał ruchy wojsk; ja zaś symbolicznie przedstawiałem pieprzniczki. W szponach czynno-metaforycznego trybu powiązań przesuwałem solniczki i sosjerki z ćatni: ten pojemnik z musztardą to kompania A, obsadza Poczta Główną; tu dwie pieprzniczki po obu stronach łyżki wazowej, czyli kompania B zajęła lotnisko. Trzymając w rękach los narodu, przedstawiałem przyprawy i sztuczce, zdobywałem puste salaterki po birjani za pomocą szklanek, ustawiając wokół dzbanków z wodą strażę w postaci solniczek. A kiedy generał Zulfikar przestał mówić, marsz zastawy stołowej również się zakończył. Ajub Chan rozparł się jakby wygodniej w krześle; czyżby puścił do mnie oko, czy to tylko moja wyobraźnia? – w każdym razie naczelny dowódca powiedział: – Świetnie, Zulfikar; pierwszorzędna robota.

W ruchach pieprzniczek i tym podobnych tylko jedno naczynie pozostało nie podbite: dzbanuszek do śmietanki ze szczerego srebra, który w naszym stołowym przewrocie reprezentował głowę państwa, prezydenta Iskandara Mirzę; przez trzy tygodnie Mirza pozostał prezydentem.

Jedenastolatek nie potrafi osądzić, czy prezydent zaiste jest skorumpowany, nawet jeśli gwiazdki-i-ordery tak twierdzą; nie do jedenastolatek należy ocena, czy powiązania Mirzy ze słabą Partią Republikańską winny go pozbawić wysokiego urzędu pod panowaniem nowego reżimu. Salim Sinai nie wydawał sądów politycznych; ale kiedy 1 listopada, nieodzwonnie o północy, wuj obudził mnie i szepnął: – Chodź, synku, pora, żebyś zakosztował prawdziwych emocji! – wyskoczyłem raz dwa z łóżka; ubrałem się i wyszedłem w noc, odnotowując z dumą, że wuj woli moje towarzystwo od towarzystwa rodzonego syna.

Północ. Rawalpindi mija nas z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę. Motocykle przed nami obok nas za nami.

– Dokąd jedziemy, wujku Zulfy?

Poczekaj, a się przekonasz. Czarna limuzyna z przydymionymi oknami staje przed zaciemnionym budynkiem. Strażnicy ze skrzyżowanymi karabinami pilnują drzwi; które się rozsuwają, żeby nas przepuścić. Maszeruję przy boku wuja, krok w krok, na pół oświetlonymi korytarzami; wreszcie wpadamy do ciemnego pokoju, w którym promień księżycy oświetla łożę z czterema kolumnami. Nad łóżkiem wisi moskitiera niczym całun.

Budzi się zdumiony mężczyzna, co tu się u diabła... Ale generał Zulfikar trzyma rewolwer z długą lufą; koniuszek broni wciska mmff między rozchylone zęby mężczyzny.

– Milczeć – powiada, niepotrzebnie w tej sytuacji, wuj. – Z nami!

Nagi, otyły mężczyzna gramoli się z łóżka. Oczy zdają się pytać: Zastrzelicie mnie? Pot spływa z pulchnego brzucha, błyska w poświacie księżycy, ciurka mu na ptaszka; a przecież wokół przenikliwy ziąb; mężczyzna wcale nie poci się z gorąca. Wygląda jak biały Śmiejący się Budda; tyle że się nie śmieje. Dygocze. Wuj wyjmuje mu z ust pistolet.

– W tył zwrot! Naprzód marsz!

...I wpycha lufę między pośladki przerośniętego tłuszczem zadka. Mężczyzna woła:

– Na miły Bóg, ostrożnie, jest odbezpieczony!

Dżawanowie chichoczą, kiedy w świetle księżyca ukazuje się nagie ciało i zostaje wepchnięte do czarnej limuzyny... Owej nocy siedziałem obok nagiego mężczyzny, którego wuj wiozł na lotnisko wojskowe; stałem i patrzyłem, jak oczekujący już samolot kołuje, nabiera prędkości, odlatuje. Dobięło wtedy końca to, co się zaczęło czynno-metaforycznie od pieprzniczek; nie tylko obaliłem rząd, lecz również wyprawilem prezydenta na wygnanie.

Północ ma wiele dzieci; potomstwo niepodległości nie było wyłącznie ludzkiej proweniencji. Przemoc, korupcja, nędza, generałowie, chaos, zachłanność i pieprzniczki... dopiero na wygnaniu pojąłem, że dzieci północy są bardziej zróżnicowane, niżby się mnie samemu – nawet mnie – śniło.

– Najprawdziwsza prawda? – dopytuje Padma. – Naprawdę tam byłeś?

– Najprawdziwsza prawda.

– Podobno Ajub był dobrym człowiekiem, zanim stał się zły – mówi Padma; to ma być pytanie. Ale Salim w wieku jedenastu lat nie wydawał takich sądów. Przesuwanie pieprzniczek nie musi pociągać za sobą wyborów moralnych. Oto co zaprzętało głowę Salima: nie tyle zamach stanu, ile własna rehabilitacja. Tu widać cały paradoks – moja najbardziej dotąd przełomowa ingerencja w historię wpływała z najbardziej przyziemnych pobudek. Zresztą nie był to wcale „mój” kraj – w każdym razie nie wtedy. Wcale nie mój, chociaż w nim mieszkalem – jako wygnanec, nie jako obywatel; przekroczyłem granicę na indyjskim paszporcie matki, naraziłbym się więc na wiele podejrzeń, może nawet na deportację albo aresztowanie za szpiegostwo, gdyby nie mój szczeniący wiek i pozycja mojego opiekuna z twarzą Pulcinelli – przez cztery długie lata.

Cztery lata pustki. Nie licząc wyrośnięcia na nastolatka. Nie licząc patrzenia na rozpad matki. Nie licząc przyglądania się, jak Małpka, o ten jeden rozstrzygający rok młodsza ode mnie, poddaje się zdradzieckiemu urokowi tego podszytego Bogiem kraju; Małpka, niegdyś tak buntownicza i nieujarzmiona, przybrała pozę skromności i potulności, która z początku nawet jej musiała się wydawać fałszywa; Małpka uczyła się gotować, prowadzić dom i kupować przyprawy na targu; Małpka brała ostateczny rozbrat z dziedzictwem dziadka, ucząc się modlitw po arabsku i odmawiając je o przepisowych porach; Małpka zaczęła przejawiać purytański fanatyzm, który uwidocznił się już wcześniej w jej prośbie o strój zakonnicy; Małpkę, która odtrąciła wszelkie oferty miłości doczesnej, urzekła teraz miłość Boga, nazwanego imieniem idola wyrzeźbionego w pogańskiej świątyni zbudowanej wokół gigantycznego meteorytu: Al-La w Kaabie, świątyni wielkiego Czarnego Kamienia.

Poza tym pustka.

Cztery lata z dala od dzieci północy; cztery lata bez Warden Road, Breach Candy, Scandal Point, pokus Całego Jardu Czekoladek; z dala od Szkoły Katedralnej, posągu Śiwadźiego na koniu i sprzedawców melonów u Wrót Indii; z dala od Diwali, Ganeśa Caturthi i Święta Kokosu; cztery lata rozłąki z ojcem, który siedział samotnie w domu, a nie chciał go sprzedać; samotnie, nie licząc profesora Schaapstekera, który nie wychodził z własnego mieszkania i stronił od ludzi.

Czy naprawdę przez cztery lata może się nic nie zdarzyć? No, niezupełnie. Mojemu kuzynowi Zafarowi, któremu ojciec nigdy nie wybaczył tamtego zlania się w portki w obecności historii, dano do zrozumienia, że z chwilą osiągnięcia pełnoletności natychmiast wstąpi do wojska.

– Musisz mi dowieść, że nie jesteś babą – powiedział mu jego ojciec.

I zdechła Bonzo; generał Zulfikar uronił męską łzę.

I zbladło wyznanie Marii, a ponieważ nikt go nie wspominał, przeminęło właściwie jak zły

sen; dla wszystkich oprócz mnie.

I (bez mojego udziału) pogorszyły się stosunki między Indiami a Pakistanem; całkiem bez mojej pomocy Indie podbiły Goa – „portugalski wrzód na twarzy Matki Indii”; siedziałem na liniach bocznych i wcale nie przyczyniłem się do uzyskania pomocy na wielką skalę od Stanów Zjednoczonych dla Pakistanu, nie sposób mnie również winić za chińsko-indyjskie zamieszki przygraniczne w Aksai Czin w okręgu Ladakh; indyjski spis ludności z roku 1961 szacował poziom piśmienności w kraju na 23,7 procent, lecz mnie w nim nie ujęto. Wciąż nie tracił ostrości problem niedotykalnych; nie pomogłem go wszak złagodzić; w wyborach zaś w roku 1962 Kongres Wszechindyjski uzyskał 361 z 494 mandatów w Lok Sabha, a także przeszło 61 procent mandatów w Zgromadzeniu Narodowym. Nie można powiedzieć, że choćby i do tego przyłożyłem niewidzialną rękę; chyba że metaforycznie: Indie zachowały swój status quo; w moim życiu też nic się nie zmieniło.

Właśnie wtedy, 1 września 1962 roku, obchodziliśmy czternaste urodziny Małpki. W owym czasie (mimo nie ustającej sympatii wuja do mnie) utrwaliła się już nasza pozycja jako społecznie niższych, nieszczęsnych ubogich krewnych wielkich Zulfikarów; toteż przyjęcie było nędzne. Jednakże Małpka udawała, że się świetnie bawi.

– To mój obowiązek, bracie – oznajmiła mi.

Nie mogłem wprost uwierzyć własnym uszom... ale może moja siostra przeczuwała, co ją czeka; może zwietrzyła przeobrażenia, które jej się szykowały; bo czemu niby miałbym zakładać, że ja jeden posiadałem dar tajemnej wiedzy?

Może się więc domyśliła, że kiedy wynajęci muzycy zaczną grać (a były tam śehnai i wina; sarangi i sarod też miały swoje wstawki; tabla i sitar rozbrzmiewały w ogniu krzyżowych popisów wirtuozerii), Emeraldą Zulfikar w swej gruboskórej elegancji zwróci się do niej z żądaniem:

– No, Dżamilo, nie siedź tu jak ten melon, tylko zaśpiewaj nam coś, jak przystało dobrze ułożonej panience!

I że tym zdaniem moja oziębła-lodowatością-szmaragdu ciotka da zgoła bezwiednie początek przeobrażeniu mojej siostry z małpki w śpiewaczkę; bo chociaż ta się wymawiała z chmurną nieudolnością czternastolatki, została bezceremonialnie zaciągnięta na dais muzyków przez moją ciotkę, zawsze skorą do dzieła; i chociaż miała minę jakby wołała, żeby podłoga się pod nią rozstała, złożyła razem ręce; nie widząc odwrotu Małpka zaczęła śpiewać.

Nie jestem chyba najlepszy w opisywaniu stanów emocjonalnych – wierzę, że moja publiczność sama się wczuje; że wyobrazi sobie to, czego ja nie umiem zobrazować, aż przyswoicie sobie moją opowieść... ale kiedy moja siostra zaczęła śpiewać, ogarnęło mnie uczucie tak silne, że nie potrafiłem go zrozumieć, aż dopiero znacznie później uprzytomniła mi je najstarsza kurwa świata. Bo już z pierwszym tonem Mosiężna Małpka zrzuciła swoje przezwisko; ta, która niegdyś rozmawiała z ptakami (tak jak dawno temu rozmawiał z nimi jej pradziad w górskiej dolinie), zapewne od nich się nauczyła sztuki śpiewu. Jednym zdrowym i jednym chorym uchem słuchałem nieskazitelnego głosu, który mimo jej czternastu lat brzmiał jak głos dojrzałej kobiety, przepełniony czystością skrzydeł, bólem wygnania, orlim lotem, brakiem miłości, trelem słowicznym i chwalebłą wszechobecnością Boga; głos, który później porównywano z Bilalem, muezzinem Mahometa, a dobywał się z ust wątlej bądź co bądź dziewczyny.

To, czego wtedy nie rozumiałem, musi doczekać swojej pory; odnotuję teraz więc tylko tyle, że podczas obchodów czternastych urodzin moja siostra zasłużyła sobie na nowe miano,

którym ją od tamtej pory nazywano – Dżamila Śpiewaczka; i że słuchając „Mojej czerwonej dupatty z muślinu” i „Szahbaz Kalandar” pojąłem, iż proces, który się rozpoczął na moim pierwszym wygnaniu, dobiegł końca na drugim; że od tej chwili Dżamila miała zostać wybranym dzieckiem, ja zaś wobec jej talentu musiałem się na zawsze zadowolić drugim miejscem.

Dżamila śpiewała – ja pokornie schyliłem głowę. Zanim jednak miała wkroczyć na dobre do swojego królestwa, coś jeszcze musiało nastąpić; należało się raz na zawsze ze mną rozprawić.

Drenaż i pustynia

To-co-zżera-kości nie zamierza ustąpić... już tylko kwestia czasu. Jedno dodaje mi sił: trzymam się Padmy. Właśnie Padma odgrywa zasadniczą rolę – mięśnie Padmy, jej owłosione ręce, Padma, mój własny czysty lotos... który z zażenowaniem rzuca:

– Dość tego. Zaczynaj. I to zaraz.

Tak, muszę zacząć od depechy. Telepatia mnie wyobcowała; telekomunikacja strąciła mnie na dno...

Amina Sinai wycinała sobie odciski na nogach, kiedy nadszedł telegram... a było to dawno, dawno temu. Nie, to nie wystarczy, przed tą datą nie ma ucieczki: 9 września 1962 roku moja matka, założywszy prawą stopę na lewe kolano, spiłowywała sobie ostrym pilnikiem do paznokci zrogowacenia na podeszwie niczym kogucie ostrogi. A pora? Pora też jest istotna. Zatem: po południu. Nie, należy podać z większą... No więc punkt trzecia, która to godzina jest nawet na północy najgorętszą porą dnia, służący przyniósł Aminie na srebrnej tacy kopertę. Kilka sekund później w odległym New Delhi minister obrony Krysna Menon (z własnej inicjatywy, pod nieobecność Nehru na Konferencji Premierów Krajów Wspólnoty Brytyjskiej) podjął ważką decyzję, aby w razie konieczności użyć sił zbrojnych przeciwko armii chińskiej na granicy biegnącej przez Himalaje.

– Trzeba usunąć Chińczyków z pasma górskiego Thag La – mówił pan Menon, kiedy matka otwierała telegram. – Nie ugniemy się przed niczym.

Wszakże ta decyzja była zaledwie błahostką w porównaniu ze skutkami depechy do mojej matki; bo podczas gdy operacja usunięcia, zaszyfrowana pod hasłem LEGHORN, była skazana na porażkę, a w końcu zamieniła Indie w nadzwyczaj makabryczne theatrum, czyli w Teatr Wojny, depecha miała spowodować potajemnie, acz stanowczo kryzys, który w rezultacie doprowadził do ostatecznego wydalenia mnie z mojego świata wewnętrznego. Kiedy Trzydziesty Trzeci Korpus Wojsk Indyjskich działał wedle rozkazów wydanych przez Menona, a przekazanych przez generała Thapara, ja też stanąłem w obliczu wielkiego zagrożenia; jak gdyby niewidzialne siły uradziły, że ja również przekroczyłem granice tego, co wolno mi robić, wiedzieć albo kim być; jakby historia uznała za stosowne przywołać mnie do porządku. Nie miałem tu nic do gadania; matka przeczytała telegram, zalała się łzami i oznajmiła: – Dzieci, wracamy do domu! – ...po czym, jak już wspominałem w innym kontekście, reszta to była tylko kwestia czasu.

Telegram brzmiał następująco: **PROSZĘ SZYBKO PRZYJEŹDZIĆ SINAI SAHIB PRZESZEDŁ WYBRYK SERCA CIĘŻKO CHORY SALAM ALICJA PEREIRA.**

– Oczywiście, kochana, jedźcie zaraz – poradziła siostrze ciotka Emerald. – Tylko co to jest, na miły Bóg, ten wybryk serca?

Możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, że jestem pierwszym historykiem, który spisuje historię mojego niezaprzeczalnie wyjątkowego życia-i-czasów. Ci, którzy pójdą w moje ślady, zapewne sięgną do niniejszej pracy, do tego materiału źródłowego, hadisu, purany czy też *Grundrisse*, po pomoc i natchnienie. Zwracam się więc do przyszłych egzegetów: kiedy będą panowie badać wydarzenia, jakie nastąpiły w wyniku tej „wybryksercowej depechy”, proszę pamiętać, że w samym sercu huraganu, jaki się nade mną rozpętał – miecza, by zmienić metaforę, którym zadano ów coup de grace – kryła się jedna wspólna siła. Mam tu na

myśli telekomunikację.

Telegramy, a po telegramach telefony przyniosły mi zgubę; wspomniałoby się jednak nie będą nikogo oskarżał o spisek; chociaż nietrudno byłoby uwierzyć, że władcy łączności zmówili się, aby odzyskać monopol na krajowych falach radiowych... muszę wrócić (Padma już się chmurzy) do banalnego łańcucha przyczynowo-skutkowego: 16 września nasz samolot Dakota wylądował na lotnisku Santa Cruz; żeby jednak wyjaśnić ów telegram, muszę się jeszcze bardziej cofnąć w czasie.

Nawet jeżeli Alicja Pereira ongiś zgrzeszyła, odbijając Józefa D'Costę swojej siostrze, Marii, odprawiła później, w tym właśnie okresie, nie lada pokutę; bo przez cztery lata jako jedyna istota ludzka dotrzymywała towarzystwa Ahmedowi Sinai. Osamotniona na zakurzonym pagórze, który dawniej stanowił Posiadłość Methwolda, pogodna i pojednawcza z natury, mimo to musiała wykazać wiele cierpliwości. Ahmed kazał jej siedzieć przy sobie do północy, a sam popijał dżinny i pomstował na niesprawiedliwości swojego życia; przypomniał sobie po latach swoją niegdysiejszą mrzonkę, żeby przełożyć Koran i uporządkować kolejność jego rozdziałów, winił więc rodzinę za to, iż wysłała z niego wszystkie soki żywotne, tak że nie miał już siły na podjęcie tego zadania; na domiar złego, ponieważ Alicja zawsze przy nim była, jego gniew często się skupiał na niej, przybierając formę długich tyrad pełnych rynsztokowych wyzwisk i bezużytecznych klątw, jakie Ahmed wymyślał w owym okresie najgłębszej abstrakcji. Siliła się na wyrozumiałość: był przecież samotnym mężczyzną; jego niezawodna przedtem więź z telefonem rozpadła się pod wpływem ekonomicznych wstrząsów owych czasów; zaczęła go opuszczać żyłka do spraw finansowych... padł też ofiarą osobliwych lęków. Kiedy odkryto chińską drogę w regionie Aksai Czín, Ahmed nabrał przekonania, że lada dzień żółte hordy zawitają w Posiadłości Methwolda; wtedy to właśnie Alicja pokrzepiała go coca-colą z lodu i uspokajała:

– Czego to się tak martwić. Te Chińczyki są za małe, żeby pobić naszych dżawanów. Niech no pan lepiej łyknie sobie coli; nic się tu nie zmieni.

W końcu zamęczył ją do cna; nie odchodziła już tylko dlatego, że żądała wysokich podwyżek pensji i dostawała je, wysyłała zatem pokaźne sumy do Goa na utrzymanie swojej siostry, Marii; ale 1 września i ona uległa pochlebstwom telefonu.

W tym okresie spędzała przynajmniej tyle samo czasu przy aparacie, co jej chlebodawca, zwłaszcza kiedy dzwoniły kobiety Narlikara. Groźne Narlikarki napastowały wtedy mojego ojca, bombardując go dwa razy dziennie telefonami, przymilały się i przekonywały, aby sprzedał dom, przypominały, że broni straconych pozycji, furkotały mu nad głową niczym sępy nad płonącym magazynem... 1 września zatem, niczym pradawny sęp, zesłały mu rękę, która walnęła go w twarz, przekupiły bowiem Alicję Pereirę, żeby go opuściła. Nie mogąc dłużej znieść swojego pana, Alicja zawołała:

– Sam pan sobie odbieraj telefony! Ja wychodzę.

Tej samej nocy serce Ahmeda Sinai jęło pęcznieć. Przepelnione nienawiścią oburzeniem rozczuleniem żalem, spuchło jak balon, zaczęło bić za szybko, potem nierytmicznie, aż wreszcie poraziło go jak siekiera; lekarze w szpitalu Breach Candy stwierdzili, że serce mojego ojca zmieniło kształt – nowe nabrzmienie wypuczyło się grudą u dołu lewej komory. A zatem, wedle słów Alicji, „wybryknęło”.

Alicja znalazła go nazajutrz, kiedy wróciła przypadkiem po zapomnianą przez siebie parasolkę; i jak przystało na dobrą sekretarkę, skorzystała z dobrodziejstw telekomunikacji, wezwawszy telefonicznie karetkę, a telegraficznie nas. Wskutek cenzury pocztowej między Indiami a Pakistanem „wybryksercowa depesza” szła do Aminy Sinai równy tydzień.

– Dom-w-Bom! – wrzeszczałem radośnie, napędzając strachu lotniskowym kulisom. – Dom-w-Bom! – ryczałem ze szczęścia, niepomny na nic, aż zrównoważona-od-niedawna Dżamila musiała mnie uciszyć: – Och, Salim, wiesz co, zamknij się! – Alicja Pereira wyszła po nas na lotnisko (ściągnął ją nasz telegram); i już siedzieliśmy w prawdziwej bombajskiej czarno-żółtej taksówce, mogłem się więc napawać okrzykami straganiarzy ćana-gorąca-ćana, zgiełkiem wielbłądów rowerów i ludzi ludzi ludzi, rozmyślałem, że przy mieście Mumbadewi całe Rawalpindi przypomina wiochę, odkrywałem na nowo przede wszystkim kolory, zapomnianą jaskrawość gulmoharu i bugenwilli, siną zieleń wód „zbiornika” Świątyni Mahalakszmi, wyraziste czarno-białe daszki przeciwsłoneczne policjantów z drogówki i granatowo-żółte zestawienie kolorystyczne ich mundurów; a nade wszystko błękit błękit błękit morza... dopiero szarość na twarzy powalonego chorobą ojca wytrąciła mnie z tęczę burzy miasta i szybko mnie otrzeźwiła.

Alicja Pereira zostawiła nas w szpitalu i udała się do pracy u kobiet Narlikara; a wtedy wydarzyło się coś niezwykłego. Na widok ojca moja matka, Amina Sinai, wyrwała się z letargu, depresji, mgły poczucia winy, bólu nagniotków, bo jakby cudem wstąpiła w nią młodość; odzyskawszy dawny dar sumienności, wiedzona niezłomną wolą zajęła się rehabilitacją Ahmeda. Przywiozła go do domu, ulokowała w sypialni na piętrze, gdzie dawnymi czasy doglądała go w okresie zamrożenia; przesiadywała z nim dzień i noc, przelewając własną siłę w jego ciało. Jej miłość opłacała się sowicie, gdyż Ahmed Sinai nie tylko całkiem wyzdrowiał, ku zdziwieniu europejskich lekarzy z Breach Candy, lecz również zaszła w nim jeszcze bardziej niesamowita zmiana, albowiem kiedy Ahmed dochodził do siebie pod opieką Aminy, powrócił nie tyle do swojego ostatniego wcielenia, które ciskało klątwy i zmagало się z dzinnami, ile do wcielenia, które zawsze mogło być jego udziałem, pełnego skruchy, przebaczenia, śmiechu i szczodroblewości, a ponadto, cud nad cudami, prawdziwego uczucia. Ahmed Sinai nareszcie się zakochał w mojej matce.

Ja zaś stałem się jagnięciem ofiarnym, którym namaścili swoją miłość.

Zaczęli nawet znowu sypiać razem; a chociaż moja siostra w przebłysku dawnej Małpkowatości skomentowała: – W jednym łóżku, o Allah, chi-chi, ale świństwa! – ja się delectowałem ich radością; dostąpiłem nawet przelotnie własnej radości, bo wróciłem do krainy Konferencji Dzieci Północy. Kiedy nagłówki gazet maszerowały ku wojnie, odnowiłem znajomość ze swoimi cudownymi pobratymcami nieświadom, ile jeszcze zakończeń mnie czeka.

9 października – WOJSKA INDYJSKIE W PEŁNEJ GOTOWOŚCI – czułem się na siłach zwołać z powrotem Konferencję (czas i moja gotowość bojowa wzniosły nieodzowną barierę wokół tajemnicy Marii). Dzieci wróciły mi znów do głowy; była to szczęśliwa noc, noc pogrzebania starych niesnasek, noc pełnej gotowości do ponownego zjazdu. W kółko dzieliliśmy się radością z powtórnego bycia razem; lekceważąc głębszą prawdę – że nie różnimy się niczym od innych rodzin, że zjazdy rodzinne wyglądają atrakcyjniej zawczasu niż w rzeczywistości i że nadchodzi chwila, w której wszyscy członkowie rodziny muszą się rozejść w swoje strony. 15 października – NIE SPROWOKOWANA NAPAŚĆ NA INDIE – sypnęły się pytania, których się obawiałem i których usiłowałem nie prowokować: Dlaczego nie ma tu Śiwy? Oraz: Dlaczego wyłączyłeś część swoich myśli?

20 października wojska indyjskie poniosły porażkę, i to druzgoczącą, ze strony Chińczyków przy paśmie Thag La. Oficjalne oświadczenie Pekinu brzmiało: Przygraniczne straże chińskie były zmuszone w obronie własnej odeprzeć zdecydowanie atak. Lecz kiedy tej samej nocy dzieci północy przypuściły zmasowany atak na mnie, nie miałem żadnej obrony.

Atak szedł szerokim frontem, ze wszystkich stron, oskarżał mnie o tajemniczość, matactwo, despotyzm, egotyzm; moja głowa przestała być izbą parlamentu, a stała się polem walki, na którym czekała mnie klęska. Już nie jako „wielki brat Salim” słuchałem bezradnie, kiedy rozrywano mnie na strzępy; bo mimo całej tej ich wściekłości-i-wrzasku nie potrafiłem odblokować tego, co opieczetowałem jako sekret; nie potrafiłem się zdobyć na to, żeby wyjawić im tajemnicę Marii. Nawet Parwati-czarodziejka, z dawien dawna moja najwierniejsza zwolenniczka, straciła w końcu do mnie cierpliwość.

– Och, Salim – powiedziała. – Bóg jeden wie, co ten Pakistan z ciebie zrobił; ale się okropnie zmieniłeś.

Pewnego razu, dawno temu, śmierć Mijana Abdullaha zniszczyła inną konferencję, która trzymała się wyłącznie dzięki sile jego woli; teraz kiedy dzieci północy straciły do mnie zaufanie, straciły również wiarę w to coś, co dla nich stworzyłem. Między 20 października a 20 listopada nadal zwoływałem – usiłowałem zwoływać – nocne obrady; ale dzieci ode mnie uciekły, nie pojedynczo, lecz całymi dziesiątkami i dwudziestkami; co noc ubywało ich na naszych falach; co tydzień przeszło setka odchodziła we własne osobiste życie. W wysokich Himalajach Gurkhowie i Radżputowie uciekali w popłochu przed armią chińską; w wyższych natomiast rejestrach mojego umysłu poszła w rozsypkę inna armia i to z powodów – takich jak zwady, uprzedzenia, nuda, sobkostwo – które uważałem za zbyt błahe, zbyt miłkie, by się nimi zajmować.

(Ale optymizm niczym przewlekła choroba bynajmniej nie zniknął; nadal zatem wierzyłem – tak jak i dziś wierzę – że to-co-nas-łączy przeważy ostatecznie to-co-nas-dzieli. Nie: nie przyjmuję na siebie definitywnej odpowiedzialności za rozwiązanie się Konferencji Dzieci; gdyż w istocie to miłość Ahmeda i Aminy Sinai przekreśliła wszelką możliwość odnowy.)

... A Siwa? Siwa, któremu z zimną krwią odmówiłem praw z tytułu urodzenia? Przez ten ostatni miesiąc ani razu nie wysłałem myśli na jego poszukiwanie; jednakże jego istnienie gdzieś w świecie nurtowało mnie w zakamarkach umysłu. Siwa Niszczyciel, Siwa-iksowate-nogi... stał się dla mnie najpierw kłującym skrupułem sumienia; potem obsesją; a wreszcie, kiedy znużyło mnie pamiętanie o jego obecności, przemienił się w swoistą regułę; zaczął uosabiać w mojej głowie wszelką mściwość, przemoc oraz jednoczesną-miłość-i-nienawiść-do-Rzeczy na świecie; toteż po dziś dzień, kiedy słyszę o topielcach unoszących się jak balony na rzece Hugli, eksplodujących przy każdym potrąceniu przez przepływające obok łodzie; albo o podpalonych pociągach, zamordowanych politykach czy zamieszkach w Orysie lub Pendźbie, zawsze mi się zdaje, że do tych wszystkich spraw Siwa wydatnie się przyłożył, skazując nas na wieczne grzęźnięcie w zabójstwach gwałtach chciwości wojnie – słowem, że za sprawą Siwy jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. (On też urodził się wraz z wybiciem północy; podobnie jak ja został związany z historią. Tryby powiązań – jeżeli słusznie uważam, że stosowały się do mnie – umożliwiły i jemu wpływ na takie, a nie inne przemijanie dni.)

Tak mówię, jakbym go nigdy potem nie spotkał; co nie jest prawdą. Ale i to musi, rzecz jasna, stanąć w kolejce, jak wszystko inne; nie czuję się jeszcze na siłach opowiedzieć akurat teraz tej historii.

Choroba optymizmu i tym razem osiągnęła rozmiary epidemii; tymczasem ja się nabawiłem zapalenia zatok. Wywołany, o dziwo!, porażką w paśmie górskim Thag La powszechny optymizm, jeżeli chodzi o wojnę, tak się rozrósł (i to groźnie) jak nadmuchany ponad miarę balon; jednakże moje wytrzymałe dotąd przewody nosowe, które zawsze były nadmiernie przepełnione, przestały się wreszcie bronić przed nieżytem. Kiedy posłowie do parlamentu wygłaszali mowy na temat „agresji chińskiej” oraz „krwi naszych dżawanów

poległych męczeńską śmiercią”, z oczu puściły mi się strugi łez; kiedy naród się nadymał w przekonaniu, że zdruzgotanie żółtków leży w zasięgu ręki, moje zatoki również się nadeły, przy czym tak mi zmniejszyła się dość już przecież dziwną twarz, że sam Ajub Chan patrzył był na nią z nie ukrywanym zdumieniem. Studenci porażeni wirusem optymizmu palili kukły Mao Tse-Tunga i Czou Enlaja; tłumy z gorączką optymizmu na czołach napadały chińskich szewców, handlarzy antyków i restauratorów. Rozpalony optymizmem rząd internował nawet indyjskich obywateli pochodzenia chińskiego – obecnie „wrogich cudzoziemców” – w obozach w Radżasthanie. Zakłady Przemysłowe Birli podarowały narodowi miniaturową strzelnicę; uczennice szkolne paradowały na wojskowych defiladach. Ja zaś, Salim, czułem, że lada chwila uduszę się chyba na śmierć. Powietrze zagęszczone optymizmem nie chciało mi wchodzić do płuc.

Ahmed i Amina Sinai należeli do najcięższych ofiar nowego nawrotu choroby optymizmu; złapawszy już tego bakcyła za sprawą swojej świeżo poczętej miłości, przyłączyli się ochoczo do powszechnego entuzjazmu. Kiedy Morardzi Desai, popijający siuśki minister finansów, wystosował apel: „Ozdoby na obronę”, moja matka ofiarowała złote bransolety i szmaragdowe kolczyki; kiedy Morardzi wypuścił serię bonów obligacyjnych na cele obrony, Ahmed Sinai skupował je na kopy. Zdawało się, że wojna obudziła w Indiach nowy świt; „Times of India” zamieścił rysunek podpisany „Wojna z Chinami” przedstawiający Nehru, który przygląda się wykresom opatrzonym hasłami „Integracja emocjonalna”, „Stabilizacja przemysłu”, „Zaufanie ludu do rządu” i woła: „Jeszcze nigdy nie było tak dobrze!” Dryfując po morzu optymizmu wszyscy – naród, moi rodzice i ja – płynęliśmy ślepo wprost na rafy.

Cały nasz naród ma obsesję na punkcie odpowiedników. Kiedy tylko trafimy na podobieństwa między tym a owym, między nie związanymi z pozoru sprawami, zaraz klaszczemy z zachwytem w ręce. Można to uznać za narodowe ciągoty do formy – albo po prostu za wyraz naszych najgłębszych przekonań, iż rzeczywistość zawiera w sobie ukryte formy; iż sens przejawia się jedynie w przeblaskach. Stąd nasza słabość do omenów... na przykład, kiedy po raz pierwszy wciągnięto indyjską flagę, nad owym polem w Delhi ukazała się szafranowo-zielona tęcza; i od razu poczuliśmy się pobłogosławieni. Urodzony pośród odpowiedników spostrzegłem, że wszędzie mnie one ścigają... kiedy Hindusi parli ślepo ku kłęsce militarnej, ja również zbliżałem się (i to całkiem bezwiednie) do własnej katastrofy.

Rysunki w „Times of India” mówiły o „Integracji emocjonalnej”; w Willi Buckingham, ostatnim bastionie Posiadłości Methwolda, emocje nigdy jeszcze nie były tak zintegrowane. Ahmed i Amina zachowywali się jak młodzi ludzie na początku zalotów; a kiedy pekiński „Dziennik Ludowy” urągał: „Rząd Nehru odrzucił wreszcie pozory niezaangażowania”, ani moja siostra, ani ja nie mieliśmy powodu do narzekań, bo po raz pierwszy od lat nie musieliśmy udawać, że jesteśmy nie zaangażowani w wojnie między rodzicami: to, czego wojna udzieliła Indiom, zanik wrogości dokonał na naszym piętrowym pagórze. Ahmed Sinai zaprzestał nawet conocnych walk z dżinnami.

1 listopada – HINDUSI ATAKUJĄ POD OSŁONĄ ARTYLERII – moje przewody nosowe znalazły się w stanie ostrego kryzysu. Chociaż matka poddawała mnie codziennie torturom inhalatora Vicka i parujących misek maści Vicka rozpuszczonej w wodzie, którą z kocem na głowie musiałem wdychać, moje zatoki dawały odpór tej kuracji. Był to dzień, w którym ojciec wyciągnął do mnie ręce i powiedział: – Chodź, synu, chodź no tu, niech cię ukochem. – W szale radości (może dobrał się do mnie wreszcie wirus optymizmu) dałem się przytulić do jego pulchnego brzucha; kiedy jednak ojciec mnie puścił, smarki zaplały mu kurtę. Chyba to mnie ostatecznie zgubiło; bo jeszcze tego samego popołudnia matka

przypuściła atak. Udając przede mną, że dzwoni do przyjaciółki, wykonała pewien telefon. Kiedy Hindusi atakowali pod osłoną artylerii, Amina Sinai, pod płaszczykiem kłamstwa, planowała mój upadek.

Zanim opiszę swoje wkroczenie na pustynię późniejszych lat, muszę jednak przyznać, że być może bardzo niesprawiedliwie oceniam rodziców. O ile mnie pamięć nie myli, przez cały ten czas od objawień Marii Pereiry ani razu nie pokusili się o odszukanie swojego prawowitego, rodzzonego syna; ja zaś kilkakrotnie w tej opowieści przypisywałem ten stan rzeczy ich brakowi wyobraźni – twierdziłem, że pozostałem ich synem, bo nie potrafili sobie wyobrazić, żebym wypadł z tej roli czy coś w tym rodzaju. Można też dopuścić bardziej krzywdzącą interpretację – na przykład ich niechęć do przyjęcia na swe łono urwisa, który spędził jedenaście lat w ryszotku; pragnę jednak podsunąć szlachetniejszą pobudkę: może, mimo wszystko, mimo nosa-ogórasa plam-na-twarzy braku-podbródka rogów-na-skroniach kabłąkowatych-nóg utraty-palca mnisiej-tonsurey i mojego (wprawdzie o tym jednym nie wiedzieli) chorego lewego ucha, mimo nawet podmiany niemowląt przez Marię Pereirę o północy... może, powiadam, mimo tych wszystkich prowokacji rodzice po prostu mnie kochali. Odsunąłem się od nich w swój potajemny świat; z obawy przed ich nienawiścią nie dopuszczałem możliwości, że ich miłość jest silniejsza niż brzydota, silniejsza bodaj niż krew. Można z pewnym prawdopodobieństwem przyjąć, iż ustalenia owej rozmowy telefonicznej, które zaowocowały 21 listopada 1962 roku, wynikały z najwyższych motywów, że rodzice właśnie z miłości doprowadzili mnie do zagłady.

Dzień 20 listopada był strasliwym dniem; noc była strasliwą nocą... sześć dni wcześniej, w siedemdziesiąte trzecie urodziny Nehru rozpoczęła się wielka konfrontacja z siłami chińskimi; wojska indyjskie – DŻAWANOWIE RUSZAJĄ DO BOJU! – zaatakowały Chińczyków w Walong. Wieści o klęsce pod Walongiem i o pogromie czterech batalionów generała Kaula dotarły do Nehru w sobotę osiemnastego; w poniedziałek dwudziestego załąły one radio i gazety, i tak trafiły do Posiadłości Methwolda. POPŁOCH W NEW DELHI! WOJSKA INDYJSKIE W ROZSYPCIE! Owego dnia – ostatniego dnia mojego starego życia – siedziałem skulony z siostrą i rodzicami przy radioli Telefunkena, a telekomunikacja przepełniała nam serca strachem przed Bogiem i Chinami. I wtedy ojciec wyrzekł prorocze słowa:

– Żono – powiedział grobowym głosem, aż Dżamila i ja zadrżeliśmy ze strachu – begam sahiba, ten kraj jest skończony. Zbankrutował. Fantuś.

Gazeta wieczorna obwieściła kres choroby optymizmu: DRENAŻ MORALE PUBLICZNEGO. A po tym końcu miały przyjść następne; drenaż miał objąć również inne sfery.

Położyłem się spać z głową nabitą chińskimi twarzami karabinami czołgami... ale o północy już w niej opustoszało i ucichło, bo Konferencja też uległa drenażowi; jedyne z magicznych dzieci, które chciało jeszcze ze mną rozmawiać, to Parwati-czarodziejka, tyle że przybici niepomni tym, co Nussie-kaczka nazwałaby „końcem świata”, nie potrafiliśmy wyjść poza porozumienie w milczeniu.

I dalsze przejawy bardziej przyziemnego drenażu: w potężnej Hydroelektrowni na Tamie Bhakra Nangal powstało pęknięcie i przez tę szczelinę z wielkiego zbiornika wody runęła powódź... a konsorcjum melioracyjne złożone z kobiet Narlikara, odporne na optymizm, porażkę lub cokolwiek innego poza mirażem bogactwa, nadal wydzierało ziemię z głębin morza... ale najważniejsze odprowadzenie, które tak naprawdę nadało tytuł temu epizodowi, odbyło się nazajutrz rano, kiedy się już odprężyłem i uznałem, że coś się w końcu obróci na

dobrze... bo rano usłyszeliśmy niewiarygodnie radosną wiadomość, że Chińczycy nagle, bez wyraźnej konieczności, przerwali natarcie; zdobywszy panowanie nad szczytami Himalajów najwidoczniej poczuli się usatysfakcjonowani; ZAWIESZENIE BRONI! wołały gazety, a mojej matce tak ulżyło, że omal nie zemdlą. (Chodziły słuchy, że generał Kaul dostał się do niewoli; prezydent Indii, dr Radhakrisznan, tak to skomentował: – Niestety, ta informacja jest całkowicie bezpodstawna.)

Mimo załamanych oczu i powiększonych zatok czułem się szczęśliwy; nawet mimo końca Konferencji Dzieci płaściłem się w nowej fali szczęścia, która spłynęła na Willę Buckingham; toteż kiedy matka zaproponowała: – Dzieci, jedziemy to uczcić! Macie ochotę na piknik? – podchwyciłem to, rzecz jasna, skwapliwie. Był ranek 21 listopada; pomagaliśmy szykować kanapki i parathy; zatrzymaliśmy się przy sklepie z napojami musującymi, załadowaliśmy łódź do miednicy i skrzynkę coca-coli do bagażnika naszego Rovera; rodzice z przodu, dzieci z tyłu, i tak ruszyliśmy. W drodze śpiewała nam Dżamila Śpiewaczka.

Spytałem przez obolałe zatoki:

– Dokąd jedziemy? Do Dżuhu? Do Elefanty? Do Marwe? Dokąd?

Na co matka z niepewnym uśmiechem:

– Niespodzianka; poczekaj, a się przekonasz.

Jechaliśmy ulicami pełnymi rozradowanych, odprężonych tłumów.

– Pomyliliście drogę – zawołałem. – Tędy nie jedzie się na plażę!

Oboje rodzice zapewnili mnie chórem, kojąco, wesoło:

– Jeszcze tylko jeden postój i w drogę; obiecujemy.

Telegramy zawezwały mnie z powrotem; radiotelefony mnie wystraszyły; lecz dopiero telefon naznaczył datę godzinę miejsce mojej zguby... a rodzice mnie okłamali.

...Stanęliśmy przed nie znanym mi budynkiem przy Carnac Road. Fasada: w opłakanym stanie. Wszystkie okna: zasłonięte.

– Pójdiesz ze mną, synku?

Ahmed Sinai wysiadł z samochodu; szczęśliwy, że mogę towarzyszyć ojcu w załatwianiu spraw, kroczyłem żwawo u jego boku. Mosięzna tabliczka na drzwiach: Klinika Chorób Uszu Nosa Gardła.

Raptem coś mnie tknęło:

– Co to, Abba? Po co przyjechaliśmy...

Wtedy ręka ojca zacisnęła się na moim ramieniu – zaraz też mężczyzna w białym kitlu – i pielęgniarki – po czym: – A, tak, pan Sinai, czyli to musi być mały Salim, w samą porę, świetnie, świetnie; tymczasem ja: – Abba, nie, przecież mamy piknik...; ale lekarze już mnie prowadzą, ojciec zostaje w tyle, mężczyzna w kitlu woła do niego: – To nie potrwa długo; świetne wiadomości z wojny, prawda? – I pielęgniarka: – Proszę za mną do przebieralni i anestezji.

Oszukany! Oszukany, Padmo! Mówiłem ci: pewnego razu oszukały mnie pikniki; a potem już był szpital, sala z twardym łóżkiem, jaskrawe wiszące lampy i mój krzyk: – Nie, nie, nie – na co pielęgniarka: – Przestań się wygłupiać, jesteś już prawie dorosły, kładź się – wtedy przypomniałem sobie, jak to przewody nosowe rozkręciły wszystko w mojej głowie, jak płyn nosowy został wciągnięty wgórewgórewgórew tam-gdzie-płyn-nosowy-nie-powinien-się-dostać, jak to coś wyzwoliło moje głosy, zacząłem więc kopać wrzeszczeć, aż musiano mnie przytrzymać: – Słowo daję – powiedziała pielęgniarka – jeszcze nie widziałam takiego dzieciucha.

I tak to, co się zaczęło w skrzyni na bieliznę, skończyło się na stole operacyjnym, bo

przytrzymano mnie za ręce i nogi, a nieznajomy mężczyzna powiedział: – Nic nie poczujesz. To łatwiejsze niż wycięcie migdałków. Rozprawimy się migiem z tymi zatokami, raz a dobrze. – Na co ja: – Nie, błagam, nie – ale głos ciągnął: – Teraz włożę ci maskę, liczy tylko do dziesięciu.

Licz. Liczby maszerują jeden dwa trzy.

Syk puszczonego gazu. Liczby mnie przygniatają cztery pięć sześć.

Twarze pływają we mgle. I nadal ten łoskot liczb, chyba płakałem, liczby dudnią siedem osiem dziewięć.

Dziesięć.

– Boże miłosierny, chłopak wciąż jest przytomny. Coś niesłychanego. Spróbujmy jeszcze... słyszysz mnie? Salim, prawda? Zuch chłopak, jeszcze raz do dziesięciu!

Nie złapie mnie. Ciżba roi mi się w głowie. Ja, władca liczb. Proszę bardzo jedenaście, dwanaście.

Ale nie dadzą mi spokoju, dopóki... trzynaście czternaście piętnaście... O, Boże O, Boże zawrotna mgła i zapadanie się w głąb w głąb w głąb, szesnaście, przed wojnę i pieprzniczki, w głąb w głąb, siedemnaście osiemnaście dziewiętnaście.

Dwadzieś

Była raz skrzynia na bieliznę i chłopiec, który za mocno pociągnął nosem. Jego matka rozebrała się i odsłoniła Czarne Mango. Nadleciały głosy, które nie należały do archaniołów. Ręka ogłuszyła lewe ucho. I co rośło najlepiej na upale: fantazja, irracjonalizm, namiętność. Była raz kryjówka w wieży zegarowej i oszukiwanie-w-szkole. A miłość w Bombaju spowodowała wypadek na rowerze; rogi-na-skroniach wpasowały się we wklęsnięcia-pokleszczach i pięćset osiemdziesiąt jeden dzieci nawiedziło mnie w głowie. Dzieci północy; które mogły być ucieleśnieniem nadziei wolności, a mogły również być cudakami-które-należało-wykończyć. Parwati-czarodziejka, najwierniejsza ze wszystkich, i Siwa, który stał się zasadą życia. Była kwestia celu i dylemat między ideami a rzeczami. Były kolana i nos i nos i kolana. Rozpoczęły się kłótnie, bo świat dorosłych przeniknął świat dzieci; były egoizm, snobizm i nienawiść. A także niedosiężność trzeciego wymiaru; narastał lęk przed dojściem-donikąd. I to, czego nikt nie powiedział: że cel istnienia pięciuset osiemdziesięciu jeden tkwił w ich zniszczeniu; że przybyli po to, by dojść donikąd. Zlekceważono tego rodzaju przepowiednie.

I objawienia, i zamknięcie się umysłu; i wygnanie, i powrót-po-czterech-latach; rosnące podejrzenia, załóżki rozłamu, ucieczki dziesiątkami i dwudziestkami. Na ostatku został tylko jeden głos; lecz optymizm nadal trwał – to-co-nas-łączyło mogło jeszcze wziąć górę nad tym-co-nas-rozdzieliło.

Aż wreszcie:

Cisza wokół mnie. Ciemny pokój (spuszczone żaluzje). Nic nie widzę (bo i nie ma na co patrzeć).

Cisza we mnie. Kontakt przerwany (na zawsze). Nic nie słyszę (bo i nie ma czego słuchać).

Cisza jak pustynia. I czysty, swobodny nos (przewody nosowe pełne powietrza). Powietrze niczym intruz wdziera się w moje intymne rejony.

Wydrenowany. Zostałem wydrenowany. Paramahansa ściągnięty na ziemię. (Na dobre.)

No wyrzuc to, wyrzuc wreszcie: operacja, która miała rzekomo na celu wydrenować moje zaatakowane zatoki i raz-na-zawsze przeczyścić moje przewody nosowe, w rezultacie przerwała kontakt nawiązany w skrzyni na bieliznę; pozbawiła mnie przydanej-przez-nos

telepatii; odcięła mi możliwość dzieci północy.

Nasze nazwiska kryją w sobie nasze losy; zamieszkując część świata, w której nazwiska nie utraciły znaczenia tak jak na Zachodzie i nadal są czymś więcej niż tylko czczym dźwiękiem, jesteśmy zarazem ofiarami swoich nazwań. Sinai to po trosze Ibn Sina, mistrz magii, adept sufizmu; a także Sin, czyli księżyc, starożytny bóg ludu Hadramautu, o własnym trybie powiązań, obdarzony mocą zdalnego sterowania falami świata. Ale Sin to również litera S, sinusoidalna niczym wąż; kobry leżą zwinięte w samym imieniu. Po trosze mamy też do czynienia z przypadkiem transliteracji – Sinai napisane pismem łacińskim, a nie w nastaliku, jako Synaj, jest również nazwą miejsca objawienia, zdejmowania butów, przykazań i złotych cielców; kiedy się jednak z tym wszystkim rozprawić, kiedy zapomnieć Ibn Sinę, a księżyc zajdzie; kiedy węże zlegną w ukryciu, a objawienia dobiegną końca, jest to nazwa pustyni – jałowości, bezpłodności, pyłu; imię końca.

W Arabii – Arabia Deserta – w czasach proroka Mahometa głosili również słowo inni prorocy: Maslama z plemienia Banu Hanifa w Jamama, w samym sercu Arabii; Hanzala ibn Safwan; oraz Chalid ibn Sinan. Bogiem Maslamy był ar-Rahman „Miłosierny”; dzisiaj muzulmanie modlą się do Allaha, ar-Rahman. Chalida ibn Sinana wysłano do plemienia Abów; z początku go śledzono, lecz w końcu się zgubił. Prorocy nie zawsze bywają fałszywi tylko dlatego, że ich ktoś obalił albo że pochłonęła ich historia. Zacni mężowie zawsze wędrowali po pustyni.

– Żono – oznajmił Ahmed Sinai – ten kraj jest skończony.

Po zawieszeniu broni i po drenażu te słowa jęły go na powrót ścigać; Amina zaczęła go więc namawiać na emigrację do Pakistanu, gdzie już mieszkały jej zachowawcze siostry i dokąd jej matka miała się przenieść po śmierci męża.

– Zaczniemy wszystko od nowa – nęciła go. – Dżanam, będzie cudownie. Co nam tu zostało na tym zapomnianym od Boga pagórze?

Toteż w końcu Willa Buckingham przeszła w szpony kobiet Narlikara; a moja rodzina, spóźniona o przeszło piętnaście lat, przeprowadziła się do Pakistanu, Kraju Czystych. Ahmed Sinai niewiele po sobie zostawił; istnieją metody transferu pieniędzy z pomocą międzynarodowych spółek, a ojciec te metody znał. I chociaż smutno mi było opuszczać rodzinny Bombaj, cieszyłem się z wyprowadzki z miasta, w którym czaił się gdzieś Siwa niczym sprytnie ukryta mina ładowa.

W lutym 1963 roku opuściliśmy wreszcie Bombaj; w dniu naszego wyjazdu zaniósłem stary blaszany globus do ogrodu i zakopałem go między kaktusami. A w nim: list od premiera i czółowkowe wielkie zdjęcie niemowlaka z podpisem: „Dziecko Północy”... Może to i nie są święte relikwie – nie ważę się porównywać tych błahych pamiątek mojego życia z włosem Proroka w Hazratbalu czy z ciałem świętego Franciszka Xawiera w Katedrze Bom Jezusa – ale to wszystko, co mi pozostało z przeszłości: zdruzgotany blaszany globus, zbutwiały list, zdjęcie. Nic więcej, nawet srebrna spluwaczka mi się nie ostała. Pominąwszy zmiążdżoną przez Małpkę planetę wszelkie inne dowody znajdują się opieczętowane w zamkniętych księgach niebios, Sidżdżin i Illijun, Księgach Zła i Dobra; tak przynajmniej głosi legenda.

... Już na pokładzie S/S „Sabarmati”, kiedy staliśmy zakotwiczeni przy Ran Kaćh, przypomniałem sobie starego Schaapstekera; i zacząłem się naraz zastanawiać, czy ktoś mu powiedział, że wyjeżdżamy. Nie śmiałem pytać ze strachu, że usłyszę negatywną odpowiedź; toteż kiedy myślałem o tym, jak brygada rozbiórkowa zabiera się do roboty, kiedy sobie wyobraziłem, jak maszyny destrukcji rozwalają gabinet ojca i mój własny błękitny pokój, jak rozbijają spiralne żelazne schody służby oraz kuchnię, w której Maria Pereira dosypywała

swoje lęki do sosów ćatni i marynat, jak masakrują werandę, na której matka przesiadywała z dzieckiem w łonie niczym kamień, nasunął mi się również obraz potężnej, rozkołysanej kuli, która burzy domenę sahiba Szalpstrykera, a zarazem samego obłąkanego staruszka, pobladłego, wychudłego, z latającym językiem, ujrzałem, jak odsłonięty u szczytu walącego się domu, wśród padających wież i czerwonych dachówek, stary Schaapsteker kurczy się starzeje ginie w blasku słońca, nie widzianego przezeń od lat. Niewykluczone jednak, że dramatyzuję; może mi się to przypomniało ze starego filmu pod tytułem *Stracony horyzont*, w którym piękne kobiety kurczyły się i ginęły przy wyjeździe z Szangri-La.

Na każdego węża przypada jedna drabina; na każdą drabinę – jeden wąż. 9 lutego przyjechaliśmy do Karaczi – i nie minęło kilka miesięcy, a moja siostra Dżamila rozpoczęła karierę, która zapewniła jej miano „Anioła Pakistanu” i „Słowika wiary”; opuściliśmy Bombaj, za to zyskaliśmy odbitą świetność. I jeszcze jedno: chociaż zostałem wydrenowany – chociaż żadne głosy nie przemawiały mi w głowie i tak już miało pozostać – jedno dostałem w zamian: mianowicie po raz pierwszy w życiu odkryłem zaskakujące rozkosze posiadania zmysłu węchu.

Dżamila Śpiewaczka

Ten mój wąż okazał się tak znakomity, że wytropił lepki zapaszek hipokryzji za uśmiechem powitalnym, którym ciotka Alija, zasuszona w staropanieństwie, obdarzyła nas w dokach Karaczi. Zgorzkniała nieuleczalnie przed laty wskutek dezercji mojego ojca w ramiona jej siostry, moja ciotka dyrektorka nabawiła się ociężałej korpulencji wywołanej nie dającą się ukryć zazdrością; grube ciemne włosy urazy puściły jej się z większości porów skóry. Może zresztą udało jej się zwieść moich rodziców i Dżamilę rozwartymi ramionami, przyczłapaniem w te pędy do nas, okrzykiem: – Ahmedzie bhai, nareszcie! Lepiej późno niż wcale! – oraz tą jej pajęczą – i rzecz jasna przyjętą – ofertą gościnności; lecz ja, ponieważ większą część niemowlęstwa spędziłem w gryzących rękawiczkach i cierpkich pomponiastych czapczkach jej zawiści, ponieważ nieświadomie złapałem bakcyła porażki od tych niewinnych-z-pozoru dziecięcych ciuszków, gdyż wrobiła w ich ściegi nienawiść, ponieważ na dobitkę świetnie pamiętałem, co znaczy żyć w aurze żądzy zemsty, ja, Salim wydrenowany, wyniuchałem odór mściwości sączący się z gruczołów ciotki. Nie czułem się jednak na siłach sprzeciwić; wpakowano nas do Datsuna jej zemsty i powieziono Bunder Road do domu w Guru Mandir – jak muchy, tyle że znacznie głupsze, radowaliśmy się bowiem z własnej niewoli.

...A co to był za wąż! Przywykliśmy na ogół rozpoznawać od kołyski najwęższe widmo olfaktoryczne; mnie jednak od początku życia nie było dane czuć czegokolwiek, toteż nie miałem pojęcia o żadnych zapachowych tabu. Dlatego też nie musiałem przybierać niewinnej miny, gdy ktoś zepsuł powietrze – co przysporzyło mi niejakich kłopotów ze strony rodziców; ważniejsze jednak było to, że moja swoboda węchowa pozwalała mi wdychać znacznie więcej niż tylko wonie pochodzenia naturalnego, którymi zwykła się zadowalać reszta ludzkości. Zatem od najwcześniejszych dni mojego dojrzewania w Pakistanie zacząłem poznawać tajemne aromaty świata, odurzające, aczkolwiek prędko wietrzejące perfumy nowej miłości, a także mocniejszy, trwalszy fetor nienawiści. (Niedługo po przybyciu do „Kraju Czystych” odkryłem w sobie dogłębną nieczystość miłości-do-siostry; a wolno pałające ognie ciotki od samego początku napełniły mi nozdrza.) Nos daje człowiekowi wiedzę, ale nie władzę-nadzadzadzeniami; mój najazd Pakistanu, z bronią (jeśli tak wolno rzec) w nosie, gdyż byłem uzbrojony jedynie w nowy przejaw swego nosowego dziedzictwa, dał mi wszelkie moce przewąchiwania-prawdy, wyniuchiwanie-tego-co-wisi-w-powietrzu, węszenia-za-tropem; prócz tej jednej jedynej mocy potrzebnej najeźdźcy – siły pokonywania wroga.

Nie przeczę: nigdy nie wybaczyłem Karaczi tego, że nie jest Bombajem. Usadowione między pustynią a mętными, słonymi potokami, których brzegi porastały karłowate namorzyny, moje nowe miasto odznaczało się według mnie szpetotą przewyższającą nawet moją własną; z powodu nazbyt szybkiego rozwoju – liczba jego mieszkańców wzrosła czterokrotnie od roku 1947 – nabyło niekształtnej bryłowatości gigantycznego karła. W szesnaste urodziny dostałem skuter marki Lambretta; jeżdżąc po mieście tym pozbawionym okien pojazdem, wdychałem nieuchronną beznadziejność mieszkańców ruder i filisterską zachowawczość bogaczy; ciągnęły mnie zapachowe tropy wywłaszczenia, a także fanatyzmu, zwabił mnie do środka długi podziemny korytarz, u którego końca znajdowały się drzwi do Tai Bibi, najstarszej kurwy świata... ale mnie poniosło. W sercu mojego Karaczi znajdował

się dom Aliji Aziz, wielki stary budynek przy Clayton Road (pewno od lat snuła się po nim jak duch, tyle że nie miała kogo straszyć), siedlisko cieni i pożółkłej farby, na które codziennie po południu padał długi, oskarżycielski cień minaretu przy miejscowym meczecie. Nawet kiedy po wielu latach w getcie kuglarzy mieszkalem w cieniu innego meczetu, w cieniu, który przynajmniej do czasu zapewniał ochronny, bynajmniej nie groźny półcień, nigdy nie wyzbyłem się zrodzonego-w-Karaczi poglądu na cienie meczetów, gdyż wyczuwałem w nich specyficzną, kleistą, oskarżycielską woń ciotki. Która czekała stosownej pory; lecz gdy zemsta nadeszła, okazała się druzgocąca.

W owych czasach było to miasto mirażów; wydarte pustyni, nie zdołało do końca zniszczyć jej mocy. W asfalcie Elphinstone Street lśniły oazy, spośród bud pod czarnym mostem, Kala Pul, przebłyskiwały karawanseraje. W tym bezdeszczowym mieście (którego jedyną cechą wspólną z moim rodzinnym miastem był fakt, że i ono powstało z wioski rybackiej) utajona pustynia zachowała prastare moce wywoływania złudzeń, wskutek czego mieszkańcy Karaczi mają zaledwie mgliste poczucie rzeczywistości, dlatego chętnie zwracali się do swoich przywódców o radę w kwestii tego, co jest realne, a co nie. Osaczeni iluzorycznymi wydmami piaszczystymi, duchami pradawnych królów oraz świadomością, że imię wiary leżącej u podstaw miasta brzmi „uległość”, moi nowi współmieszkańcy wydzielali tępe, duszne zapachy poddaństwa, niemiłe dla nosa, który wyczuł – nareszcie, a i to przelotnie – nader pikantny nonkonformizm Bombaju.

Tuż po naszym przybyciu – być może przygębiony ocienioną meczetem aurą domu przy Clayton Road – mój ojciec postanowił zbudować dla nas nowy dom. Kupił parcelę w najszykowniejszej okolicy, na terenie nowej dzielnicy willowej; toteż w moje szesnaste urodziny Salim dostał coś więcej niż tylko Lambrettę – poznałem mianowicie czarodziejską moc pępowiny.

Co takiego, zamarynowanego w soli, tkwiło przez szesnaście lat w almarii ojca i czekało na taki właśnie dzień? Co, pływając niby wąż wodny w starym słoiku po marynacie, towarzyszyło nam w podróży morskiej, a na ostatku spoczęło zakopane w twardej, jałowej ziemi Karaczi? Co niegdyś dostarczało pokarmu żywotowi w łonie – a teraz wlało w ziemię cud życia i wydało na świat dwupoziomowy nowoczesny bungalow w amerykańskim stylu?... Kładąc kres tym zaszyfrowanym pytaniom wyjaśniam, że w moje szesnaste urodziny cała rodzina (łącznie z cioteczka Aliją) zebrała się na naszej działce ziemi przy Korangi Road; na oczach grupy robotników i w obecności brody mułły Ahmed wręczył Salimowi kilof; wbiłem go na znak inauguracji w ziemię.

– Nowy początek – rzekła Amina. – Inszallah, odtąd będziemy nowymi ludźmi.

Przynagleni jej szlachetnym i nieosiągalnym pragnieniem budowniczo wie migiem powiększyli moją dziurę; wtedy to wyjęto słoik po marynacie. Wylano solankę w spragnioną ziemię; przy czym mułła pobłogosławił to-co-zostało-w-środku. Następnie złożono pępowinę – moją? Czy też Siwy? – do ziemi; i dom z miejsca zaczął rosnąć. Podano słodkości i napoje chłodzące; sam mułła w przystępie niebываłego apetytu spałaszował trzydzieści dziewięć laddu; wszakże Ahmed Sinai ani razu nie poskarżył się na koszt. Duch zakopanej pępowiny natchnął robotników; chociaż fundamenty wkopano bardzo głęboko, dom i tak się zawalił, nim zdążyliśmy się do niego wprowadzić.

Co sobie wykoncykowałem na temat pępowin: wprawdzie posiadały moc wznoszenia domów, ale wyraźnie jedne lepiej z tym sobie radziły, inne gorzej. Dowodziło tego miasto Karaczi; najwidoczniej zbudowane na nieodpowiednich z gruntu pępowinach, było pełne zdeformowanych domów, karłowatych garbatych dzieci o zwyrodniałych liniach życia,

domów, co od początku rosły nie wiadomo czemu ślepe, bez okien, domów przypominających radioodbiorniki, klimatyzatory bądź cele więzienne, nedorzeczných, przeładowanych u góry budowli, co jak pijacy waliły się z monotonną regularnością; obłądny zalew szalonych domów, których nieprzydatność do mieszkania przewyższała jedynie ich wyjątkowa szpetota. Miasto przesłoniło pustynię; jednakże za sprawą owych pępown albo bezpłodności gleby wyrosło na jedną wielką groteskę.

Zdolny poznawać po zapachu smutek i radość, z zamkniętymi oczyma rozróżniać węchem mądrość i głupotę, rozpocząłem życie w Karaczi, no i w dojrzałości – świadom, rzecz jasna, że nowe narody subkontynentu i ja porzuciliśmy wspólnie dzieciństwo; że wszystkich nas czekają coraz większe cierpienia i dziwne, przykre mutacje głosu. Drenaż okroił mi życie wewnętrzne; moje poczucie powiązania nie uległo jednak wydrenowaniu.

Salim najechał Pakistan uzbrojony jedynie w nadwrażliwy nos; ale na domiar złego najechał go z niewłaściwej strony! Wszystkie udane podboje tej części świata nadciągały od północy; wszyscy najeźdźcy przybywali lądem. Żeglując w swej ignorancji pod wiatr historii, dotarłem do Karaczi morzem i to od strony południowo-wschodniej. Nie powinienem był się więc chyba dziwić temu, co nastąpiło później.

Jeżeli spojrzeć wstecz poniewczasie, korzyści z inwazji od północy są oczywiste. Od północy przybyli generałowie Omajjadów, Hadżdżadż ibn Jusuf i Muhammad bin Kasim; a także ismailici. (Miodowe Gniazdko, gdzie jak wieść niesie Ali Chan bawił z Ritą Hayworth, mieściło się naprzeciwko naszej działki ziemi użyźnionej pępownią; jeśli wierzyć plotce, gwiazda filmowa wywołała nie lada skandal, chadzając po tym terenie w cudownych, zwiewnych, hollywoodzkich peniuarach.) O, nieuchronna wyższości północy! Skąd nadszedł na ten płaskowyż Indusu Mahmud z Ghazny, przynosząc ze sobą język, który mógł się poszczycić aż trzema formami litery S? Niechybna odpowiedź brzmi: se, sin i swad to agresorzy z północy. A Muhammad bin Sam Ghorī, który obalił Ghaznawidów i założył sułtanat delhijski? Syn Sama Ghoriego również kierował się na południe.

A Tughlak i cesarze mogolscy... ale dowiodłem już swego. Wypada tylko dodać, że idee, podobnie jak wojska, kroczyły na południe południe południe z wyżyn północy: legenda o Sikandarze But-Szikanie, Ikonoklaście Kaszmiru, który u schyłku czternastego wieku zniszczył wszystkie co do jednej świątynie hinduskie w dolinie (ustanawiając precedens dla mojego dziadka), przybyła z gór na równiny nadrzeczne; pół wieku później ruch mudżahedinów Sajjida Ahmada Barlewi nadciągnął przetartym już szlakiem. Idee Barlewiego: samozaparcie, nienawiść-do-hindusów, święta wojna... zarówno filozofie, jak i królowie (żeby się dłużej nie rozwodzić) przyszli z przeciwnej strony niż ja.

Rodzice Salima stwierdzili: – Musimy teraz być nowymi ludźmi. – W kraju czystych, czystość stała się naszym ideałem. Jednakże Salim został raz na zawsze pokalany bombajskością, głowę miał nabitą najrozmaitszymi religiami poza religią Allaha (podobnie jak pierwsi muzułmanie Indii, kupieccy Moplowie z Malabaru, mieszkałem w kraju, którego liczba bóstw konkurowała z liczbą ludności, toteż w nieświadomym buncie przeciwko klaustrofobicznemu natłokowi bóstw moja rodzina opowiedziała się za moralnością biznesu, a nie wiary); jego ciało miało przejawiać zdecydowaną preferencję dla nieczystych. Na wzór Mopłów był mi pisany los odmienca; w końcu jednak czystość mnie dosięgła, zatem nawet ja, Salim, zostałem oczyszczony ze swoich niecznych czynów.

Po szesnastych urodzinach rozpocząłem studia historyczne w college'u ciotki Aliji; lecz nawet nauka nie pomogła mi się poczuć częścią tego kraju pozbawionego dzieci północy, w którym moi koledzy ze studiów organizowali marsze z żądaniem surowszego, bardziej

islamskiego społeczeństwa – dowodząc tym samym, że stanowią przeciwieństwo studentów wszędzie indziej na świecie, gdyż domagali się większej-a-nie-mniejszej dyscypliny. Wszelako moi rodzice postanowili nieodwołalnie zapuścić korzenie; mimo że Ajub Chan i Bhutto szykowali przymierze z Chinami (które tak niedawno były naszym wrogiem), Ahmed i Amina nie chcieli słuchać żadnych słów krytyki pod adresem ich nowego domu; a ojciec kupił fabrykę ręczników.

W owym czasie od rodziców biła nowa promienistość; Amina pozbyła się mgły poczucia winy, nagniotki też jakby przestały jej dokuczać; Ahmed zaś, chociaż posiwiwały, czuł, jak mu zamrożenie łądzwi topnieje pod wpływem żaru nowo odnalezionego miłości do żony. Bywało, że rano Amina miała ślady zębów na szyi; czasami śmiała się nieopanowanie jak pensjonarka.

– Co z was za para, doprawdy – skomentowała siostra Alija. – Jak młodzi żonkosie, czy sama już nie wiem co.

Ale ja wyczuwałem, co się czai za zębami Aliji; co w niej tkwi, kiedy na zewnątrz sypią się życzliwe słowa... Ahmed Sinai nazwał ręczniki imieniem małżonki: Amina.

– Co mi tam multi-multi! Ci Daudowie, Sajgolowie, Harunowie! – wykrzykiwał wesoło zbywając za jednym zamachem najzamożniejsze rodziny tego kraju. – Co mi tam Walikowie czy Zulfikarowie! Mógłbym ich połknąć po dziesięciu na raz. Poczekaj tylko! – obiecywał. – Za dwa lata cały świat będzie się wycierał ręcznikami firmy Amina. Najdelikatniejszy materiał frotte! Najnowocześniejsze urządzenia! Dzięki nam cały świat stanie się czysty i suchy; Daudowie i Zulfikarowie będą mnie błagali, żebym zdradził sekret; a ja im powiem, owszem, ręczniki są wysokiej jakości; lecz tajemnica nie w ich produkcji; to wszystko tryumf miłości.

(Wytropiłem w przechwałkach ojca długofalowe skutki bakcyła optymizmu.)

Czy ręczniki firmy Amina odniosły tryumf na całym świecie w imię czystości (plasującej się tuż po...)? Czy Walikowie i Sajgolowie przyszli pytać Ahmeda Sinai: – Dalibóg, zapędziłeś nas w kozie róg, jar, jak ty to robisz? – Czy ręczniki frotte wysokiej jakości, we wzory projektowane osobiście przez Ahmeda – może nieco pretensjonalne, ale mniejsza, skoro zrodziła je miłość – ścierały wilgoć nabywców krajowych i rynków zagranicznych? Czy Rosjanie Anglicy Amerykanie otulali się unieśmiertelnionym imieniem mojej matki?... Dzieje Firmy Amina muszą chwilę poczekać; bo właśnie ma się rozpocząć kariera Dżamili Śpiewaczki; ocieniony meczetem dom przy Clayton Road odwiedził Wuj Bufo.

Był to tak naprawdę major (w stanie spoczynku) Alauddin Latif; usłyszał o głosie mojej siostry od „mojego cholernie dobrego przyjaciela, generała Zulfikara; w czterdziestym siódmym służyłem z nim w wojskach ochrony pogranicza”. Zjawił się w domu Aliji Aziz tuż po piętnastych urodzinach Dżamili, promieniał, podskakiwał i odsłaniał usta pełne szczerozłotych zębów.

– Prosty ze mnie człowiek – wyjaśnił – tak jak nasz znamienity prezydent. Trzymam pieniądze tam, gdzie jest bezpiecznie. – I tak jak nasz znamienity prezydent major miał idealnie okrągłą głowę; w przeciwieństwie zaś do Ajuba Chana Latif porzucił wojsko i zajął się rozrywką. – Impresario numer jeden na cały Pakistan, dobrodzieju – powiedział ojcu. – Wystarczy tylko mieć smykałkę do organizacji; a ten stary wojskowy nawyk, choróbka, wolno znika. – Major Latif złożył propozycję: chciałby posłuchać śpiewu Dżamili. – A jeżeli choć w dwóch procentach okaże się tak dobra, jak mi mówiono, łaskawco, zrobię z niej słynną śpiewaczkę! Jak nic, i to z dnia na dzień! Ma się te chody: ot, co; chody i organizacja; a major (w stanie spoczynku) Latif, do usług, wiele może. Alauddin Latif – podkreślił błyskając złotem ku Ahmedowi Sinai. – Zna pan tę baśń? Pocieram tylko swoją pocziwą

starą lampę i hop, wyskakuje duszek, który przynosi sławę i majątek. Pańska córka znajdzie się, choróbka, w dobrych rękach. Niech mnie choróbka, w jakich dobrych.

Legion wielbicieli Dżamili Śpiewaczki miał szczęście, że Ahmed Sinai był akurat zakochany w żonie; rozkrochmalony własnym uniesieniem nie wyrzucił z miejsca majora Latifa. Dziś ponadto wierzę, że rodzice już wówczas doszli do wniosku, iż dar ich córki jest zbyt niezwykły, by zatrzymywać go dla siebie; szczytna magia jej anielskiego głosu uczyła ich nieuniknionych nakazów talentu. Ahmed i Amina martwili się wszak o jedno.

– Nasza córka – rzekł Ahmed, bo zawsze w gruncie rzeczy był bardziej staroświecki z nich dwojga – pochodzi z dobrej rodziny; a pan chce ją wystawić na scenę przed oczy Bóg wie ilu obcych mężczyzn...?

Major przybrał urażoną minę:

– Proszę pana – powiedział sztywno – czy pan mnie uważa za człowieka bez wrażliwości? Sam mam córki, dobrodzieju. I to chwalić Boga siedem. Wyszukowałem im takie niewielkie biuro podróży; ale wszystko tylko i wyłącznie przez telefon. Nie śniłoby mi się nawet sadzać ich w okienku. Nawiasem mówiąc, to największe telefoniczne biuro podróży w tym mieście. Tak na marginesie, wysyłamy maszynistów kolejowych do Anglii; kierowców autobusów zresztą też. Chcę przez to powiedzieć – dodał skwapliwie – że pańska córka będzie otoczona takim samym szacunkiem jak moje córki. A właściwie większym; bo zostanie gwiazdą!

Moja siostra, w swej szczątkowej małpkowatości, obdarzyła córki majora Latifa – Safiję, Rafiję i pięć pozostałych – afiji – wspólnym mianem: „Bufije”; ich ojcu zaś nadała przezwisko „Papa-Bufija”, a następnie Wuj – tytuł grzecznościowy – Bufo. Major nie rzucał słów na wiatr; po pół roku Dżamila Śpiewaczka miała już płyty ze szlagierami, armię miłośników, czego tylko dusza zapragnie; a wszystko, jak zaraz wyjaśnię, bez pokazywania twarzy.

Wuj Bufo zadomowił się u nas na dobre; prawie co wieczór bawił w domu przy Clayton Road, jak to określałem, w porze koktajlu, popijał sok z granatów i prosił Dżamilę, żeby mu coś zaśpiewała. Ona zaś, wyrastając na dziewczynę o przemiłym usposobieniu, zawsze spełniała jego życzenia... później odchrząkiwał, jak gdyby coś mu utkwilo w gardle, i żartował sobie jowialnie ze mną o moim ożenku. Oślepiły mnie dwudziestoczerokaratowe uśmiechy, a on przygadywał: – Pora wziąć sobie żonę, młody człowieku. Posłuchaj mojej rady: wybierz sobie dziewczynę z głową na karku i zepsutymi zębami, zyskasz w niej za jednym zamachem przyjaciela i sejf! – Córki Wuja Bufo, jak twierdził, pasowały jak jedna do tego opisu... Ja zaś, zażenowany, węsząc, że mówi to pół-żartem, pół-serio, wołałem: – Och, Wuju Bufo! – Znał swoje przezwisko; co więcej, nawet je polubił. – Walił mnie więc w udo i wołał: – Trudno o taką, co? Żebyś, choróbka, wiedział. No dobrze, mój chłopcze; wybierz sobie jedną z moich dziewczuch, a gwarantuję ci, że każę jej wyrwać wszystkie zęby; kiedy się z nią będziesz żenił, wniesie w posagu uśmiech za milion dolarów!

Wtedy zwykle wtrącała się matka, żeby zmienić temat; nie przypadł jej zbyt do gustu pomysł Wuja Bufo, niezależnie od wartości sztucznych szczęk... owego pierwszego wieczoru, tak jak tylekroć później, Dżamila śpiewała majorowi Alauddinowi Latifowi. Jej głos uleciał przez okno i uciszył ruch uliczny; ptaki przestały świergotać, a w sklepiku z hamburgerami naprzeciwko wyłączono radio; na ulicy stał tłum znieruchomiałych przechodniów, których odurzył głos mojej siostry... kiedy skończyła, zobaczyliśmy, że Wuj Bufo płacze. – Skarb – powiedział trąbiąc w chustkę do nosa. – Proszę szanownych państwa, wasza córka to skarb. Rzuciło mnie to na kolana, rzuciło, jak choróbka. Przekonało, że złoty głos to nawet coś więcej niż złote zęby.

A kiedy Dżamila Śpiewaczka osiągnęła taką sławę, że nie mogła już unikać występów publicznych, Wuj Bufo rozpuścił plotkę, jakoby dziewczyna została niegdyś straszliwie okaleczona w wypadku samochodowym; i to właśnie major (w stanie spoczynku) Latif zaprojektował dla niej słynny, szczelnie-ja-osłaniający, biały jedwabny ćadar, zasłone czy też welon, suto wyszywany złotym brokatem i religijnymi napisami, za którymi Dżamila siedziała obyczajnie podczas występów publicznych. Ćadar Dżamili Śpiewaczki trzymały dwie niezmożone, muskularne osoby, również (aczkolwiek znacznie skromniej) zasłonięte od stóp do głów – oficjalna wersja głosiła, że to jej posługaczki, ale przez te burki trudno było ustalić ich płeć; a w samym środku major wyciął dziurę. Średnica: osiem centymetrów. Obwód: obrębiony najdelikatniejszą złotą nicią. Tak oto dzieje naszej rodziny ponownie zaważyły na losach kraju, bo kiedy Dżamila śpiewała przykładając usta do otworu w brokacie, Pakistan zakochał się w piętnastoletniej dziewczynie, którą widywał jedynie przez dziurę w biało-złotym prześcieradle.

Plotka o wypadku przypieczętowała ostatecznie popularność Dżamili Śpiewaczki; jej koncerty wypełniały po brzegi teatr Bambino w Karaczi, a także Śalimar-bagh w Lahaurze; jej płyty bezustannie osiągały najwyższe notowania rynkowe. Kiedy zaś stała się własnością publiczną, „Aniołem Pakistanu”, „Głosem narodu”, „Bulbul-e-Din” czyli słowikiem-wiary, i zaczęła otrzymywać tysiąc jeden poważnych ofert matrymonialnych tygodniowo; kiedy została wybraną córą całego kraju i rozpoczęła życie mogące przesłonić jej miejsce w naszej rodzinie, padła jednocześnie ofiarą bliźniaczych bakcyliów sławy, przy czym pierwszy uczynił z niej niewolnicę własnego wizerunku publicznego, bo plotka-o-wypadku zmuszała ją do noszenia stale biało-złotej burki, nawet w szkole ciotki Aliji, do której nie przestała uczęszczać; drugi natomiast bakcyl naraził ją na rozdmuchanie, a zarazem okrojenie własnej osobowości, nieuniknione skutki uboczne gwiazdorstwa, toteż ślepa i zaślepiająca pobożność oraz nacjonalizm na-dobre-i-złe, które przejawiała już wcześniej, zaczęły w niej teraz dominować, usuwając niemal wszystko inne na bok. Rozgłos uwięził ją w pozłacanym namiocie; jako nowa-córa-narodu więcej teraz zawdzięczała najbardziej jaskrawym aspektom charakteru narodowego niż światu dzieciństwa jej małych lat.

Głos Dżamili Śpiewaczki rozlegał się bez przerwy na falach Głosu Pakistanu, toteż we wsiach tak Zachodniego, jak i Wschodniego Skrzydła zaczęto ją uważać za nadludzką, niezmordowaną istotę, za anioła, który dzień i noc śpiewa swojemu ludowi; tymczasem jej przeogromne zarobki rozproszyły z nawiązką resztki obaw Ahmeda Sinai o córkę robiącą taką karierę (choć niegdyś był delhijczykiem, przekształcił się teraz w bombajskiego muzułmanina do szpiku kości, przedkładał więc sprawy materialne nad większość innych), jął zatem z lubością powtarzać mojej siostrze:

– Widzisz, córko: przyzwoitość, czystość, sztuka i dobry interes mogą iść ze sobą razem. Twój stary ojciec miał głowę na karku, że to sobie wykoncyrował.

Dżamila uśmiechała się wdzięcznie i przyznawała mu rację... wyrastała z kościstego dziewczuszyska na smukłą, skosnooką, złotoskórą piękność o tak długich włosach, że mogła niemal na nich siadać; nawet jej nos prezentował się zgrabnie.

– W mojej córce – oświadczył Ahmed Sinai Wujowi Bufo z dumą – przeważały szlachetne rysy mojej strony rodziny.

Wuj Bufo rzucił mi zagadkowe, stropione spojrzenie i odchrząknął.

– Ślicznotka z niej, choróbka, szanowny panie – przytaknął ojcu. – Pierwsza klasa, niech mnie licho.

Odtąd burze okłasków nie opuszczały nigdy uszu mojej siostry; na jej pierwszym,

legendarnym już recitalu w Bambino (mieliśmy miejsca zapewnione przez Wuję Bufo: – Tam, do choróbki, najlepsze miejsca na sali! – obok jego siedmiu Bufiji, wszystkich zasłoniętych... Wuj Bufo szturchnął mnie w żebra: – No, chłopcze, wybieraj! Do wyboru, do koloru! Pamiętaj: posag! – a ja się tylko oblałem rumieńcem i wlepiłem wzrok w scenę) okrzyki: – Brawo! Brawo! – zagłuszały czasem głos Dżamili; a po koncercie zastaliśmy Dżamilę za kulisami tonącą w morzu kwiatów, toteż musieliśmy się przedzierać przez rozkwitły kamforowy ogród miłości narodu, aż stwierdziliśmy, że dziewczyna jest bliska omdlenia, i to wcale nie przez zmęczenie, lecz przez obezwładniający, słodki zapach adoracji, którym kwiecie napełniło pokój. Ja też poczułem, że zaczyna mi się kręcić w głowie; dopiero Wuj Bufo ją wyrzucać całe naręcza przez otwarte okno – zbierał je tam tłum wielbicieli – z okrzykiem na ustach: – Choróbka, kwiaty piękna rzecz, ale nawet bohaterka narodowa musi mieć świeże powietrze!

Podobna owacja spotkała Dżamilę Śpiewaczkę owego wieczoru, kiedy zaproszono ją wraz z rodziną do Domu Prezydenta, żeby pośpiewała dowódcy pieprzniczek. Nie zważając na doniesienia w pismach zagranicznych o zdefraudowanych pieniądzach i kontaktach w bankach szwajcarskich, wypucowaliśmy się, aż lśniło; rodzina zaangażowana w produkcję ręczników musi być nieskazitelnie czysta. Wuj Bufo wyjątkowo porządnie wyczyścił sobie złote zęby; w wielkiej sali, gdzie pyszniły się zdobione girlandami portrety Muhammada Ali Dżinnaha, założyciela Pakistanu, Kaid-i-Azama i jego zamordowanego przyjaciela, a zarazem następcy, Lijakata Alego, rozwieszono przedziurawione prześcieradło i moja siostra zaśpiewała. W końcu głos Dżamili ucichł; następną obrzeżoną brokatem piosenkę poprzedził głos złotego galonu.

– Córkę Dżamilo – usłyszeliśmy – twój głos będzie mieczem walki o czystość; stanie się bronią, którą oczyścimy dusze ludzkie.

Prezydent Ajub był, jak sam przyznawał, prostym żołnierzem; wpoił mojej siostrze proste żołnierskie cnoty, mianowicie wiarę-w-przywódców i ufność-w-Bogu; odparła więc:

– Wola pana prezydenta jest głosem mojego serca.

Przez otwór w przedziurawionym prześcieradle Dżamila Śpiewaczka zadeklarowała swój patriotyzm; wtedy diwan-i-chas, sala tej szczególnej prywatnej audjencji rozbrzmiała owacją, tym razem elegancką – w odróżnieniu od wulgarnych braw tłumu z Bambino – zuniformizowanym aplauzem gwiazdek-i-orderów ociekających galonami oraz oklaskami zachwyconych rodziców tonących we łzach.

– No, no – szepnął Wuj Bufo. – Wyśmienicie, choróbka, co? To, co ja potrafiłem wyniuchać, Dżamila potrafiła wyśpiewać.

Prawdę piękno szczęście ból: każde miało osobną woń, wyczuwalną przez mój nos; każde, w wydaniu Dżamili, odnajdywało swój idealny głos. Mój nos, jej głos: oba dary doskonale się uzupełniały; tyle że zaczęły się rozchodzić. Kiedy Dżamila śpiewała patriotyczne pieśni, mój nos wolał penetrować brzydsze zapachy, które się weń wdzierały: zgorzkniałość ciotki Aliji, zawieszisty niezmienny odór ciasnych umysłów moich kolegów ze studiów; kiedy więc ona wzbijała się aż do chmur, ja pogrążałem się w rynsztoku.

Sięgając jednak myślą wstecz podejrzewam, że już wtedy się w niej kochałem, na długo przedtem, nim usłyszałem... czy istnieje dowód niewysłowionej braterskiej miłości Salima? Owszem. Dżamilę Śpiewaczkę z niegdyśszą Mosiężną Małpką łączyła jedna wspólna namiętność; uwielbiała chleb. Ćapati, parathy, tanduri nany? Tak, ale... No to co: czyżby wolała drożdże? Właśnie; moja siostra – mimo całego swego patriotyzmu – wciąż łaknęła kwaszonego chleba. A co stanowiło jedyne w całym Karaczi źródło smacznych drożdżowych

bochenków? Bynajmniej nie piekarnia; najlepszy chleb w całym mieście wydawano przez okienko w ślepych murze co czwartek rano u sióstr z zakonu kontemplacyjnego Świętej Ignacji. Co tydzień więc jeździłem tam Lambrettą i przywoziłem Dżamili od zakonnicy ciepłe, świeże bochenki. Mimo długich, wijących się jak wąż kolejek; nie zrażając się ostrym, pikantnym, zaprawionym łajnem fetorem wąskich uliczek wokół klasztoru; lekceważąc wszelkie inne obowiązki, zdobywałem chleb. Nie miałem w sobie krztyny krytycyzmu; ani razu nie spytałem siostry, czy ten ostatni relikwiarz jej dawnego flirtu z chrześcijaństwem nie wyglądałaby niestosownie przy jej nowej roli Słowika Wiary...

Czy podobna wytropić przyczyny nienaturalnej miłości? Czy Salima, który marzył o własnym miejscu w centrum historii, zamoczyło odbicie swoich życiowych nadziei ujrzone w siostrze? Czy zdrowo-okaleczony już-przecież-nie-Smark, równie załamany uczestnik Konferencji Dzieci Północy jak pocięta-nożem żebraczka Sundari, zakochał się w nowej integralności swojej siostry? Czy jako dawny Mubarak, Błogosławiony, ubóstwiałem w siostrze spełnienie swoich najskrytszych marzeń?... Powiem tylko, że nie zdawałem sobie z tego sprawy aż do czasu, kiedy obejmując skuter swoimi szesnastoletnimi udami zacząłem krążyć śladami prostytutek.

Podczas gdy Alija pałała; we wczesnym okresie rączników Firmy Amina; pośród apoteozy Dżamili Śpiewaczki; kiedy dwupoziomowy dom wznoszony z rozkazu pępownicy był jeszcze daleki od ukończenia; w czasach późno rozkwitłej miłości rodziców; otoczony jałowymi skądinąd pewnikami kraju czystych, Salim Sinai pogodził się ze sobą. Nie powiem, żeby go to nie smuciło; wzbraniając się przed cenzurowaniem własnej przeszłości, przyznaję, że bywał równie markotny, częstokroć równie krnąbrny, a już na pewno równie przyszczaty jak większość chłopców w jego wieku. Jego marzenia, odebrane dzieciom północy, przepełniała nostalgia, aż ogarniały go nudności, toteż często się budził dławiony gęstym odorem żalu paralizującego mu zmysły; nękały go koszmary liczb maszerujących jeden dwa trzy, a także duszącej pary chwytnych kolan... ale istniał też nowy dar i skuter Lambretta, no i (wprawdzie nie uświadomiona) korna, poddańcza miłość do siostry... odrywając swoje oczy narratora od opisywanej przeszłości, podkreślam, że Salim, tak-wtedy-jak-i-teraz, zdołał przenieść uwagę na nie-opisaną-jeszcze przyszłość. Przy byle okazji wymykałem się z rezydencji, w której gryzące wapory ciotczynej zazdrości uprzykrzały życie, a także z college'u przesyconego innymi, równie nieprzyjemnymi zapachami, dosiadałem zmotoryzowanego rumaka i zapuszczałem się w aleje węchowe mojego nowego miasta. A kiedy dowiedzieliśmy się o śmierci dziadka w Kaszmirze, tym gorliwiej postanowiłem zatopić przeszłość w zawieszonym, bulgoczącym gulaszu zapachowym terażniejszości... O, oszałamiające wczesne lata przed klasyfikacją! Wlewały się we mnie bezkształtne, nim zacząłem je kształtować, fragrancje: obmierzły, gnilny fetor fekaliiów zwierzęcych w ogrodach muzeum przy Frere Road, krostowate zapachy ciał młodzieńców w luźnych piżamach, trzymających się za ręce w wieczory sadarowe, ostre-jak-nóż strugi odpluwanego soku betelowego oraz gorzko-słodką mieszankę betelu i opium: w zapchanych straganiarzami zaułkach między Elphinstone Street a Victoria Road dało się wyczuć „pan-rakiety”. Zapachy wielbłądów, smród samochodów, drażniące jak-ukąszenie-komara wyziewy ryksz motorowych, aromat szmuglowanych papierosów i „czarnej waluty”, cuch kierowców autobusów miejskich i konkurencyjny prosty pot stłoczonych-jak-sardynki pasażerów. (Pewnemu kierowcy tak wówczas dopiekło wygryzienie go przez rywala z innej firmy – mdlący odór porażki dobił mu się z gruczołów – że wybrał się nocą swoim autobusem pod dom przeciwnika, trąbił, aż tamten nieszczęśnik wyszedł, a wtedy przejechał go na śmierć, zalatując podobnie jak moja ciotka zemstą.)

Meczety wylewały na mnie olejek dewocji; czułem nosem napuszoną emanację siły od pojazdów wojskowych z łopoczącymi flagami; w samym nagromadzeniu kin zwietrzyłem tandetne, kiczowate wonności importowanych spaghetti westernów i najbardziej krwawych filmów o sztuce walki, jakie zna świat. W owym czasie przypominałem narkomana, tak mnie odurzała złożoność zapachów; lecz potem dała o sobie znać moja natrętna pogoń za formą, i jakoś to przeżyłem.

Stosunki indyjsko-pakistańskie uległy pogorszeniu; granice zamknięto, toteż nie mogliśmy pojechać do Agry, żeby obchodzić żałobę po dziadku; emigracja Czcigodnej Matki do Pakistanu też się jakoś odwlekała. Tymczasem Salim pracował nad ogólną teorią zapachu: rozpoczął się proces kategoryzacji. W tym podejściu naukowym upatrywałem własne, osobiste zadośćuczynienie duchowi dziadka... na początek doprowadziłem do perfekcji umiejętność rozróżniania, aż umiałem rozpoznawać wielorakie rodzaje orzecha betelu i (z zamkniętymi oczyma) wszystkie dwanaście odmian napojów musujących. (Jeszcze długo przedtem, nim dziennikarz amerykański, Herbert Feldman, przybył do Karaczi, żeby wyrazić ubolewanie z powodu istnienia tuzina płynów gazowanych w mieście, które miało tylko trzech dostawców butelkowanego mleka, potrafiłem usiąść z przepaską na oczach i odróżnić Pakolę od Misji Hoffmana, Citra Colę od Fanty. Feldman widział w tych napojach przejawy imperializmu kapitalistycznego; ja zaś wiedziałem po zapachu, gdzie stoi Canada Dry, a gdzie 7-Up, odróżniałem bezbłędnie Pepsi od Coca-Coli, bo bardziej mnie interesowało zaliczenie tego wyrafinowanego sprawdzianu zapachowego. Identyfikowałem więc i nazywałem bez patrzenia Double Kolę i Kola Kolę, Perri Colę i Bubble Up.) Dopiero kiedy zyskałem pewność, że opanowałem bez reszty wonie fizyczne, przeszedłem do wszystkich innych aromatów, które ja jeden wyczuwałem: do zapachów emocji, a także tysiąca i jeden pobudek, które przesądzą o naszym człowieczeństwie: miłość i śmierć, chciwość i pokora, mieć i nie mieć dostały swoje etykiety i trafiły do schludnych przegródek mojej głowy.

Wczesne próby porządkowania: usiłowałem sklasyfikować zapachy pod względem koloru – bieliznę osobistą w gotowaniu i farbę drukarską gazety „Daily Džang” łączył jeden odcień niebieskości, z kolei stare drewno tekowe i świeże bździny były podobnie ciemnobrązowe. Samochody i cmentarze plasowały się wspólnie w kategorii szarości... istniała też klasyfikacja-względem-wagi: zapachy wagi piórkowej (papier), wonie wagi koguciej (pachnące mydłem ciała, trawa), w wadze półciężkiej (pot, królowa nocy); szahi-korma i smar rowerowy należały w moim systemie do wagi lekkopółciężkiej, a gniew, paczuli, zdrada i łajno występowały w wadze ciężkiej odorów świata. Miałem też system geometryczny: krągłość radości i kanciastość ambicji; wyróżniałem zapachy eliptyczne, a także owalne i kwadratowe... jako leksykograf nosa penetrowałem Bunder Road i PECHS; jako botanik łowiłem wonie niczym motyle w siatkę swoich włosów nosowych. Eh, te cudowne podróże sprzed narodzin filozofii!... Albowiem wkrótce zrozumiałem, że jeżeli moja praca ma przedstawiać jakąkolwiek wartość, musi nabrać wymiaru etycznego; oraz że jedyne istotne rozgraniczenia polegają na nieskończeniu subtelnym stopniowaniu zapachów dobra i zła. Uprzytomniwszy sobie nadrzędny charakter moralności, zwietrzywszy, że zapachy dzielą się na święte i świeckie, wymyśliłem w samotności wycieczek skuterowych naukę etyki węchowej.

Święte: zasłony parda, mięso halal, wieże muezzinów, dywaniki modlitewne; świeckie: zachodnie płyty gramofonowe, wieprzowina, alkohol. Zrozumiałem wtedy, dlaczego mułowie (święci) za nic nie wejdą do samolotu (świeckiego) w wigilię Id al-Fitr, dlaczego wzbraniają się przed samym choćby wejściem do pojazdu, którego tajemny odór stanowi

antytezę boskości, gdyż chcą zadbać o to, by ujrzeć nowy księżyc. Poznałem zapachową rozbieżność islamu i socjalizmu, oraz sprzeczność nie do pogodzenia między wodą po goleniu członków klubu Sind a smrodem ubóstwa żebraków sypiających na ulicy u wrót tegoż klubu... wszelako coraz bardziej utwierdzałem się w ohydnej prawdzie – a mianowicie, że niezbyt mnie nęca wszelkie świętości czy też dobro, nawet kiedy takie wonie otaczają moją siostrę podczas jej śpiewu; natomiast fetor rynsztoku pociągał mnie nieodparcie. Miałem przy tym szesnaście lat; coś mi tam drgało poniżej pasa w białych płóciennych spodniach; a w żadnym mieście, w którym kobiety zamyka się pod klucz, nie brakuje prostytutek. Kiedy Dżamila śpiewała o rzeczach świętych i o miłości-do-ojczyzny, ja zgłębiałem bezbożność i pożądanie. (Pieniądzy miałem pod dostatkiem, w ojcu bowiem wraz z miłością odezwała się hojność.)

Opodal wiecznie nie ukończonego Mauzoleum Dżinnaha podrywałem ulicznice. Przychodzili tam też inni młodzieńcy, uwodzili młode Amerykanki, po czym zabierali je do pokoi hotelowych albo na baseny; ja zaś wolałem zachować niezależność i płaciłem. W końcu wyniuchałem kurwę nad kurwami, której dar odzwierciedlał mój własny. Nazywała się Tai Bibi i utrzymywała, że ma pięćset dwanaście lat.

Za to jak pachniała! Roztaczał się wokół niej najsoczystszy aromat, jaki kiedykolwiek wpadł Salimowi w nozdrza; a miał on w sobie coś urzekającego, jakiś powiew majestatu historii... toteż Salim wyznał owej bezzębnej istocie: – Co mi tam wiek; liczy się ten twój zapach.

(– Mój Boże – przerywa Padma. – Coś takiego! Jak mogłeś?)

Chociaż nigdy nie wspomniała o jakimkolwiek pokrewieństwie z kaszmirskim przewoźnikiem, jej imię podziałało na chłopca jak magnes; choć może rozmyślnie świeciła Salimowi bakę, kiedy oświadczyła: – Chłopcze, mam pięćset dwanaście lat – tak czy owak, wezbrało w nim poczucie historyczności. Myśl sobie o mnie, co chcesz; spędziłem jedno gorące, parne popołudnie w wynajętym pokoju z zapchlonym materacem, nagą żarówką i najstarszą kurwą świata.

Co ostatecznie przyciągnęło mnie do Tai Bibi? Jakąż to władzę posiadała, że nie umywały się do niej inne prostytutki? Co doprowadziło do szaleństwa ledwo-co-uwrażliwione nozdrza naszego Salima? Padmo: moja wiekowa nierządnicą panowała tak dalece nad swoimi gruczołami, że potrafiła dostosowywać zapachy własnego ciała do zapachów kogokolwiek tylko zechciała. I te ekrynowe, i te apokrynowe działały wedle rozkazów jej starożytnej woli; chociaż na wstępie zapowiedziała: – Nie licz, że będę to robić na stojąco; bo byś się nie wypłacił – jej dar zapachowy rekompensował mu z nawiązką oczekiwania.

(...– Čhi-čhi – Padma aż zakrywa uszy. – Mój Boże, toż to ruja-i-porubstwo, aniby się po tobie spodziewała!...)

No więc znalazł się ten dziwaczny, szpetny młodzian ze starą wiedźmą, która oświadczyła: – Nie będę stała, mam odciski – i od razu zauważyła, że na samą wzmiankę o odciskach chłopak jakby się podniecił; szepcząc mu zatem do ucha tajemnicę swych ekrynowo-apokrynowych zdolności, spytała, czy chciałby, żeby przybrała czyjś zapach, gdyby go określił, ona by spróbowała, i tak metodą prób-i-błędów mogliby... z początku się zachnął, Nie nie nie, lecz tak się napraszała głosem przypominającym zmięty papier, że ponieważ był sam, poza światem i poza czasem, sam z tą niesłychaną mityczną starą jędzą, począł opisywać wonie z całą przenikliwością swojego cudownego nosa, a Tai Bibi przybierała opisywane wonie, wprawiając go w osłupienie, bo tą metodą prób-i-błędów udało jej się odtworzyć zapachy ciała jego matki jego ciotek, oho coś mi się widzi, że ci to pasuje, mały sahibzada, no

dalej, wsadzaj nos ile wlezie, dziwny z ciebie chłopak... aż tu naraz, całkiem przypadkowo, a jakże, przysięgam, że bez mojego udziału, naraz podczas prób-i-błędów z tego splekanego, pomarszczonego, starego-jak-podeszwa ciała dobywa się najbardziej niewysłowny aromat pod słońcem, nie sposób już tego ukryć przed jej wzrokiem, oho, mały sahibzada, na cóż to ja trafiłam, nie musisz mi mówić, co to za jedna, ale to na pewno ten zapach.

Na co Salim: – Zamilcz, zamilcz – ...Ale Tai Bibi z nieustępliwością swej rechoczącej wiekowości nalega: – Oho, tak, ani chybi dama twojego serca, mały sahibzada, tylko kto? Może kuzynka? Siostra... – Ręka Salima zaciska się w pięść; prawa ręka, mimo okaleczonego palca, rozważa cios... ale już Tai Bibi: – Mój Boże, tak! Siostra! No, uderz mnie, ale nie ukryjesz tego, co masz wypisane na czole!... – Salim zgarnia ubranie wbija się w spodnie. Zamilcz stara wiedźmo Na co ona Dobrze, idź, idź, ale jak mi nie zapłacisz, to, to zobaczysz, popamiętasz, zatem rupie lecą przez pokój sfruwają na podłogę wokół pięćsetdwunastoletniej kurtyzany. Bierz bierz, tylko zamknij tę swoją szkaradną gębę, tymczasem ona Wolnego, książątko, sam nie jesteś taki znów przystojny, już ubrany wybiega z kamienicy, skuter Lambretta czeka, jedynie ulicznicy obszczali mu siodełko, odjeżdża czym prędzej, lecz prawda go nie odstępuje, a Tai Bibi wychyla się z okna i krzyczy: – Ej, bhaenczud! Ej, mały siostrójebco, dokąd tak uciekasz? Co prawda, to prawda, to prawda...!

Masz prawo zapytać: czy to się zdarzyło właśnie w tej... Poza tym niemożliwe, żeby miała pięćset... wszakże przysięgłem wyznać wszystko, z całą więc mocą teraz utrzymuję, że poznałem niewysłowny sekret własnej miłości do Dżamili Śpiewaczki z ust i gruczołów zapachowych tamtej najbardziej wyjątkowej ze wszystkich kurw.

– Nasza pani Braganza ma rację – przygaduje mi Padma. – Powiada, że mężczyznom jedno tylko świństwo w głowach.

Zbywam te słowa milczeniem; na panią Braganzę i jej siostrę, panią Fernandes, przyjdzie kolej w swoim czasie; a na razie ta druga musi się zadowolić prowadzeniem księgowości w naszej fabryce, podczas gdy ta pierwsza zajmuje się moim synem. Ja zaś, pragnąc odzyskać wyteżoną uwagę swojej zbulwersowanej Padmy Bibi, opowiem baśń.

Dawno, dawno temu na najdalszej północy w księstwie Kif żył sobie książę, który miał dwie urodziwe córki, równie przystojnego syna, nowiutkiego Rolls-Royce'a i świetne układy polityczne. Tenże książę, inaczej nabab, wierzył żarliwie w postęp, dlatego zaaranżował zrękowiny swojej starszej córki z synem zamożnego, renomowanego generała Zulfikara; młodszą zaś córkę miał szczerą nadzieję wydać za syna samego prezydenta. Jeżeli zaś chodzi o samochód, pierwszy, jaki widziano w okolonej górami dolinie, nabab ubóstwiał go tyleż samo co rodzone dzieci; ubolewał nad tym, że jego poddani, którzy przywykli używać dróg Kifu do spotkań towarzyskich, kłótni i gry w plucie-do-celu, nie schodzili mu z drogi. Wydał proklamację z wyjaśnieniem, iż samochód reprezentuje przyszłość i że trzeba mu umożliwić przejazd; lud zignorował tę odezwę, chociaż rozlepiono ją na sklepach i murach, a nawet, jak powiadano, na bokach krów. Druga odezwa brzmiała bardziej apodyktycznie, nakazywała bowiem obywatelom usuwać się z szosy na dźwięk klaksonu; Kifianie jednak nadal palili, pluli i sprzeczali się na jezdniach. Trzecia odezwa, przyozdobiona krwawym rysunkiem, głosiła, że samochód przejedzie każdego, kto nie usłucha klaksonu. Kifianie dorysowali na afiszu nowe, bardziej skandaliczne obrazki; wówczas nabab, który był zacnym człowiekiem, ale miał ograniczoną cierpliwość, wcielił w życie swoją groźbę. Kiedy słynna śpiewaczka Dżamila przybyła wraz z rodziną i impresariem, aby śpiewać na ceremonii zaręczyn kuzyna, samochód przewiózł ją bez przeszkód od granicy do pałacu; a nabab oświadczył z dumą: – Po kłopotcie, szanuję teraz mój samochód. Nastąpił postęp.

Syn nababa, Mutasim, który bywał za granicą i nosił fryzurę „na bitlesa”, stanowił źródło utrapień ojca; bo chociaż był taki przystojny, że podczas jego podróży po Kifie dziewczęta ze srebrną biżuterią w nosach mdlały od żaru jego urody, najwyraźniej wcale go to nie interesowało, zadowalał się swoimi końmi do gry w polo i gitarą, na której brzdąkał obco brzmiące zachodnie melodie. Nosił kurty tropikalne, na których zapisy nutowe i zagraniczne znaki drogowe sąsiadowały z na poły roznegliżowanymi różowymi ciałami dziewcząt. Kiedy jednak Dżamila Śpiewaczka, ukryta pod złotą brokatową burką, przybyła do pałacu, Mutasim Przystojny – który wskutek wojaży zagranicznych nigdy nie słyszał pogłosek o jej zeszczeniu – zapragnął obsesyjnie zobaczyć jej twarz; zakochał się po uszy w błyskach nad wyraz skromnych oczu ujrzanych przez dziurę w prześcieradle.

W owym czasie prezydent Pakistanu zwołał wybory; miały się odbyć nazajutrz po ceremonii zaręczyn, wcielając prawo do głosowania zwane Podstawową Demokracją. Sto milionów mieszkańców Pakistanu podzielono na sto dwadzieścia tysięcy mniej więcej równych okręgów, a każdy okręg miał być reprezentowany przez jednego Podstawowego Demokrate. Następnie gremium elekcyjne złożone ze stu dwudziestu tysięcy owych „P.D.” miało wybrać prezydenta. W Kifie czterystu dwudziestu Podstawowych Demokratów stanowili mułlowie, zamiatacze ulic, szofer nababa, liczni robotnicy zbierający haszysz w posiadłości nababa i inni lojalni obywatele; nabab zaprosił ich wszystkich na ceremonię malowania henną swojej córki. Był jednak zmuszony zaprosić dwóch prawdziwych badmaśów, delegatów wyborczych z ramienia Połączonej Partii Opozycyjnej. Ci łajdacy kłócili się wiecznie ze sobą, ale nabab był uprzejmy i serdeczny.

– Dzisiaj jesteście moimi honorowymi gośćmi – oznajmił im – a jutro to co innego.

Badmaśe jedli i pili, jak gdyby nigdy przedtem nie widzieli jadła, ale wszyscy – nawet Mutasim Przystojny, który miał jeszcze mniejszą cierpliwość niż ojciec – dostali nakaz, aby traktować ich należycie.

Połączona Partia Opozycyjna, czemu się zapewne nie zdziwisz, stanowiła doborową bandę nicponi i hultajów pierwszej wody, a łączyło ich jedynie niezłomne postanowienie, żeby obalić prezydenta i wrócić do dawnych kiepskich czasów, kiedy to cywile, a nie wojsko nabijali sobie kabzy z państwowej kiesy. Jednakże nie bez powodu znaleźli sobie groźnego przywódcę w osobie pani Fatimy Dżinnah, siostry założyciela państwa, a była to kobieta tak zasuszonej w swej wiekowości, że nabab podejrzewał, iż ta od dawna nie żyje, a tylko została wypchana przez mistrza balsamowania – w którym to przekonaniu utwierdzał go syn, bo widział film *El Cid*, gdzie nieboszczyk prowadzi całą armię do ataku... tak czy siak postanowiła zorganizować kampanię wyborczą sprowokowana faktem, iż prezydent nie kwapi się z ukończeniem okładania marmurem mauzoleum jej brata; straszliwy był z niej przeciwnik, bo pozostawała poza oszczerstwami i podejrzeniami. Mówiono nawet, że ta opozycja wobec prezydenta zachwiała weń wiarę ludu – bo czyż nie był on reinkarnacją wielkich bohaterów islamu łonskich lat? Muhammada bin Sama Ghoriego, Iltutmisza i Mogołów? Nawet w samym Kifie nabab zauważył ulotki PPO pojawiające się w najdziwniejszych miejscach; ktoś ośmielił się nawet przykleić jedną do bagażnika jego Rollsa.

– Niedobre czasy – rzekł nabab synowi. Na co Mutasim odparł:

– Do tego właśnie prowadzą wybory. Żeby czyściciele ustępów i tani krawcy mieli głosować na władcę?

Ale dzisiaj był dzień szczęścia; w komnatach zenany kobiety zdołały henną ręce i stopy córki nababa delikatnymi wzorami; niebawem przybędzie generał Zulfikar i jego syn, Zafar.

Władcy Kifu puścili w niepamięć wybory, bo woleli nie myśleć o zgrzybiałej Fatimie Dżinnah, madar-i-millat, czyli matce narodu, która postanowiła tak bezpardonowo zakłócić wybór swojej dziatwy.

W kwaterze świty Dżamili Śpiewaczki również królowało szczęście. Jej ojciec, fabrykant ręczników, który nie wypuszczał z dłoni pulchnej ręki żony, wołał: – Widzisz? I czyja córka tu występuje? Może Haruna? A może Waliki? Czy też zdzira jakiegoś Dauda bądź Sajgola? Niedoczekanie!... – Natomiast jego syn, Salim, nieszczęśnik z komiksową twarzą, trapiiony najwidoczniej jakąś dotkliwą przypadłością, być może przytłoczony własną obecnością na scenie wielkich wydarzeń historycznych, zerkał raz po raz na swoją utalentowaną siostrę jakby ze wstydem w oczach.

Owego popołudnia Mutasim Przystojny wziął brata Dżamili, Salima, na stronę i usilnie próbował się z nim zaprzyjaźnić; pokazał Salimowi pawie importowane z Radżasthanu jeszcze przed podziałem i drogocenną ojcowską kolekcję ksiąg z zaklęciami, skąd nabab czerpał talizmany i magiczne formuły, które miały mu pomóc sprawować roztropne rządy; a kiedy Mutasim (który nie należał do naj bystrzej szych ani naj przezorniej szych młodzieńców) oprowadzał Salima po placu do gry w polo, wyznał, iż przepisał zaklęcie miłosne na pergaminie w nadziei, że wciśnie je w rękę słynnej Dżamili Śpiewaczce i obudzi w niej miłość. Zrazu Salim niczym zły pies usiłował czmychnąć; lecz Mutasim dopytywał się błagalnie, jak Dżamila Śpiewaczka naprawdę wygląda. Salim wszakże milczał jak zakłęty; aż Mutasim ogarnięty szalem obsesji poprosił go, żeby ten dopomógł mu się zbliżyć do Dżamili, byle wcisnąć jej zaklęcie do ręki. Wtedy Salim, którego chytre spojrzenie nie dotarło do opętanego miłością Mutasima, zaproponował: – Daj mi ten pergamin – a Mutasim, wprawdzie biegły w geografii miast europejskich, wszelako ignorant w sprawach magii, wręczył swoje zaklęcie Salimowi, z myślą, że i tak zadziała ono w jego imieniu, nawet jeżeli przekaże je kto inny.

Nad pałacem zapadł zmierzch; nadjechała kawalkada samochodów przywożąc generała, begam Zulfikar oraz ich syna, Zafara, i przyjaciół. Tyle że zmienił się wiatr, zaczął dąć teraz z północy: zimne, otumaniające wietrzysko, bo na północy Kifu znajdowały się najlepsze pola haszyszowe całej tej krainy, a o tej porze roku żeńska część roślinności dojrzała już do rui. Powietrze napełniło się aromatem odurzającego pożądania roślin, wszyscy zaś, którzy je wdychali, zostali choć trochę znarkotyzowani. Czczą błogość roślin przyćmiła również umysły kierowców owej kawalkady, która jedynie dzięki wielkiemu szczęściu dotarła do pałacu, uprzednio przewróciwszy wiele ulicznych kramów fryzjerskich i wjechawszy przynajmniej w jedną herbaciarnię, stąd też Kifianie zachodzili w głowę, czy skoro te nowe bezkonne powozy zagrabiły już ulice, nie zechcą następnie opanować ich domów.

Wiatr z północy dmuchnął w olbrzymi, nader wrażliwy nos Salima, brata Dżamili, i taka go naszła senność, że zasnął w swoim pokoju; przegapił więc wydarzenia wieczoru, kiedy to, jak się dowiedział później, haszaszynowy wiatr wpłynął na zachowanie gości zaręczynowych, tak iż śmieli się konwulsyjnie i gapili prowokacyjnie na siebie spod ociężałych powiek; ociekający galonami generałowie siedzieli rozkraczeni na połączonych krzesłach i marzyli o raj. Ceremonia menhdi odbyła się pośród tak głębokiego sennego błogostanu, że nikt nie zauważył, kiedy pan młody zupełnie się odprężył i zlał się w spodnie; nawet kłótlivi badmaśe z PPO objęli się zgodnie i odśpiewali pieśń ludową. A kiedy Mutasim Przystojny, owładnięty pożądliwością ziela haszyszu, usiłował się wśliznąć za wielkie złote jedwabne prześcieradło z jedną jedyną dziurą, major Alauddin Latif powstrzymał go z błogą jowialnością, bo wprawdzie nie pozwolił mu obejrzeć twarzy Dżamili Śpiewaczki, ale też nie rozkwasił mu

nosa. Wieczór dobiegł końca, kiedy wszyscy goście usnęli przy stołach; promieniejący sennie Latif zaprowadził Dżamilę Śpiewaczkę na jej pokoje.

Wraz z wybiciem północy Salim się obudził i spostrzegł, że nadal ściska w prawej ręce magiczny pergamin Mutasima Przystojnego; a ponieważ wiatr z północy nadal zawiewał delikatnie do jego pokoju, Salim postanowił podkraść się w ćappalach i w koszuli nocnej przez zaciemnione korytarze wspaniałego pałacu, obok nagromadzenia ruin niszczącego świata, rdzewiejących zbroi i wiekowych gobelinów, co przez całe stulecia stanowiły pożywkę biliona pałacowych moli, obok wielkiej ryby mahasir pływającej w szklanym morzu oraz licznych trofeów myśliwskich, łącznie z wypchanym złotym ptakiem titar na tekowym cokole dla upamiętnienia dnia, w którym poprzedni nabab, w towarzystwie lorda Curzona i jego drużyny, ustrzelił ich sto jedenaście, sto jedenaście titarów w jeden dzień; przemknął się pod statuetkami martwych ptaków do komnat zenany, gdzie spały damy pałacowe, po czym węsząc w powietrzu wybrał drzwi, przekręcił gałkę i wszedł do środka.

Stało tam olbrzymie łóżko z powiewającą moskitierą w snopie bezbarwnego światła oszłamiającego o północy księżyc; Salim podszedł i zaraz się zatrzymał, bo dostrzegł w oknie sylwetkę mężczyzny, usiłującego wtargnąć do pokoju. Mutasim Przystojny upojony aż do bezwstydu swoją miłością i wiatrem haszaszin postanowił spojrzeć na twarz Dżamili choćby za najwyższą cenę... Wtedy Salim, niewidoczny w cienistym pokoju, zawołał: – Ręce do góry! Bo strzelam! – Salim oczywiście blefował; ale Mutasim, który nadal miał ręce, podtrzymujące cały jego ciężar, zaczepione o parapet, nie mógł tego wiedzieć, toteż musiał rozstrzygnąć dylemat: wisieć dalej i dać się zastrzelić, czy też puścić się i spaść? Próbował odeprzeć atak: – Ty sam nie powinienes tu być – rzucił. – Powiem begam Aminie. – Rozpoznał bowiem głos nieprzyjaciela; lecz Salim wytknął mu słabość jego pozycji, na co Mutasim uderzył w błagalny ton: – Dobra, tylko nie strzelaj – i dostał zgodę na odwrót tą samą drogą, którą przyszedł. Po tym dniu Mutasim przekonał swojego ojca, aby ten złożył formalną ofertę matrymonialną rodzicom Dżamili; dziewczyna jednak, urodzona i wychowana bez miłości, nadal żywiła zadawnioną nienawiść do wszystkich, którzy ją rzekomo kochają, i dała mu kosza. Opuścił więc Kif i przybył do Karaczi, ale ona nie chciała słuchać jego nachalnych prośb; na ostatku wstąpił do wojska i stał się męczennikiem wojny roku 1965.

Tragedia Mutasima Przystojnego jest wszakże tylko ubocznym wątkiem naszej opowieści; bo teraz Salim i jego siostra zostali sami, a ona, obudzona wymianą zdań między dwoma młodzieńcami, zapytała: – Salim, co tu się dzieje?

Salim podszedł do łóżka siostry; wymacał jej rękę; i wcisnął pergamin. Dopiero wtedy Salim, któremu księżyc i przesycony namiętnością wiatr rozwiązały język, zaniechał wszelkiej czystości i wyznał miłość siostrze słuchającej z otwartymi ustami.

Zapadło milczenie; po czym Dżamila zawołała: – O, nie, jak możesz – lecz magia pergaminu zmagala się z siłą jej nienawiści do miłości; chociaż więc ciało jej się napreżyło, rozedrgane jak u zapaśniczki, wysłuchiwała jego wyjaśnień, że nie ma w tym grzechu, że wszystko obmyślił i że przecież nie są naprawdę rodzeństwem; w jego żyłach płynie inna krew niż w jej żyłach; owiany wiatrem owej szalonej nocy usiłował rozplatać wszystkie supły, których nawet wyznanie Marii Pereiry nie zdołało rozwiązać; ale wiedział, że jego słowa brzmią pusto i zdał sobie sprawę, że chociaż formalnie mówi prawdę, istnieją też inne prawdy, znacznie ważniejsze, albowiem uświęcone czasem; i chociaż nie dał Dżamili powodów do wstydu ani przerażenia, dostrzegł ślady obu tych uczuć na jej czole, wyczuł je na jej skórze, a co gorsza, dostrzegł je i wyczuł na sobie. Toteż w końcu nawet magiczny

pergamin Mutasima przystojnego nie posiadał dość mocy, by połączyć Salima Sinai i Dżamilę Śpiewaczkę; chłopak opuścił pokój ze schyloną głową, ścigany jej zdumionym spojrzeniem łani; po pewnym zaś czasie skutki uroku znikły doszczętnie i wtedy Dżamila wymierzyła mu straszliwą zemstę. Kiedy wychodził z pokoju, korytarze pałacowe wypełnił naraz pisk świeżo zaręczonej księżniczki, która obudziła się ze snu o nocy poślubnej, gdyż jej wyśnione łóżko małżeńskie zostało nagle w niewyjaśniony sposób zalane smrodliwym żółtym płynem; następnie zasięgnęła języka, a kiedy poznała proroczą prawdę swojego snu, postanowiła nigdy nie osiągnąć pokwitania za życia Zafara, ażeby pozostać we własnej pałacowej sypialni i uniknąć obrzydliwie cuchnącego horroru jego słabości.

Nazajutrz rano obaj badmaśe z Połączonej Partii Opozycyjnej obudzili się na powrót we własnych łóżkach; ale kiedy się ubrali i otworzyli drzwi komnaty, ujrzeli pod nimi dwóch największych osiłków spośród żołnierzy Pakistanu, stojących bez ruchu ze skrzyżowanymi karabinami, zagradzających wyjście. Badmaśe krzyczeli i błagali, ale żołnierze stali na posterunku aż do zamknięcia urn wyborczych; po czym dyskretnie znikli. Badmaśe odszukali nababa, znaleźli go w jego niezrównanym ogrodzie róż; wymachiwali rękami, podnosili głos; padły słowa o pogwałceniu sprawiedliwości i machlojce wyborczej; a także o szykanach; nabab pokazał im na to trzynaście nowych odmian róż kifiańskich osobiście przez siebie skrzyżowanych. Ci pienili się dalej – śmierć-demokracji, autokratyczna-tyrania – a on uśmiechnął się tylko łagodnie, jak najłagodniej, i rzekł: – Drodzy przyjaciele, wczoraj moja córka została przyrzeczona Zafarowi Zulfikarowi; mam nadzieję, że niebawem moja druga córka poślubi umiłowanego syna naszego prezydenta. Pomyślcie zatem: cóż by to był dla mnie za dyshonor, cóż za plama na moim imieniu, gdyby choć jeden głos w Kifie padł przeciwko mojemu przyszłemu krewniakowi! Przyjaciele, jestem człowiekiem dbającym o honor; zostańcie więc w moim domu, jedzcie, pijcie; ale nie żądajcie tego, czego nie mogę wam dać.

Od tamtej pory wszyscy żyliśmy szczęśliwie... tak czy owak, nawet bez tego tradycyjnego baśniowego finału, moja opowieść zaiste kończy się fantazją; bo kiedy Podstawowi Demokraci dopełnili swojego obowiązku, gazety – „Dżang”, „Dawn”, „Pakistan Times” – ogłosiły druzgoczące zwycięstwo prezydenckiej Ligi Muzułmańskiej nad Połączoną Partią Opozycyjną, Madar-i-Millat; niewątpliwy dowód dla mnie, że należałem do iście najskromniejszych żonglerów faktami; oraz że w kraju, gdzie prawda jest tym, czym nakazuje jej się być, rzeczywistość przestaje dosłownie istnieć, zatem wszystko jest możliwe, tyle że sprawy mają się tak, jak nam się mówi; może tu właśnie leżała różnica między moim indyjskim dzieciństwem a pakistańską młodością – w pierwszym okresie otaczała mnie nieskończoność alternatywnych rzeczywistości, w drugim natomiast dryfowałem bezradnie pośród równie nieskończonej liczby fałszów, nierzeczywistości i kłamstw.

Mały ptaszek szepcze mi do ucha: – Bądź sprawiedliwy! Żaden człowiek ani też żaden kraj nie ma monopolu na nieprawdę. – Przyjmuję te słowa krytyki; wiem, wiem. A po wielu latach dowiedziała się tego i Wdowa. I Dżamila: dla której to-co-zostało-uświęcone-jako-prawda (za sprawą czasu, nawyku, wyroku babki, braku wyobraźni, aprobaty ojca) okazało się bardziej wiarygodne niż to, co sama za prawdę uważała.

Jak Salim osiągnął czystość

Co jeszcze czeka na opowiedzenie: powrót cykadełka. Teraz jednak czas liczy się do końca, a nie do narodzin; należy również wspomnieć o zmęczeniu, o wyczerpaniu tak przejmującym, że jedynie koniec może przynieść rozwiązanie, albowiem z ludzi, podobnie jak z całych narodów i postaci fikcyjnych, czasem po prostu uchodzi para, a wtedy nie pozostaje nic innego, jak z nimi skończyć.

Jak okruczeństwo oderwał się i Salim osiągnął czystość... zegar znów tyka; a ponieważ każde odliczanie wstecz musi dojść do zera, pozwolę sobie stwierdzić, że koniec nastąpił 22 września roku 1965; oraz że dotarcie-do-punktu-zerowego nastąpiło nieuchronnie wraz z wybiciem północy. Aczkolwiek stary zegar dziadka w domu ciotki Aliji, który idealnie odmierzał czas, tyle że zawsze dzwonił o dwie minuty później, nie miał okazji wybić tej godziny.

Moja babka, Nasim Aziz, przyjechała do Pakistanu w połowie roku 1964, uszedłszy z Indii, w których śmierć Nehru pociągnęła za sobą ostrą walkę o władzę. Morardzi Desai, minister finansów, oraz Dźagdźiwan Ram, najpotężniejszy spośród niedotykalnych, połączyli siły w determinacji, aby nie dopuścić do utworzenia dynastii rodziny Nehru; toteż Indirę Gandhi odsunięto od przywództwa. Nowym premierem został Lal Bahadur Śastri, kolejny przedstawiciel owego pokolenia polityków, którzy zamarynowali się poniekąd w nieśmiertelności; w przypadku jednak Śastriego była to tylko maja, ułuda. Zarówno Nehru, jak Śastri dowiedli niezbitcie własnej śmiertelności; została jednak cała rzesza innych, którzy ściskają Czas w zmumifikowanych palcach i nie wypuszczają z rąk... w Pakistanie wszakże zegary cykały i tykały.

Czcigodna Matka nie pochwałała otwarcie kariery mojej siostry; za bardzo jej pachniała gwiazdorstwem filmowym.

– Jeszcze trudniej, jakmutam – wzdychała do mumani Piji – panować nad moją rodziną niż nad cenami benzyny.

W głębi duszy wszakże mogło jej to imponować, bo darzyła respektem siłę i status, a Dżamila cieszyła się teraz taką renomą, że zapraszano ją do najznamienitszych i najbardziej wpływowych domów w całym kraju... babka osiedliła się w Rawalpindi; zademonstrowała jednak dziwną zaiste niezależność, bo nie wprowadziła się bynajmniej do domu generała Zulfikara. Wraz z ciotką Piją zamieszkała w skromnym bungalowie w starej części miasta; po czym obie zebrały oszczędności i nabyły koncesję na wymarzoną od dawien dawna stację benzynową.

Nasim nie wspominała słowem o Aadamie Azizie ani nie wyrażała żalu po jego stracie; zupełnie jakby przyjęła z ulgą, że mój gderliwy dziadek, który za młodu gardził ruchem na rzecz Pakistanu i który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa winił Ligę Muzułmańską za śmierć swojego przyjaciela, Mijana Abdullaha, poprzez śmierć dał żonie zgodę na samotny wyjazd do Kraju Czystych. Odwróciwszy się od przeszłości Czcigodna Matka skupiła się na benzynie i oleju. Stacja była świetnie usytuowana, opodal wielkiej trasy przelotowej samochodów ciężarowych Rawalpindi – Lahaur; prosperowała znakomicie. Pija i Nasim pełniły na zmianę całodzienne dyżury w szklanym kantorku kierownika, a obsługujący tankowali samochody i ciężarówki wojskowe. Obie panie stworzyły magiczną kombinację.

Pija przyciągała klientów blaskiem swej urody, która uporczywie nie gasła; Czcigodna Matka natomiast, którą wdowieństwo przeobraziło w osobę bardziej przejętą życiem innych ludzi niż własnym, zapraszała klientów do szklanego kantorku na filiżankę różowej kaszmirskiej herbaty; przyjmowali zaproszenie nie bez obaw, ale kiedy stwierdzali, że starsza pani nie zamierza ich wcale zanudzać rozwlekłymi reminiscencjami, odprężali się, rozwiązywały im się kołnierzyki i języki, a Czcigodna Matka nurzała się do woli w zbawiennym zapomnieniu żywotów innych ludzi. Rychło stacja obrosła sławą w całej okolicy, kierowcy nakładali wręcz czasem drogi, żeby z niej skorzystać – niekiedy nawet dwa dni pod rząd, żeby nacieszyć oczy swoją boską ciotką, a także wylać żal przed nieskończone cierpliwą babką, która nabrała wchłaniających cech gąbki, toteż zawsze czekała, aż goście skończą, zanim wycisnęła z własnych ust kilka kropel prostej, stanowczej rady – kiedy więc obsługujący napełniali samochody klientów benzyną i pucowali je do czysta, babka dolewała im samym paliwa i doprowadzała do połysku ich żywoty. Zasiadała w szklanym konfesjonale i rozwiązywała problemy świata; przy czym jej rodzina przestała się jakby liczyć.

Wąsata, matriarchalna, dumna: Nasim Aziz znalazła własną metodę radzenia sobie z tragedią; lecz znalazłszy ją padła jako pierwsza ofiarą owego ducha obojętnego znużenia, za którego sprawą koniec stanowił jedyne rozwiązanie. (Tik, tak)...Wszelako pozory wskazywały na to, że babka nie ma najmniejszego zamiaru podążyć w ślad za mężem do ogrodu kamforowego, zarezerwowanego dla prawych ludzi; bardziej już chyba przypominała matuzaleмовych przywódców porzuconych przez nią Indii. Rozrastała się coraz bardziej i to w zatrważającym tempie; w końcu wezwano budowniczych, żeby powiększyli jej oszklony kantorek.

– Od razu stawiajcie jak największy – zleciła im z rzadkim u siebie przebłyskiem humoru.
– Może przyjdzie mi tu sterczeć ze sto lat, jakmutam, a jeden Allah wie, jak się wtedy rozrosnę; nie chciałabym wam zawracać głowy co dziesięć-dwanaście lat.

Pija Aziz nie zadowolala się wszakże „stacją-szmacją”. Nawiązywała coraz to nowe romanse z pułkownikami gracjami-w-krykieta amatorami polo dyplomatami, co łatwo było ukryć przed Czcigodną Matką, którą interesowali teraz wyłącznie obcy ludzie; dostało się to wszakże na języki mieszkańców małego bądź co bądź miasteczka. Ciotka Emeralda usiłowała przywołać Piję do porządku; na co usłyszała w odpowiedzi:

– Chciałabyś, żebym wiecznie szlochała i rwała sobie włosy z głowy? Jestem jeszcze młoda; a młodzi powinni się trochę wyszumieć.

Emeralda z zaciśniętymi ustami:

– Ale miejże odrobinę godności... dobre imię rodziny...

Na co Pija potrząsnęła głową.

– Sama sobie miej godność, siostró – odparła. – Ja chcę żyć.

Mnie się jednak zdaje, że w tej pewności siebie Piji krył się jakiś fałsz; że i ona czuła, jak jej osobowość odpływa z wiekiem; że jej gorączkowe romansowanie stanowiło ostatnią rozpaczliwą próbę zachowania „fasonu” – na miarę kobiety jej pokroju. Nie wkładała w te romanse serca; gdzieś w głębi duszy i ona czekała na koniec... Cała nasza rodzina była zdana na pastwę obiektów spadających z nieba, odkąd Ahmed Sinai dostał w twarz ręką upuszczoną-przez-sępa; a przecież tylko rok dzielił nas od gromów z jasnego nieba.

Po wiadomości o śmierci dziadka i po przybyciu Czcigodnej Matki do Pakistanu jęły mnie systematycznie nawiedzać sny o Kaszmirze; chociaż nigdy przedtem nie spacerowałem po ogrodach Śalimaru, teraz przechadzałem się po nim nocami; pływałem śikarą i wspinałem się na wzgórze Śankaraćarji tropem dziadka; widywałem korzenie lotosu i góry jak wyszczerzone

złowieszczo kły. Można to uznać za kolejny przejaw oddalenia, które miało osiągnąć nas wszystkich (wyjąwszy Dżamilę, gdyż Bóg i nowy kraj utrzymywały ją przy życiu) – świadectwo wyobcowania mojej rodziny zarówno z Indii, jak i z Pakistanu. W Rawalpindi moja babka popijała różową herbatę kaszmirską; w Karaczi jej wnuka omywały wody jeziora, którego nie widział na oczy. Niebawem sen o Kaszmirze miał się rozlać po głowach reszty mieszkańców Pakistanu; więź-z-historią nie zamierzała mi popuścić, toteż w roku 1965 mój sen stał się własnością całego narodu, czynnikiem, który odegrał pierwszorzędną rolę w nadchodzącym końcu, kiedy to najróżniejsze obiekty spadły z niebios, a ja nareszcie dostąpiłem oczyszczenia.

Salim nie mógłby doprawdy upaść niżej: czułem na sobie plugawy odór własnych bezeceństw. Przybyłem do Kraju Czystych, a szukałem towarzystwa prostytutek – powinienem raczej wykuwać sobie nowe, prawe życie, spłodziłem natomiast niewysłowioną (a do tego nie odwzajemnioną) miłość. Owładnięty zaczątkami wielkiego fatalizmu, który miał mnie niedługo opętać, jeździłem po mieście Lambretta; w miarę możliwości Dżamila i ja unikaliśmy się nawzajem, bo po raz pierwszy w życiu nie potrafililiśmy zamienić ze sobą słowa.

Czystość – ten najwznioślejszy ideał! – ta anielska cnota, od której Pakistan wzięła swoją nazwę, a którą ociekała każda nuta w piosenkach mojej siostry! – wydawała się jakże odległą; skąd mogłem wiedzieć, że historia – obdarzona mocą przebaczenia grzesznikom – odlicza akurat wstecz, zmierzając ku chwili, w której jednym pociągnięciem oczyści mnie od stóp do głów?

Tymczasem ujawniały się inne siły; Alija Aziz zaczęła folgować swojej straszliwej, staropanieńskiej zemście. Dni Guru Mandir: zapachy betelu, aromaty kuchenne, dusząca woń cienia rzucanego przez minaret, długi, wskazujący palec meczetu: kiedy nienawiść ciotki Aliji do mężczyzny, który ją porzucił, i do siostry, która za niego wyszła, tak urosła, że stała się widzialna i namacalna, rozsiadła się na dywanie jej salonu niczym gigantyczny gekon, zalatując wymiocinami; ale najwyraźniej tylko ja ją czułem, bo wprawa Aliji w grze pozorów rozwinęła się tak gwałtownie jak zarost na jej twarzy oraz zręczność w stosowaniu plastrów, którymi co wieczór wyrывała sobie korzonki owej brody.

Nie wolno również bagatelizować wpływu ciotki Aliji – poprzez jej szkołę i college – na losy narodów. Przelewając swoje staropanieńskie frustracje na program, mury, a także uczniów jej bliźniaczych placówek oświatowych, wychowała plemię dzieci i młodzieży, które czuło w sobie pradawną mściwość, chociaż nie bardzo rozumiało jej przyczyny. O, wszechobecna zapiekłoci ciotek żyjących w staropanieństwie! Wzarała się ona w ściany domu; meble aż się wypuczyły pod kłującą tapicerką zgryźliwości; staropanieńskie słumienie zostało wszyte w ściegi zasłon. Tak jak niegdyś w czyjeś niemowlęce ciuszki. Gorycz dobywała się ze szczelin ziemi.

Co sprawiało przyjemność ciotce Aliji: gotowanie. Co wyniosła przez lata samotnego szaleństwa do rangi sztuki: nasycenie potraw emocjami. Komu ustępowała miejsca pod względem osiągnięć w tej dziedzinie: mojej dawnej niani, Marii Pereirze. Kto dzisiaj prześcignął obie stare kucharki: Salim Sinai, mistrz marynowania w zakładach marynat Braganza... wszakże kiedy mieszkaliśmy w jej rezydencji Guru Mandir, karmiła nas birjani pełnymi waśni i koftami nargizi faszzerowanymi niezgodą; nic dziwnego, że pomału rozstroiła się nawet harmonia jesiennej miłości moich rodziców.

Wypada jednak powiedzieć też dobre słowo o ciotce. W kwestiach politycznych grzmiąca przeciwko rządóm-wojskowym-rozkazów; gdyby więc nie miała generała za szwagra, pewno

odebrano by jej zarówno szkołę, jak i college. Nie chciałem jej pokazywać wyłącznie przez mroczny pryzmat osobistego zgnębienia: jeździła z wykładami po Związku Radzieckim i po Ameryce. No i przyrządzała pyszne jedzenie. (Mimo ukrytych ingrediencji.)

Jednakże aura i jedzenie w naszym ocienionym-meczetem domu zaczęły zbierać żniwo... Salim pod wytrącającym w dwójnasób z równowagi wpływem swojej horrendalnej miłości i kuchni Aliji czerwienił się jak burak za każdym razem, kiedy siostra ukazała mu się w myślach; tymczasem Dżamila owładnięta nieświadomą tęsknotą za świeżym powietrzem i jadłem nie doprawionym mrocznymi uczuciami, spędzała tam coraz mniej czasu, objeżdżała bowiem cały kraj (z pominięciem wszakże Wschodniego Skrzydła) z koncertami. Przy tych niezmiernie już rzadkich okazjach, kiedy rodzeństwo znalazło się w jednym pokoju, oboje podskakiwali ze zdziwienia centymetr nad podłogą, po czym opadając wbijali gniewny wzrok w miejsce, nad którym skakali, jak gdyby naraz rozgrzało się niczym piec chlebowy. W wielu zresztą sytuacjach zachowywali się tak, iż sens ich zachowania byłby aż nadto przejrzysty, gdyby nie fakt, że pozostali lokatorzy tego domu mieli głowy zaprzątnięte czym innym: Dżamila na przykład nie zdejmowała w domu złoto-białej zasłony podróżnej, dopóki się nie upewniła, że brat wyszedł, nawet jeśli kręciło jej się w głowie z gorąca; z kolei Salim – który nadal jak jakiś niewolnik dostarczał jej zakwaszony chleb z klasztoru Świętej Ignacji – unikał wręczania tych bochenków osobiście; czasem prosił swoją jadowitą ciotkę o pośrednictwo. Alija przyglądała mu się z rozbawieniem i pytała:

– Co ci jest, chłopcze? Chyba nie masz choroby zakaźnej?

Salim oblewał się natychmiast pąsem w obawie, że ciotka odgadła tajemnicę jego schadzek z płatnymi kobietami; może zresztą i odgadła, ale grała o wyższą stawkę.

...Wyrobił też w sobie predylekcję do zapadania w długie, melancholijne milczenie, przerywane nagłymi wybuchami, niosącymi nic nie znaczące słowa: – Nie! – lub – Przecież! – bądź jeszcze bardziej enigmatyczne okrzyki, takie jak: – Bach! – czy – Łubudu! – Bezsensowne słowa pośród obłoków ciszy: jak gdyby Salim prowadził tak intensywny dialog wewnętrzny, że jego urywki czy też spowodowane przezeń cierpienie kipiały mu co jakiś czas na powierzchni ust. Wewnętrzne zwaśnienie pogłębiało się niewątpliwie za sprawą niepokojów w sosie curry, które byliśmy zmuszeni jeść; kiedy więc doszło do tego, że Amina potrafiła już tylko rozmawiać z niewidzialnymi skrzyniami na bieliznę, Ahmed w osamotnieniu apopleksji niemal wyłącznie ślinił się i chichotał, ja zaś milcząco spozierałem spode łba, zanurzony we własnej izolacji, ciotka musiała się czuć aż nazbyt usatysfakcjonowana skutecznością swojej zemsty na klanie Sinaich; chyba że i ona uległa drenażowi poprzez spełnienie trawiącej ją od dawna ambicji; w takim razie i jej się wyczerpały możliwości, i w jej krokach dźwięczało echo pustki, kiedy stąpała majestatycznie po swoim domu wariatów, z brodą oblepioną plastrami usuwającymi zarost, podczas gdy jej siostrzenica podskakiwała na ni-stąd-ni-zowąd rozżarzonych spłachetkach podłogi, jej siostrzeniec wykrzykiwał raptem: – Hura!, jej niegdysiejszy absztyfikant ślinił się po brodzie, Amina zaś witała wskrzeszone na nowo duchy przeszłości: – A, więc to znów ty; niech i tak będzie. Nic w przyrodzie nie ginie.

Tik, tak... W styczniu 1965 roku moja matka, Amina Sinai, stwierdziła, że znów jest po siedemnastoletniej przerwie w ciąży. Kiedy zyskała co do tego pewność, podzieliła się dobrą nowiną ze swoją starszą siostrą, Aliją, dając ciotce sposobność do wymierzenia zemsty. Nie wiadomo, co Alija powiedziała matce; co dosypała dojadła, też musi pozostać w sferze domysłów; jedno jest pewne, że skutki były dla Aminy zabójcze. Jęły ją nękać sny o dziecku potworze z kalafiorom zamiast mózgu; opadły ją widziadła Ramrama Setha i ponownie

zaczęła ją doprowadzać do szaleństwa przepowiednia o dwugłowym dziecku. Matka miała wtedy czterdzieści dwa lata; a strach (zarówno ten naturalny, jak i ten wywołany-przez-Aliję) przed rodzeniem w takim wieku dziecka zmącił jasną aurę, która ją opromieniała, odkąd jej czułość tchnęła w jej męża pełną miłości jesień życia; pod wpływem kormy zaprawionej mściwością ciotki – z domieszką kardamonu, a także złych przeczuć – matka nabrała obaw o własne dziecko. Wraz z upływem miesięcy jej czterdzieści dwa lata zebrały straszliwe żniwo; z dnia na dzień rosło brzemię tych czterech krzyżyków, przytłaczając ją jej własnym wiekiem. W drugim miesiącu posiwała. W trzecim twarz jej się ściągnęła na podobieństwo gnijącego owocu mango. W czwartym miesiącu była już starą kobietą, pomarszczoną i grubą, znów nękaną odciskami, a na całej twarzy sypnął jej się nieuchronnie zarost; ponownie spowiła ją niejako mgła wstydu, jak gdyby dziecko było czymś hańbiącym dla kobiety w tak zaawansowanym wieku. Kiedy w jej łonie rosło dziecko owych trudnych dni, zwiększał się też kontrast między jego młodzieńczym, a jej późnym wiekiem; wtedy to zapadła się w stary trzcinowy fotel i zaczęła przyjmować wizyty zjaw przeszłości. Rozpad matki porażał swoją gwałtownością; Ahmed Sinai, przyglądając mu się bezradnie, poczuł się naraz zdeprymowany, zdany na łaskę losu, zdeorientowany.

Nawet teraz niełatwo mi pisać o tych dniach kresu możliwości, kiedy to ojciec stwierdził, że fabryka ręczników sypie mu się w rękach. Skutki kulinarnego czarnoksięstwa Aliji (docierające doń zarówno przez żołądek, kiedy jadł, jak i przez oczy, kiedy patrzył na żonę) objawiły się w nim aż nazbyt wyraźnie: opuścił się w kierowaniu fabryką i zadarł z personelem.

Podsumowując upadłość Ręczników Firmy Amina: Ahmed Sinai zaczął się odnosić do swoich pracowników równie apodyktycznie jak niegdyś w Bombaju, kiedy traktował służbę z góry, a zatem wpajał w mistrzów tkackich i asystentów pakowaczy na równi odwieczne prawdy o zależności pana i sługi. Wskutek tego pracownicy jęli odchodzić od niego stadami, powiadając na przykład: – Nie jestem pańskim czyścicielem latryn, sahibie, tylko wykwalifikowanym, dyplomowanym tkaczem – i generalnie rzecz biorąc nie okazywali mu wdzięczności należnej za to, że ich łaskawie zatrudnił. W szponach odurzającego gniewu pakowanych przez ciotkę drugich śniadań, rozpuścił ich wszystkich, a najął bandę przebrzydłych obiboków, którzy podkradali szpule bawełny i części maszyn, ale za to skwapliwie gięli się w ukłonach na każde zawołanie; toteż procent wybrakowanych ręczników podskoczył zatrważająco, nie dotrzymywano umów, zmalała gwałtownie liczba ponownych zamówień. Ahmed Sinai znosił do domu całe góry – Himalaje! – odrzutów, bo magazyn fabryczny pękał w szwach od nadmiaru wybrakowanych towarów; Ahmed znów zaczął pić i już latem tego samego roku dom w Guru Mandir zalały dawne sprośności jego walki z džinnami, a my się musieliśmy przeciskać obok masywów wielkości Everest i Nanga-Parbat spartaczonego frotte, które zawałało przejścia i hall.

Trafiliśmy zatem na łono kipiącego od dawna na wolnym ogniu gniewu grubej ciotki; z wyjątkiem Dżamili, która się uchroniła dzięki swym długim nieobecnościom, wszystkim nam zgotowano jednaki marny los. Nastąpił trudny, zdumiewający okres, w którym miłość rodziców rozpadła się pod zmasowanym ciężarem ich nowego dziecka oraz zadawnionych urazów ciotki; zamęt i upadek, wyciekające przez okna naszego domu, zawładnęły z wolna sercami i umysłami całego narodu, kiedy więc nadeszła wojna, spowiła ją taka sama zamroczona mgiełka nierzeczywistości, w jakiej przyszło nam już wcześniej żyć.

Ojciec zbliżał się pomału do ataku apopleksji; lecz nim jeszcze bomba eksplodowała mu w głowie, nastąpił inny wybuch: w kwietniu 1965 roku dowiedzieliśmy się o dziwnych

incydentach w Ran Kaćh. Kiedy miotaliśmy się niczym muchy w pajęczynie ciotczynej zemsty, młyny historii nie przestawały mleć. Reputacja prezydenta Ajuba była już poważnie nadszarpnięta: rozbrzęczały się pogłoski o jego nadużyciach wyborczych w roku 1964 i nie dało się ich uciszyć packą. Wynikła też kwestia syna prezydenta: Gauhara Ajuba, którego owiane tajemnicą Zakłady Gandhara uczyniły z dnia na dzień „multi-multi”. O, nieskończony ciągu niegodziwych synów-wielkich-ludzi! Gauhar z tą swoją buńczucznością i oracjami; a później w Indiach Sandżaj Gandhi ze swoją Fabryką Samochodów Maruti i Kongresem Młodzieży; a już zupełnie niedawno Kanti Lal Desai... synowie wielkich ludzi doprowadzają do zguby swoich rodziców. Wszak i ja mam syna; Aadam Sinai z bezprecedensową brawurą odwróci tę tendencję. Synowie mogą być nie tylko gorsi od swoich ojców, ale i lepsi... jednakże w kwietniu 1965 roku w powietrzu aż bzyczało od omylności synów. Czyżże więc syn 1 kwietnia sforsował mury Domu Prezydenta – jakież to nieznanne ojciec spłodził plugawego gagatka, który podbiegł do prezydenta i strzelił mu z pistoletu w brzuch? Historia spuszcza miłosierną zasłonę na niektórych ojców; tak czy owak, zabójca nie dopiął swego, bo cud sprawił, że broń mu się zacięła. Policja zabrała tego czyjegoś syna, żeby mu wyrwać kolejno wszystkie zęby, żeby podpalić mu paznokcie; zapewne przykładano mu do czubka penisa rozżarzone koniuszki papierosów, toteż niezbyt chyba pocieszywego bezimiennego, niedoszłego mordercę fakt, że porwała go po prostu fala historii, na której synowie (wielcy i mali) częstokroć postępują wyjątkowo podle. (Nie: bynajmniej nie wyłączam stąd siebie.)

Rozbrat między wiadomościami a rzeczywistością: gazety cytowały zagranicznych ekonomistów – PAKISTAN WZOREM DLA NOWO POWSTAJĄCYCH PAŃSTW – tymczasem chłopci klęli ile wlezie (choć nie doszło to do prasy) na tak zwaną „zieloną rewolucję”, utrzymywali bowiem, że prawie wszystkie dopiero-co-odwiercone studnie są bezużyteczne, zatrute, a ponadto wykopane w niewłaściwych miejscach; kiedy więc we wstępniakach sławiono uczciwość przywódców państwowych, pogłoski, namolne jak muchy, huczały o kontaktach w bankach szwajcarskich i nowych amerykańskich samochodach syna prezydenta. Dziennik Karaczi „Dawn” („Świt”) zapowiadał inny świt – DOBRE STOSUNKI INDO-PAK TUŻ ZA ROGIEM? – natomiast w Ran Kaćh kolejny nieudany syn odkrywał coś wręcz przeciwnego. W miastach: miraże i kłamstwa; na północy, w wysokich górach, Chińczycy budowali drogi i planowali wybuchy jądrowe; czas jednak przejść od ogółu do szczegółu; czyli, ściśle rzecz biorąc, do syna generała, mojego kuzyna, siusmajtka Zafara Zulfikara. Który między kwietniem a czerwcem stał się archetypem wszystkich, jakże licznych, niechlubnych synów tej ziemi; historia na jego przykładzie wskazywała również palcem Gauhara, przyszęłego-Sandżaja i mającego-nadejść-Kanti-Lala; no i, rzecz jasna, mnie.

A zatem – kuzyn Zafar. Z którym wiele mnie wówczas łączyło... serce przepełniała mi zakazana miłość; spodnie Zafara mimo jego wszelkich starań nieodmiennie przepełniało coś może bardziej namacalnego, lecz podobnie zakazanego. Ja marzyłem o mitycznych kochankach, zarówno spod szczęśliwej, jak i spod złej gwiazdy – o Szahdżahanie i Mumtaz Mahal, a także o parze z domów Monteków-i-Kapuletów; on zaś marzył o swojej kifiańskiej narzeczonej, której opóźniony czas pokwitania, nie nadchodzący mimo jej szesnastych urodzin, uczynił z niej w jego myślach fantazję niedosiężnej przyszłości... w kwietniu 1965 roku wysłano Zafara na manewry do kontrolowanej przez Pakistan strefy Ran Kaćh.

Okrucieństwo całego kontynentu wobec osób o słabym pęcherzu: Zafar, chociaż w randze porucznika, stał się pośmiewiskiem bazy wojskowej w Abbottabadzie. Krążyła tam anegdota, że polecono mu nosić wokół genitaliów gumowe ineksprymable na kształt balonu, żeby nie bezcześcił zaszczytnego munduru armii pakistańskiej; prości dżawanowie mijając go

wydymali policzki, jakby nadmuchiwali balon. (Wszystko to podał do wiadomości publicznej w oświadczeniu wygłoszonym w strugach łez już jako aresztowany za zabójstwo.) Niewykluczone, że pomysł odkomenderowania Zafara do Ran Kaćh pochodził od taktownego zwierzchnika, który starał się jedynie wydostać go spod ostrzału żarcików w Abbottabadzie... Niemożność utrzymania moczu skazała Zafara Zulfikara na zbrodnię równie haniebną jak moja. Kochałem siostrę; ona zaś... może jednak opowiem wszystko po porządku.

Od czasu podziału Ran pozostawał „spornym terytorium”; chociaż w gruncie rzeczy żadna ze stron nie miała serca do tego sporu. Na wzgórzach wzdłuż dwudziestego trzeciego równoleżnika, nieoficjalnej granicy, rząd pakistański postawił sznur strażnic przygranicznych, a w każdej samotny garnizon złożony z sześciu żołnierzy i jednej latarni. 9 kwietnia 1965 roku oddziały wojsk indyjskich zajmowały niektóre z tych strażnic; siły pakistańskie, a w ich liczbie mój kuzyn Zafar, przebywające w tym rejonie na manewrach, wdały się w osiemdziesięciodwudniową walkę o granicę. Wojna w Ran ciągnęła się aż do 1 lipca. Tyle mówią fakty; natomiast wszystko inne pokrywa w dwójnasób mętna mgielka nierzeczywistości i pozorów, która spowijała wszystkie zdarzenia owych dni, zwłaszcza wszystkie wypadki w fantasmagorycznym Ran... toteż relacja, którą zamierzam teraz przedstawić, pokrywająca się zasadniczo z wersją kuzyna Zafara, będzie prawdziwa jak mało która; jak mało która, wyjąwszy oczywista tę, którą nam się oficjalnie podaje.

...Kiedy młodzi żołnierze pakistańscy wkroczyli na bagniste tereny Ran, ich czoła zrosił zimny, lepki pot, na dobitkę poraziło ich zielonkawe światło niczym z dna morza; snuli sobie opowieści, które wzmagały tylko ich strach, legendy o okropieństwach, jakie miały miejsce w tej ziemnowodnej strefie, o demonicznych potworach morskich z rozjarzonymi ślepiami, o pół-kobietach, pół-rybach, które wsuwały swe rybie łby pod wodę i tak oddychały, a idealnie uformowane, nagie ludzkie dolne połowy ciała składały na brzegu, kusząc nieroztropnych mężczyzn do zgubnych aktów seksualnych, bo wiadomo przecież wszem i wobec, że nikt, kto się kochał z pół-kobietą-pół-rybą tego nie przeżyje... toteż kiedy dotarli do przygranicznych strażnic i przystąpili do wojny, stanowili wystraszoną czeredę siedemnastolatków, pewno więc rozbito by ich w proch, gdyby nie to, że indyjscy przeciwnicy jeszcze dłużej wdychali zielone powietrze Ran; toteż w tym czarnoksiężskim świecie rozegrano obłąkańczą wojnę, w której każda ze stron sądziła, iż widzi diabły wcielone stające do walki u boku wroga; wreszcie jednak wojska indyjskie skapitulowały; wielu żołnierzy zalało się łzami, szlochając: – Chwała Bogu, że już po wszystkim. – Opowiadali potem o wielkich, opasłych stworach, które zakradały się nocą pod strażnice, oraz o szybujących-w-powietrzu duchach topielców z girlandami wodorostów i muszlami w pępkach.

Oto słowa poddających się żołnierzy indyjskich, zasłyszane przez mojego kuzyna: – W końcu te strażnice były wyludnione; zobaczyliśmy, że są puste, no to weszliśmy do środka.

Tajemnica opuszczonych strażnic przygranicznych nie dziwiła z początku młodych żołnierzy pakistańskich, którzy mieli rozkaz je zajmować do czasu ich zluzowania przez nowe warty; przez siedem nocy spędzonych w jednej takiej strażnicy z pięcioma tylko dżawanami za towarzyszy mój kuzyn, porucznik Zafar, a właściwie jego pęcherz i kiszki wypróżniały się z histeryczną wprost częstotliwością. Jednakże te noce, wypełnione piskiem czarownic i niesamowitym, ukradkowym szuraniem w ciemnościach, doprowadziły sześciu młodzieniaszków do stanu takiego upodlenia, że nikt już się nie śmiał z mojego kuzyna, bo wszyscy jednako popuszczali w spodnie. Jeden z dżawanów szepnął zatrwożony podczas ich przedostatniej upiornej, złowrogiej nocy: – Wiecie, chłopaki, gdybym miał tu nawet sterczeń

dla chleba, to jak mi życie miłe też bym stąd nawiał!

Żołnierze tak się załamali w Ran, że trzęśli się dosłownie jak galareta i biły na nich siódme poty; dopiero jednak ostatniej nocy sprawdziły się ich najgorsze obawy, ujrzeni bowiem armię duchów wyłaniającą się ku nim z ciemności; stacjonowali na placówce położonej nad samym morzem, toteż w zielonkawej poświacie księżycy dostrzegli żagle statków-widm i upiornych łodzi dhow; następnie ta armia-widmo podeszła nieubłaganie mimo wrzasków naszych żołnierzy, przy czym zjawy niosły omszałe szkatuły i dziwaczne, zawoalowane lektyki wypełnione po brzegi niewidocznymi przedmiotami; a kiedy armia-widmo przestąpiła próg, kuzyn Zafar przypadł upiorom do nóg i jął straszliwie bełkotać.

Pierwszy upiór, który wszedł do strażnicy, był szczerbaty i miał za pasem zakrzywiony nóż; na widok żołnierzy w chacie oczy załśniły mu szkarłatną furią.

– Skaranie boskie! – ozwał się widmowy herszt. – A cóż wy tu, matkojebcy, robicie? Czyśmy was sowicie nie opłacili?

A więc nie duchy; szmuglerzy. Sześciu młodych żołdaków pojęło absurdalność swojego niechlubnego strachu, a chociaż próbowali się usprawiedliwiać przed sobą, hańba się dokonała... i teraz dochodzimy do sedna sprawy. W czym imieniu działali szmuglerzy? Czyje imię padło z ust herszta przemytników, aż oczy mojego kuzyna rozwarły się w trwodze? Czyj majątek, zbity na krzywdzie rodzin hinduskich uciekających w popłochu w roku 1947, pomnażał teraz te ciągnące wiosną-i-latem konwoje szmuglerów przez niestrzeżone Ran, a stamtąd do miast Pakistanu? Któryż to generał o twarzy Pulcinelli, z głosem cienkim jak ostrze brzytwy, wydawał rozkazy widmowym oddziałom?... Ograniczę się do faktów. W lipcu 1965 roku kuzyn Zafar wrócił na urlop do domu ojca w Rawalpindi; pewnego ranka szedł sobie powoli do sypialni ojca, dźwigając na barkach nie tylko wspomnienie tysiąca dziecięcych upokorzeń i ciosów; nie tylko hańbę całowyciowego bezwiednego moczenia; lecz również pewność, że to jego ojciec ponosi odpowiedzialność za-to-co-się-wydarzyło-w-Ran, kiedy Zafar Zulfikar padł w jednym wielkim bełkocie na podłogę. Mój kuzyn zastał ojca w wannie przy łóżku i poderżnął mu gardło długim, zakrzywionym nożem szmuglerów.

Ukryta za relacjami prasowymi – NASI CHWACCY ŻOŁNIERZE ODPARLI NIKCZEMNĄ NAPAŚĆ INDYJSKĄ – prawda o generale Zulfikarze obrosła widmowością i niejasnościami; opłacenie nadgranicznych strażników znalazło w gazetach taki oto wyraz: NIEWINNI ŻOŁNIERZE ZMASAKROWANI PRZEZ INDYJSKI FAUDŻ; bo któż by rozpuścił pogłoskę o aferze przemytniczej mojego wuja na wielką skalę? Który generał, który polityk nie posiadał radia tranzystorowego rodem z nielegalności mojego wuja, urządzeń klimatyzacyjnych i importowanych zegarków jego grzeszków? Generał Zulfikar poniósł śmierć; kuzyn Zafar poszedł do więzienia, przez co ominęło go małżeństwo z księżniczką Kifu, która nadal uporczywie wzbraniała się przed menstruacją, właśnie po to, aby uniknąć tego małżeństwa; a wypadki w Ran Kaćh stanowiły zarzewie, że się tak wyrażę, większego pożaru, który wybuchł w sierpniu, pożaru końca, w którym Salim wreszcie, aczkolwiek wbrew sobie, dostąpił nieuchwytniej czystości.

Jeżeli zaś chodzi o ciotkę Emeraldę: dostała zezwolenie na emigrację; już się do niej szykowała, z zamiarem wyjazdu do Suffolk w Anglii, gdzie miała zamieszkać u byłego oficera dowodzącego jej męża, brygadiera Dodsona, który zdziecinniawszy na starość począł spędzać czas w towarzystwie równie leciwych osobistości Indii z łońskich lat, oglądając dawne filmy z Darbaru w Delhi i z przyjazdu Jerzego V do Wrót Indii... już wyglądała pustki zapomnienia, nostalgii i angielskich zim, kiedy wybuchła wojna i rozstrzygnęła wszystkie

nasze problemy.

* * *

Pierwszego dnia „falszywego pokoju”, który miał trwać zaledwie trzydzieści siedem dni, Ahmed Sinai dostał ataku apopleksji. Sparaliżowało mu całą lewą stronę, wróciło mu też ślinienie się i chichot okresu niemowlęctwa; ponadto zaczął gadać od rzeczy, a wykazywał przy tym wyraźną preferencję dla brzydkich dzieciennych określeń na ekskrementy. Chichocząc: – Ka-ka! – i – Psi-psi! – mój ojciec doszedł do kresu swojej burzliwej kariery, zbłądziwszy po raz któryś, tym razem ostatni, a także przegrawszy walkę z dżinnami. Przesiadywał otepiałymi i rechoczącymi w stosach wybrakowanych ręczników swojego życia; w stosach tychże wybrakowanych ręczników moja matka, przygnieciona brzemieniem kolosalnej ciąży, spuszczała z przygnębieniem głowę, kiedy nawiedzała ją pianola Lili Sabarmati, duch jej brata Hanifa albo para rąk tańczących niby-ćmy-nad-płomieniem w krąg i w krąg nad jej rękami... Odwiedził ją komandor Sabarmati ze swoją dziwną pałeczką w dłoni, a Nussie-kaczka szeptała: – To koniec, Amino, siostrze! Koniec świata! – do wędnącego matczynego ucha... teraz więc przedarłszy się przez chorobliwą rzeczywistość moich pakistańskich lat, usiłując bodaj w najmniejszej mierze pojąć to, co zakrawało we mgłę zemsty ciotki Aliji na straszliwą, magiczną serię odwetów za wyrwanie naszych bombajskich korzeni, doszedłem do punktu, w którym muszę ci opowiedzieć o końcach.

Nie będę owijał w bawełnę: mam silne przekonanie, że ukryty cel wojny indopakistańskiej z roku 1965 prowadził ni mniej, ni więcej, tylko do starcia mojej spowitej mrokiem rodziny z powierzchnią ziemi. Aby zrozumieć niedawną historię naszych czasów, wystarczy prześledzić rozrzut bomb owej wojny wnikliwym, bezstronnym okiem.

Nawet koniec musi mieć swój początek; wszystko trzeba opowiadać w pewnej kolejności. (No i jest tu przy mnie Padma, która mityguje mnie za każdym razem, kiedy próbuję zacząć od ogona.) 8 sierpnia 1965 roku dzieje mojej rodziny zabrnęły w taką matnię, że to-czego-dokonał-rozrzut-bomb przyniosło jedynie zbawienną ulgę. Nie: muszę tu użyć owego ważkiego słowa: skoro mieliśmy zostać oczyszczeni, wypadki aż na taką skalę były zapewne konieczne.

Alija Aziz pałająca chęcią straszliwej zemsty; ciotka Emeraldy owdowiała, czekająca na wygnanie; czczy zmysłowość ciotki Piji i szklanokantorkowe wycofanie się babki, Nasim Aziz; kuzyn Zafar ze swą wieczyście prepubertalną księżniczką i perspektywą moczenia materaców w celach więziennych; wtórne zdziecinnienie mojego ojca i nawiedzone, przyspieszone starzenie się ciężarnej Aminy Sinai... wszystkie te potworne okoliczności miało wykurować przyjęcie przez rząd mojego snu o wizycie w Kaszmirze. Tymczasem bezlitosna odmowa siostry, by zadośćuczynić mojej miłości, doprowadziła mnie do czarnych zgoła myśli; w szponach nie znanego dotąd sobie lekceważenia własnej przyszłości oświadczyłem Wujowi Bufo, że chętnie wezmę za żonę tę z jego Bufiji, którą tylko dla mnie przeznaczy. (Tym samym wydałem wyrok na wszystkie; każdy bowiem, kto usiłuje zadzierzgnąć więzy z naszą rodziną, dzieli w końcu nasz los.)

Spróbuję porzucić tę tajemniczość. Należy się skoncentrować na pewnych niepodważalnych faktach. Ale na których? Czy 8 sierpnia, równo tydzień przed moimi osiemnastymi urodzinami, oddziały pakistańskie w cywilnym przebraniu przekroczyły linię zawieszenia broni w Kaszmirze, aby dokonać infiltracji sektora indyjskiego, czy też nie? W Delhi premier Śastri ogłosił, iż jest to „masowa infiltracja... dla dokonania tam przewrotu”;

na co Zulfikar Ali Bhutto, minister spraw zagranicznych Pakistanu, dał ripostę: – Kategorycznie zaprzeczamy jakiegokolwiek poparciu dla rdzennej ludności Kaszmiru w buncie przeciwko tyranii.

Skoro do tego doszło, jakie były pobudki? I znów wysypka możliwych wyjaśnień: narastający gniew wywołany incydem w Ran Kaćh; chęć rozstrzygnięcia raz-na-zawsze starego dylematu, kto-powinien-mieć-Wymarzoną-Dolinę?... Albo to, które nigdy nie trafiło do gazet: skutek wewnętrznych tarć politycznych w Pakistanie – rząd Ajuba się chwia, a wojna w takich wypadkach czyni cuda. Ten powód, ów czy może jeszcze inny? Aby sprawę uprościć, wysuwam dwie swoje przyczyny: wojna wybuchła, ponieważ mój sen o Kaszmirze przeniknął do fantazji naszych przywódców; ponadto nadal byłem nieczysty, a wojna miała mnie odsunąć od moich grzechów.

Dżihad, Padmo! Święta wojna!

Ale kto napadł? A kto się tylko bronił? W moje osiemnaste urodziny rzeczywistość znowu dostała porządnie w skórę. Z murów Czerwonego Fortu w Delhi indyjski premier (nie ten sam, który niegdyś napisał do mnie list) przysłał mi takie oto życzenia urodzinowe: „Przyrzekamy, że na siłę odpowiemy siłą i nie dopuścimy, aby agresja przeciwko nam odniosła zwycięstwo!” Tymczasem w Guru Mandir pozdrowiały mnie łaziki z głośnikami, gardłując przekonująco: – Damy odpór indyjskim najeźdźcom! Jesteśmy narodem wojowników! Jeden pathan; jeden pendżabski muzułmanin jest wart dziesięciu tych babu-pod-bronią!

Dżamilę Śpiewaczkę wezwano na północ, żeby śpiewała serenady naszym wartym-dziesięciu dżawanom. Służący zamalowuje na czarno okna; nocą ojciec w głupocie swojego wtórnego dzieciennienia otwiera okna i zapala światła. Przez szczeliny sypią się cegły i kamienie: moje podarki na osiemnaste urodziny. A wydarzenia ogarnia coraz większy zamęt: 30 sierpnia – czy oddziały indyjskie przekroczyły linię zawieszenia broni pod Uri, aby „wygonić pakistańskich najeźdźców”, czy też aby wszcząć atak? Kiedy 2 września nasi dziesięciokrotnie-lepsi żołnierze przekroczyli linię w Chamb, czy byli napastnikami, czy też nie?

Garść pewników: że głos Dżamili Śpiewaczki towarzyszył oddziałom pakistańskim idącym na śmierć; oraz że muezzini z minaretów – a tak, nawet przy Clayton Road – zaręczali, iż każdy, kto zginął na polu walki, szedł prosto do ogrodu kamforowego. Nad wszystkim górowała filozofia mudżahedu Sajjida Ahmada Barlewi; namawia się nas do poświęceń „takich jak nigdy dotąd”.

A w radio: co za zniszczenia, co za spustoszenia! W ciągu pierwszych pięciu dni wojny Głos Pakistanu podał, że zniszczono większą liczbę samolotów, niż Indie ich w ogóle posiadały; przez osiem dni Rozgłośnia Wszechindyjska wyrznęła do nogi całą armię pakistańską, a nawet szacunkowe straty w ludziach przewyższyły znacznie liczebność armii. Targany podwójnym obłędem wojny i swojego życia osobistego popadłem w rozpaczliwe myśli...

Wielkie poświęcenia: na przykład w bitwie o Lahaur? – 6 września oddziały indyjskie przekroczyły granicę w Wagah, poszerzając tym samym wydatnie front wojenny, który przestał się ograniczać do Kaszmiru; czy więc miały tu miejsce wielkie poświęcenia, czy też nie? Czy to prawda, że miasto było na dobrą sprawę bezbronne, bo zarówno wojska lądowe, jak i siły powietrzne Pakistanu znajdowały się na terenie Kaszmiru? Głos Pakistanu oznajmił: Pamiętny dzień! Niewątpliwa nauczka, że zwłoka prowadzi do zguby! Hindusi, ufni, że zdobędą miasto, zrobili sobie przerwę śniadaniową. Rozgłośnia Wszechindyjska obwieściła

już upadek Lahauru; tymczasem prywatny samolot wytropił zajętych śniadaniem najeźdźców. Kiedy radio BBC podchwyciło wersję stacji RW, zmobilizowano oddziały samoobrony w Lahaurze. Posłuchajmy zatem Głosu Pakistanu! – starcy, młodzi chłopcy, rozjuszone babcie, kto żyw stanął do walki z wojskiem indyjskim; odbijają most po moście wszelką dostępną bronią! Kaleki napychają sobie kieszenie granatami, wyciągają zawlecзки, rzucają się pod najeżdżające indyjskie czołgi; bezzębne staruszki wypruwają widłami bebechy indyjskim babu! Zginęli wszyscy, aż do ostatniego mężczyzny i dziecka; lecz ocalili miasto, gdyż powstrzymali Hindusów, dopóki nie przybyła pomoc powietrzna! Męczennicy, Padmo! Bohaterowie, w drodze do ogrodu wonności! Gdzie mężczyźni dostaną po cztery urodzive hurysy nie tknięte przez człowieka ni dzinna; a kobiety po czterech jurnych mężczyzn! Czy podobna odrzucić którąkolwiek z łask Pana? Jakimż zbawieniem jest ta święta wojna, w której jednym najwyższym poświęceniem człowiek może odkupić wszystkie swoje nieprawości! Nic dziwnego, że obroniono Lahaur; na cóż bowiem mogli liczyć Hindusi? Jedynie na reinkarnację – wcielenie w jakieś karaluchy, skorpiony lub amatorów-kuracjizielonym-lekiem-prosto-od-krowy – doprawdy nie ma porównania.

No więc jak z tym poświęceniem? Tak się to odbyło? Czy może Rozgłośnia Wszechindyjska – wielka bitwa czołgów, olbrzymie straty Pakistanu, 450 czołgów zniszczonych – mówiła prawdę?

Nic nie było realne; nic nie było pewne. Wuj Bufo bez jednego zęba w buzi przyszedł z wizytą do domu przy Clayton Road. (Podczas wojny indyjskiej z Chinami, kiedy nasze poczucie patriotyzmu wyglądało zupełnie inaczej, matka oddała złote bransolety i kolczyki z klejnotami na akcję „Ozdoby dla obrony”; ale czymże to jest w zestawieniu z poświęceniem całej szczęki złota?)

– Kraj – oznajmił Wuj niewyraźnie, kłapiąc pozbawionymi zębów dziąsłami – nie może, choróbka, ucierpieć na brak funduszy przez zwykłą próżność jednego człowieka! – No więc jak z tym poświęceniem? Czy istotnie wyrzekł się zębów w imię świętej wojny, czy też spoczywały zamknięte w domowym kredensie? – Niestety – dodał Wuj Bufo sepleniąc – będziesz musiał poczekać na ten specjalny, obiecany posag. – Nacjonalizm czy skąpstwo? Czy jego obnażone dziąsła stanowiły najwyższy dowód patriotyzmu, czy też śliski wykręt, aby nie wypełniać ust którejś z Bufij złotem?

No i czy użyto spadochroniarzy, czy też nie? „...zrzucono na wszystkie większe miasta – obwieścił Głos Pakistanu. – Wszyscy zdolni do służby obywatele mają trzymać broń w pogotowiu; i strzelać do celu po zapadnięciu godziny policyjnej.” W Indiach zaś: „Mimo prowokacyjnych nalotów pakistańskich – wołało radio – myśmy nie odpowiedzieli!” I komu tu wierzyć? Czy pakistańskie myśliwce bombardujące istotnie dopuściły się owego „śmiełego nalotu”, który zaskoczył jedną trzecią indyjskich sił powietrznych stojących bezradnie na pasach startowych? No to dopuściły się, czy nie? A te nocne tańce na niebie, pakistańskie samoloty typu Mirage i Mystere przeciwko MiG-om indyjskim o mniej romantycznej nazwie: czy miraże i misteria islamskie wdały się w walkę z hinduskim najeźdźcą, czy też wszystko to było jedno wielkie złudzenie? Czy spadły bomby? Czy eksplozje były prawdziwe? Czy to samo można powiedzieć o śmierci?

A Salim? Co on porabiał w czasie wojny?

To: w oczekiwaniu na pobór udałem się na poszukiwanie zbawiennych, uśmierających, dających-sen, niosących-raj bomb.

Straszliwy fatalizm, który owładnął mną ostatnimi czasy, przybrał jeszcze straszliwszą postać; nurzając się w rozpadzie rodziny, obu krajów mojej przynależności, wszystkiego, co

można by odpowiedzialnie nazwać rzeczywistością, zatracony w żalu za swoją plugawą, nieodwzajemnioną miłością, szukałem zapomnienia – za bardzo to brzmi szlachetnie, zbędny patos. Zatem bez obłonek: jeździłem nocą ulicami miasta wypatrując śmierci.

Kto położył życie w tej świętej wojnie? Kiedy ja w lśniącej białej kurcie i pantalonach gnałem uwożony przez Lambrettę ulicami godziny policyjnej, kto znalazł to, czego ja szukałem? Kto jako męczennik wojny poszedł prosto do ogrodu wonności? Proszę przeanalizować rozrzut bomb; poznać tajemnice karabinowych strzałów.

W nocy 22 września naloty powietrzne dosięgły wszystkich dużych miast Pakistanu. (Chociaż Rozgłównia Wszehindyjska...) Samoloty, prawdziwe bądź fikcyjne, zrzuciły rzeczywiste bądź mityczne bomby. Jest to więc albo zaistniały fakt, albo wykwit chorej wyobraźni, że z trzech bomb, jakie spadły i wybuchły w Rawalpindi, pierwsza wylądowała na bungalowie, w którym moja babka, Nasim Aziz, i ciotka Pija chowały się pod stołem; druga zburzyła skrzydło więzienia miejskiego i oszczędziła kuzynowi Zafarowi życia w niewoli; trzecia zniszczyła wielką, zaciemnioną rezydencję otoczoną strzeżonym murem; warty stały wprawdzie na posterunkach, ale nie zdołały zapobiec temu, żeby Emeraldą Zulfikar nie odpłynęła w znacznie odleglejsze rejony niż Suffolk. Owej nocy bawił u niej w gościach nabab Kifu ze swoją uparcią nie pokwitającą córką; która uniknęła tym samym konieczności stania się dojrzałą kobietą. W Karaczi również starczyły trzy bomby. Samoloty indyjskie, nie kwapiąc się do zniżania lotu, bombardowały ze sporej wysokości; ogromna większość pocisków zległa nie czyniąc szkód w morzu. Jedna wszakże bomba zgładziła majora (w stanie spoczynku) Alauddina Latifa i wszystkie jego siedem Bufij, uwalniając mnie raz na zawsze od danej obietnicy; no i zostały jeszcze dwie ostatnie bomby. Tymczasem na froncie Mutasim Przystojny wynurzył się z namiotu, żeby się udać do latryny; bzyknął (lub też nie bzyknął) mu koło ucha niby to moskit, i Mutasim padł z pełnym pęcherzem od kuli snajpera.

A przecież muszę ci jeszcze opowiedzieć o dwóch-ostatnich-bombach.

Kto przeżył? Dżamila Śpiewaczka, której bomby nie zdołały znaleźć; w Indiach rodzina wuja Mustafy, na którego bomby nie zamierzały nawet tracić energii; natomiast zapomniana daleka krewna mojego ojca, Zohra, wraz z mężem przeprowadziła się do Amnarsaru i tam też dosięgła ich bomba.

Jeszcze-dwie-bomby domagają się relacji.

...Tymczasem ja, nieświadom bliskiej więzi między wojną a mną samym, wypuszczałem się jak kto głupi na poszukiwanie bomb; jeździłem sobie po godzinie policyjnej, tyle że kule straży obywatelskich nie trafiały do celu... a znad bungalowu w Rawalpindi unosiły się płachty ognia, przedziurawione prześcieradła, pośrodku których widniała zagadkowa czarna dziura układająca się w dymny wizerunek starej, rozłożystej kobiety z brodawkami na policzkach... tak to wojna zmiotła z powierzchni ziemi kolejno wszystkich członków mojej nieszczęsnej rodziny.

Ale teraz odliczanie wstecz dobiegało końca.

Na ostatku zawróciłem Lambrettą ku domowi, znajdowałem się już na rondzie przy Guru Mandir, słysząc nad głową łoskot samolotów, miraży i misteriów, podczas gdy ojciec w otępieniu swojej apopleksji zapalał światła i otwierał okna, chociaż nie tak dawno odwiedził ich funkcjonariusz Obrony Cywilnej, żeby dopilnować pełnego zaciemnienia domu; gdy Amina Sinai przemawiała do widma starej białej skrzyni na bieliznę: – Idź sobie precz; już mam cię dość – ja śmigłem obok łazików Obrony Cywilnej, skąd gniewne pięści słały mi pozdrowienia; zanim jednak cegły i kamienie zdążyły wygasić światła w domu ciotki Aliji, nadleciał skowyt, powinienem był więc przewidzieć, że nie ma co szukać śmierci gdzie

indziej, lecz nadal byłem na ulicy o północy w cieniu meczetu, kiedy nadleciała, pikując ku oświetlonym oknom otępienia ojca, śmierć ze skowytom bezpańskich psów, przeobrażona w walące się mury, płachty ognia i podmuch o tak wielkiej sile, że zleciałem koziołkując z Lambretty, podczas gdy w domu wielkiej zgorzkniałości ciotki zarówno ojciec matka ciotka, jak i nie narodzony brat, czy też siostra, co już za tydzień miał rozpocząć życie, wszyscy wszyscy spłaszcyli się jeszcze bardziej niż placki ryżowe, dom zawalił im się na głowę niczym forma do wypieku wafli, tymczasem przy Korangi Road ostatnia bomba, przeznaczona na rafinerię ropy naftowej, wyładowała niechcący na dwupoziomowym domu w amerykańskim stylu, którego budowy pępowina nie zdążyła ukończyć; jednakże w Guru Mandir dobiegło kresu wiele historii, historia Aminy, jej niegdysiejszego podziemnego małżonka, jej sumienności, publicznego oświadczenia, syna-który-nie-był-jej-synem, dobrej passy na wyścigach, nagniotków, tańczących rąk w kawiarni Pionier i ostatniej porażki z rąk siostry, oraz Ahmeda, który zawsze gubił drogę, miał sterczącą dolną wargę, pulchny brzuch, posiwiiał przy zamrożeniu, poddał się abstrakcji, zamęczył na śmierć psa w daremnym pościgu, zakochał się zbyt późno i zginął przez swój pech do obiektów-spadających-z-nieba; wszyscy rozplaszczeni bardziej niż placki, a wokół nich dom wybuchu pada w ruinie, chwila zagłady tak porywistej, że rzeczy głęboko zakopane w zapomnianych blaszanych kufrach aż podskoczyły w powietrze, z kolei zaś inne rzeczy osoby wspomnienia legły zakopane pod gruzami bez szans na ocalenie; palce eksplozji sięgnęły w dół w dół na samo dno almarii, otworzyły sobie z klucza zielony blaszany kufer, szponiasta ręka eksplozji wybebeszyła zawartość kufra w powietrze, i teraz coś, co od lat tkwiło schowane przed ludzkim wzrokiem, szybuje w noc niczym wirujący okruch księżyca, to coś błyska w poświacie miesiąca i spada teraz spada, kiedy podnoszę się zamroczony po wybuchu, to coś kręci się obraca kołuje w dół, srebrne jak blask księżyca, misternie rzeźbiona srebrna spluwaczka inkrustowana lazurytem, przeszłość pikuje ku mnie niczym upuszczona-przez-sępa dłoń, aby stać się tym-co-mnie-oczyści-i-uwolni, bo teraz, gdy spozieram w górę, czuję coś z tyłu głowy, a potem już tylko ułankowy, lecz nieskończenie długi moment pełnej jasności, kiedy lecę na twarz, żeby paść plackiem przed stosem całopalnym moich rodziców, krótka, lecz zda się wieczna chwila oświecenia, nim zostanę odarty z przeszłości terażniejszości pamięci czasu wstydu i uczucia, przelotna, zarazem nie kończąca się eksplozja, wskutek której kiwam głową tak potwierdzam tak niezbędność tego ciosu, i oto jestem już wolny i swobodny, bo wylewają się ze mnie wszyscy Salimowie, poczawszy od niemowlęcia, którego wielkie zdjęcie ukazało się na czołowej stronie, a skończywszy na osiemnastolatku z jego plugawą-nikczemną miłością, wylewa się zarazem wstyd, poczucie winy, chęć-zadowolenia-innych, potrzeba-miłości, determinacja-by-znaleźć-sobie-historyczną-rolę i zbyt-szybkie-rośnięcie, jestem wolny od Smarka, Plamolicego, Łysonia, Kinola, Twarzy-jak-mapa, skrzyń na bieliznę, Evie Burns i marszów językowych, uwolniony od Skrzata Kolynosa, biustu mumani Piji, Alfy-i-Omega, rozgrzeszony z licznych zabójstw Homi Catracka, Hanifa, Aadama Aziza i premiera Dżawaharlala Nehru, wyzwoliłem się od pięćsetletnich kurew i wyznań miłosnych w głuchą noc, wolny i beztroski runąłem na jezdnię, przywrócony niewinności i czystości za sprawą spadającego okrucha księżyca, wymieciony do czysta tak jak szuflady pisarzy, bity w ciemność (zgodnie z przepowiednią) matczyną srebrną spluwaczką.

Rankiem 23 września Organizacja Narodów Zjednoczonych ogłosiła koniec działań wojennych między Indiami a Pakistanem. Indie zajęły niecałe 500 mil kwadratowych pakistańskiej ziemi; Pakistan zdobył zaledwie 340 mil kwadratowych swojego snu o Kaszmirze. Podobno zawieszenie broni nastąpiło w wyniku mniej więcej jednoczesnego

wyczerpania się amunicji po obu stronach; tak to wymogi międzynarodowej dyplomacji oraz machinacje dostawców broni powodowane względami politycznymi zapobiegły masowej zagładzie mojej rodziny. Niektórzy spośród nas tylko dlatego uszli z życiem, że nikt nie sprzedał naszym potencjalnym zabójcom bomb pocisków samolotów niezbędnych, aby dopełnić naszego unicestwienia.

Po sześciu wszakże latach wybuchła następna wojna.

Księga trzecia

Budda

Bezsprzecznie zatem (bo w przeciwnym wypadku musiałbym w tym miejscu wprowadzić jakieś fantastyczne wyjaśnienie swojej dalszej obecności w tej „wrzawie śmiertelnych”) zaliczam się do tych, których wojna roku sześćdziesiątego piątego nie zdołała skasować. Spluwaczką-w-ciemię-bity Salim doznał jedynie częściowego wymazania i został tylko wymieciony do czysta, podczas gdy innych, mniej fortunnych, zmiotło z powierzchni ziemi; padłem bez przytomności w nocnym cieniu meczetu, a ocaliło mnie wyczerpanie się zapasów amunicji.

Łzy – które z braku kaszmirskiego zimna nie mają absolutnie szans stwardnieć na diamenty – spływają po konturach zażywnych policzków Padmy.

– O, mój panie, ta cała tamaśa wojny najlepszych zabija, a resztę pomija!

Zupełnie jak gdyby hordy ślimaków wypełzły dopiero co z zaczerwienionych oczu, pozostawiając lepkie, lśniące ślady na twarzy, Padma opłakuje mój rozplaszczony bombą klan. Ja mam, jak zwykle, suche oczy i wielkodusznie przełykam niezamierzoną obelgę zawartą w łzawym okrzyku Padmy.

– Opłakuj żyjących – napominam ją delikatnie. – Zmarli mają swoje ogrody kamforowe.

Żałuj Salima! Albowiem, nie dopuszczony do łąk niebiańskich przez nieustające bicie serca, znów się przebudził wśród przewilgłych, metalicznych woni sali szpitalnej; albowiem nie czeka nań hurysa nie tknięta przez człowieka ni dżinna, aby zapewnić mu obiecanie ukojenie wieczności – miałem szczęście, że zajął się mną gderliwy, pobrzękujący kaczkami, byczkowaty sanitariusz, który bandażując mi głowę, burczał zgryźliwie, że wojna nie wojna, sahibowie doktorzy lubią wyjeżdżać na niedzielę do swoich domków plażowych.

– Lepiej byś tak przeczekał w zamroczeniu jeszcze jeden dzień – rzucił, nim ruszył dalej na obchód oddziału, żeby szerzyć ten dobry nastrój.

Żałuj Salima – albowiem osierocony i oczyszczony, pozbawiony setki codziennych szpileczek życia rodzinnego, które dałyby same radę przekuć wielką baloniastą fantazję historii, tak by się skurczyła do bardziej przystępnej ludzkiej skali, został wyrwany z korzeniami i ciśnięty bezceremonialnie poprzez lata, musiał więc bez pamięci zanurzyć się w dorosłość, a każdy jej aspekt z dnia na dzień rozrastał się do rozmiarów groteski.

Nowe ślady ślimacze na policzkach Padmy. Zmuszony do wybąkania „Dobrze, już dobrze”, odwołuję się do zwiastunów filmowych. (Jakże ja je ubóstwiałem w starym Kinie Dla Pędraków „Metro”! Aż cmokałem z zachwytu na widok napisu KOLEJNA ATRAKCJA pojawiającego się na falującym niebieskim pluszu! Aż tęsknie łykałem ślinkę, zanim obwieszczono WKRÓTCE NA EKRANACH! – Gdyż zapowiedź egzotycznej przyszłości zawsze wydawała mi się najlepszym antidotum na rozczarowanie teraźniejszością.)

– Przestań, no, przestań – zaklinam swoją pogrążoną w żalu, skuloną w kucki publiczność. – Jeszcze nie skończyłem! Jeszcze będzie porażenie prądem elektrycznym i deszczowy las; piramida głów na polu użyźnionym szpikiem kostnym; jeden czy drugi cudem ujdzie z życiem, a minaret uderzy w krzyk! Padmo, jeszcze jest mnóstwo do opowiedzenia: moje kolejne chwile próby w koszu niewidzialność! i w cieniu innego meczetu; czy choćby przecucia Reśam Bibi i ryjek Parwati-czarodziejki! A czeka nas jeszcze ojcostwo i zdrada, no i, rzecz jasna, nieunikniona Wdowa, która do mojej historii drenażu-od-góry dorzuciła

ostateczną sromotę wypróżnienia-od-dołu... słowem, wciąż przed nami pasmo kolejnych atrakcji i wkrótce-na-ekranach; kiedy rodzice kogoś odumierają, kończy się jeden rozdział, ale też zaczyna się drugi.

Uspokojona poniekąd moimi obietnicami nowości Padma pociąga nosem; ociera mięczakowaty śluz, osusza oczy; wciąga głęboko powietrze... a kiedy je wypuszcza, w życiu bitego-w-ciemię-spluwaczką młodzieńca, którego po raz ostatni widzieliśmy w łóżku szpitalnym, mija bez mała pięć lat. (Kiedy mój lotos-łajno wstrzymuje dech, żeby ochłonać, pozwalam sobie na przerywnik w postaci zbliżenia na modłę bombajskich filmów dźwiękowych – wiatr targa kalendarz, kartki sfruwają szybko jedna za drugą, wskazując upływ lat; wprowadzam gwałtownie długie ujęcia przedstawiające zamieszki uliczne, średnie ujęcia płonących autobusów i gorejących bibliotek książek anglojęzycznych należących do Instytutu Brytyjskiego i Agencji Informacyjnej Stanów Zjednoczonych; w migającym coraz prędzej kalendarzu oglądamy upadek Ajuba Chana, samozwańcze objęcie prezydentury przez generała Jahję, zapowiedź wyborów... lecz oto Padma rozchyła już usta, nie czas więc bałamucić przy skłóconych-gniewnie wizerunkach pana Z.A.Bhutto i szejka Mudżibura Rahmana; wypuszczone powietrze dobywa jej się niewidocznie z ust, a wyśnione twarze przywódców Pakistańskiej Partii Ludowej i Ligi Awami błyskają i nikną; podmuch z jej opróżniających się płuc paradoksalnie uciska wiatr szarpiący kartki z kalendarza i zatrzymuje go na pewnej dacie pod koniec roku 1970, tuż przed wyborami, które podzieliły kraj na dwoje, przed wojną Zachodniego Skrzydła ze Wschodnim Skrzydłem, PPL kontra Liga Awami, Bhutto kontra Mudżib... przed wyborami z roku 1970, i to z dala od areny publicznej, trzech młodych żołnierzy przybywa do tajemniczego obozu na Wzgórzach Mari.)

Padma odzyskała panowanie nad sobą.

– No dobrze, już dobrze – z wymówką w głosie macha ręką na znak lekceważenia własnych łez. – No to na co czekasz? Zaczynaj – przygania mi wyniośle mój lotos. – Zaczynaj znów od początku.

* * *

Tego obozu wysoko w górach nie znajdzie się na żadnej mapie; leży zbyt daleko od szosy do Mari, żeby bodaj najczulsze ucho zmotoryzowanych dosłyszało szczekanie tamtejszych psów. Ogrodzenie z siatki drucianej jest starannie zakamuflowane; na bramie nie ma ani znaku, ani nazwy. A mimo to istnieje bądź istniał; chociaż żarliwie przeczesano jego istnieniu – na przykład podczas upadku Dhaki pokonany Tygrys Nijazi z Pakistanu zagadnięty na tę okoliczność przez swojego starego kompana, zwycięskiego generała Sama Maneksza z Indii, odparł kpiąco:

– Co, oddział Kynologicznych Usług Tropienia i Agentury? Nigdy o takim nie słyszałem; nabrano cię, stary. Co za kretyński, za przeproszeniem, pomysł.

Mimo tej riposty Tygrysa do Sama twierdzą z całym uporem: obóz tam istniał, a jakże...

... – W szeregu zbiórka! – wrzeszczy brygadier Iskandar do swoich najświeższych rekrutów: Ajuby Balocza, Faruka Raszida i Szahida Dara. – Stanowicie teraz oddział KUTIA!

Uderzając się trzcinką o udo obraca się na pięcie i zostawia ich na placu apelowym, przypiekanych przez górskie słońce i jednocześnie mrożonych przez górskie powietrze. Piersi do przodu, ramiona wyprężone, sztywni na rozkaz, trzej młodzieńcy słyszą, jak podśmiewa się z nich ordynans brygadiera, Lala Moin:

– A, więc to wy jesteście te młode koty, którym przydzielono człowieka-psa!

Na pryzkach pod osłoną nocy: – Tropienie i agentura! – szepcze z dumą Ajuba Balocz. – Szpiedzy, bracie! Jak ci z wywiadu OSS 117! Niech no nas tylko dopuszczą do tych Hindusów, to zobaczą, na co nas stać! Ka-dang! Ka-bum! Co za mięczaki, jara, z tych Hindusów! Jeden w drugiego wegetarianie! A rośliny – syczy Ajuba – nie mają startu do mięsa.

Sam jest zbudowany jak czołg. Jeżyk zaczyna mu się tuż nad brwiami.

Na co Faruk:

– Myślisz, że będzie wojna?

Ajuba prycha:

– A niby co? Jak tu bez wojny? Przecież sahib Bhutto obiecał wszystkim chłopom po akrze ziemi. To niby skąd ją weźmie? Żeby mieć tyle gruntu, musimy podbić Pendżab i Bengal! Poczekaj tylko; po wyborach, kiedy już Partia Ludowa wygra, wtedy: Ka-bum! Ka-fru!

Faruk się zasepia:

– Ci Hindusi mają oddziały sikhów, bracie. A wszyscy noszą taaakie brody i włosy, co to ich na upale swędzą jak cholera, więc wszyscy dostają kręćka i walczą jak diabli...!

Ajuba aż się krztusi ze śmiechu.

– Wegetarianie, jar, niech mnie licho... mieliby pobić takich krzepkich byków jak my?

Wszakże Faruk jest tyczkowaty i żyłasty. Teraz Szahid Par pyta szeptem:

– Ale co on miał na myśli mówiąc: człowiek-pies?

...Ranek. W chacie ze szkolną tablicą brygadier Iskandar poleruje sobie kłykcie o wyłogi munduru, tymczasem starszy sierżant Nadżmuddin udziela pierwszych instrukcji rekrutom. Odprawa na zasadzie pytań-i-odpowiedzi; Nadżmuddin formułuje zarówno wątpliwości, jak i wyjaśnienia. Nie dopuszcza nikogo do głosu. Znad tablicy surowo spozierają zdobione girlandami portrety prezydenta Jahji i Mutasima Męczennika. A przez (zamknięte) okna natarczywe szczekanie psów... pytania i odpowiedzi Nadżmuddina też są wyszczekane. Po co tu przyjechaliście? – Na szkolenie. W jakiej dziedzinie? – Pościgu-i-pojmania. Jak będziecie pracować? – W drużynach kynologicznych złożonych z trzech żołnierzy i jednego psa. Jakie są cechy wyróżniające? – Brak kadry oficerskiej, konieczność podejmowania własnych decyzji, wynikający stąd wymóg wysokiego poczucia dyscypliny i odpowiedzialności muzułmańskiej. Zadanie oddziałów? – Pienić niepożądane elementy. Charakter tych elementów? – Przebiegłość, dobre zamaskowanie, mogą-kryć-się-wszędzie. Rozpoznane zamiary powyższych? – Obmierzłe: zniszczenie życia rodzinnego, zabójstwo Boga, wywłaszczeni właścicieli ziemskich, zniesienie cenzury filmowej. Cel? – Obalenie rządu, anarchia, dominacja zagraniczna. Najważniejsze powody do obaw? – Nadchodzące wybory; a w konsekwencji rządu cywilów. (Uwalnia się więźniów politycznych. Wszędzie pełno najrozmaitszej chuliganerii.) Konkretnie obowiązki oddziałów? – Wykonywać bez szemrania; ścigać bez wytchnienia; aresztować bez pardonu. Tryb postępowania? – Utajony; sprawny; szybki. Podstawa prawna zatrzymań? – Ustawa o Obronie Pakistanu dopuszcza ujmowanie czynników niepożądanych, a następnie przetrzymywanie ich w odosobnieniu przez okres sześciu miesięcy. Aneks: z możliwością przedłużenia na kolejne sześć miesięcy. Są pytania? – Nie ma. Świetnie. Stanowicie oddział KUTIA 22. Do kłap zostaną wam przyszyte odznaki psów rodzaju żeńskiego – Akronim KUTIA znaczy, oczywiście, suka.

No a człowiek-pies?

Błękitnooki, wpatrzony w przestrzeń, siedzi w pozycji lotosu pod drzewem. Na tej wysokości nie rosną drzewa bodhi; musi się więc zadowolić drzewem ćinar. Nos: bulwiasty,

ogorkowaty, czubek siny z zimna. A na głowie mnisia tonsura, gdzie niegdyś ręka pana Zagailo. No i okaleczony palec, którego brakujący kawałek spadł u stóp Mashy Miovic, kiedy Nalany Keith zatrzasnął drzwi. I plamy na twarzy jak mapa...

– Ehhhh-fuj! (Spluwa.)

Ma poplamione zęby; dziąsła zaczerwienione sokiem betelowym. Czerwona struga wystrzelonego płynu tryska mu z ust i trafia z godną podziwu precyzją do kunsztownie rzeźbionej srebrnej spluwaczki, stojącej przed nim na ziemi. Ajuba Szahid Faruk przyglądają się zdumieni.

– Tylko nie próbujcie mu jej odbierać – starszy sierżant Nadzmuddin wskazuje na spluwaczkę. – To go rozwściecza.

Ajuba zaczyna:

– Panie sierżancie, przecież pan mówił, że trzech żołnierzy i...

Ale Nadzmuddin odszczekuje:

– Żadnych pytań! Stosować się bez zapytywania! To wasz tropiciel; i kwita. Rozejść się.

Ajuba i Faruk mieli wówczas po szesnaście i pół roku. Szahid (który podał fałszywy wiek) był chyba rok młodszy. Ze względu na swój młody wiek nie mieli kiedy zgromadzić wspomnień, które dają mężczyznom silne poczucie rzeczywistości, takich jak wspomnienia miłości czy głodu, toteż te żołnierzyki były nader podatne na wpływ legend i pogłosek. W ciągu zaledwie jednej doby, podczas rozmów w kantynie z innymi oddziałami KUTIA, człowiek-pies obrósł mitem...

– Człowieku, on pochodzi z nie byle jakiej rodziny!

– To dziecko debil, oddano go do wojska, żeby zrobili tu z niego mężczyznę!

– W sześćdziesiątym piątym odniósł obrażenia wojenne, jar, ale nic a nic nie pamięta!

– Czekał no, słyszałem, że to brat samej...

– Coś ty, stary, to jakaś brednia, ona jest za dobra, no, wiesz, taka prawdziwa i taka święta, nie zostawiłaby tak chyba brata.

– Tak czy siak, on nie chce o tym gadać.

– Wiesz, stary, słyszałem coś potwornego, ona go nienawidziła i dlatego!

– Nie ma pamięci, nie interesuje się ludźmi, żyje jak pies!

– Ale z tym tropieniem to prawda! Widzisz, jaki ma nos?

– No, wytropi każdziutki ślad!

– Pod wodą, baba, i w górach! Taki tropiciel, że mucha nie siada!

– I nic nie czuje! Żebyś wiedział! Przysięgam, że jest otepiąły; bez czucia od stóp do głów! Nie pozna się, jak go dotknąć; człowieka poznaje tylko węchem!

– Pewno to jakiś uraz wojenny!

– A ta spluwaczka, stary? Czy to wiadomo? Nosi ją wszędzie ze sobą jak jakiś amulet miłosny!

– Mówię wam, cieszę się, że to was trzech; bo aż mnie ciarki przechodzą na jego widok, jar, wszystko przez te błękitne oczy.

– Wiesz, jak odkryli ten jego nos? Włazł na pole minowe, przysięgam, stary, po prostu znajdował sobie drogę, jakby wyniuchiwał te cholerne miny!

– Co ty pleciesz, stary, to dawna historia, tamto to był pierwszy pies w całej akcji KUTIA, wabił się Bonzo, stary, nie płacz wszystkiego!

– Ej, ty, Ajuba, miej się na baczności, podobno samo naczalstwo ma na niego oko!

– A nie mówiłem, Dżamila Śpiewaczka...

– Oj, zamknij się, dość się już nasłuchaliśmy twoich bajek!

Kiedy już Ajuba, Faruk i Szahid pogodzili się ze swoim osobliwym, beznamiętnym tropicielem (czyli po incydencie w latrynach), nadali mu przezwisko „budda”, starzec; nie tylko dlatego, że był od nich pewno siedem lat starszy i brał udział w wojnie sześćdziesiątego piątego roku, przed sześciu laty, kiedy trzej żołnierzykowie nie nosili jeszcze długich spodni, lecz również dlatego, że otaczała go aura wiekowosci. Budda był już stary, zanim przyszedł na świat.

O, zbawienna wieloznaczności transliteracji! Słowo „budda” w języku urdu oznacza starca, a oba D wymawia się twardo i wybuchowo. Ale jest też Budda z miętko wymawianymi D na określenie tego-który-dostał-objawienia-pod-drzewem-bodhi... Dawnymi czasy pewien książę, nie mogąc znieść cierpień tego świata, posiadał moc niezycia-na-tym-świecie, a jednocześnie życia w nim; był obecny, a zarazem nieobecny; jego ciało znajdowało się w jednym miejscu, a duch w innym. W starożytnych Indiach Gautama Budda siedział oświecony pod drzewem w Gai; w jelenim parku w Sarnathu nauczał innych, jak mają się wyzwolić z ziemskich nieszczęść i osiągnąć wewnętrzny spokój; a po wielu stuleciach budda Salim siedział pod innym drzewem, niepomny bólu, nieczuły jak lód, starty do czysta jak nie zapisana karta... Z niejakim zażenowaniem muszę przyznać, że amnezja należy do sztuczek wykorzystywanych regularnie przez naszych żądnych sensacji reżyserów. Chyląc nieco głowę przyjmuję, że moje życie po raz któryś nabrało wydźwięku bombajskiego filmu; ale przecież jeśli pominąć stale powracającą kwestię reinkarnacji, istnieje skończona liczba metod dostępowania ponownych narodzin. Toteż przepaszając za tę nutę melodramatu, muszę z psim uporem twierdzić, że ja, on zaczął od nowa; że po wielu latach marzeń o własnym znaczeniu, on (czy też ja) został z nich oczyszczony; że porzucony przez mściwą Dżamilę Śpiewaczkę, która wypchnęła mnie do wojska, żebym jej znikł z oczu, ja (czy też on) pogodziłem się z losem będącym zapłatą za miłość i siedziałem bez słowa skargi pod drzewem ćinaru; że wyzuty z historii budda posiadał sztukę uległości i robił tylko to, co mu kazano. Reasumując: stałem się obywatelem Pakistanu.

Można było z góry przewidzieć, że podczas wielu miesięcy ćwiczeń budda zacznie drażnić Ajubę Balocza. Może dlatego, że wolał mieszkać z dala od żołnierzy, w krytej strzechy, nędznej szopie na samym końcu psiarni-koszarów; a może dlatego, że tak często przesiadywał w pozycji lotosu pod swoim drzewem, ściskając w ręku srebrną spluwaczkę, z rozbieganymi oczami i głupawym uśmiechem na ustach – jak gdyby naprawdę był szczęśliwy, że mu odebrało rozum! Ponadto Ajuba, apostoł mięsa, mógł uznać, że jego tropiciel jest niedostatecznie męski.

– Jak ten brindzał, stary – pozwalałam wyrzekać Ajubie. – Niech mnie lichy, zupełna roślina!

(Patrząc z szerszej perspektywy, możemy również uznać, że pod koniec roku rozdrażnienie wisiało w powietrzu. Bo czyż nawet generała Jahji i pana Bhutto nie irytowała i nie odstręczała drażliwa postawa szejka Mudżiba, który rościł sobie prawo do utworzenia nowego rządu? Utrapiiona bengalska Liga Awami zdobyła 160 z możliwych 162 mandatów we Wschodnim Skrzydle; PPL pana Bhutto uzyskała zaledwie 81 zachodnich głosów. Tak, drażniące wybory. Łatwo sobie wyobrazić, jak to musiało rozsierdzić Jahję i Bhutta, obu z Zachodniego Skrzydła! A skoro nawet tacy wielcy panowie nie potrafili zapanować nad sobą, jakże tu winić małego człowieka? Zamknijmy więc rzecz całą stwierdzeniem, że rozdrażnienie Ajuby Balocza plasowało go w dobranym, żeby nie powiedzieć doborowym towarzystwie.)

Na manewrach, kiedy Ajuba Szahid Faruk tarabanili się za buddą, gdy ten sunął w ślad za

najlżejszym tropem przez zarośla skały strumienie, trzej chłopcy musieli przyznać, że ma nie być jaki dar; ale i tak Ajuba jak ten czołg taranował go pytaniami:

– Naprawdę nie pamiętasz? Nic a nic? O, Allah, i nie czujesz się z tym źle? Może gdzieś masz matkę ojca siostrę...

Na co budda przerywał mu delikatnie:

– Nie próbuj nabijać mi głowy historią. Jestem, kim jestem, i tyle.

Miał taki czysty akcent: – Co za galanty urdu, jak z Lakhnau, he-he! – przyznał Faruk z podziwem, na co Ajuba Balocz, który wyrażał się prostacko niczym bez mała człowiek plemienny, zamilkł; i trzej chłopcy jeszcze gorliwiej uwierzyli w kursujące plotki. Mimo woli fascynował ich ten człowiek z nosem jak ogórek i z głową, która wypierała wspomnienia rodziny historie, a zachowywała tylko i wyłącznie zapachy... – niczym zbuk wyssany do sucha – mrucał Ajuba do swoich kompanów, po czym nawiązując do swojego głównego wątku dodawał: – O, Allah, nawet ten jego nos wygląda jak roślina.

Zakłopotanie ich nie opuszczało. Czyżby wyczuwali w otępiełej nieodgadnioności buddy aurę człowieka „niechcianego”? – Bo czyż jego odrzucenie przeszłości-i-rodziny nie należało do tego rodzaju wywrotowych czynów, które mieli ofiarnie „pienić”? Obozowi oficerowie pozostawali jednak głusi na prośby Ajuby: – Panie oficerze, nie moglibyśmy tak dostać prawdziwego psa?... – toteż Faruk kryjący się z natury w cieniu innych, który przybrał już sobie Ajubę za swojego przywódcę i bohatera, wołał: – Co robić? Skoro ten facet ma takie koneksje rodzinne, pewno jacyś dostojnicy kazali go tu brygadierowi trzymać, i kwita.

A (choć żaden z ich tercetu nie zdołałby tego wyrazić) ja twierdzę, że w głębi ich zakłopotania krył się lęk przed schizofrenią, przed rozszczepieniem, ukryty niczym pępowina w każdym pakistańskim sercu. W owym czasie Wschodnie i Zachodnie Skrzydła kraju były oddzielone nieprzekraczalnym masywem Indii; wszelako przeszłość i terażniejszość też dzieli nieprzekraczalna zatoka. Spoiwem Pakistanu była religia łącząca obie połówki razem; podobnie jak świadomość, świadomość samego siebie jako homogenicznego bytu w czasie, melanz przeszłości z terażniejszością, stanowi spoiwo osobowości łączące nasze wtedy z naszym teraz. Dość tego filozofowania: chcę przez to powiedzieć, że porzuciwszy świadomość, wyrwawszy się z historii budda dawał najgorszy z możliwych przykładów – a za nim poszedł nie kto inny, jak sam szejk Mudżib, kiedy poprowadził Wschodnie Skrzydło do secesji i ogłosił je niepodległym „Bangladeszem”! Tak, Ajuba Szahid Faruk mieli prawo czuć się nieswojo – bo nawet w tych głębinach ucieczki od odpowiedzialności ponosiłem odpowiedzialność, wskutek uruchomienia się metaforycznych trybów powiązań, za działania wojenne roku 1971.

Muszę jednak wrócić do swoich nowych towarzyszy, aby opowiedzieć o incydencie w latrynach: oto więc Ajuba, jak ten czołg, dowodził drużyną, a Faruk zadowalał się wykonywaniem rozkazów. Trzeci wszakże młodzieniec był bardziej ponury, bardziej zamknięty w sobie, a przez to bliższy mojemu sercu. W piętnaste urodziny Szahid Dar podał fałszywy wiek i zaciągnął się do wojska. Owego dnia jego ojciec, bezrolny chłop pendżabski, zabrał Szahida na pole i wypłakał mu się w nowy mundur. Stary Dar wyjawiał synowi znaczenie jego imienia mianowicie „męczennik”, i wyraził nadzieję, że chłopak okaże się go godzien, a może jako pierwszy członek rodziny zasłuży na wstęp do ogrodu wonności, porzuciwszy ten nędzny padół, w którym ojciec nie ma co liczyć, że zdoła spłacić długi bądź wykarmić dziewiętnaścioro dzieci. Obezwładniająca magia imion oraz wynikły stąd stosunek do męczeństwa jęły dręczyć Szahida; w snach widywał własną śmierć, która przybierała kształt błyszczącego owocu granatu i unosiła się za nim w powietrzu, towarzysząc mu

wszędzie, czekając stosownej pory. Niepokojąca, a też po trosze i niebohatera wizja śmierci jako owocu granatu uczyniła z Szahida skrytego i posępnego chłopaka.

Skrycie i posępnie Szahid patrzył, jak wysyła się różne oddziały KUTIA z obozu do akcji; i nabrał przekonania, że jego pora, a także pora owocu granatu już nadchodzi. Odjazdy kolejnych drużyn po-trzech-żołnierzy-i-psa w zamaskowanych łazikach nasunęły mu domysł, że kryzys polityczny się nasila; był luty, a rozdrażnienie doborowych osobistości rosło z dnia na dzień. Ajuba-czołg zachował jednak swój lokalny punkt widzenia. Jego rozdrażnienie też się wzmagало, tyle że jego przedmiotem wciąż pozostawał budda.

Ajuba zadurzył się w jedynej kobiecie z obozu, w chudziutkiej czyścicielce latryn, która miała najwyżej czternaście lat i której sutki ledwie się zarysowywały pod wystrzępioną koszulą: bezsprzecznie niskiego pochodzenia, ale żadnej innej na podporządku nie było, a jak na czyścicielkę latryn miała bardzo ładne zęby i sympatyczny błysk w figlarnych spojrzeniach rzucanych-przez-ramię... Ajuba zaczął chodzić za nią trop w trop i tak właśnie wyszedł, jak wstępowała do krytej strzechą szopy buddy, i dlatego właśnie oparł swój rower o chatę, stanął na siodełku, i dlatego właśnie spadł, bo nie przypadło mu do gustu to, co zobaczył. Później zagadnął dziewczynę klozetową ściskającą mocno za rękę: – Po co to robisz z tym idiotą, no po co, skoro ja, Ajuba, jestem, mógłbym być...? – na co usłyszał od niej w odpowiedzi, że lubi tego człowieka-psa, bo jest taki dziwny, twierdzi, że nic nie czuje, pociera mnie w środku tym swoim szlauchem, chociaż nic nie czuje, ale to jest miłe, i mówi, że pasuje mu mój zapach. Od szczerości tej ulicznej dziewczyny, od uczciwości czyścicielki latryn aż się Ajubie zrobiło niedobrze; oświadczył, że jej dusza składa się ze świńskich odchodów, a język też się lepi od łajna; i w przystępie zazdrości obmyślił kawał z kablami elektrycznymi, fortel z podłączonym do prądu ustępem. Spodobało mu się to miejsce; kryło w sobie poniekąd sprawiedliwość poetycką.

– Nic nie czuje, co? – sarknął Ajuba do Faruka i Szahida. – Poczekajcie tylko: już moja w tym głowa, że podskoczy do góry.

10 lutego (kiedy Jahja, Bhutto i Mudżib odmówili wzięcia udziału w rozmowach na szczyt), budda poczuł naturalną potrzebę. Zafrasowany nieco Szahid i rozbawiony Faruk kręcili się przy latrynach; tymczasem Ajuba za pomocą kabli elektrycznych podłączył metalowe występy na nogi do akumulatora łazika i skrył się za latryny, za łazika, w którym pracował silnik. Nadszedł budda z rozszerzonymi żenicami, niczym osobnik żujący ćaras, krokiem człowieka idącego-w-chmurach, a kiedy znikł w latrynie, Faruk zawołał: – Ohe! Ajubajara! – i zaczął chichotać. Żołnierzyki czekały na skowyt śmiertelnego przerażenia, który oznaczałby niechybnie, że ich otępiały tropiciel zaczął oddawać mocz, a zatem prąd wspinał się po złocistej strudze i użądlił go w jego nieczuły, pocierający uliczną dziewczynę szlauch.

Żaden krzyk się jednak nie rozległ; Faruk skonsternowany i oszukany zmarszczył czoło; po dłuższej chwili Szahid nie wytrzymał napięcia i ryknął na Ajubę Balocza: – Te, Ajuba! Co z tobą? – Na co Ajuba-czołg: – Czego chcesz, jar, pięć minut temu podłączyłem elektrykę!... – Wtedy Szahid wbiegł – CAŁYM PEDEDEM! – do latryny i zastał budę, jak sika sobie z wyrazem mglistej błogości, wypróżnia pęcherz, który napełniał się pewno jakieś dwa tygodnie, a prąd przechodzi przez ten jego drugi ogóras najwyraźniej nie zauważony, toteż budda nasycił się elektrycznością i na czubku jego gargantuicznego nosa wykwitowała niebieska rysa; wtedy Szahid, który nie miał odwagi dotknąć tej niewiarygodnej istoty, co potrafiła absorbować elektryczność swoim szlauchem, zawołał: – Rozłącz, stary, bo on się nam tu usmaży jak cebula! – Budda wynurzył się beztrudno z latryny, zapiął się prawą ręką, a w

lewej trzymał srebrną spluwaczkę; wtedy to trzech żołnierzykowie pojęli, że to prawda, o Allah, on jest nieczuły jak lód, odurzenie pozbawiło go zarówno czucia, jak i wspomnień... Przez tydzień po tym incydencie nie można było dotknąć buddy, żeby nie doznać porażenia prądem, nawet dziewczyna klozetowa nie mogła go odwiedzać w jego szopie.

Po tym wypadku z prądem Ajuba Balocz, o dziwo, przestał nienawidzić buddy, a wręcz zaczął się odnosić do niego z szacunkiem; w następstwie tej osobliwej sytuacji pieski oddział skonsolidował się w prawdziwą drużynę i był gotów stawić czoło wszelkim złoczyńcom pod słońcem.

Ajuba-czołg nie przyprawił buddy o wstrząs; ale gdzie mały człowiek ponosi porażkę, wielki tryumfuje. (Kiedy Jahja i Bhutto zdecydowali się porazić szejka Mudżiba, nie zaszła żadna pomyłka.)

15 marca 1971 roku dwadzieścia oddziałów agencji KUTIA zebrało się w chacie z tablicą. Zdobione girlandami oblicze prezydenta spoglądało z góry na sześćdziesięciu jeden chłopca i dziewiętnaście psów. Jahja Chan zaproponował właśnie Mudżibowi gałązkę oliwną w postaci natychmiastowych rozmów ze sobą i z Bhutto, aby położyć kres wszelkim zadrażnieniom; lecz jego portret zachował nieskazitelną pokerową twarz, nie zdradzając prawdziwych, wstrząsających zamiarów... tymczasem brygadier Iskandar pocierał kłykciami o wyłogi munduru, starszy sierżant Nadżmuddin wydawał rozkazy: sześćdziesięciu jeden chłopca i dziewiętnastu psom polecono zdjąć mundury. Tumult i szelest w chacie: stosując się bez pytania dziewiętnastu osobników zdejmują obroże identyfikacyjne z psich karków. Psy, doskonale wytresowane, unoszą brwi, lecz nie dają głosu; a i budda zaczyna się posłusznie rozbierać. Pięć tuzinów bliźnich idzie w jego ślady; pięć tuzinów staje na baczność trójkami, dygocząc z zimna, przy równych stosikach wojskowych beretów spodni butów, koszul i zielonych pulowerów ze skórzanymi łatami na łokciach. Sześćdziesięciu jeden chłopca, nago, nie licząc pozostawiającej wiele do życzenia bielizny, pobiera (u ordynansa, Lali Moina) przepisowe mufti. Nadżmuddin wyszczekuje komendę; i tak stoją, niektórzy w lungi i kurtach, inni w turbanach Patanów. Jedni w tandetnych spodniach ze sztucznego jedwabiu, drudzy w prążkowanych koszulach urzędników. Budda ma na sobie dhoti i kamiz; czuje się w nich dobrze, natomiast żołnierze dokoła wiercą się w niedopasowanych cywilnych ubraniach. Jest to wszakże operacja wojskowa; żaden głos, ani ludzki, ani psi, nie odzywa się na znak skargi.

15 marca, zastosowawszy się do zaleceń odzieżowych, dwadzieścia oddziałów KUTIA odleciało do Dhaki przez Cejlon; pośród nich Szahid Dar, Faruk Raszid, Ajuba Balocz i ich budda. Tą samą okrężną trasą przerzucono również do Wschodniego Skrzydła sześćdziesiąt tysięcy wyborowych żołnierzy Zachodniego Skrzydła; sześćdziesiąt tysięcy podobnie jak tamtych sześćdziesięciu jeden miało na sobie jak jeden mąż mufti. Generałem głównodowodzącym (w szykownym granatowym dwurzędowym garniturze) był Tikka Chan; oficer odpowiedzialny za Dhakę, za jej poskromienie i ostateczną kapitulację, nazywał się Tygrys Nijazi. Nosił koszulę tropikalną, szerokie spodnie, a na głowie zawadiacki kapelusik.

Przelecieliśmy przez Cejlon, sześćdziesiąt tysięcy i sześćdziesięciu jeden niewinnych pasażerów, unikając przelotu nad Indiami, toteż ominęła nas szansa obejrzenia z wysokości dwudziestu tysięcy stóp, jak Nowa Partia Kongresowa Indiry Gandhi świętuje swoje miażdżące zwycięstwo – 350 z 515 możliwych mandatów w Lok Sabha – w kolejnych niedawnych wyborach. Ignorując-Indirę, pozbawieni widoku jej sloganu elekcyjnego, GARIBI HATAO, „Precz z nędzą”, pyszniącego się na murach i transparentach wielkiego rombu Indii, wylądowaliśmy wczesną wiosną w Dhace i zostaliśmy dowiezieni

zarekwirowanymi w tym celu autokarami cywilnymi do obozu wojskowego. Na tym ostatnim etapie podróży nie ominął jednak naszych uszu strzęp pieśni dobiegającej z niewidocznego gramofonu. Pieśń nazywała się „Amar Sonar Bangla” („Nasz złoty Bengal”, autor: R. Tagore) i brzmiała we fragmencie tak: „Wiosną aromat twych gajów mangowych przejmuję me serce rozkoszą”. Nikt z nas wszakże nie znał języka bengalskiego, co uchroniło nas przed zdradzieckim oddziaływaniem słów, chociaż (trzeba przyznać) przytupywaliśmy bezwiednie nogami w takt melodii.

Z początku Ajuba Szahid Faruk i budda nie znali nawet nazwy miasta, do którego przybyli. Ajuba, rozentuzjzmowany wizją zagłady wegetarian, szeptał:

– A nie mówiłem? Teraz im pokażemy! Szpiegostwo, stary! Cywilne ciuchy i w ogóle! Oddział dwadzieścia dwa hurra na nich! Ka-bang! Ka-dang! Ka-bum!

Ale nie byliśmy w Indiach; wegetarianie nie stanowili naszego celu; a po kilku dniach ostudzenia naszych zapałów znów nam przydzielono mundury. Drugie przeobrażenie nastąpiło 25 marca.

25 marca Jahja i Bhutto zerwali nagle rozmowy z Mudżibem i powrócili do Zachodniego Skrzydła. Zapadła noc; brygadier Iskandar wraz z Nadżmuddinem i Lałą Moinem, który się słaniał pod ciężarem sześćdziesięciu jeden mundurów i dziewiętnastu obroży, wpadli do koszarów KUTIA. I Nadżmuddin: – Migiem! Do czynu, bez słów! Raz-dwa, duchem! – Pasażerowie lotniczy wskoczyli w mundury i chwycili za broń; tymczasem brygadier Iskandar wyjawiał wreszcie cel naszej podróży.

– Ten Mudżib – oznajmił. – Już my mu damy po-co. Już my go porazimy jak trzeba!

(Właśnie 25 marca, tuż po zerwaniu rozmów z Bhutto i Jahją, szejk Mudżibur Rahman proklamował powstanie państwa Bangladesz.)

Oddziały KUTIA wysypały się z koszar, załadowały do czekających łazików; tymczasem przez głośniki bazy wojskowej nagrany głos Dżamili Śpiewaczki wznosił się w patriotycznych hymnach. (Ajuba zaś trącając buddę: – Słuchaj, no co ty, nie poznajesz? Pomyśl, stary, czy to nie ta twoja ukochana... O, Allah, ten typ nadaje się tylko i wyłącznie do węszenia!)

O północy – bo czyż mogło to wypaść o innej porze? – sześćdziesiąt tysięcy wytrawnych żołnierzy również opuściło koszary; pasażerowie-ktorzy-przylecieli-jako-cywile naciskali teraz startery czołgów. Ajuba Szahid Faruk i budda zostali jednak wybrani osobiście, aby towarzyszyć brygadierowi Iskandarowi w największej przygodzie tej nocy. Tak, Padmo: kiedy aresztowano Mudżibę, to ja go wywęszyłem. (Podsunięto mi przedtem jego starą koszulę; gdy zna się zapach, reszta idzie jak z płatka.) Zbolą Padma wychodzi niemal z siebie.

– Ależ, mój panie, to niemożliwe, co to, to nie, jakżebyś mógł...?

Możliwe, Padmo. Przysięgłem powiedzieć wszystko co do joty; nie zataić ani krztyny prawdy. (Tyle że na jej twarzy pojawiają się ślimacze ślady, muszę jej zatem wszystko wyjaśnić.)

No więc – możesz mi wierzyć albo nie, ale tak to było! – powtarzam z uporem, że wszystko się skończyło i wszystko zaczęło od nowa, kiedy spluwaczka rąbnęła mnie w tył głowy. Salim goniący rozpaczliwie za sensem, za godnym celem, za geniuszem-niby-szal, znikł; i nie powróci, dopóki wąż z dżungli... tak czy owak, na razie jest był tylko budda; który nie rozpoznaje w niczym śpiewie głosu swojej krewnej; który nie pamięta ni ojców, ni matek; który nie przykłada wagi do północy; który pewien czas po swym oczyszczającym wypadku przebudził się w łóżku szpitala garnizonowego i pogodził się z wojskiem jako ze

swoim przeznaczeniem; który bierze życie jak leci i spełnia swoje powinności; który wykonuje rozkazy; który jest zarówno z-tego-świata, jak i nie-z-tego-świata; który chyli głowę; który potrafi tropić człowieka lub zwierzę po ulicach miasta bądź z biegiem rzeki; który nie wie ani nie chce wiedzieć, pod czyimi auspicjami, z czyjej przysługi, z czyjego mściwego poduszczenia ubrano go w mundur; który, krótko mówiąc, jest ni mniej, ni więcej tylko tropicielem przydzielonym do oddziału KUTIA 22.

Jakże wygodna jest ta amnezja, ile spraw tłumaczy. Pozwolę więc sobie na słowo krytyki pod swoim adresem: filozofia aprobaty przyjęta przez buddę miała nie mniej i nie więcej niefortunne konsekwencje niż jego poprzednia żądza miejsca-w-centrum-wydarzeń; i właśnie tutaj, w Dhace, te konsekwencje się objawiły.

– Nie, to nieprawda – jęczy moja Padma; tak samo odsuwano od siebie większość zdarzeń, które się rozegrały owej nocy.

Północ, 25 marca 1971 roku: budda poprowadził żołnierzy koło ostrzeliwanego uniwersytetu do jaskini szejka Mudżiba. Z domów akademickich wybiegli studenci i wykładowcy; przywitały ich kule, a merkurochrom zbrukał trawniki. Szejk Mudżib nie zginął jednak od kuli; skuty, sponiewierany, dał się zaprowadzić Ajubie Baloczowi do czekającej furgonetki. (Podobnie jak niegdyś, po rewolucji pieprzniczek... tyle że Mudżib nie szedł nago; miał na sobie zielono-żółte, pasiaste spodnie piżamowe.) A kiedy jechaliśmy ulicami miasta, Szahid wyglądał przez okno i widział rzeczy, które nie-były-nie-mogły-być prawdą: żołnierze wpadali do żeńskich domów akademickich bez pukania; kobiety wywlekano na ulicę i również w nie wchodziło, podobnie zresztą nikt się nie kwapił zapukać. Płonęły redakcje gazet w obłokach brudnego żółtoczarnego dymu prasy brukowej, biura związków zawodowych doszczętnie rozbite, przydrożne rowy napełniały się ludźmi, którzy niezupełnie spali – widziało się nagie torsy opryszczone dziurami od kul. Ajuba Szahid Faruk przyglądali się w milczeniu przez sunące naprzód okna, jak nasi chłopcy, nasi żołnierze-w-Allahu, nasi warci-dziesięciu-babu dżawanowie czuwają nad losami Pakistanu, kierując miotacze-ognia karabiny-maszynowe ręczne-granaty na dzielnice ruder. Zanim dowieźliśmy szejka Mudżiba na lotnisko, gdzie Ajuba wetknął mu pistolet w zadek i popchnął go do samolotu, którym szejk odleciał w niewolę Zachodniego Skrzydła, budda przymknął oczy. (– Nie nabijajcie mi głowy historią – powiedział raz Ajubie-czołgowi. – Jestem, kim jestem, i tyle.)

A brygadier Iskandar robiąc zbiórkę swoich podkomendnych:

– Nawet teraz trafiają się elementy wywrotowe, które trzeba wyplenić.

Kiedy myśl staje się zbyt bolesna, czyn jest najlepszym lekarstwem... psie wojsko, trzymane najpierw na smyczy, a następnie wypuszczone, rzuca się ochoczo do dzieła. Pościg wilczurów za niepożądanymi! Masowe obławy na profesorów i poetów! Ubolewania godne aresztowania rozstrzeliwanych-przy-próbie-stawiania-oporu członków Ligi Awami i sprawozdawców mody! Psy wojny wyją na alarm w mieście; ale chociaż czworonożni tropiciele są niezmordowani, żołnierze nie mają tylu sił: Faruk Szahid Ajuba kolejno wymiotują, kiedy ich nozdrza atakuje swąd płonących ruder. Budda, w którego nosie ów swąd wyczarowuje obrazy o sile spalenizny, nie odrywa się od pracy. Wyniuchać kogo trzeba: resztę zostawić żołnierzom. Oddziały KUTIA grasują po tłącym się pobojuwisku. Dziś w nocy żaden niepożądany osobnik nie jest bezpieczny; żadna kryjówka niedostępna. Ogary tropią czmychających wrogów jedności narodowej; wilczury, aby nie być gorsze, zatapiają groźne zębiska w ofiary.

Ilu aresztowań – dziesięciu, czterystu dwudziestu, tysiąc jednego? – dokonał sam nasz oddział 22 owej nocy? Ilu tchórzem podszytych intelektualistów spośród dhakanczyków

ukryło się w kobiecych sari, aż trzeba ich było wywlekać na ulice? Jak często brygadier Iskandar: – Czujecie? Oto smród wywrotowców! – szczał krwiożercze psy jedności? Owej nocy 25 marca wydarzyły się dziwy, które na zawsze pozostaną niewyjaśnione.

Nieprzydatność statystyki: w ciągu roku 1971 dziesięć milionów uchodźców zbiegło przez granicę Wschodniego Pakistanu-Bangladeszu do Indii – ale dziesięć milionów (tak jak wszystkie liczby wyższe niż tysiąc i jeden) trudno ogarnąć. Porównania nic tu nie pomagają: „największa migracja w dziejach ludzkości” – puste słowa. Większy od Exodusu, liczniejszy od tłumów podziału, wielogłowy potwór wlał się do Indii. Na granicy indyjscy żołnierze ćwiczyli oddziały partyzanckie znane pod nazwą Mukti Bahini; w Dhace sprawował rząd Tygrys Nijazi.

A Ajuba Szahid Faruk? Nasi wojacy? Jak przyjęli walkę z mięsożernymi pobratymcami? Czy się zbuntowali? Czy oficerowie – Iskandar, Nadżmuddin lub choćby Lala Moin – zostali nafaszerowani pociskami obrzydzenia? Nie. Utracili niewinność; ale mimo nowego smętku w oczach, mimo nieodwołalnej utraty pewności, mimo nadszarpnięcia absolutów moralnych, oddział nadal spełniał swoją powinność. Budda nie był więc jedynym, który wykonywał rozkazy... tymczasem gdzieś wysoko nad polem bitwy głos Dżamili Śpiewaczki zwalczał anonimowe głosy wyśpiewujące teksty R. Tagore’a: „Żywot mi upływa w cienistych wiejskich chatach pełnych ryżu z twoich pól; co przejmuję me serce rozkoszą”.

Owszem, z sercami przejętymi, chociaż bynajmniej nie rozkoszą, Ajuba i spółka działali wedle rozkazów; a budda tropił węchem ślady. Oddział 22 wkracza do rozszalałego przejętego krwawiącego serca miasta, tymczasem żołnierzy Zachodniego Skrzydła zgrozą napawa myśl, że zblądzili; na zaciemnionych ulicach budda z nosem przy ziemi wywachuje tropy, lekceważąc przyziemny rozgardiasz paczek-po-papierosach krowiego-łajna porzuconych-rowerów poniewierających-się-butów; i dalej już w kolejnych akcjach, za miastem, gdzie puszcza się z dymem całe wsie obarczane zbiorową odpowiedzialnością za ukrywanie Mukti Bahini, budda i trzech chłopcy dopadają pomniejszych przywódców Ligi Awami i znanych komunistów. Mijają chłopów uciekających za granicę z całym dobytkiem zwiniętym w tobołkach na głowach; mijają wyrwane szyny kolejowe i spalone drzewa; a wciąż jak gdyby pchała ich jakaś niewidzialna siła, jak gdyby ciągnęła ich w jeszcze ciemniejsze serce obłądu, kierują się z coraz to nową misją na południe południe południe, ku morzu, ku gardzielom rzeki Ganges i oceanu.

I na koniec – kogo wtedy ścigali? Czy nazwiska nie przestały się liczyć? – dostali rozkaz odszukania kogoś, kto musiał się z buddą równać-i-różnić pod względem umiejętności, bo w przeciwnym razie, czemu tak długo nie dało się go złapać? Na koniec – zobligowani wyszkoleniem, tropić-bez-ustanku-aresztować-bez-pardonu, znajdują się w samym środku misji bez końca, w pogoni za wrogiem, który im wciąż umyka, lecz nie mogą wrócić z pustymi rękami do bazy, toteż brną naprzód, na południe południe południe, przyciągani wiecznie rozmywającym się tropem zapachowym; a może też i czymś więcej: bo przez całe życie los mi nigdy nie odmawiał wyciągniętej ręki.

Zarekwirowali łódź, albowiem budda stwierdził, że trop prowadz z biegiem rzeki; głodni niewyspani zmordowani w świecie opuszczonych pól ryżowych wiosłują w pogoni za swoją niewidoczną ofiarą; płyną wielką brunatną rzeką, aż wojna tak się oddała, że trudno o niej pamiętać, i tylko zapach wiedzie ich naprzód. Rzeka nosi tu swojskie imię: Padma. To imię stanowi jednak miejscowy kaprys; w istocie to nadal Ona, matka-woda, bogini Ganga spływająca na ziemię włosami Siwy. Budda od wielu dni nie odzywa się słowem; tylko wskazuje, tam, tędy, i suną naprzód, na południe południe południe ku oceanowi.

Nieopisany poranek. Ajuba Szahid Faruk budzą się w łodzi ich bezsensownej pogoni, przycumowani do brzegu Padmy-Gangi – i widzą, że go nie ma.

– Allah-Allah – jęczy Faruk. – Łapcie się za uszy i błagajcie o litość, zwabił nas w tę topiel i zbiegł, to wszystko twoja wina, twoja, Ajubo, tak się na nas zemścił za ten twój kawał z prądem elektrycznym!

...Wznosi się słońce. Na niebie dziwne nieznane ptaki. W brzuchach całej trójki głód i strach jak te myszy: a jeślitak, jeślitak Mukti Bahini... wzywają na pomoc rodziców. Szahid miał znów sen o owocu granatu. Rozpacz uderza o burty łodzi. A w oddali, tuż przy linii widnokregu niewiarygodna bezkresna olbrzymia zielona ściana, która ciągnie się w prawo i w lewo aż po krańce ziemi! Niewysłowiony strach: jak to możliwe, czy nas wzrok nie myli, kto stawia ściany, żeby grodzić świat?... I wtedy Ajuba: – Patrzcie-patrzcie, o Allah! – Bo przez pole ryżowe zmierza ku nim osobliwa pogoń w zwolnionym tempie: na przedzie budda z tym swoim nosem-ogórasem rozpoznawalnym na kilometr, za nim tapla się przez poletka ryżu gestykulujący chłop z sierpem, wzburzony Ojciec Czas, po grobli zaś biegnie kobieta w sari zebrany między nogami, z rozpuszczonym włosom, błagając krzycząc wniebogłosy, tymczasem mściciel z kosą brnie przez zatopiony ryż, od stóp do głów zbryzgany wodą i błotem. Ajuba wykrzykuje folgując nerwom: – Eh, ten stary cap! Nie mógł utrzymać rąk z dala od miejscowych kobiet! No, budda, nie daj się złapać, bo ci urżnie oba ogórasy! – A Faruk: – Tylko co wtedy? Jak nam porzną budę, to wtedy co? – Wówczas Ajuba-czołg wyrywa rewolwer z kabury. Celuje: obie ręce wyciągnięte przed siebie, próbuje opanować drżenie, naciska: sierp łukiem szybuje w powietrze. I pomału pomału ręce wieśniaka wznoszą się niby do modlitwy; kolana klękają w ryżowej wodzie; twarz zapada się pod wodę, by dotknąć czołem ziemi. Kobieta na grobli wszczyna lament. Ajuba zaś grozi buddzie: – Następnym razem zastrzelę ciebie. – Ajuba-czołg trzęsie się jak liść. Tylko Czas leży martwy w polu ryżowym.

Jednakże bezsensowna pogoń trwa nadal, przed nimi niewidoczny wróg, budda ze swym: – Tędy – i wszyscy czterej wiosłują dalej, na południe południe południe, zabili godziny, pogubili daty, sami już nie wiedzą, czy kogoś gonią, czy uciekają, ale cokolwiek popycha ich naprzód, przybliża ich coraz bardziej i bardziej do niewiarygodnej ściany zieleni. – Tędy – nalega budda, i naraz są w środku, w dżungli tak gęstej, że historia właściwie nigdy nie zdołała się tam wedrzeć. Sundarbany: wchłaniają ich żywcem.

W Sundarbanach

Powiem prawdę: wcale nie ostatni zwodniczy pościg wiódł nas na południe południe. Z obnażoną piersią składałam przed wszystkimi czytelnikami niniejsze oświadczenie: podczas gdy Ajuba Szahid Faruk nie potrafili rozróżnić między pogonią-za a ucieczką-przed, budda wiedział, co robi. Chociaż doskonale zdaję sobie sprawę, że podsuwam wszelkim przyszłym komentatorom lub jadowitym krytykom (którym powiadam: dwukrotnie przedtem byłem wystawiony na działanie węzowej trucizny; i oba razy okazałem się silniejszy od toksyn) dalszą amunicję – wskutek przyznania-się-do-winy, wyjawienia-moralnej-podłości, dowodów-na-tchórzostwo – muszę wyznać, że on, budda, wreszcie niezdolny do dalszej uległości w wykonywaniu obowiązków, wziął nogi za pas i zbiegł. Zarażony zżerającym-duszę robactwem pesymizmu daremności wstydu, uszedł w ahistoryczną anonimowość deszczowego lasu, ciągnąc w ślad za sobą trójkę dzieci. Co mam nadzieję uwiecznić w marynatach, jak również w słowach: ów stan ducha, kiedy nie da się zaprzeczyć konsekwencjom własnej aprobaty, kiedy przedawkowanie rzeczywistości rodzi miazmatyczną tęsknotę za ucieczką w bezpieczne schronienie snów... Wszakże dżungla, tak jak wszystkie kryjówki, przeszła – zawiodła, a zarazem przerosła – jego oczekiwania.

– Tak się cieszę – komentuje Padma – taka jestem rada, że stamtąd zwiąłeś.

Upieram się jednak: nie ja. On. On, budda. Który aż do węża pozostanie nie-Salimem; który mimo swej ucieczki-przed nadal był odizolowany od przeszłości; chociaż ścisnął w garści pewną srebrną spluwaczkę, co przywarła doń niczym czaszołka.

Dżungla zamknęła się za nimi jak grobowiec, a po wielu godzinach coraz bardziej nużącego, lecz mimo to gorączkowego wiosłowania po niewiarygodnych labiryntach słonowodnych kanałów, zwieńczonych katedralnymi wprost łukami drzew, Ajuba Szahid Faruk zgubili całkiem drogę; raz po raz zwracali się do buddy, który wskazywał: – Tędy – a następnie: – Tam – ale chociaż wiosłowali zapamiętane, niepomni zmęczenia, przypuszczalnie możliwość wydostania się kiedykolwiek z tej gęstwiny majaczyła im coraz słabiej niby latarnia upiora; aż wreszcie napadli na swojego rzekomo niezawodnego tropiciela i zapewne dojrzeliby ognik wstydu czy też ulgi jarzący się w jego zwykle mlecznobłękitnych oczach; wtedy Faruk wyszeptał pośród grobowej zieleni lasu: – Sam nie wiesz. Mówisz byle co. – Budda nie przerwał milczenia, ale w tym milczeniu odczytali swój los, skoro więc i on był przekonany, że dżungla wchłonęła ich tak jak ropucha połyka komara, skoro i on był pewien, że nigdy już nie zobaczy słońca, Ajuba Balocz, Ajuba-czołg, załamał się kompletnie i zapłakał jak monsun. Kiedy Faruk i Szahid zobaczyli, że taki osiłek ostrzyżony na jeża łka jak niemowlę, sami potracili zmysły; toteż Faruk omal nie wywrócił łodzi, napadając na budę, który potulnie znosił wszystkie ciosy, spadające deszczem na jego pierś ramiona ręce, aż Szahid musiał ze względów bezpieczeństwa powalić Faruka. Ajuba Balocz płakał tak bez przerwy przez trzy bite godziny albo dni, albo tygodnie, aż spadł deszcz i lży stały się zbyteczne; Szahid Dar usłyszał własne słowa: – No i widzisz, coś rozpętał, stary, tym swoim płaczem – dowodząc tym samym, że wszyscy poddają się już logice dżungli, a to dopiero początek, bo w miarę jak magia wieczoru spowijała nierealność drzew, Sundarbany poczęły rosnąć w deszczu.

Z początku tak byli zajęci wylewaniem wody z łodzi, że niczego nie zauważyli; zresztą

poziom wody się podnosił, co mogło ich zmylić; ale w ostatnim blasku dnia nie ulegało już wątpliwości, że dżungla przybiera na rozmiarach, sile i srogości; potężne korzenie podporowe olbrzymich, wiekowych namorzynów płożyły się niczym węże spragnione o zmierzchu, wsysając deszcz i pęczniejąc bardziej niż słońcowa trąba, a same namorzyny strzelały tak wysoko w górę, że jak to Szahid Dar później określił, ptaki na ich wierzchołkach mogły pewno śpiewać wprost do Boga. Liście na czubkach ogromnych palm nipa puściły się niczym wielkie zielone złożone dłonie, puchnąc w tej nocnej ulewie, aż cały las jakby się pokrył strzechą; wtedy sypnęły się owoce nipa, większe od największych kokosów, i przyspieszały groźnie spadając z zawrotnych wysokości, po czym eksplodowały w wodzie niczym bomby. Woda deszczowa przepełniała łódź; mieli tylko miękkie zielone czapki i starą puszkę po ghi do wybierania wody; wraz z zapadnięciem nocy, kiedy owoce nipa bombardowały ich z powietrza, Szahid Dar uznał: – Nie ma co, musimy przybić do brzegu – chociaż głowę miał nabitą snem o owocach granatu i przemknęło mu przez myśl, że może sen się właśnie sprawdza, aczkolwiek owoce są tu inne.

Kiedy Ajuba siedział z zaczerwienionymi oczyma zdjęty strachem, a Faruk był wyraźnie zdruzgotany upadkiem swojego bohatera; kiedy budda uporczywie milczał i tylko chylił głowę, jeden Szahid zachował zdolność myślenia, bo chociaż był przemoknięty, skonany, a z nocnej dżungli dobiegały piskliwe odgłosy, każdorazowa myśl o granacie śmierci rozjaśniała mu przynajmniej częściowo w głowie; toteż właśnie Szahid nakazał nam, im, przybić naszą, ich, tonącą łodzią do brzegu.

Owoc nipa chybił o pięć centymetrów, wskutek czego zakotłowało się w wodzie i łódź przewróciła się do góry dnem; wygramolili się w ciemnościach na brzeg, niosąc broń ubrania nieprzemakalną puszkę od ghi nad głowami, po czym wyciągnęli łódź i nie zważając już na bombardujące palmy nipa ani na płożące się namorzyny zwalili się do przemokłej łajby i zapadli w sen.

Kiedy się obudzili, ociekając-dygocząc mimo upału, deszcz przeistoczył się w gęstą mżawkę. Całe ciała oblepiały im ośmiocentymetrowe pijawki, niemal bezbarwne z braku światła słonecznego, lecz na nich jaskrawoczerwone, bo opily się krwią i teraz jedna po drugiej eksplodowały na ciałach czterech istot ludzkich, gdyż mimo przesyty żarłoczność nie pozwalała im przestać ssać. Krew spływała po nogach na poszycie leśne; wsysała ją dżungla i w ten sposób ich poznawała.

Kiedy spadające owoce nipa rozbijały się o poszycie dżungli, również ociekały płynem koloru krwi, czerwonym mlekiem, które natychmiast obsiadał milion owadów, łącznie z olbrzymimi muchami przezroczystymi tak jak te pijawki. Muchy podobnie czerwieniły opijając się mlekiem owoców... zdawało się, że Sundarbany przez całą noc nie przestawały rosnać. Nad wszystkim górowały drzewa sundri, od których dżungla wzięła nazwę; drzewa tak rosły, że przekreślały wszelkie nadzieje na dopływ słońca. Jak było nas, ich czterech, wszyscy opuścili łódź; i dopiero kiedy stanęli na twardej nagiej ziemi pełnej blad różowych skorpionów i rojącego się kłębowiska brunatnych dżdżownic, uzmysłowili sobie, że trawi ich głód i pragnienie. Deszczowa woda wylewała się zewsząd z liści, toteż podnieśli usta ku sklepieniu dżungli i pili; może jednak dlatego, że ta woda omyła uprzednio liście drzew sundri, gałęzie namorzynów i listowie drzew nipa, wchłonęła po drodze coś z szaleństwa dżungli, toteż pijąc zapadali się coraz głębiej w jarzmo owego świata siennej zieleni, w którym głosy ptaków przypominały skrzyp drewna, a wszystkie węże były ślepe. W zamąconym, miazmatycznym za sprawą dżungli stanie umysłu przyrzadzili sobie pierwszy posiłek złożony z owoców nipa i tłuczonych dżdżownic, który wywołał u nich tak silną biegunkę, że zmuszali

się do oglądania własnych ekskrementów, aby sprawdzić, czy nie wypadły im z tego wszystkiego kiszki.

Faruk stwierdził: – Niechybnie zginiemy. – Szahidem jednak owładnęła przemożna chęć przetrwania; otrząsnąwszy się bowiem ze zwątpień minionej nocy, nabrał przekonania, że nie tak odejdzie z tego świata.

Zagubiony w deszczowym lesie, a zarazem świadom, że monsun zelżał jedynie chwilowo, Szahid uznał, iż nie ma co szukać stąd wyjścia, skoro powracający monsun może w każdej chwili zatopić ich lichą łódź; wedle jego wskazówek zbudowano więc szałas z nieprzemakalnych płaszczy i palmowych liści; a Szahid oznajmił: – Na samych owocach mamy szansę przeżyć. – Dawno już zapomnieli celu podróży; ich pościg rozpoczęty daleko stąd, w rzeczywistym świecie, nabrał w tym dziwnym świecie Sundarbanów znamion bezsensownej fantazji, co pozwoliło im go porzucić raz na zawsze.

I tak oto Ajuba Szahid Faruk i budda poddali się straszliwym fantasmagoriom sennego lasu. Dni mijają, przelewały się w siebie pod naporem powracającego deszczu, a oni mimo chłodu febry biegunki trwali przy życiu, ulepszyli szałas za pomocą ściągniętych niższych gałęzi drzew sundri i namorzynów, pili czerwone mleko owoców nipa, nabywali umiejętności przetrwania, jak choćby sztuka duszenia węży i rzucania wyostrzonych kijów tak celnie, że przeszywały różnobarwnym ptakom żołądek mięśniowy na wylot. Jednakże pewnej nocy Ajuba przebudził się w ciemnościach i zobaczył przezroczystą sylwetkę chłopca z sercem przedziurawionym kulą i z sierpem w ręku, który patrzył na niego z grobową miną, kiedy zaś Ajuba usiłował wydostać się z łodzi (wciągniętej przez nich do środka pod osłonę prymitywnego szałasu), z dziury w sercu chłopca spłynęła bezbarwna ciecz i opryskała strzelecką rękę Ajuby. Nazajutrz rano Ajuba nie mógł ruszyć prawą ręką; zwiślała mu sztywno u boku jak gdyby wsadzona w gips. Nadaremno Faruk Raszid spieszył z pomocą i słowami współczucia; ręka tkwiła bez ruchu w niewidzialnym fluidzie owej zjawy.

Po tym pierwszym widziadle obsunęli się w taki stan umysłu, w którym byli skłonni uwierzyć, że ten las jest zdolny do wszystkiego; co noc zsyłał im nowe kary, oskarżycielskie oczy żon wytropionych przez nich i pojmanyh mężczyzn, krzyki i małpi szwargot dzieci pozbawionych ojców w wyniku ich akcji... a kiedy po raz pierwszy spadł na nich ów czas kary, nawet niewzruszony budda musiał przyznać tym swoim głosem o miejskim akcencie, że i on zrywa się nocą i widzi, jak las zwiera się nad nim niczym szczęki imadła, tak że trudno złapać oddech.

Kiedy już dżungla dostatecznie ich pokarała – kiedy wszyscy stali się drżącymi cieniami ludzi, którymi niegdyś byli – zezwoliła im na obosieczny luksus nostalgii. Pewnej nocy Ajuba, który popadał we wtórne zdziecinnienie prędzej niż którykolwiek z jego towarzyszy i zaczął już ssać swój jedyny ruchomy kciuk, ujrzał swoją matkę, jak nań patrzy i podsuwa mu pyszne ryżowe słodycze swojej miłości; kiedy jednak sięgnął po owe laddu, matka czmychnęła i zobaczył, że wspina się po olbrzymim drzewie sundri, po czym buja się uczepiona za ogon najwyższego konaru: biała widmowa małpka o twarzy jego matki odwiedzała Ajubę noc w noc, toteż z czasem musiał przypomnieć sobie o niej coś więcej, niż tylko jej słodkości: że lubiła wysiadywać pośród swoich kufrów posagowych, jak gdyby i ona była tylko przedmiotem, tylko jednym z darów, jakie ojciec dał jej mężowi; dopiero w sercu Sundarbanów Ajuba Balocz zrozumiał własną matkę i przestał ssać kciuk. Również Faruk Raszid miał widzenie. Pewnego dnia o zmierzchu zdawało mu się, że widzi swojego brata, jak biegnie szalonym pędem przez las, toteż uznał, iż ojciec nie żyje. Przypomniał sobie pewien zapomniany dzień, w którym ojciec, chłop, oświadczył jemu i jego szybko konogiemu bratu, że

miejscowy właściciel ziemski, który pożyczał pieniądze na trzysta procent, zgodził się w zamian za ostatnią pożyczkę wziąć jego duszę. – Kiedy zemrę – przykazał stary Raszid bratu Faruka – rozdział gębę, a wleci w nią moja dusza; wtedy biegnij biegnij biegnij co sił w nogach, bo zamindar będzie cię ścigał! – Faruk, który też wstąpił na drogę groźnego regresu, znalazł w wiadomości o śmierci ojca i w ucieczce brata siłę, aby porzucić dziecięce nawyki przywołane z początku za sprawą dżungli; przestał płakać, kiedy był głodny, i wciąż pytać „dlaczego”. Szahida Dara z kolei nawiedzała mała o twarzy jego przodka; ale widział w niej wyłącznie ojca, który kazał mu zasłużyć na dobre imię rodziny. Pomogło mu to wszakże odzyskać poczucie odpowiedzialności, nadszarpnięte przez wymogi wojenne słuchania-tylko-rozkazów; toteż magiczna dżungla udręczywszy niejako wszystkich trzech ich własnymi grzechami prowadziła ich teraz za rękę ku nowej dorosłości. Ponadto w nocnym lesie mignęły widma nadziei; tyle że nie zdołali ich wyraźnie dojrzeć ani pojąć.

Budda jednak z początku nie dostąpił poczucia nostalgii. Zaczął przesiadywać w pozycji lotosu pod drzewem sundri; oczy i głowę miał jakby puste, a w nocy przestał się budzić ze snu. Wreszcie las znalazł i na niego sposób; pewnego popołudnia, kiedy deszcz bębnił o drzewa i kipiał na nich bąbelkami pary, Ajuba Szahid Faruk zobaczyli, jak siedzącego pod drzewem buddę ukąsił ślepy, przezroczysty wąż i wpuścił mu jad w piętę. Szahid Dar zmiażdżył kijem głowę węża; budda zaś odrętwiała od stóp do głów najwidoczniej niczego nie poczuł. Oczy miał zamknięte. Od tej pory chłopcy czekali na śmierć człowieka-psa; ale ja byłem silniejszy od węzowego jadu. Na dwa dni znieruchomiał sztywny jak drzewo, a wzrok mu się skrzyżował, toteż budda widział cały świat niby w zwierciadlanym odbiciu, prawą stronę po lewej; w końcu jednak odprężył się, spojrzenie mleczonej abstrakcji znikło mu z oczu. Wężowy jad wstrzyknął mi więź z przeszłością, która zaczęła się wylewać z ust buddy. Kiedy wzrok wrócił do normy, słowa popłynęły tak swobodnie, jak gdyby należały do monsunu. Żołnierzyki słuchały jak urzeczony opowieści płynących z jego ust, począwszy od narodzin o północy, i ciągnących się bez ustanku, bo wracały doń wszystkie, co do jednej; wszystkie zagubione historie, te miriady złożonych procesów, które zebrane razem tworzą człowieka. Nie mogąc się oderwać żołnierzyki z rozdziawionymi buziami spijały jego życie niczym skażoną liśćmi wodę, kiedy opowiadał o moczających się bezwiednie kuzynach, o rewolucyjnych pieprzniczkach, o idealnym głosie swojej siostry... Ajuba Szahid Faruk, którzy (niegdyś) daliby wszystko, żeby stwierdzić, czy te pogłoski odpowiadają prawdzie; tutaj, w Sundarbanach, nawet się nie zachłysnęli.

I dalej: o późno rozkwitłej miłości i o Dżamili w sypialni w promieniu światła. Dopiero teraz Szahid mruknął: – A więc dlatego, kiedy wszystko wyznał, nie mogła znieść jego obecności... – Ale budda ciągnie dalej i widać wyraźnie, że się zмага, by przypomnieć sobie coś konkretnego, coś, co nie chce powrócić, co uporczywie mu umyka, toteż dochodzi do końca i nie może tego odnaleźć, chociaż więc zdał już relację ze świętej wojny i wyjawiał, co spadło z nieba, mars nie schodzi mu z czoła i nie powraca błogość.

Zapadło milczenie; po czym odezwał się Faruk Raszid: – Tyle tego, jar, na jednego człowieka; tyle zła, nie dziwota, że trzymał gębę na kłódkę!

Sama widzisz, Padmo: opowiedziałem już to wszystko przedtem. Tylko co nie chciało powrócić? Co mimo wyzwalającego jadu bezbarwnego węża nie chciało paść z moich ust? Padmo: budda zapomniał, jak się nazywa. (A ściślej: swojego imienia.)

Deszcz nie ustawał. Z dnia na dzień podnosił się poziom wody, aż zrozumieli, że muszą się zapuścić w głąb dżungli, aby znaleźć wyżej położony łąd. Przy tak ulewnym deszczu łąd była bezużyteczna; stosując się więc nadal do zaleceń Szahida, Ajuba Faruk i budda

odciągnęli ją jak najdalej od postępującego nadbrzeża, obwiązali liną cumowniczą pień drzewa sundri i przykryli łajbę liśćmi; po czym, nie mając innego wyjścia, przenieśli się dalej w gęstwinę niepewności dżungli.

I oto Sundarbany po raz któryś zmieniły swój charakter; i znów uszy Ajuby Szahida Faruka przepełniły lamentsy rodzin, z których łona chłopcy wydarli to, co niegdyś, przed wiekami, określali mianem „niepożądanych elementów”; puścili się szalonym pędem w serce dżungli, żeby uciec przed oskarżycielskimi, cierpiętniczymi głosami swoich ofiar; a nocami upiorne małpy gromadziły się na drzewach i wyśpiewywały „Nasz złoty Bengal”: „...O, matko, jestem biedny, lecz wszystko, co mam, składam ci u stóp. I przejmuje to me serce rozkoszą”. Ponieważ nie mogli uciec od tej nieznośnej tortury nie milknących głosów, nie mogli znieść ani chwili dłużej tego brzemienia wstydu, który bardzo się teraz nasilił pod wpływem zdobytego-w-dżungli poczucia odpowiedzialności, trzech żołnierzyków sięgnęło w końcu po rozpaczliwe środki. Szahid Dar pochylił się i zaczerpnął dwie garści nabrzmiałego deszczem błota dżungli; w przystępie straszliwych halucynacji napchał sobie owego zdradliwego błota deszczowego lasu do uszu. Za nim Ajuba Balocz i Faruk Raszid również zatkali sobie uszy błotem. Tylko budda nie zatykał sobie uszu (jednego zdrowego, drugiego już i tak chorego); jak gdyby chylił głowę przed nieuchronnością własnego poczucia winy... Błoto sennego lasu, które bez wątpienia zawierało również utajoną przezroczyść dżunglowych owadów i diabelskość jaskrawopomarańczowych ptasich odchodów, zakaziło uszy trzech żołnierzyków, toteż wszyscy stali się głusi jak pień; chociaż więc omijały ich oskarżycielskie pienia dżungli, musieli teraz porozumiewać się prymitywnym językiem migowym. Woleli bodajże tę chorobliwą głuchotę od niestrawnych sekretów, które liście drzew sundri szeptały im do uszu.

Wreszcie głosy umilkły, chociaż teraz wyłącznie budda (i to jednym zdrowym uchem) je słyszał; wreszcie, kiedy czterej włóczędzy byli już na granicy rozpacz, dżungla przeprowadziła ich przez zaslonę brodatych drzew i ukazała widok tak bajeczny, że aż coś ich chwyciło za gardła. Nawet budda zacisnął ręce na spluwacze. Z jednym zdrowym uchem na ich czterech wyszli na polanę wypełnioną czarownicami melodiami ptasich treli, a pośrodku stała monumentalna świątynia hinduska wykuta ongiś w gigantycznej skale; na ścianach roztańczone freski mężczyzn i kobiet kopulujących w pozycjach wskazujących na nieprześcignioną sprawność fizyczną, a czasem wręcz na wysoce komiczną absurdalność. Nasz kwartet zbliżył się do tego cudu nieufnym krokiem. W środku znaleźli nareszcie wytchnienie od nie ustającego monsunu, a także górujący nad wszystkim posąg czarnej tańczącej bogini o nie znanym żołnierzykom z Pakistanu imieniu; budda jednak wiedział, że to Kali, płodna i groźna, z resztkami złotej farby na zębach. Czterej podróżnicy zlegli u jej stóp i zapadli w wolny od deszczu sen, który zakończył się około północy, kiedy to obudzili się jak na komendę i ujrzeni skierowane do siebie uśmiechy czterech młodych dziewcząt niewysłowionej wprost urody. Szahid, który przypomniał sobie cztery hurysy czekające nań w ogrodzie kamforowym, z początku uznał, że owej nocy dokonał żywota; ale hurysy wyglądały dość realnie, a sari okrywające ich nagie ciała były podarte i nosiły ślady dżungli. Kiedy więc ośmioro oczu wejrzało w ośmioro innych oczu, sari rozwinięto i złożono w równych kostkach na ziemi; po czym nagie, identyczne córki lasu podeszły do nich, ośmioro rąk splotło się z ośmiorgiem rąk, osiem nóg złączyło się z ośmioma nogami; pod posągiem wielorękiej i wielo-nogiej Kali podróżni zatracili się w pieszczotach, które odczuwało się dość realnie, w pocałunkach i miłosnych kąsaniach, czułych i bolesnych zarazem, w zadrapaniach, które pozostawiły ślady, i zdali sobie sprawę, że tego tego tego właśnie im było

trzeba, że za tym bezwiednie tęsknili, że przebrnąwszy przez zdziennienie i dziecięce utrapienia najwcześniejszych dni dżungli, przeżywszy napór pamięci i odpowiedzialności oraz jeszcze dotkliwsze katusze powracających oskarżeń, porzucili raz na zawsze swoje dziecięctwo, teraz więc niepomni na rozsądek, skutki i głuchotę, słowem, niepomni na wszystko, oddali się bez nijakiego pomysłu czterem identycznym pięknościami.

Po tej nocy nie mogli się oderwać od świątyni, chyba że w poszukiwaniu jedzenia, a co noc nadobne kobiety ich najbardziej wymarzonych snów powracały w milczeniu, bez słowa, zawsze nieskazitelnie czyste w swoich sari, i nieodmiennie doprowadzały zbłąkany kwartet do niewiarygodnego, zharmonizowanego szczytu rozkoszy. Żaden z nich nie wiedział, jak długo to trwa, bo w Sundarbanach czas mijał wedle nieznanym reguł, wreszcie jednak nadszedł dzień, w którym spojrzeli po sobie i zrozumieli, że sami stają się przezroczyści, że można już przejrzeć ich ciała na wylot, chociaż jeszcze nie całkiem wyraźnie, jeszcze mętnie, jakby się patrzyło przez sok mango. Zatrwożeni pojęli, że to ostatni i najgorszy fortel dżungli, mianowicie że dostarczając im rozkoszy dżungla ich otumania, tak aby wcielali w życie własne sny, kiedy więc wyszczały się z nich marzenia senne, oni sami stawali się równie puści w środku i przezroczyści jak szkło. Teraz budda uprzytomnił sobie, że bezbarwność owadów, pijawek i węży mogła się wiązać raczej z grabieżą dokonywaną na ich owadziej, pijawkowej, wężowej wyobraźni niż z brakiem światła słonecznego... przebudzeni jakby po raz pierwszy z szoku przezroczystości, spojrzeli na świątynię nowym okiem, zobaczyli wielkie ziejące szczeliny w litej skale, zdali sobie sprawę, że potężne bloki mogą się lada chwila rozstać i pogrzebać ich na wieki; wtedy to w mrocznym kącie opuszczonej świątyni dostrzegli resztki zapewne czterech niewielkich ognisk – starodawne popioły, wypalone ślady w kamieniu – a może czterech stosów całopalnych; pośrodku każdego z tych czterech palenisk szerniały, strawiony przez ogień stosik nienaruszonych kości.

Jak budda opuścił Sundarbany: kiedy ratowali się ucieczką ze świątyni do łodzi, rozpętał się nad nimi las iluzji, w swej ostatniej i najbardziej przerażającej sztuczce; ledwie dobiegli do łodzi, dopadł ich najpierw łoskot z oddali, po czym huk, który zdołał się przedrzeć nawet do ogłuszonych błotem uszu, odcumowali więc łódź i skoczyli do niej jak szaleni, lecz wtem nadeszła fala i już byli zdani na łaskę wód, które zdruzgotałyby ich ani chybi o drzewa sundri, nipa bądź namorzyny, tyle że przyływ uniósł ich wzburzonymi brunatnymi kanałami, a las ich niepokoju mignął im tylko niczym wielka zielona ściana, zupełnie jakby dżungla znudzona swymi zabawkami wyrzucała ich bezceremonialnie ze swojego terytorium; unoszeni-na-falach, pchani dalej i dalej niewyobrażalną siłą fal, podskakiwali żałośnie wśród zwalonych konarów i zrzuconych skór węży wodnych, aż na ostatku wyprysnęli z łodzi, kiedy fala odpływu rozbiła ją o pniak drzewa, i znaleźli się na zatopionym polu ryżowym, w wodzie po pas, ale żywi, wydaleny z serca dżungli snów, do której się skryłem w nadziei na spokój, a znalazłem zarówno mniej, jak i więcej, z powrotem w świetle wojsk i dat.

Kiedy wynurzyli się z dżungli, był październik 1971 roku. I muszę przyznać (choć w moim odczuciu ten fakt umacnia tylko moje zdumienie nad żonglującą czasem magią tego lasu), że w owym miesiącu nie zanotowano takiej fali przyływu, chociaż przeszło rok wcześniej powódzie istotnie zniszczyły tamten rejon.

W następstwie Sundarbanów upomniało się o mnie moje dawne życie. Nic dziwnego: nie ma ucieczki od dawnych więzów. Tym, kim się było, tym się na zawsze pozostanie.

W roku 1971 trzech żołnierze i ich tropiciel znikli na siedem miesięcy z powierzchni wojny. W październiku natomiast, kiedy deszcze ustały, a oddziały partyzanckie Mukti Bahini zaczęły nękać pakistańskie posterunki nadgraniczne; kiedy snajperzy Mukti Bahini kładli

trupem zarówno żołnierzy, jak i pomniejszych funkcjonariuszy, nasz kwartet wychynął z niewidzialności i nie mając na dobrą sprawę wyboru usiłował się połączyć z głównymi siłami Zachodnio-Pakistańskich oddziałów okupacyjnych. Indagowany później budda zawsze tłumaczył własne zniknięcie bałamutną historyjką o zabłądzeniu w dżungli pośród drzew, których korzenie oplatały człowieka niczym węże. Miał zapewne szczęście, że nigdy nie przesłuchiwali go oficerowie z jego macierzystej armii. Ajuba Balocz, Faruk Raszid i Szahid Dar też nie zostali poddani takim przesłuchaniom; ale ich przypadek był zgoła odmienny, gdyż nie pozostali przy życiu dość długo, by ktokolwiek mógł ich wypytywać.

...W opustoszałej wiosce pełnej krytych strzechą chat z błota okładanych łąnem – w porzuconej siedzibie, z której uciekły nawet kury – Ajuba Szahid Faruk oplakiwali swój los. Ogłuchli wskutek działania jadowitego błota deszczowego lasu, co zaczęło im teraz bardzo doskwierać, skoro obelżywe głosy dżungli przestały już wisieć w powietrzu, wydawali z siebie, jeden przez drugiego, skowyt, a żaden żadnego nie słyszał; budda wszak musiał wysłuchiwać ich wszystkich: Ajuby, który stał w ogołoconym pokoju zwrócony twarzą do kąta, z włosami wplątanymi w pajęczynę, i wykrzykiwał: – Moje uszy, moje uszy, jakby mi w środku brzęczały pszczoły; Faruka, który wołał zaczepnie: – A czyja to niby wina? Kto miał, do cholery, wszystko wywęszyć tym swoim nochalem? Kto powtarzał: Tędy i tędy? I kto, kto w to uwierzy? W te dżungle, świątynie i przezroczyście węże? Co za historia, o Allah, budda, powinniśmy cię zastrzelić tu-i-teraz! – Tymczasem Szahid cicho się dopominał: – Jestem głodny. – Po powrocie do rzeczywistego świata zapominali nauczkę, jaką dała im dżungla.

Zatem Ajuba: – Moja ręka! O, Allah, człowieku, uschła mi ręka! Tamten duch wlał mi to paskudztwo...!

Zatem Szahid: – Dezerterzy, powiedzą, z pustymi rękami, bez więźnia, i to po tylu miesiącach! O, Allah, może i sąd wojskowy, jak myślisz, budda?

Zatem Faruk: – Ty bękarcie, widzisz, do czegoś nas doprowadził! O, Boże, tego już za wiele, nasze mundury, same strzępy-i-łachmany jak u żebraków! Pomyśl tylko, co nasz brygadier... i ten Nadzmuddin... klnę się na głowę matki, że to nie ja... nie jestem tchórzem! Co to, to nie.

Na co Szahid, który zabija mrówki i zlizuje je z dłoni:

– Jak tu się zresztą przyłączyć? A bo to wiadomo, gdzie oni są i czy w ogóle gdzieś są? Przecież sami widzieliśmy i słyszeliśmy, jak Mukti Bahini, pif! paf!, strzelają ze swoich kryjówek i człowiek pada martwy! Martwy jak ta mrówka!

Ale Faruk też się rozgadał:

– I to nie tylko mundury, człowieku, ale i włosy! Czy to wojskowe ostrzyżenie? Te długie pióra, co się kręcą za uszami jak jakieś robaki? W sam raz babskie włosy! O, Allah, zabiją nas na śmierć... pod ścianę i pif! paf! sami się przekonacie!

Teraz jednak Ajuba-czołg się uspokaja; Ajuba podpiera twarz ręką; Ajuba przemawia cicho do siebie: – O, dolo, ty dolo. Miałem się bić z tymi cholernymi wegetarianami, hindusami. A tu masz, coś zupełnie innego. Ładna mi historia.

Jest już listopad; posuwali się pomału na północ północ północ, obok fruujących gazet pokrytych dziwacznym pismem z zakrętami, przez puste pola i opuszczone osady, czasem minęli jakąś starowinę z tobołkiem na kiju przez ramię albo grupę ośmiolatek z wygłodniałym spojrzeniem rozdygotanym w oczach i groźbą noży po kieszeniach, wysłuchując, jak to Mukti Bahini suną niewidocznie po dymiącej ziemi, jak to kule nadlatują z bzykiem niczym pszczoły nie-wiadomo-skąd... i wtedy się załamali, a Faruk oznajmił:

– To przez ciebie, budda... o, Allah, ty cudaku z błękitnymi ślepiami cudzoziemca, o,

Boże, jar, ależ ty cuchniesz!

Wszyscy cuchniemy: Szahid, który rozgniała właśnie skorpioną (obutą w znoszone buciory piętą) na brudnej podłodze porzuconej chaty; Faruk, który szuka bezsensownie noża, żeby się ostrzyć; Ajuba, który wtula głowę w kąt chaty, gdy tymczasem pająk łazi mu po czaszce; no i budda tak samo: budda, który cuchnie jak diabli, ściskając w prawym ręku zaśniedziałą srebrną spluwaczkę, i usiłuje sobie przypomnieć własne imię. Lecz przychodzą mu do głowy jedynie przezwiska: Smark, Plamolicy, Łysoń, Kinol, Okruch Księżyca.

...Siedział w pozycji lotosu pośród skowyczącej burzy strachu swoich towarzyszy, próbując sobie ze wszystkich sił przypomnieć; ale bez skutku. W końcu budda cisnął spluwaczkę na klepisko i wykrzyknął do głuchych jak pień uszu: – Co za NIE-SPRA-WIE-DLI-WOŚĆ!

Na zgłiszczach wojny odkryłem sprawiedliwość-i-niesprawiedliwość. Niesprawiedliwość śmierdziała jak cebula; jej ostry zapach napełniał mi oczy łzami. Spowity cierpkim aromatem niesprawiedliwości przypominałem sobie, jak Dżamila Śpiewaczka nachyliła się nad szpitalnym łóżkiem – czym? Jakiego imienia? – a wojskowe gwiazdki-i-ordery również tam były – jak moja siostra – nie, nie moja siostra! jak ona – jak ona powiedziała: – Bracie, muszę jechać, żeby śpiewać w służbie ojczyzny; odtąd wojsko się tobą zajmie, wyręczy mnie i zajmie się tobą jak należy. – Twarz miała zasłoniętą; ale za białą-złotym brokatem wyniuchałem jej uśmiech zdradczyni; przez miękką zwiewną tkaninę złożyła mi na czole pocałunek zemsty; i wtedy ta, która zawsze brała straszliwy odwet na tych, co ją najbardziej kochali, porzuciła mnie na troskliwą pastwę orderów-i-gwiazdek... a po zdradzieckim geście Dżamili przypominałem sobie ostracyzm, jaki dawno temu przecierpiałem na rozkaz Evie Burns; no i wygnania, oszustwa z piknikami; a także wszystkie niebotyczne góry nieprawdopodobnych wydarzeń nękających mnie od zarania; opłakiwałem więc teraz nos-ogóras, plamy-na-twarzy, kabłąkowate nogi, rogate skronie, mnisią tonsurę, utratę palca, jedno-chore-ucho oraz otępiającą, w-ciemię-bijącą spluwaczkę; szlochałem już na całego, ale i tak imię nie chciało do mnie wrócić, toteż powtarzałem: – Niesprawiedliwość; niesprawiedliwość; NIESPRAWIEDLIWOŚĆ! – Wtedy, o dziwo, Ajuba-czołg wylażł z kąta; może przypomniało mu się własne załamanie w Sundarbanach, kucnął przede mną i objął mnie jedyną zdrową ręką za szyję. Przyjąłem ten gest otuchy; wypłakiwałem mu się w koszulę; aż raptem nadleciała ku nam z bzykiem pszczoła; kiedy tak siedział w kucki, plecami do nie oszklonego okna chaty, coś przeszło z wizgiem rozgrzane powietrze; kiedy powiedział: – No, budda, daj spokój, budda, już, już! – i kiedy inne pszczoły, pszczoły głuchoty, bzycały mu w uszach, coś go użądliło w szyję. Z głębi gardła wydał bulgoczący głos i zwałił się całym ciężarem na mnie. Gdyby nie obecność Ajuby Balocza, kula snajpera, która zabiła mojego towarzysza, przeszłaby mi głowę na wylot. Swoją śmiercią ocalił mi życie.

Zapominając o dawnych upokorzeniach; odkładając na bok sprawiedliwość-i-niesprawiedliwość oraz na-co-nie-ma-już-ratunku-trzeba-znieść-to-bez-frasunku wyczołgałem się spod trupa Ajuby-czołgu, podczas gdy Faruk: – O, Boże, O, Boże, O! – a Szahid: – O, Allah, nie wiem nawet, czy mój karabin zechce... – Na co znów Faruk: – O, Boże, O! O, Boże, nie wiadomo, gdzie ten łajdak jest...! – Ale Szahid tak jak żołnierze na filmach rozplaszcza się przy ścianie obok okna. W tych pozycjach: ja na podłodze, Faruk przykucnięty w kącie. Szahid przylepiony do ściany z łajna: czekaliśmy bezradnie, co też z tego wyniknie.

Drugiego strzału nie było; pewno snajper, nie znając rozmiarów oddziału ukrytego w

lepiance, po prostu strzelił i uciekł. Wszyscy trzej pozostaliśmy w chacie przez całą dobę, aż ciało Ajuby Balocza zaczęło się domagać posługi. Zanim stamtąd odeszliśmy, znaleźliśmy kilofy i pogrzebaliśmy go... Toteż później, kiedy nadeszły wreszcie wojska indyjskie, Ajuba Balocz nie mógł ich przywitać swoją teorią o wyższości mięsa nad roślinami; Ajuba nie poszedł już do ataku z okrzykiem: – Ka-dang! Ka-bam! Ka-bum!!

Może to i lepiej...Gdzieś w grudniu nasza trójka pedałująca na skradzionych rowerach dotarła na pole, z którego pod horyzontem widać było Dhakę; pole o tak osobliwym plonie i tak mdlącym zapachu, że nie potrafiliśmy się utrzymać na siodełkach. Zsiedliśmy więc, żeby nie spaść, i wstąpiliśmy na ten straszliwy łąn.

Kręciła się po nim ludzka hiena, chłop pogwizdujący przy pracy, z olbrzymim workiem jutowym na plecach. Pobielale kłykcie ręki ściskającej worek zdradzały jego determinację; pogwizdywanie, przenikliwe, lecz bez melodii, wskazywało na to, że chłop musi sobie dodawać otuchy. Gwizd niósł się echem po polu, odbijając się od rozrzuconych hełmów, dudniąc głucho o ładownice zatkanych błotem karabinów, tonąc bez śladu w poniewierających się buciorach tych dziwnych, przedziwnych plonów, których zapach, niczym zapach niesprawiedliwości, napełnił aż oczy buddy łzami. Plony były martwe, rażone jakąś nieznaną zarazą... a większość z nich, choć nie wszystkie, była odziana w mundury wojsk Zachodniego Pakistanu. Poza tym gwizdem dobiegał stamtąd jedynie odgłos przedmiotów wrzucanych do chłopskiego wora łupów: skórzanych pasów, zegarków, złotych plomb, oprawek okularów, menażek, manierek, butów. Chłop zobaczył nadchodzących i puścił się do nich biegiem, z przymilnym uśmiechem, trajkocząc przypoehlebnym głosem, którego tylko budda musiał wysłuchać. Faruk i Szahid patrzyli szklanym wzrokiem na pole, a chłop oddawał się wyjaśnieniom.

– Jakowa strzelanina! Pif! Paf! – Wycelował prawą ręką niby pistoletem. Mówił złym, koślawym hindi. – U, pany! Indie tu przyszły, moje pany! U, tak! U, tak. – Na całym polu plony nasączały glebę użyźniającym szpikiem kostnym, a on ciągnął: – Ja nie strzelał, moje pany. U, nie. Mam ja nowiny, u, i to jakie! Indie przyszły! Dżessor padło z kretelem, moje pany; za jeden-cztery dni pójdzie Dhaka, tak-czy-nie? – Budda słuchał; oczy buddy patrzyły poza chłopem na pole. – Takowe dziwy, mój panie! Indie! Mają jednego takiego mocarnego żołnierza, co ci zabija sześciu chłopów na raz, łamie szyje chrup-chrup między kolanami, moje pany! Kolanami, dobrze mówię? – Uderzył się we własne kolana. – Samem widział, moje pany. Tymi oczu, u, tak! Wojuje zasię nie strzelbą i nie mieczem. Capnie tylko kolanami i sześć karków leci chrup-chrup. U, Boże. – Szahid wymiotował na pole. Faruk Raszid zapuścił się na sam koniec i wpatrywał się w zagajnik drzew mango. – Jeden-dwa tygodnie i po wojnie, moje pany! Wszystkie wrócą. Tera to poszły, ale ja nie, moje pany. Przyszły żołnierze, szukały Bahini i zabiły wiele, wiele, w tem i mojego syna. U, tak, pany, u, tak to tak. – Oczy buddy zaszklily się i zaszły mgłą. Z oddali dochodził łoskot ciężkiej artylerii. Dymy kolumnami szły prosto w bezbarwne grudniowe niebo. Dziwne plony leżały spokojnie, nie targane wiatrem... – Ostanę się tu, moje pany. Tu znam nazwania ptaków i roślin. U, tak. Z imienia jestem Deszmukh; z profesji handlarz galanterią. Sprzedaję różne cudenka. Dać? Mam lek na zaparcia, psia go mać, jaki dobry, u, tak. Czy lepiej dać taki zegarek, co to się świeci po ciemku? Też mam. A i książkę, u, tak, i takie tam zabawki do psikusów, jako żywo. Dawniej to byłem słynny w Dhace. U, tak, jako żywo. Nie strzelajta.

Handlarz galanterią paplał bez ustanku, oferował na sprzedaż towar po towarze, na przykład magiczny pas, który pozwoli noszącemu mówić w języku hindi: – Mam go jak raz na sobie, no i co, mój panie, mówię akuratnie, tak czy nie? Wielu induskich żołnierzy kupuje,

gadają tylema językami, bo ten pas to dar boski od samego Boga! – aż zauważył, co budda trzyma w ręku. – U, panie! Jeden majstersztyk! Toto srebro? Toto klejnoty? Dajcie dla mnie; ja wam za to radio, aparat do zdjęć, prawie że na chodzie, mój panie! Dobry interes, psia go mać, przyjacielu. Za samą jedną spluwaczkę, opłaca się, psia go mać. U, tak. U, tak, mój panie, życie musi iść naprzód; handel musi iść, mój panie, źle gadam?

– Opowiedz mi jeszcze – odezwał się budda – o tym żołnierzu z kolanami.

Ale teraz znów bzyczy pszczoła; w oddali, w samym końcu pola ktoś pada na kolana; czyjeś czoło dotyka ziemi niby w modlitwie; a na polu jeden z plonów, który był dość żywy, by oddać strzał, też nieruchomieje. Szahid Dar woła po imieniu:

– Faruk! Faruk, stary! Lecz Faruk nie odpowiada.

Sporo później, kiedy budda snuł reminiscencje z wojny swojemu wujowi Mustafie, opowiedział, jak to brnął przez pole sączącego się szpiku kostnego ku swojemu powalonemu towarzyszowi; i jak długo przedtem, nim dotarł do pogrążonego w modlitwie trupa Faruka, omal nie wdepnął na największy sekret pola.

Na środku pola piętrzyła się piramidka. Łaziły po niej mrówki, ale nie było to mrowisko. Piramidka miała sześć stóp i trzy głowy, a między nimi kłębowisko złożone z kawałków tułowi, strzępów mundurów, tasiemców kiszek i odłamków strzaskanych kości. Piramidka była jeszcze żywa. Jedna z trzech głów miała ślepe lewe oko, pozostałość po zatargu z dzieciństwa. Inna miała włosy grubo wysmarowane pomadą. Trzecia zaś była najdziwniejsza: miała głębokie wklęsnięcia w miejscu skroni, wklęsnięcia, które mogły pozostać po kleszczach położniczych, gdyby te trzymały ją zbyt mocno przy porodzie... i właśnie trzecia głowa przemówiła do buddy:

– Cześć, stary – powiedziała. – Co ty tu, jak rany, porabiasz?

Szahid Dar zobaczył, że piramida żołnierzy wroga najwyraźniej rozmawia z buddą; Szahid w przypływie irracjonalnej energii rzucił się na mnie i przydusił do ziemi ze słowami:

– Kim ty jesteś? Szpiegiem? Zdrajcą? Czym? Skąd oni wiedzą, kim ty...?

Natomiast Deszmukh, handlarz galanterią, miotał się żałością koło nas:

– U, pany! Dość tu było bijatyki. Upraszam się, bądźta już normalne, moje pany. U, Boże.

Nawet gdyby Szahid mógł mnie dosłyszeć, nie potrafiłbym mu wtedy powiedzieć tego, co, jak później stwierdziłem, musiało być prawdą: że celem tej całej wojny było ponowne połączenie mnie z moim dawnym życiem, zetknięcie mnie na powrót z dawnymi kolegami. Sam Manekszaw maszerował na Dhakę, żeby się spotkać ze swoim starym druhem, Tygrysem; a tryby powiązań obowiązywały nadal, bo na polu sączącego się szpiku kostnego usłyszałem o poczynaniach kolan i powitała mnie umierająca piramida głów; w Dhace zaś miałem jeszcze spotkać Parwati-czarodziejkę.

Kiedy Szahid się uspokoił i ze mnie zszedł, piramida nie była już w stanie dobrać z siebie głosu. Później tego samego popołudnia podjęliśmy wędrówkę do stolicy. Deszmukh, handlarz galanterią, wołał radośnie za nami:

– U, pany! U, moje biedne pany! Kto wie, kiedy to człek umrze? I kto to, moje pany, wie dlaczego?

Sam i Tygrys

Niekiedy góry muszą się poruszyć, żeby starzy kompani znów się mogli spotkać. 15 grudnia 1971 roku, w stolicy dopiero co wyzwolonego państwa Bangladesz, Tygrys Nijazi poddał się swojemu staremu kamratowi, Samowi Manekszawowi; tymczasem ja poddałem się uściskom dziewczyny z oczyma jak spodki, z końskim ogonem jak długi czarny lśniący sznur i z ustami, które się jeszcze wówczas nie układały w coś, co miało się później przerodzić w charakterystyczny dla niej ryjek. Spotkania te nie przyszły łatwo; w hołdzie więc tym wszystkim, którzy je umożliwili, przerwę na chwilę opowieść, żeby wyłożyć wszystkie „jak” i „dlaczego”.

Twierdzę stanowczo i dobitnie: gdyby Jahja Chan i Z.A. Bhutto dogadali się w kwestii zamachu stanu dnia 25 marca, nie wysłano by mnie samolotem do Dhaki w ubraniu cywilnym; ani też wedle wszelkiego prawdopodobieństwa generał Tygrys Nijazi nie bawiłby w grudniu w tym mieście. I dalej: interwencja indyjska w sporze o Bangladesz również stanowiła wynik interakcji wielkich sił. Może gdyby dziesięć milionów ludzi nie przekroczyło granic Indii, zmuszając rząd w Delhi do wydawania 200 000 000 dolarów miesięcznie na obozy uchodźców – cała wojna roku 1965, której ukrytym celem było zgładzenie mojej rodziny, kosztowała jedynie 70 000 000 dolarów! – wojska indyjskie pod dowództwem generała Sama nigdy by nie przekroczyły granic w przeciwnym kierunku. Ale Indie wkroczyły też i z innych powodów: jak miałem się dowiedzieć od kuglarzy komunistów, zamieszkałych w cieniu delhijskiego Meczetu Piątkowego, sarkar w Delhi był wielce zaniepokojony malejącym wpływem Ligi Awami Mudżiba, a także rosnącą popularnością rewolucyjnych Mukti Bahini; Sam i Tygrys spotkali się w Dhace, żeby zapobiec umocnieniu się władzy Bahini. Gdyby więc nie Mukti Bahini, Parwati-czarodziejka mogłaby wcale nie towarzyszyć oddziałom indyjskim w ich kampanii „wyzwalania”... Ale i to nie wyjaśnia wszystkiego. Trzecim powodem interwencji indyjskiej był strach, że zamieszki w Bangladeszu, nie stłumione w zarodku, przeniosą się wzdłuż granicy do Bengalu Zachodniego; zatem Sam i Tygrys, a także Parwati i ja zawdzięczamy przynajmniej w pewnej mierze nasze spotkanie co bardziej wicherzycielskim elementom w polityce Bengalu Zachodniego: porażka Tygrysa stanowiła jedynie początek kampanii przeciwko lewicy w Kalkucie i w jej okolicach.

Tak czy owak, Indie wkroczyły; co zaś do tempa ich wkroczenia – gdyż zaledwie w trzy tygodnie Pakistan stracił połowę marynarki wojennej, jedną trzecią wojsk lądowych, jedną czwartą sił powietrznych, a wreszcie po kapitulacji Tygrysa przeszło połowę ludności – należałoby raz jeszcze podziękować Mukti Bahini; gdyż nie rozumiejąc bodaj w całej swej naiwności, że napaść indyjska stanowi tyleż manewr taktyczny przeciwko nim, co wyzwanie przeciwko siłom Zachodnio-Pakistańskich oddziałów okupacyjnych, Bahini dostarczała generałowi Manekszawowi informacji na temat ruchów wojsk pakistańskich oraz słabych i silnych punktów Tygrysa; dzięki należą się również panu Czou En-Lajowi, który odmówił (mimo zabiegów Bhutta) udzielenia Pakistanowi pomocy materialnej w wojnie. Z braku chińskiej broni Pakistan stanął do walki wyposażony w amerykańskie karabiny, amerykańskie czołgi i samoloty; prezydent Stanów Zjednoczonych, sam jeden na całym świecie, uznał za stosowne „przychylić się” ku Pakistanowi. Kiedy Henry A. Kissinger debatował nad sprawą

Jahji Chana, tenże sam Jahja w tajemnicy organizował słynne wizyty państwowe prezydenta w Chinach... zatem wielkie siły sprzysięgły się przeciwko mojemu ponownemu spotkaniu z Parwati i Sama z Tygrysem; mimo jednak przychylności prezydenta, zaledwie w trzy tygodnie było po wszystkim.

W nocy 14 grudnia Szahid Dar i budda krążyli po przedmieściach okupowanego miasta Dhaka; z tym, że nos buddy (jak zapewne pamiętasz) potrafił wyniuchać więcej niż ktokolwiek inny. Kierując się nosem, który wyczuwał zarówno bezpieczeństwo, jak i niebezpieczeństwo, przedarli się przez linie indyjskie i pod osłoną nocy wkroczyli do miasta. Kiedy tak ukradkiem przemykali wyludnionymi ulicami, wyjąwszy tu i ówdzie nielicznych głodujących żebraków, Tygrys przysięgał, że będzie walczył do ostatniego żołnierza; ale zaraz nazajutrz się poddał. Jedno nie jest pewne: czy ten ostatni żołnierz z wdzięcznością przyjął własne ocalenie, czy też ubolewał nad tym, że ominęła go szansa wejścia do kamforowego ogrodu.

Wróciłem więc do miasta, gdzie, w owych ostatnich godzinach przed ponownymi spotkaniami, Szahid i ja ujrzeliśmy wiele nieprawdziwych, zgoła niemożliwych rzeczy, bo nasi chłopcy nigdy, przenigdy nie dopuściliby się takich wybryków; widzieliśmy jajogłowych mężczyzn w okularach, jak ich rozstrzelivano w bocznych uliczkach, widzieliśmy inteligencję miasta masakrowaną setkami, ale to nie była prawda, bo prawdą być nie mogła, Tygrys to przecież porządny chłop, no i nasi dzawanowie wartali dziesięciu babu, brnęliśmy przez tę niemożliwą halucynację nocy, kryjąc się po bramach, gdy pożary rozkwitały jak kwiaty, co mi przypomniało, jak Mosiężna Małpka podpałała niegdyś buty, żeby przyciągnąć choć odrobinę uwagi, widzieliśmy poderżnięte gardła chowane w bezimiennych mogiłach, a Szahid uderzył w swoje: – Nie, budda, coś takiego, o, Allah, człowiek nie wierzy własnym oczom, nie, to nieprawda, jakże to, budda, powiedz, co to mi zasnuło oczy? – Wreszcie budda przemówił, świadom, że Szahid i tak nie usłyszy: – O, Szahida – powiedział odsłaniając głębie swojej wybredności – trzeba czasem wybierać, co się chce widzieć, a czego nie; odwracaj wzrok, odwracaj od tego wzrok. – Szahid jednak wpatrywał się w majdan, na którym kłuto bagnetami lekarki, zanim je zgwałcono, a potem jeszcze raz gwałcono je przed rozstrzelaniem. Za nimi i nad nimi spokojny biały minaret meczetu patrzył ślepo z wysoka na tę scenę.

Wtedy budda jakby do siebie powiedział: – Czas pomyśleć o własnej skórze; Bóg raczy wiedzieć, po co tu wróciliśmy.

Budda wszedł do bramy opuszczonego domu, pękniętej, obłazącej skorupy budynku, w którym niegdyś mieściła się herbaciarnia, warsztat naprawy rowerów, burdel i niewielki podest, gdzie zasiadywał pewno miejski notariusz, bo znajdowało się tam niskie biurko, a na nim pozostawiona para okularów w półoprawkach, porzucone pieczęcie i znaczki, co dawniej pozwalały mu być kimś więcej, niż tylko byle starcem – znaczki i pieczęcie czyniły zeń arbitra prawdy i nieprawdy. Notariusza wszakże tam nie było, nie mogłem go więc poprosić o weryfikację bieżących wydarzeń, nie mogłem złożyć zeznania pod przysięgą; natomiast za jego biurkiem na macie leżała luźna szata, coś jakby dżelaba, toteż bezzwłocznie zdjąłem mundur wraz z odznaką suki oddziałów KUTIA i stałem się anonimowym obywatelem, dezserterem, w mieście, którego językiem nie władałem.

Szahid Dar został jednak na ulicy; o pierwszym brzasku poranka przypatrywał się żołnierzom pierzchającym od-tego-czego-żadną-miarą-nie-mogli-popełnić; i wtedy nadleciał granat. Ja, budda, nadal bawiłem w pustym budynku; Szahid zaś stał nie osłonięty murem.

Nie wiadomo, dlaczego jak kto; ale granat z pewnością został rzucony. W ostatnim

momencie swojego nie przepołowionego życia Szahid poczuł nieodpartą chęć spojrzenia do góry... już później, na poddaszu muezzina powiedział buddzie: – Ale to dziwne, o, Allah, ten owoc granatu w mojej głowie, ot tak, większy i jaśniejszy niż kiedykolwiek przedtem, wiesz, budda, jak żarówka, Allah, co było robić, patrzyłem! – Bo to i prawda, wisiał tam nad jego głową granat z jego snów, wisiał tuż nad głową, spadał spadał, wybuchł na wysokości pasa, aż Szahidowi zmiotło nogi w inną dzielnicę miasta.

Kiedy do niego dobiegłem, Szahid mimo tego przepołowienia był przytomny i wskazywał w górę: – Zanieś mnie tam, budda, bo chcę bo tak chcę – no więc wtaszczyłem pozostałą z niego połowę chłopaka (zatem względnie lekkiego) wąskimi spiralnymi schodami na szczyt spokojnego białego minaretu, gdzie Szahid bełkotał o żarówkach, a obok czerwone i czarne mrówki walczyły o zdechłego karalucha, tocząc bój w wyżłobieniach-po-kielni na krzywo zalanej betonowej posadzce. W dole, pośród zwęglonych domów, tłuczonego szkła i mgiełki dymu wyłazili podobni mrówkom ludzie, szykując się do pokoju; mrówki jednak zlekceważyły mrówkopodobne istoty i walczyły dalej. Budda zaś stał cicho, rozglądał się mlecznym wzrokiem, ustawivszy się między górną połową Szahida a jedynym meblem tego orlego gniazda, mianowicie niskim stolikiem, na którym stał gramofon podłączony do głośnika. Chroniąc swojego przepołowionego druha przed rozwiewającym złudzenia widokiem zmechanizowanego muezzina, którego wezwanie do modlitwy wydawało zawsze skrzek w tych samych miejscach, wyjął z fałd swojej bezkształtnej szaty błyszczący przedmiot i obrócił mleczny wzrok na srebrną spluwaczkę. Zanurzony w kontemplacji przeżył niemałe zaskoczenie, kiedy rozległ się krzyk; spojrzał w górę i zobaczył porzuconego karalucha. (Krew ściekała po wyżłobieniach; mrówki zwąchawszy ten ciemny, lepki trop przybyły do źródła wycieku i Szahid doznał furii widząc, że padł ofiarą nie jednej, lecz dwóch wojen.)

Spiesząc z pomocą, tańcząc po mrówkach, budda trącił łokciem włącznik; uruchomił tym samym system nagłaśniający i później nikt z tam obecnych nie mógł zapomnieć, jak to meczet krzykiem obwieścił straszliwą agonię wojny.

Po chwili cisza. Głowa Szahida osunęła się na piersi. A budda ze strachu przed wykryciem przestał się zajmować spluwaczką i zbiegł na dół, kiedy wojska indyjskie wkraczały do miasta; zostawiwszy Szahida, który przestał się już liczyć, żeby asystował mrówkom w pokojowym bankiecie, wyszedłem na poranne ulice powitać generała Sama.

Na szczycie minaretu wpatrywałem się mlecznym wzrokiem w spluwaczkę; ale głowa buddy nie była pusta. Zawierała trzy słowa, których górna połowa Szahida też nie przestawała powtarzać aż do incydentu z mrówkami: te same trzy słowa, które niegdyś, zalatując cebulą, przypawiły mnie o łzy na ramieniu Ajuby Balocza, aż do incydentu z bzyczącą pszczołą... – Co za niesprawiedliwość – pomyślał budda, po czym już jak dziecko, w kółko: – Co za niesprawiedliwość – i tak bez końca.

Szahid spełniając najbardziej pobożne życzenie ojca, zasłużył wreszcie na swoje imię; budda zaś nadal nie mógł sobie przypomnieć własnego.

Jak budda odzyskał własne imię:

Pewnego razu, dawno temu, w innym dniu niepodległości cały świat był szafranowo-zielony. Tego zaś ranka wszystko mieniło się zielenią, czerwienią i złotem. W miastach okrzyki: Dżai Bangla! – Kobiety w głos wyśpiewywały: „Nasz złoty Bengal”, co przejmowało im serca rozkoszą... a w centrum miasta, na podium własnej porażki generał Tygrys Nijazi czekał na generała Manekszawa. (Szczegóły biograficzne: Sam był parsem. Pochodził z Bombaju. Bombajczycy mieli więc dzień chwały.) Budda w swojej bezkształtnej

anonimowej szacie, otoczony wiwatującym tłumem pośród zieleni, czerwieni i złota; i wtedy wkroczyły Indie. Indie z Samem na czele.

Czy był to pomysł generała Sama? Czy może wręcz Indiry? – Zbywając milczeniem te jałowe pytania odnotuję tylko, że wejście wojsk indyjskich do Dhaki było czymś znacznie więcej niż tylko wojskową defiladą; jak przystało na zwycięstwo, było zwieńczone girlandami pokazów ubocznych. Do Dhaki przyleciał specjalny transport Indyjskich Sił Powietrznych, przywożąc stu jeden najznakomitszych artystów i sztukmistrzów, jakich znaleziono w Indiach. Przybyli ze słynnego getta kuglarzy w Delhi, wielu z nich włożyło na tę okazję mundury charakterystyczne dla indyjskiego faudżu, toteż wielu dhakańczyków uznało, że tryumf Indii był z góry przesądzony, skoro nawet ich umundurowani dżawanowie są czarnoksiężnikami najwyższej próby. Magicy i inni artyści maszerowali obok oddziałów wojska, zabawiając tłumy; akrobaci formowali ludzkie piramidy na ruchomych platformach ciągnionych przez białe woły; niebywałe kobiety-gumy łykały własne nogi aż do kolan; żonglerzy działali wbrew prawom grawitacji, wywołując ochy i achy rozentuzjasmowanego tłumu, gdy żonglowali w powietrzu imitacjami granatów, i to po czterysta dwadzieścia na raz; magicy karciani wyciągali królową ćirijów (władczynię ptaków, damę kier) z uszu kobiet; była tam też wielka tancerka Anarkali, której imię znaczyło „pączek granatu”, która wyczyniała skoki obroty piruety na ciągnionym przez osła wózku, a wielki srebrny kolczyk pobrękiwał jej w prawej dziurce od nosa; był też Mistrz Wikram, sitarzysta, którego sitar wychwytywał i potęgował najłżejsze uczucia w sercach publiczności, toteż (jak powiadano) pewnego razu, kiedy grał przed nader zapalczywą widownią, tak bardzo wzmógł jej zły nastrój, że gdyby grajek na tabli nie kazał mu przerwać w połowie ragi, siła jego muzyki kazałaby im wszystkim zadźgać się nożami i zdemolować całą salę... dzisiaj tony Mistrza Wikrama rozpałały odświętny błogostan w ludziach aż do najwyższego żaru; przejmowały, że się tak wyrażę, ich serca rozkoszą.

Był też Foto Singh we własnej osobie, przeszło dwumetrowy olbrzym, który ważył sto kilo, a znany był jako Najbardziej Czarowny Mężczyzna Świata ze względu na swój niezrównany dar czarowania węży. Nawet legendarni tumbriwalowie z Bengalu nie prześcignęliby go w tych zdolnościach; przechadzał się wśród porykujących wesoło tłumów, opleciony od stóp do głów morderczymi kobrami, mambami i niemrawcami, a u wszystkich nie naruszone gruczoły jadowe... Foto Singh miał być ostatnim w szeregu mężczyzn, którzy gotowi byli zostać moimi ojcami... a tuż za nim szła Parwati-czarodziejka.

Parwati-czarodziejka zabawiała tłumy z pomocą wielkiego kosza wiklinowego zamkniętego wiekiem; rozradowani ochotnicy wchodzili do tego kosza i za sprawą Parwati znikali tak całkowicie, że nie mogli powrócić, dopóki sama ich nie wezwała; Parwati, którą północ wyposażyła w prawdziwe dary czarnoksięstwa, złożyła je w służbie własnej profesji skromnej iluzjonistki; dopytywano się więc: – Jak ty to robisz? – I: – No, śliczna panienko, powiedz, na czym ta sztuka polega. – Parwati uśmiechnięta promienna tocząca swój czarodziejski kosz przysłała do mnie z oddziałami wyzwolicieli.

Wojska indyjskie wkraczały do miasta, ich bohaterowie podążali za kuglarzami; a wśród nich, jak dowiedziałem się później, szedł ów kolos wojny, major o szczerzej twarzy i śmiercionośnych kolanach... ale oto napływali dalsi iluzjoniści, gdyż pozostali przy życiu miejscowi prestidigitatorzy wyszli z kryjówek, i rozpoczął się wspaniały konkurs, miejscowi bowiem usiłowali prześcignąć we wszystkim przybyszów, toteż cierpienie miasta zmyto i ukojono w wielkim świątecznym zalewie ich magii. Wtedy to właśnie dostrzegła mnie Parwati-czarodziejka i zwróciła mi moje imię.

– Salim! Boże ty mój, Salim, Salim Sinai, czy to ty, Salim? – Budda aż podskakuje jak pajac-na-sznurku. Gapią się na nich oczy tłumu. Parwati przeciska się ku niemu. – Czekał no, przecież to na pewno ty! – Łapie go za łokieć. Oczy jak spodki wpatrują się w mleczny błękit. – Mój Boże, ten sam nos, nie chcę być niegrzeczna, ależ oczywiście! Spójrz, to ja, Parwati! Och, Salim, nie wygłupiaj się teraz, no co ty no co ty...!

– Zgadza się – mówi budda. – Salim: zgadza się.

– O, Boże, co za radość! – woła Parwati. – Are bap, Salim, pamiętasz Dzieci, jar. O, co za szczęście! Czemu więc masz taką poważną minę, kiedy ja mam ochotę wyściskać cię z całych sił? Przez tyle lat widywałam cię tylko tutaj – uderza się w czoło – a teraz stoisz tu przede mną z taką rybią miną. No, Salim! Przywitaj się wreszcie ze mną.

15 grudnia 1971 roku Tygrys Nijazi poddał się Samowi Manekszawowi; Tygrys i dziewięćdziesiąt trzy tysiące żołnierzy pakistańskich zostało jeńcami wojennymi. Tymczasem ja dostałam się na ochotnika do niewoli kuglarzy indyjskich, bo Parwati wciągnęła mnie w ten pochód ze słowami: – Teraz, skoro cię znalazłam, już cię nie puszcę.

Owej nocy Sam i Tygrys wychylali jednego czota peg za drugim i wspominali dawne dzieje w wojsku brytyjskim. – Powiadają ci, Tygrys – mówił Sam Manekszaw. – Bardzo się przyzwoicie zachowałeś, żeś się poddał.

Na co Tygrys:

– Sam, rozegrałeś diabelną wojnę.

Mała chmurka zaciąga twarz generała Sama.

– Czekał no, stary druhu: tyle się słyszy tych cholernych kłamstw. O rzeziach, staruszku, o zbiorowych mogiłach, o specjalnych oddziałach KUTIA czy jak im tam, do cholery, stworzonych dla celów wykorzenienia opozycji... chyba nie ma w nich krztyny prawdy, co?

Na co Tygrys:

– Oddział Kynologicznych Usług Tropienia i Agentury? Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Wprowadzono cię w błąd, stary. Po obu stronach trafiali się cholernie kiepscy agenci wywiadu. Nie, toż to, bez obrazy, brednia, czysta brednia.

– Tak też sądziłem – powiada generał Sam. – Doprawdy, cholernie się cieszę, że cię widzę, Tygrysie, ty stary diable!

Na co Tygrys:

– Kopę lat, co, Sam? Cholerny szmat czasu.

...Kiedy starzy przyjaciele śpiewają pieśń przyjaźni w kasynie oficerskim, ja szykuję ucieczkę z Bangladeszu od swoich lat spędzonych w Pakistanie.

– Wydostanę cię – obiecała Parwati, kiedy jej wszystko wyłuszczyłem. – I co, nikomu ani mru-mru?

Przytaknąłem.

– Ani mru-mru.

W całym mieście dziewięćdziesiąt trzy tysiące żołnierzy czekało na rozwieszenie do obozów jenieckich; a Parwati-czarodziejka kazała mi wejść do wiklinowego kosza ze szczelnie przylegającym wiekiem. Sam Manekszaw musiał oddać starego przyjaciela, Tygrysa, pod nadzór strażników; tymczasem Parwati-czarodziejka mnie zapewniała:

– Tym sposobem nigdy cię nie dopadną.

Kiedy owego wieczoru wlażłem do kosza niewidzialności, za koszarami, gdzie magicy czekali na odlot do Delhi, straż trzymał Foto Singh, Najbardziej Czarowny Mężczyzna Świata. Spacerowaliśmy jak gdyby nigdy nic, paliliśmy biri, czekaliśmy, aż żołnierze znikną z pola widzenia, i wtedy Foto Singh opowiedział mi historię swojego imienia. Przed

dwudziestu laty fotograf firmy Eastman Kodak zrobił mu zdjęcie portretowe – które następnie pojawiło się w wieńcu uśmiechów i węży na połowie reklam i stoisk Kodaka w całych Indiach; od tamtej pory zaklinacz węży przybrał ten właśnie przydomek.

– Jak pan sądzi, szefie? – pohukiwał serdecznie. – Fajna ksywka, nie? Co robić, szefie, nie pamiętam nawet swojego poprzedniego imienia, nadanego mi przez ojca-matkę! Głupio, co, szefie? – Ale Foto Singh nie był głupi; i miał w sobie coś więcej niż tylko czar. Raptem gdzieś się podział swobodny, senny, dobrotliwy ton w jego głosie i padła szeptem komenda: – Teraz! Teraz, szefie, ek dum, raz-dwa!

Parwati zerwała wieko; dałem nura głową naprzód do jej cudownego kosza. Wieko, wracając na miejsce, zgasiło ostatnie światło dnia. Foto Singh szepnął:

– Dobra, szefie, świetnie jak cholera!

A Parwati nachyliła się do mnie; usta przyłożyła chyba do kosza. I wyszeptwała przez wiklinę:

– No i co, Salim: pomyśl tylko! Ty i ja, mój panie, dzieci północy, jar! To nie byle co!

Nie byle co... Salim spowity wiklinowymi ciemnościami wspomniawszy północe sprzed-lat, dziecięce zmagania z celem i sensem; owładnięty nostalgią nadal nie pojmowałem, czym to coś jest. Wtedy Parwati szepnęła jeszcze kilka słów i ja, Salim Sinai, zamknięty w koszu niewidzialności, odziany w luźną, anonimową szatę rozpląnąłem się natychmiast jak we mgle.

– Rozpląnąłeś się? Jak się rozpląnąłeś, gdzie się rozpląnąłeś? – Padmie aż podskoczyła głowa; jej oczy wpatrują się we mnie z osłupieniem. A ja wzruszam ramionami i tylko powtarzam: – Po prostu się rozpląnąłem. Znikłem. Ulotniłem się. Jak dzinn: puf! i już.

– Czyli – nalega Padma – ona była prawdziwą-najprawdziwszą czarodziejką?

Prawdziwą-najprawdziwszą. Znajdowałem się w koszu, a jednocześnie nie w koszu. Foto Singh podniósł go jedną ręką i wrzucił na tył ciężarówki wojskowej, która zabrała jego, Parwati i dziewięćdziesiąt dziewięć innych osób do samolotu czekającego już na wojskowym lotnisku; wrzucono mnie z koszem, a jednocześnie nie wrzucono. Dużo później Foto Singh stwierdził: – Nie, szefie, nie czułem pańskiego ciężaru – ani ja nie czułem żadnych łup cup bęc. Ze stolicy Indii przywieziono transportem Indyjskich Sił Powietrznych stu jeden artystów, wróciły zaś sto dwie osoby, chociaż jedna zarazem tam była i jej nie było. Tak, zaklęcia magiczne czasem robią swoje. Ale też zawodzą: mojemu ojcu, Ahmedowi Sinai, nigdy się nie udało zakląć Sherri, tej suki ogrodnika.

Wróciłem zatem bez paszportu i bez wizy, odziany w płaszcz niewidzialności, do kraju urodzenia; możesz wierzyć albo nie, tyle że nawet sceptyk musiałby znaleźć jakieś wytłumaczenie na moją tu obecność. Czyż kalif Harun al-Raszid (z wcześniejszego zbioru fantastycznych opowieści) podobnie odziany w płaszcz też się nie przechadzał, niewidoczny niewidzialny anonimowy, ulicami Bagdadu? Na czas przelotu korytarzami powietrznymi subkontynentu Parwati-czarodziejka umożliwiła mi to, co Harun osiągnął na ulicach Bagdadu. Udało jej się; byłem niewidzialny; bas. Starczy.

Wspomnienia ze stanu niewidzialności: w koszu nauczyłem się, co to znaczy, co to będzie znaczyło nie żyć. Nabyłem cech duchów! Obecny, lecz niematerialny; realny, lecz bez substancji ani wagi... odkryłem w tym koszu, jak zjawy postrzegają świat. Mętnie niejasno słabo... widziałem wszystko, ale z dużym trudem; zawisłem w sferze nieobecności, na której obrzeżach jawiły mi się, niczym słabe odbicia, wiklinowe upiory. Zmarli umierają i ulegają z wolna zapomnieniu; czas leczy rany, a oni nikną – ale w koszu Parwati nauczyłem się, że prawdą też jest coś wręcz przeciwnego; że i duchy zaczynają zapominać; że umarli też tracą

wspomnienia o żywych, aż wreszcie oderwani od własnych żywotów sami z czasem nikną – że umieranie, jednym słowem, trwa jeszcze długo po śmierci. Później Parwati skomentowała: – Nie chciałam ci mówić, ale nie wolno nikogo tak długo trzymać w niewidzialności; zbyt to ryzykowne, tylko co miałam począć?

W kleszczach magii Parwati poczułem, że świat wymyka mi się z rąk – i jak łatwo, jak miło byłoby nigdy go już nie musieć ogarniać! – że odpływa w tę zamgloną pustkę, ulatuje coraz dalej i dalej i dalej, niczym zarodnik niesiony podmuchem wiatru – jednym słowem, znalazłem się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Czego się trzymałem w tej upiornej czasoprzestrzeni: srebrnej spluwaczki. Która przekształcona, podobnie jak ja wyszeptanymi przez Parwati słowami przypominała mi wszelako o świecie zewnętrznym... ścisnąłem rzeźbione przepięknie srebro, lśniące nawet w tych nieopisanych ciemnościach, i tak przetrwałem. Mimo odrętwienia od-stóp-do-głów uszedłem z życiem, być może właśnie dzięki błyskom mojej drogocennej pamiętki.

Nie – zadziało coś więcej niż spluwaczki: bo, jak już wszyscy wiemy, zamknięte przestrzenie wywierają na naszego bohatera przemożny wpływ. W szczelnych ciemnościach dopadają go przeobrażenia. Albowiem już jako embrion w skrytoci łona (nie swojej matki) czyż nie wyrósł na wcielenie nowego mitu 15 sierpnia, na dziecko cykadełka – czyż nie wyłonił się jako Mubarak, Błogosławione Dzieciątko? Czyż w ciasnej umywalni nie zamieniono przywieszek? A czyż sam w skrzyni na bieliznę, z trokiem w jednej dziurce od nosa, nie dojrzał Czarnego Mango i nie zaciągnął się zbyt mocno, przekształcając siebie i swój górny ogórek w nadprzyrodzoną amatorską radiostację? Osaczony przez lekarzy, pielęgniarki i maski anestetyczne, czyż nie poddał się sile liczb, przeszedłszy zaś drenaż partii górnych, czyż nie wkroczył w drugą fazę, filozofa nosa, a (później) idealnego tropiciela? I czyż przygnieciony w opuszczonej chatynce ciałem Ajuby Balocza, nie poznał znaczenia sprawiedliwości-niesprawiedliwości? Zatem – w pułapce okultystycznej groźby kosza niewidzialności ocalałem życie nie tylko dzięki błyskom spluwaczki, lecz również dzięki kolejnemu przeistoczeniu: w kleszczach tej straszliwej bezcielesnej samotności, której zapach był zapachem cementarnym, odkryłem gniew.

Coś w Salimie zanikało i coś się rodziło. Zanikało: dawna duma z niemowlęcej fotografii i oprawnego-w-ramkę listu Nehru; dawna determinacja do gorliwych zaślubin z wyprorokowaną rolą historyczną; a także gotowość do ustępstw, tolerancja wobec rodziców i obcych ludzi, którzy mogli go nienawidzić bądź skazywać na wygnanie za jego brzydotę; okaleczone palce i mnisie tonsury przestały stanowić dobre wymówki na jego, moje, traktowanie. Przedmiotem mojego oburzenia padło w gruncie rzeczy wszystko, co dotychczas ślepo akceptowałem: pragnienie rodziców, abym swoją wielkością odpłacił im za ich inwestycję; geniusz-jak-szal; już same tryby powiązań wywołały we mnie ślepą, zajadłą furję. Dlaczego właśnie ja? Dlaczego w następstwie wypadków przy narodzinach, prorocत्व i tak dalej, muszę ponosić odpowiedzialność za zamieszki językowe i kto-po-Nehru, za rewolucje pieprzniczek i za bomby, które zgładziły moją rodzinę? Dlaczego ja, Salim Smark, Kinol, Twarz-jak-mapa, Okruch Księżyca, miałbym przyjmować na siebie winę za to-czego-się-bynajmniej-nie-dopuszczyły wojska pakistańskie w Dhace?... Dlaczego ja jeden z przeszło-pięćuset-milionów miałbym dźwigać brzemień historii?

To, co zaczęło moje odkrycie niesprawiedliwości (śmierdzącej cebulą), dokończyła moja niewidzialna wściekłość. Oburzenie pozwoliło mi przeżyć syrenie śpiewy wabiące ku niewidzialności; gniew wzmógł determinację, że począwszy od chwili uwolnienia mnie w cieniu Meczetu Piątkowego ze stanu zaniku sam będę wybierał własną, nie przesądzoną z

góry przyszłość. I tam właśnie, w ciszy zalatującego cmentarzem odosobnienia, usłyszałem głos sprzed-lat dziewiczej Marii Pereiry, która wyśpiewuje:

Kiem tylko zechcesz być, to będziesz

Będziesz tem, kiem sobie sam zamarysz.

Dzisiaj, kiedy przypominam sobie własny gniew, zachowuję spokój; Wdowa wydrenowała ze mnie złość wraz ze wszystkim innym. Wspominając zrodzony-w-koszu bunt przeciwko niewidzialności, pozwalałam sobie nawet na uśmiezek zrozumienia. „Młodość – mruczę pobłaźliwie na wskroś tych lat do Salima-w-wieku-dwudziestu-czterech – musi się wyszumieć.” W Schronisku Wdów dostałem raz na zawsze surową nauczkę, mianowicie, że Nie Ma Odwrotu; teraz więc, zgarbiony nad papierem w rozlewisku światła lampy kreślarskiej, nie chcę już być nikim innym, tylko tym, kim jestem. Kim czym jestem? Oto moja odpowiedź: jestem sumą wszystkiego, co się przede mną zdarzyło, wszystkiego czym byłem co widziałem czego dokonałem, wszystkiego, co-mnie-uczyniono. Jestem wszystkimi wszystkim, których czego bycie-w-świecie wywarło wpływ na moje bycie-w-świecie oraz na których na co moje bycie-w-świecie wywarło podobny wpływ. Jestem tym, co się zdarzyło po moim odejściu, a co by się nie zdarzyło bez mojego przyjścia. Nie jestem zresztą odosobniony w tym względzie; każde „ja”, każdy z obecnie-ponad-sześciuset-milionów nas zawiera w sobie podobną ciźbę. Powtarzam po raz ostatni: żeby mnie zrozumieć, trzeba połknąć cały świat.

Chociaż teraz, kiedy wylewanie-się-ze-mnie tego, co-było-w-środku dobiega końca; kiedy poszerzają się wewnętrzne szczeliny – słyszę i czuję ten trzask chrzęst zgrzyt – zaczynam chudnąć niemal aż do przejrzystości; niewiele już ze mnie zostało, wkrótce i tak będzie po mnie. Sześćset milionów drobin pyłu, a wszystkie przezroczyte, niewidzialne jak szkło...

Jednakże wówczas odczuwałem gniew. Nadczynność gruczołów w wiklinowej amforze: gruczoły ekrynowe i apokrynowe wydzielały obficie pot i odór, jak gdybym usiłował porami skóry wydalić swój los; ale gwoli sprawiedliwości muszę odnotować, że moja wściekłość odniosła jeden natychmiastowy skutek – mianowicie, kiedy wyskoczyłem z kosza niewidzialności w cień meczetu, ów bunt uratował mnie od abstrakcji odrętwienia; kiedy wypadłem na ziemię getta kuglarzy ze srebrną spluwaczką w ręce, uprzytomniłem sobie, że znów czuję.

Przynajmniej niektóre przypadłości da się przezwyciężyć.

Cień meczetu

Nie ma cienia wątpliwości: następuje przyspieszenie. Trzask zgrzyt chrup – nawierzchnie dróg pękają w tej przeraźliwej spiekocie, i ja podobnie zmierzam szybkim krokiem do rozpadu. To-co-zżera-kości (czego, jak ciągle muszę tłumaczyć nazbyt wielu kobietom wokół siebie, medycy nie potrafią żadną miarą zdiagnozować, a co dopiero wyleczyć) niedługo się o mnie upomni; a przecież tyle zostało do powiedzenia... Rośnie we mnie wuj Mustafa i ryjek Parwati-czarodziejki; za kulisami czeka pukiel włosów bohatera; a także trzynastodniowy poród i historia jako analogia fryzury pani premier; przed nami jeszcze zdrada, jazda na gapę i zapach (niesiony wiatrem brzemiennym od zawodzenia wdów) smażeniny w żelaznej rynience... toteż i ja muszę zwiększyć tempo, żeby wpaść na linię mety; zanim pamięć bezpowrotnie popęka, muszę dotknąć piersią finiszowej taśmy. (Chociaż i tak, i tak pojawiają się zaniki i luki; czasem przyjdzie nawet improwizować.)

Na półce stoi uroczyście dwadzieścia sześć słoików marynaty; dwadzieścia sześć specjalnych przetworów, a na każdym stosowna nalepka opatrzona schludnym równiutkim napisem ze znajomą nazwą: „Ruchy pieprzniczek” albo na przykład „Alfa i Omega” czy też „Pałeczka komandora Sabarmati”. Dwadzieścia sześć słoików pobrzękuje dziarsko, kiedy przejeżdżają tędy pociągi osobowe w żółto-brązowiejącą dal; na moim biurku dźwięczy natrętnie pięć pustych słoików, przypominając mi o moim nie dokończonym przedsięwzięciu. Ale teraz nie mogę się rozwódzić nad pustymi słoikami; noc jest dla słów, zielone ćatni musi więc czekać na swoją kolej.

...Padma się rozmarzyła: – O, mój panie, jak pięknie musi być w sierpniu w Kaszmirze, kiedy tu jest gorąco jak w kadzi chili! Muszę napomnieć swoją pulchną-acz-muskularną towarzyszkę, której uwaga jakby się rozprasza; i odnotować, że nasza Padma Bibi, cierpliwa tolerancyjna pocieszająca, zaczyna się zachowywać dokładnie tak jak tradycyjna żona Hinduska. (A ja ze swoim dystansem i zamknięciem-w-sobie jak mąż?) Ostatnio mimo swojego stoickiego fatalizmu wobec rozprzestrzeniających się szczelin wyczułem w oddechu Padmy marzenie o innej (aczkolwiek niemożliwej) przyszłości; nic sobie nie robiąc z nieubłaganej nieuchronności wewnętrznych rozpadlin, jęła wydzielać słodko-gorzki aromat nadziei-na-małżeństwo. Mój lotos-łajno, ta, która tyle czasu oparła się szyderczym docinkom rzucanym przez nasz personel złożony z niewiast o kosmatych rękach; ta, która przedłożyła wspólne mieszkanie ze mną nad wszelkie nakazy przyzwoitości, najwidoczniej uległa teraz pragnieniu legalizacji... zatem, chociaż nie zająknęła się słowem na ten temat, oczekuje, że zrobię z niej uczciwą kobietę. Woń smętnej nadziei przebija z jej najbardziej niewinnych troskliwych uwag – nawet w tej chwili, kiedy dogaduje: – Hola, mój panie, może byś tak skończył to pisarstwo i odpoczął; jedź do Kaszmiru, posiedź sobie jakiś czas w spokoju; a może byś tak zabrał ze sobą i Padmę, co by cię doglądała...? – Za tym kielkującym marzeniem o wakacjach w Kaszmirze (które było niegdyś również marzeniem Dżehangira, cesarza mogolskiego; nieszczęsnej, zapomnianej Ilse Lubin; a może i samego Chrystusa), węższą obecność innego zgoła marzenia; ale żadne z nich nie może być spełnione. Bo teraz szczeliny, szczeliny i jeszcze raz szczeliny zawężają moją przyszłość do jedyne go nieuniknionego finału; nawet więc Padma musi zasiać w tylnym rządzie, jeżeli mam dokończyć tę opowieść.

Dzisiaj gazety rozpisują się o rzekomym odrodzeniu politycznym pani Indiry Gandhi; ale kiedy wróciłem do Indii schowany w wiklinowym koszu, „Pierwsza Dama” kosztowała właśnie pełni swej chwały. Dzisiaj może już zapominamy, nurzając się chętnie w zdradzieckich chmurach amnezji; ja wszakże pamiętam i spiszę, jak ja – jak ona – jak do tego doszło – nie, nie mogę, muszę opowiadać wszystko po kolei, aż tamto samo wyjdzie na jaw... 16 grudnia 1971 roku wyskoczyłem z kosza na terenie Indii, gdzie Nowa Partia Kongresowa pani Gandhi zdobyła przeszło-dwie-trzecie, czyli większość głosów w Zgromadzeniu Narodowym. W koszu zapewniającym niewidzialność poczucie niesprawiedliwości obróciło się w gniew; i coś jeszcze – przeistoczony przez złość doznałem naraz przejmującego współczucia dla ojczyzny, której nie tylko byłem bliźniakiem-z-urodzenia, lecz w dodatku przyrośniętym (że tak powiem) do niej biodrem, toteż cokolwiek zdarzało się któremukolwiek z nas, zdarzało się obojgu. Kiedy ja, smarkonosy plamolicy i tak dalej, miałem się z pyszną, podobnie i moja subkontynentalna bliźniaczka; a teraz, skoro dałem sobie prawo wyboru lepszej przyszłości, stwierdziłem, że i kraj powinien jej doświadczyć. Chyba właśnie wtedy, gdy wyskoczyłem na spotkanie ziemi, cienia i rozradowanych wiwatów, postanowiłem ocalić ten kraj.

(Zostają jednak szczeliny i luki... czy już wtedy uznałem miłość do Dżamili Śpiewaczki za swoisty błąd? Czy już wówczas pojąłem, że najzwyczajniej w świecie przerzuciłem na jej barki adorację, w której teraz upatrywałem przesadnej, wszechogarniającej miłości do ojczyzny? Kiedy właściwie zdałem sobie sprawę, że żywiłem z gruntu kazirodcze uczucia do mojej bliźniaczki z-krwi-i-kości, do Indii, a nie do tej wszeteczniczki szansonistki, która tak ordynarnie mnie porzuciła jak zużytą węzową skórę i cisnęła do metaforycznego kosza na śmieci wojskowego życia? Kiedy kiedy kiedy?... Uznając własną porażkę, muszę odnotować, że nie pamiętam tego z całą wyrazistością.)

... Salim siedział, mrugając oczyma, na ziemi w cieniu meczetu. Nad nim stał olbrzym, uśmiechał się szeroko i pytał: – Aćcha, szefie, dobrą miał pan podróż? – A Parwati o wielkich podnieconych oczach łała wodę z miedzianego dzbana prosto w jego słone, splekane usta... Czułem! Lodowaty dotyk wody chłodzonej w glinianych surahi, spierzchnięte wargi, srebro-i-lazuryt ściskane w garści... – Czuje! – zawołał Salim do życzliwego tłumu.

Była to popołudniowa pora zwana ćhają, kiedy cień wysokiego Meczetu Piątkowego z-czerwonego-piaskowca-i-marmuru kładł się na rozklekotanych ruderach dzielnicy nędzy przycupniętych u jego stóp, na ruderach, których walące się blaszane dachy powodowały taką nieznośną duchotę, iż nie dało się wytrzymać w środku tych prowizorycznych domostw, chyba że w porze ćhai lub nocą... ale teraz sztukmistrze, ludzie-gumy, żonglerzy i fakirowie zebrali się w cieniu wokół jednego jedynego hydrantu, aby powitać nowego przybysza. – Czuje! – krzychałem, na co Foto Singh: – No, dobra, szefie, ale jak się pan czuje? Przy drugim przyjsciu na świat prosto z kosza Parwati jak nowo narodzone dziecko? – Czułem nosem zdziwienie Foto Singha; wyraźnie zdumiała go sztuczka Parwati, ale jak przystało na profesjonalistę, nie śmiał zapytać, jak tego dokonała. Zatem Parwati-czarodziejka, która użyła swych nieograniczonych mocy, żeby przetransponować mnie w bezpieczne miejsce, nie została rozszyfrowana; też i dlatego, jak stwierdziłem później, że getto kuglarzy wątpiło z absolutną pewnością zawodowych iluzjonistów o istnieniu magii. Toteż Foto Singh oświadczył mi ze zdumieniem: – Klnę się, szefie, że był pan tam lekki jak niemowlę! – Ale nawet mu się nie śniło, że ten mój brak wagi mógł być czymś więcej niż tylko sztuczką.

– Proszę posłuchać, mój maleńki sahibie – wołał Foto Singh. – Co pan na to, mój maleńki? Mam pana wziąć na ręce, szefie, żeby się panu odbiło?

A Parwati polubownie: – Bo widzisz, baba, on sobie zawsze stroi kpinki-docinki.

Uśmiechała się promiennie do wszystkich wokół... ale zaraz się zdarzyło coś złowróżbnego. Za plecami gromady kuglarzy rozległ się zawodzący głos kobiety: – Aj-o-aj-o! Aj-o-o! – Tłum rozstąpił się w osłupieniu, a wtedy starucha rzuciła się naprzód i przypadła do Salima; musiałem sam się bronić przed wywijającą patelnią, aż Foto Singh przerażony złapał ją za wymachującą-patelnią-rękę i jak nie huknie:

– Ejże, szefowo, o co tyle hałasu?

Na co starucha uporczywie:

– Aj-o-aj-o!

– Reśam Bibi – przerwała jej zagniewana Parwati – mrówki ci się zaległy w głowie, czy co?

A Foto Singh:

– Mamy gościa, szefowo, co on powie na te twoje krzyki? Are, ucisz się Reśam, nasza Parwati zna tego szefa osobiście! Nie lamentuj tak przed nim!

– Aj-o-aj-o! Naszło się nieszczęście! Jeździecie do cudzoziemskich krajów i je do dom przywozicie! Aj-oooo!

Wylęknięte twarze sztukmistrzów zerkwały to na Reśam Bibi, to na mnie – bo chociaż byli artystami, którzy odrzucali wiarę w siły nadprzyrodzone, tak jak wszyscy aktorzy pokładali pewną wiarę w szczęście, w szczęście-i-nieszczęście, w brak szczęścia...

– Sameś powiedział – zawodziła Reśam Bibi – że ten człowiek jest dwakroć urodzony, i to nawet nie z kobiety! Idzie spustoszenie, zaraza i śmierć. Stara jestem, to wiem. Are baba – zwróciła się płaczliwie do mnie – miejże litość; idź, idź, ale to już!

Rozległy się pomruki:

– To prawda, Reśam Bibi zna stare podania.

Ale wtedy Foto Singh się rozzłościł.

– Szef jest moim szacownym gościem – oznajmił. – Zostanie w mojej chacie, ile tylko zechce, czy to krótko, czy długo. Co wy też wygadujecie? Tu nie miejsce na bajki.

Pierwszy pobyt Salima Sinai w getcie kuglarzy potrwał zaledwie kilka dni; ale nawet w tak krótkim czasie wydarzyło się wiele spraw, które uśmierzyły wszelkie obawy wzbudzone przez aj-o-aj-o. Naga, nie przybrana niczym prawda wygląda tak, że w owych czasach getto iluzjonistów i innych magików zaczęło się wzbijać na nowe szczyty dokonań – żonglerzy potrafili już utrzymać w powietrzu tysiąc jeden piłek naraz, a nie-wytrenowana-jeszcze pupilka fakira wchodziła na gorące węgle i schodziła z nich bez zmrużenia powiek, jak gdyby przez osmozę nabyła zdolności swojego mentora; podobno udał się też numer-z-liną. Ponadto policja nie urządziła tym razem swojego comiesięcznego najazdu na getto, co było ewenementem za pamięci żyjących; do obozu zaś płynął nieprzerwanie strumień odwiedzających, służba bogaczy, zamawiająca profesjonalne usługi u jednej lub kilku osób z kolonii na ten czy inny galowy wieczór z atrakcjami... zupełnie jak gdyby Reśam Bibi wszystko przekreśliła, ja natomiast od razu zyskałem w getcie ogromną popularność. Przewano mnie Salim Kismet, Szczęśliwy Salim; Parwati zbierała gratulacje za sprowadzenie mnie do tych rud. Wreszcie Foto Singh ściągnął Reśam Bibi na przeprosiny.

– Praszam – powiedziała Reśam bezzębnie i uciekła; a Foto Singh dodał: – Starym ludziom to bieda żyć; mózg im mięknie, wszystko pamiętają na odwyrtekę. Szefie, wszyscy tu mówią, że pan nam przynosi szczęście; tylko pewnie wnet pan nas opuści, co?

Parwati wpatrzona tymi swoimi ślepiami jak spodki z niemym błaganiem nie nie nie; ja jednak musiałem odpowiedzieć twierdząco.

Dzisiaj Salim jest pewien, że odpowiedział: „Tak”; że jeszcze tego samego ranka, nadal odziany w bezkształtną szatę, nadal przykuty do srebrnej spluwaczki, odszedł, nie oglądając się na dziewczynę, która odprowadzała go oczyma zawilglonymi od oskarżeń; że minął spieszenie ćwiczących zonglerów i stragany ze słodkościami, które napełniły mu nozdrza kuszącym aromatem rasgulli, minął golibrodów proponujących golenie za dziesięć pajsów, licha warte mamrotania starowin oraz kocie wrzaski pucybutów z amerykańskim akcentem, którzy obstępowali autobusy pełne japońskich turystów w identycznych granatowych garniturach i w rozmaitych szafranowych turbanach zawiązanych im na głowach przez usłużnych acz złośliwych przewodników, minął pnące się w górę schody Meczetu Piątkowego, handlarzy galanterią, olejkami itr, gipsowymi miniaturami Kutb Minaru, malowanymi konikami i trzepoczącymi nie zarżniętymi kurczakami, nie skorzystał z zaproszeń do walki kogutów i do jarmarcznych gier w karty, po czym wyszedł z getta iluzji i znalazł się na bazarze Faiz, naprzeciwko ciągnących się w nieskończoność murów Czerwonego Fortu, z którego murów premier ogłosił przed laty niepodległość, w którego cieniu pewna kobieta spotkała pewnego właściciela fotoplastikonu, domokrążcę Dilli-dekho, a ten poprowadził ją zwężającymi się zaułkami, aby pośród mangust, sępów i połamanych ludzi z rękami obandażowanymi liśćmi wysłuchała przepowiedni przyszłości własnego syna; krótko mówiąc, następnie skręcił w prawo i wyszedł ze Starego Miasta ku różowawym pałacom wzniesionym dawno temu przez różowoskórych najeźdźców: opuściwszy swoich wybawców, udałem się pieszo do New Delhi.

Dlaczego? Dlaczego niewdzięcznie odtrąciłem nostalgiczny żal Parwati-czarodziejki, odwróciłem się plecami do starego i wybrałem nowe? Dlaczego, skoro Parwati przez tyle lat była mi najwierniejszym sprzymierzeńcem w nocnych kongresach mojego umysłu, owego ranka tak beztrąsko ją porzuciłem? Zmagając się z popękkanymi dziurami w pamięci, przypominam sobie dwa powody; trudno mi wprawdzie powiedzieć, który przeważył, a może był i trzeci... tak czy owak, po pierwsze dokonałem rachuby. Salim, analizując swoje widoki, musiał przyznać w duchu, że nie są zbyt różowe. Nie miałem paszportu; w świetle prawa byłem więc nielegalnym imigrantem (tak jak niegdyś byłem legalnym emigrantem); wszędzie czekały mnie obozy jenieckie. Pominąwszy nawet mój status dezertera-z-podbitej-armii lista moich słabych punktów wyglądała paskudnie: nie posiadałem ani funduszy, ani zmiany ubrania; nie posiadałem też kwalifikacji – gdyż ani nie skończyłem szkoły, ani nie wyróżniłem się w tym wykształceniu, które odebrałem; jakże więc miałem ruszyć ze swym ambitnym planem ocalenia kraju bez dachu nad głową i bez rodziny, która by mnie chroniła i wspierała podtrzymywała... niby grom zjasnego nieba przyszła refleksja, że się mylę; że przecież tutaj, w tym mieście mam krewnych – i to w dodatku wpływowych! Mój wuj Mustafa Aziz, wyższy urzędnik Służby Cywilnej, wnosząc z ostatnich danych, jest szycią numer dwa w swoim departamencie; kto mógłby być lepszym patronem moich mesjanistycznych ambicji? Pod jego dachem mógłbym zdobyć zarówno kontakty, jak i nowe ubrania; pod jego auspicjami mógłbym awansować do administracji państwowej, a zgłębiając poczynania rządu z pewnością znalazłbym klucz do ocalenia narodowego; miałbym też uszy ministrów, a może nawet przeszedłbym na „ty” z samym...! Owładnięty tą górnolotną fantazją oznajmiłem Parwati-czarodziejce: – Trzeba mi w drogę; czekają mnie wielkie sprawy! – A widząc urazę na jej raptem-spąsowiałych policzkach, pociesyłem ją: – Często cię będę odwiedzał. Często często. – Ona jednak pozostała niepokieszona... zatem szlachetne pobudki kazały mi porzucić tych, którzy mi pomogli; tylko czy nie towarzyszyły im powody bardziej małostkowe, przyziemne, osobiste? Owszem. Parwati odciągnęła mnie ukradkiem na

bok za rudę z kawałków blachy i desek ze skrzyń; po czym tam, gdzie leży się karaluchy, kochały się szczury, a muchy ucztowały na odchodach bezpańskich psów, Parwati schwyciła mnie za przegub, oko jej zapłonęło, z ust dobył się syk; pod osłoną cuchnącego podbrzusza getta wyznała, że nie jestem pierwszym dzieckiem północy, którego drogi skrzyżowały się z jej drogami! I tu nastąpiła opowieść o defiladzie w Dhace i o kuglarzach maszerujących u boku bohaterów; Parwati spojrzała na czołg i oczy jej rozblęły na widok pary gigantycznych, chwytnych kolan... kolan prężących się dumnie pod wyprasowanym-wykrochmalonym mundurem; Parwati zawołała: – To ty! To ty... – i padło niewysłowione imię, imię mojego poczucia winy, kogoś, kto powinien był żyć moim życiem, gdyby nie zbrodnia w klinice położniczej; Parwati i Siwa, Siwa i Parwati, skazani na to spotkanie boskim zrządzeniem swoich imion, połączyli się w chwili zwycięstwa.

– Bohater, człowieku! – syknęła dumnie za rudę. – Zrobią z niego wielkiego oficera i w ogóle! – I co wychynęło zza pazuchy jej łachmaniarskiego przyodziewku? Co niegdyś rośnie dumnie na głowie bohatera, a teraz spoczywało na piersi czarodziejki? – Poprosiłam go, to mi dał – powiedziała Parwati-czarodziejka i pokazała mi pukiel jego włosów.

Czyżbym uciekł od tego pukla złowieszczych włosów? Czy Salim bojąc się ponownego spotkania ze swoim alter ego, tak-dawno-temu usuniętym z nocnych konferencji, zbiegł z powrotem na łono rodziny, której dobrodziejstwa ominęły bohatera wojny? Czy więc szlachetne pobudki, czy poczucie winy? Trudno mi teraz rozstrzygnąć; spisuję tylko to, co pamiętam, mianowicie, że Parwati-czarodziejka szepnęła:

– Może tu wpadnie, jak będzie miał czas; i spotkamy się wszyscy troje! – I jeszcze jeden cytat: – Dzieci północy, jar... to nie byle co, prawda?

Parwati-czarodziejka przypomniała mi o sprawach, które usiłowałem wyrzucić z głowy; toteż odszedłem od niej do domu Mustafy Aziza.

Z mojego ostatniego, pożałowania godnego kontaktu z brutalnymi intymnościami życia rodzinnego pozostały jedynie strzępy; skoro jednak mam wszystko spisać, a następnie zamarynować, postaram się poskładać do kupy w jedną opowieść... najpierw więc odnotuję, że wuj Mustafa mieszkał w przestronnym anonimowym bungalowie Służby Cywilnej położonym w schludnym Ogrodzie Służby Cywilnej tuż za Radźpathem w samym sercu miasta Lutyensa; szedłem dawną Kingsway wdychając niezliczone wyziewy ulicy, przywiewane ze Stanowych Emporiów Rękodzielnictwa i z rur wydechowych motorowych ryksz; aromaty banianu i deodaru mieszały się z upiornymi zapachami od dawna nieobecnych wicekrólów i urękawiczonych memsahib, a także ze znacznie bardziej gryzącym odorem ciał napuszonych, bogatych begam i włóczęgów. Wystawiono tam olbrzymią tablicę wyborczą, pod którą (podczas pierwszej walki o władzę między Indirą a Morardżim Dasaiem) gromadziły się tłumy w oczekiwaniu na wyniki, dopytując się gorliwie: – Chłopiec czy dziewczynka? – ...pośród starożytności i nowoczesności, między Wrotami Indii a budynkami Sekretariatu, kłębiły mi się w myślach upadłe imperia (Mogółów i Brytyjskie), a także moje własne dzieje – albowiem było to miasto oświadczenia publicznego, wielogłowych potworów i ręki, spadającej z nieba – lecz ja maszerowałem rezolutnie naprzód, cuchnąc, jak zresztą wszystko wokół, niemiłosiernie. Wreszcie skręciłem w lewo w Duplex Road i dotarłem do anonimowego ogrodu otoczonego niskim murem i żywopłotem; w kącie dostrzegłem tablicę kołyszącą się na wietrze, podobną do tych, które niegdyś rozkwitły w ogrodach Posiadłości Methwolda; tyle że echo przeszłości dźwięczało tu na inną zgoła nutę. Nie widniało na nim NA SPRZEDAŻ z trzema złowieszczymi samogłoskami i siedmioma złowróbnymi spółgłoskami; drewniany kwiat w ogrodzie mojego wuja nosił

osobliwy napis: *Pan Mustafa Aziz i Rdza*.

Nie wiedząc, że ostatnie słowo to zwykły, okrojony skrót mojego wuja na pulsujący emocją rzeczownik „rodzina”, popadłem w osłupienie na widok przytakującej tabliczki; ale już po krótkim pobycie w tym domu określenie zaczęło mi pasować jak ulał, gdyż rodzina Mustafy Aziza była tak zetlała, przeżarta do cna, tak miała jak owa zagadkowo skrótowa Rdza.

Jakimi słowy mnie przywitano, kiedy nieco zdenerwowany nacisnąłem dzwonek do drzwi, przepełniony nadzieją na rozpoczęcie nowej kariery? Czyja twarz ukazała się za zewnętrznymi drzwiami z drucianej siatki i nachmurzyła się w gniewnym zaskoczeniu? Padmo: przywitała mnie żona wuja Mustafy, moja szalona ciotka Sonia, okrzykiem: – Fuj! O, Allah! Ale ten chłopak śmierdzi!

I chociaż ja przymilnie: – Dzień dobry, kochana cioteczko Soniu – uśmiechnąłem się nieśmiało do ocienionej-drucianą-siatką wizji przemijającej irańskiej urody mojej ciotki, ona ciągnęła dalej: – Salim? Tak, przypominam sobie. Byłeś okropnym szczeniakiem. Zawsze uważałeś, że wyrośniesz na Boga czy coś w tym rodzaju. A dlaczego? Z powodu jakiegoś głupiego listu wysłanego zapewne przez piętnastego podsekretarza premiera. – Już przy tym pierwszym spotkaniu powinienem był dojrzeć ruinę moich planów; powinienem był wyczuć w szalonej ciotce nieuchronny smród zazdrości Służby Cywilnej, który by mnie powstrzymał w moich zapędach do zdobycia pozycji w świecie. Ja dostałem list, ona nie; dlatego musieliśmy być wrogami na całe życie. Lecz oto otwarły się przede mną drzwi; woń czystego ubrania i kąpieli; a ja, wdzięczny za te drobne gesty miłosierdzia, nie wważałem się należycie w morderczy aromat ciotki.

Wuj Mustafa Aziz, którego niegdyś-dumnie-wypomadowane wąsy nigdy nie otrząsnęły się z paraliżującej burzy piaskowej zagłady Posiadłości Methwolda, pominięty aż czterdzieści siedem razy przy awansie na dyrektora departamentu, znalazł wreszcie pociechę za swoje niedołęstwo w biciu własnych dzieci, w cowieczornych tyradach o tym, jak to najwidoczniej padł ofiarą antymuzułmańskich uprzedzeń, w przekornej acz bezwzględnej lojalności wobec panującego akurat rządu oraz w obsesji genealogii, jego jedyne hobby o intensywności przewyższającej nawet pragnienie sprzed-lat mojego ojca, Ahmeda Sinai, żeby dowieść własnego pochodzenia z linii cesarzy mogolskich. W pierwszej z tych pociech ochoczo przyłączyła się do niego żona, pół-krwi-Iranka, przyszła dama-z-towarzystwa, Sonia (z domu Chosrowani), doprowadzona formalnie do obłądu przez życie, w którym musiała grać rolę „ćamci” (dosłownie łyżeczki, a w przenośni lizusa) przed czterdziestoma siedmioma kolejnymi żonami osobistości numer jeden, chociaż zdążyła je uprzednio do siebie zrazić swoją niebywałą protekcjonalnością, kiedy były żonami osobistości numer trzy; pod zjednoczonymi siłami wujostwa moi kuzyni zostali zbici na taką miazgę, że nie pomnę już dzisiaj ani ich liczby, płci, rozmiarów ani rysów twarzy; ich osobowości, rzecz jasna, dawno przestały istnieć. W domu wuja Mustafy przesiadywałem cichutko razem ze swoimi startymi-na-proch kuzynami, wsłuchując się w nocne monologi wuja, w których wciąż sobie przeczył, miotał się jak szalony między rozżaleniem na brak awansu a ślepym posłuszeństwem psa pokojowego wobec wszystkich posunięć pani premier. Gdyby Indira Gandhi kazała mu popełnić samobójstwo, Mustafa Aziz złożyłby to na karb fanatyzmu antymuzułmańskiego, ale zarazem broniłby racji stanu ukrytej w tym poleceniu i oczywista wykonałby je nie wając (ani nawet nie chcąc) się sprzeciwiać.

Co zaś do genealogii: wuj Mustafa spędzał cały wolny czas na zapełnianiu wielkich ksiąg buchalteryjnych pajęczastymi drzewami genealogicznymi, wiecznie tropił i unieśmiertelniał

osobliwe rodowody największych rodzin kraju; aż pewnego dnia, podczas mojego pobytu, ciotka Sonia usłyszała o pewnym riszim z Hardwaru, który rzekomo ma trzysta dziewięćdziesiąt pięć lat i pamięta genealogie wszystkich klanów braminów w Indiach.

– Nawet w tym względzie – zaskrzeczała na wuja – potrafisz zając tylko drugie miejsce!

Istnienie risziego z Hardwaru wtrąciło ją bez reszty w obłąd, toteż jej represje wobec dzieci nasiliły się do tego stopnia, że co dzień oczekiwaliśmy morderstwa, aż w końcu wuj Mustafa musiał ją trzymać w zamknięciu, bo jej ekscesy przynosiły mu ujmę w pracy.

Taka to była rodzina, do której przybyłem. Jej obecność w Delhi zaczęła zakrawać w moich oczach na profanację mojej własnej przeszłości; w mieście, w którym na zawsze dla mnie zamieszkały duchy młodego Ahmeda i Aminy, owa straszliwa Rdza kalala świętą ziemię.

Jednego tylko niepodobna stwierdzić z całą pewnością, a mianowicie, czy w późniejszych latach wuj wykorzystał swą obsesję genealogiczną w służbie rządu coraz bardziej urzeczzonego bliźniaczą magią władzy i astrologii; czy zatem mogłoby nie dojść do zdarzeń w Schronisku Wdów bez pomocy wuja... ale nie, ja też okazałem się zdrajcą; nikogo nie potępiam; stwierdzam tylko, że raz wypatrzyłem w jego genealogicznych księgach czarną skórzaną teczkę opatrzoną napisem ŚCIŚLE TAJNE i etykietką PROJEKT KDP.

Koniec już blisko, nie da się go dużo dłużej odwlekać; kiedy jednak sarkar Indiry, podobnie jak rząd jej ojca, zasięga codziennie rady mistrzów okultyzmu; kiedy wróżbici z Benaresu pomagają kształtować historię Indii, muszę zrobić dygresję w kierunku bolesnych, osobistych wspomnień; gdyż właśnie w domu wuja Mustafy dowiedziałem się o śmierci członków mojej rodziny w wojnie roku sześćdziesiątego piątego; a także o zniknięciu na kilka dni przed moim przybyciem sławnej pakistańskiej piosenkarki, Dżamili Śpiewaczki.

...Kiedy szalona ciotka Sonia usłyszała, że walczyłem w tej wojnie po niewłaściwej stronie, odmówiła mi jedzenia (a było to przy obiedzie) i zaskrzeczała:

– Boże, ale ty masz tupet! Gdzie twój rozum? Jako zbiegły przestępca wojenny przychodzisz, o Allah, do domu wyższego urzędnika Służby Cywilnej! Chcesz, żeby wuj stracił posadę? Chcesz, żebyśmy się wszyscy znaleźli na ulicy? Złapże się, chłopcze, za uszy ze wstydu! Idź, wynoś się, albo lepiej, wezwiemy zaraz policję i oddamy cię w jej ręce! Idź, a zostań sobie jeńcem wojennym, co nas to obchodzi, nie jesteś nawet prawowitym synem naszej siostry nieboszczki...

Gromy z jasnego nieba spadają jeden za drugim: Salim drży o własne bezpieczeństwo, a przy tym poznaje nieuchronną prawdę o śmierci matki, oraz fakt, że jego pozycja jest znacznie gorsza, niż sobie wyobrażał, bo w tej części rodziny nie nastąpiła akceptacja; Sonia, poinformowana o wyznaniu Marii Pereiry, jest zdolna do wszystkiego!... Na co ja słabym głosem: – Moja matka? Nieboszczka? – Włącza się wuj Mustafa, uznawszy pewno, że jego żona posunęła się za daleko, i mówi ociągając się: – Głowa do góry, Salim, zostaniesz oczywiście z nami, bo jakże inaczej, żono? Przecież ten biedak nawet nie wie...

I powiedzieli mi.

Wtedy, w sercu tej obłądnej Rdzy uprzytomniłem sobie, że winienem zmarłym wiele okresów żałoby; kiedy się dowiedziałem o zgonie mojej matki, ojca, ciotek Aliji, Piji i Emeraldy, kuzyna Zafara i jego księżniczki Kifu, Czcigodnej Matki, dalekiej krewnej Zohry i jej małżonka, postanowiłem spędzić kolejne czterysta dni w żałobie, jak każe tradycja: dziesięć okresów żałoby po czterdzieści dni każdy. No i, no i została jeszcze kwestia Dżamili Śpiewaczki...

Dowiedziała się o moim zniknięciu w zawierusze wojennej w Bangladeszu; ta, która

zawsze się spóźniała ze swoją miłością, dostała chyba szalu na tę wiadomość. Dżamila, Głos Pakistanu, Słowik Wiary wypowiedziała się przeciwko nowym władcom okrojonego, zżartego przez mole, podzielonego przez wojnę Pakistanu; kiedy więc pan Bhutto obiecywał Radzie Bezpieczeństwa ONZ: – Zbudujemy nowy Pakistan! Lepszy Pakistan! Naród mnie usłucha! – moja siostra lżyła go publicznie; ona, najczystsza z czystych, najbardziej patriotyczna ze wszystkich patriotów, zbuntowała się na wieść o mojej śmierci. (Przynajmniej tak to widzę; usłyszałem tylko od wuja nagie fakty; do niego zaś dotarły kanałami dyplomatycznymi, których nie ima się teoretyzowanie psychologiczne.) Dwa dni po wyłożeniu swojej tyrady przeciwko sprawcom tej wojny moja siostra znikła z powierzchni ziemi. Wuj Mustafa usiłował mówić spokojnie:

– Salim, źle się tam dzieje; ludzie bez przerwy znikają; trzeba się przygotować na najgorsze.

Nie! Nie, nie i nie! Padmo: mylił się! Dżamila nie przepadła w szponach państwa; gdyż jeszcze tej samej nocy miałem sen, że pod osłoną ciemności, spowita w zwykły welon, nie w łatwo rozpoznawalny złoty brokatowy namiot Wuja Bufo, tylko w pospolitą czarną burkę, uciekła drogą powietrzną ze stolicy; i przybywa do Karaczi, nie wypytywana nie aresztowana wolna, bierze taksówkę, zapuszcza się w miasto, i oto wysoki mur z zaryglowanymi drzwiami i okienkiem, przez które niegdyś, dawno temu, dostawałem chleb, zakwaszony chleb słabości mojej siostry, prosi, żeby ją wpuszczono, zakonnice otwierają drzwi na jej prośbę o udzielenie azylu, tak, oto i ona, bezpiecznie w środku, ryglują za nią drzwi, zamienia więc jedną niewidzialność na drugą, i tak rodzi się kolejna Czcigodna Matka, gdy Dżamila Śpiewaczka, która przed laty jako Mosiężna Małpka flirtowała z chrześcijaństwem, znajduje bezpieczeństwo schronienie spokój w tym zakonie kontemplacyjnym Świętej Ignacji... tak, nic jej nie grozi, wcale nie znikła ani nie wpadła w ręce policji, która kopie bije głodzi, tylko znalazła wytchnienie, i to nie w bezimiennej mogile na brzegu Indusu, lecz żyje, piecze chleb, śpiewa pięknie siostronom ukrytym; wiem, wiem, wiem. Ale skąd? Brat wie; i już.

Znów mnie nęka odpowiedzialność: bo nie ma od niej ucieczki – upadek Dżamili nastąpił, jak prawie wszystko, z mojej i tylko mojej winy.

Mieszkałem w domu pana Mustafy Aziza czterysta dwadzieścia dni... Salim obchodził spóźnioną żałobę po swoich zmarłych; proszę jednak ani przez chwilę nie myśleć, że miałem zatkałe uszy! Proszę się wyzbyc podejrzeń, że nie słyszałem, co się wokół mnie mówi, że omijały mnie ustawiczne kłótnie między wujem a ciotką (które zapewne pomogły mu powziąć decyzję o oddaniu jej do szpitala dla umysłowo chorych). Sonia Aziz krzyczała:

– Ten bhangi, ten nicpoń-lajdak, nawet nie twój siostrzeniec, nie rozumiem, co w ciebie wstąpiło, powinniśmy go stąd wywlec za ucho!

Mustafa zaś spokojnie odpowiadał:

– Biedaczysko, nieutulony w żalu, jakże to tak, przyjrzyj się, a zobaczysz, przecież ma nie po kolei w głowie, wiele przecierpiał.

Nie po kolei w głowie! Co za niesłychane określenie, zważywszy, że padło z ust rodziny, przy której plemię szwargoczących ludożerców wydawałoby się opanowane i kulturalne! Dlaczego to znośłem? Bo przyświecało mi moje marzenie. Tyle że przez te czterysta dwadzieścia dni marzenie się nie ziściło.

Ze-zwieszonymi wąsami, rosły-acz-przygarbiony, wieczysty numer dwa: wuj Mustafa nie był bynajmniej wujem Hanifem. Został teraz głową rodziny, jedynym mężczyzną ze swojego pokolenia, który przeżył zagładę roku 1965; chociaż wcale mi nie pomógł... zaszedłem pewnego zgorzkniałego wieczoru do jego wypełnionego genealogią gabinetu i przedstawiłem

– ze stosowną powagą i pokornymi, acz wymownymi gestami – swoją historyczną misję, żeby uchronić kraj od zguby; on westchnął tylko głęboko i powiedział:

– Słuchaj no, Salim, czego ty ode mnie oczekujesz? Trzymam cię u siebie; jesz mój chleb i nic nie robisz... wszystko w porządku, jesteś z domu mojej siostry nieboszczki, muszę się tobą opiekować... no więc siedź tu, odpoczywaj, dochodź do siebie; a potem zobaczymy. Jak zechcesz zostać urzędnikiem czy kimś takim, może da się załatwić; ale porzuć te swoje mrzonki Bóg-wie-o-czym. Kraj jest w dobrych rękach. Indiradźi już wdraża radykalne reformy – całego rolnictwa, struktury podatków, systemu oświaty, kontroli narodzin – zostaw to jej i jej sarkarowi.

Zlekceważył mnie, Padmo! Jakbym był durnym smarkaczem! O, co za wstyd, upokarzający wstyd, że taki tuman zbył mnie protekcyjnie!

Na każdym kroku psują mi się szyki; mnie, który jestem prorokiem na pustkowiu, jak Maslama, jak ibn Sinan! Choćbym nie wiem jak próbował, trafiam na pustynię. Co za podła nieużyteczność wujów wazeliniarzy! Co za spętanie ambicji przez drugi garnitur płaszczących się krewnych! Odrzucenie przez wuja moich próśb o poparcie odniosło jeden ważki skutek: im bardziej wychwalał tę swoją Indirę, tym bardziej ja jej nienawidziłem. Bogiem a prawdą przygotowywał mnie na powrót do getta kuglarzy i na... na nią... na Wdowę.

Zawiść: ot co. Zielona zazdrość mojej szalonej ciotki Soni, sącząca się jak trucizna do uszu wuja, nie pozwoliła mu kiwnąć palcem, żebym rozpoczął wymarzoną przez siebie karierę. Wielcy zawsze pozostają na łasce małych ludzi. A także: małych wariatek.

Czterysta osiemnastego dnia mojego pobytu zmieniła się atmosfera tego domu wariatów. Ktoś przyszedł na obiad: ten ktoś miał opasły brzuch, stożkową głowę pokrytą tłustymi loczkami i usta mięsiste jak wargi sromowe kobiety. Wydawało mi się, że poznaję go ze zdjęć w gazetach. Zwróciwszy się do jednego ze swych kuzynów bez-płci bez-wieku bez-twarzy, spytałem zaciekawiony: – Czy to nie ten, no wiesz, Sandżaj Gandhi? – Ale to zbite na miążgę stworzenie było zbyt zdruzgotane, żeby się zdobyć na odpowiedź... czyli to chyba on. Nie wiedziałem wówczas tego, co teraz odnotuję: że pewne figury w tym doprawdy niezwykłym rządzie (a także pewni przypadli w wyborach synowie premierów) nabyli zdolności reprodukcji... przez kilka lat w Indiach rozpleniły się istne gangi Sandżajów! Nic dziwnego, że ta niebywała dynastia chciała nam wszystkim narzucić kontrolę narodzin... może to był więc on, a może i nie; tak czy owak ktoś znikł z Mustafą Azizem w jego gabinecie; i owej nocy – jak podejrziałem – znalazła się czarna, zamknięta na klucz, skórzana teczka z napisem ŚCIŚLE TAJNE i PROJEKT KDP; a nazajutrz rano wuj patrzył na mnie innym okiem, jakby z lękiem albo z tym specyficznym obrzydzeniem, jakie funkcjonariusze Służby Cywilnej rezerwują dla tych, którzy popadli w oficjalną niełaszkę. Powinienem był się domyślić, co się święci; ale kiedy człowiek patrzy wstecz, wszystko zdaje się proste. Retrospekcja przychodzi dopiero teraz, za późno, kiedy już jestem skazany nieodwołalnie na obrzeża historii, teraz, kiedy wszelkie więzy między moim życiem a życiem kraju zerwały się raz na zawsze... aby uniknąć zagadkowego spojrzenia wuja, wyszedłem do ogrodu; i ujrzałem Parwati-czarodziejkę.

Siedziała w kucki na chodniku z koszem niewidzialności u boku; na mój widok oczy załśniły jej wymówką.

– Obiecywałeś, że przyjdiesz, ale skoro ty nie, no to ja – wymamrotała.

Zwiesiłem głowę.

– Obchodziłem żałobę – wyjaśniłem nieprzekonująco.

– Wszystko jedno, trzeba było przyjść. Mój Boże, Salimie, nie wiesz nawet, że w naszej kolonii nie mam komu powiedzieć o swojej prawdziwej magii, nikomu, nawet Foto Singhowi, który jest dla mnie jak ojciec, muszę to tłamsić i tłamsić w sobie, bo nikt w takie rzeczy nie wierzy, no więc sobie pomyślałam, skoro przyjechał Salim, będę miała przynajmniej jednego druha, pogadamy sobie, pobędziemy razem, oboje przecież byliśmy i wiedzieliśmy, are, jak by to powiedzieć, Salim, ciebie to nie obchodzi, osiągnąłeś, czego chciałeś, i odszedłeś tak po prostu, wiem, nic dla ciebie nie znaczę...

Owej nocy moja szalona ciotka Sonia, zaledwie kilka dni przed jej wsadzeniem w kaftan bezpieczeństwa (czemu gazety poświęciły krótką wzmiankę na środkowych stronach; departament mojego wuja musiał być tym mocno poruszony), doznała nagłej inspiracji pomyleńców, wpadła do sypialni, do której pół godziny wcześniej osoba-o-oczach-jak-spodki wspięła się przez okno na parterze; znalazła mnie w łóżku z Parwati-czarodziejką i po tym incydencie wuj Mustafa wymówił mi dach nad głową ze słowami: – Urodziłeś się jako bhangi i do końca życia łajdakiem pozostaniesz. – Czterysta dwudziestego dnia od chwili przybycia opuściłem dom wuja, pozbawiony więzów rodzinnych, wróciłem w końcu do tego prawdziwego dziedzictwa nędzy i ubóstwa, od którego wykpiwałem się tak długo dzięki zbrodni Marii Pereiry. Parwati-czarodziejką czekała na mnie na chodniku; nie powiedziałem jej, że w pewnym sensie cieszę się z takiego obrotu spraw, bo kiedy z wybiciem owej niedozwolonej północy całowałem ją w ciemnościach, zobaczyłem, że twarz jej się zmienia, przybiera wyraz zakazanej miłości; widmowe oblicze Dżamili Śpiewaczki zajęło miejsce oblicza czarodziejki; Dżamila, która ukryła się bezpiecznie (wiem to!) w klasztorze w Karaczi, naraz też się tam znalazła, tyle że przeszła mroczne przeobrażenie. Jęła gnąć, okropne wypryski i wykwity zakazanej miłości poznały jej twarz; tak jak niegdyś duch Józka D’Costy zgnił dotknięty magicznym trądem poczucia winy, tak teraz spleśniałe kwiaty kazirodztwa wykwitły na rzekomym licu mojej siostry, nie mogłem więc, nie mogłem całować dotykać oglądać tej odstręczającej upiornej twarzy, już miałem odskoczyć z okrzykiem rozpaczliwej nostalgii tęsknoty i wstydu, kiedy wpadła Sonia Aziz, zalewając nas światłem elektrycznym i wrzaskiem.

Co zaś do Mustafy, no cóż, mój nierozsądny postępek z Parwati mógł też w jego oczach posłużyć zaledwie za wygodny pretekst, żeby się mnie pozbyć; ale to już pozostanie tajemnicą, bo czarną teczkę zamknięto na klucz – muszę się opierać wyłącznie na spojrzeniu wuja, zapaszku strachu i trzech inicjałach na etykiecie – gdyż potem, już po wszystkim, obalona dama i jej syn o sromowych ustach spędzili dwa dni za zamkniętymi drzwiami, paląc akta; a skąd można wiedzieć, czy na jednej z tych teczek nie widniał napis KDP?

Zresztą i tak nie chciałem tam zostać. Rodzina: przereklamowana wartość. Nie myśl, że było mi smutno! Ani przez chwilę nie wyobrażaj sobie, że coś mnie złapało za gardło na to wygnanie z ostatniego łaskawie przede mną otwartego domu! Powiadam ci – banicja wprawiła mnie w dobry nastrój... może jestem ciut nienormalny, może cierpię na brak naturalnych reakcji emocjonalnych; ale myśli zawsze mnie popychały ku wyższym sprawom. Stąd moja elastyczność. Jak mnie uderzyć, odskakuję z powrotem. (Tylko na nic mój opór wobec szczelin.)

Reasumując: wyzbywszy się wcześniejszych, naiwnych nadziei na poparcie do aparatu państwowego, wróciłem do ruder kuglarzy i do chai Meczetu Piątkowego. Na wzór Gautamy, pierwszego i jedyne go prawowitego Buddy, porzuciłem wygodne życie i ruszyłem jak żebrak w świat. Było to 23 lutego 1973 roku; nacjonalizowano kopalnie węgla i handel pszenicą, cena ropy windowała się w górę w górę w górę, za rok miała wzrosnąć czterokrotnie, a

rozpad w łonie Partii Komunistycznej Indii między frakcją moskiewską Dangego a KPI (M.) Nambudiripada był nieodwracalny; ja zaś, Salim Sinai, podobnie jak Indie, liczyłem sobie dwadzieścia pięć lat, sześć miesięcy i osiem dni. Kuglarze niemal bez wyjątku byli komunistami. Tak, tak: bolszewikami! Rebelianci, zakała społeczna, szumowiny tej ziemi – społeczność bezbożników mieszkająca jak na urągowisko w samym cieniu domu Bożego! Na domiar złego, bezwstydni; czerwoni w całej swej niewinności; urodzeni z krwistymi skazami na duszach! Muszę jednak wyznać, że kiedy tylko się o tym dowiedziałem, ja, wychowany w Indiach innej żarliwej wiary, nazwijmy ją biznesizmem, którą porzuciłem-zostałem-porzucony przez jej wyznawców, poczułem się od razu swojsko jak u siebie w domu. Jako odszczepieniec biznesista gorliwie stawałem się czerwony i jeszcze czerwiejszy do końca i bez reszty, tak jak niegdyś mój ojciec od jednego dnia stał się biały, toteż obecnie moja misja-ocalenia-kraju prezentowała się w nowym świetle; nasuwało się więcej rewolucyjnych strategii. Precz z kooperatywą niekooperatywnych kupczących wujów i ich umiłowanych przywódców! Z głową nabitą myślami o bezpośrednim porozumieniu-z-ludem osiadłem w kolonii kuglarzy, zarabiając na życie zabawianiem krajowych i zagranicznych turystów cudownymi właściwościami swojego nosa, który pozwalał mi wyniuchiwać ich łatwe, turystyczne sekrety. Foto Singh mnie zaprosił, żebym zamieszkał w jego budzie. Spałem na wystrzępionych workach między koszami pełnymi syku węży; ale mi to nie przeszkadzało, podobnie jak nauczyłem się znosić głód pragnienie komary, a także (zaraz na początku) dotkliwy chłód delhijskiej zimy. Foto Singh, Najbardziej Czarowny Mężczyzna Świata, był zarazem niekwestionowanym przywódcą getta; pod osłoną jego wszechobecnego ogromnego parasola rozstrzygano problemy i swary; a ja, ponieważ umiałem nie tylko węszyć, lecz również czytać i pisać, zostałem niejako adiutantem tego monumentalnego człowieka, który swoje węzowe pokazy uzupełniał nieodmiennie wykładami na temat socjalizmu i który sływał na głównych ulicach i w zaułkach miasta nie tylko ze swoich talentów zaklinacza węży. Mógłbym rzec z absolutną pewnością, że Foto Singh był największym człowiekiem, jakiego znałem.

Pewnego popołudnia w porze chai do getta zawitał kolejny duplikat młodzieńca o sromowych wargach, którego widziałem u wuja Mustafy. Stał na schodach meczetu i rozwinął transparent, który trzymało następnie dwóch jego pomocników. Napis głosił: **PRECZ Z NĘDZĄ**, a obok ciele-ssące-krowę, symbol Kongresu Indiry. Twarz młokosa przypominała wypisz, wymaluj pysk tego spasionego cielaka, a kiedy przemawiał, cuchnęło mu niemilosierdzie z ust.

– O, bracia! O, siostry! Cóż wam powiada Kongres? A to: że wszyscy ludzie są sobie równi!

Nie zdołał powiedzieć nic więcej; tłum aż się cofnął przed tym jego chuchem niczym wole łąjno w gorącym słońcu, a Foto Singh zaczął rzeć ze śmiechu.

– O, ha, ha, szefie, można skonać, dobrodzieju!

Na co sromowargi idiotycznie:

– Ej, ty, bracie, może podzielisz się swoim żartem?

Foto Singh potrząsnął głową, wziął się pod boki:

– O, co za mowa, szefie! Ekstra!

Jego śmiech wytoczył się spod parasola, zaraził cały tłum i po chwili wszyscy tarzaliśmy się ze śmiechu na ziemi, rozgniatając mrówki, pokrywając się kurzem, aż w głosie tej cielejącej głowy z Kongresu zabrzmiała trwoga:

– Co to ma znaczyć? Ten osobnik uważa, że nie jesteśmy równi? Jakie niskie mniemanie

musi mieć... – ale już Foto Singh, z parasolem-nad-głową, pomaszerował żwawo do swojej chaty. Sromowargi z ulgą podjął przerwana mowę... lecz nie na długo, bo Foto zaraz wrócił, taszcząc pod lewą pachą mały, okrągły koszyk z wieczkiem, a pod prawą drewniany flet. Ustawił koszyk na schodku pod nogami przedstawiciela Kongresu; zdjął wieczko; uniósł flet do ust. Wśród ponownego śmiechu młody politykier aż podskoczył pół metra do góry, kiedy kobra królewska wynurzyła się sennie ze swojego domu... Sromowargi wrzeszczy:

– Co ty wyprawiasz? Chcesz mnie zabić na śmierć?

A Foto Singh nie zwracając na niego uwagi, ze złożonym teraz parasolem, gra dalej, coraz namiętniej, wąż się rozwija, szybciej szybciej, Foto Singh gra, aż muzyka fletu wypełnia wszystkie zakamarki ruder i już ma się wspiąć po murach meczetu, aż wielki wąż, zawieszony w powietrzu, przytrzymywany jedynie urokiem melodii, wystaje trzy metry z koszyka i tańczy na ogonie... Foto Singh przestaje: Nagaradź zwija się w kłębek. Najbardziej Czarowny Mężczyzna Świata podaje flet kongresowemu młodzieńcowi: – Dobra, szefie – mówi pojednawczo – teraz niech pan spróbuje.

Ale sromowargi:

– Człowieku, przecież wiesz, że nie potrafisz!

Na co Foto Singh ujmuje kobrę tuż za głową, sam otwiera usta szeroko szeroko szeroko odsłaniając tragikomiczną ruinę zębów i dziąseł; mruga lewym okiem do kongresowego młodzieńca, po czym wkłada sobie głowę węża z latającym językiem do tej ohydnie ziejącej jamy! Mija cała minuta, zanim Foto Singh odkłada kobrę do kosza. I bardzo uprzejmie zwraca się do młodzieńca:

– Widzi pan, szefie, w tym cały szkopuł: jedni są lepsi, inni gorsi. A pan niech sobie, z łaski swojej, myśli inaczej.

Obserwując tę scenę Salim Sinai zrozumiał, że Foto Singh i kuglarze to ludzie, którzy trzymają się bezwzględnie rzeczywistości; dzierżą ją tak mocno, że mogliby ją nagiąć w dowolny sposób na użytek własnej sztuki, ale nigdy nie zapominają, czym ona jest.

Problemy getta kuglarzy odpowiadały problemom ruchu komunistycznego w Indiach; na terenie kolonii znalazłoby się w miniaturze tyle podziałów i swarów, ile rozdzierało tę partię w całym kraju. Spieszę dodać, że Foto Singh był ponad to wszystko; jako patriarcha getta sprawował pieczę nad parasolem, którego cień potrafił przywrócić zgodę między poróżnionymi frakcjami; wszakże dysputy, jakie przynoszono pod osłonę parasola zaklinacza węży, stały się coraz bardziej zajadłe, kiedy prestidigitatorzy wyciągający króliki z kapeluszy opowiedzieli się stanowczo za moskiewską linią pana Dangego z oficjalnej KPI, popierającej panią Gandhi przez cały okres stanu wyjątkowego; ludzie-gumy zaczęli się natomiast skłaniać ku lewicy i skośnym zawilosciom ciężącego-ku-Chińczykom skrzydła. Zjadacze ognia i połykacze noży przyklaskiwali taktyce oddziałów partyzanckich ruchu naksalitów; tymczasem hipnotyzerzy i magicy chodzący-po-rozżarzonych-węglach przyjęli manifest Nambudiripada (ani moskwianina, ani pekińczyka) i potępiali przemoc naksalitów. Zarysowały się również tendencje trockistowskie wśród szulerów karcianych, a nawet trafili się zwolennicy komunizmu-przez-urny-wyborcze w kręgu umiarkowanych członków sekcji brzuchomówców. Wszedłem do środowiska, w którym przy całkowitym braku fanatyzmu religijnego i regionalnego, nasz odwieczny narodowy dar rozmnażania-się-przez-podział znalazł nowe ujście. Foto Singh oświadczył mi ze smutkiem, że podczas wyborów generalnych w roku 1971 zdarzyło się osobliwe zabójstwo wskutek sporu między połykaczem ognia naksalitą a sztukmistrzem moskwianinem, kiedy ten drugi, odurzony poglądami pierwszego, usiłował wyciągnąć rewolwer z magicznego kapelusza; gdy tylko ukazała się

broń, poplecznik Ho Szi Mina poparzył swojego przeciwnika na śmierć, rażąc straszliwym płomieniem.

Foto Singh osłonięty parasolem głosił socjalizm, który nie powiela wzorów zagranicznych.

– Słuchajcie, szefowie – mówił zwaśnionym brzuchomówcom i marionetkarzom – chcecie chodzić po wsiach, żeby przemawiać o Stalinach i przywódcach Mao? Czy biharskich lub tamilskich chłopów obchodzi zabójstwo Trockiego?

Chaja jego magicznego parasola chłodziła najbardziej zapalczywych czarodziejów; ponadto wywarła istotny wpływ na mnie, albowiem mnie przekonała, że niebawem zaklinacz węży, Foto Singh, podąży w ślady Mijana Abdullaha sprzed tylu lat; że podobnie jak ów legendarny Koliber opuści getto, aby ukuwać przyszłość samą tylko siłą woli; i że w przeciwieństwie do bohatera mojego dziadka nie ustanie, dopóki on sam i jego racje nie odniosą zwycięstwa... ale, ale. Zawsze jest jakieś ale ale. Co się stało, to się nie odstanie. Wszyscy o tym wiemy.

Zanim wrócę do historii mojego życia, pragnę oświadczyć, że właśnie Foto Singh uzmysłowił mi, iż skorumpowany „czarny” rynek rozrósł się do rozmiarów swojego oficjalnego „białego” odpowiednika, a pokazał mi to na zdjęciu pani Gandhi w gazecie. Jej włosy przedzielone pośrodku były śnieżnobiałe z jednej strony i czarnejaknoc z drugiej, toteż, zależnie który wystawiała profil, przypominała albo gronostaja latem, albo gronostaja zimą. Powtarzanie się przedziału w historii; a także rynek jako analogia fryzury pani premier... te istotne spostrzeżenia zawdzięczam Najbardziej Czarownemu Mężczyźnie Świata. Foto Singh powiedział mi też, że Miśra, minister kolejnictwa, jest również oficjalnie mianowanym ministrem łapówkarstwa, który tuszuje największe afery na czarnym rynku i aranżuje spłaty odpowiednich ministrów oraz notabli; bez Foto Singha mógłbym się nigdy nie dowiedzieć o sfalszowaniu wyborów stanowych w Kaszmirze. Nie był przy tym wcale miłośnikiem demokracji: – Boże, niech cholera weźmie te całe wybory, szefie – powiedział mi. – Zawsze wyniknie z nich jakaś bieda; a nasi rodacy zachowują się jak błazny.

Ja zaś trawiony gorączką-za-rewolucją nie dopisałem: nie podjąłem dysputy ze swoim mentorem. Zdarzały się też, rzecz jasna, wyjątki od zasad panujących w getcie: kilku sztukmistrzów pozostało przy hinduizmie, a w polityce popierało hinduistyczną sekciarską partię Dżana Sangh i niepoprawnych ekstremistów z Ananda Margu; pośród żonglerów trafiali się nawet głoszący za Swatantrą. Pominąwszy politykę, stara Reśam Bibi należała do owych nielicznych członków społeczności, którzy pozostali nieuleczalnymi fantastami, gdyż wierzyła (na przykład) w przesady zabraniające kobietom wspinać się na drzewa mango, albowiem mangowiec choćby raz brzemienny ciałem kobiety zawsze będzie rodził cierpki owoc... był tam też osobliwy fakir, a zwał się Ćiśti Chan, o twarzy tak gładkiej i lśniącej, że nikt nie wiedział, czy ma dziewiętnaście, czy dziewięćdziesiąt lat, który ogrodził swoją budę bajeczną konstrukcją z kijów bambusowych i jaskrawych kolorowych skrawków papieru, toteż jego dom przypominał miniaturową, wielobarwną replikę pobliskiego Czerwonego Fortu. Dopiero po przejściu przez zwieńczoną blankami furtę, widziało się, że za tą pedantycznie hiperboliczną fasadą bambusowo-papierowych krenelacji i rawelinów kryje się blaszano-tekturowa rudera taka sama jak pozostałe. Ćiśti Chan popełnił niedopuszczalny nietakt, gdyż pozwolił, by jego kunszt iluzjonistyczny wtargnął w rzeczywistość; nie zaskarbił tym sobie na terenie getta popularności. Kuglarze trzymali się od niego z daleka, żeby się nie zarazić jego mrzonkami.

Widzisz więc, dlaczego Parwati-czarodziejka, obdarzona naprawdę cudownymi mocami, przez całe życie chowała je w sekrecie; społeczność, która uporczywie odrzucała takie

możliwości, nie wybaczyłyby jej łatwo tajemnicy darów otrzymanych-o-północy.

Po ślepej stronie Meczetu Piątkowego, gdzie nie było widać kuglarzy, a jedyne niebezpieczeństwo groziło ze strony poszukiwaczy-resztek, wyławiaczy-porzuconych-skrzyń bądź amatorów-blachy-falistej... tam właśnie Parwati-czarodziejka, jakby jej kto pieprzu nasypał, pokazała mi, co potrafi. W skromnym salwar-kamiz skleconym ze strzępów tuzina innych cudotwórczyni północy z werwą i entuzjazmem dziecka dała mi popis. Oczy-jak-spodki, koński-ogon-jak-sznur, piękne, pełne czerwone usta... na pewno nie opierałbym jej się tak długo, gdyby nie ta twarz, chore niszczące oczy nos usta tamtej... Z początku zdawało się, że możliwościom Parwati nie ma granic. (Ale to nieprawda.) Czy więc wyczarowała demony? Czy zjawiły się dzinny oferując bogactwa i zamorskie wojaże na kwitujących dywanach? Czy ropuchy zamieniły się w księżniczki, a kamienie przeistoczyły w klejnoty? Czy nastąpiło zaprzeczenie dusz i wskrzeszenie umarłych? Bynajmniej; sztuki wykonywane dla mnie przez Parwati-czarodziejkę – jedyne, jakie zechciała mi pokazać – należały do „białej” magii. Jak gdyby „Tajemna księga” braminów, *Atharwaweda*, wyjawiała jej wszystkie sekrety; Parwati umiała leczyć choroby i neutralizować trucizny (na dowód tego dała się ukąsić wężowi, po czym zwalczyła jad dziwacznym rytuałem, złożonym z modlitwy do wężowego boga, Takszaki, picia wody przepojonej dobrocią drzewa Krimuka i mocami starych, wygotowanych szat, oraz recytacji magicznej formuły: „Orzeł Garutmant łyknął tej trucizny, lecz nie miała ona mocy; takż i ja odwróciłam jej moc, jak się odwraca lot strzały”) – potrafiła goić rany i święcić talizmany – znała zaklęcie na roślinę sraktja i Ryt Drzewa. To wszystko pokazała mi pod murami Meczetu w jednym ciągu niewiarygodnych nocnych sztuczek – wszakże nadal była nieszczęśliwa.

Jak zwykle muszę wziąć na siebie odpowiedzialność; smętna woń spowijała Parwati-czarodziejkę z mojej winy. Albowiem miała dwadzieścia pięć lat i oczekiwała ode mnie czegoś więcej niż tylko gotowości posłużenia jej za publiczność; Bóg jeden wie, dlaczego pragnęła mnie w swoim łóżku – a ściśle rzecz biorąc, abym zległ z nią na workach zastępujących jej łóżko w budzie, którą dzieliła z trojaczkami z Kerali, trzema dziewczętami-z-gumy, sierotami tak jak i ona – tak jak i ja.

Co dla mnie zrobiła: za sprawą jej czarów wyrosły mi włosy tam, gdzie nic nie rośło, odkąd pan Zagailo za mocno pociągnął; jej cudotwórstwo sprawiło, że pod wpływem leczniczych wywarów ziołowych znikły mi z twarzy znamiona przyrodzone; od jej zabiegów zmniejszyła mi się chyba nawet krzywizna nóg. (Nie potrafiła jednak nic zdziałać z moim chorym uchem; nie ma na świecie tak silnej magii, która by wymazała dziedzictwo po rodzicach.) Chociaż tyle dla mnie zrobiła, nie potrafiłem odplacić jej tym, czego pragnęła najbardziej; bo kiedy leżeliśmy razem pod murami po ślepej stronie Meczetu, w poświacie księżycy jej nocna twarz zmieniała się, zawsze się zmieniała w oblicze mojej odległej, utraconej siostry... nie, nie siostry... w rozkładającą się, ohydnie zniekształconą twarz Dżamili Śpiewaczki. Parwati namaściła sobie ciało mazidłami przesyconymi erotycznym afrodyzjakiem; wycesała tysiąc razy włosy grzebieniem z budzących podniecię kości jelenia; a pod moją nieobecność (bez wątpienia) wypróbowała najrozmaitsze zaklęcia miłosne; ja jednak pozostawałem w szponach dawniejszego zauroczenia i najwyraźniej nie mogłem się spod niego uwolnić; tak mi było sądzone, że twarze zakochanych we mnie kobiet zmieniały się na moich oczach w oblicze tej... ale przecież wiesz, czyje niszczące oblicze ukazywało się napełniając mi nozdrza niemłosiernym odorem.

– Biedna dziewczyna – wzdycha Padma, a ja przyznaję jej rację; dopóki jednak Wdowa nie wydrenowała ze mnie przeszłości terażniejszości przyszłości, pozostawałem pod urokiem

Małpki.

Kiedy wreszcie Parwati-czarodziejka uznała własną porażkę, z dnia na dzień twarz jej się przekształciła w zatrważająco wydatny ryjek. Zasnęła w chacie gibkich sierot, a nazajutrz po obudzeniu jej pełne usta złożyły się w sterczącą nader zmysłowo urazę. Osieroczone trojaczki powiedziały Parwati, chichocząc przy tym zatroskane, co się stało z jej twarzą; próbowała ze wszech sił odzyskać dawne rysy, lecz ani mięśnie, ani czary nie zdołały przywrócić jej poprzedniego oblicza; w końcu pogodziła się z własną tragedią i dała za wygraną, a Reśam Bibi rozповідаła wszem i wobec: – Nieszczęsna dziewczyna; bóg pewno na nią dmuchnął, kiedy stroiła miny.

(Nawiasem mówiąc, owego roku wszystkie miejskie strojnisię przybrały właśnie taki wyraz stanowczości erotycznej; wyniosłe lale na pokazie mody Eleganza '73 obnosiły takie ryjki, paradując po wybiegach. W straszliwej nędzy ruder kuglarzy ryjek Parwati-czarodziejki osiągał szczyty modnej twarzy.)

Kuglarze dokładali wszelkich starań, żeby na twarzy Parwati znów zawitał uśmiech. Odrywając się od pracy bądź też od bardziej przyziemnych obowiązków, takich jak naprawianie blaszano-tekturowych bud zwalonych przez porywisty wiatr lub tępienie szcurów, wykonywali dla jej rozweselenia najtrudniejsze sztuki; ale ryjek jaki był, taki pozostał. Reśam Bibi zaparzyła zielonej herbaty pachnącej kamforą i wmusiła ją w Parwati. Herbata wywołała u niej jedynie tak silne zatwardzenie, że przez dziewięć tygodni nie widziano, żeby Parwati wypróżniała się za swoją rudera. Dwóch młodych żonglerów wpadło na pomysł, że może dziewczyna znów rozpacza po swoim zmarłym ojcu, toteż z poświęceniem namalowali jego portret na skrawku starego brezentu, a następnie zawiesili nad jej matą z worków. Trojaczki wymyślały żarty; Foto Singh, wielce zafrasowany, kazał kobrom wiązać się za ogony; nic jednak nie skutkowało, bo skoro uleczenie niepowodzenia miłosnego przekraczało siły Parwati, jakąż nadzieję mogli żywić inni? Ryjek Parwati wywoływał w getcie niepomierne zakłopotanie, którego nawet niechęć kuglarzy do tego, co nieznanne, nie zdołała do końca rozproszyć. Wtedy to Reśam Bibi strzeliła do głowy myśl.

– Ale z nas głupcy – oświadczyła Foto Singhowi – nie widzimy tego, co pod nosem. Ta biedaczka ma dwadzieścia pięć lat, baba, toć to niemłoda kobieta! Ckni jej się do męża.

Zaimponowała tym Foto Singhowi.

– Reśam Bibi – przyznał z aprobatą – jeszcze ci rozum nie umarł.

Wówczas Foto Singh postanowił znaleźć Parwati odpowiedniego młodzieńca; nakłoniono zmuszono zaszantażowano wielu co młodszych mężczyzn w getcie. Przedstawiono kandydatów; lecz Parwati wszystkich odprawiła. Pewnej nocy, kiedy powiedziała Bismillahowi Chanowi, najbardziej obiecującemu połykaczowi ognia w całej kolonii, żeby się wynosił precz z tym swoim chuchem palącym jak chili, już i Foto Singha ogarnęła rozpacz. Owego wieczoru zwrócił się do mnie: – Szefie, skaranie boskie mam z tą dziewczyną; przecież się z nią przyjaźnisz, może ty coś wymyślisz? – Wtedy zaświtał mu pomysł, pomysł, który musiał odczekać, aż Foto Singh wpadnie w rozpacz, bo nawet on kierował się wymogami sfery – i automatycznie uznawał mnie za „zbyt dobrą partię” dla Parwati z powodu mojego rzekomo „wyższego” urodzenia; ów podstarzały komunista dopiero teraz pomyślał, że mógłbym być...

– Powiedz mi jedno, szefie – zapytał nieśmiało Foto Singh – planujesz się kiedyś ożenić?

Salim poczuł, że narasta w nim strach.

– Ejże, szefie, podoba ci się ta dziewczyna, co? A ja nie mogąc zaprzeczyć:

– Ma się rozumieć.

Wtedy Foto Singh uśmiechnął się od ucha do ucha, a węże zasyczały w koszykach.

– Bardzo ci się podoba, szefie? Bardzo, bardzo?

Ja zaś pomyślałem o twarzy Dżamili w nocy i powziąłem rozpaczliwą decyzję.

– Fotodżi, nie mogę się z nią ożenić.

Na co on, zachmurzony:

– Bo jesteś żonaty, szefie? Masz żonę-dzieci, które gdzieś czekają?

Nie było wyjścia; cicho ze wstydem wyznałem:

– Nie mogę się żenić, Fotodżi. Nie mogę mieć dzieci.

Milczenie w budzie przerywał tylko syk węży i nocne wycie dzikich psów.

– Mówisz prawdę, szefie? To fakt medyczny?

– Tak.

– Bo w tych sprawach nie wolno kłamać, szefie. Kłamstwo na temat własnej męskości przynosi wielkie, wielkie nieszczęście. Wszystko się może zdarzyć, szefie.

A ja ściągając na siebie w duchu przekleństwo Nadira Chana, które było także przekleństwem mojego wuja, Hanifa Aziza, oraz podczas zamrożenia i w jego długim następstwie również i mojego ojca, Ahmeda Sinai, tym żarliwiej oddałem się kłamstwu:

– Przecież ci mówię – zawołał Salim – to prawda i na tym poprzestańmy!

– W takim razie, szefie – rzekł Fotodżi dramatycznie, bijąc się ręką w czoło – Bóg raczy wiedzieć, co z tą biedaczką począć.

Ślub

23 lutego 1975 roku, w drugą rocznicę mojego powrotu jako wyrzutka do getta kuglarzy, odbył się mój ślub z Parwati-czarodziejką.

Padma aż sztywnieje: napięta jak sznur-do-bielizny, mój lotos-łajno dopytuje się:

– Ślub? Przecież nie dalej jak wczoraj wieczór mówiłeś, że nigdy byś... dlaczegoś mi nic nie powiedział przez tyle dni, tygodni, miesięcy...?

Patrzę na nią melancholijnie i przypominam, że napomknąłem już o śmierci mojej biednej Parwati, i to śmierci nienaturalnej... Padma z wolna się rozpręża, a ja ciągnę dalej:

– Kobiety mnie powiły; a następnie zgubiły. Począwszy od Czcigodnej Matki, skończywszy na Wdowie, czy nawet później, zawsze byłem zdany na łaskę tak zwanej (moim zdaniem, mylnie!) słabszej płci. To zapewne kwestia powiązania: bo czyż Matka India, Bharat-Mata, nie jest uważana powszechnie za niewiastę? A, jak wiesz, od niej nie ma ucieczki.

W tej opowieści upłynęły aż trzydzieści dwa lata, podczas których pozostawałem nie narodzony; niebawem może uda mi się skończyć trzydzieści jeden własnych lat. Przez sześćdziesiąt trzy lata, przed północą i po niej, kobiety dokładały wszelkich starań; ale też, muszę przyznać, dokładały mi niezgorzej.

W domu ślepego właściciela ziemskiego, na brzegach kaszmirskiego jeziora Nasim Aziz skazała mnie na nieuchronność przedziurawionych prześcieradeł; w wodach tego samego jeziora Ilse Lubin włąła się w historię, ja zaś nie zapominałem jej ostatniej woli;

Tuż zanim Nadir Chan ukrył się w podziemiu, moja babka, przybrawszy miano Czcigodnej Matki, stanęła na czele całego pocztu kobiet, które zmieniły swe nazwania, linii ciągnącej się po dziś dzień – bo włąła się nawet w Nadira, gdy przemianował się na Kasima i siedział z roztańczonymi rękami w kawiarni Pionier; a po wyjeździe Nadira moja matka, Mumtaz Aziz, została Aminą Sinai;

No i Alija z rozgoryczeniem stuleci, która mnie odziewała w niemowlęce ciuszki przesycone staropanieńską złością; i Emeraldą, co nakryła stół, na którym pod moją ręką pieprzniczki ruszyły do marszu;

Była też rani Kuch Nahin, której majątek oddany do dyspozycji pewnego buczonego dżentelmena dał początek chorobie optymizmu, stale nas od tamtej pory nawiedzającej; oraz w muzułmańskiej dzielnicy Starego Delhi daleka krewna Zohra, której flirt obudził w moim ojcu późniejszą słabość do Fernand i Flor;

I dalej do Bombaju. Gdzie Wanita Winkiego nie mogła się oprzeć przedziałkowi Williama Methwolda, a Nussie-kaczka przegrała wyścig-o-niemowlę; gdzie Maria Pereira w imię miłości zamieniła przywieszki historii i została mi drugą matką...

Kobiety, kobiety, kobiety: Toxy Catrack, bo uchyliła drzwi, które później miały wpuścić dzieci północy; lęki jej piastunki, Bi-Appy; rywalizacyjna miłość Aminy i Marii, oraz to, co mi matka objawiła, kiedy leżałem ukryty w skrzyni na bieliznę: tak, Czarne Mango, które kazało mi pociągnąć nosem i rozpętało bynajmniej-nie-archanioły!... I Evelyn Lilith Burns, sprawczyni wypadku na rowerze, która mnie zepchnęła z piętrowego pagóra w sam środek historii.

No i Małpka. Nie wolno mi zapomnieć o Małpce.

Ale też, była też Masha Miovic, co pochlebstwami doprowadziła mnie do utraty palca, i ciotka Pija, co napełniła mi serce żądzą zemsty, i Lila Sabarmati, której nierozwaga umożliwiła mi straszliwy, zdalnie sterowany, powycinany-z-gazet odwet;

I pani Dubasz, która znalazła mój prezent w postaci komiksu o Supermanie, po czym przekształciła go przy pomocy syna w Pana Chusro Chusrowanda;

I Maria, która widywała ducha.

W Pakistanie, kraju uległości, domu czystych, oglądałem przeobrażenie Małpki-w-Śpiewaczkę, zdobywałem chleb i opętała mnie miłość; również kobieta, Tai Bibi, wyjawiała mi prawdę o mnie. A w sercu wewnętrznej ciemności zwróciłem się do Bufij, po czym cudem unikałem groźby złotego uzębienia panny młodej.

Rozpoczynając od nowa jako budda, zległem z czyścicielką latryn i dlatego zostałem podłączony do ustępu elektrycznego; na Wschodzie skusiła mnie żona chłopca, wskutek czego zamordowano Czas; były też hurysy ze świątyni, ale umknęliśmy im w samą porę.

W cieniu meczetu Reśam Bibi wypowiedziała przestrozę.

No i poślubiłem Parwati-czarodziejkę.

– Ejże, mój panie – woła Padma – za wiele tych kobiet!

Nie przeczę; bo wszak nie wspomniałem o niej, chociaż wlewają się nieuchronnie we mnie jej marzenia o małżeństwie i Kaszmirze, stąd roi mi się gdyby-tak, gdyby-tak, ale poddałem się przecież tym pęknięciom, tyle że teraz dręczą mnie katusze rozgoryczenia, złości, strachu i żalu.

A nade wszystko: Wdowa.

– Klnę się na co tylko! – Padma uderza się w kolano. – Za wiele, mój panie, za wiele.

Jak należy rozumieć moje za-wiele kobiet? Jako mnogie oblicza Bharat-Maty? A może nawet... jako dynamiczny aspekt mai, energii kosmicznej, przedstawianej w postaci organu żeńskiego?

Mają w jej aspekcie dynamicznym zwie się Śakti; może to wcale nie przypadek, że w panteonie hinduskim aktywna moc bóstwa zawiera się w jego aspekcie żeńskim! Maja-Śakti jest matką, a zarazem „matnią świadomości oplecionej złudną zasłoną”. Za-wiele kobiet: czy wszystkie są wcieleniami Dewi, bogini – która jest Śakti, która zabiła demona-byka, która pokonała wilkołaka Mahiszę, która jest Kali Durgą, Ćandi Ćamundą Urną Sati i Parwati... i którą w jej aktywnym wcieleniu odmalowuje się na czerwono?

– Co ty mi tu będziesz gadał! – Padma sprowadza mnie na ziemię. – To tylko kobiety, i już.

Zstępując ze swojego bujania w obłokach przypominam sobie o konieczności pośpiechu; wiedziony nakazami trzask chrzęst chrup porzucam te refleksje; i rozpoczynam.

Oto jak do tego doszło; jak Parwati wzięła swój los we własne ręce; jak kłamstwo z moich ust doprowadziło ją do rozpacz, toteż pewnej nocy wyciągnęła spod łachmanów pukiel włosów bohatera i zaczęła wymawiać dźwięcznie brzmiące słowa.

Odrącona przez Salima Parwati przypomniała sobie, kto był niegdyś jego arcywrogiem, wzięła więc kij bambusowy z siedmioma guzami, opatrzone byle jakim metalowym hakiem, kucnęła w swojej budzie i zaczęła recytować; z Hakiem Indry w prawym ręku, z puklem włosów w lewym, wezwała Siwę do siebie. Możesz wierzyć albo nie, lecz Siwa przybył na jej apel.

Od początku były kolana i nos, nos i kolana; ale przez całą opowieść odsuwałem jego, tego drugiego, na dalszy plan (tak jak niegdyś wyrzuciłem go z narad Dzieci). Nie sposób jednak trzymać go dłużej w ukryciu; albowiem pewnego ranka w maju 1974 roku – czy to tylko ta

moja splekana pamięć, czy się nie mylę, twierdząc, że było to osiemnastego, może dokładnie w chwili, kiedy pustyniami Radżasthanu wstrząsnęła pierwsza eksplozja nuklearna Indii? Czy eksplozja Siwy w moim życiu zgrała się doprawdy z wkroczeniem Indii bez uprzedzenia w wiek atomowy? – tak czy owak zjawił się w ruderach kuglarzy. W mundurze z gwiazdkami-i-orderami, już jako major, Siwa zsiadł z wojskowego motocykla; i nawet przez skromne wojskowe spodnie khaki łatwo było dojrzeć fenomenalne bliźniacze wybrzuszenia jego śmiercionośnych kolan... najbardziej udekorowany bohater wojenny Indii, chociaż niegdyś dowodził gangiem chuliganów w zaułkach Bombaju; niegdyś, zanim odkrył zalegalizowaną przemoc wojny, znajdowano w rynsztokach uduszone prostytutki (wiem, wiem – brak dowodów); teraz major Siwa, ale też syn Wee Willie Winkiego, który nadal pamiętał słowa dawno zamilkłych piosenek: „Dobranoc, moje panie” jeszcze mu czasem pobrzmiwało echem w uszach.

Nie wolno nam tu pominąć pewnych ironii; bo czyż wzlot Siwy nie zbiegł się z upadkiem Salima? Kto więc teraz mieszkał w ruderach, a kto spoglądał z góry z wyżyn majestatu? Nic tak nie przekuwa żywotów ludzkich jak wojna... No więc dajmy na to 18 maja sam major Siwa zawitał do getta kuglarzy i przechadzał się okrutnymi ulicami dzielnicy nędzy z dziwnym wyrazem twarzy, na której rysowała się odwieczna pogarda do ubóstwa, właściwa ludziom niedawno awansowanym, z domieszką czegoś bardziej zagadkowego: gdyż major Siwa przyciągnięty do naszej skromnej siedziby magicznymi zaklęciami Parwati-czarodziejki nie może wiedzieć, jaka siła go tu zwabiła.

Przedstawiam rekonstrukcję najnowszej fazy kariery majora Siwy; złożyłem tę opowieść do kupy z relacji Parwati, które z niej wyciągnąłem po naszym ślubie. Najwyraźniej mój arcyrywał uwielbiał się przechwalać swoimi czynami, toteż proszę wziąć poprawkę na ewentualne odstępstwa od prawdy, które taka chełpliwość niesie; tym niemniej, nie ma chyba powodu uważać, że to, co opowiedział Parwati, a ona mi powtórzyła, mijają się drastycznie z prawdą.

Pod koniec wojny na Wschodzie legendy o straszliwych wyczynach Siwy rozbzyczały się po ulicach miast, przedarły się do gazet i czasopism, a zatem wniknęły do salonów bogaczy i niczym chmary much opadły bębni uszne pań domu, zatem Siwa wywindował się w górę nie tylko pod względem stopnia wojskowego, lecz również pod względem pozycji społecznej, zapraszano go więc na tysiąc jeden przeróżnych spotkań – bankietów, wieczorów muzycznych, partyjek brydża, dyplomatycznych przyjęć, konferencji partii politycznych, na wielkie mele, a także skromniejsze, lokalne fety, na szkolne zawody sportowe i modne bale – gdzie go oklaskiwali i monopolizowali najszlachetniejsi i najbardziej prawi mieszkańcy tej ziemi, albowiem legendy jego dokonań przywarły do nich jak muchy, które spacerowały im po gałkach ocznych, toteż patrzyli na tego młodzieńca przez mgielkę legendy, oblepiły im koniuszki palców, toteż dotykali go przez czarodziejski muślin jego mitu, obsiadły im języki, toteż nie potrafili z nim rozmawiać jak ze zwykłym człowiekiem. Wojsko indyjskie, które wówczas toczyło polityczną walkę przeciwko zaproponowanej redukcji wydatków, pojęło wartość takiego charyzmatycznego ambasadora i pozwoliło bohaterowi krążyć pośród jego wpływowych wielbicieli; Siwa ochoczo poddał się nowemu życiu.

Zapuścił sumiaste wąsiska, codziennie pomadowane przez jego osobistego adiutanta olejem lnianym z kolendrem; zawsze prezentował się okazale w salonach możliwych, gdzie wdawał się w pogawędki polityczne i deklarował jako gorliwy wielbiciel pani Gandhi, głównie z powodu własnej nienawiści do jej przeciwnika, Morardżiego Desai, który był niemożliwie stary, pił własny mocz, miał skórę szeleszczącą jak papier ryżowy, a także jako

główny minister Bombaju ponosił odpowiedzialność za wydany niegdyś zakaz picia alkoholu i nagonkę na młodych gundów, czyli chuliganów i łobuzów, innymi słowy, samego Siwy za młodu... ale te czcze pogaduszki wypełniały zaledwie ułamek jego myśli, gdyż pozostała ich część zajmowały bez reszty panie. Śiwę też otumaniało za-wiele kobiet, a w tych odurzających dniach po zwycięstwie militarnym okrył się tajemną sławą, która (jak przechwalał się Parwati) wkrótce miała prześcignąć jego oficjalną, publiczną reputację – „czarna” legenda zajęła miejsce obok „białej”. Co szeptano na babskich przyjęciach i wieczorach kanasty w całym kraju? Co syczano pośród chichotów, gdy tylko zebrało się kilka olśniewających pań? A to: major Siwa zyskiwał sobie opinię notorycznego uwodziciela; kobieciarza robiącego roga z bogaczy; jednym słowem, ogiera.

Na każdym kroku – jak oświadczył Parwati – otaczały go kobiety: ich krągłe ptasiomiękkie ciała aż się uginały pod ciężarem klejnotów i pożądania, a oczy mgliły się od jego legendy; trudno byłoby im odmówić, nawet gdyby chciał. Ale major Siwa wcale nie miał zamiaru odmawiać. Wysłuchiwał ze współczuciem ich tragedijek – o mężach impotentach, biciu, braku troski – wszelkich pretekstów, jakie te urocze istoty zechciały podsuwać. Zupełnie jak niegdyś moja babka na stacji benzynowej (tyle że z bardziej złowrogich pobudek) cierpliwie przyjmował ich skargi; popijając whisky w kandelabrowym splendorze balowych sal patrzył, jak trzepoczą rzęsami i wzdychają znacząco, wylewając swoje żale; i zawsze w końcu udawało im się upuścić torebkę, wylać trunek, wytrącić mu z ręki trzcinkę, żeby musiał się schylić na podłogę po to-co-upadło i zobaczyć liścik zatknięty w sandałku, sterzcący zuchwale spod pomalowanych palców nóg. W tamtych latach (jeżeli dać wiarę majorowi) powabne, bezwstydne begam Indii wprost ogarnęła epidemia takiej niezdarności, a ich ćappale rozprawiły o schadzkach-o-północy, o kratach dla pnącej bugenwilli pod oknami sypialni, o małżonkach bawiących na szczęście daleko, zajętych wodowaniem statków, eksportem herbaty bądź kupnem łożysk kulkowych od Szwedów. Kiedy więc ci nieszczęśnicy bawili poza domem, major odwiedzał ich apartamenty i kradł im najbardziej drogocenny majątek: żony padały mu w ramiona. Możliwe, że u szczytu jego romansów (a podzieliłem liczby majora na pół) kochało się w nim przynajmniej dziesięć tysięcy kobiet.

No i oczywiście były też dzieci. Pomiot zakazanych północy. Śliczne, jędrne niemowlaki spoczywające bezpiecznie w kołyskach bogaczy. Bohater wojenny kroczył swoją drogą, zaścieniając mapę Indii bękartami; wszakże (i to też powiedział Parwati) cierpiał na taką dziwną przypadłość, że tracił zainteresowanie każdą, która zaszła w ciążę; choćby były najpiękniejsze najapetyczniejsze najczulsze, uciekał z sypialni tych, które nosiły w łonie jego dzieci; a urocze panie musiały z-zaczerwienionymi-oczyrna przekonywać swoich zdradzonych mężów, że owszem, to jak najbardziej twoje dziecko, kochany, życie moje, przecież takie do ciebie podobne, ależ skąd, wcale nie jestem smutna, niby dlaczego, to tylko łyzy radości.

Jedną taką porzuconą matką została Rośanara, młodziutka żona potentata stali, S.P. Shetty’ego; i na Torze Wyścigowym Mahalakszmi w Bombaju przekłuła potężny balon jego dumy. Siwa spacerował właśnie po padoku, schylając się co krok, żeby zwracać damom ich szale i parasolki, które na jego widok jakby nabierały własnego życia i wyskakiwały dosłownie właścicielkom z rąk; Rośanara Shetty stawiała mu tam czoło, gdyż zagroziła drogę i nie chciała się usunąć, a jej siedemnastoletnie oczy napełniły się zawziętą urazą dziecka. Przywitał ją chłodno, salutując do wojskowej czapki, i usiłował wyminąć; lecz ona wbiła mu ostre-jak-szpikulce paznokcie w rękę, uśmiechając się przy tym zdradliwie niczym lód, i ruszyła razem z nim. W trakcie tej przechadzki wlała mu do ucha swoją młodzieńczą truciznę,

a nienawiść i oburzenie wobec byłego kochanka dały jej siłę perswazji, której musiał ulec. Wyrąbała mu szeptem prosto z mostu, śmieszne, mój Boże, paraduje tak w wyższych sferach jak nie przymierzając kogut, a przez cały czas panie drwią z niego za plecami, O tak, majorze sahibie, nie ma co się oszukiwać, panie ze sfer zawsze lubią sypiać ze zwierzętami chłopami brutalami, ale tak właśnie o panu myślimy, mój Boże, aż obrzydzenie bierze, jak pan je, jak sos panu ścieka po brodzie, czy pana zdaniem nie widzimy, że nie trzyma pan filiżanki z herbatą za uszko, czy pan sobie wyobraża, że nie słyszymy, jak pan beka i puszcza wiatr, jest pan dla nas oswojoną małpą, majorze sahibie, w gruncie rzeczy domowym błaznem na naszych usługach.

Po tej napaści Rośanary Shetty młody bohater wojenny spojrzął na swój świat innym okiem. Wydawało mu się teraz, że gdziekolwiek się ruszy, kobiety chichoczą za wachlarzami; chwycił dziwne, rozbawione spojrzenia rzucające z ukosa, których dawniej nie dostrzegał; i chociaż pracował usilnie nad swoimi manierami, wszystko na próżno, bo im bardziej się starał, tym więcej popełniał gaf, toteż z jego talerza spływała na bezcenne dywany kelimskie istna powódź, z gardła dobywało mu się bekanie z łoskotem pociągu wyjeżdżającego z tunelu, wiatry zaś puszczał o sile tajfunów. Olśniewające nowe życie przerodziło się w pasmo upokorzeń; inaczej teraz odbierał zaloty pięknych dam, pewien, że umieszczając pod palcami liściki miłosne, zmuszają go do uniżonego klękania u swych stóp... kiedy pojął, że mężczyzna może posiadać wszelkie atrybuty męskości, a mimo to doznawać wzgardy, bo nie umie trzymać poprawnie łyżki, poczuł, jak wraca mu dawna złość, nienawiść do możnych i ich władzy, dlatego też najpewniej – wręcz z całą pewnością – kiedy stan wyjątkowy podsunął Siwie-od-kolan szansę dojścia do władzy, nie dał się dwa razy prosić.

15 maja 1974 roku major Siwa wrócił do swojego pułku w Delhi; jak twierdził, po trzech dniach raptem owładnęło nim pragnienie, żeby jeszcze raz ujrzeć piękność z oczyma-jak-spodki, którą poznał przed laty na konferencji Dzieci Północy; kusicielkę z końskim ogonem, która poprosiła go ongiś w Dhace o pukiel włosów. Major Siwa oświadczył Parwati, że przybył do getta kuglarzy, bo chciał zerwać z bogatymi sukami indyjskich wyższych sfer; że jej złożone w ryjek usta urzekły go od pierwszego wejrzenia; i że tylko dlatego ją prosi, by z nim poszła. Wszakże okazałem już majorowi Siwie przesadną szczodrobliwłość – poświęciłem mu i tak za dużo miejsca w tej swojej osobistej wersji historii; uporczywie zatem twierdzę, że cokolwiek sobie ten major z iksowatymi nogami ubrdał, do getta przyciągnęła go bez dwóch zdań najzwyczajniej magia Parwati-czarodziejki.

Salima nie było akurat w getcie, kiedy przybył tam na motocyklu major Siwa; kiedy wybuch jądrowy wstrząsnął pustkowiami Radżasthanu poza zasięgiem wzroku, pod powierzchnią pustyni; wybuch, który odmienił mi życie, również nastąpił poza zasięgiem mojego wzroku. Kiedy Siwa złapał Parwati za przegub, bawiłem z Foto Singhiem na nadzwyczajnym zebraniu licznych czerwonych komórek tego miasta i dyskutowałem za i przeciw strajku powszechnego na kolei; kiedy Parwati bez wahania zajęła miejsce na siodełku Hondy bohatera, ja denuncjowałem skwapliwie fakt aresztowania przywódców związkowych przez władze. Jednym słowem, kiedy oddawałem się polityce i realizacji swoich marzeń o ocaleniu narodowym, czarnoksiężstwo Parwati rozpętało intrygę, która miała się zakończyć malowanymi henną dłońmi, pieśniami i spisaniem kontraktu.

...Nie mam wyjścia, muszę się opierać na relacjach innych; tylko Siwa mógłby opowiedzieć, co go spotkało; kiedy wróciłem, Reśam Bibi opisała mi odjazd Parwati ze słowami: – Niech sobie idzie, bidula, tyle czasu taka była markotna, czemu się tu dziwić?; a tylko Parwati mogła mi zdać sprawę z tego, co ją spotkało poza gettem.

Korzystając ze statusu bohatera wojny, major mógł sobie pozwolić na pewne odstępstwa od regulaminu wojskowego; toteż nikt go nie wezwał do raportu za wprowadzenie kobiety do koszar, nie przeznaczonych wszak dla żonatych oficerów; on zaś nie pojmując, co spowodowało tę wspaniałą odmianę w jego życiu, usiadł na prośbę Parwati w trzcinowym fotelu, na co ona zdjęła mu buty, wymasowała stopy, przyniosła napój zaprawiony świeżo wyciśniętymi limonami, odprawiła adiutanta, wypomadowała wąsy, wypieściła kolana, po czym podała na obiad tak pyszne birjani, że przestał zachodzić w głowę, co też go spotyka, tylko zaczął się napawać. Parwati-czarodziejka przeistoczyła jego skromną kwatery wojskową dosłownie w pałac, w Kajlasę godną boga Siwy; a major Siwa zatopiony w niespokojnych jeziorach jej oczu, nad wyraz podniecony jej erotycznie wydatnymi ustami, otaczał ją niepodzielną adoracją przez cztery bite miesiące: czyli, ściśle rzecz biorąc, przez sto siedemnaście nocy. Jednakże 12 września wszystko uległo zmianie: ponieważ Parwati, klęcząc u jego stóp, w pełni świadoma jego poglądów w tej materii, oznajmiła, że spodziewa się ich dziecka.

Związek Siwy i Parwati przerodził się w istną burzę pełną ciosów i potłuczonych talerzy; ziemskie echo owej odwiecznej bitwy-małżeńskiej-bogów, jaką ich imiennicy ponoć rozgrywają na szczycie góry Kajlasa w wysokich Himalajach... podówczas major Siwa zaczął zaglądać do kieliszka; a także się łajdaczyć. Łajdackie eskapady bohatera wojennego po stolicy Indii bardzo przypominały krążenie-na-Lambretcie Salima Sinai wyboistymi ulicami Karaczi; major Siwa zrażony do towarzystwa możnych w następstwie oświadczenia Rośanary Shetty, zaczął płacić za swoje przyjemności. A przez swą fenomenalną płodność (jak zapewniał Parwati, bijąc ją przy tym) zrujnował kariery wielu rozwiązłych kobiet, gdyż obdarzył je dziećmi, które te zanedbto kochały, by się ich pozbyć; zatem począł w stolicy armię uliczników stanowiącą replikę pułku bękartów spółdzionych z begam z kandelabrowych salonów.

Również i na politycznym niebie zbierały się czarne chmury: w Biharze, gdzie zapanowały korupcja inflacja głód analfabetyzm brak ziemi, Dżaj Prakaś Narajan sformował koalicję studentów i robotników przeciwko władzy Kongresu Indiry; w Gudżaracie nasilały się zamieszki, palono pociągi, a Morardzi Desai rozpoczął głodówkę-na-śmierć, żeby położyć kres skorumpowanym rządowi Kongresu (pod przewodnictwem Ćimanbhai Patela) w tym nawiedzonym-przez-suszę stanie... odniósł, ma się rozumieć, zwycięstwo, nie poświęcając przy tym życia; jednym słowem, kiedy gniew się załagał w głowie Siwy, cały kraj również opanował gniew; a co się rodziło, podczas gdy coś dojrzewało w łonie Parwati? Znasz odpowiedź: u schyłku roku 1974 D.P. Narajan i Morardzi Desai zawiązali partię opozycyjną znaną pod nazwą Dżanata Morća: front ludowy. Kiedy więc major Siwa toczył się od jednej kurwy do drugiej, Kongres Indiry też się staczał w dół.

Wreszcie Parwati uwolniła go spod swojego czaru. (Na nic inne wyjaśnienia; bo skoro nie był zauroczony, dlaczego jej nie rzucił na wieść o ciąży? A gdyby nie zdjęła z niego zaklęcia, jakżeby mógł sam tego dokonać?) Potrząsając głową, jakby się budził ze snu, major Siwa ujrzał w niej nędzarkę z brzuchem-jak-balon, która uosabiała teraz dla niego wszystko, czego się najbardziej bał – stała się symbolem nędzy dzieciństwa, z której się wyrwał, a która teraz, przez nią, przez jej przeklęte dziecko, usiłowała znów go ściągnąć w dół w dół w dół... zaciągnąwszy więc Parwati za włosy, cisnął ją na swój motor i niebawem znalazła się porzucona na krańcach getta kuglarzy, tam, skąd przyszła, a za cały swój nowy dobytek miała tylko jedno: ukryte w niej na wzór niewidzialnego człowieka w wiklinowym koszu coś, co rosło rosło rosło, tak jak to sobie umyśliła.

Czemu tak mówię? – Bo to musi być prawda; bo nastąpiło to, co nastąpiło; bo moim zdaniem Parwati-czarodziejka zaszła w ciążę, żeby przekreślić moją jedyną linię obrony przed tym ożenkiem. Poprzestanę wszakże na opisie, analizę natomiast zostawię potomności.

Pewnego zimnego styczniowego dnia, kiedy wezwania muezzina z najwyższego minaretu Meczetu Piątkowego zamarzały padając mu z ust i okrywały miasto świętym śniegiem, Parwati wróciła. Odczekała, aż nie będzie żadnych wątpliwości co do jej stanu; wewnętrzny kosz wybrzuszył jej się pod czystymi, nowymi szatami przebrzmiałej miłości Siwy. Usta, pewne nadchodzącego zwycięstwa, straciły modny kształt ryjka; kiedy stanęła na stopniach Meczetu Piątkowego, żeby jak najwięcej osób dojrzało jej zmieniony wygląd, w oczach-jak-spodki czał się srebrzysty błysk zadowolenia. Tak ją właśnie zastałem, kiedy wróciłem z Foto Singhem do chai meczetu. Miałem ponury nastrój, a widok Parwati-czarodziejki na schodach, z rękami złożonymi spokojnie na spęczniałym brzuchu, długi sznur włosów, powiewający łagodnie w krystalicznej bryzie, wcale mnie nie rozweseliły.

Fotodźi i ja zapuściliśmy się w zwężające się uliczki na tyłach Poczty Głównej, gdzie w powietrzu wisały wspomnienia wróżbitów posiadaczy-fotoplastikonów uzdrowicieli; tu właśnie Foto Singh wykonał sztuczkę, która z dnia na dzień nabierała coraz większej wymowy politycznej. Jego legendarny talent przyciągał całe rzesze życzliwych; on zaś kazał węzom odgrywać swoje przesłanie do dźwięku rozkołysanej muzyki fletu. Kiedy ja w roli pomocnika odczytywałem na głos przygotowaną zawczasu orację, węże stanowiły oprawę dramaturgiczną dla mojego przemówienia. Mówiłem o rażących niesprawiedliwościach podziału dóbr; dwie kobry wykonywały w tej pantomimie scenkę przedstawiającą bogacza, który odmawia jałmużny żebrakowi. Padały słowa, ilustrowane tańcem węży, o szykanach ze strony policji, o głodzie chorobach analfabetyzmie; na koniec pokazu Foto Singh zaczął mówić o istocie czerwonej rewolucji i obietnice wypełniły powietrze, toteż nawet zanim z tylnych drzwi poczty wysypali się policjanci, żeby rozpędzić zgromadzenie ciosami lathi i gazem łzawiącym, co poniektórzy dowcipnisie spośród publiczności jęli nagabywać Najbardziej Czarownego Mężczyznę Świata. Pewien młodzieniec, nie przekonany zapewne dwuznaczną pantomimą węży o zaiste dość niejasnym wydzwięku dramatycznym, zawołał gromko:

– Ohe, Fotodźi, powinieneś zasiadać w rządzie, bo nawet Indira-mata nie daje tak kuszących obietnic jak twoje!

Wtedy puszczono gaz łzawiący i wszyscy musieliśmy uciekać, kaszląc plując oślepieni, przed brygadą specjalną policji, jak jacyś kryminaliści, zalani fałszywymi łzami. (Tak jak ongiś, na Dżalijanwala-bagh – tyle że tym razem nie padły przynajmniej kule.) Ale chociaż płacz był spowodowany gazem, kpiny tamtego dowcipnisia naprawdę straszliwie przygnębiły Foto Singha, bo zakwestionowały jego poczucie rzeczywistości, jak dotąd przedmiot jego najwyższej dumy; wskutek gazu i pałek mnie też ogarnęło strapienie, gdyż rozpoznałem naraz mola niepokoju w żołądku i zdałem sobie sprawę, że coś się we mnie sprzeciwia odmalowaniu w węzowym tańcu przez Foto Singha bezmiernej podłości możliwych; pomyślałem w duchu: „We wszystkim kryje się i dobro, i zło – a przecież oni mnie wychowali, wyniańczyli, Fotodźi!” Zrozumiałem wówczas, że zbrodnia Marii Pereiry odsunęła mnie nie od jednego, lecz od dwóch światów; a choć wygnany z domu wuja, nie umiałem na dobrą sprawę wkroczyć w świat-według-Foto-Singha; że moje marzenie o ocaleniu kraju to w gruncie rzeczy ułuda luster i dymu; nierealne rojenia głupca.

I na to wszystko Parwati, ze zmienionym profilem, w surowej klarowności zimowego dnia.

Był to – czy się myłę? Muszę pędzić naprzód; wszystko wciąż mi się wymyka – dzień

grozy. A zatem dzień – chyba że pamięć znów mi płata figle – kiedy znaleźliśmy starą Reśam Bibi zamarznąętą na śmierć, leżącą w chacie skleconej ze skrzynek po margarynie Dalda. Zsiniała na kolor niebieski, kolor Kryszny, niebieskość Jezusa, błękit kaszmirskiego nieba, który się czasem wlewa ludziom w oczy; spaliliśmy ją na brzegu Dżamny pośród bagnisk i bawołów, czyli starucha nie doczekała mojego ślubu, co było smutne, bo jak wszystkie stare kobiety uwielbiała wesela, a dawniej uczestniczyła z wigorem we wstępnych obrządkach zdobienia panny młodej henną, intonowała obowiązkowe przyśpiewki, w których przyjaciółki panny młodej docinały panu młodemu i jego rodzinie. Pewnego razu jej docinki były tak prześcipne, i tak celnie wymierzone, że pan młody uniósł się honorem i zerwał ślub; Reśam jednak pozostała niewzruszona, twierdząc, że to nie jej wina, iż młodzi są dziś tak tchórzliwi i tak niestali jak kurczaki.

Nie było mnie, kiedy Parwati odchodziła; nie było mnie też, kiedy wróciła; i jeszcze jedno dziwne zrządzenie... chyba że pamięć mnie zawodzi, chyba że zdarzyło się to kiedy indziej... tak mi się w każdym razie zdaje, że w dniu powrotu Parwati minister gabinetu indyjskiego znajdował się w swojej salonce w Samastipurze, gdy wybuch rzucił go wprost do podręczników historii; że Parwati, która odeszła pośród wybuchów bomb atomowych, wróciła do nas, kiedy pan L.N. Miśra, minister kolejnictwa i łapówkarstwa opuścił ten świat na zawsze. Omeny i jeszcze raz omeny... może w Bombaju martwe jaskółki morskie wypływały brzuchami do góry na brzeg.

26 stycznia, Dzień Republiki, wymarzony dzień dla iluzjonistów. Kiedy gromadzą się olbrzymie tłumy, żeby oglądać słonie i fajerwerki, miejscowi sztukmistrze wychodzą zarobić na życie. Dla mnie jednak ten dzień ma inną wymowę; właśnie w Dniu Republiki przypieczętował się mój małżeński los.

Kiedy Parwati wróciła, staruchy z getta jęły się na jej widok łapać za uszy ze wstydu; ona zaś, która bez cienia żenady nosiła nieprawie dziecko, uśmiechała się niewinnie i szła dalej. Ale rano w dniu Republiki po przebudzeniu zobaczyła sznur zniszczonych butów zawieszony nad jej drzwiami i rozsłochała się nieutulona w żalu, a jej poza ugięła się pod siłą tej najstraszliwszej z obelg. Foto Singh i ja, wychodząc z naszej budy objuczeni kosztami pełnymi węży, spotkaliśmy ją w tej (wyrachowanej? szczerzej?) niedoli, i wtedy Foto Singh zaciął stanowczo usta. – Wracajmy do chaty, szefie – polecił mi Najbardziej Czarowny Mężczyzna – musimy pogadać. – A już w chacie: – Wybacz, szefie, ale muszę coś powiedzieć. Moim zdaniem, straszna to rzecz dla mężczyzny przejść przez życie bezdziejnie. Prawda, że to smutne, szefie, nie mieć syna?

Ja zaś, schwytny w pułapkę własnego kłamstwa o impotencji, nie odzywałem się, kiedy Fotodzi proponował małżeństwo, które uratuje honor Parwati, a zarazem rozwiąże problem mojej zdeklarowanej sterylności; i mimo obawy przed twarzą Dżamili Śpiewaczki, która nakładając się na oblicze Parwati doprowadzała mnie do szału, nie potrafiłem się zdobyć na odmowę.

Parwati – tak jak to sobie z całą pewnością umyśliła – od razu mnie przyjęła, powiedziała gorliwie „tak” tyle razy, ile wcześniej powtarzała „nie”; po czym obchody Dnia Republiki ownionęła taka aura, jak by je urządzano specjalnie dla nas, ale mnie w głowie huczało tylko jedno: że po raz któryś przeznaczenie, nieuchronność, antyteza wolnego wyboru zawładnęły moim życiem, że znów miało przyjść na świat dziecko z ojca, który nie jest jego ojcem, chociaż zrządzeniem potwornej ironii dziecko będzie prawdziwym wnukiem rodziców swojego ojca; osaczony w sieci tych splątanych genealogii może się nawet zastanowiłem nad tym, co się zaczyna, a co kończy; czy nie rozgrywa się przypadkiem kolejna tajemna

odliczanka wstecz i co się urodzi wraz z moim dzieckiem.

Mimo braku Reśam Bibi wesele się udało. Formalnego nawrócenia Parwati na islam (co rozdrażniło Foto Singha, lecz ja się uparłem, w kolejnym nawrocie do wcześniejszego życia) dokonał rudobrody hadzi, który wydawał się stropiony obecnością tyłu dokuczliwych, prowokujących bezbożników; pod rozbieranym wzrokiem tego osobnika, który przypominał wielką, brodatą cebulę, Parwati wyrecytowała swoje wyznanie, że nie ma boga, jak tylko Bóg i że Muhammad jest jego prorokiem; przyjęła imię, które wybrałem dla niej ze skarbca moich marzeń, Lajla, noc, zatem i ona została złapana w powtarzające się cykle mojej historii niczym echo tych wszystkich osób, co musiały zmienić imiona... podobnie jak moja matka, Amina Sinai, Parwati-czarodziejka stała się nową osobą, żeby móc urodzić dziecko.

Podczas ceremonii zdobienia henną adoptowała mnie połowa kuglarzy, sprawując funkcje mojej „rodziny”; druga zaś połowa zajęła się Parwati, toteż do późna w nocy wyśpiewywano wesołe docinki, kiedy zawile malunki henną schły jej na dłoniach i podeszwach; a chociaż brak Reśam Bibi pozbawił te docinki pewnej pikanterii, nie bardzo nas to martwiło. Podczas nika, ceremonii zaślubin, szczęśliwa para zasiadła na podium skleconym naprędce ze skrzynek po margarynie Dalda, pozostałych po rozebranej budzie Reśam, po czym przeciągnął przed nami uroczyste pochod kuglarzy, rzucając nam drobne monety na podłogi; a kiedy nowa Lajla Sinai zemdląca, wszyscy uśmiechnęli się z zadowoleniem, bo każda porządna panna młoda powinna zemrzeć na swoim weselu i nikt nie wysunął niezręcznej hipotezy, że może zrobiło jej się słabo z powodu mdłości albo wręcz od kopania w środku przez niemowlę w jej koszu. Owego wieczoru kuglarze dali tak wspaniały popis, że pogłoski o nim rozeszły się po Starym Mieście, zebrały się więc tłumy, muzułmańscy biznesmeni z pobliskiej mohalli, w której niegdyś padło oświadczenie publiczne, złotnicy i sprzedawcy koktajli mlecznych z Candni Cauku, wieczorni spacerowicze i japońscy turyści, którzy powodowani uprzejmością przywdziali (na tę okazję) chirurgiczne maski, aby nie zarazić nas wydechany przez siebie wirusami; znaleźli się też różowi Europejczycy omawiający obiektywy fotograficzne z Japończykami, trzaskały przesłony i flesze, a jeden z turystów oznajmił mi, że Indie to zaiste wspaniały kraj o tylu imponujących tradycjach, byłby więc doprawdy cudowny i idealny, gdyby nie trzeba wciąż było jeść indyjskich potraw. Następnie podczas walimy, ceremonii konsumacji (choć nie wywieszono z tej okazji splamionego krwią prześcieradła, z dziurą czy też bez, ponieważ spędziłem noc poślubną z oczyma szczelnie zamkniętymi, odwrócony od swojej małżonki, żeby nie zechciały mnie nawiedzić pod osłoną ciemności nieznośne rysy Dżamili Śpiewaczki), kuglarze urządzili pokaz jeszcze bardziej oszałamiający od weselnego.

Gdy zaś wszystkie emocje wygasły, dosłyszałem (jednym zdrowym i jednym chorym uchem) nieubłagany odgłos przyszłości zaginającej na nas parol: tik-tak, coraz głośniejsze i głośniejsze, aż narodziny Salima Sinai – a także ojca dziecka – znalazły odbicie w wydarzeniach nocy z 25 czerwca.

Kiedy nieznani sprawcy zabili urzędników rządowych i omal nie zgładzili osobiście wybranego przez panią Gandhi Sędziego Najwyższego, A.N. Raja, getto kuglarzy żyło inną tajemnicą: pęczniącym jak balon koszem Parwati-czarodziejki.

Kiedy Dżanata Morca rozrastała się w najdziwaczniejsze strony, aż objęła komunistów maoistycznych (takich jak nasi lokalni akrobaci, łącznie z trojaczkami o-gumowych-kończynach, z którymi Parwati mieszkała do czasu zamążpojsia – po ceremonii przeprowadziliśmy się do własnej chaty, którą getto zbudowało nam w prezencie ślubnym na miejscu rudery Reśam) i prawe skrzydło ekstremistów z Ananda Margu; aż wstąpili w jego

szeregi lewicowi socjaliści i konserwatywni członkowie Swatantry... kiedy front ludowy spęczniał tak groteskowo, ja, Salim, zachodziłem bez końca w głowę, co też rośnie za pęczniejącym frontem mojej żony.

Kiedy powszechne niezadowolenie Kongresem Indiry groziło zmiążdżeniem całego rządu niczym muchy, świeżo upieczona Lajla Sinai, której oczy rozszerzyły się bardziej niż zwykle, siedziała nieruchomo jak kamień, tymczasem dziecko przybierało na wadze, aż zaczęło grozić zmiążdżeniem jej kości na proch; wtedy Foto Singh w niewinnym echu dawnego komentarza zawyrokował:

– Ho, ho, szefie! Będzie duży jak nic: prawdziwy kolos wart dziesiątaka, a jakże!

I nadszedł dwunasty czerwca.

Podręczniki historii gazety programy radiowe powiadają nam, że 12 czerwca o drugiej po południu sędzia Dżag Mohan Lal Sinha z Sądu Okręgowego w Allahabadzie uznał panią premier Indirę Gandhi winną dwóch przestępstw sfalszowania wyborów podczas kampanii w roku 1971; nigdy natomiast nie podano do wiadomości, że punkt o drugiej po południu zaczęły się bóle porodowe Parwati-czarodziejki (obecnie Lajli Sinai).

Poród Parwati-Lajli trwał trzynaście dni. Pierwszego dnia, kiedy pani premier nie chciała ustąpić, chociaż mocą wyroku zasądzono jej obligatoryjną karę pozbawienia prawa do objęcia urzędu publicznego przez sześć lat, miednica Parwati-czarodziejki, mimo skurczów tak bolesnych jak kopnięcia muła, nijak nie chciała się rozewrzeć; Salim Sinai i Foto Singh pozbawieni prawa wstępu do chaty jej męczarni przez trojaczki-gumy, które przyjęły obowiązki położnych, musieli słuchać jej daremnych krzyków, aż nadciągnął istny strumień połykaczy-ognia sztukmistrzów-karcianych magików-chodzących-po-węglach, co klepali ich po plecach i wyczyniali sprośne figle; lecz jedynie w moich uszach dało się słyszeć tykanie... odliczanka Bóg-wie-dokąd, aż obleciał mnie strach, powiedziałem więc Foto Singhowi: – Nie mam pojęcia, co z niej wyjdzie, ale na pewno nic dobrego... – Na co Foto Singh, dodając mi otuchy: – Nie przejmuj się, szefie! Wszystko pójdzie dobrze! Klnę się, że będzie szkrab wart dziesiątaka! – Parwati zaś krzyczała i krzyczała, noc przechodziła w dzień, a drugiego dnia, kiedy w Gudżaracie członkowie Dżanata Morća odnieśli przytłaczające zwycięstwo nad kandydatami partii pani Gandhi, moją Parwati chwyciły tak silne bóle, że zeszywniała jak żelazo, a ja odmówiłem jedzenia, dopóki nie urodzi się dziecko bądź nie stanie się to, co się ma stać, siedziałem w pozycji lotosu przed budą jej katuszy, drżąc ze strachu na tym upale i zanosilem modły nie pozwól jej umrzeć nie pozwól jej umrzeć, chociaż przez tyle miesięcy naszego małżeństwa ani razu się z nią nie kochałem; mimo lęku przed widmem Dżamili Śpiewaczki modliłem się i pościłem, choć Foto Singh: – Na miłość boską, szefie – odmawiałem, a dziewiątego dnia w getcie zapadło straszliwe milczenie, cisza tak idealna, że nie zdołały jej nawet przerwać wezwania muezzina z meczetu, bezgłośność o tak olbrzymiej sile, że wytłumiła ryki demonstracji Dżanaty przed Rasztrapati Bhawanem, domem prezydenta, przeraźliwa oniemiałość o takiej samej potwornej magicznej mocy jak owa wielka cisza, która niegdyś zawisała nad domem moich dziadków w Agrze, toteż dziewiątego dnia nie słyszeliśmy nawet, jak Morardzi Desai zażądał od prezydenta Ahmada, żeby ten odprawił zhańbioną panią premier, a jedyne odgłosy rozlegające się pod słońcem to zbolące jęki Parwati-Lajli, kiedy skurcze piętrzyły się na niej niby góry, przy czym ona sama jakby wołała nas z długiego, pustego tunelu cierpienia, ja zaś siedziałem w pozycji lotosu, zdruzgotany jej męczarnią, z bezgłośnym dźwiękiem cykadełka w głowie, w chacie natomiast trojaczki-gumy polewały ciało Parwati wodą, żeby uzupełnić wilgoć, płynącą z niej fontannami, wkładały jej patyk między zęby, aby nie przygryzła sobie języka, i usiłowały

przysłonić jej powiekami oczy, które wyłaziły na wierzch tak zatrważająco, że trojaczki się bały, iż wypadną na podłogę i się zabrudzą, nadszedł już dwunasty dzień i sam byłem pół żywy z głodu, tymczasem w innej części miasta Sąd Najwyższy ogłosił, iż pani Gandhi nie musi ustępować aż do rozpatrzenia jej odwołania, tyle że nie może głosować w Lok Sabha ani pobierać pensji, kiedy więc pani premier, rozochociona tym połowicznym zwycięstwem, jęła lżyć swoich przeciwników językiem, jakim mogłaby się poszczycić rybaczka z plemienia Koli, poród mojej Parwati wstąpił w taką fazę, że mimo skrajnego wyczerpania znalazła w sobie tyle siły, by cisnąć stekiem śmierdzących obelg z wypranych-z-koloru ust, toteż piekielny odór jej przekleństw wypełnił nam nozdrza i przyprawił o nudności, aż trzy artystki-gumy uciekły stamtąd z krzykiem, że jest już tak napięta, tak blada, iż można ją niemal przejrzeć na wylot, niechybnie więc umrze, jeżeli dziecko zaraz nie wyjdzie, a w moich uszach tik-tak dudniące tik-tak, na ostatku zyskałem pewność, tak, niebawem niebawem niebawem, lecz kiedy trojaczki wróciły do jej łóżka wieczorem trzynastego dnia, też zawołały Tak tak zaczęła przeć, no, Parwati, przyj przyj przyj, kiedy więc Parwati parła w getcie, D.P. Narajan i Morardi Desai również podzegli Indirę Gandhi, kiedy trojaczki komenderowały przyj przyj przyj, przywódcy Dżanaty Morcy nakłaniali policję i wojsko, żeby nie usłuchały bezprawnych rozkazów zdyskwalifikowanej pani premier, toteż zmusili poniekąd panią Gandhi do parcia, kiedy więc noc ściemniała się ku godzinie północy, bo nic nigdy się nie zdarza o innej porze, trojaczki zaczęły wrzeszczeć idzie idzie idzie, a gdzie indziej pani premier rodziła swoje dziecko... w getcie, w chacie, pod którą siedziałem w pozycji lotosu i głodziłem się na śmierć, wychodził wychodził wychodził mój syn, głowa już jest, piszczały trojaczki, tymczasem członkowie Centralnej Rezerwy Policji aresztowali przywódców Dżanaty, łącznie z niewiarygodnie sędziwymi niemal mitologicznymi postaciami Morardi Desaiem i D.P. Narajanem, przyj przyj przyj, zatem w sercu tej straszliwej północy, gdy cykadełko dudniło mi w uszach, poczęło się dziecko, szkrab wart dziesiątaka, a wyskoczyło w końcu tak łatwo, że nie sposób było zrozumieć, skąd ten cały kłopot. Parwati wydała z siebie ostatni żalony jęk i chłopak wyskoczył, tymczasem jak Indie długie i szerokie policja aresztowała ludzi, wszystkich przywódców opozycyjnych wyjąwszy promoskiewskich komunistów, a także nauczycieli prawników poetów dziennikarzy związkowców, słowem wszystkich, którzy bodaj raz popełnili ten błąd, że kichnęli podczas przemówienia Pierwszej Damy, kiedy zaś trzy artystki-gumy umyły już niemowlę, owinęły w stare sari i przyniosły do pokazania ojcu, dokładnie w tej samej chwili po raz pierwszy padło określenie stan wyjątkowy oraz zawieszenie swobód-obywatelskich, cenzura-prasy, uzbrojone-oddziały-w-pogotowiu i aresztowania-elementów-wywrotowych; coś się kończyło, coś się poczynało, dokładnie więc w chwili narodzin nowych Indii i w zaraniu tej nieustającej północy, która miała trwać aż dwa lata, przyszedł na świat mój syn, dziecko powtórnego cykadełka.

I jeszcze coś: ponieważ kiedy w gęstym półmroku ciągnącej się w nieskończoność północy Salim Sinai ujrzał po raz pierwszy swojego syna, ryknął niepomowanym śmiechem, bo wprawdzie, owszem, mózg miał zdewastowany głodem, lecz również zdał sobie sprawę, że nieubłagane przeznaczenie znów mu wypłatało groteskowego figla, i chociaż Foto Singh, zbulwersowany tym śmiechem, który przy moim osłabieniu brzmiał jak chichot małej dziewczynki, nawoływał wielokrotnie: – No co ty, szefie! Nie wariuj teraz! Ciesz się, szefie, masz syna! – Salim Sinai przyjmował te narodziny, rechocząc histerycznie z losu, gdyż ten chłopak, ten niemowlak, ten chłopak-mój-syn, Aadam, Aadam Sinai był idealnie ukształtowany – wyjąwszy wszakże uszy. Po obu stronach głowy trzepotały mu płachty słuchowe niczym żagle, uszy tak kolosalne, iż później trojaczki wyjawily, że kiedy

wyskoczyła głowa, uznały ją przez jedną nieznośną chwilę za głowę słońtka.

... – Szefie, Salimie, szefie – błagał Foto Singh – bądźże teraz miły! Nie ma co tak szaleć z powodu uszu!

Urodził się w Starym Delhi... dawno, dawno temu. Nie, to nie wystarczy, przed tą datą nie ma ucieczki: Aadam Sinai przybył na świat 25 czerwca 1975 roku w pomrokach nocy dzielnicy nędzarzy. A pora? Pora też jest istotna. Jak już powiedziałem: w nocy. Nie, należy podać z większą... No więc, jeżeli chodzi o ścisłość, punkt o północy. Wskazówki zegara złożyły się niczym ręce. Och, wyrzucić to, wyrzucić wreszcie: wkroczył na scenę dokładnie w chwili wkroczenia Indii w stan wyjątkowy. Aż wszystkim dech zaparło; a w całym kraju milczenie i strach. Za sprawą mistycznej tyranii tej spowitej mrokiem nocy godziny historia w niezbadany sposób spętała go kajdanami, jego los został nierozzerwalnie przykuty do losu kraju. Przybył nie zapowiedziany, nie uhonorowany; żaden premier nie przysłał mu listu; pomimo to kiedy mój czas powiązania dobiegał końca, jego się rozpoczynał. Nie miał tu, rzecz jasna, nic do gadania; bo przecież wówczas nie potrafił sobie jeszcze wytrzeć nosa.

Był dzieckiem ojca, który nie był jego ojcem; lecz również dzieckiem czasu, który tak dotkliwie okaleczył rzeczywistość, że nikt już potem nie zdołał poskładać jej znów do kupy; Był rodzonym prawnukiem swojego pradziadka, ale słońowacizna padła mu na uszy, zamiast na nos – bo był też rodzonym synem Śiwy-i-Parwati, słońiogłowym Ganeśą;

Urodził się z uszami, które trzepotały tak wysoko i szeroko, że musiała go dobiec strzelanina w Biharze i krzyki dokerów w Bombaju, kiedy spadły na nich ciosy lathki... jako dziecko za wiele usłyszał, nigdy więc nie przemówił, oniemiały od nadmiaru dźwięków, toteż między wtedy-a-teraz od dzielnicy nędzy po fabrykę marynat nigdy nie słyszałem, żeby z jego ust padło chociaż jedno słowo;

Miał pępek, który zamiast się schować do środka, wystawał na zewnątrz, aż Foto Singh zdjęty trwogą zawołał: – Co za bimbi, szefie! Proszę spojrzeć na ten jego bimbi! – i od najwcześniejszych dni stał się wdzięcznym odbiorcą naszych obaw;

Dzieciak o tak poważnie dobrym usposobieniu, że jego całkowita niechęć do płaczu czy choćby kwilenia zaskarbiła mu bez reszty jego przybranego ojca, który przestał się histerycznie śmiać z groteskowych uszu i zaczął łagodnie bujać cichego niemowlaka na rękach;

Dzieciak kołysany w ramionach usłyszał piosenkę śpiewaną na starodawną modłę okrytej hańbą niani: „Kiem tylko zechcesz być, to będziesz; będziesz tem, kiem sobie sam zamarysz”.

Teraz jednak, kiedy już splodziłem kłapouchego, milczącego syna – czekają na odpowiedź pytania o te drugie, synchroniczne narodziny. Niesmaczne, przykre zagadki: czy marzenie Salima o ocaleniu kraju wlało się przez osmotyczne tkanki historii w myśli samej pani premier? Czy moja dotychczasowa wiara w znak równości między ojczyzną a mną samym przedzierzgnęła się w głowie „Pierwszej Damy” w słynne-podówczas-określenie: Indie to Indira, a Indira to Indie? Czy rywalizowaliśmy o pozycję centralną – czy o władnęto nią pragnienie poczucia sensu tak dojmujące jak niegdyś mnie – i czy właśnie, czy właśnie dlatego...?

Wpływ fryzur na bieg historii: kolejna drażliwa kwestia. Gdyby William Methwold nie nosił przedziałka, może by mnie tu dzisiaj nie było; a gdyby Matka Narodu miała koafiurę jednolitej barwy, istnieje spora szansa, że ten jej płód, stan wyjątkowy, nie przejawiłby ciemnej strony. Ponieważ wszak miała z jednej strony białe włosy, z drugiej zaś czarne, stan wyjątkowy również miał swoją jasną stronę – publiczną, jawną, udokumentowaną, rzecz dla

historyków – oraz ciemną, która jako przemilczana, utajona makabra powinna stać się naszą rzeczą. Pani Indira Gandhi urodziła się w listopadzie 1917 roku z Kamali i Dżawaharlala Nehru. Na drugie imię miała Prijadarśini. Nie była spokrewniona z „Mahatmą” M.K. Gandhim; swoje nazwisko przybrała po ślubie w roku 1942 z niejakim Ferozem Gandhim, którego zaczęto nazywać „zięciem narodu”. Mieli dwóch synów, Radźiwa i Sandźaja, ale w roku 1949 Indira wróciła do domu ojca i została jego „oficjalną panią domu”. Feroze też usiłował z nimi zamieszkać, ale na próżno. Jął więc ferować surowe wyroki pod adresem rządu Nehru, ujawniając skandal Mundhry i wymuszając rezygnację ówczesnego ministra finansów, T.T. Krisznamaćarięgo – samego „T.T.K.” Pan Feroze Gandhi umarł na atak serca w roku 1960, w wieku czterdziestu siedmiu lat. Sandźaj Gandhi i jego żona, była modelka, Maneka, zasłynęli podczas stanu wyjątkowego. Ruch Młodzieży Sandźaja odznaczył się skutecznością zwłaszcza podczas kampanii sterylizacyjnej.

Załączam ten skrócony życiorys na wypadek, gdyby umknął ci fakt, że w roku 1975 pani premier Indii była już od piętnastu lat wdową. Czy raczej (ponieważ aż się tu prosi duża litera): Wdową.

Tak, Padmo: Matka Indira nieźle zalazła mi za skórę.

Północ

Nie! – Ale muszę.

Wcale nie chcę tego opowiadać! – Ale przyrzekłem, że opowiem wszystko. – Nie, rezygnuję, byle nie to, czasem nawet lepiej coś zataić...? – Nic z tego; na co nie ma już ratunku, trzeba znieść to bez frasunku! – Ale chyba nie szepczące ściany, zdradę, ciach ciach i kobiety z posiniaczonymi piersiami? – Zwłaszcza to wszystko. – Jakże tak, wystarczy na mnie spojrzeć, rwę się na strzępy, nie potrafię nawet ze sobą dojść do ładu, gadam wyklócam się niby jakiś dzikus, pękam cały, pamięć mnie zawodzi, tak, pamięć zapada się w czeluście i pada łupem ciemności, zostają jedynie fragmenty, to już straciło wszelki sens! – Nie wolno mi jednak osądzać; muszę po prostu brnąć dalej (skoro raz zacząłem) aż do końca; już nie mnie oceniać (a może nigdy nie do mnie to należało) sens-i-bezsens. – Ale co za potworność, nie umiem nie mogę nie powinienem nie mogę nie umiem nie! – Przestań; zaczynaj. – Nie! – Tak.

Czyli opowieść o śnie? Może uda mi się to opowiedzieć jako sen. Właśnie, może jako koszmar: zielono-czarne włosy Wdowy, mocna ręka, dzieci mmff, małe kuleczki, jedna-zadrużę, rozdarte-na-pół, małe kuleczki lecą lecą zielono-czarne jej ręka zielona jej paznokcie czarne jak sama czerni. – Żadnych snów. Nie pora na to ni miejsce. Fakty, tak jak je zachowała pamięć. Wedle najlepszych chęci. Tak jak to było: Zaczynaj. – Nie ma wyjścia? – Nie; a kiedy niby było? Wciąż same nakazy, konsekwencje logiczne, nieuchronności i powtórzenia; oddziaływania, wypadki i ciosy losu pałką-przez-łeb; czy kiedykolwiek było jakieś wyjście? Albo wybór? Albo bez-przymusu-powzięta decyzja, żeby być takim, siakim czy owakim? Nie ma wyjścia; zaczynaj. – Tak. Posłuchaj:

Bezkresna noc, dni tygodnie miesiące bez słońca czy raczej (bo należy dbać o ścisłość) pod słońcem zimnym jak umyty-w-strumieniu talerz, pod słońcem zalewającym nas w szalonym blasku północy; mówię o zimie 1975-76. W zimie ciemności; a także gruźlica.

Pewnego razu w błękitnym pokoju z widokiem na morze pod wskazującym palcem rybaka zmagalem się z tyfusem i ocalił mnie jad węzowy; teraz schwyty w pułapkę dynastycznych sieci powtórzeń wskutek mojego uznania jego synostwa nasz Aadam Sinai również musiał przez pierwsze miesiące życia walczyć z niewidzialnymi węzami choroby. Gady gruźlicy owinęły mu się na szyi i nie dały złapać tchu... ale był dzieckiem uszu i milczenia, a kiedy ciamkał, z jego ust nie padał żaden dźwięk; kiedy sapał, żaden charkot nie dobywał mu się z gardła. Jednym słowem, mój syn zachorował, i chociaż jego matka, Parwati, czyli Lajla, udała się w poszukiwanie ziół swojej magii – chociaż nieustannie mu aplikowano wywary z ziół w dobrze przegotowanej wodzie, upiorni dusiciele gruźlicy nie dawali za wygraną. Od początku podejrzewałem coś mrocznie metaforycznego w jego chorobie – zgodnie z tym przeświadczeniem w owych miesiącach północy, kiedy wiek mojego powiązania-z-historią nałożył się na jego wiek, nasz prywatny stan wyjątkowy był niejako powiązany z szerszą, makrokosmiczną dolegliwością, pod której wpływem słońce stało się tak blade i wymizowane jak nasz syn. Parwati-wtedy (tak jak Padma-teraz) odrzuciła wszystkie te abstrakcyjne rozważania, uznawszy za czczy kaprys moją rosnącą obsesję światłem, w której szponach jałem palić lampki dija w chacie niedomagania mojego syna, napełniając ją w południe płomykami świecy... ale obstaję przy trafności swojej diagnozy: – Mówię ci – powtarzałem

uporczywie – on nigdy nie wyzdrowieje, póki trwa stan wyjątkowy.

Doprowadzona do rozpaczyny niemożnością wyleczenia tego poważnego dziecka, które nigdy nie płakało, Parwati-Lajla nie dawała wiary moim pesymistycznym teoriom; chwytła się natomiast wszystkich innych mętnych sugestii. Kiedy jedna ze starszych kobiet w kolonii kuglarzy podszeptała jej – jak mogłaby powiedzieć Reśam Bibi – że przypadłość nie odejdzie, póki dziecko cierpi na niemotę, Parwati dopuściła taką możliwość.

– Choroba to żałoba ciała – pouczała mnie. – Trzeba ją zrzucić we łzach i pojękiwaniach. Owego wieczoru wróciła do chaty ściskając w ręku zawiniątko z zielonym proszkiem, zapakowane w gazetę, związane jasnoróżowym sznurkiem, i oznajmiła, że szykuje taką moc, która nawet z kamienia wycisnie krzyk. Gdy zaaplikowała swój lek, dziecku wydeły się policzki, jak gdyby miało usta pełne jedzenia; od dawna tłumione odgłosy niemowlęctwa wezbrały małemu w buzi, lecz natychmiast zacisnął wargi ze złością. Najwyraźniej dziecko było bliskie zadławienia, usiłując połknąć z powrotem gwałtowną falę torsji hamowanego dźwięku sprowokowanych przez zielony proszek; wtedy to właśnie zdaliśmy sobie sprawę, że mamy do czynienia z jedną z najbardziej niewzruszonych woli na tym świecie. Po godzinie, kiedy mój syn przybrał z początku kolor szafranowy, potem szafranowozielony, a na ostatku kolor trawy, nie wytrzymałem i jak nie huknę: – Kobieto, skoro ten malec tak bardzo chce milczeć, nie powinniśmy go za to zabijać! – Podniosłem Aadama, żeby go ukołysać, i poczułem, jak całe ciało mu sztywnieje, jak stawy kolanowe łokcie szyja napełniają się powstrzymywanym zgiełkiem nie wydanych dźwięków, aż wreszcie Parwati uległa i sporządziła odtrutkę w postaci ziela maranty tłuczonego z rumiankiem w cynowej misie, nad którą mruzczała pod nosem dziwne zaklęcia. Potem nikt już nigdy nie próbował zmuszać Aadama do robienia czegoś, na co ten nie miałby ochoty; patrzyliśmy, jak zмага się z gruźlicą, i usiłowaliśmy się pocieszać myślą, że tak żelazna wola z pewnością się nie ugnie przed byle chorobą.

W owych ostatnich dniach moją żonę Lajlę, czyli Parwati również zżerały wewnętrzne mole rozpaczyny, bo kiedy w osamotnieniu godzin snu przychodziła do mnie po otuchę bądź odrobinę ciepła, nadal widziałem, nakładającą się na jej rysy straszliwie zniekształconą fizjonomię Dżamili Śpiewaczki; a chociaż wyznałem Parwati tajemnicę owej zjawy, pocieszając ją przy tym, że zważywszy obecne tempo jej niszczenia pewno niezadługo rozpadnie się na dobre, żona oświadczyła mi zbolalym tonem, iż spluwaczki i wojna rozmiękczyły mi mózg, po czym jęła lamentować nad swoim małżeństwem, które, jak widać, nie zostanie skonsumowane; pomału, pomału wypełzył jej na usta złowieszczy ryjek żalu... cóż jednak miałem począć? Jaką ulgę mogłem przynieść – ja, Salim Smark, który sam popadłem w ubóstwo, kiedy nie stało ochrony rodziny, który wybrałem (o ile to był wybór) życie podług darów węchowych, zarabiając kilka pajsów dziennie wywąchiwaniem, co ludzie zjedli poprzedniego dnia na obiad i kto z nich jest zakochany; jaką pociechę mogłem jej zaoferować, skoro sam już tkwiłem w szponach zimnej ręki owej przewlekłej północy i czułem nosem w powietrzu ostateczność?

Nos Salima (bo chyba nie wyleciał ci z pamięci) wychwytywał jeszcze dziwniejsze zapachy niż odór końskiego łajna. Aromat emocji i myśli, woń tego jak-się-rzeczy-mają: wszystko to bez problemu łapałem i łapię w nozdrza. Kiedy wniesiono poprawki do konstytucji, które miały nadać premierowi niemalże absolutną władzę, wyniuchałem w powietrzu upiory pradawnych imperiów... w owym mieście zaśmieconym duchami Królów z Dynastii Niewolniczej i Mogołów, okrutnego Aurangzeba i ostatnich, różowoskórych najeźdźców, znów wdychałem cierpki odór despotyzmu. Szedł od niego swąd płonących

tłustych szmat.

Ale nawet ktoś niesprawny węchowo połapałby się, że owej zimy na przełomie lat 1975-76 w stolicy zalatywało zgnilizną; mnie zaś przeraził dziwniejszy, bardziej osobisty smród: powiew zagrożenia osobistego, w którym wyłowiłem obecność pary zdradzieckich, mściwych kolan... moje pierwsze przeczucie, że zadawniony konflikt, który się rozpoczął, kiedy pewna dziewczyna opętana-szałem-miłosnym zamieniła przywieszki niemowlętom, skończy się niebawem obłędem zdrady i ciachnięć.

Może w obliczu takiej przestrogi drażniącej mi nozdrza powinienem był czmychnąć – idąc za radą nosa wziąć nogi za pas. Istniały wszak przeciwskazania natury praktycznej: dokąd miałbym się udać? Obarczony na dobitkę żoną i synem jak szybko bym się poruszał? Nie wolno też zapominać, że raz już zbiegłem, i proszę, czym się to skończyło: w Sundarbanach, w dżungli fantazmatów i odwetu, z której ledwo co uszedłem z życiem!... Tak czy owak, nie uciekłem.

Zresztą było to pewno bez znaczenia; Siwa – nieprzejednany, podstępny, mój wróg od urodzenia – i tak by mnie w końcu znalazł. Bo wprawdzie nos jest szczególnie predestynowany do wywąchiwania różnych rzeczy, ale w akcji trudno zaprzeczyć przewadze pary chwytnych, dusicielskich kolan.

Pozwolę sobie na ostatnią, paradoksalną uwagę w tym względzie: jeżeli, tak jak mniemam, właśnie w domu zawodzących kobiet poznałem odpowiedź na pytanie o cel, które dręczyło mnie przez całe życie, wówczas, unikając tego pałacu spustoszenia, pozbawiłbym się owego jakże cennego odkrycia. Ujmując to nieco bardziej filozoficznie: każda czarna chmura jest srebrem podszyta. Salim-i-Siwa, nos-i-kolana... łączyły nas tylko trzy rzeczy: chwila (a także konsekwencje) urodzenia; grzech zdrady; no i syn, Aadam, nasza synteza, poważne dziecko bez uśmiechu, za to z wszechsłyszającymi uszami. Aadam Sinai był pod wieloma względami dokładnym zaprzeczeniem Salima. Ja na początku rosłem z zawrotną prędkością; Aadam, zmagając się z węzami choroby, prawie w ogóle nie rósł. Salim od zarania uśmiechał się ujmująco; Aadam miał więcej godności i zachowywał przymilne miny dla siebie. Podczas gdy Salim podporządkowywał swoją wolę zespolonym tyranom rodziny i przeznaczenia, Aadam walczył zaciekle, nie ulegając nawet mocy zielonego proszku. Gdy zaś Salim tak usilnie pragnął zgłębić świat, że przez pewien czas nie potrafił zmrużyć oczu, Aadam wołał trzymać oczy szczelnie zamknięte... chociaż kiedy niekiedy raczył je otworzyć, a wtedy porażał mnie ich kolor, mianowicie błękit. Błękit lodu, błękit powtórzeń, proroczy błękit kaszmirskiego nieba... zresztą nie ma co się dalej zagłębiać.

My, dzieci niepodległości, pędziliśmy na oślep i nazbyt szybko w przyszłość; on zaś, potomek stanu wyjątkowego, będzie już jest bardziej ostrożny, nie tak pochopny; kiedy jednak ruszy do czynu, nikt mu nie da rady. Już teraz jest silniejszy, twardszy, bardziej ode mnie stanowczy: podczas snu jego gałki oczne spoczywają nieruchomo pod powiekami. Aadam Sinai, dziecko kolan-i-nosa, nie ulega (jak sądzę) sennym marzeniom.

Ile słyszały te kłapczaste uszy, które czasem jakby płonęły od natłoku wiedzy? Czy gdyby umiał mówić, przestrzegłby mnie przed zdradą i buldożerami? W kraju zdominowanym przez bliźniacze ciżby hałasów i zapachów moglibyśmy tworzyć idealną parę; ale mój mały odrzucił mowę, a ja nie usłuchałem nakazów własnego nosa.

– Are bap – woła Padma. – Opowiadaj, co się zdarzyło, mój panie! Co w tym dziwnego, że taki brzdąc nie konwersuje?

I znów te rozpadliny we mnie: nie mogę. – Musisz. – Tak.

Kwiecień roku 1976 zastał mnie w kolonii, czyli getcie kuglarzy; mój syn, Aadam, nadal

pozostawał w szponach przewlekłej gruźlicy, która najwyraźniej nie reagowała na żadne formy leczenia. Głowę miałem nabitą złymi przeczuciami (i myślami o ucieczce); ale jeżeli ktoś jeden przesądził o moim pozostaniu w getcie, był nim Foto Singh.

Padmo: Salim podzielił los kuglarzy z Delhi po części przez wzgląd na poczucie przyzwoitości – wynikłe z samobiczowania się wiarą w sprawiedliwość owego spóźnionego popadnięcia w ubóstwo (z domu wuja zabrałem jedynie dwie koszule, białe, dwie pary spodni, również białych, jeden podkoszulek z deseniem w różowe gitary i parę butów, czarnych); po części natomiast przez wzgląd na lojalność, związany węzłem wdzięczności ze swą wybawicielką, Parwati-czarodziejką; zostałem jednak – chociaż jako wykształcony młodzieniec w najgorszym wypadku dostałbym pracę urzędnika bankowego lub nauczyciela czytania i pisania w szkole wieczorowej – dlatego że przez całe życie, bądź to świadomie, bądź nieświadomie, szukałem ojców. Ahmed Sinai, Hanif Aziz, sahib Szalpstryker, generał Zulfikar musieli przejść tę rolę pod nieobecność Williama Methwolda; Foto Singh zajął miejsce na końcu tej szlachetnej linii. Może też w swej dwoistej pogoni za ojcami i ocaleniem kraju przeceniałem Foto Singha; istnieje wszak potworna możliwość, że wyolbrzymiłem go wówczas (a po raz wtóry na tych kartach) za sprawą fikcyjnej mrzonki wyobraźni... zawsze bowiem, gdy pytałem: – Kiedy nas poprowadzisz, Fotodźi, kiedy nadejdzie wielki dzień? – on przestępując niezdarnie z nogi na nogę odpowiadał: – Wybij to sobie z głowy, szefie; jestem tylko biedakiem z Radżasthanu, a także Najbardziej Czarownym Mężczyzną Świata; nie dopatruj się we mnie nikogo innego. – Gdy zaś nalegałem: – Istnieje precedens; był przecież Mijan Abdullah, Koliber... – Foto odpowiadał: – Szefie, co też ci się roi.

W pierwszych miesiącach stanu wyjątkowego Foto Singh tkwił w kleszczach ponurego milczenia przypominającego (raz jeszcze!) wielką ciszę Czcigodnej Matki (która się także wlała w mojego syna...), przestał więc pouczać publiczność na szosach i w bocznych uliczkach Starego i Nowego miasta, jak to dawniej zwykł robić; chociaż klarował mi: – Teraz pora milczeć, szefie – ja jednak nie wątpiłem w to, że pewnego pięknego dnia, o milenijnym brzasku u kresu północy Foto Singh stanie na czele wielkiego dżulusu, czyli pochodu bezdomnych, może będzie przygrywał na flecie, opleciony morderczymi węzami, i poprowadzi nas ku światłu... ale może był jedynie poskramiaczem węży; bo i tej ewentualności nie wykluczam. Powiadam tylko, że mój ostatni ojciec, wysoki chudy brodaty, z włosami związanymi na szyi w węzeł, jawił mi się samym awatarem Mijana Abdullaha; lecz może to jedna wielka iluzja, zrodzona podczas próby spętania go niemi mojej historii za sprawą pobożnych życzeń. Różne złudzenia trafiały mi się w życiu; proszę nie myśleć, że nie jestem tego świadom. Zbliżamy się wszakże do czasów bez złudzeń; nie mając innego wyjścia muszę w końcu wyłożyć czarno na białym punkt kulminacyjny, który przez cały wieczór omijam.

Skrawki pamięci: nie tak powinno się komponować punkt kulminacyjny. Gdyż kulminacja powinna narastać, aż osiągnie himalajski szczyt; mnie zaś zostały tylko strzępy, toteż podryguję do własnego kryzysu niczym pajac na zerwanych sznurkach. Inaczej to sobie umyśliłem; może jednak opowieść pod koniec to nie ta sama opowieść, którą się rozpoczęło. (Dawno temu w błękitnym pokoju Ahmed Sinai improwizował zakończenia baśni, których oryginalnych epilogów sporo wcześniej zapomniał; Mosiężna Małpka i ja poznaliśmy najrozmaitsze wersje podróży Sindbada, przygód Hatima Tai... gdybym zaczął od nowa, czy też skończyłbym gdzie indziej?) No cóż: muszę się zadowolić strzępami i skrawkami: jak napisałem przed wiekami, sztuka polega na wypełnianiu pustych miejsc, w myśl tych nielicznych wskazówek, które się posiada. Większość wydarzeń istotnych dla naszego życia

rozgrywa się na ogół pod naszą nieobecność; muszę więc polegać na wspomnieniu podejrzanej niegdyś teczki akt z wiele mówiącymi inicjałami; oraz na innych szczątkowych czerepach przeszłości, poniewierających się w moich zagraconych sejfach pamięci niczym połtuczone butelki na plaży... Na podobieństwo strzępów pamięci po kolonii kuglarzy fruwały arkusze gazet, gnane wichrem zamarłej północy.

Przygnane wiatrem dzienniki zagościły i w mojej chacie, stąd się dowiedziałem, że mój wuj, Mustafa Aziz, padł ofiarą nieznanych zamachowców; nawet nie uroniłem łzy. Były tam też inne informacje; z nich właśnie muszę zbudować rzeczywistość.

Na jednej z gazetowych płacht (zalatujących rzepą) przeczytałem, że pani premier Indii nie rusza się nigdzie bez osobistego astrologa. Z tej wzmianki przebijało coś więcej niż tylko woń rzepy; w niezbadany sposób mój nos znów wytropił zapaszek osobistego zagrożenia. Jaki wniosek powinienem był wysnuć z tego fetoru przestrogi: zapowiedzieli mnie wróżbici; może więc i wróżbici doprowadzili mnie na ostatku do zguby? Może Wdowa trawiona obsesją gwiazd dowiedziała się od astrologów o tajemnej mocy dzieci zrodzonych w tej dawnej godzinie północy? I czy dlatego pewnemu urzędnikowi Służby Cywilnej, znawcy genealogii, polecono zbadać... i dlaczego nazajutrz rano tak na mnie dziwnie patrzył? No i widzisz, skrawki zaczynają się układać w całość! Padmo, czyż to nie jest jasne? Indira to Indie, a Indie to Indira... bo czyż nie mogła przeczytać listu rodzzonego ojca do pewnego dziecka północy, który przeczył jej własnej, ujętej w slogan centralnej pozycji; w którym rola zwierciadła narodu przypadła w udziale właśnie mnie? Widzisz? Widzisz?... A jest coś więcej, istnieje nawet wyraźniejszy dowód, bo oto kolejny strzęp „Times of India”, w którym agencja prasowa Wdowy „Samaćar” cytuje jej słowa o „determinacji walki z głębokim i rozpowszechnionym, narastającym spiskiem”. Powiadam ci: nie chodziło jej wcale o partię Dżanata Morća! Nie, stan wyjątkowy miał nie tylko jasną stronę, lecz również ciemną, a zatem tak wygląda tajemnica ukrywana nazbyt długo pod maską owych przytłumionych dni: najprawdziwszy, najgłębszy impuls do ogłoszenia stanu wyjątkowego to zmiążdzenie, starcie na proch, nieodwracalne rozgromienie dzieci północy. (Ich Konferencję rozwiązano oczywiście przed laty; sama jednak możliwość ich ponownego połączenia wystarczyła, żeby wszcząć ostry alarm.)

Astrologowie – nie ma co do tego dwóch zdań – podnieśli larum; w czarnej teczce z napisem KDP zebrano nazwiska z ocalałych jeszcze akt; było też coś więcej. Były zdrady i wyznania; były kolana i nos – nos i również kolana.

* * *

Strzępy, skrawki, wzmianki: chyba tuż zanim się obudziłem z odorem zagrożenia w nosie, miałem sen, że śpię. W tym najbardziej bodaj obezwładniającym śnie budzę się i widzę w chacie nieznanego: gościa o poetyckim wyglądzie, ze strąkami włosów zakręconych za uszami (bardzo przeredzonych na czubku głowy). Tak: w ostatnim śnie przed tym-co-czekana-opowiedzenie nawiedził mnie cień Nadira Chana, który wlepił zdumiony wzrok w srebrną spluwaczkę inkrustowaną lazurytem i zapytał bezsensownie: – Ukradłeś? Bo w przeciwnym razie musisz być... czy podobna?... synem mojej Mumtaz?

A kiedy przytaknąłem: – Jak najbardziej, we własnej osobie... – senna zjawa Nadira-Kasima wygłosiła przestrozę: – Kryj się. Czas nagli. Kryj się, póki możesz.

Nadir, który ukrył się niegdyś pod dywanem mojego dziadka, przybył, żeby doradzić mi coś podobnego; ale za późno, za późno, bo już się całkiem rozbudziłem i wyczułem odór

zagrożenia, który grzmiał mi w nosie niczym trąby... nie wiedzieć czemu przerażony, zerwałem się na równe nogi; i czy to moja wyobraźnia, czy istotnie otwarte błękitne ślepie Aadama Sinai popatrzyły mi poważnie w oczy? Czy w oczach mojego syna również czaiła się trwoga? Czy kłapczaste uszy dosłyszały to, co wyniuchał nos? Muszę pozostawić te znaki zapytania w zawieszeniu, bez odpowiedzi; pewne jest tylko to, że Parwati, moja Lajla Sinai, też się obudziła i spytała:

– Co to, mój panie? Co cię tak rozeźliło?

Na co ja, nie w pełni świadom, dlaczego:

– Ukryj się, zostań tu i nie wychodź.

Po czym sam wyszedłem na dwór.

Musiał być ranek, chociaż smętek bezkresnej północy wisiał jak mgła nad gettem... przez ciemne światło stanu wyjątkowego zobaczyłem dzieci bawiące się w siedem kostek i Foto Singha ze złożonym parasolem pod lewą pachą, jak oddawał mocz pod murem Meczetu Piątkowego; drobny, łysy iluzjonista ćwiczył przeciąganie noży przez szyję swojego dziesięcioletniego ucznia, a pewien sztukmistrz już znalazł publiczność i przekonywał wielkie kłębki wełny, żeby wypadły nieznanym ludziom spod pach; tymczasem w innym zakątku getta muzyk Cand Sahib, ćwiczył grę na trąbce, mianowicie przykładał stareńki ustnik podniszczonego rogu do szyi i wydobywał dźwięki naprężając po prostu mięśnie gardła... dalej, tam dalej, trzy trojaczki-gumy niosły na głowach surahi pełne wody, wracając do swojej chaty od jednego jedyne wodociągu kolonii... jednym słowem, na pozór wszystko w porządku. Zaczęłem się besztać za te sny i nosowy alarm; i wtedy się zaczęło.

Najpierw podjechały furgonetki i buldożery, dudniąc na głównej ulicy, zatrzymały się przed gettem kuglarzy. Ryknął głośnik: „Program upiększania miasta... usankcjonowana prawnie akcja Centralnego Komitetu Młodzieży Sandżaja... proszę się natychmiast przygotować do ewakuacji na inny teren... te rudery wszystkich kolą w oczy, nie możemy ich dłużej tolerować... należy się zastosować bez sprzeciwów”. Kiedy głośnik ryczał, z furgonetek wysypywali się ludzie: pospiesznie wzniesiono różnobarwny namiot, a w nim prycze obozowe i wyposażenie chirurgiczne... potem z furgonetek wylał się strumień elegancko ubranych młodych dam dobrego urodzenia i cudzoziemskiego wykształcenia, po nim druga rzeka równie-dobrze-ubranych młodzieńców: ochotnicy, ochotnicy Młodzieży Sandżaj w służbie społeczeństwa... zaraz jednak zrozumiałem, że nie, żadni tam ochotnicy, bo wszyscy mężczyźni mieli takie same kręcone włosy i usta-jak-kobięcy-srom, eleganckie zaś damy też były wszystkie identyczne, z wyglądu przypominały wypisz, wymaluj Manekę Sandżaja, którą strzępy gazet określały mianem „chudej piękności”, a która niegdyś pracowała jako modelka koszul nocnych na zlecenie fabryki materaców... stojąc w tym zamęcie programu likwidacji ruder, stwierdziłem ponownie, że panująca dynastia Indii opanowała zdolność rozmnażania; nie było wszak czasu do namysłu, liczni sromowardzy i chude piękności łapali kuglarzy i starych żebraków, zaciągali ich do furgonetek, natomiast w kolonii magików gruchnęła wieść: – Robią nasbandi – przeprowadzają sterylizację! – I zaraz wezwanie: – Ratujcie kobiety i dzieci! – Zaczyna się więc rozróżba, dzieci, co przed chwilą grały w siedem kostek, ciskają naraz kamieniami w eleganckich najeźdźców, Foto Singh zwołuje do siebie kuglarzy, wywija rozwścieszonym parasolem, który niegdyś zapewniał harmonię, a teraz przedzierzgnął się w broń, w śmigającą donkiszotowską lancę, i już magicy tworzą armię obronną, jak za sprawą czarów zjawiają się koktajle Mołotowa i lecą na napastników, sztukmistrze wyciągają z worków cegły, powietrze aż gęstnieje od krzyków i pocisków, a eleganckie sromowe-wargi i chude-piękności cofają się przed srogą furją

iluzjonistów; i oto Foto Singh dowodzi szturmem na namiot wazektomii... Parwati czyli Lajla wbrew moim rozkazom staje u mojego boku i pyta: – Mój Boże, co też oni... – i w tejże chwili na rudery spada nowy, jeszcze groźniejszy atak; oddziały wojska przeciwko magikom, kobietom i dzieciom.

Dawno temu sztukmistrze magicy-karciani marionetkarze i hipnotyzerzy maszerowali tryumfalnie u boku zwycięskiej armii; lecz teraz o wszystkim zapomniano, a na mieszkańcach getta wypróbować się radziecką broń. Jaką szansę mają czarnoksiężcy komuniści przeciwko socjalistycznym karabinom? Oni, my, rzucamy się do ucieczki, gdzie kto może, napór żołnierzy rozdziela Parwati i mnie, tracę z oczu Foto Singha, a kolby biją tłuką, widzę, jak jedna z dziewczyn-trojaczków pada pod zaciekłością karabinów, jak wciąga się ludzi za włosy do czekających, ziejących furgonetek; ja też biegnę, ale za późno, spoglądam przez ramię, potykam się o puszki po Daldzie puste skrzynki i porzucone worki przerażonych iluzjonistów, i widzę przez ramię wśród tej mrocznej nocy stanu wyjątkowego, że to wszystko zasłona dymna, marginalna sprawa, albowiem przez wir zamieszek pędzi mityczna postać, wcielenie losu i zniszczenia: do burdy przyłączył się major Siwa i szuka tylko mnie. Kiedy więc biegnę, za mną szorują kolana mojego przeznaczenia...

...Przelatuje mi przez głowę obraz naszej budy: mój syn! I nie tylko syn: srebrna spluwaczka inkrustowana lazurytem! Gdzieś w tym zamęcie getta dziecko zostało samo... gdzieś porzucony tak długo przechowywany talizman. Meczec Piątkowy obserwuje beznamiętnie, jak dają nura między chylące się rudery, jak nogi niosą mnie ku kłapouchemu synowi i spluwaczce... ale jakąż miałem szansę przy tych kolanach? Kolana bohatera wojennego są tuż tuż, rwę przed siebie, stawy mojej nemezis pędzą z łoskotem ku mnie, bohater wojenny skacze, nogi fruną w powietrzu i zaciskają się jak szczęki na mojej szyi, kolana wytłaczają mi dech z piersi, padam, wiję się, lecz kolana trzymają mocno, a teraz głos – głos zdrady podstępny nienawiści! – ożywa się, gdy kolana gniołają mi pierś, przygważdżając mnie w gęstym pyłe chaty: – I co, mały zamożniaczku: znów się spotykamy. Salam.

Zacharczałem; Siwa się uśmiechnął.

O, błyszczące guziki u munduru zdrajcy! Migoczące lśniąco niczym srebro... czemu to zrobił? Dlaczego ten, który niegdyś dowodził anarchistycznym chuliganom w rudrach Bombaju, stał się teraz dygnitarzem wojskowej tyranii? Dlaczego dziecko północy dopuściło się zdrady wobec innego dziecka, północy i skazało mnie na mój własny los? Z miłości do przemocy i zalegitymizowanego blasku guzików u munduru? W imię zadawnionej antypatii do mnie? Czy – co mi się wydaje najbardziej prawdopodobne – w zamian za ujście karze, która spadła na resztę z nas... tak, ani chybi; O, bohaterze wojenny odzegnujący się od dziedzictwa urodzenia! O, sprzeniewierzony-za-miskę-soczewicy rywalu... Lecz nie, muszę z tym skończyć i opowiedzieć całą historię najprościej jak tylko można: kiedy żołnierze ganiłi aresztowali wywlekali kuglarzy z getta, major Siwa skupił się na mnie. Mnie też zaciągnięto brutalnie do furgonetki; kiedy buldożery wjechały na teren rud, zatrzaśnięto za mną drzwi... zawyłem w ciemnościach: – A mój syn! I Parwati, gdzie jest moja Lajla? Foto Singhu! Ocal mnie, Fotodźi! – Na miejscu wszakże były już buldożery, nikt więc nie dosłyszał mojego krzyku.

Parwati-czarodziejka wychodząc za mnie padła ofiarą klątwy nagłej śmierci, która wisi nad całym moim rodem... nie wiem, czy Siwa zamknąwszy mnie w ślepej, ciemnej furgonetce, poszedł jej szukać, czy też zostawił ją na pastwę buldożerów... bo teraz maszyny destrukcji były w swoim żywiole, a małe budy nedzarskiej osady obsuwały się staczały obłędnie pod naporem tych nieposkromionych stworów, chaty trzaskały niczym gałązki, papierowe

paczuski marionetkarzy i czarodziejskie kosze iluzjonistów szły na miazgę; upiększano zatem miasto, a jeśli wymagało to kilku zgonów, jeśli dziewczyna z oczami jak spodki i ryjkiem żalu na ustach zginęła pod kołami rydwanów boga Wisznu, to cóż, z oblicza starożytnej stolicy usuwano coś, co kłuło w oczy... wieść też niesie, że podczas śmiertelnych drgawek getta kuglarzy brodaty olbrzym ustrojony w girlandę z węży (choć to już może przesada) biegł – CAŁYM PEDEDEM! – przez ruiny, uciekał jak szalony przed nadciągającymi buldożerami, ściskając w dłoni rączkę bezpowrotnie strzaskanego parasola, szukając szukając, jak gdyby od tego szukania zależało jego życie.

Pod koniec dnia rudery przycupnięte w cieniu Meczetu Piątkowego znikły z oblicza ziemi; ale nie wszystkich kuglarzy pojmano; nie wszystkich odstawiono do obozu za drutami kolczastymi, zwanego Khićripur, miastem miszmaszu, na przeciwległym brzegu rzeki Dżamny; nigdy nie ujęto Foto Singha, a ludzie gadali, że nazajutrz po zniwelowaniu buldożerami getta kuglarzy rozeszła się wieść o powstaniu nowych ruder w sercu miasta tuż przy dworcu kolejowym w New Delhi. Na teren zgłoszonych ruder znów ruszyły buldożery; nic jednak nie znalazły. Potem istnienie ruchomej dzielnicy ruder zbiegłych iluzjonistów stało się faktem znanym wszystkim mieszkańcom stolicy, lecz niszczyiele nigdy ich nie znaleźli. Widziano je w Mehrauli; ale kiedy udali się tam sterylizatorzy i wojsko, zastali Kutb Minar nie skalany rudarami nędzy. Doniesiono, że pojawiły się w ogrodach Dżantar Mantar, w mogolskim obserwatorium Dżaja Singha; lecz maszyny destrukcji, które tam ruszyły, znalazły jedynie papugi i zegary słoneczne. Dopiero po odwołaniu stanu wyjątkowego ruchome budy osiadły w miejscu; ale o tym później, bo teraz pora wreszcie opowiedzieć, i to spokojnie, o mojej niewoli w Schronisku Wdów w Benares.

Dawno temu Reśam Bibi zawodziła: – Aj-o-aj-o! – i miała rację: sprowadziłem zagładę na getto moich wybawicieli; major Siwa, działając bez wątpienia na wyraźny rozkaz Wdowy, przybył do tej kolonii, żeby mnie pojmać; tymczasem syn Wdowy przeprowadził swoje akcje upiększania miasta i sterylizacji, żeby wykonać odwracający uwagę manewr. Z całą pewnością tak to zaplanowano; zresztą (muszę przyznać) nader przemyślnie. Co osiągnięto podczas buntu kuglarzy: udało się niepostrzeżenie pojmać jedyną osobę na ziemi, która dzierżyła klucz do miejsca zamieszkania wszystkich bez wyjątku dzieci północy – bo czyż nie włączałem się niegdyś noc po nocy w każde z nich? Czy po wsze czasy nie nosiłem w myślach ich imion adresów twarzy? Odpowiem na to pytanie: tak. I zostałem pojmany.

Owszem, z całą pewnością tak to zaplanowano. Parwati-czarodziejka opowiedziała mi wszystko o moim rywalu; czy podobna, żeby nie wspomniała jemu o mnie? I na to pytanie odpowiem: niepodobna. Toteż nasz bohater wojenny dobrze wiedział, gdzie w stolicy ukrywa się osobnik najbardziej poszukiwany przez jego zwierzchników (nawet wuj Mustafa nie wiedział, dokąd się udałem, opuściwszy jego dom; lecz Siwa wiedział!) – a skoro okazał się zdrajcą, przekupiony niewątpliwie czym się tylko dało, od obietnic awansu po gwarancje osobistego bezpieczeństwa, łatwo mu przyszło oddać mnie w ręce swojej zwierzchniczki, Pierwszej Damy, Wdowy z dwukolorowymi włosami.

Siwa i Salim, zwycięzca i zwyciężony; jeżeli ktoś zrozumie naszą rywalizację, zrozumie też wiek, w którym żyjemy. (Prawdą jest również odwrotność tego stwierdzenia.)

Owego dnia prócz wolności straciłem coś jeszcze: buldożery pochłonięły srebrną spluwaczkę. Pozbawiony ostatniego przedmiotu, który mnie wiązał z moją namacalną, sprawdzalną historycznie przeszłością, zostałem zabrany do Benaresu, aby tam stanąć oko w oko z konsekwencjami swojego wewnętrznego otrzymanego-o-północy życia.

Tak, tam się to właśnie dokonało, w pałacu wdów nad brzegami Gangesu, w najstarszym

zamieszkałym mieście świata, w mieście, które miało już swoje lata w młodości Buddy, Kasi Benares Waranasi, w Mieście Boskiego Światła, domu Księgi Proroczej, tego horoskopu nad horoskopy, gdzie spisany jest każdy żywot, przeszły terażniejszy przyszły. Bogini Ganga spływała na ziemię włosami Siwy... właśnie do Benaresu, świątyni boga Siwy, zabrał mnie Siwa-bohater na spotkanie z przeznaczeniem. W domu horoskopów przeżyłem chwilę wyprorokowaną na poddaszu przez Ramrama Setha: „żołnierze go skażą... tyrani usmażą!” przepowiedział wróżbita; cóż, obyło się bez formalnego procesu – kolana Siwy owinęły się na mojej szyi, i po wszystkim – ale pewnego zimowego dnia wyczułem odór smażeniny w żelaznej rynience...

Nad rzeką, kiedy minąć Sindija-ghat, gdzie młodzi gimnastycy w białych przepaskach na biodrach ćwiczą pompki jedną ręką, kiedy minąć Manikarnika-ghat, miejsce pogrzebów, gdzie od strażników płomieni kupuje się święty ogień, kiedy minąć unoszące się w wodzie zwłoki psów i krów – nieszczęsnych stworzeń, którym nikt nie kupił ognia, kiedy minąć braminów pod słomianymi parasolami nad ghatem Dasaśwamedha, odzianych na szafranowo, udzielających błogosławieństw... już słyhać ten straszliwy dźwięk niczym wycie psów w oddali... a jeżeli pójść dalej dalej dalej za tym dźwiękiem, nabiera on kształtów i wtedy już wiadomo, że to potężny, nieustający lament, dochodzący z osłoniętych żaluzjami okien nadrzecznego pałacu: Schronisko Wdów! Dawno temu mieściła się tu rezydencja maharadży; ale dzisiejsze Indie to nowoczesny kraj, państwo skonfiskowało takie majątki. Pałac stanowi teraz przytułek dla pogrążonych w żałobie kobiet, które pojmują wszak, że prawdziwe życie zakończyło się dla nich wraz ze śmiercią mężów, a skoro znajdowanie ulgi w obrządku sati jest im teraz wzbronione, przybywają do tego świętego miasta, żeby spędzić resztę bezwartościowego żywota na serdecznych zawodzeniach. We wdowim pałacu mieszka plemię kobiet z nieodwracalnie posiniaczonymi piersiami, gdyż ustawicznie biją się pięściami, o włosach wydartych bez szans na odrośnięcie i z głosami zdartymi od wiecznego, szczerego wyrażania żalu. Jest to wielkie gmaszysko, labirynt maleńkich izdebek na górnych piętrach przechodzi w wielkie sale lamentu poniżej; i właśnie tam się to dokonało, Wdowa wessała mnie w prywatne serce swojego potwornego imperium, zamknęto mnie w malutkim pokoiku na piętrze, a odumarłe przez mężów kobiety przynosiły mi więzienną strawę. Miewałem też innych gości: bohater wojenny zaprosił do mnie na rozmowę dwóch swoich kolegów. Innymi słowy: nakłaniano mnie do tego, żebym zaczął mówić. Miał mnie sprowokować niedobry duet, grubas i chudzielec, których nazwałem Abbott-i-Costello, bo ani razu nie udało im się mnie rozśmieszyć.

W tym miejscu odnotowuję zbawienną lukę w pamięci. Nic mnie nie zmusi do przywołania metod rozmowy tej pozbawionej humoru, umundurowanej pary; żadne ćatni ni marynata nie zdołają rozewrzeć wrót, za którymi zamknąłem owe dni! Nie, zapomniałem, nie chcę, nie powiem, jak wydobyli ze mnie prawdę – trudno mi się jednak uchylić od wyznania haniebnego sedna sprawy, mianowicie, że, mimo braku żartów i mimo zgoła niemilych manier tego mojego dwugłowego inkwizytora puściłem parę z ust. Co więcej: pod ich niewysłowionym – zapomnianym – naciskiem dosłownie rozwiązał mi się język. Co się ze mnie wylewało z bełkotem (choć teraz się nie wyleje): imiona adresy rysopisy. Tak, powiedziałem im wszystko, wymieniłem wszystkich pięćset siedemdziesięcioro ośmioro (gdyż Parwati, jak poinformowano mnie uprzejmie, nie żyła, Siwa przeszedł na stronę wroga, a pięćset-osiemdziesiąty-pierwszy był przy głosie...) – przymuszony do zdrady podstępem jednego dziecka północy wydałem je wszystkie. Ja, Założyciel Konferencji, przewodniczyłem jej końcowi, podczas gdy Abbott-i-Costello, bez uśmiechu, przerywali mi raz na czas

okrzykiem: – Aha! Świetnie! O niej nie wiedzieliśmy! – albo – Bardzo nam pomagasz; o nim akurat nie mieliśmy pojęcia!

Takie rzeczy się zdarzają. Statystyka osadzi mój areszt w pewnym kontekście; chociaż istnieje poważny spór co do liczby więźniów „politycznych” zatrzymanych podczas stanu wyjątkowego, na pewno albo trzydzieści tysięcy, albo ćwierć miliona ludzi postradało wolność. Wdowa oświadczyła: – To tylko znikomy procent ludności Indii. – Podczas stanu wyjątkowego zdarzają się najrozmaitsze rzeczy: pociągi jeżdżą zgodnie z rozkładem, wystraszeni spekulanci płacą podatki, nawet pogoda zna mores i trafiają się rekordowe plony; istnieją, powtarzam, nie tylko ciemne, ale i jasne strony. Patrząc wszakże z ciemnej strony, siedziałem skuty łańcuchami-i-prętami w małej izdebce, miałem jedynie liche siennik za całe przysługujące mi wyposażenie oraz dzieliłem się codzienną miską ryżu z karaluchami i mrówkami. Co się zaś tyczy dzieci północy – owej przerażającej koterii, którą musiano za wszelką cenę obalić – tego gangu zdesperowanych opryszków, przed którymi podszyta astrologią pani premier drżała z trwogi – tych groteskowych, wykolejonych potworów niepodległości, dla których nowoczesny naród-kraj nie mógł mieć ni czasu, ni współczucia – obecnie dwudziestodzieciolatków z dokładnością do kilku miesięcy, przywieziono ich do Schroniska Wdów, od kwietnia do grudnia wyłapano wszystkich i ich szepty wypełniły mury pałacu. Ściany mojej celi (cienkie-jak-papier, obłazące-z-tyнку, nagie) jęły mi szeptać do chorego, a także zdrowego ucha, skutki moich haniebnych wyznań. Więzień z nosem-jak-ogórek otoczony girlandami żelaznych prętów i obręczy uniemożliwiających wykonywanie czynności naturalnych – takich jak chodzenie, korzystanie z blaszanego nocnika, siedzenie w kucki, spanie – leżał skulony pod obłazącym tynkiem i szeptał do ściany.

Taki był koniec; Salim uległ rozpacz. Przez całe życie, a także przez większą część niniejszych reminiscencji usiłowałem trzymać swoje żale pod kluczem, żeby nie kalły mi zdań słonymi, ckliwymi wyciekami; lecz i to się skończyło. Nie podano mi powodu (aż dopiero Ręka Wdowy...) mojego zatrzymania: ale komu z tych trzydziestu tysięcy bądź ćwierci miliona powiedziano, dlaczego lub po co? Komu to było potrzebne? Uwieszony w murach słyszałem przytłumione głosy dzieci północy; nie pragnąc dalszych wyjaśnień, zaszlochałem do obłazącego tynku. Co Salim szeptał ścianie między kwietniem a grudniem roku 1976:

...Drogie Dzieci. Jak wam to powiedzieć? I o czym tu mówić? Moja wina, moja hańba. Chociaż dopuszczam też usprawiedliwienia: nie biorę na siebie winy za Śiwę. Najrozmaitszych ludzi zamyka się pod klucz, czemu więc niby nie nas? A poczucie winy to złożona sprawa, bo czyż wszyscy razem i każdy z osobna nie ponosimy niejako odpowiedzialności – czyż nie mamy przywódców, na jakich sobie zasłużyliśmy? Ale bez usprawiedliwień. To moje dzieło, moje. Drogie dzieci: moja Parwati nie żyje. Moja Dżamila znikła. Jak wszyscy. Znikanie to najwyraźniej kolejna właściwość powtarzająca się w moich dziejach: Nadir Chan znikł z podziemia, zostawiając za sobą liścik; Aadam Aziz też znikł, zanim moja babka wstała, żeby nakarmić gęsi; a gdzie się podziwia Maria Pereira? Ja się ulotniłem w koszu; Lajla natomiast czyli Parwati zrobiła paf bez pomocy zaklęć. No i my tutaj, którzy zniknęliśmy-z-powierzchni-ziemi. Klątwa znikania, drogie dzieci, najwidoczniej się w was wlała. Nie, w kwestii poczucia winy stanowczo odmawiam szerszego spojrzenia; zbyt blisko jesteśmy tego-co-się-dzieje, dystans jest tu niemożliwy, może później analitycy powiedzą, dlaczego i po co, biorąc pod uwagę tendencje ekonomiczne i sytuację polityczną, teraz jednak siedzimy zbyt blisko ekranu, film się rozpada na kropki, stać nas tylko i wyłącznie na sądy subiektywne. A zatem subiektywnie spuszcza głowę ze wstydu.

Przebaczcie, drogie dzieci. Nie, nie oczekuję od was przebaczenia.

Polityka, moje dzieci: nawet w najlepszych czasach to brudny nieczysty interes. Powinniśmy jej byli unikać, nie należało marzyć o celu, dochodzę do wniosku, że sfera prywatna, skromne żywoty pojedynczych ludzi są ważniejsze niż wszelka ta napuszona makrokosmiczna działalność. Ale za późno. Nie ma na to rady. Na co nie ma już ratunku, trzeba znieść to bez frasunku. Trafne pytanie, moje dzieci: co trzeba znieść bez frasunku? Po co nas tutaj ściągnięto, jedno po drugim, dlaczego pręty i obręcze krępują nam szyje? I jeszcze dziwniejsze pęta (jeżeli wierzyć szepczącej ścianie): obdarzonego-darem-lewitacji przykuto w kostkach obręczami do podłogi, wilkołakowi nałożono kaganiec, ten-co-umie-uciekać-przez-lustra musi pić wodę przez dziurkę w wieczku puszki, żeby nie znikł przez zwierciadlaną powierzchnię napoju; ta-której-uroda-zabija ma worek na głowie, rzucające urok piękności z Baud również mają głowy-w-workach. Jedno z nas potrafi jeść żelazo; toteż głowę mu ściśnięto w kleszczach, które otwiera się tylko na posiłki... co nam tu szykują? Coś niedobrego, moje dzieci. Jeszcze nie wiem co, ale na pewno nas to czeka. Dzieci: my też się musimy przyszykować.

Podaj dalej: niektóre z nas uciekły. Czuję nosem przez ten mur kilka nieobecności. Cieszymy się, dzieci! Wszystkich nas nie pojną. Na przykład Sumitry, podróżnika-w-czasie – O, młodzieńcza głupoto! Jakże byliśmy durni, że nie dawaliśmy mu wiary! – nie ma tu z nami; pewno błąka się po jakimś szczęśliwszym okresie swojego życia, na zawsze się wymknął łapankom. Nie, nie zazdrościcie mu; chociaż i ja marzę czasem o ucieczce wstecz, powiedzmy do czasów, kiedy będąc oczkiem w głowie świata odbyłem jako niemowlak rundę tryumfalną po pałacach Williama Methwolda – O, zdradliwa nostalgio za czasami większych możliwości, zanim jeszcze historia, niczym pewna uliczka za budynkiem Poczty Głównej w Delhi, zwężyła się do tej końcowej kropki! – teraz jesteśmy wszakże tutaj; taka retrospekcja osłabia tylko ducha; radujcie się po prostu, że niektórzy z nas są wolni!

A niektórzy nie żyją. Powiedziano mi o Parwati. Spod której oblicza do ostatka wyzierała murszejąca upiorna twarz, no wiecie czyja. Nie jest nas już pięćset osiemdziesięcioro jeden. Ile z nas siedzi za murami, dygocząc w grudniowym zimnie, i czeka? Pytam własny nos; odpowiada, że czterysta dwadzieścioro, liczba właściwa podstępowi i oszustwu. Czterysta dwadzieścioro uwięzionych przez wdowy; no i jeszcze ten jeden, który krąży dudniąc buciorami wokół schroniska – czuję, jak zbliża się i oddala jego smród, trop zdrady! – major Siwa, bohater wojenny, Śiwa-od-kolan nadzoruje naszą niewolę. Czy zadowolili ich czterysta dwadzieścioro? Dzieci: nie wiem, jak długo będą czekać.

...Nie, drwicie sobie ze mnie, przestańcie, nie pora na żarty. Dlaczego któreś skąd-ulichy ta życzliwość, ta dobroduszość w waszych podawanych-dalej szeptach? Nie, musicie mnie potępić niezwłocznie i bezapelacyjnie – nie zadawajcie mi katuszy swoimi radosnymi powitaniem, jedno-po-drugim tak jak siedzicie w celach; to nie czas ni miejsce na takie salam, namaskar, co-słysać! – Dzieci, nie rozumiecie, że mogą z nami zrobić wszystko, wszystko – nie, jak tak można mówić, co ma znaczyć wasze co-nam-zrobią? Powiem wam, przyjaciele, żelazne pręty zadają ból kostkom nóg; kolby karabinów zostawiają sińce na czołach. Co mogą zrobić? Podłączyć wam przewody elektryczne w odbytnicach, dzieci; ale to nie wszystko, mogą też powiesić za nogi, a świeca – och, ten uroczy, romantyczny blask świecy! – nie jest najprzyjemniejsza, kiedy płonąca dotyka skóry! Przestańcie zaraz, dajcie spokój z tą przyjacielskością, nie boicie się? Nie chcecie mnie skopać zdeptać rozerwać na kawałki? Po co te wieczne szeptane wspominki, ta nostalgia za dawnymi sprzeczkami, za wojną idei i rzeczy, czemu ze mnie szydzicie swoim opanowaniem, normalnością, siłą

wzbijania-się-ponad-kryzys? Prawdę powiedziawszy, dzieci, jestem zdumiony: jak możecie, mając po dwadzieścia dziewięć lat siedzieć w celach i szeptać tak figlarnie między sobą? Na miłość boską, to nie jest spotkanie towarzyskie!

Dzieci, dzieci, przepraszam. Przyznaję otwarcie, że ostatnio nie jestem sobą. Byłem kolejno buddą, duchem z kosza, niedoszłym-wybawicielem-narodu... Salim zapędził się w ślepe uliczki, wielce się borykał z rzeczywistością, odkąd spluwaczka spadła z nieba niczym okruch... okażcie mi współczucie: straciłem nawet spluwaczkę. Ale znów błądzę, wcale nie zamierzałem błagać o litość, chciałem powiedzieć, że może teraz widzę – to nie wy, tylko ja przeoczyłem, co się dzieje. Nie do wiary, dzieci: my, którzy pięciu minut nie potrafiliśmy rozmawiać bez kłótni: my, którzy jako dzieci sprzeczailiśmy się walczyli różnili posądzali rozpadali, nagle jesteśmy razem, połączeni w jedność! O, zadziwiająca ironio: Wdowa, zebrawszy nas tu, żeby wszystkich złamać, w gruncie rzeczy nas zespoliła! O, kije-samobije paranoi tyranów... bo co nam mogą zrobić teraz, kiedy wszyscy jesteśmy po tej samej stronie, wyzbyci sporów językowych, pozbawieni uprzedzeń religijnych: w końcu mamy po dwadzieścia dziewięć lat, nie powinienem się do was zwracać jak do dzieci...! Tak, oto mój chorobliwy optymizm: pewnego dnia będzie nas musiała stąd wypuścić, a wtedy, a wtedy czekajcie tylko, może założymy, bo ja wiem, nową partię polityczną, tak, Partię Północy, jaką szansę ma polityka wobec ludzi, którzy potrafią rozmnażać ryby i przemieniać zwykły metal w złoto? Dzieci, coś się rodzi, tutaj, w tych mrocznych czasach naszej niewoli; niech sobie Wdowa sięga po najgorsze; niezwyciężalność w jedności! Dzieci: wygraliśmy!

Zbyt to bolesne. Optymizm, który jak róża wyrósł na kupie gnoju: aż cierpnę na samo wspomnienie. Starczy już: resztę zapomniałem. – Nie! – Nie, no dobrze, pamiętam... Co może być gorszego od prętów krat świec-przystawianych-do-skóry? Co prześciga wrywanie paznokci i głodzenie? Wyjawię teraz najsubtelniejszy, najbardziej finezyjny żart Wdowy: zamiast nas poddać torturom, dała nam nadzieję. Czyli dostaliśmy coś – nie, więcej niż coś: rzecz najwspanialszą! – co mogła nam odebrać. A teraz, już niebawem, będę musiał opisać, jak ją odcięła.

Ektomia (zapewne z greckiego): wycięcie. Do którego to słowa nauki medyczne dodają szereg przedrostków: appendektomia tonsylektomia mastektomia tubektomia wazektomia testektomia histerektomia (wycięcie: wyrostka robaczkowego, migdałków, sutka, jajowodu, nasieniowodu, jądra, macicy). Salim chciałby dołożyć od siebie jeszcze jedną pozycję, za darmo gratis bezinteresownie, do tej listy wycięć; tyle że ten termin należy właściwie do historii, chociaż wymaga, wymagał ingerencji medycyny:

Sperektomia: drenaż nadziei.

W dniu Nowego Roku zjawił się u mnie gość. Skrzypnięcie drzwi, szelest drogiego szyfonu. Deseń: zielono-czarny. Okulary zielone, pantofle czarne jak sama czerń... W artykułach prasowych nazywano tę kobietę „wspaniałą dziewczyną z rozłożystymi, kołyszącymi się biodrami... nim zajęła się pracą społeczną, prowadziła sklepik z biżuterią... w stanie wyjątkowym przewodziła półoficjalnie akcji sterylizacji”. Ale ja nadałem jej własne miano: była Ręką Wdowy. Która jedno po drugim, a dzieci mmff i lecą lecą małe kuleczki-jąderka... na zielono-czarno wparowała do mojej celi. Dzieci: zaczyna się. Szykujcie się, dzieci. Połączmy siły. Niech Ręka Wdowy robi, co jej Wdowa kazała, ale później, później... pomyślcie o naszym potem. O teraz nie sposób myśleć... a ona, serdecznie, rozsądnie: – Bo widzisz, to wszystko na dobrą sprawę kwestia Boga. (Słuchacie, dzieci? Podajcie dalej.)

– Lud Indii – wyjaśniła Ręka Wdowy – czci naszą Panią jak boga. Hindusi umieją sławić tylko jednego Boga.

Ale ja się wychowałem w Bombaju, gdzie Siwa Wisznu Ganeśa Ahuramazda Allah i wielu innych miało swoje trzódki...

– A panteon – sprzeciwiłem się. – Chociażby trzysta trzydzieści milionów bogów w samym hinduizmie? A islam i bodhisatwowie...?

Na co padła odpowiedź:

– O, tak! Mój Boże, miliony bogów, masz rację! Tyle że to przejawy tego samego OM. Jesteś muzułmaninem: wiesz, co to OM? Świetnie. Dla nas nasza Pani jest przejawem OM.

Jest nas czterysta dwadzieścioro; zaledwie 0,00007 procent sześciuset milionów potężnej liczby ludności Indii. Statystycznie biorąc nieistotna grupka; nawet jeżeli nas uznać za pewien procent aresztowanych trzydziestu (bądź też dwustu pięćdziesięciu) tysięcy, stanowiliśmy zaledwie 1,4 (albo 0,168) procent! Dowiedziałem się jednak od Ręki Wdowy, że ci niedoszli bogowie obawiają się nade wszystko innych potencjalnych bóstw; oraz że dlatego i tylko dlatego my, magiczne dzieci północy, padliśmy ofiarą nienawiści strachu zniszczenia Wdowy, która nie tylko piastowała funkcję premiera Indii, lecz również sięgała po godność Dewi, bogini-matki w jej najstraszliwszym aspekcie, dzierżycielki śakti bogów, wieloręcznego bóstwa z przedziałkiem i schizofrenicznymi włosami... W ten oto sposób poznałem sens własnego istnienia w rozpadającym się pałacu kobiet z posiniaczonymi piersiami.

Kim jestem? Kim byliśmy? Byliśmy jesteśmy będziemy bogami, jakich nigdy nie mieliście. Ale też czymś jeszcze: żeby to wyjaśnić, muszę wreszcie opowiedzieć najtrudniejsze.

Jednym tchem, bo w przeciwnym razie nigdy się na to nie zdobędę, opowiem wam, iż w dniu Nowego Roku 1977 dowiedziałem się od wspaniałej dziewoi z kołyszącymi się biodrami, że owszem, zadowoli ich czterysta dwadzieścioro, że uznali sto trzydzieści dziewięcioro za zmarłych, że zbiegła jedynie garstka, toteż niedługo się zaczniesz, ciach ciach, narkoza i odliczanka-do-dziesięciu, liczby pomazzerują jeden dwa trzy, ja zaś będę szeptał do ściany, A niech im, a niech im, póki żyjemy i trzymamy się razem, kto nas powstrzyma?... I kto nas poprowadził, jedno za drugim? do sali w piwnicy, gdzie ponieważ nie jesteśmy dzikusami, proszę szanownego pana, zainstalowano klimatyzację i stół z wiszącą nad nim lampą, po czym weszli lekarze pielęgniarce zielono-czarni, mieli zielone stroje i czarne oczy... kto o nieodpartych wężlastych kolanach doprowadził mnie do sali mojej zguby? Ale przecież wiecie, możecie się domyślić, że w tej opowieści jest tylko jeden bohater wojenny; nie umiając się sprzeciwić jadowi jego kolan szedłem tam, dokąd mi kazał... kiedy się tam znalazłem, wspaniała dziewoja z rozłożystymi, kołyszącymi się biodrami powiedziała: – Nie masz co w końcu narzekać, nie zaprzeczysz chyba, że kiedyś uzurpowałeś sobie rolę Proroka? – bo wiedzieli wszystko, Padmo, wszystko wszystko, położono mnie na stole, maska nachyliła się nad moją twarzą, odliczanka-do-dziesięciu i liczby dudniące siedem osiem dziewięć...

Dziesięć.

I: – Boże miłosierny, wciąż jest przytomny, proszę z łaski swojej liczyć do dwudziestu...

...Osiemnaście dziewiętnaście dwadzieść

Dobrzy z nich byli lekarze: unikali wszelkiego ryzyka. Nie dla nas prymitywne waz- i tubektomia wykonywane na rojących się masach; bo tam istniało ryzyko, maleńkie ryzyko, że skutki takiej operacji da się odwrócić... wykonywano ektomie, lecz nieodwracalnie: usuwano jądra z moszny, a macice znikają raz na zawsze.

Test- i histerektomizowane dzieci północy pozbawiono możliwości reprodukcji... ale to

tylko efekt uboczny, bo zabiegi przeprowadzali zaiste wyjątkowi lekarze i wydrenowali z nas coś więcej: wycięto nam również nadzieję, chociaż doprawdy nie wiem, jak tego dokonano, bo maszerowały po mnie liczby, już przekreślone moje rachuby, powiem zatem tyle, że po upływie osiemnastu dni, podczas których wykonywano te zdumiewające operacje w imponującym tempie po 23,33 dziennie, zabrakło nam nie tylko małych kuleczek i wewnętrznych worków, ale też czegoś innego: pod tym względem udało mi się bardziej niż wielu innym, bo drenaż-partii-górnych dawno mnie obrabował z przydanej-przez-północ telepatii, nie miałem więc nic do stracenia, a wrażliwość nosa nie podlega drenażowi... dla reszty natomiast, dla tych wszystkich, którzy przybyli do pałacu zawodzących wdów z nienaruszonymi magicznymi darami, przebudzenie z narkozy było doprawdy potworne, toteż szepty przez ściany przyniosły opowieść o ich zgubie, strapiony płacz dzieci, co postradały własną magię: bo ta kobieta wszystko nam wycięła, wspaniale, z szerokimi kołyszającymi się biodrami, zaplanowała operację naszej zagłady, byliśmy teraz niczym, bo kimże byliśmy, zaledwie 0,00007 procent, niezdolnych rozmnażać ryb ani przemieniać zwykłych metali; przepadły z kretesem zdolności fruwania, wilkołactwa i pierwotnie-tysiąca-jeden cudownych obietnic pewnej nadprzyrodzonej północy.

Drenaż dolnych partii: operacja nieodwracalna w skutkach.

Kim byliśmy? Złamanymi obietnicami; stworzonymi po to, by nas później złamać.

A teraz muszę ci opowiedzieć o zapachu.

* * *

Tak, musisz usłyszeć wszystko: jakkolwiek pompatyczne, choćby tracące melodramatem bombajskich filmów dźwiękowych, musisz to sobie wziąć do serca, musisz pojąć! Co Salim wyniuchał pewnego wieczoru 18 stycznia 1977 roku: smażeninę w żelaznej rynience, coś miękkiego, niewysłowionego, przyprawionego kurkumą kolendrem kminkiem i kozieradką... ostre, nieuniknione wonie tego-co-wycięto, a co dusiło się teraz na wolnym ogniu.

Kiedy czterysta dwadzieścioro przeszło ektomię, mściwa Bogini zadbała o to, żeby pewne wycięte części przyprawiono curry, cebulą, zielonym chili i rzucono na pożarcie bezpiecznym psom z Benaresu. (Wykonano czterysta dwadzieścia jeden ektomii: bo jedno z nas, które nazywaliśmy Naradą bądź Markandeją, potrafiło zmieniać własną płęć; jego czy też ją musiano operować dwukrotnie.)

Nie, nie mam dowodów, i to żadnych. Dowody poszły z dymem: niektóre rzucono bezpiecznym psom; a później, 20 marca matka z dwukolorowymi włosami i jej ukochany syn spalili akta.

Ale Padma wie, do czego nie jestem już zdolny; Padma, która niegdyś zawołała w złości: – Mój Boże, co z ciebie za pożytek w łóżku? – Przynajmniej to jedno można sprawdzić: w budzie Foto Singha kłamstwem o impotencji ściągnąłem na siebie klątwę; nie twierdzę, że bez ostrzeżenia, bo przecież Foto powiedział mi: – Wszystko się może zdarzyć, szefie. – I zdarzyło się.

Czasem się czuję, jakbym miał tysiąc lat: czy raczej (bo nawet teraz nie potrafię się wyrzec formy), ściśle rzecz biorąc, tysiąc jeden.

Ręka Wdowy miała kołyszające się biodra i niegdyś posiadała sklepik z biżuterią. Zacząłem od klejnotów: w roku 1915 w Kaszmirze były rubiny i diamenty. Moi pradziadkowie prowadzili sklep z kamieniami szlachetnymi. Forma – i znów powtórzenia i kształt! – nie ma od niej ucieczki.

W ścianach rozpaczliwe szepty osłupiałych czterystu dziewiętnaściora; tymczasem czterysta dwudziesty folguje sobie – ten jeden raz; raz przecież wolno się unieść – i zadaje następujące drażliwe pytanie... wrzeszczę na całe gardło: – A on? Major Siwa, ten zdrajca? Nim się nie zajmiecie? – I odpowiedź ze strony wspaniałej-z-rozłożys-tymi-kołyszącymi-się-biodrami:

– Major poddał się wazektomii dobrowolnie.

I teraz w swojej ślepej celi Salim zaczyna się śmiać z całego serca, do rozpuku: nie, nie naśmiewałem się okrutnie ze swego arcyrywala ani też nie przekładałem z cynizmem słowa „dobrowolnie” na inne; nie, przypomniałem sobie opowieści Parwati czyli Lajli, legendarne opowieści o cudzołóstwie bohatera wojennego, o całych zastępach bękartów, które pęczniały w niezektomizowanych łonach wielkich dam i prostytutek; śmiałem się, ponieważ Siwa, kat dzieci północy, spełnił również drugą funkcję utajoną w jego imieniu, funkcję Śiwy-lingi, Śiwy-rodziciela, toteż w buduarach i ruderach tego kraju rosła w tej chwili przyszłość narodu, nowe pokolenie dzieci spółdzonych przez najmroczniejsze dziecko północy. Każda Wdowa może przeoczyć coś istotnego.

Pod koniec marca 1977 wypuszczono mnie niespodzianie z pałacu zawodzących wdów, stałem więc mrużąc oczy niczym sowa w blasku słońca, nie wiedząc, co jak dlaczego. Później, kiedy wróciła mi zdolność zadawania pytań, dowiedziałem się, że 18 stycznia (w dniu zakończenia ciach-ciachań oraz pewnych substancji smażonych w żelaznej rynience: jakich jeszcze trzeba dowodów, że właśnie nas, czterystu dwadzieściora, Wdowa lękała się najbardziej?) pani premier, ku zdumieniu wszystkich, zwołała wybory powszechne. (Teraz jednak, kiedy o nas wiesz, może ci łatwiej będzie zrozumieć tę jej nadmierną pewność siebie.) Ale wówczas nic nie wiedziałem o jej druzgoczącej porażce ani o spaleniu akt; dopiero później odkryłem, że porwane w strzepy nadzieje narodu powierzono wiekowemu ramolowi, który jadł orzeszki pistacji i nerkowca oraz codziennie wychylał szklanekę „własnej wody”. Smakosze moczu doszli do władzy. Partia Dżanata, z jednym ze swych przywódców zbzikowanym na punkcie nerek, wcale moim zdaniem (kiedy o tym usłyszałem) nie reprezentowała nowego świtu; może jednak w końcu zdołałem się pozbyć bakcyła optymizmu – może inni, noszący nadal tego wirusa we krwi, odczuwali inaczej. W każdym razie mam – miałem owego marcowego dnia – dosyć, aż nadto dosyć polityki.

Czterysta dwadzieścioro stało mrużąc oczy w blasku słońca i w gwarze zaułków Benaresu; czterysta dwadzieścioro spoglądało po sobie i widziało w swoich oczach wspomnienie własnej kastracji, po czym nie mogąc znieść tego widoku, wymamrotało słowa pożegnania i rozeszło się po raz ostatni, aby znaleźć kojącą samotność w tłumie.

A Siwa? Major Siwa został przez nowy reżim wtrącony do aresztu wojskowego: długo tam wszakże nie zabawił, bo pozwolono mu na jedno widzenie: Rosanara Shetty wkręciła się przekupstwem kokieterią sposobem do jego celi, ta sama Rosanara, która na Torze Wyścigowym Mahalakszmi wlała mu truciznę do uszu, a którą od tamtej pory doprowadził do obłędu jej własny syn bękart, bo nie odzywał się słowem i nie robił nic, na co by sam nie miał ochoty. Żona potentata stali wyciągnęła z torebki wielgachny niemiecki pistolet należący do jej małżonka i zabiła bohatera wojennego strzałem prosto w serce. Poniósł, jak się to mówi, śmierć na miejscu.

* * *

Major zszedł z tego świata nie wiedząc, że dawno temu w szafranowo-zielonej klinice

położniczej pośród mitologicznego chaosu niezapomnianej północy pewna drobna, pogrążona w rozpacz kobietka zamieniła przywieszki niemowlętom, pozbawiając go tym samym prawa należnego mu z tytułu urodzenia, czyli świata na szczycie pagóra w kokonie pieniędzy, w białych wykrochmalonych ubrankach, w otoczeniu rzeczy rzeczy rzeczy – świata, którego tak gorąco pragnął. A Salim? Nie związany już z historią, wydrenowany w górnych i dolnych partiach, udałem się z powrotem do stolicy, świadom tego, że wiek, który rozpoczął się przed-
laty, z wybicciem owej północy, dobiega jakby końca. Jak tam dotarłem: czekałem przy peronie na dworcu w Benaresie czy Waranasi jedynie z peronówką w rękę, po czym kiedy pociąg ruszył kierując się na zachód, wskoczyłem na stopnie wagonu pierwszej klasy. I teraz nareszcie wiem, co to znaczy trzymać się jak życie miłe, kiedy pyłki sadzy kurzu popiołu skrzypią w oczach, a człowiek musi walić do drzwi i wołać: – Ohe, maharadżo! Proszę otworzyć! Niech pan mnie wpuści, łaskawco! – Tymczasem w środku jakiś głos wypowiadał znajome słowa: – Pod żadnym pozorem nie otwierać. To tylko pasażerowie na gapę.

W Delhi: Salim zadaje pytania. Widzieliście, dokąd? Wiecie, czy kuglarze? Znacie Foto Singha? Listonosz z nikłym wspomnieniem zaklinaczy węży w oczach wskazuje na północ. Lecz później sprzedawca-betelu o-czarnym-języku odsyła mnie z powrotem tam, skąd przyszedłem. W końcu ślady przestają zataczać błędne koła; uliczni artyści naprowadzili mnie na trop. Magik Dilli-dekho z fotoplastikonem, trener mangust-i-kobr w papierowej czapeczce o kształcie dziecięcej żaglówki, kasjerka w kinie, która z nostalgią wspomina dzieciństwo spędzone na służbie u czarnoksiężnika... wszyscy oni niczym rybacy wskazują palcami. Na zachód na zachód na zachód, aż wreszcie Salim dociera do zajezdni autobusowej w Sadipurze przy zachodnich obrzeżach miasta. Głodny spragniony wycieńczony chory, uskakując o włos przed autobusami wjeżdżającymi lub wyjeżdżającymi z hukiem – wesoło pomalowanymi autobusami zdobionymi napisami na maskach takimi jak Wola Boska! i innymi mottami, na przykład Chwała Bogu! z tyłu – przybywa do skupiska obdartych namiotów przycupniętych pod betonowym mostem kolejowym i widzi w cieniu betonu olbrzymia zaklinającego węże, który szczerzy doń zepsute zęby w ogromnym uśmiechu, a na rękę trzyma małego chłopczyka w wieku około dwudziestu jeden miesięcy, co ma na sobie koszulkę w różowe gitary, uszy słonia, oczy szerokie jak spodki i twarz poważną jak grób.

Abrakadabra

Prawdę powiedziawszy, skłamałem na temat śmierci Siwy. To moje pierwsze wierutne kłamstwo – chociaż przedstawienie stanu wyjątkowego jako północy trwającej sześćset trzydzieści pięć dni też wyszło może nazbyt romantycznie, a już na pewno sprzecznie z dostępnymi danymi meteorologicznymi. Mimo wszystko, niezależnie od tego, co kto sobie myśli, kłamstwa nie przychodzą Salimowi łatwo, teraz zaś spuszcza głowę ze wstydu, kiedy tak spowiadam się... Skąd więc to jedno bezczelne kłamstwo? (Bo w gruncie rzeczy nie mam pojęcia, dokąd się udał mój rywal-podmieniec ze Schroniska Wdów; mógł trafić do piekła albo do przydrożnego burdelu opodal, a ja i tak nie odczułbym różnicy.) Spróbuj, Padmo, zrozumieć: nadal budzi on we mnie trwogę. Pozostała między nami nie załatwiona sprawa, toteż całymi dniami drżałem na myśl o tym, że bohater wojenny mógł jakoś odkryć tajemnicę swoich narodzin – czy kiedykolwiek pokazano mu teczkę z trzema wielo mówiącymi inicjałami? – oraz że wzburzony nieodwracalną utratą przeszłości może chcieć mnie odszukać, aby dopełnić zemsty przez uduszenie... czy tak się to skończy, czy właśnie para nadludzkich, bezwzględnych kolan wycisnie ze mnie życie?

Tak czy owak, dlatego właśnie uciekłem się do krętactwa; po raz pierwszy padłem ofiarą pokusy wszystkich autobiografów, iluzji, że skoro przeszłość istnieje tylko w pamięci danego człowieka, a słowa nadaremno próbują ją uchwycić, można tworzyć minione zdarzenia po prostu twierdząc, że miały one miejsce. Mój obecny strach włożył broń w rękę Rośnary Shetty; kiedy duch komandora Sabarmati zerkał mi przez ramię, umożliwiłem jej wkręcenie się przekupstwem kokieteryjnym sposobem do jego celi... słowem, wspomnienie jednej z moich najwcześniejszych zbrodni stworzyło (fikcyjne) okoliczności ostatniej.

Koniec wyznania: a teraz niebezpiecznie zbliżam się do końca tych reminiscencji. Jest noc; Padma na posterunku; na ścianie nad moją głową jaszczurka połknęła właśnie muchę; jątrzący upał sierpniowy zdolny człowiekowi zamarynować mózg bulgocze mi radośnie między uszami; a pięć minut temu ostatni pociąg osobowy pomknął zółcią i brązem na południe do stacji Churchgate, toteż nie dosłyszałem, co powiedziała Padma, tuszując nieśmiałością swoją stanowczość wszechwładną jak ropa naftowa. Musiałem więc prosić o powtórzenie, aż mięśnie niedowierzania rozedrgały jej się w łydkach. Muszę od razu odnotować, że nasz lotos-łajno zaproponował mi małżeństwo, „żebym się mogła tobą zajmować, nie narażając się na wstyd w oczach całego świata”.

Tego się właśnie obawiałem! Ale teraz wylazło sztydło z worka, a Padma (już ja to czuję) nie da się zbyć. Opieram się niczym stająca w pąsach dziewczica:

– Tak niespodziewanie!... a nie przeszkadza ci ektomia i to-co-rzucono-na-pożarcie bezpieczeństwa psom?... no i, Padmo, Padmo, owdowiejesz przez to-co-zżera kości!... pomyśl tylko chwilę o klątwie nagłej śmierci, pomyśl o Parwati... masz pewność, masz pewność, że masz pewność...?

Ale Padma, zacisnąwszy zęby w beton majestatycznie nieugiętego postanowienia, odparła:

– Posłuchaj mnie, mój panie, żadnych ale! Daj już spokój z tą wydumaną gadaniną. Trzeba myśleć o przyszłości.

Miodowy miesiąc mamy spędzić w Kaszmirze.

W gorącej spiekocie determinacji Padmy uderza mnie szalona myśl, bo przecież nie da się

tego wykluczyć, że Padma może dzięki fenomenalnej sile woli zmienić zakończenie mojej opowieści, że pęknięcia – i sama śmierć – mogą się ugiąć wobec potęgi jej nienasyconego osamotnienia... „Trzeba myśleć o przyszłości” – przestrzegła mnie – i może (pozwalam sobie pomyśleć po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia niniejszej opowieści) – może to i racja! Nieskończoność nowych zakończeń kłębi mi się w głowie, brzęczy jak owady-na-upale... – Pobierzmy się, mój panie – zaproponowała, aż mole podniecenia zafurczały mi w środku, jak gdyby wypowiedziała kabalistyczną formułę, jak gdyby padła jakaś przerażająca abrakadabra i uwolniła mnie od przeznaczenia – lecz rzeczywistość nagli. Miłość nie zwycięża wszystkiego, chyba że w bombajskich filmach dźwiękowych; trzask chrzęst zgrzyt nie ulegną zwykłej ceremonii; a optymizm to choroba.

– Może tak w twoje urodziny? – sugeruje. – W wieku trzydziestu jeden lat mężczyzna jest mężczyzną i powinien mieć już żonę.

Jak jej powiedzieć? Jak wytłumaczyć, że mam na ten dzień inne plany, że tkwię zawsze tkwiłem w szponach zbzikowanego-na-punkcie-formy losu, który uwielbia wprost siać spustoszenie w magiczne dni... jednym słowem, jak jej powiedzieć o śmierci? Nie umiem; potulnie więc i z rzekomą wdzięcznością przyjmuję jej oświadczyzny. Jestem zatem dziś wieczór świeżo zaręczonym mężczyzną; proszę nie osądzać mnie surowo za to, że pozwoliłem sobie – i mojemu przyrzeczonemu lotosowi – na tę ostatnią, próżną, mało znaczącą przyjemność.

Padma, proponując małżeństwo, wykazała gotowość odrzucenia wszystkiego, co jej powiedziałem o swojej przeszłości jako zbyt „wydumanej gadaniny”; kiedy zaś po powrocie odnalazłem rozpromienionego Foto Singha w cieniu mostu kolejowego, wnet się okazało, że i kuglarze gubią wspomnienia. Podczas licznych przenosin ruchomej dzielnicy ruder utracili pamięć, postradali więc tym samym zdolność wydawania sądów, gdyż zapomnieli wszystko, z czym mogliby porównać bieżące wydarzenia. Nawet stan wyjątkowy szybko usuwał się w niepamięć, a magicy koncentrowali się z monomanią ślimaków na terażniejszości. Nie zauważyli też własnych przemian; zapomnieli, że kiedykolwiek byli inni. Komunizm z nich wyciekł, po czym wchłonęła go spragniona, bystra-jak-jaszczurka ziemia; tracili własne umiejętności w zamęcie głodu, chorób, pragnienia i szykan policji, które składały się (jak zwykle) na terażniejszość. Mnie jednak ta zmiana dawnych towarzyszy wydawała się co najwyżej nieprzyzwoita. Salim sam przeszedł amnezję i poznał rozmiary jej niemoralności; z dnia na dzień przeszłość ożywała mu coraz bardziej w głowie, terażniejszość natomiast (od której na zawsze odcięły go noże) wydawała się bezbarwna, zamącona, mało ważna; ja, który pamiętałem każdy włos na głowach więźniów i chirurgów, doznałem głębokiego wstrząsu na tę niechęć kuglarzy do spoglądania wstecz. – Ludzie są jak koty – oznajmiłem synowi – niczego ich nie można nauczyć. – Popatrzył na mnie odpowiednio poważnie, ale nie puścił pary z ust.

Kiedy odnalazłem widmową kolonię iluzjonistów, mój syn, Aadam Sinai, pozbył się wszelkich objawów gruźlicy, która tak go dręczyła od najwcześniejszych dni. Byłem, rzecz jasna, pewien, że choroba ustąpiła wraz z upadkiem Wdowy; jednakże Foto Singh oświadczył mi, że wdzięczność za uzdrowienie należy się praczce imieniem Durga, która go karmiła podczas choroby, zapewniając mu dzienną porcję ze swych niewyczerpane gigantycznych piersi.

– Ta Durga, szefie – powiedział stary zaklinacz węży, a jego głos zdradzał fakt, że Foto na starość padł ofiarą węzowych uroków owej dhoan. – Co za kobieta!

Była kobietą o naprężonych bicepsach; z nadprzyrodzonych piersi tryskał jej strumień

mleka, którym można by wykarmić cały pułk; jak głosiła tajemnicza wieść (choć podejrzewam, że rozpuściła ją sama) miała dwa łona. Nigdy nie zbrakło jej plotek ani nowinek, tak jak mleka; codziennie tuzin nowych opowieści płynął jej z ust. Miała niespożytą energię, właściwą wszystkim przedstawicielom jej profesji; wybijając na kamieniu życie z koszul i sari rosła niejako w siłę, jak gdyby czerpała żywotność z ubrań, które padały na płask, bez guzików, wygrzmoczone na śmierć. Była potworem, który zapominał każdy dzień z chwilą, gdy ten minął. Z wielkimi oporami zgodziłem się ją poznać; z wielkimi też oporami wpuszczam ją na te karty. Jej imię, jeszcze zanim ją poznałem, załatywało czymś nowym; reprezentowała nowość, początki, zapowiedź nowych opowieści zdarzeń komplikacji, a mnie nowe rzeczy przestały już ciekawić. Kiedy jednak Fotodži oznajmił, że zamierza się z nią ożenić, nie miałem wyjścia; potraktuję ją wszakże zwięźle, na ile tylko jest to konieczne.

A zatem zwięźle: Durga praczka była wiedźmą! Krwiożerczą jaszczurką w ludzkiej postaci! Jej wpływ na Foto Singha da się jedynie porównać z jej mocą nad łupionymi kamieniem koszulami: jednym słowem, spłaszczyła go. Poznawszy ją zrozumiałem, dlaczego Foto Singh przybrał taki stary i zaniedbany wygląd; pozbawiony teraz parasola harmonii, pod którym gromadzili się mężczyźni i kobiety, żeby dostąpić rady i cienia, dzień po dniu jakby się kurczył; nikła mi przed oczyma możliwość jego przedziergnięcia się w drugiego Kolibra. Durga natomiast kwitła: jej plotki coraz bardziej nabierały charakteru skatologicznego, głos stawał się bardziej donośny i ochrypły, aż wreszcie zaczęła mi przypominać Czciogodną Matkę u schyłku życia, kiedy babka się rozrosła, a dziadek skurczył. Owo nostalgiczne echo moich dziadków to jedyne, co mnie interesowało w osobowości grubiańskiej praczki.

Trudno jednak zaprzeczyć obfitości jej gruczołów mlecznych; Aadam w wieku dwudziestu jeden miesięcy nadal ssał błogo jej sutki. Z początku chciałem nalegać, żeby go odstawiono, potem wszakże sobie przypomniałem, że mój syn robi tylko i wyłącznie to, co mu się podoba, uznałem więc, że nie ma co kruszyć kopii. (I jak się później okazało, postąpiłem słusznie.) Co zaś do jej rzekomego podwójnego łona, nie zależało mi na potwierdzeniu bądź zdementowaniu tej pogłoski, toteż się nie dopytywałem.

Wspominam dhoban Durgę głównie dlatego, że właśnie ona pewnego wieczoru, kiedy spożywaliśmy posiłek złożony z dwudziestu siedmiu ziaren ryżu na osobę, pierwsza przepowiedziała mi śmierć. Zirytowany tym jej ustawicznym potokiem wiadomości i plotek zawołałem: – Durga Bibi, nikt nie jest ciekaw twoich historyjek! – Na co ona nie zmieszana: – Salim Baba, dotąd cię oszczędzałam, bo Fotodži twierdzi, że po tym aresztowaniu jesteś pewno w strzępach; ale tak po prawdzie zbijasz tylko bąki i niczym się nie interesujesz. Zrozum, że kiedy człowiek przestaje się ciekawić nowościami, to otwiera drzwi Czarnemu Aniołowi.

I chociaż Foto Singh wtrącił pojednawczo: – A dajże spokój, szefowo, nie dręcz chłopaka – strzała dhoban Durgę celnie mnie ugodziła.

Wycieńczony swoim wydrenowanym powrotem czułem, że pustka dni pokrywa mnie grubą, galaretowatą powłoką; i chociaż nazajutrz rano Durga, widocznie w przystępie szczerej skruchy za tak ostre słowa, zaofiarowała się przywrócić mi siły, dając do ssania lewą pierś, kiedy mój syn ciągnął prawą, „bo może znów zaczniesz myśleć jak należy”, przeczucia śmiertelności wypełniły mi niemal bez reszty głowę; zaraz potem odkryłem zwierciadło upokorzenia w zajezdni autobusowej w Sadipurze i nabrałem pewności co do swojego rychłego końca.

Było to załamane lustro nad wjazdem do zajezdni autobusów; błakając się bez celu po terenie, zwróciłem uwagę na migoczące refleksy słońca. Uprzytomniłem sobie, że od

miesiący, a może od lat nie przeglądałem się w lustrze, podszedłem więc i pod nim stanąłem. Zadarłszy głowę ujrzałem siebie przeistoczonego w wielkogłowego, rozbuchanego-w-górnych-partiach karła; w swoim poniżająco skróconym odbiciu ujrzałem, że włosy na głowie posiwiały mi jak deszczowe chmury; karzeł w lustrze, z pobrużdżoną zmarszczkami twarzą i znużonym wzrokiem, przypominał mi jako żywo dziadka Aadama Aziza w dniu, w którym oświadczył nam, że zobaczył Boga. Przypadłości uleczone niegdyś przez Parwaticzarodziejkę znowu mnie podówczas (w następstwie drenażu) jęły nękać; dziewięciopalcy, ze skrońmi-jak-rogi, z mnisią tonsurą, płamolicy, z kabłąkowatymi nogami, nosem-jak-ogóras, wykastrowany, a teraz przedwcześnie postarzały, dojrzałem w lustrze upokorzenia kogoś, komu historia nic już więcej nie może zrobić, groteskową istotę wypuszczoną z rąk przesądnego-z-góry przeznaczenia, które tak go sponiewierało, że wyszedł z tego półprzytomny; jednym zdrowym i jednym chorym uchem dosłyszałem ciche stąpanie Czarnego Anioła śmierci.

Na młodostarej twarzy karła w lustrze rysowała się głęboka ulga.

Popadam w ponuractwo; zmienmy temat... Dokładnie na dobę przedtem, nim przytyk sprzedawcy betelu kazał Foto Singhowi ruszyć do Bombaju, mój syn, Aadam Sinai, powziął decyzję, która pozwoliła nam towarzyszyć zaklinaczowi węży w jego podróży: z dnia na dzień, bez uprzedzenia, ku konsternacji swojej mamki praczki, zmuszonej upuścić resztę mleka do pięciolitrowych puszek po margarynie, kłapouchy Aadam sam się odstawił od piersi, odmawiając bezgłośnie ssania sutka i domagając się (bez słów) solidniejszego pożywienia: tłuczonego ryżu rozgotowanej fasoli biszkoptów. Zupełnie jakby postanowił dać mi dotrzeć do mojej prywatnej, bardzo-już-bliskiej mety.

Niema autokracja niespełna-dwuletniego niemowlaka: Aadam nie zawiadamiał, kiedy jest głodny, śpiący albo kiedy mu pilno załatwić potrzeby naturalne. Uważał, że powinniśmy sami wiedzieć. Niewykluczone, że wieczna uwaga, której wymagał, pozwoliła mi się wbrew wszystkim znakom utrzymać przy życiu... po wyjściu na wolność niezdolny do niczego innego obserwowałem w skupieniu syna. – Powiadam ci, szefie, całe szczęście, że wróciłeś – żartował Foto Singh – bo w przeciwnym razie ten malec zrobiłby z nas wszystkich niańki. – Znow więc zrozumiałem, że Aadam należy do drugiego pokolenia czarodziejskich dzieci, które wyrosną znacznie silniejsze od tych pierwszych i nie będą szukać losu w przepowiedniach ani w gwiazdach, tylko ukują go w niezmożonych kuźniach swej woli. Kiedy tak zaglądałem w oczy dziecku, które nie było moim synem, a zarazem było moim dziedzicem bardziej niż jakiegokolwiek dziecko z mojej krwi-i-kości, dostrzegłem w jego pustych, przejrzystych źrenicach drugie lustro upokorzenia, które ukazało, że od tej pory przypadnie mi w udziale tak marginalna rola jak każdemu odsuniętemu-na-bok starcowi: co najwyżej tradycyjna funkcja gawędziarza, bajarza... rozmyślałem, czy w całym kraju bękarcie syny Siwy podobnie tyranizują nieszczęsnych dorosłych i po raz wtóry wyobraziłem sobie to plemię groźnych, mocarnych dzieciaków, jak rośnie czeka słuha, sposobi się do chwili, w której świat stanie się zabawką w ich rękach. (Po czym je w przyszłości rozpoznać: bimbi im sterczą na zewnątrz, zamiast się chować do środka.)

Czas jednak ruszyć do dzieła: przytyk, ostatni pociąg sunący na południe południe, finałowa walka... nazajutrz po odstawieniu Aadama od piersi Salim towarzyszył Foto Singhowi na Connaught Place, żeby mu asystować w zaklinaniu węży. Dhoban Durga zgodziła się zabrać mojego syna nad dhobi-ghat: Aadam spędził cały dzień na obserwowaniu, jak ta demoniczna kobieta wybija siłę z ubrań bogaczy, po czym sama ją wchłania. Owego proroczego dnia, kiedy ciepło wracało do miasta niczym rój pszczoł, o władnęła mną tęsknota

za moją unicestwioną-przez-buldożery srebrną spluwaczką. Foto Singh podarował mi substytut spluwaczki, pustą puszkę po margarynie Dalda, ale chociaż używałem jej do zabawiania syna swoim mistrzostwem w finezyjnej sztuce płucia-do-celu, puszczając długie strugi soku betelowego skroś lepkiego powietrza kolonii kuglarzy, wcale mi to nie przyniosło ulgi. Pytanie: skąd taki żal po zwykłym naczyniu do soków? W odpowiedzi powiem, że nie wolno pod żadnym pozorem nie doceniać spluwaczki. Prezentując się elegancko w salonie rani Kuch Nahin to naczynie pozwalało intelektualistom ćwiczyć sztukę mas; jarząc się blaskiem w piwnicy, przeistoczyło podziemie Nadira Chana w drugi Tadź Mahal; obrastając kurzem w starym blaszanym kufrze, towarzyszyło mi wszelako w mojej historii, gdyż wchłaniało skrycie incydenty w skrzyniach na bieliznę, widzenia duchów, zamrożenia-odmrożenia, drenaż, wygnania; spadając z nieba jak okruch księżycy, rozpętało proces zmian. O, spluwaczko równa talizmanom! O, cudne, utracone naczynie wspomnień i płwocin zarazem! Któż wrażliwy nie uzali się nade mną w nostalgicznej udręce spowodowanej tą utratą?

...Obok mnie z tyłu autobusu przeładowanego ludnością usiadł Foto Singh z koszami pełnymi węży zwiniętych niewinnie w kłębki. Kiedy turkotaliśmy i telepaliliśmy się przez miasto, również przepelnione wskrzeszonymi duchami wcześniejszych mitologicznych wcieleń Delhi, Najbardziej Czarownego Mężczyznę Świata spowijała aura doznanego przygnębienia, jak gdyby walkę w odległej ciemni miał już za sobą... aż do mojego powrotu nikt nie pojmował, że Fotodźi żyje w prawdziwym, nie ujawnianym strachu przed starością, przed ubytkiem mocy, że bał się, iż wkrótce przyjdzie mu dryfować bezradnie w świecie, którego nie będzie już rozumiał: tak jak i ja Foto Singh przyłgnał do obecności małego Aadama, jak gdyby to dziecko stanowiło światelko w długim, ciemnym tunelu.

– Piękny dzieciak, szefie – powiedział mi – a jaki dostojny; prawie się nie zauważa tych jego uszu.

Owego jednak dnia nie było przy nas mojego syna.

Na Connaught Place opadły mnie zapachy New Delhi – biszkoptowy aromat reklamy J.B. Mangharama, żalosna kredowość łuszczącego się tynku; ponadto tragiczny węchowy trop kierowców ryksz motorowych, zasępionych z głodu wskutek rosnących cen benzyny; zielona-woń-trawy ze skweru pośrodku zgiełkliwego ruchu mieszała się ze smrodkiem cinkciarzy nakłaniających pod cienistymi arkadami cudzoziemców do wymiany pieniędzy po czarnorynkowym kursie. Z Kawiarni Indyjskiej, spod której markiz dochodził wieczny szmer ploteczek, dolatywał też mniej przyjemny odór początków nowych historii: intryg małżeństw kłótni, a ich zapachy mieszały się z aromatem herbaty i chili-pakor. Co wyczułem nosem na Connaught Place: bliskość młodej żebraczki z pokrytą-bliznami-twarzą, niegdyś zbyt-pięknej-Sundari; a także utratę pamięci, zwrot-ku-przyszłości oraz nic-się-naprawdę-nie-zmienia... odwróciwszy się od tych węchowych przeczuc, skupiłem się na przenikliwym, bardziej pospolitym fetorze (ludzkiego) moczu i bydlęcgo łajna.

Pod kolumnadą strony F przy Connaught Place, obok ustawionego na chodniku straganu z książkami, miał swoją małą niszę pewien sprzedawca betelu. Siedział w pozycji lotosu za zielonym szklanym kontuarem niczym pomniejszy miejscowy bożek: wpuszczam go na te ostatnie karty, bo chociaż zalatywał ubóstwem, był w gruncie rzeczy człowiekiem majątnym jako właściciel samochodu Lincoln Continental, który parkował poza zasięgiem wzroku na Connaught Circus i który kupił za pieniądze zarobione na sprzedaży zagranicznych papierosów i radioodbiorników tranzystorowych z przemytu; rok w rok szedł do więzienia na dwutygodniowy urlop, a przez resztę roku opłacał sownie kilku policjantów. W więzieniu

traktowano go jak króla, natomiast za swoim zielonym szklanym kontuarem sprawiał wrażenie człowieka zgoła niewinnego, zwyczajnego, toteż wcale nie było łatwo (bez tak wrażliwego nosa jak nos Salima) rozpoznać w nim kogoś, kto wie wszystko o wszystkim, komu nieogarniona sieć koneksji przybliży wszelkie sekrety... ja osobiście zwietrzyłem w nim, nie bez wzruszenia, podobieństwo do pewnego osobnika, którego poznałem w Karaczi podczas eskapad Lambretta; tak byłem zajęty wdychaniem znajomych woni nostalgii, że kiedy przemówił, zupełnie mnie zaskoczył.

Rozłożyliśmy się ze swoim widowiskiem tuż obok jego niszy; kiedy Fotodźi skwapliwie polerował flety i zawijał sobie wielgachny szafranowy turban, ja się zabawiałem w naganiacza.

– Zapraszam, zapraszam, taka okazja trafia się raz w życiu, panie, panowie, tu do nas tu do nas tu do nas! Kogo my tu widzimy? To nie żaden tam zwykły bhangi; ani śpiący-na-ulicy byle oszust; oto, szanowni państwo, dobrodzieje i dobrodziki, Najbardziej Czarowny Mężczyzna Świata! O, tak, tu do nas tu do nas: jego zdjęcie wykonała firma Eastman Kodak Limited! Nie obawiajcie się podejść bliżej – przed wami oto sam FOTO SINGH! i takie tam banialuki; a wtedy odezwał się handlarz betelem:

– Znam lepszy numer. To wcale nie jest poskramiacz numer jeden; co to, to nie. W Bombaju jest lepszy.

W ten oto sposób Foto Singh dowiedział się o istnieniu rywala; dlatego też odstąpiwszy od zamiaru przedstawienia widowiska, podszedł do uśmiechniętego drwiąco sprzedawcy betelu, dobył z głębi swój dawny władczy ton i rzekł:

– Mów mi tu zaraz prawdę o tym oszuście, szefie, bo jak nie, to szurnę ci zęby w przełyk, aż ci pogryzą żołądek.

Na co handlarz betelu, bez krztyny strachu, świadom obecności trzech przyczajonych policjantów, co w razie potrzeby rzuciliby się chronić własne pensyjki, wyjawiał nam szeptem tajemnice swojej wszechwiedzy, rozgadał się, kto gdzie kiedy, aż Foto Singh przerwał mu tonem, którego stanowczość przesłaniała strach:

– Ruszę tam i pokażę temu gościowi z Bombaju, kto tu jest najlepszy. Na jednym globie, moi szefowie, nie ma miejsca na dwóch Najbardziej Czarownych Mężczyzn.

Sprzedawca betelowych delicji wzruszył lekko ramionami i strzyknął nam pod nogi. Przytyk sprzedawcy betelu niczym magiczne zaklęcie otworzył wrota, którymi Salim powrócił do swojego rodzinnego miasta, siedliska jego najdotkliwszej nostalgii. Tak, było to sezamie-otwórz-się, zatem po powrocie do łachmaniarskich namiotów pod mostem kolejowym Foto Singh pogrzebał w ziemi i wykopał zawiązaną na supeł chustkę-do-nosa swojego zabezpieczenia, spłowiła od leżenia szmatkę, w której uciulał garść moniaków na starość; a kiedy praczka Durga odmówiła mu towarzystwa w podróży ze słowami: – Co ty sobie wyobrażasz, Fotodźi, że ja jestem bogata jak jakiś krorpati, co to się rozjeżdża na wakacje i w ogóle? – zwrócił się do mnie niemal z błaganiem w oczach i poprosił o towarzystwo, żeby nie ruszać na tę najgorszą bitwę, sprawdzian jego starości, bez przyjaciela u boku... tak, Aadam też to słyszał, złapał swoimi kłapczastymi uszami rytm magii, widziałem, jak mu rozbłysły oczy, kiedy wyraziłem zgodę, i niebawem znaleźliśmy się w wagonie trzeciej klasy mknącym na południe południe południe, a w pięciosylabowej monotonii kół usłyszałem tajemne słowo: abrakadabra abrakadabra abrakadabra śpiewały koła uwożąc nas z powrotem do Bom.

Tak, opuściłem na zawsze kolonię kuglarzy, pędziłem abrakadabra abrakadabra w samo serce nostalgii, która miała zachować mnie przy życiu dostatecznie długo, abym mógł napisać

te stronice (i sporządzić tyleż słoików marynat); Aadam, Salim i Foto Singh jechali ściśnięci w wagonie trzeciej klasy, zabrawszy ze sobą liczne kosze związane sznurkiem, kosze budzące lęk u stłoczonej ludności w wagonie swoim ustawicznym sykiem, toteż tłum odsuwał się do tyłu do tyłu do tyłu, jak najdalej od groźby węży, zapewniając nam tym samym niejaką wygodę i miejsce; koła zaś śpiewały swoje abrakadabry kłapczastym uszom Aadama.

W drodze do Bombaju pesymizm Foto Singha rósł, aż stał się jakby bytem fizycznym, który przywdział jedynie powłokę cielesną starego zaklinacza węży. W Mathurze pośród kakofonii handlarzy sprzedających gliniane zwierzątka i kubki ćalu-ćai wszedł do naszego wagonu młody Amerykanin z przyszczatą brodą i głową ogoloną na zero; wachlował się wachlarzem z pawich piór; wizja nieszczęścia, jakie przynoszą rzekomo pawie pióra, przygnębiła Foto Singha niepomierne. Kiedy za oknami ciągnęła się bezkresna płaszczyzna równiny Indo-Gangesowej, zsyłając ku naszej udręce gorące szaleństwo popołudniowego wiatru lu, ogolony Amerykanin wykladał pasażerom wagonu zawilóści hinduizmu i zaczął im recytować mantry, wyciągając przy tym miseczkę żebraczą z drewna orzechowego; Foto Singh był ślepy na to niesamowite widowisko, a także głuchy na abrakadabry kół.

– Ten gość z Bombaju pewno będzie młody i silny, przypadnie mi więc nędzny los drugiego w kolejności najbardziej czarownego mężczyzny.

Kiedy dojeżdżaliśmy do stacji Kota, odory pecha wydzielane przez wachlarz z pawich piór pograżyły Fotodziego do reszty, nadziały go tak zatrwając, że chociaż wszyscy pasażerowie wysiedli na drugą stronę peronu, aby oddać mocz pod pociąg, on nie kwapił się bynajmniej do wyjścia za potrzebą. Przy krzyżówce Ratlam, kiedy moje podniecenie wzbierało, Foto wpadł w trans, nie tyle sen, ile postępujące sparaliżowanie pesymizmem. „Jak tak dalej pójdzie – pomyślałem sobie – nie zdoła się nawet zmierzyć z rywalem.” Minęliśmy Barodę: bez zmian. W Suracie na stacji węzłowej jeszcze z czasów Brytyjczyków uświadomiłem sobie, że muszę szybko coś przedsięwziąć, bo abrakadabra z każdą chwilą przybliżyła nas do Dworca Centralnego w Bombaju, toteż w końcu wyjąłem stary drewniany flet Foto Singha i grając na nim tak bardzo nieporadnie, że wszystkie węże jęły się wic w męczarniach, co zarazem obróciło młodego Amerykanina w kamień milczenia, wydając tak piekielne dźwięki, że Bassein Road, Korla i Mahim przemknęły wszystkim niepostrzeżenie, przełamałem miazmat pawich piór; wreszcie Foto Singh otrząsnął się ze swojego zasępienia i ze słabym uśmiechem rzekł:

– Może już lepiej przestań, szefie, i daj mnie to zagrać; bo niektórzy tu chyba wyzioną ducha w boleściach.

Węże zległy w koszach; a kiedy koła przestały śpiewać, byliśmy na miejscu:

Bombaj! Uścisnąłem mocno Aadama, nie mogłem się oprzeć pokusie, żeby nie wydać dawnego okrzyku: – Dom-w-Bom! – ryknąłem ku osłupieniu młodego Amerykanina, który tej mantry nigdy nie słyszał: i jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze: – Dom! Dom-w-Bom!

Autobus ruszył Bellasis Road w kierunku ronda Tardeo, mijaliśmy parsów z zapadłymi oczami, warsztaty naprawy rowerów i irańskie kafejki; aż po prawej ukazała się Hornby Vellard – gdzie ongiś Sherri, porzucona suka ogrodnika, targana wnętrznościami padła na oczach przechodniów! Gdzie tekturowe sylwetki zapaśników nadal górowały nad wejściami na Stadion Wallabhbhai Patela! – z grzechotem i turkotem mijaliśmy funkcjonariuszy policji drogowej pod daszkami przeciwsłonecznymi, świątynię Mahalakszmi – i oto Warden Road! Kąpielisko Breach Candy! A dalej, patrz, sklepy... tyle że zmieniły się szyldy: gdzie „Raj dla czytelników” z rzędami komiksów o Supermanie? No i, mój Boże, patrz, na szczycie piętrowego pagóra, gdzie niegdyś stały pałace Williama Methwolda obrośnięte kwieciami

bugenwilli i spozierały dumnie na morze... patrz tylko, wielkie różowe gmaszysko, potworny różowiotki wieżowiec, obelisk kobiet Narlikara wznosił się na zlikwidowanym placyku mojego dzieciństwa... tak, to był mój Bombaj, a zarazem nie-mój, bo po dojechaniu do Kemp's Corner stwierdziliśmy, że znikły hordy małych radzów z reklamy Air India, a także Skrzat Kolynos, znikły na zawsze, po składzie aptecznym Thomas Kemp i S-ka też zresztą wszelki ślad zagażał... tam, gdzie dawniej wydawano lekarstwa, a chochlik w chlorofilowej czapeczce uśmiechał się promiennie nad ulicą, dzisiaj krzyżowały się estakady. W elegijnym nastroju wymamrotałem pod nosem: – Miej zęby czyste, miej zęby białe! Miej jak Kolynos zęby doskonałe! – Jednakże mimo tego magicznego zaklęcia przeszłość nie wróciła; potoczyliśmy się Gibbs Road i wysiedliśmy przy plaży Caupatti.

Przynajmniej Caupatti niewiele się zmieniła: pas brudnego piachu, na którym się roilo od złodziejasków, spacerowiczów oraz sprzedawców ćana-gorąca-gorąca-ćana, kulfi, bhel-puri i ćatar-matar; dalej zaś na Marine Drive ujrzałem, czego dokonały czwórnoży. Na ziemi wydartej przez konsorcjum Narlikara morzu wzbijały się ku niebu potworne kolosy o dziwnych, obcych nazwach: OBEROI-SHERATON już z daleka biło mnie po oczach. A gdzie neonowa reklama Jeepa?...

– Chodźmy, Fotodźi – powiedziałem w końcu, tuląc Aadama do piersi. – Chodźmy, dokąd mamy iść, i zróbmy swoje; miasto się zmieniło.

Co mogę powiedzieć na temat Klubu Dyskrecji Północy? Że jego siedziba znajduje się w podziemiu, utajona (choć znana wszechwiedzącym handlarzom betelu); wejście doń – nieoznaczone; klientelę tworzy śmietanka towarzyska Bombaju. Cóż jeszcze? A, tak: prowadzi go niejaki Anand „Andy” Shroff, biznesman i playboy, który za dnia najczęściej się opala w hotelu Sun'n'Sand na plaży Dżułu pośród gwiazd filmowych i wyzwolonych księżniczek. Pytam się: Hindus i się opala? Nie ma w tym ponoć nic dziwnego, należy przestrzegać co do joty międzynarodowych reguł playboystwa, nie wyłączając zapewne i tej, która nakazuje codziennie oddawać cześć słońcu.

Ależ ze mnie naiwniak (a dawniej uważałem, że to Sonny z wkleśnięciami-po-kleszczach jest prostoduszny!) – nigdy bym nie podejrzewał, że istnieje coś takiego jak Klub Dyskrecji Północy! I owszem, istnieje; dzierżąc w dłoniach flety i kosze z wężami wszyscy trzej zapukaliśmy do jego drzwi.

Za żelazną kratką na wysokości oczu widać poruszenie: niski, miódopłynny głos kobiety spytał nas o cel wizyty. Foto Singh odparł:

– Jestem Najbardziej Czarownym Mężczyzną Świata. Zatrudniacie w tym kabarecie drugiego takiego zaklinacza węży jak ja; zmierzę się z nim i dowiodę swojej wyższości. Nie proszę o zapłatę. Jest to, szefowo, kwestia honoru.

Był wieczór; pan Anand „Andy” Shroff znajdował się szczęśliwym zbiegiem okoliczności na miejscu. Żeby się więc zbytnio nie rozwodzić, przyjęto wyzwanie Foto Singha, weszliśmy zatem do zakładu, którego nazwa już mnie poniekąd spieszyła, ponieważ zawierała słowo „północ” oraz ponieważ jej inicjały kryły w sobie mój dawny, tajny świat: KDP zaczerpnięte od Kina Dla Pędraków oznaczało później Konferencję Dzieci Północy, a teraz zostały przywłaszczone przez tajny nocny lokal. Jednym słowem: poczułem się zagrożony.

Bliźniacze kłopoty wyrobionej kosmopolitycznej młodzieży tego miasta: jak spożywać alkohol w objętym prohibicją stanie; oraz jak flirtować z dziewczętami w najlepszej tradycji Zachodu i zabierać je na nocne hulanki, utrzymując to zarazem w ścisłej tajemnicy, aby uniknąć iście Wschodniej hańby skandalu? Klub Dyskrecji Północy pana Shroffa wychodził naprzeciw problemom trapiącym miejscową pożącaną młodzież. W tym podziemiu rozpusty

stworzył świat styksowych ciemności, czarnych jak samo piekło; w skrytości mroków północy spotykali się tutejsi kochankowie, popijali importowane alkohole i flirtowali; spowici w kokon odosobnienia sztucznie wykreowanej nocy migdalili się bezkarnie. Piekło to fantazje innych: każda saga musi mieć przynajmniej jedno zstąpienie do Dżahannum, podążyłem więc za Foto Singhiem w atramentową murzyńskość klubu, trzymając swojego malutkiego syna na ręku.

Poprowadzono nas puszystym czarnym dywanem – czarnym czernią północy, czernią kłamstw, czernią gniewu, czernią zawołania „halo, czarnuchu!”, kruczoczarnym; słowem, ciemnym dywanem – a przewodniczką była nam hostessa o niebywale erotycznych wdziękach, w sari zsuniętym kusząco nisko na biodrach, z jaśminem w pępku; kiedy zstąpiliśmy w mrok, odwróciła się ku nam z kojącym uśmiechem, a wtedy zobaczyłem, że oczy ma zamknięte, na powiekach zaś wymalowane nieziemskie, błyszczące oczy. Po prostu musiałem zapytać: – Dlaczego...? – Na co odparła bez ogródek: – Jestem niewidoma; zresztą nikt, kto tu wchodzi, nie chce być widziany. Znajdujecie się w świecie bez twarzy i bez nazwisk; ludzie wyzbywają się tu pamięci, rodzin i przeszłości; tutaj liczy się tylko teraz, nic tylko teraz.

I pochłonęły nas ciemności; poprowadziła nas przez tę koszmarną otchłań, gdzie kraty i okowy więziły światło, przez to miejsce poza czasem, zaprzeczenie historii...

– Siadajcie – powiedziała. – Ten drugi zaklinacz węży zaraz się zjawi. Kiedy przyjdzie czas, oświetli was jeden reflektor; wtedy zacznijcie zawody.

Siedzieliśmy tam – jak długo? minuty, godziny, tygodnie? – a jarzące się oczy niewidomej doprowadzały niewidzialnych gości na miejsca; z wolna zdałem sobie w tej ciemnicy sprawę, że otaczają nas ciche szmery miłosne, jakby parzyły się aksamitne myszy; dobiegł mnie brzęk szklanek unoszonych przez splecione ręce i delikatne muśnięcia ust; jednym chorym i jednym zdrowym uchem złapałem odgłosy zakazanej erotyki, przepelniające aurę północy... ale nie, nie chciałem wiedzieć, co się wokół dzieje; chociaż w szmerzącej ciszy klubu czułem nosem najrozmaitsze nowe opowieści i początki, historie egzotycznych, zakazanych namiętności, niewidoczne drobne porażki i kto-się-za-daleko-posuwa, smakowite kąski do wyboru, do koloru, postanowiłem je zlekceważyć, bo to był nowy świat, w którym nie znajdowałem dla siebie miejsca. Mój syn, Aadam, siedział natomiast koło mnie, z uszami płonącymi fascynacją; oczy błyszczały mu w ciemnościach, a on słuchał, zapamiętywał i się uczył... wtem zapaliło się światło.

Jeden jedyny promień światła spłynął rozlewiskiem na podłogę Klubu Dyskrecji Północy. Z cienia tuż poza obrębem oświetlonej sceny Aadam i ja zobaczyliśmy Foto Singha siedzącego sztywno w pozycji lotosu obok przystojnego wybrylantynowanego młodzieńca; obaj wśród instrumentów muzycznych i zamkniętych koszy swojej sztuki. Głośnik obwieścił początek legendarnych zawodów o tytuł Najbardziej Czarownego Mężczyzny Świata; ale czy kto słuchał? Czy ktokolwiek zwracał uwagę, czy też wszyscy byli zbyt zajęci ustami językami rękami? Zawołanie przeciwnika Fotodźi brzmiało: maharadża Kuch Nahin.

(Sam nie wiem: tytuł przybrać łatwo. Ale może naprawdę był wnukiem tamtej dawnej rani, która niegdyś, przed wielu laty przyjaźniła się z doktorem Azizem; może potomek zwolenniczki Kolibra musiał się zrządzeniem ironii zmierzyć z człowiekiem, który miał szansę zostać drugim Mijanem Abdullahem! Nie da się tego wykluczyć; wielu maharadzów dotknęła nędza, odkąd Wdowa odebrała im rządowe pensje.)

Jak długo walczyli w tej bezsłonecznej pieczarze? Miesiące, lata, wieki? Nie umiem powiedzieć: patrzyłem jak zahipnotyzowany, kiedy się natężali, żeby jeden drugiego

prześcignąć, zaklinając wszelkie gatunki węży, prosząc, by dostarczono im rzadkie ich odmiany z farmy hodowli węży w Bombaju (gdzie niegdyś doktor Schaapsteker...); a maharadża szedł z Foto Singhem łeb w łeb, udało mu się nawet zaczarować dusiciela, które do tej pory słuchały tylko Fotodziego. W piekielnym klubie, którego ciemność stanowiła kolejny aspekt obsesji właściciela czernią (nią to owładnięty opalał się codziennie w Sun'n'Sand na ciemniejszy i coraz to ciemniejszy kolor), dwaj wirtuozi wymuszali na wężach niestworzone wprost dokonania, kazali im się wiązać w supły bądź kokardy, albo nakłaniali je do picia wody ze szklanicy czy do skoków przez płonące obręcze... niepomny zmęczenia, głodu i swojego wieku Foto Singh prezentował widowisko życia (tylko czy ktoś patrzył? Choćby jedna osoba?) – wreszcie stało się jasne, że młodzieniec pierwszy opada z sił; jego węże przestawały tańczyć w takt melodii fletu; aż na ostatku, nim się spostrzegłem, Foto Singh jednym zwinnym magicznym gestem związał maharadży na szyi królewską kobrę.

I wtedy Foto zażądał:

– Przyznaj mi pierwszeństwo, szefie, bo każę jej ugryźć.

Zawody dobiegły końca. Upokorzone książątko opuściło klub, a potem zastrzeliło się podobno w taksówce. Natomiast Foto Singh padł jak zwalony banijan na arenę swojej ostatniej wielkiej bitwy... niewidome hostessy (jednej z nich powierzyłem Aadama) pomogły mi go znieść z placu boju.

Wszakże Klub Dyskrecji chował w zanadru jeszcze jedną sztuczkę. Raz w ciągu nocy – tak dla pikanterii – reflektor wyłuskiwał jedną niedozwoloną parę i ukazywał ją ukrytym oczom innych gości: poblask rosyjskiej ruletki, która niewątpliwie ekscytowała tutejszych młodych kosmopolitów... i kto padł owej nocy ofiarą? Kto plamolicy, z rogami-na-skroniach, nosem-jak-ogóras został zalany światłem skandalu? Kto oślepiiony tak jak hostessy voyeuryzmem żarówek omal nie upuścił nóg swego nieprzytomnego przyjaciela?

Salim powrócił do rodzinnego miasta, żeby się znaleźć w piwnicy pod obstrzałem reflektora, a bombajczycy ukryci w ciemnościach śmiali się z niego w kułak.

* * *

Teraz już szybko, dobrnęliśmy bowiem do końca zdarzeń, odnotuję tylko, że na zapleczu, gdzie dopuszczano światło, Foto Singh ocknął się z omdlenia; a kiedy Adam głęboko spał, jedna z niewidomych kelnerek przyniosła nam krzepiący posiłek na koszt firmy. Thali zwycięstwa: placki samosa, pakory, ryż, dal, różne puri; no i zielone ćatni. Tak, aluminiowa miseczka ćatni, zielonego, mój Boże, zielenią pasikoników... zaraz porwałem jedno puri; umoczyłem w ćatni; skosztowałem... i omal nie poszedłem w ślady dopiero co docuconego Foto Singha, bo stanął mi przed oczyma dzień, w którym wyszedłem dziewięciopalcy ze szpitala, udałem się na wygnanie do domu Hanifa Aziza i dostałem najlepsze ćatni na świecie... smak tego ćatni nie ograniczał się do echa owego niegdysiejszego smaku – był to po prostu ten sam dawny smak, ten samiuteńki, co ma moc przywracania przeszłości, jak gdyby nigdy nie minęła... w szalonym podnieceniu chwyciłem niewidomą kelnerkę za rękę; nie panując właściwie nad sobą rzuciłem pytanie:

– Kto przyrządzał to ćatni?

Zapewne krzyczałem, bo Foto mnie upomniął:

– Cicho, szefie, obudzisz małego... co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha swojego największego wroga!

A niewidoma kelnerka dość ozięble:

– Nie smakuje panu ćatni?

Musiałem się powstrzymać, żeby nie ryknąć pod niebiosa.

– Smakuje – odparłem głosem uwięzłym w gardle jak za żelazną kratą. – Smakuje; a teraz proszę mi powiedzieć, skąd pochodzi?

Na co dziewczyna wylękniona, chcąc jak najprędzej odejść:

– Z Fabryki Marynat Braganza; wiadomo, że to najlepsza w Bombaju.

Kazałem sobie przynieść słoiczek; na nalepce widniał adres: budynku z mrugającą szafranowo-zieloną neonową boginią nad bramą, zakładów strzeżonych przez neonową Mumbadewi, obok której pociągi mknęły w żółto-brązową dal: Fabryka Marynat Braganza (Własność Prywatna) Ltd na północnym krańcu miasta.

Po raz wtóry abrakadabra, sezamie-otwórz-się: słowa wydrukowane na słoiku ćatni rozwarły ostatnie wrota w moim życiu... ogarnęła mnie nieprzeparta żądza, aby wytropić kucharza tego niesłuchanego ćatni wspomnień, toteż powiedziałem: – Fotodźi, muszę iść...

Nie wiem, jak się skończyła historia Foto Singha; nie chciał dotrzymać mi towarzystwa w mojej misji, a po jego wzroku poznałem, że od wysiłku włożonego w tę walkę coś w nim pękło, że jego zwycięstwo równało się, na dobrą sprawę, porażce; nie umiem jednak powiedzieć, czy nadal bawi w Bombaju (może pracuje u pana Shroffa), czy wrócił do swojej praczki; czy żyje, czy też nie... – Jak mogę cię tu zostawić? – spytałem zrozpaczony, ale on odparł: – Nie bądź głupi, szefie; skoro trzeba coś zrobić, nie pozostaje nic innego, jak tylko to zrobić. Idź, idź, co mi po tobie? Tak jak ci powiedziała stara Reśam: idź, idź, ale to już!

Wziąłem zatem Aadama i poszedłem.

* * *

Koniec trasy: wyszedłszy z podziemia niewidomych kelnerek pomaszzerowałem na północ północ północ, trzymając syna na rękę; w końcu dotarłem tam, gdzie jaszczurki połykają muchy, kipią kadzie, a muskularne kobiety wymieniają między sobą sprośne żarciki; do świata brygadzystek o niewyparzonych gębach i stożkowatych biustach, gdzie z działu wekowania dochodził przenikliwy brzęk słoików marynat... no i kto mi zagroził drogę u kresu podróży, ujmując się pod boki rękoma porośniętymi włosami perlącymi się od potu? Kto, jak zwykle dosadny, zwrócił się do mnie surowym tonem:

– Czego pan sobie życzy, mój panie?

– Ja! – woła podniecona Padma, nieco zażenowana tym wspomnieniem. – A jakże, niby kto? Jaja ja!

– Dzień dobry, begam – powiedziałem. (Padma wtrąca: – Cały ty, zawsze taki akuraty i w ogóle!) – Dzień dobry, czy mogę mówić z dyrektorem?

O, sroga, obronna, uparta Padmo! – Nie da rady, begam dyrektorka jest zajęta. Trzeba się umówić, pan przyjdzie później, a teraz proszę już iść.

Wiem jedno: z pewnością zostałem, przekonał ją, wywalczył sobie drogę, choćbym miał siłą sforsować zaporę rąk mojej Padmy; ale wtedy z pomostu dobiegł mnie krzyk – z tego pomostu, Padmo, za biurem! – z pomostu nad gigantycznymi kadziami marynat i kipiących ćatni spoglądała osoba, której imienia nie chciałem do tej pory ujawnić – i zbiegła w te pędy po dudniących żelaznych schodach, drąc się na całe gardło:

– O mój Boże, o mój Boże, o Jezu dobry Jezu, baba, mój syn, patrzajcie, kto to przyszedł, are baba, nie widzisz mnie, aleś ty schudł, chodź, no chodź, niech cię ucałuję, zaraz ci dam ciasta!

Zgodnie z moim przypuszczeniem begam dyrektorką Fabryki Marynat Braganza (Własność Prywatna) Ltd, która przemianowała się na panią Braganza, był nie kto inny tylko moja niegdysiejsza aja, zbrodniarka północy, panna Maria Pereira, jedyna matka, jaka mi się na tym świecie ostała.

Północ albo coś koło tego. Mężczyzna niesie złożony (i nie-naruszo-ny) czarny parasol, kroczy ku mojemu oknu od strony torów kolejowych, przystaje, kuca, wali kupę. Następnie dostrzega moją sylwetkę na tle światła i zamiast obrazić się za mój voyeueryzm woła: – Spójrz tylko! – i dalej rąbie najdłuższą kupę, jaką widziałem w życiu. – Ponad czterdzieści centymetrów! – krzyczy. – A ty jaką robisz? – Dawniej, kiedy miałem w sobie więcej pary, chciałoby mi się opowiedzieć jego historię; ta godzina i parasol w ręku stanowiłyby niezbędne powiązania, żeby rozpocząć proces wplatania go w swoje życie, co więcej, z całą pewnością dowiódłbym jego nieodzowności dla każdego, kto pragnie zrozumieć moje życie i czasy spowite mrokiem nocy; dziś wszakże jestem wyłączony, wyciągnięty z gniazdka, zostały mi do napisania tylko epitafia. Pomachawszy więc ręką temu mistrzowi wypróżniania się odkrzykuje: – Jak dobrze pójdzie, to dwadzieścia centymetrów – i zaraz o nim zapominam.

Jutro. Albo pojutrze. Pęknięcia czekają na dzień 15 sierpnia. Zostało jeszcze trochę czasu: dokończę jutro.

* * *

Dzisiaj zrobiłem sobie wolny dzień i odwiedziłem Marię. Długa gorąca zakurzona jazda autobusem ulicami, które zaczynają kipieć podnieceniem z powodu nadchodzącego Dnia Niepodległości, chociaż wyczuwam też inne, bardziej kompromitujące zapaszki: rozczarowania, korupcji, cynizmu... blisko trzydziestojednoletni mit wolności przestał być tym, czym był dawniej. Potrzeba nowych mitów; ale to już nie moja sprawa.

Maria Pereira, która mieni się teraz panią Braganza, mieszka ze swoją siostrą Alicją, obecnie panią Fernandes, w apartamencie w różowym obelisku kobiet Narlikara na piętrowym pagórze, gdzie niegdyś, w zdemolowanym pałacu, sypiała na macie służącej. Jej sypialnia zajmuje mniej więcej tę samą przestrzeń, w której wskazujący palec rybaka wiódł parę chłopięcych oczu ku horyzontowi; w tekowym fotelu na biegunach Maria buja mojego syna i podśpiewuje „Czerwone żagle o zachodzie słońca”. Czerwone żagle dhow rozpościerają się na tle odległego nieba.

Dość miły dzień, wspominamy stare dzieje. Dzień, w którym odkryłem, że dawny klomb kaktusów przetrwał rewolucję kobiet Narlikara, pożyczwszy więc łopatę od maliego wykopałem pogrzebany przed laty świat: blaszany globus zawierający poźółkłę, nadgryzione przez mrówki duże zdjęcie niemowlaka autorstwa Kalidasa Gupty i list od premiera. No i późniejsze dni: po raz nie wiem który rozprawiamy o tym, jak to odmienił się los Marii Pereiry. Jak to wszystko zawdzięcza swojej kochanej Alicji. Której nieszczęsny pan Fernandes zginął przez daltonizm, bo jadąc starym Fordem Perfektem pomylił się na rzadkich-wówczas-jeszcze w Bombaju światłach ulicznych. Jak to Alicja odwiedziła ją w Goa, przywożąc wiadomość, że jej pracodawczyni, groźne i przedsiębiorcze kobiety Narlikara, chcą zainwestować część czwórnogowych pieniędzy w zakłady marynat.

– Powiedziłam im, że nikt nie przyrządza takiego aćar-ćatni jak nasza Maria – rzekła Alicja, i nie bez racji – bo wkłada w nie serce.

Toteż Alicja okazała się w końcu dobrą dziewczyną. I co ty na to, baba, skąd mogłam przypuszczać, że cały świat zechce jeść moje niebożuchne marynaty, a nawet w Anglii się zajadają. No więc, pomyśleć tylko, ja tu sobie siedzę na miejscu twojego dawnego kochanego domu, a ty Bóg-wie co-tylko przechodzisz, tyle czasu żyłeś jak żebrak, co za świat, bapu-re!

I gorzko-słodkie żale: O, biedni twoi mamusia-tatus! Takiej zacności pani i nie żyje! A ten nieborak, on to nigdy nie wiedział, kto go kocha ani jak ma sam kochać! Czy choćby Małpka... ale tujej przerywam, nie, nie zginęła: nie, to nieprawda, żyje. W ukryciu, w klasztorze, nareszcie je chleb.

Maria, która podkrađła nazwisko nieszczęsnej królowej Katarzynie, co oddała te wyspy Brytyjczykom, zdradziła mi sekrety marynowania. (Dopełniając edukacji, która rozpoczęła się w tym samym skrawku powietrza, kiedy wystawałem w kuchni, a niania dosypywała poczucia winy do zielonego ćatni.) Teraz siedzi w domu, zażywając odpoczynku w posiwiąłym wieku, znów szczęśliwa jako aja, bo ma do wychowywania dziecko.

– Teraz, baba, skoro już skończyłeś tę pisaninę, powinienes znaleźć więcej czasu dla syna.

Ależ, Mario, właśnie dla niego cała ta praca. Lecz ona zmieniając temat, bo myśli skaczą jej ostatnio jak pchły:

– O, baba, baba, niech no ci się przyjrę, ile ty masz tych lat?

Bogata Maria, której się nigdy bogactwo nie śniło, do tej pory nie potrafi spać w łóżku. Za to pije po szesnaście butelek coca-coli dziennie bez obawy o zęby, bo i tak jej wypadły. Pchli skok:

– Dlaczego ci tak pilno-pilno do zeniaczki? – Bo Padma chce. Nie, nie musi, jakże by, w moim stanie? – No, dobrze, baba, tak tylko pytam.

I dzień zakończyłby się spokojnie, dzień zmierzchu u kresu czasu, gdyby nie to, że właśnie teraz, w wieku trzech lat jednego miesiąca i dwóch tygodni Aadam Sinai wydał nareszcie głos.

– Ab...

– Are, o Boże, słuchaj no, baba, mały coś mówi. A Aadam bardzo ostrożnie:

– Abba...

Tata. Mówi do mnie „tata”. Ale nie, to jeszcze nie wszystko, wysiłek maluje mu się na twarzy i mój syn, który musiałby zostać magikiem, żeby poradzić sobie ze światem, jaki mu zostawiam, kończy swoje straszliwe pierwsze słowo: – ...kadabba.

Abrakadabra! Nic się jednak nie dzieje, nie zamieniamy się w ropuchy, anioły nie wlatują oknem: malec daremnie napina mięśnie. Nie zobaczę jego cudów... Przy wtórze okrzyków zachwytu Marii nad osiągnięciem Aadama wracam do Padmy i do fabryki; enigmatyczny pierwszy wypad mojego syna na teren języka pozostawił mi w nozdrzach aromat niepokoju.

Abrakadabra: wcale nie indyjskie słowo, lecz kabalistyczna formuła wywiedziona z imienia najwyższego boga gnostyków bazyliidian, zawierająca liczbę 365, liczbę dni w roku, a także niebios i duchów emanujących z boga Abraksas. „Ciekawe – zachodzę nie po raz pierwszy w głowę – za kogo ten chłopak się uważa?”

Moje specjalne mieszanki: składałem je na później. Symboliczny wymiar procesu marynowania: wszystkie sześćset milionów jaj, które dały życie ludności Indii można by zmieścić w jednym typowym słoiku do przetworów; sześćset milionów plemników można by unieść w jednej łyżce. Każdy słoik marynaty (proszę mi wybaczyć tę chwilową kwiecistość stylu) zawiera więc najbardziej wzniosłą perspektywę: możliwość ćatnifikacji historii; wielką nadzieję na zamarynowanie czasu! Ja wszakże zamarynowałem rozdziały. Dziś wieczór przykręcając mocno wieczko na słoiku opatrzonym napisem *Specjalna receptura nr 30:*

„Abrakadabra”, dochodzę do końca swojej rozwlekłej autobiografii; zarówno w słowach, jak i w marynatach unieśmiertelniłem własne wspomnienia, chociaż w żadnej z tych dziedzin nie obejdzie się bez wypaczeń. Niestety, musimy żyć z cieniami niedoskonałości.

Obecnie kieruję fabryką w zastępstwie Marii. Alicja – „pani Fernandes” – zawiaduje finansami; ja zaś jestem odpowiedzialny za twórcze aspekty naszej pracy. (Wybaczyłem, rzecz jasna, Marii jej zbrodnię; potrzebne mi są matki, tak jak i ojcowie, a matki się o nic nie wini.) W otoczeniu całkowicie żeńskiego personelu Fabryki Marynat Braganza, pod szafranowo-zielonym mruganiem neonowej Mumbadewi, wybieram owoce mango pomidory limony u niewiast, które przychodzą tu o świcie z kosztami na głowach. Maria, ze swoją zadawnioną nienawiścią do „menschczyzn”, nie dopuszcza do tego nowego, wygodnego dla niej świata żadnych panów poza mną... poza mną, no i oczywiście moim synem. Podejrzewam, że Alicja nadal miewa swoje romansiki; a Padma zakochała się od pierwszego wejrzenia, bo zobaczyła we mnie upust swoich obfitych rezerw zdławionej samotności; o innych trudno mi się wypowiadać, ale straszliwa fachowość kobiet Narlikara znajduje z pewnością odzwierciedlenie na tym piętrze fabryczki w mocarnym poświęceniu robotnic mieszających w kadziach.

Czego wymaga ćatnifikacja? Surowców naturalnych, to pewne – owoców, warzyw, ryb, octu, przypraw. Codziennych wizyt kobiet z plemienia Koli w sari związanych wysoko między nogami. Ogórków bakłażanów mięty. Ale też: oczu błękitnych jak lód, których nie zwiedzie powierzchowna kokieteria owoców – które dojrzą zgniliznę pod cytrusową skórą; palców, które najlżejszym dotykim zgłębią tajemnicę niestałych serc zielonych pomidorów; a nade wszystko nosa, co wytropi ukrytą mowę tego-co-należy-zamarynować, jego kaprysów, przesłań i uczuć... w zakładach Braganza nadzoruję produkcję legendarnych przepisów Marii; ale wytwarzam także własne specjalne mieszanki, w których za sprawą swoich wydrenowanych przewodów nosowych potrafię zawrzeć wspomnienia, marzenia, myśli, toteż z chwilą wdrożenia ich do produkcji masowej wszyscy konsumenci się dowiedzą, czego pieprzniczki dokonały w Pakistanie albo co znaczył pobyt w Sundarbanach... możesz wierzyć lub nie wierzyć, ale to prawda. Na półce stoi trzydzieści słoików gotowych w każdej chwili pobudzić ogarnięty amnezją naród.

(A obok jeden pusty słoik.)

Proces wnoszenia poprawek powinien trwać bez ustanku, bez końca; proszę nie myśleć, że jestem w pełni zadowolony z efektów swojej pracy! Pośród moich utrapień: nazbyt cierpki smak w tych słoikach, które zawierają wspomnienia o ojcu; niejaka dwuznaczność w posmaku miłosnym „Dzamilii Śpiewaczki” (Specjalna receptura nr 22), która może prowadzić osoby niespostrzegawcze do wniosku, że wymyśliłem sobie całą historyjkę z zamianą niemowląt, aby usprawiedliwić kazirodczą miłość; pewne nieprawdopodobieństwa w słoiku z nalepką „Incydent w skrzyni na bieliznę” – marynata ta bowiem nasuwa pytania, na które brak jasnych odpowiedzi, takie jak: Dlaczego dopiero wypadek pozwolił Salimowi nabyć swoich mocy? Większość dzieci nabyła ich bez takich ingerencji... Albo w „Rozgłośni Wszechindyjskiej” i innych fałszywie brzmiąca nuta w harmonii zapachów: czy wyznanie Marii wywołałoby doprawdy wstrząs u prawdziwego telepaty? Czasem w marynatowej wersji historii Salim jakby za mało wie; kiedy indziej wie za dużo... tak, muszę poprawiać to i poprawiać, udoskonaląć i jeszcze raz udoskonaląć; nie starcza jednak ani czasu, ani sił. Obowiązek nie każe mi rzec nic więcej ponad to jedno uparte zdanie: Tak było, bo tak właśnie było.

Pozostaje jeszcze kwestia samych przypraw. Subtelności kurkumy i kminku, delikatność

kozieradki, kiedy użyć dużego (a kiedy małego) kardamonu; miriady dopuszczalnych efektów czosnku, garam masali, cynamonu w laseczkach, kolendru, imbiru... nie mówiąc już o aromatycznych właściwościach okazjonalnego pyłku ziemi. (Salim uwolnił się już od swej obsesji czystością.) Jeżeli chodzi o przyprawy, godzę się z nieuchronnymi wypaczeniami procesu marynowania. Marynowanie wszak zapewnia nieśmiertelność: ryby, jarzyny, owoce wiszą zabalsamowane w zalewie octowej; niewielkie odstępstwo, nieznaczna intensyfikacja smaku to przecież drobiazg, prawda? Sztuka polega na zmienianiu stopnia, nie zaś jakości smaku; a nade wszystko (w moich trzydziestu i jednym słoiku) na nadawaniu kształtu i formy – innymi słowy, sensu. (Napomykałem o swoim strachu przed bezsensiem.)

Może pewnego dnia świat zakosztuje marynat historii. Może dla niektórych podniebień okażą się one nazbyt ostre, może ich zapach kogoś obezwładni, może wyciśnie z oczu łzy; żywię jednak nadzieję, iż da się o nich powiedzieć, że mają autentyczny smak prawdy... że mimo wszystko stanowią akty miłości.

Jeden pusty słoik... jak tu zakończyć? Szczęśliwie: Marią w jej tekowym fotelu na biegunach i synem, który zaczął mówić? Pośród przepisów i trzydziestu słoików z tytułami rozdziałów na etykietkach? Melancholijnie, zatapiając się we wspomnieniach Dżamili, Parwati, a nawet Evie Burns? Czy też czarodziejskimi dziećmi... ale czy wtedy powinienem się cieszyć, że niektóre zdołały uciec, czy też zakończyć tragedią zgubnych skutków drenażu? (Albowiem w drenażu kryją się źródła owych pęknięć: moje nieszczęsne, starte-na-proch ciało, wydrenowane od góry i od dołu, tak się zaszuszyło, że na ostatku jęło pękać. Wyszłe na pergamin uległo w końcu skutkom całozyciowej poniewierki. A teraz następuje trzask chrzęst zgrzyt i ze szczelin dobywa się odór, który zapewne jest zapachem śmierci. Kontrola: muszę jak najdłużej zachować kontrolę.)

A może zakończyć pytaniami: teraz gdy, przysięgam, widzę pęknięcia na wierzchu dłoni, rysy wzdłuż przedziałka i między palcami nóg, dlaczego nie krwawię? Czy już jestem tak wydrążony ususzony zamarynowany? Czy już jestem mumią siebie?

Albo snami: bo zeszłej nocy ukazał mi się duch Czcigodnej Matki; spozierała na dół przez otwór w przedziurawionej chmurze, czekając na moją śmierć, aby móc zapłakać czterdziestodniowym monsunem... ja zaś płynąc poza własnym ciałem, spoglądałem w dół na skrócone odbicie siebie i ujrzałem posiwiatego karła, któremu niegdyś w lustrze rysowała się ulga na twarzy.

Nie, to nie wystarczy, będę musiał spisać przyszłość, tak jak spisałem przeszłość, przelać ją na papier z całkowitą pewnością proroka. Tyle że przyszłości nie da się zakonserwować w słoiku; jeden słoik musi zostać pusty... Czego niepodobna zamarynować, bo jeszcze nie nastąpiło, to faktu, że dzisiaj skończę trzydzieści jeden lat, na pewno też odbędzie się ślub, Padma przejdzie przez ceremonię zdobienia henną dłoni i podeszew nóg, oraz dostanie nowe imię, może Nasim na cześć przypatrującego się ducha Czcigodnej Matki, za oknem będą fajerwerki i tłumy, gdyż wypadnie to akurat w Dzień Niepodległości, wielogłowa ciżba wylegnie na ulice, a Kaszmir będzie czekał. W kieszeni będę miał bilety na pociąg, ruszy taksówka prowadzona przez chłopaka ze wsi, który niegdyś w kawiarni Pionier marzył o karierze gwiazdora filmowego, pojedziemy na południe południe południe w samo serce gwarnych tłumów, obrzucających siebie nawzajem i zamknięte okna taksówki balonikami z barwioną wodą, jakby to było święto Holi; a na Hornby Vellard, gdzie zdechła pewna porzucona suka, tłum, zbity tłum, tłum bez granic, rosnący aż zapełni cały świat, uniemożliwi wszelki postęp, zostawimy taksówkę i marzenia kierowcy, wejdziemy w ten kłębiący się tłum, który mnie, no tak, oddzieli od Padmy, mojego lotosu-łajna, co wyciąga ku mnie rękę

przez wzburzone morze, aż utonie w tłumie, a ja zostanę sam w przepastności liczb, liczb maszerujących jeden dwa trzy, poszturchiwany z prawa i z lewa, tymczasem trzask chrzęst zgrzyt osiąga swój punkt kulminacyjny, całe moje ciało wyje, nie wytrzyma już tego naporu, ale oto dostrzegam w tłumie znajome twarze, wszyscy tu są, mój dziadek Aadam i jego żona Nasim, Alija, Mustafa, Hanif i Emerald, i Amina, dawniej Mumtaz, i Nadir, przemianowany na Kasima, Pija i Zafar, co się moczył do łóżka, oraz generał Zulfikar, wszyscy kłębią się wokół mnie pchają cisną tłoczą, a szczeliny się rozszerzają, odpadają mi kawałki ciała, jest też i Dżamila, która opuściła klasztor, żeby wziąć udział w tym ostatnim dniu, noc zapada zapadła, dudni odliczanka tykająca do północy, fajerwerki i gwiazdy, tekturowe sylwetki zapaśników, pojmuję, że już nigdy nie dojadę do Kaszmiru, niczym Dżehangir, cesarz mogolski, umrę z Kaszmiem na ustach, nie zobaczywszy doliny rozkoszy, do której ludzie jeżdżą nacieszyć się życiem albo je zakończyć, albo i jedno, i drugie; bo teraz widzę w tym tłumie inne postaci, przerażającą figurę bohatera wojennego o śmiercionośnych kolanach, który odkrył, jak go oszukałem pod względem praw z tytułu urodzenia, przepycha się ku mnie przez tłum, składający się teraz z samych znajomych twarzy, są tam i Raszid, mały rykszarz, ramię w ramię z rani Kuch Nahin, i Ajuba Szahid Faruk z Mutasimem Przystojnym, lecz oto z innej strony, od grobowca Hadzi Alego na wyspie nadciąga moja mitologiczna zjawa, Czarny Anioł, kiedy jednak podchodzi bliżej, widzę, że twarz ma zieloną, oczy czarne, przedziałek we włosach, z lewej zielonych, z prawej czarnych, oczy zaś są oczyma Wdów; Siwa i Anioł zbliżają się zbliżają, słyszę kłamstwa wypowiedane nocą, kiem tylko zechcesz być, to będziesz, największe kłamstwo ze wszystkich pęka w szwach, rozszczępienie Salima, jestem bombą w Bombaju, tylko patrzeć, a wybuchnę, kości łamią się kruszą pod strasliwym naporem tłumu, istny szkielet leci w dół w dół w dół, tak jak niegdyś w Dżalijanwali, chociaż Dyera dziś tu chyba nie ma, ani merkurochromu, jedynie połamane stworzenie wysypuje się w kawałkach na ulicę, bo dotąd byłem aż-tyloma aż-za-wieloma osobami, życie w odróżnieniu od składni dopuszcza o jedną więcej niż trzy, wreszcie gdzieś bije zegar, dwanaście uderzeń, poszło.

Tak, wezmą mnie pod but i zadek, liczby maszerują jeden dwa trzy, czterysta milionów pięćset sześćset, redukują mnie do okruchów niemego pyłu, tak jak, wszystko w swoim czasie, zdepczą mojego syna, który nie jest moim synem, a także jego syna, który nie będzie jego synem, a następnie jego syna, który nie będzie jego synem, aż do tysiąc pierwszego pokolenia, aż tysiąc jeden północy złoży swoje potworne dary, aż umrze tysiąc jeden dzieci, albowiem przywilejem i przekleństwem dzieci północy jest być zarówno panami, jak i ofiarami swoich czasów, poświęcić życie osobiste i dać się wchłonąć niszczycielskiemu wirowi ciżby, nie zaznawszy ni życia, ni śmierci w pokoju.

Słowniczek

[Słowa, których pochodzenia nie oznaczono, pochodzą z języka hindustani – hindi i urdu.]

Aadam – według tradycji Allah stworzył najpierw świat na podobieństwo nie wypolerowanego zwierciadła i chcąc się w nim przejrzeć tchnął życie w pierwszego człowieka, Aadama, który stał się odbiciem Boga.

Ab – nazwa jednego ze starych plemion arabskich.

abba – ojciec.

Abbott i Costello – para komików amerykańskich.

Abdullah Mohammed, Szejjch (1905-1982) – kaszmirski działacz polityczny, obdarzony przez swych zwolenników przydomkiem „Lew Kaszmiru”. Radykalny socjalista. Założyciel partii Konferencja muzułmańska (1932), a następnie Konferencja Dżammu i Kaszmiru. Internowany z przerwami od 1953 do 1964. Odegrał dużą rolę w politycznym uregulowaniu kwestii kaszmirskiej. W latach 1948-1959 i 1975-1982 premier rządu stanowego Dżammu i Kaszmiru.

Abraksas – słowo-zakęcie złożone z greckich liter. Amuletom i klejnotem, na których je wyryto, przypisywano magiczną moc. Ok. I-III w.n.e. pewne sekty chrześcijańskie, na które oddziaływał gnostycyzm, upersonifikowały zakęcie w istotę kosmologiczną. Kult Abraksasa, łączony czasem z kultem boga-słońca, przetrwał aż do XVIII w. Przypuszczalnie jako pierwsi używali tego słowa bazyliidianie, upatrując w nim źródła boskiej emanacji. Bóg A. – zgodnie z wartością liczbową liter swego imienia – rządził 365 sferami oddzielającymi duszę ludzką od należnego jej miejsca przy nieznanym Bogu.

Abu Bakr (573-634) – przyjaciel i doradca Mahometa; jego córka, Aisza, była ukochaną żoną Proroka. Po śmierci Mahometa (632) pierwszy kalif w Medynie.

Abul Kalam Azad (1888-1958) – przywódca i rzecznik demokratycznego skrzydła w ruchu muzułmanów indyjskich na rzecz wyzwolenia kraju. W latach 1940-1946 przewodniczący Partii Kongresowej. W wolnych Indiach minister edukacji.

aćcha – dobrze, dobra; w porządku.

Ad – nazwa mitycznego plemienia olbrzymów i budowniczych górskich fortec. Lud A., często wspominany w tradycji Arabów i w Koranie, miał być zgładzony przez Allaha za pychę i bezbożność.

aficionado – (hiszp.) wielbiciel, miłośnik.

Ahmed – „wysławiany”; jedno z imion Mahometa.

Ahura Mazda – staroirańskie bóstwo porządku kosmicznego, światłości, mądrości i prawdy; zgodnie z doktryną Zaratustry (ok. VI w. p.n.e.) do odwiecznego boju, który A.M. wie dzie z bogiem zła, Arymanem, mogą się również włączyć obdarzeni wolną wolą ludzie.

aja – tubylcza piastunka, niania.

Ajub Chan (1907-1974; Ayub Khan) – pakistański działacz wojskowy i polityczny. W 1947 współorganizuje ewakuację muzułmanów ze wsch. Pendżabu. Od 1951 głównodowodzący armii. W 1958 przejmuje władzę od dotychczasowego prezydenta Iskandara Mirzy. Do 1969 sprawuje urząd prezydenta-dyktatora. 25 marca 1969 rzeka się władzy na rzecz reprezentanta armii Jahji Chana. Przywódca Ogólnopakistańskiej Ligi Muzułmańskiej, twórca zasad systemu samorządowego (Podstawowa Demokracja).

Ali – wł. Ali ibn abi Talib; zamordowany w 661 r. bratanek i zięć Proroka, czwarty kalif (od 656 r.). Potomkowie i stronnicy A. stworzyli „partię Alego”, od której nazwy (sziat Ali) bierze się miano współczesnych szyitów.

Ali Chan – patrz: Lijakat Ali Chan.

Allah-toba – (arab.) Boże uchwaj.

almaria – szafa, zwłaszcza do przechowywania broni, kosztowności, dokumentów, leków itp. (hindi – almari; z portug.).

Amar Sonar Bangla – (beng.) „Nasz Złoty Bengal”, pierwsze słowa wiersza Rabindranatha Tagore’a; tekst tego wiersza stał się hymnem narodowym Ludowej Republiki Bangladesz.

Amina – „wierna”; imię matki Mahometa; popularne wśród muzułmanów imię żeńskie.

amma – matka.

Anand Marg – (z sanskr.) „droga szczęścia”; nazwa ekstremistycznego, quasi-religijnego ugrupowania politycznego działającego w Indiach na przełomie lat 60-tych i 70-tych. Wobec podejmowania przez działaczy A.M. działań o charakterze terrorystycznym partię zdelegalizowano, a jej przywódcę skazano na długoletnie więzienie za

nakłanianie do mordów rytualnych.

anna – do 1957 r. rupia dzieliła się na 16 ann; obecnie na 100 (nowych) pajsów.

ap – pan, pani, państwo; zaimkowa forma grzecznościowa.

Arabia Deserta – Arabia Pustynna; starożytna nazwa centralnego rejonu Półwyspu Arabskiego. Dwie pozostałe jego części to Arabia Petrea (Arabia Kamienista) na północy i Arabia Felix (Arabia Szczęśliwa) na południu.

Ardżuna – bohater *Mahabharaty*, wojownik z rodu Pandawów, syn boga Indry i Kunti, przyjaciel Krysny. Choć przegrał walkę z bogiem Siwą, uzyskał odeń magiczny oręż – łuk Pinakę i wszystkoniszcząca strzałę. Podobnie potężne bronie A. otrzymał także od boga ognia – Agniego, boga wód – Waruny, boga podziemnych światów i śmierci – Jamy, oraz. od Indry. Dary te umożliwiły zwycięstwo Pandawów nad ich krewniakami Kaurawami. A. jest w Indiach wzorem męstwa i wytrwałości w działaniu opartym na posłuszeństwie obowiązkowi kastowemu.

are bap – Ojcie! O, Boże!; zwrot używany dla wyrażenia silnej emocji, np. zdziwienia.

Atharwaweda – „Wiedza formuł magicznych”; czwarta obok Rygwedy, Jadžurwedy i Samawedy ze świętych ksiąg wedyjskich powstałych w okresie XV-VIII w. p.n.e. A. jest zbiorem hymnów i zaklęć skierowanych do bogów, duchów i demonów, także demonów chorób.

Attlee, Clement Richard (1883-1967) – polityk brytyjski, przywódca Partii Pracy (1935-1955), premier (1945-1951); przewodniczył zmianie Imperium Brytyjskiego we Wspólnotę Brytyjską; jego rząd przyznał niepodległość Indiom, Pakistanowi, Birmie i Cejlonowi; współtwórca NATO.

Aung San (1915-1947) – birmański przywódca i bohater narodowy, zamordowany w zamachu. Jeden z głównych rzeczników niepodległości Birmy. Po odłączeniu Birmy od Indii (1937) działa w ugrupowaniu rewolucyjnym „Dobama Asiajon”. Współzałożyciel KP Birmy (1939) i jej pierwszy sekretarz generalny. Po okresie współpracy z Japończykami w walce przeciwko Brytyjczykom (1940-1942) działa w ruchu antyfaszystowskim i staje na czele powstania przeciwko siłom japońskim (1945). W 1946 premier Rządu Tymczasowego. Negocjator i sygnatariusz podpisanego z Wielką Brytanią porozumienia o niepodległości Birmy (1947).

Aurangzeb (1618-1707) – ostatni wielki władca z dynastii Mogołów. Syn Szahdżahana; objął władzę po odsunięciu od niej ojca i zamordowaniu trzech braci. Po 48 latach rządów A. cesarstwo Mogołów uległo rozbiciu. Współcześni uważali go za nietolerancyjnego fanatyka religijnego i despotę. Imię A. znaczy po persku „Ozdoba Tronu”. Nazywano go również Alamgirem, tj. „Światodzierzca”.

awatar(a) – (z sanskr.) „zstąpienie”; wcielenie boga, w szczególności Wisznu, konieczne dla ratowania ludzkości przed zagładą. Hinduizm uznaje dziesięć takich wcieleń – zstąpien Wisznu.

Aziz – „drogi, ukochany”; popularne imię muzułmańskie.

baba – dziecko, mały; pieszczotliwe określenie dziecka używane zazwyczaj przez służbę, niekiedy także przez rodziców.

Babar, Zahir ad-Din Muhammad (1483-1530) – potomek Timura i Czyn-gis-chana, założyciel indyjskiej dynastii Wielkich Mogołów. W latach 1526-1527 podbił północne Indie; w 1529 jego państwo sięgało od Kabulu po Bengal. Poza sławą żołnierską zyskał również renomę jako poeta i teoretyk literatury.

babu – urzędnik niższego szczebla, biurokrata; człowiek wykształcony.

badmaś – (z pers.) nicpoń, łajdak, chuligan.

badźra – rodzaj prosa (*Panicum spicatum*), ważny składnik diety uboższych warstw ludności Indii; tą samą nazwą oznacza się dziś również inne, sprowadzone niedawno do Indii gatunki prosa.

bahini – (beng. z sanskr.) oddział(y); patrz: Mukti Bahini.

banijan – figowiec bengalski (*Ficus bengalensis*); święte drzewo hindusów. Początkowo rozwija się jako roślina epifitowa na innym drzewie; rozrasta się dzięki korzeniom przybyszowym wypuszczanym z gałęzi i zakorzeniającym się w ziemi. Korona jednego ze znanych drzew b. liczy ok. 500 m średnicy. Ze względu na znaczenie kultowe b. sadi się również w pobliżu świątyń, wiążąc w ten sposób symbole góry i drzewa kosmicznego.

Banu Hanifa – nazwa plemienia arabskiego, w którym jeszcze przed pojawieniem się islamu rozpowszechniona była wiara w Jedyne, Miłosiernego Boga.

bap-re-bap – zwrot używany w chwilach zdumienia czy przerażenia; por. are-bap.

bapu – ojciec, tato; popularny przydomek Gandhiego.

bas – (z pers.) wystarczy, dosyć.

basmati – „wonny”; szczególnie ceniony gatunek ryżu.

bazyliidianie – sekta gnostyczna kontynuująca i rozwijająca nauki Bazylidesa Syryjczyka, który działał w Aleksandrii między 120 i 140 r.; sekta przetrwała do IV w. W dualistycznej koncepcji świata b. zło pochodzi z materii, dobro od Boga. Wyzwolenie od zła, równoznaczne z wyzwoleniem od materii, możliwe jest pod warunkiem

wtajemniczenia w alegoryczny sens odwiecznej walki sił kosmicznych i zastąpienia prostej wiary przez ezoteryczną wiedzę.

begam – (z pers.) pani, królowa; zwrot grzecznościowy używany w stosunku do kobiet muzułmańskich.

begam sahiba – królowa, księżna pani; zwrot grzecznościowy wywodzący się z etykiety dworskiej, używany w stosunku do muzułmanek o arystokratycznym pochodzeniu.

behenćod – siostrójebca; częste przekleństwo nawiązujące do tabu kazirodztwa.

Bengalczycy – naród zamieszkujący Bangladesz (ponad 95 mln) i Zach. Bengal w Republice Indyjskiej (ok. 65 mln). W Indiach B. są przeważnie hindusami, w Bangladeszu – muzułmanami. Język bengalski należy do indoeuropejskiej rodziny językowej.

betel – patrz: pan.

bhai – brat.

bhang – napój oszalamiający przygotowywany z młodych liści konopi indyjskich (*Cannabis sativa*).

bhangi – członek jednej z najniższej usytuowanych w hierarchii kastowej grup zawodowych, zmiatacz, czyszciciel ustępów; przenośnie także: „człowiek bez sumienia, łotr”.

bharatanatjam – sztuka klasycznego tańca, kultywowana w płd. Indiach.

Bharat-Mata – (z sanskr.) „Matka Indie”; nazwa Indii – Bharat, Bharatwarsza – nawiązuje z jednej strony do związku plemiennego Bharatów, Arjów wedyjskich, którzy w pierwszej poł. I tys. p.n.e. opanowali obszar pomiędzy rzekami Jamuną (Dżamna) i Saraswati, z drugiej zaś do potomków mitycznego króla Bharaty – Pandawów i Kaurawów znanych z „Wielkiej Wojny Bharatów”, czyli *Mahabharaty*.

Bhawe, Aćarja Winoba (1895-1982) – indyjski działacz społeczny, bliski współpracownik Gandhiego od 1916, kiedy wstąpił do jego aśramu w Ahmedabadzie. Po sformułowaniu programu „Powszechnego Rozwoju” (Sarwodaja) zainicjował ruch na rzecz polepszenia sytuacji bezrolnych, których nie objęły połowiczne reformy. W trakcie długotrwałych pielgrzymek domagał się od właścicieli ziemskich „daru ziemi” (bhudan, od 1951) lub „daru wsi” (gramdan, od 1955). Choć B. cieszył się niezaprzeczanym autorytetem jako kontynuator idei Gandhiego, jego usiłowania nie przyniosły znaczących efektów.

bhel puri – smażony placek pszeniczny podawany z ryżem, soczewicą, cebulą i sosem ćatni.

Bhima – znany ze swej wielkiej siły heros opiewany w *Mahabharacie*, syn Waju, boga wiatru; drugi z pięciu braci Pandawów.

bhimuta – diabeł, demon.

bhudan – kampania przekazywania ziemi bezrolnym rozpoczęta w 1951 w prowincji Andhra Pradeś przez Winobę Bhawego.

Bhutto, Zulflkar Ali (1928-1979) – polityk pakistański; założyciel Ludowej Partii Pakistanu, propagator idei socjalizmu islamskiego, przeciwnik niezawisłości Pakistanu Wsch. (Bangladesz). W latach 1971-1973 pełnił urząd prezydenta, od 1972 do 1977 urząd premiera. Po zwycięstwie w wyborach w 1977 oskarżony przez opozycję o fałszowanie wyników. Odsunięty od władzy wskutek wojskowego zamachu stanu generała Ziaul Haka. W 1978 osadzony w więzieniu i w rok później stracony.

Bi-Appa – „droga pani”; imię żeńskie rozpowszechnione w płd. Indiach.

bibi – (z pers.) pani, dama, żona; zwrot grzecznościowy używany w stosunku do zamężnych kobiet muzułmańskich.

bimbi – pępuszek (w języku dzieci).

biri – tanie, krajowe cygaretki zwijane z liści tytoniu, odznaczające się ostrym zapachem.

birjani (z pers.) – potrawa z mięsa jagnięcego i ryżu.

Birla, Ghanśjam Das – indyjski magnat przemysłowy. Łożył hojnie na Partię Kongresową i działalność aśramów Gandhiego. Choć Gandhi zorganizował pierwszy strajk robotniczy w jednej z jego fabryk, udzielał mu gościny w swej rezydencji w Delhi (Birla House). W ogrodzie tej rezydencji Gandhi padł ofiarą zamachu (30 I 1948).

Blanco – nazwa firmowa substancji służącej do wybielania pasów i innych części ekwipunku wojskowego, używanej zwłaszcza w armii brytyjskiej.

bodhi – (sanskr.) przebudzenie, iluminacja; również nazwa „drzewa Przebudzenia” (pipal, *Ficus religiosa*), pod którym Budda miał – w trakcie długotrwałej medytacji – odnieść ostateczne zwycięstwo nad pokusami świata i zrozumieć sens ludzkiego istnienia. Miejsce, gdzie rosło owo drzewo, jest celem pielgrzymek buddystów z całej Azji (Bodh Gaja w Biharze).

bodhisattwa – (sanskr.) „ten, którego istotą (sattwa) jest przebudzenie (bodhi)”; w buddyzmie mahajanistycznym ten, kto doskonaląc się osiągnął stan, dzięki któremu mógłby się stać w przyszłym wcieleniu Buddą; powodowany miłosierdziem zatrzymuje się jednak na tym etapie, by dopomagać cierpiącej ludzkości.

Bose, Subhas Ćandra (1897-1945) – polityk i publicysta indyjski, działający aktywnie w ruchu

narodowowyzwoleńczym. W latach 1938-1939 przewodniczący Indyjskiego Kongresu Narodowego. Po ucieczce z kraju (1940) wyjeżdża do Niemiec i Japonii, gdzie uzyskuje poparcie dla idei stworzenia Rządu Wolnych Indii (Singapur, 1943) i Indyjskiej Armii Narodowej, operacyjnie podporządkowanej siłom japońskim i niemieckim. Oddziały IAN brały aktywny udział w walkach przeciw Brytyjczykom i lojalnym wojskom indyjskim na froncie birmańskim. Próby zorganizowania oddziałów indyjskich w Europie zakończyły się fiaskiem. B. zginął w nie wyjaśnionych okolicznościach. Jeden z indyjskich bohaterów narodowych.

Brahma – stwórcy świat, jeden z trójcy najwyższych bogów hinduizmu (B., Wisznu i Siwa). Wyobrażany jako czerwony, brodaty mąż o czterech obliczach i czterech rękach, siedzący na lotosie lub łabędziu.

Brahmy dzień – kalpa, czyli 4320 mln lat ziemskich w kosmologii hinduizmu. 360 dni-kalp składa się na rok Brahmy, którego życie ma trwać 100 lat. Obecnie Brahma przeżywa swój 51 rok.

bramin – (sansk. brahmana) w społeczeństwie indyjskim członek najwyższej kasty. Pierwotnie b. stanowili odrębny stan (warna) – warstwę kapłanów, specjalistów rytualnych i nauczycieli. Dziś, utraciwszy wiele ze swych dawnych przywilejów, dzielą się na ok. 2000 podgrup i wykonują także zawody świeckie.

brindżał – (z pers.) bakłażan.

Budda – (sansk.) „przebudzony”; deifikowany założyciel buddyzmu. Wł. imię Siddhartha Gautama z rodu Śakjów. Żył najprawdopodobniej w latach 563-483 p.n.e. Wg tradycji buddyjskiej opuścił dom w wieku 29 lat i po siedmiu latach wędrówek i umartwień osiągnął wiedzę o sposobie, w jaki istota ludzka może przezwyciężyć cierpienie. Resztę życia poświęcił aktywnemu nauczaniu. W hinduizmie B. jest przedostatnim, dziewiątym wcieleniem Wisznu, zesłanym na świat, by opętał swą nauką nieprzyjaciół bogów i oddzielił prawowiernych wyznawców od ludzi bezbożnych.

bulbul – (pers.) ptak Azji i Afryki z rodziny *Pycnonotidae* odznaczający się pięknym śpiewem, stąd uważany najczęściej za słowika. Często występuje w poezji, przyswojony literaturze ang. przez Toma Moore’a. Modny w Polsce w epoce romantyzmu (na Krymie nazywano tak Mickiewicza).

burka – (arab.) nakrycie głowy noszone przez kobiety muzułmańskie, zakrywające całą twarz prócz oczu.

Chadidża – pierwsza żona Mahometa.

Chajber – przełęcz prowadząca z Afganistanu do Pakistanu; ważny strategicznie punkt graniczny w górach na zach. od Peszawaru.

Chalid ibn Sinan – przedislamski święty mąż zapowiadający koniec świata i nadejście Proroka.

Chalila – (arab. chalilullah) „przyjaciel Boga”; epitet Abrahama.

Chan, Jahja (1917-1980; Yahya Khan) – generał, głównodowodzący armii pakistańskiej; po ustąpieniu Ajuba Chana (1969) wprowadził w Pakistanie stan wyjątkowy, zawiesił przejściowo konstytucję i ogłosił zakaz działalności partii politycznych. Prezydent Pakistanu w latach 1969-1971. Po zwycięstwie wschodniopakistańskiej Ligi Awami w wyborach 1970 i nasileniu się ruchu autonomistów bengalskich wydał rozkaz przeprowadzenia wojskowej pacyfikacji Pakistanu Wsch., co doprowadziło do konfliktu zbrojnego z Indiami i powstania państwa Bangladesz (1971). W latach 1972-1974 więziony jako zdrajca narodu.

chansama – (pers.) „pan zapasów”; kucharz.

Connaught Place – centralny plac Nowego Delhi i główne centrum „eleganckiego” handlu. Pod arkadami budynków otaczających krągły plac widać swój proceder wielu żebraków, oszustów-wróżbitów, różnego pokroju naciągaczy i pokątnych handlarzy. Ulubione miejsce spotkań towarzyskich.

Cornwallis, Charles Lord (1738-1805) – polityk angielski. W latach 1786-1793, 1797 i 1805 gubernator generalny Kompanii Wschodnioindyjskiej w Bengalu; twórca kodeksu prawnego Indii.

coup de grace – (franc.) „cios łaski”; decydujący cios, zdarzenie kładące czemuś kres.

Cripps, Stafford Sir (1889-1952) – polityk brytyjski, minister z ramienia Partii Pracy w koalicyjnym rządzie wojennym Churchilla. W marcu 1942 złożył w imieniu rządu brytyjskiego deklarację zapewniającą po wojnie status dominialny dla poszczególnych prowincji i utrzymanie prawnego statusu tzw. państw książęcych. Po kilku dniach nieudanych rokowań z przywódcami Partii Kongresowej deklarację odwołał. Ponownie w Indiach w 1946 jako szef Misji Rządowej; patrz: Misja Rządowa.

Curzon, George Nathaniel Lord (1859-1925) – polityk brytyjski, w latach 1898-1905 wicekról Indii i generalny gubernator. Umocnił wpływy brytyjskie w Tybecie, Persji i Afganistanie.

Czarna Dziura Kalkuty – loch w forcie kalkuckim, gdzie nocą 25 lipca 1756 uduśiło się z braku powietrza 123 z ogólnej liczby 146 Anglików uwięzionych po zdobyciu Kalkuty przez nababę bengalskiego Siradż ud-Daulę.

czarny kamień – (arab.) al-Hadžar al-aswad; największa świętość muzułmanów w świątyni Kaaba w Mekce. Kamień, najprawdopodobniej pochodzenia meteorytowego, ma ok. 30 cm średnicy i wbudowany jest w „sześcian” (arab. kaaba) na wysokości ok. 1,5 m przy jego wschodnim rogu.

Czerwony Fort (Lal Kila) – warownia wzniesiona w poł. XVII w. przez cesarza Szahdżahana w Delhi. Na terenie fortu,

otoczonego wysokim murem z czerwonego piaskowca, znajdują się pałace, hale audiencyjne, łaźnie, pawilony wypoczynkowe i meczety. **Czindici** – oddziały partyzanckie dowodzone przez Wingate'a; patrz: Win-gate.

ćaća – stryjek, stryjaszek; popularny przydomek Dżawaharlala Nehru.

ćadar – (z pers.) prześcieradło, obrus, kapa na łóżko; rodzaj mantyli (sporządzanej z jednego kawałka bawełnianej materii) spowijającej noszącą ją osobę od stóp do głów.

ćal – duży dom mieszkalny; czynszówka, zwłaszcza w przemysłowych dzielnicach większych miast.

ćalu-ćai – „herbata-w-chodzie”; mocna herbata parzona z mlekiem i cukrem, sprzedawana na ulicach miast i na stacjach kolejowych.

ćambeli – kwiat o bardzo silnym zapachu, rodzaj jaśminu (*Jasminum grandiflorum*).

Ćamunda – jedna ze straszliwych form bogini Durgi, żony Siwy. Wskoczywszy według mitu ze zmarszczonego w gniewie czoła Durgi zabiła dwa zagrażające zamieszkałym światom demony – Ćandę i Mundę. Ć. przedstawia się jako czarna, wyschniętą staruchę o przerażającym wyglądem, przybraną w krwawą skórę zdartą ze słonia i girlandę z ludzkich zwłok. Manifestacja mocy intelektu symbolizowanego przez Durgę.

ćana – groch włoski (*Cicer arietenum*); prażony groch przyprawiany na ostro, popularny przysmak sprzedawany przez przekupniów ulicznych.

Ćanda Sahib – pretendent do władzy w Karnatiku w okresie francusko-angielskiej rywalizacji o Dekan (płd. Indie, 1749-1752). Sojusznik Francuzów.

Ćand Bibi – regentka dekańskiego królestwa Bidżapur, obrończyni twierdzy w Ahmadnagarze; zginęła w trakcie oblężenia twierdzy przez wojska Wielkiego Mogoła Akbara (1600).

Ćandelowie – klan radżpucki, spokrewniony najprawdopodobniej z aboryge-nalnymi Gondami z centralnych Indii. W X-XI w. Ćandelowie walczyli o hegemonię na obszarze odpowiadającym z grubsza dzisiejszemu stanowi Madhja Pradeś. Budowniczo wiełu świątyń w Khadźuraho. Ziemię Ć. zostały włączone do Sułtanatu Delhijskiego na pocz. XIV w.

Ćandi – (sansk.) „gniewna”; straszliwa forma przybrana przez boginię Durgę, żonę Siwy, dla pokonania demona Mahiszy.

ćand-ka-tukra – okruch księżycy.

Ćandni Ćauk – (ang. Chandni Chowk) „Ulica Srebrna”; główna ulica Starego Delhi, prowadząca od Czerwonego Fortu do meczetu Fatehpuri.

Ćandrigar, J.S. (Chundrigar) – polityk pakistański; pełnił funkcję premiera w październiku 1957 r.

ćapati – cienkie podpiłomyki spożywane w płn. Indiach zamiast chleba; ć. przygotowuje się z nie zakwaszonej mąki.

ćappale – skórzane sandały, trepy.

ćaprasi – goniec, posługacz; szeregowy funkcjonariusz policji.

ćaras – narkotyk sporządzany z kwiatów konopii indyjskich (*Cannabis sativa*).

ćarpai – (z pers.) „czwornóg”; rodzaj łóżka pokrytego najczęściej plecionką sznurkową.

ćatar-matar – rodzaj grochu (*Pisum sativum*), rosnący dziko i dojrzewający w okresie zbiorów wiosennych; na ogół zbierany jako pasza dla bydła; nasiona, niekiedy mieszane z jęczmieniem, spożywane bywają przez uboższe warstwy ludności Indii.

ćatni – (ang. chutney) gęsty, pikantny sos przyrządzany z kwaśnych owoców (np. jabłek, pomidorów, manga) z rodzynkami, cebulą, octem i przyprawami.

Ćaudhuri, Muhammad Ali (Chaudhri) – polityk pakistański, w latach 1955-1956 premier Pakistanu.

ćawanni – wycofana z obiegu moneta o wartości 4 ann.

ćhaja – cień, pora popołudniowa

Ćhamb – górzysty rejon w płd.-zach. części Kaszmiru przecięty przez strategiczną szosę Dżammu-Śrinagar. W pierwszym etapie drugiej indyjsko-pakistańskiej wojny o Kaszmir (1965), wywołanej bezpośrednio przenikaniem do Kaszmiru pakistańskich grup dywersyjnych, armia indyjska zajęła przełęcz graniczne. Pakistan odpowiedział ofensywą w rejonie Ć. dążąc do odcięcia posiłków indyjskich dla Śrinagaru.

ćhi-ćhi – fe, fuj.

ćhota peg – (hind. i ang.) „mały trunek”; pół miary trunku, najczęściej whisky lub whisky z wodą sodową.

ćinar – (z pers.) platan kaszmirski (*Platanus orientalis*).

ćirija – ptak; kier w kartach.

ćugha – (z turec.) kaftan, luźna szata wierzchnia Kaszmirczyków.

ćup – cicho, sza!

dahi – jogurt podawany do pikantnych dań.

dais – (ang.) podwyższenie, podium weselne.

daktari – (z ang.) lekarski, leczniczy; praktyka lekarska.

dal – ogólna nazwa wielu gatunków soczewicy indyjskiej; także potrawa z soczewicy z curry.

Dalhousie, James Andrew Lord (1812-1860) – polityk brytyjski; w latach 1848-1856 gubernator generalny indyjskich posiadłości Kompanii Wschodnioindyjskiej. Prowadził politykę aneksji terytorialnych i konsolidacji władzy brytyjskiej. Przeprowadził reformę administracyjną.

Dange, Śripad Amrit – polityk indyjski, działacz międzynarodowego ruchu robotniczego; w okresie międzywojennym organizator strajków, wielokrotnie więziony. Współzałożyciel KP Indii. Od 1949 generalny sekretarz Indyjskiego Kongresu Zw. Zawodowych; w latach 1962-1980 przewodniczący KP Indii. W 1981 usunięty z partii.

darbar – (z pers.) ceremonialne przyjęcie; audyencja, w której uczestniczą wasale władcy, dworzanie i urzędnicy państwowi. Audyencje oficjalne generalnych gubernatorów i wicekrólów w brytyjskich Indiach nawiązywały do ceremoniału dworskiego Mogołów.

Daud – Dawid, biblijny król Judy i Izraela, syn Salomona (Sulejmana), wspominany również w Koranie.

deo – bóg.

deodar – „boskie drzewo”; cedr indyjski (*Cedrus deodard*).

Desai, Morardźi Rančhodźi – wybitny polityk indyjski. Minister finansów w rządzie Nehru i główny kandydat prawicy Partii Kongresowej na jego następcę. W latach 1967-1969 wicepremier w rządzie Indiry Gandhi. Jeden z „bossów” tzw. „syndykatu”. Po rozłamie w Partii Kongresowej (1969) przywódca opozycyjnej Partii Kongresowej. W latach 1974-1975 jeden ze współorganizatorów akcji nieposłuszeństwa obywatelskiego i przywódca Frontu Ludowego (Dżanata Morča). Po wprowadzeniu stanu wyjątkowego w 1975 internowany. W 1977 stanął na czele anty-Kongresowego bloku wyborczego „Partii Ludowej” (Dżanata). W latach 1977-1979 premier Indii.

Dewi – (sansk.) bogini; przybiera wiele imion i postaci, zależnie od natury swego małżonka (np. Siwy czy Wisznu), którego aktywną moc (śakti) manifestuje.

dharmacakra – (sansk.) koło dharmy; symbol uniwersalnej władzy królewskiej i prawdy o istocie kosmicznego działania się, w którym uczestniczą również ludzie. Wg buddystów wprawione w ruch pierwszym kazaniem Buddy w Sarnath. Dla buddystów jest to przełomowy moment w dziejach ludzkości: po raz pierwszy zostały wypowiedziane „cztery szlachetne prawdy”: o nieodłączności cierpienia od nieświadomego bytu, o powstawaniu cierpienia, jego zniszczeniu i drodze prowadzącej do zniszczenia, którą jest „ośmioraka szlachetna ścieżka”, dostępna wszystkim istotom ludzkim.

dhoban – praczka.

dhobi – pracz.

dhoti – rozpowszechniony w płn. i zach. Indiach ubiór męski; płat (na ogół białej) tkaniny bawełnianej owijany wokół bioder; luźny koniec dh. przekłada się między nogami i zatyka z tyłu za pas.

dhow – jednomasztowa łódź arabska, zwykle z długim, wysuniętym ku górze dziobem, wysoką rufą i otwartym śródkręciem.

dija, diwa – lampka oliwna, kaganek; zapalanie kaganków jest ważnym elementem większości ceremonii o charakterze religijnym.

Dilli dekho – „obejrzyjcie Delhi!”

Diwali – „Święto Kaganków” przypadające na zakończenie zbiorów jesiennych i tym samym rozpoczynające nowy rok finansowy. Światło zapalanych w świąteczny wieczór lampek ma przywołać do każdego z domostw boginię Szczęścia i Dobrobytu (Lakszmi).

diwan-i-chas – (pers.) sala audyencji prywatnych w pałacach władców indyjskich.

DMK (Drawida Munnetra Każagam) – Drawidyjska Partia Postępu; odłam DMK – Wszechindyjska Drawidyjska Partia Postępu (AIDMK) sprawuje przez ostatnie 11 lat władzę w stanie Tamilnadu.

Dubasz – nazwisko „mówiące”; (z sanskr.) „posiadacz dwóch języków” – tłumacz, pośrednik, mediator; we wczesnym okresie kolonialnym osoba znająca angielski lub francuski i równocześnie jeden z ważniejszych języków indyjskich. Specjaliści tego rodzaju tworzyli – czerpiąc zyski ze współpracy z władzami kolonialnymi – załazek nowych elit indyjskich.

dunija dekho – „obejrzyjcie świat!”

dupatta – długi muślinowy szal kobiety zszyty z dwu płatów tkaniny.

Durga – (sansk.) „niedostępna”; bogini związana z aborygenalnym kultem gór, wegetacji i ognia, manifestacja

niszczycielskiej mocy Siwy. W dziesięciu straszliwych formach-aspektach (m.in. jako Kali) pokonała zagrażających światom gigantów – demonicznych przeciwników boskiego ładu.

Dyer, Reginald Edwards (1864-1927) – generał (brygadier) brytyjski odpowiedzialny za przeprowadzenie akcji policyjnej i masakrę w Amritsarze 13 kwietnia 1919. (Nazwisko „mówiące” przez związek z ang. czasownikami to die – „umrzeć, umierać” i to dye – „farbować, ufarbować”; ang. dyer to „farbiarz”.)

Dzień Kokosu – święto obchodzone w Bombaju na zakończenie monsunu na przełomie lipca i sierpnia. Uroczystościom towarzyszą zbiorowe kąpiele w morzu; bramini zmieniają ceremonialnie świętą nić, symbolizującą stan inicjacji i noszoną na ukos wokół tułowia.

Dzień Republiki – święto obchodzone 26 stycznia; upamiętnia ustanowienie Indii republiką i wejście w życie nowej konstytucji. W dniu święta odbywa się w Delhi widowiskowa parada.

Dżalijanwala Bagh – plac w Amritsarze (Pendżab), na którym zmasakrowano uczestników pokojowej demonstracji, protestujących przeciwko deportacji Gandhiego z Pendżabu. Oddział wojsk brytyjskich (gurkhów) otworzył z rozkazu gen. Dyera ogień przeciwko demonstrantom. Wg danych opublikowanych przez komisję rządową na Dż.B. zabito 379 ludzi, a 1200 zraniono. Wg danych Kongresu liczba zabitych sięgała 1200, a rannych 3600.

dżanam – pieszczotliwy zwrot: życie moje, kochanie, serduszek.

Dżana Sangh – „Zgromadzenie Ludowe”, prawicowa partia indyjska, nawiązująca w swym programie do ideologii wielkohinduskiej; po rozwiązaniu w 1977 weszła w skład partii Dżanata.

Dżanata – wł. Bharatiya Dżanata Parti (Indyjska Partia Ludowa), indyjska partia polityczna powstała z sojuszu anty-Kongresowych partii opozycyjnych. W latach 1977-1979 u władzy.

Dżanata Morča – „Front Ludowy”, koalicja wyborcza partii i ugrupowań opozycyjnych zawiązana w 1975 przed wyborami do Zgromadzenia Ustawodawczego w Gudżaracie (zach. Indie). W wyborach tych Partia Kongresowa poniosła klęskę.

Dżatowie – warstwa średniozamożnego chłopstwa w płn.-zach. Indiach i Pakistanie. Znaczenie polityczne Dż. sięga XVII-XVIII w., kiedy wystąpili masowo przeciwko administracji mogolskiej. Wielki odłam Dż. związał się z sikhizmem, pozostali wyznają islam i hinduizm.

dżawan – żołnierz; chwyt; młodzieniec.

dżawar – nazwa indyjskich odmian sorga (*Sorghum vulgare*, *Andropogon sorghum*, *Hokus sorghum*), także prosa i kukurydzy.

dżi – odpowiednik polskiego „pan, pani”; dodawany do nazwisk, tytułów i terminów pokrewieństwa dla wyrażenia szacunku, niekiedy łączy się z nazwiskami w nierozdzielną całość.

dżiwandan – (z sanskr.) „dar życia”; jedno z hdeśł kampanii bhudan zapoczątkowanej przez A. W. Bhawego na rzecz bezrolnych. Bhawe twierdził, że reforma powinna się dokonać za sprawą zmiany w sercach właścicieli ziemi. Zarzut, że fragmentaryzacja gruntów uprawnych nie sprzyja rozwojowi rolnictwa, odpierał mówiąc, iż woli rozparcelowaną ziemię niż rozparcelowane serca.

dżulus – (z arab.) orszak (koronacyjny); uroczysty pochód, procesja.

Dżahangir (1569-1627) – (pers.) „Zdobycyca Świata”, syn i następca Akbara, największego władcy z timurydzkiej dynastii Wielkich Mogołów. Do wstąpienia na tron znany jako książę Salim. Panował w latach 1605–1627.

Dżahannum – (arab.) piekło w tradycji islamu (Gehenna).

Dżamila – „piękna”; częste imię żeńskie; Dżamila Śpiewaczka nawiązuje do imienia pieśniarki arabskiej występującej w 720 r. w Medynie.

dżellaba – luźny wełniany męski strój arabski z kapturem, długimi rękawami i tuniką.

dżihad – (arab.) „święta wojna”, szerzenie lub obrona islamu za pomocą oręża; obowiązek każdego muzułmanina (uznawany czasem za szósty przepis obok „pięciu filarów” kultu muzułmańskiego).

dżinista – wyznawca dżinizmu, religii uniwersalistycznej zapoczątkowanej w Indiach przez Wardhamanę Mahawirę (540-468 p.n.e.), zwanego również Dżina („Zwycięzcą”). Wg doktryny Dżiny w świecie istnieją dwie wieczne zasady: dziwa (dusza) i adżiwa (to, co nie jest duszą); duszę posiadają także zwierzęta i rośliny. Podstawą etyki dżinizmu jest nakaz nieczynienia krzywdy istotom obdarzonym duszą (ahinsa), a celem życia jest wydostanie się z kołowrotu wcieleń. Mnisi dżinijscy często noszą maski z gazy, by nie połknąć żadnego żyjątka, niekiedy zamiatają przed sobą drogę. Laicy dżinijscy nie uprawiają zawodów rolniczych jako związanych z zadawaniem gwałtu.

dżinn – (arab.) w okresie przedislamskim bezosobowe bóstwo. Zgodnie z tradycją muzułmańską Allah stworzył dż. z ognia. Choć jako istoty ogniowe lub powietrzne nie posiadają one ciała, są jednak obdarzone rozumem. Dż. przybierają różne postacie i mogą służyć człowiekowi wypełniając wszystkie jego rozkazy. Mogą jednak także zawiądnąć człowiekiem i sprawić, że stanie się szaleńcem (madżnun).

Dżinnah, Mohammed Ali (1876-1948; Jinnah) – twórca Pakistanu; w pierwszej fazie swej kariery politycznej działał w

Partii Kongresowej. Od 1934 przewodniczący Ligi Muzułmańskiej. W latach 1940-1947 główny rzecznik utworzenia odrębnego państwa muzułmańskiego w Indiach. Od 1947 pierwszy gubernator generalny Pakistanu.

ek-dam – raz-dwa, szybko.

Elphinstone, Mountstuart Lord (1779-1859) – wysoki urzędnik brytyjski w Indiach, w latach 1819-1827 gubernator Bombaju. Świetny administrator, rzecznik powszechnego wykształcenia, autor reformy sądownictwa indyjskiego. Pozostawił dwutomową *Historię Indii*.

faluda – rodzaj podawanej na zimno zupy mlecznej, gotowanej na słodko z cienkim makaronem, galaretką lub tapioką.

Fatiha – pierwsza „Otwierająca” sura Koranu. Recytuje się ją przed każdą modlitwą i przy ważnych okazjach życia codziennego (na początek dnia pracy, przy zawieraniu umowy handlowej itp.).

faudź – (z arab.) armia.

flaga Indii – zaprojektowana pierwotnie w 1919 przez Gandhiego jako flaga Partii Kongresowej: trzy poziome pasy w kolorach szafranu (barwa ubioru ascetów indyjskich), bieli i zieleni (barwa islamu); na pasie środkowym kołowrotek, symbol pracy. Wraz z uzyskaniem przez Indie niepodległości członkowie Kongresu zmienili kołowrotek na dharmacakra, koło porządku kosmicznego, znak władzy buddyjskiego cesarza Aśoki (III w. p.n.e.).

Frontier Mail – pociąg pośpieszny z Bombaju do Pathankotu w Dżammu (pokonujący tę trasę w blisko półtorej doby).

fantuś – skończony, zrujnowany, „załatwiony”.

gaiwala – „ten od krów”; pastuch, kowboj.

Gaja – miasto w Biharze, w pobliżu którego Budda doznał przebudzenia.

Ganapati – (sanskryt.); „pan zastępów” epitet słoniogłowego boga Ganeśi, uważanego w popularnej mitologii za syna Siwy; G. przewodzi grupie półbogów towarzyszących Siwie.

Gandharwa – w mitologii wedyjskiej istota niebiańska, stróż boskiego napoju nieśmiertelności, związany ze Słońcem i światłem dnia; gandharwowie późniejszej mitologii to boscy muzykanci i pieśniarze.

Gandhi, Feroze (1912-1960) – działacz lewicowy pochodzący z zamożnej rodziny bombajskich parsów, dziennikarz i poseł do parlamentu indyjskiego. Od 1942 mąż Indiry Gandhi, ojciec jej synów. Od 1947 w separacji z żoną. Na wiele lat przed śmiercią przeciwnik polityki wewnętrznej Nehru.

Gandhi, Indira Prijadarśini (sanskryt. – „zachwycająca oczy”) (1917-1984) – córka Dżawaharlala i Kamali Nehru. Przewodnicząca Partii Kongresowej w latach 1959-1960, przywódczyni Partii w latach 1966-1977 i od 1978; w latach 1966-1977 pełniła urząd premiera. W 1975 Sąd Stanowy w Allahabadzie wydał niekorzystny dla niej wyrok w sprawie o wykroczenia przeciwko prawu wyborczemu, anulując tym samym jej mandat poselski, nakazując złożenie urzędu premiera i pozbawiając ją na sześć lat prawa do ubiegania się o urząd obieralny. W obliczu zagrożenia dla przyszłości politycznej Partii Kongresowej wystąpiła do prezydenta z wnioskiem o wprowadzenie w kraju stanu wyjątkowego, który trwał do 1977. W tym samym roku przegrała w wyborach parlamentarnych. Po dwuletnim okresie rządów bloku partii opozycyjnych (Dżanata) odzyskała władzę i urząd premiera (1980). Zginęła zamordowana przez sikhijskich członków własnej straży przybocznej – w odwecie za rozkaz ataku zbrojnego na opanowaną przez separatystów sikhijskich Żółtą Świątynię w Amritsarze.

Gandhi, Mohandas Karamchand (1869-1948) – niekwestionowany przywódca duchowy indyjskiego ruchu narodowowyzwoleńczego, ściśle związany z Partią Kongresową. Ideolog niestosowania przemocy w walce politycznej, wypracował techniki „nieposłuszeństwa obywatelskiego” i „trwania przy prawdzie”. Kilkakrotnie więziony. Uczestniczył wiele razy w prowadzonych z władzami brytyjskimi negocjacjach w sprawie niepodległości Indii. Znany na całym świecie – dzięki dramatyzmowi prowadzonych przez siebie głódówek – jako Mahatma, „Wielki duchem”. Zginął z rąk zamachowca.

Gandhi, Radżiw (ur. 1945) – pierwszy syn Indiry Gandhi. W latach 1983–1984 generalny sekretarz, od 1984 przewodniczący Partii Kongresowej. Po śmierci Indiry Gandhi (1984) objął urząd premiera.

Gandhi, Sandżaj (1946-1980) – drugi syn Indiry Gandhi. Od 1976 członek Komitetu Wykonawczego Wszehindyjskiego Kongresu Młodzieży, w 1980 generalny sekretarz Partii Kongresowej. Dyrektor fabryki samochodów małowadzących „Maruti”. Zginął pilotując własny samolot.

Ganeśa – (sanskryt.) „pan zastępów”; bóg mądrości wzywany przy rozpoczynaniu wszelkich ważnych czynności jako ten, który usuwa przeszkody. Syn Siwy i Parwati („Córki Gór”). Wyobrażany jako tłusty mężczyzna z głową słonia.

Ganeśa Ćaturthi – (sanskryt.) święto boga Ganeśi obchodzone na przełomie sierpnia i września. Szczególnie uroczysty charakter mają obchody tego święta w Bombaju, gdzie po adoracji glinianych podobizn boga wierni niosą je w kolorowej procesji na plażę Ćaupatti i zatapiają w morzu.

Ganges – święta rzeka hindusów, personifikowana jako bogini Ganga.

garam masala – (hind. i pers.) ostra przyprawa korzenna, mieszanka cynamonu, goździków, pieprzu, kminku, kardamonu, kolendru, gałki muszkatołowej i asafetydy.

gari – wóz, powóz; wagon, pociąg.

garibi hatao – „usuń nędzę” lub „precz z nędzą!”; slogan wyborczy, którym Indira Gandhi zapewniła sobie oszałamiające zwycięstwo w wyborach 1971.

Garuda (Garutnant) – (sansk.) mityczny ptak, boski orzeł, odwieczny wróg demonicznych Węży i „wierzchowiec” boga Wisznu. Wyobrażany jako skrzydlaty mężczyzna z głową ptaka.

gekon – duża jaszczurka z rodziny *Gekkonidae* o charakterystycznym skrzekliwym głosie.

ghat – rzeczny taras nadbrzeżny, miejsce rytualnych kąpielei; na jednym z ghatów w Benaresie pali się zwłoki ludzi.

Ghaty Zachodnie – łańcuch górski na zachodnim progu wyżyny Dekkańskiej w płd.-zach. Indiach.

Ghaznawidzi – turecka dynastia władająca w okresie od 962 do 1186 terytorium obejmującym Afganistan, wsch. Iran i dzisiejszy Pakistan (ze stolicą w Ghaznie). Największe rozmach państwo Ghaznawidów osiągnęło za panowania Mahmuda, który rozpoczął podporządkowywanie północnych Indii islamowi.

ghi – topione sklarowane masło, sam tłuszcz bez innych składników mleka, zdatny do przechowywania w wysokich temperaturach indyjskiej pory gorącej.

Ghulam, Mohammed – polityk pakistański; w latach 1951-1955 generalny gubernator Pakistanu.

Gir – rezerwat leśny na półwyspie Kathijawar w Gudżaracie (zach. Indie).

Goa – położona na zach. wybrzeżu Indii część terytorium związkowego Goa, Daman i Diju. Od XVI w. do 1961 kolonia portugalska, przyłączona do Indii po błyskawicznej operacji wojskowej.

godam – skład, magazyn.

Godse, Nathuram Winajak (1912-1949) – zabójca Gandhiego, bramin z Puny koło Bombaju. Aktywista wielkohinduskiej partii Mahasabha i jej skrzydła paramilitarnego (RSS). Od 1944 wydawca gazety „Hindu Rasztra” (Państwo hindusów) publikującej teksty o wydzwieku antygandhystowskim. Zaplanował wraz z innymi fanatykami zamach na życie Gandhiego (któremu przypisywał winę za podział Indii) i był jego wykonawcą. Skazany na śmierć i powieszony.

gramdan – (z sanskr.) „dar wioski”; system scalania gruntów we wsiach, w których bezrolni otrzymali małe kawałki ziemi w ramach kampanii prowadzonej przez A.W. Bhawego. Wsie te miały być następnie reorganizowane w gospodarstwa spółdzielcze.

Grundrisse – (niem.) pryczyńki; aluzja do *Grundrisse der Kritik der politischen Ökonomie* (Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej) Karola Marksa.

Gudżarowie – grupa plemienna przybyła wraz z Hunami do Indii (ok. VI w.). W płn.-zach. Indiach G. zajmują się wypasem bydła i owiec.

gudżarati – język indoeuropejski, którym posługuje się ok. 40 mln ludzi w stanach Gudżarat i Maharasztra w zach. Indiach.

gulab-dżaman – (pers. i hind.) rodzaj słodczy o kształcie owocu jabłoni różanej (*Eugenia jambos*), nasączanych najpierw masłem topionym, a potem zanurzanych w słodkim syropie.

Gulmarg – (pers. i kaszm.) „łaka kwiecista”; założona przez Brytyjczyków górską osada wypoczynkowa, (okręg Baramula ok. 2600 m n.p.m.), skąd rozciąga się panorama na całą Dolinę Kaszmirską i szczyt Nanga Parbat. Urzędnicy i wojskowi brytyjscy chronili się w G. przed skwarem niżej położonych miast. Dziś elitarny ośrodek wypoczynkowy przyjmujący gości nawet w zimie.

guln liar – ozdobne drzewo tropikalne (*Poinciana regia*) o dużych szkarłatnych kwiatach; pochodzi z Madagaskaru.

gunda – chuligan, opryszek, najęty osiłek.

gur – nie rafinowany cukier z trzciny cukrowej, sprzedawany w niewielkich „głowach”.

Gurkhowie – ogólna nazwa tych górskich plemion w Nepalu, których członkowie służyli od XIX w. w armii brytyjskiej. Podczas II wojny światowej G. odznaczyli się m.in. w bitwie pod Monte Cassino.

guru – (sansk.) nauczyciel, przewodnik duchowy, mistrz przekazujący nauki o treści religijnej; przywódca którejś z hinduskich sekt religijnych.

guru Nanak – patrz: Nanak.

haddi-pehelwan – (hind. i pers.) „zapaśnik (o mięśniach twardych) niczym kość”; ironicznie: chudzielec, chuchro.

hadis, hadith – opowieść o słowach i czynach Mahometa lub jego przyjaciół. Zbiór h. (oprac. w IX w.) jest ważnym źródłem wiedzy religijno-prawnej muzułmanów wspomagającym interpretację tych przepisów, które nie zostały w Koranie jasno sformułowane.

Hadramaut – górzysta, rzadko zaludniona kraina na płd. Półwyspu Arabskiego. Pierwsze państwo H. zawiązało się na przełomie II i I tys. p.n.e. Od VII w. islamizacja ludności. Lud wywodzący się od Hadramauta, syna Kathena, należący do tzw. plemion zaginionych, wspominany w Koranie i Starym Testamencie.

hadżdż – (arab.) „udawać się dokądś; obchodzić w koło”; pielgrzymka; od czasów Mahometa pielgrzymka do Mekki, jeden z pięciu nakazów islamu. Każdy muzułmanin winien odbyć h. przynajmniej raz w życiu.

al-Hadżdżadż ibn Jusuf – wybitny dowódca i polityk epoki Omajjadów. W latach 694-714, tj. w okresie przygotowań do wyprawy wojennej Arabów na Sindh i Multan (dzisiejszy płd. i śród. Pakistan) gubernator Iraku. W legendach szyitów przykład człowieka niesprawiedliwego i okrutnego.

hadżi – muzułmanin, który odbył pielgrzymkę do Mekki (hadżdż).

hakim – (arab.) lekarz stosujący medycynę arabską (opartą na medycznych teoriach Hipokratesa, Arystotelesa i Galena).

hakimi – (pers. z arab.) medycyna arabska.

halal – (arab.) „prawowity”; nadający się do spożycia, o zwierzęciu: zabity w sposób rytualny, przepisany przez prawo islamu (odpowiednik „koszer” w religii żydowskiej).

hamal – (z arab.) tragarz, służący.

Hanif – „skłaniający się”; arabskie imię męskie; określenie świętych mężów, którzy jeszcze przed nastaniem islamu odwracali się od bałwochwalstwa i skłaniali ku monoteizmowi, nie będąc jednak ani Żydami, ani chrześcijanami.

hansa – (sanskryt.) dziki gąsior, łabędź; w hinduizmie symbol wolnego ducha.

Hanumant – mityczny wódz małp z *Ramajany*, który pomógł Ramie pokonać demona Rawanę; jedno z popularnych bóstw hinduizmu ludowego.

Hanzala ibn Safwan – przedislamski święty mąż zapowiadający koniec świata i rychłe nadejście proroka.

hare – (sanskryt.) „o Boże!”; wezwanie boga, zwłaszcza Wisnu.

hartal – dzień „żałoby”; strajk połączony z zamykaniem sklepów i warsztatów.

Harun ar-Raszid (prawd. 763-809) – piąty kalif z dynastii Abbasydów (od 786), jeden z najsłynniejszych władców muzułmańskich, upamiętniony w *Księdze tysiąca i jednej nocy*.

Hatim al-Tai – przedislamski bohater i poeta żyjący w 2 poł. VI i na pocz. VII w. Choć był chrześcijaninem, pozostał dla Arabów symbolem beduińskiej hojności i gościnności. Znany także z *Księgi tysiąca i jednej nocy*.

Hazratbal – meczet w Śrinagarze (Kaszmir), gdzie przechowuje się włos Mahometa. Kradzież świętej relikwii muzułmanów (27 grudnia 1963) wywołała długotrwałe napięcie i zamieszki w Kaszmirze i Pakistanie.

he Ram – (z sanskryt.) „o Ramo!”; o Boże!

hidżra – (arab.) ucieczka Mahometa przed mekkanską opozycją do Medyny (dawniej: Jasrib). Słowo to tłumaczy się powszechnie jako „ucieczka”, w rzeczywistości oznacza ono „wywędrowanie; zerwanie związków plemiennych, rodowych lub rodzinnych i nawiązanie nowych”. Miasto Jasrib, które przyjęło Proroka, otrzymało później nazwę Madinat an-Nabi („Miasto Proroka”), w skrócie Medyna. Data „wywędrowania” przypada na 16 lipca 622 r. Przyjmuje się niekiedy także daty 25 czerwca lub 24 września. Od h. zaczyna się muzułmańska rachuba czasu; początek roku pierwszego h. liczy się od początku roku, w którym nastąpiła.

hindusi – hinduiści, wyznawcy hinduizmu.

Hindusi – obywatele Indii.

Hira – góra nieopodal Mekki, na której archanioł Dżibril (Gabriel) powiadomił Mahometa o roli Proroka, powierzonej mu przez Boga, i nakazał mu wypowiedzieć słowa pierwszych wierszy Koranu.

Holi – indyjskie święto wiosny (za późnych Mogołów obchodzone także na dworze cesarskim). H. przypada na pełnię księżyca poprzedzającą równonoc wiosenną, a jego uczestnicy posypują się kolorowymi proszkami i polewają wodą.

Humajun (1508-1556) – drugi cesarz z dynastii Mogołów, syn i następca Babara; sprawował rządy w latach 1530-1539. Po piętnastoletnim wygnaniu w Iranie odzyskał władzę nad Pendżabem i Delhi w r. 1555.

Ibn Sina Abu Ali al-Husajn (prawd. 980-1037; Avicenna) – arabski filozof, lekarz, naturalista, poeta i polityk. Wywodził się z perskiej rodziny z Tadżykistanu. Usiłował godzić islam z filozofią grecką przez alegoryczną interpretację nauk religijnych. Jego *Kanonu medycyny* (Ka-nun fi tibb) używano do XVIII w. jako podstawowego podręcznika w naukach medycznych.

Id al-Fitr – święto zakończenia „postnego miesiąca” (ramadanu).

Iqbal, Muhammad (1873-1938; Iqbal) – indyjski poeta, myśliciel i działacz polityczny, piszący w jęz. perskim, urdu i angielskim. Jako przedstawiciel tendencji muzułmańskich w kulturze indyjskiej zwracał się w swych utworach do muzułmanów na całym Wschodzie. Od 1930 rzecznik samodzielnego Pakistanu. Uważany za narodowego poetę Pakistanu.

ikka – lekki jednokonny powóz.

Illijun – nazwa siódmego z muzułmańskich niebios, nad którym znajduje się tron Allaha; miejsce w siódmym niebie, do

którego docierają dusze wiernych i gdzie wyłożone są księgi z zapisem ludzkich uczynków.

Itlutmisz, Szams ud-din – sułtan z delhijskiej dynastii tureckich „królów-niewolników”. Władca Delhi w latach 1211-1236; panował nad wielkimi obszarami Niziny Hindustarskiej, Środkowych Indii i doliny Indusu. Budowniczy wieży Kutb Minar w Delhi. Po jego śmierci władzę sprawowała jego córka, Razijja Sułtana.

Indra – jedno z głównych bóstw indo-irańskich; wedyjski bóg wiatru, burzy i wojny. Jako gromodzierzca I. pokonał smoka, który zatrzymał niebiańskie wody. W hinduizmie I. pełni rolę króla „mniejszych” bogów i stróża wschodniej strony świata. Wyobrażany jako czwororęki mężczyzna z oczyma na całym ciele.

Indyjski Kongres Narodowy (Partia Kongresowa, Kongres) – założona 27 grudnia 1885 w Bombaju najstarsza partia polityczna Indii. Pierwotnie organizacja lojalistyczna. Na przełomie XIX i XX w. platforma walki Hindusów przeciwko władzom kolonialnym. Od 1920 pod wpływem Gandhiego i jego doktryny niezadawania gwałtu. W latach międzywojennych Kongres przekształcił się w partię masową, której program polityczny zawierał (od 1929) postulat niezawisłości Indii. W 1942 Kongres został zdelegalizowany, a jego przywódcy (Gandhi, Nehru) aresztowani. Od 1947 Kongres jest główną siłą polityczną wolnych Indii. W wyborach 1977 stracił na dwa lata pozycję partii rządzącej. Od 1978, po rozłamie dokonanym przez Indirę Gandhi, ugrupowanie partyjne opowiadające się za jej przywództwem przyjęło nazwę IKN (Indira) i stało się od 1980 partią rządzącą.

Inszallah – (arab.) jeśli Bóg sobie życzy, zgodnie z wolą Boga.

Isa – Jezus Chrystus, podług islamu jeden z pięciu największych proroków, poprzedników Mahometa.

Iskandar Wielki (Iskandar Szah) – miana, którymi na Wschodzie obdarzono Aleksandra Macedońskiego (356-323 p.n.e.). W 327 p.n.e. Aleksander wyruszył z Baktrii na wschód, przekroczył Indus i wtargnął do Pendżabu.

Ismail (Izmael) – według tradycji muzułmańskiej praojciec beduirskich plemion północnoarabskich, kilkakrotnie wspominany w Koranie.

ismailici, izmailici – siedmowcy; nieortodoksyjny odłam szyickiego islamu uznający linię siedmiu potomków Alego – imamów. Podług i. siódmym imamem miał być nie Musa al-Kazim, lecz jego brat Ismail. Ruch i. odegrał dużą rolę w rozwoju historycznym krajów muzułmańskich, szczególnie w północnej Afryce (dynastia Fatymidów w Egipcie, X-XII w.) i w Indiach.

itr – wonny olejek do wyrobu perfum.

jar, jara – przyjaciel; członek gangu; także potoczny zwrot: mój drogi, przyjacielu.

Jay Silverheels – aktor indyjski obsadzony w popularnym filmie amerykańskim *Samotny jeździec* u boku Clayтона Moore’a w roli głównej.

Je Akaśwani hai – „tu głos z eteru” („tu mówi radio”); ponieważ w języku uboższych warstw ludności słowo akaś znaczy „niebo, niebios”, złożenie akaśwani (radio) rozumie się w Indiach powszechnie jako „głos z niebios”.

Kaaba – (arab.) „sześcian”; najbardziej czczone sanktuarium islamu położone na dziedzińcu wielkiego meczetu w Mekce, cel dorocznych pielgrzymek muzułmanów.

kabaddi – popularna gra zespołowa chłopców i mężczyzn w płn. i śród. Indiach i Pakistanie, kombinacja „Czarnego Luda” i zapasów.

kaćća – „surowy, niegotowany”; określenie k. użyte w stosunku do domu wskazuje, że zbudowano go z nietrwałych materiałów, na ogół z bloków gliny wymieszanej ze słomą i suszonych na słońcu. Dla wygładzenia i ostatecznego utrwalenia ścian i podłóg takich domów używa się w Indiach powszechnie zaprawy z rzadkiej gliny zmieszanej z krowim nawozem i moczem.

Kaid-i-Azam – (pers. i arab.) „wielki wódz”; przydomek Mohammeda Alego Dżinnaha, twórcy Pakistanu.

Kajlasa – (sanskryt.) mityczna biała góra w Himalajach, siedziba Siwy i Par-wati.

Kali – (sanskryt.) „czarna”; w hinduizmie groźna postać Durgi, małżonki Siwy. Kultowi K., najprawdopodobniej związanemu z aborygenalnymi kultami bogini-matki, towarzyszyły jeszcze w XIX w. krwawe ofiary z ludzi i zwierząt, dziś jedynie ofiary zwierzęce. Wyobrażana jako czarna kobieta o wstrętnej twarzy z naszyjnikami z głów ludzkich na piersiach, trzymająca w dziesięciu rękach różnorakie bronie i akcesoria ofiarne. Uosobienie niszczącej siły pierwiastka kobiecego i materii. Kult K. jest szczególnie rozpowszechniony w Bengalu.

Kalidasa – (sanskryt.) „niewolnik Kali”; najwybitniejszy poeta i dramaturg sanskrycki, żyjący ok IV-V w., rezydent dworski w pałacu Guptów. Autor słynnej *Śakuntali*, dramatu szczególnie cenionego przez Goethego.

kalif – (arab.) „następca”; świecki i duchowny przywódca muzułmański uważany za następcę Mahometa; szyici przypisywali k. jedynie władzę świecką, duchowną zaś – imamom.

kalijuga – (sanskryt.) „żelazny wiek” w tradycyjnej indyjskiej rachubie czasu, ostatnia z czterech epok tzw. mahajugi – „wielkiego eonu”, liczącego 4320000 lat ludzkich i 12000 lat bogów. K. równa jest jednej dziesiątej części „wielkiego eonu” i miała się rozpocząć 18 lutego 3102 r. p.n.e. wraz z zakończeniem wielkiej wojny Mahabharaty.

kamiz – (z arab.) koszula; patrz: salwar-kamiz.

kanaryjski język (kannada) – jeden z czterech głównych języków drawidyjskich, używany przez ok. 32 mln ludzi w indyjskich stanach Karnataka, Andhra, Maharashtra i Tamilnadu.

Karamsthan – (z sanskr.) w astrologii indyjskiej dziesiąty, złowieszczy dom w kręgu horoskopu.

karawanseraj – dom zajezdny, miejsce postoju nocnego karawany.

Karna – legendarna postać z *Uhabharaty*. Syn Słońca i Kunti, matki trzech pierwszych spośród pięciu braci Pandawów. Matka ukryła jego narodziny i pozostawiła własnemu losowi w skrzyni, którą puściła z biegiem rzeki. Choć K. był Pandawą, wziął udział w wojnie jako sprzymierzeniec Durjodhany, wodza Kaurawów. Wzór męstwa i niezachwianej prawości.

kasaundi – rodzaj pikli, marynat owocowych lub warzywnych sporządzanych na oleju.

Kaśjapa – jeden z mitycznych wieszczów (riszi), natchnionych twórców hymnów wedyjskich; boski mędrzec, któremu mitologia indyjska przypisuje udział w tworzeniu świata – K. („żółw”), syn Brahmy i małżonek 13 córek Dakasy, jest ojcem bogów, demonów, gandharwów, Węży, Ptaków i różnych rodzajów zwierząt.

Katarzyna Braganza (1638-1705) – księżniczka portugalska, córka króla Portugalii, Jana IV. Dzięki jej małżeństwu z Karolem II, królem Anglii, w 1662 Anglikom udało się uzyskać Bombaj, który stał się głównym centrum ekspansji brytyjskiej w Indiach.

Kaurawowie – „czarni” bohaterowie *Mahabharaty*; stu synów ślepego króla Dhritarasztry, którzy pod przywództwem Durjodhany walczyli z Pandawami o hegemonię nad północnymi Indiami. Oba rody wywodziły się od jednego mitycznego przodka – Kuru.

kelimskie dywany – dywany tkane techniką gobelinową, kilimy.

Kent, Clark – alter ego Supermana, postaci z komiksów amerykańskich, bardzo popularnych w Indiach.

khićri – ryż gotowany z soczewicą; przenośnie: „groch z kapustą”.

kif – (z arab.) rozkosz, błogostan; stan upojenia po zażyciu haszyszu czy opium; kraina Kif to wschodni odpowiednik Schlaraffenlandu.

Kolahoi – lodowiec (ok. 5400 m n.p.m.) opodal Pahalgam w Kaszmirze.

Koli – nazwa jednej z aborygenalnych grup plemiennych rozprzestrzenionej w okresie inwazji Ariów (XV-XII w. p.n.e.) na wielkich obszarach płn. i śród. Indii. Dziś resztki Kolich zamieszkują niewielkie enklawy w śród. i zach. Indiach, także w okolicy Bombaju, który – jak się zdaje – leży na ich dawnym terytorium plemiennym.

Komisja ds. Reorganizacji Stanów – powołana przez rząd indyjski pod koniec 1953 trójosobowa komisja do rozpatrzenia spraw związanych z podziałem na stany. W październiku 1955 przedstawiła propozycję nowej struktury administracyjnej państwa, wg której granice stanów miały być wyznaczone w oparciu o kryteria etniczne i językowe. Stan Bombaj miał pozostać dwujęzyczny (marathi i gudżarati). Raport komisji rozpętał zamieszki i niepokoje. W 1956 ustawa o podziale administracyjnym została z pewnymi zmianami wprowadzona w życie. Podział stanu Bombaj na Maharasztrę i Gudżarat nastąpił w 1960.

Komunistyczny Partia Indii – założona w 1925, w latach 1934-1942 działała w podziemiu. Po wyborach 1957 druga pod względem liczebności i wpływów partia indyjska. W latach 1957-1959 partia rządząca w stanie Kerala. Wskutek walk frakcyjnych na tle współpracy z Partią Kongresową z KPI wyodrębniła się w 1964 prochiriska KPI (Marksistowska). KPI udziela od początku lat 70-tych poparcia rządzącej Partii Kongresowej.

Kongres – patrz: Indyjski Kongres Narodowy.

Koran (al-Kuran) – (arab.) „recytacja, czytanie”; święta księga wyznawców islamu; zbiór ułożonych w jęz. arabskim tekstów o charakterze głównie religijno-prawnym, opartych na wypowiedziach wygłoszonych przez Proroka Mahometa w Mekce i Medynie. K. ma 114 wierszowanych rozdziałów (sury). Ok. 650 teksty K. kanonizowano i ułożono w jedną księgę, której zawartość pozostaje od VIII w. niezmienna. Cytaty z K. w tekście według przekładu Józefa Bielawskiego (PIW, Warszawa 1986).

korma – (z tur.) mięso duszone w jogurcie, podawane w sosie makowo-kokosowym; ostro przyprawione pieczone mięso.

Krisznammaćari, T.T. – do 1958 minister finansów w rządzie Nehru; ustąpił z urzędu czując się odpowiedzialny za skandal korupcyjny; ponownie w rządzie w latach 1963-1965. Zwolennik rozbudowy sektora państwowego.

krorpati – (z sanskr.) „pan dziesięciu milionów”; milioner.

Królewskie Źródło (Czaszma Szahi) – najmniejszy z ogrodów mogolskich w Kaszmirze, ok. 9 km od Śrinagaru, zaplanowany przez Dżahangira i ukończony przez jego syna Szahdżahana (XVII w.); woda z tego źródła słynie z własności leczniczych.

Kryszna – (sansk.) „czarny”; jedno, z najpopularniejszych bóstw hinduizmu, uważane za ósme wcielenie boga Wisznu. Pierwotnie bóstwo pasterskiego plemienia Jadawów. Wyobrażany najczęściej jako młody, niebieskoskóry mężczyzna grający na flecie. W VI księdze *Mahabharaty* (Bhagawadgita) K. jest królem Jadawów sprzymierzonym z Pandawami i przekazuje Ardżunie wiedzę o boskości porządku społecznego i kosmicznego.

Kuch Nahin Rani – „władczyni Księstwa Nic”; księżniczka bez ziemi.

kulfi – (z pers.) indyjskie lody z dodatkiem szafranu i orzechów.

kundalini – (sansk.) „moc wężowa” drzemiąca u ludzi nie inicjowanych u podstawy kręgosłupa; przebudzona nadaje joginom nadludzka siłę i wiedzę.

Kurowie – wł. Kuru-Pañcalowie, plemię okresu postwedyjskiego władające obszarami u środkowego biegu Gangesu i Jamuny. *Mahabharata* przedstawia spór między dwiema liniami władców tego plemienia (Pandawowie i Kaurawowie).

Kurukszetra – (sansk.) „pole Kurów”; historyczna równina w pobliżu Delhi (w stanie Harijana), miejsce, w którym miała się rozegrać osiemnastodniowa bitwa królów Indii sprzymierzonych z Pandawami i Kaurawami.

Kutb Minar – (arab.) „wysoka wieża, wieża biegunowa”; 73-metrowa wieża zwycięstwa w pld. Delhi. Jej budowę miał rozpocząć Kutb ud-Din Aibak, pierwszy sułtan z władającej od XII w. w Delhi dynastii królów-niewolników. Zakończył ją w XIII w. jego zięć Iltutmisz.

laddu – rodzaj słodczy indyjskich; kulki z mąki z grochu włoskiego przygotowywane z dodatkiem cukru i topionego masła, posypywane niekiedy wiórkami kokosowymi; 1. ofiarowuje się często bóstwom w świątyniach, zwłaszcza Ganeśi.

lajla – (arab.) noc, wieczór.

Lajla i Madżnun – para romantycznych kochanków w cyklu ludowych opowieści i poematów arabskich, symbol miłości idealnej. Madżnun (dosł. „szalony” z miłości) to przydomek arabskiego poety z VII w., Kaisa ibn al-Mulauwaha, który miał umrzeć z miłości do pięknej Lajli.

Lakhnau – stolica indyjskiego stanu Uttar Pradeś, ponad milion mieszkańców. Miasto znane m.in. z wysoko rozwiniętego rzemiosła artystycznego (tkaniny, hafty). Za czasów Wielkich Mogołów siedziba cesarzy i arystokracji muzułmańskiej, okresowo stolica Indii. Akcent z L. świadczył o dobrym pochodzeniu.

Lakszmi Bai (1835-1858) – narodowa bohaterka Indii, księżna i regentka państewka Dźhansi (obecnie w stanie Madhja Pradeś), anektowanego w 1854 przez Brytyjczyków. W 1857 L.B. przyłączyła się do powstania sipajów i dowodziła samodzielnie w wielu bitwach z Brytyjczykami. Zginęła w walce przy obronie fortecy w Gwalijorze.

lala – 1) potocznie: kupiec, handlarz; 2) kochaś, pieszczoszek, kochanie, słowo używane częstokroć w kontekście związków homoseksualnych.

lassi – napój orzeźwiający przyrządzany z jogurtu mieszanego energicznie z lodem i szczyptą soli.

lathi – kij, okuty żelazem kij bambusowy; bambusowa pałka policyjna.

Lifafa Das – nazwisko „mówiące”. Lifafa (pers.) znaczy „opakowanie, koperta” i równocześnie „pożłota, fałszywy blask, zewnętrzny pozór”. Das (hindi) to „niewolnik, sługa”. Nazwisko znaczy więc „Niewolnik Zewnętrznego Pozoru” czy „Sługa Pożłoty”.

Liga Awami (Liga Ludowa) – partia centrolewicowa w Bangladeszu; założona w 1949 w ówczesnym Wsch. Pakistanie i grupująca działaczy nastawionych opozycyjnie wobec polityki rządzącej Ligi Muzułmańskiej w kwestii bengalskiej. W latach 1958-1962 i w 1971 zdelegalizowana; w 1970 zwyciężyła pod przewodnictwem Mudżibura Rahmana w wyborach ogólnopakistańskich. Po powstaniu państwa Bangladesz (1971) partia rządząca.

Liga Muzułmańska – pakistańska partia polityczna; założona w 1906 jako Indyjska Liga Muzułmańska dla obrony praw muzułmanów indyjskich. Od 1940 prowadziła walkę o założenie niezależnego państwa islamskiego w Indiach. Głównymi jej przedstawicielami w tym okresie byli M.A.Dżinnah i Lijakat Ali Chan. Po podziale Indii i powstaniu Pakistanu główna partia polityczna, w latach 1947-1954 i 1962-1969 partia rządząca. W okresie kryzysu wywołanego oderwaniem się Pakistanu Wschodniego (Bangladesz) rozpadła się na trzy partie.

Lijakat, Ali Chan (1895-1951; Liaquat Ali Khan) – prawnik, wybitny polityk indyjski i pakistański; od 1923 członek Ligi Muzułmańskiej, w latach 1936-1947 sekretarz generalny, a od 1950 jej przewodniczący. Bliski współpracownik M.A.Dżinnaha. W okresie II wojny światowej wpływowy rzecznik idei niezależnego Pakistanu. Pierwszy premier Pakistanu, zamordowany przez przeciwników reform politycznych i świeckiego państwa.

Linga (Lingam) – (sansk.) symbol boga Siwy, falliczny symbol płodności i twórczej energii pierwiastka męskiego.

Lok Sabha – Izba Ludowa, niższa izba parlamentu indyjskiego; liczy 542 posłów wyłanianych w wyborach bezpośrednich. Rząd odpowiedzialny jest jedynie przed L.S., która pełni właściwą rolę ciała ustawodawczego. Izba Stanów (Radźja Sabha) jest reprezentacją jednostek terytorialnych państwa.

lu – silny, gorący wiatr wiejący codziennie w porze gorącej (maj-czerwiec) z pustyni Thar w Radżasthanie.

Ludowa Partia Pakistanu – pakistańska partia polityczna o charakterze socjaldemokratycznym; założona w 1967 przez Zulfikara Alego Bhutto, u władzy w latach 1971-1977.

lungi – (z pers.) płat materii bawełnianej zawiązywany wokół bioder, na o-gół na gołe ciało, noszony przez mężczyzn w pld. Indiach w porze gorącej.

Lutyens, Edward Landseer Sir (1869-1944) – słynny architekt angielski, wślawił się zwłaszcza zaprojektowaniem nowej stolicy Indii Brytyjskich (budowa w latach 1920-1930), New Delhi, zwanego „miastem Lutyensa”. Projekt siedziby wicekróla i kompleksu budynków rządowych zawiera elementy przejęte z tradycyjnej architektury indyjskiej.

Maha Gudźarat Pariszad – (sanskryt.) „Rada Wielkiego Gudźaratu”; związek nacjonalistów gudźarackich, aktywny zwłaszcza w okresie zamieszek na tle językowym w Bombaju (1955-1960).

mahaguru – (sanskryt.) wielki guru.

mahajuga – wielki eon, 4320000 lat ludzkich i 12000 lat bogów; jedna tysięczna kalpy, czyli dnia Brahmy.

Mahalakszmi – w hinduizmie Wielka Bogini Transcendentalnego Losu, zawierająca w sobie cechy wszystkich bogów i uosabiająca moc (śakti) boga Wisznu.

maharasztri – jeden ze średnio-indoaryjskich języków literackich, którym posługiwano się w I tys. n.e. na obszarze płn.-zach. Dekanu; bezpośredni przodek języka marathi.

mahasir – duża indyjska ryba słodkowodna, brzana (*Barbus mosul*) z rodziny karpiowatych.

mahatma – (sanskryt.) „ten, kto posiada wielkiego ducha, wielki duchem”; tytuł nadawany w Indiach wielkim ascetom, mistykom i filozofom; przydomek nadany Gandhiiemu w 1913 przez Rabindranatha Tagore’a.

Mahisza – w mitologii indyjskiej demon, który tak wzrósł w potęgę, że wypędził bogów z nieba. Ze skoncentrowanych mocy bogów zrodziła się straszliwa bogini Durga, która podjęła walkę z wciąż zmieniającym swe postaci demonem. Gdy przybrał formę czarnego bawołu (sanskryt. mahisza), zabiła go.

Mahmud z Ghazny (971-1030) – najwybitniejszy władca z tureckiej dynastii Ghaznawidów, sułtan Afganistanu i wsch. części Iranu. W 17 łupieżczych wyprawach spustoszył płn. Indie, podporządkował sobie Pendżab, Multan i Sindh.

Mahomet (ok. 570-632; Muhammad ibn Abd Allah) – założyciel i pierwszy organizator islamu, religii uniwersalistycznej, u której podstaw leżą arabskie tradycje religijne i niektóre elementy monoteizmu żydowsko-chrześcijańskiego. Pochodził z plemienia Kurajszytów, wzbogacił się na handlu. Ok. 40 roku życia zaczął głosić treść swych objawień – zawartych później w Koranie. Wobec niechęci oligarchii kupieckiej do społecznych treści jego nauki zmuszony był odejść z Mekki (622, hidżra) do Medyny, gdzie założył religijno-polityczną organizację kierującą się zasadami islamu. Podporządkował sobie plemiona beduirskie i w 630 wrócił triumfalnie do Mekki. Doprowadził do zjednoczenia plemion arabskich. Grób Proroka w Medynie jest miejscem pielgrzymek.

maja – (sanskryt.) w różnych kierunkach hinduizmu i buddyizmu podstawowa kategoria religijno-filozoficzna; siła przypisywana bogu-stwórcy, potęga magiczna, magia, ułuda; także: nierealność świata materialnego, jego zmienność – jako odbicie jedynie rzeczywistego i niezmiennego Brahmana.

majdan – (z arab.) plac, miejsce zgromadzeń i przeglądu wojsk.

malajalam – jeden z czterech głównych języków drowidyskich, używany przez ok. 30 mln ludzi, przede wszystkim w stanie Kerala.

mali – ogrodnik.

mamu – wuj, wujaszek.

man – indyjska miara wagi, ok. 40 kg.

Manekszaw, Sam (Manekshaw) – generał, jeden z dowódców indyjskich w wojnie indyjsko-pakistańskiej z 1971.

marathi – język indoeuropejski, którym posługuje się ok. 57 mln mieszkańców zachodnioindyjskiego stanu Maharashtra.

Marathowie – jedna z głównych grup etnicznych Indii, mieszkańcy indyjskiego stanu Maharashtra. W XVII w. konfederacja państw marackich przeciwstawiła się pod wodzą Siwadźiego potęgze Mogolów i zagroziła istnieniu ich imperium. Na pocz. XIX w. M. ponieśli klęskę w wojnie z Brytyjczykami. Imię Maratów budziło przez kilka wieków strach na całej Nizinie Hindustarskiej i w Dekanie.

Markandeja – w mitologii indyjskiej jeden z legendarnych mędrców (riszi); miał być gorliwym czcicielem Siwy. Podług jednej z legend M. uratował się przed potopem wchodząc do ust Wisznu leżącego jako dziecko na liściu banianu i odkrył we wnętrzu boga cały wszechświat.

Maslama – współczesny Mahometowi prorok z plemienia Banu Hanifa, który nauczał w imieniu Boga Miłosiernego (arab. rahman).

maulana – (arab.) tytuł znawcy prawa muzułmańskiego; znawca Koranu i języka arabskiego.

maulawi, maulwi – (arab.) znawca prawa muzułmańskiego, nauczyciel języka arabskiego i Koranu.

mausi – siostra matki; mateczka.

meczet piątkowy (dżama masdzid) – meczet, w którym odbywają się co piątek wielkie zgromadzenia wiernych; Wielki

Meczet (z arab.). Delhijski m.p. powstał za panowania Szahdżahana w XVII w. i jest największy w Indiach.

mela – wielkie zgromadzenie ludzi o charakterze religijnym lub handlowym, doroczny targ.

menhdi – roślina henny (*Lawsonia alba*); ceremonia zdobienia henną rąk i stóp oblubienicy.

Menon, Wongalil Krisznan Kriszna (1896-1974) – polityk indyjski, minister obrony w rządzie Nehru.

Minakszi – (sanskryt.) „rybioka”; bogini z panteonu siwaickiego związana z kultem płodności, ubóstwiona córka króla Pandjów z Madurai uważana w płd. Indiach za inkarnację Parwati, małżonki Siwy. Wg mitu M. miała od urodzenia trzy piersi i odznaczała się rybią wonią. Po spotkaniu M. z Siwą, w którym rozpoznała swego boskiego małżonka, oba te nienaturalne znaki zanikły.

minaret – (z arab.) wieża przy meczecie, skąd muezzin wzywa wiernych na modlitwę.

Mirza, Iskandar (1899-1971) – polityk pakistański; w 1955 gubernator generalny Pakistanu, w latach 1956-1958 pierwszy prezydent.

Misja Rządowa – wysłana w marcu 1946 do New Delhi przez rząd angielski dla rozwiązania problemu indyjskiego. W skład misji wchodził: minister do spraw Indii lord Pethick-Lawrence, minister handlu Cripps i pierwszy Lord Admiralicji Alexander. Po zbadaniu przedłożonych im propozycji członkowie misji odrzucili plany rozdrobnienia Indii (niektóre ugrupowania prawicowe żądały ustanowienia w Indiach pięciu dominiów, a partia komunistyczna czternastu niezależnych państw) i przedstawili 16 maja plan utworzenia Unii Indyjskiej, federacji zgrupowanych w trzech wielkich blokach dotychczasowych prowincji Indii Brytyjskich i państw książęcych. Choć i Liga Muzułmańska, i Kongres zaakceptowały początkowo plan, niejasny stosunek Kongresu do roli i składu Zgromadzenia Konstytucyjnego i gwarancji dla mniejszości religijnych wywołał w Lidze kryzys zaufania i doprowadził do zerwania już osiągniętego porozumienia.

Miśra, L.N. – minister kolejnictwa w rządzie Indiry Gandhi; zginął w zamachu w 1975.

Mogołów Wielkich Imperium – państwo stworzone przez dynastię Timurydów panującą w Indiach od 1526 do 1857. Założycielem imperium był Babar, który w bitwie pod Panipatem (1526) rozgromił siły Sułtanatu Delhijskiego. Za następców Babara – Humajuna, Akbara Wielkiego, Dżahangira i Szahdżahana – nastąpił rozkwit państwa, powstał też charakterystyczny typ kultury, łączący harmonijnie pierwiastki muzułmańskie z indyjskimi. Szczyt potęgi imperium osiągnęło za panowania cesarza Aurangzeba. Po jego śmierci (1707) zaczęło się rozpadać na zwalczające się wzajemnie nietrwałe państwa. Od 1803 cesarze otrzymywali rentę od Kompanii Wschodnioindyjskiej. Ostatni Mogoł, cesarz Bahadurszah II, został zdeponowany przez Brytyjczyków po klęsce powstania sipajów (1858).

mohalla – (z arab.) dzielnica, blok domów; sąsiedztwo.

Moplowie, Mapillowie – muzułmańscy rolnicy i rybacy zamieszkujący niewielką enklawę na Wybrzeżu Malabarskim w Kerali; potomkowie wczesnej migracji muzułmańskiej z Półwyspu Arabskiego.

Mountbatten, Edwina – żona Earla Mountbattena. Kiedy pierwszego dnia po przyjeździe do Indii poprosiła służbę o resztki dla swych dwóch terierów walijskich, po półgodzinie wniesiono srebrne tace z porcelanowymi półmiskami, a na nich porcje pieczonych piersi kurzych. Zdumiona wicekrólowa, która od dawna nie widziała w Anglii takiego jedzenia, zamknęła się w łazience i sama zjadła te kąski.

Mountbatten, Louis Earl (1900-1979) – brytyjski admirał i polityk spokrewniony z bryt. rodziną panującą. W latach 1943-1946 naczelny dowódca wojsk sojuszników w Azji Południowo-Wschodniej. Ostatni wicekról Indii (1947). Od sierpnia 1947 do marca 1948 generalny gubernator. Autor planu przewidującego podział Indii na dwa państwa, Indie i Pakistan. Zgodnie z planem Mountbattena granice nowych państw miały przecinać Pendżab i Bengal. Na 73 dni przed przekazaniem władzy M. kazał wydrukować kalendarz ścienny ze zrywami kartkami, który wywieszono we wszystkich urzędach Delhi. Codziennie pokazywał on w dużym czerwonym kwadracie liczbę dni pozostałych do dnia 15 sierpnia 1947, dnia niepodległości Indii. M. zginął w zamachu, zamordowany przez irlandzkich ekstremistów.

Mubarak – (arab.) „błogosławiony”; muzułmańskie imię własne.

mudżahed – (arab.) wysiłek, walka (w obronie wiary).

muezzin – (arab.) niższy funkcjonariusz meczetu piątkowego, opłacany z funduszy na utrzymanie świątyni. Śpiewem specjalnej formuły z wieży meczetu (minaret) m. wzywa wiernych przed każdą z pięciu dziennych modlitw, by dopełnili obowiązku religijnego.

mufti – (z anglo-ind. slangu wojsk.) ubranie cywilne noszone przez wojskowych po służbie.

Muhammad bin Kasim (VIII w.) – jeden z najsłynniejszych wodzów arabskich. W 711 dowodził jako siedemnastoletni młodzieniec wyprawą wojsk arabskich z Iraku do Indii; w latach 712-715 podbił Sindh, Beludżystan i deltę rzeki Indus i dotarł ze swymi wojskami aż do Himalajów.

Muhammad Ghor (1173-1206) – sułtan afgański, który objął władzę w Ghaznie po wygaśnięciu dynastii Ghaznawidów. Po wielokrotnych najazdach podbił całe płn. Indie pomimo oporu stawianego przez

skonfederowanych królów indyjskich. Państwo stworzone przez M.Gh. w Indiach stało się załóżkiem Sułtanatu Delhijskiego, jego następcy zaś dali początek tzw. Dynastii Niewolniczej (pierwszy sułtan Delhi, Kutb ud-Din Ajbak, był niewolnikiem M.Gh.).

Muhammad Tughlak – sułtan delhijski, władał w latach 1325-1351. Cały okres swych rządów poświęcił próbom konsolidacji Sułtanatu Delhijskiego i uporządkowania administracji. Przeniósł na siedem lat stolicę z Delhi do Daulatabadu. W oczach swoich współczesnych był okrutni-kiem i despota.

Mukti Bahini – (sansk.) „Oddziały Wyzwoleńcze”; oddziały partyzanckie walczące od marca 1971 o niezależność Pakistanu Wschodniego (Bangladesz). W końcowej fazie wojny, gdy liczebność ich wynosiła ok. 50 tys., współpracowały z wojskami indyjskimi. Wokół M.B. zawiązały się regularne bengalskie Wojska Wyzwoleńcze (Mukti Faudz).

mułła – (z arab.) „patron, obrońca”; u szyitów tytuł duchownego najniższego stopnia, u sunnitów honorowy tytuł uczonych i cudotwórców.

mumani – ciotka, wujenka.

Mumbadewi – bogini Mumba, czczona przez plemiona aborygenalne zamieszkujące niegdyś obszar dzisiejszego Bombaju, obecnie uważana za wcielenie małżonki Siwy. W języku marathi Bombaj nazywa się Mumbai, co wskazuje, że miasto wzięło swą nazwę od Mumby.

Mumtaz – słynna z urody druga żona cesarza mogolskiego Szahdżahana (od 1612). Wł. imię Ardżumand-banu Begam; zwana również Mumtaz Mahal („Wyniosła z Pałacu”), Mumtaz ul-Zamani („Wybranka Czasów”) i Tadż Mahal („Korona Pałacu”) (pers.-arab.). Urodziła cesarzowi czternaścioro dzieci, z których przeżyło jedynie czterech synów i dwie córki. Umarła w połogu w wieku 38 lat (1631). Zrozpaczony mąż wystawił dla uczczenia jej pamięci słynne mauzoleum – Tadż Mahal w Agrze.

Musa – arabskie imię męskie, odpowiednik imienia Mojżesz (którego islam również uznaje za jednego z proroków).

Musajlima – patrz: Maslama.

nabab, nawab – (arab.) namiestnik prowincji w imperium Mogołów w Indiach; bogacz; także: Europejczyk wzbogacony w Indiach.

Nadir – (arab.) „niezwykły, cudowny”; imię męskie. Występujące w tekście imię Nadir Chan może być odczytywane także inaczej, przez odniesienie do słowa nadir (z arab. nazir), które znaczy tyle co „punkt przeciwległy zenitowi”. Nadir Chan byłby więc „Panem Nadiru”, „Panem Dolnego Świata”. Również Na Dir – zbitka sylab używanych do wyliczania taktu w tańcu indyjskim.

Naga, Nagaradz – (sansk.) bóstwo węzowe; kobra królewska.

Nagowie – zbiorcza nazwa około 20 plemion tybeto-birmańskich zamieszkujących stany Nagaland i Manipur w płn.-wsch. Indiach. Jeszcze do połowy naszego wieku N. hołdowali zwyczajowi rytualnych polowań na wrogów i kolekcjonowania ich czaszek. Mianem N. stara literatura indyjska oznaczała wiele plemion aborygenalnych, które przed nadejściem Ariów zamieszkiwały prawie całe płn. Indie i część Dekanu i posługiwały się prawdopodobnie językami z rodziny austroazjatyckiej.

nagowie – w hinduizmie półboskie istoty o ludzkich głowach i węzowych ciałach, czczone jako duchy opiekuńcze wsi.

nakku – „długonosy”; przen.: wścibski, ciekawy.

naksalici – członkowie pro-maoistowskiego, ekstremistycznego ugrupowania politycznego działającego w płn.-wsch. Indiach na przełomie lat 60-tych i 70-tych; organizatorzy powstania chłopskiego w rejonie Naksalbari w Bengalu (1967-1968). W miastach, szczególnie w Kalkucie, n. stosowali metody partyzantki miejskiej (zabójstwa, zamachy bombowe w miejscach publicznych) doprowadzając w latach 1968-1971 do całkowitego załamania się porządku publicznego. W 1975, po wprowadzeniu stanu wyjątkowego, ugrupowanie n. zostało zdelegalizowane.

namaskar – (sansk.) „ukłon”; formuła pozdrowienia wśród hindusów.

Nambudiripad E.M.S. – polityk indyjski z keralskiego rodu-klanu Nambudirich; 1957-1959 premier rządu stan. w Kerali; przywódca frakcji rozłamowej; kiedy KPI i KP1(M) stworzyła w stanie sojusz, ponownie objął w latach 1967-1969 stanowisko premiera.

Nanak, guru (1469-1539) – założyciel sikhizmu, indyjskiej religii uniwersalistycznej. Z pochodzenia hinduista; około trzydziestego roku życia stał się wędrownym nauczycielem głoszącym miłość do jedyne Boga. W swych naukach występował przeciwko systemowi kastowemu, rytuali-zmowi braminów i ascetyzmowi. Zwolennikom zalecał aktywne uczestnictwo w sprawach świata i przypisywał wielką wartość pracy. Na wzór pewnych sekt mużulmańskich (sufizm), którym zawdzięczał także wiele istotnych elementów swej doktryny religijnej, zorganizował uczniów (sikhów) w gminę skupioną wokół guru – pośrednika między wyznawcami i Bogiem. Działał głównie w Pendżabie. Pierwszy guru sikhów, autor kilkuset poematów włączonych do *Adigranthu* (sansk. „Księga Początku”) – świętej księgi sikhów. Gmina sikhów rozrosła się z czasem w potęgę militarną i polityczną, a ich państwo (1 poł. XIX w.) zagroziło władzy brytyjskiej w Indiach.

Nanga Parbat – „Naga Góra”, zwana również Diamir, „Królem Gór”, jeden z najwyższych szczytów himalajskich (8126 m n.p.m.).

Narada – w mitologii staroindyjskiej półboski mędrzec (riszi), któremu przypisuje się autorstwo kilku hymnów Rygwedy; w hinduizmie – przywódca gandharwów i pośrednik między bogami i ludźmi.

Narajan, Dżaj Prakaś (1902-1979) – indyjski działacz polityczny i społeczny. Od 1934 przywódca działającej w obrębie Kongresu Socjalistycznej Partii Kongresowej; w 1948 zrywa więź partii z Kongresem. Od 1953 uczestniczy w ruchu A.W.Bhawego na rzecz „Powszechnego Rozwoju” (sarwodaja) i dobrowolnego przekazywania ziemi bezrolnym (bhudan). W latach 1974-1975 przywódca ruchu anty-Kongresowego w Biharze i Gudżaracie; organizator „Frontu Ludowego” (Dżanata Morća). Zwolennik radykalnych zmian w systemie powoływania ciał przedstawicielskich i rozwiązania istniejącej struktury parlamentarnej. Po wprowadzeniu stanu wyjątkowego aresztowany (1975).

nargisi kofty – (z pers.) ostro przyprawione pulpety z mielonej baraniny.

nasbandi – (z pers.) sterylizacja.

nastalik – rodzaj rozpowszechnionego w Persji i Indiach eleganckiego, „pochyłego” stylu w kaligrafii pisma arabskiego.

Nehru, Dżawaharlal (1889-1964) – indyjski polityk i mąż stanu; ojciec Indiry Gandhi. Od 1921 współpracownik Gandhiego, od 1929 wielokrotnie przewodniczący Indyjskiego Kongresu Narodowego. Wybitny przywódca ruchu niepodległościowego, więziony wiele razy przez Brytyjczyków. Po uzyskaniu niepodległości przez Indie objął urząd premiera (1947-1964). Zwolennik gospodarki planowej. Współtwórca zasad pokojowego współżycia między państwami i aktywnej neutralności.

Nehru, Kamala (1901-1936) – od 1916 żona D. Nehru; matka Indiry Gandhi. Organizatorka ruchu na rzecz wyzwolenia kobiet.

Nell – wł. Eleanor Gwynn (1650-1687) – aktorka angielska; początkowo sprzedawała pomarańcze w teatrze, później przyuczona do aktorstwa. Kochanka Karola II, z którym miała dwóch synów; opisywana w *Dzienniku* Samuela Pepysa.

Nelson, Horatio Lord (1758-1805) – słynny admirał, bohater narodowy Anglików. W okresie wojny z Francją stracił w bitwach morskich oko i rękę. W bitwie pod Abukirem (1798) zniszczył flotę francuską, pod Kopenhagą (1801) flotę Duńczyków. Zginął w trakcie zwycięskiej bitwy z połączonymi flotami francusko-hiszpańskimi pod Trafalgarem. Jego zwycięstwa ugruntowały stuletnie panowanie Wielkiej Brytanii na morzu.

nie ma boga, jak tylko Bóg... – pierwsza część wyznania wiary muzułmanów (szahada). Druga jego część brzmi: a Muhammad (Mahomet) jest jego prorokiem. Wypowiedzenie szahady (arab.: „...la ilaha illa-1-lahu... Muhammadan rasulu-1-lahi”) oznacza przyjęcie islamu. Pierwsza część szahady wyraża wiarę w jedyne Boga, z drugiej wypływa wiara we wszystko, co Bóg objawił Mahometowi. Szahada jest jednym z pięciu filarów religii muzułmańskiej.

Nijazi Chan (Niazi Khan) – generał pakistański, głównodowodzący zachodniopakijskich sił ekspedycyjnych w Pakistanie Wsch. (obecnie Bangladesz) w okresie wojny z Indiami w 1971. 17 grudnia 1971 podpisał akt kapitulacji swych wojsk liczących ok. 90 tys. żołnierzy. Wyżsi oficerowie obu armii, wyszkoleni w tych samych brytyjskich akademiach wojskowych, spędzili po kapitulacji wspólny wieczór wymieniając wspomnienia i pijąc alkohol.

Nilgiri – (z sanskr.) „Błękitne Góry”; łańcuch górski (wys. od 1800 do 2600 m n.p.m.) w zach. części stanu Tamilnadu w płd. Indiach; część masywu Zachodnich Ghatów.

nimbu pani – lemoniada.

nipa – palma (*Nipa fruticans*) rosnąca w lasach deszczowych Bengalu; owoce jadalne w stanie niedojrzałym.

nizam – (arab.) „gubernator, administrator”; od XVIII w. tytuł słynących z bogactwa muzułmańskich władców Hajderabadu. Państwo nizamów z H. było w okresie brytyjskiej władzy kolonialnej największym „państwem książęcym” Indii. Dziś część stanu Andhra.

Nun, Firoz Chan (Noon) – polityk pakistański, pełnił urząd premiera w 1957. Nazwisko Nuna w pisowni angielskiej znaczy „południe”.

Oakley, Annie (1860-1926) – legendarna bohaterka amerykańska, przez 17 lat występowała jako strzelec wyborowy w widowiskach „Dziki Zachód Buffalo Billa”.

OM – w hinduizmie święta sylaba (mantra). Jako przedmiot spekulacji mistycznych pojawiła się po raz pierwszy w Upaniszadach. Moc duchową przypisywano nie tylko całej sylabie (przekłada się ją niekiedy jako „tak, zaprawdę, niech się stanie”, miałyby więc znaczenie hebr. „amen”), ale i jej częściom składowym a-u-m. W późniejszym hinduizmie stały się one symbolem trójjedności Brahmy, Wisznu i Siwy oraz symbolem wielu innych triad (trzy światy, trzy Wedy itd.). Sylabę OM umieszcza się na początku wszystkich tekstów religijnych i wymawia na początku i końcu recytacji hymnów wedyjskich. W lamaizmie OM jest pierwszym elementem

mantry „om mani padme hum” – „om, klejnocie (który jesteś) w lotosie, hum”; klejnot w lotosie to Budda.

Omajjadowie – dynastia kalifów panujących w Damaszku (661-750). Panowanie O. przypada na szczytowy okres ekspansji państwa Arabów, kiedy w jego skład weszły podbite terytoria europejskie (Półwysep Pirenejski), afrykańskie (Magreb), środkowo-azjatyckie i indyjskie (Sindh).

Opuśćcie Indie! (Quit India!) – hasło kampanii odmowy współpracy z władzami kolonialnymi zorganizowanej w 1942 przez Partię Kongresową; autorem hasła był Gandhi.

OSS – Office of Secret Services; agentura wywiadu brytyjskiego.

Oudh – region Awadh na Nizinie Hindustańskiej, w VI-V w. p.n.e. terytorium państwa Kośala. Do 1739 część imperium Mogołów. W XVIII i na początku XIX w. jedno z najpotężniejszych państw indyjskich (stolica w Lakhnau); anektowane przez Brytyjczyków w 1856. W latach 1857-1859 Oudh był właściwym zapleczem powstania sipajów. Nazwa regionu pochodzi od nazwy starożytnej stolicy Kośali, miasta Ajodhja (sansk. „Niezwycięzone”), którego władcą miał być legendarny król Rama z *Ramajany*. Obecnie część stanu Uttar Pradeś.

paczuli – (z drawid.) wonny olejek do wyrobu perfum i mydeł.

Padma – (sansk.) „lotos”. Lotos jest w Indiach stałym symbolem czystości, której nie można zbrukać, stanu duszy wyzwolonej od związków z doczesnością. Jeden z sanskryckich synonimów słowa lotos to „pan-kadza” – dosł. „zrodzony z błota”; w literaturze hinduistycznej i buddyjskiej pojawia się często obraz pąku lotosu, który rozwijając się w kwiat otrząsa z siebie resztki nieczystości wyniesione na powierzchnię wody z błotnistego dna. Padma jest w hinduizmie jednym z imion małżonki Wisznu – Lakszmi, bogini Szczęścia i Dobrobytu. Wg mitu o ubijaniu przez bogów i demony Mlecznego Oceanu wśród skarbów, które wynurzyły się na jego powierzchnię, jeszcze zanim wypłynął napój nieśmiertelności, było również Szczęście i Dobrobyt uosobione w bogini Lakszmi trzymającej w ręku kwiat lotosu. Lakszmi-Padma bywa często wyobrażana jako piękna kobieta o jasnej karnacji siedząca na lotosie. W hinduizmie ludowym Lakszmi zajmuje szczególne miejsce jako bogini płodności i urodzaju: po jesiennych żniwach oddaje się jej w wielu regionach Indii cześć jako Gobarwali – „Pani Gnoju”. Padma to również jeden z głównych toków wodnych połączonego ujścia Brahmaputry i Gangesu w Bangladeszu (ok. 300 km długości).

pajsa – indyjska jednostka monetarna; 100 pajsów = 1 rupia (dawniej 1/64 rupii).

Pakistan – „Kraj czystych” (z pers. pak – „czysty” i stan – „miejsce, kraj”); wg innej wersji nazwa miała powstać jako skrót złożony z pierwszych liter krain, które miały wejść w skład przyszłego państwa (Pendżab, Afgan, Kaszmir, Sind i *Beludżystan*).

pakory – pierożki nadziewane przyprawianą na ostro pastą grochową (niekiedy z dodatkiem innych warzyw), smażone w oleju.

palla – opadający z ramienia luźny koniec sari.

pan – „liść”. 1) liść pieprzu betelowego (*Piper betle*), 2) betel, środek pobudzający używany w Indiach do żucia: pokruszone nasiona palmy arekowej, pasta z gaszonego wapna i tytoń zawinięte w liść pieprzu betelowego. Betel ma działanie odkażające i odświeżające, żuje się go zazwyczaj po jedzeniu. Pobudza także wydzielanie śliny, która przybiera (podobnie jak zęby nałogowych użytkowników) brunatnoczerwony kolor. Niekiedy betel bywa wzmacniany środkami o działaniu narkotycznym, nazywany wówczas „pan-rakieta”.

Pandawowie – bohaterowie *Mahabharaty*, pięciu synów króla Pandu („Pobladłego”), brata ślepego króla Dhritarasztry (ojca Kaurawów). *Maha-bharata* opowiada o utracie przez P. należnego im dziedzictwa, o ich wygnaniu (w którym towarzyszyła im ich wspólna żona – Draupadi) i zwycięskiej walce z Kaurawami.

Paramahansa – (sansk.) „najdalszy, najwspanialszy z łabędzi” (por. hansa); symbol wyzwolonej duszy; tytuł nadawany niektórym joginom.

parathy – placki z ciasta pszennego, wielokrotnie przekładanego i rozwałkowanego, podsmażane na maśle lub skrapiane masłem.

parda – (pers.) zasłona, welon; wyżej postawione kobiety muzułmańskie mogły rozmawiać z obcymi mężczyznami tylko przez zasłonę. W płn. Indiach zwyczaj ten przejęło wiele ortodoksyjnych rodzin hinduskich. Nazwa „parda” obejmuje dziś także i samą instytucję separowania kobiet od mężczyzn.

parsowie – indyjscy wyznawcy zoroastryzmu; potomkowie Persów, którzy po podbiciu państwa Sasanidów przez Arabów (VIII w.) nie przyjęli islamu i uciekli do zach. Indii. Większość p. (ok. 100 tys.) żyje w Bombaju; wywodzą się spośród nich najwięksi magnaci indyjskiego przemysłu i finansjery.

Parwati – (sansk.) „Córka Gór”; jedna z bogiń śiwaickiego panteonu, związana z kultem płodności. Wg rozpowszechnionego mitu P. oddała się na sto lat umartwieniom, by zyskać Śiwę za swego małżonka. Ze związku Siwy i P. pojawili się na świecie dwaj bogowie – Ganeśa, którego P. ulepiła w trakcie gry miłosnej z własnego potu, i Skanda, indyjski bóg wojny, zrodzony z nasienia Siwy upuszczonego w wody Gangesu. Skanda pokonał ostatecznie zagrażającego bogom demona Tarakę.

pasandy – (z pers.) zrazy mięsne, bitki.

paśmina – (z pers.) wyrób z delikatnej wełny podbrzusza wysokogórskich kóz z Pendżabu i Kaszmiru; wełnę zyskuje się przez wyczesywanie. W Europie p. znana jest jako kaszmir.

Patanowie, Pusztuni – członkowie plemion zamieszkujących górskie tereny na pograniczu Pakistanu (ok. 7 min) i Afganistanu (ok. 9 min). Spośród P. rekrutowano żołnierzy do armii muzułmańskich władców Indii i do tubylczych oddziałów kolonialnej Armii Indyjskiej. P. tworzą dziś w Indiach odrębną klasę ludności muzułmańskiej; wielu z nich – z racji wojowniczych tradycji – podejmuje zawody strażników kolejowych, bankowych i przemysłowych.

Patel, Wallabhbhai Dźhawerabhai (1875-1950) – prawnik i polityk indyjski, jeden z przywódców ruchu narodowowyzwoleńczego. Od 1917 współpracownik Gandhiego; w 1931 przewodniczący Partii Kongresowej. Po uzyskaniu przez Indie niepodległości pełnił funkcje pierwszego wicepremiera, ministra spraw wewnętrznych i ministra informacji.

Patil, S.K. – polityk indyjski należący do konserwatywnego skrzydła Partii Kongresowej; przywódca partii w Bombaju. Od 1957 minister w rządzie Nehru. Jeden z „bossów” tzw. „syndykatu”. Po rozłamie w Kongresie (1969) sprzymierzeniec M. Desai w jego walce przeciwko Indirze Gandhi.

PECHS – spółdzielnia mieszkaniowa urzędników państwowych w Karaczi (Pakistan Employers Cooperative Housing Society).

pehelwan – (z pers.) zapaśnik; junak, zuch.

Pendźabczyzy – mieszkańcy Pendżabu, „Krainy Pięciu Rzek”, dziś rozdzielonej na indyjski stan Pendżab (ok. 20 min, stolica w Ćandigarhu) i pakistańską prowincję Pendżab (ok. 50 min, stolica w Lahaurze). P. indyjscy są na ogół sikhami lub hindusami, pakistańscy – muzułmanami. Jedna z najmocniej ukształtowanych i najprężniejszych grup narodowościowych Indii. **pista-ki-lauz** – (z pers.-arab.) deser pistacjowy; rodzaj słodczy migdało-wopistacjowych.

piżama, padżama – (z pers.) „szata na nogi, nogawkę”; luźne, na ogół białe spodnie bawełniane przewiązywane w pasie tasiemką; za pośrednictwem Anglików dotarły do Europy jako strój nocny.

pudża – (sansk.) „adoracja”; w hinduizmie połączony z adoracją bóstwa ceremoniał składania ofiary. Termin p. odnosi się zarówno do obrzędów rytuału domowego, jak i do skomplikowanego ceremoniału obrzędów świątynnych. Bóstwo objawione w wizerunku czci się w trakcie p. jako królewskiego gościa.

Pulcinella – (wł.) komiczny sługa, pajac z neapolitańskiej commedia del'arte.

Purana Kila – (sansk. i pers.) „Stary Fort”; forteca zbudowana na miejscu starożytnej stolicy Pandawów (Indraprastha) przez Szer Szaha, w latach 1540-1545 władcę Delhi.

purany – (sansk.) „stare (opowieści)”; święte teksty hinduizmu, osiemnaście sanskryckich zbiorów o treści kosmogonicznej i mitologicznej, zawierających także genealogie bogów, świętych mężów i rodów królewskich. Najstarsze p. pochodzą z pocz. I tys. n.e.

puri – cienkie placki pszenne smażone w oleju lub topionym maśle, spożywane jako dodatek do innych potraw.

Puruszottam – (z sanskr.) „Najlepszy z Mężów”; częsty epitet Wisznu i jego ósmego wcielenia, Kryszny.

pusztu, pasztu – język państwowy Afganistanu, używany głównie przez Patanów (ok. 16 min) w Afganistanie i Pakistanie. P. należy do rodziny języków indoeuropejskich. Najstarsze zabytki literackie p. pochodzą z XIII w.

Radha – w mitologii hinduizmu pasterka, ukochana Kryszny-pasterza, symbol duszy dążącej ku Bogu (sansk.). Niektóre sekty wisznuickie uważają R. za wcielenie Lakszmi, małżonki boga Wisznu.

Radhakrisznan, Sarwepalli (1888-1975; Radhakrishnan) – indyjski filozof i wybitny mąż stanu. Autor monumentalnego dzieła *Filozofia indyjska*. W latach 1952-1962 wiceprezydent Indii i przewodniczący wyższej izby Parlamentu, w latach 1962-1967 prezydent Indii.

Radź – „władztwo”; władza brytyjska w Indiach.

Radźputowie – „synowie królów”; zbiorcza nazwa wielu rodów i kast w całych płn. Indiach. R. są – jak się przypuszcza – nieindyjskiego pochodzenia; do Indii mieli przybyć ok. V-VI w., tj. w okresie najazdu Hunów. Po przyjęciu w obręb stanu wojowników R. dali początek wielu nowym dynastiom. Te z nich, które panowały w Radżasthanie, stawały aż do XVII w. zacięty opór muzułmańskim władcom Delhi.

radża – (sansk.) książę, władca.

Raffles, Thomas Stamford Sir (1781-1826) – wysoki brytyjski urzędnik kolonialny, założyciel Singapuru. Był jednym z twórców potęgi imperium brytyjskiego na Dalekim Wschodzie.

raga – (sansk.) w indyjskiej muzyce model melodyczno-tonalny (5-7 tonów), stanowiący szkielet i decydujący o charakterze kompozycji. Każdej ze znanych kilkuset rag przypisuje się specyficzny wyraz etyczny i emocjonalny.

ragi – południowindyjska odmiana prosa perłowego (*Eleusine coracana*).

Rahman – (arab.) „miłosierny”; imię nadawane w okresie przedislamskim na pld. Półwyspu Arabskiego Bogu Żydów i Bogu Ojcu chrześcijan; użyte – przez Maslamę i Mahometa jako jedno z imion Allaha.

Rahman, Szejjch Mudżibur (1922-1975) – polityk bangladeski, czynny w pierwszej fazie swej działalności w polityce pakistańskiej. W latach 1962-1972 sekretarz generalny Ligi A wami; twórca zwycięstwa Ligi w wyborach ogólnopakistańskich w 1970. Organizator walki Pakistanu Wschodniego o niepodległość. W okresie wojny indyjsko-pakistańskiej (1971) więziony w Zachodnim Pakistanie. W latach 1971-1972 pierwszy prezydent Bangladeszu. Od 1972 do 1975 sprawował urząd premiera i ponownie w 1975 urząd prezydenta. Zamordowany podczas zamachu stanu.

rakszasa – (sansk.) „ten, przed kim się kryją”; w hinduizmie zły duch, demon-wróg ludzi.

Raleigh, Walter Sir (1552?-1618) – słynny korsarz, pisarz i poeta angielski, faworyt Elżbiety I, parokrotnie organizował wyprawy do Ameryki.

Rama – bohater popularnego cyklu indyjskich opowieści epickich (*Ramajana*), deifikowany jako siódme wcielenie boga Wisznu. Dla hindusów R. jest wzorem doskonałego władcy, męża, syna i wojownika. Kult R. rozprzestrzenił się w pln. Indiach ok. XI w.

ramadan – dziewiąty miesiąc lunarne go kalendarza muzułmańskiego, miesiąc, w którym miało się dokonać objawienie Koranu. Dotrzymywanie postu w przeciągu r. jest jednym z pięciu filarów religii muzułmańskiej.

Ram, Dźagdźiwan (1908-1986; Jagjivan) – polityk indyjski, od 1946 do 1977 pełnił w rządach Nehru, Śastriego i Indiry Gandhi funkcje ministerialne. Czołowy reprezentant politycznych i ekonomicznych interesów tzw. „niedotykalnych”; twórca i długoletni przywódca Wszehindyjskiej Ligi Klas Uciemżonych. Działacz Partii Kongresowej, w latach 1969-1971 przewodniczący Partii. W 1977 porzucił Partię Kongresową i przeszedł do obozu Dżanaty przyczyniając się do jej zwycięstwa w wyborach.

Ram! Ram! – częsta formuła powitania hindusów; zawołanie bitewne hindusów w wojnach z muzułmanami, wezwanie boga Ramy na pomoc.

rani – księżna, żona radży.

rani Dźhansi – patrz: Lakszmi Bai.

Ran Kaćch – obszar słonych trzęsawisk rozciągających się wzdłuż zwrotnika Raka od ujścia Indusu w Pakistanie (prowincja Sind) na wschód i ok. 300 km w głąb lądu, wzdłuż granicy pakistańsko-indyjskiej w pln. Gudżaracie. W 1965 teren walk między obu państwami.

rasgulla – (z beng.) rodzaj słodczy, popularny szczególnie w Bengalu; kul – ki formowane z rzadkiego twarogu, smażone na maśle i nasączone syropem.

Rasztrapati Bhawan – (z sanskr.) siedziba prezydenta Indii w Delhi; dawniej pałac wicekróla brytyjskiego, projektu Lutyensa.

Rawana – (sansk.) „Ryczący”; dziesięciogłowy król rakszasów, główny przeciwnik Ramy. Wg *Ramajany* R. tak wzrósł dzięki długotrwałym umartwieniom w potęgę, że uzyskał władzę nad trzema światami. Gdy Rama (któremu R. porwał żonę, Sitę) tocząc bój z R. obcinał mu po kolei głowy, te wciąż odrastały. R. padł zabity dopiero wtedy, gdy Rama raził go w serce magiczną strzałą Brahmy.

Recytacja – opisana w XCVI surze Koranu. Mahomet dostąpił pierwszego objawienia, kiedy na górze Hira archanioł Dżibril (Gabriel) oznajmił mu, iż jest wysłannikiem bożym, a później nakłonił go, aby wyrecytował słowa pierwszego objawienia. Słowo „recytuj” bądź „głoś”, niekiedy błędnie tłumaczone jako „czytaj”, znaczy właśnie „recytuj z pamięci to, co zostało ci objawione przez moc nadprzyrodzoną”.

reśam – (z pers.) jedwab; Reśam Bibi znaczy z grubsza tyle, co „Pani (o twarzy gładkiej niczym) Jedwab”.

riszi – (sansk.) mędrzec, wieszcz obdarzony zdolnością „widzenia” rzeczy ukrytych i przełożenia swej wiedzy na język świętych hymnów wedyjskich. Siedmiu mitycznych r. to wg wierzeń hindusów siedem gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy. Mianem r. obdarzano w Indiach również twórców systemów filozoficznych, gramatyków i wielkich ascetów.

Rowlatta ustawy – weszły w życie w marcu 1919; wydane przez komisję do zbadania działalności antypaństwowej w Indiach, której przewodniczył sędzia Rowlatt. Ustawy zezwalały na stosowanie tzw. przyspieszonego trybu w procesach politycznych, rozszerzały władzę aparatu represji (areszty prewencyjne, przetrzymywanie uwięzionych bez rozprawy sądowej), dawały rządowi prowincjonalnym prawo do deportacji elementów niepożądanych. Wydanie ustaw wywołało w Indiach długotrwałe napięcie i zamieszki.

RSSS (RSS) – Związek Wolontariuszy Narodowych (sansk. Rasztrija Swajamsewak Sangh); ugrupowanie nacjonalistów wielkohinduskich o charakterze paramilitarnym, związane pierwotnie z partią Mahasabha, następnie z partią Dżana Sangh. **RSS** odwołuje się do tradycji walki zbrojnej hindusów z muzułmanami i Brytyjczykami; stosując hasło „Indie dla hindusów” wzmacnia antymuzułmańskie nastawienia części ludności.

Z szeregów **RSS** wywodził się zabójca Gandhiego – Godse. Choć **RSS** został zdelegalizowany w 1975, jego struktury organizacyjne przetrwały.

sab kuch tik-tak hai – „wszystko tyka, cyka”. Wł. sab kuch thik-thak hai – wszystko dobrze, wszystko w należytym porządku.

Saściwalaj – (z sanskr.) „Siedziba Ministrów”; w Indiach Sekretariat rządu stanowego lub centralnego.

sadar, sadar bazar – (z arab.-pers.) główne targowisko miejskie; przenośnie: bazar zmysłów.

sadhu – (sansk.) „prawy, prosty”; wędrowny asceta hinduski, pustelnik. S. przypisuje się w Indiach moce magiczne, m. in. zdolność leczenia chorób i przepowiadania przyszłości.

sahib – (z arab.) „pan, władca”; forma grzecznościowa używana często z imieniem lub nazwiskiem; mianem „sahibowie” oznaczano w czasach kolonialnych także Europejczyków.

sahiba – (z arab.) pani.

sahibzada – (arab.-pers.) „syn sahiba”; także: mały Europejczyk.

Sajjid Ahmad Barlewi (1776-1831; Bareli) – przywódca ruchu fundamentalistów sunnickich (wahabitów) w płn. Indiach, prowadził przez ponad cztery lata świętą wojnę (dżihad) z państwem sikhów. Zginął w bitwie z sikhami.

salam – (arab.) „pokój”; skrócona formuła pozdrowienia używanego przez muzułmanów („pokój z tobą”); również: ceremonialne, połączone z niskim pokłonem pozdrowienie na muzułmańskim Wschodzie.

salan – ostra zupa rybna z curry i innymi przyprawami.

salwar-kamiz – strój kobiety rozpowszechniony w płn.-zach. Indiach (Pen-dżab) i płn. Pakistanie; złożony z szarawarów (z pers. szalwar – „spodnie”) i tuniki-koszuli (z arab. kamiz) ściągniętej w pasie, rozciętej po bokach i sięgającej niemal kolan.

Samjukta Maharasztra Samiti – (z sanskr.) „Unia Na Rzecz Zjednoczonej Maharasztry”; związek nacjonalistów marackich dążących w latach 1955-1960 do zachowania tzw. Wielkiej Maharasztry (dawna Prowincja Bombaj).

samosa – smażone trójkątne pierożki nadziewane mielonym mięsem, rybą albo jarzynami.

Samud (Thamud) – mityczne plemię staroarabskie, które wg Koranu Bóg zniszczył za to, że mimo pouczeń proroka Saliha nie wyrzekło się bałwochwalstwa; patrz także: Ad. Plemię S. wymarło już w okresie przedislamskim.

sarangi – strunowy (smyczkowy) instrument muzyczny używany w płn. Indiach i Pakistanie.

Saraswati – mityczna rzeka, której podziemny tok ma się łączyć z Gangesem i Jamuną (Dżamną) w Allahabadzie; miejsce połączenia tych trzech rzek jest dla hindusów naznaczone szczególną świętością.

sari – tradycyjna indyjska szata kobieca; sześćo-ośmiometrowy płat lekkiej tkaniny bawełnianej lub jedwabnej drapowany wokół ciała; koniec sari zarzuca się na głowę lub przerzuca przez ramię.

sarkar – (z pers.) pan; rząd, władza; również tytuł używany w znaczeniu „Wasza Miłość”.

Sarnath – ruiny starego miasta w pobliżu Benaresu. Jako miejsce pierwszego kazania Buddy S. jest celem pielgrzymek buddystów z całej Azji. Rzeźbiony kapitel kolumny cesarza Aśoki (III w. p.n.e.) z S. jest herbem państwowym Indii (lwy strzegące koła dharmy, patrz: dharmacakra).

sarod – (z pers.) strunowy (szarpany) instrument muzyczny używany w klasycznej muzyce indyjskiej.

sati – (sansk.) „zacna, wierna, oddana (żona)”; kobieta, która spaliła się na stosie wraz ze swym mężem; hinduski obyczaj palenia się wdów. Choć s. zostało zakazane przez brytyjskie władze kolonialne już w 1829, znane są jego wypadki do ok. połowy XX w.

Sati – jedna z bogiń panteonu siwaickiego. Wg starego mitu S. pragnęła się połączyć związkiem małżeńskim z Siwą. Wobec sprzeciwu ojca rzuciła się na płonący stos. Zrozpaczony Siwa uniósł jej ciało i błędził z nim po niebie aż do chwili, gdy Wisznu rozrząbał je na kawałki. Miejsca na ziemi, gdzie spadły cząstki ciała bogini, stały się święte i są dziś centrami pielgrzymkowymi (np. Benares). S. odrodziła się jako Parwati, Córka Gór.

satjagraha – (z sanskr.) słowo złożone z dwu członów: satja – „prawda” i agraha – „upieranie się przy”, „trwanie w”. S. jest opracowaną przez Gandhiego taktyką walki bez użycia siły; niezbędnym jej elementem jest uparte trzymanie się prawdy w życiu prywatnym i publicznym.

seth – bogaty kupiec, bankier.

Sidżdżin – w islamie nazwa miejsca, w którym złożone są rejestry ludzi występnych (lub księga złych uczynków). Anioł śmierci, Azrail, zabiera dusze niewiernych lewą ręką i tam je umieszcza, aby oczekiwały końca świata i dalszych wyroków.

Sikandar But-Szikan (Ikonoklasta) – muzułmański władca Kaszmiru w latach 1394-1416; wsławił się systematycznym niszczeniem świątyń hinduskich i zmuszaniem ludności do przyjęcia islamu. Od czasu jego panowania hinduizm stał się w Kaszmirze religią mniejszości.

sikh-kabab – (z pers.) szaszłyk.

sikhowie – (pendż.) „uczniowie”; członkowie gminy religijnej założonej na początku XVI w. przez guru Nanaka (ok. 12 min, głównie w Pendża-bie). S. uznają dziesięciu Wielkich Nauczycieli (guru) i oddają boską cześć świętej księdze *Adigranth* (Księga Początku) zawierającej hymny ułożone m. in. przez guru Nanaka. Ośrodkiem s. jest pendzabskie miasto Amritsar (dosł. „Jezioro Nektaru”), gdzie na terenach darowanych gminie przez cesarza Akbara (1542-1605) znajduje się sanktuarium Złotej Świątyni, w której przechowuje się *Adigranth*. Dziesiąty i ostatni guru sikhów, Gobind, zorganizował gminę w bractwo wojowników (1699) i nadał jej członkom pięć zewnętrznych znaków, tzw. „pięć k” – „keś” (nie strzyżone włosy i broda), „kačh” (szorty noszone pod ubraniem), „kangha” (grzebień we włosach zwiniętych w kok), „kir-pan” (krótki zagięty miecz) i „kara” (żelazna bransoleta). S. nie palą tytoniu.

Sin – bóstwo lunarne czczone w okresie przedislamskim w południowo-arabskim państwie Hadramaut. Świętym zwierzęciem S. był byk, jego znakiem zaś sierp księżycy.

Sindhycy – naród zamieszkujący prowincję Sind (Sindh) w Pakistanie i – w rozproszeniu – północne i zachodnie stany Indii. S. pakistańscy (ok. 13 mln) są muzułmanami, indyjscy (ok. 2 mln) – hindusami. W Pakistanie druga pod względem liczebności grupa narodowościowa. S. posługują się językiem sindhi należącym do indoeuropejskiej rodziny językowej.

Singh – (pendż.) „Lew”; nazwisko wszystkich sikhów od czasu reform guru Gobinda. Nazwiska Singh używają także niektóre rody Radżputów, toteż ma rację przysłowie: „Wszyscy sikhowie są Singhami, ale nie wszyscy Singhowie są sikhami”.

Sinha, Mohan Lal – sędzia sądu stanowego w Allahabadzie, który 12 czerwca 1975 uznał Indirę Gandhi za winną uchybień w trakcie kampanii wyborczej w 1971 i pozbawił ją mandatu poselskiego.

sir – tradycyjna indyjska miara wagi, równa w różnych częściach Indii i Pakistanu od 600 g do 1 kg.

Sita – (sansk.) „Bruzda”; w *Ramajanie* małżonka Ramy. Sita miała się zrodzić ze zoranej bruzdy. Porwana przez demona Rawanę stała się przyczyną wielkiej wojny, w której demony zostały ostatecznie pokonane. Dzieje rozstania i połączenia Sity i Ramy stanowią odbicie mitologii rolniczej, alegoryczne zobrazowanie cyklu zasiewów i dojrzewania plonów. S. jest w Indiach kobiecym ideałem wierności małżeńskiej.

sitar – (z pers.) siedmiostrunowy (szarpany) instrument muzyczny używany w klasycznej muzyce indyjskiej; wywodzi się z Persji.

Służba Cywilna – system nomenklaturowy pracowników cywilnych w brytyjskiej administracji kolonialnej w Indiach (sądy, urzędy podatkowe, kolejnictwo, łączność itp.); od 1922 jedna trzecia stanowisk w S. C. przeznaczona była dla Hindusów.

sraktja – (sansk.) nazwa rośliny (*Symplocos racemosa?*) używanej w starożytnych Indiach w czarach miłosnych.

Stary Fort – patrz: Purana Kila.

sufizm – prąd mistyczny w islamie (od VIII-IX w.). S. łączy myśl metafizyczną z praktykami ascetycznymi i doktryną o konieczności wyrzeczenia się własnej woli w drodze do poznania Boga; szczególną rolę przypisuje technikom osiągania mistycznej ekstazy (muzyka, taniec) i kontemplacji. Zwolennicy s. odrzucali zrytualizowane formy życia religijnego i łączyli się we wspólnoty zakonne podporządkowane wybranemu mistrzowi. Idee s. przeniknęły do wszystkich sfer kultury muzułmańskiej, przyczyniły się też do radykalizowania ruchów społeczno-religijnych w późnośredniowiecznych Indiach.

Suhrawardi, H.S. – polityk pakistański; w latach 1956-1957 premier Pakistanu; jeden z założycieli Ligi Awami.

Sułtanat Delhijski – w latach 1206-1526 feudalne państwo muzułmańskie w płn. Indiach ze stolicą w Delhi. Założycielem państwa był Kutb ud-Din Aibak; w pierwszej poł. XIV w. obejmowało swym zasięgiem prawie całe dzisiejsze Indie i Pakistan. Sułtanat zaczął się rozpadać po najeździe armii Timura (1398-1399), by ostatecznie przejść pod władzę Mogołów (Babar, 1526).

„sułtanów niewolników” dynastia – linia władców Delhi w latach 1206 – 1290, którą zapoczątkował były niewolnik, potem namiestnik Muhammada Ghoriego w Indiach – Kutb ud-Din Aibak. Kolejni władcy nie byli z sobą spokrewnieni, wszyscy jednak zaczęli swą karierę polityczno-wojskową jako niewolnicy.

Sundarbany – (z sanskr.) „Piękne Lasy”; nadmorska część delty Gangesu i Brahmaputry na pograniczu Indii i Bangladeszu. Obszar S. porośnięty puszcza deszczową i bagnisty, jest pocięty licznymi odnogami rzek na wyspy, niekiedy zalewane podczas przypiływów.

sundri – (z sanskr.) „piękne”; drzewo rosnące w obszarze delty Gangesu i Brahmaputry (*Heritiera minor*), używane do budowy łodzi.

sura – (arab.) rozdział Koranu.

sura „Krowa” – druga i zarazem najdłuższa sura Koranu licząca 286 wersetów; traktuje m. in. o wyższości islamu nad innymi religiami (żydowską i chrześcijańską), zawiera też liczne przepisy prawne i pouczenia religijne.

surahi – (z arab.) gliniany porowaty dzban do przechowywania wody.

Swatantra – (sansk.) „Wolna”; „Partia Wolności” – konserwatywna, prozachodnia partia indyjska (zał. 1959). S. grupuje przedstawicieli wielkiego kapitału, przeciwników polityki Partii Kongresowej wobec sektora prywatnego.

„Syndykat” – nieoficjalna nazwa prawicowej frakcji Partii Kongresowej; po zjeździe rozłamowym z 1969 „Syndykat” (którego „bossami” byli m. in. ówczesny wicepremier i minister finansów Morardzi Desai i były minister kolejnictwa S.K. Patii) utworzył partię Indyjski Kongres Narodowy-Opozycja. Na zjeździe zarzucano Indirze Gandhi szerzenie kultu własnej osoby, autorytarianizm i nieudolność w rozwiązywaniu problemów gospodarczych. W okresie 1971-1975 „Syndykat” odgrywał czołową rolę w organizowaniu frontu partii opozycyjnych, który ostatecznie – przekształciwszy się w Partię Ludową (Dżanata) – zwyciężył w ogólnoindyjskich wyborach parlamentarnych w 1977 i przejął na dwa lata władzę (1977-1979).

Szahbaz Kalandar – święty mąż z sufickiego zakonu Kalandarijów, darzony szczególną czcią w Prowincji Sind w Pakistanie. S. żył w XIII-XIV w.; do jego słynącego cudami grobowca zjeżdżają się corocznie rzesze ludzi.

Szahdżahan (1592-1666) – (pers.) „Władca Świata”; piąty władca Indii z dynastii Wielkich Mogołów, syn Dżahangira. Panował w latach 1628-1658. Zlecił budowę słynnego mauzoleum Tadż Mahal w Agrze oraz założenia urbanistycznego w Delhi (Szahdżahanabad) z Czerwonym Fortem (Lal Kila) i Wielkim Meczetem Piątkowym (Dżama Masdżid). Usunięty z tronu przez syna, Aurangzeba, i więziony do końca życia w Agrze.

Szahid – (arab.) „męczennik (w boju za wiarę)”; śmierć męczeńska wg wierzeń muzułmanów zmywa grzechy i otwiera bramy raju.

szahi-korma – (z pers.) „królewska korma”; wytworne danie mięsne.

Szahrijar – (pers.) „władca”; bohater opowieści ramowej *Księgi tysiąca i jednej nocy* (arab. Alf laila walaila), książę, który mszcząc się za zdradę pierwszej żony każdą noc spędza z nową żoną, a rano skazuje ją na śmierć. Mądra i piękna Szeherezada opowiada mu co noc baśnie (które przerywa rano w najciekawszym momencie) i ostatecznie rozkochuje go w sobie.

Szalimar Bagh – ogrody założone w Lahaurze (dziś w Pakistanie) przez cesarza Szahdżahana i w Śrinagarze (Kaszmir) przez ojca Szahdżahana – Dżahangira (XVII w.).

szarifowie – (arab.) „dostojni, szlachetnie urodzeni”; potomkowie dwóch synów Alego z jego małżeństwa z córką Proroka, Fatimą; tytuł tureckich gubernatorów Mekki.

szatrandź – (z pers.) szachy.

śakti – (sansk.) „moc, siła”; w hinduizmie również: boska potęga, energia.

Śakti – w hinduizmie bogini personifikująca energię boga, szczególnie Siwy; wielu hindusów uważa, że wszystkie małżonki wszystkich bogów są manifestacjami ich energii twórczej. Najbardziej czczoną Ś. boga Siwy jest bogini Kali (Durga).

Śankaraćarja – świątynia Siwy na dominującym nad Śrinagarem wzgórzu (znanym także jako Tacht-i-Sulejman – „Tron Salomona”) ma upamiętniać pobyt w Kaszmirze Śankaraćarji (ok. 788-820) – wielkiego indyjskiego filozofa i reformatora religijnego. Wg Ś. jedyną rzeczywistością jest nieosobowy byt duchowy (Brahman), wyobrażenia o istnieniu rzeczy są jedynie iluzją (maja) i skutkiem niewiedzy. Propagując własne koncepcje odrodzenia hinduizmu wędrował po całych Indiach i założył na krańcach kraju cztery ośrodki tradycyjnej nauki i kultu.

Śarabi – (pers.) „pijak, pijaczyna”; doktor Sarabi wydający swym pacjentom recepty na alkohol to dosł. doktor Pijak.

Śastri, Lal Bahadur (1904-1966) – polityk indyjski, następca Nehru. W latach 20-tych uczestnik akcji nieposłuszeństwa obywatelskiego, więziony przez Brytyjczyków; działacz Indyjskiego Kongresu Narodowego. W latach 1964-1966 premier Indii. Przyczynił się wraz z prezydentem Pakistanu, Ajubem Chanem, do pokojowego uregulowania kwestii kaszmirskiej (deklaracja w Taszkencie, 1966).

śehnai – (z pers.) indyjski instrument muzyczny przypominający obój; używany w płn. Indiach w muzyce ludowej i klasycznej.

śikara – typ płaskodennej łodzi używanej na jeziorze Dal w Kaszmirze do przewozu ludzi i towarów; kaszmirska „gondola”.

Śiwa – jeden z trójcy najwyższych bogów hinduizmu (Brahma, Wisznu i Ś.). Jest niszcycielem świata, ale i jego odnowicielem. Wyobrażany zazwyczaj jako czteroreki mężczyzna tańczący w kręgu płomieni taniec kosmicznej zagłady lub jako trójjaki asceta z sierpem księżycy na czole. Jako bóg płodności wyobrażany jest w postaci fallicznego słupa kamiennego (linga). Boskie moce Ś. manifestują się w postaciach jego małżonek (Śakti).

Śiwadźi (1627-1680) – założyciel feudalnego państwa Marathów w zach. Indiach, od 1674 król Maharasztry. Prowadził liczne wojny przeciwko cesarzowi Aurangzebowi, od którego się uniezależnił. Swemu państwu nadał charakter hinduistyczny, odnowił dawne przywileje stanu bramińskiego. Używając w swej walce z Mogołami hasła

religijnych przyczynił się do pogłębienia rozdzwieku między wyznawcami hinduizmu i islamu. Dziś S. uznawany jest za jednego z bohaterów narodowych Indii.

Średnie Państwo – okres w historii starożytnego Egiptu obejmujący rządy XI-XVII dynastii (ok. 2052– 1570 p.n.e.); okres rozkwitu kulturalnego, gospodarczego i politycznego przerwany najazdem Hyksosów.

Śri – (sanskryt.) „szanowny, czcigodny”; tytuł stawiany przed nazwiskami hindusów (np. Śri Dźagdźiwan Ram) na znak szacunku.

tabla – (z arab.) para bębenków używanych w muzyce indyjskiej; na tabli gra się palcami jednej i dłonią drugiej ręki.

tacht – (z pers.) „tron”; drewniane siedzisko czy niewielka platforma służąca w płn. Indiach do siedzenia lub spania; t. bywa na ogół przykryty płócienną kapą, na której umieszcza się poduszki-wałki.

Tadž Mahal – (z pers.) „Korona Pałacu”; marmurowe mauzoleum Mumtaz Mahal wzniesione przez jej męża, cesarza Sahdżahana, w latach 1632-1653 w Agrze. Dzięki doskonałym proporcjom T. uważany jest za najpiękniejszą budowlę muzułmańską i jeden z „cudów świata”.

takalluf – (z arab.) ceremonie, ceregiele.

Takszaka – (sanskryt.) indyjskie bóstwo węzowe; w *Mahabharacie* T. jest zjadłym przeciwnikiem rodu ludzkiego.

tamaśa – (z pers.) uliczne widowisko, heca.

tamil – najstarszy literacki język drawidyjski używany w pld.-indyjskim stanie Tamilnadu (ok. 50 mln).

Tamilowie – naród zamieszkujący pld. Indie (ok. 50 mln); duże skupiska T. znajdują się także na Cejlonie, w Malezji, Birmie i Gujanie. T. są w ogromnej większości hinduistami. Od pocz. I tys. n.e. stworzyli bogatą literaturę i kulturę materialną.

tanduri nan – (z pers.) duży pszenny placek pieczony w piecu.

tantryzm – w religiach indyjskich (zwłaszcza siwaizmie i niektórych schyłkowych formach buddyzmu) doktryna mistyczna łącząca nieortodoksyjne techniki ekstatyczne (alkohol, akt płciowy) z obrzędami magicznymi i kultem bogiń. Wykład doktryny znajduje się w tantrach – traktatach ułożonych w formie dysputy pomiędzy Siwą a jego małżonką Parwati (Śakti).

thali – metalowa misa, na której podaje się kompletny posiłek.

titar – ptak łowny (*Francolinus pondicerianus*) z rodziny kuropatw, podobny do turkawki.

tola – indyjska miara wagi równa 11,66 gramów; oficjalna waga złotej rupii.

tonga – dwukołowa lekka bryczka mieszcząca do czterech pasażerów, zazwyczaj kryta daszkiem.

Trombaj – dzielnica w płn. części aglomeracji bombajskiej, w której mieści się indyjski ośrodek badań atomowych.

tu – „ty”; familiarna forma zaimka drugiej osoby l.poj. Użycie tej formy w stosunku do osób nieznanymi wskazuje na wyższy status społeczny mówiącego.

Tughiak – patrz: Muhammad Tughlak.

tumbriwala – zaklinacz węży posługujący się puszczką sporządzoną z tykwy (tumbri).

Urna – (sanskryt.) „Len”; jedna z bogiń panteonu siwaickiego, przedstawiana niekiedy z krową. Jako małżonka Siwy ma się ukazywać wraz z nim pod koniec każdego eonu. Wg jednego z mitów U. karmi ludzkość życiodajnymi warzywami, które zrodziły się z jej ciała podczas pory deszczowej. Często identyfikowana z Parwati.

urdu – literacki język nowoindyjski zbliżony do j. hindi. W odróżnieniu od hindi, które posługuje się pismem dewanagari, urdu używa pisma arabskiego. Jest językiem urzędowym w Pakistanie i jednym z konstytucyjnych języków Indii (ok. 90 mln mówiących, głównie muzułmanów). U. powstało we wczesnym okresie podbojów muzułmańskich w Indiach jako „mieszany” język armii czy obozu wojskowego (z tur. orda) i zawiera wiele zapożyczeń z arabskiego, perskiego, tureckiego i pusztu.

Vimto – gazowany napój orzeźwiający.

Wakil – (z arab.) „prawnik, adwokat, obrońca”; słowo użyte ironicznie dla stworzenia nazwiska typowego dla wieloreligijnej metropolii bombajskiej: Johnny Wakil (Johnny Obrońca) jest sędzią z imienia chrześcijaninem, z nazwiska – muzułmaninem.

walima – (arab.) uroczyste przyjęcie urządzone przy ważnych okazjach rodzinnych (pogrzeb, ślub), często łączone z recytacją Koranu.

Wanaspati – (sanskryt.) „pan roślin”; nazwa firmowa masła roślinnego.

Waruna – w starej mitologii indyjskiej bóg niebios, stróż odwiecznego ładu kosmicznego (i porządku społecznego), sędzia grzeszników. W hinduizmie W. stracił swe pierwotne funkcje i pozostał jedynie władcą wód i obrońcą zachodniej strony świata.

Wavell, Archibald Percival Earl (1883-1950) – marszałek brytyjski, w latach 1943-1947 wicekról Indii.

Wee Willie Winkie – popularna postać z angielskich rymowanek i kołysanek dla dzieci; chłopczyk w koszuli nocnej,

który sprawdza, czy dzieci już śpią; bohater opowiadania Rudyarda Kiplinga.

wieże milczenia – miejsca pochówkowe parsów, wyznawców zoroastryzmu. Zwłoki wystawia się w w. m. na pożarcie sępom, co daje pewność, że żywiły ziemi, wody i ognia nie zostaną zbrukane przez kontakt ze śmiercią. W. m. stanowią charakterystyczny element krajobrazu bombajskiego, nie ma ich jednak – wbrew Autorowi – w Delhi.

wina – (sansk.) strunowy (szarpany) instrument muzyczny używany w klasycznej muzyce indyjskiej; mitycznym wynalazcą w. jest wieszcz Narada.

Wingate, Orde Charles (1903-1944) – żołnierz brytyjski; w czasie II wojny światowej dowodzona przez niego brygada, w której walczyli Brytyjczycy, Gurkhowie i birmańscy Czindici, nękała znacznie silniejsze oddziały japońskie w dżunglach północnej Birmy.

Wisznu – w religii okresu wedyjskiego mało znaczące bóstwo solarne. W hinduizmie jeden z trójcy najwyższych bogów, opiekun świata. Małżonką W. jest Lakszmi, bogini Szczęścia i Dobrobytu. W momentach zagrożenia dla trwania świata W. zstępuje na ziemię (awatara), by zbawić ludzkość. W dotychczasowych dziejach świata W. objawił się już dziewięciokrotnie, jako Ryba, Żółw, Dzik, Człowiekolew, Karzeł, Rama z Toporem, Rama, Kryszna i Budda. Po raz ostatni W. objawił się na ziemi w postaci Kalkina, bohatera jadącego na białym koniu z płonąącym mieczem w ręku. W. bywa najczęściej wyobrażany jako czteroręki mężczyzna dzierżący znaki porządku religijnego (lotos i koncha, której dźwiękiem zwołuje się wiernych na modlitwę) i prawnego (maczuga i płonący dysk – dharmacakra).

Wiśwanath – (z sanskr.) „Opiekun Wszechrzeczy”; jedna z postaci Siwy czczona w słynnej świątyni w Benaresie.

Wskazujący palec rybaka – opisywany w tekście obraz jest pędzla Johna Everetta Millais (1829-1896), jednego z założycieli grupy prerafaelitów.

zamindar – (z pers.) właściciel ziemski, obszarnik.

zenana – (z pers.) część domu (tzw. „wewnętrzne pokoje”) wydzielona dla kobiet należących do rodziny.

Zgromadzenie Konstytucyjne – ideę Z.K. wyłonionego przez lud indyjski niezależnie od kolonialnych władz brytyjskich wysunął jeszcze w latach dwudziestych Dżawaharlal Nehru. Z.K., powołane do życia w 1946 zgodnie z planami przedstawionymi przez Misję Rządową, zostało ostatecznie zbojkotowane przez Ligę Muzułmańską, co uniemożliwiło stworzenie federalnej Unii Indyjskiej i doprowadziło do podziału kraju.

Złota Świątynia – Harmandir („Świątynia Pana”); główny ośrodek życia kultowego sikhów i miejsce pielgrzymek w Amritsarze w Pendżabie. Z. S. zbudowano na gruntach otrzymanych przez czwartego guru sikhów Amar Dąsa (1479-1574) od cesarza Akbara.

zołza – królewska zołza lub skrofuloza, gruźlica węzłów chłonnych, zwykle spowodowana złymi warunkami higienicznymi; objawem jej są długo nie gojące się przetoki na szyi. Niegdyś powszechnie uważano, że leczy ją dotyk rąk monarchy. Ceremonię dotykania chorych zapoczątkował w XI w. w Anglii król Edward Wyznawca, we Francji zaś król Filip I. Zwyczaj ten utrzymywał się w Anglii aż do 1712 (królowa Anna), we Francji do 1830 (król Karol X).